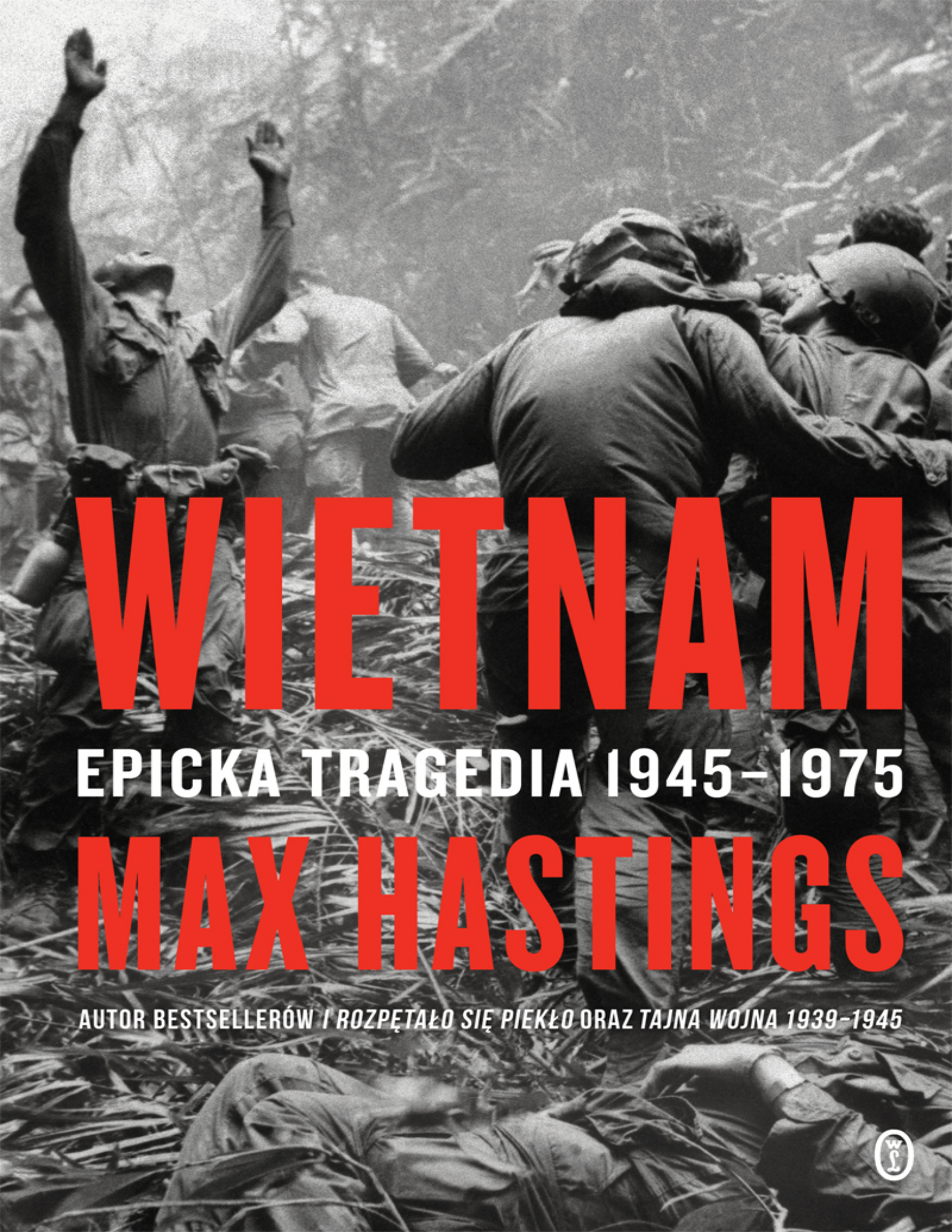

WIETNAM

EPICKA TRAGEDIA 1945–1975

MAX HASTINGS

AUTOR BESTSELLERÓW *I ROZPĘTAŁO SIĘ PIEKŁO* ORAZ *TAJNA WOJNA 1939–1945*

WIETNAM

EPICKA TRAGEDIA 1945–1975

MAX HASTINGS

Przełożył
Wojciech Tyszka

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Wprowadzenie

1. Piękna i wiele bestii
    1. Znikające imperium
    2. Marsz Wietminhu
2. „Brudna wojna”
    1. Narwańcy
    2. Waszyngton płaci rachunki
    3. Chłopi
3. Wyimaginowana forteca
    1. Czekając na Giapa
    2. Nadciąga katastrofa
4. Krwawe ślady
    1. Wyjść – czy zbombardować?
    2. Triumf woli
    3. Genewa
5. Bliźniacze tyranie

1. Rządy terroru
2. „Jedyny chłoptaś, jakiego mamy”
3. Czasy prosperity
4. Ponownie do broni

6. Nastaje czas JFK
1. „Już wkrótce stracą swój kraj, o ile…”
2. Królestwo McNamary
3. Le Duan podnosi stawkę

7. 1963: Trumny dla dwóch prezydentów
1. Mała bitwa, wielka sprawa: Ap Bac
2. Rewolta buddystów
3. Czas zabijania

8. Labirynt
1. „Tej wojny wystarczy dla każdego”
2. Unikając decyzji

9. Wprost w otchłań zatoki
1. Kłamstwa
2. Jastrzębie dochodzą do głosu

10. „Nie bardzo wiemy, co mamy dalej robić”
1. Na szlaku
2. Zaangażowanie

11. Eskalacja
1. „Dno i wodorosty”
2. Nowi ludzie, nowa wojna

12. „Próba schwytania dymu”
1. Walka i narty wodne
2. Pod własnym ostrzałem

3. Pułapki i kurz na szlaku

13. Łapówki i olejek miętowy
    1. Kradzieże
    2. Rządzenie
    3. Gouré i inni guru

14. Operacja „Rolling Thunder”
    1. Epoka kamienia i epoka rakietowa
    2. „Na Północ”

15. Ból się nasila
    1. Raz lepiej, raz gorzej
    2. Przyjaciele

16. Po pas w wielkim grzęzawisku
    1. Zwolennicy pokoju
    2. Uczestnicy wojny
    3. Sztuka przeżycia
    4. Broń

17. Nasi ludzie, ich ludzie – wojna wietnamska
    1. „Song qua ngay” – „Po prostu przetrwajmy ten dzień”
    2. Bojownicy
    3. Żołnierze Sajgonu

18. Ofensywa Tet
    1. Preludium
    2. Fuga
    3. Symboliczne upokorzenie

19. Olbrzym się chwieje
    1. Podjęta rękawica
    2. Kapitulacja prezydenta

20. Raz po raz to samo
    1. Umieranie
    2. Rozmowy
21. Dziedzictwo Nixona
    1. Armia w rozsypce
    2. Posiłki z antypodów
    3. Bogowie
    4. Wietnamizacja
22. Przegrywanie na raty
    1. Haczyk i dziób papugi
    2. Terrorem na terror
    3. „Lam Son 719”
23. Niezamierzone straty
    1. Mary Ann
    2. „Kozioł”
    3. „Wracajmy do domu”
24. Największa bitwa
    1. Le Duan podkręca tempo
    2. Sztorm nad Południem
    3. Puste zwycięstwo
25. Wielkie, brzydkie, grube ptaki
    1. „To absolutnie i całkowicie zmiecie McGoverna”
    2. „Zrzucimy im na głowy całe tony bomb”
26. Pocałunek przed śmiercią
    1. Więzień
    2. „Pokój”
    3. Wojna flag

27. Ostatni akt
    1. Inwazja
    2. „O, mój kraju, mój biedny kraju”
28. Pokłosie
    1. Zemsta
    2. Audyt tej wojny

Podziękowania

Glosariusz i słowniczek skrótów

Słowo o regułach językowych przyjętych w tekście

Słowo od tłumacza

Bibliografia

Źródła ilustracji

Spis map

Przypisy

Tytuł oryginału: *Vietnam. An Epic Tragedy, 1945–1975*

Opieka redakcyjna: MAŁGORZATA GADOMSKA
Redakcja: WOJCIECH ADAMSKI
Korekta: Pracownia 12A
Konsultacja: MICHAŁ MACKIEWICZ
Wybór ilustracji: MARCIN STASIAK
Przygotowanie ilustracji: PIOTR KOŁODZIEJ
Opracowanie graficzne map: ANDRZEJ NAJDER
Projekt okładki: MILAN BOZIC
Fotografia na okładce
Żołnierze amerykańskiej 101 Dywizji Powietrznodesantowej naprowadzają helikopter mający zabrać rannych podczas walk pod Hue, kwiecień 1968 roku. © Art Greenspon/AP Images/East News
Opracowanie graficzne: ROBERT KLEEMANN
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

Copyright © Max Hastings, 2018
© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie, 2021
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2021

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07295-0

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Mojemu bliskiemu przyjacielowi,
RICKOWI ATKINSONOWI,
piszącemu o triumfach i porażkach
amerykańskich sił zbrojnych z elegancją,
wnikliwością oraz zwykłą ludzką sympatią,
których mogą mu tylko pozazdrościć
inni historycy.

„Azja weźmie kiedyś, po latach, odwet
na swojej aroganckiej młodszej siostrze”.

DEAN INGE, 1928 ROK

„Każdy fakt wojskowy to również fakt
społeczny i polityczny”.

ANTONIO GRAMSCI,
JEDEN Z ZAŁOŻYCIELI
WŁOSKIEJ PARTII KOMUNISTYCZNEJ

„Zawiera treść przeznaczoną dla dorosłych,
mocne słowa i przemoc graficzną:
zalecana rozwaga widza”.

OSTRZEŻENIE POPRZEDZAJĄCE EMISJĘ ODCINKÓW
DOKUMENTU TELEWIZYJNEGO PBS WOJNA WIETNAMSKA
KENA BURNSA I LYNN NOVICK Z ROKU 2017

INDOCHINY FRANCUSKIE
CHINY
N
Cao Bang
Lao Cai
Dong Khe
Tonkin
Lang Son
Rzeka Czerwona
Lai Chau
Rzeka Czarna
Yen Bai
Bac Ninh
Dien Bien Phu
Hanoi
Haifong
BIRMA
Muong Khoua
Zatoka Tonkińska
LAOS
Delta Rzeki Czerwonej
Mekong
Luang Prabang
Thanh Hoa
Hajnan
Równina Dzbanów
Vinh
Wientian
Góry Annamskie
Thakhek
Dong Hoi
Mekong
Quang Tri
Hue
Tourane
TAJLANDIA
Mun
Pakse
Annam
Kontum
An Khe
Pleiku
Qui Nhon
Bangkok
KAMBODŻA
Płaskowyż Centralny
Siem Reap
Tonle Sap
Ban Me Thuot
Mekong
Nha Trang
Dalat
Phnom Penh
Kochinchina
Tay Ninh
Bien Hoa
Sajgon
Zatoka Tajlandzka
Równina Trzcin
My Tho
Ha Tieu
Can Tho
Delta Mekongu
Morze Południowochińskie
0 50 100 150 mi
0 100 200 km

Wprowadzenie

Walka o Wietnam – położony w południowo-wschodniej Azji ubogi kraj wielkości Kalifornii, usiany górami, dżunglami i polami ryżowymi, które tak silnie przemawiają do wyobraźni współczesnych turystów, choć już znacznie mniej podobały się dwudziestowiecznym wojskowym – trwała trzy dekady i pochłonęła od dwóch do trzech milionów ofiar. Dla reszty świata, w tym nawet dla komunistycznych Chin i Sowietów, wspierających wojskowo jedną ze stron tego konfliktu, przez pierwszych dwadzieścia lat swojego trwania była to wojna o charakterze marginalnym. Dopiero w ostatniej fazie udało jej się zawładnąć wyobraźnią ludzi Zachodu, wzbudzając w setkach milionów z nich najpierw konsternację, a później wręcz odrazę; doprowadziła przy tym do upadku jednego amerykańskiego prezydenta i przyczyniła się do odejścia kolejnego. Podczas fali młodzieżowych protestów przeciwko ustalonemu porządkowi świata, która przetoczyła się przez wiele krajów w latach sześćdziesiątych XX wieku, odrzucanie tradycyjnej moralności seksualnej i entuzjazm dla używek w rodzaju marihuany czy LSD współbrzmiały z ostrą krytyką kapitalizmu i imperializmu, których szczególnie drastycznym przejawem stała się właśnie wojna wietnamska. Co więcej, sprzeciw wobec niej wyrażało także wielu starszych Amerykanów, generalnie dalece sceptycznych wobec wszystkich innych przyczyn młodzieżowego buntu, którzy jednak wyczuwali związaną z nią systematyczną kampanię okłamywania przez rząd własnego społeczeństwa, jak również dostrzegali, że konfliktu tego w zasadzie nie sposób było wygrać.

Upadek Sajgonu w roku 1975 oznaczał zarazem upokorzenie najpotężniejszego państwa na świecie: oto chłopi zatriumfowali nad siłą, bogactwem i uzbrojeniem Amerykanów. Schody, którymi wieczorem 29 kwietnia uciekinierzy z południowowietnamskiej stolicy

wspinali się pospiesznie, niczym na swoją Kalwarię, by dotrzeć wreszcie do helikoptera, weszły do kanonu obrazów symbolizujących całą tę epokę. Wojna w Wietnamie wywarła większy wpływ na ówcześnie żyjących ludzi niż jakikolwiek inny konflikt zbrojny po roku 1945.

Ocena motywacji stron uczestniczących w dowolnym konflikcie zbrojnym nigdy nie jest łatwa ani oczywista. Nawet w II wojnie światowej zachodni sojusznicy walczący przeciwko faszyzmowi sprzymierzyli się przecież z tyranią Stalina, by to właśnie ją obarczyć obowiązkiem zapłaty największej ceny krwi w celu ostatecznego pokonania tyranii Hitlera. Jedynie najbardziej skłonni do uproszczeń zwolennicy politycznej prawicy albo lewicy skłonni są sugerować, że w Wietnamie którejkolwiek ze stron można było przyznać monopol na słuszność. Autorzy wszystkich tak kategorycznych opracowań o tym konflikcie są albo Amerykanami, albo Francuzami. A wśród tych pierwszych całkiem niemała liczba pisze o owym zagadnieniu niczym o fragmencie historii własnego narodu. A przecież była to tragedia o wymiarze głównie azjatyckim, mimo że w światowym odbiorze zdominowały ją ostatecznie wątki amerykańskie; dość powiedzieć, że na każdego Amerykanina, który stracił tam życie, zginęło około czterdziestu Wietnamczyków.

Moja opowieść ma charakter chronologiczny, co jednak nie oznacza, że starałem się opisać czy choćby wspomnieć każde wydarzenie tej wojny. Zamiast tego podjąłem próbę uchwycenia natury konfliktu wietnamskiego w ciągu trzech dekad. Podobnie jak we wszystkich swoich książkach, nawet odnosząc się do kwestii politycznych czy strategicznych, zawsze miałem w tyle głowy zasadnicze pytanie: jaka n a p r a w d ę była to wojna – dla saperów z Północy, dla chłopów z Delty Mekongu, dla pilotów helikopterów z Peorii, dla zwykłych trepów ze Sioux Falls, dla doradców do spraw obrony przeciwlotniczej z Leningradu, dla chińskich robotników kolejowych, dla dziewcząt z barów w Sajgonie?

Urodziłem się w 1945 roku. Jako młody korespondent spędziłem blisko dwa lata w Ameryce, a następnie wielokrotnie odwiedzałem Indochiny. Moja wiedza o świecie była wówczas tak słaba, a moje rozumienie jego problemów tak płytkie, że w tekście tej książki w ogóle

nie będę odwoływał się do swoich doświadczeń osobistych – zamiast tego podsumuję je po prostu w tym miejscu. W latach 1967–1968 dużo podróżowałem po Stanach Zjednoczonych, najpierw w ramach uczelnianego stypendium dziennikarskiego, a następnie już jako reporter relacjonujący kulisy kampanii przed wyborami prezydenckimi w tym kraju. Spotkałem się wówczas, choćby na krótko, z wieloma ważnymi postaciami ówczesnego życia politycznego, takimi jak Robert Kennedy, Richard Nixon, Eugene McCarthy, Barry Goldwater, Hubert Humphrey czy Ronald Reagan, ale także z takimi jak Harrison Salisbury, Norman Mailer, Allen Ginsberg czy Joan Baez.

W styczniu 1968 roku znalazłem się w grupie zagranicznych dziennikarzy zaproszonych do Białego Domu. Siedząc w sali konferencyjnej, wysłuchaliśmy wówczas czterdziestominutowego przemówienia prezydenta Lyndona Johnsona, który przekonywał nas o swoim zaangażowaniu w kwestię wietnamską, by zaledwie kilka miesięcy później zaszokować amerykańską opinię publiczną oświadczeniem, że nie będzie ubiegał się o reelekcję. Tamtego poranka wywarł on na nas, dziennikarzach, równie niezapomniane wrażenie, tyle że wynikało ono z niebezpiecznego balansowania na granicy karykatury. „Niektórzy z was lubią blondynki, niektórzy rude, a niektórzy być może wcale nie lubią kobiet" – zagaił z tym swoim silnym południowym akcentem, w dodatku bez przerwy podkreślając własną argumentację obszerną gestykulacją i raz po raz gryzmoląc coś długopisem w rozłożonym przed sobą notatniku. „W takim razie ja wam teraz powiem, czego bym chciał. Jestem otóż gotów spotkać się w dowolnej chwili z Ho Chi Minhem w jakimś miłym hotelu, przy jakimś dobrym posiłku, tak byśmy mogli razem usiąść, obgadać i załatwić całą tę kwestię".

Po zaprezentowaniu swojego stanowiska ów rosły mężczyzna w pośpiechu opuścił salę, najwyraźniej nie zamierzając odpowiadać na żadne pytania, lecz jedynie rzucając na odchodnym jakąś kąśliwą uwagę w stronę znanego z antywojennych przekonań komentatora politycznego Waltera Lippmanna. Kiedy jednak wstawaliśmy i zbieraliśmy się do wyjścia, nagle raz jeszcze ujrzeliśmy w drzwiach głowę prezydenta, który z uśmieszkiem fałszywej skromności rzucił

w naszą stronę: „Aha, jeszcze jedno, zanim wszyscy sobie pójdziecie. Chcę was zapytać: czy teraz ktoś z was myśli sobie o mnie coś innego niż to, co o mnie wcześniej czytaliście albo słyszeliście?". Wszyscy dosłownie zaniemówiliśmy na ten dowód wyjątkowej słabości Johnsona.

W 1970 roku byłem prezenterem całego cyklu reportaży z Kambodży i Wietnamu dla programu *24 Hours* (*24 godziny*) w telewizji BBC, by w roku następnym powrócić z kolejnymi materiałami o tej tematyce, tym razem obejmującymi również wywiad z prezydentem Nguyenem Van Thieu i relację z wizyty w Laosie. W trakcie kręcenia filmów z tego cyklu towarzyszyłem między innymi żołnierzom z amerykańskiej 23. Dywizji w przeczesywaniu doliny Hiep Duc, byłem na pokładzie wietnamskiego samolotu szturmowego Skyraider podczas lotu bojowego zakończonego ostrzelaniem wyznaczonego celu, a także relacjonowałem przebieg walk o bazę ogniową nr 6 (FB 6) w regionie Płaskowyżu Centralnego. Pod koniec tamtego roku w Wielkiej Hali Ludowej w Pekinie miałem okazję uścisnąć dłoń premierowi Zhou Enlaiowi. Powróciłem do Wietnamu w latach 1973 i 1974, zaś w roku 1975 opisywałem ostatnie etapy wojny, w tym bałagan w Da Nang tuż przed upadkiem miasta, a później wydarzenia w okolicach Sajgonu.

Zamierzałem ponadto pozostać pośród garstki korespondentów relacjonujących przejęcie rządów przez Wietnamczyków z Północy, jednak pod koniec dnia poprzedzającego ten moment przeżyłem załamanie nerwowe, po czym siłą przedarłem się przez tłum przerażonych Wietnamczyków otaczających amerykańską ambasadę, by z niewielką pomocą broniących jej marines przeskoczyć przez mur na bezpieczną stronę. Kilka godzin później ewakuowano mnie wojskowym helikopterem na okręt USS Midway.

Przytoczone powyżej wydarzenia[1*] zaowocowały raczej mało dojrzałymi relacjami dziennikarskimi, za to dziś nadają pewien osobisty rys moim opisom zawartym w niniejszej książce, jako że sam miałem wiele okazji przebywać w albo tłuc się po owych przepoconych, zakurzonych i nader często ostrzeliwanych i bombardowanych „zadupiach", a zatem czuć dokładnie to samo, co czuli żołnierze wietnamscy, francuscy czy amerykańscy. W późniejszych latach

poznałem też Roberta McNamarę, Henry'ego Kissingera i innych wielkich ludzi z okresu wojny wietnamskiej. Z Arthurem Schlesingerem nawet się zaprzyjaźniłem.

Każda wojna jest inna, a zarazem wszystkie są takie same. Powstał pewien mit, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych, że wojna wietnamska wystawiła uczestniczących w niej żołnierzy na jedyne w swoim rodzaju okropieństwa, o czym miałyby świadczyć niezliczone relacje weteranów, pełne nieledwie poetyckiej udręki. A przecież każdy, komu dane było walczyć czy to w okresie zmagań Rzymian z Kartaginą, czy podczas wojny trzydziestoletniej w Europie, czy w latach kampanii rosyjskiej Napoleona, czy wreszcie podczas walk nad Sommą w roku 1916, bez wątpienia wyśmiałby stwierdzenia, że doświadczenia z Indochin miałyby rzekomo być jakościowo gorsze i straszniejsze. Przemoc zadawana sobie nawzajem za pomocą mieczy czy włóczni, a nawet dotykająca niewinnych cywilów przypadkiem znajdujących się na drodze maszerujących armii, była równie bezwzględna na początku naszej ery, co w XX stuleciu. Nacierający na oblężone średniowieczne miasto żołnierz, którego oblano płonącą smołą, cierpiał równie straszliwe męki, co ofiara ataku z użyciem napalmu. Szabrownictwo, gwałty, czarny rynek, przypadkowe akty przemocy względem cywilów i jeńców wojennych to zjawiska nieodłącznie związane ze wszystkimi konfliktami zbrojnymi. W latach 1939–1945 w miastach Europy dziewczęta sprzedawały swoje wdzięki na równie wielką skalę jak później w Sajgonie – wystarczy wspomnieć choćby londyńskie „oddziały z Piccadilly" (*Piccadilly commandos*). Tyle że podczas II wojny światowej nie chwalono się specjalnie udziałem w tego rodzaju nikczemnym procederze po powrocie do domu. Były to przecież czasy, w których nawet materiał filmowy dopuszczano do emisji dopiero po usunięciu zeń scen uznawanych za demoralizujące, bo zbyt dosłownie pokazywały rzeczywistość.

Tymczasem w latach sześćdziesiątych XX wieku, zgodnie z nową tendencją do ujawniania wszystkiego, co tylko dało się ujawnić, świat nagle uzyskał dostęp do wszelkiego rodzaju nadużyć i ekscesów popełnianych przez siły amerykańskie i południowowietnamskie, i to pokazywanych dzień w dzień, w najlepszym czasie antenowym. Pośród

obrazów, które przyniosły szczególnie duże straty sprawie bronionej przez Amerykę, warto wymienić zwłaszcza zdjęcia szefa sajgońskiej policji strzelającego do jeńca Wietkongu (WK) podczas ofensywy Tet w roku 1968, a także fotografię nagiego dziecka, uciekającego z krzykiem przerażenia po ataku z użyciem napalmu w roku 1972. Tymczasem w Hanoi nie pokazywano żadnych tego rodzaju kadrów ukazujących egzekucje wietnamskiej ludności po przeciwnej stronie frontu, również poprzez palenie jej żywcem, ani nawet relacji z kolejnych klęsk ponoszonych przez Wietkong podczas licznych nieudanych ataków. Zamiast tego do znudzenia nadawano materiały o charakterze heroicznym na zmianę z rozdzierającymi serce obrazami zniszczeń dokonywanych przez kapitalistyczne siły powietrzne. Ten wizualny kontrast pomiędzy żądnym krwi supermocarstwem, wykorzystującym do swoich celów diaboliczną technologię symbolizowaną przez bombowce B-52, a prostymi wieśniakami w charakterystycznych stożkowych kapeluszach albo korkowych hełmach, poruszającymi się albo pieszo, albo rowerami, dawał olbrzymią przewagę propagandową stronie komunistycznej. W oczach wielu młodych ludzi Zachodu „bojownicy o wolność" Ho Chi Minha zyskiwali swoisty nimb romantyzmu. Byłoby sporą przesadą sugerować, w ślad za niektórymi „jastrzębiami" sprzed pięćdziesięciu lat, że to właśnie środki masowego przekazu doprowadziły do przegrania tej wojny przez Stany Zjednoczone. Ale relacje telewizyjne i prasowe z pewnością uniemożliwiły ludziom Zachodu zignorowanie „kosztów ludzkich" związanych z wojną, a także zwróciły ich uwagę na rozmaite przykłady nieudolności wykazywanej przez wojskowych.

Kilka godzin przedtem, zanim jako dwudziestoczterolatek miałem po raz pierwszy polecieć do Sajgonu, udałem się po radę do Nicholasa Tomalina, reportera brytyjskiego tygodnika „Sunday Times". Najpierw podał mi on adres pewnej hinduskiej księgarni przy ulicy Tu Dow Sajgonie, w której można było wymienić dolary po najkorzystniejszym kursie na całym czarnym rynku. A potem powiedział: „Tylko pamiętaj: oni ciągle kłamią, kłamią i kłamią". Miał rzecz jasna na myśli amerykańskie dowództwo i mówił prawdę. Jednak podobnie jak wielu innych zachodnich dziennikarzy, zarówno wówczas, jak i dziś, Nick

zdawał się nie zauważać innej istotnej kwestii – tej mianowicie, że Hanoi czyniło dokładnie tak samo. Nie oznacza to oczywiście, że nad oszustwami rozgłaszanymi przez MACV (Military Assistance Command Vietnam, czyli amerykańską kwaterę główną w Sajgonie) i JUSPAO (Joint US Public Affairs Office, amerykańskie biuro prasowe) należy przechodzić do porządku dziennego, ale trzeba spojrzeć na całą tę kwestię w szerszym kontekście, którego często brakuje w surowych ocenach zarzucających „brak wiarygodności" jednej tylko stronie konfliktu. Ponadto, choć amerykańscy i południowowietnamscy rzecznicy prasowi wielokrotnie sprzedawali reporterom niestworzone historie, to rzadko się zdarzało, by MACV zakazywała im samodzielnego udania się na linię frontu i dokonania oceny sytuacji na podstawie tego, co zobaczą. W odróżnieniu od jakiegokolwiek konfliktu zbrojnego toczonego wcześniej, ale również od tamtej pory, na pokład wojskowych samolotów i helikopterów rutynowo zabierano dziennikarzy i fotoreporterów, z których wielu wykazywało otwartą wrogość wobec sprawy, za którą walczyli lecący wraz z nimi żołnierze. Ta stosunkowa otwartość Amerykanów w zestawieniu z obsesją tajności przejawianą przez komunistów stanowi moim zdaniem dowód, że ci pierwsi mieli przekonanie o swojej wyższości moralnej. Największym błędem popełnionym przez amerykańskich polityków i dowódców nie było wcale okłamywanie całego świata; było nim okłamywanie samych siebie.

Po tym, jak kolektywistyczna polityka gospodarcza we współczesnym Wietnamie w dużej mierze zbankrutowała, jedyną legitymizacją jego autokratycznego rządu jest odwoływanie się do zwycięstwa z roku 1975. Oznacza to rzecz jasna, że na oficjalnej narracji nie może się pojawić żaden cień i żadna skaza, stąd niewielu ocalałych z wojny pozwala sobie na swobodne mówienie o tym, jak naprawdę ona wyglądała. Ów brak transparentności w zdumiewająco skuteczny sposób przesądził o tym, jak różnie podchodzą do tematu wojny wietnamskiej badacze zachodni i azjatyccy. Podczas gdy w archiwach amerykańskich trudno byłoby już zapewne znaleźć jakiekolwiek istotne tajemnice, w sejfach i szafach w Hanoi zamkniętych pozostaje z całą pewnością wiele tajnych dokumentów. Liberalna Ameryka przyjęła podejście niemalże

masochistyczne, które zniekształciło tamtejszą historiografię w sposób równie znaczący, jak szowinistyczne dzieła konserwatywnych rewizjonistów. Nie tak dawno zapytałem jednego z najbardziej znanych korespondentów wojennych tamtej epoki: „A gdyby demonstracje pokojowe możliwe były również w Hanoi, ilu ludzi by się na nich pojawiło?". Odpowiedział mi bez wahania: „Nikt. Północ popierała tę wojnę w stu procentach".

Takie podejście wydaje się naiwne aż do przesady: w końcu większość normalnych osób chciałaby jakoś wyzwolić się z doświadczenia, które sprowadza na nich i na ich bliskich głównie zgryzoty i codzienne trudności. Wielu ludzi Zachodu sprzeciwiających się tej wojnie całkiem słusznie argumentowało, że Stany Zjednoczone przyjęły metody niemogące przynieść im powodzenia, skoro opierały się one głównie na chaotycznej przemocy. Inni szli o krok dalej, głosząc pogląd, że skoro ich własny kraj bronił złej sprawy, to druga strona musiała walczyć za sprawę słuszną. A przecież celem, do którego dążyło politbiuro w Hanoi oraz Narodowy Front Wyzwolenia, była zamiana dotychczasowych opresji doznawanych przez Wietnamczyków z Południa ze strony właścicieli ziemskich na jeszcze cięższe udręki zadawane im później przez wiernych uczniów Stalina. W demokracji wyborcy mają możliwość odsunięcia od władzy rządu, z którego są niezadowoleni. Ale po ustanowieniu reżimu komunistycznego nigdzie na świecie nie doszło do uczciwych i wolnych wyborów; nie było ich też pod rządami Hanoi od roku 1954.

Prowadząc tę wojnę, politbiuro z Północy miało nad przeciwnikiem wyraźną przewagę w kilku punktach. Jego decydenci skłonni byli bez wahania poświęcać ludzkie życie, ponieważ nie musieli tłumaczyć się ze swoich decyzji ani mediom, ani wyborcom. Byli też gotowi ponosić kolejne porażki na polu bitwy, nie narażając się na ostateczną klęskę, jako że Stany Zjednoczone już wcześniej opowiedziały się przeciwko inwazji na Północ. Tymczasem pierwsze niepowodzenia Południa w zasadzie przesądziły o jego dalszym losie. Istnieją wyraźne analogie pomiędzy walką prowadzoną przez wietnamskich komunistów a wysiłkiem wojennym Związku Sowieckiego w latach 1941–1945: Stalin odwoływał się do patriotyzmu, ideologii i obowiązku w podobny sposób,

w jaki czynili to kilkanaście lat później Ho Chi Minh i Le Duan. Bez wątpienia to właśnie komuniści wykazali się większą skutecznością w walce od żołnierzy z Sajgonu, ale nie oznacza to wcale, że należy im się miano tych dobrych w całym konflikcie.

Choć liczne opisy poniżej przywołują rozmaite przykłady okrucieństw czy stosowania bezmyślnej przemocy, to przecież w szerszym oglądzie sytuacji wielu zwykłych ludzi, i Wietnamczyków, i Amerykanów, w różnym wieku i obojga płci, zarówno wojskowych, jak i cywilów, zachowywało się przyzwoicie. Starałem się przytaczać historie również takich ludzi, bo w moim przekonaniu nie wolno pozwalać, by w wojennym zgiełku, pośród wybuchu bomb czy w galimatiasie kolejnych bestialstw i zdrad – a więc w rzeczywistości, z której składa się większość korespondencji wojennych – znikały czyny i zachowania godne pochwały. Postanowiłem ponadto nie włączać do swojej książki zbyt wiele polityki: amerykańskie archiwa dostępne są dla badaczy już od dziesięcioleci, wobec czego powstały liczne i wyczerpujące prace na temat procesów decyzyjnych w krajach Zachodu uczestniczących w owej wojnie, w tym te autorstwa Fredrika Logevalla. Z kolei w roku 2015 Ken Hughes przedstawił i poddał analizie taśmy z Białego Domu, dając wszystkim niemal wzorcowy ogląd sposobu myślenia i podejmowania decyzji przez Nixona i Kissingera, który doprowadził do zawarcia paryskich układów pokojowych w styczniu 1973 roku, a zarazem pozwalając nam wyzwolić się spod wyrachowanej narracji samych zainteresowanych, zaprezentowanej przez nich w swoich pamiętnikach. Mimo to poświęciłem wiele godzin na przestudiowanie świadectw i zeznań zebranych w US Army's Military Heritage and Education Center w Carlisle w stanie Pensylwania, a także w US Marine Corps' Archive w Quantico w stanie Wirginia. Uzyskałem także dostęp online do materiałów z Texas Tech University's Vietnam War Study Center w Lubbock. Przeprowadziłem wreszcie niemal sto rozmów z ocalałymi z wojny Amerykanami i Wietnamczykami w różnym wieku i obojga płci. Dzięki nieocenionej pomocy Merle'a Pribbenowa przeczytałem też wiele tysięcy stron pamiętników, dokumentów i opowieści przetłumaczonych z języka wietnamskiego.

Każdy historyk, w tym i ja, który wydaje w roku 2018 studium o Wietnamie, winien wyrazić wdzięczność Kennowi Burnsowi i Lennowi Novickowi, autorom niedawno wyemitowanego serialu dokumentalnego, który na całym świecie rozbudził na nowo zainteresowanie tym epokowym konfliktem. Mam nadzieję, że również i moja książka zdoła choć w części oddać jego wagę, a zarazem pokazać ogrom doświadczeń, jakie stały się udziałem narodu wietnamskiego przez okres trzech pokoleń, z konsekwencjami trwającymi po dziś dzień.

Max Hastings

Chilton Foliat, Berkshire i Datai, Langkawi, Malezja
Maj 2018

1
Piękna i wiele bestii

1. ZNIKAJĄCE IMPERIUM

Zacznijmy tę długą i tragiczną opowieść – tragiczną nawet na tle niezliczonych innych tragedii wojennych – nie od Francuzów czy Amerykanów, ale od pewnego Wietnamczyka. Doan Phuong Hai urodził się w roku 1944 w małej miejscowości przy Drodze nr 6, zaledwie 30 kilometrów od Hanoi, ale już zdecydowanie na prowincji. W swoich najwcześniejszych wspomnieniach z dzieciństwa[1][2*] widzi on druty, kolczaste druty, całe ich kilometry otaczające rdzawą wstęgą francuską placówkę wojskową na wzgórzu w pobliżu lokalnego targu, a także słyszy odgłos wiatru pojękującego w ich zwojach przy każdym silniejszym podmuchu. Za tymi drutami, pod łopoczącą na wietrze trójkolorową flagą Francji, mieszkał pewien wietnamski trębacz o imieniu Vien, którego chłopiec wprost uwielbiał. Vien dawał mu puste puszki po maśle i metalowe kapsle od butelek, z których Hai zrobił sobie ulubiony samochodzik zabawkę. W towarzystwie innych zafascynowanych Vienem dzieci Hai siadywał też w kółeczku wokół trębacza, by słuchać jego opowieści o licznych bitwach, w których brał on udział, o czym jasno świadczyła wielka blizna na nodze – pozostałość po ranie zadanej mu pod Limestone Mountain, gdzie odtrąbił sygnał do natarcia zakończonego ponoć zabiciem przez Legię Cudzoziemską aż setki komunistów. Chłopcy z podziwem dotykali naszywki sierżanta i zbierali łuski, które dawał im raz na jakiś czas.

Czasami Vien śpiewał głębokim, smutnym głosem, być może o swojej matce, które zmarła rok wcześniej. A niekiedy, co było dla nich prawdziwym rarytasem, zabierał grono swoich wielbicieli nad rzekę,

gdzie wygrywał im kolejno wojskowe hejnały, „niektóre skoczne i rytmiczne, że aż chciało się ruszać w takt muzyki; inne tak smutne, że zbierało się nam na płacz”[2]. A potem nadszedł ten dzień – było to w roku 1951 – kiedy rodzina Haia spakowała wszystko, co do niej należało, i wsiadła do wysłużonego lokalnego autobusu, by przeprowadzić się do Hanoi. Vien siedział akurat na posterunku przy drodze wyjazdowej, więc na pożegnanie dał chłopcu dwa kawałki gumy do żucia, a potem czule potargał go za ucho. Kiedy autobus odjeżdżał, Hai dostrzegł, że trębacz macha za nim w chmurze czerwonego pyłu, a w tle znikają na zawsze znajome domy, pola ryżowe, bambusowe zagajniki i drzewa *da* rosnące za wioską. Hai wyruszył wówczas w podróż, która miała mu przynieść cały ciąg przenosin i wygnań, trochę radości, ale znacznie więcej zgryzot, co zresztą było udziałem całego narodu wietnamskiego przez następne półwiecze. I choć sam został później żołnierzem, już nigdy nie postrzegał ludzi walczących po którejkolwiek ze stron z takim samym romantyzmem, z jakim patrzył kiedyś na sierżanta Viena i słuchał jego hejnałów.

Najpierw byli Chińczycy. Rządzili Wietnamem przez mniej więcej tysiąc lat, zanim wreszcie zostali wyparci w roku 938. Później wracali jeszcze kilkakrotnie, aż wreszcie ostatecznie się ich pozbyto w roku 1426. Odtąd kraj cieszył się niepodległością, choć już nie stabilnością czy choćby dobrymi rządami. Rywalizujące ze sobą dynastie kontrolowały to północ, to południe Wietnamu – aż do roku 1802, kiedy cesarz Gia Long zjednoczył wreszcie cały kraj, rządząc nim z miasta Hue. Podczas cechujących drugą połowę XIX wieku dążeń do formowania imperiów Indochiny znalazły się w polu zainteresowania Francji, która z użyciem siły zbrojnej zaczęła tu ustanawiać coraz większą swoją dominację, poczynając od południowej części półwyspu, zwanej przez samych Francuzów Kochinchiną. W maju 1883 roku, po tym jak Zgromadzenie Narodowe w Paryżu przegłosowało ustawę przeznaczającą 5 milionów franków na ekspedycję w celu skonsolidowania całego regionu i uczynienia go „protektoratem”, konserwatywny polityk Jules Delafosse oznajmił: „Panowie, nazywajmy rzeczy po imieniu. Wam wcale nie zależy na żadnym protektoracie, tylko na objęciu w posiadanie”[3]. I tak rzecz jasna sprawy się miały. Francuzi wysłali siły wojskowe w liczbie 20

tysięcy żołnierzy w celu zdobycia Tonkinu – północnego Wietnamu. A kiedy wreszcie tego dopięli, po roku ciężkich walk, narzucili tam swoje bezwzględne rządy. Znieśli wprawdzie dawny zwyczaj skazywania cudzołożnic na śmierć poprzez rozdeptanie przez słonie, za to karę ścięcia, wcześniej orzekaną wyłącznie wobec złodziei, rozciągnęli na wszystkich tych, którzy sprzeciwiali się francuskiej hegemonii. Spożycie opium rosło w zastraszającym tempie, zwłaszcza po otwarciu przez to mocarstwo kolonialne destylarni tej substancji w Sajgonie.

Wietnam ma powierzchnię 331 tysięcy kilometrów kwadratowych, niewiele większą od powierzchni Włoch, ale niemal dwa razy mniejszą niż metropolitalna Francja. Przeważająca część terytorium kraju jest górzysta i pokryta egzotyczną roślinnością albo stanowi płaskowyże charakteryzujące się nadzwyczajną sezonową wilgotnością i żyznością. Niemal każdy przybysz odwiedzający ten kraj, kiedy już oswoi się z trudnością podjęcia jakiegokolwiek wysiłku w dusznym upale, odczuwa prawdziwy zachwyt pięknem Wietnamu – niektórzy przelewali ów zachwyt na papier, tworząc liryczne opisy „ryżowych poletek, na których pasły się bawoły, a na grzbiecie niemal każdego z nich siedziała biała czapla wyjadająca z sierści insekty; roślinności w kolorach tak żywych i tak zielonych, że aż bolały od nich oczy; przystani promowych przy brzegach szeroko rozlanych rzek w kolorze kawy z mlekiem; różnobarwnych pagod i drewnianych domów na palach, otoczonych gromadkami psów i kaczek; parującego powietrza, przebogatych zapachów i wszechobecnej wody, nadającej wszystkiemu wrażenie bujności i płodności, rozkwitu natury, jej dojrzałości i gotowości do wydania plonów”[4].

Ludzie Zachodu doceniali też elegancję wyrobów rękodzielniczych wytwarzanych przez Wietnamczyków, w tym ręcznie wyplatanych koszyków, krytych trzciną dachów czy charakterystycznych stożkowych kapeluszy. Z ciekawością przyglądali się egzotycznym stworzeniom, których tusze sprzedawano na ulicznych straganach, wszechobecnym wróżbiarzom i wróżkom, ludziom grającym w kości, wielkiej rozmaitości przypraw. W dżungli motyle osiągały rozmiary nietoperzy. Nad wodą rozwinęła się cała fascynująca kultura: po powierzchni rzek

i kanałów sunęły sampany, w odróżnieniu od ręcznych wózków niewydające żadnych skrzeczących odgłosów; połów ryb był prosty, przyjemny i zapewniał wszelką obfitość pokarmu. Przybysze opisywali walki kogutów i jaskinie hazardu, a w rezydencji pałacowej w Hue odbywały się wystawne uroczystości, kiedy to Francuzi podnosili ego marionetkowego cesarza podejmującego ich ucztami, których punktem kulminacyjnym było podawanie pieczonego pawia, smakującego ponoć jak twarda wołowina. Przybrzeżny region wokół starej stolicy postrzegany był jako bardzo podejrzany przez mieszkańców Delty Mekongu, którzy mawiali, że „góry nie są tam wprawdzie tak wysokie, a rzeki zbyt głębokie, za to tamtejsi mężczyźni są niesłowni, zaś kobiety nadto wyuzdane". Z kolei pewien człowiek Zachodu, który szczerze pokochał Wietnam i jego mieszkańców, napisał, że mówią oni z intonacją, dzięki której „brzmią dla mnie niczym urokliwe kaczki: ich oparty na monosylabach język sprawia wrażenie całej serii słodkich pokwakiwań"[5].

Spośród pięćdziesięciu grup etnicznych te najdziksze zamieszkiwały też najdziksze regiony kraju, Annam, dzieląc je z tygrysami, panterami, słoniami, niedźwiedziami, dzikami i nielicznymi azjatyckimi nosorożcami. Dwie rozległe delty, ta wokół Rzeki Czerwonej na północy oraz druga, Delta Mekongu na południu, zapewniały nader obfitą produkcję rolną. Wzrost zapotrzebowania na eksport ryżu spowodował zagarnianie przez Francuzów ziemi kosztem lokalnej ludności w skali porównywalnej do procederu praktykowanego przez amerykańskich osadników na Dzikim Zachodzie czy przez brytyjskich kolonistów w Afryce. Mieszkańców Indochin opodatkowano, by sfinansować w ten sposób aparat ich własnej opresji, a do lat trzydziestych XX wieku już 70 procent miejscowych chłopów stało się albo dzierżawcami gruntów rolnych, albo właścicielami malutkich, tylko przydomowych poletek. Francuscy plantatorzy – ledwie kilkaset rodzin, w których rękach szybko skupiły się olbrzymie fortuny gromadzone w kolonialnych Indochinach – przyjęli w XX wieku twardą i bezkompromisową postawę wobec Wietnamczyków. Według relacji pewnego brytyjskiego przybysza, była ona „identyczna z podejściem dawnych arystokracji do swoich

niewolników. Zasadza się na bezbrzeżnej pogardzie, bez której zapewne niemożliwa byłaby skuteczna eksploatacja”[6].

Francuscy plantatorzy, magnaci gumowi i właściciele kopalń do stosowania zinstytucjonalizowanej przemocy względem wykorzystywanej siły roboczej byli w dodatku zachęcani przez kolonialną administrację, która ponadto narzucała sztucznie zawyżane kursy wymiany lokalnego piastra na rzecz franka, co w jeszcze większym stopniu wzbogacało skarbiec w Paryżu. Najeźdźcom udawało się też z czasem wpoić wielu Wietnamczykom własną kulturę, edukację i swój język. Pewien wietnamski uczeń zapamiętał, że w szkole uczono go tego, iż jego przodkami byli Galowie. Dopiero ojciec, zresztą podoficer francuskiej armii, wyjaśnił mu z całą powagą i mocą: „Twoimi przodkami byli Wietnamczycy”[7]. Tymczasem pewien australijski chirurg pisał, że nawet wśród stosunkowo prostych ludzi istnieje tu świadomość „ich długiej i nieprzerwanej historii, ich prastarej cywilizacji”[8].

Wietnamscy robotnicy, okolice Sajgonu, koniec XIX wieku

Położenie Wietnamczyków było tylko nieznacznie lepsze od sytuacji mieszkańców Konga pod rządami Belgii, za to wyraźnie gorsze od położenia Hindusów pod panowaniem Brytyjczyków. W dodatku w życiu wietnamskich klas wyższych i średnich zaznaczała się pewna sprzeczność. Choć bowiem ich przedstawicieli obowiązkowo poddawano zanurzeniu w europejskiej kulturze i języku, to poza godzinami pracy nie mieli oni specjalnie okazji stykać się z samymi Francuzami. Nguyen Duong, urodzony w roku 1943, dorastał, wychowując się na opowieściach o Tintinie i na francuskich książkach szpiegowskich. A mimo to, podobnie jak wszyscy Azjaci, dla których przemoc fizyczna jest najgorszym rodzajem zniewagi, w szkole każdorazowo wzdrygał się, kiedy francuscy nauczyciele rutynowo karali mniej pojętnych uczniów klapsami. Nigdy w życiu nie widział, by jego rodzice zaprosili do domu rodzinę colonów ani by wychodzili gdzieś razem z takimi ludźmi[9]. Norman Lewis opisał Sajgon jako „francuskie miasto w gorącym kraju. Nazywanie go Paryżem Dalekiego Wschodu

jest równie trafne, jak określanie Kingston na Jamajce mianem Oxfordu Indii Zachodnich. Motywy jego istnienia były i są czysto handlowe, a zatem jest ono pozbawione rozmachu, ferworu czy jakiejś większej ostentacji (...). Dwadzieścia tysięcy Europejczyków trzyma się tu tak blisko siebie, jak to tylko możliwe, na przestrzeni zaledwie kilku zacienionych tamaryndowcami ulic”[10].

Kolonialne życie wydawało się tym, którym dane było z niego korzystać, nieskończenie komfortowe i przyjemne – ale tylko do pewnego czasu. Tym, którzy przyzwyczaili się do niego za bardzo, groziły bowiem konsekwencje gorsze od chorób tropikalnych takich jak malaria czy czerwonka, a mianowicie obezwładniające znużenie Wschodem, potęgowane dodatkowo nadużywaniem opium i dostępem do całej armii służących. Starzy francuscy robotnicy rolni – *les anciens d'Indo* – nazywali tę przypadłość *le mal jaune*. Ponadto pozycja panów wcale nie chroniła Francuzów przed pogardą ze strony najwyższych warstw rdzennej ludności Indochin. Stara wietnamska tradycja nakazywała przedstawicielom tych warstw pociemniać sobie zęby specjalnym lakierem, a to z kolei sprawiało, że ludzi o jasnych zębach traktowali oni z otwartym lekceważeniem – jeden z cesarzy podczas przyjmowania któregoś z europejskich ambasadorów miał zapytać: „A kimże jest ten człowiek z zębami jak u psa?”[11]. Norman Lewis napisał z kolei: „Są zbyt cywilizowani, by pluć na widok białego człowieka, ale okazują mu krańcową wręcz obojętność (...). Nawet zwykły rikszarz po otrzymaniu – żeby nie przesadzić – swojej podwójnej normalnej stawki bierze pieniądze w ponurym milczeniu i natychmiast odwraca wzrok. To doprawdy dosyć niekomfortowe uczucie: być obiektem powszechnej nienawiści, takim diabłem zza siedmiu mórz”[12].

Niewielu Wietnamczyków patrzyło na rządy Francuzów ze spokojem, wobec czego lokalne rewolty były na porządku dziennym. W roku 1927 w położonej w Delcie Mekongu wiosce Vinh Kim skrzyknął się dość niezwykły zespół nastoletnich wykonawczyń pod nazwą Międzynarodowa Trupa Kobiet, który zaczął wystawiać sztuki i przedstawienia o wydźwięku antykolonialnym. Z kolei w latach trzydziestych XX wieku doszło do całego szeregu wiejskich

demonstracji, powstań i aktów palenia plonów. Z powodu coraz większego zadłużenia niektórych chłopów zaczęto zamykać w więzieniach za niepłacenie podatków, podczas gdy inni wpadali w szpony bezwzględnych lichwiarzy. W rezultacie do roku 1943 już niemal połowa ziemi w Wietnamie znajdowała się w rękach garstki farmerów, stanowiących mniej niż 3 procent ogółu. Tymczasem władze kolonialne działały z niezmiennym przekonaniem, że najlepszym sposobem postępowania są dalsze represje. Pewien wietnamski oficer policji *sûreté* w taki oto sposób naigrawał się z aresztowanego przez siebie rewolucjonisty: „Jak niby konik polny może wyrządzić szkodę samochodowi?”[13].

Mimo to oddziały partyzanckie czy choćby zwykłe grupy bandytów bezustannie formowały się w różnych miejscach leżących w głębi kraju rozległych pustkowi – owych *les grands vides*. A na ponurej wyspie-więzieniu Poulo Condore cele rzadko stały puste. W miejscu tym nawet nie próbowano udawać, że zsyłanym tam Wietnamczykom zapewniony zostanie uczciwy proces; nie przypadkiem też więzienie szybko zaczęto nazywać „uniwersytetem rewolucjonistów”. Wielu spośród tych, którzy później odegrali ważne role w walce o niepodległość, przeszło przez to ponure miejsce. Jak na ironię, człowiek, który miał zostać ich przywódcą, a przy tym był jednym z najsłynniejszych rewolucjonistów XX wieku, należał do małej garstki, którą ta wątpliwa przyjemność ominęła.

Ho Chi Minh urodził się w roku 1890 jako Nguyen Sinh Cung w niewielkiej wiosce położonej w środkowej części Wietnamu. Jego ojciec, choć był tylko zwykłym nieślubnym dzieckiem, zdołał dochrapać się statusu mandaryna, ale ostatecznie zdecydował się porzucić wygody dworskiego życia, by zostać wędrownym nauczycielem. Ho, podobnie jak później Vo Nguyen Giap, Pham Van Dong czy Ngo Dinh Diem, uczęszczał do założonej w 1896 roku prestiżowej szkoły średniej Quoc Hoc w Hue, skąd wydalono go w roku 1908 za działalność rewolucyjną. Po zerwaniu więzi z rodziną i krótkim epizodzie pracy jako nauczyciel w wiejskiej szkole, w roku 1911 zaciągnął się na francuski frachtowiec, na którym pełnił funkcje palacza kotłowego i kuchcika. Przez kolejne trzy lata przemierzał cały świat, by następnie spędzić rok w Stanach

Zjednoczonych, który to kraj prawdziwie go zafascynował, a wreszcie osiąść na dłużej w Londynie, gdzie podjął pracę jako pomocnik cukiernika w hotelu Carlton. Tam zintensyfikował swoją aktywność polityczną, spotykając się z nacjonalistami ze wszystkich zakątków świata – z Irlandii, Chin czy Indii. Zyskał biegłość w posługiwaniu się językiem angielskim i francuskim, jak również kilkoma dialektami chińskimi, a później opanował jeszcze język rosyjski.

W roku 1919 przygotował petycję, doręczoną następnie amerykańskiemu prezydentowi Woodrowowi Wilsonowi podczas konferencji pokojowej w Wersalu, w której to petycji zwracał się o poparcie sprawy niepodległości Wietnamu: „Wszystkie ciemiężone narody przepełnia nadzieja, że oto otwiera się przed nimi perspektywa nowej ery prawości i sprawiedliwości (...) w walce cywilizacji przeciwko barbarzyństwu". W roku 1920 Ho uczestniczył w kongresie francuskich socjalistów, podczas którego wygłosił przemówienie mające mu później przynieść wielki rozgłos: „Nie sposób, bym zdołał w zaledwie kilka minut przedstawić wam tutaj wszystkie okrucieństwa popełnione w Indochinach przez bandytów kapitalizmu. Więcej jest u nas więzień niż szkół (...). Nie istnieje coś takiego jak wolność prasy czy swoboda wyrażania opinii (...). Nie mamy prawa do emigracji czy pracy za granicą (...). Oni dokładają wszelkich starań, by zatruwać nas opium i upadlać alkoholem. Oni (...) masakrują wiele tysięcy ludzi (...), by bronić interesów sprzecznych [z wietnamskimi]"[14]. Ho szybko stał się płodnym publicystą, pisząc przede wszystkim dla lewicowych gazet i często odwołując się do myśli Lenina.

W roku 1924 pojechał do Moskwy, gdzie spotkał się z nowymi rosyjskimi przywódcami i spędził kilka miesięcy na tak zwanym Orientalnym Uniwersytecie Robotniczym. Następnie przeniósł się do Kantonu, gdzie pełnił funkcję tłumacza przy sowieckim doradcy Chiang Kai-sheka. Trzy lata później, po tym jak Chiang odwrócił się od komunistów, Ho w pośpiechu powrócił do Europy. Pewien jego francuski znajomy opisywał ich ówczesne spotkanie na jednym z mostów nad Sekwaną, podczas którego Wietnamczyk miał wyznać z zadumą: „Zawsze myślałem, że zostanę uczonym albo pisarzem, a zamiast tego stałem się zawodowym rewolucjonistą. Zjeździłem już

wiele krajów, ale nie dane mi było ich poznać. Zawsze wykonuję ścisłe rozkazy, a mój kalendarz i rozkład podróży są dokładnie rozplanowane. A mnie nie wolno odstąpić od tych planów nawet na jotę”[15].

Pytanie brzmi: o jakich „rozkazach” mówił Ho? Jego życie spowite jest licznymi tajemnicami. Nigdy się nie ożenił, a swoje potrzeby emocjonalne zdawał się w pełni realizować poprzez zaangażowanie w walkę polityczną. Kto opłacał jego liczne podróże po świecie? Czy pozostawał na płatnej służbie Moskwy, czy po prostu każdorazowo otrzymywał wsparcie finansowe od swoich politycznych współbraci? Nie powinno nas zbytnio dziwić, że został komunistą, skoro światowy kapitalizm okazywał jawną wrogość celom, jakie przed sobą stawiał. Swoje piętno w historii odcisnął nie tyle dzięki autorskim publikacjom czy odczytom – były one bowiem mało oryginalne – co za sprawą nadzwyczajnej umiejętności zaszczepiania otaczającym go ludziom nadziei, lojalności, a nawet miłości. Pewien wietnamski student tak oto opisywał swoje pierwsze spotkanie z Ho w Paryżu kilka lat później: „Tym, co jako pierwsze rzuciło mi się w oczy, była jego słabowitość, chorobliwa wręcz bladość. Ale na tym tle jeszcze silniej odmalowywało się jego niewzruszone poczucie godności, okrywające go niczym ochronna peleryna. Emanowały zeń jakaś wewnętrzna siła i wielkoduszność, które zrobiły na mnie olbrzymie, wprost zwalające z nóg wrażenie”[16].

W roku 1928 Ho pojawił się w Bangkoku, gdzie spotkał się z wygnanymi z kraju indochińskimi nacjonalistami. W kolejnym roku przeniósł się do Hongkongu i tam przewodniczył spotkaniu przywódców rywalizujących ze sobą wietnamskich stronnictw, zorganizowanym na stadionie futbolowym podczas rozgrywania meczu, tak by uniknąć zainteresowania policji. Zdołał wówczas przekonać swoich współziomków do zjednoczenia się pod sztandarem Indochińskiej Partii Komunistycznej, która w roku 1931 została formalnie uznana przez moskiewski Komintern. W następnych latach w Wietnamie wybuchła cała seria rewolt, na co Francuzi odpowiedzieli ostrzeliwaniem podejrzewanych o współpracę z partyzantami wiosek i gilotynowaniem wyłapywanych tam przywódców buntów. I choć sam Ho nie był w bezpośredni sposób powiązany z tymi powstaniami,

szybko stał się człowiekiem poszukiwanym, ściganym we wszystkich koloniach europejskich mocarstw. Po całej serii przygód udało mu się wreszcie zbiec do Chin, głównie dzięki temu, że zdołał namówić pewnego pracownika szpitala w Hongkongu do wypisania aktu zgonu. Przez kolejne lata Ho bezustannie podróżował pomiędzy Chinami a Rosją, cierpiąc na chroniczne bóle i nawroty chorobowe. Pewien francuski agent komunistyczny, który miał okazję spotkać go podczas tej długiej odysei, opisał Ho jako człowieka „spiętego i rozedrganego, obsesyjnie pochłoniętego tylko jedną myślą: o swoim kraju".

Na początku 1941 roku, po trzydziestoletniej nieobecności, Ho potajemnie przekradł się do Wietnamu, podróżując pieszo i sampanem, by na miejscu przyjąć pseudonim, dzięki któremu miał stać się postacią znaną historii: Ho Chi Minh, to jest Niosący Światło. Swoją kwaterę założył w jednej z jaskiń wśród wzgórz na północy kraju, gdzie tego pięćdziesięciolatka, zwanego przez nich „wujkiem Ho", już wkrótce zaczęli odwiedzać młodzi ludzie, wśród których nie brakowało późniejszych bohaterów rewolucji, takich jak Pham Van Dong czy Vo Nguyen Giap. To właśnie Giap zapoznał Ho z niewielką grupką partyzantów, przedstawiając go im tymi słowami: „Towarzysze, oto pewien stary człowiek pochodzący z tej okolicy, rolnik, który ukochał rewolucję". Partyzanci szybko przekonali się jednak, że Ho ani nie wywodził się spośród nich, ani też nie był rolnikiem. Miał za to inne umiejętności. Sprawnie rysował mapy Hanoi dla tych, którzy nigdy wcześniej nie widzieli tego miasta, a nawet potrafił doradzić w kwestii kopania latryn. Pewien weteran wspominał później: „Myśleliśmy sobie wtedy: «Za kogo ma się ten staruszek? Spośród wszystkich rzeczy, o których mógłby nam opowiedzieć, on mądrzy się na temat srania?!»"[17]. Tak czy inaczej Ho szybko został zaakceptowany jako przywódca tej małej grupy, a nawet całego ruchu, który sami jego członkowie nazywali Ligą Niepodległości Wietnamu, w skrócie Wietminhem. I choć już wówczas przywódcy tego ruchu nie odżegnywali się od zaangażowania ideologicznego, to dopiero znacznie później oficjalnie przyjęli oni komunizm jako jedyną dopuszczalną jego podbudowę.

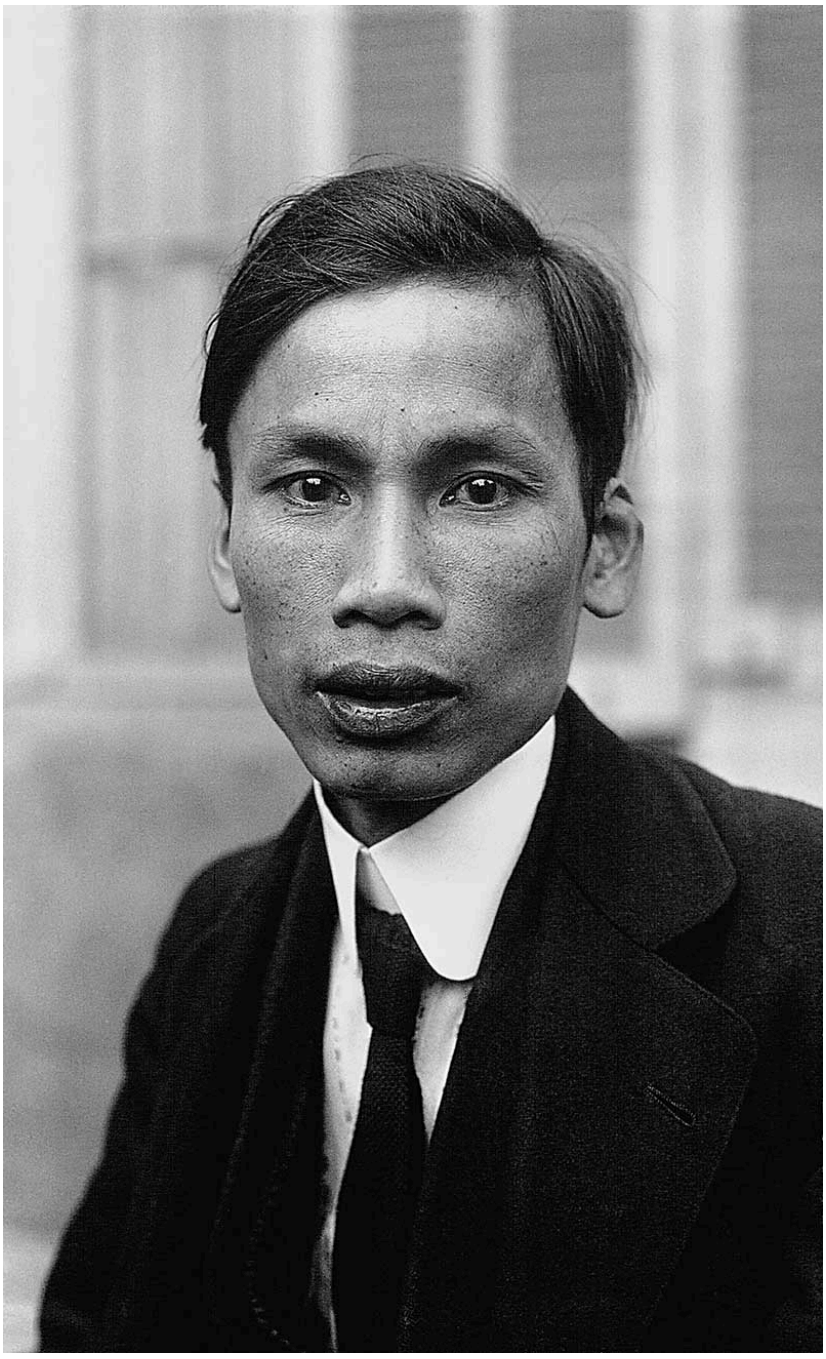

Ho Chi Minh w 1921 roku

Opanowanie przez nazistów zachodniej Europy drastycznie nadwątliło władzę Francji w jej koloniach, a to z kolei jeszcze nasiliło cierpienia rdzennej ludności. W Indochinach Francuzi dokonywali rekwizycji na własne potrzeby nawet tak podstawowych towarów jak zapałki, sukno czy oliwa do lamp. W Delcie Mekongu doszło w 1940

roku z inicjatywy komunistów do krótkiego powstania, w trakcie którego zabito kilku francuskich urzędników i opanowano część placówek wojskowych. Po zajęciu spichlerzy z ryżem ich zawartość rozdano; zniszczono także niektóre mosty. W tej tak zwanej insurekcji Nam Ky, która trwała zaledwie dziesięć dni, do powstańców działających pod czerwonymi sztandarami z wizerunkiem sierpa i młota dołączyła tylko niewielka liczba lokalnej ludności, a jednak była to zapowiedź fali gniewu i wściekłości podnoszącej się z wolna w całym kraju.

Począwszy od roku 1940, rząd w Tokio, zamierzając wykorzystać swoją dominację w regionie, przystąpił do rozmieszczania oddziałów wojskowych w Indochinach, początkowo po to, by odciąć szlaki dostaw z Zachodu do Chin, z czasem jednak prąc coraz wyraźniej do ustanowienia własnej okupacji, co wreszcie skłoniło prezydenta Franklina D. Roosevelta do nałożenia na Japonię brzemiennego w skutki embarga w lipcu 1941 roku. I choć nominalnie rządy wciąż sprawowali w Wietnamie Francuzi, to rzeczywistą władzę dzierżyli już odtąd właśnie Japończycy. W związku z potrzebą zapewnienia surowców dla własnego przemysłu ci ostatni zaczęli szybko naciskać na Wietnamczyków, by kosztem ograniczenia upraw ryżu przestawili się na produkcję bawełny i juty. Razem ze zwiększającym się przymusowym eksportem towarów żywnościowych doprowadziło to do zjawiska masowego głodu, który dotknął mieszkańców najżyźniejszych i wręcz obfitujących dotąd w ryż terenów w Azji Południowo-Wschodniej.

W latach 1944–1945 doszło do prawdziwej katastrofy. Po okresie suszy spadły ulewne deszcze, co sprowadziło na miejscową ludność tragedię o niespotykanych wcześniej rozmiarach. Co najmniej milion Wietnamczyków, jeden na dziesięciu mieszkańców Tonkinu, straciło życie w wyniku klęski głodu równie straszliwej jak ta, która dotknęła w tym samym czasie Bengal Wschodni w Indiach Brytyjskich. Istnieją wiarygodne świadectwa przypadków kanibalizmu, za to nie słychać, by głodował choćby jeden Francuz. Ten straszny głód wrył się w pamięć wielu Wietnamczyków z północy kraju jako zdecydowanie najgorsze doświadczenie w ich życiu, nie wyłączając mających wkrótce nadejść

wojen. Jeden ze współczesnych wieśniaków zapamiętał z dzieciństwa spędzonego na wsi pod Hanoi, że jego matka łajała go i inne dzieci za marnowanie żywności w następujący sposób: „Nigdy by wam to nie przyszło do głowy, gdybyście tylko pamiętały rok 1944”[18].

Inny wieśniak opisuje z kolei opuszczone osady i zrozpaczonych ludzi: „Wychudzone ciała w łachmanach przemierzały wszystkie wiejskie drogi i ulice w miastach. A potem wzdłuż tych dróg, w ogródkach przy pagodach, obok świątyń, na ulicznych targach, w miejskich parkach i na stacjach autobusów albo pociągów zaczęły się pojawiać trupy. Grupki wygłodniałych mężczyzn i kobiet z niemowlętami na rękach albo z większymi dziećmi przy nodze wdzierały się na pola i do ogrodów w poszukiwaniu czegokolwiek nadającego się ich zdaniem do jedzenia: niedojrzałych zielonych bananów, cebulek bananowców, pędów bambusa. Ludzie z mojej wioski musieli bronić przed nimi swojej ziemi przy użyciu siły”[19]. Martwe ciała ładowano na wozy zaprzężone w woły i wywożono do masowych grobów. Pewnego dnia trzyletnia siostra owego Wietnamczyka siedziała przed domem i pogryzała ryżowe ciasteczko. Nagle nie wiadomo skąd pojawił się wychudzony młody człowiek, „który wyglądał jak duch odziany w łachmany”, przyskoczył do niej, wyrwał jej z ręki niedojedzony jeszcze kawałek i rzucił się do ucieczki.

W niektórych miejscach powstawały dobroczynne kuchnie przyrządzające kleik ryżowy dla głodujących mieszkańców. Nieodmiennie tworzyły się przed nimi długie kolejki. Van Ky, nastolatek z Tonkinu, który później miał zostać słynnym w całym Wietnamie autorem ballad, wspominał ten czas następująco: „Kiedy otwierało się rankiem drzwi na dwór, nieraz widziało się leżącego przed nimi trupa. A czasem nie widać było trupa, tylko całe stado wron, a on tam leżał, pod nimi”[20]. Nic dziwnego, że tego rodzaju doświadczenia wiodły wielu ludzi, w tym i samego Ky, na drogę rewolucji. Urodził się w roku 1928 w rodzinie chłopskiej, ale dorastał w domu swojego dobrze wykształconego i oczytanego wuja, od którego nauczył się bajek La Fontaine’a i nawet próbował wystawiać na ich podstawie własne sztuki. Sam też dużo czytał, w tym książki takie jak *Nędznicy* Victora Hugo. W wieku piętnastu lat Ky współpracował już z komunistami, roznosząc

dla nich ulotki. Następnie został szefem miejscowej tajnej milicji, w której służył aż do czasu, kiedy stało się jasne, że jego talenty artystyczne znacznie lepiej przysłużą się sprawie rewolucji aniżeli skromne przygotowanie wojskowe. Komunistyczni propagandziści potrafili w umiejętny sposób wykorzystywać muzykę, dopisując własne słowa – z odpowiednim przekazem ideologicznym – do tradycyjnych melodii ludowych, a następnie rozsyłając w świat wędrowne trupy artystów. I tak Ky napisał balladę zatytułowaną *Hy Vong – Nadzieja*, która szybko stała się jedną z ulubionych piosenek w ruchu oporu. Jego losy doskonale pokazują pewien istotny rys walki o niepodległość, ten mianowicie, że nawet wychowanie w poszanowaniu francuskiej kultury nie stanowiło bariery w dążeniu do usunięcia samych Francuzów z Wietnamu.

2. MARSZ WIETMINHU

Ostatnia faza II wojny światowej miała doniosłe konsekwencje dla całego regionu. W marcu 1945 roku Japończycy zaaranżowali przewrót i obalili marionetkowy reżim francuski, przejmując pełnię władzy w Wietnamie. Kolonializm jako system można było utrzymywać tylko do momentu, w którym miejscowa ludność przestała postrzegać swoje podporządkowanie jako coś nieuniknionego, a to właśnie nastąpiło w Azji Południowo-Wschodniej i miało zmienić percepcję rdzennych mieszkańców już na zawsze. Wietnamczycy wprawdzie oburzali się na brutalne postępowanie swoich nowych władców, ale jednocześnie ze zdumieniem przyglądali się spektaklowi, w którym rolę tych silniejszych odgrywali teraz inni Azjaci: niektórzy nazywali wręcz Japończyków *oai*, to jest „budzącymi podziw”[21]. W lipcu Office of Strategic Services (OSS, Biuro Służb Strategicznych) – amerykańska agencja wywiadowcza sponsorująca wojnę partyzancką – wysłało do Indochin paramilitarną grupę agentów pod dowództwem majora Archimedesa Pattiego, który sprzymierzył się z Ho Chi Minhem.

Niedoświadczeni młodzianie wchodzący w skład tej grupy – tacy zresztą jak duża część Amerykanów i Brytyjczyków udających się do

okupowanych krajów w różnych miejscach świata – z wdzięcznością przyjmowali każdą pomoc i oznaki przyjaźni w obcym i wrogim środowisku, nic więc dziwnego, że szybko dali się uwieść romantycznej aurze otaczającej gospodarzy i ich walkę. Kiedyś pewien dwudziestodwuletni partyzant zażartował sobie z jednego z ludzi OSS, przestrzegając go, by nie pokazywał się poza obozem w Tan Trao, „bo jeśli złapią cię Japończycy, ugotują cię i zjedzą jak świnię!". Ale gdy młodzian pochwalił się tym żartem przed Giapem, usłyszał od niego następującą reprymendę: „Jesteśmy rewolucjonistami, a członkowie tej grupy są naszymi sprzymierzeńcami, więc należy zwracać się do nich w sposób kulturalny i cywilizowany"[22].

Ówczesna polityka Waszyngtonu wobec Indochin była niezborna i pełna gaf. Mocarstwa sojusznicze z oczywistych powodów znacznie bardziej absorbowało dokończenie zwycięskiej walki przeciwko Niemcom i Japonii. Tymczasem na obrzeżach obu tych głównych kampanii, od Jugosławii po Birmę i od Grecji po Wietnam, lokalni nacjonaliści skupiali całą uwagę i wszystkie ambicje na zapewnieniu sobie politycznej kontroli w swoich krajach, nagle opuszczonych przez siły Osi. Dotychczasowi kolonialni poddani nie dopuszczali do siebie myśli, by po uwolnieniu się od reżimu faszystowskiego raz jeszcze wrócić pod jarzmo swoich wcześniejszych panów, czy to francuskich, czy brytyjskich, czy holenderskich. Ludzie z grupy OSS sprzymierzonej z Ho do tego stopnia ulegli fascynacji jego osobowością, że niejako milcząco przyjęli założenie, iż broń, której mu dostarczali, zostanie użyta do przepędzenia Japończyków. Tymczasem Wietminh zaaranżował wprawdzie kilka niewielkich akcji pokazowych przeciwko okupantom, ale przede wszystkim skupiał się na rozbudowywaniu swoich struktur organizacyjnych i na zachowywaniu otrzymywanej broni do późniejszej walki z Francuzami. Swoim naczelnym dowódcą Ho ustanowił Giapa. Ten były nauczyciel i zapalony student historii nie miał żadnego przygotowania wojskowego, kiedy 22 grudnia 1944 roku utworzył tak zwaną Jednostkę Propagandową Wietnamskiej Armii Wyzwolenia, liczącą zaledwie trzydziestu czterech członków, w tym trzy kobiety. A 15 maja 1945 roku oddział ten został wcielony do zalążka formującej się tak zwanej Armii Wyzwoleńczej.

Współcześni historycy z Hanoi ze złośliwą satysfakcją mówią o pomysłowości, z jaką komunistyczne kadry wykorzystywały do realizowania własnych zamierzeń zapewniane im przez kraje Zachodu uzbrojenie i przeszkolenie. W roku 1943, podczas alianckiej okupacji francuskiego Madagaskaru, brytyjska tajna organizacja wojskowa Special Operations Executive (SOE) zwerbowała siedmiu wietnamskich więźniów, na których oficerowie SOE natrafili w celach rządu Vichy. Cała siódemka gorąco zapewniała swoich oswobodzicieli o gotowości do powrotu do kraju i podjęcia walki z okupantami, nie nadmieniając wszakże, że do tej grupy zaliczają także Francuzów. Późniejszy raport Wietminhu stwierdzał: „Tych siedmiu agentów wywiadu stwarzało pozory pracy dla aliantów, ale sercem i umysłem należeli oni do komunizmu”[23]. Po standardowym przeszkoleniu wysłano ich na spadochronach z powrotem do Wietnamu. Tam zgłosili się oni do Partii pełni obaw o to, jak zostaną potraktowani po przyjęciu służby dla SOE. Powitano ich jednak nader ciepło, po czym z miejsca nakazano zasygnalizować Kalkucie zapotrzebowanie na więcej broni, środków łączności i medykamentów.

Tempo, w jakim doszło do zakończenia działań wojennych w sierpniu 1945 roku, umożliwiło Ho przejęcie inicjatywy i wypełnienie politycznej pustki powstałej zwłaszcza na północy kraju. Jego emisariusze przekonali Bao Daia, marionetkowego cesarza Wietnamu, młodego człowieka o dość kapryśnym i leniwym podejściu do życia, by napisał do rządu w Paryżu i przekonał go, że jedynym sposobem zagwarantowania dotychczasowej pozycji Francji jest „szczere i otwarte uznanie niepodległości Wietnamu”[24]. Generał Charles de Gaulle, tymczasowo sprawujący rządy w Paryżu, nie raczył odpowiedzieć na to przesłanie, ale nie mógł już zignorować faktu, że tuż przed swoją abdykacją 25 sierpnia Bao Dai poprosił Ho o sformowanie rządu. Przywódca Wietminhu poprowadził swoich zwolenników do Hanoi, stolicy Tonkinu, by 2 września 1945 roku na tamtejszym placu Ba Dinh proklamować w obecności nieprzebranych i wiwatujących tłumów powstanie niepodległego państwa wietnamskiego. Ogłosił wówczas: „Francuzi uciekli, Japończycy skapitulowali, cesarz Bao Dai abdykował, nasz naród zerwał kajdany, które skuwały nas przez ponad stulecie”[25].

Wiadomość o tym wydarzeniu została nadana na cały kraj. Pewien uczeń mieszkający na południe od Hue tak wspominał później te chwile: „Nasi nauczyciele byli tacy szczęśliwi. Powiedzieli nam, że mamy wyjść na dwór i świętować niepodległość. Mówili, że kiedy już się zestarzejemy (...), wciąż będziemy pamiętać ten dzień i tę wielką radość”[26]. W swoim przemówieniu Ho cytował amerykańską Deklarację Niepodległości, nie zapomniał też o odpowiedniej oprawie propagandowej, aranżując między innymi sfotografowanie grupy OSS salutującej podczas wciągania na maszt flagi Wietminhu. Zupełnie przypadkiem dokładnie w tym samym momencie na niebie pojawiła się eskadra myśliwców USAAF P-38, tak iż w oczach tysięcy zebranych cała Ameryka wydawała się błogosławić z góry temu nowemu rządowi.

W rzeczywistości to tylko garstka młodych idealistów z Departamentu Stanu oraz grupa ludzi z OSS dały się ponieść emocjom przy braku jakichkolwiek wytycznych z Waszyngtonu, a może nawet postanowiły wykorzystać ów brak do swoich celów. Patti, człowiek z gruntu próżny, której to cechy Ho nie omieszkał wykorzystać przeciwko niemu, bawiąc się z nim niczym kot z myszką, opisywał przywódcę Wietminhu jako człowieka o „łagodnej duszy”, inny zaś Amerykanin wyraził się o nim następująco: „Dało się odczuć, że on był przede wszystkim nacjonalistą, a dopiero potem komunistą”. Sam major już znacznie później nieco się zreflektował, przyznając: „Być może byłem trochę naiwny w odniesieniu do intencji i celów przyświecających użyciu tych słów [cytatów z Deklaracji z roku 1776] (...). Miałem jednak silnie przekonanie, że prawa czy też roszczenia Wietnamczyków, by móc rządzić się samodzielnie, są słuszne. W końcu czyż nie o to w tym wszystkim [czyli w II wojnie światowej] chodziło?”[27].

Charyzmatyczne przywództwo jest kluczowym czynnikiem w większości rewolucyjnych przewrotów – wystarczy wspomnieć Indie i Gandhiego oraz Nehru, Kenię i Kenyattę czy wreszcie Kubę i Castro. Ho Chi Minh wyrobił sobie tak niekwestionowaną pozycję i uzyskał tak silną legitymizację, że nikt nie zdołał ich podważyć nawet wówczas, kiedy zaczęły wychodzić na jaw niedociągnięcia, a niekiedy zbrodnie jego reżimu. A stało się tak dlatego, że w 1945 roku to właśnie on

i w zasadzie tylko on stanowił twarz wietnamskiego ruchu niepodległościowego. Szesnastoletni wówczas Nguyen Cao Ky napisał później, że w tamtych dniach w Hanoi „jedynym imieniem na moich ustach, jak zresztą na ustach prawie wszystkich z mojego pokolenia, było Ho Chi Minh”[28]. W oknach wielu domostw pojawiły się jego portrety; by zacytować innego młodego Wietnamczyka: „Odczuwaliśmy [wtedy] głód bohatera, którego moglibyśmy czcić”[29]. Francuzi nawet nie próbowali podsycać procesu wykształcania się rdzennej klasy politycznej sympatyzującej z aspiracjami swojego własnego narodu: bogaci i wykształceni Wietnamczycy funkcjonowali w świecie całkowicie odseparowanym od świata prostych chłopów. A Ho i jego stronnicy, dobrze wiedząc, że znajdą tylko niewielkie poparcie dla swoich komunistycznych ideałów, jeśli będą głosić je otwarcie, odwołali się zamiast tego do przepełniającego szerokie masy Wietnamczyków upojenia przepędzeniem z kraju Francuzów. W kolejnych latach Ho uzyskał status nieledwie mistyczny, którego nigdy nie udało się osiągnąć żadnemu z jego rodaków.

W trakcie pierwszych lat walki o niepodległość w „wyzwalanych strefach” ziemię odbieraną właścicielom ziemskim dawano w posiadanie chłopom. Ho i jego współtowarzysze nie uznawali wówczas za stosowne wspomnieć, że postrzegają ową redystrybucję jako zwykły okres przejściowy przed wprowadzeniem pełnej kolektywizacji. Jednocześnie aparat polityczny odmalowywał wyidealizowany obraz Rosji jako prawdziwego raju na ziemi i zapowiadał, że Wietnam powinien dążyć do naśladowania tego niedoścignionego wzoru. Sam Ho roztaczał wokół siebie aurę dostojeństwa i mądrości, co robiło ogromne wrażenie na wszystkich jego rozmówcach, ale oprócz tego doskonalił się jako genialny polityczny manipulator. Pod płaszczykiem dobrotliwości skrywał cechę nieodzowną każdemu prawdziwemu rewolucjoniście: absolutną bezwzględność, jeśli chodzi o koszty ludzkie związane z realizacją planów, które on sam uznawał za słuszne dla swojego narodu. Jak się wydaje, dobrym sposobem oceny jakiegokolwiek ruchu politycznego jest spojrzenie nań nie z pozycji kapitalistycznych, komunistycznych czy faszystowskich, ale z perspektywy czysto ludzkiej. W przypadku

Wietminhu kwestię tę rozstrzyga Giap, któremu przypisuje się następujące stwierdzenie: „W każdej minucie na tej ziemi giną setki tysięcy ludzi. Tak więc życie albo śmierć setki, tysiąca czy nawet dziesiątek tysięcy istot ludzkich, choćby i naszych rodaków, ma naprawdę niewielkie znaczenie".

Postępowanie Ho Chi Minha wynikało z dokładnie takiego samego przekonania, tyle że był on zbyt wytrawnym politykiem, by dać się przyłapać komukolwiek z Zachodu na wypowiadaniu tego rodzaju słów. Zużyto wiele atramentu, debatując, czy był on „prawdziwym" komunistą, czy też może zwykłym nacjonalistą, który tylko z politycznej konieczności obrał dla swojego ruchu ideologię Lenina. Dowody zdają się świadczyć jednoznacznie na rzecz tej pierwszej opcji. Na pewno jednak nigdy nie był on titoistą, jak zdawali się sugerować niektórzy z jego zachodnich apologetów: wielokrotnie potępiał przecież Jugosławię za wystąpienie z bloku sowieckiego w 1948 roku. Przejawiał za to niesłabnący podziw dla Stalina, choć sam rosyjski przywódca nigdy nie odwzajemnił tego uczucia, czy to poprzez dopuszczenie lidera Wietminhu do większej konfidencji, czy udzielenie mu jakiejś znaczącej pomocy materialnej.

Jak się wydaje, istniała niewielka możliwość, że Wietnam nie wpadnie w szpony komunizmu, gdyby Francja ogłosiła w roku 1945 zamiar opuszczenia kraju i wdrożyła intensywny program przejściowy w celu zidentyfikowania wiarygodnych lokalnych przywódców i przygotowania ich do samodzielnego rządzenia, analogicznie do tego, jak uczynili to Brytyjczycy przed opuszczeniem Malajów. Niestety, zamiast tego Francuzi postanowili wybrać plan długiego i powolnego samobójstwa, ogłaszając, że kategorycznie i niewzruszenie sprzeciwiają się niepodległości Wietnamu. Taka nieprzejednana postawa kolonialistów od razu ustawiła Ho Chi Minha na wyższych pozycjach moralnych w walce, która miała się wkrótce rozpocząć.

Ho Chi Minh (trzeci z lewej) i Vo Nguyen Giap (piąty z lewej) z agentami OSS (Office of Strategic Services), 1945 rok

Największą odpowiedzialność za ten polityczny błąd ponosił de Gaulle. W marcu 1945 roku zignorował on opinię Pierre'a Messmera, swojego oficera łącznikowego na Dalekim Wschodzie, który argumentował, że należy podjąć rokowania z Wietminhem. Zamiast tego wyniosły generał planował odbudowę francuskiego panowania w Wietnamie, a zadanie to zlecił nieprzejednanemu kolonialiście, admirałowi Thierry'emu d'Argenlieu, który został wysokim komisarzem w Sajgonie. W niektórych częściach świata, w tym zwłaszcza w Afryce, brak wiarygodnych ruchów narodowowyzwoleńczych umożliwiał europejskim imperiom utrzymywanie swojej władzy i przywilejów jeszcze przez okres kolejnego pokolenia. W Wietnamie, podobnie jak wszędzie w Azji, było jednak zupełnie inaczej. Kiedy tylko lokalni przywódcy stali się na tyle silni, że nie sposób było ich uciszyć, a w dodatku ich przesłanie trafiało na podatny grunt, do szerokich mas społecznych, obca hegemonia okazała się nie do utrzymania. Tak właśnie wyglądała wtedy rzeczywistość, tyle że Francja postanowiła jej nie dostrzegać jeszcze przez kolejne dziesięciolecie.

12 września 1945 roku, niecały miesiąc po tym, jak Wietminh ogłosił przejęcie władzy w Hanoi, w Sajgonie wylądowały brytyjskie i indyjskie oddziały wojskowe. Po kilku nieskładnych i krwawych utarczkach, w których u boku aliantów walczyło też paru Japończyków, uwolniono z więzień rozgoryczonych francuskich kolonialistów i wyparto z miasta aspirujących do przejęcia rządów przedstawicieli Wietminhu. Brytyjski dowódca generał dywizji Douglas Gracey stwierdził wówczas: „Kwestia rządzenia Indochinami jest kwestią wyłącznie francuską". A jeden z jego oficerów w ten sposób opisywał swoje pierwsze spotkanie z Wietminhem: „Przyszli się ze mną spotkać i się przywitać, takie tam rzeczy. To była nieprzyjemna sytuacja, więc z miejsca ich wykopałem. Przecież to byli komuniści"[30]. Graceya krytykuje się czasami za używanie swoich żołnierzy do zwalczania ludzi Ho. Należy jednak pamiętać, że był on dowódcą o stosunkowo niskiej szarży, żadnym tam Cezarem czy choćby nawet Mountbattenem. Wykonywał po prostu te same rozkazy, które przekazywano wówczas wielu jego odpowiednikom na całym świecie: na bagnetach przywrócić porządek sprzed wojny.

Na północy Wietnamu wylądowało z kolei, na życzenie Waszyngtonu, 150 tysięcy żołnierzy chińskich, ludzi Chiang Kai-sheka, którzy mieli tam pełnić funkcję alianckiej armii okupacyjnej. Wietnamczycy nazywali ich *tau phu*, „spuchniętymi Chińczykami", bo wszyscy zdawali się mieć opuchnięte stopy, być może od choroby beri-beri. Przybysze zachowywali się jednak nie jak żołnierze, lecz jak szarańcza, ogołacając cały kraj ze wszystkiego, co tylko nadawało się do jedzenia albo zabrania ze sobą. Niespecjalnie przeszkadzali za to Ho w energicznym poszerzaniu swoich politycznych wpływów, a nawet chętnie odsprzedawali Wietminhowi własną broń. Na początku października 1945 roku w Sajgonie pojawiły się też pierwsze wojska francuskie, ale od tego momentu miał minąć ponad rok – czas bezcenny dla komunistów, a fatalny dla imperialistów – zanim udało im się wreszcie odzyskać kontrolę nad północą.

Liczący sobie szesnaście lat Pham Phu Bang, wówczas uczeń, przejawiał bezbrzeżny entuzjazm dla rewolucji i postrzegał Wietminh wyłącznie jako ruch narodowowyzwoleńczy: „Nic wtedy nie wiedziałem

o komunizmie". Kiedy przez jego ojczyznę przetaczała się ofensywa Japończyków, początkowo z podziwem patrzył, jak inni Azjaci upokarzają francuskie mocarstwo kolonialne – „niczym dwa wielkie bawoły sczepione ze sobą rogami". Po upadku Japonii Bang sam wkroczył na ścieżkę rewolucji, najpierw kradnąc broń nieuważnym chińskim żołnierzom, a potem przygotowując plakaty i transparenty z napisami „Niech żyje Ho Chi Minh" czy „Niech żyje wolny Wietnam". Pewnego dnia podróżował pociągiem transportującym na północ, do głodujących tam wiosek, zapasy ryżu. Pociąg utknął jednak na moście zniszczonym w wyniku alianckich nalotów. Ludzie z Wietminhu eskortujący transport szybko znaleźli miejscowych wieśniaków, którym zlecili przenoszenie worków przez rzekę, ale już wkrótce okazało się to niemożliwe, tak wielu wygłodniałych ludzi zaczęło oblegać unieruchomiony pociąg. Do młodego Banga podeszła jakaś wychudzona postać, która otrzymała już wcześniej puszkę ryżu dla siebie, ale teraz rozpaczliwie błagała o jeszcze jedną dla swojego dziecka. „Dyskutowaliśmy wtedy między sobą, kto ponosi większą odpowiedzialność za te straszne sceny – Japończycy, którzy tu rządzili, Francuzi, którzy zabierali dla siebie samych tyle żywności, ile tylko chcieli, czy może Amerykanie, którzy zbombardowali tory. Wyszło nam, że wszystkie te trzy państwa. A potem pytaliśmy siebie nawzajem: dlaczego nasz mały i słaby kraj ma aż tak wielu wrogów?"[31]

W latach 1945–1946 Wietminh przejął i podporządkował sobie niekomunistyczny ruch Młoda Awangarda, a także zdławił działalność wszelkich innych grup opozycyjnych na północy. Wielu z przywódców tych rywalizujących z Wietminhem grup wtrącono do więzień, a na prowincji przystąpiono do likwidacji tysięcy rzekomych „wrogów ludu". 4 stycznia 1946 roku Wietminh z dumą obwieścił swój triumf w ogólnokrajowych wyborach, bez wątpienia ustawionych, podobnie jak każde inne głosowanie w Indochinach w kolejnych dziesięcioleciach. Przez krótki okres, w którym na północy kręcili się jeszcze żołnierze chińskiej armii i inni przedstawiciele aliantów, tolerowano do pewnego stopnia namiastkę swobody wypowiedzi. Ale od połowy czerwca, po tym jak kraj opuściła większość ludzi Chianga, wznowiono czystki i represje.

Ludzie Ho poruszali się szybko i sprawnie, przejmując kontrolę nad rozległymi obszarami wiejskimi, zwłaszcza na samych krańcach wietnamskiego terytorium, tuż pod granicą chińską. Z kolei już na początku 1946 roku Francuzom udało się odzyskać panowanie w Delcie Mekongu, wobec czego struktury partyzanckie musiały się tam rozbudowywać potajemnie, równolegle z kolonialną administracją. Pośród Wietnamczyków, którzy powrócili do aktywnego życia politycznego po okresie uwięzienia, był Le Duan, mający już za dwie dekady władać całym krajem. A ponieważ Francuzi z powodzeniem wyparli Wietminh z regionów miejskich, zaszył się on – podobnie jak wielu innych – na głębokiej prowincji, w Delcie Mekongu, skąd jego partyzanci rozpoczęli walkę z kolonialnym mocarstwem. A mocarstwo na to wkrótce odpowiedziało.

Przyjęcie przez Francję takiego z góry skazanego na niepowodzenie kursu wynikało w dużej mierze z upokorzenia doznanego przez to państwo podczas II wojny światowej. Podobnej w skutkach katastrofy udało się uniknąć w Indiach, prawdopodobnie dlatego, że brytyjscy wyborcy podczas głosowania w roku 1945 wykazali się dużą mądrością i przekazali władzę w ręce socjalistów, którzy podjęli historyczną decyzję o wycofaniu się z subkontynentu i z Birmy. Dla odmiany w Paryżu latem 1945 roku czarnoskóry delegat z Guyany, Gaston Monnerville, stwierdził: „Bez imperium dzisiejsza Francja byłaby zaledwie jednym z wyzwolonych krajów (...). A dzięki swojemu imperium Francja jest krajem zwycięskim”[32]. Kolejne, zmieniające się jak w kalejdoskopie rządy IV Republiki, nad wyraz słabe pod każdym innym względem, twardo obstawały przy wysyłaniu wojsk na francuskie terytoria zamorskie i wydawaniu owym wojskom rozkazów działania tak bezwzględnego, że rzadko dorównywali im w tej mierze nawet sami Sowieci. Po rewolcie muzułmanów w Algierii w roku 1945, w trakcie której zginęła setka Europejczyków, oddziały francuskie wyrżnęły około 25 tysięcy miejscowej ludności. Z kolei po rebelii na Madagaskarze w marcu 1947 roku, gdzie 37 tysięcy colonów panowało nad ponad 4,2 miliona czarnych poddanych, armia zabiła 90 tysięcy ludzi. Jedynym powodem, dla którego takie szafowanie ludzkim życiem ze strony jednego z europejskich mocarstw nie spotkało się z jakimś większym

zainteresowaniem reszty świata, był fakt, że świat ten dopiero co doświadczył o wiele większego barbarzyństwa i na jakiś czas wyczerpał najwyraźniej pokłady moralnego oburzenia. Tak czy inaczej wydarzenia w Algierii i na Madagaskarze niedwuznacznie zapowiadały analogiczny rozlew krwi, do jakiego miało dojść już niedługo w Indochinach.

Znacznie bardziej zdumiewająca od nierozważnej i nieludzkiej postawy Francji była gotowość Stanów Zjednoczonych do jej wspierania. Bez militarnej pomocy USA kolonialna polityka Paryża załamałaby się z dnia na dzień. Fredrik Logevall zauważa, że nie byłoby jakoś zasadniczo sprzeczne z amerykańską decyzją, by pomagać Francji w odbudowie wewnętrznej, gdyby Stany Zjednoczone nie wspierały jej szaleńczych planów imperialnych[33]. Waszyngton postanowił jednak inaczej, po części zapewne dlatego, że nawet zanim zimna wojna osiągnęła stadium prawdziwego zlodowacenia, tamtejsi decydenci polityczni z wielką niechęcią patrzyli na jakiekolwiek zdobycze terytorialne uzyskiwane przez komunistów. W tym kontekście, choć amerykańskie elity liberalne całkowicie odrzucały kolonializm, i to w czasach, w których znaczna część ich własnego kraju wciąż podlegała segregacji rasowej, perspektywa rządów białych ludzi nad „pomniejszymi rasami" (*lesser races*) nie wydawała się aż tak odstręczająca, jak miała być postrzegana już niedługo. W drugiej połowie lat czterdziestych XX wieku francuska linia polityczna była jeszcze mniej ściśle związana z amerykańskim antykomunizmem niż później, a interesy narodu wietnamskiego – podobnie zresztą jak ludności Madagaskaru, Algierii i pozostałych kolonii – sytuowały się dosyć nisko na liście priorytetów prezydenta Harry'ego Trumana.

Niektórzy Wietnamczycy początkowo postrzegali powrót Francuzów jako akceptowalny i tymczasowy środek doraźny mający doprowadzić do pozbycia się Chińczyków, plądrujących północne regiony kraju. Tym bardziej że Ho Chi Minh został symbolicznie uznany za władcę Tonkinu, potwierdzono też nominalne panowanie nad całym krajem Bao Daia. W lipcu 1946 roku, kiedy Ho udał się do Paryża na rozmowy o konstytucyjnej przyszłości Wietnamu, podjęto go tam z wszelkimi honorami należnymi głowie państwa. Było to jednak zwykłe pudrowanie rzeczywistości. Podczas rzeczonych rozmów

w Fontainebleau rząd w Paryżu dał Ho jasno do zrozumienia, że wezwano go wyłącznie po to, by przyjął do wiadomości i wykonał instrukcje swoich panów, nie zaś w celu jakichkolwiek negocjacji o przyszłym przekazaniu władzy. Sam zaś de Gaulle stwierdził wówczas: „Zjednoczona ze swoimi terytoriami zamorskimi Francja, otwarta na cywilizację, stanowi wielki naród. Bez tych terytoriów groziłoby jej ryzyko, że narodem takim być przestanie".

Szef francuskiej delegacji powiedział z kolei z pogardą przedstawicielowi Wietminhu: „Wystarczy nam zwykła operacja policyjna i w osiem dni jest już po was". Przez następnych kilka tygodni Ho owładnęła frustracja. Truong Nhu Tang, który niemal trzy dekady później miał zostać jednym z rewolucyjnych ministrów na Południu, był w grupie wietnamskich studentów, którym dane było spotkać bohatera ich młodości w Paryżu. Aspirujący do roli ojca narodu przywódca uwiódł ich już od pierwszych chwil, każąc nazywać się „wujkiem Ho", a nie „panem prezydentem". Spytał ich też o opinie w sprawie przyszłości Wietnamu, poświęcając na dyskusję z nimi całe popołudnie. „Trudno pomyśleć, by jakikolwiek inny światowy przywódca w podobnych okolicznościach mógł postąpić tak samo". Kiedy Ho zorientował się, że w grupie studentów dobrze reprezentowana jest i północ, i południe, i centrum kraju, powiedział: *„Voilà!* Oto młodość naszej jednej wielkiej rodziny (...). Musicie to dobrze zapamiętać: rzeki mogą wyschnąć, a góry się zapaść, ale nasz naród zawsze będzie jednością". Tego rodzaju bon moty wywarły głębokie wrażenie na jego młodych rodakach, ponieważ „odwoływał się do języka sloganu i poezji, którego wietnamscy przywódcy używali zawsze wtedy, gdy chcieli skupić wokół siebie naród (...). Od tego popołudnia stałem się zagorzałym zwolennikiem Ho Chi Minha. Zjednał mnie swoją prostotą, urokiem osobistym, umiejętnością skracania dystansu. Jego (...) płomienny patriotyzm miał być dla mnie wzorem na resztę mojego życia"[34].

Ho powrócił do Tonkinu, wiedząc już, że niemożliwe będzie osiągnięcie jakiegokolwiek pokojowego porozumienia. Francuzi wykazywali się bezgraniczną wręcz obłudą: kiedy tylko uzyskali dostęp do większej liczby wojsk, samolotów i okrętów wojennych, natychmiast

wysłali je na południe Wietnamu, a po zapewnieniu tam sobie całkowitej kontroli zaczęli wypuszczać się także na północ. Tamtego lata 1946 roku operacjami wojskowymi w regionie dowodził ich najlepszy wojskowy, generał Philippe Leclerc, który obwołał Ho wrogiem Francji i nierozważnie zadeklarował, że cały ten konflikt uważa w zasadzie za z góry wygrany. Generał pogardliwie odnosił się też do Giapa, byłego szefa wywiadu Ho, który pełnił już wówczas – jak się powszechnie uważało – funkcję „ministra obrony" Wietminhu. Dzięki szerokiemu, zaraźliwemu uśmiechowi Giap potrafił zwieść wielu ludzi Zachodu, którzy uważali go za człowieka sympatyczniejszego i bardziej elastycznego od jego szefa. W rzeczywistości Giap był równie próżny, co bezwzględny, a zniewagi, którymi z wielką łatwością obrzucali go Francuzi, jedynie wzmagały w nim nienawiść do kolonialistów.

Leclerc dopiero poniewczasie zmienił zdanie w kwestii Indochin, przeświadczony, że nie dało się ich utrzymać w obliczu wrogości miejscowych nacjonalistów, podzielanej zarówno przez komunistów, jak i przez ruchy niekomunistyczne. Niestety, wkrótce po tym, jak doszedł do tego wniosku, zginął w katastrofie lotniczej w Afryce, a kształtowanie dalszej polityki w kwestii Indochin przejął po nim Thierry d'Argenlieu. Ten sprawujący funkcję wysokiego komisarza człowiek charakteryzował się prawdziwie jezuickim nieprzejednaniem, wobec czego zdołał przekonać rząd w Paryżu, iż Wietminh można i należy pokonać: „Od tej chwili nie jest już dla nas możliwe układanie się z Ho Chi Minhem (...) Winniśmy zamiast tego poszukać innych ludzi, z którymi będziemy mogli negocjować". Zgodnie z tą strategią Francuzi zaczęli przymierzać się do promowania osoby byłego cesarza, młodego Bao Daia. Tyle że w Wietnamie, podobnie jak w wielu innych uciskanych krajach na całym świecie, sympatie ludności sytuowały się w dużej mierze po lewej stronie sceny politycznej. A tutaj żaden inny Wietnamczyk nawet nie mógł zbliżyć się do popularności czy wręcz uwielbienia, jakimi cieszył się wśród mas Ho.

W listopadzie 1946 roku, po fiasku negocjacji, Francuzi przystąpili do ciężkiego ostrzału z morza i z powietrza domniemanych bastionów Wietminhu w porcie Hajfong oraz w jego najbliższych okolicach.

Wskutek tej kampanii życie straciło kilka tysięcy ludzi, a w samym mieście ocalała jedynie dzielnica europejska. 19 grudnia d'Argenlieu wystosował ultimatum, w którym wzywał Wietminh do zaprzestania walki, na co ten odpowiedział zorganizowaniem zbrojnego powstania w Hanoi, które utrzymało się przez sześćdziesiąt dni. Kiedy wreszcie powstańców wyparto z miasta, narażając je przy tym na olbrzymie zniszczenia, Francuzi łudzili się przez chwilę, że oto odzyskali kontrolę nad Tonkinem.

Więcej sceptycyzmu wykazywali za to zagraniczni obserwatorzy. Pewien korespondent londyńskiego „The Times" napisał jeszcze w grudniu: „Każde mocarstwo kolonialne, które stawia się w sytuacji odpowiadania na terroryzm własnym terroryzmem, może równie dobrze zacząć zwijać cały interes. Zapewne zobaczymy teraz, jak francuska armia odbija znaczną część Indochin tylko po to, by przekonać się, że odtąd już żaden francuski kupiec czy plantator nie będzie w stanie żyć poza terenem odgrodzonym drutem kolczastym". Ho i Giap, przygotowując się do długiej walki, potrzebowali teraz baz położonych poza zasięgiem francuskiego lotnictwa i artylerii. I tak oto zasadnicza część ich armii, licząca około 30 tysięcy żołnierzy, porzuciła miasta i miasteczka, by wymaszerować w kierunku Viet Bac, odległego regionu na północnym zachodzie kraju.

Przywódcy Wietminhu, wybierając takie życie w jaskiniach albo w wiejskich chatach, nigdy nie łudzili się, że zdołają odnieść całkowite zwycięstwo militarne. Zamiast tego zamierzali po prostu uczynić dalsze rządy Francuzów maksymalnie kosztownymi, wręcz nieopłacalnymi. W tym celu werbowali grupy lokalnych mieszkańców do prowadzenia walki partyzanckiej, regularne siły wojskowe zaś angażowali w starannie zaplanowane operacje, przeprowadzane w sprzyjających warunkach. Choć polegali głównie na broni, którą udawało im się przejąć, z czasem zaczęli też wytwarzać swoją własną z pomocą jakichś 3 tysięcy japońskich dezerterów. Wykazywali się przy tym dużą pomysłowością: zbierali puste łuski pozostałe po wystrzałach Francuzów, by napełniać je później prochem, albo robili miny z pocisków artyleryjskich i granatów moździerzowych. Z początku udało im się objąć swoją kontrolą, czy to otwartą, czy zawoalowaną,

około 10 milionów ludzi, z których większość płaciła im podatki i świadczyła innego rodzaju usługi, takie jak praca fizyczna czy służba wojskowa. Ponadto, choć Wietminh oficjalnie potępiał handel opium jako przejaw kolonialnej eksploatacji ludności, Ho nie wahał się również i w ten sposób zasilać kasę swojego ruchu.

Rodziny stanowią niemalże uświęcone komórki wietnamskiego społeczeństwa, ale w tamtych dniach w wielu z nich zaczęły narastać wewnętrzne konflikty. Ojciec dziesięcioletniego Tran Hoia był drobnym przedsiębiorcą w Hanoi, który pogodził się z panowaniem Francuzów. Kiedyś powiedział on synowi: „Jeśli mamy wybierać między kolonialną dominacja a komunizmem, to ja już wolę kolonializm, bo przynajmniej daje nam on dostęp do cywilizacji zachodniej”[35]. Cała rodzina mocno się pokłóciła, kiedy wujek Hoia, lekarz, ogłosił swoją decyzję o przyłączeniu się do Ho Chi Minha. Powstające w tych dniach rodzinne podziały, wcale wówczas nierzadkie, miały się odtąd tylko pogłębiać przez kolejne dekady walk, które dopiero się zaczynały.

2
„Brudna wojna”

1. NARWAŃCY

W pierwszych miesiącach roku 1947 spora część świata zachodniego nuciła w ślad za Charles'em Trenetem *„La mer, qu'on voit danser le long des golfes claires…”*. Choć słowa tej wpadającej w ucho piosenki brzmią w tłumaczeniu dość banalnie – „Morze, na które patrzymy, tańczy wzdłuż jasnych zatoczek” – to jej popularność z pewnością przywodziła na myśl czasy największej świetności języka francuskiego. Równocześnie Christian Dior umiejętnie przemawiał do wyobraźni modnych kobiet, lansując swój *new look*, to jest nowy styl, nie tylko podkreślający wąską talię i górną część sylwetki poprzez nagromadzenie materiału bezpośrednio poniżej, ale przede wszystkim zrywający z dotychczasową wstrzemięźliwością i skromnością ubioru. Francuska kultura, styl i piękno, zarówno w wydaniu naturalnym, jak i stworzonym przez człowieka, raz jeszcze zachwycały cały świat. Nieprzypadkowo osiadła w Paryżu angielska pisarka Nancy Mitford bezlitośnie wyszydzała swoich rodaków za nieumiejętność dorównania Francuzom pod jakimkolwiek względem, czy to w kuchni, czy w dowcipie, czy w ogładzie i wyrafinowaniu.

A jednak ci sami pomysłowi i wyrafinowani, z lekka zarozumiali, a przy tym chorobliwie wątpiący w siebie ludzie postanowili zaangażować się w brutalną wojnę kolonialną toczoną kilkanaście tysięcy kilometrów od ojczyzny, która w ostatecznym rozrachunku miała przynieść po ich stronie ponad 90 tysięcy ofiar, a po stronie wietnamskiej znacznie, znacznie więcej. Większość mieszkańców metropolitalnej Francji postrzegała walkę o utrzymanie jej zamorskiego

imperium – określaną tu mianem *la sale guerre*, to jest „brudnej wojny" – z obojętnością, jeśli nie z otwartym cynizmem. De Gaulle, teraz już na politycznym wygnaniu, wyrażał cokolwiek spóźnione wątpliwości – które już wkrótce miały się zmienić w całkowitą pewność – wskazując, że Francja tak naprawdę nie ma żadnych żywotnych interesów w Indochinach, przede wszystkim zaś, że nie będzie w stanie ich zrealizować. A jednak wystarczyła hałaśliwa mniejszość, która z pasją broniła przegranej sprawy i potrafiła umiejętnie promować to niezwykle kosztowne przedsięwzięcie militarne.

Jak trafnie zauważył George Orwell, najszybszym sposobem doprowadzenia do zakończenia wojny jest jej przegranie. Niestety, Francja miała to nieszczęście, że przegranie tej konkretnej wojny zajęło jej aż dziesięć lat. Walka o Indochiny przybierała różne kształty, w zależności od regionu w tym kraju. Na północy znaczne siły wojskowe dokonywały przegrupowań i ścierały się z formacjami komunistycznymi, liczącymi już nawet 60 tysięcy ludzi, nie uwzględniając wspierających je chłopskich oddziałów pomocniczych. Pewien dokument Wietminhu stwierdzał, że pora sucha od października do kwietnia „w największym stopniu sprzyja prowadzeniu działań", podczas gdy miesiące deszczowe od maja do października nadają się przede wszystkim do szkolenia, przegrupowywania i planowania, jako że przemieszczanie się jest wtedy w znacznym stopniu utrudnione[1]. Z kolei w miastach i miasteczkach Francuzi musieli mierzyć się przede wszystkim z atakami terrorystycznymi – bombami wrzucanymi do zatłoczonych kawiarni, strzelaniem do urzędników itp. Tego rodzaju incydenty szybko stały się elementem nowej „normalności": kiedy na przyjęciu u burmistrza Hajfongu w pobliżu rozległy się odgłosy wybuchów i strzelaniny, goście najpierw zastygli w bezruchu, ale już po chwili wznowili konsumpcję i rozmowy, bo poinformowano ich, że to tylko jakiś partyzant Wietminhu został zastrzelony po tym, jak rzucił granatem w posterunek policji[2]. Podczas jednego z takich zamachów, przeprowadzonego z pełnym powodzeniem i wyjątkowym okrucieństwem, partyzanci wdarli się na przyjęcie w należącej do Francuzów rezydencji w Cap-Saint-Jacques, w pobliżu ujścia rzeki Sajgon. Za pomocą granatów i starych brytyjskich

pistoletów maszynowych sten zabili tam ośmiu oficerów, dwie kobiety, sześcioro dzieci i czterech wietnamskich służących.

W całym kraju wybudowano sieć blisko tysiąca fortów i *miradors* – wież strażniczych – zabezpieczonych minami i zwojami drutu kolczastego, a także zaporami z kłód, worków z piaskiem czy blachy falistej, nie mówiąc już o fosach nabitych zaostrzonymi palikami bambusowymi. W założeniu fortyfikacje te miały pomagać w obronie wiosek i dróg, ale rzadko kiedy udawało im się powstrzymywać ruchy Wietminhu. Partyzanci wydłubywali z ziemi miny i robili z nich użytek, a kiedy naprawdę im na tym zależało, potrafili nawet zaatakować i zdobyć taką lokalną placówkę wojskową. Z kolei na Rzece Czarnej niewielkie francuskie jednostki pływające toczyły zażarte walki z partyzantami ostrzeliwującymi je z brzegów.

Tymczasem wysoko w górach i głęboko w dżungli francuskie siły specjalne GCMA – Groupement de Commandos Mixtes Aéroportés, werbowały do walki miejscowych wieśniaków, którzy z rozmaitych względów czuli nienawiść do komunistów. A ponieważ w wielu takich regionach brakowało miejsca na pasy startowe, wskutek czego dosyłanie nowych ludzi albo wymiana dotychczasowych były mocno utrudnione, niektórzy żołnierze GCMA po prostu osiadali na stałe wśród miejscowej ludności, bo też nie mieli innego wyjścia; co najmniej kilku z nich nigdy zresztą nie powróciło na łono cywilizacji. Był to zarazem ostatni konflikt, podczas którego na tak wielką skalę stosowano operacje powietrznodesantowe: niektórzy skakali nawet z częstością raz na tydzień. Dla większości francuskich jednostek była to jednak wojna tocząca się przede wszystkim wzdłuż dróg lądowych, w której helikoptery odgrywały jedynie marginalną rolę: nawet pod sam jej koniec to mocarstwo kolonialne dysponowało zaledwie 23 takimi maszynami. Większość zadań spadała na piechotę, która wdawała się w nieskończony ciąg obław i przeczesywań wielkich połaci terenu w ramach akcji o tak lirycznych kryptonimach jak „Citron", „Mandarine", „Mercure", „Artois", „Mouette" czy „Nice I" i „Nice II". Prowadziły one do likwidacji pewnej liczby ludzi Wietminhu, ale za cenę olbrzymich kosztów operacji i dalszego pogarszania już i tak ciężkiej doli wiejskiej ludności.

Giap nie uczęszczał wprawdzie do żadnej szkoły wojskowej, za to żarłocznie pochłaniał kolejne lektury: szybko skupił się na dokonaniach Napoleona, teoriach Clausewitza i partyzanckiej taktyce Mao. Jego siły zanotowały swój pierwszy znaczący sukces 27 stycznia 1947 roku, kiedy to urządziły zasadzkę na konwój wiozący wietnamskich polityków pozostających w służbie Francuzów na inspekcję po regionie północy. Doszło wówczas do zniszczenia 14 pojazdów; ponadto w ataku zginął minister edukacji i jeden z francuskich inżynierów. Przywództwo Wietminhu było pod wrażeniem śmiałości i skuteczności tej akcji, wobec czego odtąd zaczęło ich być coraz więcej. Drogę nr 5 z Hanoi do Hajfongu zaczęto już wkrótce nazywać „drogą krwi". A pewna wioska położona obok biegnącej z północy na południe Drogi nr 1 tak często stawała się miejscem zasadzek, że Francuzi w końcu zrównali ją z ziemią[3].

Obie strony wręcz prześcigały się w bezwzględności i okrucieństwie. Wietminh dokonywał egzekucji przywódców wiosek, którzy nie chcieli podporządkować się jego woli, często poprzez zakopywanie ich żywcem na oczach pozostałych mieszkańców, po wcześniejszych torturach rodem z najgłębszych mroków średniowiecza. Kiedy Wietminh zabił jednego z wietnamskich żołnierzy walczących po stronie Francji, któryś z partyzantów znalazł w pobliskim domu obcęgi i przystąpił do wyrywania nimi złotych zębów nieszczęśnika. Pewien chłopiec będący świadkiem tych wydarzeń napisał później: „Widziałem już wiele trupów, bez głów, bez rąk i nóg, zniekształconych, a nawet oskalpowanych, ale nie widziałem nic bardziej odrażającego od obrazu tego partyzanta trzymającego w dłoni dwa złote zęby i uśmiechającego się szeroko"[4]. Generalnie jednak Wietnamczycy szybko zaadaptowali się do prowadzenia takiego drugiego życia, równolegle z tym oficjalnym, ponieważ ich społeczeństwo miało długą tradycję tajnych stowarzyszeń.

Francuzi z kolei nie bawili się w oszczędzanie siły ognia na polu bitwy, a ponadto dawali swoim żołnierzom niemal nieograniczoną licencję na zabijanie. Pisarz Norman Lewis zdał relację ze swojego pierwszego lotu do Sajgonu. Jego sąsiadem na pokładzie samolotu Air France był pewien pułkownik z Legii Cudzoziemskiej, który spoglądał

na rozpościerającą się w dole Deltę Mekongu wzrokiem, w którym mieszały się uprzedzenie i familiarność. Kiedy mijali jakieś skupisko chat, lecąc na wysokości 700 metrów, Lewis najpierw zauważył smugę dymu unoszącą się znad domów, by już po chwili zorientować się, że to tak naprawdę słup ognia wydzielający kłęby czarnej sadzy. Kiedy w dole zaczęły być widoczne także poruszające się plamki ludzkich sylwetek, jego sąsiad legionista zauważył trzeźwo: *„Une opération”*. Lewis skomentował to następująco: „Kiedy to mówił, zdawał się odczuwać jakąś psychiczną więź z tym, co działo się niżej. Jego zmęczone podróżą ciało nagle nabrało wigoru, a on niczym prawdziwy autorytet zaczął dominować nad resztą pasażerów. Przed naszymi oczami rozgrywały się sceny przemocy, ale my byliśmy od nich tak bardzo oddaleni, jak gdyby były one już historią (...). Nietrudno zrozumieć, jak wielką pomoc w bezproblemowym zabijaniu musiał stanowić bombowiec”[5].

Brutalność Francuzów wynikała po części z nawyku rasowej dominacji, po części zaś ze świadomości, że nawet jeśli wielu z zabijanych wieśniaków nie stanowiło bezpośredniego i aktywnego zagrożenia, to z pewnością wiedzieli oni, gdzie znajdował się prawdziwy wróg, jakimi ścieżkami i przesmykami się poruszał, gdzie zastawiał zasadzki na niczego się niespodziewających żołnierzy. Szacuje się, że kolonialiści i ich sprzymierzeńcy z Cao Dai i Hoa Hao – południowych sekt religijnych dysponujących dobrze wyszkolonymi prywatnymi armiami – zabijali pięciu cywilów na każdego swojego człowieka, który tracił życie w trakcie operacji. O masakrze ponad dwustu wietnamskich kobiet i dzieci, do której doszło w listopadzie 1948 roku w My Trach, najbardziej na południe wysuniętej prowincji późniejszego Wietnamu Północnego, w dzisiejszej Francji właściwie w ogóle się nie pamięta, mimo że istnieje dość dokumentów, by uznać ją w zasadzie za udowodnioną[6]. Z kolei po kilku utarczkach i zasadzkach, w których zginęli między innymi założyciele Hoa Hao, podczas kolejnych spotkań z partyzantami „ludzie Hoa Hao zwykli byli związywać sympatyków Wietminhu ciasno za pomocą liny, a następnie wrzucać ich do rzek niczym tobołki, by powoli tonęli (...), unosili się potem po powierzchni jak wiele innych rzecznych śmieci, wydani na pastwę pływów i prądów”, jak zanotował Bernard Fall[7].

Pewien Amerykanin, Bob Miller z United Press, znalazł się na pokładzie francuskiej barki patrolującej nocą wody jakiegoś kanału. W pewnym momencie szperacz łodzi wychwycił trzy sampany, w oczywisty sposób naruszające zakaz pływania po zmroku. Dwa z nich zignorowały komendę zatrzymania się i zostały dosłownie podziurawione ogniem z karabinów maszynowych. W trzecim siedziało dwoje starszych wieśniaków z synem i wiozło transport ryżu. Worki z miejsca wrzucono do wody, a kiedy chłopak wskoczył w ślad za nimi, jeden z żołnierzy posłał za nim granat, który zabił go na miejscu. Jakiś młody francuski oficer uprzejmie wyjaśnił zszokowanemu Millerowi, że „jedynie dając ludziom do zrozumienia, iż nieprzestrzeganie zakazów będzie karane z całą surowością, [Francuzi] mogą utrzymać swoją przewagę”[8]. Przewagę?

Nawet w stosunkowo spokojnym okresie 1947–1948 jeden tylko batalion Legii Cudzoziemskiej potrafił stracić do dwustu ludzi wskutek min, utarczek i zasadzek Wietminhu.

Sama Legia szybko stała się zresztą częścią heroicznej legendy Indochin. Mimo to inni francuscy żołnierze wyśmiewali jej ludzi jako *genre rouleau compresseur* – „narwanych typów prących przed siebie jak walec”. Wśród wietnamskich cywilów jednostki tej formacji – w których służyli także byli członkowie hitlerowskich oddziałów Waffen-SS i Wehrmachtu – wyrobiły sobie najgorszą możliwą reputację z powodu powszechnie dokonywanych gwałtów i grabieży. Duong Van Mai, pochodząca z tradycyjnej rodziny mandaryńskiej, opisała, jak legioniści wdarli się do jej domu, rozpruwali torby bagnetami i zabierali wszystko, co tylko im się spodobało[9]. A kiedy wraz z rodziną opuściła dom i wyruszyła na tułaczkę po strefie działań wojennych na północy, napotykani francuscy żołnierze zabierali im gotówkę i złoto, uznając to za w pełni uzasadnione „rekwizycje”[10]. Czarnoskóre oddziały kolonialne były jeszcze mniej wybredne, odbierając wieśniakom nawet ostatnie zapasy soli czy *nuoc mam* – sosu rybnego. Ale podobnie jak w Europie podczas II wojny światowej, najgorszą plagą, jaka mogła spaść na mieszkańców danej wioski, była „wizyta” Marokańczyków. Z kolei partyzanci Wietminhu, choć umieli być równie okrutni wobec

miejscowych, potrafili także okazywać względem nich legendarną wręcz uczciwość.

Urodzony w Austrii francuski pisarz i podróżnik Bernard Fall też dotarł do Indochin, a jego książki o wojnie prowadzonej tam przez jego rodaków cytowane są często jako klasyka. Zawierają one liczne anegdoty, których część wydaje się wiarygodna, ale również przenikliwe analizy dotyczące trudności działań przeciwpartyzanckich. Należy jednak pamiętać o tym, że prezentują zarazem mocno heroiczną wizję francuskiej armii, a przy tym pomijają milczeniem wiele popełnianych przez jej żołnierzy okrucieństw, których Fall, jako naoczny świadek, musiał być świadom. Wietnamczycy w służbie Francji okazywali zresztą niewiele więcej wrażliwości: Amerykanin Howard Simpson widział kiedyś, jak młodzi rozbuchani spadochroniarze prujący po ulicach Sajgonu swoim jeepem w pewnym momencie potrącają i przewracają rząd bambusowych koszy wypełnionych owocami czerwonej papryki schnącymi na słońcu. Po przejeździe auta dwie starsze kobiety wyszły na ulicę i przystąpiły do mozolnego zbierania rozsypanej zawartości koszy, której część do niczego się już nie nadawała. Było to w sposób oczywisty niewiele znaczące wydarzenie w ogólnym obrazie wielkiej tragedii, a mimo to Simpson zaczął zadawać sobie pytanie: jak to możliwe, że los tych dwóch starszych kobiet zupełnie nie obszedł sprawców całego zamieszania, było nie było, ich rodaczek?[11]

Na początku 1948 roku podjęto, choć bez większego przekonania, próbę utworzenia antykomunistycznego frontu politycznego pod patronatem Bao Daia, który powrócił z wygnania wkrótce po ukończeniu trzydziestego czwartego roku życia. Jednak były cesarz, człowiek nieudolny i zepsuty, nie miał głowy do polityki; interesowało go bardziej wymuszanie łapówek we współpracy z francuskimi politykami. Pozbawiony jakiegokolwiek autorytetu moralnego czy politycznego pasjonował się przede wszystkim kobietami, polowaniami i jachtami. Francja postanowiła zatem powrócić do militarnego rozwiązywania swoich problemów i zwiększyć wielkość sił zaangażowanych w Indochinach do 62 batalionów piechoty, w tym 13 północnoafrykańskich, 3 spadochronowych i 6 Legii Cudzoziemskiej.

Ponadto kilkaset tysięcy członków lokalnych milicji, o wątpliwej przydatności bojowej, miało strzec poszczególnych miejscowości i dróg.

Aż do ostatnich etapów tej wojny Francuzom nigdy nie brakowało miejscowych ochotników, głównie potrzebujących pieniędzy. Niektórzy wietnamscy żołnierze bardzo się zresztą zasłużyli dla Francji, wykazując się odwagą, skutecznością i lojalnością wobec przełożonych. Wielu innych jednak nie przejawiało specjalnej chęci ani determinacji niezbędnej do walki. Co więcej, francuskim dowódcom nigdy nie udało się rozwiązać chronicznego dylematu: jak skupić na północy siły wystarczająco duże, by móc pokonać regularne formacje Giapa, nie rezygnując jednocześnie z ochraniania tysięcy możliwych celów w innych częściach kraju? Tak naprawdę bowiem ani Francuzi i ich sprzymierzeńcy, ani komuniści nie dysponowali siłami wystarczającymi do opanowania całego kraju, ale, jak to ujął Christopher Goscha, „administrowali zamiast tego rywalizującymi ze sobą państwami archipelagami, których terytoria i obszary kontroli nad ludnością mogły się albo rozrastać, albo kurczyć, w zależności od ruchów wojsk i zmian w równowadze sił”[12]. Niektórzy historycy uznają za dziwny fakt, że Francuzi, którzy przecież całkiem niedawno sami cierpieli pod srogą okupacją własnej ojczyzny, teraz jakby nie dostrzegali, iż dopuszczają się podobnych co Niemcy okrucieństw wobec miejscowej ludności. Tyle że nie wszyscy Francuzi odbierali to w taki sposób: według niektórych twardość nazistów przez długi czas im się opłacała, bo aż do połowy 1944 roku przytłaczającą większość populacji udawało im się przecież skutecznie zastraszać.

W październiku 1949 roku nastąpiła dramatyczna intensyfikacja działań wojennych. Oto w Chinach, ogromnym kraju sąsiadującym z Wietnamem od północy, doszedł do władzy komunistyczny rząd pod przywództwem Mao Zedonga, który postanowił odłożyć na bok zadawnione historyczne urazy między oboma narodami i wesprzeć Wietminh. Tak to, zupełnie niespodziewanie, Ho i Giap zyskali dostęp do bezpiecznych stref oraz do amerykańskiej broni przejętej od pokonanych nacjonalistów Chiang Kai-sheka. Tuż przy granicy, ale już na terytorium kontrolowanym przez Mao, ustanowiono obozy szkoleniowe dla Wietminhu. Do oddziałów Giapa dołączyły setki

chińskich doradców wojskowych. W północno-zachodnim Wietnamie Francuzi zaczęli odtąd doznawać katastrofalnych strat. Starali się utrzymać stan posiadania, dysponując wojskami w dużej mierze uzależnionymi od dróg, podczas gdy wróg prowadził swoją walkę głównie w dżungli i w górach. W jednej tylko zasadzce na Drodze nr 4, meandrującej wzdłuż górskich wąwozów tuż pod chińską granicą, kolumna francuskiego wojska licząca sto pojazdów straciła połowę tej liczby, przy czym większość ich pasażerów została dosłownie wyrżnięta. Francuzów zmuszono do wycofania się z całych połaci terytoriów zajmowanych na północy.

Jedna z najbardziej niezwykłych historii z tego okresu związana jest z Le Duanem, który miał później zostać następcą Ho Chi Minha. Urodzony w roku 1907 w środkowym Wietnamie, był on zdeklarowanym komunistycznym rewolucjonistą już na dekadę przed tym, zanim Ho powrócił do kraju z wygnania; odsiedział między innymi dwa długie wyroki więzienia. Teraz pełnił funkcję sekretarza CBWP, południowej delegatury Wietminhu. Podczas gdy inni przywódcy mieli własne chaty, ochroniarzy i kucharzy, nieugięty w swym ascetyzmie Le Duan wolał spać w sampanie zacumowanym głęboko w Delcie Mekongu, skąd prowadził działania przy pomocy dwóch współpracowników. Wśród licznych kurierów była także pewna śliczna, dobrze wykształcona przez Francuzów dziewczyna nazwiskiem Nguyen Thuy Nga[13]. Zakochała się ona w innym rewolucjoniście, ale ponieważ miał on już żonę i rodzinę, które pozostawił w miejscu zamieszkania, regionalny komitet Partii nakazał im zerwać ich związek.

Pewnego dnia w roku 1950 Le Duan zaprosił Ngę, by zjadła z nim śniadanie. Podobnie jak wszyscy, była ona pod wrażeniem niezwykłej energii i żywotności swojego przełożonego, które dały mu przydomek „dwustuwatowej żarówki". Wysoki, szczupły, wymizerowany, ubrany był w gruncie rzeczy w łachmany. Palił jednego papierosa za drugim i zdawał się nie myśleć o niczym innym poza rewolucją, a przy tym był dwukrotnie starszy od Ngi. Nie minęło jednak wiele czasu, a oświadczył jej, że pragnie, by została jego żoną. Z miejsca zaprotestowała, że przecież podobnie jak jej poprzedni wybranek, miał on już żonę i dzieci na północy. Niewzruszony Le Duan powiedział, że padł ofiarą

zaaranżowanego małżeństwa, a od swojej „żony" nie miał już wieści od dobrych dwudziestu lat. Ślub Le Duana i Ngi odbył się w kwaterze CBWP głęboko w dżungli, a w roli świadka wystąpił bliski towarzysz Le Duana, Le Duc Tho. Życie nowo poślubionej pary nie było usłane różami: panna młoda nie wniosła do małżeństwa żadnego wiana, bo jedynym, co posiadała, była para spodni. Kiedy zmieniali miejsce pobytu, pakowali cały swój dobytek do sampanów, przy czym Nga często musiała wskakiwać do wody wraz z mężczyznami, by pomóc im przepychać łódź przez płycizny. Bezustannie chodzili głodni, bo skromne racje ryżu uzupełniali tylko z rzadka znajdowanymi korzonkami czy innymi płodami lasu.

W latach 1951–1952 Nga pracowała z oddaniem jako polityczna sekretarka Le Duana, a przy tym urodziła mu dziewczynkę o imieniu Vu Anh. Wydaje się, że mąż naprawdę ją kochał; raz nawet zaskoczył ją, okazując bezwstydną wręcz frywolność na widok małżonki zbliżającej się do siedziby CBWP przez łąkę porośniętą wysokimi trawami. Kiedy tylko wyłoniła się z zarośli, podbiegł do niej, złapał za obie ręce i okręcił z radością wokół siebie. Był to bodaj jedyny przebłysk ludzkiej słabości w życiu tego wyrachowanego i całkowicie skupionego na sprawie człowieka, który w nadchodzących wojnach w Wietnamie miał odgrywać rolę ustępująca pod względem znaczenia tylko samemu Ho.

Począwszy od 1951 roku, Wietminh jeszcze silniej akcentował wagę ideologii, który to czynnik we wcześniejszych latach Ho zdarzało się czasem umniejszać. Oprócz szkolenia wojskowego Chińczycy zapewniali sąsiadom również wskazówki polityczne dotyczące sposobów formowania społeczeństwa komunistycznego, wśród których absolutnie kluczowe było dławienie jakichkolwiek odstępstw i różnic zdań: szacuje się, że w ciągu pierwszych dwóch lat swoich rządów Mao Zedong zabił około 2 milionów własnych rodaków. Zgodnie z tymi wytycznymi na obszarach kontrolowanych przez Wietminh zakazano posiadania i używania odbiorników radiowych, tak by wieśniacy nie mieli dostępu do żadnych informacji poza przekazywanymi im przez Partię. Większość członków ruchu wywodzących się z inteligencji i klasy średniej została odsunięta na boczny tor.

Ponieważ większa część obszarów, o które toczyły się najbardziej zacięte walki, leżała na północy, tamtejsza ludność cierpiała najwięcej, i to wskutek krzywd doznawanych z obu stron. Nguyen Cong Luan dorastał w niewielkiej wiosce pod Hanoi, która niechętnie zaakceptowała zwierzchność Francuzów. W konsekwencji jego ojca uprowadził Wietminh, by poddać go torturom, a następnie zesłać do jednego z obozów karnych, gdzie zmarł. Nie przeszkadzało to wojskom kolonialnym często aresztować syna i przetrzymywać go na tyle długo, że chłopiec autentycznie bał się o swoje życie. Prezentowana przez Francję oficjalna definicja jej roli w Indochinach – *mission civilisatrice*, nie wytrzymywała krytyki w zderzeniu z rzeczywistością. Luan napisał później: „Choć uznaliśmy zwierzchność francuskich władz wojskowych, nie uchroniło nas to z ich strony przed plądrowaniem, gwałtami, a nawet zabijaniem. Byle szeregowy, czy to Francuz, czy Afrykańczyk, czy Wietnamczyk, mógł zrobić z każdym wietnamskim cywilem, cokolwiek mu się spodobało, i nie musiał się bać, że stanie przed sądem wojskowym czy choćby że zostanie ukarany przez swoich przełożonych (...). Byle sierżant (...) miał tu władzę średniowiecznego wicekróla (...). Ludzie zwracali się do niego per *Ngai,* co odpowiada mniej więcej tytułowi «Wasza Ekscelencjo», który dotąd zarezerwowany był wyłącznie dla bóstw i mandarynów”[14].

Ostentacyjne przywileje, jakimi cieszyli się koloniści, pozwalały Wietminhowi eksponować własny ascetyzm i czynić zeń użytek propagandowy. Generał broni sir Gerald Templer, Brytyjczyk odpowiedzialny za kwestie bezpieczeństwa podczas powstania na Malajach, zauważył z kąśliwym humorem: „Nietrudno przejrzeć sposób działania komunistów. Rzadko chadzają na wyścigi. Niezbyt często biorą udział w proszonych obiadkach albo koktajlach. I w ogóle nie grywają w golfa”[15]. Ponieważ obowiązkowa służba wojskowa we Francji nie obejmowała terytoriów zamorskich, większość żołnierzy niższych szarż walczących w Wietnamie stanowili najemnicy – z Afryki Północnej, z Afryki Zachodniej, a wreszcie sami Wietnamczycy. Z kolei Legia Cudzoziemska składała się w połowie z Niemców. Żołnierzom po służbie zezwalano na sporą dozę swobody, nie egzekwując zbytnio dyscypliny, co prowadziło do dość powszechnego alkoholizmu.

W obozach często unosił się zapach palonego karmelu – niedwuznaczny symptom inklinacji wielu żołnierzy do palenia opium, podobnie zresztą jak ich pożółkłe cery czy oleiste plamy na lewych palcach wskazujących. Kiedy w grudniu 1950 roku obowiązki wysokiego komisarza i naczelnego dowódcy wojsk francuskich w Indochinach przejął generał Jean de Lattre de Tassigny, przystąpił on do tworzenia wojska z poboru złożonego z samych Wietnamczyków. „Wietnamizacja" stała się niepoprawnym politycznie słowem dopiero w roku 1971, za to dwadzieścia lat wcześniej spróbowali jej właśnie Francuzi, tyle że przy użyciu innego terminu ukutego dla polityki de Lattre'a, a mianowicie *jaunissment*, to jest „zżółknięcia" tej wojny, a przynajmniej jej ofiar. Nikt nie darzył tej nowej, czysto wietnamskiej armii specjalną estymą, po części zapewne dlatego, że do wykupienia się od służby w niej wystarczała łapówka w wysokości 50 tysięcy piastrów.

Giap dysponował już teraz na północy Wietnamu sześcioma dywizjami liczącymi po 10 tysięcy ludzi każda. Ich żołnierze byli dobrze uzbrojeni w lekką broń, ale brakowało im żywności, ubrań i innego sprzętu. W tych wczesnych latach Wietminh nie miał żadnych peleryn wodoodpornych ani w ogóle żadnych elementów odzieży chroniących przed złą pogodą. Dopiero w 1952 roku zaczęto wydawać partyzantom jakieś cienkie i liche okrycia, które i tak prostym wieśniakom zdawały się nieledwie ósmym cudem świata. Jak to ujął jeden z komunistycznych żołnierzy: „Byliśmy zdumieni, że ludzkość stworzyła papierowe ubrania, po których spływał deszcz"[16].

Francuzi także odnosili pewne sukcesy: kanonierki w Delcie Rzeki Czerwonej skutecznie odcinały transporty ryżu dla sił komunistycznych daleko na północy. A 25 maja 1950 roku, po tym jak wróg ostrzelał francuski obóz w Dong Khe, położony kilka kilometrów od granicy wietnamsko-chińskiej, zrzuconym na spadochronach żołnierzom udało się odeprzeć napastników i przepędzić ich głęboko w dżunglę. Nie zmieniało to faktu, że kolonialne garnizony na górzystej północy, utrzymujące swoje pozycje jedynie dzięki wąskim drogom rozciągającym się wzdłuż głębokich wąwozów, narażone były na ciągłe niebezpieczeństwo, zwłaszcza po tym jak regularne jednostki Giapa zyskały dostęp do moździerzy i artylerii. Tym bardziej że Francuzi dość

nierozważnie przyjęli taktykę rozciągania swoich sił w wąskie „nici" i dzielenia ich na stosunkowo małe oddziały – „mrowiska", po to by móc podążać za ruchami Wietminhu. W rezultacie, o ile mocarstwo kolonialne dysponowało dalece większą liczbą żołnierzy na otwartej przestrzeni, o tyle w górach północnego zachodu Giap był czasami w stanie doprowadzić do liczebnej przewagi swoich ludzi.

Rankiem 16 września pięć batalionów Wietminhu przy wsparciu artylerii ponownie zaatakowało francuską bazę w Dong Khe. Komuniści spędzili wcześniej długie tygodnie, przygotowując i planując całą akcję, która miała stanowić ich popisową operację. Już na początku walk do kwatery Giapa dotarły niepokojące raporty, że jeden z oddziałów zgubił drogę i nie dotarł na czas na miejsce starcia, a ponadto że wróg zadaje atakującym ciężkie straty. Ale Ho Chi Minh, który przeszedł wiele kilometrów, by móc naocznie obserwować przebieg natarcia, zalecał spokój i wytrwałość. Wreszcie, po 52 godzinach zaciętych walk, napastnicy zatriumfowali: Dong Khe padło 18 września o godzinie 10.00. Tuż przed samym końcem z bazy udało się uciec jednemu oficerowi i 32 żołnierzom Legii Cudzoziemskiej, którzy po całym tygodniu wyczerpującego marszu przez dżunglę dołączyli ostatecznie do reszty francuskich wojsk.

Odtąd w górzystym regionie kraju przy granicy z Chinami Giap urządzał sobie prawdziwe polowania na swoich wrogów. Już wkrótce Francuzi zostali zmuszeni do porzucenia kolejnego obozu w Cao Bang, położonego około 30 kilometrów na północ od Dong Khe. 3 października jego pyskaty, ale popularny wśród żołnierzy dowódca, podpułkownik Pierre Charton, wyruszył z obozu na czele kolumny ciężarówek wiozącej 2600 żołnierzy, głównie Marokańczyków, i 500 cywilów, w tym personel burdelu z pobliskiego miasteczka, a za sobą ciągnącej dodatkowo baterię artylerii i inny ciężki sprzęt. Charton zignorował rozkazy, by pozostawić wszelki zbędny bagaż: był zdeterminowany wycofać się z godnością i honorem, ale to połączenie dumy i uporu miało kosztować życie setkę jego ludzi. W głębokich wąwozach 15 kilometrów na południe od Cao Bang jego rozciągnięta karawana utknęła z powodu całej serii zniszczonych mostów i zasadzek. W ciągu 24 godzin o dalszym odwrocie nie mogło już być

mowy, a wszędzie dookoła przybywało oddziałów wroga ostrzeliwujących konwój z gęstych zarośli w górnych częściach zboczy.

Ale olbrzymie kłopoty Chartona i jego ludzi to tylko część tej ponurej historii. Oto z południa wysłana została w kierunku Cao Bang specjalna grupa zadaniowa Bayard złożona z 3500 żołnierzy, głównie Marokańczyków, wzmocnionych elitarnym batalionem spadochroniarzy, po to by spotkać się z kolumną podążającą z północy i ułatwić jej bezpieczne przejście przez wąwozy. Grupa Bayard wyszła z That Khe 30 września pod dowództwem pułkownika Marcela Le Page'a. Niedaleko Dong Khe także i ona wpadła w zasadzkę Wietminhu i znalazła się pod silnym ostrzałem ognia maszynowego i granatów moździerzowych. Dowództwo rozkazało Le Page'owi uciec się do ostatecznych środków: spalić wszystkie pojazdy, porzucić ciężkie działa i uciekać ze swoimi ludźmi w dżunglę, by poruszając się tamtędy, ominąć Wietminh i przedrzeć się do kolumny Chartona. W odróżnieniu od człowieka, którego miał ratować, Le Page wykonał przekazane mu instrukcje, nie kwestionując ich zasadności, choć już na pierwszy rzut oka wydawały się one cokolwiek nielogiczne. Poprowadził swoich ludzi głęboko w leśną głuszę, z dala od jakichkolwiek francuskich posterunków, by móc połączyć siły z oddziałami znajdującymi się w równie rozpaczliwym położeniu jak on sam. To, co nastąpiło później, było więc łatwe do przewidzenia, ale przez to wcale nie mniej przerażające.

Maszerujący przez dżunglę żołnierze wkrótce zaczęli jeden po drugim zostawać w tyle i znikać, po czym ginął po nich wszelki ślad. Jeśli ktoś odniósł ranę albo kontuzję, był w zasadzie skazany na śmierć. Każde podejście pod górę i zejście do kolejnej doliny oznaczało ogromną utratę sił dla mocno obciążonych piechurów, tym bardziej że marsz przebiegał w ulewnym deszczu, który dodatkowo uniemożliwiał jakiekolwiek wsparcie z powietrza. Partyzanci Wietminhu rzecz jasna także byli zmęczeni, zarówno wcześniejszymi walkami, jak i późniejszym pościgiem, ale napędzał ich zwycięski entuzjazm i świadomość, że Francuzi właściwie nie mają żadnej drogi ucieczki. W rozkazie dnia na 6 października Giap otwarcie triumfował: „Wróg odczuwa większy głód i marznie bardziej niż wy!". Do spotkania

Chartona i Le Page'a doszło następnego dnia, ale kolumna każdego z nich została już mocno przetrzebiona; w obu brakowało też wody, żywności i amunicji. A wtedy Wietminh uderzył po raz kolejny – w sile piętnastu batalionów prowadzących bezustanny ostrzał wyczerpanych wrogów. Marokańczycy wpadli w panikę. Ich dowódcy wydali rozkaz rozproszenia się w mniejsze grupki, ale jego wykonanie przekształciło się w bezładne *„Sauve qui peut!"*. Zraniony Charton dostał się do niewoli; większość pozostałych uciekinierów nie miała tyle szczęścia, bo zabijano ich jednego po drugim. Ostatecznie do francuskich linii na południu dotarło zaledwie 600 ludzi; około 4800 uznano za zmarłych albo zaginionych. Olbrzymie były też straty materialne: przepadło 450 ciężarówek, 8 tysięcy karabinów, 950 sztuk broni automatycznej i 100 moździerzy. Giap świętował zwycięstwo, pijąc wraz ze swoimi chińskimi doradcami; twierdził później, że był to pierwszy raz w jego życiu, kiedy naprawdę się upił.

18 października Francuzi porzucili kolejny obóz na północy, w Lang Son, pozostawiając w nim olbrzymią ilość sprzętu i amunicji, która wpadła w ręce komunistów. Wszystkie te sukcesy sporo kosztowały także sam Wietminh – szacuje się, że stracił on około 9 tysięcy ludzi. Ale kiedy w świat poszła wieść o skali klęski Francuzów, komuniści – jak to mieli czynić wielokrotnie także w przyszłości – szybko stłumili wszelkie głosy mogące przyćmić ich triumfy albo zdemoralizować ich zwolenników. Nie wszystkie walki przebiegały tak korzystnie dla Wietminhu. W pierwszych miesiącach 1951 roku Giap przygotował kilka dużych akcji zaczepnych – wszystkie zakończyły się zdecydowaną porażką. Bolesna była zwłaszcza ta styczniowa, kiedy Wietminh zaatakował jedną z francuskich baz o 50 kilometrów na północny zachód od Hanoi. Francuskie samoloty, a zwłaszcza zrzucany przez nie napalm, powodowały olbrzymie straty po stronie partyzantów – zginęło aż 6 tysięcy z nich, a kolejnych 8 tysięcy odniosło rany. Była to oczywista nauczka dla komunistycznego dowódcy: nie powinien się spodziewać sukcesów, podejmując walkę z dużymi siłami wroga w zasięgu jego lotnictwa i artylerii.

Każdy zachodni generał po takiej serii klęsk, jaka stała się udziałem Giapa wiosną 1951 roku, a zwłaszcza po poświęceniu tak wielkiej liczby

żołnierzy bez osiągnięcia żadnego uchwytnego celu, z miejsca znalazłby się w samym środku politycznej i medialnej burzy, a następnie niemal na pewno zostałby zdymisjonowany. Tyle że politbiuro Wietminhu nie musiało się przejmować opinią publiczną. Ho Chi Minh, jedyny arbiter w tej materii, w dalszym ciągu miał zaufanie do swojego generała. Podobnie jak marszałek Żukow podczas II wojny światowej, Giap nigdy nie musiał się tłumaczyć z szokująco wysokich ofiar w ludziach, którymi okupione było każde z jego zwycięstw. A to dawało mu niewątpliwą przewagę nad dowództwem wroga, które dzień w dzień czytało we francuskich gazetach o rosnących kosztach wojny w Indochinach.

2. WASZYNGTON PŁACI RACHUNKI

Najsłynniejsze bodaj słowa w książce Grahama Greene'a *Spokojny Amerykanin*, której akcja osadzona jest w Sajgonie pod koniec panowania francuskiego, wypowiada cyniczny brytyjski dziennikarz Thomas Fowler o tytułowym bohaterze, Aldenie Pyle'u: „Nie znałem nikogo, kto by robił tyle zamieszania w tak dobrych zamiarach. (...) Dobre zamiary i ignorancja opancerzały go szczelnie”[17]. Z perspektywy historycznej najistotniejszym punktem zwrotnym tej wojny był moment, w którym Francuzi, przerażeni jej wciąż rosnącymi kosztami, zwrócili się o pomoc finansową do Amerykanów, a ci, począwszy od roku 1950, postanowili opłacać za nich rachunki. W odległym Waszyngtonie polityczni decydenci byli coraz bardziej zaniepokojeni rozwojem sytuacji w Azji Południowo-Wschodniej, obawiając się, że ta część kontynentu może podążyć śladem Chin i dać się ponieść fali komunizmu. Ponadto Stany Zjednoczone postrzegały swój hojny gest jako element nacisku na Francję, która wciąż nie potrafiła się pogodzić z odbudową Niemiec, obejmującą także ich ponowne dozbrojenie. I tak to już wkrótce za niemal każdą bombę i kulę świszczącą na wietnamskim froncie zaczęto płacić nie frankami, lecz dolarami.

Szczodrość Amerykanów wynikała po części z zagrożenia, jakie komunizm zaczął już wtedy stanowić dla stabilności i demokratycznych instytucji w wielu krajach, w tym zwłaszcza w Grecji, we Włoszech,

Francji czy w Turcji. George Kennan, szef politycznego wydziału planistycznego Departamentu Stanu i autor słynnego długiego telegramu nadanego z Moskwy w roku 1946, scharakteryzował sposób działania Sowietów jako „płynny strumień" dążący do wypełnienia „każdego najmniejszego zakamarka dostępnego w światowym basenie władzy". I rzeczywiście, Stalin, a później również Mao, wspierali ruchy rewolucyjne wszędzie tam, gdzie tylko miały one jakąkolwiek szansę powodzenia. 12 marca 1947 roku amerykański prezydent zaprezentował w Kongresie program polityki zagranicznej, który przeszedł do historii pod nazwą doktryny Trumana: „Jesteśmy w takim momencie światowej historii, w którym niemal każdy naród musi wybierać pomiędzy alternatywnymi sposobami życia. A wybór ten często wcale nie jest wolny (...). Jestem przekonany, że Stany Zjednoczone winny prowadzić politykę pomagania wolnym narodom, które przeciwstawiają się próbom ich podporządkowania przez uzbrojoną mniejszość albo pod wpływem nacisków z zewnątrz".

Choć jednak zagrożenie komunizmem na świecie było wówczas całkiem realne, a z historycznego punktu widzenia Zachód niewątpliwie zasługuje na pochwałę za podjęcie zdecydowanych działań w celu postawienia mu tamy, to, wdrażając owe działania, Stany Zjednoczone i ich sojusznicy dopuścili się szeregu poważnych niesprawiedliwości. Przez okres niemal dwóch pokoleń Waszyngton milcząco przystawał na trwanie faszystowskiego reżimu generała Francisca Franco w Hiszpanii, a także podtrzymywał dyktatorskie rządy w krajach Ameryki Środkowej i Południowej, których jedyną zasługą był otwarty antykomunizm. Z kolei w południowej Afryce Brytyjczycy i Amerykanie okazywali pobłażliwość wobec rządów białej mniejszości jeszcze całe dziesięciolecia po tym, jak straciły one jakąkolwiek legitymizację do sprawowania władzy. Wreszcie gdy chodzi o Indochiny, Francuzom udało się wmówić krezusowi z Zachodu, że kolonializm jest w zasadzie tożsamy z antykomunizmem. Po tym jak wojska Mao Zedonga opanowały całe Chiny, konserwatywni Amerykanie, przerażeni takim „upadkiem" swojego ulubionego narodu azjatyckiego, domagali się wdrożenia stanowczych środków, by zapobiec powtórce podobnego scenariusza w innych państwach świata. Henry Luce, właściciel „Time"

i „Life", a przy tym zagorzały zwolennik chińskich nacjonalistów, postanowił wesprzeć sprawę antykomunistycznej walki w Wietnamie całą siłą swojego imperium i pozostawał stronnikiem owej sprawy przez kolejne dwie dekady.

Traktat sowiecko-chiński z lutego 1950 roku zdawał się nieść realne zagrożenie rozlania się komunizmu na obszar całej Azji. Amerykański konserwatysta Michael Lind tak pisał o tym wydarzeniu w swoim rewizjonistycznym studium Wietnamu: „Wieczorem 14 lutego 1950 roku w sali bankietowej na Kremlu stanęło obok siebie trzech ludzi, którzy planowali wpędzić Indochiny w trwający pół wieku okres walk, tyranii i stagnacji gospodarczej, a przy okazji wzniecić możliwie wielki zamęt polityczny w Stanach Zjednoczonych i w Europie: Stalin, Mao Zedong i Ho Chi Minh (...). Był to międzynarodowy spisek komunistyczny, a Ho Chi Minh był jednym z jego współtwórców"[18]. A kiedy w czerwcu Kim Il-sung dokonał inwazji na Koreę Południową, przerażony Zachód widział dla siebie już tylko jedno wyjście. Stany Zjednoczone i ich sojusznicy w pośpiechu wysłali na Półwysep Koreański siły interwencyjne, by toczyć tam trzyletnią wojnę, na późniejszym etapie już bezpośrednio przeciwko Chińczykom. To właśnie doświadczenia z Korei najlepiej objaśniają, dlaczego Amerykanie byli gotowi poprzeć francuski kolonializm w Indochinach, choć nie umniejszają one rzecz jasna braku rozwagi obranej przez nich linii politycznej.

W Departamencie Stanu Dean Acheson i jego asystent Dean Rusk wciąż pamiętali koszmarny rozwój wydarzeń z lat trzydziestych XX wieku, kiedy to kraje demokratyczne za wszelką cenę starały się „ugłaskiwać" faszystowskich dyktatorów. Zarazem demokratyczna administracja musiała się mierzyć z narastającą presją ze strony Kongresu, by okazać maksymalną twardość wobec „osi Moskwa–Pekin". Jak wyjaśniał później senator William Fulbright, liczyło się wtedy przede wszystkim to, by kreśląc nową amerykańską linię polityczną, uwzględniać niezaprzeczalny już sowiecki ekspansjonizm: „Znajdowaliśmy się w stanie śmiertelnej konfrontacji z Rosjanami i byliśmy przekonani o tym, że jest naszym obowiązkiem postawić im tamę wszędzie tam, gdzie to możliwe"[19]. Ponieważ jednak rozpoczęte

przez McCarthy'ego polowanie na czarownice wymierzone w członków amerykańskiej administracji okazujących choć minimalne sympatie lewicowe doprowadziło do oczyszczenia służb zagranicznych Departamentu Stanu ze wszystkich urzędników dobrze znających Azję, na miejscu pozostali sami ignoranci, zwłaszcza w kwestii Wietnamu.

Nie wszyscy w Waszyngtonie chcieli wszakże, by Ameryka wsparła kolonialną Francję. Raymond Fosdick z Departamentu Stanu już na początku 1950 roku proroczo przestrzegał przed powtórzeniem przez Stany Zjednoczone błędu z Chin i ponownego „sprzymierzenia się z siłami reakcji". Jak argumentował Fosdick, niezależnie od złudzeń Paryża, Indochiny i tak już wkrótce musiały wybić się na niepodległość – „Po cóż zatem dobrowolnie przywiązywać się do jego mocno już obniżającego loty latawca?"[20]. Francuzi przegrywali przecież w tej wojnie nie z powodu braku broni czy amunicji, ale przede wszystkim dlatego, że nie mieli do zaoferowania niczego, co mogłoby przemówić do jakiegokolwiek rozsądnego Wietnamczyka.

W następnym roku pewien młody kongresmen z Massachusetts udał się z wizytą do Sajgonu i zanotował w swoim dzienniku podróży: „W umysłach tutejszych ludzi stajemy się coraz bardziej kolonialistami. A ponieważ każdy sądzi, że kontrolujemy ONZ [i] że nasze bogactwa są właściwie niewyczerpane, spotkamy się z potępieniem wszystkich tych nowych narodów, jeśli nie spełnimy ich oczekiwań". Tę jakże rozważną uwagę sformułował John F. Kennedy, ale Amerykanie nie byli wtedy w nastroju do wysłuchiwania takich mądrości. George Kennan niejednokrotnie uskarżał się na to, że jego nawoływania do powstrzymania Sowietów, a później także Chińczyków, były w Waszyngtonie interpretowane tylko w jeden sposób: jako usprawiedliwienie do stosowania środków militarnych, podczas gdy w wielu przypadkach o wiele bardziej skuteczne byłoby zastosowanie narzędzi politycznych, kulturalnych, gospodarczych czy dyplomatycznych.

Po wybuchu konfliktu koreańskiego w roku 1950, kiedy świat zachodni nieomal wpadł w panikę, bo całkiem możliwa wydawała się zupełna klęska wysłanych tam wojsk ONZ, Waszyngton zatwierdził olbrzymi wzrost środków pomocowych na wojnę w Indochinach. Od tej

pory, im bardziej słabła wola Francji do prowadzenia dalszej walki, tym bardziej rosła determinacja Stanów Zjednoczonych do jej kontynuowania; można by rzec, iż francuska armia kolonialna w coraz większym stopniu stawała się zbrojnym ramieniem Ameryki. W dodatku nie dość, że Truman i Acheson nie naciskali na Paryż, by podjął negocjacje z Wietminhem, to wręcz go do tego zniechęcali. Na tym polegał pierwszy wielki błąd Waszyngtonu w Indochinach, którego amerykańscy decydenci polityczni nigdy nie zdołali naprawić. Pomoc wojskowa Stanów Zjednoczonych już wkrótce wzrosła do niebotycznej kwoty 150 milionów dolarów, przy czym darczyńcy nie obwarowywali jej praktycznie żadnymi warunkami – Francuzi zresztą byli zbyt dumni, by ujawniać swoim dobrodziejom jakiekolwiek plany operacyjne. Na początku 1951 roku z Ameryki do Indochin trafiało już ponad 7200 ton sprzętu wojskowego miesięcznie. Tak to mocarstwo kolonialne toczyło swoją walkę przy użyciu amerykańskich hełmów, różnych typów amerykańskiej broni, amerykańskich jeepów i ciężarówek, w powietrzu wykorzystując głównie amerykańskie samoloty. W tej sytuacji trudno się doprawdy dziwić, że kiedy dekadę później w Wietnamie zjawili się sami amerykańscy żołnierze, przez miejscową ludność uznani oni zostali za potomków wcześniejszych agresorów.

Patrol Legii Cudzoziemskiej przesłuchuje pojmanego partyzanta Wietminhu, 1953 rok

Do września 1951 roku stało się oczywiste dla każdego obiektywnego obserwatora, że Francuzi nie mają żadnych realnych szans utrzymania Indochin. A mimo to, kiedy dowodzący działaniami wojennymi generał de Lattre de Tassigny osobiście udał się do Waszyngtonu i odegrał tam doskonale wyreżyserowany spektakl dla amerykańskich decydentów, w ciągu kolejnych czterech miesięcy Stany Zjednoczone przekazały jego wojskom 130 tysięcy ton sprzętu wojskowego, w tym 53 miliony sztuk amunicji, 8 tysięcy ciężarówek i jeepów, 650 wozów bojowych, 200 samolotów, 14 tysięcy sztuk broni automatycznej i 3500 nadajników

radiowych. Była to zresztą ostatnia istotna zasługa, jaką de Lattre oddał sprawie, jako że już wkrótce w pośpiechu opuścił on Indochiny, a niedługo potem umarł na raka.

Do końca 1953 roku nowa republikańska administracja prezydenta Eisenhowera opłacała już 80 procent kosztów tej wojny, wydając na ten cel jakiś miliard dolarów rocznie. Brytyjczycy, wciąż ważni sojusznicy Ameryki, a przy tym coraz więksi eksperci w kwestii wycofywania się z kolejnych obszarów imperium, zupełnie nie mogli tego zrozumieć: byli przekonani, że żadna ilość broni i amunicji nie uchroni Francuzów od nieuchronnego przepędzenia ich z Indochin. Rząd Winstona Churchilla mocno niepokoił się tą w jego pojęciu źle ukierunkowaną obsesją Amerykanów. Selwyn Lloyd, minister stanu w Foreign Office (brytyjskim MSZ), napisał w sierpniu 1953 roku: „W Stanach Zjednoczonych panuje obecnie w odniesieniu do komunistycznych Chin, a w mniejszym stopniu także do Rosji, rozedrganie emocjonalne sięgające granicy histerii”[21]. Przy takich nastrojach Wietminh został naturalnie obsadzony w roli zwykłego narzędzia znacznie bardziej szatańskich sił.

3. CHŁOPI

Wyraźna mniejszość Wietnamczyków była wystarczająco wyedukowana, by myśleć w kategoriach wykraczających poza własną wioskę, i to oni zazwyczaj, doświadczywszy okrucieństw ze strony Wietminhu, wyglądali wybawienia z zagranicy. Pewien uczeń z północy zanotował: „Z książek, które czytałem, zaczerpnąłem przekonanie, że Amerykanie mogą być przynajmniej lepsi od Francuzów (...). Byłem pewien, że podobnie jak każde inne państwo, Stany Zjednoczone muszą mieć jakiś swój interes w pomaganiu sojusznikom, ale (...) Amerykanie wydawali się też hojnie wspierać ubogie kraje”[22]. Nietrudno jednak zrozumieć, dlaczego wielu Wietnamczyków wyrażało dokładnie odwrotne przekonania i okazywało poparcie dla ruchu rewolucyjnego, który obiecywał skończyć z opresyjnym reżimem kolonialnym, a zarazem atakował wielkich posiadaczy ziemskich, czy to francuskich,

czy rodzimych, za ucisk szerokich mas chłopskich od wielu, wielu pokoleń.

Ubóstwo na wietnamskiej prowincji było tak wielkie i tak powszechne, że ktoś ze świadectwem ukończenia szkoły podstawowej uchodził tam za „intelektualistę". Niektóre małżeństwa miały zaledwie jedną parę spodni, którą małżonkowie wkładali na zmianę. Większość codziennej pracy chłopów polegała na noszeniu wody na górskie zbocza, by w ten sposób nawodnić swoje poletka ryżowe, przy czym nierzadko trudzili się w ten sposób przy świetle księżyca, ponieważ za dnia panował zbyt wielki upał. Kiedy praca szła dobrze, wieśniacy podśpiewywali sobie proste ludowe piosenki. Ryż należało raz do roku nawieźć, trzy do czterech razy odchwaścić i dwukrotnie przyciąć. Zbiór wiosenny przynosił nawet do trzech czwartych całorocznych plonów, ponieważ następował tuż po zakończeniu pory deszczowej. Ubodzy wieśniacy uzupełniali czasem swoje dochody, chodząc po leśnej głuszy i zbierając opał na sprzedaż. Niektórzy emigrowali za pracą do miast. Ci przygnieceni największym ciężarem długów wynajmowali się jako robotnicy rolni do pracy w polu.

Instytucjami społecznymi dominującymi na prowincji były rodzina i wioska. Obok prawie każdej chaty stał drewniany ołtarzyk, na którym jej mieszkańcy wykładali dary z owoców i słodkości: im bogatsza rodzina, tym ołtarzyk był okazalszy. Niewielu rodziców wstydziło się tego, iż ustanawia hierarchię uczuć w stosunku do swoich wielu dzieci, opartą na ocenie, które z potomków były najzdolniejsze i najpracowitsze. Słowo ojca stanowiło prawo, choć niejednokrotnie to matki dzierżyły rzeczywistą władzę. Istniało zresztą pewne popularne powiedzenie: „Bez ojca wciąż możesz się cieszyć ryżem i rybą, ale bez matki będziesz zapewne jadł wyłącznie liście, które spadły z drzew"[23]. Poza rodziną liczyła się już tylko wioska. Chłopi zwykli mawiać: „Rządzi wprawdzie król – ale w ramach regulacji przyjętych w wiosce". Większość społeczności katolickich miała swoją dzwonnicę; te buddyjskie miały z kolei świątynię i drzewka magnolii. Czasami w wiosce była jeszcze sala zebrań nazywana *dinh*, a w tych większych jakiś warsztat, najczęściej stolarski albo krawiecki.

Wioski składały się z osad, w ramach których dzielono większość prac i obowiązków: na przykład na Nowy Rok mieszkańcy zbierali się, by razem przygotowywać placki ryżowe, które następnie wypiekano w nocy, a rankiem następnego dnia nadziewano na cienkie witki bambusowe. Gromadzono się wtedy razem również po to, by życzyć rodzicom długiego i szczęśliwego życia, a sąsiadom zdrowia i bogactwa: Wietnamczycy, podobnie jak większość Azjatów, wierzyli, że z każdym nowym rokiem człowiek zyskiwał jakieś dodatkowe pokłady mądrości. Po zarżnięciu świni dzieci dostawały jej pęcherz, który po nadmuchaniu służył im za piłkę. Ponadto popularne były zabawy w chowanego, strzelanie z „jutowej broni" zrobionej z bambusowych rurek – coś na kształt naszego plucia grochem przez dmuchawki – albo gra zwana „bicie kijem". Podczas rozmaitych świąt dzieci mogły też spróbować dżemów, słodyczy, orzeszków ziemnych i przecierów owocowych z polewą cukrową. Na co dzień jednak dostawały głównie ryż i warzywa – i były szczęśliwe, jeśli do jedzenia było choćby to.

Niektórzy Wietnamczycy z lubością idealizowali później prostotę wiejskiego życia sprzed wojny. Jedna z takich osób mówiła: „Wszyscy znali wszystkich i nikt nigdy nie zamykał drzwi"; z dużym wzruszeniem opowiadała ona także o tym, jak „pięknie było być razem", dzielić się zadaniami i przyjemnościami[24]. Tego rodzaju nostalgia nie trafiała się jednak specjalnie często wśród mieszkańców wsi, jako że większość z nich zapamiętała głównie trud i znój, prześladowania i częste głodowanie. Nguyen Thi Thanh Binh urodziła się w 1948 roku na wschód od Hanoi w rodzinie ubogiego chłopa, który uprawiał ryż na poletku o powierzchni niecałych 400 metrów kwadratowych. Jej rodzice wraz z sześciorgiem dzieci zamieszkiwali krytą strzechą chatę w osadzie złożonej z jakichś trzydziestu rodzin, z których żadna nie miała ani radia, ani roweru. Niewielu mieszkańców umiało czytać: kiedy trafiła do nich jakaś przygodna gazeta, ludzie gromadzili się pod jednym z drzew, a któryś z „wykształconych" wieśniaków wspinał się na wysoką gałąź i stamtąd czytał na głos najbardziej interesujące wiadomości.

Ludzie ci dorastali bez zdjęć rodziców czy dzieci, ponieważ nikt nie miał aparatu, którym można by je zrobić. Na co dzień chodzono

w czymś na kształt piżam, czyli *ba*, na północy brązowych, a na południu czarnych, które tylko przez przypadek stały się później umundurowaniem partyzantów. Śmiertelność niemowląt była niezwykle wysoka, po części dlatego, że zwyczaj wymagał, by pępowiny noworodków przecinać kawałkiem rozbitego szkła. Mieszkańcy często porzucali swoje wioski, czy to ze względu na powódź, czy z powodu głodu. Binh nie zapamiętała z dzieciństwa zbyt wielu szczęśliwych chwil, raczej życie będące zwyczajną codzienną walką o przetrwanie, co wymagało od dzieci na przykład zbierania ślimaków, by wzbogacić rodzinną dietę. W wieku dwudziestu lat wstąpiła do partii komunistycznej – i pozostała w niej przez resztę życia – a Ho Chi Minha darzyła niemal religijnym uwielbieniem jako „niezastąpionego, niezrównanego przywódcę”[25].

Choć zbrojni zwolennicy Ho na południowym zachodzie nigdy nie osiągali tak spektakularnych sukcesów militarnych, jakie były udziałem formacji Giapa na północy, to jego ruch i tak zdołał zyskać poparcie ludności w całym kraju, a to dzięki jednej zaledwie postulowanej przezeń kwestii: redystrybucji ziemi. Nawet dobrze prosperujący farmerzy gospodarujący na dzierżawionych gruntach marzyli o własnej ziemi – wielu z nich było zresztą po uszy zadłużonych u wszelkiej maści pożyczkodawców, którzy przywłaszczali sobie nawet połowę ich produkcji. Tacy dłużnicy mogli niepostrzeżenie stać się quasi-niewolnikami do kołysania hamaka w domu właściciela ziemskiego[26]. Nic dziwnego, że z entuzjazmem popierali oni plan redystrybucji ziemi głoszony przez Wietminh. Jeden z takich ludzi powiedział Normanowi Lewisowi w roku 1950: „Nasi wrogowie krok po kroku nawracają nas na komunizm. Jeśli możemy zyskać wolność, jedynie stając się komunistami, to staniemy się komunistami”[27].

Jeden z historyków opisywał żołnierzy Giapa jako „prostych ludzi, których poglądy na świat ukształtowały się wyłącznie na podstawie własnych doświadczeń i bezpośrednich doświadczeń ich rodzin (...), podkoloryzowanych przez ucisk i znój narastające przez pokolenia”[28]. Największymi atutami ludzi Wietminhu były ich dyscyplina, cierpliwość i pomysłowość, a ponadto znajomość terenu i zmysł kamuflażu oraz wysoka tolerancja na zmęczenie i zdolność do poświęceń. Ale nade

wszystko liczyła się motywacja: wszyscy oni pragnęli wreszcie skosztować owoców swojej politycznej, gospodarczej i społecznej rewolucji. Wędrowni działacze komunistyczni wdrażali programy edukacji politycznej, a za pomocą komponowanych przez siebie ludowych piosenek uczyli wieśniaków alfabetu. Dla dzieci był z kolei program „nauka przez zabawę". Wszystko to nie miało rzecz jasna charakteru czysto bezinteresownego: w ślad za nauką szedł obowiązek. I tak działacze zmuszali wieśniaków do wywieszania udekorowanych kwiatami transparentów o treści na przykład „Niech żyje walka z analfabetyzmem". W niektórych miejscach osoby nieumiejące czytać poddawano rozmaitym upokorzeniom, na przykład kazano im czołgać się w błocie, ilekroć chciały pójść na targ. Rzecz jasna, podobnie jak wszędzie indziej, gdzie wcielano w życie doktrynę komunistyczną, ofiarom przypominano, że okrucieństwo wobec nich ma swój cel i służy większemu dobru ludu.

Jeśli chodzi o bardziej drastyczne kary, to nawet oficjalne źródła partyjne przyznawały później, że „życie straciło więcej niż kilku niewinnych ludzi"[29]. Prości wieśniacy służący w Wietminhu z góry zakładali na przykład, że jeśli ktoś gustuje w niebieskich spodniach i białych koszulach z metkami znanych firm, to taka osoba musi być francuskim szpiegiem. I na podobieństwo włoskiej mafii, która pozbywając się kogoś niewygodnego, używała eufemizmu „idzie spać z rybami", w równie zżytym z wodą Wietnamie tamtejsi komuniści mówili o posyłaniu kogoś takiego „do szukania krewetek". Egzekucje przeprowadzano z maksymalną brutalnością i rozgłosem: szwadrony śmierci Wietminhu uwielbiały choćby zakopywać ofiary żywcem albo wypatroszać je na oczach zebranych sąsiadów. „Lepiej, żeby zginął niewinny, niż aby winny miał ujść kary" – głosił popularny partyjny slogan. W „wyzwalanych strefach" Wietminh ustanawiał okryte złą sławą obozy karne. Kiedy ojciec Nguyena Cong Luana zmarł w jednym z nich, jedyną rzeczą po nim, jaką jego oprawcy niechętnie zgodzili się oddać wdowie, była zapalniczka[30].

W roku 1947 Wietminh przeprowadził ideologiczną kampanię „oczyszczającą", podczas której zamordowano dużą, acz nigdy nieoszacowaną, liczbę „wrogów klasowych". Każdemu właścicielowi

ziemskiemu czy urzędnikowi administracji rządowej groziła kara śmierci, która to groźba rozciągała się też na jego rodzinę. Również religia katolicka nosiła w sobie pierwiastek obcego pochodzenia, wobec czego jej wyznawcy narażeni byli na prześladowania. Na dziedzińcach miejscowych pagod czy w domach lokalnych właścicieli ziemskich urządzano wiece, podczas których dochodziło do denuncjacji sąsiadów – zwano je *dau to*. Zgodnie z zamierzeniem organizatorów wzbudzały one powszechny strach. Podczas takich wieców farmerzy albo chłopi, nierzadko powodowani jakimiś zadawnionymi urazami, wyliczali domniemane zbrodnie właścicieli ziemskich przed ludowym sądem, w którym zasiadali działacze Wietminhu. W przypadku orzeczenia kary śmierci ofiarę niekiedy zabijano na miejscu, czy to przez rozstrzelanie, czy ukamienowanie, czy powieszenie, czasem jednak czekał ją jeszcze okrutniejszy los. W My Thanh położonej w Delcie Mekongu pewien funkcjonariusz Cao Dai, mający być pogrzebany żywcem, błagał o miłosierdzie i strzał w głowę. Od swoich oprawców usłyszał pogardliwą uwagę, że amunicję zachowują dla „piratów" – to jest Francuzów.

Jako chłopskie dziecko Nguyen Thi Thanh Binh zapamiętała właścicieli ziemskich ukrywających się przed oskarżycielami w pobliskim stawie, w którym zanurzali się aż po szyję, a głowy przykrywali trzcinami. Byli też tacy, którzy maskowali się na inne sposoby. Niektórym nic to nie pomogło, a ona stała potem wśród innych mieszkańców wioski i przyglądała się, jak ich sądzono. Nawet jako lojalna działaczka Partii przyznawała ona później, że „wielu z tych ludzi zostało niesłusznie oskarżonych"[31]. Na północy taki „sąd ludowy" przybierał niejednokrotnie kształt prawdziwego teatralnego spektaklu: organizowano go późnym wieczorem na rozległej łące wielkości boiska futbolowego, obramowanej bambusowymi pochodniami. Prezydium składającemu się z siedmiu sędziów, ubogich wieśniaków, przewodniczył jakiś działacz z Wydziału Reformy Rolnej, a czasem w wydarzeniu brali dodatkowo udział chińscy doradcy. Na scenie rozwieszano portrety Ho, Mao i Stalina, a także ręcznie malowane transparenty z napisami w rodzaju „Precz ze zdradzieckimi reakcyjnymi właścicielami ziemskimi".

Jeśli zaś chodzi o doraźne egzekucje, pewien wieśniak zachował w pamięci niedające się wymazać wspomnienie z dzieciństwa o wizycie partyzantów z Wietminhu w jego położonej daleko na północy wiosce. Działo się to na początku 1952 roku, bo do wioski przyszli akurat dwaj nieuzbrojeni żołnierze w służbie francuskiej, żeby życzyć mieszkańcom wszystkiego najlepszego. Ludzie Wietminhu pochwycili obu żołnierzy i ścięli ich na miejscu, tuż za jego domem rodzinnym. Liczący sobie wówczas dwanaście lat chłopak wyznał później: „Wciąż słyszę chrzęst ich łamanych karków". A po odejściu partyzantów zjawili się żołnierze francuscy. Oskarżyli oni sąsiadów o przyczynienie się do śmierci obu mężczyzn i spalili wszystkie domy w wiosce. W roku 1953 Wietminh skazał chłopca na dwa tygodnie pobytu w obozie reedukacyjnym, gdzie musiał bezustannie składać samokrytykę: „Cokolwiek złego kiedykolwiek zrobiłem albo cokolwiek zrobili moi rodzice czy dziadkowie, wszystko to musiałem spisać. I wszyscy inni też musieli dobrze się zastanowić, co mieli napisać". Po śmierci Stalina wszystkim więźniom nakazano nosić czarne opaski żałobne. Niedługo potem Francuzi przeprowadzili ofensywę, która zmusiła partyzantów do ucieczki, a chłopcu przyniosła wyswobodzenie. Wraz z rodziną na krótko powrócił do wioski, ale wkrótce wszyscy uciekli do Hanoi.

Zmienne koleje wojny dla chłopów oznaczały dodatkowe obciążenie i bezustanne troski. Jeden z ubogich wieśniaków mieszkających w Delcie Mekongu nie posiadał się z zachwytu, kiedy nadszedł okres porażek Wietminhu, co oznaczało dla niego zniesienie blokady gospodarczej i z dawna oczekiwaną możliwość wolnej sprzedaży swoich produktów: „Ludzie u nas byli tacy szczęśliwi (...). Ja sam powtarzałem wielokrotnie: «Mam nadzieję, że będzie nas kontrolować jedna ze stron – nieważne już która. Życie pod kontrolą obu to stanowczo zbyt wiele»"[32]. Anh, córka właścicieli ziemskich, wstąpiła do Wietminhu, ponieważ marzyła o wypędzeniu z kraju Francuzów. Tam wyszła za mąż za partyzanta, urodziła mu syna i przez jakiś czas dzieliła trudy życia w partyzantce z innymi powstańcami walczącymi w Delcie Mekongu. Ale w 1952 roku odeszła: „Widziałam tam zbyt wiele strasznych rzeczy. Komuniści zagarniali dla siebie całą władzę i wykańczali nacjonalistów". Jej zdaniem udało jej się przeżyć wyłącznie

dlatego, że była zbyt młoda, by móc stanowić dla kogokolwiek jakieś zagrożenie[33].

W „wyzwalanych strefach" na północy – analogicznie jak w roku 1940 w Londynie, kiedy ludzi spajał ze sobą „duch oblężenia" (*blitz spirit*), wspominany potem z nostalgią przez wielu starszych Brytyjczyków – w tym pierwszym wojennym okresie wytworzyła się pewna specyficzna kultura, określana później przez Wietminh jako „cudowne lata". Gitarzysta Van Ky, który stał się swoistym wędrownym minstrelem Wietminhu, entuzjazmował się: „Panowała wtedy niesamowita atmosfera! Wyobrażaliśmy sobie, że wszyscy jesteśmy częścią jednej wielkiej rodziny"[34]. Tworzono ochotnicze kantyny, znane jako „restauracje żołnierskich matek", w których miejscowe kobiety przygotowywały posiłki dla walczących. Wraz ze swoim trio Ky przemierzał setki kilometrów, by dawać koncerty w różnych miejscach: „Było w tym coś niezwykle interesującego i wspaniałego. Choć znajdowaliśmy się w strefie wojny, gdzie walki były zażarte, każdego wieczora występowaliśmy i przyciągaliśmy wielkie tłumy. Piosenki, które wtedy śpiewałem, nie były specjalnie dobre, a nasza trójka nie brzmiała razem idealnie, ale za to opowiadaliśmy różne historie, recytowaliśmy poezję"[35]. Zdarzało się, że światła wokół sceny trzeba było przyciemniać, by nie zwracać uwagi Francuzów. Ky występował nawet daleko na południu, w okolicach miasta Hue, gdzie spał nad brzegiem Rzeki Perfumowej, jadł to, co przyniesiono mu z miasta, palił papierosy Philip Morris i przeżył krótki okres zauroczenia jedną ze swoich młodziutkich słuchaczek.

Ky namówił występującego razem z nim i dobrze mówiącego po angielsku Hai Chau do czytania członkom grupy na głos fragmentów „Reader's Digest", po to by pomóc im opanować proste angielskie frazy, mogące się przydać w powojennym życiu. Niektóre z nich okazały się całkiem ciekawe, na przykład: „Mam dla ciebie niespodziankę w spodniach". Nocami raz na jakiś czas budziły ich z głębokiego snu głośne okrzyki: „*Tay can!*" – „Francuska obława!". A kiedy wróg już się zbliżał, partyzanci Wietminhu nieodmiennie komentowali: „Oho, bawoły wyszły na łąkę". Hai Chau napisał nawet piosenkę o takim tytule, która stanowiła satyrę na okupantów i bardzo spodobała się

powstańcom. Ky był jednym z wielu rewolucjonistów, którzy dostrzegali romantyczny aspekt ich wspólnego doświadczenia. Dzięki niemu Wietnamczycy mogli w sobie odkryć coś, czego nie zaznali już od stulecia pod panowaniem francuskim: godność osobistą. W dodatku z upływem każdego miesiąca, a potem każdego roku miliony Wietnamczyków nabierały coraz większego przekonania, iż należy popierać komunistów choćby z tego powodu, że ostateczne zwycięstwo jest im właściwie pisane. Pewna mała dziewczynka z wioski nieopodal Hue siedziała długo w nocy ze swoją matką i siostrami, by dokończyć robienie flag Wietminhu, „czerwonych, z żółtą gwiazdą, ponieważ wiedziałyśmy, że ludzie będą ich potrzebowali, żeby świętować (...) zwycięstwo”[36].

Nie należy jednak żadną miarą bezkrytycznie przyjmować prezentowanego przez Van Ky obrazu tych wojennych lat jako jednej wielkiej romantycznej idylli: ogromne wyrzeczenia i poświęcenie były wówczas na porządku dziennym. Ponadto wciąż narastały napięcia pomiędzy zwolennikami ruchu rewolucyjnego wywodzącymi się ze wsi a tymi o pochodzeniu mieszczańskim. Nguyen Duc Huy, urodzony w roku 1931 w rodzinie ubogiego rolnika, został wysłany na studia w nowo założonej akademii wojskowej Wietminhu w Chinach, gdzie przekonał się, jak toksyczną atmosferę tworzą walka klasowa i bezustanne sesje samokrytyki. Pewien kadet, odznaczony wcześniej za odwagę w walce, popełnił nawet samobójstwo po natarczywych przesłuchaniach na tle ideologicznym. Samego Huy oskarżono zaś tam o zorganizowanie francuskiej siatki szpiegowskiej oraz nacjonalistycznej grupy zamachowców, a następnie osadzono na siedem miesięcy w podziemnej celi. W swoich pamiętnikach zanotował: „Całej tej niesprawiedliwości nie sposób wręcz opisać”[37]. Ale najbardziej niesamowite wydaje się to, że po wszystkich tych doświadczeniach Huy w dalszym ciągu służył komunistycznej sprawie, najpierw jako dowódca kompanii w walce z Francuzami, a następnie stojąc na czele batalionu w wojnie z Amerykanami, i nigdy nie utracił wiary w Partię.

Z kolei Nguyen Thi Ngoc Toan przez pierwsze lata swojego pobytu w Wietminhu często miała kłopoty z powodu pochodzenia z bogatej

dynastii. Jej ojciec był członkiem rodziny królewskiej i służył na cesarskim dworze. W armii Giapa początkowo zwano ją po prostu *bo doi nhoc* – małą żołnierką. Ale z czasem, mimo że wykazywała się wielkim entuzjazmem dla sprawy, towarzysze broni zaczęli o niej mówić z pogardą: „Tę dziewczynę posyłano do francuskiej szkoły – tylko po co przysłano ją tutaj? Jak taka córka mandaryna może żyć razem z ruchem oporu?". Toan mówiła później: „Bardzo się na mnie uwzięli. Byłam wtedy nieszczęśliwa"[38]. Mimo wszystko pozostała ona lojalna wobec Wietminhu. Za to z powodu analogicznych prześladowań mocno przygasł entuzjazm dla sprawy u innego wywodzącego się z klasy średniej partyzanta, szesnastoletniego Nguyena Cao Ky: „Dla nich ruch oporu nie oznaczał tylko przepędzenia obcych. Oznaczał odwrócenie ról, dojście do władzy, odwet"[39]. Ostatecznie Ky wstąpił do armii francuskiej, gdzie został pilotem.

Pomimo ciężkich strat ponoszonych w starciach w okolicach Hanoi Wietminh wciąż poszerzał swoje „wyzwalane strefy" na północy. Szacuje się, że do roku 1952 kontrolował on już około jednej czwartej ludności na południu kraju, około trzech czwartych w środkowym Wietnamie i ponad połowę na północy. Francuzi przeznaczali olbrzymie środki na wznoszenie umocnień. Tak zwana Linia de Lattre'a, mająca bronić Delty Rzeki Czerwonej, wymagała wylania blisko 50 milionów metrów sześciennych betonu do posadowienia 2200 bunkrów, z których każdy otrzymał osobny numer poprzedzony skrótem PK – *poste kilométrique*. Tego rodzaju posunięcia idealnie wręcz współgrały z przyjętą przez Wietminh strategią *grignotage* – nadgryzania Francuzów: partyzanci sukcesywnie eliminowali takie odizolowane placówki, zawsze pod osłoną nocy. Z punktu widzenia obrońców wydarzenia zawsze rozgrywały się w podobny sposób: najpierw następował wybuch rozsadzający ogrodzenie z drutu kolczastego, a następnie rozlegały się okrzyki: *„Tien-len!"* – „Naprzód!", i do ataku przystępowała komunistyczna piechota. Jeszcze przed świtem Wietminh znikał, pozostawiając za sobą trupy, nierzadko okaleczone, a także poczerniałe ślady po eksplozjach pocisków moździerzowych i rakietowych na ziemi albo na betonie. A w Hanoi albo w Hajfongu jeden francuski oficer sztabowy szeptał

z przerażeniem do drugiego: „Słyszałeś, co się stało ostatniej nocy z PK141?”.

Ta wojna wykreowała po stronie francuskiej wielu interesujących przywódców, takich choćby jak zwalisty, rudobrody pułkownik Paul Vanuxem, pięćdziesięcioletni intelektualista, który postanowił zostać żołnierzem, choć miał wszelkie kwalifikacje, by piastować katedrę profesora filozofii. Z kolei major Marcel Bigeard walczył wcześniej w II wojnie światowej jako sierżant, a w roku 1944 zrzucono go ze spadochronem do Francji. Był jeszcze pułkownik Christian de Castries, kawalerzysta i dandys, który nigdy nie pokazywał się bez nieodłącznego jedwabnego szalika i starannie pielęgnował swoją reputację kobieciarza. Jeśli zaś chodzi o kobiety, tych również nie brakowało wśród walczących, by wspomnieć Valérie André, lekarkę, która dodatkowo pilotowała helikoptery, czy wielokrotnie odznaczaną podniebną pielęgniarkę Paule Dupont d’Isigny.

Jesienią 1952 roku Giap przeprowadził manewr koncentracji trzech swoich dywizji na wschodnim brzegu Rzeki Czerwonej z zamiarem zajęcia Nghia Lo, ważnego ze strategicznego punktu widzenia pasma górskiego. Dzięki nocnym marszom i umiejętności doskonałego maskowania się za dnia – idącym gęsiego żołnierzom kazano patrzeć wprost w kamuflaż plecaka poprzednika – manewr ten udało się przeprowadzić niezauważalnie dla Francuzów. Następnie w całej serii ataków, które rozpoczęły się 17 października, partyzanci opanowali długi łańcuch francuskich posterunków. Odwrót niedobitków francuskich oddziałów w kierunku Rzeki Czarnej osłaniał batalion sił specjalnych Marcel Bigearda, a operacja ta jeszcze długo śniła się po nocach tym, którzy ją przeżyli. Ludzie Bigearda zmuszeni byli pozostawiać za sobą rannych, a lokalna ludność opowiadała później, że na szlaku ich przemarszu znajdowano odcięte głowy tych nieszczęśników zatknięte na tyki przez kroczących w ślad za Francuzami partyzantów Wietminhu. Kiedy major i jego ocalali ludzie dotarli wreszcie do linii francuskich, powitani tam zostali jak bohaterowie, co nie zmienia faktu, że w bitwie o Nghia Lo Francuzi ponieśli bardzo bolesną porażkę.

W kwietniu 1953 roku komuniści otworzyli nowy front walk w Laosie, by jeszcze bardziej rozciągnąć francuskie siły. Do czerwca chińskie dostawy sprzętu i amunicji wzrosły z 250 ton w tym samym okresie poprzedniego roku do 2 tysięcy ton miesięcznie i obejmowały między innymi rosyjskie ciężarówki GAZ i spychacze. Tymczasem po stronie francuskiej brakowało nawet oficerów i podoficerów, przy czym działo się to w sytuacji, w której duża część żołnierzy z Afryki Północnej była bardzo słabo wyszkolona, a w ducha bojowego 110 tysięcy żołnierzy zwerbowanych na miejscu nikt specjalnie nie wierzył. Latem 1953 roku, wkrótce po tym, jak stanowisko głównodowodzącego sił francuskich w Indochinach objął generał Henri Navarre, z wizytą w Sajgonie zjawił się generał O'Daniel, „Żelazny Mike", wówczas dowodzący amerykańskimi siłami zbrojnymi na Pacyfiku. W charakterystycznym dla siebie stylu amerykański sojusznik wezwał Francuzów, by „wzięli się do roboty", to znaczy przyjęli bardziej agresywną postawę wobec Wietminhu. Jak argumentował O'Daniel, doświadczenia w Korei pokazały, że kiedy lekko uzbrojonym oddziałom chińskim udawało się zaskoczyć wojska amerykańskie na otwartej przestrzeni, wówczas czasem odnosiły nad nimi zwycięstwo. Ale kiedy Amerykanie potrafili sprokurować takie okoliczności, w których ich siły zajmowały dobrze przygotowane pozycje osłaniane przez lotnictwo i artylerię, to byli oni w zasadzie nie do pokonania. Dlaczego zatem Francuzi nie zaaranżują pola bitwy w podobny sposób? Navarre zgodził się ze swoim rozmówcą. Z miejsca przystąpił do poszukiwania takiego terenu, na którym uwypukliłyby się francuskie przewagi i słabości Wietminhu. I wybrał Dien Bien Phu.

3
Wyimaginowana forteca

1. CZEKAJĄC NA GIAPA

W Indochinach podjęto tak wiele „fatalnych decyzji", że krzywdzące byłoby uznanie którejkolwiek z nich za kluczową, ale gdyby rzeczywiście trzeba było tak uczynić, to wybór dokonany w listopadzie 1953 roku nadawałby się tutaj znakomicie, jako że z praktycznego punktu widzenia ostatecznie rozstrzygnął on, kto miał być zwycięzcą, a kto pokonanym w tej wojnie. Bitwa pod Dien Bien Phu nie była specjalnie duża, angażując po stronie kolonialistów zaledwie jedną dywizję wojska. A jednak nabrała ona decydującego znaczenia moralnego, ponieważ doszło do niej z inicjatywy Francuzów, którzy zamierzali wciągnąć Wietminh do walki na niekorzystnych dlań warunkach, po czym przegrali z powodów odzwierciedlających ich kompletne partactwo. Przełożeni Navarre'a w Paryżu byli w tamtych dniach równie pogubieni jak sam generał i nie potrafili podjąć żadnej decyzji ani w kwestii kontynuowania walki, ani jej przerwania. Francuski Komitet Obrony Narodowej po obradach zakończonych w listopadzie wydał komunikat, że strategicznym celem Francji jest „zmuszenie wroga do uznania niemożności osiągnięcia decydującego rozstrzygnięcia militarnego"[1]. Cel ten zaś należało osiągnąć, przeprowadzając karne ekspedycje przeciwko części albo wszystkim sześciu regularnym formacjom Giapa działającym na północy. A mimo to, kiedy wkrótce potem wysłano do Sajgonu admirała Georges'a Cabaniera, zawiózł on Navarre'owi instrukcje, by nie podejmował samodzielnie żadnych ambitnych inicjatyw: wszystkie ważne decyzje miały być odtąd pozostawiane politykom.

2 listopada generał postanowił jednak ponownie zająć przy użyciu siły dawny obóz w Dien Bien Phu, położony niespełna 300 kilometrów na zachód od Hanoi, blisko granicy z Laosem. Decyzja ta została podjęta bez specjalnego rozeznania wywiadowczego odnośnie do położenia nieprzyjaciela i jego zamiarów. Giap był zresztą zawsze lepiej poinformowany od swoich francuskich odpowiedników, częściowo dzięki wysoko umiejscowionym komunistom w Paryżu, stawiającym na pierwszym miejscu lojalność wobec Partii, a dopiero na drugim wobec *tricolor*[2]. Nie przeszkodziło to Navarre'owi twierdzić już po fakcie: „Byliśmy absolutnie przekonani o naszej wyższości pod względem umocnionych pozycji obronnych". Zastępcą Navarre'a odpowiedzialnym za region Tonkinu był generał dywizji René Cogny, wielki i zadufany w sobie czterdziestodziewięciolatek, który przeżył więzienie Gestapo podczas II wojny światowej. Cogny postulował koncentrację sił na obronie Delty Rzeki Czerwonej, ale przystał na ten nowy plan przełożonego.

Rozumowanie francuskich dowódców było następujące: tworząc wysuniętą tak daleko na zachód umocnioną bazę powietrzno-lądową i obsadzając ją silnym garnizonem zdolnym do organizowania sprawnych wypadów, można było krzyżować szyki Wietminhowi, a zarazem zadać mu solidny cios, gdyby odważył się zaatakować obóz. Ponadto zajęcie skupiska małych osad znanego jako Dien Bien Phu odcięłoby Giapowi dostęp do rozległych terenów, na których uprawiano ryż i opium. I choć baza leżała daleko od Hanoi, to dysponowała własnym pasem startowym, wobec czego Cogny mógłby użyć 69 samolotów C-47 Dakota, które miał do dyspozycji, by móc transportować dzień w dzień 80 ton zaopatrzenia niezbędnego dla jej funkcjonowania. Jak oceniano, największe zagrożenie dla sił francuskich związane było z ich początkowym lądowaniem w tak zwanej gorącej strefie, w której – jak wiedziano – operował jeden z batalionów Wietminhu.

Navarre, pięćdziesięciopięcioletni weteran I wojny światowej, oceniał ryzyko jako akceptowalne. Poza niewątpliwą odwagą osobistą cechował go pewien chłód emocjonalny, był też nader przystojny, jednak oprócz wspaniałej prezencji i odrobiny zarozumialstwa nie miał większego

doświadczenia w dowodzeniu na wysokim szczeblu. Do Indochin przybył minionego maja z wytycznymi, które aż za dobrze poznali jego późniejsi amerykańscy następcy: stworzyć możliwość negocjacji z pozycji siły warunków wycofania wojsk. W końcu waszyngtoński guru, ponury i bezwzględny John Foster Dulles, sześćdziesięciopięcioletni prawnik, który pełnił funkcję sekretarza stanu w administracji Eisenhowera, nie bez powodu powoływał się na precedens Korei, gdzie siły Organizacji Narodów Zjednoczonych walczyły zażarcie aż do samego końca – a działo się to tylko sześć miesięcy wcześniej – dając delegacji ONZ silny mandat podczas pertraktacji w Panmundżom. Niezależnie więc od tego, co mówili później podkomendni Navarre'a, nie ma żadnych przekonujących dowodów, że którykolwiek z nich postrzegał czynniki ryzyka pod Dien Bien Phu jako nierozwiązywalne problemy; bardziej już jako kwestie taktyczne do dopracowania – w każdym razie z całą pewnością żaden nie przewidywał, że cała ta operacja może zakończyć się jedną wielką katastrofą.

Pierwsze dwa bataliony francuskich i wietnamskich skoczków spadochronowych zrzucono o godzinie 10.35 w piątek 20 listopada, tuż przed spotkaniem Navarre'a z Cabanierem, wysłannikiem z Paryża. Generał niemal na pewno znał ogólną naturę wytycznych przywożonych mu przez admirała – w największym skrócie: nie wychylać się – wobec czego umyślnie przyspieszył termin rozpoczęcia operacji. Na nieszczęście Francuzów ich operacja wręcz doskonale wpisała się w plany Wietminhu. Podczas październikowego spotkania w prostej bambusowej chacie głęboko w górach Ho Chi Minh, Giap i naczelny ideolog Truong Chinh zgodzili się, że walki o Deltę Rzeki Czerwonej jedynie umożliwiały Francuzom dysponowanie swoim wojskiem i sprzętem w pobliżu własnych baz, a wobec tego celem Wietminhu powinno być skłonienie ich do rozproszenia sił, a następnie uderzenie, gdy zapuszczą się możliwie najdalej. Z charakterystyczną dla siebie gestykulacją i retoryką Ho uniósł zaciśniętą pięść, porównał ją do francuskich sił zgromadzonych na wschodzie, a potem skonkludował: „Ale jeśli otworzyć rękę, można bez trudu połamać jej palce jeden po drugim". Z punktu widzenia Ho Navarre właśnie postanowił wyciągnąć

jeden z palców daleko na zachód, aż do Dien Bien Phu, a zatem idealnie wpisał się w rolę przewidzianą dlań przez Wietminh.

Pierwsza odsłona dramatu rozegrała się już w momencie opuszczania przez francuskich i wietnamskich spadochroniarzy względnie bezpiecznych kadłubów samolotów C-47. Przy wtórze głośno i miarowo wyszczekiwanych komend jeden po drugim wyskakiwali z ciemnych czeluści maszyn wprost w jasne bezchmurne niebo 200 metrów nad przewidzianą strefą lądowania. W grupie twardych i nieugiętych francuskich oficerów kołyszących się teraz wolno pod czaszami swoich spadochronów był też pułkownik Pierre Langlais, czterdziestoczteroletni Bretończyk cechujący się olbrzymią odwagą, ale dość ograniczonym intelektem, a do tego powszechnie znaną porywczością charakteru. Zgodnie z przewidywaniami skoczków przywitał na ziemi gęsty ostrzał: pewien oficer medyczny, wykonujący swój pierwszy w życiu skok bojowy, dostał kulę w głowę, zanim jeszcze dotknął stopami gruntu. Do zapadnięcia zmroku atakującym udało się jednak zmusić Wietminh do odwrotu i wznieść prowizoryczne umocnienia; zadali przy tym nieprzyjacielowi poważne straty, choć kosztem 15 zabitych i 34 rannych po swojej stronie. Sam Langlais klął i wydzierał się nawet bardziej niż zwykle, bo złamał sobie kostkę podczas lądowania, co dosyć często zdarza się spadochroniarzom, i musiano go ewakuować do szpitala, gdzie na kolejny miesiąc założono mu na stopę gips.

Następnego dnia na niebie pojawiły się amerykańskie transportowce Fairchild C-119, które zrzuciły atakującym ciężki sprzęt i pojazdy – wciąż nie można było lądować na pasie startowym zniszczonym przez Wietminh. Do chwili zakończenia walk o Dien Bien Phu Francuzi wykorzystali tam blisko 60 tysięcy spadochronów; nic dziwnego, że na zdjęciach z powietrza dominują białe i kolorowe plamki porozrzucane po całej przestrzeni. Kiedy tylko spychacze wyrównały jako tako pas startowy, sprowadzono posiłki, dzięki którym garnizon osiągnął swoją wielkość docelową, to jest 12 tysięcy żołnierzy.

Na komendanta obozu wyznaczono pułkownika Christiana de Castries, pięćdziesięciojednoletniego wojskowego z arystokratycznej rodziny, który w swoim rodowodzie mógł się pochwalić jednym

marszałkiem, jednym admirałem i aż dziewięcioma generałami. W wolnym czasie lubił uprawiać jeździectwo i nawet zdobył w tym sporcie liczne medale oraz niemałą sławę, a już w Indochinach odniósł poważne rany od miny. Po Dien Bien Phu jego krytycy zarzucali mu tchórzostwo, twierdząc, że przez cały czas czaił się w swoim bunkrze, ale wcześniejsze dokonania de Castriesa czynią tego rodzaju zarzuty mało prawdopodobnymi. Inaczej wygląda moralna ocena jego poczynań: niewątpliwie brakowało mu daru przywództwa i zdolności przekonywania, a w miarę jak sytuacja jego ludzi ulegała pogorszeniu, pogrążał się coraz głębiej w ponurym fatalizmie. Nie sposób jednak obwiniać go w pełni o rezultat tego starcia – w końcu architektami byli tu Navarre i Cogny. Nie zmienia to faktu, że popełnił wiele błędów taktycznych, wynikających zarówno z otrzymywanych wytycznych, jak i z własnej nieporadności.

Dien Bien Phu opisywano wielokrotnie przy użyciu słowa „forteca", choć na dobrą sprawę było mu do niej bardzo daleko. W rzeczywistości chodziło tu raczej o łańcuch niewielkich wzgórz pośrodku rozległej równiny, nad którą górowały gęsto porośnięte lasami góry, a wzgórz tych bronił zaledwie pierścień okopów, wydrążonych z szokującym wręcz niedbalstwem. Tylko nieliczne z pozycji obronnych przygotowanych w ciągu kilku miesięcy przed atakiem Wietminhu zostały umocnione w wystarczający sposób: wielu żołnierzom w garnizonie nie brakowało odwagi, ale na kopanie rowów zapatrywali się już raczej z pogardą. A ich dowódcy pokładali ufność przede wszystkim w całodobowym moście powietrznym z Hanoi.

Tymczasem wysoko w górach Giap zbierał informacje, między innymi z francuskojęzycznej prasy, którą jego sztab chciwie pochłaniał, a która donosiła o tym, że Navarre zamierza już wkrótce przejść do ataku. Podjęta przez generała z Wietminhu decyzja o uprzedzeniu tego ataku i przeniesieniu pola walki bezpośrednio na terytorium zajmowane przez nieprzyjaciela – poprzez zaangażowanie znaczących sił do zaatakowania jego obozu – wynikała ze zmiany w równowadze potencjałów bojowych, o której we francuskiej kwaterze głównej w Hanoi nic jeszcze wtedy nie wiedziano. Oto Chińczycy dostarczyli Wietminhowi amerykańskie haubice M2A1 kaliber 105 mm,

przechwycone od pokonanych nacjonalistów, a także moździerze kaliber 120 mm i działa przeciwlotnicze kaliber 37 mm. Wszystkie te rodzaje broni dawały artylerzystom Giapa znacznie zwiększoną możliwość rażenia wroga, a dodatkowo pociski kaliber 105 mm mogły dosięgnąć celu po wystrzeleniu z bezpiecznej odległości 11 kilometrów.

Ale najważniejsze, jeśli nie wręcz historyczne, znaczenie miała inna decyzja Giapa, w której istotną rolę odegrali zapewne – bo nigdy tego nie udowodniono – jego chińscy doradcy. Jej charakter był czysto logistyczny: Giap musiał przekonać najpierw samego siebie, a następnie politbiuro, że jego ludzie potrafią przeciągnąć całą tę ciężką artylerię – a każda sztuka otrzymanej od Chińczyków broni ważyła dobrze ponad 2 tony – na odległość 800 kilometrów przez tereny należące do najbardziej nieprzebytych w całej Azji, a przy tym przenieść zapasy żywności, która wystarczyłaby na długie miesiące oblężenia dla czterech dywizji zaangażowanych w całą operację. Aby podołać temu zadaniu, 6 grudnia we wszystkich „wyzwolonych strefach" ogłoszono powszechną mobilizację, na mocy której zewsząd ściągano chłopskich tragarzy, a każdy z nich musiał odsłużyć co najmniej miesiąc, zanim mógł powrócić do siebie, całkowicie wyczerpany, wychudzony i wyniszczony przez choroby. Dodatkową motywacją dla wszystkich tych mężczyzn i kobiet miała być obietnica rychłej reformy rolnej – nagrody za ich wysiłek i za ostateczne zwycięstwo. Obok dobrze znanego już wojskowego sloganu: „Wszystko na front, wszystko dla zwycięstwa!", pojawił się teraz kolejny: „Ziemia dla chłopów!".

Giap przeniósł też swoją kwaterę, wysuwając ją aż o blisko 500 kilometrów do przodu, za to zaledwie o 15 kilometrów od obozu Francuzów. Umieścił ją w grupie odpornych na bombardowanie jaskiń oraz tuneli wydrążonych przez ludzi w pobliskich górach. Tam 5 stycznia 1954 roku po raz pierwszy rozłożył swoje mapy sztabowe, a jego współpracownicy zaczęli publikować gazetkę dla żołnierzy. Oprócz wiadomości i haseł propagandowych zamieszczano w niej również mocno przejaskrawione karykatury. Jedna z nich ukazywała Francję jako grubą i brzydką kobietę, która właśnie urodziła Dien Bien Phu i leży bez ruchu pośród małych ubranych na czarno postaci

odcinających pępowinę tożsamą z mostem powietrznym – co właśnie miało nastąpić za dosłownie kilka tygodni.

Komunistyczni logistycy i inżynierowie opracowywali pomysłowe drogi dostaw: na części odcinków woziły je sowieckie ciężarówki GAZ, a tam, gdzie nie było już żadnych dróg, rozładowywali je chłopscy tragarze, którzy potem ponownie ładowali towary na kolejne ciężarówki. Ryż sprowadzany był w dużej części tratwami z Chin i spławiany w dół Rzeki Czarnej. Giap zadekretował, by na polu bitwy zgromadzono tysiąc ton amunicji – przy czym pojedynczy nabój kaliber 105 mm ważył 20 kilogramów. A kiedy po forsownym marszu piechurzy Wietminhu dotarli wreszcie do Dien Bien Phu, z miejsca dostali zadanie kopania rowów i spuszczania do nich na linach zaopatrzenia. Wzdłuż całej przebytej przez nich drogi bardzo dbano o kamuflaż. W dżungli wiązano ze sobą wierzchołki drzew, bo stworzyć pod nimi swoisty tunel, a mosty na rzekach budowano w taki sposób, by były niewidoczne z powietrza. Na otwartej przestrzeni w ślad za ciężarówkami podążały ekipy zacierające ślady ich opon. A kiedy zdarzyło się, że oddziały wypatrzył i ostrzelał jakiś francuski samolot, jedyną pomoc rannym nieśli studenci medycyny, wyposażeni w szmaty i ludowe środki uśmierzające ból.

Jeśli zaś chodzi o transport dział, oficer Wietminhu Tran Do opisał codzienną rutynę powtarzającą się długimi tygodniami: „Każdej nocy, kiedy w doliny schodziła gęsta, marznąca mgła, grupy ludzi zabierały się do roboty (…). Szlak był tak wąski – [a dodatkowo] wkrótce zamienił się w grzęzawisko po kostki – że najmniejszy skręt kół doprowadziłby do spadku działa aż na sam dół przepaści. Wylewając litry potu i łez, ciągnęliśmy je, jedno po drugim, na wyznaczone pozycje, a ludzie odgrywali rolę ciężarówek (…). Jedliśmy wyłącznie ryż, zwykle albo niedogotowany, albo rozgotowany, bo kuchnie nie mogły dymić za dnia ani świecić iskrami nocą. Podczas podchodzenia pod górę setki ludzi ciągnęły działa na długich linach, a dodatkowo zabezpieczano je przed obsunięciem się wyciągarką zamocowaną na szczycie. Ale jeszcze trudniejsze były fragmenty szlaku schodzące w dół: działa zdawały się tam ważyć o wiele więcej, a szlak zawsze zakręcał i meandrował. Obsługa dział sterowała nimi i podkładała kliny pod ich koła, podczas

gdy piechota obsługiwała liny i wyciągarki. Przez jedną taką noc przy świetle latarek potrafiliśmy przemieścić jedno działo na odległość pięciuset, a czasami nawet i tysiąca metrów”[3]. Propaganda Wietminhu uznała pośmiertnie za bohatera jednego z ludzi, który rzucił się pod koło któregoś z dział, by zapobiec jego ześlizgnięciu się w przepaść.

Francuski wywiad, z trudem nadążający z monitorowaniem tej gorączkowej aktywności Wietminhu na północnym zachodzie, oceniał, że Giap był w stanie zebrać zaledwie 20 tysięcy tragarzy zdolnych do przetransportowania żywności dla mniej więcej takiej samej liczby żołnierzy. W rzeczywistości jednak komuniści zmobilizowali ich aż 60 tysięcy. Ważnym ogniwem łańcucha zaopatrzenia stały się zwłaszcza wzmocnione rowery, każdy z nich zdolny przewieźć ładunek o wadze 55 kilogramów, a w razie konieczności nawet i do 90 kilogramów. Komunistyczni przywódcy potrafili ponadto zmotywować swoich ludzi, zarówno żołnierzy, jak i tragarzy, do takich poświęceń i tak wielkiego wysiłku fizycznego, że – jak miało się już wkrótce okazać – tylko niewielu Francuzów albo walczących po ich stronie najemników potrafiło im dorównać. Pewien jeniec Wietminhu był pod ogromnym wrażeniem, kiedy w odpowiedzi na apel dowództwa o zgłaszanie się ochotników do rozbrajania francuskich bomb z opóźnionym zapłonem ręce uniosło aż dziesięciu partyzantów.

Bitwa o Dien Bien Phu rozwijała się niczym film w zwolnionym tempie, jako że od początkowego lądowania francuskich spadochroniarzy 20 listopada do pierwszego natarcia przypuszczonego przez Giapa w marcu upłynęło ponad sto dni. Od samego początku Wietminh nie pozwalał jednak Francuzom zapuszczać się zbyt daleko poza obręb swojej bazy. W grudniu dwa bataliony komandosów, które zrobiły wypad do odległej o 15 kilometrów wioski, zostały zaatakowane przez partyzantów i zmuszone do wycofania się. W tej sytuacji Navarre wydał Christianowi de Castries nowe rozkazy: miał po prostu za wszelką cenę utrzymać obóz. A kiedy Francuzom udało się wreszcie sprowadzić swoją ciężką artylerię: cztery działa kaliber 155 mm, a do tego haubice kaliber 105 mm i moździerze kaliber 120 mm, nabrali oni przekonania, że nieprzyjaciel nie będzie w stanie poważnie im zagrozić. Tyle że niezwykle trudne okazało się identyfikowanie celów

artyleryjskich: słaba jakość map znacząco utrudniała życie obserwatorom, zarówno na ziemi, jak i w powietrzu, a zresztą ciężka broń wroga z rzadka w ogóle była widoczna.

Przez cały grudzień do francuskiego dowództwa docierały kolejne raporty wywiadu, które mocno niepokoiły Navarre'a i Cogny'ego – choć najwyraźniej w mniejszym stopniu, niż powinny. Dzięki nim wiedzieli już, że w górach na północy operują aż cztery dywizje Wietminhu, tyle że nie znali celu tych ruchów – poprzez akcje dywersyjne w regionie Płaskowyżu Centralnego i w Delcie Rzeki Czerwonej nieprzyjaciel utrzymywał Hanoi w stanie ciągłej niepewności. Dotychczasowy przebieg tej wojny wskazywał, że za każdym razem, kiedy nacierający Wietminh napotykał silny opór ze strony Francuzów, jego dowódcy zarządzali odwrót. Również i teraz obaj generałowie założyli więc, że jeśli tylko armia Giapa zostanie pod Dien Bien Phu zdecydowanie odepchnięta, wówczas podkuli ogon i ucieknie. Pewien korespondent wojenny gazety „Le Monde", który odwiedzał akurat obóz, przekazał swoim czytelnikom, że powszechnie panujące w nim nastroje można by streścić słowami: *„On va leur montrer!"* – „Teraz im pokażemy!"[4].

Z końcem roku Navarre wreszcie zorientował się, że Wietminh ma i przemieszcza haubice: 31 grudnia zaraportował do Paryża, że może dojść do sytuacji, w której obozu nie będzie dało się obronić. Ale mimo takich alarmistycznych prognoz w pierwszych tygodniach 1954 roku największym wrogiem garnizonu wciąż pozostawała wszechobecna nuda. Przerwał ją na jakiś czas powrót ze szpitala pułkownika Langlais'go, który wciąż miał mocno obandażowaną kostkę i poruszał się po obozie na grzbiecie małego kucyka. Patrole wysyłane poza bazę jak zawsze napotykały wroga i ponosiły pewne straty. Wielu ludzi niemal z utęsknieniem czekało na atak Wietminhu, aby jak najszybciej odepchnąć wroga z powrotem w góry i móc wreszcie powrócić do Hanoi i tamtejszych jaskiń rozpusty. Byli jednak i tacy, którzy przeczuwali, co się święci. Podpułkownik Jules Gaucher napisał do żony 11 stycznia: „Czas biegnie powoli i nie dzieje się nic interesującego. Mówią nam jednak, że wkrótce nadejdą ciężkie czasy, które wytrącą nas z tej codziennej rutyny. A plotka głosi, że chcą nas tutaj wszystkich poświęcić"[5].

W ciągu kolejnych kilku tygodni garnizon zorganizował parę wypadów z zamiarem zniszczenia choć części potencjału artyleryjskiego nieprzyjaciela, ale wszystkie one zakończyły się fiaskiem. Równie mało skuteczne okazały się próby przerwania szlaków zaopatrzenia Giapa poprzez ataki z powietrza, częściowo z powodu niewielkiej precyzji, jaką wykazywały się francuskie załogi amerykańskich bombowców B-26 Marauder: Langlais i jego ludzie znaleźli się kiedyś pod ostrzałem z powietrza, ale kiedy zameldował on o prawdopodobnym ataku Chińczyków, okazało się, że trafiły ich tylko jakieś zabłąkane pociski francuskie[6]. Pomyłki tego rodzaju zdarzały się również dlatego, że wiele ładunków bombowych zrzucano z wysokości aż 4 tysięcy metrów. Dodatkowo w dużej odległości od Dien Bien Phu Wietminh aranżował nocne ataki swoich komandosów mające zarówno unieruchomić część francuskich sił powietrznych, jak i odwrócić uwagę samego Navarre'a. W czasie takich ataków na lotniska wojskowe wokół Hanoi i Hajfongu zniszczonych zostało 20 samolotów, z czego większość stanowiły cenne maszyny C-47.

Począwszy od grudnia, Navarre i jego współpracownicy, ale także ich przełożeni w Paryżu, mieli już niemal pełny obraz sytuacji wyłaniający się z raportów wywiadu, z którego wynikało, że Francuzom grozi pod Dien Bien Phu krwawa katastrofa. Mimo to nikt z decydentów nie miał odwagi przerwać całej operacji, zapewne dlatego, że zabójcza mieszanka dumy, fatalizmu, głupoty i moralnej słabości nie pozwalała żadnemu z nich przyznać się do popełnionego błędu. Gdyby garnizon z Dien Bien Phu po prostu wtedy ewakuowano, nikt poza Wietnamem w ogóle nigdy nie usłyszałby o tym miejscu. Byłoby to jedno z licznych przegrupowań sił, nieróżniące się zasadniczo od tylu wcześniejszych przypadków opuszczania trudnych do obrony baz. Główna odpowiedzialność za brak takiej decyzji spada rzecz jasna na Navarre'a, ale na potępienie zasługuje w zasadzie cała francuska klasa polityczna i kadra dowódcza. Przekleństwem tego kraju był sam fakt, że rządzili i dowodzili w nim ludzie obciążeni upokorzeniami poprzedniej dekady, a wobec tego zdeterminowani, by każdą swoją decyzją starać się przywrócić Francji jej narodowy honor, ożywić chwałę *la patrie*.

Niestety, kierując się tym duchem, doprowadzili oni do jednej z najłatwiejszych do uniknięcia klęsk militarnych w całym XX wieku.

W ostatnim tygodniu stycznia obrońcy zostali postawieni w stan najwyższej gotowości bojowej: wywiad raportował, że Wietminh planuje wielką ofensywę dosłownie w ciągu najbliższych godzin. Wywiad się nie mylił: taki faktycznie był plan, ale Giap zmienił go w ostatniej chwili. U podstaw wszystkich ostatnich sukcesów naczelnego dowódcy Wietminhu leżały zawsze staranne i drobiazgowe przygotowania. Ku frustracji swoich podkomendnych Giap zdecydował teraz, że warunki pod Dien Bien Phu nie były jeszcze wystarczająco sprzyjające. Owszem, na miejsce dotarli już wszyscy jego ludzie, ale wciąż nie całość ogromnych zapasów amunicji artyleryjskiej i moździerzowej, jakie zamierzał zgromadzić. W tej sytuacji postanowił przesunąć zaplanowany wcześniej termin ataku.

Opóźnienie to oznaczało jednak, że bitwa, do której już wkrótce miało dojść, z dużym prawdopodobieństwem mogła się przeciągnąć aż do pory deszczowej, która akurat w tym regionie potrafiła być bardzo, ale to bardzo mokra. Giap liczył jednak na to, że jego ludzie, poukrywani na wzgórzach, będą mniej narażeni na złe warunki pogodowe niż francuski garnizon, umiejscowiony na odkrytej równinie. Za to w Paryżu dobrze zdawano sobie sprawę i z tego zagrożenia: pewien wysoki rangą oficer zauważył ponuro, że do kwietnia, aby udać się gdziekolwiek ze swojego stanowiska dowodzenia, de Castries będzie musiał brodzić w wodzie po kolana. „Sądziliśmy, że uda nam się zniszczyć trzy z najlepszych dywizji Wietminhu. A zamiast tego nieprzyjaciel związał ważną część naszych sił i to on mógł swobodnie manewrować wokół nas”[7]. Powrócono na krótko do dyskusji o ewakuacji, ale teraz wiązałaby się już ona z koniecznością porzucenia olbrzymich ilości sprzętu wojskowego, a także z niemal pewnym poświęceniem całej tylnej straży. Odstąpiono zatem od rozważania takiego kroku.

Przez siedem kolejnych tygodni, które wydawały się całą wiecznością zarówno oblegającym, jak i obleganym, obie strony obrzucały się wyłącznie złymi spojrzeniami zza krzaków, wzgórz czy umocnień. Samoloty dostarczały zaopatrzenie i odlatywały. Poza terenem bazy

doszło do kilku utarczek, a sam obóz odwiedziło kilku dostojnych gości – ważne figury wojskowe i polityczne, prozaik Graham Greene, amerykański generał Mike O'Daniel – i wszyscy wyszli z tego cało i zdrowo. Naloty z powietrza na linie zaopatrzeniowe Wietminhu nie czyniły mu specjalnych krzywd. Załogi samolotów były niedoświadczone, a stare i wysłużone maszyny, na których latały, nie przypadkiem zwano *les pièges* – pułapkami. Wielu spośród 650 francuskich lotników, którzy zginęli w Indochinach, padło ofiarą błędu człowieka albo usterki mechanicznej, a nie działań nieprzyjaciela. Wietminh szybko nauczył się zresztą, że naloty były wprawdzie głośne i nieprzyjemne, ale powodowały w jego szeregach zaskakująco niewiele strat. Pewien młody człowiek, który przeżył jeden z takich ataków powietrznych na swoją wioskę, napisał: „Bomby i ostrzał z powietrza bardziej wystraszyły ludzi, niż im zaszkodziły (...) [A] kiedy bombardowania się powtarzają, ludzie boją się coraz mniej"[8]. Ponadto wokół Dien Bien Phu francuskie samoloty napotykały coraz silniejszy ogień z sowieckich dział przeciwlotniczych kaliber 37 mm. W samym tylko grudniu trafione zostały, choć nie zawsze poważnie, aż 53 maszyny. A w kolejnych miesiącach, w miarę jak pogoda zaczynała się powoli pogarszać wraz ze zbliżaniem się pory deszczowej, posługujący się techniką nawigacyjną z czasów II wojny światowej piloci narażeni byli na jeszcze większe niebezpieczeństwa, co prowadziło do wciąż rosnących strat w powietrzu.

Z punktu widzenia Navarre'a bardziej niepokojące od wszystkich problemów na samym polu bitwy były jednak doniesienia z Europy, które momentalnie podniosły stawkę starcia pod Dien Bien Phu: oto miał się odbyć szczyt wielkich mocarstw, a w trakcie tej konferencji zaplanowano jakieś negocjacje. Jego żołnierze natychmiast wyczuli aż nadto znajomy dla wszystkich Francuzów brzydki zapach: zapowiedź nieuchronnej zdrady. Nie dość, że coraz bardziej oczywisty stawał się fakt, iż ich własne wysiłki wywalczenia zwycięstwa w Indochinach z bronią w ręku wiodą donikąd, to teraz jeszcze pojawiła się całkiem realna groźba ostatecznej porażki wskutek machinacji polityków, którymi oni sami szczerze pogardzali.

Tymczasem zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie narastało zaniepokojenie przedłużającą się batalią w Indochinach. Kiedy jeszcze w trakcie trwania II wojny światowej uruchomiono program Manhattan, mający doprowadzić do stworzenia pierwszych bomb atomowych, brytyjski premier Winston Churchill z dużą naiwnością, by nie rzec: niefrasobliwością, traktował jego implikacje. Ale już dekadę później mimo postępującej demencji starczej ów doświadczony polityk wykazywał o wiele większe uwrażliwienie na możliwość wybuchu wojny nuklearnej niż wielu jego amerykańskich odpowiedników, w tym sam prezydent Dwight Eisenhower. Churchill i jego minister spraw zagranicznych Anthony Eden dobrze rozumieli, że nowo stworzona bomba wodorowa nie była tylko kolejną zabawką wojskowych i że nawet sama groźba jej użycia w celu realizacji swoich priorytetów polityki zagranicznej stanowiła niezwykle poważne ryzyko dla świata.

Tymczasem amerykańska administracja, rozważając różne opcje działania, całkiem na serio zakładała zbombardowanie Chin w celu ukarania Mao Zedonga za wspieranie Wietminhu. Brytyjczycy byli wręcz przerażeni taką możliwością. I choć tylko nieliczni Amerykanie – za to nierzadko noszący mundury z gwiazdami generalskimi – mówili wprost o „zrzuceniu atomówki" na Chińczyków, to przecież nawet konflikt konwencjonalny mógł bardzo szybko przekształcić się w wojnę nuklearną. Brytyjczycy wciąż wierzyli w sztukę dyplomacji, którego to przekonania nie podzielała jednak administracja Eisenhowera, z coraz większą pogardliwością zarzucająca swoim sojusznikom rzekome tchórzostwo. Amerykańscy konserwatyści postrzegali wręcz brytyjską gotowość do rozmów dyplomatycznych z Chinami i ZSRS jako powrót do polityki „ugłaskiwania" (*appeasement*).

Proces wychodzenia Francuzów z Indochin uległ przyspieszeniu po trudnym i pełnym napięcia spotkaniu ministrów spraw zagranicznych w Berlinie w styczniu 1954 roku. Reprezentujący Rosję Wiaczesław Mołotow nalegał na zwołanie konferencji, podczas której reprezentowane byłby również komunistyczne Chiny – do tej pory wykluczane ze wszystkich międzynarodowych narad na wyraźne życzenie Amerykanów. Argumentował, że tylko w ten sposób możliwe

byłoby rozwiązanie narastających kwestii w Azji, w tym zwłaszcza konfliktów w Korei oraz w Indochinach. Amerykański sekretarz stanu John Foster Dulles w ogóle nie chciał o tym słyszeć. Sama koncepcja zasiadania przy jednym stole z komunistycznymi uzurpatorami z Chin była dlań nie do zaakceptowania. Za to Eden z całą mocą poparł ten pomysł, powołując się dodatkowo na poparcie Churchilla. Francuski minister Georges Bidault także się na to zgadzał: jego chwiejący się w posadach rząd rozpaczliwie potrzebował jakiegokolwiek sukcesu, a takim mógłby się okazać dialog z Pekinem na temat przerwania jego wsparcia dla Wietminhu. Osamotniony Dulles z niechęcią przystał więc na propozycję Mołotowa. 18 lutego ministrowie spraw zagranicznych ogłosili, że planowana konferencja odbędzie się w Genewie 26 kwietnia, przewodniczyć jej będą wspólnie Wielka Brytania i Rosja, a zaproszone zostaną wszystkie zainteresowane strony.

Obie armie w Indochinach zupełnie nieoczekiwanie zyskały więc teraz dodatkową motywację: wywalczyć możliwie silną pozycję na polu bitwy przed rozpoczęciem politycznych negocjacji. Navarre i jego podkomendni odebrali to jednoznacznie: zaprzestali wyrażania jakichkolwiek obaw i wątpliwości, które narastały w nich od grudnia, a zamiast tego zaczęli głosić puste slogany o niewątpliwym zwycięstwie. Ośmielony taką pewnością siebie swoich wojskowych rząd w Paryżu z miejsca odrzucił propozycję przywódcy Indii, Jawaharlala Nehru, by ogłosić w Indochinach natychmiastowe zawieszenie broni. I choć wydaje się mało prawdopodobne, by Wietminh również zgodził się na taki rozejm, to pozostaje faktem, że Francuzi odrzucili tym sposobem jedyną – i z całą pewnością ostatnią – szansę na wycofanie się spod Dien Bien Phu z takim samym stanem posiadania, jaki mieli przed rozpoczęciem całej operacji.

2. NADCIĄGA KATASTROFA

Tymczasem z dala od Paryża, pośród umocnień z czerwonej gliniastej ziemi, ciągłego ruchu jeepów i sporadycznego ostrzału artyleryjskiego, w wysuniętej placówce w zachodnim Tonkinie, Francuzi ze

zdumieniem odkryli kolejne nieoczekiwane posunięcia w obozie nieprzyjaciela. Konwencjonalna sztuka wojskowa nakazywała ustawianie własnych baterii artylerii za wzniesieniami, a więc poza bezpośrednim zasięgiem ognia nieprzyjaciela. A mimo to Giap, wprowadzając niejako nowe reguły, rozmieścił swoje haubice na opadających zboczach górskich, tak że ich lufy skierowane były w dół, ku pozycjom de Castriesa, mając większość z nich w zasięgu ognia. Niemniej działa te pozostawały praktycznie niedostępne dla artylerii francuskiej, ponieważ umieszczono je w specjalnie wydrążonych tunelach, z których wyprowadzane były dopiero tuż przed planowanym wystrzałem. Równina Dien Bien Phu leżała na wysokości 300 metrów n.p.m.; najbardziej wyniesione pozycje francuskie znajdowały się o mniej więcej 200 metrów wyżej. A tymczasem zaledwie 5 kilometrów dalej komuniści ustanowili na zboczach gór linię o średniej wysokości blisko 1100 metrów. Artyleria Giapa uzyskała w ten sposób znakomity przegląd pola i już wkrótce miała ten atut w pełni wykorzystać, siejąc prawdziwe spustoszenie wśród wojsk francuskich.

Działa i moździerze de Castriesa stały za to na otwartym polu, całkowicie odsłonięte. Do obozu przetransportowano też drogą powietrzną kilka rozłożonych na części osiemnastotonowych czołgów M24 Chafee, które na miejscu ponownie złożono, by zapewnić sobie mobilną siłę ognia. Ale francuscy oficerowie zaczęli już zdawać sobie sprawę z tego, że wkrótce poddani zostaną tak ciężkiemu bombardowaniu artyleryjskiemu, jakiego nigdy nie doświadczyła zdecydowana większość ich ludzi. Zresztą komuniści już teraz coraz częściej przeprowadzali ostrzał wysuniętych pozycji francuskich, co oznaczało między innymi, że zajmujący je żołnierze mieli coraz mniej chwil wytchnienia i nie mogli korzystać z nielicznych obozowych rozrywek, takich jak dwa polowe burdele. Do połowy lutego, mimo że wciąż nie nastąpił żaden poważniejszy atak Wietminhu, już około 10 procent ludzi w garnizonie odniosło jakieś rany[9]. W dodatku coraz mniejsza dostępność samolotów C-47 oznaczała wciąż pogarszające się braki w zaopatrzeniu zarówno w żywność, jak i w amunicję.

11 marca artyleria Wietminhu rozpoczęła ostrzał samolotów zaparkowanych wzdłuż pasa startowego w Dien Bien Phu. A począwszy

od 13 marca, już każda maszyna lądująca na tym pasie albo szykująca się do startu dostawała się pod ogień nieprzyjaciela: przestrzeń powietrzna przestała być w ten sposób bezpieczna poniżej wysokości około 2100 metrów. Dzień wcześniej, bo 12 marca, swoją ostatnią, jak miało się okazać, wizytę w obozie złożył René Cogny: jego samolot odlatywał wśród świstu pocisków, ale gadatliwy generał miał dość szczęścia, by ujść z tej opresji bez szwanku. Tymczasem żołnierze Giapa już od długich tygodni wciąż kopali umocnienia rozbudowane na skalę, jakiej świat nie widział od czasu walk na froncie zachodnim podczas I wojny światowej. Jeden z nich napisał: „Naszą najważniejszą bronią stał się wtedy szpadel". Oprócz okopów, którymi otoczyli zajmowane przez siebie pozycje, wydrążyli też całą sieć tuneli dających im zarówno schronienie, jak i możliwość niezauważonego i bezpiecznego podejścia pod same linie wroga. Z kolei pozycje francuskie rozmieszczone były na dziewięciu wzgórzach, a każdemu z nich nadano jakieś piękne imię kobiece. Za najsilniejsze uchodziły Isabelle i Béatrice, choć pewien nowo przybyły oficer z oddziału komandosów zanotował z przerażeniem, że zarówno okopy, jak i inne umocnienia były stanowczo niewystarczające: całkiem możliwe, że Francuzi poradziliby sobie później znacznie lepiej, gdyby spędzili kilka ostatnich tygodni na równie energicznym kopaniu jak ludzie Wietminhu.

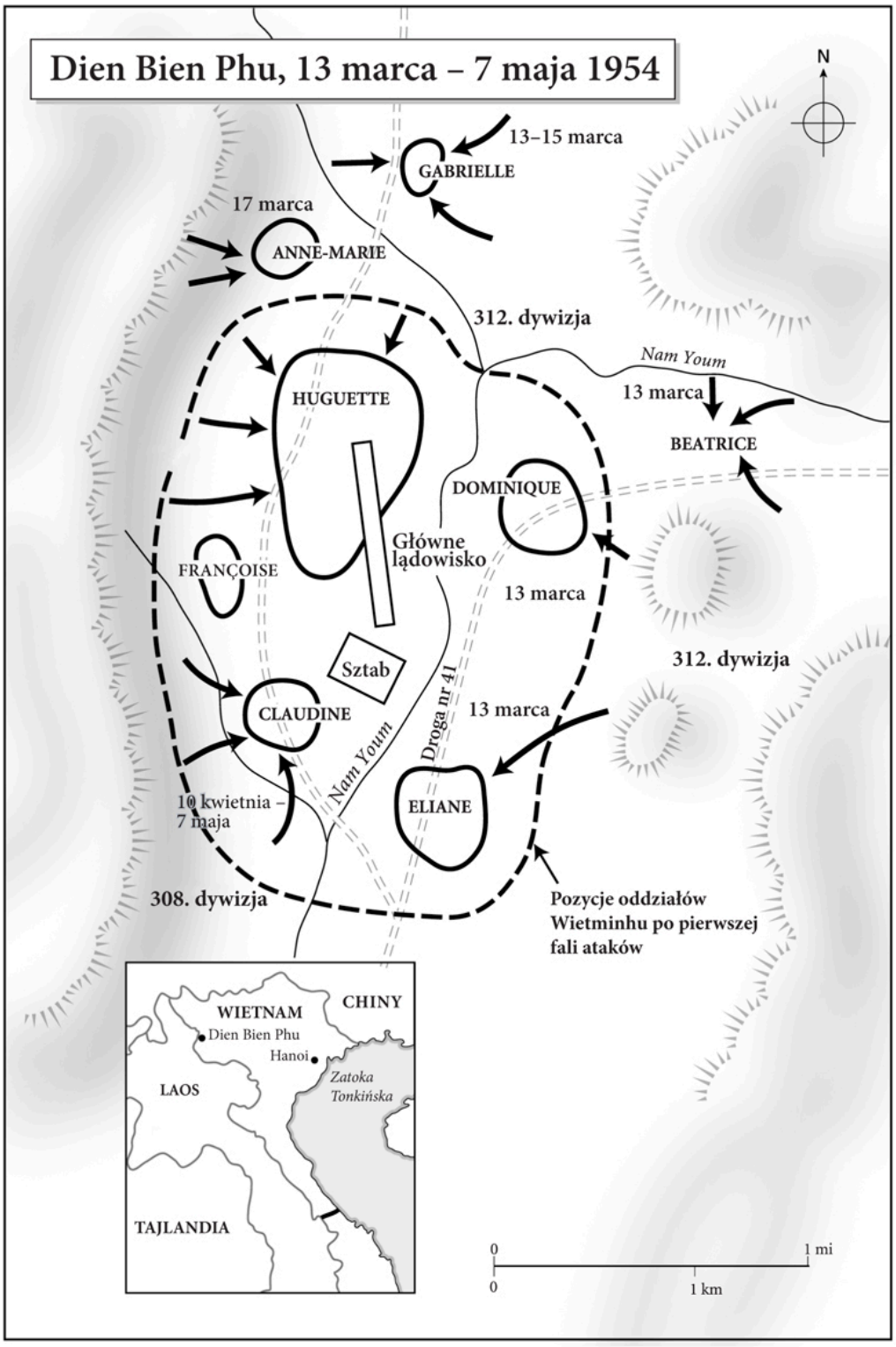

Rankiem 13 marca w 312. Dywizji armii Giapa odczytano przesłanie od Ho Chi Minha, a następnie rozkazano odśpiewać hymn Wietminhu.

Jeszcze tego samego popołudnia jej żołnierze wyruszyli do ataku na wzgórze Béatrice, wysunięte najbardziej na wschód ze wszystkich pozycji francuskich, a znajdujące się mniej więcej 3 kilometry od pasa startowego. O godzinie 17.05, kiedy obrońcy dostrzegli pierwsze ruchy formacji Wietminhu, podjęli próbę postawienia zaporowego ognia moździerzowego i artyleryjskiego, ale Giap zdołał ich uprzedzić. Na samą Béatrice, ale również na starannie wybrane cele w całym obozie – w tym zwłaszcza na pozycje artyleryjskie i kwaterę główną – spadł prawdziwy grad pocisków i ciężkich granatów moździerzowych. Ostrzał był nadzwyczaj precyzyjny, możliwe, że dzięki wskazówkom chińskich doradców pomagającym artylerzystom Wietminhu, którzy kilka ostatnich tygodni względnego spokoju spędzili głównie na określaniu kierunków i odległości do celów dla dział i dokładnym studiowaniu umocnień de Castriesa. W tym ostatnim zadaniu wydatną pomocą służyły im ponadto patrole Wietminhu, z wielką odwagą i niewyczerpaną cierpliwością prowadzące rozpoznanie tuż pod nosem nieprzyjaciela, po wielogodzinnym czołganiu się w ciemnościach i pracowitym omijaniu francuskich umocnień ziemnych oraz zapór z drutu kolczastego. Dzięki tego rodzaju akcjom udało im się między innymi precyzyjnie ustalić pozycje anten radiowych oznaczających centra dowodzenia.

Grupa Pierre'a Langlais'go ocalała jedynie cudem. Sam pułkownik w momencie ataku brał akurat prysznic, stojąc nago pod podziurawioną w kilku miejscach beczką po paliwie. Nie dbając o ubranie, rzucił się czym prędzej do swojego bunkra i zdążył tam dobiec dosłownie na sekundy przed tym, jak na jego dachu eksplodował pocisk artyleryjski. Po chwili w bunkier trafił kolejny pocisk, ale okazał się on niewybuchem. Langlais i jego oficerowie przez dłuższą chwilę nie potrafili się otrząsnąć, widząc wszędzie dookoła jeden wielki chaos: ich bastion błyskawicznie zamieniał się w rumowisko pełne połamanych desek, gruzu i zniszczonego sprzętu. Z kolei w innych miejscach obozu żółtoczerwone kule ognia znaczyły wybuchy beczek z paliwem i zapasów napalmu. Zniszczone też zostały wszystkie, poza jednym, samoloty zwiadowcze de Castriesa.

Z nadejściem zmierzchu 13 marca dowódcy w garnizonie zorientowali się, że ich sytuacja wygląda naprawdę nieciekawie. Zerwanych zostało wiele linii telefonicznych, a radio działało słabo, emitując więcej szumów niż zbornych komunikatów. Liczący dotąd 450 żołnierzy Legii Cudzoziemskiej batalion broniący Béatrice nagle okazał się zbyt szczupły, a do tego brakowało w nim oficerów. Lada chwila można się było spodziewać bezpośredniego ataku nieprzyjaciela, choć dowódcy sądzili, że stanie się to dopiero w całkowitych ciemnościach. Jak się okazało, Wietminhowi udało się okopać zaledwie 50 metrów od Béatrice i właśnie stamtąd nadszedł szturm piechoty, podjęty wśród kakofonii okrzyków i bojowych dźwięków trąbek. Atakowi towarzyszyły liczne detonacje: to ładunki wybuchowe eksplodowały pod drutami, którymi otoczony był obóz. Ale największe straty ponownie zadała obrońcom artyleria: o godzinie 18.30 jeden z pocisków całkowicie zniszczył punkt dowodzenia na Béatrice. W miarę jak ciemności się pogłębiały, żołnierze każdego bunkra na wzgórzu zmuszeni byli toczyć osobne walki pod niebem rozświetlanym rozbłyskami wybuchających pocisków. Niektórym legionistom udawało się zadawać atakującym ciężkie straty, zanim musieli opuścić bronione placówki. Jednak zaledwie w ciągu godziny, lekceważąc kompletnie straty własne, Wietminh zdołał wywalczyć sobie pozycje głęboko za pierwszą linią obrony nieprzyjaciela.

Jeden z francuskich dowódców kompanii nie przestawał wzywać przez radio wsparcia artyleryjskiego nawet wtedy, gdy nieprzyjaciel znajdował się już w jego okopach: „W prawo o 100 (...), bliżej niż 100 (...), bliżej niż 50 (...). Ogień na mnie! *Les Viets* siedzą już na nas!”. A potem jego głos zamilkł, a w eterze rozbrzmiewał już tylko szum wyładowań elektrycznych. Pułkownik Gaucher – ten sam, który ponuro przewidywał w liście do żony, że on i jego koledzy „mają zostać poświęceni” – odniósł podczas tego ataku ciężkie obrażenia, na skutek których zmarł. Rozkaz przejęcia dowództwa otrzymał Langlais, ale brakowało mu połączeń telefonicznych czy radiowych. Wkrótce po północy Wietminh przejął całkowitą kontrolę nad Béatrice, uśmierciwszy ponad setkę jej obrońców, a większość pozostałych – dwakroć tyle, przeważnie rannych – wziąwszy do niewoli. Zaledwie

setce, pod dowództwem sierżanta sztabowego, udało się uciec spod nieprzyjacielskiego ognia. Kiedy o godzinie 6.18 następnego dnia, 14 marca, ponownie wstało słońce, nad polem bitwy panowała już niesamowita cisza, przerywana tylko uderzeniami pierwszych kropel deszczu, mającego już wkrótce zamienić się w ulewę. Personel obozowego szpitala powoli opuszczał swój duszny i ciemny bunkier, padając z wycieńczenia po wykonaniu dziesięciu operacji brzucha i klatki piersiowej oraz dwóch operacji czaszki, a do tego piętnastu zabiegów złożenia złamanych kości i czternastu amputacji kończyn. Po całym terenie walały się smętne resztki zabudowań i sprzętu: poczerniałe i wypalone szkielety pojazdów, roztrzaskane kadłuby samolotów, gruz i pozostałości po rozmaitych konstrukcjach. Nad ranem przeprowadzono też mocno spóźniony i w zasadzie nikomu już niepotrzebny nalot na pozycje artyleryjskie Wietminhu.

A potem z Béatrice wyszedł, zataczając się, ranny oficer, porucznik Frédéric Turpin, niosąc do Dominique ofertę rozejmu w celu ewakuacji rannych złożoną przez Wietminh, którą kwatera główna Cogny'ego zaleciła przyjąć. Był to ze strony Giapa dobrze przemyślany ruch psychologiczny, jako że nie tylko obarczał sam garnizon odpowiedzialnością za stan zdrowia ośmiu ciężko rannych francuskich żołnierzy, ale dodatkowo obsadzał jego armię w roli chwilowych zwycięzców. Turpin miał to szczęście, że wkrótce ewakuowano go drogą powietrzną do Hanoi. Pośród zaś tych, którzy musieli pozostać, jak zapisał Pierre Rocolle: „Wszystkich ludzi niezaangażowanych w pilne prace ogarnęło jakieś otępienie. Oficerowie i zwykli żołnierze nie przestawali zadawać sobie pytania: «Jak to możliwe, że jednostka Legii została pokonana z taką łatwością?»"[10]. Reakcją Cogny'ego było natomiast wzmocnienie garnizonu kolejnym batalionem zrzuconych na spadochronach komandosów.

Tymczasem Giap przygotowywał się już do powtórzenia wcześniejszego sukcesu, tym razem na Gabrielle, położonej bardziej na północ, a bronionej przez 7. Algierski Pułk Tirailleurs, który spodziewając się pracowitego wieczoru, zjadł solidną i nieco wcześniejszą kolację. I nie pomylił się: 14 marca o godzinie 18.00, czyli tuż przez zachodem, do ataku ruszyli żołnierze 308. Dywizji

Wietminhu. Zażarte walki trwały długo po zapadnięciu zmroku, a pole bitwy rozświetlały flary zrzucane z krążącej na bezpiecznej wysokości dakoty. Obrońcy trzymali się dzielnie przez dobrych kilka godzin, wspomagani przez francuską artylerię, nękającą piechotę Wietminhu. Jednak o 3.30 nad ranem 15 marca komuniści wznowili ostrzał wzgórza, tym razem trafiając prosto w punkt dowodzenia i zabijając albo ciężko raniąc większość obecnych w nim osób. Francuzi mieli nadzieję rozwinąć kontratak wraz z nadejściem świtu, a oficerowie dowodzący obroną z ulgą przyjęli wieści o gromadzeniu w pogotowiu czołgów i świeżych oddziałów wojska. Tyle że algierscy żołnierze mieli już dość. 15 marca o godzinie 7.00 pierwsi partyzanci Wietminhu pojawili się na grzbiecie Gabrielle. A tirailleurs, łącznie z całą kompanią pozostającą w odwodzie i niebiorącą dotąd udziału w walkach, wyskoczyli z okopów i w popłochu zaczęli zbiegać ze wzgórza. Komuniści szybko opanowali cały bastion, a wśród 350 jeńców i 80 zabitych znaleźli też nieprzytomnego pułkownika dowodzącego francuską jednostką. I choć nowo przybyły batalion Wietnamczyków był już gotowy do podjęcia kontrataku przez całkowicie odkryty teren, to silny ogień artyleryjski Wietminhu ostatecznie odepchnął ich z powrotem do bazy, a jakiekolwiek plany ofensywne szybko porzucono, osłaniając jedynie pojedynczych uciekinierów z formacji Tirailleurs, przemykających chyłkiem do mocno już okrojonego obozu.

Francuscy przywódcy długo nie potrafili się pozbierać, doznawszy już drugiego upokorzenia w ciągu 24 godzin, więc winą za utratę Gabrielle postanowili obciążyć jej oficerów. W liście do marszałka Juina w Paryżu Navarre uskarżał się, że od owego czasu upadek morale stał się „najbardziej zauważalną cechą kadry dowódczej, która wcześniej wykazywała dużą pewność siebie (być może aż nazbyt dużą), tak więc mamy tu do czynienia z przejściem z jednej skrajności w drugą”[11]. Generał wysłał pod Dien Bien Phu dwóch pułkowników, którzy zgłosili się na ochotnika, by zastąpić tych zabitych w walce. A ponieważ francuskie lotnictwo najwyraźniej nie potrafiło zlokalizować i zniszczyć linii zaopatrzenia Giapa, Navarre zaproponował niedorzeczny pomysł, by „spychać” nad dżunglę chmury deszczowe i w ten sposób zatopić komunistów[12].

W samym obozie kilku oficerów sztabowych de Castriesa przeżyło załamanie nerwowe, a szef sztabu przesiadywał bez ruchu w swoim bunkrze i nie chciał nawet zdjąć hełmu. De Castries nadal wprawdzie formalnie sprawował dowództwo, ale już nie przywództwo: nawet nie próbował podnieść swoich ludzi na duchu jakimiś natchnionymi słowami czy choćby zwykłą towarzyską rozmową, a zamiast tego zadowalał się tylko codziennym administrowaniem, jakby pogodzony z nieuchronnością nadchodzącej klęski. Tymczasem komunistyczne haubice zwróciły się teraz przeciwko francuskiej artylerii, co przełożyło się na coraz większe ofiary wśród kanonierów: łącznie ucierpiało około jednej trzeciej załogi dział kaliber 155 mm i ponad 50 procent ludzi de Castriesa obsługujących moździerze kaliber 120 mm. W trzecim dniu bitwy okazało się ponadto, że zużyto już połowę zapasu pocisków artyleryjskich w garnizonie, wynoszącego pierwotnie 27 tysięcy sztuk. Francuzi stracili też rzecz jasna swoje wysunięte pozycje obserwacyjne, więc z pozostałych im jeszcze dział musieli odtąd strzelać niemal na oślep, opierając się jedynie na powietrznych zdjęciach celów w obozie Giapa obrabianych w Hanoi, a następnie zrzucanych do bazy na spadochronach.

Dowódca artylerii de Castriesa, jowialny i pulchniutki pułkownik Charles Piroth, który wcześniej nierozważnie obiecywał, że poradzi sobie z wszystkimi działami wystawionymi w pole przez komunistów, teraz musiał wysłuchiwać wielu ostrych słów i zarzutów ze strony Langlais'go z powodu małej skuteczności swoich baterii podczas dotychczasowych walk. Po skończonej połajance pułkownik wrócił do swojego bunkra, łkając rozpaczliwie: „Zostałem całkowicie odarty z honoru". Tak naprawdę to jego przełożeni zasługiwali na potępienie za świadomą decyzję o przyjęciu bitwy w takim miejscu i zmuszenie 12 tysięcy żołnierzy francuskich i kolonialnych do walki z pięciokrotnie większymi siłami Wietminhu, dowodzonymi w dodatku przez naprawdę wybitnego stratega. Niemniej to Piroth przycisnął do ciała granat i wyciągnął zawleczkę. De Castries usiłował zatuszować samobójstwo swojego pułkownika, ale wieści o nim szybko się rozeszły, a w końcu przeciekły do prasy i zostały podane przez „Le Monde". Nocą 14 marca kilka nieprzyjacielskich pocisków spadło na główny punkt

opatrunkowy, zabijając czternastu ludzi w pokoju zabiegowym i dziewięciu kolejnych w sali pooperacyjnej, a przy tym niszcząc aparaturę do prześwietleń rentgenowskich. Od tej pory ranni cierpieli jeszcze bardziej, a miało ich być naprawdę wielu: zanim walki dobiegły końca, w ręce lekarzy i chirurgów trafiło łącznie 2665 ludzi, z czego 934 przeszło operacje, a 319 zmarło od odniesionych ran[13]. Nieprzerwanie trwał też ostrzał pasa startowego w obozie, wskutek czego zniszczonych zostało dziesięć kolejnych maszyn uziemionych przez złą pogodę.

Kolejne dwa dni, 15 i 16 marca, minęły niemal bez incydentów. Z głośników rozstawionych przez Wietminh bezustannie płynęła propaganda wzywająca obrońców do poddania się, na przemian w języku francuskim, wietnamskim, arabskim i niemieckim. Apele te nie pozostawały bez echa: wbrew zdecydowanym protestom de Castriesa Cogny dołączył do garnizonu w Dien Bien Phu jeden batalion Wietnamczyków i dwa kolejne Tajów, których lojalność od początku była co najmniej wątpliwa. Francuscy oficerowie zawsze obawiali się, że jeśli dojdzie do negocjacji pokojowych, zaowocują one katastrofalnym rozkładem morale wśród lokalnych jednostek, i dokładnie tak się stało[14]. Już po ogłoszeniu planów zwołania konferencji w Genewie wielu żołnierzy wietnamskich walczących dla Francji zaczęło jasno dostrzegać, na czyją stronę będzie się odtąd przechylać szala zwycięstwa w Indochinach – bynajmniej nie kolonialnego mocarstwa. A nocą 15 marca zaczęły się pierwsze dezercje, najpierw z batalionu Tajów zajmującego pozycję na Anne-Marie, o 2,5 kilometra na południowy zachód od Gabrielle; w rezultacie jeden z bastionów garnizonu został w całości bez załogi. A kiedy wkrótce potem zaczął się kolejny ostrzał Wietminhu, doprowadził on już do pełnego exodusu. Jeden z francuskich obserwatorów na wysuniętej placówce zameldował wówczas lakonicznie przez radio: „Tajów już nie ma". Anne-Marie 1 i 2 wpadły w ręce Giapa niemal bez rozlewu krwi, a wtedy on z miejsca przeniósł tam swoje moździerze i bezodrzutowe działa.

Morale w garnizonie spadało teraz w tak szybkim tempie, że wojska Giapa mogłyby prawdopodobnie zdobyć z marszu cały obóz – do czego zresztą z niecierpliwością namawiali go niemal wszyscy oficerowie. De Castries pisał później o rosnącej przepaści między duchem bojowym

obrońców a morale nieprzyjaciela, przepaści niczym „między ludźmi z armii narodowowyzwoleńczej walczącymi o niepodległość (...) a najemnikami zaledwie honorującymi zawarty kontrakt”[15]. Mimo zniecierpliwienia swoich podkomendnych Giap wcale nie zamierzał się jednak spieszyć. Uporczywe i metodyczne przygotowania jak dotąd służyły mu przecież najlepiej. Ponadto jego formacje zapłaciły wysoką cenę za dotychczasowe sukcesy: padło około jednej czwartej żołnierzy piechoty biorących udział w ataku na Béatrice, zaś jeden z batalionów nacierających na Gabrielle stracił aż 240 ludzi. Sześciu słabo wyszkolonych lekarzy Wietminhu z trudem radziło też sobie z opatrywaniem 700 rannych.

Partyzanci, zmuszeni do prowadzenia natarcia pośród świszczących w powietrzu odłamków pocisków artyleryjskich i moździerzowych, drogo płacili za brak stalowych hełmów oraz za stosowaną w początkowej fazie operacji taktykę posyłania do walki „ludzkich fal”. Ponadto noc w noc ciężko pracowali nad pogłębianiem i wzmacnianiem okopów: drewniane podpory przynoszono na pole bitwy z odległego o wiele kilometrów najbliższego lasu. W obliczu ogromnych strat w całym kontrolowanym przez komunistów północnym Wietnamie przeprowadzano dodatkowe zaciągi żołnierzy, w tym wielu zupełnie nieprzeszkolonych nastolatków. Jeśli zatem skalę strat w ludziach pod Dien Bien Phu rozpatrywać w kategoriach męczeństwa, to z całą pewnością męczeństwo to nie ograniczało się tylko do strony francuskiej.

Każdego dnia Giap studiował schematy dostaw dla swojego wojska – „ruchomą czerwoną linię”. Pewnego ranka wezwał do siebie osobę odpowiedzialną za logistykę i spytał, dlaczego poprzedniej nocy do obozu nie trafiła choćby jedna tona ryżu. W odpowiedzi usłyszał, że przez całą noc padał ulewny deszcz. A wówczas generał odparł: „Nieważne, czy pada deszcz, czy grad! Nie możemy pozwolić na to, by nasi żołnierze walczyli z pustymi żołądkami!”[16]. Był to jednak z jego strony pokaz zwykłego cynizmu: Giap był w pełni świadomy tego, że wielu podległych mu ludzi na co dzień głodowało. Prawie w ogóle nie wydawano im racji mięsa czy warzyw, a do połowy marca jedli już „ryż tak zepsuty, że nie wiedzieliśmy, jak go ugotować”[17], by zacytować

jednego z członków 312. Dywizji. Żołnierze nierzadko musieli szukać po lasach jadalnych roślin czy korzonków, by zaspokoić głód. Nie przysługiwały im też żadne racje papierosów.

Mimo to Giap nie zamierzał spieszyć się z realizacją kolejnych etapów swojej operacji, trzymając się zamiast tego dotychczasowych metod, które dotąd przynosiły mu same sukcesy, a przede wszystkim drobiazgowo planując każdy ruch, tak by odebrać Francuzom jakiekolwiek nadzieje na zwycięstwo. Jego działa przeciwlotnicze kaliber 37 mm wciąż siały zniszczenie wśród francuskich samolotów: rzadko któremu z nich udawało się wrócić z obozu bez żadnych uszkodzeń. W ciągu dni, a później tygodni po upadku pierwszych trzech spośród dziewięciu wzgórz bronionych przez wojska de Castriesa artyleria Wietminhu często i precyzyjnie ostrzeliwała pas startowy. Podczas kolejnych lądowań licznych śmigłowców przysyłanych do ewakuacji rannych w obozie odbywał się coraz bardziej pospieszny, a nawet paniczny załadunek pasażerów, bez względu na stopień ich okaleczenia. Fotoreporter Jean Péraud wysłał raz depeszę z opisem jednej z takich scen, którą porównał do roku 1945 w Niemczech: „Krzyki. Łzy. Wyścig rannych do wejścia. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego od [czasów] obozu koncentracyjnego”[18]. 17 marca Wietminh wykonał kolejny dobrze skalkulowany „gest humanitarny”, oddając garnizonowi 86 rannych jeńców wojennych. Jedynym realnym skutkiem było rzecz jasna dodatkowe obciążenie już z trudem radzącego sobie z opatrywaniem rannych obozowego personelu medycznego, a poważnym problemem stała się teraz niemożność utylizacji całej sterty amputowanych kończyn.

Załogi francuskich maszyn ratunkowych także zachowywały się w sposób daleki od idealnego: 23 marca na szczególnie niebezpiecznym fragmencie lądowiska usiadł wbrew rozkazom helikopter H-19. Kiedy na jego pokład ładowano rannych, załoga oddaliła się od maszyny, dzięki czemu uniknęła śmierci od zmasowanego ognia artyleryjskiego. Taki los spotkał już jednak bezradnych pasażerów, w tym syna generała Alaina Gambieza; całkowitemu zniszczeniu uległ też sam śmigłowiec. Pewien francuski reporter napisał wówczas z przekąsem: *„Certainement*, załóg helikopterów nie wybierano spośród samej śmietanki sił

powietrznych”[19], a de Castries żalił się nad ich brakiem odwagi. Równie nieprzyjemne komentarze już wkrótce trzeba było kierować także w stronę załóg samolotów: latający nimi ludzie byli coraz bardziej zmęczeni i zdemoralizowani. Dla porównania amerykańscy najemnicy pilotujący maszyny należącej do CIA linii lotniczej CAT odbywali równie wiele misji zaopatrzeniowych, podczas których wykazywali się znacznie większymi umiejętnościami i wyraźnie silniejszymi nerwami od swoich francuskich odpowiedników. Szczególnie mrożące krew w żyłach były przypadki nieostrożnego obchodzenia się z napalmem: pilot pewnego samolotu C-119, rozpędzając maszynę na pasie startowym, jeszcze przed jej poderwaniem, przedwcześnie schował podwozie, co skończyło się jej długim ślizgiem po twardej nawierzchni pasa wśród snopów iskier i straszliwego zgrzytu. Tylko jakimś cudownym zrządzeniem losu załoga samolotu wiozącego oprócz 5700 litrów paliwa lotniczego również 4 tony napalmu wyszła z tego bez szwanku.

Jeśli chodzi o sam garnizon z Dien Bien Phu, większość francuskich jednostek wciąż była zwarta i gotowa do walki, czego nie dało się już jednak powiedzieć o formacjach kolonialnych. Kiedy 15 marca wietnamscy komandosi nie potrafili odbić Gabrielle, stało się tak po część dlatego, że ich oficerowie „dali wówczas przykład godny ubolewania”, by zacytować Pierre’a Rocolle’a[20]. Pewien algierski batalion porzucił z kolei swoje pozycje i rozpierzchnął się po okolicznych wioskach i pustkowiach, gdzie setki jego żołnierzy – znanych odtąd jako „szczury z Nam Youm” – dotrwały do końca walk, przeżywając dzięki podkradaniu zapasów żywności. Godną podziwu postawą wykazywali się za to kanonierzy i inżynierowie z Afryki Północnej; cóż kiedy ginęło ich do 50 dziennie, i to nawet wówczas, gdy nie dochodziło do jakichś poważniejszych starć.

Człowiekiem, za którym większość obrońców poszłaby w ogień, stał się wcale nie de Castries, lecz Langlais. Jeden z licznych patrzących nań z podziwem legionistów opisał go następująco: „Przez 56 dni, dzień w dzień, śpiewał *Marsyliankę*. Nigdy nie stracił ducha”[21]. Podobnie jednak jak większość wojennych bohaterów, także i ten mężny pułkownik nie był ani wytrawnym taktykiem, ani nawet specjalnie przemyślnym żołnierzem. Jak zwierzał się Navarre’owi de Castries:

„Jego słabością są jego cnoty”[22]. A 16 marca do Langlais’go dołączył jeszcze major Marcel Bigeard, nowo przybyły żołnierz, acz stary towarzysz walki pułkownika, który również szybko obrósł legendą wśród obrońców. Ten syn ubogiego robotnika kolejowego z Toul wsławił się tym, że po jednej z krwawych bitew zarekomendował wszystkich ludzi ze swojej jednostki do odznaczenia Croix de Guerre. Bigeard był prawdziwym „człowiekiem ze stali”, choć inni żołnierze znali go raczej jako Bruna, bo takim właśnie sygnałem wywoławczym posługiwał się podczas komunikacji radiowej. Problem w tym, że zarówno Langlais, jak i Bruno mieli cechy predestynujące ich raczej do tego, by przetrwać długie ukrzyżowanie aniżeli zainicjować proces wskrzeszenia.

Francuscy spadochroniarze podczas desantu nad Dien Bien Phu, listopad 1953 roku

Dzięki kilku udanym wypadom morale ludzi w garnizonie nieco się podniosło, ale de Castries był zmuszony ograniczać tego rodzaje akcje, choćby nawet rutynowe patrole, bo bez względu na możliwe pozytywy

rzadko kończyły się one bez żadnych strat własnych. Nieprzerwanie trwały, a nawet pogarszały się, cierpienia wielu rannych: niejaki sierżant Leroy, poszkodowany w wybuchu szrapnela na Isabelle 16 marca i leżący w szpitalu polowym, odniósł kolejne rany, kiedy kilka dni później pociski spadły także na sam szpital. A gdy już doszedł do siebie i wrócił na Isabelle, trafił tam na kolejne bombardowanie, w trakcie którego zginął kierowca wiozącej go ciężarówki. Wyciągnięty z wraku pojazdu jakimś cudem przeżył późniejszą operację brzucha, a kolejne trzy noce spędził w rowie odwadniającym, zanim wreszcie zabrano go do Hanoi 25 marca.

Od 13 do 27 marca z obozu ewakuowano łącznie 324 rannych, ale 28 marca artyleria Wietminhu zniszczyła stojący na pasie startowym samolot Dakota. Kanonierzy Giapa strzelali już teraz właściwie całkowicie bezkarnie, więc major Bigeard otrzymał misję poprowadzenia 1200 ludzi w desperackim wypadzie przeciwko Wietminhowi. Po całodziennych walkach komuniści stracili ostatecznie około 350 żołnierzy; ponadto zniszczonych zostało wiele stanowisk dział przeciwlotniczych. Ale ofiary były też i po stronie francuskiej – 110 ludzi, czyli w praktyce cała kompania spisana na straty bez osiągnięcia żadnego konkretnego celu strategicznego – a w rezultacie de Castries miał odtąd jeszcze mniej obrońców swojego oblężonego garnizonu. Co gorsza jednak pas startowy przestał się właściwie nadawać do użytkowania, a co za tym idzie, „most powietrzny", stanowiący podstawę całego planu operacji pod Dien Bien Phu, został w praktyce przerwany. Żołnierze zaczęli nawet zdzierać z pasa startowego dziurkowane panele ze stali, żeby przykrywać nimi okopy i bunkry, skoro samoloty miały ich już więcej nie potrzebować.

Od tej pory sytuacja ludzi pozostałych w garnizonie, a zwłaszcza rannych, ulegała stałemu pogarszaniu. Już wkrótce zaczęło im brakować nawet koncentratu winnego, *vinogel*, owego ponadczasowego stymulantu, który niejednokrotnie podtrzymywał na duchu całe pokolenia francuskich żołnierzy. A 29 marca zaczęły się ulewne deszcze, które miały się utrzymywać już przez resztę tygodni pozostałych do zakończenia walk, co dodatkowo pogłębiało niedolę obu stron, jako że trzeba było odtąd żyć, walczyć i umierać w jednym wielkim morzu

błota. Cały garnizon był teraz uzależniony od zaopatrzenia zrzucanego na spadochronach, co jeszcze bardziej uwidoczniło brak odpowiedniego wsparcia powietrznego. Artyleria przeciwlotnicza Giapa regularnie zmuszała francuskich pilotów do rezygnowania z operacji przeprowadzanych za dnia na niskich wysokościach na rzecz zrzutów nocnych z bezpiecznych poziomów, co sprawiało, że coraz więcej sprzętu i zapasów trafiało nie do obrońców, ale w ręce Wietminhu. Pewien komunistyczny dowódca pozwolił sobie wręcz na szyderczą uwagę, że „wrogie *parachutages* stanowiły całkiem pokaźne źródło naszych dostaw, które w dodatku dosłownie spadały nam z nieba!”[23].

Najsłynniejsza w dwudziestowiecznych dokonaniach militarnych Francji operacja obronna miała miejsce pod Verdun w roku 1916, gdzie siły generała Philippe’a Pétaina utrzymywały się dzięki ostatniej zaciekle bronionej drodze zaopatrzenia, która przeszła do historii jako *voie sacrée*. W osobistym liście do generała Cogny’ego skreślonym 22 marca pułkownik de Castries zauważył, że Dien Bien Phu właśnie staje się takim indochińskim Verdun, ale z jedną aż nazbyt istotną różnicą: nie było tu już żadnej *voie sacrée*.

4
Krwawe ślady

1. WYJŚĆ – CZY ZBOMBARDOWAĆ?

Giap sprowadził pod Dien Bien Phu aż trzy czwarte swoich regularnych wojsk. A mimo to, niezależnie od toczonych tam walk, w innych regionach kraju partyzanci Wietminhu także wywierali silną presję na lokalne formacje francuskie. Do regularnych starć dochodziło w Delcie Rzeki Czerwonej i dalej na południe, w Annam: od lutego do połowy maja partyzanci zaatakowali i zdobyli tam 59 ufortyfikowanych posterunków. W ręce komunistów wpadła ponadto większa część Delty Mekongu, jako że wojska francuskie opuściły ten region, by pomaszerować dalej na północ. Generalnie Navarre i Cogny z trudem utrzymywali zajmowane dotąd pozycje w całym Wietnamie, a także te na terytorium Laosu. Pomijając już nawet coraz oczywistszą klęskę pod Dien Bien Phu, władza francuska chwiała się potężnie dosłownie w całych Indochinach. Tylko jedna siła na ziemi dysponowała środkami zdolnymi powstrzymać jej ostateczny upadek: Stany Zjednoczone.

Wiosną 1954 roku przez niemal dwa miesiące prezydent Eisenhower i jego najważniejsi decydenci polityczni poważnie rozważali interwencję wojskową, którą skłonni byli podjąć natychmiast, a w niektórych przypadkach wręcz nie mogli się jej doczekać. Jak to się miało często powtarzać również w przypadku innych projektów politycznych rozważanych w Waszyngtonie podczas kolejnych dwóch dziesięcioleci, tamtejsi decydenci byli przy tym zupełnie niezainteresowani życzeniami czy potrzebami społeczeństwa wietnamskiego. Chodziło im wyłącznie o powstrzymanie zbliżającego się ich zdaniem nowego triumfu komunistów w Azji, który wzmocniłby

prestiż Chin, a osłabił pozycję Zachodu. Już sama możliwość takiego obrotu spraw nie mogła nie niepokoić doprowadzonego na skraj histerii elektoratu republikanów w kraju, który wciąż jeszcze nie otrząsnął się po okresie gorączki maccartyzmu.

Decyzję o tym, jak zareagować na wypadki w Indochinach, przyspieszyło przybycie do Waszyngtonu francuskiego szefa sztabu generała Paula Ely'ego 20 marca, tydzień po tym, jak Giap przystąpił do pierwszego natarcia pod Dien Bien Phu. Ely zjawił się u swoich sojuszników z prostym ostrzeżeniem: bez pomocy Stanów Zjednoczonych obóz wkrótce padnie. Amerykanie bez problemów zgodzili się na dosłanie kolejnego transportu bombowców Marauder i 800 spadochronów. Ely'emu chodziło jednak o znacznie więcej i szybko udało mu się znaleźć entuzjastycznego rozmówcę. Admirał Arthur Radford, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów (KPSS), uchodził za jastrzębia nawet wśród jastrzębi. Z miejsca zaproponował, by armię Giapa oblegającą Dien Bien Phu zbombardowało 60 stacjonujących na Filipinach bombowców – superfortec B-29. A pewna grupa robocza powołana w Pentagonie doszła nawet do jeszcze dalej idących konkluzji, sugerując, że trzy „odpowiednio zastosowane" taktyczne ładunki atomowe mogłyby całkowicie wyeliminować zagrożenie komunistyczne. Radford zresztą wcale nie był przeciwny i takiemu rozwiązaniu. Z kolei Departament Stanu przestrzegał przed głośniejszym wymawianiem słowa „atomowy", twierdząc, że jeśli o tego rodzaju planach zacznie się choćby dyskutować przy Francuzach, te nieuchronnie wyciekną, z trudnymi do przewidzenia konsekwencjami.

Generał Matthew Ridgway, szef sztabu amerykańskiej armii i największy bohater wojny koreańskiej, wytrwale, twardo i – jak się miało okazać – proroczo sprzeciwiał się jakiejkolwiek interwencji w niewłaściwej wojnie i w niewłaściwym miejscu. Inaczej całą rzecz postrzegał jednak prezydent Eisenhower. Skłaniał się on ku zaangażowaniu amerykańskiej potęgi militarnej, ale po spełnieniu dwóch istotnych i – jak się miało okazać – decydujących warunków: uzyskaniu poparcia Kongresu i zmobilizowaniu do udziału w misji sojuszników Stanów Zjednoczonych. Innymi słowy, Ameryka musiała

przekonać do operacji w Indochinach swoich przyjaciół, w tym zwłaszcza Brytyjczyków. Sekretarz stanu Dulles podzielał entuzjazm zarówno Radforda, jak i wiceprezydenta Richarda Nixona dla operacji „Vulture" („Sęp") – taki bowiem kryptonim nadano propozycji zbombardowania pozycji Wietminhu przez superfortece B-29. W ciągu następnych kilku tygodni, podczas gdy ludzie de Castriesa toczyli walki pod Dien Bien Phu, w Waszyngtonie, Londonie i Paryżu toczyły się nieprzerwane dyskusje, a nawet zażarte kłótnie, w trakcie których Amerykanie usiłowali zebrać kworum dla swojej wielkiej operacji strategicznej w Azji.

Tymczasem 30 marca pod Dien Bien Phu pięć pułków piechoty Wietminhu przypuściło serię kilku kolejnych ataków na cele wokół wzgórza Eliane 1, a wreszcie i na nie samo. Do jego obrony wysłano Algierczyków, którymi dowodzili nieznani im oficerowie, podczas gdy w przypadku wojsk kolonialnych przywództwo było właściwie kluczowe. Jeśli bowiem żołnierze znali swoich oficerów i mieli do nich zaufanie, zazwyczaj mężnie stawali do walki. Ale kiedy tylko ich dowódcy zawodzili albo padali w boju, siły kolonialne często szły w rozsypkę. Wietminh rozpoczął od zwyczajowego przygotowania artyleryjskiego – ostrzał nastąpił jak zwykle o 17.00 – by po godzinie wysłać do walki piechotę. Padał rzęsisty deszcz zalewający okopy i uniemożliwiający przysłanie wsparcia lotniczego. Z kolei nieco bardziej na północ toczyły się walki o Dominique: Langlais mógł tylko z rosnącą frustracją obserwować przez lornetkę, jak wzgórze to zostało najpierw odcięte od reszty obozu, a następnie otoczone i poddane zmasowanym atakom. Już wkrótce na terenie garnizonu toczyły się cztery odrębne starcia piechoty, a we wszystkich z nich Francuzi mieli poważne problemy. Algierska załoga Eliane 1 szybko zaczęła dezerterować, co zmusiło jednego z oficerów do zastrzelenia kilku żołnierzy w rozpaczliwej próbie powstrzymania ich towarzyszy broni przed paniczną ucieczką. Na nic się to jednak nie zdało, wobec czego w linii obrony garnizonu powstała wielka ziejąca wyrwa. Po niemal czterech godzinach ciężkich walk wzgórze ostatecznie padło. Podobne sceny rozgrywały się też na Dominique 2: tutaj niektórzy Algierczycy

pobiegli wręcz w stronę napastników z rękami uniesionymi do góry. Do godziny 22.00 stracona została również i ta pozycja obronna.

Było jednak i kilku mężnych żołnierzy walczących do ostatniego tchu. Jeden z nich, osiemnastoletni sierżant nazwiskiem Chalamont, nie opuścił swojego stanowiska przy karabinie maszynowym, strzelając wytrwale do nieprzyjaciela, dopóki go nie zakłuto. Z kolei Dominique 3 utrzymała się z wielkim trudem, głównie dzięki wysiłkom pewnego dwudziestosiedmioletniego oficera Paula Brunbroucka, weterana jednej z wcześniejszych głośnych bitew tej wojny: obrony Na San, innej oblężonej bazy francuskiej, w grudniu 1952 roku. Również i teraz był on w centrum wydarzeń, wielokrotnie dodając otuchy pozostałym obrońcom i pilnując, by nie przestawali razić nieprzyjaciela ogniem ze swoich dział kaliber 105 mm, a wreszcie wydając dramatyczny rozkaz strzelania na wprost, bez ustawiania przyrządów celowniczych: „*Débouchez à zéro!*". A kiedy Langlais nakazał Brunbrouckowi przez radio opuszczenie stanowiska, młody kanonier odparł krótko: „Nigdy!". Dopiero nad ranem 31 marca on sam i jego niezłomni senegalscy kanonierzy wycofali się, zabierając trzy nadające się jeszcze do użytku haubice, wystrzeliwszy uprzednio całą swoją amunicję w liczbie 1800 sztuk. Brunbrouckowi przyznano Krzyż Rycerski Legii Honorowej; dwa tygodnie później zmarł od ran odniesionych podczas innej bitwy, w której wykazał się równym heroizmem.

Eliane 1 padła dość szybko, wraz z inną pozycją obronną nazwaną szumnie Champs Elysées. Rankiem obie strony były już całkowicie wyczerpane. Jeden z uczestniczących w natarciu pułków Wietminhu został tak mocno przerzedzony, że trzeba go było całkiem wycofać z dalszych walk. Francuzi z kolei stracili sporą część swojej artylerii, a ponadto zużyli połowę pozostałych im jeszcze zapasów amunicji, wynoszących 500 ton. Do Hanoi pofatygował się z Sajgonu sam Navarre, by z bliska poznać szczegóły tych nowych nieszczęść – a przy okazji odkryć, że w kwaterze głównej brakowało Cogny'ego, który całą poprzednią noc zabawiał się na mieście, prawdopodobnie z jakąś kobietą. Doszło do ostrej wymiany słów między oboma generałami, których sytuacja stawała się powoli nie do pozazdroszczenia. Amerykański generał Mike O'Daniel wysunął niedorzeczną propozycję,

by Francuzi wysłali z Hanoi w kierunku zachodnim zbrojne posiłki na odsiecz załodze obozu, najwyraźniej nie biorąc pod uwagę ani trudów poruszania się po wietnamskiej prowincji w czasie pory deszczowej, ani aż nazbyt dobrze znanej skłonności Wietminhu do atakowania francuskich kolumn wojskowych przemieszczających się po odkrytym terenie. Nie przeszkodziło to prezydentowi Eisenhowerowi wyrazić później zdziwienia, że nie spróbowano nawet wdrożyć w życie planu O'Daniela.

Navarre i Cogny zdecydowali się ostatecznie na kolejny, nic nieznaczący gest: jeszcze tego samego ranka, 31 marca wysłali do obozu kolejny batalion spadochroniarzy. Mimo że los garnizonu wydawał się już właściwie przesądzony, a nadzieje na jego ocalenie były więcej niż nikłe, wciąż nie brakowało ochotników chętnych do walki pod Dien Bien Phu – na przykład kapitan Alain Bizard zdecydował się porzucić spokojne życie adiutanta przy szefie sztabu wojsk francuskich w Paryżu, by dołączyć do garnizonu de Castriesa. Całkiem możliwe, że służący wówczas we francuskiej armii młodzi zawodowi żołnierze starali się w jakiś sposób odpokutować hańbę, jaką był szybki upadek militarny ich kraju w roku 1940, a jednocześnie pragnęli pokazać nowemu pokoleniu Francuzów, iż mają w sobie wolę do poświęceń, której brakowało niektórym z ich ojców.

Przeprowadzona jeszcze 31 marca cała seria francuskich kontrataków na krótko pozwoliła obrońcom odzyskać Dominique 2 i Eliane 1, ale kolejne natarcia Wietminhu doprowadziły do ich ponownej utraty. Nocne ataki nieprzyjaciela odepchnięto wprawdzie zarówno 1, jak i 2 kwietnia, ale nad ranem tego ostatniego dnia Francuzi sami wycofali się z Huguette 2, by poniewczasie pomyśleć o poprawie umocnień na pozostałych bronionych jeszcze wzgórzach. Wiara obrońców pokładana w Legii Cudzoziemskiej została mocno nadwyrężona 3 kwietnia, kiedy to dwunastu jej żołnierzy ocalałych z bitwy o Béatrice zdecydowało, że mają już dosyć walki, opuściło zajmowane pozycje i poddało się nieprzyjacielowi. Podobnie jak wszyscy inni dezerterzy trafiający w ręce Giapa, zostali oni z miejsca zapędzeni do kopania umocnień i noszenia sprzętu za jednostkami Wietminhu. Do 7 kwietnia personel medyczny garnizonu miał już pod swoją opieką 590 rannych, nad którymi z coraz

większym trudem panował. Stan osobowy zarówno w Legii Cudzoziemskiej, jak i w batalionach spadochronowych nie przekraczał 300 ludzi w każdej z tych formacji. Giap zignorował wezwanie Francuzów do ogłoszenia rozejmu w celu sprowadzenia transportu lotniczego do ewakuacji rannych – bo też z jakiego względu miałby się do niego przychylić?

Tocząca się w Waszyngtonie debata o możliwości zaangażowania się Stanów Zjednoczonych w Indochinach – nie po to, by ratować Francuzów, lecz po to, by upokorzyć komunistów – okazała się znacznie istotniejsza dla historii świata niż ostateczny los Dien Bien Phu. Dulles niestrudzenie kontynuował rozpoczęty pod koniec marca rajd po mediach obliczony na wzmożenie nastrojów amerykańskiego społeczeństwa. Podczas licznych wywiadów i wypowiedzi dla prasy sekretarz stanu nieodmiennie charakteryzował wroga jako narzędzie w rękach Chińczyków. Podkreślał też, że rząd Stanów Zjednoczonych nie zamierza biernie przyglądać się kolejnym triumfom czerwonych, choć celowo nie wnikał w to, jakie działania mógłby w związku z tym podjąć. Ale artykuły z pierwszych stron gazet nie pozostawiały w tym względzie żadnych wątpliwości, przygotowując czytelników na realną możliwość interwencji. „US News and World Report" informował: „Komuniści otrzymują czytelny komunikat, że USA nie zamierzają pozwolić na to, by Indochiny zostały przez nich wchłonięte"[1]. Większość świata wciąż spodziewała się zresztą, że pod Dien Bien Phu zwycięży ostatecznie strona dysponująca większą siłą ognia: brytyjski „Spectator" z 19 marca zauważał: „Francuzi powinni w końcu wygrać tę bitwę, a jeśli ją wygrają, wówczas po raz pierwszy na końcu długiego indochińskiego tunelu może się pokazać światełko nadziei". Po trzech tygodniach, 9 kwietnia, redakcja magazynu ponownie odniosła się do tematu w artykule wstępnym: „Pomimo wielkiej niepopularności tej wojny oblężenie pułkownika de Castriesa i 11 tysięcy jego ludzi przypomniało całej Francji o tym, że wciąż potrafi ona walczyć i może stanowić obiekt podziwu całego świata". Tego rodzaju komentarze poza obnażaniem myślenia życzeniowego i ekstrawaganckiej wręcz frankofilii ich autorów uświadamiają nam dziś, że aż do samego

zakończenia tej bitwy jej los naprawdę nie wydawał się ostatecznie przesądzony.

3 kwietnia amerykański sekretarz stanu przewodniczył spotkaniu liderów partyjnych w Kongresie, w którym wzięli udział między innymi demokraci Lyndon Johnson z Teksasu, Richard Russell z Georgii i Earle Clements z Kentucky, a także republikanie Eugene Millikin z Colorado i William Knowland z Kalifornii. Najpierw Radford poinformował zebranych o pogarszającej się sytuacji Francuzów pod Dien Bien Phu. Następnie Dulles stwierdził, że prezydent życzy sobie, by Kongres podjął wspólną rezolucję popierającą użycie w Indochinach amerykańskich sił powietrznych i marynarki wojennej. Radford dodał, że w przypadku utraty Indochin „tylko kwestią czasu byłby upadek całej Azji Południowo-Wschodniej, z Indonezją włącznie". W ogniu sceptycznych pytań ze strony polityków admirał zmuszony był jednak przyznać, że jako jedyny wśród szefów sztabów skłania się ku reakcji militarnej. A kiedy jeden z pytających chciał wiedzieć, dlaczego sprawy mają się tak, a nie inaczej, Radford, któremu raczej brakowało przenikliwości i dalekowzroczności, ale bez wątpienia nie pewności siebie, odparł krótko: „Ponieważ ja wiem więcej o Azji od moich kolegów".

Następnie zebrani przeszli do kwestii absolutnie kluczowej, tej mianowicie, że wielce pożądane byłoby zorganizowanie operacji multilateralnej, a nie wyłącznie amerykańskiej. Lyndon Johnson wyraził to wprost: „Nie chcemy kolejnych Korei, w których to USA dostarczają 90 procent sił do walki". Nauczka płynąca dla amerykańskich polityków z toczonej w latach 1950–1953 wojny koreańskiej, która zniszczyła prezydenturę Harry'ego Trumana, była wciąż bardzo dobrze pamiętana – choć Amerykanie nie mieli nic przeciwko opłacaniu innych wojsk w celu walki z „czerwonymi" w odległych krajach po drugiej stronie świata, to już zupełnie inaczej zapatrywali się na poświęcanie życia swoich własnych chłopców. Dullesa zapytano zatem wprost: czy w amerykańskiej operacji w Wietnamie wzięliby udział również Brytyjczycy? Sekretarz stanu przyznał, że to wątpliwe. Rezultat spotkania, niespecjalnie korzystny dla sekretarza stanu i prezydenta, był zatem następujący: Kongres zgadzał się wydać rezolucję, na której

im zależało, jedynie wówczas, gdyby do operacji włączyły się także inne państwa. Następnego dnia, to jest 4 kwietnia, w Białym Domu odbyła się wieczorna narada, podczas której Eisenhower powiedział, że w sposób oczywisty kluczowa dla całej kwestii będzie decyzja Brytyjczyków. A jeszcze tego samego wieczora Francuzi przedłożyli formalną prośbę o zaangażowanie amerykańskiego lotnictwa pod Dien Bien Phu. Navarre usłużnie zasugerował przy tym, że wysłane tam samoloty mogą nie posiadać żadnych oznakowań, a nawet, że mogą je zdobić kokardy francuskie, co tylko potwierdzało jego narastające oderwanie od rzeczywistości.

Wieczorem 5 kwietnia Winston Churchill otrzymał płomienny osobisty list od Eisenhowera, który subtelnie odwołując się do wojennych koszmarów: Hitlera, Hirohito i Mussoliniego – „Czyż nie powinno być tak, że nasze narody wyciągnęły właściwe wnioski z tamtej lekcji?”[2] – prosił o udział Brytyjczyków w interwencji w Indochinach. Następnego dnia na spotkaniu Narodowej Rady Bezpieczeństwa Eisenhower stwierdził, że starcie w Wietnamie było wciąż „jak najbardziej do wygrania”. A podczas konferencji prasowej 7 kwietnia prezydent po raz pierwszy publicznie wyartykułował swoją słynną odtąd teorię domina. Gdyby Indochiny zostały stracone, argumentował, cała reszta Azji Południowo-Wschodniej „upadłaby bardzo szybko”[3], niczym kostki domina. Francuzi zresztą już wcześniej formułowali własną wersję tej teorii, mówiąc o zbijaniu „dziesięciu kręgli”, jak podczas jednej partii tej gry.

Do Zatoki Tonkińskiej wysłano dwa transportowce: Boxer i Essex, na wypadek gdyby Eisenhower miał się wkrótce przychylić do błagań Francji. Ale w Waszyngtonie wciąż nie brakowało sceptyków. Na Kapitolu pewien młody demokratyczny senator z Massachusetts przekonywał, że czas już powiedzieć Amerykanom prawdę: żadna interwencja Stanów Zjednoczonych nie doprowadzi do niczego pożytecznego, dopóki Francja nie zdecyduje się przyznać pełnej niepodległości swoim koloniom. „Wysyłanie pieniędzy, sprzętu i ludzi do dżungli w Indochinach” – mówił ów senator, John F. Kennedy – z dużym prawdopodobieństwem i tak nie przyniosłoby zwycięstwa w wojnie z partyzantami, którzy są zarazem wszędzie i nigdzie, a nadto

„cieszą się sympatią i skrytym wsparciem swojego narodu". Mimo to Eisenhower był już zdecydowany iść na tę wojnę – jeśli rzecz jasna inni zechcieliby pójść razem z nim. Z niecierpliwością i uporem oczekiwał więc na wynik deliberacji w Londynie.

A tymczasem pod Dien Bien Phu wysłano kolejne posiłki. Przy okazji podjęto dramatyczną decyzję o kierowaniu tam ochotników nawet bez wcześniejszego przeszkolenia spadochronowego. Trudno sobie doprawdy wyobrazić straszniejszą inicjację w operacji powietrznodesantowej od nocnego skoku z dużej wysokości przy wymogu trafienia w stosunkowo niewielki cel otoczony przez nieprzyjaciela. Podczas podchodzenia do strefy zrzutu ochotnicy dowiadywali się w dodatku, że przy każdorazowym podejściu zdąży wyskoczyć zaledwie sześciu z nich. Widząc pociski smugowe wystrzeliwane przez komunistyczną artylerię przeciwlotniczą, średnio jeden na dziesięciu żołnierzy ostatecznie nie decydował się na skok – a w ryku silników, wśród głośnych krzyków załogi i w obliczu rychłego zanurzenia się w niepewną ciemność pod maszyną tego rodzaju postawy szybko stawały się zaraźliwe. Niemniej jednak większość batalionu odważnie wyskoczyła w noc i wylądowała za francuskimi liniami obrony, przy zaskakująco małej liczbie strat. A już na dole śmiałkowie dowiedzieli się, że ze względów czysto biurokratycznych nie przysługują im naszywki spadochroniarzy, jako że nie ukończyli wcześniej niezbędnego w tym celu kursu.

Powoli wstawał nowy dzień, 1 kwietnia, idealna wręcz data na kolejny gest Navarre'a rodem z czarnej komedii: cała seria promocji dla oficerów z garnizonu, w tym awansowanie samego de Castriesa do rangi generała brygady. Podczas gdy żołnierze Giapa dzień i noc kopali kolejne kilometry rowów i tuneli przybliżających ich do nowo wyznaczonych celów, rankiem 10 kwietnia świeżo mianowany pułkownikiem Marcel Bigeard poprowadził kontratak na Eliane 1. Jego ludzie poszli w bój ze śpiewem na ustach, a całą ich kolumnę prowadził miotacz płomieni w eskorcie dwóch karabinów maszynowych. Francuzi niemal natychmiast dostali się pod gęsty ostrzał komunistów, ale po ciężkich walkach o godzinie 11.30 udało im się przedrzeć na szczyt

wzgórza – gdzie utknęli, straciwszy po drodze 60 ludzi. Z kolei o świcie 18 kwietnia licząca około setki ludzi załoga Huguette 6, uznawanej już teraz za pozycję nie do obrony, wypełzła ze swoich okopów i pod ostrzałem nieprzyjaciela pobiegła co sił w nogach w stronę francuskich linii. Do celu dotarło ostatecznie 60 z nich.

W trakcie kryzysowych spotkań anglo-amerykańskich, które miały miejsce w kwietniu 1954 roku, Dulles zmuszony był starannie ukrywać swoją pogardę dla Wielkiej Brytanii jako państwa, a już w szczególności dla jej przywódców. Uczucie to było zresztą odwzajemniane przez drugą stronę: Churchill scharakteryzował kiedyś amerykańskiego sekretarza stanu jako „człowieka tępego, bez wyobraźni i niewiele rozumiejącego". Podczas swojej wizyty w Londynie w dniach 11–12 kwietnia Dulles po raz kolejny zaprezentował tę samą argumentację, odwołującą się do potrzeby wspólnej walki z zagrożeniami totalitaryzmu. Eden przyjmował wszystkie te argumenty z cierpliwą uprzejmością, ale i z niesłabnącym sceptycyzmem. Z historycznego punktu widzenia nie sposób rzecz jasna nie dostrzec w jego ówczesnej postawie sporej dozy ironii: oto w roku 1954 Eden nie zgadzał się, by porównania do lat trzydziestych XX wieku posłużyły jako uzasadnienie zapędów militarnych krajów zachodnich, podczas gdy zaledwie dwa lata później, już jako premier rządu, miał on wykorzystać dokładnie taką samą analogię, by usprawiedliwić katastrofalną dla Wielkiej Brytanii inwazję na Egipt. Tak czy inaczej w owym roku 1954 obaj rozmówcy rozstali się wprawdzie uprzejmie, ale z niczym. Przybysz z Ameryki niewiele więcej osiągnął również w Paryżu, gdzie francuski minister spraw zagranicznych Georges Bidault kategorycznie odmówił przyznania przez jego kraj niepodległości Indochinom, co stanowiło warunek wstępny jakiejkolwiek interwencji Stanów Zjednoczonych. Mimo to jastrzębie w Waszyngtonie wciąż nie zarzuciły planów operacji wojskowej. 16 kwietnia wiceprezydent Richard Nixon powiedział prasie, że „USA muszą teraz udać się do Genewy i zaprezentować tam argumenty za wspólnym działaniem krajów wolnego świata". A w odległych Indochinach francuscy żołnierze, do których dotarły te

słowa, wciąż żywili tlącą się coraz słabiej nadzieję na jakiś pozytywny obrót wydarzeń.

2. TRIUMF WOLI

Od 14 do 22 kwietnia garnizon w Dien Bien Phu stracił 270 ludzi. Nie wszyscy z tych, którym udało się przeżyć, znosili to dobrze. Pewnej nocy jeden z żołnierzy wrzucił granat do bunkra podoficerów – nieco później Amerykanie ukuli na takie powtarzające się wśród swoich ludzi zachowania specjalne określenie: *fragging* (fragmentowanie) – za co w trybie doraźnym rozstrzelano go na miejscu. Do 14 kwietnia de Castries dysponował łącznie 3500 zdolnymi do walki żołnierzami piechoty; jakieś 2 tysiące kolejnych, którzy zdezerterowali, kręciło się wciąż w okolicach obozu, by nocami zakradać się do środka i w ciemności czatować na zrzucane na spadochronach racje żywnościowe. Na początku bitwy teren obozu rozciągał się na przestrzeni blisko 500 hektarów; teraz skurczył się o połowę. Samo pole bitwy przypominało z kolei fragment frontu zachodniego z roku 1917: goła i spalona ziemia, pokryta błotem i zaśmiecona resztkami sprzętu, zniszczoną bronią i wystrzeloną amunicją, pełna lejów i wyrw po bombardowaniach. Jedynie nieliczni po obu stronach frontu odważali się pokazać nieprzyjacielowi za dnia. A francuskie lotnictwo w dalszym ciągu biło rekordy nieudolności: 13 kwietnia de Castries raportował do Cogny'ego, że już trzykrotnie bombowce zaatakowały swoje własne wojsko, a ponadto podczas ostatniego *parachutage* 800 pocisków artyleryjskich trafiło w ręce nieprzyjaciela. Meldunek kończył się lakonicznym i cierpkim stwierdzeniem: „Bez komentarza".

Ludzie Wietminhu wykazywali się z kolei niezwykłą energią i pomysłowością podczas drążenia okopów i tuneli przybliżających ich do pozycji francuskich, a do tego wielką odwagą w trakcie ataków piechoty. Mimo to aż do samego końca właśnie po ich stronie ginęło znacznie więcej walczących niż wśród obrońców. Do chwili obecnej, to jest do roku 2018, Hanoi wciąż nie podało wiarygodnych szacunków strat pośród komunistów pod Dien Bien Phu, co niewątpliwie świadczy

o tym, że musiały być one olbrzymie. Jeńcy, którzy wpadli w ręce Francuzów, zeznawali, że w wielu batalionach Wietminhu panuje powszechne zniechęcenie oraz że większość ludzi dręczy malaria. Trudności napotykane przez komunistycznych dowódców musiały być rzeczywiście spore, skoro porzucili oni taktykę atakowania „ludzkimi falami" na rzecz metod w większym stopniu liczących się z życiem żołnierzy, a ponadto coraz częściej uciekali się do propagandowych mityngów i pokazów samokrytyki. Oficerowie polityczni starali się z kolei zachęcać swoich podopiecznych, w przeważającej mierze chłopów, do dalszej walki o sprawę, obiecując im, że reforma rolna – czyli konfiskata majątków właścicieli ziemskich – zostanie przeprowadzona w „strefie wyzwolonej" już w ciągu kilku tygodni po wygraniu bitwy. Najsilniejszą zachętą dla tych prostych ludzi było jednak z pewnością przekonanie, że ich trudy – w odróżnieniu od wysiłków żołnierzy z garnizonu – nie pójdą na marne. W końcu to przecież oni stali na krawędzi ostatecznego zwycięstwa.

W nocy z 22 na 23 kwietnia podkomendni Giapa wdarli się na Huguette 1, a ściślej: wysypali się z tuneli prowadzących pod ziemią za linie francuskiej obrony. Oficera dowodzącego obroną wzgórza widziano po raz ostatni, kiedy walczył na śmierć i życie otoczony tłumem ludzi Wietminhu. De Castries zarządził przeprowadzenie natychmiastowego kontrataku, jako że bez Huguette 1 w obozie było zbyt mało miejsca na zrzuty zapasów. Komandosi mieli zacząć tę operację 23 kwietnia o godzinie 14.00, ale tuż przed wydaniem rozkazu do ataku stało się oczywiste, że nie są do niej przygotowani. Zapanował jeden wielki chaos: było już za późno, by odwołać ustalony wcześniej atak z powietrza, który o umówionej godzinie 13.45 przeprowadziły cztery bombowce Marauder w asyście kilkunastu myśliwców; do tego ataku przyłączyła się też artyleria, wystrzeliwując większość pozostałej jej amunicji. Żołnierze Wietminhu broniący Huguette ponieśli wprawdzie ciężkie straty, ale ponieważ w ślad za ostrzałem nie nastąpiło planowane natarcie piechoty, wykorzystali oni czterdziestopięciominutową przerwę w walkach na ściągnięcie na wzgórze posiłków.

Kiedy więc Francuzi wreszcie się zorganizowali i wysłali do ataku dwie kompanie wojska, już wkrótce po opuszczeniu bezpiecznych pozycji napotkały one intensywny ostrzał, który spowolnił ich marsz, a wreszcie o godzinie 15.30 zmusił do zatrzymania się mniej więcej w połowie drogi do celu, po doznaniu ciężkich strat w ludziach. A godzinę później ocalali z tej masakry wycofali się do obozu; w tej krótkiej i bezsensownej operacji zginęło bądź odniosło ciężkie rany 76 żołnierzy. Jeden z takich ciężko rannych, niejaki porucznik Garin, któremu zmiażdżyło obie nogi, strzelił sobie w głowę, by nie narażać innych na niebezpieczeństwo przy próbach ratowania go. Komuniści panowali już teraz nad połową lądowiska, a w punkcie opatrunkowym de Castriesa lekarze zmagali się z 401 poważnie rannymi oraz z 676 lżejszymi przypadkami. Jeden z oficerów powiedział ludziom oczekującym na opatrzenie: „Ci, którzy nie mogą sami ustać ani usiedzieć, niech lepiej położą się w swoich okopach”[4].

Przed zbliżającą się wielkimi krokami konferencją w Genewie Dulles raz jeszcze udał się do Europy, tym razem w towarzystwie admirała Radforda, by ponownie zaapelować o współpracę do rządu Winstona Churchilla i skonsultować się z Francuzami. Dla całego świata stawało się coraz bardziej oczywiste, że bez interwencji Stanów Zjednoczonych los Dien Bien Phu jest w zasadzie przesądzony, a entuzjazm amerykańskich konserwatystów dla tego rodzaju akcji wydawał się po części podzielać nawet „Spectator” – „jeśli faktycznie Ho Chi Minha i Chińczyków można przekonać o tym, że pożądany jest pokój, wyłącznie środkami militarnymi”[5]. 22 kwietnia w Paryżu Dulles spotkał się ponownie z francuskim ministrem spraw zagranicznych Bidaultem, by ustalić z nim wspólny polityczny front przed obradami w Genewie (podczas gdy Ely i Navarre nie przestawali się domagać większej liczby amerykańskich samolotów). Kiedy do rozmów przyłączyli się Brytyjczycy, Bidault stał się nieznośny, być może z uwagi na sporą ilość wypitego wcześniej alkoholu. On sam twierdził później, że to Dulles wyprowadził go z równowagi, pytając prywatnie, czy jego zdaniem sprawę pod Dien Bien Phu mogłaby załatwić broń atomowa; wydaje się co najmniej możliwe, że kwestię tę rzeczywiście nieformalnie podniesiono.

Zarówno Eisenhower, jak i jego sekretarz stanu byli już mocno zmęczeni postawą swoich europejskich sojuszników: Francuzów, ponieważ żądali pomocy, nie godząc się na żadne dodatkowe warunki, a Brytyjczyków, bo wciąż odrzucali argumenty za przyłączeniem się do walki w Indochinach, zanim stanie się za późno i Francuzi zostaną zmuszeni do całkowitego wycofania się z regionu. Ponadto obaj amerykańcy politycy źle oceniali nerwowość Wielkiej Brytanii w związku z groźbami Chińczyków dotyczącymi jej kolonii w Hongkongu. Mimo to starzejący się premier i jego minister spraw zagranicznych Anthony Eden twardo trzymali się raz obranego kursu. Nie zgadzali się z teorią domina forsowaną przez Eisenhowera i odmawiali wsparcia jakiejkolwiek nowej operacji militarnej przed konferencją w Genewie, której zresztą miał współprzewodniczyć sam Eden, wraz z sowieckim ministrem spraw zagranicznych Mołotowem. A jeśli chodzi o Churchilla, to nawet kiedy podczas uroczystej kolacji wydanej 26 kwietnia Radford zaprzągł cały swój urok osobisty, by przekonać brytyjskiego przywódcę do własnej argumentacji, ten odparł mu niewzruszony: „Cóż, w takim razie przyjdzie nam się zmierzyć z upadkiem tej fortecy”[6]. A następnie doprecyzował, że po tym, jak Wielka Brytania nie była w stanie uratować Indii dla siebie samej, nie należało się łudzić, że zdoła uratować Indochiny dla Francji.

29 kwietnia Dulles nadał do kraju depeszę, w której pisał: „Postawa Wielkiej Brytanii to jej narastająca słabość. Brytyjczycy zdają się sądzić, że jesteśmy skłonni zaakceptować obecne ryzyko wojny z Chinami, a to – w połączeniu z ich obawami, że moglibyśmy zacząć stosować broń atomową – mocno ich wystraszyło”[7]. Ale to właśnie postawa Brytyjczyków miała największy i najbardziej łagodzący wpływ na rozwój wypadków podczas wszystkich kolejnych wojen w Wietnamie. Gdyby Churchill udzielił wówczas Amerykanom innej odpowiedzi, to choć wydaje się mało prawdopodobne, by Eisenhower zdecydował się sięgnąć po broń nuklearną, zachodni sojusznicy przeznaczyliby zapewne znaczące środki i siły ludzkie, aby wesprzeć z góry przegraną sprawę francuskiej dominacji w Indochinach. Depesze Eisenhowera do Dullesa nie pozostawiają żadnych wątpliwości, że choć odmówił on ze swej strony użycia w pełni amerykańskiej siły wojskowej, to przy

pozyskaniu choćby milczącego wsparcia Wielkiej Brytanii – zwłaszcza politycznego, bo pod względem militarnym wystarczyłaby mu tak naprawdę jakaś symboliczna jednostka bombowców RAF – był nie tylko skłonny, ale wręcz chciał uderzyć w Indochinach z całą siłą.

Począwszy od roku 1940, Brytyjczycy niejednokrotnie musieli wykonywać skomplikowane dyplomatyczne salta, byle tylko uniknąć rozpadu koalicji ze Stanami Zjednoczonymi. Również teraz w Londynie odczuwano spory dyskomfort w związku z nieudzieleniem Waszyngtonowi wsparcia w kwestii, do której tamtejsza administracja zdawała się przywiązywać naprawdę wielką wagę. Nie ulega jednak wątpliwości, że ostrożność Brytyjczyków znajdowała dobre uzasadnienie. O okresie premierowania Churchilla z lat 1952–1955 mówi się często – i słusznie – że był on wówczas zaledwie cieniem samego siebie sprzed dekady. Pod tym jednak względem wykazał się charakterystycznymi dla tych dawnych lat uporem i wizją. W Londynie obawiano się, że prawdziwym celem szykowanej przez Stany Zjednoczone operacji militarnej miałoby być utarcie nosa Chinom. Oburzenie amerykańskiej administracji faktem udzielania przez Chiny pomocy wojskowej Wietminhowi wydawało się o tyle dziwne, że przecież same Stany Zjednoczone bez wahania dostarczały znacznie większe ilości broni i sprzętu swoim francuskim sojusznikom. W ocenie Brytyjczyków już konflikt koreański udowodnił, jak nieznośne potrafią być ciągnące się w nieskończoność swoiste „zapasy w błocie" z komunistami. A przyłączenie się do walk w Indochinach mogłoby doprowadzić do czegoś jeszcze gorszego – nawet do wybuchu kolejnej wielkiej wojny. Churchill wyjaśnił zatem swoim amerykańskim rozmówcom, że nie zamierza przyłączać się do celowego wprowadzania w błąd Kongresu poprzez wspieranie operacji wojskowej krajów zachodnich, która i tak nie zdołałaby ocalić Dien Bien Phu, za to mogłaby mieć różne nieustalone implikacje dla pokoju w regionie i na świecie.

Spotkanie Dwighta Eisenhowera i Winstona Churchilla w Białym Domu, 1954 rok. Na drugim planie widoczni: minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Anthony Eden (z lewej), sekretarz stanu USA John Foster Dulles (w środku) oraz wiceprezydent – Richard Nixon (pierwszy z prawej)

Radford był wściekły, podobnie zresztą jak Eisenhower, który chciał, by komuniści „dostali w Indochinach porządne lanie”[8]. Całkiem możliwe, że to ówczesne rozczarowanie Waszyngtonu postawą Brytyjczyków, określaną za oceanem mianem „bojaźliwości”, sprowokowało dwa lata później amerykańskiego prezydenta do wstrzymania się od wsparcia Edena podczas sporu o Kanał Sueski. Tyle że żadna akcja krajów Zachodu podjęta wiosną 1954 roku nie była już w stanie uratować Francuzów pod Dien Bien Phu, może z wyłączeniem, dosłownie, zrównania wszystkiego z ziemią za pomocą zastosowanej niewspółmiernie do sytuacji broni konwencjonalnej, nie mówiąc już o atomowej. O ile późniejsze zaangażowanie Amerykanów w Wietnamie postrzegane było przez sporą część świata jako skryty kolonializm, o tyle tego rodzaju działanie w roku 1954 byłoby

kolonializmem z otwartą przyłbicą. W całej ówczesnej debacie toczonej w Waszyngtonie niemal w ogóle nie pojawiała się dość oczywista konstatacja, że o przyszłości Indochin i tak zdecydują w przeważającej mierze czynniki polityczne, społeczne i kulturowe. Zamiast tego dyskusja toczyła się wyłącznie wokół spraw militarnych: ile i jakiej broni należałoby użyć. Jako pewnik przyjęto wówczas, podobnie jak miało się to powtórzyć dekadę później, że jeśli Stany Zjednoczone zdecydują się w końcu odwołać do całej swojej potęgi wojskowej w starciu z obutymi w sandały wieśniakami, wówczas armia Giapa nie tylko zostanie niechybnie pokonana, ale wręcz poniesie sromotną klęskę.

Argumentacja, że przecież Francuzi właśnie przegrywają w Indochinach z tą armią wieśniaków, była przez Amerykanów zbijana bardzo prosto: cóż, w końcu to Francuzi. Bernard Fall wspominał z niesmakiem rozmowę z pewnym amerykańskim urzędnikiem, który w nader lekceważący sposób wyrażał się o obecności Francuzów w Indochinach: „Cały ten naród się zdegenerował, trzeba to jasno powiedzieć. Francuzi boją się Niemców, a cała ta ich cholerna francuska armia jest w Indochinach tylko po to, żeby zbić pieniądze, bo i tak nie ma w niej już żadnego ducha walki”[9]. A ponieważ wiosną 1954 roku nie doszło ostatecznie do militarnego zaangażowania się Stanów Zjednoczonych w Indochinach, wypadki w północno-zachodnim Wietnamie potoczyły się zgodnie z oczekiwaniami. W „Le Figaro” ukazała się wówczas karykatura zatytułowana *Ostatnia Reduta*. Widnieli na niej rządowi ministrowie w Paryżu, każdy strzelający sobie w głowę ostatnim nabojem. A skoro już nawet opinia publiczna w ojczyźnie z rezygnacją przyjmowała upadek Dien Bien Phu, dla elity politycznej tego kraju mogło to oznaczać tylko jedno: nieuchronny koniec Francji jako wielkiego mocarstwa.

Za to Navarre i Cogny w dalszym ciągu chwytali się resztek nadziei: a to zakładali, że pogarszająca się monsunowa pogoda wkrótce uniemożliwi z logistycznego punktu widzenia kolejne natarcia Giapa, a to spekulowali, że podczas spotkania przedstawicieli wielkich mocarstw w Genewie podjęta zostanie decyzja o natychmiastowym zawieszeniu broni. Jednocześnie obaj generałowie przekonywali Paryż, że kolejne posiłki zwiększyłyby szanse garnizonu na dalsze utrzymanie

się: „Oprócz kwestii żołnierskiego honoru istnieje też pewna nadzieja na korzystny wynik tego starcia, który usprawiedliwiłby takie dodatkowe poświęcenia”[10]. Był to rzecz jasna czysty absurd. Załogi lotnicze, nie chcąc ponosić choćby najmniejszego ryzyka, zrzucały dostawy dla garnizonu z wysokości 3 tysięcy metrów, wskutek czego już niemal połowa trafiała w ręce Giapa. Z tego samego względu większość bombardowań przeprowadzano całkowicie na ślepo, bo sponad pułapu chmur. 28 kwietnia doszło wręcz do sytuacji, że w jednej z eskadr lotniczych, Groupe Franche Comté, oficer dowodzący, jego adiutant i ośmiu pilotów zgłosiło medyczne dolegliwości dyskwalifikujące ich odnośnie do udziału w misji. Ich dowódca w stopniu pułkownika miał jednak dla nich sporo wyrozumiałości: „Owszem, zgodziłem się nie wysyłać ich [nad Dien Bien Phu] za dnia, na niskiej wysokości, na pewną śmierć, i jest to sprawa między mną a moim sumieniem. Takie poświęcenie ich życia i tak poszłoby na marne”[11]. De Castries skarżył się później z goryczą Hanoi, że podczas gdy załogi lotnicze odmawiają udziału w misji, jego ludzie przechodzą właśnie kolejne stacje Drogi Krzyżowej: „Nie może być tak, że istnieją jakieś podwójne standardy”.

Wśród amerykańskich najemników, którzy jeśli chodzi o loty nad Dien Bien Phu z pewnością zasłużyli na większe pochwały od samych Francuzów, był pilot CAT, brodaty olbrzym James McGovern – dla swoich kolegów „Earthquake McGoon”. Podczas ostatniej z licznych misji zaopatrzeniowych jego C-119, załadowany po dach zapasami amunicji, został trafiony przy podchodzeniu do strefy zrzutu i stracił jeden z silników. Po wyrównaniu maszyny McGovern usiłował kontynuować lot, bo – jak powiedział – „nie uśmiechała mi się kolejna długa wędrówka” (kiedyś, po zestrzeleniu w Chinach, musiał już wracać piechotą do swoich i zajęło mu to sporo czasu). Tym razem jednak jego wysiłki bezpiecznego sprowadzenia samolotu na ziemię nie powiodły się: McGovern rozbił się z impetem, a przewożona przezeń amunicja wybuchła w spektakularny sposób.

24 kwietnia, zupełnie nie dbając o bezpieczeństwo swoich żołnierzy, „Le Monde” ujawnił, że w Indochinach przystąpiono właśnie do operacji „Kondor”, polegającej na przeprowadzeniu z Laosu przez dżunglę 3 tysięcy ludzi w „rozpaczliwej próbie” uratowania garnizonu w Dien

Bien Phu. Szybko stało się jednak jasne, że operacja ta nie miała żadnych szans powodzenia, zarówno ze względu na nieprzebyty gąszcz dzielący miejsce wymarszu od punktu docelowego, jak i z uwagi na silny opór Wietminhu, choć pogłoski o mającej ponoć nadejść odsieczy tchnęły ostatnią już iskierkę nadziei w nielicznych pozostałych w obozie optymistów. Większość ludzi w garnizonie już dawno poddała się jednak rezygnacji i pogodziła z nieuchronną śmiercią albo niewolą. Różne były tylko sposoby radzenia sobie z tą ponurą rzeczywistością: niektórzy patrzyli śmierci w oczy ze stoickim spokojem, większość pogrążała się w rozpaczy i wściekłości. Żołnierze zajmujący pozycje w pobliżu środka mocno już teraz okrojonego obozu wciąż otrzymywali regularne racje żywnościowe i – co równie ważne – wino, w którym mogli topić swoje smutki. Inni, wysłani do bunkrów na obrzeżach, niejednokrotnie całymi dniami musieli czekać na podciągnięcie zapasów i mówili później, że zdarzało im się egzystować tylko o czerstwym chlebie i sosie pomidorowym. Z kolei w szpitalu doktor Grauwin uspokajał swoich pacjentów przerażonych robactwem lęgnącym się w ich ranach, że te larwy żywią się wyłącznie obumarłą tkanką. 26 kwietnia podczas starcia na wzgórzu Isabelle broniący go Algierczycy najpierw wpadli w panikę, a potem zbuntowali się. Ich pułkownik chciał rozstrzelać prowodyrów buntu, ale de Castries rozkazał mu tego nie robić. A 30 kwietnia Legia Cudzoziemska uroczyście świętowała rocznicę pamiętnej walki aż do samego końca pod Camerone w Meksyku w roku 1863. Jednym słowem, przemoczeni przez bezustannie padające ulewne deszcze, wyczerpani, brudni i wygłodzeni obrońcy garnizonu wydawali się czekać na swój nieuchronny koniec.

Następnej nocy, 1 maja, piechota Giapa natarła na Eliane 1, którą opanowała po 90 minutach walki wręcz. Na Dominique 3 broniący jej Tajowie i Algierczycy stawili napastnikom silniejszy opór, ale i oni w końcu ulegli. Ponieważ zaś w bitwie o Eliane 2 de Castries stracił 331 ludzi (zabitych i zaginionych), a 168 odniosło rany, obecnie mógł wystawić przeciwko 14 tysiącom ludzi Giapa zaledwie nieco ponad 2 tysiące obrońców. Dodatkowo Wietminh dysponował teraz nowym rodzajem broni: sowieckimi wyrzutniami rakietowymi katiusza, które

w zauważalny sposób podniosły morale atakujących. A po drugiej stronie stosunki między Navarre'em a Cognym stały się już tak mocno toksyczne, że głównodowodzący zagroził swojemu podkomendnemu postawieniem go przed komisją śledczą pod zarzutem rozsiewania defetystycznych plotek.

Podczas gdy przyszłość obrońców Dien Bien Phu spowijał coraz większy mrok, w ich teraźniejszości dominował smród ekskrementów i niepochowanych ciał rozkładających się na gołej ziemi, co powoli zaczynało się stawać nie do zniesienia. Do obozu wciąż zrzucano niewielkie grupki ochotników mających pomóc odwlec nieuchronną katastrofę – ich zadaniem było jednak tak naprawdę umożliwienie francuskiej delegacji w Genewie posługiwania się argumentacją, że porażki wciąż da się uniknąć. Rannym, którzy mogli samodzielnie się poruszać, proponowano powrót do swoich jednostek: w okopach zaczęło się widywać coraz więcej obrońców w ubłoconych i pobrudzonych bandażach. Langlais i Bigeard raz za razem omawiali plan przedarcia się przez dżunglę rozproszonymi kolumnami, ale za każdym razem nieodmiennie stwierdzali, że każdy wypad poza umocnienia byłby próbą czysto samobójczą.

Wtedy nastąpił kolejny atak Wietminhu. Rankiem 4 maja garnizonowi radiooperatorzy usłyszeli ponuro brzmiącą wymianę krótkich, urywanych meldunków między pewnym porucznikiem, który objął dowództwo nad jednostką Marokańczyków broniącą Huguette 4 po tym, jak trafiony został dotychczasowy dowódca kompanii, a jego podkomendnymi: „Jest nas tu tylko dziesięciu pozostałych przy życiu wokół stanowiska dowodzenia (...). Czekamy na posiłki (...). Gdzie te posiłki? (...). *Les Viets attaquent* (...) Słyszę ich (...). Idą w moją stronę okopami (...). Już tu są (...). Aaa!"[12]. A wieczorem 5 maja Cogny wysłał do bezradnego de Castriesa naglącą depeszę, w której domagał się „dalszej mężnej obrony powierzonej mu placówki, co od teraz staje się pańską chwalebną misją".

W ciągu następnych 24 godzin garnizon otrzymał drogą powietrzną kolejne posiłki w liczbie 383 ludzi, z których 155 było Wietnamczykami. Rankiem 6 maja wywiad ostrzegł de Castriesa, że powinien się spodziewać w nadchodzącą noc jakiegoś dużego ataku. Usłyszawszy to,

jeden z rannych, kapitan Yves Hervouet, zażądał od doktora Grauwina, by rozciął mu gips na połamanych rękach, tak by mógł wrócić do swojej załogi czołgu. O godzinie 21.30 tuż pod Eliane 2 wybuchła mina Wietminhu, a wkrótce potem całe wzgórze zostało opanowane przez oddziały Giapa podczas błyskawicznego natarcia w ulewnym deszczu; kontratak poprowadzony przez kapitana Jeana Pougeta okazał się nieskuteczny. Krwawe starcia wywiązały się także na Eliane 4 i Eliane 10, co zmusiło Langlais'go i Bigearda do wywołania przez radio krążącego nad obozem samolotu i odwołania planowanego zrzutu kolejnych posiłków: teren garnizonu skurczył się już do tego stopnia, że spadochroniarze spadliby z dużym prawdopodobieństwem wprost w ręce Wietminhu. Ostatni meldunek od oficera dowodzącego obroną Eliane 4, utraconej wkrótce po godzinie 21.00, wzywał do bezpośredniego ostrzału artyleryjskiego tego wzgórza, jako że we wszystkich okopach znajdowali się już tylko zabici obrońcy francuscy. Tymczasem wokół punktu opatrunkowego oprócz nowych rannych i tych, którym nie udało się przeżyć, godzinami kręciły się również grupki zagubionych ludzi, którzy nie mając broni ani przydziału, dosłownie nie wiedzieli, co mają ze sobą począć[13].

7 maja o godzinie 17.00 [11.00 czasu środkowoeuropejskiego obowiązującego w Paryżu – przyp. red.] de Castries nadał przez radio do kwatery Cogny'ego następujący meldunek: „Zrobiliśmy wszystko, co tylko mogliśmy. O godzinie 17.30 wysyłam naszych emisariuszy". Słysząc to, Cogny osobiście włączył się do rozmowy, starając się za wszelką cenę zapobiec formalnej kapitulacji: „Nie wolno wam wywieszać białej flagi. Musicie poczekać, aż walki same wygasną". De Castries udał, że się na to zgadza: *„Bien, mon général"*. Na co jego przełożony odparł: *„Allez, au revoir mon vieux"*. A po zakończeniu tej krótkiej konwersacji z czeluści swojego zimnego, zawilgoconego i dusznego bunkra de Castries wydał swoim ocalałym ludziom rozkazy zniszczenia jak największej ilości broni przed formalnym ogłoszeniem, że garnizon się poddaje. Kapitan Pouget zapisał: „w ostrym nagim świetle żarówki elektrycznej człowiek ten wyglądał o dziesięć lat starzej niż jeszcze w marcu"[14]. Dowódca garnizonu w Dien Bien Phu, z rzadka w ogóle pokazujący się swoim żołnierzom, nie wykazał się specjalnie

żadnymi zaletami, które mogłyby uczynić zeń bohatera. Byłoby jednak nieporozumieniem obarczać go odpowiedzialnością za upadek tej placówki, praktycznie nieuchronny już od momentu, w którym wysłano tam garnizon mający walczyć z dala od pozostałych pozycji francuskich, bez zapewnienia mu nieprzerwanego wsparcia. Wietminh postawił w tej partii o wiele więcej żetonów od Francuzów, nic zatem dziwnego że ostatecznie to on zgarnął całą pulę.

Walki powoli dogasały. Radiooperator na ziemi odwołał planowany atak myśliwców i bombowców, wywołując kryptonim „César 5": „Wszystko wysadzamy – żegnajcie nasze rodziny (...) *Adieu César*". Tylko jedna pozycja, Isabelle, wytrwała kilka godzin dłużej, aż wreszcie broniące jej dwie kompanie spróbowały przedrzeć się przez szeregi wroga, co zakończyło się dosłownym wyrżnięciem ich 1200 ludzi w całej serii chaotycznych nocnych starć. Jak się uważa, ostatnim z obrońców, który stracił wówczas życie, był pewien marokański kanonier nazwiskiem Mohammed ben Salah, strzelający z haubicy kaliber 105 mm jeszcze kilka godzin po tym, jak de Castries postanowił się poddać. Wietminh pochwycił 5500 jeńców wojennych, z których tylko około tysiąca nie było rannych. Francuskie dowództwo formalnie odnotowało też 1161 dezerterów, którzy teraz dołączyli do jeńców. Łącznie pod Dien Bien Phu siły, którymi Navarre dysponował w Indochinach, uszczuplone zostały o szesnaście batalionów żołnierzy francuskich i kolonialnych. Nic dziwnego, że działacze Wietminhu i oficjalny bard Van Ky nie posiadali się ze szczęścia: „To było niewiarygodne zwycięstwo, coś wykraczającego poza granice naszej wyobraźni. Jeszcze do nas nie docierało, jak zdołaliśmy pokonać tak wielką potęgę"[15]. Z kolei pułkownik Tran Trong Trung trafnie ocenił, że zwycięstwo to stanowiło nade wszystko wielki „triumf woli"[16].

Jak się okazało, w niewoli miało zginąć więcej ludzi de Castriesa niż we wszystkich uprzednich starciach. Ci, którzy znaleźli się w komunistycznym obozie jenieckim – a niektórzy nie dotarli nawet tak daleko – musieli zmierzyć się z zupełnie nową rzeczywistością. Oto jak pewien komisarz polityczny zwrócił się do pojmanych francuskich oficerów: „Jesteście tutaj na czas nieokreślony i zostaniecie poddani reedukacji przez pracę. Będziecie żyć takim samym życiem jak ci,

których uciskaliście, będziecie cierpieć tak jak oni, aż zaczniecie ich rozumieć. A my poprowadzimy was drogą ku prawdzie”[17]. Około 3900 ludzi z francuskiego garnizonu wróciło ostatecznie do swoich, co stanowiło 43 procent wszystkich pojmanych. Sześćdziesięciu Tajom i dziewiętnastu Europejczykom udało się zbiec z pola bitwy i po kilkusetkilometrowym przedzieraniu się przez dżunglę trafić z powrotem do cywilizacji. Wśród wypuszczonych pod koniec 1954 roku jeńców był również de Castries, który z miejsca zadał odbierającemu go oficerowi marynarki nurtujące go pytanie: „Czy to prawda, że chcą mnie rozstrzelać?”.

Jeszcze gorzej wyglądała sytuacja wziętych do niewoli Wietnamczyków, którzy walczyli wcześniej w służbie francuskiej: zaledwie jeden na dziesięciu takich jeńców, których w ciągu trwania całej wojny było łącznie 14 324, zdołał ocalić życie. Gwoli prawdy, nawet swoim własnym ludziom Wietminh nie potrafił zapewnić odpowiedniej opieki medycznej, a czasem i pożywienia. Mimo to wydaje się oczywiste, że ani Giap, ani jego towarzysze nie przywiązywali większej wagi do tego, czy ich rodacy, którzy wybrali walkę za przegraną sprawę, przeżyją, czy też nie. Czegóż innego można się było zresztą spodziewać po ludziach, którzy dla odniesienia zwycięstwa pod Dien Bien Phu poświęcili, jak się szacuje, około 20 tysięcy swoich własnych zwolenników? Nguyen Thi Ngoc Toan, córka mandaryna, która została żarliwą rewolucjonistką, jako dwudziestojednolatka pełniła funkcję sanitariuszki w armii Giapa. Wkrótce po zwycięskim zakończeniu bitwy wydano ją za Cao Van Khanha, zastępcę dowódcy 308. Dywizji, a ceremonia zaślubin miała miejsce w bunkrze dowodzenia de Castriesa.

W teorii bitwa ta wcale nie musiała przesądzić o losach całej wojny, ponieważ nawet po jej przegraniu Francuzi wciąż dysponowali ogromną siłą rażenia. W dodatku armia Giapa znajdowała się na skraju wyczerpania i nie potrafiła w żaden sposób przełożyć tego lokalnego triumfu na jakąś szeroko zakrojoną i udaną ofensywę. Tyle że na wyczerpaniu była też cierpliwość zarówno francuskiego rządu, jak i całego narodu. Pierre Rocolle napisał: „Dien Bien Phu stało się usilnym zaproszeniem do przerwania ognia, ponieważ brakło już woli jego

kontynuowania”[18]. A pomagający Francji amerykańscy kwatermistrzowie osiągnęli najgorszy możliwy rezultat: dostarczyli jej pomoc wojskową wystarczającą do prowadzenia wojny, ale nie do jej wygrania.

Zakładanie, że wynik jakiegokolwiek historycznego dramatu był z góry przesądzony, jest zazwyczaj z gruntu niewłaściwe, tyle że w poczynaniach Francji w Indochinach przez cały okres 1945–1954 naprawdę trudno jest dopatrzyć się jakiegokolwiek suspensu: wraz z dojściem do głosu ruchów narodowowyzwoleńczych i przy słabości niekomunistycznych elementów politycznych – owej mitycznej „trzeciej siły”, której na próżno wyglądało wielu Amerykanów – władza kolonialna stała się po prostu niemożliwa do utrzymania. Doug Ramsey, urzędnik amerykańskiej służby dyplomatycznej, który dekadę później miał się stać ważną postacią w Wietnamie, wyraził się następująco: „Jak to możliwe, że tak długo sami się oszukiwaliśmy, tyle lat z rzędu? Należałoby się cofnąć jeszcze do Roosevelta dogadującego się mocarstwami kolonialnymi. I jeszcze wszystkie te idiotyzmy, które popełniał John Foster Dulles”[19].

Wielokrotnie spekulowano o tym, jak wiele sukcesów Giapa należałoby w rzeczywistości przypisać jego chińskim doradcom. Ludzie przysyłani przez Mao niewątpliwie służyli Wietminhowi wskazówkami technicznymi. Generalnie rzecz ujmując, późniejsza historia wydaje się jednak przemawiać za tym, że Wietnamczycy z Północy – jak możemy już teraz zacząć ich nazywać, choć wielu komunistycznych przywódców wywodziło się raczej z południa i z centrum kraju – ani nie potrzebowali wskazówek od innych, ani niespecjalnie chętnie się do nich stosowali. Po długiej dekadzie walk Giap i jego towarzysze nabrali doświadczenia i stali się bardzo skutecznymi, a czasem nawet wybitnymi żołnierzami, którzy w dodatku z całą bezwzględnością wykorzystywali przewagę charakterystyczną dla wszystkich armii komunistycznych: absolutne nieliczenie się ze stratami własnymi (ich zagraniczni wielbiciele ochrzcili później Wietnamczyków z Północy mianem „Prusaków Wschodu”). Historycy z Hanoi z wielką wylewnością oddają należną cześć Ho Chi Minhowi za jego osobiste zasługi w triumfach Wietminhu. Tego rodzaju hołdy wynikają rzecz jasna z wymagań oficjalnej legendy

przyjętej przez to autorytarne państwo. Ale zarazem, przynajmniej na tym etapie rozwoju wydarzeń, należałoby je uznać za w pełni zasadne: Giap nigdy nie zdołałby osiągnąć tego, czego udało mu się dokonać, ani nawet nie utrzymałby się na stanowisku głównodowodzącego po licznych krwawych porażkach, gdyby Ho nie udzielał mu swojego wsparcia, na dobre i na złe. Sam generał zresztą, choć powszechnie poważany, był ze względu na swój egocentryzm raczej mało lubiany. W kreślonych później relacjach z tej bitwy, ale także ze wszystkich wojen prowadzonych w Wietnamie, opowiada on wyłącznie o dokonaniach Giapa, posunięciach Giapa, sukcesach Giapa, jedynie zdawkowo wspominając o zasługach jakichś swoich podkomendnych. Ale tak czy inaczej jego wiktoria pod Dien Bien Phu stanowi jedno z ważniejszych dokonań militarnych XX wieku.

3. GENEWA

Wieści o kapitulacji garnizonu podano w Paryżu 7 maja o godzinie 16.45 [22.45 czasu Hanoi – przyp. red.], a do Genewy dotarły one jeszcze później, dosłownie na kilka godzin przed tym, jak zgromadzeni tam ministrowie spraw zagranicznych przystąpili do debaty o politycznej przyszłości Wietnamu. Georges Bidault, ogłaszając ten komunikat, zupełnie nieprzekonująco zachwalał przy tym rolę „cywilizacyjną" odegraną przez Francję w Wietnamie, a także dodał, że „do tego konfliktu zostaliśmy przymuszeni". Następnie rozpoczęto rozmowy przy stołach konferencyjnych – było ich więcej, bo Dulles odmówił zasiadania przy wspólnym z Chińczykami – które to rozmowy, co doprawdy zdumiewające w obliczu skali upokorzenia Francuzów, wcale nie doprowadziły do jakiegoś wielkiego triumfu Wietminhu. W wyniku przyjętych ustaleń wietnamscy komuniści mimo przelania całego morza krwi w celu wzmocnienia swojej pozycji negocjacyjnej musieli wrócić do domu, odniósłszy zaledwie połowiczny sukces. Jak do tego doszło?

Opowieść o konferencji w Genewie rozpocznijmy od samego początku, to jest od przyjazdu pierwszych delegacji 24 kwietnia 1954

roku. Przedstawiciele światowych mediów tłoczyli się zwłaszcza wokół liczącej aż 200 osób grupy Chińczyków, której przewodził przystojny, nienagannie ubrany i obyty w świecie Zhou Enlai, pięćdziesięcioszesciolatek wywodzący się z rodziny ludzi wykształconych. Aż do swojej śmierci Zhou cieszył się szacunkiem wspólnoty międzynarodowej, mimo że przez całe dziesięciolecia był zaledwie zwykłym narzędziem ludobójczej polityki Mao Zedonga. Rosjanie z kolei zjawili się z wielkimi zapasami kawioru – chcieli nim podejmować gości podczas wielkich przyjęć, które zamierzali urządzać, a do których ostatecznie w ogóle nie doszło. John Foster Dulles popisywał się swoją słynną dyplomatyczną kurtuazją, na przykład odwracając się tyłem do Zhou, kiedy ten wyciągał do niego rękę na przywitanie. Brytyjczycy z o wiele większą nerwowością oczekiwali właśnie na zachowanie amerykańskiego sekretarza stanu aniżeli na poczynania komunistów: obawiali się, że temperament Dullesa może go sprowokować do sabotowania obrad. Liczebna dominacja Chin i Rosji jedynie wzmocniła przekonanie Amerykanów, że Ho Chi Minh jest tylko marionetką w ich rękach: delegacje Zhou i Mołotowa pojawiały się w Genewie właściwie wszędzie, podczas gdy przedstawiciele Wietminhu bywali tylko na obradach konferencji.

Wśród owych niejednorodnych grup narodowych, rozlokowanych w różnych hotelach i pałacykach, jedyną z uporem dążącą do utrzymania stanu wojny w Indochinach była ta, której przewodził Dulles. Z obrzydzeniem podkreślał on, że zaproszono go na pokaz dyplomatycznej zdrady na rzecz komunistów, porównywalny z konferencją jałtańską w 1945 roku. Doświadczony liberalny publicysta Walter Lippmann skomentował to następująco: „Stanowisko amerykańskie w Genewie jest nie do obrony w sytuacji, w której wiodący republikańscy senatorowie nie mają innego pomysłu na doprowadzenie do pokoju poza bezwarunkową kapitulacją nieprzyjaciela ani też żadnego innego pomysłu na kontynuację walki poza przystąpieniem do niej wszystkich państw zachodnich, do czego nikt się obecnie nie pali”[20].

A jednak taka zatwardziałość amerykańskiego sekretarza stanu odegrała kluczową rolę w doprowadzeniu do porozumienia, które

okazało się o wiele mniej korzystne dla komunistów, niż sugerowałaby ich niedawna wiktoria pod Dien Bien Phu. W roku 1972 prezydentowi Richardowi Nixonowi nie udało się przekonująco nastraszyć Wietnamczyków z Północy, że jest na tyle szalony, by posłać do walki dowolnie wielką liczbę żołnierzy i ilość sprzętu wojskowego – tak zwana teoria szaleńca zawiodła. Ale w roku 1954 wszystkie komunistyczne delegacje w Genewie autentycznie obawiały się możliwości wysłania do Azji amerykańskich wojsk. Niedawna wojna koreańska podobała się Chińczykom i Rosjanom jeszcze mniej niż mocarstwom zachodnim. Komuniści też czytali gazety i doskonale zdawali sobie sprawę z siły konserwatystów w Waszyngtonie. Dobrze wiedzieli, że administracja Eisenhowera potrzebowała jedynie jakiejś niewielkiej kolejnej prowokacji, by zdecydować się na użycie amerykańskiej potęgi wojskowej – być może nawet broni nuklearnej. Ponadto choć Wietminh postrzegano często jak ruch zdolny do nieograniczonych wręcz poświęceń, to do maja 1954 roku jego przywódcy zorientowali się już, że ich zwolennicy są bardzo zmęczeni. W wietnamskich „strefach wyzwolonych" ludzie mieli dość jednoczesnego toczenia wojny i wprowadzania wielkiej rewolucji społecznej.

Jak się wydaje, na pomysł „podziału" kraju wpadli jako pierwsi Rosjanie. Wietminh dominował na północy, za to był raczej słaby na południu. A precedens został już wcześniej ustanowiony w Korei, rozdzielonej w roku 1945 na pół wzdłuż 38. równoleżnika w wyniku dość niefrasobliwej decyzji Deana Ruska. 3 maja, zanim jeszcze w Genewie zaczęto formalnie omawiać kwestię wietnamską, marionetkowy rząd Bao Daia zagroził zbojkotowaniem konferencji, jeśli Francja nie zagwarantuje, że w agendzie w ogóle nie pojawi się temat podziału kraju. Tego samego dnia Dulles strzelił focha i wrócił do Waszyngtonu, na czele amerykańskiej delegacji zostawiając zastępcę sekretarza stanu, Waltera Bedella Smitha, szefa sztabu Eisenhowera w latach II wojny światowej. Wszyscy odetchnęli z ulgą: „Beetle" – jak powszechnie nazywano Smitha – w przeciwieństwie do Dullesa był człowiekiem ze wszech miar racjonalnym. W kolejnych kilku dniach doszło do całej serii prywatnych dwustronnych spotkań między wszystkimi delegacjami

przybyłymi do Genewy, zanim wreszcie 8 maja rozpoczęły się formalne obrady w cieniu właśnie ogłoszonego upadku Dien Bien Phu.

Przez cały pierwszy tydzień dyskusji głosu prawie w ogóle nie zabierali Chińczycy: jedynymi ministrami spraw zagranicznych, którzy okazywali z tego względu niecierpliwość, byli Eden i Mołotow. 10 maja przemówienie otwierające wygłosił Pham Van Dong, który zapowiedział niestrudzone dążenie Wietminhu do zapewnienia niepodległości wszystkim trzem państwom w Indochinach. Obiecał też, że ci Wietnamczycy, którzy walczyli dotąd przeciwko Ho Chi Minhowi, pozostaną „wolni od represji". A następnie, ku całkowitemu zaskoczeniu przedstawicieli Zachodu, wyraził wolę rozważenia kwestii podziału kraju. Wydaje się niemal pewne, że Wietminh był wcześniej mocno naciskany przez Chińczyków i Rosjan, pragnących, by to właśnie on wyszedł z taką propozycją.

A kiedy z inicjatywy obozu komunistycznego propozycja ta pojawiła się już na stole, stało się wielce prawdopodobne, że właśnie ona będzie podstawą przyszłego porozumienia, choć rzecz jasna do ustalenia pozostawało jeszcze mnóstwo szczegółów, w tym miejsce wyznaczenia granicy między mającymi wkrótce powstać Wietnamami Północnym i Południowym. Francuzi początkowo opowiadali się za rozdziałem terytorium kraju „w cętki lamparta", godząc się na oddanie komunistom jedynie wybranych regionów, przy zastrzeżeniu, że w ich ręce nie wpadną ani Hanoi, ani Hajfong. 12 maja delegacja Bao Daia potwierdziła swój sprzeciw wobec jakiegokolwiek podziału kraju. Tyle że wówczas trwały już robocze rozmowy dwustronne między przedstawicielami Francji i Wietminhu, na które łaskawym okiem patrzyli również Brytyjczycy.

Tymczasem w Stanach Zjednoczonych Dulles w oczywisty sposób odcinał się od obrad w Genewie, a konserwatywne media wpadały w coraz większą histerię. „Time" stwierdził wręcz, że przywódcy brytyjscy „w niepokojący sposób zaczynają podążać drogą *appeasement*". Bedell Smith ogłosił podczas konferencji prasowej, że podział Wietnamu jest nie do zaakceptowania, a prywatnie zaczynał przejawiać coraz większą irytację postawą Edena, który jego zdaniem zbyt łatwo ulegał komunistycznym aspiracjom. Podczas tajnych rozmów

dwustronnych Waszyngton starał się utwardzić stanowisko Paryża, ale Francuzi odpowiadali na to, że przed dobiciem targu może ich powstrzymać wyłącznie natychmiastowa akcja militarna Stanów Zjednoczonych. Eisenhower i Dulles zatem ponowili próbę zmontowania jakiejś koalicji na rzecz podjęcia działań wojskowych, tym razem już bez Brytyjczyków. Udziału w niej odmówiła im jednak zarówno Australia, jak i Nowa Zelandia, co w naturalny sposób zgasiło ten ostatni wybuch amerykańskiego entuzjazmu dla dalszej walki w Indochinach. „Spectator" opisywał pierwsze rozmowy w Genewie jako „potworny bałagan" i zapewne wszyscy uczestnicy musieli się z tym zgodzić.

Aby zrozumieć rozwój wypadków w ciągu kilku następnych tygodni, należy podkreślić, że kapitulacja pod Dien Bien Phu nie oznaczała bynajmniej zakończenia walk w innych miejscach Wietnamu, przy czym Francuzi wszędzie ponosili kolejne straty, a zjawisko dezercji z oddziałów rekrutowanych na miejscu wciąż się nasilało, przybierając w końcu rozmiary prawdziwej epidemii. 4 czerwca odebrano dowodzenie Navarre'owi, a jego miejsce zajął Paul Ely. Wkrótce potem doszło do dwóch kolejnych klęsk militarnych. Ofiarą pierwszej z nich padła Groupe Mobile 100, przeprowadzająca odwrót z An Khe na Płaskowyżu Centralnym, w trakcie którego to odwrotu wpadała raz za razem w serię morderczych zasadzek, począwszy od 24 czerwca. Stan liczebny GM100 zmniejszył się w wyniku tego o połowę, utracono też cztery piąte pojazdów, którymi dysponowała grupa, a jeden z najlepszych pułków francuskich, 1. „Koreański", został wybity do nogi. Podobny los spotkał 12 lipca Groupe Mobile 42. Jednocześnie coraz głośniej mówiło się o tym, że Giap szykuje jakąś nową, wielką ofensywę w Delcie Rzeki Czerwonej: dzięki łącznikowi kolejowemu doprowadzonemu przez Chińczyków do północnej granicy „strefy wyzwolonej" Wietminh otrzymywał już teraz 4 tysiące ton uzbrojenia i sprzętu w miesiącu.

Przedłużające się negocjacje między wielkimi mocarstwami, prowadzone niespiesznie pomimo wciąż trwających krwawych walk, wywoływały coraz większe oburzenie i niecierpliwość światowej opinii publicznej. W londyńskiej Café de Paris podczas przedstawiania

Marleny Dietrich Noël Coward zadeklamował oryginalny i skrzący się dowcipem wierszyk, w którym wychwalał kobiecy wdzięk i powab na przestrzeni wieków. Największym śmiechem publiczność przyjęła fragment o Kleopatrze, który brzmiał: „Ta Żmijka znad Nilu / jednym swym uśmiechem / potrafiła szybciej dopiąć swego / niż mądrale z Genewy". Wtedy niespodziewanie pojawił się pewien promyk nadziei: właśnie z uwagi na kolejne porażki ponoszone przez Francuzów na polu bitwy władzom w Waszyngtonie zaświtała wreszcie refleksja, że sprawy w Wietnamie mogą skończyć się znacznie gorzej niż tylko podziałem kraju. Przy braku nierealnej już teraz amerykańskiej interwencji komuniści mogli wkrótce opanować cały Wietnam. Bedell Smith przyjął zatem wreszcie do wiadomości konieczność pójścia na jakiś układ. Tymczasem 15 czerwca w Genewie doszło do potajemnego spotkania obozu komunistycznego w kwestiach strategicznych: Zhou naciskał na nim Wietminh, by jego ludzie zaczęli wykazywać się większym realizmem, a przede wszystkim porzucili wreszcie kłamliwe stwierdzenia o tym, że nie mają żadnych sił w Laosie i Kambodży. W tych połajankach swojego chińskiego odpowiednika wsparł również Mołotow.

Trzy dni później doszło do kolejnego dramatycznego zwrotu akcji: obowiązki premiera Francji przestał pełnić Joseph Laniel, a jego miejsce zajął Pierre Mendès-France. Nowy francuski przywódca natychmiast zapowiedział, że on również zrezygnuje ze stanowiska, jeśli nie uda mu się w ciągu trzydziestu dni doprowadzić do zawieszenia broni w Indochinach. W ten oto sposób rozmowy w Genewie uzyskały twardy i nieprzekraczalny termin swojego zakończenia, a Zhou wyznał Edenowi i pozostałym ministrom, że on osobiście zamierza go dotrzymać. 23 czerwca w Bernie zorganizowano nieformalne spotkanie Zhou z Mendès-France'em, podczas którego obaj politycy najwyraźniej dobrze się dogadywali. Zhou wcale nie ukrywał swoich podstawowych celów negocjacyjnych: nie dopuścić do wprowadzenia do Indochin wojsk amerykańskich. A najlepszym sposobem, by tego uniknąć, miał być – jak obaj się zgodzili – właśnie podział kraju.

Tymczasem antykomuniści reprezentujący Wietnam, pod przywództwem własnego premiera Ngo Dinh Diema, dopiero co

wybranego kaprysem Bao Daia, nieodmiennie prezentowali twarde nieprzejednanie. Nikt jednak specjalnie nie zwracał na nich uwagi, bo liczyła się opinia tylko jednego potencjalnie niezadowolonego z takiego obrotu spraw uczestnika. Wszyscy zadawali więc sobie pytanie: czy Waszyngton zgłosi weto? Churchill napisał do Eisenhowera: „Sądzę, że Mendès-France podjął już decyzję, by skupić się na wynegocjowaniu możliwie najlepszych warunków. A jeśli tak rzeczywiście jest, to w mojej opinii jest to decyzja słuszna". 24 czerwca Dulles poinformował przywódców stronnictw w Kongresie, że Stany Zjednoczone będą odtąd realizować nową politykę: bronić południowego Wietnamu, Laosu i Kambodży przed próbami przejęcia ich przez komunistów. „Utrzymać całe to terytorium i zwalczać działalność wywrotową wszystkimi środkami, jakimi dysponujemy" – to stwierdzenie milcząco zakładało, że północ Wietnamu jest już stracona.

Przywódcy chińscy i liderzy Wietminhu przystąpili teraz do uzgadniania swoich stanowisk przed kluczową rundą rozmów w Genewie. Podczas spotkania w chińskim Liuzhou na południu kraju, które odbyło się w dniach 3–5 lipca, premier Zhou Enlai przypomniał zebranym o nagłym zwrocie, jaki nastąpił w trakcie komunistycznej inwazji na Koreę Południową latem 1950 roku. Zhou powiedział wtedy Ho Chi Minhowi i jego delegacji: „Kluczowa w sprawie Korei okazała się interwencja Stanów Zjednoczonych (...). Zupełnie nie spodziewaliśmy się, że posiłki [MacArthura] dotrą tam tak szybko (...). Gdyby nie doszło do interwencji Stanów Zjednoczonych, wówczas Koreańska Armia Ludowa już wkrótce zepchnęłaby [siły] Syngmana Rhee wprost do oceanu"[21]. Jak z tego wynika, obawy Chińczyków były nie tak znowu odmienne od obaw Amerykanów: w Państwie Środka niepokojono się, że jeśli Wietminh zacznie grać zbyt ostro, jak kiedyś zrobił to Kim Il-sung z Korei Północnej, wówczas może dojść do geostrategicznej katastrofy.

Trzeba pamiętać, że w roku 1954 triumf Mao Zedonga w chińskiej wojnie domowej, utożsamiany przez wielu z upokorzeniem Stanów Zjednoczonych i sponsorowanych przez nie nacjonalistów, wciąż nie odszedł jeszcze w zbiorową niepamięć, bo miał przecież miejsce zaledwie pięć lat wcześniej. Niektórzy amerykańscy konserwatyści

ciągle żywili nadzieje, choć należałoby raczej nazwać je złudzeniami, że uda się cofnąć „utratę Chin". Przed czterema laty Chińczycy zdecydowali się na ingerencję w konflikt koreański, ponieważ nie mogli pogodzić się z myślą o możliwej obecności zwycięskiej armii MacArthura tuż przy ich południowej granicy, biegnącej wzdłuż rzeki Yalu. Ale teraz w Genewie Mao czuł się już znacznie mniej pewnie, choć późniejsze losy jego komunistycznego reżimu mogłyby mu z pewnością dawać większe poczucie bezpieczeństwa. Tak czy inaczej priorytetem Zhou Enlaia było teraz bezpieczeństwo samych Chin. A jego zachowaniu wydawało się najlepiej służyć uszanowanie wrażliwości Amerykanów: w końcu niekomunistyczny Wietnam Południowy nie stanowił jakiegoś większego zagrożenia dla Chin, a mógł uspokoić rwących się do walki Dullesa i Eisenhowera.

Obrady konferencji genewskiej, kwiecień–lipiec 1954 roku

W dalszej części konferencji w Liuzhou zaczęło się zatem urabianie przywódców Wietminhu. Gdyby wojna w Indochinach w dalszym ciągu miała się toczyć bez żadnych definitywnych rozstrzygnięć – a była to

możliwość całkiem realna, zważywszy, że Francuzi wciąż mieli tam jakieś 470 tysięcy żołnierzy w porównaniu do zaledwie 310 tysięcy zmobilizowanych przez Wietminh – tarcia zaś na linii Wschód–Zachód jeszcze przybrały na sile, wówczas Waszyngton mógłby się mimo wszystko zdecydować na włączenie się do tego konfliktu. A wtedy wszystko, czego komunistom udało się tam dokonać po całej dekadzie walk, mogłoby przepaść. Giap musiał zgodzić się z taką argumentacją, dodając, że bez porozumienia politycznego osiągnięcie całkowitego zwycięstwa militarnego mogłoby zająć od dwóch do nawet pięciu lat; pogląd ten podzielali także chińscy doradcy wojskowi. Francuzi skłonni byli na tamtym etapie rozmów przystać na podział kraju daleko na północy, wzdłuż 18. równoleżnika, na południe od miasta Vinh. Wietminh początkowo obstawał przy wyznaczeniu granicy na 13. równoleżniku, w samym środku Płaskowyżu Centralnego i historycznej krainy Annam. Chińczycy zasugerowali kompromis na 16. równoleżniku, któremu Ho Chi Minh nie wydawał się jakoś specjalnie niechętny. Kiedy 7 lipca Zhou przedstawił Mao rezultat spotkania, chiński przywódca zgodził się zarówno z koniecznością pójścia na ustępstwa, jak i z potrzebą osiągnięcia jak najszybszego porozumienia. Zgodę wyrazili również Rosjanie, z takich samych powodów geopolitycznych.

Nadąsany Dulles odmówił udziału w pierwszych spotkaniach finałowej sesji konferencji w Genewie, która rozpoczęła się 10 lipca. Omawiane w jej trakcie porozumienie uznawał on za wyraz kapitulacji, równie wstrętnej i tchórzliwej, jak uległość okazywana faszystom w latach trzydziestych XX wieku; twierdził ponadto, że okaże się ono zapewne jedynie krótkim postojem przed ostatecznym przejęciem przez komunistów całego Wietnamu. A wszystko to po tym, jak Stany Zjednoczone wydały 2,5 miliarda dolarów na opłacanie antykomunistycznych działań zbrojnych, to jest więcej, niż sama Francja otrzymała od roku 1945 w ramach pomocy gospodarczej. Tymczasem Mendès-France nie zadał sobie nawet trudu, by poinformować Bao Daia o przebiegu negocjacji. Nowo powołany premier Ngo Dinh Diem urzędujący w Sajgonie wciąż sprzeciwiał się podziałowi kraju, mimo że amerykański ambasador usilnie

przekonywał go, iż połowa terytorium to wciąż więcej niż nic. Diem poinstruował swojego ministra spraw zagranicznych obecnego w Genewie, by wciąż dążył do realizacji całkowicie nierealnego planu zachowania Hanoi i Hajfongu pod rządami Sajgonu – była to zaledwie pierwsza próbka charakterystycznej dlań nieumiejętności pogodzenia się z nieprzystającą do jego życzeń rzeczywistością. Nalegał też, by odnotowano reprezentowany przez jego rząd pogląd, że podział kraju nie uwzględnia „jednomyślnego pragnienia Wietnamczyków, aby zachować narodową jedność".

16 lipca do Genewy przybył zastępca sekretarza stanu Bedell Smith, by stało się zadość wymogowi obecności – acz niechętnej – przedstawiciela USA na tej konferencji. Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami nie brał on jednak udziału w gorączkowych rozmowach dwustronnych i innych spotkaniach zwoływanych *ad hoc* w celu omówienia każdego najmniejszego szczegółu planowanego podziału. Dwa dni później ministrowie spraw zagranicznych uzgodnili, że zaproponowane zawieszenie ognia obejmie nadzorem międzynarodowa komisja kontrolna, w której skład wejdą przedstawiciele Indii, Kanady i Polski. Z kolei 20 lipca w wyniku rozmów Francuzów z Wietminhem ustalono, że podział kraju będzie przebiegał wzdłuż granicy zbliżonej do 17. równoleżnika, co dawało nowemu Wietnamowi Południowemu krótką i możliwą do obrony granicę z Północą. Jednocześnie stwierdzano, że podział ten „będzie tymczasowy i nie powinien być w żaden sposób interpretowany jako linia stanowiąca granicę w sensie politycznym czy terytorialnym". Wszystkim Wietnamczykom przyznano trzysta dni na wybór, pod czyimi rządami chcieliby odtąd żyć, przy zagwarantowaniu swobodnego przepływu ludzi między południem a północą. W ciągu dwóch lat w kraju miałyby się odbyć wybory powszechne. Oba państwa wietnamskie miały dołączyć do Laosu i Kambodży jako kraje deklarujące swoją neutralność. A Francuzi mieli wrócić do domu.

Na tak zwane porozumienia genewskie składały się dwa zasadnicze dokumenty. Pierwszym było porozumienie o zawieszeniu broni, podpisane 21 lipca 1954 roku przez Francuzów i Wietnamczyków z Północy. Drugim zaś Deklaracja końcowa po konferencji w Genewie,

poparta ustnie przez Francuzów, Brytyjczyków, Chińczyków i Rosjan. Dulles z kolei wydał własne oświadczenie, w którym podkreślał specjalne zainteresowanie swojego kraju losem obu nowo powołanych do życia organizmów państwowych, a jednocześnie przestrzegał, że jakiekolwiek naruszenie warunków porozumienia stanie się „przedmiotem wielkiego niepokoju oraz poważnym zagrożeniem dla pokoju i bezpieczeństwa na świecie". Wszyscy poza Amerykanami gratulowali też Anthony'emu Edenowi umiejętnego współprzewodniczenia obradom przez wiele długich tygodni, podczas których rozmowy wydawały się czasami wieść donikąd. Jeden z naocznych świadków pisał wręcz o jego „nieledwie nieludzkiej cierpliwości i niewyczerpanych pokładach dobrego humoru"; nie ulega wątpliwości, że był to szczytowy moment w karierze politycznej tego zarazem błyskotliwego i chwiejnego, a przy tym nieprzyzwoicie wręcz przystojnego ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii.

Na dobrą sprawę porozumienia genewskie jedynie precyzowały warunki rozejmu między mającymi wkrótce opuścić kraj francuskimi kolonialistami a komunistami, którym oddano rządy nad Północą. I właśnie ta mało czytelna formuła stała się później zarówno dla Waszyngtonu, jak i dla Sajgonu podstawą do twierdzeń, że nieprzeprowadzenie wyborów powszechnych w ciągu przewidzianych w dokumencie dwóch lat nie stanowi naruszenia żadnych warunków rozejmu, na które obie strony się zgodziły. Wielu ludzi na całym świecie szybko zrozumiało, że choć rezultat konferencji w Genewie budził powszechny niesmak, to na stole po prostu nie pojawiła się żadna lepsza propozycja. Redakcja „Spectatora" napisała we wstępniaku do numeru z 23 lipca: „To nie jest dobry pokój. Ale niemal z całą pewnością jest to zarazem najlepszy pokój, jaki w tych okolicznościach dało się osiągnąć". Magazyn spekulował, że blok komunistyczny musiał powściągnąć swoje żądania w obawie przed głośnym pobrzękiwaniem szabelką w Waszyngtonie. „Jak zdaje się z tego wynikać, Stany Zjednoczone mimo swoich dzikich, brzydkich i niegrzecznych grymasów mimowolnie przyczyniły się w sposób pośredni do zawarcia pokoju".

Odtąd linia polityki zagranicznej Eisenhowera i Dullesa podążać miała w kierunku przydawania tej „właściwej” połowie narodu

wietnamskiego legitymizacji i ważności, a wszystko po to, by uspokoić swoich republikańskich wyborców w domu i przywrócić amerykańskiej administracji poczucie własnej wartości, utracone po przegraniu sprawy Północy. Jak wyraził się sam sekretarz stanu, Wietnam Południowy będzie mógł pomyślnie się rozwijać „uwolniony od piętna francuskiego kolonializmu", a to dzięki talentom Ngo Dinh Diema, którego Waszyngton poparł z całym entuzjazmem, o tyle zdumiewającym, że Amerykanie prawie nic o nim nie wiedzieli. Całkowicie odmienną postawę przyjęli Brytyjczycy: konsekwentnie odmawiali oni zaangażowania się w jakiekolwiek kwestie związane z Indochinami, ponieważ nie widzieli tam dla siebie żadnych żywotnych interesów. Uważali poza tym, że Zachód ma aż nadto problemów z Sowietami w samej Europie. Z kolei Rosjanie i Chińczycy wykazywali naturalną chęć zapewniania pomocy Wietnamowi Północnemu, który teraz oficjalnie dołączył do grona państw socjalistycznych. Niewątpliwie byliby wielce uradowani, gdyby Amerykanom nie udało się uczynić z Wietnamu Południowego modelowego kraju kapitalistycznego, ale też nie przejawiali żadnego apetytu na uczynienie z Indochin jednego wielkiego pola bitwy, na którym miałoby się rozegrać decydujące starcie między Wschodem a Zachodem.

Wietminh wrócił do siebie z Genewy z silnym przekonaniem, że został najzwyczajniej w świecie wyrolowany przez Zhou Enlaia, ale Ho Chi Minh szybko uspokoił swoich towarzyszy, zapewniając ich, iż hegemonia nad całym Wietnamem musi po prostu zostać na jakiś czas odłożona. Wydawał się przy tym mieć pewność, że kiedy tylko przeprowadzone zostaną wybory na Północy i na Południu, kolejnym krokiem stanie się zjednoczenie kraju. A na razie on i jego towarzysze postanowili poświęcić się z całą stanowczością i determinacją budowaniu u siebie państwa socjalistycznego, o którym od tak dawna marzyli, a które z czasem zdolne byłoby wchłonąć również Południe. Ponadto, choć jako ruch rewolucyjny Wietminh od zawsze wykazywał się ogromną chęcią walki zbrojnej, w roku 1954 już nawet jego przywódcy musieli zapewne być wdzięczni za każdą okazję do przespania się we własnym łóżku, pod dachem i w towarzystwie

rodziny, a także zjedzenia czegoś choćby na wpół normalnego czy przeżycia albo przepracowania kilku dni bez obawy przed niebezpieczeństwem stwarzanym przez spadające bomby i nadlatujące pociski.

Na Zachodzie nikt nie traktował porozumień genewskich jako sukcesu, widziano w nich raczej udaną próbę ograniczenia strat; podobnie jak w przypadku większości działań dyplomatycznych wielkich mocarstw głównym zadaniem tej ugody było umożliwienie wyczerpanemu walką państwu kolonialnemu wycofania się z wojny, która okazała się nie do wygrania. I właśnie dlatego nawet dziś zdumiewa fakt, że na mocy tych porozumień nowy rząd w Sajgonie uzyskał tak wiele, podczas gdy zwycięski Wietminh dostał tak mało. A wynikło to stąd, że Rosjanie i Chińczycy byli o wiele mniej zainteresowani losem Indochin, w tym zwłaszcza Wietnamu, niż zakładali to spece od zimnej wojny z Waszyngtonu. Mao Zedong wcale nie życzył sobie mieć za sąsiada zbyt silnego komunistycznego Wietnamu i wydaje się, że właśnie z tego względu starał się wciągnąć w swoją strefę wpływów Laos i Kambodżę, zamiast pozostawiać oba te kraje w sferze oddziaływania Ho Chi Minha.

Powszechne zawieszenie broni zaczęło obowiązywać 27 lipca, w oczekiwaniu na czasowy podział Wietnamu. Po całych latach spędzonych w tajnej siedzibie CBWP w Delcie Mekongu sekretarz Biura, Le Duan, wyszedł wreszcie z ukrycia i zaczął podróżować po całym Południu ręcznie napędzaną drezyną kolejową. Z kolei na Północy stopniowo przejmowali pełną kontrolę komuniści. 9 października armia francuska opuściła Hanoi, urządzając z tej okazji całą serię aroganckich i butnych ceremonii wojskowych, które pewnemu amerykańskiemu świadkowi tych wydarzeń przywiodły na myśl Don Kichota. Pośród napuszonych dźwięków wojskowych werbli, trąbek czy talerzy generał René Cogny, organizator całego cyrku pod Dien Bien Phu, salutował sztandarom poszczególnych pułków, które brały udział w walkach – spadochroniarzy, legionistów, komandosów, Senegalczyków, nacji północnoafrykańskich, a także kolumn opancerzonych, które zajmowały się głównie rozjeżdżaniem miękkiego asfaltu na ulicach Hanoi. Francuzi zadbali przy tym, by ich wyjazd

z Wietnamu kojarzył się miejscowej ludności nie ze szlachetną i godną postawą, lecz z małostkową polityką spalonej ziemi: kolonialiści zabierali ze sobą albo niszczyli dosłownie wszystko, co mogłoby mieć jakąkolwiek wartość dla zwycięzców.

Dziesięcioletni wówczas Doan Phuong Hai, słysząc dźwięk trąbek grających podczas opuszczania przez Francuzów Hanoi, uznał go za „tak smutny, że wydawał mi się płaczem”[22]. Zapamiętał też widok francuskiej flagi opuszczanej po raz ostatni nad cytadelą w tamto chłodne, wietrzne i mokre popołudnie. Dwóch podoficerów złożyło w kopertę ową przemoczoną *tricolor*, a następnie wręczyło ją generałowi nadzorującemu garnizon, który z kolei przekazał flagę jego dowódcy. Padający deszcz zlewał się ze łzami na policzkach wielu zgromadzonych oficerów i żołnierzy, a w tle orkiestra wojskowa grała *Marsyliankę*. A potem cały garnizon zapakował się do ciężarówek i odjechał w kierunku wybrzeża. Właśnie mijało siedemdziesiąt pięć lat, odkąd to niegdysiejsze mocarstwo kolonialne objęło rządy w mieście.

Odjeżdżających Francuzów zastąpili z początku przedstawiciele Międzynarodowej Komisji Kontroli, „oficerowie armii indyjskiej z eleganckimi laseczkami i szczeciniastymi wąsami, bladolicy Polacy w swoich dziwnych trójkątnych czapkach i popijający piwo Kanadyjczycy, mówiący własną, niezrozumiałą odmianą francuskiego”[23]. Ich miejsce zajęli z kolei pierwsi przedstawiciele zwycięskiej armii Giapa. Jak napisał Howard Simpson: „Szli w dwóch rzędach, po jednym z każdej strony ulicy, niscy ludzie w szaroburych mundurach, na głowach noszący hełmy pokryte siatką kamuflującą z wplecionymi w nią liśćmi i gałązkami. Obciążeni bronią i sprzętem, ci *bo doi* z 308. Dywizji wkraczali oto w środowisko zupełnie dla siebie nieznane. O ich zbliżaniu się świadczył jedynie cichy szmer setek stóp obutych w tanie tenisówki: wkroczenie Wietminhu do Hanoi należałoby zatem uznać za jeden z najcichszych marszów zwycięzców w całej historii świata”[24]. Wywodzący się z chłopstwa żołnierze przyglądali się ze zdumieniem okazałym budowlom i szerokim alejom, stanowiącym teraz ich wojenne łupy. Im z kolei przyglądały się uważnie tłumy wzdłuż trasy ich przemarszu, wiwatujące i okazujące wielki entuzjazm, w wielu przypadkach nie do końca spontaniczny: już od kilku dni po całym

mieście krążyli komunistyczni działacze, przekonując wahających się mieszkańców, że w ich najlepszym interesie będzie właśnie wiwatowanie na cześć zwycięzców.

Wśród garstki obecnych tam Amerykanów znalazł się też wielki i niezgrabny major Lucien Conein – „Czarny Luigi", „Lou-Lou" albo „Trójpalczasty Lou" – Amerykanin urodzony we Francji, który w roku 1939 wrócił do kraju rodzinnego, by razem z Francuzami dzielić smutek ich porażki, a następnie służył w agencji wywiadowczej OSS (Office of Strategic Services – Biuro Służb Strategicznych) w Europie i w południowych Chinach. A kiedy potem został dowódcą w wojskowej grupie doradczej w Wietnamie Północnym, kierowanej przez pułkownika Edwarda Lansdale'a, zlecono mu organizowanie zespołów mających zostać na miejscu po wycofaniu się Francuzów. Conein był karykaturą żołnierza służb specjalnych: dużo pił, miał niewyparzony język i często wykazywał skłonność do szokujących zachowań (raz tak się zdenerwował, kiedy silnik jego samochodu odmówił posłuszeństwa, że władował w niego cały magazynek swojego pistoletu kaliber 45). A teraz, stojąc w tłumie Wietnamczyków i patrząc na maszerujące ulicami kolumny Wietminhu, nagle zaczął machać i krzyczeć po wietnamsku: „Niech żyje Ho Chi Minh!". Zasłużył tym sobie na wiwaty otaczających go komunistów, którzy nie zorientowali się, że Amerykanin po prostu się z nich natrząsa – jak miał to często czynić również w kolejnych latach[25].

Jeszcze zanim nastał ostateczny kres francuskich rządów, Norman Lewis bił się z myślami, „czy to wszystko w ogóle było tego warte – krótkie i przymusowe małżeństwo z Zachodem, które teraz tak bezceremonialnie ma zostać zerwane. W końcu czy z historycznego punktu widzenia istniała w ogóle jakaś niewyjaśniona konieczność całego tego rozlewu krwi, wszystkich tych lat pogardy, zniewolenia, odrazy? Czy wolne narody Indochin, wyczekujące swojego odrodzenia, w dłuższej perspektywie zyskają na tym wymuszonym zerwaniu ze starym, niezmiennym stylem życia, który teraz ma zastąpić, jak należy zakładać, filozofia materialistyczna i przyćmiewający wszystko inne ideał podniesienia standardów życia?"[26].

Pewien starszy wieśniak mieszkający przy Drodze nr 1 wyznał: „Najszczęśliwszym dniem w całym moim życiu był ten, w którym zobaczyłem dwie ciężarówki wypełnione francuskimi żołnierzami po raz ostatni wyjeżdżającymi z Hue. Przejeżdżali tuż koło mojego domu i wyglądali na bardzo smutnych”[27]. Francja zostawiła za sobą groby 93 tysięcy swoich żołnierzy, którzy zginęli tu od 1945 roku, tocząc daremną walkę o utrzymanie Indochin. Ludzie ci nigdy nie doczekali się swojego Kiplinga, który opiewałby ich czyny w pięknych i natchnionych słowach. Za to jakąś dekadę później w Sajgonie narodziła się legenda głosząca, że członkowie rozbitej w pył Groupe Mobile 100 zostali pochowani przy Drodze nr 19 na Płaskowyżu Centralnym, czyli tam, gdzie polegli, ale pod ziemią spoczywają na baczność, zwróceni twarzami w stronę Francji.

5
Bliźniacze tyranie

1. RZĄDY TERRORU

Północ i południe Wietnamu zawsze wyraźnie się od siebie różniły, podobnie jak różnią się północne i południowe regiony w krajach takich jak Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Włochy i wiele, wiele innych. Różnice te widoczne są nawet w stosowaniu nieco innych sposobów obrażania swojego rozmówcy: popularne tutaj „pieprz swoją matkę" w Sajgonie brzmi *du me,* ale już w Hanoi – *dit me*. W latach, które nastąpiły po porozumieniach genewskich, obie części kraju wpadły w ręce dwóch opresyjnych reżimów autorytarnych. Ten kierowany przez Ho Chi Minha mógł jednak korzystać z kilku znaczących przewag politycznych. Choć Północ została zdewastowana przez działania wojenne, a następnie poddana dodatkowo skrajnemu zubożeniu wskutek wdrażania komunistycznych teorii ekonomicznych, to o wiele łatwiej i skuteczniej dało się ją też zdyscyplinować. Ho spędził wprawdzie w Wietnamie mniejszą część życia od Ngo Dinh Diema, ale jako zwycięzca w walce o niepodległość cieszył się ogromnym prestiżem, a przy tym potrafił z doskonałym skutkiem wykorzystywać swoją charyzmę i urok osobisty, również na arenie międzynarodowej. Ponadto, sprawując żelazną kontrolę nad przepływem i dostępem do informacji, Wietnam Północny mógł skutecznie ukrywać przed światem swoje bunty, czystki i masowe mordy. Tymczasem na Południu wszystkie szaleństwa i okrucieństwa reżimu Diema widoczne były jak na dłoni, a wielu chłopów nie chciało zaakceptować wietnamskich właścicieli ziemskich, nieróżniących się zbytnio w ich oczach od Francuzów, najwyraźniej nie chcąc dostrzec, że ich pobratymcy

z Północy cierpią o wiele większe prześladowania. Dopiero znacznie później mieszkańcy Południa zaczęli spoglądać na tę „sześciolatkę" – okres od roku 1954 do 1960 – jako na utraconą sielankę, ponieważ stosunkowo nieliczni z ich rodaków zabijali się wówczas nawzajem.

Po ogłoszeniu rozejmu 25 lipca 1954 roku nastąpił masowy exodus z Północy: około miliona jej dotychczasowych mieszkańców, obawiających się swoich nowych władców – biznesmeni, służący Francuzów, właściciele ziemscy, antykomuniści, a przede wszystkim katolicy – opuszczało swój kraj rodzinny drogą lądową, morską i powietrzną. Był to czas zamętu, rozłąki, niepokojów i pożegnań. Działacze Wietminhu zatrzymywali autobusy wiozące uciekinierów do portu w Hajfongu Drogą nr 1 i natarczywie namawiali, a czasem wręcz zmuszali ich pasażerów do pozostania. Osobista tragedia spotkała wówczas między innymi średnio zamożną rodzinę Nguyena Duonga, radzących sobie nieźle małych przedsiębiorców: w tłumie na lotnisku na obrzeżach Hanoi jego matka na chwilę postawiła na ziemi torbę z całym ich majątkiem zamienionym na biżuterię i złoto. Torba błyskawicznie znikła i nie sposób było jej odnaleźć, a oni musieli zaczynać swoje nowe życie w Sajgonie niemal bez grosza[1].

Kiedy czekający na objęcie formalnych obowiązków rząd Północy decydował się wypuszczać kubki upamiętniające zwycięstwo pod Dien Bien Phu, na ulicach Hanoi dochodziło do rozdzierających serce scen: dysponujący jakimkolwiek wartościowym majątkiem mieszkańcy miasta wystawiali wszystkie swoje rzeczy przed domem, by sprzedawać je prawie za bezcen. Nierzadkie były rozłąki w rodzinach. Ojciec Nguyen Thi Chinh imieniem Cuu, niegdyś głowa majętnej rodziny ziemskiej, teraz zmuszony był powiedzieć swojej szesnastoletniej córce i jej dziewiętnastoletniemu bratu Lanowi, że czeka ich przeprowadzka na południe – przebywała tam już jego najstarsza córka, która wyszła za francuskiego lekarza. Wieczorem przed planowanym wylotem Cuu dał obojgu swoim dzieciom pas z wszytymi pieniędzmi, a także z jedzeniem na drogę i paroma innymi niezbędnymi rzeczami. Ale wczesnym rankiem w dniu wyjazdu Chinh poczuła, że ktoś budzi ją, szarpiąc za ramię: był to Lan, który wyszeptał jej do ucha: „Wyjdź na zewnątrz". Na drodze stał przyjaciel jej brata, trzymając dwa rowery.

Brat powiedział jej wtedy: „Jedziemy przyłączyć się do rewolucji. Ojciec na pewno zrozumie, ale nigdy by mi na to nie pozwolił". Chinh była przerażona. Prosiła, błagała, krzyczała, a nawet próbowała odebrać im rowery – wszystko na próżno. Lan z przyjacielem w końcu odjechali w siną dal.

Zrozpaczona pobiegła obudzić ojca. Ten postanowił po chwili namysłu, że córka musi wylecieć zgodnie z planem, za to on zostanie poszukać Lana. Kilka godzin później Chinh znalazła się wśród tłumu zrozpaczonych, przepychających się i krzyczących ludzi na lotnisku, aż wreszcie udało jej się dostać na pokład samolotu transportowego. Na pożegnanie ojciec dał jej złotą bransoletę. Po przybyciu do Sajgonu skierowano ją do obozu dla uchodźców, gdzie przez kolejnych kilka tygodni bezustannie płakała. Wreszcie spotkała jakiegoś dawnego znajomego rodziny, który powiedział jej: „Możesz zamieszkać z nami". Dwa lata później Chinh poślubiła jego syna, a o swoim bracie miała cokolwiek usłyszeć dopiero po upływie prawie czterdziestu lat[2].

Tran Hoi, służący jako kadet we francuskich siłach lotniczych, nie miał żadnych wątpliwości, że chce przenieść się wraz z całym swoim

dywizjonem do Sajgonu. Jego matka postanowiła jednak zostać, by sprzedać dom i rodzinną firmę przewozową. Hoi poleciał na południe na pokładzie C-47: „Płakałem całą drogę – Wietnamczycy nigdy nie opuszczają swoich bliskich". Płakałby zapewne jeszcze dłużej, gdyby wiedział, że nie będzie już miał żadnych kontaktów z resztą rodziny aż do roku 1998. Na Południu zaczął nowe i udane życie, ale zawsze było ono zabarwione pewnym smutkiem, zwłaszcza kiedy nadchodziły jakieś święta czy dni wolne, a on nie mógł odbyć swojej zwyczajowej pielgrzymki do domu rodzinnego.

Autobusami, pociągami, samochodami czy piechotą całe rodziny Wietnamczyków ściągały do Hajfongu, by tam wsiadać na statki, w większości podstawiane przez Amerykanów. Później twierdzono, że to właśnie amerykańscy agenci rozpętali wielką kampanię propagandową mającą na celu wystraszenie mieszkańców Północy i skłonienie ich do wyjazdu. Fakt, iż posługiwano się wówczas propagandą, jest niezaprzeczalny: wystarczy wspomnieć choćby doniesienia o okrucieństwach fabrykowane przez „bohatera" konserwatywnej Ameryki, doktora Toma Dooleya, autora kłamliwych, ale świetnie się sprzedających wspomnień zatytułowanych *Deliver Us from Evil* (*Wybaw nas ode złego*). Niestety równie bezsporne są tragiczne losy wielu z tych, którzy zdecydowali się pozostać, biorąc za dobrą monetę fałszywe zapewnienia Ho Chi Minha, że nie mają się czego obawiać.

Syn właściciela ziemskiego Nguyen Hai Dinh miał osiemnaście lat, kiedy jego jedyna siostra wsiadła na pokład samolotu zmierzającego na południe. On sam pozostał. „Dlaczego? Bo byłem głupi (...) Wszyscy myśleliśmy, że to francuscy kolonialiści byli naszymi oprawcami, ale kiedy nastali komuniści, zaczęliśmy myśleć o Francuzach jako o naszych przyjaciołach"[3]. Pod nowymi rządami wszyscy ci, którzy mieli jakiś majątek albo wykształcenie, z miejsca stawali się elementem podejrzanym, w najlepszym razie skazywanym na wykluczenie, w najgorszym zaś na śmierć. Dinh również dowiedział się, że z uwagi na pochodzenie klasowe nie będzie mógł uczęszczać na uniwersytet ani nawet znaleźć jakiejkolwiek odpowiedzialnej posady. Jego nowy nauczyciel ideologii mówił mu: „W przeszłości ten kraj był feudalny, ale

teraz należy do chłopów i robotników. A ty już nie masz żadnego kraju". Jego ojca pozbawiono na pięć lat praw obywatelskich, uznając go za „element aspołeczny", więc zmuszony był zarabiać na życie jako kucharz partyjnych działaczy. Dinh już wkrótce znienawidził wszystko, co wiązało się z tym nowym porządkiem społecznym, a w szczególności fakt, że nie można było mówić tego, co się myśli. Przez pięć lat chodził ze studentką imieniem Phuong, ale przez cały ten czas ani razu nie odważył się rozmawiać z nią na jakiekolwiek tematy polityczne: „Wszyscy wszystkich obserwowali. A każdy mógł być donosicielem". Dinh uznany został za zdatnego jedynie do prac fizycznych.

Na niektórych terytoriach plemiennych utrzymywał się zbrojny opór z wykorzystaniem broni dostarczonej przez francuskie siły specjalne jeszcze przed zawieszeniem broni. Bernard Fall[4] twierdził, że kilku francuskich oficerów wysłanych do takich plemion nie zdołano później sprowadzić z powrotem z uwagi na ogromne odległości, wobec czego porzuceni przez swoich walczyli oni razem z miejscowymi, dopóki z czasem ich nie powyłapywano i nie pozabijano. Opisuje nawet przypadek pewnego Francuza rozpaczliwie wywołującego swoich przez radio jeszcze latem 1956 roku: „Wy skurwysyny, pomóżcie nam! Pomóżcie! Zrzućcie nam przynajmniej trochę amunicji, żebyśmy mogli zginąć z bronią w ręku, a nie dać się wyrzynać niczym zwierzęta". Fall twierdzi jednak, że nic w tej kwestii nie zrobiono: „Nie było żadnej akcji ratunkowej, niczego takiego: Francja nawet nie upomniała się o swoich ludzi, a komuniści z zadowoleniem sami wzięli sprawy w swoje ręce". Ukazujący się w Hanoi tygodnik „Armia Ludowa" donosił we wrześniu 1957 roku, że w ciągu dwóch lat od ogłoszenia rozejmu siły Północy zabiły w górach na wschód od Rzeki Czerwonej 183 „żołnierzy nieprzyjaciela", a do niewoli wzięły kolejnych 300, jednocześnie zmuszając do poddania się i złożenia broni 4336 plemiennych bojowników. W tej ostatniej grupie prawdopodobnie tylko garstka była Francuzami, ale doniesienie to potwierdza istnienie zbrojnego oporu w górskich regionach kraju.

Tymczasem nowy rząd szykował się do wdrożenia reformy rolnej. Partyjny dziennik „Nhan Dan" wzywał komunistycznych działaczy do „odrzucenia samolubnej doktryny pacyfistycznej" i „zdecydowanego

poprowadzenia mas chłopskich do zgniecenia całej klasy posiadającej”[5]. Przedstawiciel Indii w ICC (Międzynarodowa Komisja Kontroli) raportował, że wszyscy, którzy uznawali ten reżim za zwykłych nacjonalistów i socjalistów, wykazywali się sporą naiwnością. Rząd w Hanoi, konstatował, odznaczał się „bezsprzecznie komunistyczną proweniencją”. Media z Północy prześcigały się ponadto w rozsiewaniu wojowniczej propagandy antyamerykańskiej. Pierre Asselin, zastrzegając, że wszystkie reżimy totalitarne potrzebują jakiegoś wroga, stwierdzał: „demonizowanie Stanów Zjednoczonych (…) stworzyło «pożytecznego przeciwnika», który ułatwiał pozyskiwanie i utrzymywanie poparcia społecznego (…) dla wprowadzania wietnamskiej rewolucji”[6].

Drakoński program reformy rolnej wprowadzany w latach 1954–1956 początkowo podobał się wielu chłopom, zadowolonym z wywłaszczania ich dawnych panów, ale wiązał się zarazem z tyloma uciążliwościami, że mimo zakończenia działań wojennych odbierających wcześniej licznym Wietnamczykom szansę na normalne życie również i teraz wielu z nich nierzadko nie dojadało, a z czasem zaczęło wręcz przymierać głodem. Duong Van Mai, córka byłego urzędnika kolonialnego, zauważyła: „Państwo odebrało jakąkolwiek zachętę do ciężkiej pracy, bo nie płaciło chłopom za ilość włożonego wysiłku”[7]. A kiedy później wprowadzono jeszcze pod przymusem kolektywizację, „braki żywności stały się codziennością”.

Dorosłym przyznawano miesięczne racje w wysokości 12,5 kilograma ryżu, 0,3 kilograma mięsa, takiej samej ilości cukru i pół litra sosu rybnego. Raz na rok otrzymywali oni ponadto 4 metry sukna i 2 komplety bielizny. Wyjątkiem byli rzecz jasna partyjni przywódcy i ich rodziny, którym nawet w najtrudniejszych okresach powodziło się znacznie lepiej. Co prawda elitom z Północy nigdy nie udało się zgromadzić takich bogactw, jakie już wkrótce mieli zagarniać dla siebie ich odpowiednicy z Południa, ale nikt z tej grupy nigdy nie chodził głodny. W roku 1955 jedynie dostawy ryżu z Birmy zapobiegły masowemu zjawisku głodu, jakie wciąż pamiętano tu sprzed dekady. Główne przychody rządu w Hanoi pochodziły z Chin – około 200 milionów dolarów amerykańskich – i z Rosji – kolejnych 100 milionów

USD. Sumy te nie były bynajmniej podarunkami, lecz stanowiły zapłatę za wysyłane do obu tych krajów różnego rodzaju towary, których rzecz jasna brakowało potem w samym Wietnamie.

Nigdy nie opublikowano żadnych wiarygodnych statystyk dotyczących okrucieństw i egzekucji dokonywanych przez rządzących Wietnamem Północnym w pierwszych latach rewolucji. Pewne znaczące uwagi znalazły się jednak w wygłoszonym przez Giapa, wówczas już wicepremiera, przemówieniu z 29 października 1956 roku: „Bez wdawania się w szczegóły postrzegaliśmy wszystkich właścicieli ziemskich jako wrogów, co z kolei skłoniło nas do myślenia, że wrogowie czają się wszędzie (...). Aby skutecznie walczyć z wrogami, przyjęliśmy drastyczne środki (...) i odwoływaliśmy się do niedozwolonych metod [komunistyczny eufemizm oznaczający tortury] mających zmuszać ich do mówienia (...). W rezultacie wielu niewinnych ludzi zadenuncjowano jako reakcjonistów, a następnie aresztowano, karano, więziono”[8]. Szacunki dotyczące liczby wykonanych egzekucji sięgają nawet 15 tysięcy. Choć sam Ho Chi Minh podobno załamywał ręce nad takimi ekscesami, to nigdy nie odwołał się do swojego olbrzymiego autorytetu, by im zapobiec.

W wyniku reformy rolnej nie tylko skonfiskowano dotychczasowym właścicielom ziemskim ogromne połacie gruntów, ale w wielu przypadkach nowy reżim domagał się od nich wypłacania rekompensat najemnym chłopom za wieloletnie pobieranie od nich „zawyżonych” czynszów dzierżawnych. W ramach takich zadośćuczynień ludziom tym zabierano wszystko, co tylko miało jakąś wartość, w tym również zwierzęta gospodarskie; w rezultacie mocno już starszy wujek Duong Van Mai musiał odtąd trudzić się oraniem pozostawionego mu poletka ryżu za pomocą pługa przytroczonego do jego własnego ramienia[9]. Duży dom wuja poddano „realokacji”: kiedy Duong przyjechała tam z wizytą czterdzieści lat później, przekonała się, że w domu mieszka około czterdziestu zupełnie obcych jej ludzi. Z kolei inny mieszkaniec Północy, Doan Phuong Hai, zmuszony był patrzeć, jak jego ukochana babcia dosłownie gaśnie w oczach, po tym jak uznano ją za właścicielkę ziemską, następnie zaś poddano całej serii przesłuchań, podczas których musiała się odnosić do licznych denuncjacji, a wreszcie

skonfiskowano jej cały majątek. Staruszka nie zgodziła się na propozycję syna, chcącego zabrać ją do Hanoi i trochę podleczyć – kaszląc i oddychając z coraz większym trudem, wkrótce przedwcześnie zmarła[10].

Całą klasę właścicieli ziemskich poddano zinstytucjonalizowanym poniżeniom, których celem było tyleż upokorzenie dotychczasowych posiadaczy, co podniesienie samooceny chłopów. Nawet żarliwa komunistka, którą stała się Nguyen Thi Ngoc Toan, przyznawała później: „Wiele z dziejących się wtedy rzeczy nie miało dla mnie żadnego sensu”[11]. Jej samej zresztą też latami odmawiano awansu mimo jej wielkiego oddania Partii, ponieważ „wszystko wymagało właściwego pochodzenia społecznego”. W praktyce oznaczało to tyle, że ludzi wywodzących się z chłopstwa faworyzowano kosztem osób takich jak ona, pochodzących z wykształconych, a co za tym idzie, rzekomo „uprzywilejowanych” rodzin. Zakazane było głoszenie własnych opinii, swobodny dostęp do informacji czy kwestionowanie decyzji Partii. Wietnam Północny w pełni przejął stalinowskie podejście do prawdy: stało się nią wszystko to, co zadekretowało politbiuro.

Truong Nhu Tang, który z czasem awansował do grona zaufanych działaczy partyjnych, przyznawał, że wielu ze skazywanych na śmierć „wrogów ludu (...), tak zwanych właścicieli ziemskich, (...) było tak naprawdę ubogimi wieśniakami, którzy przypadkiem posiadali trochę większe poletka od swoich sąsiadów, w wioskach, w których i tak wszyscy mieli bardzo niewiele”[12]. Słusznie zauważał też, że Partia nigdy nie wyraziła skruchy za swoją kampanię z roku 1956 wymierzoną w „intelektualistów”: wielu trafiło wówczas do więzienia, ale nawet tych, którym udało się go uniknąć, skazywano na areszt domowy i trzymano w odosobnieniu. W listopadzie 1956 wybuchły gwałtowne zamieszki, do których stłumienia wysłano dwie dywizje wojska. Jeden z takich buntów miał miejsce w prowincji Nghe An, a późniejsi komunistyczni historycy obwiniali zań trzech „reakcyjnych księży katolickich”[13], dokładnie zaś ojców Cana, Dona i Cata, którzy ustawiali barykady w wioskach, przejmowali zapasy broni, wyłapywali partyjnych działaczy i organizowali demonstracje przeciwko reformie rolnej.

Nawet autorzy tej komunistycznej narracji zmuszeni byli przyznać: „Musieliśmy użyć sił wojskowych (...). Wszystkich prowodyrów i ich najważniejszych pachołków aresztowano". Oprócz setek ludzi zabitych w trakcie samych starć później stracono jeszcze nawet do 2 tysięcy kolejnych nieszczęśników skazanych na śmierć, a wielu innych wtrącono do więzień[14]. Również w 1956 roku wybuchły trwające aż do 1959 roku zamieszki w innej prowincji, Lai Chau. Hanoi oficjalnie obarczało winą za nie podburzających miejscową ludność agentów chińskich nacjonalistów, ale zarazem przyznawało, że bunty te doprowadziły do „wielu trudnych sytuacji politycznych (...), rozsiewając w społeczeństwie obawy i lęki odnośnie do socjalizmu, a także umniejszając zaufanie ludności do Partii i do Rządu".

Lan, brat Nguyen Thi Chinh, która w roku 1954 uciekła na południe, rzeczywiście próbował przyłączyć się do Wietminhu, ale zamiast tego został wtrącony do więzienia na kolejnych sześć lat. Po wyjściu na wolność odmówiono mu należnej kartki żywnościowej, wobec czego musiał sprzedawać szpitalom własną krew, a w końcu został ulicznym tragarzem. Jeszcze gorszy los spotkał ich ojca: jego również uwięziono, a po wypuszczeniu odmówiono kartki żywnościowej oraz możliwości zdobycia jakiejkolwiek pracy, więc musiał uciec się do żebrania na ulicach. Pewnego wieczoru zmarznięty i wygłodniały zastukał do drzwi dawnego przyjaciela, powieściopisarza nazwiskiem Ngoc Giao. Otworzyła mu żona Giao, która widząc w drzwiach Cuu, poprosiła go, żeby sobie poszedł i nie robił kłopotów jej mężowi, już teraz źle widzianemu przez nowy reżim. Ale wtedy z dachu, na którym się chował, zszedł sam Giao, który spodziewał się, że właśnie przyszła po niego policja. Na widok Cuu zaproponował mu, by wszedł, zjadł coś i się umył. Przegadali niemal całą noc, ale nad ranem pisarz powiedział ze smutkiem: „Obawiam się, że nie możesz tu zostać". Zanim Cuu wyszedł, powiedział jeszcze Giao: „Jeśli kiedykolwiek odezwie się do ciebie moja córka, przekaż jej, proszę, że bardzo ją kocham". A potem zniknął za rogiem. Odtąd Giao i jego żona każdego ranka wystawiali za domem dla Cuu torebkę ryżu – jedyną pomoc, jaką odważyli się mu zapewniać. Przez jakieś dwa tygodnie torebki znikały, ale pewnego dnia kolejnej nikt już nie odebrał. Cuu zniknął z ich życia, tak jak wcześniej

zniknął z życia swoich dzieci, dokonując żywota w nieznanym miejscu i o nieznanym czasie. A sama Chinh dowiedziała się o tych ostatnich dniach swojego ojca dopiero wiele lat po zakończeniu wojny[15].

W żargonie zachodnich służb wywiadowczych Wietnam Północny zaczął być określany jako „strefa skrajnie nieprzyjazna" (*denied area*). Jednak dzięki prestiżowi swojego przywódcy, którego postrzegano jako antyimperialistę bez skazy, a przy tym człowieka uosabiającego zwycięską walkę rewolucyjną, kraj ten radził sobie nie najgorzej w społeczności międzynarodowej. A na jego status społeczeństwa zamkniętego na cały świat większość ludzi Zachodu reagowała jedynie zwykłym wzruszeniem ramion – przecież takie właśnie normy panowały zazwyczaj w krajach komunistycznych. Pewien intelektualista z Północy wysunął znacznie później teorię, że karierę Ho należałoby rozpatrywać w trzech wyraźnie odrębnych fazach: w pierwszej był on po prostu patriotą, w drugiej – komunistą, by w ostatniej stać się pozornym nacjonalistą, który jednak w rzeczywistości realizował interesy Międzynarodówki Komunistycznej. W opinii tegoż rodaka Ho doskonale wykorzystał też swoje kosmopolityczne doświadczenia oraz związki ideologiczne z Chinami i ZSRS – obu tych rzeczy brakowało jego nacjonalistycznym konkurentom niewyściubiającym zwykle nosa poza Indochiny[16]. Wietnamski przywódca potrafił też umiejętnie balansować między oboma komunistycznymi mocarstwami, co stało się szczególnie trudne po tym, jak relacje między nimi pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku zdecydowanie się ochłodziły.

Politbiuro w Hanoi długo nie mogło się otrząsnąć po słynnym referacie Nikity Chruszczowa wygłoszonym w lutym 1956 roku na XX Zjeździe KPZR. Chruszczow krytykował w nim przecież „kult jednostki", a w tym samym czasie wietnamskiego przywódcę namaszczano niemalże na półboga. Większość najbliższych towarzyszy Ho stanowili ponadto zdeklarowani staliniści, którzy śmierć swojego bohatera w roku 1953 przyjęli „ze łzami spływającymi im po policzkach"[17], jak się wyraził jeden z ówczesnych partyjnych funkcjonariuszy. Ten zwrot w polityce Moskwy wywoływał u nich jedynie obrzydzenie, podobnie jak jej rezygnacja z militarnego stawienia czoła Zachodowi na rzecz zwyczajnej rywalizacji

gospodarczej i ideologicznej. A przecież powstanie na Węgrzech w roku 1956 tylko utwierdzało przywódców Wietnamu Północnego w przeświadczeniu, że jakiekolwiek pobłażanie wywrotowcom nieuchronnie prowadzi do prób podważania autorytetu władzy.

Jeden z kanadyjskich dyplomatów raportował wówczas z Hanoi: „Nie ma sensu w ogóle rozważać możliwości upadku gospodarczego Wietnamu Północnego, jako że nie istnieje tu jakakolwiek struktura gospodarcza”[18]. W chwili zdobycia niepodległości w tym liczącym łącznie 13 milionów ludności kraju było zaledwie 30 wykwalifikowanych inżynierów i dosłownie garstka fabryk: rządzący mieli stanowczo zbyt wiele problemów wewnętrznych, by móc w ogóle rozważać jakieś agresywne działania względem Południa. Aż 80 tysięcy żołnierzy zdemobilizowano, by wspomóc nimi siłę roboczą na prowincji. Nie mówiąc już o tym, że zarówno Chiny, jak i Związek Sowiecki jasno dawały do zrozumienia, że sprzeciwiają się jakimkolwiek prowokacjom zbrojnym, które mogłyby zaalarmować Amerykanów.

Istnieje bardzo niewiele materiałów źródłowych dotyczących wewnętrznych rozgrywek partyjnych w Hanoi w latach 1954–1957. Niemniej jednak wydaje się dość oczywiste, że Ho Chi Minh i Giap nie parli wtedy do żadnej nowej wojny: mieli głębokie przekonanie, że mogą osiągnąć zjednoczenie całego Wietnamu pod rządami komunistycznymi bez konieczności toczenia o to walki. Często powtarzane przez nich slogany o dążeniu do tego celu w sposób pokojowy były – przynajmniej na tamtym etapie – zupełnie szczere. Inaczej rozumowali jednak młodzi partyjni działacze. Obserwując ewolucję rządu Diema w Sajgonie, z biegiem czasu coraz bardziej tracili oni nadzieję na doprowadzenie do zjednoczenia Wietnamu pod swoimi rządami inaczej, jak tylko poprzez walkę zbrojną.

2. „JEDYNY CHŁOPTAŚ, JAKIEGO MAMY”

Obserwowany w roku 1954 exodus z Wietnamu Północnego nie był jedyną wówczas migracją w regionie; druga, choć na mniejszą skalę,

kierowała się z Południa na Północ. Wymaszerowali stąd bowiem komunistyczni żołnierze, nierzadko przy akompaniamencie emocjonalnych pożegnań ze strony lokalnych społeczności, wśród których stacjonowali. Łącznie w latach 1954–1955 na Północ „przegrupowało się" 173 900 bojowników Wietminhu i 86 000 członków ich rodzin. Pewna weteranka rewolucyjnej walki po raz ostatni udała się w pożegnalną podróż po Delcie Mekongu, zanim niechętnie wykonała rozkaz przenosin na Północ. Miejscowym komunistycznym towarzyszom zostającym na miejscu powiedziała wtedy: „Do zobaczenia za dwa lata"[19] – mając na myśli moment zjednoczenia kraju po zapewnieniu sobie przez komunistów zwycięstwa w wyborach. Wśród bojowników Wietminhu szybko zyskał sobie popularność gest pozdrawiania się dłonią z dwoma wystawionymi palcami, oznaczającymi liczbę lat mających upłynąć do nieuniknionego spełnienia się ich marzeń. Nga, żona sekretarza CBWP Le Duana, była po raz drugi w ciąży, kiedy mąż wysłał ją na północ na pokładzie polskiego statku razem z rodziną swojego bliskiego towarzysza, Le Duc Tho. On sam został na południu. Aż do samej śmierci Le Duan upierał się, że Ho Chi Minh popełnił dwa historyczne błędy: najpierw zgodził się na powrót Francuzów w roku 1945, a następnie – na podział kraju w roku 1954. Podobnie jak inni twardogłowi, on również uważał, że zjednoczony, komunistyczny Wietnam można będzie osiągnąć jedynie na drodze walki zbrojnej. Żegnając Nga, powiedział: „Przekaż Ho, że zanim znów się zobaczymy, minie jakieś dwadzieścia lat"[20].

Z pogwałceniem porozumień genewskich Hanoi wydało rozkazy, by około 10 tysięcy bojowników Wietminhu pozostało w ukryciu na Południu jako zabezpieczenie na wypadek wznowienia walki zbrojnej. Większość partyzantów, którzy pomaszerowali na Północ, była zdumiona, a nawet rozwścieczona podziałem kraju, a uczucia te z pewnością jeszcze w nich nabrzmiały po przekroczeniu nowo utworzonej Strefy Zdemilitaryzowanej (Demilitarized Zone, DMZ). Na Północy czekały na nich bowiem warunki o wiele cięższe od tych, których doświadczali na stosunkowo bogatym w żywność Południu, a do tego dochodziła jeszcze tęsknota za pozostawioną tam rodziną. Żonę Le Duana zakwaterowano z dwójką małych dzieci w pokoiku nad

jakimś warsztatem samochodowym w Hanoi, musiała ona pisać do rubryki zatytułowanej „Wietnamskie kobiety" w partyjnej gazecie i nikt jej nie informował o losie męża pozostałego w CBWP. Niektórzy przybysze z Południa za nic nie chcieli podporządkować się władzom Północy, a niemal wszyscy mieli tylko jedno ciche pragnienie: wrócić tam, skąd przybyli. Ale dopóki to nie nastąpiło, część z nich wysyłała swoje potomstwo do Rosji bądź do Chin, chcąc, by dzieci zdobyły tam jakieś porządne wykształcenie.

Nowo utworzony Wietnam Południowy i jego rząd faktycznie dysponowali kilkoma znaczącymi przewagami nad Północą: Delta Mekongu była najżyźniejszym i wyróżniającym się największymi zbiorami ryżu obszarem w całej Azji Południowo-Wschodniej; kraj był w dużo mniejszym stopniu dotknięty zniszczeniami wojennymi; wśród tutejszej ludności, choć również i ona powszechnie wspierała Wietminh jako bojowników o niepodległość, entuzjazm dla komunizmu był nieporównanie słabszy; a wreszcie można było liczyć na pomoc Amerykanów, pragnących uczynić z Wietnamu Południowego modelowe państwo w regionie, którym mogliby się chwalić przed, jak to określali, „wolnym światem". Pewien oficer armii Wietnamu Południowego tak wspominał później tamte dni: „Uważaliśmy, że to, jak żyjemy, w sumie nam się należy. Nie byliśmy może bogaci, ale żyło nam się wygodnie i mieliśmy pewne swobody. Byliśmy miękси, ale Wietnamczycy z Południa zawsze byli miękcy, bo gospodarowali na żyznej ziemi. Ci z północy są twardzi, bo i żyją w twardym, ubogim kraju"[21]. Z kolei pewien uchodźca z Północy, który zrobił karierę w sajgońskiej służbie cywilnej, napisał: „Dla wielu z nas (...) lata 1956–1960 należały do najlepszych w życiu – mieliśmy wtedy w sobie tyle oczekiwań i nadziei"[22]. A córka prostych chłopów Phung Thi Ly, urodzona w roku 1949, wspominała swoje dzieciństwo na wsi jako „raj, pełen tropikalnego ptactwa i bawołów, psów i kur, i świń, które traktowaliśmy niczym nasze zwierzątka domowe; rwących rzek idealnie nadających się do pływania i rozległych pól, po których mogliśmy biegać i śmiać się do rozpuku"[23].

Ho Chi Minh zapewnił sobie panowanie nad Północą, przeszedłszy prawdziwą próbę ognia. Dla odmiany Ngo Dinh Diem był zaledwie

arbitralnym nominatem marionetkowej głowy państwa, Bao Daia, zaakceptowanym nie bez oporów najpierw przez Francuzów, a następnie przez Amerykanów. To prawda, dysponował on pewnymi cechami niezbędnymi wielkim przywódcom: odwagą, uczciwością, sprawnością, gorącym oddaniem swojemu krajowi. Niestety był przy tym katolickim fanatykiem religijnym, ślepo oddanym chciwej i pozbawionej skrupułów rodzinie, przepełnionym mesjanistyczną wiarą w słuszność wszystkiego, co robi, nostalgicznie zapatrzonym w nieistniejącą przeszłość, nieczułym na potrzeby i aspiracje swojego ludu.

Większość Wietnamczyków, którym przyszło żyć pod władzą Diema, postrzegało jego rządy jako zwykłą kontynuację kolonializmu. Na tle rosłych Amerykanów, którzy pojawiali się przy nim w życiu – a także w chwili śmierci – uwydatniała się jego fizyczna wątłość. Urodzony w roku 1901, przez pewien czas chciał robić karierę duchowną, jak jego brat Ngo Dinh Thuc, który ostatecznie – dzięki jego wstawiennictwu w Watykanie – został arcybiskupem Hue. Zamiast tego postanowił jednak wstąpić do służby cywilnej i w wieku dwudziestu pięciu lat był już zarządcą prowincji. W roku 1933 Francuzi zaproponowali Bao Daiowi, by uczynił go ministrem spraw wewnętrznych, w tej roli wytrwał jednak zaledwie trzy miesiące, ponieważ mocarstwo kolonialne nie zamierzało przekazywać żadnemu Wietnamczykowi realnych uprawnień, których Diem z miejsca zaczął się domagać. I właśnie wtedy miał on wygłosić myśl, którą później uznano za proroczą: „Komuniści pokonają nas nie dzięki swojej sile, ale z powodu naszej słabości". W trakcie II wojny światowej spędził pewien czas w więzieniu Wietminhu, który zamordował mu jednego z braci i bratanka. Podczas odsiadki Diem spotkał się z Ho Chi Minhem, który zabiegał o jego współpracę, ale srodze się zawiódł. „Jest pan przestępcą, który podpalił i zniszczył ten kraj" – miał mu ponoć wygarnąć Diem (przynajmniej sam tak twierdził). „Mój brat i jego syn to tylko dwie z setek ofiar, które ma pan na sumieniu". Komuniści długo nie mogli później odżałować, że Ho okazał się wtedy na tyle szalony, by puścić go wolno.

Kiedy jednak Wietminh podjął próbę zamordowania go w roku 1950, Diem opuścił Wietnam. Pierwsze dwa lata wygnania spędził jako

pensjonariusz Maryknoll Seminary w Lakewood w stanie New Jersey, gdzie często wykonywał najskromniejsze roboty domowe, ale gdzie miał też okazję poznać tak wpływowych współkatolików jak kardynał Spellman, sędzia Sądu Najwyższego William Douglas, a wreszcie senatorowie Mike Mansfield i John F. Kennedy, któremu zaimponował swoją gorącą nienawiścią zarówno do kolonializmu, jak i do komunizmu. W roku 1953 przeniesiono go do opactwa benedyktyńskiego w Belgii, gdzie nawiązał kontakty z ludźmi liczącymi się we Francji i w jakiś sposób wkradł się w łaski Bao Daia, przebywającego wówczas na wygnaniu w okolicach Cannes. Duży udział w tym konsekwentnym pięciu się Diema po kolejnych szczeblach w stronę przyszłej kariery miał jego przebiegły młodszy brat Nhu, później otoczony złą sławą jego szarej eminencji.

Kiedy Diem po cichu wrócił do Sajgonu 26 czerwca 1954 roku, by objąć stanowisko premiera, w żadnym stopniu nie wpłynęło to ani na jego ascetyczny tryb życia, ani na niezachwiane przeświadczenie o własnej nieomylności. Wiara religijna i zadufanie moralne podpowiadały mu, że doszedł do władzy za sprawą boskiej Opatrzności, zupełnie jak król Karol I obejmujący trzy stulecia wcześniej tron angielski. Diem postrzegał kwestię bezpieczeństwa Wietnamu Południowego jako problem wyłącznie militarny, wobec czego jego sposobem na rozwiązanie tego problemu było wprowadzenie w roku 1955 obowiązkowego poboru do wojska. Nie wykazywał żadnego zainteresowania ani nawiązywaniem nowych przyjaźni, ani godzeniem się z dawnymi wrogami. Pracował po szesnaście godzin dziennie, wydając mnóstwo decyzji i oczekując jak najszybszego ich wykonania. Mając obsesję na punkcie szczegółów, potrafił robić wykład jakiemuś obcemu ambasadorowi czy zagranicznemu dziennikarzowi przez cztery godziny z rzędu bez krótkiej choćby przerwy. Zdarzało mu się nawet osobiście podpisywać wizy wyjazdowe. Podczas gdy Ho Chi Minh dał się poznać jako dobry i dowcipny rozmówca, Diem był całkowicie pozbawiony poczucia humoru, zwłaszcza w odniesieniu do własnej osoby. Nie musiał się zbytnio martwić o pieniądze – to jest o dochód narodowy swojego nowo utworzonego kraju – ponieważ 12 sierpnia 1954 amerykańska Rada Bezpieczeństwa Narodowego stwierdziła, że jeśli

teoria domina jest prawdziwa, wówczas należy wszelkimi sposobami dążyć do przywrócenia prestiżu Zachodu w Indochinach, mocno nadszarpniętego po klęsce Francuzów. A tydzień później Eisenhower zatwierdził akt nr NSC5429/2, na mocy którego Stany Zjednoczone stawały się na dobrą sprawę sponsorem Wietnamu Południowego.

Największym problemem ludzi szykujących się do objęcia rządów w Sajgonie był fakt, że prawie żaden z przyszłych ministrów czy wysokich urzędników nie brał udziału w walce o niepodległość, a co gorsza wielu z nich wcześniej pozostawało na służbie Francuzów. Diem złamał swoją wcześniejszą obietnicę objęcia amnestią działaczy Wietminhu i zamiast tego zaczął zamykać ich w więzieniach. Dowiedziawszy się o tym, francuski premier Edgar Faure miał powiedzieć, że najwyraźniej ten mały fanatyk był „nie tylko nieudolny, ale w dodatku szalony", a rząd Stanów Zjednoczonych z czasem musiał coraz bardziej się z tym zgadzać. Problem w tym, że nie bardzo było go kim zastąpić. Jeszcze w roku 1961 wiceprezydent Lyndon Johnson wystawił Diemowi taką oto pamiętną i barwną laurkę: „Cholera, człowieku, to jedyny chłoptaś, jakiego tam mamy". I choć już w roku 1954 Amerykanie zaczęli powątpiewać w talenty dopiero co mianowanego premiera, to w bardzo nielicznym gronie wykształconej elity Sajgonu nie potrafili znaleźć żadnego lepszego niekomunistycznego kandydata, którego mogliby namaścić do rządzenia zamiast Diema.

Pośród pierwszych amerykańskich rozgrywających w Wietnamie Południowym był pułkownik lotnictwa Edward Lansdale, czterdziestoośmioletni szef Misji Wojskowej, kierującej tajnymi operacjami specjalnymi. Inicjowała ona mało skuteczne wypady sabotażowe na Północ, kosztujące wolność, a czasem i życie, praktycznie wszystkich lokalnych mieszkańców, którzy mieli nieszczęście zostać do nich zwerbowani. W ciągu kolejnych dwóch dekad mocodawcy z Waszyngtonu mieli przysyłać do Wietnamu Południowego cały szereg mniej lub bardziej utalentowanych aktorów próbujących odegrać rolę Lawrence'a z Indochin, a Lansdale'a można z powodzeniem uznać za pierwszego z nich. Ten były spec od reklamy, wykazujący się ponadprzeciętnym darem przekonywania, szybko

nawiązał dobre stosunki z Diemem, co wydawało się dawać Waszyngtonowi pewne przewagi. Pułkownik już wcześniej wyrobił sobie niezłą reputację, doradzając prezydentowi Filipin Ramonowi Magsaysayowi w kwestii poskromienia partyzantki Huk, a teraz otrzymał od Dullesa zadanie powtórzenia tamtych dokonań. Rodacy Lansdale'a przebywający w Sajgonie mieli na jego temat mieszane opinie. Niektórzy uważali go za niesterowny pocisk rakietowy, ale jeden z jego kolegów powiedział o nim później: „Szanowałem go za to, że zarówno w rozmowach z Amerykanami, jak i podczas spotkań z Wietnamczykami, był uważnym słuchaczem i potrafił trafnie kalkulować. Wykazywał się świetnym zrozumieniem tego, co było, a co nie było możliwe"[24]. Lansdale wielokrotnie instruował Diema, że powinien zabiegać o rząd serc i dusz swoich poddanych.

Znacznie więcej kontrowersji wzbudzały intrygi pułkownika. Podobno był on odpowiedzialny za udaremnienie puczu generałów w październiku 1954 roku. Miał zapłacić przywódcom sekt Cao Dai i Hoa Hao kilka milionów dolarów przekazanych mu przez CIA za zachowanie lojalności wobec Diema. Chciał też dogadać się z Bay Vienem, bossem potężnej i zbrojnej mafii sajgońskiej Binh Xuyen. Jego imperium burdeli i palarni opium skupione wokół Dai The Gioi – kasyna Wielki Świat – zlokalizowane było za wysokimi murami w dzielnicy Cholon i składało się z pięćdziesięciu krytych blachą drewnianych budynków, wewnątrz których pomieszczono dwieście stołów. Viena chroniła prywatna armia wyróżniająca się charakterystycznymi zielonymi beretami, licząca 40 tysięcy żołnierzy – a oprócz tego Francuzi.

Był to czas, w którym pozbawieni już formalnej władzy dawni kolonialni panowie ostro rywalizowali o wpływy z coraz bardziej panoszącymi się Amerykanami, co prowadziło czasem do iście komiksowych starć. Lansdale lubił na przykład opowiadać anegdotę[25] o tym, jak to pracownicy amerykańskiej ambasady ze zgrozą odkryli torbę granatów pozostawioną w przedsionku ich siedziby; CIA uznało ich podrzucenie za milczącą groźbę za strony galijskich rywali. Jeszcze tego samego wieczora specjalista od trudnych zadań z Misji Wojskowej, Lou Conein, bezceremonialnie wparował do klubu L'Amiral, ulubionego

miejsca spotkań Francuzów w Sajgonie, wyjął z kieszeni granat, wyciągnął z niego zawleczkę i wymachując nią, odezwał się do klienteli w jej własnym języku: „Wiem, jak bardzo jest wam przykro, że cała społeczność amerykańska, a zwłaszcza personel naszej ambasady, czuje się teraz zagrożona. Gdyby miało się wydarzyć coś nieprzyjemnego albo niegodnego, zapewniam was, że nam również będzie wtedy bardzo przykro". Następnie włożył zawleczkę na miejsce, schował granat i wyszedł na ulicę z pełnym – i słusznym – przekonaniem, że odtąd personel amerykański nie będzie już narażony na żadne groźby ze strony Francuzów.

Kiedy jednak Lansdale'owi nie udało się kupić przychylności Bay Viena, Amerykanie zaczęli się obawiać, że dzięki wsparciu Francuzów ów gangster będzie mógł wkrótce zagrozić nawet samemu premierowi. Równie pesymistycznie zapatrywali się na sytuację obserwatorzy brytyjscy. Konkluzja pewnego raportu sporządzonego dla Foreign Office (brytyjskiego MSZ) brzmiała: „Pan Diem dysponuje licznymi cechami wymaganymi od rewolucyjnego przywódcy narodowego oddanego sprawie ocalenia swojej ojczyzny – odwagą, prawością, wytrwałością, wiarą i niekłamaną wrogością wobec komunizmu"[26]. Niestety, dodawał dyplomata sporządzający raport, był on również „niezdolny do kompromisu" i miał „nikłe zdolności administracyjne". Kiedy do Wietnamu jako osobisty wysłannik amerykańskiego prezydenta zawitał generał Joseph „Joe Błyskawica" Collins, żywiołowy i porywczy wojskowy, który służył pod dowództwem Eisenhowera jeszcze w latach II wojny światowej, zaraportował on po powrocie do domu, że Stany Zjednoczone popierają nieudacznika. Collins wyjaśniał później: „Polubiłem Diema, ale zyskałem też przeświadczenie, że nie miał on dość siły czy charakteru, by zapanować nad całą tą menażerią przedziwnych postaci". 27 kwietnia 1955 roku o godzinie 18.10 Dulles wysłał depeszę z Waszyngtonu do Sajgonu, w której dawał zgodę na odsunięcie premiera od sprawowanej funkcji, zupełnie jakby polecał zwolnienie nie dość dobrze się sprawującej pokojówki.

I właśnie wtedy Diem zaskoczył wszystkich tych, którzy w niego wątpili. Tego samego wieczora, prawdopodobnie zupełnym przypadkiem, choć nie można tu wykluczyć jakiejś roli Lansdale'a, na

ulicach Sajgonu wybuchły starcia między armią południowowietnamską a Binh Xuyen. Sześć godzin po wysłaniu depeszy autoryzującej dymisję Diema Dulles wysłał kolejną, odwołującą poprzednie instrukcje, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że sprawa ta powinna pozostać w zawieszeniu do czasu zakończenia tej swoistej wojny domowej mającej ostatecznie kosztować życie pięciuset Wietnamczyków. Pod koniec maja okazało się, że ze starć zwycięsko wyszły siły rządowe: Bay Vien został zmuszony do ucieczki za granicę, stając się odtąd mimowolnym gościem swoich francuskich sponsorów. A Amerykanie uznali, że Diem ma jednak w sobie więcej ikry, niż go o to podejrzewali, wobec czego jak gdyby nigdy nic postanowili w dalszym ciągu okazywać mu swoje pełne poparcie. Senator Hubert Humphrey, czołowa postać we wpływowym środowisku kongresowej grupy American Friends of Vietnam (Amerykańskich Przyjaciół Wietnamu), oświadczył wręcz, że przywódca Południa jest człowiekiem „uczciwym, godnym i honorowym". A Henry Luce napisał w magazynie „Life": „Każdy syn, każda córa, a nawet każdy daleki krewny Amerykańskiej Rewolucji winien skakać z radości [z powodu pokonania Binh Xuyen] i nauczyć się wykrzykiwać «Hurra, Ngo Dinh Diem!»"[27].

W październiku 1956 roku Diem, niechętny organizowaniu wyborów, w których niemal na pewno wygraliby komuniści, zainscenizował zamiast tego referendum, formalnie usuwające w cień Bao Daia, a jemu samemu dające uprawnienia prezydenta i głowy państwa Wietnamu Południowego. Lansdale przypisywał sobie później zasługę użycia pewnej sztuczki socjotechnicznej: nazwisko Diema wydrukowano na kartach kolorem czerwonym, kojarzącym się Wietnamczykom ze szczęściem, zaś nazwisko Bao Daia na zielono, to jest kolorem przynoszącym ponoć pecha. Diem zapewnił sobie zwycięstwo przy zupełnie niewiarygodnej większości 98,2 procenta wszystkich głosów, który to wynik nawet w Związku Sowieckim uznano by zapewne za nieco przesadzony. Za to w Waszyngtonie Dulles promieniał: „Wietnam [Południowy] jest teraz wolnym krajem. To nie żadne państwo marionetkowe". Tyle że istnienie tego państwa wciąż było w pełni uzależnione od wysyłanych tam przez USA kontenerów wypełnionych dolarami. Jeśli bowiem na Północy nie było żadnej spójnej struktury

gospodarczej, to istnienia takowej trudno też było się doszukiwać w przypadku Południa, chyba żeby uznać za nią gigantyczny deficyt handlowy i zalew importowanych towarów fundowanych przez Amerykanów. Wietnamczycy wkrótce zaczęli cytować cyniczne powiedzenie ukute niegdyś przez Francuzów: „Chcesz mieć miskę pełną ryżu? Nawróć się na katolicyzm”[28]. Wśród tych, którzy poszli za tą radą, był między innymi Nguyen Van Thieu, późniejszy prezydent kraju: w 1958 roku porzucił on buddyjskie wyznanie swoich przodków. A pomoc płynąca ze Stanów Zjednoczonych rosła w zawrotnym tempie: z zaledwie miliona dolarów w roku 1954 do 322 milionów już rok później. Nie przestawała rosnąć także potem – Waszyngton wysyłał do Wietnamu więcej gotówki *per capita* niż do jakiegokolwiek innego kraju na świecie z wyjątkiem Korei i Laosu. Paul Kattenberg z Departamentu Stanu wysunął nawet kosmiczną propozycję, by Stany Zjednoczone zaoferowały Wietnamowi Północnemu łapówkę w wysokości 500 milionów dolarów tytułem „reparacji wojennych”[29] – a w rzeczywistości za to, by zostawił Południe w spokoju. Jak trzeźwo argumentował Kattenberg, tego rodzaju wydatek i tak stanowiłby tańszą alternatywę konieczności utrzymywania Diema.

Nikt w Waszyngtonie nie wyraził jednak większego zainteresowania tą propozycją. Zamiast tego gotówka płynęła szerokim strumieniem do skarbca w Sajgonie, skąd trafiała, bez żadnej zewnętrznej kontroli, głównie do kieszeni prezydenckich generałów i urzędników, co stanowiło niemal idealną zachętę do marnotrawstwa i korupcji. Wystarczyło tylko zapewnić sobie rządowe zezwolenie na import towarów, a droga do zdobycia ogromnej fortuny już stała otworem. Niektórzy z przedstawicieli miejskiej klasy średniej świetnie odtąd prosperowali dzięki stałemu napływowi gotówki i produktów codziennego użytku, a wielu spośród tych nowobogackich wywodziło się spośród byłych uchodźców z Północy, którzy w ten sposób na dobre – choć może jednak na złe – zadomowili się na Południu. W tak pojmowanym systemie kapitalistycznym jedynymi, którzy musieli się naprawdę natrudzić, by zarobić na miskę ryżu, zdawali się chłopi, za to sam Sajgon przeżywał krótki, ale intensywny czas stosunkowego dobrobytu.

3. CZASY PROSPERITY

Pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku stolica Południa wciąż miała w sobie pewną kolonialną elegancję zabarwioną orientalną dekadencją, która wprost zachwycała ludzi Zachodu. Nowi przybysze z zachwytem spoglądali na wietnamskie dziewczęta w sukienkach *ao dai* – a z jeszcze większym, kiedy je zdejmowały. Co bardziej oczytani cudzoziemcy przypominali sobie słynne słowa Grahama Greene'a: „Gdy się bierze do łóżka Annamitkę, to jakby się brało ptaka: szczebioczą i śpiewają na poduszce"[30]. W odróżnieniu od większości ludzi Zachodu, wcześnie zaczynających swoje życie seksualne i niestroniących w nim od zmiany partnerów, Wietnamczycy z klasy średniej dość długo ograniczali się do raczej niewinnych kontaktów z płcią przeciwną – niewielu z nich przed zawarciem aranżowanych przez rodziny małżeństw miało okazję wyjść poza etap trzymania się za ręce. Nguyen Cao Ky, który miał później zasłynąć życiem z wieloma żonami i kochankami, wspominał, że kiedy przybył do Francji jako dwudziestojednoletni kandydat na pilota, podobnie jak większość jego rówieśników był prawiczkiem.

Szanowani Wietnamczycy określali dziewczęta zbyt jak na ich gust towarzyskie mianem *Me My*, to jest słowami tylko trochę mniej pogardliwymi od ulicznicy. Rodziny poddawały swoje dzieci obojga płci rygorystycznemu wychowaniu społecznemu. Ojciec Truong Nhu Tanga bardzo wcześnie zaplanował przyszłe kariery swoich sześciu synów: lekarz, aptekarz, bankier, inżynier, inżynier, inżynier. I Tang rzeczywiście wybrał się na studia farmaceutyczne, które przerwał dopiero wtedy, gdy zdecydował, że chce zostać rewolucjonistą: „Co niedziela gromadziliśmy się w domu mojego dziadka i słuchaliśmy jego nauk na temat mądrości konfucjańskich. Bezustannie przypominał nam o obowiązku prowadzenia cnotliwego życia, o osobistej prawości i o synowskim oddaniu. Z lubością omawiał też kardynalne zasady etyczne: *nhon, nghia le, tri, tin* – szlachetność, obowiązek, przyzwoitość, sumienie i wierność (...). Zwłaszcza nam, chłopcom, wciąż powtarzał, że istnieją dwie niewzruszone konieczności: obrona honoru rodziny i lojalność wobec ojczyzny. Razem śpiewaliśmy różne umoralniające piosenki, które znaliśmy już na pamięć: *Cong cha nhu nui Thai Son* –

«Poświęcenia wychowującego cię ojca sięgają tak wysoko, jak wierzchołek góry Thai Son / Miłość i opiekuńczość twojej matki są jak strumienie, które nigdy nie wyschną»”[31].

Życie młodej uciekinierki z Hanoi, Nguyen Thi Chinh, odmieniło się całkowicie pewnego dnia w roku 1956, kiedy ta piękna młoda kobieta poznała Josepha Mankiewicza, który przybył do Sajgonu, by nakręcić zdjęcia do filmu *Spokojny Amerykanin*. Reżyser zaproponował jej próby do roli Phuong, wietnamskiej kochanki najpierw brytyjskiego dziennikarza Fowlera, a później agenta CIA Aldena Pyle'a. Chinh była tym bardzo podniecona: jej świeżo poślubiony mąż, oficer wietnamskiej armii, właśnie odbywał przeszkolenie w Stanach Zjednoczonych. Pod jego nieobecność, zgodnie z obowiązkiem wynikającym z zasad przyzwoitości, udała się po zgodę do swojej teściowej, która z oburzeniem odrzuciła samą myśl, że mogłaby mieć w rodzinie aktorkę. Ale mimo tak mało obiecujących początków myśl o graniu w filmach zakiełkowała już w głowie Chinh. Jej kariera filmowa zaczęła się oficjalnie w następnym roku, kiedy to przyjęła rolę buddyjskiej zakonnicy w pewnej wietnamskiej produkcji – co pozwoliło jej łatwiej uzyskać zgodę rodziny męża.

Odtąd Chinh była już gwiazdą wielu kolejnych filmów, łącznie dwudziestu dwóch, o tytułach takich jak *A Yank in Vietnam* (*Jankes w Wietnamie*) czy *Operation CIA*. Wyjeżdżała na plany filmowe w całej Azji Południowo-Wschodniej, a w swoim kraju szybko stała się kobietą sławną, a nawet wielbioną. Ale mimo wszystkich tych sukcesów nigdy nie opuściła jej świadomość przeżytej w młodości rodzinnej tragedii: rozstania z resztą rodziny i późniejszej nieświadomości co do losów tych, których zostawiła na Północy: „Moim prawdziwym wrogiem jest wojna. Bez niej jakież mogłam mieć cudowne życie”[32]. Jeśli zaś chodzi o film Mankiewicza, jednym z gości honorowych na jego pokazie premierowym w Waszyngtonie był pułkownik Lansdale – niesłusznie uznawany za pierwowzór antybohatera książki Greene'a – który wychwalał produkcję pod niebiosa. Jak się okazało, czynił to tylko on: Audie Murphy zagrał bowiem tytułowego spokojnego Amerykanina jako w sumie równego faceta, wskutek czego autor pierwowzoru literackiego

uskarżał się na wypranie całej historii z cynizmu, który przepełniał jego powieść.

Choć większość amerykańskich pieniędzy rozkradziono albo zmarnowano, nawet część tej olbrzymiej pomocy finansowej wpompowanej do kraju w połączeniu z wytchnieniem od działań wojennych sprowadziła do Delty Mekongu pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku czasy prosperity. Pewien wieśniak tak oto wspominał te lata: „Patrzę teraz na ten okres jak na jakąś bajkę. Byłem wolny od trosk i cieszyłem się swoją młodością”[33]. Dramatycznie spadała liczba członków partii komunistycznej. Na polach pełno było ryżu, w sadach owoców, w obejściach tłustych świń, a w wiejskich sadzawkach ryb. Pojawiało się coraz więcej drewnianych domów zastępujących proste wiejskie chałupy. Niektórzy wieśniacy kupowali nawet do nich jakieś umeblowanie, inni nabywali rowery i radioodbiorniki, a dzieci uczęszczały do szkół. Pierwsze zmotoryzowane sampany i pompy wodne stanowiły zapowiedź modernizacji rolnictwa.

Tyle że ludzie na samym dole drabiny społecznej mieli z tego bardzo niewiele. W politycznym systemie Południa, podobnie zresztą jak w tym na Północy, trudno się było doszukać mechanizmów dzielenia się bogactwem, choć początkowo przynajmniej nie wiązał się z tym przymusowy rozlew krwi. Na swoje ziemie wrócili posiadacze rolni, by odzyskać własność odebraną im po przepędzeniu przez Wietminh, a czasem wręcz powrócić do praktyki pobierania czynszów dzierżawnych. Diem stopniowo stawał się coraz bardziej autorytarny: Tran Kim Tuyen, kierujący jego służbami wywiadowczymi SEPES, miał wprawdzie niecałe 1,53 metra wzrostu i ważył tylko 45 kilogramów, ale szybko dał się poznać jako jeden z najbardziej bezwzględnych zabójców w całej Azji. Prezydent uparcie odmawiał też zorganizowania wyborów, twierdząc, że nigdy nie podejmował takiego zobowiązania. W pewnym sensie miał rację: jego rząd nigdy nie podpisał się pod ustaleniami konferencji w Genewie, a zresztą analogiczne wybory przeprowadzone na Północy z całą pewnością nie byłyby ani wolne, ani uczciwe.

Trzeba też pamiętać o tym, że Amerykanie, a nawet niektórzy Europejczycy, postrzegali Wietnam Południowy w kontekście innych

państw klientycznych Stanów Zjednoczonych. A w nich instalowały się i trwały – a nawet świetnie prosperowały – reżimy o wiele bardziej odstręczające od rządów Diema. Brutalność i skłonność do korupcji wykazywane przez południowokoreańskiego dyktatora Syngmana Rhee nie przeszkadzały mu wcale w niezagrożonym sprawowaniu władzy. Na Filipinach prezydent Ramon Magsaysay sięgał po najbardziej bezwzględne metody, by zatriumfować nad partyzantką Huk. Likwidacja komunistycznego zagrożenia w Grecji nastąpiła dopiero po dłuższym czasie i przy szokujących aktach barbarzyństwa z obu stron. Niewielu dyktatorów w Ameryce Łacińskiej zadawało sobie trud rządzenia swoimi krajami w sposób choćby odrobinę uczciwy, sprawiedliwy czy humanitarny, a mimo to nieprzerwanie cieszyli się oni silnym poparciem Waszyngtonu.

Tak więc pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku Amerykanie nie mieli żadnych podstaw, by uznać, że niekompetencja, korupcja czy represyjna polityka charakteryzujące rządy Diema miałyby w jakimkolwiek stopniu przesądzić o jego upadku tak długo, jak długo to oni płacili za to wszystko rachunki. Zresztą Diem wyszedł właśnie bez szwanku z kolejnego zamachu na jego życie zorganizowanego przez komunistów w lutym 1957 roku, a pułkownik Lansdale nie przestawał zachwalać malutkiego prezydenta swoim szefom za oceanem. I niektórzy z nich rzeczywiście byli pod jego wrażeniem: nawet w samym Sajgonie tylko nieliczni zachodni korespondenci znajdowali podstawy, by kwestionować przyjętą przez Waszyngton linię polityczną. A kiedy sam Diem udał się w maju 1957 roku z wizytą do Stanów Zjednoczonych, został przyjęty przez prezydenta Eisenhowera, a jego przejazd ulicami Nowego Jorku pośród mnóstwa serpentyn i konfetti śledziło ćwierć miliona mieszkańców miasta. „New York Times" opisywał go euforycznie jako „azjatyckiego wyzwoliciela, człowieka nieustępliwie dążącego do celu", zaś „Boston Globe" określił go po prostu „wietnamskim człowiekiem ze stali"[34]. W magazynie „Life" ukazał się z kolei artykuł z pompatycznym nagłówkiem: *Twardy człowiek od zadań niemożliwych z Wietnamu: Diem, który właśnie przybył do Ameryki, przebudził swój kraj i rozgromił czerwonych*[35]. Doprawdy, trudno byłoby pomieścić więcej zmyśleń w jednym tylko zdaniu.

Prezydent Dwight Eisenhower i sekretarz stanu John Foster Dulles witają prezydenta Wietnamu Południowego Ngo Dinh Diema na lotnisku w Waszyngtonie, 8 maja 1957 roku

Powróciwszy do Sajgonu, Diem dał się przekonać swoim amerykańskim doradcom, że powinien częściej pokazywać się własnemu narodowi, a kiedy faktycznie zaczął to czynić, Amerykanie każdorazowo zapewniali mu sztucznie napędzany entuzjazm tłumów. Rzecz jasna już wcześniej zapatrzony w siebie Diem podczas takich tournée tylko utwierdzał się w swoich przeświadczeniach, biorąc ten wyreżyserowany entuzjazm za przejaw autentycznego uwielbienia. Ze swojego oślego uporu próbował czynić cnotę, a kiedyś podczas rozmowy z dziennikarką Marguerite Higgins wyrwało mu się nawet, że jeśli Stany Zjednoczone chciały kontrolować rząd w Sajgonie „niczym marionetkę na sznurkach (...), to w czym różniłyby się wtedy od Francuzów?”[36]. Pracujący dla USIA (Agencji Informacyjnej Stanów

Zjednoczonych) Ev Bumgardner uważał, że Diem postrzegał Amerykanów jako „duże dzieci – z dobrymi intencjami, silne, dysponujące sporą wiedzą techniczną, ale niespecjalnie inteligentnie obchodzące się z nim samym i z całą jego rasą”[37].

Diem był człowiekiem jedynym w swoim rodzaju, w odróżnieniu od przywódców Wietnamu Południowego, którzy zajęli jego miejsce. Niestety, nie posłuchał on akurat tych rad, które mogły mu zapewnić przeżycie, a nawet odniesienie sukcesu, by mianowicie ograniczyć nadużycia własnej rodziny, przestać faworyzować katolików, dobierać sobie podwładnych na zasadzie kompetencji, a nie tylko lojalności, zacząć walczyć z korupcją, zarzucić prześladowania swoich krytyków, wprowadzić radykalną reformę rolną.

Ludzie z Sajgonu zwykli myśleć o sobie jako o *nguoi Viet* – prawdziwych Wietnamczykach – podczas gdy tych z Północy określali lekceważącym *Bac Ky*. Tym mocniej zatem rzucała im się w oczy ostentacyjna wręcz dominacja w dworskich kręgach wokół Diema, a także w jego macierzystej partii politycznej Can Lao, katolickich uchodźców z Północy. Duong Van Mai, która sama również uciekła z Hanoi, napisała później: „reżim Diema z czasem coraz bardziej zaczynał przypominać rząd przywieziony w teczce”[38]. Najbardziej destrukcyjny wpływ na prezydenta miał jednak jego własny brat Ngo Dinh Nhu, ów bystry, przebiegły i brutalny szef służb bezpieczeństwa, którego małżonka, Madame Nhu, powszechnie nazywana „smoczą damą”, wygrałaby w cuglach każdy casting na rolę złej i zepsutej do szpiku kości czarownicy wschodu. Północnowietnamskie politbiuro nader chętnie posługiwało się specami od egzekucji i tortur, ale nazwisk i twarzy tych ludzi nie znał nikt spoza ich własnych katowni. Tymczasem różne ciemne sprawki małżonków Nhu szybko stały się głośne na całym świecie, wyrządzając trudne do oszacowania szkody wizerunkowi rządu w Sajgonie.

Sympatii nie przysparzali też Diemowi jego generałowie, z lubością noszący przyciemniane okulary i przyciężkie wojskowe czapki z mosiężnymi wykończeniami, które to połączenie jak świat długi i szeroki kojarzy się wyłącznie z wojskowymi wysługującymi się tyranom. Niektórzy z nich szli nawet jeszcze dalej, przywdziewając

podczas bankietów eleganckie smokingi – formalny ubiór charakterystyczny dla ludzi Zachodu. Każdy południowowietnamski wieśniak oglądający zdjęcia swoich przywódców przystrojonych w taki właśnie sposób nie mógł natychmiast nie odczuć głębokiej przepaści ziejącej między „nimi" a „nami". Pewien Wietnamczyk piszący dla UPI, widząc cały ceremoniał, z jakim Diem zajeżdża pod budynek Zgromadzenia Narodowego w Sajgonie, rzucił kwaśno w stronę jednego ze swoich kolegów: „Być może ludzie w Hanoi to skończeni dranie, ale nie idioci i nigdy nie pokazaliby się własnemu społeczeństwu w mercedesie-benzu"[39]. Nieodparcie wręcz rzucał się w oczy kontrast między zachowaniem Diema a postawą Ho Chi Minha, który odmówił zajęcia na swoją osobistą rezydencję pałacu generalskiego byłego gubernatora Hanoi, wybierając zamiast niego prosty domek ogrodnika położony nieopodal. Jak ujął to pewien amerykański reporter: „Ludzie, od których oczekiwaliśmy zbudowania świadomości narodowej, okazali się całkowicie oderwani od swojego narodu".

Jeszcze w 1960 roku aż 75 procent całej ziemi uprawnej na Południu należało do zaledwie 15 procent populacji, przy czym większość właścicieli w ogóle nie przebywała w kraju z uwagi na grożący im terror. Komuniści namawiali chłopów do niepłacenia czynszów dzierżawnych, wiedząc, że dzięki temu zyskają kolejne rzesze zwolenników rewolucji: gdyby bowiem właściciele ziemscy przy wsparciu rządowych mocodawców odzyskali kontrolę nad swoimi ziemiami, wówczas zaczęliby zmuszać chłopów do spłaty zaległych długów. Z powszechnym niezadowoleniem spotkało się ponowne wprowadzenie przez Sajgon dawnego kolonialnego systemu pracy przymusowej, który pozwalał rządowi przez pięć dni w roku zatrudniać każdego za darmo do celów realizacji własnych projektów. A kiedy William Colby z CIA naciskał na Diema, by wdrożył projekt radykalnej redystrybucji gruntów rolnych, prezydent odparł tylko: „Nic pan nie rozumie. Nie mogę przecież wyeliminować swojej klasy średniej". Mianowani przez rząd urzędnicy niskiego szczebla, a więc rezydujący głównie na wsi, stawali się pomniejszymi tyranami, dzierżącymi władzę niemal absolutną i uprawnionymi, by orzekać o winie czy niewinności wszystkich oddanych pod ich jurysdykcję – a nierzadko ferującymi nawet wyroki

śmierci. Pielęgniarka przysyłana do miejscowego ambulatorium nie wydawała żadnych leków bez łapówki; podobnych korzyści oczekiwał policjant liczący członków rodzin do celów podatkowych czy członkowie wiejskiej rady rozsądzający lokalne spory[40]. Zalęknieni wieśniacy czuli się w obowiązku zapraszać swoich ciemiężców na uroczystości rodzinne, takie jak śluby czy pogrzeby, a także zanosić im najlepsze kawałki kotów czy psów zabijanych na obiad. Co oczywiste, nie wszyscy urzędnicy zachowywali się nieprzyzwoicie, ale generalnie rzecz biorąc, byli oni albo niekompetentni, albo brutalni, albo przekupni, a czasami nawet i tacy, i tacy, i tacy.

Kiedy zatem w latach 1960–1961 przez kraj przetoczyła się pierwsza fala zabójstw urzędników, wielu wieśniaków w skrytości ducha im przyklaskiwała, bo też terroryści umiejętnie wybierali na swoje ofiary tych najbardziej znienawidzonych. Diem wprowadził ponadto ufortyfikowane osady zwane „agroville", do których przymusowo przenoszono okolicznych chłopów. Celem takiego zabiegu miało być odseparowanie ich od komunistów, ale w rzeczywistości władzy udało się przede wszystkim zrazić do siebie wszystkich tych, którzy nie życzyli sobie żadnych przenosin. Aby podkreślić brutalność reżimu Diema komuniści przedstawili statystyki, których trzymają się do dziś, mówiące o zabiciu przezeń w latach 1954–1959 około 68 tysięcy rzeczywistych bądź wydumanych wrogów i przeprowadzeniu 466 tysięcy aresztowań. Dane te już na pierwszy rzut oka wydają się horrendalnie przesadzone, ale też Południe z upodobaniem pomnażało liczby zabitych podczas redystrybucji ziemi na Północy. Z całą pewnością możemy za to stwierdzić, że rząd w Sajgonie nazbyt pochopnie promował interesy katolików i prześladował byłych członków Wietminhu. Podczas gdy na Północy komuniści z powodzeniem zbudowali bardzo skuteczne państwo policyjne, którego mechanizmy starannie ukryli przed światem, to Diem i jego rodzina po prostu sklecili marną jego namiastkę, a w dodatku pozostawili wszelkie jego niegodziwości na widoku publicznym. Niewątpliwie pomagało to do pewnego stopnia utrzymywać społeczeństwo w strachu, za to nie przyczyniało się ani trochę do zapewniania sobie jego szacunku.

Upadek tego reżimu wcale nie był jednak nieunikniony. Gdyby prezydent potrafił rządzić swoim krajem w sposób choć odrobinę oświecony, wówczas można by zapewne zapobiec odrodzeniu się komunizmu. Fredrik Logevall napisał, że zważywszy na obojętność zarówno Chin, jak i Związku Sowieckiego na nierealizowanie warunków porozumień genewskich, „nie da się wykluczyć scenariusza, w którym Wietnam Południowy rządzony przez Diema przetrwałby na kształt państwa południowokoreańskiego (...). Diem był jedyną znaczącą postacią polityczną o przekonaniach otwarcie antykomunistycznych, która pojawiła się w Wietnamie od roku 1945 aż do roku 1975”[41]. Niestety, był on również skłonny do niezliczonych szaleństw i idiotyzmów: w ciągu trzech lat od roku 1957 rząd w Sajgonie zatwierdził budowę około pół miliona metrów kwadratowych luksusowych apartamentów i willi na wynajem, około 50 tysięcy metrów kwadratowych sal tanecznych, a z drugiej strony tylko około 100 tysięcy metrów kwadratowych szkolnych klas i około 5 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni szpitalnych[42].

Jak się okazało, to właśnie nadużycia i niedociągnięcia wewnętrzne reżimu, a nie jego niechęć do zorganizowania wyborów zjednoczeniowych, dały komunistom paliwo do ponownego rozniecenia wojny na Południu. Zarówno wśród własnych rodaków, jak i na arenie międzynarodowej Ho Chi Minh wyrastał oto na niekwestionowanego zwycięzcę w rywalizacji o prawo do reprezentowania całego narodu wietnamskiego. Mający komunistyczne przekonania nauczyciel dziesięcioletniego wówczas Truonga Mealy mieszkającego w Delcie Mekongu powiedział mu kiedyś: „Czy wiesz, dlaczego Ngo Dinh Diem przybył do Wietnamu? Przysłali go tu Amerykanie. A teraz cała jego rodzina przyssała się do władzy, a ubodzy ludzie muszą na nich pracować. Kto powinien rządzić Wietnamem – Diem czy Ho Chi Minh?”[43]. Pięć lat później Truong Mealy był już kurierem Wietkongu, jak miał się odtąd nazywać odradzający się na Południu komunistyczny ruch partyzancki.

4. PONOWNIE DO BRONI

Ostatni francuscy żołnierze opuścili Sajgon 28 kwietnia 1956 roku. W ten sposób, ku konsternacji Hanoi, najważniejszy zachodni sygnatariusz porozumień genewskich w praktyce umył ręce od dalszej odpowiedzialności za Indochiny, a w szczególności za przeprowadzenie tam uzgodnionych w Genewie wyborów. Odrodzenie się działań zbrojnych na Południu jakiś czas później nie było wykalkulowaną od samego początku polityką inspirowaną przez Hanoi, ale raczej wynikało ze spontanicznie narastającego gniewu wśród lokalnych oponentów reżimu Diema. Pewien chłop powiedział amerykańskiemu badaczowi Jamesowi Trullingerowi, że u niego we wsi wszyscy tłumaczyli sobie chwilowe uśpienie komunistów ich sprytną kalkulacją – z pewnością liczyli oni na to, że jeśli poczekają i dadzą ludziom z Południa posmakować kilkuletnich rządów Diema, wówczas i oni dojrzeją do rewolucji[44]. Bojownicy z Południa zaczęli przypuszczać ataki na siły i instalacje rządowe bez czekania na sygnał ze strony jakichś wyższych czynników.

Pierwszym komunistycznym wezwaniem do broni był płomienny list adresowany do politbiura na Północy skreślony w grudniu 1956 roku przez Le Duana, wciąż przewodniczącego CBWP w Delcie Mekongu. Opisywał on w nim prześladowania swoich towarzyszy, dławienie komórek partyjnych i coraz mocniejsze zaciskanie wojskowej pętli przez Sajgon, zwłaszcza na terytoriach Płaskowyżu Centralnego. W odpowiedzi Hanoi niechętnie przyznawało, że bojownikom na Południu powinno się zezwalać na strzelanie w samoobronie. Ponadto godziło się na zabójstwa „reakcyjnych zdrajców" i terrorystyczne zamachy bombowe na „instytucje Diema". Na południe wysłano niewielki kontyngent oficerów wywiadu i elitarną jednostkę saperów – ludzie Zachodu określiliby zapewne obie te formacje jako komandosów. Odtąd, jeśli wierzyć samym komunistom z Południa, w 1957 roku mieli oni zabić, porwać albo przeciągnąć na swoją stronę 452 nominatów rządu południowowietnamskiego, przede wszystkim naczelników wiosek. Wznowiono też działania terrorystyczne: w ataku na bar w Chau Doc 17 lipca zginęło 17 osób, 13 kolejnych odniosło rany w jednej

z sajgońskich kawiarni 10 października, a podczas trzech kolejnych ataków bombowych w stolicy rannych zostało jeszcze 13 amerykańskich wojskowych.

Kolejnym ważnym wydarzeniem było wezwanie Le Duana na Północ. Kiedy w końcu dotarł on do Hanoi wraz z jednym z towarzyszy latem 1957 roku, początkowo przetrzymywano ich przez pewien czas pod strażą w jakimś domu gościnnym. Był to zaledwie środek zapobiegawczy, zapewne w związku z ówczesna przepychanką na szczytach władzy, wynikającą z trwającego już od jakiegoś czasu kryzysu gospodarczego. Tak czy owak obaj przybysze bez trudu wymykali się wieczorami w poszukiwaniu jakichś rozrywek, wkradając się na miejsca stojące do teatru Hong Ha i innych podobnych przybytków, dopóki zdesperowani strażnicy nie poprzebijali opon w ich rowerach, by jakoś powstrzymać ich od ciągłych ucieczek[45]. Le Duan miał też podobno uskarżać się na głos, że politbiuru zależy wyłącznie na spokojnym życiu: „Oni nas tam porzucili!”[46].

Im więcej czasu Le Duan spędzał w Hanoi, tym mocniej do niego docierało, że ani z Moskwy, ani z Pekinu nie sposób spodziewać się jakiegokolwiek poparcia dla nowej wojny. Przepełniała go jednak taka energia, że w ciągu kilku kolejnych miesięcy zdołał wysunąć się przed szereg licznych konkurentów w strukturach partyjnych i uzyskać niebagatelny wpływ na decyzje politbiura. W tym marszu po władzę wspierał go bliski sojusznik Le Duc Tho, którego jeden z wysokich rangą towarzyszy scharakteryzował kiedyś jako „chłodnego i małomównego”[47], a który później miał się stać rozmówcą Henry’ego Kissingera podczas paryskich negocjacji pokojowych w latach 1972–1973. Za Le Duanem przemawiała niewątpliwie jego nieskazitelna karta weterana walk, który dla rewolucji wycierpiał więcej od niemal każdego ze swoich współtowarzyszy. Prestiż, jakim się z tego powodu cieszył, pozwalał mu wypowiadać kwestie takie jak słynna później: „Przekonywaniem tej imperialistycznej bandy do niczego się nie dojdzie. Zamiast tego trzeba chwycić za młotek i walić ich po łbach”. Kiedy usunięto dotychczasowego sekretarza komunistycznej partii Wietnamu Północnego za nieudolne wdrażanie programu kolektywizacji, naturalnym kandydatem na jego następcę wydawał się

Giap. A jednak w grudniu 1957 roku na stanowisko to mianowano właśnie Le Duana.

Urodzony jako Le Van Nhuan pięćdziesiąt lat wcześniej w północnej części Wietnamu Południowego ten syn prostego cieśli został zdeklarowanym rewolucjonistą na długo przed tym, nim Ho powrócił z wygnania. Odznaczał się on niezaprzeczalnie silną osobowością, ale swoim oschłym tonem i językiem zrażał do siebie co wrażliwszych partyjnych kolegów. Brakowało mu społecznego obycia, a przede wszystkim pogardzał słabością, czy to ideologiczną, czy to ludzką, którą od samego początku dostrzegał w Giapie, a prawdopodobnie również – choć nigdy nie odważyłby się powiedzieć tego na głos – w starzejącym się Ho Chi Minhie. Jego życie osobiste pozostawało zagadką jeszcze długo po jego śmierci. Dopiero w XXI wieku jego druga żona, była kurierka Wietminhu, Nguyen Thuy Nga, zdecydowała się ujawnić swoją tragiczną historię[48].

Był rok 1956, Le Duan przebywał wciąż na Południu. W święto Tet – to jest w wietnamski Nowy Rok – Nga wyjechała poza Hanoi, by złożyć wizytę ojcu męża. Wiozła ze sobą podarunki: trochę miodu, korzenie żeń-szenia i kilka metrów jedwabnego sukna Ha Dong. W domu teścia zastała pierwszą żonę męża, która na wieść o istnieniu drugiej małżonki Le Duana, czyli Ngi, dosłownie zalała się łzami. A kilka miesięcy później sprawą zajęli się partyjni oficjele: od jednego z nich, wysokiego rangą funkcjonariusza, Nga usłyszała, że ktoś o tak wysokiej pozycji jak Le Duan mógł mieć tylko jedną żonę, wobec czego dla niej nie było już miejsca. Jako matka dwojga jego dzieci Nga nie chciała się z tym pogodzić i odparła, że w takim razie z ostateczną decyzją życzy sobie poczekać na powrót męża do Hanoi – co nastąpiło wkrótce później. Jeśli jednak oczekiwała z jego strony jakiekolwiek współczucia, to srodze się zawiodła: po zapłodnieniu jej po raz trzeci Le Duan po prostu przekazał ją w ręce partyjnego Ogólnokrajowego Stowarzyszenia Kobiet, które już wkrótce wyprawiło Ngę do Chin, by tam „studiowała".

Na wygnaniu Nga zaczęła otrzymywać od Le Duana cały szereg listów, niekiedy namiętnych, z których zwłaszcza jeden wyróżniał się osobistym tonem: „Kocham cię, tak bardzo cię kocham. Proszę, nie zrozum źle tych kilku obiektywnych czynników zewnętrznych czy

nieszczęśliwych wypadków. Moja kochana, miłość przezwycięża wszelkie przeszkody. Jeśli mnie kochasz, wówczas znajdziesz sposób, by rozwiązać wszystkie swoje problemy i trudności". Małżonkowie widywali się raz na jakiś czas, kiedy on przyjeżdżał do Pekinu załatwiać sprawy państwowe; pewnego razu poznała nawet Ho Chi Minha. Le Duan przejął opiekę nad trójką ich dzieci, a kiedy Nga dowiedziała się, że w praktyce zajmuje się nimi jego pierwsza żona, pogrążyła się w rozpaczliwym smutku. Po upływie kilku lat udzielono jej zezwolenia na krótką wizytę w Wietnamie i odwiedziny u swoich dzieci. Spędziła trzy dni z Le Duanem, który wydał jej się „skrępowany i nieszczęśliwy", czemu zresztą trudno się dziwić. W roku 1964 wysłano ją do Delty Mekongu jako działaczkę propagandową, a swoich dzieci miała nie oglądać aż do roku 1975. Tak wyglądała ciemniejsza strona osobowości Le Duana, ale także prawdziwa natura partii, której poświęcił on całe swoje życie.

Radykalizm Hanoi wynikał w dużej mierze z umacniającego się tam przekonania, że nie sposób będzie doprowadzić do pokojowego zjednoczenia kraju. Radykalizm ten objawił się najpierw przyjęciem przez Partię w listopadzie 1958 roku Uchwały nr 14, wprowadzającej rewolucję na Północy w kolejne dramatyczne stadium związane z kolektywizacją. A w kolejnym miesiącu z Wietnamu Południowego napłynęły doniesienia o śmierci dużej liczby osób przetrzymywanych w jednym z obozów Diema, w tym również komunistów, z powodu zatrucia pokarmowego. Z początkiem następnego roku politbiuro zaczęło z kolei otrzymywać emocjonalne skargi i błagania od mieszkańców wiosek na Południu, pisane bez wątpienia przez lokalnych działaczy komunistycznych: „Drogi wujku Ho! Amerykanie i Diem już wystarczająco długo się nad nami znęcają – prosimy o pozwolenie, by móc poobcinać im głowy"[49]. Po tygodniach długich debat Komitet Centralny Partii zdecydował się wydać Uchwałę nr 15, która stała się ważnym krokiem w stronę eskalacji. Dopuszczała ona podejmowanie na Południu bardziej agresywnych działań, choć ubierała to w charakterystyczny partyjny żargon ogólników i wielkich kwantyfikatorów: „Jedynie triumf rewolucji będzie w stanie uśmierzyć niedole ubogiego i udręczonego ludu Południa, a zarazem pomieszać

szyki dążącym do rozsiewania zła amerykańskim imperialistom i ich marionetkom dzielącym nasz naród i prącym do wojny". Uchwała nr 15 umożliwiała rzeszom „ochotników" – jak Chińczycy już wcześniej określali swoich żołnierzy walczących w Korei – udanie się do strefy przyszłych działań wojennych. W ciągu kolejnych miesięcy na terytoria kontrolowane przez Diema wysłano około 4600 działaczy politycznych, techników i inżynierów, z których większość pochodziła z Południa i kilka lat wcześniej poddana została „przegrupowaniu". Zezwolono także na otwarcie Strategicznej Drogi nr 559, utrzymywanego w najgłębszej tajemnicy przejścia na przyszłe pole bitwy biegnącego przez terytorium neutralnego Laosu, które miało z czasem przekształcić się w Szlak Ho Chi Minha. Ponadto ogłoszono trzyletni pobór do wojska. Jeden z wysokich funkcjonariuszy partyjnych zatwierdzających Uchwałę nr 15 powiedział później: „Dopiero wtedy [w 1959 roku] wreszcie przyznaliśmy, że nie będzie żadnych wyborów powszechnych; że Diem wyrzyna naszych rodaków. Wiele wskazywało na to, że USA zamierzają w dalszym ciągu wzmacniać swoją obecność [a wobec tego] jedyną drogą do zjednoczenia naszego kraju musiało być użycie przemocy"[50].

Co wielce znaczące, Hanoi wcale nie spieszyło się z informowaniem Rosjan o przyjęciu Uchwały nr 15, ponieważ Le Duan i jego towarzysze dobrze wiedzieli, jak zostanie ona odebrana w Moskwie. Równie ciekawe jest jednak to, że dopiero 7 maja 1959 roku te nowe wytyczne przekazano do CBWP, czyli do komunistycznej kwatery głównej na Południu. Przywódcy Wietnamu Północnego najwyraźniej wciąż chorobliwie obawiali się sprowokowania Amerykanów, być może sądząc, że zdecydowaliby się oni nawet uderzyć na terytoria samej Północy. Tymczasem niemal z każdym dniem pogłębiała się ideologiczna przepaść między Rosją a Chinami, co znajdowało swoje odzwierciedlenie w walce frakcyjnej w Hanoi. Ho Chi Minh i Giap skłaniali się ku Moskwie; Le Duan stał na czele tych, którzy chcieliby większego zbliżenia z Pekinem.

Nie zważając na katastrofalne skutki wprowadzanego właśnie przez Mao Zedonga programu uprzemysłowienia kraju – Wielkiego Skoku, który miał kosztować życie co najmniej 55 milionów Chińczyków,

w Hanoi Le Duan entuzjastycznie, ale i bezkrytycznie określał narodowe aspiracje własnego państwa słowami: „Dzisiejsze Chiny to jutrzejszy Wietnam". Póki co jednak w kraju narastały wewnętrzne napięcia i wzbierała fala niezadowolenia, zwłaszcza wśród katolików organizujących kolejne demonstracje, podczas których domagali się prawa do przenosin na Południe. A kiedy podczas takich wieców zaczęto wykrzykiwać: „Precz z komunizmem!", wojsko otworzyło ogień do demonstrantów i nie obyło się bez ofiar. Z kolei kłopoty gospodarcze zmusiły rząd w Hanoi do obcięcia wydatków na wojsko z 27 procent narodowego budżetu w roku 1955 do 19,2 procenta w roku 1958 i zaledwie 16 procent w roku 1960. Spadała produktywność fabryk i wydajność rolnictwa, co doprowadziło do zmniejszenia racji ryżu dla ludności. Ambasador Czech raportował do swoich władz, że większość pomocy płynącej do Wietnamu z krajów bloku sowieckiego idzie na zmarnowanie[51]. Z kolei brytyjski konsul w Hanoi donosił w czerwcu 1959 roku: „Standard życia wciąż się obniża, do jeszcze nędzniejszych i podlejszych poziomów, które są już codziennością właściwie dla każdego. Nawet ubodzy stają się jeszcze ubożsi (...). Nikomu ze społeczności ludzi Zachodu nie udało się jeszcze spotkać Wietnamczyka popierającego reżim, poza członkami samego reżimu"[52].

Le Duan, numer dwa w hierarchii przywódców Wietnamu Północnego, twórca Wietkongu

Odzwierciedlając niejako skłonność Diema do awansowania osób wobec niego lojalnych kosztem tych uczciwych i kompetentnych, Hanoi również zaczęło promować weteranów wojennych i ideologicznych purystów zamiast swoich najlepszych i najświatlejszych ludzi. Pewien francuski obserwator dyplomatyczny raportował, że dziewięć dziesiątych ludności Północy jest „gotowa na jakąś rewoltę, gdybym tylko miała na taką środki”[53]. A mimo to kierujący organizacją partyjną Le Duc Tho wybrał ten właśnie moment na zażądanie kolejnej fali czystek „niepożądanych elementów”, to jest byłych właścicieli ziemskich

i „bogatych” chłopów. W swojej trosce o utrzymywanie właściwej linii ideologicznej północnowietnamskie politbiuro przypominało bardziej bolszewików sprzed dobrych czterdziestu lat aniżeli socjalistów z drugiej połowy XX wieku. Przyjęto też nowy statut Partii, o wiele surowiej traktujący wszelkiej maści odszczepieńców, czego domagało się Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego kierowane przez Tran Quoc Hoana, znanego powszechnie jako „Beria z Wietnamu” i absolutnie nieprzypadkowo porównywanego do tego niesławnego stalinowskiego kata.

Tymczasem na Południu w miesiącach, które nastąpiły po wydaniu Uchwały nr 15, rewolucjoniści nie przestawali zabijać urzędników rządowych, a ponadto rozpoczęli nową falę ataków na południowowietnamską armię, znaną odtąd pod akronimem ARVN, nadanym jej przez amerykańską kadrę szkoleniową. Pewien młody Wietnamczyk powiedział później przepytującemu go Amerykaninowi: „Nienawidziłem żołnierzy (...), bo bardzo się wywyższali. Wieśniacy byli już i tak niezwykle ubodzy, a mimo to żołnierze rozkazywali im budować drogi i mosty (...). Żołnierze nosili broń tylko po to, żeby chronić [Diema] i jego reżim”[54]. Nader chętnie atakowano wszystko to, co kojarzyło się z Ameryką: na przykład wiosną 1959 roku w wiosce nieopodal granicy z Kambodżą ubrani na czarno napastnicy wysadzili w powietrze dwa traktory John Deere.

Wielu młodych ludzi mieszkających na wsi, zniechęconych niemożnością wyrwania się z zaklętego kręgu ciężkiej pracy na roli pod tyranią małostkowych lokalnych urzędników, coraz łaskawszym okiem zaczynało spoglądać na romantyczne życie wśród rewolucjonistów. Pewien osiemnastolatek opowiadał, jak to mieszkający w jego wiosce staruszek, który kiedyś walczył z Francuzami, namawiał go, by też chwycił za broń. „Z podekscytowaniem słuchałem jego opowieści o wietnamskich bohaterach. Mówił mi też, że Diem poprosił Amerykanów o (...) pomoc w realizacji planu, który miał oddać Wietnam Południowy pod ich władanie. Apelował do mnie (...), bym spełnił swój obowiązek jako młody patriota i poświęcił się walce o niepodległość kraju, o przywrócenie mu szczęśliwości i dobrobytu”. W ciągu kolejnych tygodni szkolenia wojskowego aż piętnastu innych wieśniaków z jego

grupy zdezerterowało, czy to tracąc ducha do walki, czy z tęsknoty za domem. On jednak wytrwał: „Myślałem tylko o przyszłej chwale, a nie o chwilowych trudnościach”[55].

Z biegiem roku 1959 ataki Wietkongu stawały się coraz częstsze i coraz śmielsze. Wieczorem 8 lipca, kiedy amerykańscy doradcy przy 7. Południowej Dywizji Piechoty stacjonującej w pobliżu Bien Hoa oglądali właśnie pierwszą szpulę taśmy z napisami na pokazie filmu *The Tattered Dress* z Jeanne Crain, sześciu bojowników Wietkongu przypuściło atak z wykorzystaniem broni palnej i granatów, zabijając trzydziestoośmioletniego majora Daila Ruisa i czterdziestoczteroletniego starszego sierżanta sztabowego Chestera Overnanda. Byli to pierwsi Amerykanie, którzy zginęli z rąk komunistów w rozpoczynającym się właśnie konflikcie, mającym przejść do historii pod nazwą drugiej wojny indochińskiej. Częstotliwość takich partyzanckich ataków wzrastała z tygodnia na tydzień na obszarze całego kraju. Wczesnym rankiem, jeszcze przed wschodem słońca, pewnego grudniowego dnia pluton bojowników WK zatrzymał autobus jadący Drogą nr 4 w Delcie Mekongu. Po wysadzeniu pasażerów uzbrojeni partyzanci sami wsiedli do środka i zmusili kierowcę do zawiezienia ich do pobliskiego ufortyfikowanego posterunku rządowego. A ponieważ przybyli tam tuż po wzejściu słońca, zastali bramy otwarte, by żołnierze mogli pójść na poranny targ. W rezultacie szturm na posterunek był bardzo krótki: z miejsca zastrzelono jednego policjanta i kilku obrońców, a reszta garnizonu szybko się poddała. Partyzanci zabrali całą zgromadzoną tam broń, zniszczyli posterunek i zniknęli w dżungli uprowadzając naczelnika wioski, którego potem zabili.

Głównym celem WK było pokazanie wszystkim, że mogą uderzyć, kiedy i gdzie tylko chcą. Pewien działacz ogłosił wówczas triumfalnie: „Tygrys wreszcie się przebudził”[56]. A wieśniacy musieli odtąd dokonywać jeszcze trudniejszych wyborów, po czyjej stronie mają się opowiedzieć, ryzykując, że w razie pomyłki w ocenie sytuacji stracą w najlepszym razie całość dobytku, a w najgorszym – swoje życie. Niemal wszyscy po cichu opłacali się komunistom, których propaganda, wykazująca duże skłonności do fantazjowania, mocno przesadzała

w ocenie zasięgu ich wpływów i władzy. Działacze z lubością cytowali rozmaite przysłowia i powiedzenia dobrze znane każdemu Wietnamczykowi, w rodzaju „Lepsza już głowa szczura niż ogon słonia" albo „Nieważne, jak bardzo chciałbyś zrzucić swoje rogi – i tak zawsze będziesz bawołem"[57]. Organizowali głośne wiece, przy akompaniamencie gongów, okrzyków z megafonów i „drewnianych ryb", to jest klekotek ze świątynnych dzwonnic, na które to wiece spędzali pod przymusem czy siłą perswazji nawet po tysiąc chłopów. Zrywali rządowe flagi, a przydrożne drzewa oklejali plakatami i transparentami z partyjnymi sloganami. Równocześnie zaś wśród łatwowiernych chłopów często z trudem odróżniających rzeczywistość od fantazji rozpuszczano opowieści o rzekomych nadludzkich mocach Wietkongu: o ich magicznych kuchenkach do ryżu, o nadmuchiwanych łodziach noszonych w plecakach, o „podniebnych koniach" i o karabinach kładących trupem po pięćdziesięciu ludzi za jednym wystrzałem[58]. Partyzantom zdarzało się nawet paradować przez jakąś wieś w pełnym świetle dnia tylko po to, by pokazać, że mogą to zrobić i nikogo się nie boją.

Niektóre z licznych ofiar morderstw popełnianych w roku 1960 były najpierw „sądzone", a następnie zabijane maczetami na oczach całej wioski, zupełnie jak w czasach Wietminhu: pewną kobietę zasieczono tylko dlatego, że dwaj jej synowie służyli w ARVN. Inny człowiek, zakopywany żywcem, darł się wniebogłosy: „Zaraz umrę! Zaraz umrę!", dopóki jego krzyki nie ucichły pod kopcem świeżo usypanej ziemi. Jeszcze inny musiał zginąć, bo wcześniej widziano go, jak pił alkohol w towarzystwie miejscowego policjanta. Na każdego chłopa popierającego komunistów z powodu własnych przekonań przypadało dwóch kolejnych czyniących tak ze strachu. Ale rzeczywiste poparcie dla rewolucji także istniało, częściowo dlatego, że oferowała ona skrajnym biedakom szansę przyłączenia się do jakiejś większej i trudnej nawet do ogarnięcia sprawy; innymi słowy, dawała tym prostym ludziom poczucie wewnętrznej dumy. Przeważał jednak z pewnością pragmatyzm – narastające poczucie, że komuniści reprezentowali przyszłość, podczas gdy Diem powoli odchodził w przeszłość.

Propaganda Wietkongu utrzymywała, że do początku 1960 roku jego zbrojne oddziały zabiły już 1700 rządowych urzędników, naczelników wiosek, nauczycieli i pracowników szpitali, a pochwyciły kolejne 2 tysiące. Na terenach Płaskowyżu Centralnego dochodziło do buntów i powstań z bronią w ręku. Żołnierze Diema odpowiadali siłą na siłę, odzyskując część utraconych terenów. Wprowadzono nową drakońską ustawę o zdradzie stanu, na mocy której zgarniano nie tylko podejrzewanych o współpracę z komunistami, ale również tysiące dysydentów i członków mniejszości religijnych. W celu sprawniejszego wykonywania rządowych egzekucji powrócono do sprawdzonej gilotyny.

Wielu bojowników Wietkongu nie ukrywało swojej frustracji, kiedy CBWP – a tak naprawdę Hanoi – nie wydało zgody na eskalację akcji terrorystycznych do pełnoprawnych działań wojennych. Lokalni działacze wciąż ponawiali apele o dosłanie im broni w celu obrony przed „okrutnym terroryzmem”[59] Sajgonu. Bez stałych bodźców związanych z walką wielu ludziom doskwierała nieznośna nuda; trudniej im też było znosić poświęcenia związane z koniecznością ciągłego ukrywania się. Jeden z bojowników przypisanych do jednostki stacjonującej w Delcie Mekongu opisywał później niesamowitą, złowrogą ciszę panującą w tej dziczy, przerywaną jedynie przez okoliczne zwierzęta: „Z powodu rozległości dżungli, zatrucia wody i malarii wszystko wokół było takie smutne”[60]. A pewien dowódca kompanii nie wytrzymał i wykrzyczał raz swoją frustrację starszym oficerom w twarz: „Wolę już umrzeć niż żyć w ten sposób! Zacznijmy wreszcie walkę zbrojną!”.

Aż wreszcie we wrześniu 1960 roku CBWP wydało rozkaz, na który szerokie rzesze bojowników już od dawna czekały z utęsknieniem: należy zacząć organizować skoordynowane rebelie przeciwko siłom rządowym. Odtąd zasięg terytorialny rewolucji zaczął się powiększać z niezwykłą szybkością. Wkrótce już około jednej trzeciej ludności Wietnamu Południowego, to jest jakieś 6 milionów ludzi, znalazło się pod jawną albo ukrytą kontrolą komunistów. Partyjni działacze przystępowali do energicznej redystrybucji ziemi. Działalność partyzancka kwitła zwłaszcza w Delcie Mekongu, gdzie powstańcy

wykorzystywali wiedzę lokalnych mieszkańców na temat każdego odcinka rzeki, jej prądów i warunków brzegowych. Zastawiano pułapki na płyciznach, bocznych odnogach rzeki i kanałach; pod powierzchnią wody umieszczano miny zaczepiane od spodu do kawałków dryfującego drewna i podłączone kablami do elektrycznych detonatorów na brzegu. O ile Wietnam Północny latami zmieniał się w skrajnie zdyscyplinowane i drobiazgowo regulowane społeczeństwo, o tyle w odpowiedzi na tę falę terroryzmu Południe w krótkim czasie stało się państwem silnie zmilitaryzowanym i opresyjnym. Aż dziewięć dziesiątych amerykańskiej pomocy finansowej przeznaczano teraz nie na rozwój gospodarki czy rolnictwa, ale na zbrojenia mające zapewnić reżimowi utrzymanie się przy władzy. Amerykańscy doradcy wojskowi skupiali się na stworzeniu konwencjonalnej armii, zdolnej odeprzeć inwazję z Północy, podobną do tej, jaka nastąpiła wcześniej w Korei. W rezultacie w jednej tylko prowincji zamieszkanej przez 600 tysięcy ludności stacjonowało 600 policjantów, 9 kompanii gwardii cywilnej i 24 plutony zbrojnej milicji, które to siły obsadzały 30 ufortyfikowanych posterunków i strzegły 115 wiosek. A mimo to komunistyczna fala wcale nie opadała.

W roku 1960 zimnowojenne napięcia wzrastały właściwie na całym świecie. W kwietniu upadła południowokoreańska dyktatura Syngmana Rhee, co rzecz jasna przyjęto w Hanoi z ogromnym entuzjazmem, połączonym z nadziejami na to, że już wkrótce podobny los czeka Diema. Tydzień później Rosjanie zestrzelili amerykański samolot zwiadowczy U-2, co na dobre zakończyło okres pewnego odprężenia na linii Wschód–Zachód. Rozdźwięk między Chinami a ZSRS pogłębił się już tak bardzo, że Ho Chi Minh, zaniepokojony jego reperkusjami dla polityki północnowietnamskiej, zaoferował nawet, choć na próżno, swoje usługi jako mediatora. Tymczasem w politbiurze w Hanoi przewagę wywalczyła sobie prochińska frakcja Le Duana i Le Duc Tho. Wraz z zakończeniem tej kolejnej odsłony walk frakcyjnych, nieodpartym politycznym imperatywem północnowietnamskich komunistów stało się teraz wspieranie Wietkongu w jego zbrojnych działaniach na Południu. Jedyną kwestią do rozstrzygnięcia pozostawało, jak duża powinna być ta pomoc i jak szybko należało jej

udzielić, tym bardziej że w zaistniałej sytuacji międzynarodowej Le Duan stał przed realną groźbą finansowania tej wojny, do której przecież z taką determinacją dążył, niemal wyłącznie z zasobów własnego kraju.

Tymczasem w Sajgonie 26 kwietnia 1960 roku osiemnastu prominentnych antykomunistów południowowietnamskich spotkało się w pewnym hotelu, od którego nazwy miał wziąć nazwę wydany przez nich „Manifest z Caravelle", podpisany przez „grupę patriotów", w którym wzywano rząd do zmiany dotychczasowego kursu. A nieco później w tym samym roku amerykański ambasador Elbridge Durbrow przedstawił Diemowi memorandum z wykazem reform, które Waszyngton uznawał za niezbędne dla poprawy sytuacji w kraju: publikacja rządowych decyzji i zestawień budżetowych; kontrola nad wszystkimi sferami ze strony wybieranych przedstawicieli; liberalizacja prawa prasowego i poprawa relacji z mediami zagranicznymi; uruchomienie radiowych „pogawędek przy kominku" z chłopstwem; hojniejsze wsparcie kredytowe dla rolników[61]. Były to nader rozsądne, a być może nawet nieodzowne środki na rzecz poprawy funkcjonowania południowowietnamskiej demokracji, tyle że dla Diema okazały się one całkowicie nie do przyjęcia. Tak jak wcześniej zignorował „Manifest z Caravelle", tak i teraz nie przejął się zbytnio listą życzeń przedstawioną przez Amerykanów, traktując ją jako przejaw ich protekcjonalizmu. Możliwe nawet, że odpowiedział Durbrowowi pytaniem, jak wiele pozycji z jego listy wdrożonych zostało przez politbiuro na Północy.

Stany Zjednoczone niepokoiły się jednak przede wszystkim kwestiami militarnymi. Na wzmożenie wrogich działań przez Wietkong Waszyngton odpowiedział, wysyłając na Południe kolejnych kilkuset doradców wojskowych, przez co ich łączna liczba wzrosła z 342 do 692, przekraczając limity dozwolone dla tego rodzaju personelu przez porozumienia genewskie. A ich dowódcy, w tym zwłaszcza generał Sam Williams z MAAG – Military Aid and Assistance Group, postrzegali partyzantkę wyłącznie jako problem natury wojskowej, z którym należało się uporać, strzelając więcej, szybciej i celniej.

Pod koniec 1960 roku komuniści formalnie zmienili nazwę ruchu oporu działającego na Południu na Narodowy Front Wyzwolenia (NFW). Co ciekawe, mimo że wszyscy jego przywódcy byli komunistami, starał się on odtąd prezentować na zewnątrz jako koalicja narodowowyzwoleńcza. I właśnie ten element, jak już wkrótce miał usłyszeć od swoich doradców przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych John Fitzgerald Kennedy, stanowił o politycznej sile tego ruchu, stwarzając olbrzymie zagrożenie dla wolności i demokracji w całej Azji Południowo-Wschodniej. Deklarowane przez NFW cele obejmowały niwelację różnic społecznych na Południu, obalenie Diema, pozbycie się Amerykanów, wdrożenie redystrybucji ziemi rolnej czy zjednoczenie kraju na drodze negocjacji[62]. Nie było tu ani słowa o skądinąd niezachwianych zamiarach Le Duana, by również na Południu stworzyć modelowe społeczeństwo stalinowskie.

Obie części podzielonego na mocy porozumień genewskich Wietnamu miały to nieszczęście, że w kolejnych latach wpadły w ręce okrutnych i niekompetentnych rządów. Gdyby wieśniacy z Południa znali ciężki los swoich pobratymców z Północy, zapewne mniej surowo ocenialiby swoje własne położenie: pod rządami Diema przynajmniej niewielu z nich cierpiało głód. Z kolei amerykańscy sponsorzy jego reżimu całkowicie źle ocenili intencje Moskwy i Pekinu, niesłusznie podejrzewając tamtejszych przywódców o podsycanie narastającej fali rebelii. Tymczasem aż do roku 1959 opór wobec rządów w Sajgonie miał charakter spontaniczny i przede wszystkim lokalny, a przez jakiś czas później uzyskiwał on wsparcie wyłącznie z Wietnamu Północnego, nie z zagranicy.

Główną postacią stojącą za powrotem Północy na ścieżkę walki o ponowne zjednoczenie kraju był Le Duan: nie sposób przecenić jego osobistej roli w dalszym rozwoju wydarzeń. Jeśli zaś chodzi o jego partyjnych towarzyszy z politbiura, wydaje się całkiem prawdopodobne, że niektórzy z nich opowiedzieli się za wojną na Południu, pragnąc odwrócić uwagę od licznych porażek swojej polityki wewnętrznej, a inni chcieli być może tchnąć nowy sens w oklepane slogany Ho Chi Minha albo dać swojemu zubożałemu ludowi jakiś nowy cel w życiu. Na ich szczęście niezbędny każdemu reżimowi komunistycznemu

„imperialistyczny” wróg, z którym przyszło im się mierzyć, już dawno związał swoje losy z Ngo Dinh Diemem, a o tym, że nie był to dobry wybór, wiedział właściwie każdy, kto miał otwarte oczy i uszy. W wojnie, która właśnie nabierała rozpędu, na wygraną nie zasługiwała na dobrą sprawę żadna ze stron.

6
Nastaje czas JFK

1. „JUŻ WKRÓTCE STRACĄ SWÓJ KRAJ, O ILE…”

Kiedy Dwight D. Eisenhower spotkał się ze swoim następcą Johnem F. Kennedym, by przedstawić mu najważniejsze kwestie, z którymi będzie musiał się zmierzyć wkrótce po objęciu prezydentury, odchodzący ze stanowiska stary lis skupił się wcale nie na Wietnamie – o którym nie powiedział nic – lecz na sąsiednim Laosie. Eisenhower stwierdził wówczas, że Departament Stanu przestrzegł go, iż Laos jest „narodem homoseksualistów”[1], co szczerze rozbawiło Kennedy’ego. Odchodzący prezydent kontynuował jednak z całą powagą, że właśnie Laos stanowił pierwszą kostkę domina, kluczową dla całej Azji Południowo-Wschodniej, której utrata zagroziłaby sąsiedniej Tajlandii. I właśnie to miał być test silnej woli, swoisty rytuał przejścia dla nowego zwierzchnika amerykańskich sił zbrojnych. Z dzisiejszego punktu widzenia tego rodzaju myślenie może wydawać się dziwaczne, ale wówczas naprawdę w to wierzono. Laos, znany kiedyś jako „kraj miliona słoni”, pojawiał się na ustach wszystkich i regularnie trafiał na nagłówki gazet całego świata jako punkt zapalny między światem komunistycznym a siłami antykomunizmu. W roku 1960 sam tylko „New York Times” poświęcił temu niewielkiemu państewku, w dodatku słabo zaludnionemu i ubogiemu, aż trzykrotnie więcej miejsca niż Wietnamowi.

Naród zamieszkujący Laos – czy może raczej liczne grupy etniczne składające się na ten naród – niejednokrotnie już zadziwił cały świat, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z licznych wstrząsów politycznych, okresów głodu, wojen domowych czy innych podsycanych przez

zagraniczne siły tragedii, których nie brakowało w tej części świata w ciągu minionego stulecia. Zamiast płakać nad sobą, wolał się śmiać, żartować i bawić, zwłaszcza podczas wiosennego festiwalu fajerwerków, kiedy to każdy sam robił swoje własne petardy, niektóre naprawdę ogromne, a potem wypuszczał je w powietrze, nie zważając na śmiertelne ryzyko dla swojego zdrowia i majątku. W październiku 1953 roku Francja przyznała Laosowi niepodległość, a ponieważ w kolejnych latach miał on być ponoć przedmiotem coraz większego zainteresowania ze strony Chin i Wietnamu Północnego, pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku Amerykanie zaczęli kierować tam pomoc finansową. Pewien reporter „Wall Street Journal" odwiedzający wówczas ten kraj opisywał jego przywódców, którzy „ekstatycznie pławili się w amerykańskich pieniądzach", a także ich wielkie samochody i lodówki, podczas gdy reszta mieszkańców kraju musiała przeżyć za średni roczny dochód nieprzekraczający 150 dolarów. Laosem wkrótce zainteresowało się też CIA, również i z tego powodu, że wysyłani tam ludzie agencji, tacy jak Teksańczyk Bill Lair, który szybko wyrobił sobie na miejscu zasłużoną renomę, dosłownie zakochiwali się w tym nowo odkrytym kraju. Jeden z kolegów Laira, Robert Amory, wyznał nieco później, że wielu z nich postrzegało Laos jako „świetne miejsce do toczenia wojny"[2]. Kiedy już opuściło się Wientian, leżącą na samej granicy stolicę kraju, można było robić dosłownie wszystko, o czym tylko się zamarzyło – w tym również walczyć z każdym, z kim tylko się chciało, albo wytwarzać dowolną odmianę narkotyków – bez narażania się nikomu, a nawet bez zwracania niczyjej uwagi.

Rząd Laosu, jeśli takim terminem można było w ogóle określić przypadkową zbieraninę lokalnych potentatów i generałów, nie bez problemów utrzymywał się jakoś u władzy, dopóki w roku 1960 nie wybuchła wojna domowa między rywalizującymi ze sobą frakcjami, przepędzając siły rządowe z ulic Wientianu. W obliczu takiego rozwoju wypadków Amerykanie doszli do wniosku, że pozbawiony chwilowo legalnej władzy kraj mogą łatwo przejąć komuniści. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że czerwoni hulali wówczas po Laosie bez najmniejszych przeszkód – i to zarówno grupa miejscowych bojowników prowadzona przez Patheta Lao, który zresztą raz na jakiś

czas wchodził już do rządowych koalicji, jak i wojska przysyłane z Wietnamu Północnego. W tej sytuacji do akcji wysłano Billa Laira, któremu udało się osiągnąć porozumienie z lokalnym naczelnikiem z Hmong, Vangiem Pao, uznane generalnie za duży sukces. W zamian za gotówkę i broń ten watażka miał rozpocząć walkę partyzancką z komunistami. Początkowo Stany Zjednoczone zainwestowały w niego i w jego ludzi 5 milionów dolarów, która to kwota wzrosła do 11 milionów w roku 1962, a następnie już do 500 milionów pod koniec dekady. Vang Pao chwalił się Amerykanom dowództwem nad 20 tysiącami bojowników, znacznymi sukcesami na polu bitwy, a także – już mniej oficjalnie – prawdziwą fortuną zbitą na handlu narkotykami. W działaniach przeciwko komunistom uczestniczyło też około 700 agentów CIA, z których większość zajmowała się tajnymi operacjami paramilitarnymi, przekazując żywność i broń plemiennym bojownikom i ich rodzinom, przemierzając tam i z powrotem łańcuchy górskie, raz w zwykłych dżinsach, raz w samolotach transportowych Pilatus, a czasami nawet samemu biorąc udział w walkach.

Ten operetkowy kraj zaprzątał zdumiewająco wiele uwagi polityków zarówno Wschodu, jak i Zachodu. Mao Zedong spytał raz Le Duana: „A jak duży jest ten Laos?". Wietnamczyk odpowiedział mu, że ma blisko 130 tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni, ale tylko jakieś 2 miliony ludności. „Mój Boże – miał zareagować Mao. – Mają tyle ziemi, a tak mało ludzi. Yunnan jest mniej więcej tej samej wielkości, a mieszka tam 40 milionów. A gdyby tak móc wysłać tam jakieś 15 czy 20 milionów, czy nie byłby to dobry pomysł?"[3] Polacy i Hindusi z ICC ze względów politycznych niejednokrotnie odwracali oczy, widząc lądujące w bazie lotniczej Gia Lam pod Hanoi sowieckie samoloty transportowe, wiozące sprzęt wojenny przeznaczony dla Laosu. Waszyngton naciskał za to na konserwatywny rząd w Londynie, by poparł amerykańskie zaangażowanie antykomunistyczne w regionie, a podczas spotkania na szczycie z Kennedym w marcu 1961 brytyjski premier Harold Macmillan niechętnie zgodził się wykonać jakiś wojskowy gest, gdyby rząd w Wientianie miał ostatecznie upaść. Kiedy zatem w następnym roku siły Patheta Lao zjawiły się u zachodnich granic Laosu, w odpowiedzi do sąsiedniej Tajlandii wysłano dywizjon

myśliwców RAF typu Hawker Hunter. Krótko mówiąc, skończyło się jak zawsze: choć Brytyjczycy rozpaczliwie starali się uniknąć zaangażowania na kolejnym światowym froncie, to jednocześnie niemal służalczo pragnęli spełniać życzenia swoich amerykańskich sojuszników[4].

Jeszcze jako kadet w West Point Mike Eiland uczestniczył w ćwiczeniach przeprowadzanych rzekomo w pewnym fikcyjnym kraju o nazwie Soal – co wystarczyło tylko przeczytać wspak – a w Waszyngtonie Kolegium Połączonych Szefów Sztabów opowiadało się za wysłaniem w ten rejon oddziałów lądowych[5]. W maju 1961 roku prezydent Kennedy oświadczył jednak, że woli zintensyfikować operacje specjalne, do których żywił nieledwie romantyczny pociąg. Całe to wzmożenie doprowadziło do pojawienia się koncepcji, że najlepiej dla wszystkich byłoby, gdyby wszystkie zagraniczne mocarstwa zostawiły Laos w spokoju. Nieobliczalny książę Norodom Sihanouk, władca sąsiedniej Kambodży, już wkrótce zaproponował zwołanie międzynarodowej konferencji, swoistego nieślubnego dziecka tej z roku 1954, by postanowić o neutralności Laosu. Z różnym stopniem niechęci wszyscy zainteresowani ostatecznie przyjęli zaproszenie. Po ponadrocznych negocjacjach, w którym główną rolę odgrywał Averell Harriman, w lipcu 1962 roku Stany Zjednoczone, Rosja, Chiny i oba państwa wietnamskie podpisały nowe porozumienia genewskie ogłaszające nadanie Laosowi statusu neutralności.

Przywódcy w Hanoi traktowali to porozumienie z lekceważeniem, uznając je za listek figowy wymyślony przez Moskwę, by przykryć ich operacje wojskowe prowadzone w tym kraju, i od samego początku nie zamierzając go przestrzegać, podobnie jak Sajgon nie przestrzegał warunków ugody z roku 1954. Żołnierze Wietnamu Północnego w dalszym ciągu przemieszczali się więc przez terytorium Laosu, choć ich mocodawcy nieodmiennie się tego wypierali. Co bardziej cyniczni ludzie CIA przechrzcili wykorzystywany przez partyzantów Szlak Ho Chi Minha na Autostradę imienia Averella Harrimana, jako że ten doświadczony dyplomata nie przewidział żadnych sankcji czy zabezpieczeń na wypadek naruszania przez komunistów warunków porozumienia. Upraszczając nieco dla potrzeb tej książki, która traktuje

przecież o Wietnamie, powiedzmy tylko tyle, że odtąd w Wientianie rządził w praktyce książę Souvanna Phouma, z upływem czasu coraz bardziej uzależniając się od Stanów Zjednoczonych. Ale już poza stolicą kraju, w bezkresnych i dzikich ostępach górskich, trwała cicha i niewypowiedziana wojna, której ofiarą padały setki tysięcy ludzi. Hanoi w dalszym ciągu traktowało bowiem Laos jako kraj tranzytowy dla przerzutu wojsk i zapasów do Kambodży i Wietnamu Południowego, podczas gdy Amerykanie starali się przerywać te sieci zaopatrzenia, ale tak, by zbyt ostentacyjnie nie naruszać neutralnego statusu kraju.

Premier Laosu, książę Souvanna Phouma z wizytą u prezydenta Johna F. Kennedy'ego, Waszyngton, 1962 rok

Niemal od dnia swojej inauguracji na stanowisku zastępcy głównego specjalisty od spraw bezpieczeństwa narodowego w administracji Kennedy'ego, ekonomista z MIT profesor Walt Rostow, który wcześniej, podczas II wojny światowej, analizował cele bombardowań, a już za

kilka miesięcy miał awansować na stanowisko szefa działu planowania w Departamencie Stanu, wzywał administrację do jak najszybszego przekierowania uwagi z Laosu na Wietnam. Sam prezydent już wkrótce także doszedł do wniosku, że ten drugi kraj wydawał się lepszym miejscem do stawienia czoła komunistom, a wobec narastającej tam działalności partyzanckiej należałoby uczynić coś więcej dla wzmocnienia pozycji Diema. Bezpieczeństwo w Delcie Mekongu okazało się już tak zagrożone, że dostawy medyczne dla cywilnych szpitali można było transportować tylko na pokładzie samolotów i helikopterów CIA umiejętnie prześlizgujących się nad opuszczonymi wioskami i nieuprawianymi polami ryżowymi. W maju 1961 roku Wietnam odwiedził wiceprezydent Lyndon Johnson, który potwierdził niesłabnące poparcie Ameryki dla Diema, określając go przy okazji „azjatyckim Winstonem Churchillem". David Halberstam napisał później o tej wizycie: „On [Johnson] zaręczył wtedy naszym słowem. W ten sposób nie tylko zaangażował jeszcze mocniej administrację Kennedy'ego (...), a Waszyngton związał jeszcze ściślej z niechcianym dzieckiem z Sajgonu, ale doprowadził do eskalacji retorycznej, a przede wszystkim zaangażował się w to wszystko osobiście, jako Lyndon Johnson. A dla tego człowieka raz dane słowo było niezwykle ważne"[6].

W październiku Ed Lansdale napisał do generała Maxwella Taylora, dowódcy lotnictwa z czasów II wojny światowej, a wówczas osobistego doradcy wojskowego Kennedy'ego, zanim rok później nie został mianowany przewodniczącym Kolegium Połączonych Szefów Sztabów: „Wietnamczycy to naród zdolny i energiczny. Ale obecnie nie wydają się sobą. Już wkrótce stracą swój kraj, o ile nie pojawi się jakaś iskra, od której zajmą się zapałem do pracy i walki, co pozwoliłoby im wygrać tę wojnę. Tą iskrą mogłoby być umieszczenie właściwych Amerykanów na właściwych miejscach w wietnamskim rządzie, tak by zapewnić mu odpowiedni kierunek działania (...). Potrzeba do tego Amerykanów wykazujących się talentem i współczuciem"[7].

Lansdale rekomendował zatem, żeby w odpowiedzi na problemy Wietnamczyków podesłać im więcej Amerykanów i w gruncie rzeczy w ciągu trwającej trzydzieści cztery miesiące prezydentury Kennedy'ego to właśnie konsekwentnie czyniono. W maju 1961 roku do

Wietnamu wysłano 400 żołnierzy sił specjalnych, tak zwane zielone berety, a kilka miesięcy później trafiło tam 40 helikopterów armii amerykańskiej wraz z 400 osobami do ich obsługi na ziemi i w powietrzu, nie licząc bezustannie wzrastających szeregów doradców wojskowych, którzy wkrótce służyli ARVN swoimi poradami nawet na poziomie batalionu, a których do połowy roku 1962 było już łącznie 8 tysięcy. Utworzenie 8 lutego 1962 roku nowej struktury dowodzenia MACV – Military Assistance Command Wietnam – zostało słusznie zinterpretowane przez Hanoi jako wyrażenie przez Kennedy'ego chęci do podniesienia stawki w tej grze. Do listopada 1963 roku na Południu stacjonowało już 16 tysięcy Amerykanów: żołnierzy, marynarzy i lotników, techników i pilotów, specjalistów od podsłuchów elektronicznych i od modernizacji rolnictwa, cichych analityków z zakresu nauk społecznych i ekstrawaganckich kowbojów z sił specjalnych, wreszcie wszelkiej maści szpiegów i znawców w niemal każdej dziedzinie.

Pomoc dostarczana przez Stany Zjednoczone wynosiła już 400 milionów dolarów rocznie, a wyposażenie i pojazdy wojskowe wysyłano teraz w ilościach bezprecedensowych. W kwietniu 1962 roku rząd Diema przystąpił do realizowania programu „osad strategicznych", oznaczającego w istocie rozwinięcie wcześniejszych „agroville", ale wciąż nakierowanego na odseparowanie wieśniaków od partyzantów poprzez ich przeniesienie za ogrodzenie z drutów kolczastych – a przy okazji oderwanie ich samych oraz ich rodzin od miejsc pochówku przodków, znaczących bardzo wiele dla tych tradycyjnych społeczności. Jeden z raportów przedstawionych przez Korporację RAND kwestionował zasadność tej polityki, ale w Pentagonie dowodzący marines generał dywizji Victor „Brutal" Krulak, waląc pięścią w stół, zapewniał zebranych, że jego kraj „zmusi chłopów do poddania się temu, co konieczne, byle tylko program się powiódł"[8]. Z taktycznego punktu widzenia pomysł „osad strategicznych" okazał się całkiem udany, bo w znacznym stopniu utrudnił działalność partyzantom Wietkongu, ale jego koszty społeczne i polityczne były wysokie. Świetnie obeznany z Indochinami Howard Simpson miał okazję przyglądać się, jak „posępną i obszarpaną grupkę wieśniaków" wyciąga

się z ich chat i spędza w jedno miejsce w celu przesiedlenia. Pewien staruszek z dawno już zabliźnionymi ranami na głowie protestował gwałtownie, krzycząc po francusku w stronę ekipy telewizyjnej filmującej tę scenę: „To niesprawiedliwe! Oni zabierają nas pod przymusem. My nie chcemy stąd odchodzić. Powiedzcie im to. To niesprawiedliwe!". A kiedy jeden z członków uzbrojonego oddziału ochraniającego całą operację odpędzał staruszka od kamer, ten wciąż wykrzykiwał z nieutulonym żalem: „Ci Amerykanie nic nie rozumieją. Powiedzcie Amerykanom, że my nie chcemy stąd odchodzić!"[9].

Podczas odbywającej się 23 lipca 1962 roku w Honolulu konferencji strategicznej generał Paul Harkins pochwalił się przed gronem słuchających go polityków i wysokich szarżą oficerów, z sekretarzem obrony Robertem McNamarą na czele: „W kwietniu zorganizowano 434 operacje lądowe (...), liczba ta zwiększyła się do 441 w maju. W czerwcu odbyto ponad tysiąc lotów wojskowych do strefy działań (...). Prezydent Diem poinformował, że planuje, by jego wojska częściej wychodziły w pole i zostawały tam dłużej (...). Nie ma najmniejszej wątpliwości, że znajdujemy się po zwycięskiej stronie". Zapytany o przewidywany czas zakończenia wojny Harkins odparł, że jego zdaniem zwycięstwo nad NFW będzie można osiągnąć do końca 1963 roku. W tym momencie wtrącił się McNamara, który postanowił być bardziej ostrożny i zauważył: „Musimy jednak oczekiwać najgorszego i na to właśnie się przygotować", przy czym owo „najgorsze" oznaczało w ustach sekretarza obrony ostateczne pokonanie Wietkongu z końcem 1965 roku.

Podczas prezydentury Kennedy'ego wiele ważnych postaci, mających później odgrywać rozmaite role w czasie konfliktu amerykańsko-wietnamskiego, niektóre naprawdę istotne, a inne mniej ważne, dopiero gromadziło się na scenie przyszłych wydarzeń i uczyło swoich kwestii. W roku 1961 Duong Van Mai wyjechała z Sajgonu do Waszyngtonu, by podjąć tam studia. Stany Zjednoczone szybko ją zafascynowały, ale przeszkadzała jej segregacja na południu kraju: nie była na przykład pewna, do której łazienki ma wchodzić, tej dla białych czy tej dla kolorowych[10]. Wtedy poznała Davida Elliotta, którego później poślubiła i odtąd oboje poświęcili się niemal w całości

wspólnemu badaniu społeczności Wietnamu. Ten rodowity Bostończyk najpierw uczęszczał do Yale, by potem rozpocząć służbę w amerykańskiej armii, początkowo w jednostce przechwytywania meldunków radiowych w Tan Son Nhut. Kolejny rok spędził w wywiadzie MACV, a wreszcie dołączył do Korporacji RAND, dla której realizował ambitny i szeroko zakrojony program badawczy w Delcie. Dlaczego wybrał akurat Wietnam? Jak wyjaśniał sam Elliott: „Ponieważ tam coś się działo, był to najgorętszy front zimnowojenny. A mnie zaoferowano miejsce w pierwszym rzędzie i możliwość podglądania z bliska, jak tworzy się historia”[11].

Do Sajgonu zewsząd ściągali też wszelkiej maści idealiści i poszukiwacze sensacji, z entuzjazmem zanurzając się w charakterystycznej dla tego miasta ciężkiej atmosferze, wypełnionej wyziewami z silników spalinowych, zapachem przypraw, odgłosami stanowczo nadużywanych klaksonów i zwalającą z nóg duchotą. Niektórzy z takich ludzi przechadzających się wzdłuż Tu Do i podziwiających widoki – choć częściej raczej tutejsze dziewczęta – byli młodzi, bystrzy i prawi, skłonni naprawiać świat i mający głęboko na sercu dobro Wietnamczyków. Należał do nich Frank Scotton, urodzony w roku 1938 i dorastający w Massachusetts, „gdzie toczenie rewolucyjnych walk przeciwko opresyjnym zagranicznym okupantom stanowi część kodu kulturowego”. Jego ojciec zginął w bitwie o Ardeny w 1944 roku. „Zawsze sądziłem, że kiedyś wstąpię do jakiejś służby. W przeszłości nieźle nam wychodziło angażowanie się za granicą, wkraczanie gdzieś i naprawianie sytuacji. Stało za nami przekonanie ludzi, że zawsze zwyciężamy, nawet jeśli wydarzenia w Korei trochę nadkruszyły ten ideał”. W trakcie swojego długiego pobytu w Wietnamie Scotton bezustannie pamiętał o tym dziedzictwie, zarówno swojego narodu, jak i swojej własnej rodziny, której członkowie niejednokrotnie w przeszłości wykazywali się osobistą odwagą: „Nie chciałem, żeby sobie pomyśleli, że nie trzymam poziomu”[12].

Wstąpił do USIA, a nie do służby zagranicznej, „ponieważ z samej swojej natury jestem człowiekiem czynu”. Jeszcze w Waszyngtonie, zanim wyleciał za ocean, spotkał trzech młodych wietnamskich

poruczników, którzy zapytali go, czy mówi w ich języku. Odparł, że nie, ale przecież zna francuski, a powiedziano mu, że w nim też się dogada. Wietnamczycy wyraźnie się speszyli. Aż wreszcie jeden z nich powiedział: „To język kolonialny". A kiedy Scotton trafił już do Wietnamu w 1962 roku, szybko zdał sobie sprawę z tego, jak ogromnym ograniczeniem jest dla większości jego rodaków niemożność swobodnej rozmowy z miejscowymi: „Oni nie potrafili nawet poprawnie wymówić nazw różnych miejsc. Ponadto uświadomiłem sobie wielką wagę historii, z jaką mieliśmy się zmierzyć. W ciągu kilku tygodni byłem już wystarczająco otrzaskany, żeby zrozumieć, że Diem wcale nie był żadnym «azjatyckim Winstonem Churchillem»"[13].

Scotton stał się namiętnym badaczem tego coraz bardziej fascynującego go kraju, podróżując niestrudzenie – ale też nierozważnie – przez dżunglę i pola ryżowe, by przeprowadzać na zlecenie amerykańskiego ambasadora ankiety dotyczące nastrojów w oddalonych od stolicy wioskach. Jako jeden z nielicznych Amerykanów, którzy autentycznie zaangażowali się w sprawę wietnamską, Scotton wyjaśniał: „Zawsze szukałem ludzi, którzy czuli to samo co ja. Prawdziwa przepaść ziała między tymi, którym naprawdę zależało, a całą resztą". Młodzi Sajgończycy, z którymi się spotykał, szybko zaczęli o nim mówić, że jest *ky qua* – dziwny i ekscentryczny – z czym zgodziłoby się zapewne również wielu Amerykanów: ludzie z ambasady nazywali go zresztą „niezależnym mieszańcem". Przez Wietnam stracił szansę na udane małżeństwo: jego żona Katherine początkowo próbowała jakoś urządzić sobie życie w ich domu w Qui Nhon, organizując lekcje angielskiego dla miejscowych. Ale po kilku miesiącach spakowała się i wróciła do USA; rozwiedli się, a on przeżył potem całą serię namiętnych romansów z miejscowymi kobietami.

Także w roku 1962 do Wietnamu przybył prosto po szkole językowej Doug Ramsey, któremu w pierwszych miesiącach wyznaczono zadanie dystrybuowania materiałów USIA z biura w Dalat: „Bardzo mnie bawiło, że wśród tych materiałów była gazeta zatytułowana «Wolny Świat», a my działaliśmy w interesie dyktatury Diema". Wprawdzie miejscowi ludzie okazali się dość nieufni w wyrażaniu własnych opinii na jakikolwiek temat przy cudzoziemcu, chyba że lepiej go poznali, ale

Ramsey tak czy inaczej szybko sam się zorientował, że Diem nie był ani wiarygodnym, ani wartym popierania przywódcą, wobec czego z entuzjazmem zaczął poszukiwać jakiejś mitycznej politycznej „trzeciej siły". „Zainteresowało mnie to, co robił Frank Scotton – próba budowania od samych podstaw". Z biegiem czasu Ramsey dochodził do coraz większego przekonania, że jedna lub dwie dekady komunistycznej dominacji w sumie wyszłyby Wietnamowi na lepsze, niż „ta nasza idiotyczna polityka", oznaczająca w praktyce niekończącą się wojnę. Tym bardziej że panowanie nad jakimś konkretnym obszarem przez którąkolwiek ze stron „w wielu miejscach rozciągało się nie dalej jak zasięg strzału z AK-47 czy M-14". Ramsey twierdził ponadto, że mniej oburzał go terror komunistów niż „masowe ostrzały artyleryjskie i naloty przeprowadzane przez USA i reżim w Sajgonie"[14]. A przebywając w Delcie Mekongu, miał okazję obserwować z bliska skuteczność sił rządowych: sama pogłoska o spodziewanym ataku partyzantów powodowała, że lokalne oddziały ARVN po prostu brały nogi za pas.

Bob Destatte był jednym z szesnaściorga dzieci ubogiej, ale przepełnionej etosem pracy katolickiej rodziny robotników fabrycznych z Ohio. Przerwał naukę w kolegium nauczycielskim, by wstąpić do armii: „Chciałem zobaczyć świat poza moim małym miasteczkiem"[15]. Zgłosił się na ochotnika do Army Security Agency (Wojskowej Agencji Bezpieczeństwa), ponieważ jeden z kolegów służących już w wojsku zapewnił go, że tam z pewnością trafi na jakąś placówkę zagraniczną, i zaczął pracować przy przechwytywaniu sygnałów telegraficznych. W roku 1961 wysłano go do Sajgonu. Jeszcze na pokładzie samolotu spodziewał się czegoś zupełnie innego, niż miał zastać po wylądowaniu; sam opowiadał, że w głowie miał wtedy pełno myśli o „ludziach takich jak z komiksów i książek przygodowych – podstępnych i czających się gdzieś w mroku". Ale kiedy wieziony z lotniska na pace ciężarówki po raz pierwszy ujrzał dwie dziewczyny w *ao-dai*, wiedział już, że będzie tu zupełnie inaczej: do tego stopnia inaczej, że w ciągu kilku miesięcy, mając zaledwie dwadzieścia dwa lata, poślubił miejscową dziewczynę Nguyet Thi Anh. Poznał ją za sprawą pewnego wietnamskiego chłopaka pracującego w ich jednostce, która wówczas miała swoją „kwaterę"

w dwóch ciężarówkach stojących na terenie bazy lotniczej Tan Son Nhut. Pewnego razu ów chłopak zaprosił go na rodzinny obiad. Destatte od razu polubił jego matkę, ale nie tak bardzo jak siostrę, która uczyła go jeść pałeczkami. „Myślę, że to była miłość od pierwszego wejrzenia". Wkrótce doszło do cywilnej uroczystości zaślubin, ale za cichym przyzwoleniem jego oficerów małżeństwo to miało status nieoficjalny aż do chwili, w której Destatte miał wracać do kraju w roku 1963, ponieważ poślubienie kogoś z miejscowej ludności nieuchronnie pociągało za sobą konieczność natychmiastowej repatriacji. W odróżnieniu od wielu innych takich związków małżeństwo Destatte'a przetrwało próbę czasu.

Bob Kelly, doradca do spraw prowadzenia wojny psychologicznej pracujący dla rządu południowowietnamskiego w prowincji Quang Ngai, organizował prorządowe wiece, z których pierwszy nie zakończył się, niestety, zbyt wielkim sukcesem. Miejscowych spędzono na spotkanie niczym bydło, po czym kazano im siedzieć w pełnym słońcu bez kropli wody. Jako szczytowy moment zaplanowano przelot na niskiej wysokości samolotu C-47, z którego miano emitować rządową audycję propagandową. Maszyna nadleciała jednak za wcześnie, a odgłos jej potężnych silników zupełnie zagłuszył trwające akurat na ziemi przemówienie miejscowego naczelnika prowincji. W pewnym momencie propagandzista z samolotu zapytał przez głośnik skierowany w dół: „Panie naczelniku, czy już pan skończył?", co rozsierdziło, a jednocześnie upokorzyło przedstawicieli lokalnych władz. Humorów nie poprawiła im z pewnością kolejna część programu, podczas której z samolotu zrzucano ulotki: niestety, ich pliki nie rozdzieliły się w powietrzu i spadały na ziemię niczym bomby. Obecni przy tej fuszerce Amerykanie częściowo się śmiali, a częściowo byli bliscy łez, ale żadnemu nie przeszło przez myśl, że być może już sam pomysł otwartego organizowania przez nich wietnamskiego wiecu politycznego był wielce niestosowny[16].

William Colby, urodzony w roku 1920, spędził część dzieciństwa w Chinach, zanim zaczął studiować w Princeton. W latach 1944–1945 służył przez kilka miesięcy w OSS we Francji i Norwegii, co wspominał jako doświadczenie niezwykle romantyczne, a potem spędził kilka

nudnych lat, pracując dla firmy prawniczej „Dzikiego Billa" Donovana. Lepsze czasy nadeszły wraz z rokiem 1950, kiedy to Colby wstąpił do CIA, owej „braterskiej bandy". Najpierw terminował w Szwecji i we Włoszech, aż wreszcie w roku 1959 wysłano go do Sajgonu. Dużo podróżował po kraju i szybko doszedł do wniosku, że jedynym realistycznym celem jest powstrzymywanie dalszej ekspansji komunizmu. Nie zgadzał się z Maxem Taylorem i Waltem Rostowem, kiedy ci rekomendowali radykalne zwiększenie liczby amerykańskich doradców wojskowych: jego zdaniem Wietnam „w rzeczywistości nie stanowił problemu wojskowego"[17]. W lipcu 1960 roku Colby został szefem placówki CIA i nadzorował całą serię z góry skazanych na niepowodzenie operacji przerzucania grup paramilitarnych na Północ, a także wdrażanie działań kontrterrorystycznych przeciwko Wietkongowi. Podobnie jak wielu Amerykanom, udało mu się uchwycić kilka wątków w skomplikowanym wietnamskim kłębowisku, ale nigdy dość, by móc zaproponować jakąś spójną linię polityczną.

Al Gray, urodzony w roku 1928 w rodzinie kolejarza z New Jersey, wybrał karierę w marines, a obóz dla rekrutów uznał za całkiem łatwy: „Wszyscy byliśmy twardzielami". Szybko dochrapał się rangi podoficera, a w roku 1952 otrzymał szlify oficerskie i wyjechał służyć jako obserwator podczas samej końcówki wojny koreańskiej. Później trafił do wywiadu radiowego i do operacji specjalnych, monitorując sytuację w Korei Północnej i Rosji, a także granicę między Tajlandią a Birmą. W roku 1960 kapitan Gray został wysłany do Sajgonu, gdzie polubił Wietnamczyków z Południa i nabrał respektu dla Diema: „Uważałem, że zmierza we właściwym kierunku". Jako agent pod przykryciem podróżował w cywilnym ubraniu, nierzadko wśród regularnych pasażerów Air America. Kolejnych dziesięć lat spędził, pracując nad przygotowywaniem systemu pozwalającego na bliższą współpracę marines i wywiadu: „Czułem, że to, co tam robiliśmy, któregoś dnia może umożliwić ratowanie wielu istnień ludzkich"[18].

Wszyscy ci ludzie przeżywali liczne przygody, których w gruncie rzeczy większość z nich pożądała. Frank Scotton, choć był cywilem, uwielbiał przemierzać kraj wzdłuż i wszerz, często samotnie, ale zawsze z bronią, w równym stopniu szukając okazji do działania co

zrozumienia. A dzięki temu zamiłowaniu spotykały go sytuacje raczej niezwykłe jak na pracownika agencji wywiadowczej. Pewnego ranka podczas jednej ze swoich pierwszych wędrówek po Płaskowyżu Centralnym dostrzegł on z daleka nachodzącego z naprzeciwka człowieka z przewieszoną przez ramię bronią: „Przez chwilę miałem nadzieję, że mnie nie zauważy i po prostu minie. Ale on zaczął ściągać broń, wyglądając przy tym na równie zaskoczonego jak ja sam. Mnie udało się szybciej przeładować i odbezpieczyć karabin. Byliśmy już tak blisko siebie, że nie mogłem spudłować. Wycelowanie to w sumie łatwizna, jak pokazanie kogoś palcem: nie myślisz, tylko działasz. Jeśli coś trzeba zrobić, to trzeba to zrobić. Strzeliłem kilka razy. Nie czułem potem żadnej winy, jedynie jakiś głęboki żal, że z dwóch nieznajomych, którzy przypadkowo spotkali się w górach, jeden musiał zginąć”[19].

Przy innej okazji Scotton przemierzał jeden z górzystych regionów Wietnamu w towarzystwie pewnego miejscowego, służącego mu za przewodnika. Pod wieczór, gdy już robiło się ciemno, zauważyli dwóch ludzi idących z naprzeciwka, ale niezwracających na nich najmniejszej uwagi. Towarzysz Scottona natychmiast skoczył w ich kierunku i pchnął jednego z partyzantów nożem w plecy. A kiedy drugi już podnosił karabin, Scotton położył go kilkoma strzałami. Najdziwniejsze wydarzyło się jednak potem. Oto góral zaciągnął ciało swojej ofiary na najbliższe skrzyżowanie szlaków i zostawił je tam w pozycji siedzącej, jak gdyby człowiek ten przyglądał się drodze, z której przyszedł. Zdumiony Scotton zapytał swojego towarzysza, który mówił trochę po francusku, po co to zrobił. A w odpowiedzi usłyszał: *„C’est la guerre psychologique!”*[20].

Za prezydentury Kennedy’ego w Waszyngtonie nieustannie trwała dyskusja, czy Stany Zjednoczone powinny posunąć się dalej, poza zapewnianie pomocy doradczej i finansowej – to jest czy powinny zacząć wysyłać do Wietnamu jednostki bojowe. Generał Maxwell Taylor należał do tych, którzy zdobywszy ledwie powierzchowną wiedzę o problemie, z całą mocą rekomendowali większe zaangażowanie militarne: „Wietnam Południowy nie jest szczególnie trudnym czy nieprzyjaznym terenem działania (...). Wietnam Północny jest bardzo podatny na konwencjonalne bombardowania (...). Nie ma podstaw, by

obawiać się masowego szturmu komunistycznej ludności na Wietnam Południowy i sąsiadujące z nim państwa, zwłaszcza jeśli naszemu lotnictwu da się wolną rękę". Jako człowiek wojska Taylor postrzegał cały ten konflikt w kategoriach problemu czysto wojskowego. Zalecał on też wysłanie personelu logistycznego w liczbie co najmniej 8 tysięcy osób.

Z powyższą oceną sytuacji nie zgadzali się ani sekretarz stanu Dean Rusk, ani sekretarz obrony Robert McNamara – żaden z nich nie uważał, by jakiekolwiek cele osiągnięte przy użyciu tak niewielkich środków warte były poniesionych przy tej okazji kosztów politycznych. Pentagon szacował z kolei, że do całkowitego przepędzenia komunistów z Wietnamu Południowego potrzebnych byłoby 205 tysięcy amerykańskich żołnierzy. Niektórzy z młodych dyplomatów towarzyszących Taylorowi w trakcie jego wizyty w Wietnamie nie tylko sprzeciwiali się wydanej przez generała rekomendacji zwiększenia zaangażowania wojskowego, ale wprost wyrażali obawy, że reżimu Diema nie da się obronić. Należy przy tym podkreślić, że w myśleniu ówczesnych strategów dominowała, mocno zaciemniając im zdolność jasnego widzenia, pamięć o doświadczeniach z II wojny światowej. A podstawowa lekcja wyniesiona z tego wielkiego konfliktu wydawała się brzmieć: nie sposób jest oprzeć się przeważającej potędze militarnej. Greg Daddis napisał: „Jedną wspólną wadą większości wojskowych oficerów i wysokich rangą urzędników cywilnych (...) była ich wiara w to, że szeroko pojmowaną siłą militarną można osiągnąć cele polityczne w państwach postkolonialnych"[21]. Dysponowanie potęgą wojskową może być swoistym przekleństwem: stanowi ona dla ludzi sprawujących najwyższą władzę polityczną pokusę, by uczynić z niej praktyczny użytek. Kolejne administracje w Waszyngtonie dawały się uwieść łatwości, z jaką mogły po tę potęgę sięgać, nakazując jej użycie i obserwując natychmiastową realizację swoich poleceń. Tymczasem o wiele łatwiej jest zlecić siłom zbrojnym, w tym zwłaszcza siłom powietrznym, ściganie jakiegoś celu, aniżeli zapanować przy ich pomocy nad złożonością społeczną i kulturową całkowicie odmiennej społeczności.

W roku 1961, ale także jeszcze długo później, wśród decydentów politycznych próżno było szukać zrozumienia, że zachodnia obecność wojskowa w odległych krajach świata nie pozostaje bez konsekwencji. Komunistycznych bojowników w Wietnamie słusznie można było oskarżać o liczne niegodziwości, ale przemierzali oni kraj po cichu i w ukryciu, podczas gdy ciężkie buciory amerykańskich żołnierzy zostawiały po sobie głębokie ślady, zarówno w terenie, jak w pamięci mieszkańców. Już sama obecność dobrze ubranych i odżywionych ludzi Zachodu, z bronią lub bez niej, w mundurach czy po cywilnemu, musiała wprowadzać duży zamęt w społeczeństwie składającym się w przeważającej mierze z potomków ubogich azjatyckich chłopów. Podobnie jak wielu innych amerykańskich oficjeli wysłanych do Sajgonu, Bill Colby z CIA szybko przyswoił sobie styl bycia charakterystyczny dla imperialnego gubernatora, zajmując rozległą willę i zatrudniając sześciu miejscowych na swojej służbie. Nawet szeregowi żołnierze uważali za oczywistość, że jakiś Wietnamczyk czyści im buty, a inny pilnuje ich baraku.

Tymczasem jedną z cech wyróżniających komunistycznych wrogów był fakt, że poza bronią nie mieli oni właściwie niczego więcej. Wieśniacy widzieli ten oczywisty kontrast i wielokrotnie słyszano z ich ust, że nawet jeśli z komunizmem coś było nie tak, to przynajmniej nie bogacił się on kosztem innych. Zachodnie bogactwo i technologia nie wzbudzały zazdrości w ubogich Wietnamczykach; one po prostu podkreślały przepaść między miejscowymi a przybyszami, przepaść tak ogromną, że nie mogła jej zasypać żadna liczba wizyt personelu medycznego, szczepień, dostaw żywności, traktorów, silników do łodzi czy „cudownych" odmian ryżu. Pomoc materialna nigdy nie była w stanie zapewnić darczyńcom takiej wdzięczności, na jaką liczyli. Dzieci zwiedzające sajgońskie zoo często porównywały oglądane tam małpy do Amerykanów, bo także miały długie i bardzo owłosione ręce. Niektórzy starsi Wietnamczycy niechętnie spoglądali na czarnoskórych żołnierzy, bo przywoływali oni na pamięć wyjątkowo brutalne oddziały kolonialne walczące po stronie Francji. A miejscowi cynicy, tak jak komunistyczni propagandziści, powtarzali z lubością, że Waszyngton

przysyłał do Indochin jedynie to, czego nie chcieli sami Amerykanie, na przykład znienawidzoną kaszę z ziarna pszennego.

A problemów było przecież więcej. Amerykański doradca, który ukończył West Point, nie mógł nie traktować z lekceważeniem czterdziestosiedmioletniego dowódcy batalionu z poczernionymi zębami, do którego go przydzielono, a z którym nie miał nawet wspólnego języka. Jeden z oficerów ARVN napisał: „Żaden przełożony nie przewidział ani nie pouczył tego młodego [amerykańskiego] kapitana o potrzebie wczucia się w naszą sytuację i przystosowania się do innych warunków kulturowych. A on knuł jakieś śmieszne intrygi, żeby nadzorować swoich wietnamskich odpowiedników i przejąć kontrolę nad całym batalionem, jakby to była ledwie zabawka w jego rękach”[22]. Dopiero po upływie roku, kiedy tenże Amerykanin zbierał się już do powrotu do domu, wyznał swojemu odpowiednikowi, że wreszcie zaczyna rozumieć, o co chodzi w tej wojnie i żałuje swojej wcześniejszej ignorancji. Cóż kiedy wkrótce po jego wyjeździe zjawił się inny doradca i cały ten obłędny cykl zaczął się od nowa. „Oto jak wyglądały sprawy z doradcami. Ludzie z Ameryki mają dużo dobrej woli, ale są też bardzo niecierpliwi”.

Pewien wietnamski uczeń szkoły oficerskiej przytaczał inny przykład zderzenia kulturowego między miejscowymi a Amerykanami: w akademii wojskowej w Dalat jeden z amerykańskich instruktorów w stopniu kapitana pacnął któregoś z kadetów w hełm wskazówką, by wybudzić go z drzemki. Ten niewinny gest omal nie doprowadził do buntu wśród wietnamskich studentów, dla których nawet takie symboliczne uderzenie w głowę stanowiło przejaw kolonialnej pogardy. Sytuację zdołał rozładować dopiero komendant szkoły, pułkownik Nguyen Van Thieu, późniejszy prezydent Wietnamu[23].

Zupełnie inne doświadczenia miał Chuck Allen służący w Drużynie A sił specjalnych, którą zimą 1962 roku wysłano do Khe Sanh. Swoich wietnamskich odpowiedników określał on mianem „LLDB” – *lousy little dirty bastards* (brudni, mali, leniwi dranie): „Strasznie ciężko było [ich] wyciągnąć na jakąkolwiek akcję. Nie chciało im się opuszczać obozu. Czasami musieliśmy ich przekupywać dodatkowym jedzeniem czy ubraniami”[24]. A już podczas patroli Amerykanie wściekali się na

„przypadkowe” wystrzały z broni ostrzegające z daleka wrogie oddziały WK o ich zbliżaniu się albo na nieostrożne puszczanie kłębów dymu znad ognisk podczas gotowania posiłków. „Chwilę nam zajęło, zanim zorientowaliśmy się, że nasze sposoby to nie zawsze te najwłaściwsze (...). Ci biedacy w Wietnamie toczyli wojnę już od jakichś piętnastu lat. Aż tu nagle zjawiamy się my, roznosi nas energia i chęć do walki, a zwyciężyć chcemy w sześć miesięcy”. Tak czy inaczej akurat Drużyna A miała powody do zadowolenia ze swojej postawy i nawet wymyśliła piosenkę, którą miało później podśpiewywać sobie całkiem sporo amerykańskich żołnierzy, zanim to wszystko się zakończyło: „Tam gdzie byliśmy, zwyciężaliśmy”.

Zdecydowana większość z 3 milionów Amerykanów, którzy mieli się ostatecznie przewinąć przez Wietnam, wyjechała stamtąd jednak bez nawiązania żadnych głębszych relacji z miejscową ludnością, chyba że uznać za takie targowanie się o cenę za stosunek seksualny. Było więc rzeczą oczywistą, że ta przytłaczająca większość potrzebowała jakiejś namiastki amerykańskości podczas długiej służby w odległym kraju – jakiej zresztą potrzebują wszystkie cudzoziemskie armie, kiedy znajdą się w takich okolicznościach. Nawet korespondenci wojenni, którzy niejednokrotnie pisali i wysyłali do domu teksty nadzwyczaj krytyczne wobec amerykańskich działań w tym kraju, nie wzdragali się przed korzystaniem z przywileju swobodnego odwiedzania amerykańskich kantyn wojskowych. Ale stopień, w jakim większość samozwańczych krzyżowców Kennedy’ego odgrodziła się od Wietnamczyków, może poza momentami wspólnego przygotowywania aktów przemocy, stanowił doskonały wręcz przepis na wyobcowanie.

Jako prokurator generalny obecny przy tworzeniu zrębów polityki wobec Indochin Robert Kennedy wyraził się następująco: „Odpowiedź militarna to porażka w walce z partyzantką (...). Każda propozycja nie uwzględniająca reformy społecznej u samych podstaw, a skupiająca się jedynie na gadżetach i technikach, nieuchronnie musi ponieść porażkę i nie powinna spotkać się z poparciem”[25]. Z kolei Lyndon Johnson po swojej wizycie w Wietnamie w roku 1961 mówił o tym, jak ważne jest tam ustanowienie „odpowiedzialnych instytucji politycznych (...). Potrzebna jest jednoczesna, energiczna i zintegrowana odpowiedź na

gospodarcze, społeczne i wszelkie inne bolączki narodu wietnamskiego. A przywództwo i inicjatywa w tym przedsięwzięciu musi należeć do liderów wietnamskich". Wreszcie Roger Hilsman z Departamentu Stanu wyraził zdanie, że partyzantka „to nie jest wojna; to walka polityczna z aspektami wojskowymi"[26]. Tego rodzaju wyważone opinie powinny były przywieść decydentów politycznych do jednoznacznej konkluzji: dopóki nie stworzy się silnej podbudowy politycznej, wszelkie zaangażowanie militarne tak naprawdę zda się na niewiele. Wietnamczykom nie sposób było zaimponować suchymi programami czy systemami: oni oceniali konkretnych ludzi, a większość szczerze nie znosiła całej rodziny Ngo – jej okrucieństwa, niekompetencji i katolicyzmu. Nawet sami Amerykanie nie ukrywali zażenowania faktem, że choć oficjalnie wciąż przywoływano demokrację jako moralną podstawę walki z komunizmem, to Waszyngton nie widział nic złego w braku legitymizacji wyborczej reżimu Diema.

Co więcej, wciąż całkiem sporo wpływowych osób uparcie argumentowało, że liczne niedociągnięcia tego reżimu na dobrą sprawę nie miały większego znaczenia. Colby'ego z CIA interesowało nie to, że Diem był dyktatorem, lecz jedynie to, że jego rządy niosły ze sobą jakieś tam korzyści. Jak napisał później: „Zadanie w Wietnamie Południowym wymagało silnego przywództwa, a Diem ze swoim mesjanistycznym oddaniem wydawał się lepiej spełniać ten wymóg niż jakiś system próbujący nader dokładnie wdrożyć amerykańską doktrynę rozdziału władz, co zaowocowałoby zapewne jednym wielkim zamętem i brakiem decyzyjności"[27]. Colby nawiązał ponadto całkiem przyjazne robocze stosunki z Ngo Dinh Nhu – jego koledzy z Agencji byli wręcz zdeprymowani entuzjazmem, jaki okazywał tej dość ponurej postaci. A kiedy w Agencji zaczęto mówić o możliwości zastąpienia Diema kimś innym, ku powszechnemu zdumieniu Colby zasugerował, że całkiem dobrym kandydatem mógłby być właśnie jego brat Nhu.

Inwazja w Zatoce Świń – nieudany desant kubańskich emigrantów przy wsparciu CIA 17 kwietnia 1961 roku, niecałe cztery miesiące po rozpoczęciu prezydentury Kennedy'ego – położyła się głębokim cieniem na jego dalszej polityce zagranicznej. Podobnie rzecz miała się z wybudowaniem przez komunistów muru berlińskiego w sierpniu

tegoż roku czy z licznymi prowokacyjnymi wypowiedziami Chruszczowa, że Wietnam miał być swoistym sowieckim laboratorium dla przyszłych wojen narodowowyzwoleńczych. Nikt wówczas jeszcze nie wiedział, że to Zachód wygra ostatecznie zimną wojnę. Żaden Amerykanin nie słyszał też, jak tenże Chruszczow instruuje Anatolija Dobrynina, który w roku 1962 został nowym sowieckim ambasadorem w Waszyngtonie, by ani przez chwilę nie zapominał, że zbrojne starcie ze Stanami Zjednoczonymi jest nie do pomyślenia, wobec czego jego absolutnym priorytetem musi być podejmowanie wszelkich działań w celu jego uniknięcia: „Nie proś się o kłopoty”[28]. Cały świat żył wówczas w strachu przed wojną nuklearną, a międzynarodowy komunizm wydawał się stanowić nader realne zagrożenie. W takich warunkach wielu narodowym przywódcom i ich doradcom trudno było myśleć, planować i działać w sposób mądry i adekwatny do okoliczności. Dziś zbyt często zapominamy, że druga strona popełniała równie wiele błędów, a postępowała nawet jeszcze brutalniej od mocarstw zachodnich – na przykład na Węgrzech, na Kubie, w Berlinie czy w Polsce.

Kennedy i inni zachodni przywódcy zaangażowani byli wówczas w globalną rywalizację na śmierć i życie z rosnącymi w siłę komunistami. Prezydent wyraził się kiedyś o partyzanckich rebeliach, takich jak ta przedsięwzięta przez NFW: „Nikt nie może nazywać tych walk wojnami o wyzwolenie (...). To już są wolne narody”. Była to w połowie prawda – może nawet większa, niż uświadamiała to sobie wówczas, choć również i potem, spora część amerykańskich liberałów – ale zarazem w połowie kłamstwo, ponieważ niezależnie od tego, jak odrażający był reżim rządzący Wietnamem Północnym, ten z Południa był od niego tylko niewiele mniej opresyjny, a jego główny powód do chwały stanowił fakt, że za Diema ludzie przynajmniej nie głodowali.

2. KRÓLESTWO MCNAMARY

Jednym z najbardziej niezwykłych aspektów procesu podejmowania przez Waszyngton decyzji odnoszących się do Wietnamu w latach 1961–

1975 był fakt, że samym Wietnamczykom rzadko w ogóle pozwalano mieć w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia. Kolejne administracje po prostu ignorowały jakiekolwiek uwagi zgłaszane przez ludzi zamieszkujących właściwe pole walki i pragnących zabrać głos w sprawach istotnych dla ich własnej przyszłości; zamiast tego waszyngtońscy decydenci woleli zamykać się w kokonie swojej amerykańskości. Frederick „Fritz" Nolting, w latach 1961–1963 pełniący funkcję ambasadora w Sajgonie, przestrzegał kiedyś sekretarza obrony Roberta McNamarę, że byłoby „trudne, jeśli nie całkiem niemożliwe, próbować przełożyć silnik Forda do wietnamskiego wozu zaprzężonego w woły"[29]. Sekretarz całkowicie się z nim wówczas zgodził – po czym w dalszym ciągu usiłował tej sztuki dokonać. W swojej książce *The Best and the Brightest (Najlepsi i najbystrzejsi)* David Halberstam przytacza nader smakowitą anegdotę o tym, jak wiceprezydent Lyndon Johnson entuzjastycznie zareagował na pierwsze posiedzenie „okrągłego stołu" Kennedy'ego z udziałem takich tuzów ówczesnego życia politycznego, jak McNamara, Rusk, Bundy, Schlesinger czy Rostow. Podniecony Johnson pospieszył do swojego przyjaciela i mentora Sama Rayburna, pełniącego wówczas funkcję przewodniczącego Izby Reprezentantów, by opowiedzieć mu o grupie tych błyskotliwych ludzi, na co ów doświadczony polityk odparł mu, studząc jego entuzjazm: „Cóż, Lyndon, może i masz rację, a oni wszyscy mogą być nawet tak inteligentni, jak ich o to podejrzewasz, ale ja osobiście czułbym się dużo lepiej, gdyby choć jeden z nich pełnił już kiedyś obowiązki szeryfa"[30]. Albo chociaż mówił po wietnamsku.

Kiedy McNamara pojechał do Wietnamu w towarzystwie Maxa Taylora, pewien wietnamski świadek jego tamtejszych spotkań ze zdumieniem zauważył, że większość pytań zadawanych przez sekretarza kierowana była do amerykańskich doradców, a nie do ludzi biorących udział w samych walkach: „Niektórzy [amerykańscy oficerowie] wyglądali jak zdenerwowani (...) uczniowie stojący przed surowym dyrektorem szkoły (...). Raz zdarzyło się, że ku wielkiemu zażenowaniu oficera wietnamskiego wywiadu i jego amerykańskiego odpowiednika McNamara spytał, ilu naszych tajnych agentów pracuje w szeregach wroga"[31]. Odpowiedź brzmiała naturalnie: zero, i w tej

akurat kwestii nic miało się nie zmienić aż do późnego stadium wojny. Jak zresztą mogłoby być inaczej, skoro przygotowywany przez CIA schemat wzajemnych zależności wśród przywódców komunistycznych powstał dopiero w roku 1969.

Oprócz doradców wojskowych wysyłanych na miejsce swoje analizy przekazywali administracji również liczni „specjaliści" działający w kraju. Zimna wojna sprzyjała powstawaniu całej gamy think-tanków, z których część zajmowała się kwestiami technologicznymi, a inne skupiały się na fundamentach intelektualnych leżących u podstaw planowania strategicznego, w tym zwłaszcza w zakresie odstraszania nuklearnego. W roku 1958, na fali szoku związanego z wystrzeleniem przez Sowietów swojego Sputnika, stworzono Agencję Zaawansowanych Projektów Badawczych, znaną powszechnie jako DARPA (Defense Advanced Research Projects Agency), która miała opracowywać rozmaite techniki zwalczania partyzantki – niemal wszystkie okazały się całkowicie oderwane od rzeczywistości – a ponadto dała początek programowi chemicznej defoliacji za pomocą preparatu fitotoksycznego określanego jako Agent Orange (czynnik pomarańczowy). Z kolei mająca siedzibę w Santa Monica Korporacja RAND była organizacją non profit pozyskującą olbrzymie fundusze od lotnictwa Stanów Zjednoczonych. Zatrudniała ona wprawdzie błyskotliwych ludzi, ale wykazywała tendencję do nader łatwego przychylania się do linii politycznych finansujących ją podmiotów.

Nieprzypadkowo entuzjastą przygotowywanych przez nią analiz był McNamara, jako że w dużej mierze odzwierciedlały one myślenie systemowe, któremu i on hołdował. Kiedy do Santa Monica zawitał brytyjski naukowiec, profesor Michael Howard, był on pod wrażeniem poziomu prezentowanego przez tutejszych analityków, ale zarazem – jak napisał nieco później – nie mógł pozbyć się natrętnego odczucia, że RAND „wyglądał niczym klasztor zamieszkany przez mądrych teologów, którzy jednak byli dość odlegli od rzeczywistych problemów tego świata (...). Ludzie z RAND wydawali się wpadać w pewną pułapkę myślową: zakładali otóż, że wszystko, co tylko wiąże się z wojną, da się zawrzeć w danych liczbowych"[32]. Howard był szczególnie poruszony,

słysząc, jak analitycy zupełnie na poważnie dyskutują o tym, jak szybko miasto Los Angeles mogłoby wrócić do życia po wojnie nuklearnej.

Po dojściu do władzy Kennedy'ego szefostwo RAND uznało, że naprawdę duże pieniądze będzie się odtąd zarabiać na walce z partyzantką, więc już w roku 1961 do Sajgonu trafił pierwszy z jego wysłanników. W ciągu kolejnych lat korporacja ta odgrywała znaczącą rolę doradczą, przy czym niemal żaden z jej jajogłowych nawet nie kwestionował racjonalności motywów amerykańskiego zaangażowania w Wietnamie: pełni misjonarskiego zapału starali się oni raczej szukać sposobów, które dałyby ich krajowi największe szanse na zwycięstwo. Analityk Alex George ujął to następująco: „U nas w RAND nie ma żadnych pacyfistów"[33]. Na początku lat sześćdziesiątych XX wieku większość działalności analitycznej prowadzono w Santa Monica, ponieważ niewielu pracowników było skłonnych przenieść się do Sajgonu.

Aby jednak oddać sprawiedliwość administracji Kennedy'ego należy w tym miejscu podkreślić, że w tamtym okresie również wielu przywódców krajów Azji Południowo-Wschodniej, w tym zwłaszcza Lee Kuan Yew z Singapuru, podzielało, a przynajmniej wydawało się podzielać, przeświadczenie Amerykanów, iż pokonanie wietnamskich komunistów stanowiło klucz do stabilności całego regionu. Podobnie rzecz się miała z niektórymi ważnymi sojusznikami. Rząd brytyjski dostrzegał wprawdzie rozliczne niebezpieczeństwa takiego, a nie innego stanowiska Stanów Zjednoczonych w kwestii indochińskiej, ale jednocześnie minister spraw zagranicznych lord Home zaprotokołował: „Mam nadzieję, że Amerykanie będą w stanie w nim wytrwać"[34]. Niezależnie bowiem od wszystkich wcześniejszych obaw i zastrzeżeń Wielkiej Brytanii, teraz, kiedy na szali leżał prestiż całego Zachodu, liczyło się już tylko zwycięstwo. Nic dziwnego, że premier Malezji Tunku Abdul Rahman przekonywał sir Roberta Thompsona, który odegrał ważną rolę w doprowadzeniu do zdławienia komunistycznego powstania w jego kraju: „Musi pan się udać do Wietnamu i pomóc tam dokonać tego samego"[35].

Niektórzy Amerykanie czerpali otuchę z wcześniejszych sukcesów Brytyjczyków w tłumieniu partyzanckich ruchów nacjonalistycznych,

choć brytyjscy oficerowie niezbyt chętnie przyznawali, jak bezwzględne środki musieli stosować, by móc te sukcesy osiągnąć. Podczas swoich wojen kolonialnych wykazywali się oni wprawdzie brutalnością mniejszą od Francuzów, ale i tak metody stosowane przez nich na Malajach, w Kenii, na Cyprze czy w Adenie nie były dla ludzi o słabych nerwach. Z samolotów RAF zrzucano chemiczne środki roślinobójcze, a później również preparaty fitotoksyczne na pola uprawne w zdominowanych przez partyzantów regionach. W roku 1952 gazeta brytyjskich komunistów „Daily Worker" opublikowała zdjęcie jednego z żołnierzy służb specjalnych trzymającego obcięte głowy dwóch malajskich terrorystów, co wywołało prawdziwą burzę wśród opinii publicznej, dopóki armia oficjalnie nie wyjaśniła, że chodziło tylko i wyłącznie o identyfikację obu nieszczęśników. Niemal na porządku dziennym były też bombardowania i ostrzeliwania wiosek. Ale Brytyjczykom rzeczywiście udało się jakoś zatriumfować.

Z uwagi na swój status współprzewodniczącego konferencji w Genewie, a zatem poniekąd akuszera samych porozumień genewskich, rząd w Londynie najpierw z pewnym zakłopotaniem i poczuciem winy, a później wręcz z przerażeniem spoglądał na rosnącą liczbę amerykańskich doradców wysyłanych do Wietnamu z naruszeniem warunków owych porozumień. Kiedy w roku 1961 brytyjski ambasador zasugerował, że Stanom Zjednoczonym mogłoby ujść na sucho przekroczenie ustalonej liczby o jakieś sto, poinformowano go dość bezceremonialnie, że zapadła już decyzja o wysłaniu 8 tysięcy osób. Premier Harold Macmillan, jak zawsze lojalny, zgodził się nie robić wokół tego faktu zamieszania, a nawet wyraził ulgę, że przynajmniej nie ma planów zaangażowania amerykańskich jednostek bojowych. Podlegli mu ludzie mimo to zaapelowali do Departamentu Stanu, by obecność amerykańską zwiększano przynajmniej w sposób dyskretny, ale wtedy spotkał ich kolejny afront, bo w grudniu Waszyngton oświadczył, że nie zamierza już dłużej pozwalać ograniczać się jakimś tam ustaleniom przyjętym dawno temu w Genewie.

Tymczasem sami Brytyjczycy wciąż nie mogli się zdecydować, jak daleko pójść w poparciu dla działań Amerykanów. Nadal postrzegali oni

Azję Południowo-Wschodnią z pozycji byłego mocarstwa kolonialnego, uważając, że jak nikt znają się na walce z partyzantką, i szczerze życzyli sobie pokonania komunistów. W roku 1962 sprzeciwili się propozycji zwołania konferencji w celu ogłoszenia neutralności Wietnamu, analogicznie do przypadku Laosu, ponieważ położenie Diema uznawali za stanowczo zbyt słabe. Harry Hohler, brytyjski wysłannik do Sajgonu, w styczniu napisał ostro i jednoznacznie: „[Jakiekolwiek] rozwiązanie problemu wietnamskiego, które nie zdławi i nie wykorzeni Wietkongu, najzwyczajniej w świecie odda Wietnam Południowy w ręce komunistów", a taki rezultat byłby w jego opinii „katastrofalny dla brytyjskich interesów i dla inwestycji w Azji Południowo-Wschodniej, a nadto poważnie nadwątliłby perspektywę powstrzymania przez kraje Wolnego Świata zagrożenia komunistycznego"[36].

Mimo to Brytyjczykom zdecydowanie nie podobał się sposób, w jaki Amerykanie zabrali się do rozwiązywania problemów Wietnamu Południowego, a już całkowicie zdumiewała ich wewnętrzna rywalizacja między CIA, Departamentem Stanu, amerykańską armią i kolejnymi ambasadorami. Amerykanie z kolei niechętnie patrzyli na jakiekolwiek próby wtrącania się w ich sprawy – zwłaszcza Ed Lansdale nie życzył sobie żadnych rad od byłych kolonialnych nieudaczników. Podobnie jak Pentagon, zdecydowanie odrzucał on promowaną przez Departament Stanu propozycję, by poprosić armię brytyjską o przysłanie niewielkiej liczby własnego personelu szkoleniowego. Zamiast tego ambasador Nolting przekazał swojemu brytyjskiemu odpowiednikowi, że prezydent Diem życzyłby sobie jedynie doradztwa ze strony Roberta Thompsona w kwestiach policyjnych i organizacyjnych. W tamtym okresie, kiedy w Westminsterze zainstalował się już gabinet torysów, a w Białym Domu rządził Kennedy, gdyby tylko Amerykanie zechcieli poprosić Brytyjczyków o podesłanie im wojskowych speców od przeszkolenia, prawdopodobnie by ich dostali, co mogłoby się w przyszłości okazać jedynie wstępem do znacznie bardziej wygórowanych żądań. Z sobie tylko znanych powodów uznali oni jednak wtedy, że wystarczy im jedynie Thompson. Ale nawet on sam, przy niejakiej pomocy ze strony niewielkiej brytyjskiej misji, osiągnął pewien znaczący efekt: oto CIA uznało wagę

zbierania informacji przez specjalny wydział policji i przekonało Wietnamczyków, by stworzyli taką strukturę także u siebie. Pod innymi wszakże względami, mimo że Thompsona podejmowano od czasu do czasu na rozmaitych audiencjach czy to w Sajgonie, czy nawet w Waszyngtonie, nie miał on zbyt wielkiego wpływu na żadne istotne kwestie.

Tamtej zimy 1962 roku wśród Amerykanów pojawił się lekki powiew optymizmu, że oto reżim Diema zaczynał sobie radzić coraz lepiej. Australijczycy zgodzili się otworzyć szkołę walki w dżungli. Tak szanowany ekspert Denis Warner wyjaśniał przyczyny tej decyzji swoim rodakom: „Dlaczego Australia angażuje się w wojnę wietnamską? Częściowo dlatego, że uważamy, iż zwycięstwo komunistów zagroziłoby reszcie Azji Południowo-Wschodniej i naraziło na szwank nasze własne bezpieczeństwo, a częściowo z powodu konieczności przekonania Amerykanów, że jesteśmy czymś więcej niż tylko papierowym tygrysem (...). To taki rodzaj składki ubezpieczeniowej na życie”[37]. Cena składki wciąż jednak rosła: w roku 1969 liczba Australijczyków służących w Wietnamie osiągnęła maksimum i wyniosła 7672 żołnierzy, z których 500 już nigdy nie wróciło do domu.

Podczas gdy doradcy strategiczni Waszyngtonu często się zmieniali, jedna postać współtworzyła linię polityczną wobec Wietnamu nieprzerwanie przez siedem lat. Człowiek, który przyczynił się do skali tragicznego zaangażowania Ameryki w Wietnamie w stopniu mniejszym tylko od Lyndona B. Johnsona, na pierwszy rzut oka w ogóle nie pasował do grona rycerzy okrągłego stołu zgromadzonych na współczesnym zamku Camelot. Robert McNamara, bo o nim tu mowa, miał czterdzieści cztery lata, kiedy w roku 1961 po raz pierwszy przekroczył próg swojego olbrzymiego biura w Pentagonie, oznaczonego numerem 3E 880. Jak się wydaje, nigdy nie wiedział, co to szaleństwa młodości: pracownicy administracji szeptali po kątach, że w domu przed lustrem ćwiczy twista, by dobrze wypaść w tańcu, kiedy zostanie zaproszony do Białego Domu. Zanim stał się gwiazdą Harvard Business School, a potem działającym cuda szefem Ford Motors Company, musiał, pochodząc z ubogiej kalifornijskiej rodziny, wybić się

niemal z samych dołów społecznych, w czym pomagały mu w równym stopniu wrodzony intelekt, jak i upór oraz zamiłowanie do nieustającej, mozolnej pracy. Charakter McNamary świetnie opisuje komentarz odnoszący się do pewnego uwielbiającego statystyki brytyjskiego polityka: „Używa on liczb tak, jakby były przymiotnikami". Jako były skaut McNamara chętnie zabierał swoje dzieci i drobniutką żonę Margy na weekendowe wędrówki, przed którymi ponoć dokładnie wyliczał za pomocą suwaka logarytmicznego, ile bagażu każde z nich powinno zapakować do swojego plecaka. Posadę w Departamencie Obrony przyjął dlatego, że od zawsze pociągała go możliwość sprawowania realnej władzy. Poza łonem rodziny był tak naprawdę zimnym draniem, który niespecjalnie przejmował się zasadami moralnymi. W roku 1961 popierał całkowicie wydumaną koncepcję strategicznej „luki rakietowej" (*missile gap*), a także przypuszczał bezwstydne i bezpodstawne ataki na swojego poprzednika Thomasa Gatesa.

Biuro McNamary szybko zaczęło pracować nad wieloma nowymi pomysłami: nad programem rozrostu systemu rakietowego; nad rozbudowaniem armii w odpowiedzi na kryzys berliński; nad wprowadzaniem nowych systemów uzbrojenia. Podczas kryzysu kubańskiego w październiku 1962 roku to właśnie McNamara zaproponował plan blokady morskiej przez amerykańską marynarkę wojenną. W swoich działaniach był on pozbawiony jakichkolwiek zahamowań i wątpliwości, a przy tym uważał, że dobra decyzja to szybka decyzja. Miał też obsesję na punkcie kontrolowania wszystkiego, nie znosił przeciągających się dyskusji, z całą stanowczością zwalczał przecieki do sfery cywilnej i starał się prezentować jako jedyny publiczny głos amerykańskich sił zbrojnych.

Robert McNamara, sekretarz obrony Stanów Zjednoczonych w latach 1961–1968

We wrześniu 1961 roku McNamara tak oto przedstawiał sytuację międzynarodową na forum Senatu: „Nie istnieje żadne adekwatne podobieństwo historyczne do obecnego dążenia sowieckiego komunizmu, chcącego skolonizowania świata (...). [Żaden dyktator] nie był wcześniej równie dobrze zorganizowany i nie dysponował tyloma narzędziami zniszczenia". McNamara zupełnie nie przejmował się tym, że w celu zwalczania zagrożenia sowieckiego opowiada czasem wierutne bzdury – który to nawyk miał ostatecznie doprowadzić do całkowitego zniszczenia jego reputacji. Zeznając przed Kongresem, z lubością przytaczał dane mające świadczyć o jego nadnaturalnych zdolnościach do zapamiętywania, tyle że – jak wykazał generał broni Fred Weyand – wiele z tych „faktów", na które powoływał się sekretarz,

nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. Choć był w pełni przekonany o konieczności toczenia zimnej wojny, początkowo sprzeciwiał się stopniowemu zwiększaniu amerykańskiej obecności w Wietnamie: „Niemal z całą pewnością dalibyśmy się tylko coraz mocniej wciągać w niemożliwy do rozstrzygnięcia spór". Nieco lepiej wyglądałaby jego zdaniem sytuacja, gdyby Stany Zjednoczone zdecydowały się wysłać od razu znaczące siły militarne: „walki mogą się przeciągać, a Hanoi i [Pekin] mogą zainterweniować w sposób otwarty (...). Sukces będzie wówczas zależał od czynników pozostających w dużej mierze poza naszą kontrolą – w tym zwłaszcza od postawy samego Diema"[38].

Ale McNamara szybko zmienił zdanie. W maju 1962 roku złożył swoją pierwszą wizytę w Wietnamie. Jego gospodarzem był skłonny do fantazjowania Paul Harkins dowodzący MACV. Generał już wcześniej otrzymał od sekretarza obrony listę pytań, aby miał czas przygotować właściwe odpowiedzi na podstawie tak uwielbianych przez McNamarę statystyk, nawet jeśli większość z nich była mocno naciągana. I Harkins faktycznie „udowodnił" na papierze, że dzięki amerykańskiej pomocy reżim Diema jest w stanie zdławić komunistyczną rebelię, choć akurat wtedy, gdy sekretarz wysłuchiwał tych danych podczas briefingu w Binh Duong, w pobliżu doszło do ataku na konwój ARVN, w którym zginęło 5 ludzi. Nieco później, kiedy McNamara zwiedzał bazę wojskową w Da Nang na północy, 15 kilometrów dalej Wietkong wysadził pociąg z wojskiem, zabijając 27 żołnierzy i raniąc kolejnych 30. A mimo to, udzielając wywiadu młodemu reporterowi UPI Neilowi Sheehanowi, McNamara powiedział: „Według wszystkich dostępnych nam zestawień ilościowych to my wygrywamy tę wojnę"[39]. Nie przyszło mu rzecz jasna do głowy, że te „zestawienia ilościowe" wzięły się po prostu z powietrza za przyczyną Harkinsa, o którym tenże Sheehan napisał później: „Zmuszał się do wierzenia w to, w co chciał wierzyć, i do odrzucania tego, co z góry chciał odrzucić"[40].

Wielbiciele McNamary z szacunkiem patrzyli na jego powściągliwość i rezerwę, dostrzegając w nich dowody na bezstronność i nieprzekupność polityka: niektórzy widzieli w nim nawet potencjalnego kandydata na wiceprezydenta u boku Kennedy'ego w wyborach przewidzianych na rok 1964. Szanowany komentator

wojskowy Hanson Baldwin opublikował kiedyś w „Saturday Evening Post" artykuł zatytułowany *Królestwo McNamary*, w którym opisywał mechanizmy nowej biurokracji w departamencie obrony[41]. Z kolei wrogowie sekretarza, z których całkiem wielu nosiło mundury, nie cierpieli go za nieposkromioną pychę. On sam nabrał niewzruszonego, ale całkowicie bezpodstawnego przekonania, że doskonale rozumie wojsko. James Reston napisał później celnie w „New York Timesie": „Ma on w sobie szczerość starotestamentowego proroka, ale też czegoś mu brakuje; może jakichś osobistych rozterek, może szacunku dla ludzkich słabości, a może po prostu zwykłej znajomości historii"[42]. Tak czy inaczej, w latach 1961–1967 to właśnie McNamara miał większy wpływ na kształt polityki wietnamskiej od jakiegokolwiek swojego rodaka, z wyłączeniem kolejnych prezydentów.

Ci Amerykanie, którzy faktycznie znali Wietnam i jego problemy, wiedzieli zasadniczo tylko jedno: jak niewiele w rzeczywistości wiedzą. Doradca wojskowy Gordon Sullivan zgłosił się na ochotnika i wciąż nie opuszczały go obawy, że wojna zakończy się, zanim będzie mu dane wziąć w niej udział. Ten dwudziestopięcioletni porucznik z Massachusetts wylądował ostatecznie w Sajgonie po sześciotygodniowym kursie języka wietnamskiego, po którym znał zaledwie kilka podstawowych zwrotów. Sam Sajgon wydał mu się „sennym, sielankowym miastem pięknie położonym nad rzeką: żadnych wojskowych zapór, filipińskie zespoły grające swoją muzykę wzdłuż Tu Do. W tamtych czasach życie doradcy nie było łatwe: miałem swoją radiostację, tyle że nie miałem do kogo nadawać"[43]. (Od samego początku wojny aż do jej końca amerykańscy doradcy cenieni byli przez Wietnamczyków głównie za jedno: magiczną zdolność sprowadzania wsparcia artyleryjskiego właśnie za pomocą radia). Zaraz po swoim przybyciu Sullivan i jego grupa zostali ostrzeżeni: „Tylko pamiętajcie – oficjalnie was tu w ogóle nie ma". On sam trafił ostatecznie na jakieś drugorzędne lądowisko w pobliżu granicy z Kambodżą, które wyróżniało się wrakiem H-21 leżącym koło pasa startowego i oznakowaniem na wieży kontrolnej wskazującym poziom 60 centymetrów powyżej lustra wody w porze suchej, a 60 centymetrów poniżej w porze deszczowej. Oficer, który podjechał jeepem, żeby go

odebrać, przywitał się z nim radośnie: „Cześć, Sullivan. Lubisz frankfurterki i słodkie cebulki? Nasz dowódca załatwia nam świeży transport raz na dwa tygodnie".

W kolejnych miesiącach porucznik w towarzystwie jednego z podoficerów przemierzał całą Deltę, rozwożąc po wioskach lekarstwa, a przy okazji dokonując inspekcji strategicznie położonych osad. Wspominając te szalone wyprawy w tereny rojące się już wówczas od partyzantów Wietkongu, Sullivan przyznawał: „To była jedna wielka przygoda (...). [Ale] nie ma żadnego logicznego powodu, dla którego wyszliśmy z tego cało". Kiedy „próbował nawiązać kontakt z Wietnamczykami", odnosił wrażenia, że nadają oni na odmiennych falach. Inny doradca, podpułkownik John Paul Vann, powiedział Frankowi Scottonowi wkrótce po tym, jak zawitał on do Wietnamu: „Cholera, ja nawet nie wiem, co się dzieje po drugiej stronie rzeki, kiedy zapada zmrok"[44]. Z kolei oficer wietnamskich służb specjalnych, kapitan Phan Tan Nguu, o swoich relacjach z ludźmi CIA wyraził się następująco: „Mówiłem Amerykanom tylko tyle, ile moim zdaniem powinni byli wiedzieć"[45].

Jedno z ważnych narzędzi Pentagonu, symulator działań wojennych SIGMA I, w roku 1962 szacowało, że do pokonania komunistów potrzebnych będzie około pół miliona amerykańskich żołnierzy. Jego następca, SIGMA II, po uwzględnieniu opcji działań z powietrza, przedstawił konkluzję, że żadna skala bombardowań nie odwiedzie Hanoi od przyjętego kursu. Takie sprzeczne ze sobą analizy i projekcje przedstawiane decydentom sprawiały, że rozmaite frakcje w Waszyngtonie bezustannie wysuwały rywalizujące ze sobą propozycje, nader często zmieniały zdanie, a na dobrą sprawę wciąż kręciły się w kółko. Za prezydentury Kennedy'ego wierchuszka Pentagonu generalnie opowiadała się jednak za zbombardowaniem Północy, a sprzeciwiała się wprowadzeniu wojsk lądowych na Południe.

3. LE DUAN PODNOSI STAWKĘ

W latach 1961–1962 rząd Wietnamu coraz bardziej oddalał się od Rosji, a coraz mocniej zacieśniał swoje związki z Chinami, ale żadne z tych mocarstw absolutnie nie namawiało Hanoi do eskalacji. Komuniści najwyraźniej czuli, że uwikłali się już w wystarczająco dużo innych konfliktów – na Kubie, w Berlinie, w Albanii czy w Kongo. Na Północy nie ustawały też wewnętrzne trudności: ludność kraju przyrastała w tempie pół miliona rocznie, a produkcja ziarna na głowę spadała. Znaczną część plonów ryżu, ale także aż trzy czwarte urobku węgla eksportowano do Chin w zamian za stały dopływ gotówki. Z powodu głodu ze wsi napływały do miast całe rzesze chłopów, dla których jednak nie było tam żadnej pracy, bo braki surowcowe przekładały się na podupadanie zakładów przemysłowych.

Począwszy od maja 1961 roku, przydział na mięso w Wietnamie Północnym, obejmujący również koty i psy, spadł do zaledwie 10 dekagramów na osobę tygodniowo. Tamtego lata ludzie protestujący z głodu podpalali zapasy ryżu bronione przez żołnierzy, a w sierpniu spalili fabrykę rowerów. W mieście Dong Anh wybuchła też bomba. W jednym z miast musiano nawet zdławić bunt lokalnych oddziałów wojska; ponadto dwukrotnie zdarzyło się, że ludzie z plemienia Hmong zaatakowali konwoje wojskowe. Wietnam Południowy i amerykańscy doradcy podsycali tego rodzaju niepokoje, a nawet próbowali wdrożyć program wypadów komandosów na terytoria Północy, który jednak zakończył się niepowodzeniem. Nawet jednak bez takiego dodatkowego wsparcia zamęt wśród ludności Wietnamu Północnego narastał i miał charakter w dużej mierze spontaniczny, ponieważ wynikał z jak najbardziej realnego zjawiska głodu. Odpowiedzią reżimu Ho Chi Minha na te oznaki społecznego niezadowolenia były represje, w dużym stopniu skuteczne. W październiku 1961 roku jeden z francuskich dyplomatów raportował, że w ludziach narastała już tylko „pasywna rezygnacja". Duong Van Mai wyraziła się następująco o ówczesnej sytuacji mieszkańców Północy: „Ludzie byli w niewiarygodny sposób niedoinformowani. Wyglądało to tak, jakby wszyscy siedzieli na dnie

studni i widzieli jedynie mały skrawek nieba nad głowami. Komuniści mieli w rękach tak wiele mechanizmów kontroli”[46].

Le Duan miał już teraz dominujący wpływ na decyzje polityczne Hanoi, który to stan miał się utrzymywać przez następne ćwierć wieku, choć rzecz jasna świat zewnętrzny nic o tym nie wiedział. W nakręconym akurat wówczas w Hollywood filmie *Cyd* przywiązany do konia trup tytułowego bohatera, mężnego średniowiecznego rycerza, ma poprowadzić swoją armię do jeszcze jednego, ostatecznego zwycięstwa. Dość podobnie można by opisać ówczesną sytuację Ho Chi Minha. Prześladowały go obawy, że Wietnam mógłby stać się drugą Koreą, jednym wielkim polem bitwy, na którym walkę o prymat toczą między sobą Amerykanie i Chińczycy. A jednocześnie Ho coraz bardziej podupadał na zdrowiu i tracił inicjatywę na rzecz młodszych towarzyszy rwących się do władzy. W końcu zupełnie zrezygnował z przywództwa i stracił jakikolwiek wpływ na kluczowe decyzje podejmowane przez wierchuszkę partyjną. Ale mimo to wciąż pozostawał nader przydatnym symbolem rewolucyjnej walki, postacią rozpoznawalną i szanowaną na całym świecie. Z tego względu to właśnie Ho i jego premier Pham Van Dong pozostawali twarzami reżimu północnowietnamskiego, podczas gdy pociągający w rzeczywistości za sznurki Le Duan trzymał się w głębokim cieniu. Z kolei skłaniający się ku Moskwie Giap stał się obiektem niechęci ze strony swoich towarzyszy, którzy zarzucali mu otaczanie się przesadnie dużą liczbą osobistego personelu i pociąg do rozgłosu. Jeden z nich określał go wręcz mianem „pozera i samochwały”. Były szef logistyki sił zbrojnych spod Dien Bien Phu otwarcie nienawidził swojego dawnego dowódcy i często uskarżał się nań przed Ho. Inny wysoki rangą wojskowy, a przy tym jeden z ministrów w rządzie, prywatnie brat Le Duc Tho, lubił z kolei porównywać tego weterana walk o niepodległość do starej beczki, wyjaśniając: „Im bardziej beczka pusta, tym głośniej dudni”[47].

Le Duan z dużym wyczuciem i cierpliwością utrzymywał równowagę w relacjach z Sowietami i Chińczykami. Lubił przy tym cytować wietnamską wersję przysłowia „Kiedy wchodzisz między wrony…”, która brzmi: „Odwiedzając pagodę, musisz włożyć szaty buddyjskiego

mnicha, a spacerując z duchem, musisz nosić ubrania z papieru". On i jego najbliżsi współpracownicy nie ufali Rosjanom, uznając ich za niestałych i słabych, również dlatego, że jako pierwsi cofnęli się podczas kubańskiego kryzysu rakietowego. Wśród tych twardych i zdecydowanych ludzi królowała prawdziwie spartańska etyka – to jest gotowość do ponoszenia cierpień w pogoni za jakimś szczytnym celem. Le Duan zżymał się na konieczność ciągłego podróżowania do Pekinu w roli petenta, którego prośby były w dodatku bezustannie odrzucane. Pewien jego poplecznik twierdził, że podczas jednej z takich wizyt w 1961 roku miał on usłyszeć od Zhou Enlaia: „Po co wy w ogóle toczycie walkę zbrojną w Wietnamie Południowym? (...) Jeśli ta wojna rozleje się także na Północ, to mówię wam już teraz, że Chiny nie wyślą swoich żołnierzy, by pomóc wam w walce z Amerykanami (...). Będziecie zdani na samych siebie i będziecie musieli ponieść konsekwencje"[48].

O samym Mao Le Duanowi zdarzało się czasem mówić „ten drań", a kiedy chiński przywódca zaczął kiedyś fantazjować w obecności delegacji z Hanoi na temat wysłaniu Ludowej Armii Wyzwoleńczej, która miałaby oswobodzić Południe, wzbudził u swoich wietnamskich gości jedynie instynktowny lęk przed imperialistycznymi zapędami wielkiego sąsiada. Podejmując decyzję o obraniu kursu na Chiny, Le Duan mądrze wyrzekł się jakiegokolwiek krytykowania Związku Sowieckiego świadom tego, że Hanoi wciąż będzie potrzebowało bardziej zaawansowanej rosyjskiej broni i technologii. Często uskarżał się też na skąpstwo Chińczyków, twierdząc cynicznie, że najwyraźniej Pekin postrzega rewolucję wietnamską jako „kartę przetargową w negocjacjach między Chinami a Stanami Zjednoczonymi".

W latach 1961–1962 przywódcy Wietnamu Północnego wystrzegali się działań mogących skłonić nowego amerykańskiego prezydenta do przesadnej reakcji – choć nieustannie zwiększali swoje zaangażowanie na Południu, to starannie unikali jakichkolwiek prowokacji mogących doprowadzić do wylądowania w Wietnamie amerykańskich sił bojowych. Wciąż roztrząsali też, czy nie warto byłoby siąść do negocjacji i przynaglali swoich towarzyszy na Południu skupionych wokół CBWP do skoncentrowania się na walce politycznej. W jednym ze swoich „listów na Południe", datowanych z 7 lutego 1961 roku, Le Duan

przyznawał wprost: „Jesteśmy słabsi od nieprzyjaciela”[49]. I właśnie dlatego, wyjaśniał, tak ważne jest podkreślanie autonomii Narodowego Frontu Wyzwolenia, by nie kojarzono go jednoznacznie z Hanoi i nie brano za narzędzie Północy. Trudno nie dostrzec tu pewnej sprzeczności charakterystycznej dla tego okresu, choć bowiem z Wietnamu Północnego płynęło wówczas wsparcie o wiele mniejsze od tego, jakiego oczekiwali towarzysze na Południu, to już na arenie międzynarodowej północnowietnamscy przywódcy jeszcze mocniej podkręcali swoją wojenną retorykę: Le Duan chciał w ten sposób uwiarygodnić się w oczach świata jako czołowa postać ogólnoświatowej rewolucji. Ta jego nieustępliwość nie na wszystkich zrobiła jednak pożądane wrażenie – na przykład Indie powoli przestawały postrzegać Wietnam Północny jako sojusznika w walce przeciwko imperialistycznym ciemiężcom, za to zaczęły patrzeć nań z niepokojem jako na zagrożenie dla stabilności w regionie.

W 1962 roku Hanoi wreszcie zezwoliło dużej liczbie „repatriowanych” – to jest ludzi Wietminhu, którym w roku 1954 nakazano wrócić na Północ – udać się na Południe, gdzie znów zaczęła rosnąć liczba członków partii komunistycznej. Wszędzie tam, gdzie NFW odzyskiwał kontrolę, jego działacze starali się zmieniać istniejące od pokoleń nawyki. Programy kształcenia walczyły z charakterystycznym dla Wietnamczyków fatalizmem – ale także z praktyką podporządkowania kobiet. Podczas zawierania związków małżeńskich rolę dawnych swatów przejmowali często lokalni urzędnicy partyjni. W szkołach podstawowych dzieciom dawano do rozwiązania zadania arytmetyczne mocno osadzone w ich codziennych doświadczeniach, na przykład: „Na rządowym posterunku było pięćdziesięciu żołnierzy. Kiedy go zaatakowaliśmy, zabiliśmy dwudziestu z nich. Ilu żołnierzy pozostało?”[50]. Raz na jakiś czas ktoś ośmielił się zapytać nerwowym głosem, kiedy NFW albo partia komunistyczna zapewni chłopom środki owadobójcze, pożyczki, pompy, traktory czy choćby doradztwo w kwestii hodowli zwierząt oferowane im już przez reżim w Sajgonie. Działacze nieodmiennie powtarzali, że wszelkie tego rodzaju błogosławieństwa spłyną na nich z Północy, kiedy tylko rewolucja wreszcie zatriumfuje.

Aż do roku 1963 podstawowym sposobem pozyskiwania broni przez Wietkong było zdobywanie jej na siłach rządowych: szacuje się, że pod koniec 1961 w rękach partyzantów znajdowało się zaledwie 23 tysiące sztuk broni palnej nadającej się do użycia. Do dokonywania zamachów i zabójstw nie potrzeba było jednak specjalnego uzbrojenia. Wiarygodne szacunki mówią o zamordowaniu w latach 1957–1960 około 1700 urzędników wiejskich i prowincjalnych przysłanych z Sajgonu[51]. Później liczby te zaczęły szybko rosnąć: w samym tylko roku 1961 śmierć poniosło około 1300 przedstawicieli reżimu Diema, a poza standardową eliminacją naczelników wiosek i im podobnych Wietkong zasadzał się też na wyższych rangą oficjeli, takich jak pewien pułkownik armii Południa – starszy oficer łącznikowy Sajgonu z ICC – którego pochwycono i przed śmiercią torturowano. Szczyt tego rodzaju zabójstw przypadł na rok 1963, kiedy zginęło około 2 tysięcy ludzi, podczas gdy w kolejnym roku liczba zabitych spadła już do 500, jako że komunistom udało się wcześniej zlikwidować większość lokalnych i stosunkowo łatwych do ujęcia wrogów. Ci urzędnicy i właściciele ziemscy, którzy uszli cało z dotychczasowej rzezi, dokładali wszelkich starań, by nie pozostawać zanadto na widoku, co oznaczało, że – ze szkodą dla rządu w Sajgonie – dbali oni o swoje fizyczne odseparowanie od wiosek i chłopów, szukając schronienia w miasteczkach i dużych miastach. A NFW zajmował ziemie takich „uciekinierów" i przekazywał je w ręce ludzi popierających rewolucję, którzy odtąd mieli już swój osobisty interes w walce o jej ostateczne zwycięstwo.

Przez cały czas trwania wojny nastawienie amerykańskich żołnierzy do wrogów, z którymi przyszło im się zmierzyć, wahało się między pogardą dla tych prymitywnych „zasrańców" i „żółtków" a przesadzoną wiarą w ich nadludzkie moce i wytrzymałość. Trepy opowiadały sobie pewną starą historię z czasów Dzikiego Zachodu o kawalerzyście ścigającym konno jakiegoś Apacza; kiedy po przebyciu ponad 150 kilometrów koń padł, żołnierz przełożył siodło na inne zwierzę i ruszył w dalszy pościg; a tymczasem Apacz zawrócił, dosiadł ochwaconego konia i zmusił go do biegu przez kolejne 150 kilometrów, a na koniec zjadł. W rzeczywistości dokonania Wietkongu były bardzo nierówne i oprócz sukcesów przydarzały mu się działania zawstydzająco

nieporadne, a jego partyzanci wykazywali dokładnie te same słabości co żołnierze każdej armii na świecie. Nam Kinh, jeden z lokalnych dowódców w Delcie, był szanowanym taktykiem, ale swoich ludzi traktował niezwykle surowo; zginął od strzału w plecy, a zabił go jeden z podwładnych, któremu nie pozwolił poślubić jakiejś atrakcyjnej miejscowej wdowy[52]. Thanh Hai – „Niebieski Ocean" – syn właściciela ziemskiego mający około trzydziestki, był dowódcą znanym niemal w całym Wietkongu, zarówno ze względu na swoje umiejętności wojskowe, jak i za sprawą zwykłych ludzkich słabości. Haia wielokrotnie degradowano za picie i uganianie się za kobietami: raz zdarzyło mu się nawet wkraść pod siatkę chroniącą przed komarami pewną młodą żonę jednego z rekrutów.

Wielu partyzantów miało też dość niekończących się sesji indoktrynacyjnych. Jak wyjaśniał jeden z nich: „Gadanie do mnie o sprawach politycznych to jak granie na gitarze bawołowi"[53]. Zdarzali się jednak i tacy, którym podobały się propagandowe przypowiastki dla maluczkich. Pewną jednostką w prowincji Long An dowodziła kobieta nazwiskiem Kim Loan, której męża zabili wcześniej żołnierze rządowi. Szybko stała się ona bohaterką ludowych legend, w których obdarzano ją nadludzkimi wprost mocami. Raz podczas zakupów próbował ją aresztować policjant, więc go zabiła. Innym razem podczas obławy na nią uciekła tylnymi drzwiami z salonu piękności, a kiedy żołnierze przeszukiwali pobliską wioskę i już już mieli ją pochwycić, wspięła się na drzewo, zamieniła w ptaka i odleciała. Kiedy Frank Scotton usłyszał tę historię od jakiegoś staruszka, spytał go z niedowierzaniem: „Ale ty chyba w to wszystko nie wierzysz?", na co Wietnamczyk tylko się uśmiechnął i odparł, że nigdy nic nie wiadomo, a poza tym „ona jednak uciekła, prawda?"[54].

Podstawową bronią komunistów wciąż pozostawało ich okrucieństwo. Wietkong wkroczył raz do jakiejś wioski w Lai Cay, oskarżył dwudziestu jej mieszkańców obojga płci o szpiegowanie dla rządu, ściął wszystkim głowy, a ciała wyrzucił na ulicę, do każdego przyczepiając papierową zawieszkę opisującą ich rzekome winy[55]. W innym miejscu naczelnika wioski wywleczono z domu, przywiązano do słupa i wypatroszono na oczach zgromadzonych chłopów; jego

ciężarnej żonie rozcięto brzuch, a dzieciom ścięto głowy. Tego rodzaju pokazy barbarzyństwa były zwykle starannie planowane, by przekonać wieśniaków, że opór przeciwko rewolucji będzie miał konsekwencje o wiele gorsze od śmierci.

Brutalność nie stanowiła rzecz jasna domeny jednej tylko strony. Doug Ramsey przeprowadził kiedyś wśród uczniów w prowincji Long An ankietę, z której wynikało, że od jednej czwartej do połowy z nich straciło kogoś bliskiego w wyniku działań prowadzonych przez siły bezpieczeństwa Sajgonu[56]. W latach 1962–1963 tylko w jednej wiosce położonej w Delcie Mekongu z rąk rządowych żołnierzy zginęło aż 150 mieszkańców. Około 60 spośród nich było w jakiś sposób kojarzonych z NFW, ale cała reszta nie miała żadnych związków z partyzantką. Również wśród tysięcy więźniów politycznych przetrzymywanych w strasznych warunkach w południowowietnamskich więzieniach i obozach – a część nawet w jednym ze skrzydeł sajgońskiego zoo – wielu niczym nie zawiniło. Za to nie było wcale sądowych procesów.

Podczas gdy tereny zurbanizowane pozostawały w pełni pod panowaniem rządu, to już na prowincji toczyły się bezustanne walki o zdobycie albo odzyskanie kontroli nad poszczególnymi wioskami czy nawet całymi regionami, a niektóre z nich raz po raz przechodziły z rąk do rąk. Sajgon dysponował wciąż nową i lepszą bronią, a także nowocześniejszym sprzętem, co czasem przekładało się na pewne sukcesy w walce. Pod koniec sierpnia 1962 roku, mając za przewodnika dezertera z Wietkongu, oddziały Południa opanowały obóz szkoleniowy NFW w My Phuoc Tay, zabijając 150 działaczy i rekrutów; niedoszli partyzanci, którym udało się ujść z życiem, rozpierzchli się po okolicy i wrócili do swoich wiosek. Dzięki amerykańskim helikopterom radykalnie zwiększyła się też taktyczna mobilność ARVN: żołnierze mogli teraz zapuszczać się w odległe górskie rejony, w których komuniści już od lat dzierżyli niekwestionowaną władzę. Czym innym była jednak możliwość, a czym innym wola przeprowadzania takich operacji: wiele jednostek armii południowowietnamskiej wcale nie garnęło się do patrolowania regionów, w których mogłyby wpaść w zasadzkę, ani nie dążyło do bezpośredniego starcia z nieprzyjacielem z użyciem broni palnej. A począwszy od roku 1963, Wietkong zaczął

otrzymywać duże dostawy broni z Wietnamu Północnego, w tym bezodrzutowe działa i moździerze, nierzadko dostarczane drogą morską, zwłaszcza w Delcie Mekongu.

W miastach działacze skupiali się przede wszystkim na przygotowywaniu ludności do wybuchu ludowego powstania. Dzieci wykorzystywano często do wrzucania granatów do kawiarni czy sklepów. Wywiad rządowy spisywał się słabo, a komunistyczni działacze byli dobrze przeszkoleni i potrafili ukrywać swoją tożsamość. Jednym z kurierów Wietkongu był dziesięcioletni Truong Mealy, którego czasem wysyłano do miasta, by spotkał się tam w restauracji z jakąś anonimową osobą, rozpoznawaną tylko dzięki dopasowaniu do siebie dwóch połówek banknotu, z których jedną trzymał on sam, a drugą jego kontakt. Nawet gdyby on albo jemu podobni zostali schwytani, wiedzieli jedynie, jakie jest imię ich partyjnego nauczyciela. Nazwiska ludzi kierujących strukturami na poziomie prowincji znane były tylko wysokim rangą działaczom NFW.

Wojna wyraźnie nabierała tempa: po dwóch latach, w których niemal cały impet walki zbrojnej z reżimem Diema pochodził od samych ludzi Południa, niezadowolonych z rządów Sajgonu, coraz większą wagę zaczynały mieć wpływy i zasoby Hanoi. Przywódcy Północy najwyraźniej wyczuli psującą się tkankę na południe od swojej granicy, odór trupiego rozkładu wydobywający się z pałacu prezydenckiego w Sajgonie. I coraz bardziej chcieli przyspieszyć uroczystości pogrzebowe reżimu Diema. Do tego samego dążyli również pewni ważni ludzie w Waszyngtonie.

7
1963: Trumny dla dwóch prezydentów

1. MAŁA BITWA, WIELKA SPRAWA: AP BAC

Oprócz całej masy amerykańskich doradców, dyplomatów, lotników, agentów sił specjalnych, operatorów podsłuchów elektronicznych i szpiegów do Wietnamu zjeżdżało się też coraz więcej dziennikarzy – mężczyzn, ale i kilka kobiet, których wpływ na późniejszy bieg wydarzeń miał niemal dorównywać decyzjom wojskowych i polityków. Ten rosnący w siłę korpus prasowy odzwierciedlał narastającą świadomość ich pracodawców, że zwiększające się zaangażowanie Stanów Zjednoczonych po drugiej stronie globu zasługiwało na poświęcenie mu bliższej uwagi niż dotychczas. Do Sajgonu przybyli może nie najlepsi z najlepszych, bo tych wysyłano raczej do Waszyngtonu, Paryża, Moskwy czy Londynu, ale z pewnością młodzi i ambitni, a przy tym aspirujący do bycia wśród najlepszych. Większość z nich nie miała ani dużego doświadczenia życiowego, ani zawodowego, ale byli to ludzie bystrzy, marzący o sukcesie i nieobojętni na romantyczną otoczkę Sajgonu, w którym zresztą szybko się zakochiwali. Warto spośród nich wymienić ludzi takich jak David Halberstam z „New York Timesa", Malcolm Browne i Peter Arnett z Associated Press (AP), François Sully z „Newsweeka" czy Neil Sheehan z UPI, który pracował przy jednym biurku z Halberstamem i został jego bliskim przyjacielem.

Sheehan był wcześniej w Japonii, gdzie odsłużył już swoje w amerykańskiej armii i rozglądał się za nowym zajęciem. Najpierw udało mu się wyprosić pracę na nocne zmiany po 10 dolarów za noc w biurze UPI w Tokio, a kiedy zwolniło się stanowisko korespondenta

tej agencji prasowej w Sajgonie, załatwił sobie przeniesienie. Sheehan był prostym wiejskim chłopakiem z Massachusetts, urodzonym w 1936 roku, nadzwyczaj przystojnym i wystarczająco bystrym, by zdobyć stypendium na Harvardzie, ale też z wcześnie zaznaczającymi się skłonnościami do alkoholizmu. Po roku 1961 nigdy już nie dotknął niczego mocniejszego, a kiedy przybył do Wietnamu rok później, wciąż miał w sobie, jak to absolwent uniwersytetu z Ivy League, wiele wiary w Stany Zjednoczone, która to wiara w kolejnych latach miała zostać poddana naprawdę ciężkim próbom. „Sajgon był bardzo miłym miejscem, które wtedy nie zostało jeszcze ześwinione przez Amerykanów – wspominał. – Przez pierwszych sześć miesięcy w ogóle się nie bałem. Loty helikopterem nad rozległymi polami ryżowymi uznawałem za podniecające. Byłem dzieckiem zimnej wojny. Wszyscy czuliśmy to samo. Amerykanie nie mogli się mylić. Pojechaliśmy tam, żeby powstrzymać tych złych komunistów przed próbą przejęcia całego świata. Naprawdę niewiele wiedzieliśmy o rzeczywistości. Czuliśmy tylko, że ten kraj zasługiwał na nasze wsparcie”[1].

Garstka tych młodych korespondentów, którzy szybko przygruchali sobie śliczne wietnamskie dziewczęta, żyła ze sobą w dużej zażyłości, jadając razem obiady w L’Amiral, Souri-Blanche czy Bistro Brodard, gdzie mieli oni nawet specjalny stolik oznakowany *Réservé pour la presse* i jeżdżąc wspólnie *cyclo* albo małymi błękitno-kremowymi taksówkami marki Renault na briefingi prasowe, a helikopterami na miejsce akcji. Wiele zbieranych informacji czerpali anonimowo od doradców, dyplomatów i wszędobylskiego Lou Coneina: jak lakonicznie mawiał Sheehan, „Lou zawsze lubił pogadać”. Innym dobrym źródłem był Ivan Slavitch, żołnierz dowodzący pierwszą jednostką helikopterów Huey, który czasem dzwonił, mówiąc: „Wpadnijcie na śniadanie” – był to ustalony sygnał, że szykuje się jakaś operacja. Za to „większość Wietnamczyków nie chciała z nami rozmawiać – bali się kłopotów”.

Przeważająca część i tak trudno dostępnej energii elektrycznej szła na potrzeby amerykańskiej armii, więc wyłączenia prądu, a wraz z nimi brak klimatyzacji, były na porządku dziennym. Niejednokrotnie reporterzy pisali więc swoje teksty dosłownie w pocie czoła – a także w przepoconych koszulach i przy zawilgoconych od potu maszynach do

pisania. Udawało im się dorabiać na boku całkiem sporo pieniędzy dzięki przeliczaniu swoich wydatków według oficjalnego kursu wymiany walut, mimo że w rzeczywistości wymieniali swoje dolary na czarnym rynku – wyjątkiem był Sheehan, który bał się wydalenia z tak błahego powodu. Halberstam namawiał go później, by swoją książkę o Wietnamie zatytułował *The Last Frontier* (*Ostatnia granica*), „bo było to ostatnie miejsce, w którym można było się zabawić, poigrać sobie z czyimś krajem". Choć korespondenci pokochali owo miejsce, w którym przyszło im pracować, większość z nich z czasem coraz trzeźwiej patrzyła na swoją misję w Wietnamie, dostrzegając ogromną przepaść między bezustannym optymizmem amerykańskich wojskowych, zwłaszcza generała Paula Harkinsa, dowódcy w latach 1962–1964, a obserwowaną przez nich rzeczywistością.

Już od wczesnego stadium konfliktu MACV celowo rozgłaszała nieprawdziwe informacje, za to tłumiła niewygodne prawdy, takie na przykład jak fakt wysyłania amerykańskich pilotów w misje bojowe jako załóg samolotów VNAF (Wietnamskich Sił Powietrznych), co dopiero po pewnym czasie ujawniła gazeta „Indianapolis News", publikując listy wysyłane do domu przez kapitana lotnictwa „Jerry'ego" Shanka, które pozostawały w oczywistej sprzeczności z oficjalnymi zaprzeczeniami[2]. Shank pisał: „Najbardziej wkurza mnie to, że oni nic wam nie mówią o tym, co my tu właściwie robimy (...). A my – ja i moi kumple – robimy tu wszystko. Wietnamscy «uczniowie», których zabieramy na pokład, o lataniu wiedzą tylko podstawowe rzeczy (...). Są głupimi ignorantami, kozłami ofiarnymi i naprawdę nic mi po nich. Czasem aż kusi mnie, żeby sprać ich na kwaśne jabłko". Armia długo nie przyznawała się też do stosowania napalmu, dopóki w prasie nie pojawiły się zdjęcia charakterystycznych słupów ognia wykwitających po jego użyciu[3]. Peter Arnett w późniejszym czasie ujawnił też fakt stosowania gazu łzawiącego CS, co z miejsca podchwyciła wroga propaganda, robiąc z niego rzekomy gaz trujący – tym łatwiej, że ani MACV, ani Pentagon nie uznały za stosowne zabrać w tej sprawie głosu.

Halberstam, wówczas dwudziestoośmiolatek, po przyjeździe do Wietnamu najpierw mocno wierzył w sens amerykańskiego zaangażowania wojskowego, ale już jesienią 1962 dawał wyraz swojemu

sceptycyzmowi, pisząc w dzienniku „New York Times": „Ta wojna toczona jest w obecności w dużej mierze niezdeklarowanego albo wprost nieprzyjaznego chłopstwa, przez rząd, który wciąż nie zdołał pozyskać sympatii znacznych części własnego społeczeństwa. Wróg jest chudy i głodny, doświadczony w tego rodzaju walkach, cierpliwy w planowaniu swoich ruchów, skłonny do bezustannej samokrytyki, a przede wszystkim jest to wróg, który nie raz już udowodnił, że jest gotów na wielkie poświęcenia"[4]. Kiedy w grudniu Halberstam poinformował swoje biuro o ograniczeniach dla reporterów wprowadzonych właśnie przez Nhu i jego totumfackich, szefostwo jego gazety wystosowało protest do Departamentu Stanu, który jednak zbyto tam stwierdzeniem, że przecież Amerykanie są w Wietnamie gośćmi suwerennego państwa. Niewątpliwie było tu coś na rzeczy: skoro bowiem południowowietnamski reżim uparcie odrzucał rady i zalecenia płynące z amerykańskiej ambasady, MACV czy CIA, trudno się było spodziewać, że będzie dobrze znosił coraz bardziej wrogich wobec swojej polityki – a w oczach samego Diema zapewne również zdeprawowanych – liberalnych dziennikarzy. Zresztą, przecież nawet Jackowi Kennedy'emu zdarzyło się kiedyś zatelefonować do wydawcy „Timesa" i naciskać go, by wymienił swojego korespondenta.

Wracając zaś do oficjalnych komunikatów wojskowych, to w magazynie „Time" ukazał się raz tekst piosenki ułożony przez Lee Griggsa do melodii kościelnej pieśni *Jesus Loves Me*:

We are winning, this I know,
General Harkins tells me so.
In the mountains, things are rough,
In the Delta, mighty tough,
But the V.C. will soon go,
General Harkins tells me so.
(Wygrywamy, wygrywamy teraz,
Bo tak mówi Harkins, nasz generał.
W górach strasznie, strasznie naszych leją,
No i w Delcie jest słaba nadzieja,

Ale Wietkong już się nie pozbiera,

Bo tak mówi Harkins, nasz generał).

W czerwcu 1962 roku Homer Bigart nadał do „New York Timesa" oskarżycielską depeszę, w której pisał, że jeśli Diem się nie ogarnie, wówczas możliwe będą dwa wyjścia: albo trzeba będzie wprowadzić amerykańskich żołnierzy, albo zastąpić rząd w Sajgonie wojskową juntą[5]. Nieoficjalnym ojcem tej młodej gromadki był François Sully z „Newsweeka", Francuz urodzony w roku 1927, który w Sajgonie i okolicach pracował już od roku 1945. Nie oznacza to, że był powszechnie kochany przez swoich kolegów – niektórzy podejrzewali go nawet o skryte popieranie komunizmu – ale jego kontakty po obu stronach musiały robić wrażenie na każdym z nich. W jednej ze swoich ostatnich depesz, zanim został w końcu wydalony przez reżim Diema, Sully cytował pogląd Bernarda Falla, że polityka jest znacznie ważniejsza od taktyki, a następnie dodawał, że mimo to armia amerykańska szkoli południowców do odparcia czysto wojskowej inwazji w stylu koreańskim. A przecież, argumentował, żołnierze czy helikoptery nie przyniosą Wietnamczykom żadnej ideologii, za którą będą oni chcieli umierać. Artykuł ten opatrzono zdjęciem żeńskiego oddziału milicji Diema z podpisem: „Wróg wykazuje większy zapał i entuzjazm"[6].

Neil Sheehan tak wyrażał się o sajgońskim korpusie prasowym w latach 1962–1963: „Byliśmy grupą gości, którzy brali wszystko na serio. Sami zresztą byliśmy bardzo poważnie skonfliktowani – z [amerykańskim] dowództwem. Po jakimś czasie kłamstwa generałów zaczynały cię naprawdę mocno wkurzać". Sheehan z podziwem patrzył na odwagę niektórych reporterów, ale opisywał też tchórzostwo innych: wspominał później, jak pewien reporter gazety z Nowego Jorku „za nic nie chciał wyjeżdżać z Sajgonu – wolał przekupywać telegrafistów, od których otrzymywał kopie depesz wysyłanych przez innych korespondentów". Ale byli wśród nich także prawdziwi poszukiwacze przygód, choć większość takich typów przybyła jednak nieco później: pewien brytyjski freelancer „nosił ze sobą karabin M-16 i zabijał z niego ludzi. Sean Flynn emocjonował się niesamowitą atmosferą walk ulicznych". Podczas swoich pierwszych tygodni pobytu w Wietnamie

sam Sheehan też wszędzie zabierał ze sobą pistolet, aż wreszcie, jak wyjaśnił, „zorientowałem się, że to szaleństwo". W którymś momencie zrezygnował też z noszenia aparatu fotograficznego, bo uznał, że patrząc przez jego wąski wizjer, nie dostrzega się mnóstwa rzeczy dziejących się wokół – a to może grozić nawet utratą życia.

Pokolenie reporterów pokroju Sheehana miało wyraźną przewagę nad większością swoich następców relacjonujących wojny toczone już w XXI wieku: ponieważ sami wcześniej służyli jako żołnierze, byli świetnie obeznani zarówno z bronią, jak i z wojskiem oraz jego sposobami działania. Okazywali się też wyczuleni na wszelkie przejawy rasizmu obserwowane u wielu amerykańskich żołnierzy; na przykład pewien pułkownik sił specjalnych lubił mawiać: „Nie musicie mówić językiem żółtków, bo i tak zaraz będą martwi. Pozabijamy tych wszystkich drani". Kilku korespondentów należących do opisywanej grupy, w tym zwłaszcza Halberstam i Sheehan, zdobyło w swoich krajach sławę za dokonania w Wietnamie, choć z drugiej strony nie brakowało też Amerykanów – i nie wszyscy z nich nosili mundury – którzy do końca życia pielęgnowali w sobie przekonanie, że reporterzy ci zdradzili swój kraj, goniąc za uznaniem ze strony ogólnoświatowych mediów.

Doniesienia o wypadkach rozgrywających się 2 stycznia 1963 roku początkowo wyglądały jak standardowe relacje o kolejnej wymianie ognia między siłami Diema a Wietkongiem, ale z czasem przekształciły się w zapis o wiele bardziej istotnego konfliktu między amerykańskim dowództwem a sajgońskim korpusem prasowym, albo może między wierzącymi a sceptykami. Kluczową rolę w uwypukleniu tego sporu odegrał podpułkownik John Paul Vann, od połowy 1962 roku pełniący funkcję starszego doradcy przy 7. Dywizji ARVN. Vann, chudy jak szczapa, ale pełen dzikiej energii i agresji, wprost nie cierpiał nierozstrzygniętych starć z nieprzyjacielem. Pułkownik był zatem zachwycony, kiedy amerykańskie napowietrzne urządzenia podsłuchowe wychwyciły transmisje rozmów prowadzonych przez operujący w regionie Ap Bac – w tak zwanej północnej osadzie, około 20 kilometrów na północny zachód od My Tho – 514. Batalion Wietkongu, a kwatera Harkinsa nakazała mu przeprowadzenie szeroko zakrojonej

operacji okrążenia i zniszczenia tej formacji nieprzyjaciela. W operacji miały wziąć udział dwa lokalne bataliony gwardii cywilnej, jednostka piechoty przetransportowana na miejsce dziesięcioma amerykańskimi helikopterami H-21 – „latającymi bananami" albo „kątowymi robalami" (*angle-worms*), jak nazywali je ludzie Wietkongu – batalion skoczków spadochronowych, przy wsparciu z powietrza zapewnianym przez samolot szturmowy VNAF Skyraider, i pięć helikopterów bojowych Bell Iroquois Huey UH-1, na lądzie zaś – przez kompanię opancerzonych transporterów gąsienicowych.

Amerykański wywiad stanowczo nie doszacował liczebności sił nieprzyjaciela w Ap Bac, zakładając, że będzie tam około 120 partyzantów. Tymczasem oprócz wzmocnionej kompanii 514. Batalionu WK w bazie obecna też była inna silnie obsadzona kompania należąca do głównych sił 261. Batalionu, w drodze na jakąś operację w innym miejscu. Warto dodać, że jednostka ta uchodziła za absolutnie elitarną: wietnamskie kobiety mawiały, że jeśli już wychodzić za żołnierza, to najlepiej za takiego z 261. Batalionu[7]. Jego ludzie mieli ogromne doświadczenie, przesłużywszy średnio już ponad dwa lata, przy czym ci wyżsi rangą mieli za sobą niejednokrotnie nawet pięć lat służby. Generalnie rzecz biorąc, liczba bojowników Wietkongu na Południu wzrosła od poprzedniego roku już ponad dwukrotnie i wynosiła teraz około 50 tysięcy, z czego większość walczyła w Delcie Mekongu. Choć partyzanci wciąż polegali głównie na uzbrojeniu przechwyconym od nieprzyjaciela, to drogą morską zaczynały już do nich docierać coraz większe transporty broni z Hanoi. Zamaskowane kutry rybackie płynące z Północy dostarczyły im w 1962 roku 112 ton uzbrojenia i amunicji, a ilości te miały znacząco rosnąć w kolejnych latach, wynosząc aż 4289 ton w okresie 1963–1964 – znacznie więcej, niż transportowano wówczas Szlakiem Ho Chi Minha.

261. Batalion składał się w dużej mierze z „repatriantów", którzy powrócili z wygnania na Północ. Dowodził nim Hai Hoang, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Nguyen Van Dieu, człowiek bardzo lubiany przez swoich ludzi i traktujący ich z dużą wyrozumiałością. Zastępcą dowódcy był Tu Khue – wysoki, chudy, łysy i surowy. Z kolei dowódca kompanii, Bay Den, miał niezwykłe jak na partyzanta

pochodzenie społeczne: kiedyś z Sajgonu przybyła go odwiedzić jego siostra, wpływając do obozu 261. Batalionu wynajętym sampanem. A gdy zobaczyła, jak jej brat osobiście kopie rowy, tak mocno wyprowadziło to ją z równowagi, że zaczęła go błagać, by natychmiast rzucił wszystko i wracał z nią do domu. Ale Den tylko pokręcił przecząco głową i powiedział, że to jest jego cel w życiu, że zamierza zostać, by bronić go aż do końca[8]. Tak też się stało: zginął w późniejszych walkach.

Tamtego dnia, 2 stycznia, Wietkong miał w okolicach Ap Bac aż 320 bojowników, którzy w dodatku zostali wcześniej ostrzeżeni o zbliżającym się ataku sił Sajgonu. Ponadto, o czym John Paul Vann rzecz jasna nie wiedział – choć wiedza taka z pewnością by mu się przydała – komunistyczni naczelnicy prowincji rozkazali, by Dieu i jego towarzysze nie wycofywali się jak zwykle zaraz po ataku sił ARVN, ale zamiast tego stawili im silny opór. Zgodnie z tym rozkazem wzdłuż linii drzew otaczających osadę wykopano rowy i zbudowano umocnienia ziemne. Obrońcy mieli też dużo broni i dość amunicji, w większości pochodzenia amerykańskiego: karabiny maszynowe kaliber 30, automaty Browning, karabinki M-1 i pistolety maszynowe Thompson kaliber 45. Większość spośród 1200 chłopów z okolicznych wiosek Ap Bac i Tan Thoi uciekła na pobliskie mokradła, kiedy tylko usłyszeli oni, że wkrótce ma dojść do wielkiej bitwy, ale jakichś 30 zostało na miejscu, by pomagać nosić amunicję i rannych. Wszystko było zatem gotowe, by rozpocząć partię, którą zamierzał rozegrać Vann.

Kim byli ludzie, którymi zamierzał się on tego ranka posłużyć jako pionkami? Od samego początku aż do końca tej wojny największe jej ciężary, ale też największe straty, ponosili żołnierze Wietnamu Południowego. A nic nie zniechęcało ich do rządu w Sajgonie bardziej od obowiązkowego poboru, który odrywał tych w przeważającej większości chłopów od pracy w polu i zmuszał ich do występowania w charakterze ciemiężycieli innych wieśniaków, tyle że w jakimś odległym regionie kraju, z którym nie czuli żadnego emocjonalnego związku. Krążyło wiele strasznych historii o bezwzględności ARVN, z których część mogła być nawet prawdziwa: dwóch strzelców wyborowych miało na przykład założyć się o paczkę papierosów, który

z nich ustrzeli dziecko siedzące na grzbiecie bawołu. W pierwszych latach wojny, to jest w okresie 1955–1959, do wojska brano jedynie młodych ludzi w wieku od dwudziestu do dwudziestu dwóch lat na okres dwunastu miesięcy. Później wydłużono go do dwóch lat, a w roku 1964 do trzech. Tyle że wielu Wietnamczyków z Południa nigdy już nie wracało do swoich rodzinnych stron, bo opuszczało armię na wózku inwalidzkim bądź w czarnym worku na zwłoki. Warto tu zauważyć pewien wspólny mianownik łączący Stany Zjednoczone i oba państwa wietnamskie: we wszystkich trzech społeczeństwach dzieci dobrze sytuowanych rodziców nie musiały się martwić obowiązkową służbą wojskową. Na Południu sprawę załatwiały łapówki płacone przez rodziny, na Północy zaś potomstwo wyższych rangą działaczy partyjnych po prostu wysyłano na studia za granicę. Choć armia Południa pochłaniała aż 15 procent PKB, jej żołnierzom płacono dosłownie grosze. Większość z nich kierowano do jednostek bojowych już po pięcio- albo sześciotygodniowym szkoleniu, obejmującym jedynie bardzo podstawowe umiejętności, zapewniając ich, że reszty nauczą się na miejscu. Nic dziwnego, że pewien południowowietnamski oficer – a zgodziłoby się z nim zapewne także wielu innych – szczerze przyznawał: „Komuniści zdawali się wiedzieć, o co walczą, a my niespecjalnie. Nasze szkolenie polityczne skupiało się w zasadzie na osobowości Diema i na niczym innym”[9].

Plan Johna Paula Vanna na poranek 2 stycznia 1963 roku mógłby nawet zapewnić mu pochwałę ze strony sztabu, gdyby tylko wszystkie czynniki ludzkie zadziałały tak, jak to przewidywał. Tymczasem, zamiast wykonać starannie rozrysowany manewr okrążenia, poszczególne formacje wkroczyły na pole bitwy w zupełnym bezładzie, niczym zabawki wysypane z wielkiego pudła. Gęsta mgła, która zeszła wcześniej tego ranka, opóźniła przybycie helikopterów z piechotą, więc pierwszymi, którzy weszli do akcji wkrótce po godzinie 7.00 – i napotkali silny opór Wietkongu – byli żołnierze gwardii cywilnej. A kiedy z miejsca wystrzelano ich dowódców, reszta przywarła do ziemi i wdała się w chaotyczną wymianę ognia. Osobiście dowodzący tą jednostką rządowy naczelnik prowincji odmówił wysłania w bój drugiego batalionu, który miał do dyspozycji. Wkrótce po godzinie

10.00, wbrew rozkazom Vanna, na okolicznych polach, a więc na pełnym widoku i w zasięgu ognia nieprzyjaciela, zaczęły lądować z hukiem helikoptery H-21 wiozące kompanię piechoty. Rekrutom Wietkongu już wcześniej powtarzano, że nie powinni się obawiać helikopterów, które są tak naprawdę zrobione z miękkiej tektury naklejonej na metalowy szkielet[10]. Tamtego ranka pod Ap Bac partyzantom chyba rzeczywiście musiało się tak wydawać: komunistyczny ostrzał szybko uziemił dwa z nich, a trzeci H-21, choć zdołał jeszcze odlecieć, spadł niedługo później. Jeden ze śmigłowców bojowych Huey, który przyleciał po załogi zestrzelonych maszyn, sam został podziurawiony jak sito i wkrótce również spadł obok wcześniej zestrzelonych wraków.

Nieszczęsna piechota wysadzona pośrodku odkrytego terenu nie mogła w zasadzie nic zrobić pod zmasowanym ogniem nieprzyjaciela. Z kolei w powietrzu niemal każdy helikopter prędzej czy później zaliczał trafienie, więc ostrzał z góry nie robił na obrońcach Ap Bac większego wrażenia, podobnie zresztą jak słabo celowany ogień artyleryjski. Z pokładu krążącego wysoko samolotu Cessna L-19 Vann obserwował z narastającą frustracją, jak jego operacja grzęźnie w błocie, krwi i chaosie. Ly Tong Ba, kapitan dowodzący kompanią opancerzonych pojazdów gąsienicowych, odmówił wyruszenia ze swoja jednostką na ratunek niedobitkom piechoty i załóg helikopterów rozrzuconym na polu bitwy, a im bardziej wydzierał się nań przez radio Vann, tym mocniej narastała w nim duma i chęć przeciwstawienia się napastliwości Amerykanina. Oto rekonstrukcja toczącej się wtedy rozmowy:

„– Mam tu pewien problem, Topper Six[11] – uskarżał się przez radio Vannowi kapitan Jim Scanlon, doradca przy kompanii Ba. – Mój odpowiednik nie chce się ruszyć.

– Do jasnej cholery, czy on nie rozumie, że to stan najwyższej konieczności?!

– On tylko mówi: „Nie przyjmuję rozkazów od Amerykanów”.

– Co takiego?! – wydarł się Vann do mikrofonu. – Jeśli nie ruszysz swoich pojazdów na drugą stronę kanału, powiem generałowi Le Van

Ty, żeby kazał cię wtrącić do więzienia!”[12]

Wietnamczyk w końcu rozkazał swojej kompanii ruszyć naprzód, ale kolejne dwie godziny przedzierała się ona przez liczne rowy i kanały: filigranowy kapitan uskarżał się później bez końca, że ani Vann, ani Scanlon nie rozumieli, jakie trudności wiązały się z pokonywaniem takich wodnych przeszkód. A kiedy do akcji włączyli się strzelcy obsługujący karabiny maszynowe kaliber 50 na pokładach tychże transporterów opancerzonych M-113, kilku z nich zostało szybko trafionych w swoich odkrytych stanowiskach przez snajperów Wietkongu, którzy dla odmiany tak doskonale potrafili zamaskować swoje pozycje, umiejscowione z reguły w zagajnikach bananowców albo drzew kokosowych, że niewielu atakujących w ogóle widziało, z kim walczą, i to aż do zapadnięcia zmroku. Załoga jednego z transporterów próbowała użyć swojego miotacza płomieni, ale wcześniej najwyraźniej niewłaściwie skomponowała mieszankę paliwa, bo zamiast słupa ognia z dyszy wydobywał się jedynie malutki płomień. Około godziny 14.30 pojazdy opancerzone zaczęły się wycofywać; ponadto do lądowania zostały zmuszone kolejne dwa helikoptery uszkodzone silnym ostrzałem nieprzyjaciela.

Vann wielokrotnie nawracał swoją cessną L-19, bezskutecznie usiłując zidentyfikować pozycje Wietkongu, a przy okazji tchnąć nowe życie w ofensywę lądową, która na dobre utknęła w miejscu. O godzinie 18.05 nastąpił masowy zrzut spadochroniarzy z siedmiu maszyn USAF C-123, który tylko dopełnił obrazu ogólnej katastrofy: żołnierze wylądowali blisko kilometr od przewidzianej strefy, za to w bezpośrednim zasięgu zgrupowania Wietkongu w Tan Thoi, którego ludzie z miejsca otworzyli do nich zmasowany ogień, zabijając 19 skoczków, a raniąc kolejnych 33, w tym 2 Amerykanów. Kiedy wreszcie zapadła ciemność, okazało się, że komuniści obronili większość pozycji, które zajmowali o świcie, a w dodatku bez większych trudności mogli się wycofać na bezpieczny teren pobliskich mokradeł Dong Thap Muoi.

W trakcie tego długiego dnia walk nie wszystko ułożyło się jednak po myśli partyzantów: stracili oni 18 ludzi, a kolejnych 35 zostało rannych, głównie w wyniku ognia artylerii i lotnictwa. Tyle że po stronie sił Sajgonu straty były znacznie większe: zginęło 3 Amerykanów, a 5

kolejnych odniosło rany, zaś wśród żołnierzy wietnamskich odnotowano 63 zabitych i 109 rannych. Kiedy krótkie migawki z tego starcia pokazywano w telewizji, obejrzał je między innymi pewien siedmioletni chłopczyk w May's Landing w stanie New Jersey, który w otwartych drzwiach jednego z helikopterów dostrzegł znajomą postać: „Patrzcie, to mój tatuś!" – zakrzyknął z podnieceniem[13]. Zaledwie sześć godzin później do jego mamy przyszedł telegram informujący o śmierci jej męża i ojca chłopaka, dowódcy załogi Williama Deala, który zginął na pokładzie helikoptera Huey w okolicach Bac.

Amerykański huey (UH-1B) zestrzelony przez Wietkong podczas starcia pod Ap Bac, 2 stycznia 1963 roku

Znacznie większy wpływ na historię tej wojny niż sama bitw i jej przebieg miało jednak wywrzeć to, co wydarzyło się następnego dnia, 3 stycznia, w obecności przedstawicieli mediów. Oto do kwatery głównej IV Korpusu przybył sam Paul Harkins, gwiazda MACV, by zachęcić atakujących do przypuszczenia kolejnego, tym razem decydującego natarcia na Ap Bac. Przy okazji nie omieszkał on pochwalić się Davidowi Halberstamowi i Peterowi Arnettowi: „Trzymamy [Wietkong]

w pułapce i za pół godziny zamierzamy ich zgnieść". Obaj dziennikarze dobrze jednak wiedzieli, że nieprzyjaciel dawno już opuścił wcześniejsze pozycje, wobec czego całe to „natarcie" sił Wietnamu Południowego było jedną wielką szopką zainscenizowaną dla celów propagandowych. Przechwałka Harkinsa mogła oznaczać tylko dwie rzeczy: albo był on głupcem, albo celowo wprowadzał dziennikarzy w błąd – bardziej prawdopodobna wydała im się ta pierwsza wersja, bo generał nigdy nie wgłębiał się zanadto w żadną kwestię poza to, co sam chciał zobaczyć.

Kilka kilometrów dalej sprawy miały się jednak jeszcze gorzej. Neil Sheehan i Nick Turner z Reutersa dotarli na pole bitwy rozgrywającej się poprzedniego dnia i ze zdumieniem ujrzeli, że żołnierze Południa nie chcą nawet zająć się zabitymi po własnej – i amerykańskiej – stronie: zniesmaczeni dziennikarze musieli sami ładować trupy na pokład helikopterów. A zaraz potem, podczas rozmowy z amerykańskim generałem brygady Robertem Yorkiem, weteranem II wojny światowej z Alabamy, wokół nich zaczęły wybuchać pociski artyleryjskie, podnosząc wszędzie tumany kurzu i błota: było to wsparcie przewidziane dla nowego „natarcia". York zdążył tylko krzyknąć do Sheehana: „Jezu Chryste, chłopcze, uciekaj stąd czym prędzej!", i wszyscy trzej rzucili się do ucieczki przez pola ryżowe, a w końcu przywarli płasko do ziemi. Sam Sheehan był przekonany, że nie wyjdzie z tego żywy. Kiedy ostrzał wreszcie ustał, cała trójka podniosła się z pozycji leżącej ubabrana błotem i ziemią. Jak przystało na doświadczonego wojskowego, York wyglądał jednak najlepiej z nich, bo podczas ostrzału, zamiast leżeć w błocie, wspierał się na dłoniach, jakby robił pompki. Na uwagę, że nawet niezbyt się pobrudził, wzruszył tylko ramionami i odparł: „Nie chciałem zamoczyć papierosów". Sheehan skomentował to kwaśno: „Nigdy nie zadzieraj z człowiekiem, który potrafi zachować taki spokój w ogniu walki". Łącznie w okolicy wylądowało 50 pocisków artyleryjskich, zabijając czterech żołnierzy ARVN i raniąc kolejnych dwunastu. A rozwścieczony dowódca batalionu piechoty wyciągnął pistolet i strzelił w głowę młodemu porucznikowi pełniącemu funkcję wysuniętego obserwatora artylerii.

Porażka pod Bac nie była jakoś specjalnie ważna z militarnego punktu widzenia – a już z pewnością mniej istotna od analogicznej klęski pod Tua Hai w prowincji Tay Ninh w roku 1960, kiedy to komuniści również pokonali znacznie większe siły rządowe. Różnica polegała jednak na tym, że pod Tua Hai nie było żadnych zagranicznych obserwatorów, teraz zaś najlepsi korespondenci w Wietnamie mieli okazję oglądać cały przebieg wydarzeń na własne oczy. Sheehan napisał później: „Od razu wiedzieliśmy, że to największy temat, z jakim mieliśmy dotąd do czynienia”[14]. Depesze wysłane przez niego samego i przez Halberstama cytowały anonimowego amerykańskiego doradcę, który nie zostawiał suchej nitki na żołnierzach Południa za ich nieudolność 2 stycznia i narzekał, że byli oni „cholernie i żałośnie słabi”, a wszystko to w czasie, w którym Harkins wciąż utrzymywał, że pod Bac siły rządowe odniosły zwycięstwo. Mało kto miał wątpliwości, że te ostre słowa padły z ust Johna Paula Vanna; nie miał ich również sam generał, który zażądał głowy pułkownika.

MACV ostatecznie postanowiła, że rozważniej będzie pozwolić owemu energicznemu, ale też nader często niedyskretnemu oficerowi dokończyć swój okres służby w Wietnamie, upływający szczęśliwie już w marcu. Wpływ Vanna na przebieg tej wojny był odtąd raz większy, raz mniejszy, aż do jego dramatycznego końca niemal dekadę później – ale w tymże roku 1963 odegrał on absolutnie kluczową rolę, dostarczając Sheehanowi, Halberstamowi i innym dziennikarzom ważnych i wiarygodnych informacji świadczących o nieudolności i bojaźliwości niezmiennie prezentowanych przez wojska Wietnamu Południowego, a także o nagminnych praktykach ukrywania tych faktów. Pułkownik ostrzegał też generała dywizji Bruce’a Palmera, że Harkins pozwala się wodzić za nos sajgońskim oficerom, którzy rutynowo przeprowadzają natarcia na cele w ogóle niebronione przez nieprzyjaciela, o czym oni sami doskonale wiedzą. Cóż kiedy Maxwell Taylor i Robert McNamara postanowili ostatecznie uwierzyć w oficjalną wersję przedstawianą przez Harkinsa. Frances FitzGerald napisała później w swojej szeroko omawianej historii wojny wietnamskiej *Fire in the Lake*: „Stany Zjednoczone (...) przerobiły rząd w Sajgonie na wojskową machinę, której jedyną *raison d’être* stanowiła walka z komunistami. Był tylko

jeden szkopuł: ta machina nie działała”[15]. W dużej mierze dlatego, że ARVN nie była armią, „ale zbieraniną indywidualistów, którzy akurat nosili przy sobie broń”[16]. Stanowiło to stwierdzenie nazbyt upraszczające stan rzeczy, ale niewątpliwie zawierało w sobie ziarno prawdy.

Cała ta awantura wokół Ap Bac doczekała się licznych komentarzy w mediach. Arthur Krock napisał w swoim artykule agencyjnym z 9 stycznia: „Nieważne, ile wojskowej pomocy wyślą jeszcze Stany Zjednoczone, bo i tak nie ocali ona niepodległości narodu, który sam nie jest skłonny za nią umierać”. Z kolei Richard Hughes, mieszkający w Hongkongu australijski weteran wojenny, który pisał dla londyńskiej gazety „Sunday Times”, podkreślał, że dostrzega wyraźne podobieństwa z szaleństwami, jakich Amerykanie dopuszczali się w Chinach po II wojnie światowej. Dodawał, że wobec tego najlepszym, co mogłyby zaoferować Stany Zjednoczone, było dziesięć lat wojny w celu utrzymania „reakcyjnego, izolowanego i niepopularnego” reżimu. A jedynym wyjściem z tego pata, sugerował, wydawała się zgoda rządu w Sajgonie na stworzenie koalicji z komunistami.

W samym Wietnamie wieść o klęsce sił Południa rozeszła się lotem błyskawicy. Pewien wietnamski oficer napisał, że Ap Bac „bardzo zaszkodziło morale ARVN”[17]. Ly Tong Ba, który później awansował do rangi generała, miał dużo pretensji do Neila Sheehana za to, że „pisał wyłącznie artykuły przepełnione nikczemnymi manipulacjami i nieścisłościami”. Argumentował też, że jego własny doradca pod Bac, Jim Scanlon, był „przerażony” Vannem w równym stopniu, jak Wietkongiem, co skłaniało go do odmalowywania fałszywego obrazu wydarzeń[18]. Relacje z prasą przejęli odtąd oficerowie MACV i inni ludzie ich pokroju, którzy z podejrzliwością patrzyli na „negatywne” reportaże wojenne, zarzucając im niepotrzebne uwypuklanie trudności związanych z prowadzeniem wojny bez uwzględniania przez reporterów potrzeby faworyzowania „naszej strony” – to jest Stanów Zjednoczonych i ich południowowietnamskiego klienta – analogicznie do patriotycznego obowiązku każdego korespondenta z czasów II wojny światowej, kiedy w dodatku prasę poddawano ścisłej cenzurze.

Podobnie jak wówczas, także i dziś trudno jest dostrzec jakikolwiek sens w bezustannie podejmowanych przez generała Harkinsa próbach zakłamywania rzeczywistości i zaprzeczania prawdzie. Jak głosi maksyma obowiązująca wszystkich ludzi władzy, czy to podczas wojny, czy w czasie pokoju: kłam innym, jeśli musisz, ale nigdy nie okłamuj samego siebie. Szef MACV mógłby zapewne przekonująco wyjaśnić konieczność wciskania kitu Halberstamowi i Arnettowi, problem w tym, że te same bajeczki opowiadał później w ściśle tajnych depeszach do Waszyngtonu. Niemniej jednak krytyka sposobu relacjonowania wojny wietnamskiej w mediach również wydaje się całkiem zasadna: owszem, dziennikarze mieli pełne prawo wskazywać rozliczne niedociągnięcia reżimu Diema oraz jego następców, ale dziwnym sposobem nie poświęcali równie wielkiej uwagi błędom i okrucieństwom popełnianym przez komunistów. Halberstam, Sheehan i cała reszta sumiennie, a czasami również błyskotliwie, wypełniali swój obowiązek przekazywania czytelnikom wszystkiego, co sami widzieli i o czym dowiedzieli się od innych; za to apologeci rządu w Sajgonie, na przykład tacy jak autorzy piszący do magazynu „Time", sami zniszczyli własną wiarygodność, zaprzeczając temu, co było dla nich niewygodne. Tyle że wydarzenia na Południu stanowiły jedynie połowę prawdy. A większość mediów wykazywała się albo ignorancją, albo ślepotą w odniesieniu do tyranii panującej na Północy, która poddawała swój własny naród o wiele większym cierpieniom.

Pewien australijski chirurg, który jako cywilny wolontariusz leczył ludzi w Vung Tau, napisał później: „Należy to jasno powiedzieć: zwykle pomija się zupełnym milczeniem oczywisty fakt, że gdyby pomocy gospodarczej kierowanej do Wietnamu Południowego nie uniemożliwiała działalność Wietkongu, wówczas ludzie w tym kraju, który dziś jest rozdarty wojną i nieszczęśliwy, nie znaliby głodu, cieszyliby się lepszym zdrowiem i lepszą edukacją"[19]. Z kolei Frances FitzGerald zakończyła swoją opublikowaną w roku 1972 opowieść o obecności Ameryki w Indochinach wyrazem osobistej tęsknoty za zwycięstwem Wietnamczyków z Północy, za doczekaniem chwili, w której „«indywidualizm» i towarzysząca mu korupcja ustąpią dyscyplinie rewolucyjnej wspólnoty". Amerykańscy oficjele, pisała dalej,

mogliby rzecz jasna przypisać to jej stwierdzenie skutecznemu praniu mózgu, jakiego doznała ze strony „zatwardziałych komunistów". Tyle że to nieprawda, zapewniała. „Chodzi mi po prostu o to, że nadszedł już ten moment, by wąski płomień rewolucji oczyścił całe jezioro wietnamskiego społeczeństwa"[20]. Było to spojrzenie na wojnę z zupełnie przeciwnej strony politycznego spektrum niż to prezentowane przez generała Harkinsa i jemu podobnych ludzi, ale – jak się wydaje – równie nierealistyczne i pełne złudzeń.

2. REWOLTA BUDDYSTÓW

Wiosną 1963 roku wiarygodność rządu Diema malała równie szybko, jak szybko rosły morale i siły Wietkongu, wzmocnione przypływem entuzjazmu po zwycięstwie pod Ap Bac. W samym 261. Batalionie, jak podają jego zapisy, „dużo śpiewano". W CBWP ukuto nawet nowy slogan: „Naśladujcie Bac!". Wynik tej bitwy stał się również istotnym argumentem dla frakcji „postępowej" w Hanoi, która z coraz większym uporem argumentowała, że skończył się już czas ostrożnych działań, a Południe najwyraźniej dojrzało do tego, żeby uderzyć w nie z całą siłą i wziąć to, co należne. O ówczesnej polityce amerykańskiej celnie wyraził się Michael Burleigh: „Rzadko się zdarzało, by jakieś mocarstwo imperialne zaangażowało swój prestiż w popieranie bardziej samobójczej grupy marionetek od klanu Ngo Dinh"[21]. Sytuacja w zakresie bezpieczeństwa pogarszała się z miesiąca na miesiąc, ale w maju reżim w Sajgonie podjął inicjatywę, która miała ostatecznie podkopać fundamenty jego chwiejącego się już mocno w posadach gmachu. Wietnamscy kapłani buddyjscy od dawna uskarżali się na faworyzowanie przez rodzinę Ngo jej współwyznawców, katolików. A 8 maja 1963 roku, kiedy wierni zebrali się w Hue, by uczcić 2527. urodziny Buddy, pewien katolicki oficer armii Diema postanowił wyegzekwować jakiś stary i zapomniany przepis zakazujący buddystom eksponowania ich flagi. Kilka tysięcy wyznawców Buddy zgromadziło się ponadto pod lokalną rozgłośnią radiową, by wysłuchać transmisji przemówienia popularnego kaznodziei Thich Tri Quanga. Jednak dyrektor rozgłośni

w ostatniej chwili odwołał transmisję, argumentując, że nie została ona dopuszczona do wyemitowania przez cenzurę. Ponadto wezwał na pomoc armię, która wysłała na miejsce oddział pojazdów opancerzonych. A kiedy buddyści zignorowali polecenie rozejścia się, żołnierze otworzyli do nich ogień. W zamieszkach, które były tego skutkiem, zginęła jedna kobieta i ośmioro dzieci.

Ten pokaz zupełnie nieuzasadnionej przemocy doprowadził do wielotygodniowych demonstracji antyrządowych w licznych miastach kraju, przy czym do samych buddystów dołączały też tysiące studentów. Później sugerowano, że za organizacją tych protestów stali komuniści. To dość oczywiste, że demonstracje takie musiały się podobać i w NFW, i w Hanoi: komunistyczni działacze mogli nawet dodatkowo podburzać buddyjskich mnichów. Nie ulega jednak wątpliwości, że owe wypadki odzwierciedlały przede wszystkim spontaniczny przypływ niezadowolenia i stanowiły wyraz protestu przeciwko reżimowi, który nie przeprosił publicznie za to, co się stało w Hue, ani nie zamierzał ukarać odpowiedzialnych za to ludzi. Diem postanowił po prostu przeczekać, ignorując ostrzeżenia ze strony Waszyngtonu, za to jego brat Nhu przystąpił do wdrażania programu represji.

Jak wyjaśniał Frank Scotton: „Większość mnichów padła ofiarą własnych fantazji o możliwości stworzenia rządu przedstawicielskiego, ale w kryzysie buddyjskim nie chodziło zasadniczo o politykę. Wystarczyło tylko, by Diem wykonał jakiś wielkoduszny gest pojednania, ale żeby to uczynić, musiałby sprzeciwić się swojemu młodszemu bratu, a do tego najwyraźniej nie potrafił się już zmusić”[22]. Reporterka Marguerite Higgins zostawiła nam opis Quanga, mnicha wyróżniającego się spośród całej rzeszy buntowników. Jak zauważała, nie była to bynajmniej postać wyciszona i emanująca medytacyjnym spokojem – „z ogromnego czoła spoglądały głębokie i płomienne oczy. Wyczuwało się w nim olbrzymie pokłady inteligencji, całkowite opanowanie i złowrogą podejrzliwość”[23]. Z kolei pewien oficer armii Południa napisał: „Kryzys [buddyjski] był niczym wielki pożar, niemożliwy do opanowania i szybko się rozprzestrzeniający. Miał on silny negatywny wpływ na morale zarówno oficerów, jak i szeregowych żołnierzy (...). Wtedy już wiedziałem, że nie sposób będzie utrzymać

rząd Diema. Miałem jedynie nadzieję, że władza wpadnie w ręce jakiegoś nowego, kompetentnego i lojalnego przywództwa”[24].

Kiedy tamtej jesieni Duong Van Mai wróciła do Sajgonu z Waszyngtonu, przekonała się, że jej rodzina, a w szczególności matka, stała się otwarcie wroga wobec rządu z powodu jego ataku na wiarę wyznawaną przez przytłaczającą większość Wietnamczyków. David Halberstam napisał 10 czerwca: „Konflikt między południowowietnamskim rządem a buddyjskimi kapłanami mocno niepokoi tutejszych urzędników amerykańskich (...) [którzy] są głęboko zakłopotani (...) i sfrustrowani, kiedy muszą odpowiadać na uporczywe pytania ze strony poszczególnych Wietnamczyków mówiących z niedowierzaniem: «Dlaczego wasz rząd na to pozwala?»”[25]. Jak z tego wynika, Amerykanów postrzegano już wówczas jako dosłownie podejmujących decyzje w Wietnamie.

Nazajutrz przedstawiciele zachodnich mediów zostali powiadomieni o jakimś proteście mającym się odbyć w Sajgonie jeszcze tego samego dnia. Niewielu z nich pofatygowało się na miejsce, bo też wiadomość była niezbyt konkretna. Tymczasem rankiem 11 czerwca na jednym z ruchliwych skrzyżowań pewien leciwy buddyjski mnich nazwiskiem Thich Quang Duc ubrany w pomarańczowe szaty usiadł w pozycji lotosu na środku ulicy i przez chwilę siedział tak bez ruchu, nie zważając na samochody i przechodniów, a w tym czasie inny mnich polewał go obficie benzyną. A kiedy skończył, sam Duc zapalił zapałkę i rzucił ją na swoje nasączone benzyną szaty, pozwalając, by płomienie objęły go całego, a w końcu spaliły na popiół. Przez cały ten czas jeszcze inny mnich krzyczał przez megafon: „Oto buddyjski kapłan dokonujący samospalenia! Buddyjski kapłan staje się męczennikiem!”. Podobnych, równie potwornych pokazów poświęcania ludzkiego życia miało być odtąd więcej, a wszystkie je wyróżniał pewien wspólny mianownik: towarzyszące im komunikaty, czy to wykrzykiwane przez megafon, czy wypisywane na transparentach albo plakatach, formułowano w języku angielskim, co jasno wskazywało, że ich odbiorcami nie mieli być wcale Wietnamczycy.

Jedynym zachodnim dziennikarzem, który zadał sobie trud i pojawił się na opisywanym proteście, był Malcolm Browne z AP. Napisał on

później: „Zapewne mogłem zapobiec temu aktowi samospalenia, gdybym podbiegł do niego i kopnął jak najdalej kanister z benzyną (...). Jako człowiek nawet chciałem to zrobić. Ale jako reporter nie mogłem (...). Wkroczyłbym tym samym w sam środek wietnamskiej polityki. A wtedy zaprzeczyłbym całkowicie swojej roli reportera i zniszczył własną wiarygodność”[26]. Mimo to Browne bez wątpienia zmienił oblicze południowowietnamskiej polityki, bo sfotografował całą scenę samospalenia, czego zapewne życzyli sobie sami buddyści, informując go o zamierzonym proteście. Jego szokujące zdjęcia zostały przesłane do Manili, skąd trafiły na cały świat. Oliwy do ognia dolała dodatkowo pani Nhu, która w wypowiedzi dla telewizji raczyła określić ten protest mianem „grilla”, a potem dodała, wzruszając ramionami: „A niech dokonują samospaleń, my będziemy im za to bić brawo”. Browne mówił potem, że nigdy nie zapomni charakterystycznego zapachu kadzidełek mieszającego się ze swądem palonego ciała. A pomysłodawcy tego makabrycznego widowiska, najwyraźniej zadowoleni z efektu, jaki osiągnęli, pokazywali odtąd serce Duca zamknięte w szklanej szkatułce.

Reakcją Amerykanów było oszołomienie i niezrozumienie. Porucznik Gordon Sullivan, doradca przy grupie komandosów, który akurat przypadkiem przebywał w Sajgonie, powiedział: „Wtedy wszystko się zmieniło. To było coś zupełnie nowego. Nie wiedzieliśmy, że ludzie mogą być do czegoś takiego zdolni”. Redakcja „Washington Post” napisała z kolei we wstępniaku do numeru z 20 czerwca 1963 roku: „To oczywiste, że komuniści będą wykorzystywać rozżalenie buddystów. Bo i dlaczego mieliby tego nie robić? To reżim pana Diema na własne życzenie podsuwa komunistom kolejne nośne tematy, sprawując rządy, które są odrażające moralnie i samobójcze politycznie”. Amerykański ambasador „Fritz” Nolting wciąż jednak utrzymywał, że jest to stosunkowo najlepszy ze wszystkich złych rządów w Sajgonie, którym mogłyby udzielić poparcia Stany Zjednoczone, a Colby z CIA najwyraźniej się z nim zgadzał. Inaczej patrzono już jednak na tę sprawę w Waszyngtonie: doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego McGeorge Bundy oraz Roger Hilsman z Departamentu Stanu dostrzegali szybko pogarszającą się sytuację polityczną. Podobnego zdania był też Henry Cabot Lodge, który zjawił się

w Sajgonie w połowie sierpnia, by zastąpić Noltinga i jego nieskuteczną, jak się okazało, taktykę „ugłaskiwania" Diema.

Ów nowy wysłannik miał sześćdziesiąt jeden lat, pochodził z Massachusetts i był ważną postacią w partii republikańskiej, miał za sobą wieloletnie doświadczenie w dyplomacji i w Senacie, a w roku 1960 był nawet kandydatem na wiceprezydenta u boku Nixona. Arthur Schlesinger napisał kiedyś o Kennedym: „Prezydent ma zwyczaj przydzielać «liberałów» do wykonywania «konserwatywnych» zadań i *vice versa*"[27]. Nominacja Lodge'a wydawała się klasycznym wręcz przykładem takiego postępowania: był to człowiek o wysokiej, niezależnej pozycji, poszukujący dla siebie jakiejś znaczącej roli, bardziej namiestnika niż ambasadora. Jeśli więc zarzucać mu, że w Wietnamie popełniał błędy albo grał zbyt ostro, należałoby najpierw rozliczyć tych, którzy go tam wysłali.

21 sierpnia, po wprowadzeniu przez Diema stanu wojennego w odpowiedzi na narastającą falę protestów, siły Nhu natarły na najważniejsze buddyjskie sanktuarium w Sajgonie, świątynię Xa Loi. Aresztowano wówczas 400 mnichów i mniszek, w tym osiemdziesięciodziewięcioletniego patriarchę. Kierowany przez Henry'ego Luce'a „Time" odmawiał publikacji potępiających depesz nadsyłanych przez swoich korespondentów. Bill Colby, podobnie jak Harkins, podzielali pogardę ich przyjaciela Nhu dla buddystów. Ale mimo wprowadzenia rygorystycznej cenzury prasowej oraz całej lawiny kłamliwych komunikatów rządowych większość Amerykanów, w tym również ambasador Lodge, zdawała sobie sprawę, że brat prezydenta właśnie zerwał się ze smyczy.

Wciąż pogarszała się sytuacja w zakresie bezpieczeństwa na terenie całego kraju. Z każdym dniem nasilała się kampania terroru prowadzona przez NFW, z niecierpliwością wyglądający upadku reżimu, za to morale w armii Południa ulegało dalszemu obniżaniu. A ponieważ ponure w swoim wydźwięku raporty Davida Halberstama były teraz szeroko czytane, w MACV i w Waszyngtonie podejmowano wszelkie starania, by je zdyskredytować. Sekretarz stanu Dean Rusk osobiście zdementował depeszę z sierpnia 1963 roku donoszącą o postępach czynionych przez komunistów w Delcie Mekongu. Harkins

szczegółowo wyliczał detale, które jego zdaniem nie zgadzały się z rzeczywistością. A we wrześniu generał przesłał telegraficzną wiadomość do Maxwella Taylora w Białym Domu, w której pisał: „Z większości raportów i artykułów, które czytam, można by wywnioskować, że Wietnam i nasza miejscowa polityka rozsypują się na wszystkich odcinkach. Cóż, po prostu całkowicie się z tym nie zgadzam”[28].

Samospalenie mnicha Thich Quang Duc w Sajgonie sfotografowane przez Malcolma Browne’a, 11 czerwca 1963 roku

Czas pokazał jednak, że to właśnie młode wilczki pokroju Halberstama czy Sheehana znacznie trafniej oceniały sytuację – zarówno militarną, jak i polityczną – niż kierownictwo MACV. Jesienią tamtego roku coraz częściej powtarzały się doniesienia o kolejnych sukcesach komunistów, takich choćby jak ten z września, kiedy w pełnym świetle dnia Wietkong zajął jeden z rządowych posterunków w Delcie, nie ponosząc przy tym niemal żadnych strat własnych, ponieważ dwóch jego członków zdołało wcześniej przeniknąć do wnętrza garnizonu. W toku całej operacji partyzanci zabili sześciu

obrońców, pojmali sześciu jeńców, przechwycili 35 karabinów i wysadzili umocnienia oraz wieże strażnicze, a potem się wycofali[29]. W tamtym czasie, jeśli wierzyć Frankowi Scottonowi, „było już oczywiste, że wielu wykształconych mieszkańców miast" – *attentistes*, jak ich powszechnie zwano, bo raczej oczekiwali na rozwój wydarzeń, niż do niego doprowadzali – „tylko czeka na zmianę rządu"[30]. Czas Diema dobiegał końca. Nie wiadomo było tylko, czy ostateczny cios zadadzą mu komuniści, buddyści czy jego właśni generałowie. A także, co zamierzał w tej sprawie uczynić Waszyngton.

3. CZAS ZABIJANIA

Odliczanie przed zamordowaniem prezydenta Ngo Dinh Diema rozpoczęło się 23 sierpnia 1963 roku, kiedy w ściśle tajnym telegramie do Departamentu Stanu ambasador Lodge dopytywał się, czy Waszyngton poparłby przewrót w Wietnamie. Wiadomość nadeszła tuż przed weekendem, kiedy w mieście nie było już ani Kennedy'ego, ani Ruska, ani McNamary. Mimo to szybo zredagowano i wysłano do Sajgonu pozytywną odpowiedź, a jej autorami byli Averell Harriman, Roger Hilsman i Michael Forrestal. W imieniu rządu Stanów Zjednoczonych pisali oni, że gdyby Diem wciąż odmawiał przeprowadzenia reform i wyrzucenia swojego brata Nhu, „jesteśmy gotowi zaakceptować oczywiste implikacje, a mianowicie fakt, że nie będziemy dłużej w stanie popierać Diema. Może Pan przekazać właściwym dowódcom wojskowym, że zapewnimy im bezpośrednie wsparcie w okresie przejściowym po upadku rządu (...). Ambasador (...) powinien natychmiast zbadać wszelkie możliwe alternatywy w kwestii przywództwa i sporządzić szczegółowe plany dotyczące sposobu wprowadzenia następcy Diema, jeśli okaże się to konieczne".

W poniedziałek rano, kiedy Kennedy wrócił do Białego Domu, wyraził swoje zaniepokojenie faktem, że tak doniosłe wytyczne – bo telegram zwrotny faktycznie takowe zawierał – zostały sporządzone i wysłane z takim pośpiechem przez urzędników średniego szczebla. A kiedy skonsultował się z McNamarą i Taylorem, od obu z nich

usłyszał, że woleliby, aby Diem został, choć już bez Nhu. Gdyby jednak generałowie mieli postanowić inaczej, Stany Zjednoczone powinny poprzeć taki rząd przejściowy. Po długich deliberacjach Kennedy postanowił ostatecznie nie odwoływać weekendowego telegramu, a kwestię zdefiniowania dalszej linii politycznej pozostawić w rękach Lodge'a. Sam ambasador twierdził później, że był „całkowicie zbity z tropu" takim rozumowaniem, bowiem jego w pełni uzasadniona interpretacja wcześniejszej wiadomości z Waszyngtonu kazała mu sądzić, że otrzymał oto wytyczne na temat obalenia Diema.

Podczas wywiadu w stacji CBS, który przeprowadzał Walter Cronkite 2 września, amerykański prezydent usłyszał między innymi pytanie o Wietnam i odpowiedział, że rząd w Sajgonie potrzebuje uzyskać większe poparcie: „przy zmianach linii politycznej i może też jakichś zmianach kadrowych sądzę, że [ten rząd] może zwyciężyć. Ale jeśli takich zmian nie będzie, wówczas powiedziałbym, że szanse na zwycięstwo nie wyglądają zbyt dobrze". Kennedy zaapelował też o większe wsparcie – praktyczne, a nie werbalne – ze strony sojuszników Ameryki: „Nic dobrego nie wyniknie z tego, że w końcu powiemy sobie «Cóż, a może po prostu wszyscy wrócimy do domu i zostawimy świat w rękach tych, którzy są naszymi wrogami?»". Dodał następnie, że „jedynymi ludźmi, którzy mogą tam wygrać, są Wietnamczycy". Niektórzy historycy interpretowali te słowa Kennedy'ego jako pośrednie przyznanie, że Amerykanie nie wywalczą dla Wietnamczyków tego, o co oni sami nie są skłonni się bić, a także jako zasugerowanie realnej możliwości wycofania się z Wietnamu. Wydaje się to jednak dość mało poważne – w końcu przed Kennedym stała perspektywa bliskiej kampanii o reelekcję na urząd prezydenta, a wyścig ten mógł on przecież z powodzeniem przegrać właśnie w Azji Południowo-Wschodniej, tak jak Harry Truman zaprzepaścił swoje szanse na drugą kadencję w roku 1952 przede wszystkim w Korei.

Tymczasem wydarzenia nabierały teraz wyraźnego przyspieszenia. Wietnamczycy z Północy sondowali, czy są jakiekolwiek szanse na poróżnienie Diema z Amerykanami. W tym celu Hanoi wykonało taktyczny zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, by za pośrednictwem polskich i francuskich pośredników zacząć polityczny flirt z Sajgonem,

co już wkrótce doszło do uszu urzędników administracji Kennedy'ego. Za rosnącym przekonaniem Waszyngtonu o potrzebie dokonania zamachu stanu w Wietnamie Południowym stała zatem również dość haniebna w sumie motywacja wynikająca z obawy, że Diem albo jego brat Nhu mogą rozważać ułożenie się z komunistami. Bernard Fall, uważnie czytany przez decydentów, ponieważ powszechnie wiadomo było o jego dobrych kontaktach po obu stronach, donosił, że w przypadku, gdyby dialog na linii Północ–Południe postępował w zadowalającym tempie, Ho Chi Minh miał się ponoć zgadzać na jakieś opóźnienie ponownego zjednoczenia kraju i przeprowadzenie go w „rozsądnym terminie" – sam Fall nie użył wprawdzie dokładnie takiego określenia, ale miało się ono stać przedmiotem licznych odniesień podczas przyszłych wysiłków zaprowadzenia pokoju w Indochinach. Prawdę powiedziawszy, negocjacje te od samego początku nie miały jednak wielkich szans powodzenia: Le Duan był zainteresowany wyłącznie doprowadzeniem do powstania jednego komunistycznego Wietnamu, zaś bracia Ngo wciąż żywili złudzenia, że trzymają w rękach dobre karty – nieuchronną perspektywę militarnego zwycięstwa oraz status bycia niezastąpionymi w oczach Amerykanów. Niemniej jednak sam fakt, że doszło do jakichś kontaktów między obiema stronami, mocno zaalarmował decydentów w Waszyngtonie. Skoro bowiem sajgoński reżim w ogóle chciał siadać do stołu negocjacyjnego, musiała za tym stać jego rosnąca niechęć do swoich zachodnich sponsorów.

Przyjaciel prezydenta Kennedy'ego, Charles Bartlett, twierdził później, że to właśnie przelotny flirt reżimu w Sajgonie z Północą stał się głównym powodem podjęcia decyzji o pozbyciu się Diema. Cytował przy tym prezydenta, który miał ponoć powiedzieć: „Charlie, nie mogę pozwolić, by Wietnam wpadł w ręce komunistów, a potem iść i prosić [amerykańskich wyborców] o reelekcję. Musimy jakoś utrzymać te terytoria". Ale Kennedy miał też rzekomo dodać: „Nie mamy tam jednak przyszłości. Oni [Wietnamczycy z Południa] nas nienawidzą. Chcą, byśmy sobie stamtąd poszli. I w którymś momencie wykopią nas stamtąd siłą"[31]. Cała ta rozmowa przytaczana przez Bartletta wydaje się dość wiarygodna. Prywatne nastawienie Kennedy'ego do kwestii

wietnamskiej wynikało w dużej mierze ze złej woli wykazywanej przez komunistów przy wdrażaniu (czy może raczej niewdrażaniu) postanowień dotyczących zapewnienia neutralności Laosowi, przygotowanych przez jego administrację. Wydaje się zatem, że nigdy nie postrzegał on Hanoi jako uczciwego partnera w jakiejkolwiek ugodzie przewidującej koalicyjny rząd dla Wietnamu.

Alarmistyczne nastawienie Amerykanów jeszcze wzrosło, kiedy do gry włączył się francuski prezydent Charles de Gaulle. Ten wyniosły i silnie antyanglosaski nacjonalista wielokrotnie nawoływał Stany Zjednoczone, by zakończyły swoje zaangażowanie w Wietnamie, co umożliwiłoby ogłoszenie jego neutralności. Waszyngton uważał, że komentarze de Gaulle'a odzwierciedlały jego zazdrość o utraconą pozycję Francji w regionie, który kiedyś stanowił przecież jej własność. Jak zauważył Fredrik Logevall: „Amerykańscy planiści poświęcali wiele czasu na dyskusje nad działaniami i uwagami francuskiego przywódcy, ale jedynie pod kątem szukania kontrargumentów wobec nich. Nie przyglądali się za to specjalnie uważnie, czy to wówczas, czy nawet później, samej treści jego argumentacji, po części dlatego, że w uszach amerykańskich urzędników brzmiała ona jak bluźnierstwo, a po części dlatego, że byli przekonani, że miał on swoje skrywane motywy takich poczynań”[32].

Walter Lippmann przestrzegał jednak w swojej stałej rubryce, pisząc 3 września: „Jeśli nie dojdzie do żadnego porozumienia na modłę takiego proponowanego przez generała de Gaulle'a, wówczas pozostaje już tylko przeciągająca się i nierozstrzygnięta wojna na wyniszczenie”[33]. Ten doświadczony komentator, który w tamtych latach częściej pisał o Indochinach niż o jakichkolwiek innych kwestiach, uważał, że najlepszym, co mogłyby osiągnąć Stany Zjednoczone, byłby kraj rządzony na wzór reżimu Tito, to jest zjednoczony i komunistyczny Wietnam, niebędący jednak narzędziem w rękach Chińczyków czy Sowietów. Lippmann zdawał się pośrednio sugerować, że Ho Chi Minha nie sposób było pokonać na polu bitwy, wobec czego najlepszą alternatywą mogła być próba skuszenia go deszczem dolarów. Trudno jednak doprawdy obronić taką tezę: nie ma żadnych powodów, by uwierzyć, że Le Duan, niezłomny i nieprzekupny

rewolucjonista w typie Robespierre'a, mógłby dać się skłonić łapówkami do wprowadzenia umiarkowanych i mało opresyjnych rządów, gdyby tylko oddać mu w roku 1963 władzę nad całym zjednoczonym Wietnamem, tym bardziej że nie przejawiał on takich skłonności również po roku 1975. Nie umniejsza to rzecz jasna wartości pozostałej części argumentacji Lippmanna, tej mianowicie, że Amerykanie nie byli w stanie osiągnąć zamierzonych celów, odwołując się wyłącznie do siły swojego oręża.

13 września Chester Cooper z NSC (amerykańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego) napisał z Sajgonu do swojego dawnego kolegi z CIA Johna McCone'a, że jego zdaniem jest coraz bliżej dyplomatycznego zbliżenia między reżimem Diema a Hanoi, które pociągnęłoby za sobą wydalenie Amerykanów z Wietnamu[34]. Otrzymując tego rodzaju sygnały, administracja w Waszyngtonie miała coraz mniej obiekcji, by mitygować Lodge'a, teraz już otwarcie przekonującego sajgońskich generałów do interwencji. Ambasador nie miał bowiem żadnych wątpliwości, że powinien wykorzystać mandat, którym jednoznacznie obdarzył go Biały Dom, do zainspirowania zmiany rządu, nawet jeśli proces ten okaże się trudny i zawiły. I rzeczywiście, niełatwo było namówić do działania wpływowych wojskowych, do których zwracał się Lodge – generałów Duong Van Minha, Tran Van Dona, Le Van Kima czy Tran Thien Khiema. Colby z CIA, który nie znosił Lodge'a i mocno sprzeciwiał się jakimkolwiek operacjom wymierzonym w przywódcę Wietnamu Południowego – niewątpliwie również dlatego, że podobnie jak on sam był gorliwym katolikiem – napisał później: „Niemal w ogóle nie zastanawiano się wtedy i nie analizowano, kto ewentualnie mógłby zastąpić Diema, poza ogólnikami w stylu «wojsko»"[35]. Niezdecydowanie południowowietnamskich oficerów w kwestii obalenia Diema nie było wcale takie nierozsądne: po prostu chcieli oni najpierw zyskać pewność, że są wystarczająco silni, co wymagało jednoznacznego wsparcia ze strony Amerykanów. Wiedzieli wprawdzie, że nie mogą oczekiwać niczego oficjalnego na piśmie, ale też nie zamierzali nadstawiać głów, opierając się wyłącznie na słownych zapewnieniach ze strony Lou

Coneina, który i wówczas, i później pełnił funkcję tajnego oficera łącznikowego między Lodge'em a wierchuszką wietnamskiej armii.

Kilka lat po tych wydarzeniach amerykańscy agenci pod przykryciem obserwowali w Marsylii pewien bar, w którym miało dojść do sfinalizowania ogromnej transatlantyckiej operacji przemytu narkotyków, znanej później jako „French Connection" („Francuski Łącznik"). Zespół obserwacyjny niezwykle zaskoczyło, gdy w pewnej chwili wśród obecnych zidentyfikował Coneina witającego się wylewnie z korsykańskimi gangsterami, których poznał był jeszcze w czasach pracy w OSS. Nawet jednak jeśli Conein słynął z obrotności i bufonady, to zdaniem Franka Scottona ten drągal o wyglądzie i manierach zbira zawsze potrafił wykonać przydzielone mu zadanie, co w październiku 1963 roku oznaczało nawiązanie skutecznych i dyskretnych kontaktów między amerykańskim rządem, który powoli godził się z koniecznością odsunięcia Diema od władzy, a wietnamskimi generałami mającymi tego dokonać w praktyce[36].

Lodge irytował się z powodu opieszałości spiskowców, którzy – jak ze złością napisał – nie wykazywali się „ani wolą, ani zmysłem organizacji (...), by cokolwiek osiągnąć". Harkins, niespecjalnie chętny do spotykania się z ambasadorem, rzucał zamiast tego do Maxa Taylora słowa: „Przecież na Wschodzie nic nie dzieje się w pośpiechu". George Ball argumentował później, że niesławny sierpniowy telegram zredagowany przez Harrimana i Hilsmana miał w rzeczywistości mniejszy wpływ na dalszy bieg wydarzeń, w tym na pchnięcie generałów do działania, niż wystąpienie telewizyjne Kennedy'ego dwa tygodnie później, kiedy to ostrzegał on, iż Stany Zjednoczone wycofają swoją pomoc, jeśli w Sajgonie nic się nie zmieni[37]. Tak czy inaczej, wielu Wietnamczyków z Południa, zarówno tych w mundurach, jak i w cywilu, przeczuwało już, że amerykańskie poparcie dla Diema bezustannie spada. Porucznik południowowietnamskiej armii Nguyen Cong Luan był gorliwym antykomunistą, a jednocześnie nienawidził swojego rządu: „Ja i moi koledzy z wojska uważaliśmy, że rządy w Wietnamie Południowym powinni objąć nowi przywódcy, którzy potrafiliby skutecznie radzić sobie z komunistami oraz uczynić z naszego kraju miejsce pełne wolności i demokracji, takie jak Stany

Zjednoczone". On i ludzie jemu podobni wręcz nie potrafili ukryć podniecenia, kiedy w roku 1960 w Korei Południowej od władzy odsunięty został jej dotychczasowy dyktator Syngman Rhee. „Wierzyliśmy, że jeśli nasza strona [w Wietnamie] wykaże dość determinacji i siły, by przeprowadzić zamach stanu, wówczas Amerykanie będą musieli nas poprzeć"[38].

Prezydent Kennedy dodatkowo zagmatwał sprawę, wysyłając do Wietnamu 25 września McNamarę i Taylora na dziesięciodniową „misję w celu ustalenia faktów". A ci od razu wrócili do swoich fantazji o „wielkich postępach" na polu walki, choć uskarżali się przy tym na nieprzejednaną postawę Diema. Próbowali też bezskutecznie wysondować nastroje w sprawie ponoć nieuniknionego puczu. A kiedy generał Duong Van „Duży" Minh, przywódca wojskowych spiskowców, nie powiedział Taylorowi niczego znaczącego podczas meczu tenisowego tej dwójki w sajgońskim Cercle Sportif, Amerykanin zdecydował, że plan ten należy w ogóle zarzucić. Mimo to zarówno on, jak i McNamara doszli do wniosku, że zwycięstwo militarne jest jak najbardziej do osiągnięcia, jeśli tylko dałoby się jakoś rozwiązać problem z rządem w Sajgonie. Co wymagało pozbycia się obu braci Ngo.

W tej sytuacji w swoim kolejnym telegramie do Lodge'a z 2 października Biały Dom wyrażał się już zdecydowanie ostrożniej: „Nie należy obecnie podejmować żadnych inicjatyw zachęcających wprost lub pośrednio do przeprowadzenia puczu. Powinno się za to w trybie pilnym podejmować wysiłki (...) w celu zidentyfikowania możliwych alternatyw w kwestii przywództwa i budowania z nimi dobrych relacji na wypadek, gdyby do takiego puczu doszło". Trzy dni później Lodge poinformował prezydenta, że wbrew wcześniejszym obawom pucz wydawał się coraz bardziej realny. Conein i Minh kilkakrotnie spotkali się bowiem w starym kolonialnym bungalowie na terenie sajgońskiego garnizonu i szczerze sobie pogadali po francusku. Wietnamczyk miał mu wówczas wyznać, że jego jedynym, ale za to nienegocjowalnym żądaniem jest uzyskanie zapewnienia, iż amerykańska pomoc w dalszym ciągu będzie płynąć do jego kraju. Przestrzegł też Coneina, iż liczy się czas, jako że spisek, którym kierował, był tylko jednym z kilku

organizujących się równolegle z nim. Tamtego dnia kolejny buddyjski mnich dokonał samospalenia.

Raport przedstawiony przez Coneina pchnął Lodge'a do zarekomendowania Waszyngtonowi, by udzielił Minhowi gwarancji że Stany Zjednoczone „nie podejmą próby udaremnienia" zmiany reżimu. Kennedy wyraził na to zgodę, choć jednocześnie przestrzegł, że żadnemu Amerykaninowi nie wolno aktywnie zaangażować się w sam proces przeprowadzenia zamachu stanu. Tymczasem nastroje w Sajgonie były już bliskie rozgorączkowania, a niemal wszędzie krążyły pogłoski o wiszącej w powietrzu próbie obalenia Diema. Nie pozostawały one bez wpływu na wietnamskich generałów, którzy raz jeszcze zawahali się przed wykonaniem ostatniego kroku. Lodge poczuł się w obowiązku zwolnić szefa miejscowej placówki CIA, Johna Richardsona, który podobnie jak Paul Harkins nader sceptycznie zapatrywał się na plany wymiany Diema.

Za to jego brat Nhu nie przerywał swojej intensywnej kampanii politycznych represji, a do tego publicznie krytykował Amerykanów za rzekome „haniebne" wtrącanie się w wewnętrzne sprawy Wietnamu. Już po wojnie wysocy rangą komuniści zauważali, że był to na dobrą sprawę idealny moment na wywołanie powstania: Wietnam Południowy stał się państwem całkowicie niestabilnym i podatnym na atak, a przy tym już właściwie wszyscy znienawidzili rodzinę Ngo. Najwyraźniej inaczej patrzono na to jednak w CBWP, postanawiając jedynie kontynuować kampanię partyzancką. W Sajgonie tymczasem generałowie zabiegali, by pozyskać wsparcie kluczowych jednostek południowowietnamskiej armii[39]. A Lou Conein starał się utwierdzać spiskowców w przekonaniu o właściwym kursie działania poprzez towarzyskie pogawędki z generałem Donem u wspólnego chirurga dentystycznego, gdzie obaj znaleźli bezpieczne miejsce do rozmów.

W dniu święta narodowego, 26 października, Diem udał się z wizytą do górskiego kurortu Dalat. Atmosfera była już wówczas tak napięta, że przed jego samolotem na lotnisku wylądował identyczny, ale pusty i lecący wyłącznie jako przynęta C-47, a karabiny witającej go na miejscu gwardii honorowej dokładnie sprawdzono, by upewnić się, że są nienaładowane. Prezydent miał się tam spotkać między innymi

z amerykańskim ambasadorem, wobec czego Frank Scotton otrzymał zadanie zasięgnięcia języka u swojego wietnamskiego informatora, wtajemniczonego w plany spisku, czy Lodge może się w ogóle pokazywać w pałacyku gościnnym prezydenta bez obawy, że trafi w sam środek strzelaniny. Człowiek z USIA usłyszał jednak, że nie na żadnego zagrożenia, bo generałowie nie są jeszcze gotowi. I rzeczywiście, cała wizyta, w tym również spotkanie Diema z ambasadorem, przebiegła bez żadnych incydentów.

A w Waszyngtonie trwała swoista polityczna przepychanka. Wiceprezydent Lyndon Johnson nie miał zbyt wielkiego wpływu na bieg wydarzeń, ale konsekwentnie sprzeciwiał się usunięciu Diema. Jako zajadły antykomunista postrzegał on zagrożenie w Wietnamie wyłącznie przez pryzmat konieczności militarnego zatriumfowania nad Wietkongiem. Nigdy zresztą nie interesowało go wdawanie się w szczegóły; lubił nawet żartobliwie mawiać: „Cudzoziemcy nie są jak ludzie, do których jestem przyzwyczajony", co chyba mówiło nawet więcej o nim samym, niż wypowiedzi, których udzielał na poważnie. 29 października Kennedy zwołał NSC (RBN), by omówić telegram od Harkinsa, w którym generał wyrażał chęć dalszego wspierania rodziny Ngo: „Słusznie czy niesłusznie, staliśmy murem za Diemem przez osiem długich lat. Moim zdaniem byłoby wysoce niestosowne sprowadzanie go teraz do parteru, sflekowanie i wyrzucenie na śmietnik". Wiadomość ta nie pozostała bez wpływu na Roberta Kennedy'ego, który doszedł do przekonania, że przewrót zaczyna wyglądać cokolwiek ryzykownie.

Henry Cabot Lodge, ambasador Stanów Zjednoczonych w Wietnamie Południowym 1963–1964 oraz 1965–1967. Fotografia z 1964 roku

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego McGeorge Bundy wysłał zatem kolejny telegram do Lodge'a, w którym pisał o nowych wątpliwościach prezydenta. Mimo to ambasador był już w zasadzie zdeterminowany, by doprowadzić do puczu: nigdy zresztą nie przekazywał zastrzeżeń Waszyngtonu ani wietnamskim generałom, ani Lou Coneinowi. 1 listopada ten doświadczony człowiek OSS zjawił się o umówionej porze w kwaterze głównej południowowietnamskiej armii, włożywszy mundur i zabrawszy ze sobą rewolwer kaliber 357 oraz 40 tysięcy dolarów w gotówce, które uznał zapewne za niezbędne atrybuty podczas podejmowania popołudniowej próby obalenia rządu.

Wcześniej zostawił żonę i dzieci w swojej willi strzeżonej przez zielone berety, a już z jeepa nadał przez radio umówiony sygnał do przełożonych informujący o rozpoczęciu całej operacji: „Dziewięć, dziewięć, dziewięć, dziewięć, dziewięć". Kiedy zbuntowane oddziały wojska przypuściły atak na pałac Diema, prezydent wraz z bratem schronili się w piwnicy. Jednocześnie w całym Sajgonie spiskowcy pochwycili i rozstrzelali kilku oficerów lojalnych wobec rodziny Ngo. O godzinie 16.30 Diem zatelefonował do Lodge'a, prosząc go o wsparcie, ale otrzymał tylko ofertę zorganizowania bezpiecznego wyjazdu z kraju.

Teraz z kolei spiskowcy zatelefonowali do prezydenta, namawiając go do ustąpienia w zamian za ocalenie życia. Zamiast tego Diem zaczął wydzwaniać do swoich najbliższych przyjaciół, bezskutecznie poszukując jakiejkolwiek pomocy. O godzinie ósmej wieczorem Diem i Nhu podjęli desperacką próbę przekradnięcia się z pałacu do Cholon: w szaleńczym tempie jechali ulicami miasta, całkowicie opustoszałymi ze względu na godzinę policyjną wprowadzoną przez wojskowych spiskowców. Udało im się szczęśliwie dojechać do pewnego domu przygotowanego wcześniej przez Nhu dokładnie na taką okazję: miał on nawet własny system łączności. Byli już bezpieczni w Cholon, kiedy zbuntowani żołnierze ostrzelali, a w końcu zajęli szturmem pałac prezydencki, zabijając jego strażników, którzy umierali za swojego prezydenta nieświadomi tego, że już od jakiegoś czasu nie ma go na miejscu. Po kilku godzinach walk zabezpieczono wreszcie zrujnowany budynek, po czym przystąpiono do jego plądrowania, poczynając od zawartości peniuaru pani Nhu, a kończąc na imponującej prezydenckiej kolekcji amerykańskich komiksów.

3 listopada o godzinie 6.00 rano, Diem zatelefonował do „Dużego" Minha i wyraźnie wycieńczonym głosem zadeklarował wolę negocjowania warunków swojej rezygnacji. Generałowie z miejsca odrzucili tę propozycję, podobnie zresztą jak sugestię, że Diem życzy sobie opuścić kraj z wszelkimi honorami należnymi głowie państwa. Kilka minut później Diem zadzwonił ponownie: on i jego brat zdecydowali się poddać bez żadnych warunków i czekali na spiskowców w katolickim kościele Świętego Franciszka Ksawerego w Cholon. Nie bardzo wiedząc, co mają zrobić z nikomu już niepotrzebnym

prezydentem, generałowie zwrócili się do Lou Coneina. Ten oświadczył, że w ciągu 24 godzin może zorganizować amerykański samolot, który wywiezie Diema z kraju, jeśli tylko znajdą oni państwo skłonne udzielić mu azylu.

Do sprowadzenia Diema i Nhu z Cholon generałowie wyznaczyli pewnego doświadczonego agenta tajnej policji, któremu oddali do dyspozycji transporter opancerzony M-113. W wysłanym do Cholon oddziale znalazł się również kapitan Nhung, osobisty ochroniarz Minha, któremu przed samym wyjazdem generał miał podobno pokazać dwa wyprostowane palce – dyskretny sygnał wskazujący, że obu pojmanych należy zabić; poprzedniej nocy Nhung dokonał już zresztą egzekucji na dwóch oficerach lojalnych wobec Diema. W kościele obaj bracia Ngo przywitali się ze swoją eskortą uściśnięciem ręki, a następnie wsiedli do transportera, uzyskawszy wcześniej zapewnienie, że jego pancerz jest wystarczająco mocny, by ochronić ich przed atakami „ekstremistów". W drodze powrotnej do Sajgonu, kiedy konwój zatrzymał się na przejeździe kolejowym, jeden z oficerów odwrócił się do pasażerów i wpakował w nich cały magazynek swojego pistoletu maszynowego. Transporter udał się następnie wprost do biura Minha w kwaterze głównej garnizonu, gdzie jego ochroniarz rzucił tylko krótkie: *„Mission accomplie"*. Generał przekazał wówczas Coneinowi, że Diem popełnił samobójstwo, po czym zapytał: „Czy życzy pan sobie go obejrzeć?". „W żadnym razie" – zapewnił Amerykanin, który doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że szanse na to, iż świat uwierzy w wersję spiskowców, wynoszą „jakieś jeden do miliona", w związku z czym zamierzał przynajmniej oszczędzić sobie zażenowania, wynikającego z bezpośredniego spoglądania prawdzie w oczy.

W celu zidentyfikowania ciał Diema i Nhu do szpitala Świętego Pawła, gdzie je przetrzymywano, sprowadzono pewnego wykładowcę z British Council, który poślubił kiedyś bratanicę nieżyjącego już prezydenta. W jego ocenie Diem zginął od pojedynczej kuli, która trafiła go w szyję, za to Nhu miał podziurawione całe plecy. Lodge wezwał generałów do amerykańskiej ambasady, gdzie pogratulował im przeprowadzenia puczu, który opisał jako „imponujące dokonanie pod

każdym możliwym względem", a następnie wysłał do Waszyngtonu pełen optymizmu telegram: „Rysują się obecnie perspektywy na znacznie krótszą wojnę". W Sajgonie i w innych miejscach doszło do ulicznych wybuchów spontanicznej radości, podczas których ze ścian budynków rządowych i innych urzędów publicznych z entuzjazmem zrywano wizerunki obalonego dyktatora. Uwolniono setki więźniów politycznych, z których część nosiła ślady tortur. Ale wielu Sajgończyków zapamiętało z tego dnia jeszcze coś innego: zniesiono zakaz tańczenia wprowadzony przez panią Nhu rzekomo w interesie ochrony publicznej moralności. W przenośni można by więc rzec, że tysiące Wietnamczyków uczciły obalenie reżimu, tańcząc na grobach rodziny Ngo.

Neil Sheehan i niektórzy jego koledzy z korpusu prasowego zaczęli teraz dostrzegać jakieś iluzoryczne światełko nadziei: „Pozostanie przy Diemie wiązało się nieuchronnie z przegraniem tej wojny. Ale z jakimś rozsądnym reżimem wojskowym naszym zdaniem rysowała się pewna szansa"[40]. Na czele junty, która przejęła rządy w Wietnamie Południowym, stanął generał Duong Van Minh. Londyński „The Times" donosił 5 listopada: „Sajgon zareagował tak, jakby ludziom spadł z serca jakiś ogromny ciężar. Na ulicach tłumy, jakich chyba nigdy tu nie widziano (...). Tysiące buddystów ciągnęły do pagody Xa Loi na modlitwy zdające się nieledwie dziękczynnymi". A specjalny korespondent w Sajgonie dodawał: „Proamerykańskie inklinacje kilku członków tej junty (...) powinny skłaniać ich ku demokracji".

John F. Kennedy był akurat na spotkaniu z Maxem Taylorem, kiedy do Waszyngtonu dotarły wieści o śmierci Diema. Wojskowy zapamiętał, że prezydent „wypadł wówczas z pokoju z wyrazem szoku i konsternacji". Toczone później spory o odpowiedzialność za to, co się stało, wydają się całkowicie bezcelowe. Administracja dała przecież Lodge'owi zielone światło do działania w kwestii obalenia reżimu. Zastanawianie się, czy aby Waszyngton nie powinien wcześniej zadbać o łodzie ratunkowe dla ocalałych, nie ma najmniejszego sensu. Południowowietnamscy generałowie nigdy nie ośmieliliby się usunąć Diema, gdyby nie byli przeświadczeni, że taka jest właśnie wola

Waszyngtonu. A w całym tym politycznym zamieszaniu nikt ich najwyraźniej nie ostrzegł, że prezydenta nie należało zabijać.

Pojawiają się czasami argumenty, że reżim Diema można było i należało zreformować i ocalić, tym bardziej że ten prezydent był ostatnim narodowym przywódcą Wietnamu Południowego jako niepodległego państwa. Pilot myśliwca VNAF Tran Hoi powiedział: „Uważałem, że Amerykanie robią błąd, pozbywając się go. On był prawdziwym patriotą". Niektórzy skłonni do refleksji Wietnamczycy z Południa szanowali wysiłki podejmowane przez Diema – nawet jeśli były one oparte na błędnych przesłankach – w celu prowadzenia własnej polityki, a nie wyłącznie wdrażania dyrektyw przekazywanych przez Amerykanów. Inny oficer wietnamskiego lotnictwa, Nguyen Van Uc, powiedział: „Diem wiedział, że jeśli tu wejdą [amerykańskie oddziały bojowe], wówczas komuniści już zawsze będą mogli mówić, że tak naprawdę prowadzą kampanię przeciwko imperialistycznej dominacji"[41]. Zgadzał się z nim pewien oficer marynarki: „Po śmierci Diema w Wietnamie Południowym skończyło się robienie rzeczywistej polityki"[42].

Dokumenty pokazują jednak, że ten reżim był już wówczas zepsuty do szpiku kości i miał dosłownie marginalne poparcie społeczne. A mimo to sposób pozbycia się prezydenta, przypominający zabójstwa rzymskich cesarzy z rąk ich własnej gwardii pretoriańskiej, zadał olbrzymie i prawdopodobnie nieodwracalne straty wizerunkowi Ameryki w Azji Południowo-Wschodniej, w tym zwłaszcza jej pretensjom do moralnej wyższości. Zbulwersowani byli również amerykańscy szefowie sztabów, nazywając to, co zaszło w Wietnamie, „azjatycką Zatoką Świń". A Frank Scotton wyznał: „Zabicie Diema było katastrofalnym błędem"[43]. Tym ze swoich szefów, którzy cieszyli się, że przynajmniej zarysowała się teraz jakaś perspektywa świeżego startu, powiedział zaś wprost: „Owszem, paru z tych generałów jest w porządku, ale czy którykolwiek z nich ma choćby najmniejsze cechy przywódcze albo umiejętności administracyjne? A poza tym, kiedy przeszliśmy do porządku dziennego nad pierwszym przewrotem, każdy, kto dysponuje choćby dwoma czołgami, będzie teraz uważał, że ma licencję na zmianę rządu"[44].

Przybywając do Wietnamu, David Elliott był „przekonany, że robiliśmy to, co należało. Szybko jednak zacząłem sądzić, że zamiast popierania przewrotu powinniśmy byli spojrzeć prawdzie w oczy: między nami a naszymi sojusznikami nie było żadnej wspólnoty celów. Powinniśmy byli odwrócić się i odejść”[45]. Pewien Australijczyk, który później pracował w Wietnamie, napisał z kolei: „Amerykanie wciąż nie nauczyli się tego, że nie są w stanie siłą narzucić «demokracji» na Południu. Jeśli zatem [USA] wspierają jakiś rząd, oznacza to tyle, że jest on z góry skazany na porażkę”[46]. A oficer CIA Rufus Phillips, protegowany Eda Lansdale’a, o zabiciu Diema wyraził się następująco: „Chciało mi się tylko usiąść i płakać (...). To była bardzo głupia decyzja, za którą przyszło drogo zapłacić, mój Boże, jak drogo: nam, im i w ogóle wszystkim”[47]. W proteście przeciwko temu, co zaszło, były ambasador w Sajgonie „Fritz” Nolting odszedł z Departamentu Stanu.

22 listopada 1963 roku, w Dallas zamordowany został czterdziestosześcioletni wówczas prezydent Stanów Zjednoczonych John F. Kennedy. A kiedy świat opłakiwał jego śmierć, garstka Amerykanów znająca kulisy wydarzeń w Sajgonie sprzed trzech tygodni nie mogła nie zauważyć pewnej okrutnej symetrii. Następcą Kennedy’ego został jego wiceprezydent Lyndon Johnson, człowiek dysponujący znaczącymi talentami politycznymi, o których jednak nikt w przyszłości nie miał pamiętać, bo przeszedł on do historii jako kojarzony niemal wyłącznie z koszmarem wojny wietnamskiej. W pierwszych dniach jego urzędowania niewielu ludzi poza Ameryką w ogóle cokolwiek wiedziało o tym nowym przywódcy światowego mocarstwa. Londyński „The Times” zauważał z dość czytelnym sceptycyzmem: „Na arenie światowej jest to postać właściwie nieznana”[48]. Z kolei Arthur Schlesinger pisał lekceważąco: „Nie dość, że niewiele wie, to jeszcze wydaje się mało zainteresowany pogłębianiem swojej wiedzy, na przykład poprzez rozmowy z zagranicznymi gośćmi”[49].

Wylano już morze atramentu, spekulując, jaki kurs polityczny mógłby przyjąć w Wietnamie John F. Kennedy, gdyby nie dosięgły go w Teksasie śmiercionośne kule. William Colby z CIA uważał, że

prezydent uznałby potrzebę przyjęcia wiarygodnej strategii politycznej jako warunku wstępnego wysłania do Wietnamu amerykańskich żołnierzy. A pracujący w Białym Domu Kenny O'Donnell twierdził później, iż na własne uszy słyszał, jak prezydent mówi, że idealnym wyjściem z sytuacji byłaby skierowana przez reżim w Sajgonie prośba do Amerykanów o opuszczenie kraju. Jest też całkiem możliwe, że monarcha władający Camelotem mógłby upierać się przy mniejszym zaangażowaniu militarnym, zamiast wysyłać od razu pół miliona żołnierzy. Robert McNamara twierdził nawet, że Kennedy zdecydowałby o wyjściu z Wietnamu wkrótce po wygraniu wyborów prezydenckich w roku 1964. Autorka biografii sekretarza obrony przyznaje – co warto zauważyć – że zaczął on wyrażać to przekonanie dopiero po upływie długiego czasu[50].

Tymczasem niemal wszystkie dowody świadczą o tym, że myślenie prezydenta było wówczas całkowicie zdominowane wymogami nadchodzącej kampanii wyborczej. Jeszcze poprzedniej wiosny wyznał on senatorowi Mike'owi Mansfieldowi, że skłania się ku opuszczeniu Wietnamu, ale nie zamierza tego uczynić przed dniem głosowania. A w przemówieniu przygotowanym na 22 listopada w centrum handlowym Dallas Trade Mart, Kennedy miał powiedzieć: „My, żyjący w tym kraju w tym pokoleniu, jesteśmy strażnikami na murach wolności (...). Nasza pomoc świadczona (...) [innym] narodom bywa czasem bolesna, ryzykowna i kosztowna, jak dzieje się to dzisiaj w Azji Południowo-Wschodniej. Ale my nie wzbraniamy się przed tym zadaniem". A J.K. Galbraith wspominał: „Wielokrotnie słyszałem, jak [Kennedy] mówi (...): «Istnieje ograniczona liczba ustępstw, jakie można poczynić wobec komunistów w jednym roku i przeżyć to politycznie»"[51].

Bezbrzeżny podziw, jakim otacza się obecnie tego prezydenta, często przesłania fakt, że w połowie listopada 1963 roku światowa pozycja Kennedy'ego była dość słaba. We wstępniaku w londyńskim „Timesie" z 12 listopada, zaledwie dziesięć dni przed zamachem w Dallas, redakcja pisała o „poczuciu paraliżu" przenikającym cały amerykański rząd oraz o „generalnym rozczarowaniu" jego działaniem, w tym klęskami politycznymi ponoszonymi na kilku kontynentach. „Z jakiegoś powodu

amerykańska administracja staje się coraz bardziej bezradna wobec wypadków zachodzących zarówno w kraju, jak i za granicą". Wobec takich ocen wydaje się zupełnie nieprzekonujące, by Kennedy ośmielił się działać w sposób, który naraziłby go na oskarżenia o słabość, przynajmniej do wyborów przewidzianych na listopad 1964 roku. Dopiero po ewentualnej reelekcji mógłby on wykazać się moralną odwagą, której brakowało Lyndonowi Johnsonowi, i zdecydować o ograniczeniu dalszych strat ponoszonych przez Amerykę – ale prawdopodobnie nie uczyniłby tego także i wtedy.

Polityka Kennedy'ego wobec Wietnamu naznaczona była tą samą fundamentalną skazą co w przypadku każdego innego prezydenta sprawującego urząd w latach 1945–1975: swoimi korzeniami tkwiła głęboko w wymogach sytuacji wewnętrznej, a nie w realistycznych ocenach rzeczywistych interesów i życzeń narodu wietnamskiego. Kennedy był człowiekiem zbyt inteligentnym i wrażliwym – wystarczy prześledzić jego wcześniejszy sceptycyzm wobec zaangażowania w Indochinach – by nie zdawać sobie sprawy z tego, że szanse na sukces militarny Ameryki były tam właściwie niewielkie. Ale w klimacie zimnej wojny, która akurat wtedy była dosłownie lodowata, polityczne koszty związane z pozostawaniem w Wietnamie Południowym musiały być przez samego Kennedy'ego i jego Biały Dom oceniane jako niższe od kosztów wycofania się stamtąd, co odczytywano by jako porażkę i oddanie pola komunistom. Najwyraźniej ani prezydent, ani Robert McNamara nie byli w stanie dostrzec, jak bardzo Wietnam może w przyszłości zaszkodzić ich własnemu krajowi.

Do końca 1963 roku rząd w Sajgonie w praktyce nie miał już żadnych swoich przedstawicieli w niektórych częściach Delty Mekongu, określanych teraz przez komunistów jako Strefa 20/7 – od daty porozumień genewskich z roku 1954 – a tego rodzaju „obszary wyzwolone" zaczęły się błyskawicznie rozszerzać w zamieszaniu powstałym po śmierci Diema. Morale w wojskach Południa było już tak niskie, że nawet rzekomo elitarne formacje nie wykazywały większego apetytu na wchodzenie w zwarcie z nieprzyjacielem. Załamał się program „osad strategicznych". W zdumiewająco szybkim tempie na rozległych połaciach kraju NFW znalazł się praktycznie bez

przeciwnika. Amerykanie z lubością opowiadali sobie czarny dowcip o konwersacji, do jakiej miało rzekomo dojść między Lodge'em a „Dużym" Minhem: kiedy ambasador zachęcał generała do wystąpienia w telewizji, by dodać otuchy narodowi wietnamskiemu, tak jak uczynił to Lyndon Johnson wkrótce po zamordowaniu Kennedy'ego, Minh odparł: „Świetnie. To dajcie nam tę telewizję"[52].

Upadek Diema był głównym tematem kryzysowego posiedzenia Komitetu Centralnego w Hanoi, które rozpoczęło się 22 listopada. Ho Chi Minh wzywał do umiarkowania, ale młode jastrzębie nie chciały o tym słyszeć i szybko go zakrzyczały: z niepotwierdzonego źródła wiadomo, że w pośpiechu opuścił wtedy salę, skonsternowany czy też oburzony. Byłby to wprawdzie mało charakterystyczny dla niego gest, ale z drugiej strony już miesiąc później miał on podobno powiedzieć sowieckiemu ambasadorowi, że nosi się z zamiarem wycofania się z życia politycznego. Wiemy natomiast na pewno, że wraz z tym właśnie posiedzeniem nastąpił koniec jakiegokolwiek znaczącego wpływu Ho na bieżące wydarzenia – choć wciąż zachował on status przywódcy nieomal utożsamianego ze swoim krajem w oczach reszty świata – a nieograniczoną już w praktyce władzę w Hanoi dzierżył odtąd Le Duan, mając za prawą rękę i najbardziej wpływowego podwładnego Le Duc Tho. Le Duan dysponował teraz nieocenioną przewagą zarówno nad przeciwnikami we własnym kraju, jak i nad wrogami w Stanach Zjednoczonych – pozostał oto jedynym liczącym się graczem na scenie politycznej, a przy tym miał przed sobą jasny i niewzruszony cel: stworzyć zjednoczony Wietnam rządzony na modłę stalinowską. Warto przy tym zauważyć, że na niecałe trzydzieści lat przed upadkiem imperium sowieckiego nie przejawiał on najmniejszego zrozumienia dla fundamentalnej niewydolności jego modelu gospodarczego.

Relacje z Chinami – teraz już bardziej stalinowskimi w charakterze od samego Związku Sowieckiego po śmierci Stalina – zaczęły się szybko zacieśniać: jeszcze 2 sierpnia w Pekinie Chińczycy zawarli porozumienie gwarantujące bezpośrednie wsparcie wojskowe dla Wietnamu Północnego w przypadku amerykańskiej inwazji. Jest wprawdzie bardzo wątpliwe, czy Mao zechciałby honorować to

zobowiązanie, ale tamtej jesieni 1963 roku sam fakt podpisania takiego dokumentu bardzo wzmocnił pozycję Le Duana i popierających go towarzyszy w północnowietnamskim politbiurze. A wkrótce potem przebywający z wizytą w Hanoi prezydent Chin Liu Shaoqi mówił o perspektywie wyzwolenia Południa z takim entuzjazmem, jakiego nie słyszano wcześniej z ust żadnego polityka z Pekinu. Chińskie uzbrojenie napływało teraz w coraz większych ilościach i szybko trafiało na „pole bitwy B", jak w Hanoi określano Południe, a wkrótce wymaszerowało tam też 7850 żołnierzy Północy. Listopadowe posiedzenie Komitetu Centralnego Partii zakończyło się zaś jednomyślną zgodą na prowadzenie nowej, bardziej aktywnej, agresywnej i wybitnie militarnej polityki wobec Południa.

Le Duan i jego towarzysze uważali, że nowy rząd w Sajgonie szybko się załamie, wobec czego jest mało prawdopodobne, by Amerykanie zechcieli wysyłać swoje oddziały bojowe w celu wspierania przegranej sprawy. Chcąc jak najszybciej wypełnić próżnię powstałą na Południu, postanowili dążyć do błyskawicznej eskalacji, co znalazło swój wyraz w Uchwale nr 9, sformułowanej w grudniu 1963 roku, a zapisanej w postaci dwóch dokumentów, z których jeden opublikowano 20 stycznia 1964 roku, a drugi pozostał tajny: Zobowiązanie do walki i parcia naprzód w celu odniesienia nowych zwycięstw na Południu. Z kolei na froncie wewnętrznym zwolennicy twardej linii rozpoczęli kolejną falę czystek przedstawicieli „prawicowego odchylenia", wśród których nie brakowało bohaterów z czasów Wietminhu; w rezultacie tysiące urzędników, dziennikarzy i intelektualistów wysłano wówczas na reedukację.

Uchwała nr 9 stanowiła historyczne wręcz zobowiązanie do toczenia walki zbrojnej aż do samego końca. Moskwa i Pekin początkowo niepokoiły się możliwymi konsekwencjami tego dokumentu do tego stopnia, że przez kilka miesięcy Sowieci praktycznie wstrzymali wysyłanie pomocy do Wietnamu Północnego, a w Hanoi nie urzędował nawet rosyjski ambasador, ale ostatecznie obie stolice niechętnie doszły do przekonania, że w odbiorze zewnętrznym muszą pokazać swoje wsparcie dla sprawy rewolucji i wyzwolenia narodowego, co zaowocowało jeszcze hojniejszymi dostawami uzbrojenia i sprzętu.

Tymczasem Hanoi wciąż zaostrzało swoją retorykę: „Nadszedł już czas, by Wietnam Północny zwiększył swoją pomoc dla Południa (...). Wróg (...) wykorzystuje swoje siły zbrojne do zabijania i ograbiania ludzi (...). Jedynym sposobem, bo go zgnieść, jest walka zbrojna, która odtąd stanie się stanowcza i zdecydowana". Choć początkowo największe wzmożenie działalności partyzanckiej zaobserwowano w Delcie Mekongu, to z czasem środek ciężkości starć zbrojnych zaczął się przesuwać w stronę Płaskowyżu Centralnego i obszaru położonego na północny zachód od Sajgonu. Komuniści wyznaczyli sobie zarazem nowy ambitny cel: zetrzeć się w boju z południowowietnamską armią, mocno ją poturbować, a w konsekwencji złamać ducha walki w jej żołnierzach.

Niektórzy historycy uważają, że w latach 1962–1963 zaprzepaszczono cały szereg poważnych szans na zawarcie układu pokojowego. Jest to stwierdzenie o tyle prawdziwe, że przywódcy Wietnamu Północnego, w tym również sam Le Duan, przez jakiś czas rzeczywiście rozważali przystąpienie do negocjacji mających zaowocować najpierw wyjściem Amerykanów, a następnie przyznaniem Wietnamowi statusu państwa neutralnego. Wydaje się jednak dalece nieprawdopodobne, by prezydent Diem zaakceptował jakiekolwiek porozumienie wymagające od niego podzielenia się władzą z NFW. Co więcej, nawet gdyby doszło do zawarcia jakiejś ugody, miałaby ona z całą pewnością charakter jedynie tymczasowy i nie uchroniłaby Wietnamu przed ostatecznym zjednoczeniem pod rządami komunistów, jako że ani Hanoi, ani CBWP nie wyrzekłyby się przemocy, dopóki nie osiągnęłyby celu, do którego od samego początku dążyły.

Spoglądając z perspektywy dnia dzisiejszego, możemy słusznie uznać, że tego rodzaju rozwiązanie, swoisty akt kapitulacji, i tak byłoby lepsze od mającej nadejść dekady morderczych walk, które czekały ten kraj. Większość Wietnamczyków z Południa, a już na pewno przywódcy buddyjscy, zapewne wybrałaby pokój, i to na dowolnych warunkach, jednak ich amerykańscy sponsorzy odrzucali takie rozstrzygnięcie, argumentując, że skazywanie ludzi z Wietnamu Południowego na równie ciężki los gospodarczy, społeczny i polityczny, jakiego

doświadczali już ich rodacy na Północy, byłoby wobec nich zdradą o historycznym wymiarze.

Nikita Chruszczow, Mao Zedong i Ho Chi Minh podczas bankietu zorganizowanego w ramach obchodów dziesiątej rocznicy przejęcia przez komunistów władzy w Chinach, Pekin, 1 października 1959 roku

Za okropności i nieszczęścia, jakie spadły na Wietnam po śmierci Johna F. Kennedy'ego, w równym stopniu odpowiedzialni są komuniści, co przywódcy Stanów Zjednoczonych, bowiem obie te strony wolały najpierw odwołać się do przemocy, a następnie bezrozumnie nakręcać jej spiralę, byle tylko nie nagiąć się do woli nieprzyjaciela. Oficer amerykańskiej artylerii polowej Doug Johnson powiedział: „Pierwszym zasadniczym punktem zwrotnym tej wojny było zamordowanie Diema. Od tamtego dnia straciliśmy prawo do głoszenia naszej wyższości moralnej. Wszyscy wiedzieli, że jesteśmy współwinni. Kto by nam teraz zaufał? Kiedy służyłem w Wietnamie, myślałem sobie: «Zrobię, co w mojej mocy, i życzę tym ludziom jak najlepiej, ale nie mam w sobie zbyt wiele nadziei, że to wszystko skończy się dobrze»"[53].

8
Labirynt

1. „TEJ WOJNY WYSTARCZY DLA KAŻDEGO”

Kiedy porucznik Don Snider przybywał do Wietnamu, pewien lecący wraz z nim generał, widząc jego zniecierpliwienie, uśmiechnął się tylko i powiedział: „Synu, tej wojny będzie wkrótce tyle, że wystarczy jej dla każdego”. Snider urodził się w roku 1940 w rodzinie farmerów z Ohio hodujących bydło. Poszedł do West Point, „bo [ta szkoła] reprezentowała mniej więcej te wartości, w których duchu mnie wychowano”[1], a w roku 1964 był już w Wietnamie, gdzie szkolił południowowietnamskich żołnierzy sił specjalnych i doradzał ich dowódcom. Wszyscy Amerykanie odbywający służbę wojskową w Wietnamie w tych pierwszych latach konfliktu jechali tam jako ochotnicy, szukając emocji, a znajdując głównie frustracje. W ramach realizowanych operacji Snider niejednokrotnie wykonywał skoki ze spadochronem nieopodal zbiegu granic trzech państw: Wietnamu, Laosu i Kambodży: „Kiedy wyskakiwałem z samolotu nocą, nie byłem nawet pewien, nad którym krajem akurat przelatywaliśmy”. Skoczkowie lądowali na koronach najwyższych drzew w dżungli, a następnie na linach spuszczali się na ziemię. Snider wręcz uwielbiał paru swoich ówczesnych kolegów z Ameryki, w tym niesamowitego podoficera, sierżanta Zahky’ego. „Miałem naprawdę dużo szczęścia, że mogłem być na tej wojnie z kimś takim jak on!” – opowiadał z podziwem. A po całych dniach i nocach spędzanych na badaniu terytorium wroga czekała ich najtrudniejsza część zadania: trafić na miejsce, skąd miały ich zabrać z powrotem amerykańskie helikoptery.

Nigdy za to nie udało mu się bliżej zaprzyjaźnić z żadnym z podległych mu Azjatów, z których większość była Nungami – etnicznymi Chińczykami: „Podczas trzech wyjazdów do Wietnamu nigdy nie zdołałem ich naprawdę poznać, ani nawet zorientować się, któremu mogę zaufać. To byli najemnicy. Mówili: «Jak mi zapłacisz, to będę walczył». A na końcu i tak okazało się, że sama zapłata to za mało". Snider ukończył siedem misji rozpoznawczych głęboko w dżungli, zanim przeniesiono go do Delty, gdzie miał szkolić miejscowych żołnierzy i dowodzić siłami broniącymi granicy z Kambodżą. Kiedy zlecono im poszukiwanie porucznika Nicka Rowe'a, Teksańczyka z sił specjalnych, którego Wietkong przetrzymywał od pięciu lat, musieli wdać się w kilka potyczek z nieprzyjacielem, parę razy wpadli też w jego zasadzki. Z jednego z takich starć Snider wyniósł na własnych plecach rannego tłumacza, przy okazji ratując podziurawione kulami radio: „W Wietnamczykach, wśród których przebywałem, nie było żadnej woli walki. Myślałem sobie: jeśli w taki sposób mamy toczyć tę wojnę, to słabo widzę nasze szanse na sukces". Zanim skończył się ten okres służby w Wietnamie, Sniderowi „odechciało się mieć cokolwiek wspólnego z siłami specjalnymi, czy w ogóle z Wietnamczykami. Nie chodziło nawet o to, że rozczarowałem się wojną – po prostu zorientowałem się, że wszystko to nie było warte całego wysiłku, jaki tam wkładałem".

Snider doszedł do przekonania, że jedynymi doradcami, którym udawało się cokolwiek osiągnąć, byli ci potrafiący – w odróżnieniu od niego samego – nawiązać głębsze relacje z miejscowymi. Frank Scotton wkrótce po przybyciu do Wietnamu miał okazję jechać jeepem z jakimś sierżantem, który bezustannie machał i uśmiechał się ekstrawagancko do każdego mijanego cywila. Wreszcie Scotton zapytał go: ale po co właściwie to całe przedstawienie? Kierowca odparł na to: „Kiedy mnie złapią, chciałbym, żeby Wietnamczycy zapamiętali mnie jako wielkiego, głupkowatego i przyjaznego Amerykanina"[2]. Z kolei pełniący funkcję strzelca helikopterowego Erik Dietrich uwielbiał swoich kolegów z ARVN; wielu z nich ratował zresztą, kiedy odnieśli rany na polu bitwy, choć nie zawsze mu się to udawało: „Umierali w ciszy, czasami wręcz z takim wyrazem twarzy, który brałem za przeprosiny za to, że muszę

się do nich fatygować i za całe to zamieszanie z ich powodu". Dietrich zapamiętał zwłaszcza jednego z filigranowych spadochroniarzy, z którymi się zaprzyjaźnił, bo próbował utrzymywać z nim kontakt nawet po jego przeniesieniu. „Jego ostatni list do mnie krążył jakiś czas po kraju, zanim do mnie dotarł: «Brakuje mi ciebie już od miesiąca. Ciągle wspominam nasze wspólne szkolenia i misje. Nigdy ich nie zapomnę (...) Życzę ci powodzenia w twojej służbie. A kiedy znów się zobaczymy, będę miał dla ciebie niezłą opowieść»". Ale, jak wspominał później ze smutkiem Dietrich: „Niestety, tej «opowieści» już nigdy nie usłyszałem. Nguyen Chanh Su, Vo Van Co, Bong Ng-Huu. Co się z wami wszystkimi stało? Pham Gia Cau, mój drogi dzielny wojaku, walczyłeś jeszcze pod Dien Bien Phu, a po podziale kraju pomaszerowałeś na Południe; ileż razy bez wahania powierzałem ci swoje życie, ufając twoim umiejętnościom, ty na zawsze pozostaniesz w moich modlitwach"[3].

Ale byli też tacy Amerykanie, których Wietnam przywodził niemal na skraj rozpaczy. 1 marca 1964 roku oficer służby zagranicznej Doug Ramsey napisał do swoich rodziców: „Cały ten rząd jest przeżarty głębokim zepsuciem, od góry do dołu. Pociągasz za jakąś dźwignię, a tam nie ma kabla; a kiedy już zdołasz znaleźć kabel, okazuje się, że na jego drugim końcu i tak nic nie ma (...). Jeśli nie jesteśmy skłonni wprowadzić tu jakichś naprawdę rewolucyjnych zmian, to obawiam się, że racja jest po stronie tych wszystkich, którzy mówią, że w ogóle nie mamy tu czego szukać. Jeśli nie jesteśmy w stanie zaoferować narodowi wietnamskiemu niczego lepszego od przeciągającej się walki (...), jeśli mamy w dalszym ciągu tylko (...) podpierać jakiś feudalny reżim, który i tak jest skazany na upadek (...), to nie możemy oczekiwać [ze strony Wietnamczyków] realnego poparcia"[4].

W późniejszym czasie Ramsey został asystentem Johna Paula Vanna, który nie służył już wówczas w armii i pełnił funkcję regionalnego szefa do spraw pacyfikacji w Delcie. Jak zapamiętał, pułkownik zwykł przyglądać się wszystkim i wszystkiemu „pełnymi determinacji oczkami – z lekkim zezem rozbieżnym, co przypominało mi trochę spojrzenie tego gwiazdora filmowego Lloyda Bridgesa – które przebijały cię niczym szaroniebieskie promienie laserowe. Jego głos był trochę

chropowaty, z wyraźnym akcentem z południowej Wirginii. Był raczej niski, jego jasne włosy przerzedzały się z lekka nad czołem, a mając już czterdzieści jeden lat, dorobił się też niewielkiego brzuszka”[5]. Ramsey podziwiał Vanna za jego „zwierzęcą żywotność fizyczną”, która wcale nie malała pod koniec zwyczajowego szesnastogodzinnego dnia pracy, a także za ogromną ambicję: „Chciał wiedzieć wszystko o wszystkim i o wszystkich. A ponieważ dysponował doskonałą pamięcią i okiem do szczegółów, mógłby – gdyby chciał – zostać nadzwyczaj skutecznym administratorem (...) tyle że był człowiekiem czynu i ciągnęło go zawsze tam, gdzie coś się działo. Sam o sobie mawiał, że jest w głębi serca zwykłym prostakiem z Wirginii, i może rzeczywiście nim był. Okazywał krańcową lojalność wobec przyjaciół i równie krańcową nienawiść wobec wrogów. Świetnie odnajdywał się też w sieciach: potrafił z całą bezwzględnością i zwykle z korzyścią dla siebie kultywować znajomości z każdym, kto tylko mógłby mu się do czegoś przydać”. Bez przerwy dbał o zachowanie formy fizycznej: potrafił zrobić salto z miejsca i brylował jako siatkarz.

Generał broni Fred Weyand powiedział kiedyś o Vannie: „Temu facetowi bez wahania powierzyłbym swoje życie”. Ramsey opisywał go zaś jako człowieka fanatycznie wręcz przestrzegającego samodyscypliny, z jednym wszakże wyjątkiem: seksu. „Pomysł Johna na zrelaksowanie się to były dwie siostry w tę samą noc, w sumie jednak nie mogłem narzekać, bo zaoferował się, że włączy mnie do spółki”[6]. Ale zdaniem Ramseya mimo takiego uganiania się ze miłosnymi przygodami ten człowiek z pogmatwaną osobowością przez całe swoje życie kochał tylko jedną kobietę: byłą żonę Mary-Jane, która rozwiodła się z nim, bo tak często ją zdradzał. Z kolei kapitan amerykańskiej armii i doradca wojskowy Gordon Sullivan podziwiał Vanna za doskonałe rozumienie wietnamskiej rzeczywistości i brak skłonności do gierek, byle tylko zadowolić swoich amerykańskich szefów. „Zwykł mawiać: «Nie interesują mnie żadne cyrkowe sztuczki». Opór, z którym przyszło mu się mierzyć, brał się w dużej mierze ze zwykłej zazdrości”.

Ludzie skłonni do refleksji, tacy jak Doug Ramsey, czuli na zmianę to irytację nieudolnością polityki amerykańskiej, to odrazę do barbarzyństwa komunistów. A okrucieństwa tych ostatnich były

w zasadzie na porządku dziennym: „strzelanie do ludzi na szkolnych dziedzińcach w nadziei, że wśród pięćdziesięciorga zabitych dzieci znajdzie się też za trzech żołnierzy ARVN; zabijanie dziesiątek cywilów w restauracjach czy na ulicach, byle tylko dopaść ze dwóch Amerykanów; ostrzeliwanie Bogu ducha winnych miasteczek tylko po to, by sterroryzować ich mieszkańców; mordowanie nieuzbrojonych nauczycieli albo już rozbrojonych jeńców wojennych; zabijanie oprócz oficerów rządowych również ich przyjaciółek i dziewczyn”[7]. Ramsey argumentował, że w tej sytuacji należało wdrożyć skuteczny program pacyfikacyjny, posługując się małymi lokalnymi grupami prowadzonymi przez doradców, bezwstydnie wzorowanymi na komórkach komunistycznych.

On i Frank Scotton przybyli kiedyś bez zapowiedzi do jakiejś małej wioski, a kiedy weszli na dziedziniec siedziby jej naczelnika, zastali tam grupkę odzianych na czarno mężczyzn, w oczywisty sposób ludzi z NFW. Debatowali nad czymś zażarcie, a po zjawieniu się obu przybyszów tylko łypali na nich wrogo oczami, ale nie wykonywali żadnych nieprzyjaznych ruchów, widząc, że Amerykanie są uzbrojeni. Zdenerwowany naczelnik wioski wciąż powtarzał, że jeśli i jedni, i drudzy zajmą się swoimi sprawami, nie musi się wydarzyć nic nieprzyjemnego. Po jakimś czasie komuniści zorientowali się, jak komiczna była cała ta sytuacja, i nawet zaczęli pozować do zdjęć. A kiedy Amerykanie wreszcie odjechali, zapewne obie strony głęboko odetchnęły, że wszystko to nie skończyło się jakąś wietnamską wersją *W samo południe*. A potem przyszła refleksja, że nieprzyjaciel prowadzi już teraz swoje interesy zupełnie otwarcie, w biały dzień, zaledwie godzinę jazdy na południowy zachód od Sajgonu.

Mimo wszystkich trudności i frustracji Ramsey, podobnie jak Scotton i Vann, pokochał życie w Wietnamie. Wyśmiewał wprawdzie wszelkie porównania typu Lawrence z Indochin, ale sam lubił o sobie myśleć jako o Spartakusie, „choć z drugiej strony dobrze to on nie skończył”. Napisał kiedyś: „W najgorszym razie pobyt w Namie[3*] dawał okazję przeżycia naprawdę dziecięcych fantazji i wczucia się w rolę prawdziwego macho, jaką się w nich zawsze odgrywało: oto bohaterski awanturnik z karabinem w jednej ręce i słodyczami dla dzieci w drugiej,

który za dnia wykonuje swój obowiązek wobec Boga, Ojczyzny, demokracji i wolności, nie bacząc na rozliczne niebezpieczeństwa, powodujące, że krew w żyłach płynie mu szybciej, a w pamięci przybywa świetnych historii do opowiadania, nie mówiąc już o czekających go awansach – a nocami ma możliwość posmakowania wszystkiego tego, co ma mu do zaoferowania Sajgon. Parafrazując tekst piosenki *Old Dope Peddler* Toma Lehrera z 1953 roku: w Wietnamie, robiąc dobrze innym, mogłeś też zrobić dobrze samemu sobie”[8]. Ale to nie ta satyryczna ballada Lehrera wpadła wówczas Ramseyowi najmocniej w ucho; z czasem zaczął on wręcz obsesyjnie słuchać *War Requiem* Benjamina Brittena.

Frank Snepp z CIA przybył do Wietnamu nieco później, ale ulepiony był w zasadzie z tej samej gliny. Ten syn mocno zakorzenionego w lokalnym establishmencie byłego pułkownika marines, a później sędziego, miał od zawsze trudności z dogadywaniem się z ojcem. Ze dzieciństwa spędzonego w Karolinie Północnej najlepiej wspomina swoją czarnoskórą nianię. Kiedy po ukończeniu Szkoły Spraw Międzynarodowych na Uniwersytecie Columbia zgłosił się do CIA, jego głównymi atutami były, jak sam napisał: „aryjska krew, mentalność członka ekskluzywnego klubu towarzyskiego i kapitalna umiejętność udawania”[9]. Po prawdzie mógłby tu jeszcze dorzucić świetny wygląd, dzięki któremu był później w stanie sypiać ze zdumiewającą liczbą dziewcząt, w tym również z pracownicami swojej Agencji. Krytycy zarzucali mu chutliwość, choć on sam wolał to raczej nazywać romantyzmem. Kiedy dwa tygodnie po rozpoczęciu przez Sneppa pierwszego okresu służby w Wietnamie w charakterze oficera wywiadu jego pilatus porter wiozący go na drugą stronę Delty Mekongu został trafiony w skrzydło kilkoma komunistycznymi kulami, ten dwudziestosześciolatek aż podskoczył z podniecenia i wciąż szeptał do siebie półgłosem: „Podoba mi się tu! Boże, jak mi się tu podoba!”. A później powiedział: „Tam było po prostu wspaniale. Zakochałem się w Wietnamie i w Wietnamczykach (...). Uważałem, że jeśli CIA będzie zbierać właściwe dane wywiadowcze i przekazywać je właściwym ludziom, wówczas możemy naprawdę popchnąć sprawy w lepszym kierunku”[10].

Harry Williams w kwietniu 1964 roku zaczął pracować w jednostce podsłuchującej wiadomości radiowe i od początku praca ta bardzo mu się podobała: „To była dobra wojna, wspaniała wojna. A my byliśmy kowbojami. Uwielbiałem tę pracę i czułem, że naprawdę się na coś przydaję. Byłem przekonany o słuszności naszej sprawy, a także o tym, że wygramy". W domu w Ameryce zostawił ciężarną żonę Peggy, a sam wynajął w Sajgonie mieszkanie. A ponieważ umiał mówić nie tylko po angielsku, wietnamscy sąsiedzi szybko zaczęli go nazywać „Francuzem". Dużo podróżował po całym kraju i rozmawiał z miejscowymi, zanim jeszcze ruszanie się poza miastami stało się śmiertelnie niebezpieczne. Pewnego dnia w jakiejś wiosce w pobliżu Da Nang miejscowy staruszek zapytał go ze zdumieniem: „Ale dlaczego oni zabili Kennedy'ego?". Williams uważał, że wielu Wietnamczyków podskórnie rozumiało, iż zabity prezydent starał się im jakoś pomóc, więc instynktownie wiązali jego śmierć z tym właśnie faktem. Amerykanin zaobserwował ponadto, że przeważającą wśród lokalnej ludności postawą polityczną była obojętność wobec każdej ze stron: „Przeciętny Kowalski na ulicy naprawdę ma to wszystko gdzieś; on chce tylko jakoś przeżyć".

Im dłużej tacy wrażliwi Amerykanie przebywali w Wietnamie, tym głośniej narzekali oni na zmiany zachodzące w Sajgonie. Ścięto wysokie platany rosnące wzdłuż ulicy Tu Do, a ruch uliczny się podwoił. Stary wyga Howard Simpson utyskiwał: „Ta senna, kolonialna stolica stała się teraz zatłoczoną i brudną wojenną metropolią"[11]. Doradca, pułkownik Sid Berry, napisał z kolei: „Sajgon bardzo się zmienił (...). Przybyło tłumów, wulgarności, blichtru, komercjalizmu, pazerności, chciwości, brudu i tandety. Za dużo Amerykanów. O wiele za dużo Amerykanów. To oni podbijają ceny i przyciągają wszystko to, co tanie, krzykliwe i pozbawione gustu"[12].

Tymczasem wojna stale nabierała tempa. Williams często chadzał na kolację do Brasserie, małej restauracyjki na tyłach kina Rex prowadzonej przez Helene, kobietę o pochodzeniu francusko-wietnamskim. Pewnego sierpniowego wieczora, kiedy tylko wszedł do środka, powitała go ona raczej mało uprzejmym, ale wygłoszonym poważnym tonem komunikatem: „Powinieneś dziś zjeść gdzie indziej".

Jak się okazało, godzinę później w lokalu wybuchła bomba. Tamtego lata Williams pracował w zespole monitorującym ruch Wietnamczyków z Północy na Szlaku Ho Chi Minha. Miał oni swoją bazę w Khe Sanh, blisko zachodnich krańców Strefy Zdemilitaryzowanej (DMZ) i niecałe 5 kilometrów od granicy z Laosem, gdzie zaszył się już inny oddział, należąca do sił specjalnych Drużyna A. Najważniejszymi osobami w zespole Williamsa byli cywile z Syracuse University Research Corporation, instytucji badawczej stworzonej na potrzeby Biura Wywiadu Marynarki Wojennej. Stosowaną przez nich technologię nazywano powszechnie POSSUM – od Portable Signal Unscramble Monitoring System (Przenośny System Rozkodowywania i Monitorowania Sygnałów).

Cały plan polegał na tym, by umieścić odpowiednie czujniki w pobliżu Wzgórza 1701. 28 maja kapitan marines Al Gray i trzech Wietnamczyków poleciało na to wzgórze helikopterem H-34, by oczyścić je przy użyciu defoliantów. Gray był nadzwyczaj poważnym i oddanym żołnierzem, który nic sobie nie robił z przytyków, że jego sierżant z ARVN kiedyś dowodził kompanią karabinów maszynowych w Wietminhu, mówiąc o nim tylko: „To doskonały wojownik". Na miejscu sprawy się jednak skomplikowały: kilka godzin po ich wylądowaniu spadł deszcz, a po nim zeszła mgła, która utrzymywała się przez trzydzieści kolejnych dni, uniemożliwiając odbiór zespołu. Przez jakiś czas czekali na miejscu, wydzielając sobie głodowe racje, ale w końcu zdecydowali, że muszą samodzielnie się ewakuować. Zejście z samej góry przebiegło w zasadzie bez większych incydentów, jeśli nie liczyć mnóstwa pijawek i paru większych zwierząt, ale tuż po wyjściu z dżungli zespół natknął się na kąpiącego się w rzece człowieka Wietkongu. Był bez broni, więc łatwo go zastrzelili, a potem skierowali się w stronę Khe Sanh. Przez ostatnich 10 kilometrów Gray musiał nieść jednego ze swoich rannych ludzi, za co otrzymał później Brązową Gwiazdę. A elektroniczny system monitorowania mógł wreszcie zacząć działać.

Wielu Amerykanów z tych pierwszych rzutów było uczciwymi ludźmi wierzącymi w Boga i czczącymi swoją narodową flagę. Sid Berry napisał do swojej żony Anne: „Wreszcie jakiś odpoczynek w ten weekend.

Naprawdę go już potrzebowałem. Ale teraz z powrotem w wirze zajęć. 101 przysiadów, 40 pompek, 30 skłonów, 2 rozdziały z Listu do Rzymian, ogolić się, wziąć prysznic, no i napisać list do Ciebie”[13]. Nawet jednak część z tych, którzy nie czytywali Biblii do poduszki, jak to zwykł czynić ów porządny pułkownik, w dużo mniejszym stopniu zainteresowana była dziewczętami z barów, niż głoszą to liczne legendy. Pewien nowo przybyły podoficer sił specjalnych przyglądał się z podziwem grubej warstwie brudu na ubraniach Franka Scottona i jego ludzi, którzy właśnie wrócili do bazy po kilku dniach spędzonych w terenie. „Kurczę, po tym, co tam przeszliście, założę się, że teraz marzycie tylko o wyskoczeniu do miasta i zabawieniu się z jakimiś ładnymi paniami”[14] – zażartował. Ale Scotton szybko wyprowadził go z błędu – po każdej akcji ich priorytety były zawsze takie same: wziąć kąpiel i wyspać się wreszcie w czystym łóżku.

Za to wśród Wietnamczyków tylko nieliczni cieszyli się możliwością uczestnictwa w wojnie. Należał do nich Nguyen Van Uc, który wylatał 6 tysięcy godzin jako pilot helikoptera. „Uwielbiałem latanie – powiedział – i miałem ogromną satysfakcję z wykonania zadania, kiedy wszystko poszło, jak należy”[15]. Większość jego rodaków zapatrywała się jednak na kwestię walki z dużo mniejszym entuzjazmem. Pewnego ranka w sierpniu 1964 roku porucznik Phan Nhat Nam z sajgońskiego 7. Batalionu Powietrznodesantowego natrafił z towarzyszami broni na wejście do jakiegoś bunkra w najwyraźniej opuszczonej wiosce. „Jest tam kto?” – zawołał jeden z jego ludzi, po czym odwrócił się do Nama i zaproponował: „Poruczniku, a może wrzucę do środka granat?”. Nam, mający wówczas zaledwie dwadzieścia jeden lat i wykonujący swoją pierwszą operację, powiedział żołnierzowi, żeby zamiast tego posłał tam serię ze swojego thompsona.

Wkrótce potem w otworze pojawił się jakiś staruszek, który płacząc, niósł na rękach leciwą kobietę ze straszną raną głowy. Położył ją na ziemi, a potem z pełną powagą zaczął czynić ukłony we wszystkie strony świata. Cały ten spektakl głęboko wstrząsnął Namem, podobnie jak widok dwóch martwych nastolatków z Wietkongu w pobliskim rowie – były to pierwsze trupy wrogów, jakie widział. Jak się okazało, w wiosce mieszkali katolicy, a w kościele znajdowało się pięć kolejnych

trupów – ciała męża i żony przytulających do piersi troje swoich dzieci. Wszyscy zginęli od wybuchu, podobnie jak młoda dziewczyna w różowej bluzie targanej przez wiatr, którą znaleźli nieopodal. Nam zapisał: „Byłem oszołomiony, z trudem mogłem oddychać i czułem w sobie mieszaninę złości i bezbrzeżnego smutku”[16].

Następnego dnia, kiedy w tej niemal całkowicie opuszczonej wsi pojawił się jego batalion, prowadząc okazjonalne wymiany ognia z wycofującym się przeciwnikiem, Nam znalazł jakąś młodą kobietę siedzącą pośrodku ceglanej podłogi w ruinach swojego domu, a na kolanach trzymającą wiklinowy kosz: „Jej oczy spoglądały prosto przed siebie, w pustkę, z krańcowym otępieniem”. Wstała dopiero wtedy, kiedy do zniszczonej chaty weszli żołnierze, a wówczas Hieu, radiooperator, minął ją, by w pomieszczeniu, które kiedyś było kuchnią, poszukać czegoś do jedzenia. Nam zapytał ją, dlaczego tu została, skoro wokół wciąż trwają walki. A kiedy to mówił, przypadkowo wskazał na nią trzymanym w ręku pistoletem i wówczas „ona wciąż nic nie odpowiadała, ale w jej zaszokowanych oczach ujrzałem przebłysk przerażenia. Nagle, jakby chciała wykonać jakieś ćwiczenie gimnastyczne, rzuciła w moją stronę ten kosz. W środku były dwie zmiany ubrań, bluzek i spodni, chusta na głowę i małe papierowe zawiniątko ściśnięte gumką. Kiedy je rozpakowałem, zobaczyłem dwa złote naszyjniki i parę kolczyków. Hieu wyszeptał za moimi plecami: «Ta suka zwariowała. Jest tak wystraszona, że całkiem oszalała». A potem zauważył naszyjniki. «To złoto! To musi być warte więcej niż cały *tael*! Zatrzymaj to, poruczniku». I pokazał dziewczynie, że ma odejść. A ona odwróciła się i zaczęła iść jak żywy trup”.

Nam opowiadał, że przywołał dziewczynę z powrotem i wyciągnął w jej stronę kosz. Ręce drżały jej tak mocno, że nie była w stanie go od niego wziąć i zamiast tego zaczęła rozpinać bluzkę, łkając przy tym po cichutku. Młody porucznik był głęboko zażenowany całą tą sytuacją – najwyraźniej dziewczyna zinterpretowała odrzucenie przez niego najcenniejszych rzeczy, które do niej należały, jako chęć wykorzystania jej ciała: „Co takiego musiała ona wcześniej przeżyć, że z przerażeniem rozpinała teraz bluzkę i ze łzami spływającymi po policzkach oferowała swoje ciało żołnierzowi, który mógłby być jej młodszym bratem?”[17].

Nam przekonał dziewczynę, żeby poszła wraz z jego plutonem nad brzeg pobliskiej rzeki rojącej się od sampanów wypełnionych ludźmi, którzy uciekli przed walkami. Ludzie w łodziach nawoływali się bezustannie, chcąc poznać los swoich rodzin i najbliższych. I pośród tych głosów nagle zabrzmiał krzyk: „Lai! Przecież to Lai!". Krzyczała jakaś starsza kobieta, która najwyraźniej rozpoznała roztrzęsioną dziewczynę przyprowadzoną przez porucznika Nama. A ona sama stanęła na chwilę bez ruchu, „jak gdyby starała się przywołać jakieś wspomnienie z odległej przeszłości". I w końcu zawołała: „Mamo! Mamo! Nasz dom się spalił! Naszego domu już nie ma!". Nam opisywał, że kiedy szła w stronę wody, wyglądała „jak osoba w jakimś transie".

Opowieści tej warto przyjrzeć się bliżej, i to z kilku powodów. Po pierwsze, choć niektóre południowowietnamskie jednostki wyrobiły sobie jak najgorszą reputację z powodu rabunków i gwałtów, byli też ludzie tacy jak Nam, żywiący głębokie uczucia zarówno do swojej ojczyzny, jak i do jej najzwyklejszych mieszkańców. Wielu Amerykanów przekonywało samych siebie, że przecież „Azjaci nie odczuwają śmierci w taki sposób jak my". Nie było to jednak tak. Sid Berry był poruszony wewnętrzną siłą ludzi, u których boku przyszło mu walczyć: „Ranni Wietnamczycy nie krzyczą, nie jęczą, nie użalają się. Oni też cierpią, ale w milczeniu i cierpliwie. Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem. Aż ściska cię za serce, kiedy na nich patrzysz – i kiedy widzisz, jak w tej ciszy umierają"[18].

Pewien brytyjski reporter relacjonujący bitwę pod Can Tho wybrał się tuż przed nią na krótką przechadzkę wzdłuż okopów pełnych żołnierzy, wśród których jeden głośno opowiadał innym o swoim domu w Nha Trang. A kiedy Wietnamczyk zauważył nowego przybysza, najpierw też zaprosił go do siebie, do domu, a następnie wskazał z zazdrością na jego zamszowe buty i powiedział: „Buty twoje, numer jeden". Zbity z tropu właściciel odparł, że jeśli chce, może je dostać po zakończeniu operacji, na co usłyszał odpowiedź: „O, nie. Ty bardzo duży. Mały ja". Nagle spadł ulewny deszcz, a chwilę później tuż obok nich wybuchł pojedynczy pocisk moździerzowy, rzucając Anglikiem o ziemię. Ku jego zdziwieniu, po tym pierwszym wybuchu nie nastąpiły kolejne. Podniósł się więc powoli. „Ręce mi się trzęsły, a serce waliło jak młot. Ale tuż przy mnie

usłyszałem jakieś dziwne odgłosy wydawane przez człowieka: coś między cichym płaczem a ciężkim łapaniem powietrza. Na ziemi leżał odwrócony hełm, który wyglądał teraz jak jakaś pusta skorupa, a obok zobaczyłem mojego nowego znajomego z Nha Trang. Jedną ręką trzymał się za brzuch, a drugą podpierał o ziemię (...) Oczy miał przymrużone, a po twarzy spływał mu strugami deszcz. Nagle dotarł też do mnie jakiś okropny smród. Rozchyliłem jego przemoczoną koszulę i zobaczyłem, że pod mostkiem zieje ogromna ciemna dziura – a w niej podarte ubrania wymieszane z deszczem, krwią, żółcią i wszystkim innym, co wydostaje się z trzewi, kiedy porozrywają je metalowe odłamki. Zamrugał szybko oczami i zmarszczył czoło. «Ranny ja» – wyszeptał cicho”[19]. Wkrótce potem zmarł.

Wielu wysokich rangą dowódców zachowywało się nie jak wojskowi, ale jak gubernatorzy danego regionu: pewien amerykański raport z roku 1966 stwierdzał, że od roku 1954 ranny został tylko jeden starszy oficer. Frank Scotton lubił patrzeć, jak Wietnamczycy grają w niezwykle przez nich lubianą *Co tuong*, chińską grę wojenną, której nazwa oznacza „Schwytać generała”, a przypomina ona znaną w Europie grę *L'Attaque*. Oprócz realistycznych pionków gra ta ma również dość realistyczne zasady – na przykład piechota może przekroczyć rzekę, ale nie może już wrócić na poprzednio zajmowany brzeg. A generałowie umieszczani w samym środku planszy nie mogą opuszczać swoich namiotów – czyli dokładnie tak, jak zachowywała się większość wyższej kadry dowódczej z Sajgonu.

Naczelnikom okręgowym wydawano przydziały ryżu dla żołnierzy z ich terenu, ale zazwyczaj przywłaszczali oni sobie sporą porcję przed przekazaniem reszty tym, dla których ryż był przeznaczony. Dobrze radzili sobie również naczelnicy policji, którzy zbijali małe fortuny, sprzedając licencje na wszelkie formy działalności handlowej: prowadzenie restauracji, łowienie ryb, wycinkę drzew. „W powszechnie panującej kulturze rodzinnej niewykorzystywanie okazji do pomocy swoim bliskim traktowane jest nieomal jak grzech” – wyjaśniał Edward Brady, który spędził w Wietnamie kilka lat jako doradca[20]. Jeśli więc jakiś generał zaklinał się, że nigdy w życiu nie sprzedał nikomu patentu oficerskiego, w swoim rozumieniu mówił prawdę – robiły to za niego

żona albo któraś z kochanek: „[Oficerowie] oderwali się od rzeczywistości. Wietnamczycy są w tym naprawdę dobrzy. Posiadają taką mentalną zdolność odcinania się od tego, co dla nich niewygodne, i udawania niewiniątek". Nguyen Cao Ky napisał kwaśno: „Większość starszych oficerów wietnamskich przejmowała się wyłącznie tym, jak zadowolić swojego [amerykańskiego] doradcę"[21].

Znacznie pozytywniej miały się sprawy po drugiej stronie barykady. Wobec pogłębiającego się rozdźwięku na linii Chiny–Sowieci Mao Zedong postanowił zmienić zdanie w kwestii Wietnamu, najwyraźniej dostrzegając pewne korzyści dla siebie w doprowadzeniu do intensyfikacji toczonych tam walk. Zaoferował więc Le Duanowi nową, ogromną dostawę pomocy wojskowej, a także zorganizowanie konferencji azjatyckich komunistów, bez udziału Sowietów. Członkowie politbiura w Hanoi zaczęli odtąd określać Chińczyków mianem „towarzyszy", Rosjan zaś – zaledwie „przyjaciółmi". Spór ideologiczny przybrał już tak ostrą formę, że czterdziestu Wietnamczyków pracujących albo studiujących w Rosji – wielu z nich blisko związanych z Giapem – poprosiło tam o azyl[22]. Cudzoziemcy zauważyli też, że z oferty jedynej w Hanoi obcojęzycznej księgarni zniknęły wszystkie publikacje w języku rosyjskim. Tak czy inaczej Le Duan odrzucił propozycję Mao, by zorganizować komunistyczną konferencję bez Sowietów: nie zamierzał wcale zrywać wszelkich stosunków z Niedźwiedziem, który mógł mu przecież zaoferować o wiele bardziej zaawansowaną broń od tej podsyłanej przez Smoka. Wkrótce do Moskwy udała się nawet oficjalna delegacja pod przewodnictwem jego samego i Le Duc Tho, by zapewnić Rosjan, że Wietnam Północny nie zamierza odrzucać sowieckiej polityki pokojowej koegzystencji na świecie.

Podczas partyjnej narady w Hanoi w marcu 1964 roku Ho Chi Minh wygłosił niezwykły osobisty apel, w którym wzywał do umiarkowania, w tym zwłaszcza do podjęcia przez przywództwo decyzji o niewysyłaniu na Południe żadnych regularnych formacji północnowietnamskiej armii. Nawet jednak bez takiej decyzji szlakiem jego imienia już podążała w strefę działań wojennych wciąż rosnąca liczba działaczy, doradców i wszelkiej maści specjalistów. Po drodze narażeni oni byli na

liczne trudności, powodowane tylko w niewielkim stopniu przez Amerykanów, a w znacznie większym przez właściwości terenu: braki żywności i środków medycznych, zmienną pogodę, ukąszenia insektów, malarię. Siły Wietkongu, których liczebność szacowano teraz na około 170 tysięcy, w tym jakieś 30 tysięcy żołnierzy wchodzących w skład głównych jednostek bojowych, otrzymywały już z Północy 15 ton uzbrojenia dziennie, zarówno drogą lądową, jak i morską. Podobnie jak zwolennicy twardej linii na Północy, kierownictwo południowego CBWP z niesmakiem spoglądało na utrzymującą się bojaźliwość frakcji Ho w czasie, gdy ludzie Wietkongu walczyli na śmierć i życie.

Mimo wszystko za sprawą Le Duana i Le Duc Tho zaangażowanie Wietnamu Północnego w działania wojenne podejmowane na Południu nabrało nowego impetu, czy może naznaczone było większą determinacją, by na wyglądane już od dawna zjednoczenie nie czekać kolejne dwadzieścia lat. W ciągu zaledwie kilku tygodni od ogłoszenia przez Hanoi wiosną 1964 roku przełomowej Uchwały nr 9 na Południu odnotowano czterdziestoprocentowy wzrost liczby lokalnych incydentów wywoływanych przez Wietkong i aż siedemdziesięciopięcioprocentowy wzrost większych ofensyw i ataków. Partyzanci wprowadzili własny system obowiązkowego poboru, pogłębiając tym samym dodatkowo nieszczęścia chłopów na kontrolowanych przez siebie obszarach. W jednej z wiosek w Delcie pod broń na rzecz szerzenia rewolucji powołanych zostało siłą aż trzystu młodych mężczyzn, w porównaniu do zaledwie osiemdziesięciu służących już od jakiegoś czasu w siłach Sajgonu. Pewien leciwy ojciec jednego z rekrutów wcielanych pod przymusem do Wietkongu nie mógł się z tym pogodzić i ubliżał działaczom: „Tak krytykujecie imperialistów, a sami jesteście jeszcze gorsi. Oddajcie mi mojego syna!”[23].

David Elliott napisał: „Brutalną siłą i podstępem: tak przede wszystkim zaciągano niechętnych walce rekrutów do służby [w Wietkongu], której młodzi mieszkający na wsi bali się już wtedy niemal równie panicznie jak pewnego wyroku śmierci”[24]. NFW obkładał ponadto podległą mu ludność podatkami wyższymi niż rząd w Sajgonie, zmuszając przeciętnego chłopa do oddawania przynajmniej

20 procent swoich przychodów. Jeden z takich wieśniaków, mieszkający w wiosce podlegającej teoretycznie kontroli rządu, skarżył się, że w roku 1964 musiał oddać temu ostatniemu 125 wietnamskich piastrów, a dodatkowo zapłacić aż 900 piastrów NFW, przy rocznych przychodach ze sprzedaży owoców mango wynoszących 17 tysięcy piastrów. Ale prawdziwa katastrofa przydarzyła mu się dopiero w kolejnym roku: choć jego przychody spadły do zaledwie 3 tysięcy piastrów, niewzruszeni komuniści zmusili go do oddania niemal całej tej kwoty, zostawiając mu tylko 200 piastrów.

Najlepsze jednostki głównych sił Wietkongu rozmieszczone były teraz na terenie Płaskowyżu Centralnego, w tak zwanym Żelaznym Trójkącie, obejmującym blisko 324 kilometry kwadratowe gęsto zaludnionych terenów wiejskich i rozciągającym się na północ od Sajgonu, w odległości zaledwie 25 kilometrów od miasta. Większość swoich operacji NFW przeprowadzał, angażując siły nieprzekraczające jednej kompanii, a to ze względu na trudności z doprowadzeniem do koncentracji większych jednostek. Najwyższy *esprit de corps* panował wśród saperów – grupowanych plutonami – którym w zamian za wykonywanie najtrudniejszych i najbardziej niebezpiecznych zadań na polu bitwy pozwalano na pewne rozluźnienie dyscypliny poza nim. Kiedy w pobliżu nie było akurat żadnych wojsk rządowych, partyzanci często rozglądali się za jakimiś łatwymi celami, takimi jak cywilne pojazdy, zwłaszcza autobusy, co rzecz jasna miało zazwyczaj fatalne konsekwencje dla pasażerów. Obrońcom wiosek i lokalnym jednostkom Wietkongu wydawano instrukcje ustanawiania „antyamerykańskich rozgraniczających stref zniszczenia" w celu utrzymania kontroli nad obszarami zajętymi uprzednio przez siły rewolucji.

Już wcześniej zdarzało się, że niektórzy członkowie rządowych formacji milicyjnych – tak zwanych Sił Regionalnych i Sił Ludowych – sprzedawali swoją broń za gotówkę, ale teraz proceder ten nasilił się na tyle, że Wietkong wprowadził wręcz swoisty taryfikator: 2 tysiące piastrów za karabinek M-1, 8 tysięcy za karabin automatyczny Browning plus po 8 piastrów za każdą sztukę amunicji i 20 tysięcy za poddanie całego posterunku. Pewnemu dowódcy jednego z takich rządowych posterunków udało się nawet „wynegocjować" jeszcze

więcej: kiedy wyłonił się z ciemności z latarnią nad głową, gotów wprowadzić lokalnych partyzantów za umocnienia, ci bez wahania wypłacili mu 30 tysięcy piastrów, po czym przez otwartą wcześniej przez tegoż dowódcę bramę wpadli na dziedziniec garnizonu, skąd w panice zaczęli umykać jego obrońcy, zostawiając za sobą pięciu zabitych i dwóch rannych[25].

Wyjąwszy biwakowanie w tak odległych i bezpiecznych lokalizacjach jak mokradła Dong Thap Muoi, większość jednostek Wietkongu zmieniała miejsce obozowania co 72 godziny, maszerując dziennie od 24 kilometrów w porze deszczowej do 30 kilometrów w porze suchej. I właśnie podczas przemieszczania się groziło im zazwyczaj największe niebezpieczeństwo, zwłaszcza gdy marszruta prowadziła w poprzek ubitych dróg – jedna ze starych ballad Van Ky, napisanych jeszcze w czasach Wietminhu, nieprzypadkowo nosiła tytuł *Przejść przez wielką drogę*. Mokre stopy zostawiały ślady mogące zdradzić partyzantów, więc nosili oni ze sobą wodoodporny materiał, który rozkładali przed sobą w takich newralgicznych miejscach. Od naczelników wiosek znajdujących się na trasie przemarszu wymagano wydawania obozującym oddziałom dodatkowych przydziałów ryżu z własnych rezerw, a także zapewnienia im tragarzy. Funkcję tych ostatnich pełniły nierzadko kobiety, pracujące w systemie rozstawnym, to jest przenoszące na krótkich dystansach po trzy karabiny i po jednym dużym pocisku lub po paczce 250 nabojów małego kalibru każda. Część dziewcząt nie miała nic przeciwko temu, bo w ten sposób mogły zapoznać się z młodymi chłopcami. Nikt natomiast, ani po stronie partyzantów, ani wśród przymuszanej siłą ludności cywilnej, nie cierpiał innego zadania: kopania rowów, budowy okopów i umocnień. Był to niewątpliwie rys łączący bojowników Wietkongu z żołnierzami ARVN i ich amerykańskimi sojusznikami. Wietkong tracił ludzi nie tylko w walkach: odpływał zeń dość stały strumień dezerterów, ale kiedy przechodzili oni na stronę rządową, takich *chieu hoi* traktowano tam nierzadko z dużą nieufnością. Pewien komendant oddziału partyzantów, który kiedyś dowodził udanym atakiem na jeden z rządowych posterunków, mocno się zapewne zdziwił, gdy po zmianie

stron oświadczono mu, że w armii południowowietnamskiej będzie tylko zwykłym szeregowcem.

Sporo trudności sprawiał Wietkongowi powietrzny program defoliacji, który w roku 1964 przybrał na intensywności, ponieważ partyzanci szybko tracili naturalne schronienie wśród gęstych lasów i zarośli. Poza tym obok licznych porażek siły rządowe raz na jakiś czas odnosiły też sukcesy. Któregoś dnia w Delcie dotkliwą klęskę poniósł nawet osławiony 514. Batalion Wietkongu; miało to zresztą miejsce w potyczce z siłami ARVN w okolicach osady Bac, tej samej, w której jeszcze nie tak dawno z fatalnym skutkiem wdrożono ambitny plan taktyczny nakreślony przez Johna Paula Vanna. Co ciekawe, po tamtej przegranej w roku 1964 również komuniści nie oparli się pokusie popełnienia tego samego błędu, który stał się udziałem generała Harkinsa zaledwie rok wcześniej – zaczęli kłamać w sprawie rozstrzygnięcia potyczki. Działacze rozgłaszali wszędzie wieści, że zabili rzekomo setkę żołnierzy rządu przy stratach własnych zaledwie dwunastu ludzi. Nie dali się na to nabrać szczególnie miejscowi, którzy nie tylko widzieli liczne trupy bojowników Wietkongu przy pobliskiej drodze, ale w większości musieli szukać wśród nich członków własnych rodzin. Pogrążeni w rozpaczy rodzice gotowi byli na wszystko, byle tylko odnaleźć ciała swoich dzieci i móc je pochować w rodzinnym grobie, jak nakazywała tradycja; czasem musieli wręcz wydobywać spod ziemi zakopane już ciała, a potem przenosić je na teren przydomowego cmentarza. Prawdę zapisano za to później w rejestrze tej jednostki: „W rezultacie tej bitwy 514. Batalion doświadczył potem poważnego regresu[26]". Przy innej okazji trzy bataliony Wietkongu przypuściły wspólny atak na wojskowe lotnisko i zostały odparte, ponosząc poważne straty; wówczas również próbowano okłamywać ludzi w sprawie tego, co naprawdę się wydarzyło.

Takie i inne przypadki sprawiły, że wśród lokalnych mieszkańców NFW zaczął tracić wiarygodność, a wraz z nią poparcie chłopów. Nie trwało to jednak długo, a powód był ten sam co zawsze: ataki sił rządowych szybko wyleczyły miejscową ludność z jakichkolwiek wątpliwości. W przeprowadzanych przez wojska Sajgonu nalotach powietrznych i ostrzałach artyleryjskich o wiele poważniejsze straty od

partyzantów Wietkongu ponosili właśnie cywile, ci pierwsi bowiem nauczyli się już, że jeśli dobrze się okopią, tego rodzaju ataki nie będą im właściwie czyniły żadnej większej krzywdy. Pewien wieśniak powiedział kiedyś analitykowi z RAND: „Amerykanie za dużo bombardują i niszczą. I tak zabijają tylko zwykłych ludzi, a tych z Wietkongu raczej niewielu". Wykorzystywali to rzecz jasna komuniści, których działacze mówili chłopom: „[Rząd] będzie was zabijał, nawet jeśli przeciwko niemu nie walczycie. To już lepiej chwyćcie za broń, zanim i tak zginiecie"[27]. Niestety, logika ta przemawiała do zbyt wielu Wietnamczyków. I choć komuniści przegrali w roku 1964 całkiem sporo starć i bitew, to udało im się utrzymać dość powszechne przekonanie, że to właśnie oni zdobywają teren i poparcie ludzi, a siły rządu w Sajgonie wciąż tracą i jedno, i drugie.

2. UNIKAJĄC DECYZJI

Długo po zakończeniu wojny w Wietnamie zapytany o nią prezydent Lyndon Johnson powiedział: „Od samego początku wiedziałem, że i tak zostanę ukrzyżowany, niezależnie od kierunku, który zdecyduję się obrać. Gdybym porzucił kobietę, którą naprawdę kochałem – [program] Great Society – po to, by zacząć się zadawać z tą rozpasaną dziwką wojny po drugiej stronie świata, wówczas utraciłbym wszystko, co zostawiłem w domu (...). Ale gdybym odwrócił się tyłem od tej wojny i pozwolił komunistom przejąć Wietnam Południowy, to byłbym postrzegany jako tchórz, a mojemu państwu zarzucano by dążenie do *appeasement*, wobec czego ani ja, ani to państwo nie bylibyśmy już w stanie dokonać niczego dla nikogo i nigdzie na całym świecie"[28].

Pozostając w stylistyce samego Johnsona, można powiedzieć obrazowo, że każdy nowy prezydent dziedziczy po swoim poprzedniku jego stajnię – i musi zaczynać od ujeżdżania nieswoich koni. A ta wojna okazała się najbardziej krnąbrnym ze wszystkich rumaków czekających na Johnsona. Snucie legendy o Camelocie i jego dworze rozpoczęło się na dobrą sprawę już chwilę po tym, jak ostatnia z kul przeszyła głowę Johna F. Kennedy'ego. Pierwszym zapewnieniem, jakie jego następca

złożył Kongresowi i narodowi amerykańskiemu, była obietnica podtrzymywania tej spuścizny, i nie sposób sobie nawet wyobrazić, że mógłby on wówczas powiedzieć cokolwiek innego. I choć sam Johnson z dumą powtarzał, że jest tylko grubo ciosanym właścicielem rancza z Teksasu – a określenie to bezustannie potwierdzał czynami: znany był na przykład z mało wyszukanych porównań w rodzaju „Nie pluj do zupy, bo wszyscy ją mamy jeść", albo z rzekomego zamiłowania do wiejskich przysmaków takich jak szparagi czy gotowany groch, albo wreszcie z fotografowania się z psem myśliwskim trzymanym za uszy – to bez wątpienia ten brak ogłady mocno mu dokuczał w zestawieniu z wyrafinowaniem Kennedy'ego i jego dworzan. Już znacznie później, rozczulając się nad sobą z powodu rzekomego opuszczenia go przez ludzi JFK, Johnson powiedział z żalem, że przecież w roku 1964 zdecydował się „przejąć całą stajnię z kompletem stajennych"[29] – czyli z członkami gabinetu Kennedy'ego.

Jeśli odłożyć na chwilę sprawę samego Wietnamu, okazuje się, że ekswiceprezydent był znacznie skuteczniejszym politykiem od swojego poprzednika, choć z pewnością nie miał tak pięknej przeszłości wojskowej jak ten niegdysiejszy dowódca łodzi torpedowej PT-109 na ogarniętym wojną Pacyfiku. Problem w tym, że trzeba jeszcze umieć czerpać satysfakcję z tego, co się robi, a ta akurat umiejętność – niezwykle naturalna u Jacka Kennedy'ego – nigdy nie przychodziła łatwo Lyndonowi Johnsonowi, co w dużej mierze wyjaśnia jego późniejszą tragedię. Nie potrafił on na przykład zdobyć zaufania najważniejszych wojskowych w kraju – być może dlatego, że lubił się przechwalać swoimi rzekomymi dokonaniami z czasów II wojny światowej. Kiedyś powiedział jednemu z reporterów, że znano go pod przydomkiem „Raider" („Komandos"), w co doprawdy trudno było uwierzyć, zważywszy na fakt, że jego jedynym doświadczeniem bojowym był lot w charakterze pasażera podczas zaledwie jednej misji bombowca B-26 w Nowej Gwinei w roku 1942, za który zresztą ów kongresmen z Teksasu miał później otrzymać od generała Douglasa MacArthura Srebrną Gwiazdę, niewątpliwie jedną z najbardziej niezasłużonych w całej historii tego odznaczenia.

Rzecz jasna, dbając o utrzymanie spuścizny Kennedy'ego, nowy prezydent wcale nie musiał bombardować Wietnamu Północnego ani wysyłać pół miliona żołnierzy na Południe. Nie do pomyślenia było jednak, by zaraz po objęciu urzędu – a do tego w roku wyborczym, u progu kampanii o reelekcję – mógł on powiedzieć tym Amerykanom, którzy już znajdowali się w Indochinach, by spakowali manatki i wrócili do domu. Innymi słowy, wszystkiego, co zaszło później, można było uniknąć, ale też wszystko to wynikało bezpośrednio z faktu, że w Wietnamie już znajdowało się 16 tysięcy Amerykanów, których wysłał tam wcześniej Kennedy. Tuż przed wylotem Davida Nesa do Sajgonu, gdzie miał on objąć obowiązki zastępcy szefa tamtejszej misji amerykańskiej, jego prezydent i zwierzchnik sił zbrojnych powiedział mu wprost: „Lyndon Johnson nie pójdzie na dno jako prezydent, który stracił Wietnam. Dobrze to sobie zapamiętaj"[30].

Pod koniec listopada 1963 roku MACV przyjęła nową strategię mającą doprowadzić do wzmocnienia kontroli rządu w Delcie Mekongu. Obejmowała ona intensywny ostrzał artyleryjski terenów wiejskich i ogłoszenie „stref swobodnego ognia", to jest obszarów, w których wszystko, co tylko się ruszało, uznawano z góry za element wrogi. Mieszkańców wiosek położonych w takich strefach zmuszano do ich opuszczenia i kierowano do obskurnych miasteczek wyrastających wzdłuż Drogi nr 4. Niektórzy wieśniacy zmieniali swoje tradycyjne czarne ubrania na białe, te pierwsze bowiem zbyt często automatycznie były brane przez amerykańskich pilotów za strój charakterystyczny dla partyzantów. Ta nowa, agresywna polityka dość skutecznie wpływała na obniżanie morale Wietkongu, zmniejszając poparcie dla rewolucji wśród ludności wiejskiej. Nie skutkowała natomiast wzrostem lojalności wobec rządu w Sajgonie, jako że polegała w dużej mierze na chwilowym przelicytowaniu komunistów w szerzeniu terroru na wsi.

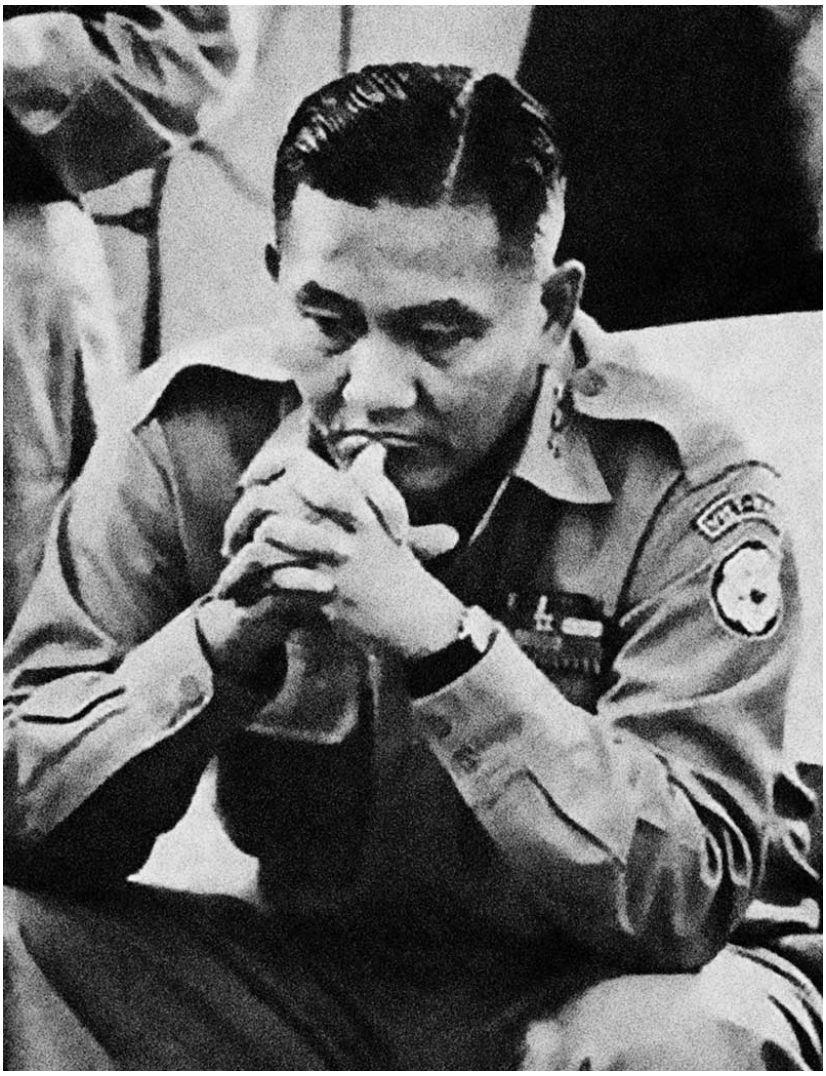

Generał Duong Van Minh („Duży Minh”), prezydent Wietnamu Południowego od 5 listopada 1963 roku do 30 stycznia 1964 roku

A potem do akcji raz jeszcze wkroczyli generałowie. „Duży” Minh rządził krajem dopiero od niecałych trzech miesięcy, ale już zdążył utracić wiarygodność w oczach części wyższej kadry oficerskiej – przy okazji zaś również w oczach Amerykanów. W grudniu z wizytą w Sajgonie pojawił się McNamara i wyjechał przerażony panującym tam chaosem. Ponadto amerykańska misja uważała, że podobnie jak wcześniej Nhu, również i Minh zaczynał przejawiać niebezpieczne zainteresowanie rozmowami z Hanoi. Generał nie ukrywał też swojego sceptycyzmu wobec programu „osad strategicznych”, jak też wobec zasadności bombardowań i ostrzeliwań. 28 stycznia 1964 roku do

Sajgonu przyleciał ze swojej kwatery w Hue trzydziestosiedmioletni generał Nguyen Khanh, podróżujący po cywilnemu na pokładzie rejsowego samolotu Air Vietnam, oficjalnie po to, by udać się do dentysty. Ale wczesnym rankiem 30 stycznia, włożywszy mundur, generał zabrał ze sobą adiutanta i pojechał do kwatery głównej ARVN, gdzie miał na niego czekać jego bliski kolega, generał Tran Thien Khiem, z oddziałem komandosów, po czym razem mieli przystąpić do przeprowadzenia przewrotu w celu obalenia junty Minha. Tyle że w budynku nie było nikogo, a wokół panowała cisza i ciemność. Zaniepokojony Khanh zatelefonował do Khiema z pytaniem, dlaczego nic się nie dzieje, i usłyszał od drugiego ze spiskowców: „Ojej, chyba zapomniałem nastawić wczoraj budzik. Ale proszę się nie martwić, sytuacja jest pod kontrolą”[31].

I rzeczywiście, przewrót odbył się dosyć gładko. O świcie nowy przewódca Wietnamu Południowego wygłosił przemówienie do narodu, w którym powiedział, że przejmuje władzę, ponieważ generał Minh i jego koledzy nie spisywali się dobrze przy prowadzeniu wojny. Wszystko przebiegło bez jednego choćby wystrzału. Nieoceniony Lou Conein wcześniej poinformował o planowanym spisku swoich przełożonych, którzy zdecydowali się go poprzeć, najwyraźniej skłaniając się ku tezie głoszonej przez Khanha, że Minh zaczął dążyć do uzyskania statusu neutralności dla całych Indochin, co było rzecz jasna koncepcją całkowicie nieakceptowalną dla Waszyngtonu. McNamara i Lodge uważali młodego pretendenta do władzy za „najzdolniejszego z generałów”. Jedną z jego pierwszych ważnych decyzji, podjętych zaraz po udanym obaleniu poprzednik, było zlikwidowanie majora Nguyen Van Nhunga, zabójcy Diema i Nhu. Tak oto ten profesjonalny zabójca sam doczekał się profesjonalnej egzekucji, podczas której rozkazano mu uklęknąć w ogrodzie pewnej sajgońskiej willi, a następnie pozbawiono go życia za pomocą pojedynczej kuli wpakowanej w tył głowy.

Nie trzeba było wiele czasu, by w Wietnamie Południowym i jego armii zapanowały zamęt i demoralizacja, a wszystko to za sprawą nowego przywódcy – kolejnego „silnego człowieka”, który w rzeczywistości okazał się nadzwyczaj słaby. Brytyjski ambasador

Gordon Etherington-Smith od początku uważał, że Stany Zjednoczone powinny były sprzeciwić się temu przewrotowi: łatwość, z jaką Waszyngton odwrócił się od swojego poprzedniego faworyta, „Dużego" Minha, sugerowała bowiem, że rządy nad Wietnamem Południowym mógł teraz przejąć niemal dowolny starszy rangą oficer, który potrafił zmobilizować choćby kilka pułków. Etherington-Smith napisał do Londynu: „Jak się wydaje, z coraz większym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że te same cechy, dzięki którym Khanh stał się tak atrakcyjny dla żołnierzy amerykańskich" – to jest jego „wigor i obrotność" – „uczynią go nie do przełknięcia dla bardzo wielu Wietnamczyków"[32].

Khanh szybko zaczął nalegać na przeprowadzenie inwazji na Wietnam Północny, motywując to tym, iż nie do zaakceptowania jest fakt, żeby ofiary i zniszczenia związane z wojną miały w dalszym ciągu być udziałem jedynie Południa. Nie on jeden zresztą podsycał w sobie tę fantazję: niektórzy żołnierze i politycy w Sajgonie jeszcze latami po zakończeniu wojny argumentowali, że mogli byli ją wygrać, gdyby tylko Amerykanie pozwolili im uderzyć na Północ. Bui Diem, były ambasador Sajgonu w Waszyngtonie, do dziś twierdzi, że sprawa Południa została przegrana właśnie w chwili, w której Stany Zjednoczone wykluczyły taką opcję: komuniści mogli być odtąd właściwie pewni końcowego zwycięstwa, musieli tylko okazać się dostatecznie wytrwali, by go doczekać[33]. Tego rodzaju entuzjaści o tyle się nie mylili, że Hanoi faktycznie miało dotąd – i skwapliwie wykorzystywało – znaczącą przewagę nad przeciwnikiem: w ogóle nie musiało się zabezpieczać na wypadek odparcia ataku lądowego, wobec czego własnych żołnierzy mogło swobodnie wysyłać czy to do Laosu, czy do Kambodży, czy do Wietnamu Południowego. Ale też rząd Stanów Zjednoczonych miał dobre powody, by nie zgadzać się na żadne akcje mogące przynieść więcej problemów niż pożytku, jak to miało miejsce choćby w przypadku nadgorliwości MacArthura w Korei, który w listopadzie 1950 roku zapuścił się daleko na północ aż po granicę Korei Północnej z Chinami. Ponadto sajgońscy generałowie zupełnie bezpodstawnie łudzili się, że ARVN mogłaby bez żadnej pomocy przeprowadzić udaną inwazję na Północ: w rzeczywistości tego rodzaju operacja niemal z całą

pewnością zostałaby udaremniona, a wojska Południa odparte przy dużych stratach własnych.

Awanturnictwo Khana jeszcze bardziej pogłębiało dyskomfort coraz mocniej odczuwany w Waszyngtonie. Tamtejsi decydenci zaczęli dostrzegać, że obrotność i życzliwość mogły na dobrą sprawę stanowić jedyne pozytywne cechy generała. Z całą pewnością był on za to człowiekiem mniej inteligentnym od Minha, którego zastąpił, i bardzo słabo rozumiał swój własny naród. Nawet ci Amerykanie, którzy wcześniej doszli do wniosku, że Wietnamem Południowym powinni rządzić generałowie, teraz z trudem byli w stanie znaleźć jakichkolwiek kandydatów z tej grupy wyróżniających się inteligencją, skutecznością, uczciwością – a przede wszystkim uległością. To ostatnie wymaganie okazało się szczególnie trudne do spełnienia, ponieważ jedynym sposobem, w jaki dowolny wietnamski przywódca mógł pozyskać sobie powszechny szacunek, było demonstrowanie dystansu wobec Stanów Zjednoczonych. Dwudziestojednoletni Doan Phuong Hai, szkolący się na oficera w akademii wojskowej w Dalat, początkowo ze zdumieniem, później z konsternacją, a wreszcie z coraz większym cynizmem przyjmował aż czterokrotne zmiany dowódców tej szkoły podczas okresu jego nauki, związane z kolejnymi przewrotami w Sajgonie: „My, młodzi kadeci, zmuszeni byliśmy patrzeć na to, jak nasi przełożeni, zamiast wpajać nam ducha wojskowego braterstwa, zwracali się jeden przeciwko drugiemu, podążając za korzyściami osobistymi, władzą, sławą”[34].

W tych pierwszych miesiącach po zmianie w Białym Domu na stołach w Waszyngtonie, w ambasadzie Lodge’a czy w MACV leżała właściwie każda możliwa opcja militarna. Kluczowe pytanie brzmiało wówczas: kto jest naszym wrogiem? Czy głównym celem potęgi amerykańskiej były siły komunistycznej partyzantki walczące w Wietnamie Południowym? A może był nim sam Wietnam Północny, powszechnie postrzegany – słusznie czy niesłusznie – jako źródło całego konfliktu? Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, któremu przewodniczył teraz Maxwell Taylor, zdawało się skłaniać ku tej drugiej opcji. Ale i tu nie było całkowitej zgody: dwaj jego członkowie wykazywali się większą rezerwą czy też może ostrożnością – byli to generał Earle Wheeler

z wojsk lądowych i admirał David McDonald z marynarki wojennej – a dwaj pozostali mieli dość jasną wizję, którą chcieli możliwie szybko zrealizować. Chodzi o generałów Curtisa LeMaya dowodzącego amerykańskimi siłami powietrznymi – to on stał za kampanią intensywnego bombardowania Japonii w roku 1945 z wykorzystaniem bombowców B-29 przenoszących ładunki zapalające, która doprowadziła do śmierci znacznie większej liczby ludzi niż wybuchy atomowe – oraz Wallace'a Greene'a z Korpusu Piechoty Morskiej (US Marines Corps).

Obaj oni opowiadali się albo za zaangażowaniem sił dających przytłaczającą przewagę, albo za niewysyłaniem żadnych wojsk. LeMay był człowiekiem w gorącej wodzie kąpanym, a przy tym obsesyjnym wręcz zwolennikiem strategicznych operacji lotniczych. Kiedy tylko argumentował za jakimś planem, do którego miał przekonanie, nakręcał się do tego stopnia, że „chrypiał, a czasami jego głos przechodził w jęk, jaki wydaje silnik turbinowy"[35], by zacytować jednego z jego kolegów. Raz zdarzyło się, że zwierzchnik sił lotniczych, już od jakiegoś czasu gwałtownie sprzeciwiający się żądaniom wojsk lądowych, by zezwolić im na dysponowanie własnymi śmigłowcami bojowymi, wypluł cygaro zwyczajowo przyklejone do ust i wydarł się na szefa sztabu wojsk lądowych, rzucając mu swoiste wyzwanie: „To ty weź jednego z tych pieprzonych hueyów, a ja polecę jakimś F-105 i zobaczymy, kto wyjdzie z tego cało. Zestrzelę ciebie i tego twojego strzelca od kapiszonów, a wasze resztki będą zbierać po całej cholernej ziemi!"[36]. Akurat w przypadku tego konkretnego sporu kompetencyjnego McNamara przyznał rację wojskom lądowym, co z pewnością nie zmniejszyło pogardy LeMaya dla sekretarza obrony.

Dla odróżnienia Greene zachowywał się nadzwyczaj spokojnie, wręcz wzorowo, czym zasłużył sobie na przydomek „Uczniak". Ale także on źle znosił instynktowną ostrożność polityków, a jeszcze gorzej zapatrywał się na konieczność prowadzenia ograniczonych działań wojennych, bo uznawał wyłącznie „szybką, nacechowaną własną inicjatywą, dramatyczną i nieustępliwą akcję (...) podejmowaną przy udziale pełnej i skoncentrowanej potęgi amerykańskich sił bojowych"[37]. Podobnie jak LeMay, uważał on, że Wietnam Północny można by szybko przywołać

do porządku, niszcząc jego instalacje wojskowe i infrastrukturę. 4 marca 1964 roku Greene powiedział Lyndonowi Johnsonowi, że naloty powietrzne mogłyby z całą pewnością doprowadzić do wybuchu kolejnego konfliktu typu koreańskiego, przy ryzyku eskalacji nawet do rozmiarów wojny światowej: „Problem leżał jednak zupełnie w czym innym: prędzej czy później musieliśmy się gdzieś wreszcie przeciwstawić komunistom, a do niego, jako do prezydenta, należało podjęcie decyzji czy takim miejscem miało być właśnie to [Wietnam]”[38]. Maxwell Taylor, który stał na czele Kolegium do lipca, kiedy to zastąpił go Wheeler, zmieniał zdanie tak często, że mógł później zgodnie z prawdą twierdzić, iż popierał przynajmniej pięć różnych linii politycznych, w zależności od nastroju i momentu. W miarę upływu czasu jednak generał wyrażał coraz głębsze przekonanie, że biorąc pod uwagę olbrzymie trudności z pokonaniem Wietkongu na Południu, Stany Zjednoczone winny zamiast tego skupić się na ukaraniu Północy. Ostatecznie zatem został zwolennikiem polityki bombardowania.

Wpływ Kolegium Połączonych Szefów Sztabów na kształtowanie ostatecznej polityki wobec Wietnamu był jednak ograniczony, częściowo dlatego, że jego kolejni przewodniczący przekazywali do Białego Domu dość pobieżne zarysy poglądów jego członków, a częściowo z tego względu, iż prezydent spędzał znacznie więcej czasu z doradcami cywilnymi, wśród których zdecydowanie najwięcej do powiedzenia miał McNamara. Poza nim duży wpływ na prezydenta miał też prawnik, a już wkrótce sędzia Sądu Najwyższego, Abe Fortas, który wprawdzie nie znał się zupełnie na kwestiach wietnamskich, ale był najbardziej zaufanym doradcą Johnsona i konferował z nim niemal dzień w dzień. Wszyscy ci, którzy próbowali obarczać winą za polityczne wybory Ameryki w latach 1964–1965 właśnie Kolegium, wydają się o tyle w błędzie, że przecież wszelkie decyzje dotyczące wojny i pokoju są ostatecznie podejmowane przez polityków. Warto też zauważyć, że nawet po doświadczeniach w Korei większość amerykańskiej starszej kadry dowódczej wykazywała się słabym zrozumieniem zalet ograniczania konfliktu w odróżnieniu od jego eskalowania. Gdyby zatem to wojskowym pozwolono narzucać

wówczas swoją wizję biegu wydarzeń, zaproponowaliby prawdopodobnie jeszcze bardziej katastrofalną eskalację niż ta, do której ostatecznie doszło.

Najbardziej uderzającym aspektem ówczesnej debaty w Waszyngtonie był jednak fakt, że skupiała się ona niemal całkowicie na określeniu właściwego poziomu siły militarnej, której należało użyć, a nie uwzględniała w ogóle możliwości wycofania się z konfliktu metodami politycznymi. Była to niewątpliwa słabość Deana Ruska, człowieka odpowiedzialnego za amerykański korpus dyplomatyczny, ale nigdy niepokładającego zbytniej wiary w dyplomacji. Z kolei sam Lyndon Johnson rzadko spotykał się z zagranicznymi przywódcami, a jeszcze rzadziej pozwalał sobie na uwzględnianie ich opinii. Przez cały pierwszy rok trwania jego administracji kluczowi amerykańscy decydenci w szczególny sposób wzbraniali się przed wysłuchiwaniem argumentów prezentowanych przez Francję, wierząc, że prezydent Charles de Gaulle wykazywał tak wielki entuzjazm dla ogłoszenia neutralności Wietnamu jedynie dlatego, by doczekać się wreszcie międzynarodowego upokorzenia Stanów Zjednoczonych.

Wielkie mocarstwa zawsze wykazywały dość zrozumiałą predylekcję do angażowania się w takie konflikty, które odpowiadały ich możliwościom militarnym, nie zaś w te, które akurat się rozgrywały. Podczas II wojny światowej zachodni alianci – dwie potęgi morskie stające naprzeciw potęgi lądowej – tylko dlatego mogli oszczędzić sobie mnóstwa klęsk i rozczarowań, że niemal cały ciężar zmierzenia się na lądzie z hitlerowskim Wehrmachtem wzięła na siebie Armia Czerwona. Teraz z kolei waszyngtońscy decydenci, zdając sobie sprawę z braku jakiejkolwiek nośnej struktury politycznej i społecznej w Wietnamie, zakładali, że będą w stanie ją zastąpić amerykańską technologią i siłą ognia. Generał broni Andrew Goodpaster przestrzegał już kiedyś Roberta McNamarę: „Sir, próbuje pan kształtować własny obraz wroga, a tego nigdy, przenigdy nie wolno nam robić". Pewien amerykański jeniec powiedział przesłuchującym go komunistom, że jego zdaniem obecność Amerykanów w ich kraju wynika tylko w 10 procentach z obaw przed Wietnamczykami, a w pozostałych 90 procentach z determinacji do przeciwstawienia się Mao Zedongowi. Ale w takim razie, nie mogli

się nadziwić zdumieni partyzanci, „dlaczego nie pojedziecie z nim walczyć do Chin? My tu też nieszczególnie lubimy Chińczyków”[39].

Wiosną 1964 roku Walt Rostow, dyrektor wydziału polityczno-planistycznego w Departamencie Stanu, ganił LeMaya za entuzjazm okazywany angażowaniu przytłaczających sił powietrznych. Podkreślał, że nie przeprowadzono żadnych wiarygodnych analiz na temat kosztów i konsekwencji takiego działania, a jedynie z góry zakładano, iż Wietnam Północny uzna zmasowane bombardowania za wystarczająco niszczycielskie i zniechęcające, by wycofać się z poprzednio obranej drogi. A niektórzy starsi rangą oficerowie chcieli nawet pójść o krok dalej: wysłać siły lądowe do Laosu – by przeciąć ruch na Szlaku Ho Chi Minha – a nawet do samego Wietnamu Północnego. Zyskująca popularność w trakcie debaty toczonej w roku 1964 i coraz częściej pojawiająca się podczas kolejnych spotkań czy w niezliczonych memorandach fraza „iść na Północ” oznaczała zarówno opcję jej zbombardowania, jak i cały szereg tajnych operacji, a wreszcie pełnowymiarową inwazję lądową. W kwietniu Curtis LeMay zapytał głównodowodzącego na Pacyfiku, czego jego zdaniem potrzeba by było do wygrania tej wojny, na co admirał Harry Felt odpowiedział, że Stany Zjednoczone „musiałyby na jakiś czas pójść na Północ”[40]. Poczynając od wiosny 1964, sam McNamara wykazywał coraz większy pesymizm co do konfliktu w Wietnamie. Zamiast jednak próbować rozpatrywać możliwości wycofania się stamtąd, sekretarz obrony zaczął odtąd powoli, ale nieubłaganie skłaniać się ku eskalacji, by w końcu popierać ją z całą gorliwością neofity. Kiedy w kwietniu pewien reporter zarzucał mu, że zdaniem senatora Wayne’a Morse’a Wietnam stał się „wojną McNamary”, sekretarz obrony odparł wyzywająco: „Nie przeszkadza mi wcale, że nazywają to wojną McNamary. Tak naprawdę to jestem dumny, że wiążą z nią moje nazwisko”[41]. Jak zauważył Bobby Kennedy, nie była to, z politycznego punktu widzenia, wypowiedź zbyt rozsądna.

Konserwatywni dziennikarze, tacy jak William F. Buckley, Marguerite Higgins, Rowland Evans czy Robert Novak, bezustannie nawoływali do walki aż do zwycięskiego końca. Joseph Alsop wyżywał się wręcz na Johnsonie, zarzucając mu rzekomy brak odwagi, a nawet podnosząc najgorszy z możliwych zarzut o dążenie do *appeasement*.

I choć bez wątpienia ze strony takich jastrzębi spadłaby na prezydenta olbrzymia fala krytyki, gdyby tylko postanowił wycofać się z Wietnamu, to w mediach nie brakowało też ludzi doskonale rozumiejących, w jakie tarapaty wpakowały się tam Stany Zjednoczone. Johnson wyrobił już sobie wystarczająco silną pozycję, by móc stanąć przed narodem amerykańskim z podniesionym czołem i z pełną wiarygodnością ogłosić mu, że broni w Wietnamie przegranej sprawy. Mógłby wówczas z pewnością liczyć na poparcie takich wpływowych osób i środowisk, jak Walter Lippmann, „New Republic" czy „New York Times", które już od jakiegoś czasu wieszczyły katastrofę w razie podjęcia decyzji o zaangażowaniu sił bojowych.

W łonie samego rządu, począwszy od maja 1964 roku, szczególnie silny i proroczy pesymizm przejawiał podsekretarz stanu George Ball. Odrzucał on pogląd, jakoby Stany Zjednoczone miały w Wietnamie jakieś żywotne interesy, których musiały bronić, i nie widział związku między zaatakowaniem Północy a wzmocnieniem rządu na Południu. Argumentował ponadto, że ta wojna była nie do wygrania niezależnie od tego, jak wielkich sił zdecyduje się ostatecznie użyć administracja. Podobne opinie płynęły ze środowisk wywiadu, które dodatkowo w ciemnych barwach malowały perspektywy utrzymania reżimu Khanha. 17 lutego, po zaledwie dwóch miesiącach pobytu w Sajgonie, w amerykańskiej ambasadzie zjawił się David Nes, który oficjalnie oświadczył Lodge'owi, że zasadniczo zgadza się z oceną de Gaulle'a: Stany Zjednoczone mogą albo wyjść z Wietnamu, albo pogodzić się z koniecznością eskalacji działań na wielką skalę[42]. Z kolei Willard Matthias, analityk w należącym do CIA Board of National Estimates (Biurze Analiz Narodowych), opisywał Wietkong jako „pozostający pod kierownictwem rządu w Hanoi, ale polegający w dużej mierze na własnych zasobach"[43]. W związku z tym on również zalecał osiągnięcie jakiegoś porozumienia.

Pracującego w Pentagonie Johna McNaughtona mimo jego wielkiego podziwu dla McNamary, za którym poszedłby w ogień, wiosną 1964 roku także dręczyły osobiste wątpliwości, z których zwierzył się swojemu przyjacielowi, Michaelowi Forrestalowi: „Zawsze wydaje ci się, że przecież możemy się wycofać, kiedy tylko zechcemy. Ale czy

naprawdę tak jest? Myślę, że z każdym dniem będzie o to coraz trudniej, bo z każdym dniem będziemy tracić odrobinę kontroli, a z każdą niewłaściwą albo niepodjętą przez nas decyzją ta następna będzie trochę trudniejsza, ponieważ jeśli nie powstrzymaliśmy tego wszystkiego dzisiaj, to powody, dla których tego nie zrobiliśmy, pozostaną aktualne także jutro, a my będziemy pogrążać się coraz głębiej”[44]. McNaughton nie żywił także najmniejszych złudzeń co do powodów zaangażowania Stanów Zjednoczonych w Indochinach, wymieniając je kilka miesięcy później w następujący sposób: „70 procent – by uniknąć upokarzającej porażki (i szkód dla naszej reputacji jako gwaranta), 20 procent – by nie oddać Wietnamu Południowego (i przyległych terytoriów) w ręce Chińczyków, a 10 procent – by umożliwić ludziom z Wietnamu Południowego cieszenie się wolnością i lepszym życiem”[45].

W całym Waszyngtonie nikt raczej prywatnie nie wątpił w to, że rząd w Sajgonie jest przeżarty zepsuciem, a wojna zmierza donikąd. Aż do 3 listopada, to znaczy do momentu triumfu Lyndona Johnsona i jego wyboru na nową kadencję prezydencką, oficjalna linia polityczna brzmiała jednak: musimy tam na razie zostać, wbrew wszelkim niepokojącym sygnałom. W marcu McNamara udał się w towarzystwie Maxa Taylora z wizytą do Wietnamu, gdzie wygłosił przemówienie w pełni popierające generała Khanha, nowego *capo* na Południu. Generał brygady William DePuy napisał wówczas do domu z Sajgonu: „Wygląda na to, że już wkrótce w Wietnamie zjawią się wszyscy ludzie z Waszyngtonu i nie będzie tu już miejsca dla Wietnamczyków. Cóż, może jest to niegłupi sposób na wygranie tej wojny”[46].

Kiedy w budynku sztabu generalnego ARVN Rufus Phillips przechodził obok biurka jakiegoś wietnamskiego majora, zauważył, że jest ono zawalone całymi stosami książek. Zapytał zatem wojskowego, co to za książki i po co mu one. „Pomagam pisać konstytucję” – wyjaśnił oficer. I rzeczywiście, na jego biurku leżały opracowania na temat konstytucji amerykańskiej i francuskiej, jak również poprzednie wersje konstytucji wietnamskich, jeśli można było je w ogóle tak nazwać. Jak powiedział, zadanie to zlecił mu sam generał Khanh[47]. Opracowany projekt przekazano do zatwierdzenia amerykańskiej ambasadzie, która

szybko nadała mu swoje *imprimatur*. Khanh poinformował wówczas pozostałych generałów, z których część wcale nie wykazywała dla tego pomysłu specjalnego entuzjazmu, że konstytucja zostanie natychmiast przyjęta, ponieważ takie jest życzenie Amerykanów. Nie trzeba było wiele czasu, by jej zapisy wywołały nową falę protestów ze strony buddystów i studentów. A kiedy Max Taylor ofuknął Khanha za niewłaściwe przeprowadzenie tej sprawy, Wietnamczyk poczuł w pełni zrozumiałe oburzenie: czyż nie uczynił dokładnie tego, czego domagali się od niego jego mentorzy?

Ten właśnie epizod skłonił Rufusa Phillipsa do następującej refleksji: „Z wielką pilnością i dokładając wszelkich starań, od niemal dziesięciu lat próbowaliśmy zbudować ten nowy i wciąż jeszcze podatny na wstrząsy naród. A potem zniszczyliśmy jakąkolwiek jego stabilność. Za każdym razem, gdy jakiś generał dokonywał kolejnego przewrotu, uruchamiał się mechanizm «obrotowych drzwi» i wszystkich, którzy poprzednio sprawowali władzę, wykopywano. A u steru rządów za każdym razem znajdowali się nowi ludzie, zupełnie nierozumiejący, o co w tym wszystkim chodzi. A im bardziej angażowaliśmy się my, próbując jakoś opanować cały ten chaos, tym bardziej odsuwaliśmy od władzy wietnamskich przywódców. Krótko mówiąc, postanowiliśmy, że najpierw wygramy za nich wojnę, a potem oddamy kraj z powrotem w ręce Wietnamczyków. A to był *coup de grâce* zadany wietnamskiemu nacjonalizmowi (...). Dla komunistów zaś stało się to podstawową kwestią, którą mogli odtąd dowolnie rozgrywać”[48].

Mniej więcej w tym samym czasie sekretarz obrony przedstawił prezydentowi raport sporządzony, co było dlań dość charakterystyczne, jeszcze przez wizytą McNamary w Sajgonie. Wyłożył w nim swój sposób postrzegania celów Stanów Zjednoczonych: „Interesuje nas niepodległy i niekomunistyczny Wietnam Południowy. Jeśli nie uda nam się osiągnąć tego celu (...), wówczas niemal cała Azja Południowo-Wschodnia prawdopodobnie dostanie się pod komunistyczną dominację”. To właśnie stwierdzenie miało stać się podstawą dyrektywy Narodowej Rady Bezpieczeństwa nr NSAAM288, zalecającej dalsze zaangażowanie się Ameryki w Wietnamie. Od tej pory administracja podejmowała wszystkie kolejne decyzje, wychodząc z założenia, że

osiągnie swoje cele, odwołując się do potęgi militarnej, bez względu na nastawienie narodu wietnamskiego. A jedyną nieodzowną rzeczą, jakiej oczekiwano od kolejnych władców w Sajgonie liczących na poparcie Waszyngtonu, stała się odtąd ich deklaracja o zarzuceniu jakiegokolwiek dialogu z Hanoi.

Za zamkniętymi drzwiami McNamara chętnie przyznawał, że sytuacja w Wietnamie to „niezły pasztet”[49], a kolejny przewrót na Południu to tylko kwestia czasu. Zarówno on, jak i prezydent póki co odrzucali jednak obie opcje skrajne, to jest namowy do całkowitego opuszczenia Wietnamu Południowego i pomysły dramatycznego podniesienia stawki w tej grze. Johnson był sceptyczny w odniesieniu do planów zbombardowania Północy, uważając, że w gruncie rzeczy nie przyniesie to znaczących rezultatów. W pierwszych miesiącach 1964 roku, a zarazem w samym środku kampanii wyborczej, obaj podkreślali swoje poparcie dla reżimu na Południu, ale też obaj nie zgadzali się na żadne większe ruchy poza tymi już wykonanymi w kwestii prowadzenia wojny, najwyraźniej obawiając się, że zostaną one natychmiast dostrzeżone i źle przyjęte przez wyborców. Gdy sowiecki ambasador Anatolij Dobrynin odbył swoje pierwsze spotkanie z prezydentem 17 kwietnia, ku zdumieniu Rosjanina kwestia Wietnamu poruszona została jedynie krótko i powierzchownie[50].

Kiedy w następnym miesiącu doszło do wzmożenia walk w Laosie, Francja, Indie, Kambodża i ZSRS zaproponowały ponowne zwołanie konferencji genewskiej jak w roku 1962. Amerykanie odrzucili jednak tę propozycję, obawiając się, by jej tematem nie stała się przy okazji neutralność Wietnamu. A przecież gdyby wycofanie się stanowiło opcję rozpatrywaną na poważnie, tego rodzaju forum mogłoby dać im okazję do znalezienia odpowiedniej furtki prawnej. Jeden z ludzi McNamary, Daniel Ellsberg, który później miał stać się sławny za sprawą ujawnienia tajnych dokumentów rządowych znanych jako *Pentagon Papers*, właśnie rok 1964 uznawał za „ostatni moment, w którym lojalny biurokrata mógł jeszcze w ogóle rozważać opcję wyjścia USA z Wietnamu w celu zredukowania swoich strat”[51]. I rzeczywiście, kiedy nadszedł początek kolejnego roku, Ameryka doznała już tak wielu porażek i upokorzeń, zarówno na froncie militarnym, jak i na polu polityki, że samo

rozważanie wycofania się z Wietnamu musiałoby w oczach całego świata wyglądać na przyznanie się do przegranej, na co nie mogła sobie pozwolić żadna administracja. Ale wczesnym latem 1964 roku sprawy wcale nie miały się jeszcze tak źle.

Uniki czynione wciąż przez sekretarza obrony, bo tak postrzegali to członkowie Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, doprowadzały do rozpaczy zwłaszcza LeMaya i Greene'a, przekonanych, że samo trzymanie się dotychczasowej linii politycznej nie wystarczy do odwrócenia losów wojny, które – tu akurat wszystkie strony się ze sobą zgadzały – póki co przechylały się zdecydowanie na korzyść komunistów. Obaj generałowie wyrażali ponadto rosnącą irytację postawą swojego przewodniczącego Taylora, który w ich odczuciu nie przekazywał prezydentowi i McNamarze całej prawdy, przemilczając zwłaszcza niewygodne fakty, o jakich nie życzyli sobie oni słyszeć. Z wiosną nastroje wśród najwyższego dowództwa tylko się pogarszały. Doradca wojskowy Johnsona, generał dywizji Chester Clifton zapisał 27 marca: „Wyczuwam tu potencjalnie trudną – a może nawet niebezpieczną – sytuację (...). Szefowie [Sztabów] są mocno podzieleni". Z kolei Greene pisał z wyraźną pogardą 18 maja: „Widać wyraźnie, że zarówno McNamara, jak Taylor kręcą się w kółko w poszukiwaniu możliwych kierunków działania"[52]. Wybory wciąż były stosunkowo daleko, a brak jakichkolwiek decyzji oznaczał w praktyce zgodę na dalsze przegrywanie wojny, który to pogląd podzielali choćby tacy komentatorzy jak Hanson Baldwin, wpływowy redaktor rubryki wojskowej w dzienniku „New York Times", który otwarcie opowiadał się za zbombardowaniem Północy. Greene nie tylko szczerze pogardzał sekretarzem obrony, ale uważał wręcz, że Kolegium Połączonych Szefów Sztabów odbiera się możliwość spełniania jego podstawowej funkcji, to jest doradzania w kwestiach wojskowych zwierzchnikowi sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Tyle że on i LeMay w tamtym czasie, podobnie zresztą jak niektórzy historycy już w okresie późniejszym, wykazywali się zwykłą naiwnością i niezrozumieniem dosyć prostej w sumie prawidłowości, że we wszystkich krajach i we wszystkich epokach historycznych frustracja postępowaniem przywódców politycznych jest standardową wręcz postawą zawodowych

wojskowych, którzy niemal zawsze dysponują mniejszą wiedzą i inteligencją, niż sami zakładają.

17 maja szczupły i filigranowy weteran II wojny światowej, a przy tym początkujący wojskowy intelektualista, generał brygady William DePuy, napisał do swojej żony Marii z Sajgonu: „Jeszcze nie podjąłem decyzji, czy my właściwie posuwamy się do przodu, czy tracimy teren. Ale sytuacja jest poważna. Nic mi też nie wiadomo, by istniała jakaś «wola walki»". A tydzień później dodawał: „Niezwykle trudno jest ocenić, co ostatecznie wyjdzie z tego całego zamieszania. Jednak bez jakiegoś cudu raczej wszyscy będziemy w dalszym ciągu iść na dno"[53]. Pod koniec tego miesiąca sprawy w Waszyngtonie zaszły już tak daleko, że McNamara zaczął omawiać z Kolegium opcję wysłania do Wietnamu amerykańskich wojsk lądowych, a ponadto zamówił studium celów nadających się do zbombardowania na Północy, otrzymując listę składającą się z 94 pozycji. W zasadzie już wszyscy milcząco się zgadzali, że jeśli Hanoi się nie cofnie – co wydawało się wątpliwe, jako że loty zwiadowcze wskazywały wręcz na rosnący ruch na Szlaku Ho Chi Minha – wówczas podjęte zostanie jedno z tych działań albo nawet oba. Zaczęto teraz przemyśliwać o jakiejś prawnej podbudowie, koniecznej dla powzięcia decyzji czy to o bombardowaniach, czy o wysłaniu wojsk lądowych – o czymś, co urzędujący prokurator generalny Nicholas Katzenbach określał mianem „funkcjonalnego odpowiednika wypowiedzenia wojny". Pod koniec maja William Bundy z Departamentu Stanu przedstawił projekt rezolucji uprawniającej prezydenta do użycia amerykańskich sił wojskowych, ale póki co odłożono go *ad acta*: na tym etapie nie było jeszcze potrzeby stawiania czoła Senatowi z nieprzyjazną administracji frakcją pod wodzą Mike'a Mansfielda i Wayne'a Morse'a.

W czasie prezydenckiej kampanii wyborczej, niemal w pełni pochłaniającej już teraz naród amerykański, o wiele większy nacisk retoryczny niż na kwestię wietnamską kładziono na obiecywany przez Johnsona program społeczny określany jako Great Society (Wielkie Społeczeństwo). „Kennedy domagał się poświęceń; Johnson obiecywał szczęście – napisał w roku 1965 Theodore White, kronikarz kolejnych kampanii prezydenckich. – Tamtej wiosny i lata nawet rozdygotany

glob zdawał się z lekka uspokajać, pozwalając Johnsonowi na prowadzenie spraw zagranicznych w postawie «spocznij». Jedyny prawdziwy kryzys miał miejsce w Wietnamie, gdzie sytuacja pogarszała się z tygodnia na tydzień – ale prezydent zdołał na jakiś czas odgrodzić tę kwestię od polityki swoistym kordonem sanitarnym”[54].

W oczekiwaniu na decyzje wojskowe Biały Dom zdecydował, że w Sajgonie już wcześniej potrzebna jest jakaś świeża krew, i wymienił zarówno ambasadora, jak i głównodowodzącego MACV. Lodge nie miał już w zasadzie żadnych nowych pomysłów, a poza tym właściwie nie odzywał się do Harkinsa. Wśród jego możliwych następców wymieniano Roberta Kennedy’ego, McGeorge’a Bundy’ego i Roberta McNamarę, ale wybór padł ostatecznie na Maxa Taylora, żołnierza cieszącego się osobistym zaufaniem prezydenta. Taylora wysłano do Wietnamu w lipcu, nie tyle po to, by kierował tam dyplomacją, ile w celu mądrzejszego zarządzania wojną. Ów sześćdziesięciodwuletni już wówczas generał był najwyraźniej zbyt nawykły do tytułów, urzędów i władzy, by odmówić objęcia owego stanowiska, mogącego mu przysporzyć co najwyżej więcej siwych włosów na głowie. Trudno doprawdy wyobrazić sobie, że mógł on dostrzec w swojej nader szeroko zdefiniowanej misji w takim miejscu i w takim czasie jakąkolwiek szansę na wzmocnienie swojej reputacji. Tak czy inaczej, Taylor przyjął propozycję pokierowania ambasadą w Sajgonie, potwierdzając tym samym opinię swoich sceptycznych kolegów z czasów II wojny światowej, że jego pycha i skłonność do zakulisowych gierek znacząco przewyższały talenty i trzeźwość sądu. Miejsce Taylora jako przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów zajął z kolei generał Earle Wheeler, wojskowy biurokrata i polityk o niewielkim doświadczeniu bojowym, a na zwolnione przezeń stanowisko szefa wojsk lądowych mianowano generała Harolda Johnsona. Po wyjeździe Taylora do Sajgonu od początku wydawało się wątpliwe, by kierowane przez Wheelera Kolegium mogło uzyskać dominujący wpływ na wypracowywanie dalszej strategii w sprawie Wietnamu, ale słabość charakteru nowego przewodniczącego szybko okazała się jeszcze większym problemem, niż można to było przewidywać.

Dowództwo nad MACV przejął natomiast 20 czerwca 1964 roku generał William Westmoreland, który skomentował to następująco: „Odziedziczyłem ten polityczny chaos (...). [Wyprostowanie tutejszych spraw] przypominało próby postawienia do pionu spaghetti”[55]. Harkinsowi umożliwiono przejście w stan spoczynku ze wszystkimi honorami, choć w Wietnamie poniósł on druzgocącą klęskę i wielokrotnie w sposób błędny oceniał sytuację. Jego następca ustępował szarżą Taylorowi, a bezpośrednio podlegał głównodowodzącemu marynarką wojenną na Pacyfiku. Jeszcze zanim Westmoreland objął to stanowisko, głośno zadawano pytania o to, czy dysponuje on wystarczająco mocną pozycją, odpowiednim intelektem i twardością. Kolegium miało rzekomo rekomendować zamiast niego Harolda Johnsona, Creightona Abramsa albo Bruce’a Palmera, ale Taylor miał niezgodnie z prawdą poinformować prezydenta i McNamarę, że to właśnie „Westy” był kandydatem Kolegium[56].

Westmoreland wielokrotnie stanowił obiekt szyderstw i zjadliwej krytyki – określano go na przykład mianem „najwybitniejszego dowódcy pułku w całej historii armii Stanów Zjednoczonych”. Rzeczywiście, trudno obronić tezę, by w Wietnamie pokazał się on z dobrej strony jako sprawny i skuteczny dowódca. Jeden z członków jego sztabu, żołnierz marines, napisał do domu: „Ma prawidłowy ogląd całej tej sytuacji i szybko wyczuwa, gdzie mogą się pojawić ewentualne problemy, ale zbyt często pozwala się ponieść wyobraźni. Niektóre z jego pomysłów są szalone”[57]. Mimo to wydaje się mało prawdopodobne, by Sherman, Patton czy nawet Ridgway poradzili sobie lepiej na jego miejscu. Jak słusznie, choć dość obcesowo, zauważają często żołnierze, jedynym powodem istnienia ich zawodu jest zabijanie ludzi. Wymaganie od nich zatem, by rozwiązywali jeszcze przy tym problemy polityczne i społeczne, jest stanowczym przecenianiem intelektu, doświadczenia, uwarunkowań i zasobów, którymi dysponuje większość z nich.

Sam Westmoreland mówił później: „W moich uszach, podobnie jak w uszach wszystkich ówczesnych oficerów, bardzo mocno dźwięczały słowa z jakże poruszającego i emocjonalnego inauguracyjnego przemówienia pana Kennedy’ego: «Udźwigniemy każdy ciężar

i zniesiemy wszelkie trudności, wesprzemy każdego przyjaciela i staniemy naprzeciw dowolnego wroga, byle tylko doprowadzić do przetrwania i zatriumfowania wolności». (...) Czuliśmy wszyscy, że do Wietnamu wysłano nas właśnie po to, byśmy walczyli za te idealistyczne pryncypia”[58]. Nawet jeśli tego rodzaju stwierdzenia brzmią z lekka trywialnie w uszach cynicznych słuchaczy żyjących w XXI wieku, nie powinniśmy mimo to zbyt pochopnie kwestionować szczerości i żarliwości generała wypowiadającego się o misji, którą zlecono mu w roku 1964. Tym bardziej że podobnie jak większość zawodowych wojskowych, był on silnie ukierunkowany na odniesienie sukcesu za wszelką cenę.

Cena za tego rodzaju nastawienie była jednak oczywista: za kadencji Westmorelanda realizm stał się terminem równie niepopularnym, jak wcześniej za Harkinsa. Mniej więcej w tym samym czasie do amerykańskiej ambasady w Sajgonie skierowano doświadczonego weterana jeszcze z czasów indochińskich, Howarda Simpsona. Po drodze zahaczył on o Honolulu, by wziąć udział w szczycie strategicznym, któremu przewodniczyły takie tuzy jak McNamara, Rusk, Taylor, Westmoreland i dyrektor CIA John McCone. Simpson odnotował z przerażeniem, że żaden z obecnych decydentów nie miał realnej wiedzy o Wietnamie, a jego nastrój nie przestawał się pogarszać, w miarę jak przysłuchiwał się rozwojowi dyskusji: „Szybko zorientowałem się, że agenda spotkania nie przewiduje lekcji historii. Francuzi tu wprawdzie przegrali, ale przecież my odniesiemy zwycięstwo (...). Na dobrą sprawę mógłbym zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że siedzę na briefingu we francuskim najwyższym dowództwie i jest rok 1953”[59].

Simpson nie znalazł w sobie odwagi, by samemu zabrać głos, ale słuchał z niedowierzaniem, jak prezentuje się kolejne plany i projekty, które – o czym dobrze wiedział – nie zostaną uznane za godne realizacji przez żadnego Wietnamczyka. A co gorsza, miał też świadomość, że wojskowi i urzędnicy w Sajgonie będą się zachowywać tak jak zawsze: uprzejmie potakiwać i zgadzać się na wszystko, nie mając najmniejszego zamiaru czynić czegokolwiek. „Wietnamczyków ponownie obsadzano w aż nazbyt dobrze im znanej roli: małych

ludzików, którzy nic nie znaczyli. Nie przewidziano dla nich nawet żadnego znaczącego miejsca w walce o ich własny kraj". Było to prawdziwe i niezwykle ważne spostrzeżenie. Oto Amerykanie, tak dumni z własnej niekolonialnej przeszłości i obecnego antykolonialistycznego nastawienia, z całą powagą zamierzali toczyć tę wojnę, powielając niemal dokładnie styl rządów kolonialnych na przestrzeni wieków. Frank Scotton zdefiniował postawę przeciętnego Amerykanina wobec Wietnamczyków jako „bezduszne lekceważenie. Niezależnie od szarży czy stanowiska Amerykanie bezustannie żartowali z wietnamskiej technologii jako umiejętności podniesienia czegoś za pomocą dwóch patyków albo też transportowania dwóch rzeczy z użyciem jednego patyka (...). Byliśmy sojusznikami, którzy właściwie wzajemnie się nie rozumieli"[60].

W Wietnamie Południowym naga siła niejednokrotnie wystarczała, by zadawać komunistom taktyczne porażki. Mimo to wrażliwi Amerykanie tacy jak Scotton, Simpson, Vann czy Ramsey doskonale rozumieli, że sukcesy na polu bitwy oznaczają tak naprawdę bardzo niewiele. Kto wie, czy nie największą ironią tej wojny, zwłaszcza z perspektywy tych, którzy w niej zginęli, był fakt, że same walki stanowiły jej najmniej istotną część, jeśli tylko spojrzeć na szerszy kontekst rywalizacji społecznej i kulturowej między Hanoi a Sajgonem. Powierzając centralną rolę w amerykańskiej misji w Wietnamie Maxowi Taylorowi, administracja zdecydowała się niejako posłać elektryka do opanowania wycieku gazu, choć akurat sam Taylor ujął to jeszcze barwniej: „Moje zadanie przypominało rozpaczliwe próby zatkania przeciekającego wału przeciwpowodziowego przez małego holenderskiego chłopca, który dysponuje w tym celu jedynie własnym kciukiem"[61]. A William DePuy napisał do swojej rodziny zaraz po przejęciu obowiązków przez Westmorelanda: „Nie możemy tego wygrać, ale być może damy teraz radę tego nie przegrać"[62].

Tamtego lata, jak zresztą przez cały czas trwania wojny, dni stosunkowego spokoju w Sajgonie wywoływały w Waszyngtonie przypływy gwałtownego optymizmu, że być może da się dzięki temu odwlec ważne decyzje. Westmoreland przy wsparciu Lodge'a wyraził podczas wspomnianej już konferencji strategicznej w Honolulu

odważną opinię, że „sytuacja sięgnęła dna, ale teraz już się stabilizuje i w przyszłości zacznie tylko iść ku lepszemu (...). W Wietnamie Południowym nie dojdzie do żadnego tąpnięcia, chyba że nastąpią jakieś wyjątkowo gwałtowne wypadki, takie jak przewrót czy mord polityczny”[63]. McNamara i McCone z CIA mieli wprawdzie na ten temat inny, znacznie mniej optymistyczny pogląd, ale Westmoreland i kończący swoją służbę ambasador upierali się, że mają rację.

Generał niewątpliwie najlepiej wypełniał tę część swojego zadania, która wymagała od niego umiejętności zarządzania. Pewien oficer opisał jego sztab jako *„crème de la crème”*[64]. Dick Stilwell, szef sztabu, a także dynamiczny, choć niepokaźny DePuy, pełniący funkcję oficera operacyjnego, byli podobnie jak ich przełożony pracoholikami. Administrowanie szybko rosnącym personelem amerykańskim w Wietnamie odbywało się z dużą skutecznością, choć bez żadnego poszanowania dla miejscowego środowiska społecznego czy naturalnego. Niestety, znacznie gorzej wyglądały same walki. 28 lipca DePuy napisał do domu: „Zagęszczenie wyższych oficerów w tej okolicy robi się doprawdy imponujące. Szczerze mówiąc, nie dziwię się wcale przytłoczeniu i oszołomieniu tych biednych, małych Wietnamczyków. I wcale nie jestem pewien, czy ich to wszystko choć trochę nie przeraża (...), [są natomiast] wyraźnie zmęczeni tą wojną i chyba nie byliby skłonni rozważać kolejnych dziesięciu lat takiej beznadziejnej, uciążliwej i krwawej pacyfikacji. Jestem przekonany, że woleliby, abyśmy zaatakowali za nich Wietnam Północny”. A w sierpniu dodawał: „Trudno zakładać, jak moglibyśmy wygrać, skoro przywódcy tego kraju nie wierzą w to, że mogliby tego dokonać”[65].

Tymczasem w Waszyngtonie ciężar decyzji po cichu i powoli, ale mimo to nieubłaganie, przesuwał się w kierunku jastrzębi. McGeorge Bundy, Dean Rusk i John McCone opowiadali się za wysłaniem wojsk lądowych zaraz po wyborach, choć Rusk na spotkaniu w Honolulu podkreślał „nieprzygotowanie amerykańskiej opinii publicznej do akceptacji zwiększonego zaangażowania wojskowego”. McNamara niechętnie zapatrywał się na wyekspediowaniem armii, za to zyskiwał coraz większe przekonanie do zbombardowania Północy. Tym bardziej że wywiad przedstawił nową analizę, z której wynikało, iż z uwagi na

słabo rozwinięte przemysł i infrastrukturę Hanoi powinno wykazywać szczególną wrażliwość na straty zadawane mu na tych obszarach. Zastępca sekretarza John McNaughton, wysoki, chudy i obrotny młody prawnik, zaproponował przyjęcie pewnej subtelnej strategii bombardowania polegającej na stopniowym podnoszeniu „progu bólu" z każdym atakiem powietrznym: „Powinniśmy uderzyć nie po to, by niszczyć, ale po to, by ich zranić". Podczas wyjazdowego posiedzenia Kolegium Połączonych Szefów Sztabów w Białym Domu 31 lipca Wallace Greene ponownie podkreślił swoje przekonanie, że Stany Zjednoczone muszą przenieść teatr działań wojennych do Wietnamu Północnego, by móc liczyć na uzyskanie jakiegokolwiek akceptowalnego wyniku na Południu. Obecna strategia, zauważał ten sztywny żołnierz marines, stanowiła „pogwałcenie fundamentalnej zasady militarnej, która mówi, by nie pozwalać nieprzyjacielowi dyktować sobie pola, na którym toczyć się będzie walka"[66]. W odpowiedzi na to prezydent rzucił dość dziwną uwagę, że pod wieloma względami Wietnam Południowy miał ten sam problem co Ameryka: „jak podnieść się po politycznym mordzie" – tam Diema, a tu Kennedy'ego. I choć na koniec zapewnił on swoich szefów sztabów, że nie będzie żadnych politycznych wahań w razie, gdyby pojawiła się konieczność nagłego działania militarnego, to nikt z obecnych nie miał w tej mierze żadnych złudzeń: wszystko, absolutnie wszystko było teraz podporządkowane uzyskaniu zwycięstwa w wyborach prezydenckich już za niecałe sto dni.

9
Wprost w otchłań zatoki

1. KŁAMSTWA

Pozostanie już na zawsze kwestią nierozstrzygniętą, czy Lyndon Johnson chciał udowodnić narodowi amerykańskiemu swoje męstwo, zanim pójdzie on do urn w listopadzie 1964 roku, czy też ten kryzys po prostu na niego spadł. Faktem jest, że w sierpniu, na dwa tygodnie przed konwencją Partii Demokratycznej, zmagania toczone w Azji Południowo-Wschodniej przyjęły nowy kształt. Już od stycznia Amerykanie prowadzili tajne misje na terenie Wietnamu Północnego określane wspólnym kryptonimem OPLAN34-A. Miały one na celu destabilizację rządów Hanoi poprzez zrzucanie na spadochronach tajnych agentów i organizowanie ataków komandosów. O ile oceny całej tej wojny mogą pozostawać mocno rozbieżne, o tyle w kwestii działań OPLAN34-A sprawa jest zupełnie jasna: kosztowały one życie albo co najmniej wolność setki Wietnamczyków, nie przynosząc zupełnie żadnego rezultatu. Od roku 1961 wywiad komunistyczny sprytnie podpuszczał szefostwo amerykańskich operacji paramilitarnych, nadając przez radio komunikaty z wykorzystaniem „odwróconych" operatorów wybranych spośród pochwyconych wcześniej agentów. Taka taktyka w połączeniu z intensywną działalnością podwójnych agentów na Południu sprawiała, że każde kolejne przechwycenie prowadziło w logiczny sposób do następnego. W roku 1963 na Północ wysłano, czy to ze spadochronami, czy w niewielkich łodziach, 80 grup realizujących operacje specjalne. Gilbert Layton z CIA powiedział: „U mnie w biurze (...) zakładało się z góry, że [Wietnamczycy z Południa] byli spenetrowani (...). Kiedy zacząłem rekrutować tych

ludzi, ktoś mnie zapytał: «A nie obawiasz się, że wśród tych, których teraz zatrudniasz, mogą być jacyś z Wietkongu?» Odparłem: «Owszem, ale naszym zdaniem nie więcej niż 10 procent, więc będziemy mieć nad nimi przewagę dziewięć do jednego»”[1].

Dowiedziawszy się o tym, Bill Colby nie miał wątpliwości, że dalsze procedowanie w takim stylu nie miało sensu: „Komunikat wysłany do mnie był jasny: to nie zadziała. W takim razie przestań to robić”[2]. Zimą 1963 roku właśnie taką konkluzję przekazał on Robertowi McNamarze, który jednak nic na to nie odpowiedział. Sekretarz obrony był bowiem przekonany, że tajne operacje mogłyby pomóc utrzymywać presję na Hanoi, gdyby tylko wprowadzić w nich pewne zmiany: przekazać je pod kontrolę MACV i zwiększyć udział w nich czynnika wojskowego. I właśnie do tej koncepcji przekonał w grudniu Lyndona Johnsona, a wkrótce potem przystąpiono do realizacji misji o kryptonimie OPLAN34-A. Niemal dwustu Wietnamczyków z Południa przeszkolono i wysłano na Północ, gdzie przedostawali się, skacząc ze spadochronem, łodziami albo wpław. Ich szkolenie było jednak dalekie od doskonałości: agentom wysyłanym do większych miejscowości zalecano na przykład szukanie kontaktów z katolickimi księżmi, którzy z całą pewnością byli antykomunistami. Tak w rzeczy samej było, tyle że w konsekwencji ich kościoły znajdowały się pod wzmożoną obserwacją. Niektórych spadochroniarzy z łatwością wyłapywano, bo w odróżnieniu od wszystkich dookoła nosili buty, a nie sandały. A jeden pochwycony włożył nawet amerykańskie jeansy – z miejsca skonfiskowane przez żołnierza, który wziął go do niewoli. Wielu poddawało się zresztą z własnej woli, i to w chwili, w której tylko dotknęli stopami ziemi.

W Wietnamie Północnym raz na jakiś czas organizowano procesy pokazowe agentów Sajgonu, podczas których plutony egzekucyjne rozstrzeliwały tych, którzy odmawiali dobrowolnego poddania się. Większość uczestników misji OPLAN34-A trafiała jednak do niewoli, a ostatnich z nich zwolniono z niej dopiero w roku 1995. Pułkownik Clyde Russell kierujący Grupą Analityczno-Obserwacyjną (Studies and Observation Group, SOG), która nadzorowała te misje, wyznał później wysłannikowi Kolegium Połączonych Szefów Sztabów: „Wysyłaliśmy większość tych ludzi bez jakichś specjalnie wygórowanych oczekiwań

(...). Nigdy nie mieliśmy operacji, która zakończyłaby się pełnym sukcesem”[3]. A mimo to misje wciąż trwały, przede wszystkim dlatego, że część żołnierzy i urzędników, wśród tych ostatnich zwłaszcza McNamara, widziała w nich niepociągający za sobą wielkich kosztów i łatwy do ukrycia sposób wywierania presji na wroga.

Trochę inny charakter miały wodno-lądowe operacje przeprowadzane z wykorzystaniem motorowych łodzi patrolowych rozwijających duże prędkości. Południowowietnamskie załogi tych łodzi uważały się za jednostki elitarne – i takie też były wynagrodzenia wypłacane im przez Stany Zjednoczone. Większość misji, rozpoczynanych z Da Nang, trwała zaledwie kilka godzin nocnych. Łodzie wypływały parami, średnio raz na tydzień, a ich oficerowie otrzymywali wcześniej szczegółowe instrukcje od Amerykanów posługujących się zdjęciami powietrznymi. Na pokład tych nowoczesnych jednostek typu Swift (Śmigłe) i Nasty (Wredne) wchodziły zespoły SEAL złożone z Wietnamczyków z grupy etnicznej Nung, które miały za zadanie ostrzał nadbrzeżnych instalacji. Raz na jakiś czas zdarzały się starcia z łodziami Wietnamu Północnego, w trakcie których przydawały im się pokładowe działa kaliber 40 mm. Żaden z wypadów na Północ nie był odnotowywany jako taki – zapisywano je w rejestrach pod enigmatycznym symbolem „łącznik z USA”[4]. Sami Wietnamczycy uwielbiali te wypady szybkimi łodziami, rozwijającymi nawet do 55 węzłów, dzięki czemu były nie do doścignięcia przez jednostki komunistyczne. Jak powiedział pewien ich oficer: „Fajnie było przenosić działania wojenne na Północ, zamiast tylko biernie bronić naszego własnego terytorium”[5].

Komuniści szybko nawykli do odpierania takich rajdów, więc ich jednostki obrony wybrzeży pozostawały w ciągłym stanie pogotowia. 28 lipca, po ataku na wyspę Hon Gio, chińskie kanonierki klasy Shantou znajdujące się na wyposażeniu armii północnowietnamskiej ścigały napastników przez ponad 70 kilometrów. Dwa dni później odparto komandosów usiłujących wedrzeć się do stacji radarowej na wyspie Hon Me, wobec czego tylko ostrzelali oni zabudowania z zewnątrz ogniem z broni automatycznej. Obrońcy byli czujni również trzy dni później, kiedy to niszczyciel Maddox, przeprowadzający misję

elektronicznego podsłuchu o kryptonimie „Desoto" o kilka kilometrów od tejże wyspy, wtargnął na wody uznawane przez Wietnam Północny za wewnętrzne, choć już przez Stany Zjednoczone za wciąż neutralne. Jednym z zadań zleconych załodze Maddoksa było zebranie informacji wywiadowczych na potrzeby MACV, w tym „ustalenie poziomu aktywności patrolowania wybrzeży DRW (...) [i] wywołanie, a następnie odnotowanie reakcji Wietnamczyków z Północy, w celu wsparcia amerykańskiego programu rozpoznania radiowego"[6].

1 sierpnia dowodzący tą misją kapitan marynarki John Herrick został poinformowany o przechwyceniu przez nasłuch północnowietnamskich transmisji wskazujących, że dowódcy wrogich jednostek „POSTANOWILI WYDAĆ DZIŚ WALKĘ NIEPRZYJACIELOWI", co sprawiło, że Maddox wycofał się na mniej sporne wody. Mimo to następnego dnia, to jest 2 sierpnia, komuniści zarządzili wokół wyspy Hon Me koncentrację łodzi torpedowych P-4 i sześćdziesięciosiedmiotonowych kanonierek Shantou, co Amerykanie zinterpretowali jako gotowość do walki z ich niszczycielem. Wczesnym rankiem 2 sierpnia Narodowa Agencja Bezpieczeństwa (NSA – National Security Agency) wysłała pilną wiadomość o tej właśnie treści do MACV i różnych komórek dowódczych w marynarce – choć już nie do kapitana samego niszczyciela – a brzmiała ona następująco: „STWIERDZONA REAKCJA ZE STRONY DRW, JAK RÓWNIEŻ STWIERDZONE Z ICH STRONY PRZYGOTOWANIA DO KONTRATAKU, MOŻLIWE ŻE W ODPOWIEDZI NA PATROL DESOTO, MOGĄ BYĆ POWAŻNIEJSZE, NIŻ TO WCZEŚNIEJ ZAKŁADANO". W ślad za tym komunikatem wysłano też o godzinie 11.44 G[4*] kolejny, opatrzony symbolem „krytyczny" – tym razem z jednostki nasłuchu radiowego w Phu Bai. Donosił on o potwierdzeniu przez jedną z kanonierek Shantou rozkazów ataku. Mimo wszystkich tych sygnałów niszczycielowi pozwolono kontynuować prowadzenie misji „Desoto" u wybrzeży Wietnamu Północnego. Około północy 2 sierpnia z pokładu Maddoksa zauważono pięć komunistycznych jednostek w pobliżu wyspy Hon Me, ale nie zmieniono wcześniejszego kursu.

Służbę oficera dowodzącego w Hanoi pełnił tego popołudnia pułkownik Tran Quy Hai, zastępca szefa sztabu generalnego. Jego

koledzy ustalili później, że kiedy zatelefonowano do niego z kwatery marynarki wojennej, by przekazać raport o obecności Maddoksa i poprosić o instrukcje, zareagował on następująco: „Co takiego? Oni pytają, jak mamy na to odpowiedzieć? Kiedy okręt nieprzyjaciela narusza nasze wody terytorialne, musimy go zaatakować! Na co oni, do cholery, czekają?”[7]. Po tej wymianie zdań zastępca szefa operacji bojowych zadzwonił do pełniącego służbę oficera dowodzącego marynarką, który rozkazał trzem jednostkom z Grupy Łodzi Torpedowych 135, przy wsparciu dwóch łodzi patrolowych, podjąć działania zaczepne wobec Maddoksa.

Incydent w Zatoce Tonkińskiej, 2 sierpnia 1964 roku. Na fotografii wykonanej z pokładu USS Maddox widoczna jest jedna z północnowietnamskich łodzi torpedowych P-4 ostrzeliwanych przez amerykański niszczyciel

W sajgońskiej bazie lotnictwa Tan Son Nhut oficer pełniący dyżur w stacji nasłuchowej NSA Harry Williams otrzymał z kolei ostrzeżenie

ze stacji nasłuchu morskiego w San Miguel na Filipinach, że lada moment rozpocznie się jakiś atak na amerykański okręt wojenny[8]. Istnieją też dowody na to, że w tym samym czasie doszło do pewnego zamieszania w łańcuchu dowodzenia armii północnowietnamskiej: wśród odszyfrowanych komunikatów był między innymi rozkaz odwołujący atak wydany łodziom P-4, który jednak nie zapobiegł późniejszemu krótkiemu spięciu. O godzinie 14.00 G Maddox zauważył jednostki północnowietnamskie, skierował się na wschód i zwiększył prędkość do 25 węzłów. Czterdzieści pięć minut później Herrick poinformował dowództwo na brzegu, że jeśli uzna to za konieczne, użyje w samoobronie pokładowych dział. Jednocześnie do wsparcia niszczyciela przekierowano cztery samoloty F-8 Crusader, towarzyszące dotąd lotniskowcowi Ticonderoga w ramach bojowych lotów rozpoznawczych. O godzinie 15.05 G, z całą pewnością wbrew późniejszym zapewnieniom administracji, że to komuniści jako pierwsi otworzyli ogień, z pięciocalowych dział Maddoksa wystrzelono trzy pociski ostrzegawcze, a chwilę później zaczęto strzelać do samych łodzi, zbliżających się do niszczyciela w poprzek fal z prędkością 40 węzłów. Wprawdzie żaden amerykański pocisk nie trafił w cel, podobnie zresztą jak torpedy wystrzelone z atakujących łodzi, ale o godzinie 15.20 G nadleciały samoloty Crusader, które w locie nurkowym ostrzelały trzy jednostki P-4 i poważnie je uszkodziły, zabijając przy tym czterech członków załogi, a raniąc kolejnych sześciu. Maddox zakończył potyczkę z pojedynczym trafieniem w górną część kadłuba; ucierpiał też jeden z samolotów Crusader, ale udało mu się bezpiecznie wylądować w Da Nang.

3 sierpnia na wybrzeże przyleciał północnowietnamski szef sztabu generalnego Van Tien Dung. Łodzie wciąż jeszcze nie wróciły z akcji, bo kryjąc się przed ogniem nieprzyjaciela, zaszyły się w jakiejś przybrzeżnej zatoce, gdzie przystąpiono do naprawy zniszczeń. Oficjalnie generał pogratulował marynarce. Wracając do stolicy helikopterem, Dung powiedział jednak towarzyszącemu mu oficerowi, że jego zdaniem atak był błędem, „skoro teraz dążymy do ograniczenia konfliktu”[9], a pełniący dyżur oficerowie dowodzący przekroczyli swoje uprawnienia.

W Waszyngtonie początkowa reakcja na tę potyczkę była dosyć stonowana, ale później na polecenie prezydenta wystosowano do Hanoi surowe ostrzeżenie, że jakiekolwiek kolejne „niesprowokowane" ataki na amerykańskie okręty wojenne spotkają się z „poważnymi konsekwencjami". 2 sierpnia McNamara towarzyszył Jackie Kennedy w drodze na mszę, kiedy pilnie wezwano go do Pentagonu. Następnego dnia przewodniczył on posiedzeniu Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, podczas którego omawiano dość ponuro brzmiący nowy raport z Sajgonu o ogólnej sytuacji w Wietnamie. Sekretarz podsumował: „My tam przegrywamy (...) Nie możemy sobie na to pozwolić i nie pozwolimy". Pojawiły się raporty o planach przeniesienia do Wietnamu Północnego jednego chińskiego dywizjonu powietrznego. McCone z CIA przestrzegał z kolei przed możliwymi chińskimi atakami lotniczymi na Sajgon, dodając, że całkiem niewykluczony jest także jakiś udział Rosjan, być może wysłanie przez nich po cichu i nieoficjalnie samolotów myśliwskich, jak to już zwykli czynić w Korei. Na wody u wybrzeża Wietnamu Północnego skierowano drugi lotniskowiec, Constellation, mający stanowić wsparcie dla Ticonderogi. Pojawił się tam też kolejny niszczyciel, Turner Joy, by dołączyć do Maddoksa. Kapitan Herrick, wciąż znajdujący się na morzu, nie miał najmniejszych wątpliwości, że sytuacja staje się poważna, bo zakomunikował na ląd: „DRW RZUCIŁ RĘKAWICĘ I TERAZ UZNAJE, ŻE JEST Z NAMI W STANIE WOJNY". Domagał się więcej okrętów wojennych dla wsparcia misji „Desoto" – otrzymał bowiem rozkaz jej kontynuowania jak najbliżej wybrzeża 3 sierpnia.

W nocy z 3 na 4 sierpnia południowowietnamscy komandosi przeprowadzili kolejny rajd OPLAN-34A, podczas którego cztery łodzie ostrzelały przybrzeżne instalacje w Vinh Son, przy czym jedna z nich musiała potem uciekać przed pościgiem komunistów. Ta akcja zorganizowana została wiele kilometrów od miejsca, w którym północnowietnamskie załogi wciąż starały się naprawić trzy łodzie torpedowe uszkodzone w trakcie walk toczonych wcześniej tamtego dnia. Nasłuch w Phu Bai niewłaściwie zinterpretował jednak komunikaty radiowe nieprzyjaciela i uznał, że szykuje on kolejny atak na amerykańskie okręty wojenne; o godzinie 16.56 G z Phu Bai wysłano

zatem nowe „krytyczne” ostrzeżenie. Tego samego dnia, to jest 3 sierpnia, jedna z łodzi Shaotou faktycznie namierzała amerykańskie jednostki, tyle że radarowo i z bezpiecznej odległości. Kilka następnych godzin na morzu przebiegło w bardzo napiętej atmosferze, ale w pobliżu Maddoksa czy Turner Joy nie oddano ostatecznie ani jednego wystrzału.

Tymczasem nikt w Waszyngtonie nie wpadł na to, by po prostu wycofać się z misji „Desoto”. Następnego ranka, a więc już 4 sierpnia, oba niszczyciele wznowiły działania nasłuchowe u wybrzeży Wietnamu Północnego. O godzinie 18.40 G Phu Bai wydało nowe ostrzeżenie: „MOŻL. OPERACJE MORSKIE DRW ZAPLANOWANE NA DZIŚ WIECZÓR PRZECIWKO PATROLOWI DESOTO”. Niecałe dwie godziny później, przy pogarszających się warunkach pogodowych, Maddox zaraportował wykrycie na pokładowych radarach dwóch „skunksów” – radarowych kontaktów powierzchniowych – i trzech „straszaków” – kontaktów powietrznych – o rozrzucie 160 kilometrów. Herrick spekulował później, że te ostatnie mogły być fałszywymi sygnałami „odbitymi od lądu”, a ściślej: od chińskiej wyspy Hainan. O godzinie 20.45 G Herrick zaraportował, że powierzchniowe „skunksy” znikły, ale już o 21.08 G donosił, że wychwycono sygnał kolejnego. Latające nad niszczycielem samoloty Skyhawk raportowały, że w ciemności widać dobrze biały kilwater za Maddoksem, za to nie ma śladu żadnych wrogich jednostek. O godzinie 21.34 G na pokładzie Maddoksa rozdzwoniły się już wszystkie alarmy, sygnalizując wykrycie nowego kontaktu radarowego w odległości 8961 metrów i najwyraźniej poruszającego się z prędkością 40 węzłów; podobną aktywność raportował też operator radaru na Turner Joy. A potem obsługa sonaru dostrzegła coś pod powierzchnią wody, zaś Ośrodek Informacji Bojowej na Maddoksie – choć już nie sami operatorzy sonaru – uznał ten obiekt za zbliżającą się torpedę. O godzinie 21.40 G Herrick raportował, że jego okręty strzelają do „napastników”, choć jednocześnie przyznawał, że oba niszczyciele mają problem z ich identyfikacją na radarach. Trudno się temu dziwić, bo rzekomi napastnicy byli jedynie wytworami wyobraźni Amerykanów.

Raporty z obu okrętów wojennych – „jesteśmy pod ciągłym ostrzałem torpedowym" – przekazane jeszcze tej samej nocy do Pentagonu, gdzie wstawał akurat nowy dzień, zawierały zarówno błędne interpretacje pokładowego personelu technicznego, jak i nadmiernie emocjonalne reakcje ich przełożonych. Admirał Ulysses Grant Sharp na Hawajach przez krótki czas uznawał te fałszywe raporty za świadectwo „wznowienia wrogich działań". Opublikowany po latach i niemal z całą pewnością autentyczny rejestr operacji bojowych Wietnamu Północnego nie wykazuje żadnych jednostek pływających aktywnych w pobliżu okrętów amerykańskich. Mimo to niszczyciele zareagowały na nowe kontakty radarowe, podejmując szereg manewrów wymijających, przy czym Maddox wciąż nie był w stanie zidentyfikować żadnego celu, do którego mógłby zacząć strzelać. Za to Turner Joy zużył ponad trzysta sztuk pięciocalowej amunicji i odnotował ponad dwadzieścia nadlatujących torped – a wszystko to wbrew sygnałom z krążących nad nim samolotów, które w świetle bezustannie zrzucanych flar nie mogły się dopatrzyć śladu nieprzyjaciela. O godzinie 23.35 G całą tę „akcję" ostatecznie zakończono, a Herrick zaraportował zatopienie dwóch wrogich łodzi i uszkodzenie kolejnej. Ale nawet niektórzy z jego podkomendnych mieli poważne wątpliwości, czy w ogóle doszło do jakiegokolwiek starcia. Szybko stało się jasne, że „nadlatujące torpedy" wykrywane rzekomo przez operatorów sonaru były tylko efektami wywoływanymi gwałtownymi ruchami sterów obu niszczycieli manewrujących gorączkowo w celu uniknięcia trafienia. Już w ciągu następnej godziny Herrick informował, że „CAŁA AKCJA POZOSTAWIA WIELE WĄTPLIWOŚCI", a wkrótce potem dodawał: „NIGDY POZYTYWNIE NIE ZIDENTYFIKOWANO ŁODZI JAKO TAKIEJ".

Ale w Waszyngtonie sprawy szły swoim torem. Już wcześniej, po „krytycznym" ostrzeżeniu z Phu Bai, McNamara uprzedził prezydenta o nieuchronnym ataku ze strony Wietnamu Północnego. A trzy godziny po zakończeniu „bitwy" morskiej Johnson wydał zgodę na przeprowadzenie uderzenia odwetowego na bazy Wietnamu Północnego. Jeszcze na pięć godzin przed planowanym startem samolotów admirał Sharp przestrzegał Pentagon, że „po ponownym

przyjrzeniu się przebiegowi zdarzeń wiele z raportowanych kontaktów i wystrzeleń torped wydaje się wątpliwych". Ale niedługo potem nasłuch radiowy prowadzony przez NSA przechwycił północnowietnamski meldunek, w którym donoszono, że „zestrzelono dwa samoloty w rejonie bitwy (...), poświęciliśmy dwa okręty, ale pozostałym nic się nie stało (...). Możliwe, że uszkodzeniu uległ też okręt nieprzyjaciela". Był to w rzeczywistości meldunek podsumowujący wydarzenia z 2 sierpnia, co do których sami komuniści wciąż mieli pewne wątpliwości. McNamara uznał go jednak za potwierdzenie rzekomego ataku z 4 sierpnia. A w połączeniu ze zwodniczymi „raportami naocznych świadków" z obu niszczycieli sekretarz obrony dysponował już w swoim mniemaniu wystarczającą wiedzą, by pozwolić prezydentowi na wydanie rozkazu przeprowadzenia nalotów odwetowych.

O godzinie 6.00 po południu 4 sierpnia rzecznik Pentagonu obwieścił światu o „drugim rozmyślnym ataku" przeprowadzony przez Wietnam Północny. Rusk nakazał swoim współpracownikom w Departamencie Stanu odnaleźć zalegający gdzieś od maja projekt rezolucji Kongresu przygotowany przez Bundy'ego. Johnson dosłownie kipiał oburzeniem, drąc się do McNamary: „Mają tam zostać zniszczone nie tylko te łodzie torpedowe, które zaatakowały Maddoksa, chcę, żeby zniszczono cały port! (...) Chcę im naprawdę porządnie przyłożyć". Sekretarz obrony nie starał się specjalnie powściągnąć tej furii prezydenta ani nawet sprostować jego błędów w ocenie sytuacji, choć miał już pod ręką dowody, by to uczynić. Ale też McNamara korzystał z raportów nasłuchu radiowego w sposób wybitnie selektywny. Zarówno wówczas, jak i w trakcie późniejszych przesłuchań przed Kongresem sekretarz obrony najpierw ignorował, a później ukrywał całą masę dowodów świadczących jasno o tym, że Wietnamczycy z Północy przejmowali się wówczas o wiele bardziej losem swoich uszkodzonych łodzi, a nawet wprost rozkazali pozostałym jednostkom nie wdawać się w żadne kolejne starcia z Amerykanami. Tymczasem powód zaistnienia wydarzeń, które przeszły do historii jako incydent w Zatoce Tonkińskiej, był w zasadzie jasny: Maddoksa wysłano na wody terytorialne Północy z wybitnie prowokacyjną misją związaną bezpośrednio z operacjami OPLAN-34A. A zważywszy na powtarzające

się już od jakiegoś czasu ataki komandosów z Południa na instalacje przybrzeżne, trudno się było doprawdy dziwić pewnemu podenerwowaniu północnowietnamskich żołnierzy, którzy wykazywali większą niż zazwyczaj skłonność do reakcji na jakiekolwiek zagrożenie. Decyzji o wysłaniu łodzi za amerykańskim okrętem wojennym, podjętej przez nadgorliwego komunistycznego oficera, bardzo później żałowano – a przy okazji zadbano o to, by informacja o tym żalu dotarła jak najszybciej do Waszyngtonu – w wielu ważnych i wysoko postawionych kręgach, choć nie we frakcji Le Duana i Le Duc Tho. A już z całą pewnością nie było żadnego „drugiego ataku".

McNamara najwyraźniej jednak rwał się do akcji. A prezydent w decydującym okresie kampanii wyborczej nie zamierzał dawać republikanom żadnego pretekstu do zarzucania mu słabości. Za szybką i twardą odpowiedź na rzekome zagrożenie dla amerykańskich żołnierzy zewsząd spadały nań pochwały. A z biegiem czasu, kiedy o całej sprawie wiadomo było coraz więcej, administracja w zasadzie nie miała już innego wyjścia, jak tylko kłamać i kłamać, by ukryć swoje liczne błędy i przeinaczenia niezbędne do uzasadnienia nalotów powietrznych na Wietnam Północny. Wieczorem 4 sierpnia prezydent miał wygłosić telewizyjną odezwę do narodu, którą odwlekał aż do godziny 23.36 czasu wschodniego, to jest do momentu uzyskania od admirała Sharpa potwierdzenia, że samoloty z Ticonderogi i Constellation właśnie wzbiły się do lotu. „Do przemocy i terroru stosowanych wobec pokojowych wiosek w Wietnamie Południowym – powiedział Johnson swoim rodakom – dołączyła teraz nieskrywana już agresja na otwartym morzu (...), wielokrotne akty przemocy wobec sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych muszą się spotkać nie tylko z czujną obroną, ale także z aktywną reakcją (...). Dobrze znamy, choć inni zdają się o tym zapominać, niebezpieczeństwa związane z rozlewaniem się konfliktu. Wcale nie dążymy do rozniecenia tej wojny".

Rozkaz wydany marynarce wojennej przez Kolegium Połączonych Szefów Sztabów zaczynał się następująco: „Do godziny 7.00 przeprowadzić lokalnie jednorazową, maksymalnie skoncentrowaną akcję (...), której zadaniem ma być zrealizowanie z maksymalną pewnością zniszczenia w wysokim stopniu wskazanego celu"[10].

Łącznie wysłano 64 misje, w trakcie których zniszczono nieustaloną liczbę północnowietnamskich łodzi za cenę utraty dwóch amerykańskich maszyn. Jeden z pilotów, porucznik Everett Alvarez, stwierdził, że możliwość udania się na misję bojową po całych latach słuchania, że kiedyś wreszcie to nastąpi, „była jak jakiś sen". Tyle że akurat w jego przypadku ten sen szybko zmienił się w koszmar: kolejnych osiem lat przyszło mu bowiem spędzić w północnowietnamskim więzieniu.

Reakcja prezydenta na incydent w Zatoce Tonkińskiej z pewnością odzwierciedlała jego złość i frustrację, że oto jakieś marionetkowe komunistyczne państewko w odległej Azji poważa się rzucać wyzwanie Stanom Zjednoczonym. W takim stanie ducha szczegóły w gruncie rzeczy niewiele go interesowały: już rankiem 4 sierpnia Johnson zasugerował, że ma zamiar wykorzystać ów „drugi atak", wywiedziony naprędce z raportów nasłuchu, do przepchnięcia przez Kongres rezolucji popierającej eskalację. Nic dziwnego, że nie chciał czekać, aż jakieś niewygodne fakty zepsują mu, być może nawet jeszcze tego samego dnia, cały starannie przygotowany spektakl oburzenia w imieniu swojego narodu. Wszystko to bardzo źle świadczy natomiast o jego doradcach, zwłaszcza o McNamarze – nie potrafili wystarczająco szybko i wiarygodnie przedstawić prezydentowi sprostowania wcześniejszych błędnych informacji, a przede wszystkim nie uspokoili na czas zwierzchnika sił zbrojnych. Tym samym pozwolili mu zmienić w nieledwie narodowy dramat niewielkie i dosyć zwyczajne spięcie na morzu, które mogło, a nawet powinno było zostać uznane za całkowicie trywialne i nieistotne.

Jak się wydaje, jedyne rozsądne wytłumaczenie takiego stanu rzeczy brzmi: sekretarz obrony w gruncie rzeczy też rwał się już do jakiejś agresywnej akcji. Tak oto przywódcy Ameryki świadomie postanowili wykorzystać utarczkę sprowokowaną przez ich własnych wojskowych, by nadać pozory racjonalności swojej demonstracji silnej woli i zdolności do działania. Wcześniej tamtego lata Waszyngton wysłał do Hanoi komunikat ustami kanadyjskiego delegata w ICC, w którym przestrzegał Pham Van Donga przed „ogromnymi zniszczeniami", w razie gdyby Wietnam Północny w dalszym ciągu nie przestawał

mieszać się w sprawy Południa. A po incydencie w Zatoce Tonkińskiej ten sam Kanadyjczyk na ponowną prośbę Amerykanów powtórzył tę wcześniejszą przestrogę: tam, skąd nadleciały bomby 5 sierpnia, wciąż jest ich o wiele, wiele więcej. W odpowiedzi Dong miał się „bardzo rozzłościć" i powiedzieć: „Im bardziej USA rozszerzają wojnę, tym większa będzie ich ostateczna porażka"[11].

Po starciu w Zatoce Tonkińskiej McNamara stanął przed Senatem, gdzie wygłosił swoje jakże doniosłe kłamstwo: „Nasza marynarka wojenna nie brała w tym absolutnie żadnego udziału, nie miała z tym żadnych związków i nic jej nie wiadomo o udziale jakichkolwiek Wietnamczyków z Południa ani o ich obecności [w tym samym rejonie operacyjnym, w którym działał Maddox], jeśli takowa w ogóle miała miejsce". Tak zwana rezolucja o Zatoce Tonkińskiej, niewiele odbiegająca od projektu Billa Bundy'ego, trafiła tym samym przed oblicze Kongresu. Dawała ona administracji prawo do „podjęcia wszelkich niezbędnych środków w celu odparcia jakiegokolwiek zbrojnego ataku na siły Stanów Zjednoczonych, a także przeciwdziałania dalszym agresywnym działaniom". Senator Richard Russell, wyrażając bez wątpienia zdanie większości swoich kolegów, powiedział: „Na szali leży honor naszego narodu. Nie możemy się uchylać przed jego obroną i tego nie uczynimy". Senator Eugene McCarthy, który później miał odegrać rolę Brutusa względem prezydenta Johnsona, wyjaśnił z kolei: „Jeśli sedno tej propozycji sprowadza się do pytania: «Czy amerykańskim okrętom wolno odpowiedzieć ogniem w sytuacji, w której oddaje się do nich strzały?», wówczas trudno doprawdy zagłosować przeciwko niej"[12]. Jedyne dwa głosy sprzeciwu oddali demokraci Ernest Gruening i Wayne Morse, wobec czego 7 sierpnia uchwalono ostatecznie rezolucję, która miała odtąd służyć jako podstawa prawna wojennego zaangażowania Ameryki w Azji Południowo-Wschodniej.

2. JASTRZĘBIE DOCHODZĄ DO GŁOSU

O godzinie 13.30 5 sierpnia w kwaterze głównej sztabu generalnego, znanej jako Smoczy Dwór (Dragon Court), ponieważ po obu stronach dziewięciostopniowych schodów wiodących do jej wejścia umieszczono kamienne figury smoków, zebrał się wojskowy komitet komunistycznej Partii Pracujących Wietnamu. Celem spotkania miało być omówienie wypadków z 2 sierpnia, ale niedługo po jego rozpoczęciu nadeszły wieści o amerykańskich atakach powietrznych na wybrzeże. Po jakimś czasie pojawiły się kolejne doniesienia, tym razem o zestrzeleniu dwóch samolotów i pochwyceniu jednego pilota, co wywołało wśród zebranych wybuch tak wielkiej radości, że spotkanie trzeba było przerwać i odłożyć na inny czas, podobnie jak wzajemne oskarżenia o odpowiedzialność za starcie w Zatoce Tonkińskiej. Odpowiedzią na te pierwsze naloty były demonstracje na ulicach Hanoi, które – zdaniem pewnego brytyjskiego dyplomaty będącego ich świadkiem – „miały charakter na tyle bliski spontaniczności, na ile to w ogóle możliwe w krajach komunistycznych”[13]. Te bombardowania zjednoczyły społeczeństwo Wietnamu Północnego w stopniu o wiele większym niż jakiekolwiek zabiegi propagandowe. Pewien nastolatek obserwujący w swojej wiosce nadlatujące samoloty, które już po chwili zniszczyły pobliskie zbiorniki ropy, początkowo odczuwał głównie szok i niedowierzanie. Ale potem „zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że życie młodych ludzi, takich jak ja, wkrótce znajdzie się w punkcie zwrotnym, bo będziemy musieli walczyć o niepodległość i wolność naszego narodu”[14]. Bomby nie tylko nie zastraszyły chłopca, przekonały go wręcz, że jego naród pada właśnie ofiarą niesprowokowanej agresji: później miał on zostać oficerem obrony przeciwlotniczej.

Max Taylor zauważył kiedyś, że Amerykanie niewiele wiedzieli o komunistycznych przywódcach, a jeszcze mniej o ich zamiarach. Brytyjski konsulat w Hanoi, stanowiący na dobrą sprawę rozbudowaną komórkę tajnych służb wywiadowczych SIS (Secret Intelligence Service), niedługo po tej pierwszej rundzie bombardowań raportował z podziwu godną zdolnością przewidywania, że przywódcy Wietnamu Północnego „nie dadzą się zastraszyć. Ani też nie pozwolą się

sprowadzić z raz obranej drogi. Drogi zostaną odbudowane, mosty zastąpione jakimiś prostszymi konstrukcjami bambusowymi, a zapasy uzupełnione (...). [Naloty powietrzne] jedynie wzmacniają ich stanowczość". W rzeczywistości północnowietnamskie politbiuro było mniej zaniepokojone bombardowaniem, a bardziej wymówkami płynącymi z Moskwy i Pekinu za zaatakowanie Maddoksa. Ho Chi Minh powrócił ze swojej quasi-emerytury, by przewodniczyć posiedzeniu, podczas którego z całą powagą żądał odpowiedzi na pytanie: „Kto wydał ten rozkaz?". Giap domagał się kar dyscyplinarnych dla odpowiedzialnych za to osób, w tym zwłaszcza dla pułkownika Trana Quy Haia. Hai bronił się jednak, że przed wysłaniem łodzi do walki skonsultował się z jednym z członków politbiura i choć odmawiał podania jego personaliów, wszyscy towarzysze domyślali się, że chodzi o Le Duana. Hai otrzymał ostatecznie formalną reprymendę, ale szef sztabu Dung nie chciał słyszeć o żadnych dalszych oskarżeniach czy pretensjach, mówiąc: „Nawet jeśli my nie będziemy ich atakować, oni będą atakować nas. Taka już ich natura jako imperialistów"[15]. A pewien wysoki szarżą północnowietnamski oficer, który uciekł z kraju w roku 1990, potwierdził, że zgodę na atak z 2 sierpnia wydał właśnie Le Duan, już od dawna szydzący otwarcie z rozterek Giapa pragnącego uniknąć otwartego starcia z Amerykanami i pozwalający sobie na wypowiedzi o nim w stylu: „On jest tchórzliwy niczym zając"[16].

Skoro już Stany Zjednoczone uciekły się do sfabrykowania faktów w sprawie rzekomego starcia 4 sierpnia tylko po to, by uzasadnić zbombardowanie Północy, Hanoi doszło do wniosku, że nie ma dłużej sensu zachowywać militarnej powściągliwości po własnej stronie. To właśnie była największa cena, jaką Waszyngton miał zapłacić za naloty bezpośrednio po incydencie w Zatoce Tonkińskiej: przekuwając dotychczasowe groźby bombardowań w rzeczywistość, amerykańscy decydenci nieroztropnie zagrali swoją kartą atutową, która przyniosłaby im o wiele więcej korzyści, gdyby wciąż znajdowała się w ich rękach. Po posiedzeniu Komitetu Centralnego Partii w dniach 25–29 września szefem CBWP został mianowany Nguyen Chi Thanh, a jednocześnie pierwszej regularnej formacji armii północnowietnamskiej wydano wstępne rozkazy poczynienia

przygotowań do marszu na Południe. Ostatecznie część 325. Dywizji wyruszyła w drogę dopiero w listopadzie, a zwłoka spowodowana była częściowo koniecznością wcześniejszych uzgodnień z Moskwą i z Pekinem, a częściowo brakami w wyposażeniu.

Chiny, które 16 października same podniosły napięcie na linii Wschód–Zachód, testując własną broń nuklearną, drastycznie zwiększyły teraz dostawy broni do Wietnamu. Do Hanoi napływać zaczęły w dużych ilościach karabiny automatyczne AK-47, karabiny maszynowe kaliber 7,62 mm, moździerze kaliber 82 mm, przeciwpancerne granatniki rakietowe i działa bezodrzutowe. Do obrony terytorium samego Wietnamu Północnego Pekin przysłał z kolei 32 myśliwce MiG-17, na których wietnamscy piloci szkolili się w Chinach już od dobrych dwóch lat: ich chiński doradca pozostał zresztą w jednostce do czasu przeprowadzenia pierwszych lotów bojowych. W samym Hanoi na dachach domów instalowano działa artylerii przeciwlotniczej, a połowę cywilnej ludności miasta zapędzono do robót przy okopach.

Wieczorem 5 października w Pekinie Mao Zedong i Zhou Enlai omawiali kwestie dotyczące wojny z delegacją przybyłą z Hanoi. Mao wyraził przekonanie, że Johnson nie ma zamiaru przeprowadzać inwazji na Wietnam Północny, choć mimo to przestrzegał przed bezsensownym prowokowaniem Amerykanów. Zgadzał się z nim Pham Van Dong, który mówił chińskim przywódcom: „Powinniśmy dążyć do utrzymania tego konfliktu w sferze «wojny specjalnej», a następnie do pokonania wroga na tym polu". Natychmiast dodał jednak: „Jeśli USA odważą się [wysłać swoich żołnierzy], będziemy z nimi walczyć i walkę tę wygramy". Następnie przedyskutowano możliwość negocjacji za pośrednictwem Organizacji Narodów Zjednoczonych zaproponowaną przez sekretarza generalnego U Thanta. Choć jeszcze kilka miesięcy wcześniej Mao był temu przeciwny, tamtego wieczora powiedział: „Nigdy nie jest źle usiąść do negocjacji. Wypracowaliście już sobie [dobrą] pozycję przetargową. Inną sprawą jest, czy te negocjacje się powiodą"[17]. Le Duan już wcześniej pojawił się w Pekinie, by zdać tam relację z przebiegu incydentu w Zatoce Tonkińskiej i poinformować Mao o zamiarze wysłania na Południe regularnej dywizji wojskowej;

teraz chiński przywódca prosił Wietnamczyków z Północy, by starannie zaplanowali moment przeprowadzenia tej operacji, zanim jeszcze jednostka wyruszy w drogę.

Jeśli zaś chodzi o Lyndona Johnsona, to w miesiącach, które nastąpiły bezpośrednio po dramatycznych wydarzeniach z początku sierpnia, robił on wszystko, by ponownie obniżyć temperaturę sporu w Azji Południowo-Wschodniej, przynajmniej do dnia wyborów. Nie nastąpiły zatem żadne kolejne bombardowania Północy, a prezydent skorzystał nawet z gorącej linii, by ułagodzić Moskwę. Wszystko wróciło więc do „normy", a sam incydent w Zatoce Tonkińskiej i przyjęta w jego następstwie rezolucja miały odcisnąć swoje piętno w historii dopiero znacznie później, po tym jak wyszły na jaw oszustwa tej administracji. Nic zatem dziwnego, że wkrótce po tych wydarzeniach dziennikarz i historyk Theodore White mógł z całym szacunkiem napisać w swojej książce o tym, jak wybierano prezydenta w roku 1964: „Umiejętna odpowiedź na ukłucie zadane przez północnowietnamskie łodzie torpedowe w postaci wysłania amerykańskich samolotów (...) została przeprowadzona przy doskonałym wyważeniu zuchwałości i precyzji"[18]. Amerykańskie społeczeństwo było zresztą wówczas o wiele bardziej zainteresowane i uwiedzione kolejnymi aktami prawnymi przyjmowanymi, począwszy od 2 lipca, i stanowiącymi pierwszy etap zapowiadanej przez Johnsona legislacji wprowadzającej jego wielki program społeczny Great Society; były to: Civil Rights Act (Ustawa o prawach obywatelskich), Mass Transit Act (Ustawa o infrastrukturze transportowej), Civilian Pay Act (Ustawa o wynagrodzeniach w służbie cywilnej) i Anti-Poverty Act (Ustawa przeciwdziałająca ubóstwu). Johnson całkiem słusznie szczycił się wtedy przeprowadzeniem podczas jednego posiedzenia Kongresu aż czterdziestu pięciu ważnych projektów legislacyjnych, co stanowiło wynik o wiele bardziej imponujący od tego, którym mógł się kiedykolwiek pochwalić Kennedy.

Lyndon Johnson podczas kampanii wyborczej, 1964 rok

Wietnam okazał się kwestią mało znaczącą z wyborczego punktu widzenia. Rozmaite zawirowania w Sajgonie uznano za stan niejako naturalny dla tego miasta. A w miarę jak generał Nguyen Khanh przyznawał sobie uprawnienia coraz bardziej autorytarne, na ulicach pojawiały się kolejne fale protestujących buddystów i studentów. W dodatku Khanh pogorszył jeszcze sytuację, kiedy obiecał demonstrantom, że przedyskutuje ich żądania z Maxem Taylorem, czym tylko potwierdził swój status wasala. 25 sierpnia generał zapowiedział, że podzieli się władzą z dwoma innymi ważnymi i znanymi osobistościami wojskowymi: Tran Thien Khiemem i Duong Van Minhem. A potem jego żołnierze otworzyli ogień do protestujących, zabijając sześciu z nich. Stolica ponownie pogrążyła się w chaosie, podczas gdy Wietkong nie przestawał siać zniszczenia na prowincji. Przez całą jesień z Wietnamu bezustannie napływały same złe wieści,

zarówno w kwestii terroryzmu, jak i w odniesieniu do politycznych protestów.

Amerykanie przekonali jednak samych siebie, że buddyjscy demonstranci to tak naprawdę tylko narzędzia w rękach komunistów. Doświadczony brytyjski korespondent Gavin Young dostrzegał tu jednak więcej niuansów. Jego zdaniem, buddyści byli „przekonani, że komunizm jest barbarzyński i szkodliwy, a z drugiej strony uznawali amerykanizację swojego kraju za poniżającą. Co dziwniejsze (...), chodziło im tak naprawdę tylko o środki, dzięki którym mogliby toczyć skuteczniejszą wojnę z komunistami. Uważali bowiem, że sponsorowani przez Amerykanów generałowie rządzący ich krajem są kompletnie skorumpowani i niekompetentni (...). A oni [buddyści] byli autentycznymi wietnamskimi nacjonalistami, dumnymi ze swojej historii i kultury. A wobec jakichkolwiek obcych wpływów odczuwali tylko lęk i nieufność”[19]. Cóż, buddyści z całą pewnością mieli w sobie sporo naiwności – ale chyba nie więcej niż generałowie rządzący w Sajgonie.

Jeden z oficerów ARVN, porucznik Nam, opisał doświadczenia swojej jednostki podczas jakiejś demonstracji na ulicach Sajgonu: „Odziany w żółte szaty mnich trzymał w ręku małą flagę, którą uniósł wysoko, rozpościerając obie ręce w kształt litery V, niczym bokser wkraczający na ring i pozdrawiający publiczność. Większość młodych mężczyzn biorących udział w demonstracji nosiła japońskie sandały i obcisłe spodnie, na które mieli wypuszczone poły koszul. Było też kilka młodych dziewcząt ściskających torby z książkami, jakby zaraz miały iść do szkoły. Dwie najbardziej aktywne i ożywione kobiety były jednak dużo starsze i nosiły czarne spodnie i kwieciste bluzki. Trzymały w rękach laski, a jedna z nich przez jakiś czas wykrzykiwała przekleństwa, potem pobiegła do fontanny z wodą i długo z niej piła, a kiedy wróciła, znów zaczęła głośno krzyczeć”[20].

Żołnierze nie brali czynnego udziału w pacyfikowaniu tej demonstracji; robiły to za nich oddziały interwencyjne policji, które nacierały na protestujących i wystrzeliwały w ich kierunku pociski z gazem łzawiącym, dopóki nie wyparły wszystkich z ulicy, zaśmieconej teraz porzuconymi w panice drewnianymi chodakami, torbami na

książki, stożkowatymi kapeluszami i sandałami. Dopiero wtedy do akcji wkroczyli żołnierze, rozstawiając w palącym słońcu barykadę z drutu kolczastego zamykającą dostęp do ulicy. A potem, jak napisał porucznik Nam, „jakiś facet, z pociągłą szczurzą twarzą, wskazał mnie palcem i zaczął krzyczeć: «Ty skurwielu! Ile płacą ci Amerykanie? Kiedy już zdechniesz, żadne piekło nie będzie dość gorące, by cię ukarać za twoje winy» (...). Nagle z tłumu wyleciał kamień i trafił w pierś kaprala Longa, który krzyknął z bólu, a potem walnął kolbą karabinu dzieciaka podskakującego tuż przed jego nosem. A ja rzuciłem granatem gazowym i poczułem, jak eksploduje we mnie długo tłumiona złość. I sam zacząłem zadawać ciosy kolbą karabinu, od razu usłyszałem okrzyki bólu. Słyszałem też chrzęst kości trzaskających pod siłą moich uderzeń. Cały mój pluton rzucił się naprzód nacierając na tłum w przypływie dzikiej złości i nienawiści”[21]. A kiedy już jego ludzie się wycofali i z ulgą ściągnęli maski przeciwgazowe, Nam poczuł ukłucie ogromnego żalu, że świetlana kariera wojskowa, o której od zawsze marzył, zamieniła się w nędzną rzeczywistość tłumienia ulicznych zamieszek[22]. Dokładnie to samo czuło wówczas wielu innych Wietnamczyków z Południa: bezsilność i poczucie swoistego uwięzienia między dwoma rywalizującymi ze sobą złowieszczymi potęgami. Pewien amerykański doradca spytał kiedyś jednego z naczelników prowincji: „A gdybyś miał teraz dwadzieścia lat, nie musiał się o nikogo troszczyć i nigdy wcześniej nie pracował dla rządu w Sajgonie, po której stronie być się opowiedział?”. Nieszczęśnik długo i wymownie milczał, nie pozostawiając Amerykaninowi żadnych wątpliwości co do odpowiedzi[23].

Podczas narady w Białym Domu 9 września Max Taylor powiedział: „Prędzej czy później i tak musimy pójść na Północ, bo przecież nie możemy sobie pozwolić na przegranie tej wojny”. Johnson odparł na to, że najpierw należy zadbać o zainstalowanie w Sajgonie stabilnego rządu, a dopiero potem myśleć o innych wielkich przedsięwzięciach – co rzecz jasna oznaczało dalsze odwlekanie strategicznych decyzji, których już od dawna domagali się członkowie KPSS. Generał Greene z marines określał tę niechęć prezydenta do zdeklarowania się w kwestii wietnamskiej jeszcze przed wyborami mianem „gigantycznego

ryzyka”[24]. On sam domagał się głośno, by administracja okazała swoje stuprocentowe wsparcie reżimowi Khanha[25], pozwalając mu ogłosić stan wojenny, stłumić wszelkie rozruchy i demonstracje oraz wysłać żołnierzy ARVN do ataku na Szlak Ho Chi Minha w Laosie i Kambodży przy wsparciu amerykańskiego lotnictwa. Przede wszystkim zaś powinno się, jego zdaniem, przeprowadzić natarcie na Wietnam Północny „w celu albo zmuszenia Wietnamczyków [z Północy] do przerwania wsparcia dla Wietkongu, albo ustanowienia korzystnej sytuacji przetargowej przed wycofaniem sił amerykańskich”[26]. We wrześniu MACV przedstawiła wyliczenia, z których wynikało, że w ciągu minionych trzech lat zabito 66 tysięcy partyzantów Wietkongu, ale jednocześnie przyznawała, że już mniej więcej połowa ludności Wietnamu Południowego płaciła wówczas podatki na rzecz komunistów.

Szef USIA Ev Bumgardner powiedział Frankowi Scottonowi, że jego zdaniem krótki okres rządów Nguyena Khanha już niezadługo dobiegnie końca: „Amerykanie opadli go jak muchy i jego dni są policzone”. Bumgardner doradził Scottonowi spotkanie z dowódcą 5. Dywizji, generałem Nguyenem Van Thieu, który wydawał się najlepszym kandydatem na następcę Khanha. Scotton był wyraźnie zdziwiony tym wyborem – jego zdaniem Thieu należał raczej do lżejszej kategorii wagowej. Bumgardner tylko się roześmiał: „Może i tak jest, ale dzięki temu nie pójdzie tak łatwo na dno. Poza tym wszyscy pozostali nie czują z jego strony żadnego zagrożenia, a kiedy je wreszcie poczują, może już być za późno”[27]. I rzeczywiście, kiedy wojskowi zdecydowali się po raz kolejny przetasować swoje karty, na stole pojawił się właśnie Thieu wraz z trzydziestoczteroletnim wicemarszałkiem sił powietrznych Nguyenem Cao Ky: to oni mieli odtąd odgrywać główną rolę w tak zwanej Radzie Sił Zbrojnych. 20 października ogłoszono powołanie cywilnego rządu pod kierownictwem Tran Van Huonga, ale nikt nie spodziewał się, by przetrwał on jakoś znacząco długo – i tak rzeczywiście się stało.

Tymczasem Wietkong wytrwale zwalczał wszystko, co kojarzyło się z Amerykanami i rządem w Sajgonie. W porównaniu z późniejszymi latami straty ARVN były jeszcze wówczas stosunkowo niewielkie –

niecałe 6 tysięcy zabitych w roku 1963 i tylko trochę więcej w roku następnym. Mimo to jastrzębie w Waszyngtonie nie kryły swojego zaniepokojenia spektakularnym atakiem przypuszczonym przez komunistów 31 października na lotnisko wojskowe w Bien Hoa, kiedy to zniszczono kilka maszyn B-57 i zabito ośmiu Amerykanów, a także swojej konsternacji brakiem zdecydowanej reakcji decydentów, odmawiających przeprowadzenia kolejnych odwetowych nalotów na Północ. 1 listopada Earle Wheeler formalnie przedstawił McNamarze stanowisko Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, z którego wynikało, że Stany Zjednoczone powinny albo mocno zaangażować się militarnie w ten konflikt, albo się z niego wycofać.

Następnego dnia sekretarz obrony przedstawił całą sytuację jako „cholernie poważną (…) [wręcz] krytyczną". Mimo to wciąż uważał, że naloty na Północ rekomendowane przez Szefów Sztabów, „nie wpłyną zasadniczo na postawę «Wietkongu» w Wietnamie Południowym". Powtórzył też swoje obawy o to, że do konfliktu mogliby włączyć się Chińczycy, a wreszcie podkreślił, że prezydent chciał wykonać jakiś ruch, „ale musi mieć absolutną pewność co do swojej pozycji, zanim to uczyni". Większość Amerykanów, którzy poszli do urn następnego dnia, sądziła, że popierając Lyndona Johnsona, a nie Barry'ego Goldwatera, głosuje za odstąpieniem od eskalacji wojny wietnamskiej: kandydat demokratów zbierał rzęsiste owacje za każdym razem, gdy obiecywał ludziom zebranym na wiecach wyborczych, że nie wyśle „amerykańskich chłopców, by walczyli w wojnie, którą powinni toczyć sami dla siebie chłopcy azjatyccy".

3 listopada sytuacja wyborcza wreszcie się wyjaśniła. Johnson wygrał to głosowanie w cuglach, z największą przewagą w całej historii amerykańskich wyborów. Otrzymał zatem olbrzymi mandat zaufania, co stanowiło dlań najlepszą i prawdopodobnie ostatnią okazję do wycofania się z Wietnamu. A mimo to przez kolejne tygodnie w administracji przyjmowano niemal za pewnik, że ten wewnętrzny sukces polityczny będzie skutkował właśnie eskalacją. Chyba tylko całkowita kapitulacja Wietnamczyków z Północy mogłaby zapobiec wysłaniu amerykańskich wojsk. McGeorge Bundy, Robert McNamara i wszyscy pozostali uznawali za oczywiste, że jeśli wróg pozostanie

równie nieprzejednany jak dotąd, wówczas trzeba mu się będzie przeciwstawić odpowiednio zwiększonymi siłami wojskowymi.

Determinację Johnsona, by w dalszym ciągu pomagać Wietnamczykom z Południa, nawet wbrew ich woli i interesom, wzmocniła dodatkowo poprawa jego notowań w sondażach opinii publicznej po sierpniowych nalotach powietrznych. Amerykanie nader pozytywnie ocenili okazane przezeń wówczas siłę, stanowczość i zdecydowanie. Prezydent nie musiał się też zbytnio przejmować Kongresem, z którym radził sobie dotychczas nadzwyczaj umiejętnie. I choć jego najważniejsi sojusznicy w sprawach polityki zagranicznej – senatorowie William Fulbright, Mike Mansfield i Richard Russell – prywatnie wyrażali daleko posunięty sceptycyzm co do postępowania administracji w sprawie Wietnamu, to Johnson zdołał przekonać ich wszystkich, by zachowali swoje wątpliwości dla siebie, przynajmniej do czasu, kiedy zapadną już wszystkie kluczowe decyzje. Był to doprawdy niezwykły aspekt tej wojny, że naród amerykański i wyłonione przezeń gremia ustawodawcze tak łatwo i bez większego sprzeciwu dały się namówić do zaangażowania olbrzymich zasobów militarnych z dala od swojego kraju, nie zważając na fakt, iż pozostała część świata, w tym Wielka Brytania, Francja, Japonia czy Kanada – a więc niemal wszystkie rozwinięte kraje demokratyczne z wyjątkiem Australii – uznawała politykę prowadzoną przez Stany Zjednoczone za krańcowo nieodpowiedzialną.

Najbardziej zaciekłym oponentem eskalacji na forum parlamentu stał się w latach 1964–1965 George Ball, podsekretarz w departamencie Ruska. Wyłożył on wszystkie swoje obiekcje w sześćdziesięciosiedmiostronicowym memorandum przedłożonym 5 października 1964 roku, które jednak sam prezydent przeczytał dopiero pięć miesięcy później. Stało się tak dlatego, że McNamara, do którego dokument ten początkowo trafił, traktował go z najwyższym obrzydzeniem – jego autora zaś, by zacytować samego Balla, „niczym jadowitego węża (...) dosłownie o krok od zdrady stanu”[28]. Podsekretarz argumentował, że wycofanie się z Wietnamu nie tylko nie umniejszy prestiżu Stanów Zjednoczonych, ale wręcz wzmocni ich pozycję wśród sojuszników, jako że wszyscy oni jak dotąd sprzeciwiali

się wojnie. Zamiast zatem, przekonywał, bezustannie debatować nad rozmaitymi opcjami rozwiązań militarnych, należałoby poświęcić równie wiele energii na znalezienie jakiegoś wyjścia politycznego. Uznawał wręcz za groteskową sytuację, w której „w czasie, gdy na naszych oczach rozpadał się kolejny twór nader życzliwie określany przez nas mianem rządu w Sajgonie, my musieliśmy bombardować Północ, najwyraźniej z potrzeby jakiejś politycznej terapii". Ball powoływał się na strategiczny symulator Pentagonu Sigma II z roku 1962, który wskazywał na niezwykle małe prawdopodobieństwo złamania woli walki Północy nalotami powietrznymi, a później lekceważąco wyrażał się o bombardowaniach jako o „ćwiczeniach uśmierzających ból, które oszczędzały moim kolegom konieczności rozważania trudnej decyzji o wycofaniu się". Ball stał się odtąd dość wygodnym dla administracji „licencjonowanym" oponentem, któremu z szacunku pozwalano zabierać głos nawet w obecności prezydenta, wiedząc dobrze, że i tak niczego to nie zmieni.

Dlaczego jednak wokół tej istotnej kwestii toczył się tak niewielki w sumie spór? Amerykanie nigdy specjalnie nie cenili poglądów na temat ich własnych spraw wyrażanych za granicą albo w kręgach intelektualistów na Wschodnim Wybrzeżu. A w latach 1964–1965 konserwatyzm dominujący na ogromnych połaciach w głębi kontynentu amerykańskiego wciąż przejawiał się przede wszystkim skłonnością do ufania narodowym przywódcom i wierzenia we wszystko, co mówił prezydent, nawet jeśli pochodził z innej partii. To właśnie tak rozumiany patriotyzm pozwalał wyciszać ogólnonarodową debatę, i to nawet wówczas, gdy amerykańscy chłopcy już ginęli po drugiej stronie świata. A choć „New York Times" czy „Washington Post" prezentowały postawę coraz większego krytycyzmu wobec zaangażowania w Wietnamie, stosunkowo niewielu Amerykanów czerpało swoją wiedzę o świecie z tego rodzaju liberalnych mediów. Najważniejszy jednak powód takiej pasywności społeczeństwa amerykańskiego stanowił bez wątpienia fakt, że wokół nie było słychać żadnych odgłosów wystrzałów ani też nie było widać zniszczeń dokonywanych przez spadające z nieba bomby. Coraz większa niecierpliwość, a nawet desperacja obserwowana w reakcjach Wietnamczyków na sytuację

w swoim kraju wydawała się w pełni zrozumiała: to oni dzień w dzień płacili wciąż rosnącą cenę krwi. A przeciętni Amerykanie nie musieli. Nic bardziej nie zmusza do zastanowienia się nad sensem wydarzeń – nie zawsze może racjonalnego, ale z całą pewnością autentycznego – od spektaklu śmierci i zniszczenia rozgrywającego się na ulicach własnych miast i na rozległych terenach poza nimi. Administracja Johnsona mogła podejmować wszystkie swoje decyzje z pełną świadomością, że choć ich konsekwencje dla Azji Południowo-Wschodniej mogą być wielorakie, to z całą pewnością żadne straty materialne nie dotkną terytorium Stanów Zjednoczonych. W latach 1964–1965 ryzyko z nimi związane wydawało się zatem stosunkowo niewielkie, a z drugiej strony na szali leżało ego prezydenta i jego najbliższych współpracowników, choć wszyscy oni potrafili tak umiejętnie przesłonić je łopoczącą na wietrze amerykańską flagą, że w tamtym okresie ich osobiste ambicje i reputacje wydawały się nierozerwalnie wręcz związane z globalnym prestiżem całego narodu. Gdyby zamieszki na ulicach Sajgonu przenieść na Pennsylvania Avenue, a zniszczenia dokonywane na polach ryżowych w Delcie Mekongu odwzorować na plantacjach tytoniu w Karolinie Północnej, wówczas Amerykanie z dużym prawdopodobieństwem demonstrowaliby już z równie wielką determinacją jak wietnamscy buddyści. A kurs przyjęty przez Lyndona Johnsona po triumfie wyborczym mógłby być zupełnie inny.

Sam prezydent mocno ograniczył sobie pole działania, kiedy stwierdził, że jedynym akceptowalnym wynikiem może być zwycięstwo militarne, mimo że do jego odniesienia w sposób oczywisty brakowało woli samych Wietnamczyków z Południa. 21 listopada William Bundy przedłożył memorandum, w którym proponował alternatywne poziomy eskalacji. Dziesięć dni później Johnson wydał zgodę na operację „Barrel Roll" – potajemne bombardowania Szlaku Ho Chi Minha przebiegającego przez terytorium neutralnego Laosu. Takie działania uznano za stosunkowo bezpieczne z politycznego punktu widzenia, ponieważ odbywały się one z dala od wścibskich oczu reporterów, i rzeczywiście – pierwsze doniesienia o tej operacji pojawiły się dopiero w okolicach Bożego Narodzenia. Prezydent zapytał też wprost przebywającego w Sajgonie Taylora, czy życzy sobie wysłania tam

amerykańskich wojsk lądowych, a kiedy usłyszał, że ambasador wciąż sprzeciwia się ich obecności w Wietnamie, wydawał się z lekka rozczarowany.

Do 1 grudnia 1964 roku, przy nieświadomości świata, który spodziewał się, że najważniejsze decyzje w kwestii Wietnamu zapadną dopiero w przyszłości, sprawa była już w zasadzie przesądzona i jedyna poważna dyskusja tocząca się wówczas w łonie administracji dotyczyła tego, czy przeprowadzić szeroko zakrojoną kampanię powietrzną przeciwko Północy, czy wysłać siły lądowe, czy też może uczynić i jedno, i drugie. Prezydent był zdeterminowany, by walczyć do samego końca, niemal bez względu na ponoszone koszty, najwyraźniej uznawszy, że obierając taki właśnie kurs, postępuje odważnie, honorowo i w jedyny sposób godny Człowieka Roku magazynu „Time". David Halberstam opisywał Johnsona jako „człowieka żywiołowego, człowieka o nieskończonych, niepohamowanych ambicjach, polityka z rodzaju tych, których nie będzie nam już więcej dane oglądać w tym kraju (...), o niezwykłej sile, energii i inteligencji, a także o równie niezwykłym poczuciu zagubienia"[29].

Począwszy od grudnia, Wietkong zaczął przypuszczać cały szereg niszczycielskich ataków coraz bliżej Sajgonu, nie rezygnując przy tym z pomniejszych aktów terroryzmu, których liczba sięgała nawet tysiąca w ciągu zaledwie dwóch tygodni. Na spotkaniu amerykańskich szefów sztabów, w którym uczestniczył również Westmoreland, jeden z wyraźnie sfrustrowanych generałów dopytywał się: „Jak to jest, że Wietnamczycy z Północy wydają się karni i zdyscyplinowani, a ci z Południa wyglądają jak jakaś bezładna zbieranina?"[30]. Szef MACV odparł, że NFW faktycznie dysponował bardzo silnym przywództwem, zaś po ich stronie trudno było doprawdy cokolwiek poradzić na bezustanne przepychanki w gronie generałów. Westmoreland dodał też, że „Wietnamczycy – przynajmniej ci w Sajgonie – w coraz większym stopniu zaczynają odczuwać, że mogą liczyć na [armię USA] w walce z komuchami, i nie przejmować się nią aż tak bardzo, wobec czego większość wysiłków poświęcają na wewnętrzne rozgrywki o władzę polityczną"[31]. Po zakończeniu tego spotkania zastępca szefa sztabu amerykańskiej armii powiedział z nieskrywaną pogardą: „Jeśli

dodać do siebie wszystko, co miał dotąd do powiedzenia Westy, wówczas wychodzi nam, że: po pierwsze, MACV radzi sobie świetnie; po drugie, on sam nie jest optymistą, ale nie jest też pesymistą; po trzecie, niewiele może doradzić; po czwarte wreszcie, jest zadowolonym z siebie młodym politykiem, ale wcale nie jest taki bystry, jak sam uważa”[32].

Na początku grudnia prezydent poinstruował Departament Stanu, by zaczął przynaglać amerykańskich sojuszników do współuczestnictwa w wojnie, zaznaczając przy tym, że nie chodzi mu tylko o „jakiegoś tam kapelana czy sanitariuszkę”. William Bundy spotkał się najpierw z ambasadorami Australii i Nowej Zelandii, przy czym ten drugi z miejsca poinformował o dużych zastrzeżeniach swojego rządu. 7 grudnia, podczas całej serii spotkań z nowym premierem Wielkiej Brytanii z ramienia labourzystów, Johnson zabiegał o poparcie Harolda Wilsona, uświadamiając mu, że „dosłownie kilku żołnierzy w brytyjskich mundurach (...) miałoby wielki efekt psychologiczny i równie wielkie znaczenie polityczne”[33]. Raz jeszcze w stosunkach anglo-amerykańskich pojawiał się zatem ten sam, dobrze znany motyw: siły zbrojne Stanów Zjednoczonych były całkowicie zdolne osiągnąć dowolne cele, jakie przed sobą stawiały, bez żadnej pomocy ze strony żołnierzy walczących pod flagą brytyjską, ale Londyn mógł im zapewnić cenne poparcie polityczne. McNamara powiedział kiedyś, że byłby w stanie zapłacić miliard dolarów za pojedynczą brytyjską brygadę, a człowiek ten bardzo rzadko żartował[34]. Podczas tamtych rozmów w Waszyngtonie Wilson zdołał zyskać trochę czasu, mówiąc Johnsonowi, że żołnierze Jej Królewskiej Mości są już obecnie bardzo zajęci w innej części Azji, przeciwstawiając się tam indonezyjskiej agresji wobec Borneo i Malezji. Nie poinformowano go wówczas szerzej o amerykańskich planach dotyczących eskalacji, ponieważ jego postawa jasno wskazywała, że Wielka Brytania nie życzy sobie brać w niej udziału. A Dean Rusk w rozmowie z jednym z brytyjskich dziennikarzy rzucił tylko kwaśno: „Kiedy Rosjanie zjawią się u was z wizytą w Sussex, nie oczekujcie, że przyjdziemy wam z pomocą”[35].

20 grudnia, między jedną a drugą demonstracją buddystów, które odbywały się ostatnio właściwie bez przerwy, dokonał się kolejny

przewrót polityczny w Sajgonie – w rezultacie na czele Rady Sił Zbrojnych stanął teraz triumwirat: Khanh, Thieu i Ky. Tego było już za wiele nawet dla Maxwella Taylora, który postanowił dać upust swojej wściekłości w obecności samych generałów. Wezwano ich wszystkich do ambasady, gdzie musieli wysłuchać ostrej połajanki za swoje lekkomyślne politykierstwo przynoszące szkody wysiłkom na rzecz wygrania wojny. Taylor zaczął to spotkanie od pytania: „Czy wszyscy tu rozumieją po angielsku?", a kiedy już uzyskał potwierdzenie, przeszedł od razu do rzeczy: „Teraz to już naprawdę narobiliście bigosu! Nie możemy was ciągle niańczyć, zwłaszcza jeśli będziecie wykręcać takie numery". Zniewagi ciskane przez Taylora tylko zniechęcały do niego Wietnamczyków. Ky napisał później: „My, młoda gwardia, byliśmy w pełni świadomi tego, że wojsko stanowiło jedyną instytucję zdolną do przewodzenia krajowi. A ponadto musieliśmy to jeszcze czynić, odpierając ciągłe naciski ze strony amerykańskiej, by wprowadzić u nas rządy cywilów"[36].

Po tych kilku następujących po sobie przewrotach plotki o kolejnych spiskach szykowanych przez CIA, z których kilka było nawet prawdziwych, stały się już nieodłącznym elementem życia politycznego i towarzyskiego w Sajgonie. Pewien młodszy oficer napisał: „W całym okresie mojej służby w ARVN w najgłębszą rozpacz wpędziły mnie wydarzenia rozgrywające się pod koniec roku 1964"[37]. Wojskowe rytmy puszczane w sajgońskim radio podczas kolejnych prób wywołania przewrotu stały się przedmiotem powszechnych żartów. Oto pewien żołnierz błagał choć o kilka godzin urlopu, by móc odwiedzić rodzinę, ale dowódca jego plutonu nie chciał nawet o tym słyszeć, bo „skąd niby szeregowy ma wiedzieć, kiedy znowu będzie potrzebny?". „Ależ to żaden problem, poruczniku!" – odpowiadał mu na to rozpromieniony podkomendny i wyjaśniał, że zorientuje się, kiedy ma wrócić, gdy tylko usłyszy przez radio „spiskową muzykę"[38]. Nawet część żarliwie antykomunistycznych Wietnamczyków z Południa zaczynała już postrzegać Sajgon jako siedlisko wszelkiego zła i wszystkich najgorszych cech swojego narodu, takich jak cynizm i działanie z niskich pobudek. Pewien oficer lotnictwa napisał, że zaledwie miesiąc spędzony w stolicy „wystarczał, by zatruć komuś duszę, by dostrzec, jak

bardzo zostaliśmy zdradzeni przez działających na tyłach dwulicowców, żerujących na krwi i łzach żołnierzy (...). Marzę o tym, że nadejdzie jakaś wielka powódź, która zmyje ten (...) cały brud rozsmarowany na tragicznym obliczu naszej ojczyzny przez jej stolicę”[39].

Zniszczenia w Hotelu Brinks w Sajgonie po zamachu bombowym Wietkongu, 24 grudnia 1964 roku

Grudniowa fala skoordynowanych akcji zaczepnych Wietkongu znalazła swoją kulminację w Wigilię Bożego Narodzenia, kiedy to zorganizowano atak na hotel Brink w Sajgonie, w którym zginęło dwóch Amerykanów, a pięćdziesięciu ośmiu zostało rannych. Wybuch w hotelu Brink nastąpił w chwili, w której ambasador Taylor odwoził do innego hotelu, zlokalizowanego zaledwie kilka przecznic dalej, gwiazdę estrady Boba Hope’a, przybyłego na swój coroczny występ świąteczny. „To najcieplejsze przyjęcie, z jakim miałem kiedykolwiek do czynienia” – entuzjazmował się Hope, ale większość Amerykanów na wysokich

stanowiskach nie kryła swojej wściekłości. Taylor domagał się odwetowych nalotów na Północ, a wspierał go w tym McGeorge Bundy, prezydent jednak się temu sprzeciwiał. A zaledwie kilka dni później gruchnęła kolejna szokująca wieść. Oto komuniści zaatakowali wioskę położoną na południowy wschód od Sajgonu, do której dekadę wcześniej przesiedlono około tysiąca katolików z Wietnamu Północnego. 28 grudnia dwa pułki Wietkongu najpierw rozbiły oddziały ARVN, a następnie zestrzeliły cztery amerykańskie helikoptery. Jakby tego było mało, 31 grudnia batalion wietnamskich marines wysłany na pomoc wojskom lądowym stracił w zastawionej przez partyzantów zasadzce aż 60 procent swojego stanu osobowego, w tym większość kadry oficerskiej. Ogółem w ciągu zaledwie kilku dni Wietnam Południowy poniósł straty sięgające blisko 300 żołnierzy.

W pierwszym dniu 1965 roku Lyndon Johnson wciąż twierdził, że jeszcze się waha co do dalszego kursu. W Sajgonie polityczny chaos stał się w zasadzie nową normą. W Wietnamie przebywało wówczas około 26 tysięcy Amerykanów, w większości doradców. Gdyby miało się ich tam znaleźć więcej, Johnson rozpatrywał raczej dosłanie żołnierzy sił specjalnych, formacji rangers i innych im podobnych. Waszyngtońskie jastrzębie dostrzegały z całą jasnością to, czego nie chciała widzieć część tamtejszych gołębi, a mianowicie, że szukanie jakichkolwiek opcji politycznych – takich jak ogłoszenie neutralności Wietnamu, zwołanie nowej konferencji genewskiej czy bilateralne negocjacje z Hanoi – oznaczało tak naprawdę zgodę na wejście na taką ścieżkę, która musiała się nieuchronnie skończyć powstaniem zjednoczonego i komunistycznego Wietnamu. Żadna siła polityczna czy militarna na Południu nie dysponowała bowiem wystarczająco silną wolą – bo same środki były akurat mniej istotne – by przeciwstawiać się przez dłuższy czas żelaznej konsekwencji twardych ludzi rządzących Północą. A ponieważ tego rodzaju rozwiązanie w ogóle nie wchodziło w rachubę w oczach osób takich jak Robert McNamara, McGeorge Bundy, a przede wszystkim sam prezydent, drastyczne zwiększenie amerykańskiej obecności wojskowej w Wietnamie stało się właściwie nieuniknione.

10
„Nie bardzo wiemy, co mamy dalej robić”

1. NA SZLAKU

Komunistyczni przywódcy Wietnamu, czując coraz bliższe zwycięstwo, wkraczali w rok 1965 w nastroju ogromnego podniecenia. Le Duan pisał do szefa CBWP, Nguyen Chi Thanha: „To jest ten moment, w którym należy wykorzystać nadarzającą się okazję”. Sekretarz Partii z Hanoi oczami wyobraźni widział już ludowe powstania wybuchające w kolejnych miastach i miasteczkach na Południu. A oficer armii północnowietnamskiej, pułkownik Nguyen An pisał z werwą o „wielkiej fali masowych zrywów przetaczającej się przez nizinne i górskie regiony wiejskie”[1]. An dowodził niegdyś tym pułkiem Wietminhu, który przypuścił udany szturm na Eliane 2 pod Dien Bien Phu w 1954 roku. A dziesięć lat później, już jako posiwiały weteran, objął on dowództwo nad 325. Dywizją, która jako pierwsza formacja armii północnowietnamskiej miała pomaszerować na południe[2]. Ponieważ jednak od jakiegoś czasu miał on problemy z krwawiącymi hemoroidami, jak wielu żołnierzy cierpiących na tę upokarzającą i bolesną dolegliwość, poprosił w Smoczym Dworze: „Potrzebuję tygodnia, by poddać się kuracji”. W razie gdyby kuracja miała się przedłużyć, postanowiono przesunąć wymarsz na listopad, oficjalnie „ze względu na wymogi naszej walki na froncie dyplomatycznym”[3].

An został poinformowany o tym, że ryż dla swoich ludzi znajdzie w ukrytych magazynach rozmieszczonych wzdłuż Szlaku Ho Chi Minha. Jeden z oficerów odpowiedzialnych za logistykę nie oszczędził mu nawet dość istotnych szczegółów: „Leży tam już od dłuższego czasu,

więc pewnie jest pełen robactwa, ale z pewnością nadaje się do jedzenia". Pułkownik spędził kolejne dwa miesiące w krytej bambusem kwaterze głównej swojej dywizji w Dong Hoi, gdzie mimo olbrzymich upałów niestrudzenie pracował, by pozyskać wystarczająco dużo sprzętu i ubrań dla swoich żołnierzy. Każdemu z nich wydano ostatecznie plecak, hamak, dwa mundury w kolorze khaki i trochę waluty Sajgonu. Nie było jednak dla nich żadnych swetrów, a przy dość chłodnych nocach „brak tych [ciepłych ubrań] niekorzystnie wpływał na zdrowie i morale żołnierzy podczas naszego długiego marszu" – co należało rozumieć tak, że ludzie Ana nocami drżeli z zimna, nie mówiąc już o tym, iż omal nie pomarli z głodu podczas tego wycieńczającego przebijania się na pole bitwy.

Z początkiem listopada An powiódł na południe przednią straż w sile około setki żołnierzy. Pierwsze zapasy ryżu, które znajdowali w magazynach zlokalizowanych po drodze, były wprawdzie nadpsute i pośmiardywały, ale „w smaku nie był on taki zły". Cały szlak okazał się jednak długą, trudną epopeją, i miał taki pozostać dla ogromnej liczby Wietnamczyków z Północy przemierzających go także później, dopóki pod sam koniec wojny nie wprowadzono nań ciężarówek, które nieco ulżyły ich mordędze. Pewnego dnia żołnierze musieli najpierw przejść w bród szeroką rzekę, a zaraz potem wąską ścieżką wspiąć się znad jej brzegu do podnóża „Góry Tysiąca i Jednego Metra", pierwszej wysokiej grani, jaką mieli przejść ze wschodu na zachód. Wprawdzie wcześniej byli tu już saperzy, którzy wycięli w skale stopnie, a także umieścili w niej haki i inne podpory, ale An i tak narzekał, że „liny i poręcze, za które należało się chwytać, były mocno wytarte i wyślizgane przez liczne dłonie poprzednich wędrowców (...), wystarczyło tylko, że na moim plecaku przysiadła jakaś mucha, a już czułem jej dodatkowy ciężar". Miejscami szlak był tak wąski, że ludzie musieli się po nim wspinać gęsiego. Kiedy później te same męki musiał przechodzić Bao Ninh, syn wykładowcy akademickiego, z zazdrością patrzył na bardziej krzepkich od niego potomków chłopów i był wdzięczny tym z nich, którzy proponowali mu czasem poniesienie części zawartości jego plecaka[4].

W miarę jak An i jego ludzie posuwali się do przodu, ich racje żywnościowe stale się zmniejszały. Na początku każdy z nich dostawał

po dwie puszki nadpsutego ryżu dziennie, ale dość szybko przydziały te zmniejszono do jednej puszki, w której dodatkowo ryż przemieszany był z pośmiardującym i spleśniałym maniokiem i tylko z lekka przyprawiony szczyptą soli. Żołnierze marzyli o mięsie, o gotowanym szpinaku i rybim sosie, o lemoniadzie. Kucharze robili, co mogli, ale czasem, gdy próbowali przepłukać zeschnięty ryż wodą ze strumienia, mogli tylko bezradnie kręcić głową, widząc, jak zmienia się w proszek, a na sitach pozostaje samo robactwo. Ludzie dostawali wówczas tylko jakiś mało pożywny kleik zagęszczony dzikimi korzonkami znalezionymi w dżungli. An odczuwał żal do przywódców z Hanoi, że mogli dopuścić do tego, iż jego ludzie musieli cierpieć takie niedostatki, zanim jeszcze w ogóle przystąpili do walki: „Patrząc na pobladłe, wychudzone twarze moich oficerów i żołnierzy, wpadłem w takie przygnębienie, że usiadłem i napisałem list (...), tak aby najwyższe dowództwo mogło skorzystać z naszych doświadczeń". Wreszcie wyczerpany oddział dotarł do stacji pośredniej położonej tuż przy Płaskowyżu Centralnym należącym już do Wietnamu Południowego. Dowodził nią pewien pułkownik, który kiedyś uczęszczał na ten sam kurs języka rosyjskiego co An. Widząc dawnego znajomego, gospodarz bardzo się postarał i ugotował na kolację kwaśną zupę z kawałkami ryby. An wprost nie mógł się nią nacieszyć: „Od tamtego czasu bywałem już na wielu ucztach, ale żadna nie była tak wspaniała!".

Był już grudzień, kiedy doszli do prowincji Kontum. An i jego sztab udali się do lokalnej kwatery frontowej, w której czekało na nich dużo jedzenia i miejsce do odpoczynku w oczekiwaniu na podciągnięcie całej reszty dywizji. Dostawali po trzy puszki ryżu dziennie, a do tego kiełki bambusowe i ziemniaki zebrane w dżungli, a raz na jakiś czas również ryby złowione przez żołnierzy. Wkrótce nadeszły rozkazy z Hanoi: dwa z pułków 325. Dywizji miały iść dalej na południe, podczas gdy Anowi polecono pozostać na Płaskowyżu Centralnym wraz z trzecim pułkiem w roli zastępcy dowódcy frontu. Aby „zaprawić" swoich ludzi w boju, najpierw poprowadził on kilka lokalnych ataków, a kiedy uznał, że są już gotowi do walki, podjął pierwszą większą operację, nacierając na stolicę okręgu. Plan przewidywał realizację dość charakterystycznej dla komunistów taktyki: okrążyć i ostrzelać cel, a w międzyczasie zastawić

pułapkę na siły ARVN idące na odsiecz z Tan Canh. Po intensywnej nocnej wymianie ognia, trwającej kilka godzin z rzędu, nie zanosiło się jednak wcale, by z Tan Canh miała wyruszyć jakakolwiek odsiecz, wobec czego An rozkazał przystąpić do akcji swoim saperom, mającym zniszczyć umocnienia nieprzyjaciela. „Kiedy [ich dowódca] odebrał polowy telefon, w jego głosie znać było podenerwowanie i pośpiech: «Melduję, że dowódca kompanii Luong, najstarszy oficer Mo i wszyscy pozostali oficerowie z 9. Kompanii nie żyją!»". An odpowiedział krótko: „Zamknij się i atakuj". Zależało mu na tym, by saperzy przystąpili do działania, bo tylko w ten sposób mógł odciążyć pozostałe jednostki pułku znajdujące się pod ciężkim ostrzałem. Kiedy nastał świt, jego ludzie mogli zatriumfować: udało im się sforsować umocnienia wroga i zdobyć kwaterę okręgową na Południu – pierwszą, jaka kiedykolwiek wpadła w ręce komunistów.

Przez trzy następne dni i noce ludzie Ana, głodni i zniecierpliwieni, czekali w zasadzce na spodziewane siły ARVN, mające przyjść z odsieczą pokonanym już obrońcom. I wreszcie się doczekali. Z Tan Canh, pędząc na oślep, przybyli Wietnamczycy z Południa i wpadli wprost w ręce żołnierzy pułkownika z Hanoi – po czym zostali rozbici w puch. Rozochoceni ludzie z 325. Dywizji urządzili sobie następnie rajd po okolicznych „osadach strategicznych", zdobywając je jedna po drugiej, i to bez żadnego wystrzału, a przez krótki czas okupowali nawet Dak To. Aby uczcić tę serię sukcesów, An wydał ucztę, której kulminacyjnym punktem było podanie pieczonego tygrysa, ustrzelonego przez dwóch młodych żołnierzy, po tym jak bestia wystraszyła ich bardziej niż jacykolwiek żołnierze nieprzyjaciela. „Był przepyszny" – zapisał pułkownik, który całkiem sporą część swojego pamiętnika poświęcał na opisy wrażeń kulinarnych. A kiedy Sajgon zorientował się w obecności nowej formacji z Północy i zaczął dosyłać więcej sił mających z nią walczyć, An i jego ludzie wycofali się z powrotem do dżungli. Ich największą zdobyczą z tych pierwszych potyczek z nieprzyjacielem były dwie haubice kaliber 105 mm, które rozebrali na części i przenieśli przez granicę w bezpieczne ostępy Kambodży.

W pierwszych tygodniach 1965 roku Wietkong nasilił swoje ataki przeprowadzane na całym terytorium Wietnamu Południowego. Przez jakiś czas Le Duan pokładał pewne nadzieje w możliwym przewrocie politycznym planowanym przez uśpionego komunistycznego agenta, pułkownika południowowietnamskiej armii Phama Ngoc Thao. Kiedy jeden z wysokich rangą działaczy Północy po długim marszu Szlakiem dotarł do kwatery głównej CBWP, jej podniecony personel wyjaśnił mu, że trzeba się teraz spieszyć, „bo jeśli nie przerzucimy naszych ludzi na czas w okolicę stolicy, może być już za późno" – to znaczy sajgoński reżim może wcześniej upaść. Zaczęto też drukować nową komunistyczną walutę, którą wysyłano do Wietnamu Południowego w skrzynkach oznakowanych „Towary 65".

Spisek pułkownika Phama Ngoc Thao ostatecznie upadł, a on sam musiał uciekać ze stolicy, co jednak nie uchroniło go przed zamordowaniem w dość tajemniczych okolicznościach. Mimo to Wietkong nie powstrzymał się przed rozpętaniem kolejnej fali terroryzmu. Na przykład na obszarze Płaskowyżu Centralnego pochwycono dwóch pracowników służb antymalarycznych, którzy rozpylali środek DDT, a następnie postawiono ich przez sądem ludowym. Usłyszawszy zarzut „szpiegowania na rzecz Amerykanów i ich marionetkowego rządu", zostali oni skazani na śmierć i na miejscu zasieczeni maczetami. Z kolei para pracowników medycznych realizujących w terenie program szczepień na cholerę, w tym pielęgniarka w ciąży, po schwytaniu uznana została za winną „działalności w imię amerykańskich imperialistów w charakterze narzędzi propagandowych"[5]. Kobiecie ostatecznie darowano życie, ale jej kolegę zarąbano na śmierć na jej oczach. Prawdziwą gehennę przechodziły rodziny żołnierzy i członków milicji Południa: przykładowo partyzanci WK porwali żonę i dziecko pewnego wyjątkowo energicznego sierżanta Sił Regionalnych. Następnie zaproponowali mu przejście na ich stronę, a kiedy odmówił, poderżnęli dziecku gardło. W tej wojnie nie było miejsca na miłosierdzie, a tortury i zabijanie niewinnych zdarzały się właściwie rutynowo. Jeden z oficerów armii południowowietnamskiej napisał: „Sytuacja była zbyt skomplikowana, by mógł ją zrozumieć nawet Wietnamczyk, a co

dopiero cudzoziemcy”[6]. Pewna dziewczyna, chłopka Phung Thi Le Ly, została wielokrotnie zgwałcona, pobita i wykorzystana przez obie strony, stając się ostatecznie wyrzutkiem w swojej własnej wiosce z małym dzieckiem na utrzymaniu. Aby mieć środki do życia, żebrała i sprzedawała, co popadnie, w tym własne ciało Amerykanom. Długo potem pisała ze smutkiem, kierując te słowa do zagranicznych czytelników: „Nie wiecie, jak trudno jest tu przeżyć”[7].

Wojna miała też negatywny wpływ na tradycyjną dyscyplinę w rodzinach, która czasami zupełnie zanikała. Pewna dziewczyna walcząca dla NFW była jedyną córką starszego już ojca, któremu wcześniej umarła żona. Trudno jej przychodziło spełniać swoje powinności wobec niego, a jednocześnie nie zaniedbywać się w obowiązkach działaczki komunistycznej: „To było niebezpieczne dla mojego życia i dla mojego dziewictwa”. Nocami, gdy zostawała w chacie tylko z ojcem, on błagał ją: „Jesteś moją córką. A ponieważ zostawiłaś ten dom i obowiązki rodzinne, nasza ziemia [w większości] leży odłogiem i wszędzie plenią się chwasty. To skąd mamy teraz wziąć jedzenie? Dla rewolucji może działać bez zapłaty także wielu innych ludzi, a ja nigdzie nie znajdę kogoś takiego jak ty (…) Zlituj się choć nade mną i coś mi ugotuj (…). Jeśli zginiesz od bomby albo pocisku, to ja będę musiał cię pochować. [A przecież] zgodnie z boskim prawem naszych przodków to dzieci powinny chować swoich rodziców, a nie odwrotnie”[8].

W miarę jak wojna nabierała coraz bardziej krwawego charakteru, przywództwo NFW przekonywało się, że obietnica redystrybucji ziemi stawała się coraz mniej skuteczną bronią propagandową – chłopów zajmowała już w zasadzie tylko codzienna walka o przetrwanie. W większości regionów na wietnamskiej prowincji przez mniej więcej 95 procent czasu nie widać było ani żołnierzy rządowych, ani partyzantów Wietkongu. Cytując jednak Davida Elliotta, „problemem było te pozostałe 5 procent”[9]. Nie sposób wręcz opisać otępiającej monotonności i nieprzerwanej mordęgi chłopskiego życia – to właśnie one nierzadko sprawiały, że młodzi ludzie ze wsi decydowali się wstąpić do partyzantki albo też emigrować do miast. Kiedy przyjaciółka Phung Thi Le Ly wróciła do ich wioski po krótkim pobycie w stolicy, gdzie

pracowała w barze, opowiadała wszystkim niestworzone historie o makijażach, wymyślnych fryzurach czy samospłukujących się toaletach. Słuchająca jej wtedy Le Ly pisała potem: „Sajgon (...) brzmiał jak niebo”[10]. Z kolei pewna szesnastoletnia uboga dziewczyna z My Tho, która pojechała w odwiedziny do brata, sajgońskiego policjanta, nie mogła wprost uwierzyć, że jest w stanie zarobić 25 tysięcy piastrów miesięcznie, zmywając naczynia. Pracowała wprawdzie dzień w dzień do godziny 9 wieczorem, ale i tak stwierdzała: „moim zdaniem było to niesamowite”[11]. Wszyscy wokół mieli buty albo sandały i nikt nie chodził na bosaka. A ciesząca się przeciętnym wzięciem prostytutka mogła zarobić znacznie więcej niż 25 tysięcy piastrów, choć – jak wiele dziewcząt miało odkryć dopiero po jakimś czasie – była to kariera za cenę późniejszego ostracyzmu we własnej wiosce, kiedy już się do niej wróciło.

W roku 1964 Korporacja RAND przystąpiła do realizacji projektu badawczego „Motywacja i morale w Wietkongu”, który miał się okazać jednym z jej ważniejszych dokonań analitycznych. Temat nie zainteresował specjalnie armii, która wydelegowała jako swojego przedstawiciela zaledwie zwykłego porucznika, Davida Morrella, który wszakże szybko odkrył w sobie pasję i powołanie do tego przedsięwzięcia. On sam mówił później: „Chcieliśmy zbadać to niezwykłe zjawisko: dlaczego [wróg] wciąż radził sobie tak niewiarygodnie skutecznie? (...) Co było tego przyczyną i dlaczego oni z taką łatwością wyrzekali się wszystkiego, co chcieliśmy im zaoferować (...), a zamiast tego woleli po prostu zalegać w trzcinach i mieszkać w tunelach pod Cu Chi?”[12].

Morrell był zdumiony, że Stany Zjednoczone prowadzą tak ważne badania bez poinformowania albo konsultacji kogoś z południowowietnamskiego sztabu generalnego. A po tym, jak młodzi wietnamscy ankieterzy zatrudnieni przez RAND wyruszyli między ludzi mieszkających głęboko na wsi, by zadać im przygotowane wcześniej pytania, w grudniu 1964 roku, na podstawie zebranych odpowiedzi, przygotowano pierwszą wersję raportu, którą przedstawiono samemu Westmorelandowi. Wynikało z niej, że Wietkong należy postrzegać jako nieprzyjaciela o wiele bardziej

zdeterminowanego, niż zakładał to amerykański sztab generalny. Generał zapytał jednak tylko: „A czy oni wierzą w Boga?”[13]. Tego akurat ankieterzy nie byli pewni. Wiedzieli natomiast z całą pewnością o torturach, co przekazali podczas późniejszego krótkiego spotkania z ambasadorem Taylorem, który nie wyglądał wówczas na specjalnie szczęśliwego.

Generalnie wojsku raport RAND niespecjalnie się spodobał, być może dlatego, że dawano w nim do zrozumienia, iż wróg znajdował się w wyraźnie korzystniejszej sytuacji strategicznej od rządzących Wietnamem Południowym. Wojskowi nie potrafili też ukryć konsternacji postawą wietnamskich chłopów, którzy za nic nie mogli zrozumieć, że w ich najlepszym interesie leżała jak najbliższa współpraca ze Stanami Zjednoczonymi. W styczniu 1965 roku raport o morale w Wietkongu przedstawiono w Waszyngtonie. Harry Rowen z Korporacji RAND powiedział wówczas zastępcy sekretarza obrony Johnowi McNaughtonowi: „John, moim zdaniem opowiedzieliśmy się po niewłaściwej stronie – tej stronie, która przegra tę wojnę”[14]. Daniel Ellsberg, podwładny McNaughtona, był pod wrażeniem sposobu i dokładności, z jaką RAND odmalował wroga kontrolującego już połowę terytorium Południa i około jednej czwartej jego ludności; z raportu wynikało, że po drugiej stronie walczyli „bezinteresowni, zwarci, oddani sprawie żołnierze, postrzegający siebie samych jako patriotów, zwłaszcza w zestawieniu z zepsutym Wietnamem Południowym i jego rozpadającą się armią”. McNaughton z kolei po wysłuchaniu opisu komunistów przedstawionego przez Rowena powiedział tylko: „Wygląda na to, że to jacyś mnisi”. Nie przekazał jednak relacji z tego spotkania swojemu przełożonemu, McNamarze, ponieważ wiedział, że dyskusję o kwestii wietnamskiej dawno zakończono i odłożono na półkę. Administracja już wcześniej podjęła decyzję o zapewnieniu sobie wszelkimi środkami zwycięstwa militarnego w Wietnamie.

Wysoki rangą działacz NFW Truong Nhu Tang nie ukrywał bezbrzeżnego zdumienia, które odczuwał wówczas zarówno on, jak i jego koledzy: „Bezgraniczna nieodpowiedzialność i niekompetencja [sajgońskich] generałów doprowadziła do apatii i obrzydzenia pośród

ludzi we wszystkich grupach społecznych. Wietnam Południowy był społeczeństwem bez przywództwa i bez kierunku, tych zaś akurat elementów nie mogli im zapewnić Amerykanie. Nie mogli też w żaden sposób uporządkować chaosu. A bez rządu cieszącego się choćby minimalną legitymizacją i skutecznością jak Stany Zjednoczone mogły w ogóle pomyśleć o wysłaniu tutaj swoich żołnierzy i położeniu na szali swojego jakże cennego prestiżu?”[15].

2. ZAANGAŻOWANIE

W styczniu 1965 generał dywizji William DePuy pisał do swojego syna w domu z kwatery głównej Westmorelanda: „Pytasz mnie, kto jest przy władzy w Sajgonie. Prawda jest taka, że nikt tutaj nie jest przy władzy, co wyjaśnia większość problemów, z którymi się zmagamy”[16]. Ambasador Taylor słał do kraju równie ponure diagnozy, stwierdzając, że Stany Zjednoczone muszą albo zacząć bombardować Północ, albo wysłać amerykańskich żołnierzy – przy czym on sam opowiadał się zdecydowanie za tą pierwszą opcją, wciąż oponując przeciwko drugiej. 21 stycznia w Waszyngtonie prezydent zaprosił ważnych przedstawicieli Kongresu, by zaprezentować im ustami swojego sekretarza obrony euforycznie optymistyczne, za to niemal całkowicie nierealistyczne podsumowanie dotychczasowego przebiegu wojny. McNamara stwierdził, że dobre rezultaty przynoszą zarówno tajne operacje przeciwko Wietnamowi Północnemu, jak i bombardowania szlaków w Laosie, którymi komuniści przenikają na Południe. Ponadto armia południowowietnamska przejawiała coraz większą skuteczność. McNamara pochwalił się też statystyką, z której wynikało, że w działaniach wojennych śmierć poniosło jak dotąd tylko 254 Amerykanów, zapomniał jednak dodać, że aż połowę z tej ogólnej liczby ofiar odnotowano w minionym roku. Sam Johnson nie wspomniał nic o swojej osobistej determinacji, by wznowić bombardowania, za to zapewnił szacownych gości, że nie widzi potrzeby wysyłania do Wietnamu amerykańskich żołnierzy. Po raz kolejny odwołał się też do

argumentu patriotyzmu, apelując o poparcie ze wszystkich stron sceny politycznej: „W Wietnamie nie ma ani demokratów, ani republikanów".

Niecały tydzień później, 27 stycznia, po kolejnej fali demonstracji buddystów w Sajgonie, a także splądrowaniu amerykańskiej biblioteki w Hue, Rada Sił Zbrojnych zdymisjonowała rząd Huonga i ponownie osadziła na czele państwa Khanha. W swojej depeszy do kraju Taylor pisał, że generał wydaje się pozostawać w zmowie z Instytutem Buddyjskim „o olbrzymiej władzy i wpływach (...). Najbardziej niepokojącym aspektem jest (...), że zwycięstwo buddystów może stanowić ważny krok w kierunku sformowania rządu, który prędzej czy później powiedzie swój kraj do negocjacji z Hanoi i z Narodowym Frontem Wyzwolenia". Innymi słowy, Wietnamczycy z Południa mogliby, o zgrozo, wycofać się z wojny, w której Amerykanie z całą determinacją chcieli w dalszym ciągu uczestniczyć.

Tamtego dnia McGeorge Bundy przedłożył prezydentowi memorandum, w którym wyrażał przekonanie, że komuniści „dostrzegają, iż cała wielka potęga Stanów Zjednoczonych jest wstrzymywana, i nie odczuwają jakiejś twardej i aktywnej polityki amerykańskiej. Czują tym samym, że nie przejawiamy chęci podejmowania żadnego poważnego ryzyka". Zapoznawszy się z tym dokumentem, Robert McNamara postanowił też się pod nim symbolicznie podpisać, a tym samym jako sekretarz obrony ostatecznie przeszedł do obozu jastrzębi nawołujących do eskalacji. Obaj ci wpływowi ludzie byli już najwyraźniej zmęczeni ostrożnością i stosowaniem półśrodków przy podejmowaniu strategicznych decyzji. Podobnie jak sam prezydent. Jego odpowiedź na memorandum brzmiała: „J u ż w k r ó t c e o k a ż e m y n a s z ą s i ł ę. A Khanh to nasz człowiek". Johnson polecił Bundy'emu udać się do Sajgonu i sformułować rekomendacje dotyczące dalszego działania. Zważywszy, że ten doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego uchodził za jastrzębia wśród jastrzębi, nietrudno było zgadnąć, jaka będzie natura tych rekomendacji.

Jego przyjazd do Sajgonu zbiegł się z kolejną falą gwałtownych demonstracji ulicznych; w mieście krążyło ponadto mnóstwo plotek, głównie na temat nieuchronnego ponoć puczu nacjonalistów, dążących

do wydalenia z kraju Amerykanów. Generał Khanh początkowo odmawiał spotkania się z wysłannikiem prezydenta, prawdopodobnie obawiając się, że rozzłości buddystów. Kiedy wieści o tych odmowach dotarły do Johnsona, wpadł on w prawdziwą wściekłość na wietnamskiego przywódcę, o którym przecież wyrażał się dość ciepło jeszcze kilka dni wcześniej. Amerykanie zaczęli teraz rozglądać się w pośpiechu za jakimś zastępcą, którego mogliby osadzić na miejscu Khanha, wywołując jeszcze jeden przewrót.

Ich irytacja była o tyle zrozumiała, że w Hanoi przebywał akurat z wizytą sowiecki premier Aleksiej Kosygin. Waszyngton nie miał pojęcia, że prywatnie ów szacowny gość Le Duana przekonywał go do deeskalacji. Moskwa czuła się w obowiązku zapewniać Północy systemy przeciwlotnicze, zarówno działa, jak i pociski, uznając, że taka właśnie jest cena za utrzymanie statusu Związku Sowieckiego jako niekwestionowanego przywódcy obozu socjalistycznego. Podobnie jednak jak Chińczycy, którzy nie zamierzali wysyłać swoich wojsk lądowych do walki w Wietnamie Południowym, Rosjanie wystrzegali się jak ognia jakiegokolwiek szerszego zaangażowania. Biały Dom, Departament Stanu i CIA zupełnie nie rozumiały, że wbrew napuszonej retoryce narodowowyzwoleńczej prezentowanej i przez Moskwę, i przez Pekin, Wietnam Północny nie był wcale zdalnie sterowanym narzędziem walki w rękach żadnej z tych stolic.

Tymczasem wizyta Bundy'ego na Południu nagle zamieniła się w jeden wielki pokaz fajerwerków, niemal z całą pewnością bez zgody czy zachęty ze strony Hanoi. W nocy 7 lutego Wietkong przeprowadził będący swoistą demonstracją siły atak na amerykańską bazę lotniczą Camp Holloway w Pleiku na obszarze Płaskowyżu Centralnego. Zginęło w nim 8 Amerykanów, a 108 kolejnych odniosło rany; ponadto zniszczeniu uległo 5 helikopterów, a uszkodzeniu kilkanaście innych. Po tym sukcesie, odniesionym przez pojedynczą kompanię saperów, trzy dni później doszło do kolejnego niszczycielskiego ataku. Bundy, mimo że przebywał w odległym Sajgonie, odebrał atak w Pleiku niemalże jako osobisty afront. W depeszy do Białego Domu pisał, że potrzebna była teraz jakaś drastyczna odpowiedź: „Najlepszym z dostępnych sposobów zwiększenia naszych szans odniesienia sukcesu

jest wprowadzenie i egzekwowanie polityki k o n s e k w e n t n y c h d z i a ł a ń o d w e t o w y c h przeciwko Wietnamowi Północnemu". W Waszyngtonie Rada Bezpieczeństwa Narodowego zatwierdziła wznowienie bombardowań, co ciekawe, przy poparciu George'a Balla; jedyny głos sprzeciwu oddał senator Mike Mansfield. Kilka godzin później 132 samoloty amerykańskie i 22 południowowietnamskie zaatakowały Wietnam Północny.

McNamara poprosił z kolei w Pentagonie o przygotowanie studium nowych ewentualności – w tym działań na wypadek konieczności zaatakowania kluczowych celów na terytorium Chin: „Wyzwanie, przed jakim teraz stoimy, to: jak zamierzamy odpowiedzieć na zmasowany atak lądowy ze strony Chin i Wietnamu Północnego". On sam zaproponował użycie napalmu do zniszczenia wrogiej artylerii przeciwlotniczej, ale pomysł ten od razu zakwestionował z powodów politycznych Dean Rusk. Earle Wheeler pozwolił sobie nawet na żart, mówiąc: „Sekretarz obrony brzmi teraz jak generał LeMay. Brakuje mu już tylko nieodłącznego cygara"[17]. Nie uznano za stosowne skonsultować się z rządem Wietnamu Południowego. Za to w Hanoi doszło do nieczęstego tu napadu paniki, że naloty mogą oznaczać początek amerykańskiej inwazji na Północ.

Komentatorzy polityczni Arthur Krock i James Reston z dużym sceptycyzmem potraktowali zapewnienia administracji, że te nowe naloty stanowiły spontaniczną akcję odwetową za atak na Pleiku: obaj zauważyli, że w Zatoce Tonkińskiej już od jakiegoś czasu znajdowały się trzy lotniskowce zamiast zwyczajowego jednego, w oczywisty sposób czekając tylko na jakikolwiek wiarygodny pretekst do rozpoczęcia uderzenia. Reston napisał w dzienniku „New York Times": „Nadszedł czas, by przestać bawić się w półsłówka i zacząć nazywać rzeczy po imieniu. Ten kraj jest w stanie niewypowiedzianej i niewyjaśnionej wojny (...). Nasi rządzący mają na to wiele długich i fikuśnych nazw, takich jak eskalacja czy działania odwetowe, ale nie zmienia to faktu, że chodzi tu po prostu o wojnę"[18].

Tymczasem Bundy w Sajgonie miał okazję obserwować, jak słaby lokalny rząd z trudem radzi sobie z nabrzmiewającą falą nastrojów antyamerykańskich. Raportował do Białego Domu: „Sytuacja

w Wietnamie wciąż się pogarsza i bez nowych strategii działania porażka wydaje się w zasadzie przesądzona (...). Energia i upór Wietkongu są zdumiewające (...). Wciąż jest jeszcze czas, by to odwrócić, ale pozostaje go coraz mniej. Stawka (...) jest teraz niezwykle wysoka (...). Jakiekolwiek negocjacje w sprawie wycofania się Stanów Zjednoczonych w dniu dzisiejszym oznaczałyby w zasadzie kapitulację na raty". W ciągu pierwszych sześciu miesięcy 1965 roku ARVN straciła, licząc ogółem zabitych, rannych i dezerterów, równowartość piętnastu batalionów.

McNamara wywierał już teraz bezustanną presję na prezydenta, chcąc go przekonać do realizacji własnego planu wysłania możliwie wielkiej liczby żołnierzy: mówiło się nawet o 175 tysiącach. Jego biografka pisała, że w tamtym okresie przejawiał on „głęboki instynkt osobistego aktywizmu"[19]. Kilka miesięcy później sekretarz obrony wyznał brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych Patrickowi Gordonowi Walkerowi, że nie widział innej alternatywy dla eskalacji, ponieważ nie sposób było przyznać się przed narodem amerykańskim, iż ta wojna była nie do wygrania[20]. Skoro jednak za decyzją o eskalacji miały stać głównie przyczyny wewnętrzne, wówczas rozsądniejsze wydawało się wysyłanie żołnierzy mniejszymi grupami, łatwiejszymi do przełknięcia przez wyborców, bez popadania w przesadną histerię. Szefowie Sztabów twierdzili później, że nie dano im nawet szansy, by wyjaśnić prezydentowi, iż takie podsyłanie wojska „na raty" z góry skazane było na niepowodzenie, bo w zaistniałej sytuacji Stany Zjednoczone musiały podjąć maksymalne ryzyko. Trudno jednak przypuszczać, by nawet zaangażowanie w tę wojnę od samego początku jakiejś ogromnej liczby wojska, choćby przy wsparciu żołnierzy rezerwy, mogło zapewnić Amerykanom odniesienie w niej zwycięstwa.

McGeorge'owi Bundy'emu trzeba oddać przynajmniej tyle, że próbował namówić prezydenta do poinformowania społeczeństwa amerykańskiego, by szykowało się na długą wojnę. Johnson nie chciał jednak o tym słyszeć i delegował Deana Ruska do wyperswadowania Williamowi Fulbrightowi zorganizowanie w Senacie debaty na ten temat. H.R. McMaster napisał: „Wietnam wcale nie został narzucony Stanom Zjednoczonym na fali jakiegoś zimnowojennego wzmożenia.

Raczej wślizgnął się chyłkiem, (...) [bo] Johnson i McNamara z powodzeniem zdołali stworzyć iluzję, że decyzje o zaatakowaniu Wietnamu Północnego stanowiły alternatywę dla wojny, podczas gdy były one właśnie równoznaczne z wojną”[21]. W gruncie rzeczy administracja doprowadziła do eskalacji podstępem, co było rzecz jasna zasługiwało na potępienie z moralnego i politycznego punktu widzenia, ale też zakrawało na swoistą ironię, jako że najlepszym sposobem wykaraskania się z prawdziwego grzęzawiska, ku jakiemu właśnie zmierzał prezydent, byłoby podzielenie się odpowiedzialnością z szanowanymi osobistościami z Kapitolu, które – gdyby szczerze i uczciwie przedstawiono im wszystkie opcje – zapewne bez wahania powiedziałyby narodowi amerykańskiemu, że Wietnam nie był wart toczenia dlań wielkiej i krwawej wojny.

William Bundy z czasem doszedł do przekonania, że jednym z największych błędów Johnsona było właśnie niedopuszczenie do debaty nad wojną w Kongresie. Pisał on: „Oczywiście, że debata taka doprowadziłaby do silnych podziałów, ale gdyby wygrały ją gołębie, wówczas droga do szukania rozwiązań politycznych otwarłaby się o wiele szybciej”[22]. Bundy słusznie zauważał, że działania Johnsona w latach 1964–1965 nie były wcale jakoś znacząco bardziej przewrotne od postępowania Franklina Roosevelta w roku 1941, kiedy to Ameryka już po cichu rozważała przystąpienie do II wojny światowej – i w zasadzie trudno się z tym nie zgodzić. Jak jednak konkludował ze smutkiem Bundy: „Problem w tym, że tym razem nie wyszło to nikomu na dobre, a zatem wygląda znacznie gorzej w książkach historycznych”[23].

11 lutego 1965 roku brytyjski premier Harold Wilson zatelefonował do prezydenta, by zaprotestować przeciwko eskalacji, a jednocześnie uzyskać zaproszenie do Waszyngtonu w celu jej przedyskutowania. Johnson potraktował go jednak oschle: „Ja nie będę wam mówił, co macie robić w Malezji, a wy nie mówcie nam, co mamy robić w Wietnamie”. Wilson wyjaśnił, że odczuwał olbrzymią presję wewnętrzną, by w imieniu Wielkiej Brytanii dystansować się od działań Stanów Zjednoczonych. Na Johnsonie nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia i w dalszym ciągu beształ swojego rozmówcę, zniesmaczony negatywnym nastawieniem do tej wojny ze strony zarówno

Brytyjczyków, jak i Francuzów[24]. Tym bardziej że jego osobistą determinację wzmocnił dodatkowo były prezydent Eisenhower, który podczas niedawnego spotkania zalecał podjęcie wszelkich środków militarnych koniecznych do odwrócenia porażki.

W Waszyngtonie wciąż jednak nie brakowało ludzi ostrożnych, wieszczących klęskę właśnie wprowadzanej polityki. Jeden z pracowników RBN, James Thomson, pisał: „Osuwamy się powoli w rzeczywistość zupełnie niepotrzebnego i nadmiernego angażowania naszego narodowego prestiżu i naszych zasobów na obszarze politycznym, militarnym i geograficznym, który już dawno temu powinien był nas zniechęcić do jakiegokolwiek tego typu zaangażowania". Również z CIA bezustannie płynęły pesymistyczne w swoim wydźwięku raporty zarówno na temat Wietnamu Południowego, jak i w kwestii małego prawdopodobieństwa osiągnięcia sukcesu poprzez naloty bombowe, które to raporty do tego stopnia denerwowały prezydenta, że w kwietniu 1965 roku zmusił wreszcie Johna McCone'a do rezygnacji ze stanowiska dyrektora. Co prawda analizom Agencji daleko było do doskonałości, ale i tak w dłuższym horyzoncie czasowym okazały się one trafniejsze od większości przewidywań innych instytucji rządowych i wojskowych, w tym zwłaszcza MACV. 17 lutego starannie przygotowane memorandum z argumentacją przeciwko eskalacji, której nie zrozumiałaby większość społeczeństwa amerykańskiego, przesłał Johnsonowi wiceprezydent Hubert Humphrey. Przekonywał on, że początek roku 1965, czyli czas bezpośrednio po wygraniu wyborów, był idealnym momentem na wykorzystanie przez administrację swojej niekwestionowanej pozycji do uwolnienia Ameryki od rosnących strat w Azji Południowo-Wschodniej. Odpowiedzią prezydenta było wykluczenie Humphreya z obiegu dokumentów dotyczących Wietnamu.

18 lutego w Sajgonie doszło do nowego przewrotu, w którego wyniku odsunięty od władzy generał Nguyen Khanh udał się na wygnanie. Oficjalnym przywódcą został teraz doktor Phan Huy Quat, ale realna władza wciąż spoczywała w rękach wojskowych, wśród których najwyższą pozycję mieli Nguyen Cao Ky i Nguyen Van Thieu – a już w czerwcu ich dominacja miała zostać ostatecznie potwierdzona.

Cztery dni później Westmoreland poprosił o przysłanie marines do ochrony wciąż rozbudowującego się kompleksu obiektów i urządzeń wznoszonego na potrzeby armii amerykańskiej w Da Nang. Prośba ta niespecjalnie zaskoczyła Waszyngton, a administracja z miejsca się do niej przychyliła. Max Taylor napisał później: „Zastanawiające, że o zgodę na rozpoczęcie kampanii powietrznej przeciwko Północy trzeba było kiedyś zabiegać długo i wytrwale, a teraz ściągnięcie na ląd marines przyszło z taką łatwością”[25].

Do misji w Da Nang wyznaczono liczącą 1200 ludzi brygadę lądową, choć prezydent przez jakiś czas rozważał wysłanie zamiast niej 173. Brygady Kawalerii Powietrznej, argumentując dość osobliwie, że społeczeństwo amerykańskie postrzegałoby zrzucenie żołnierzy na spadochronach jako decyzję mniej doniosłą od wysadzenia ich bezpośrednio na lądzie. Już w lutym wydawało się jasne, że na tym sprawa się nie zakończy – przewidywano rychłe wysłanie znacznie większej liczby żołnierzy w celu ochrony wszystkich amerykańskich baz; jak szacowano, powinny to być jakieś 44 bataliony, czyli około 100 tysięcy ludzi. Generał Wallace Greene uznawał, że dopiero siły mniej więcej tej wielkości „zagwarantowałyby stuprocentową ochronę”[26].

Przez niemal cały luty 1965 roku formacja wyznaczona do zabezpieczenia Da Nang pływała w kółko po Morzu Południowochińskim, podczas gdy w Waszyngtonie prezydent wciąż deliberował. Chorąży Jim Koltes, podróżujący na pokładzie USS Henrico wraz z 3. Batalionem 9. Korpusu Marines, był pod ogromnym wrażeniem wartości bojowej tych ludzi, uznając ich za najlepsze, co miała do zaoferowania Ameryka: „To nie byli poborowi ani jacyś goście, którzy wstąpili do woja, bo nie mogli znaleźć innej pracy: spotkałem wśród nich oficerów, którzy chodzili razem ze mną do Notre Dame. Ich dyscyplina była niesamowita, a jednocześnie panowało wśród nich cudowne poczucie braterstwa. I wszyscy wierzyli w to, co robią”[27]. Oczekiwanie na nadejście rozkazów trwało przez trzydzieści dwa niekończące się dni i noce. W ciemności żołnierze przyglądali się z pokładu okrętu dobrze widocznym rozbłyskom i łunom nad wzgórzami powyżej Da Nang. „Nikt nie miał pojęcia, czego można było oczekiwać po wyjściu na ląd, ponieważ prawie nikt z nich nie

uczestniczył wcześniej w niczym podobnym. Zastanawialiśmy się głośno: czy to będzie coś w rodzaju lądowania w Normandii?". Rzecz jasna było zupełnie inaczej. 8 marca 1965 roku, kiedy chorąży Koltes mógł wreszcie poprowadzić część tej flotylli z otwartego morza w kierunku lądu w celu przeprowadzenia operacji wysadzania żołnierzy na plaży, nie padł tam ani jeden strzał.

Dowódca jednej z kompanii marines, Phil Caputo, zarządził odprawę tuż przed zejściem jego jednostki z łodzi desantowych, podczas której powiedział: „Dobra, słuchajcie. Kiedy będziecie robić takie odprawy dla swoich ludzi, chcę, żebyście im jasno uświadomili, że nasza misja ma charakter wyłącznie obronny. Nie chcę, żeby ktokolwiek, kto tam wysiądzie, myślał sobie, że będzie odgrywać jakiegoś Johna Wayne'a. Jesteśmy tu po to, by zapewnić bezpieczeństwo, i nic ponadto. Nie będziemy tu walczyć, mamy tylko pozwolić walczyć tym z ARVN. To ich wojna"[28]. Porucznik Caputo, podobnie jak generał Westmoreland, postrzegał sam siebie jako wykonawcę woli JFK: „Jeśli on był Królem Camelotu, to my byliśmy jego rycerzami, a Wietnam był naszą krucjatą. A ponieważ byliśmy Amerykanami, nie istniało nic, czego nie mogliśmy zrobić, i z tego samego powodu wszystko, co robiliśmy, było słuszne"; z kolei ich komunistyczni wrogowie byli „nowymi barbarzyńcami, którzy zagrozili długofalowym interesom nowego Rzymu"[29].

Co ciekawe i niezwykle znaczące, choć to lądowanie marines przebiegało na oczach tłumu fotoreporterów, podekscytowanych dzieci i ślicznych dziewcząt rozdających girlandy z kwiatów, to nikt w Waszyngtonie, w amerykańskiej ambasadzie czy w MACV nie uznał za stosowne poinformować wcześniej o ich przybyciu rządu południowowietnamskiego. Ponadto, kiedy już – by użyć kwiecistego porównania Maxa Taylora – pysk wielbłąda wcisnął się do namiotu, to znaczy pierwsi żołnierze pojawili się w Wietnamie, nie było żadnej siły, by ich stamtąd wyprowadzić, choć prezydent wciąż nie sformułował jeszcze ani jednego wiarygodnego planu strategicznego. Walter Lippmann napisał: „Dotąd była to wojna Wietnamczyków z Południa prowadzona przy pomocy Amerykanów. Od teraz staje się ona wojną Amerykanów przy bardzo niewielkiej pomocy Wietnamczyków z Południa".

Pułkownik Sid Berry obserwował kiedyś jedną z operacji ARVN prowadzonych w Delcie. Ocenił ją później następująco: „Dobre ataki z powietrza. Dobre wsparcie artylerii. Dobre lądowania helikopterów i akcje transporterów opancerzonych. Dobre ruchy wojsk lądowych". A mimo to zakończenie całej operacji było aż nazbyt dobrze znane: „Nie dorwaliśmy żadnych dużych jednostek Wietkongu. Zabiliśmy sześciu, schwytaliśmy czterech, do tego zdobyliśmy trochę dokumentów. Ale nie było tam żadnych większych formacji WK, na które liczyliśmy. Może następnym razem"[30]. Inny amerykański doradca dość szybko zorientował się, że idąc na akcję z żołnierzami Południa, „jakoś nigdy nie wpadaliśmy na żadnych wrogów (...). To było coś w rodzaju dżentelmeńskiej umowy: jeśli oni zostawiali WK w spokoju, to i WK postępował tak samo wobec nich".

Paul Warnke, który później został zastępcą sekretarza obrony, był zdania, że cała ta historia mogła skończyć się dla Waszyngtonu znacznie lepiej, gdyby wprowadził on w Wietnamie po prostu zwykłą i otwartą okupację, zamiast uparcie starać się prowadzić za rękę wybitnie niekompetentny lokalny rząd: „Tak naprawdę to próbowaliśmy narzucić pewien szczególny model rządów bardzo opornemu krajowi. A w takim wypadku najlepiej sprawdza się okupacja, jak choćby przy okupacji Japonii [w 1945 roku]"[31]. Warnke nie dostrzegał jednak pewnej dość oczywistej kwestii: tego rodzaju polityka oznaczałaby traktowanie Wietnamczyków z Południa jak ludzi podbitych, a nie jak obywateli teoretycznie suwerennego państwa. Mimo to dość celnie spuentował on dylemat, który miał powrócić w XXI wieku, najpierw w Iraku, a potem w Afganistanie.

Wiele sajgońskich rodzin z klasy średniej, takich jak rodzina Duong Van Mai, zmęczonych długim pasmem nieszczęść dotykających ich społeczeństwo, marzyło tylko o emigracji, ale powstrzymywał je od tego brak środków finansowych. Niektórzy z takich ludzi okazywali początkowo entuzjazm, słysząc o pojawieniu się w Wietnamie amerykańskich żołnierzy. Ojciec Mai, niegdyś burmistrz Hajfongu, powiedział: „Mamy naprawdę dużo szczęścia. Jesteśmy małym i słabym krajem, a mimo to Amerykanie postanowili nas ratować swoimi pieniędzmi i życiem swoich żołnierzy"[32]. Był to wprawdzie pogląd

mocno odosobniony, spotykany właściwie tylko wśród ludzi stosunkowo uprzywilejowanych, mimo to warto odnotować, że przynajmniej przez jakiś czas choć część Wietnamczyków poczuła przypływ nadziei na lepsze jutro.

Proces, który rozpoczął się 8 marca 1965 roku, okazał się nie tyle zabójczą strategią militarną, ile samobójczą strategią polityczną, prowadząc z czasem do zawalenia się wszystkich planów kreślonych na papierze przez decydentów, do śmierci setek tysięcy ludzi, a wreszcie i do upadku Johnsona jako prezydenta Stanów Zjednoczonych. Niemal każdy współczesny przywódca w świecie anglosaskim, który w polityce zagranicznej obiera kurs na pewną katastrofę, porównuje albo sam siebie do Winstona Churchilla, albo wybranego przez siebie wroga do Adolfa Hitlera. 13 kwietnia Lyndon Johnson powiedział na spotkaniu z korpusem dyplomatycznym, że Wietnam stanowił wyzwanie porównywalne z tym, przed którym stanął Churchill w roku 1940. Słowa te już wkrótce wyśmiał prezydent de Gaulle, który dla odmiany przewidywał, że wojna potrwa dziesięć lat i okryje Stany Zjednoczone „całkowitą hańbą". W Waszyngtonie od razu podniosły się głosy oskarżające francuskiego przywódcę o okazywanie pogardy amerykańskiej kulturze i o zazdrość wobec amerykańskiej potęgi, w dużej mierze prawdziwe, ale żaden z nich nie zakwestionował zasadności jego przestróg. Frank Scotton napisał, że podczas gdy Stany Zjednoczone zaczęły odtąd dążyć do prowadzenia dwóch równoległych, ale osobnych kampanii: w Wietnamie oraz w Ameryce, „jedynym graczem, który wydawał się rozumieć, że wojna jest zawsze jedna i niepodzielna, że wszystko ma swoje polityczne konsekwencje i cele, była komunistyczna Partia Pracujących Wietnamu"[33].

Począwszy od marca 1965 roku, proces, w trakcie którego żołnierze amerykańscy konsekwentnie zastępowali ARVN na pierwszej linii walk, przebiegał zaskakująco szybko i sprawnie. Niekończąca się seria przewrotów nie tylko coraz bardziej frustrowała urzędników amerykańskiej ambasady, ale przede wszystkim odebrała resztki ducha walki żołnierzom armii południowowietnamskiej. Dezercje były już na porządku dziennym, osiągając liczbę 11 tysięcy w samym tylko kwietniu, a pozostali jeszcze żołnierze z coraz większą niechęcią przystępowali do

walki. Pewien niższy rangą oficer zauważył: „Kiedy wstępowałem do wojska w 1962 roku, robiłem to z pobudek patriotycznych. Kochałem mój nowy kraj i nienawidziłem komunistów. Z biegiem czasu jednak (...) po tylu zmianach przywództwa w Sajgonie i przy wciąż rosnącym uzależnieniu od Amerykanów, coraz trudniej mi było mówić o jakimkolwiek «narodzie»”[34].

Lądowanie amerykańskich marines w Da Nang, 8 marca 1965 roku

Max Taylor od zawsze twierdził, że przejęcie głównego ciężaru prowadzenia działań wojennych przez Amerykanów okaże się katastrofą, ale teraz musiał pogodzić się z decyzją administracji i wycofać swoje obiekcje – przynajmniej na jakiś czas. W celu oszacowania przyszłego zapotrzebowania na siłę bojową w Wietnamie prezydent wysłał do Sajgonu szefa wojsk lądowych Harolda Johnsona, jednego z ocalałych z niesławnego bataańskiego marszu śmierci w roku 1942. Generał zapewne wielokrotnie krzywił się w obecności Lyndona Johnsona, jako że powszechnie znana była jego niechęć do mocnych słów. Kiedyś surowo zbeształ jednego ze swoich podwładnych: „Będę

zobowiązany, jeśli już nigdy więcej nie zacznie pan w mojej obecności wzywać imienia Pana Boga swego nadaremno”[35]. Teraz zaś zwierzchnik sił zbrojnych wydał mu rozkaz szykowania się do wymarszu. Kiedy razem zjeżdżali w dół jedną z wind w Białym Domu, prezydent dźgnął go palcem w pierś i powiedział: „Niech pan tam wszystko rozhula, generale”. Harold Johnson już wcześniej zdeklarował się, że w jego ocenie do osiągnięcia jakiegokolwiek wyniku w Wietnamie potrzeba było pięciu lat i pół miliona żołnierzy. Ale po powrocie z Sajgonu zaproponował wysłanie zaledwie pojedynczej dywizji. Po naradzie Kolegium Połączonych Szefów Sztabów zwiększyło tę rekomendację do trzech dywizji. Podczas spotkania w Camp David 10 marca prezydent powiedział: „Choćby się waliło i paliło, już tam zostajemy”. W jego notatkach widniał natomiast zapis: „Poddać się = kolejne Monachium”.

Prezydent przez jakiś czas zwlekał z odpowiedzią na wystosowane przez Pentagon propozycje dalszego zaangażowania się w Wietnamie, by w końcu 1 kwietnia zaakceptować wysłanie kolejnych dwóch batalionów marines i 20 tysięcy personelu pomocniczego. A trzy tygodnie później autoryzował kolejne decyzje, w wyniku których do czerwca na teatrze wojny znajdowało się już 40 tysięcy Amerykanów. Taylor nalegał, by zakres ich działania obejmował wyłącznie ochronę przybrzeżnych amerykańskich enklaw. Przeciwko temu protestował jednak Westmoreland, argumentując, że byłoby to wyjątkowo mało chwalebne, z czym prezydent ostatecznie się zgodził. Kiedy już pierwsi żołnierze zaczęli wyruszać z zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych do Azji, do Białego Domu napływało coraz więcej propozycji dalszej eskalacji. Westmoreland domagał się więcej, a potem jeszcze więcej ludzi. Admirał Sharp, jako głównodowodzący na Pacyfiku, nalegał na przysyłanie kolejnych marines, argumentując, że to właśnie oni najlepiej nadają się do zwalczania partyzantki. 6 kwietnia prezydent zatwierdził przedłożony przez siły powietrzne program „Rolling Thunder II”, przewidujący konsekwentne bombardowania wybranych celów w Wietnamie Północnym. W kolejnych dniach przed Białym Domem zaczęli się też pojawiać pojedynczy ludzie – pierwsi protestujący przeciwko wojnie.

Mimo wszystkich tych ruchów sytuacja militarna wciąż nie przestawała się pogarszać. 9 maja Doug Ramsey, przebywający w prowincji Hau Nghia, zapisał w swoim dzienniku: „Jest raport, że co najmniej jeden pluton 33. Batalionu Rangersów został niemal unicestwiony na miejscu biwakowania około 2.45. WK wysadził też most (...). Łącznie po naszej stronie [wojskowo] było 41 KIA [zabitych], 36 WIA [rannych] i 50 zaginionych. W ataku WK uczestniczyło też podobno wielu wieśniaków z nożami, dzidami i pochodniami. Liczba bojowników cywilnych i WK szacowana na blisko 500. Według naczelnika prowincji, żołnierzy z 33. ponownie zaskoczono we śnie”[36].

Armia Sajgonu dosłownie rozsypywała się na oczach Amerykanów. 18 maja Ramsey opisywał, jak członkowie milicji SR i komandosi stoczyli ze sobą półgodzinną wewnętrzną bitwę, najwyraźniej wywołaną kłótnią podczas gry w karty, podczas której zginął jeden z komandosów zastrzelony z pistoletu maszynowego. W liście do rodziców napisał: „Dyscyplina w wojsku nigdy nie była tu zbyt dobra, ale przez ostatnie dwa miesiące właściwie już przestała istnieć. Co kilka dni w mieście dochodzi do strzelaniny i nikt z tym nic nie robi. Ludzie [ARVN] są niemal powszechnie znienawidzeni za fatalne zachowanie i agresję wobec nieuzbrojonych cywilów (...). Wszystko, co osiągamy podczas operacji pacyfikacyjnych, i tak idzie na marne, bo siły [Sajgonu] nie są w stanie zapewnić lokalnym mieszkańcom bezpieczeństwa (...). Co gorsza, rząd amerykański ponosi tu winę niemal tak wielką jak wietnamski, bo bezustannie go kryje i otwarcie kłamie na temat sytuacji, jaka tu panuje”[37]. Rzecz jasna Hanoi również oszukiwało własny naród, ale czyniło to z większym powodzeniem, ponieważ sprawowało żelazną kontrolę nad obiegiem informacji w społeczeństwie.

Choć komuniści dysponowali własną siatką szpiegowską, rzadko musieli się do niej odwoływać, bo sajgońskie dzienniki z dużą niefrasobliwością opisywały niemal wszystkie planowane ruchy wojsk. 9 czerwca, kiedy żołnierze jednego z oddziałów piechoty powietrznodesantowej jechali ciężarówką na lotnisko, mogli przeczytać na pierwszych stronach porannej gazety, że ich jednostka ma przystąpić do ataku helikopterowego na niezidentyfikowany cel. Jeden z oficerów

napisał wtedy: „Przeklinaliśmy jeden przez drugiego, mówiąc: «O wy skur...! To my nie dostaliśmy jeszcze nawet rozkazów ani planu bitwy, a gazety już publikują szkice naszej strefy lądowania!». Jakiś dupek w wykrochmalonym mundurze najwyraźniej postanowił udawać ważniaka przed kilkoma dziennikarzami”[38].

Porucznik Doan Phuong Hai wraz ze swoim plutonem szedł na szpicy sił mających dokonać rozpoznania pola bitwy, znajdującego się jakieś 65 kilometrów na północ od Sajgonu. Po drodze obserwowali zwyczajne wojenne widoki: walające się wszędzie ciała i zrujnowane budowle, jakiegoś martwego wołu zaprzężonego do wozu pełnego trupów żołnierzy Wietkongu, obszczekujące ich bezpańskie psy, porzucone rowery, zdezelowaną ciężarówkę. Co gorsza, w pewnej chwili zauważyli też kilka rozbitych helikopterów, zestrzelonych podczas wcześniej toczonej bitwy, kiedy siły Sajgonu trafiły na silne zgrupowanie komunistów. Pierwszym zadaniem ludzi z piechoty powietrznodesantowej było pozbieranie trupów, zarówno swoich, jak i nieprzyjaciela, które zaczęły się już psuć i śmierdzieć. Porucznik Hai wielokrotnie musiał sięgać po butelkę silnie aromatyzowanego olejku Nhi Thien Duong, ale nawet jego częste wąchanie nie mogło zabić intensywnego smrodu ani stonować obrzydzenia, jakie wywoływały w nim mrówki uwijające się pracowicie w uszach, nosach i oczach zabitych. A wieczorem, jak pisze, po otwarciu swojej racji „wieprzowiny z puszki pokrytej grubą warstwą tłuszczu, z miejsca przypomniałem sobie rozkładające się ciała, które widziałem tego dnia, i zwymiotowałem”[39].

Następnego popołudnia, 12 czerwca, jego pluton poszedł dalej. Kiedy zbliżali się do jakiejś plantacji kauczuku, nagle wybuchła zażarta strzelanina. W ogniu spadających na jego ludzi pocisków moździerzowych Hai poprosił o wsparcie powietrzne i artyleryjskie, ale mu odmówiono, twierdząc, że na terenie plantacji przebywa zbyt wielu cywilów. „Wtedy krzyknąłem do swojego radia: «Jakich pieprzonych cywilów?! Przecież to WK!». Widziałem na własne oczy, że po kompleksie przetwórni kauczuku i między domami mieszkalnymi biegają sami ludzie w żółto-zielonych mundurach khaki i w korkowych hełmach”. Jego pluton otrzymał rozkaz przystąpienia do frontalnego

ataku przez zupełnie odkryty teren lądowiska dzielącego ich od plantacji. Ku jego zdumieniu, większość dotarła do pierwszych domów mieszkalnych żywa. Ale wtedy spadł ulewny deszcz i Hai wiedział już, że lada chwila może się spodziewać nieuniknionego kontrataku.

I rzeczywiście, żołnierze nieprzyjaciela wkrótce ruszyli naprzód w wielkiej liczbie. Raz jeszcze Hai poprosił o wsparcie powietrzne i artyleryjskie i raz jeszcze mu odmówiono. Dopiero później, już po wygaśnięciu walk, Hai dowiedział się, że śmierć w walkach ponieśli dowódca jego kompanii oraz pewien starszawy już podporucznik, który w jakiś sposób przeżył dotychczasowe dwadzieścia lat wojny, by spotkać swoje przeznaczenie właśnie tamtego dnia: „Modliłem się za niego, by choć w następnym życiu dane mu było trochę odpocząć". Inną ofiarą walk stoczonych tego dnia okazał się pewien kapitan, który był kiedyś wśród obrońców wzgórza Béatrice w garnizonie z Dien Bien Phu. Zważywszy na kolejne konflikty trapiące niemal bezustannie ten kraj, nikomu z walczących nie było dane uciekać od śmierci w nieskończoność.

Hai napisał przygnębiony: „Nasz batalion w praktyce przestał istnieć. Zginęli wszyscy czterej dowódcy kompanii. Nagle i ja zobaczyłem gwiazdy przed oczami. Nogi się pode mną ugięły, a AR-15 wypadł mi z ręki. Po chwili zwaliłem się bez czucia tuż obok karabinu maszynowego wciąż strzelającego w stronę nieprzyjaciela"[40]. Kiedy porucznik odzyskał przytomność, wokół zapadała już ciemność, z okolicznych kauczukowców kapały krople deszczu, a na jego brzuchu leżał martwy wrogi żołnierz. Hai czuł przeszywający ból w okolicach twarzy i prawej ręki. Jak się okazało, jeden nabój wystrzelony z karabinu AK-47 przeszył mu policzek i nos, a dwa kolejne przeszły przez jego prawą rękę. Był cały we krwi, na szczęście nie swojej, lecz martwego bojownika WK, którego w końcu jakoś zdołał z siebie zepchnąć. Podczołgał się do pnia jednego z pobliskich kauczukowców i leżał tam, nasłuchując, jak żołnierze wroga obchodzą pole bitwy, klnąc głośno z powodu własnych strat. Jeden z nich podszedł do Haia, kopnął go, a potem zabrał mu zegarek, parciany pas i radio tranzystorowe. Z powodu grubej warstwy zakrzepłej krwi na piersi szabrownik wziął go najwyraźniej za martwego. Kiedy komuniści już się oddalili, kłócąc się

zajadle o podział rzeczy odebranych Haiowi, on sam, korzystając z coraz mocniej padającego deszczu, podczołgał się ostatkiem sił do ciała swojego radiooperatora, kaprala Tama, od którego „pożyczył" ponczo, uznając, że Tam nie będzie go już potrzebował.

„I tak leżeliśmy tam obaj, jeden martwy, a jeden wciąż żywy, ciałami przywierając mocno do siebie. Patrzyłem na Tama ze smutkiem, wspominając wszystkie dobre i złe chwile, które spędziliśmy razem. Myślałem też o swoich rodzicach, którzy wtedy pewnie siadali akurat do kolacji i może nawet zastanawiali się, co się ze mną dzieje. A po kolacji moja matka podejdzie na pewno do rodzinnego ołtarzyka i zapali dla mnie kadzidełko". Kiedy Hai leżał obolały wśród wielu trupów, nagle noc rozświetliły rozbłyski bomb i ognia artyleryjskiego, które ledwie kilka godzin wcześniej mogłyby ich wszystkich ocalić. Hai znalazł w sobie jeszcze dość sił, by dołączyć do niewielkiej grupki ocalałych, w większości poważnie rannych, tak jak on sam. Przez dwa dni, powłócząc nogami, przemierzali zdewastowaną okolicę, by wreszcie dotrzeć do jakiejś przyjaznej bazy, gdzie lekarze zbadali rany Haia i stwierdzili, że były one rzecz jasna zakażone. Jak się okazało, był on jednym z nielicznych oficerów ocalałych z jego batalionu, który ogółem stracił dwustu ludzi; trzy razy tyle żołnierzy odniosło jakieś rany[41].

Dywizja Powietrznodesantowa należała do najlepszych jednostek bojowych Sajgonu, a tymczasem jedna z jej formacji właśnie została rozbita w puch przez Wietkong. Historia ta miała się powtarzać coraz częściej w roku 1965, aż wreszcie Westmoreland zaraportował do Białego Domu: „Siły zbrojne Wietnamu Południowego nie są w stanie dotrzymać pola nieprzyjacielowi bez znaczącego wsparcia bojowego ze strony Stanów Zjednoczonych". W MACV obmyślono zatem wielki plan strategiczny: najpierw używamy amerykańskich żołnierzy do obrony naszej własnej infrastruktury, następnie wysyłamy ich do wzmocnienia Płaskowyżu Centralnego, w dalszej kolejności dajemy im zadanie ścigania nieprzyjaciela – „wyszukać i zniszczyć" – a przez cały ten czas przeprowadzamy działania pacyfikacyjne i podtrzymujemy bombardowania Wietnamu Północnego. DePuy, oficer operacyjny Westmorelanda, był przekonany, że Wietkong nie będzie w stanie wytrzymać tak zmasowanego uderzenia. David Halberstam

scharakteryzował go jako „mikrego, ale zadziornego i władczego". Z kolei Neil Sheehan napisał o nim z odrazą, że wierzy tylko w „więcej bomb, więcej pocisków i więcej napalmu (...), dopóki druga strona się nie złamie i nie podda".

Westmoreland nalegał, by siły oddane do jego dyspozycji do tego stopnia zdominowały działania wojenne, że Wietnamczykom z Południa pozostanie już tylko zapewnianie bezpieczeństwa na poziomie lokalnym, w tym obsadzanie garnizonów w miastach i miasteczkach. Dowódca MACV zaproponował ponadto, żeby 1. Dywizja Kawalerii Powietrznej została wysłana do Tajlandii, aby operować od zachodu w celu zakłócenia ruchu na Szlaku Ho Chi Minha w Laosie. Jak bowiem argumentował DePuy: jaki sens miało respektowanie przez Amerykanów neutralności sąsiednich krajów, skoro wróg już od dawna tego nie robił? Kiedy dyskusja zeszła na poziom szczegółów, prezydent zapytał Westmorelanda: czego konkretnie potrzebujecie? Na co generał odparł: 180 tysięcy ludzi od zaraz – 34 bataliony amerykańskie i 10 z Korei Południowej, z odpowiednim wsparciem – a w przyszłości, to jest w roku 1966, kolejnych 100 tysięcy żołnierzy. Podczas gdy w Waszyngtonie rozważano tę prośbę, marynarka rozpoczęła operację „Market Time", polegającą na konsekwentnym patrolowaniu wód przybrzeżnych w celu przerwania dostaw broni drogą morską z Wietnamu Północnego na Południe.

Między autoryzowaniem nalotów bombowych a wysyłaniem kolejnych żołnierzy prezydent raz na jakiś czas wyciągał zza pazuchy gałązki oliwne. Podczas kwietniowego przemówienia na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa zasugerował, że jeśli Wietnam Północny wyrzeknie się wojny, wyśle mu czek na miliard dolarów na zbudowanie tamy na rzece Mekong – była to doprawdy imponująco wysoka łapówka za samo tylko zostawienie Południa w spokoju. Już po przemówieniu prezydent nachylił się do Billa Moyersa, sekretarza prasowego Białego Domu, protekcjonalnie klepnął tego młodego człowieka w kolano i powiedział: „No to teraz stary Ho już nie będzie mógł tego odrzucić". A potem powtórzył: „No to teraz stary Ho już nie będzie mógł tego odrzucić".

Hanoi rzecz jasna tak właśnie zrobiło, to znaczy odrzuciło hojną propozycję, co jak zwykle mocno zdumiało Johnsona.

13 maja prezydent wydał rozkaz wstrzymania bombardowań na pięć dni, podczas których za pośrednictwem Moskwy przekazano Północy nową propozycję pokojową. Pham Van Dong nie zniżył się nawet do przeczytania tej wiadomości. Możemy dziś już tylko spekulować, czy gdyby ta marchewka w postaci miliarda dolarów została podsunięta Hanoi z nieco większą dyplomatyczną subtelnością, mogła cokolwiek zmienić w dalszym biegu wydarzeń. A gdyby Ho Chi Minh zechciał skonsultować się ze swoimi wygłodniałymi ludźmi, informując ich, że w zamian za odłożenie planów zjednoczeniowych mogliby uzyskać prawdziwą górę pieniędzy, to czy ich odpowiedź byłaby taka oczywista? W końcu nikt nigdy nie najadł się jeszcze narodową dumą. Ale przecież były to pieniądze kapitalistów i imperialistów, pieniądze brudne, a w dodatku rzucane niczym perły przed wieprze społeczeństwu, które nie miało żadnego prawa głosu. Wydaje się więc, że w żadnych okolicznościach Hanoi nie zniżyłoby się do ich przyjęcia.

W Waszyngtonie wciąż zakładano, że rosyjscy przywódcy, nowo wybrani Leonid Breżniew i Aleksiej Kosygin, mogliby wstrzymać tę wojnę w dowolnym momencie, gdyby tylko zechcieli sięgnąć po telefon i zadzwonić do Hanoi. Dean Rusk powiedział ambasadorowi Anatoljiowi Dobryninowi: „Nie bardzo wiemy, co mamy dalej robić, zakładając, że i my, i wy naprawdę dążymy do pokoju”[42]. Sowieci mocno niepokoili się eskalacją, pełni obaw, że Amerykanie mogliby nawet użyć w Wietnamie taktycznej broni nuklearnej. A mimo to Dobrynin nie zaoferował Ruskowi niczego konkretnego: Moskwa nie miała po prostu zamiaru brać na siebie niewdzięcznej roli pośrednika w sytuacji, w której obie strony konfliktu w wyraźny sposób chciały najpierw zapewnić sobie militarną dominację, a dopiero później siąść do negocjacji.

Rozczarowany i oburzony Lyndon Johnson powiedział senatorowi Fulbrightowi, że skoro Hanoi postanowiło odrzucić jego propozycję pokojową – to jest wycofanie się Wietnamu Północnego z Południa w zamian za przerwanie bombardowań – Stany Zjednoczone z konieczności musiały zwiększyć swoje zaangażowanie w tę wojnę.

Mimo to świat dostrzegał, że administracja nie była do tego planu tak do końca przekonana. 17 maja 1965 roku londyński „The Times" raportował: „bombardowania jako instrument dyplomacji zawiodły (...). A w sytuacji, w której Stany Zjednoczone same stanęły na drabinie eskalacji, choć wciąż jeszcze na dolnych jej szczeblach i bez specjalnej ochoty do dalszego wspinania się po niej, Hanoi nie ma, jak się wydaje, żadnych dobrych powodów, by pomóc Ameryce całkiem z niej zejść". Nie była to może zbyt dokładna analiza pozycji, w jakiej znajdował się wówczas Biały Dom, ale mimo to londyńska gazeta prawidłowo oceniała, że był on mocno zagubiony. 7 czerwca Westmoreland otwarcie poinformował Waszyngton, że Wietnam Południowy stoi na krawędzi militarnej porażki, jeśli nie wspomoże się go 44 amerykańskimi batalionami: „Nie widzę dla nas żadnego innego kierunku działania poza wzmocnieniem naszej obecności"[43].

Tymczasem w Departamencie Stanu George Ball przygotował nowe memorandum, w którym przestrzegał przed wysyłaniem kolejnych żołnierzy: „Zanim zaangażujemy się w Wietnamie Południowym niekończącym się dopływem sił militarnych, musimy zdobyć więcej dowodów (...), że nasze wojsko nie utknie w bagnach, w dżunglach i na polach ryżowych, podczas gdy cały kraj będzie powoli zmierzał do rozpadu". Ale Kolegium Połączonych Szefów Sztabów przychyliło się do oceny generała i do jego prośby. A prezydent powiedział grupie kongresmenów: „Westy chce pomocy – a ja zamierzam mu ją dać". Prokurator generalny Nicholas Katzenbach informował Biały Dom, że do dalszego zwiększenia zaangażowania „z punktu widzenia prawa kolejna zgoda Kongresu nie jest w tym momencie wymagana"[44]. 16 czerwca McNamara ogłosił wzmocnienie obecności Stanów Zjednoczonych w Wietnamie poprzez zwiększenie liczby wysłanych tam żołnierzy do 70 tysięcy.

Dwa dni później olbrzymie bombowce amerykańskich sił powietrznych B-52 przystąpiły do ataku na rzekome zgrupowania sił komunistycznych na terenie Wietnamu Południowego. W ciągu ośmiu następnych lat bombowce te miały przeprowadzić 126 615 lotów w ramach tak zwanej operacji „Arc Light", podczas których zrzuciły 4 miliony ton bomb. Załogi tych maszyn podchodziły do swoich misji

nader rutynowo. Pilot Doug Cooper wyjaśniał: „Ta robota była równie ekscytująca jak jazda ciężarówką na długiej trasie, tyle że nie mogłeś się nigdzie zatrzymać na kawę”[45]. A pewien nawigator powiedział, że w jego odczuciu on i jego załoga bombardowali po prostu niekończący się ciąg koordynat na mapie, miejsc, w których „jak się wydawało, nie było nic innego poza dziurami w gęstej dżungli”[46], zostawianymi przez nich po wykonaniu zadania. Począwszy od połowy 1968 roku, o momencie zrzucenia ładunku nie decydowały już nawet same załogi, ale operatorzy radarów Skyspot na ziemi. Samoloty B-52 operujące nad Wietnamem Południowym, a później także nad Kambodżą i Laosem, nie były narażone podczas akcji na żadne niebezpieczeństwo ze strony nieprzyjaciela, co najwyżej na niewielkie ryzyko wypadku. Większość tych wiekowych maszyn dotknięta już była korozją: jedna z nich zgubiła nawet podczas startu bomby podwieszone pod skrzydłami, bo ich mocowania zardzewiały od deszczu i słonej morskiej wody. W ciągu ośmiu lat trwania operacji „Arc Light” stracono ogółem zaledwie dwanaście samolotów, właśnie w tego rodzaju wypadkach. Załogi bombowców B-52 za cenę bardzo niewielkich strat dokonywały bardzo poważnych zniszczeń.

11
Eskalacja

1. „DNO I WODOROSTY”

Tymczasem w Sajgonie rządy objęła nowa junta wojskowa. Na jej czele stanął Nguyen Cao Ky jako premier, zaś Nguyen Van Thieu pełnił obowiązki głowy państwa. Zdesperowany William Bundy opisywał tę dwójkę jako „absolutne dno i wodorosty”. Sam Ky, relacjonując już znacznie później ówczesną naradę generałów poprzedzającą rozdział stanowisk, twierdził, że najpierw zapytał wszystkich obecnych: „Czy ktoś tutaj chce być w ogóle premierem?”. A po dłuższej chwili ciszy zaproponował, że w takim razie on spróbuje. Jednocześnie sam przyznawał: „Nie jestem ani dobrym politykiem, ani dobrym dyplomatą. Jedyne, co umiem dobrze robić, to pilotować samoloty”. Trochę szkoda, że ten przypływ szczerości doczekał się ujawnienia dopiero po latach – i po ostatecznej porażce, która doprowadziła do jego wygnania z kraju.

Lyndon Johnson twierdził, że właściwie nie ruszał go ten kolejny polityczny przewrót, i zadeklarował: „Będziemy działać z całą siłą – ze stabilnym rządem albo bez stabilnego rządu”. Nowy premier miał zaledwie trzydzieści cztery lata i był uciekinierem z Północy w roku 1954. W młodości szkolił się na pilota we Francji, a później wylatał tysiące godzin zarówno podczas lotów transportowych, jak i w misjach bojowych, w tym zrzucając ze spadochronami agentów nad Wietnamem Północnym. Ky był ponadto gładkolicym dandysem z cieniutkim wąsikiem, ubóstwiającym paradować w szytym na miarę czarnym garniturze, a jeszcze bardziej uwielbiającym zmieniać żony i dziewczyny. Na forum publicznym był ciepły, miły, żywy

i z entuzjazmem reagował na wszystko, co amerykańskie, może poza coca-colą, do której smaku jakoś nie mógł się przekonać. A jednocześnie jego kontakt z narodem wietnamskim był równie bliski jak – dajmy na to – ze społecznością mieszkańców Marsa. Po tym, jak w czerwcu 1965 roku udało mu się usunąć w cień, relegując do funkcji wyłącznie pokazowej, mniej ekstrawaganckiego Thieu, Ky nabrał przekonania, że zapewnił sobie rzeczywistą władzę w Sajgonie. Czas miał pokazać, że się grubo mylił.

Chester Cooper opisał pierwsze pojawienie się nowego premiera i głowy państwa południowowietnamskiego na lipcowym przyjęciu w ambasadzie, wydanym na cześć Roberta McNamary: „Ky miał naprawdę spektakularne wejście. Wkroczył do sali lekkim krokiem, w białej obcisłej wieczorowej marynarce, eleganckich zwężanych spodniach, spiczastych butach z lakierowanej skóry i jaskrawych czerwonych skarpetkach. Gdyby był tam ktoś z Hollywood, z miejsca zaproponowałby mu rolę saksofonisty w podrzędnym klubie nocnym w Manili”[1]. Sam sekretarz obrony wydawał się mocno rozbawiony tym spotkaniem, a później opisywał Ky lekceważąco jako „«dyrektora wykonawczego» konsorcjum generałów”[2]. Inny Amerykanin obecny wówczas na przyjęciu nachylił się do Coopera i wyszeptał: „Przynajmniej nikt nie pomyli go z wujkiem Ho!”. Prezydent Thieu, ubrany znacznie bardziej konserwatywnie w elegancki garnitur, wydawał się zadowolony z faktu, że to właśnie Ky skupia na sobie całą uwagę, na której najwyraźniej temu ostatniemu zależało.

16 lipca, podczas tej samej wizyty McNamary w Sajgonie, sekretarz obrony otrzymał depeszę informującą go, że prezydent prywatnie podjął już decyzję o wysłaniu 44 batalionów, o które prosił Westmoreland. Temu drastycznemu wzrostowi amerykańskiego zaangażowania w Wietnamie towarzyszyły zwyczajowe przepychanki między różnymi rodzajami sił zbrojnych: admirał Sharp przestrzegał na przykład generała Greene’a, że „generał Westmoreland i ambasador Taylor (…) uczynią wszystko, co w ich mocy, by Korpus Marines nie doczekał się zasłużonych zaszczytów za dokonania w Wietnamie Południowym”[3].

Greene, który w związku z tą wojną doświadczył dramatycznego wręcz wzrostu zapotrzebowania na swoje usługi, był mocno zdumiony, kiedy McNamara poinformował Szefów Sztabów o zatwierdzeniu zwiększenia sił amerykańskich w Wietnamie, ponieważ uzgodniony już plan strategiczny wciąż miał wiele dziur i znaków zapytania. Z kolei dowódca wojsk lądowych, generał Harold Johnson, uskarżał się na fakt, że decyzja o eskalacji podjęta bez publicznego ogłoszenia jej skali była niebywała, a jemu samemu „zamykała usta". Wiele lat później powiedział on: „I co ja niby wtedy miałem zrobić? Jestem tylko durnym żołnierzem poddanym cywilnej kontroli (...). Mogłem złożyć rezygnację i wtedy co? Pozostałbym sfrustrowanym generałem przez 48 godzin, a potem już by mnie nie było. Prawda?"[4]. To wszystko rzecz jasna dosyć mało przekonująca próba usprawiedliwienia jego ówczesnej bojaźliwości. 14 lipca Earle Wheeler powiedział McNamarze: „W zasadzie nie widzę żadnych powodów, dla których mielibyśmy tego nie wygrać, jeśli tylko wykażemy się odpowiednią wolą – a wola ta będzie się przejawiała w naszej strategii i operacjach taktycznych". Wheelerowi chodziło najwyraźniej o zielone światło, o zniesienie jakichkolwiek ograniczeń przy zwiększaniu przemocy, czego jak dotąd prezydent odmawiał, wciąż obawiając się, że zbyt mocne uderzenie w Północ mogłoby doprowadzić do interwencji ze strony Chin, tak jak to miało miejsce w Korei.

Maxwell Taylor, który w sposób oczywisty utracił wszelką wiarę w sukces, został odwołany z placówki w Sajgonie, a ambasadorem został na jakiś czas powracający z niebytu Henry Cabot Lodge. McNamara z miejsca przedstawił Lodge'owi trzy alternatywne sposoby działania: wycofać się i zaakceptować upokorzenie; zachować dotychczasowy kurs i patrzeć, jak sprawy konsekwentnie zdążają w złym kierunku; doprowadzić do eskalacji, przy „niezłych szansach na uzyskanie akceptowalnego wyniku w rozsądnym przedziale czasowym". Lodge poparł rzecz jasna tę trzecią opcję, doskonale zdając sobie sprawę, że i tak jest ona przesądzona. Sekretarz obrony skłaniał się teraz ku zaminowaniu portu w Hajfongu, znacznemu wzmożeniu nalotów bombowych na infrastrukturę Północy i mobilizacji rezerw w celu umożliwienia poważnego zwiększenia amerykańskiej obecności

wojskowej w Wietnamie. Johnson zdecydowanie odrzucił ten trzeci pomysł – pobór oznaczałby przecież zaprzeczenie całej dotychczasowej strategii w polityce wewnętrznej, czyli otwarte przyznanie przed narodem amerykańskim, że jego kraj zaangażował się w wielką wojnę.

George Ball przedłożył tymczasem kolejne memorandum: „Z politycznego punktu widzenia WP to przegrana sprawa. Ten kraj całkowicie się już wykrwawił w ciągu dwudziestu lat wojny, której ludzie mają po prostu dość. [A] Wietkong – jak wykazało studium «Motywacja i morale w Wietkongu», przygotowane przez Korporację RAND – jest głęboko zaangażowany. Hanoi ma rząd zdyscyplinowany i twardo podążający do wyznaczonego celu (...). «Rząd» w Sajgonie to jakaś parodia (...). Wietnam Południowy to kraj posiadający armię, ale nie rząd”[5]. Ball stwierdzał dalej, że argumenty przeciwko interwencji wysunięte przez generała Matthew Ridgwaya w roku 1954 nie straciły nic ze swojej aktualności również dekadę później. Z tą oceną absolutnie nie zgadzał się McGeorge Bundy, kwestionując zarzut, że Ameryka zamierza wejść w mało zaszczytną rolę dawnego mocarstwa kolonialnego, i wysuwając argument na poparcie tezy wprost przeciwnej: „USA w roku 1965 odpowiadają na wezwanie narodu, który doświadcza napaści ze strony komunistów”[6]. Próżno jednak szukać dowodów na tego rodzaju wezwania ze strony jakiegokolwiek liczącego się stronnictwa w Wietnamie Południowym.

21 lipca Ball był wśród uczestników narady w Białym Domu, podczas której miano teoretycznie przedyskutować wszystkie możliwe opcje. Wtajemniczeni wiedzieli jednak dobrze, że wezwano ich tylko po to, by ogłosić decyzje, które już zapadły w jedynym miejscu, gdzie one od jakiegoś czasu zapadały: w głowie Lyndona Johnsona. Brak pewności siebie i pokora, jakie prezydent przejawiał w ciągu pierwszych tygodni sprawowania urzędu, już dawno wyparowały. Specjalny doradca Harry McPherson napisał nawet do niego prywatną notatkę, w której przestrzegał, że jego osobowość stała się już do tego stopnia dominująca, iż opinia publiczna, jeśli nawet w ogóle liczy się z pozycją jego doradców, to „myśli o nich jako o potulnych cielaczkach brykających nieśmiało za przyzwoleniem wielkiego rozjuszonego byka”[7]. Najwyraźniej jednak Johnson uznał, że potrzebuje jeszcze tego

całego stadka, zanim przystąpi do największego i – jak miało się okazać, najbardziej doniosłego – rodeo w czasie swojej prezydentury. Owego 21 lipca jeden z tych „potulnych cielaczków", szef USIA Carl Rowan, pozwolił sobie na wyrażenie obaw w kwestii słabości reżimu w Sajgonie: „Nawet 175 tysięcy żołnierzy nic nam nie da, jeśli nie poskładamy jakoś rządu Ky". Henry Cabot Lodge odparł na to: „Nie sądzę, że powinniśmy brać ten rząd na poważnie. Tam po prostu nie ma nikogo, kto mógłby cokolwiek zrobić. Musimy więc sami robić to, co uważamy za stosowne, nie oglądając się na nikogo (...). Przechodząc do nowej fazy, mamy pełne prawo, a nawet obowiązek, czynić pewne rzeczy, niezależnie od posiadania albo braku zgody tamtejszego rządu".

Były to słowa niesłychanie aroganckie, odzwierciedlające jednak pewną charakterystyczną postawę, która miała w decydujący sposób zaciążyć na przyszłej katastrofie politycznej i militarnej. Ky twierdził, że powiedział kiedyś Amerykanom: „Tym, czego potrzebuje Wietnam, jest człowiek taki jak Ho Chi Minh dla Wietnamczyków z Północy, prawdziwy przywódca w oczach Wietnamczyków z Południa, a nie jakiś Amerykanin. Ale oni nigdy tego nie rozumieli"[8]. Christopher Thorne, autor klasycznej pracy na temat doświadczeń zachodnich aliantów w Azji w czasie II wojny światowej, zauważył, że całe pokolenie później w Indochinach Stany Zjednoczone wybrały tę samą niewłaściwą ścieżkę, którą kroczyły już wcześniej w Chinach, „kierując się założeniami opartymi w dużej mierze na własnych projekcjach amerykańskich wartości, doświadczeń i wizerunku, w połączeniu z nieumiejętnością dostrzeżenia faktu obcowania z całkowicie inną cywilizacją i kulturą polityczną (...) po drugiej stronie Pacyfiku"[9].

Wracając do spotkania 21 lipca, George Ball raz jeszcze podkreślił osobiste przeświadczenie, że amerykańskim żołnierzom nie uda się zwyciężyć w walkach toczonych w azjatyckiej dżungli. Earle Wheeler najwyraźniej poczuł się w obowiązku stanąć w obronie swoich chłopców, wobec czego całkowicie odrzucił ten pogląd, solennie zapewniając prezydenta, że zaproponowana przez Westmorelanda strategia „wyszukać i zniszczyć" pozwoli bez wątpienia uporać się z WK. Ball stwierdził w odpowiedzi, że czułby się o wiele bardziej uspokojony, gdyby istniała realistyczna perspektywa odniesienia

zwycięstwa w ciągu roku, ponieważ jeśli walki miały potrwać dłużej, a tego się właśnie obawiał, wówczas coraz większym problemem zaczęłaby się stawać wewnętrzna i międzynarodowa opinia publiczna. W odpowiedzi Lodge wyprowadził w stronę podsekretarza często powtarzany, ale wciąż żenujący cios poniżej pasa: porównanie do przywódców brytyjskich i francuskich, którzy ustąpili Hitlerowi w Monachium w roku 1938.

Aż w końcu za Balla zabrał się sam prezydent:

PREZYDENT: Ależ George, czy wszystkie te kraje nie zaczęłyby od razu mówić, że Wujek Sam to taki papierowy tygrys, czy nie stracilibyśmy wiarygodności, łamiąc słowo dane przez trzech prezydentów, gdybyśmy zrobili tak, jak to zaproponowałeś? Wydaje się, że byłby to nieodpowiedzialny cios, który zadajemy sami sobie.

BALL: Nie, panie prezydencie. Gorszym ciosem byłaby niezdolność najpotężniejszego mocarstwa na ziemi do pokonania garstki partyzantów.

PREZYDENT: Ale przecież sami Wietnamczycy też chcą z nimi walczyć...

BALL: Cóż, Thieu (...) w pewnym momencie (...) wyraził się, że komuniści i tak wygraliby [każde] wybory.

PREZYDENT: Ja w to nie wierzę. Czy ktokolwiek z tu obecnych w to wierzy? [Wszyscy wyrażają opinie sprzeczne z obawami Balla].

W tym momencie zrezygnowany podsekretarz klepnął dłonią w stół i powiedział: „Panie prezydencie (...) Jeśli zapadnie taka decyzja, ja się jej podporządkuję (...). Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia". Choć Ball wykazał się dalekowzrocznością i odwagą, mówiąc przykrą prawdę swoim zwierzchnikom, to ostatecznie jego przywiązanie do urzędu okazało się na tyle duże, że nie pozwoliło mu złożyć rezygnacji w imię bronionych zasad. Jednym z jego ulubionych powiedzonek było: „Najlepiej jest być blisko konfitur", co niedwuznacznie wskazywało, jak trudno było zrezygnować z pozycji i przywilejów. A prezydent, doskonale rozpoznający rozmaite słabostki

otaczających go ludzi, najwyraźniej był przekonany, że może pozwolić Ballowi na odrobinę niesubordynacji, ponieważ w ostatecznym rozrachunku i tak nie zdecyduje się on na otwarte wyłamanie się z szeregów. Znamienne są tu słowa Johnsona wypowiedziane później o swoim wiceprezydencie: „Mam jaja Huberta u siebie w kieszeni i tam one zostaną". Mniej więcej to samo odnosiło się też do podsekretarza stanu.

Następnego dnia Johnson spotkał się z Szefami Sztabów, którzy namawiali go, żeby poszedł na całość zarówno w kwestii nasilenia bombardowań, jak i zwiększenia liczby żołnierzy. Dowodzący Korpusem Marines generał Wallace Greene powiedział: „Pięć lat i jeszcze 500 tysięcy żołnierzy. Sądzę, że naród amerykański by pana poparł". Johnson odparł na to, niemal wiernie powtarzając słowa McNamary sprzed kilku tygodni: „Najmniej pożądaną alternatywą jest wycofanie się. Drugą niezbyt pożądaną jest kontynuowanie tego, co robimy dotąd. Najlepszą alternatywą jest więc wejście na całego i dokończenie roboty"[10]. Nikt nie miał żadnych wątpliwości, że ta wojna będzie długa, a jej koszty olbrzymie. W odróżnieniu od – na przykład – podjętej w roku 2002 pospiesznej decyzji o inwazji na Irak, w roku 1965 rozpatrzono drobiazgowo wszelkie ewentualności. I właśnie w samym środku takich szczegółowych dyskusji w gronie KPSS prezydent Johnson nagle przerwał i zaczął rozmyślać na głos: „Pamiętajcie tylko, że będą o tym pisać tak, jak pisali o Zatoce Świń. Będą pisać o mnie i o moich doradcach".

Z dzisiejszego punktu widzenia prezydent zadawał wówczas wszystkie właściwe sceptyczne pytania, tyle że nie chciał słuchać niepopularnych odpowiedzi. Jako jeden z jego istotnych błędów wskazuje się czasami niechęć do ogłoszenia poboru, podyktowaną obawą przed szeroką debatą publiczną. Niektórzy wtajemniczeni spodziewali się wręcz rezygnacji McNamary, po tym jak Johnson odrzucił jego rekomendację, by iść w tę właśnie stronę, ale ostatecznie sekretarz obrony jakoś pogodził się z tym afrontem. Choć jednak ta odmowa zarządzenia mobilizacji bez wątpienia wpłynęła na szybkie pogarszanie się wyników armii amerykańskiej w Wietnamie pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku, w tym zwłaszcza na całkowity drenaż jej

korpusu podoficerskiego, to postrzeganie tego akurat czynnika jako jednej z decydujących przyczyn ostatecznej porażki wydaje się nieporozumieniem. Cała strategia stojąca u podstaw amerykańskiego zaangażowania w Indochinach była bowiem oparta na całkowicie fałszywych przesłankach, poczynając od teorii domina aż po niezrozumienie natury azjatyckiego komunizmu. Wielu decydentów nie potrafiło ponadto wyrwać się z kręgu zaklęć o „utracie" Chin. Historyk Michael Howard odnajduje tu wręcz pewne podobieństwa do złudzeń, którymi żywili się przywódcy europejscy w roku 1914:

> Mieszanina niechęci, nacjonalistycznej arogancji, niewłaściwych ocen i chybionych ekspertyz wojskowych (...). Podobnie jak niemieccy i austriaccy mężowie stanu z wcześniejszej epoki, dzisiejsi amerykańscy politycy dostrzegali w mało znaczącym i lokalnym naruszeniu równowagi sił ogromne i złowieszcze zagrożenie dla transformacji całego światowego porządku. [Uznawali oni, że] Hanoi mogłoby wywołać tyle zamieszania co Belgrad w latach 1912–1914 (albo, co jest równie dobrym odniesieniem, Egipt w roku 1956), należało zatem szybko reagować i oczyścić sytuację, zanim sprawy całkowicie wymkną się spod kontroli. Ponadto w Stanach Zjednoczonych nagromadziły się (...) ogromne pokłady narodowej dumy i wiary w siebie, analogicznie jak w Niemczech przed rokiem 1914; swego rodzaju świadomość własnej wielkości domagającej się uznania i szukającej okazji do wykazania się i do zademonstrowania swojej siły, idąca przy tym w parze z przekonaniem, że nie istnieje żaden problem, którego wielkość ta nie mogłaby rozwiązać. A ci politycy, którzy żywili w tym względzie jakiekolwiek osobiste wątpliwości, byli w pełni świadomi faktu, że mają przeciwko sobie olbrzymią większość opinii publicznej[11].

Doświadczenia dwóch wielkich wojen skutecznie wyleczyły większość europejskich polityków z bezkrytycznej wiary w użyteczność konfliktu jako zwykłego instrumentu w katalogu działań politycznych. Natomiast waszyngtońscy decydenci w roku 1965 nie odczuwali żadnego większego zagrożenia, bo nawet ewentualne starcie nuklearne toczyłoby się przecież na jakimś odległym polu bitwy, wobec tego podchodzili do zaangażowania się w tę wojnę raczej chłodno i bez specjalnych obaw. A Lyndon Johnson, nie umiejąc nakreślić precyzyjnych celów tego zaangażowania, po prostu nakazał swoim

generałom „zabijać więcej tych z Wietkongu". Admirał David McDonald, szef operacji morskich w latach 1963–1965, napisał dekadę później: „Być może my, wojskowi, okazaliśmy się wszyscy słabi. Być może powinniśmy się postawić, walnąć pięścią w stół (...). Ja też brałem w tym udział i w jakimś stopniu również się za to wstydzę. Czasem myślę sobie: «Dlaczego właściwie zgadzałem się na to wszystko?»"[12].

Podczas prywatnego spotkania w Camp David w lipcu doświadczony doradca polityczny prezydenta Clark Clifford przestrzegał Johnsona: „To może się okazać prawdziwym grzęzawiskiem (...). Ja sam nie dostrzegam tam niczego poza katastrofą dla mojego kraju". McGeorge Bundy, do tej pory zdeklarowany jastrząb, teraz wzdragał się przez forsowanymi przez McNamarę propozycjami olbrzymiego zwiększenia zaangażowania lądowego. 23 lipca Bundy ostrzegał: „nasi żołnierze są kompletnie nieprzetestowani w takim rodzaju walki, jaki się przewiduje (...). Cały ten plan wdrażany jest z pośpiechem graniczącym z szaleństwem", ponadto McNamara „pomija obowiązek zbadania górnych granic odpowiedzialności Stanów Zjednoczonych". Także senatorowie Mike Mansfield i Richard Russell namawiali prezydenta do niewysyłania kolejnych wojsk. A kończący swoją służbę ambasador Max Taylor po raz kolejny zmienił zdanie i teraz ponownie sprzeciwiał się przysyłaniu posiłków. Wszystkie tego rodzaju wątpliwości były jednak konsekwentnie pomijane, ponieważ koszty wycofania się z Wietnamu oszacowano już wcześniej jako wyższe od kosztów coraz większego angażowania się w wojnę.

Podczas konferencji prasowej 28 lipca Johnson ogłosił decyzję o wysłaniu kolejnej transzy żołnierzy, a tym samym o zwiększeniu amerykańskiej obecności w Wietnamie do 175 tysięcy ludzi. Co ciekawe, wszystkie te ruchy przedstawiał on jako decyzję o nieprzystępowaniu do wojny. Dean Rusk powiedział: „Nigdy nie kładliśmy szczególnego nacisku na kwestię psychologii wojny (...). Mieliśmy wrażenie, że w świecie nuklearnym nie należy po prostu niepotrzebnie wzmagać wojennych nastrojów w całym społeczeństwie, i rozmyślnie wszystko minimalizowaliśmy. Próbowaliśmy zrobić z zimna krwią coś, co prawdopodobnie da się załatwić tylko z pomocą gorącej krwi"[13]. Uderzające doprawdy jest to zestawienie wysiłków administracji

Johnsona, czynionych w celu zachowania dyskrecji w sprawie wojny, motywowanych troską o spokój ducha Amerykanów, z natarczywymi apelami odwołującymi się do patriotyzmu, obrony socjalizmu, poświęcenia i walki o narodowe zjednoczenie, które miały zdominować życie każdego Wietnamczyka z Północy przez okres następnego dziesięciolecia.

Konserwatywny komentator Joseph Alsop napisał w „Washington Post" z 29 lipca: „Istnieje jakiś element autentycznego patosu (i prośmy Boga, by ten patos nie zmienił się w tragizm) w całym spektaklu zmagań tego niezwykłego człowieka w Białym Domu z problemem wietnamskim, który jest dlań tak wstrętny, przy doskonale widocznej tęsknocie do zwrócenia się zamiast tego ku cudom, które udało mu się zdziałać w kraju, a z których czerpał niewątpliwą radość". A kiedy już pierwsze wojska lądowe zostały wysłane, a tym samym na szali położono życie i prestiż naprawdę wielu Amerykanów, politycy, wojskowi i zwykli obywatele zaczęli odtąd odczuwać coraz większą presję, by „grać w jednej drużynie", by wspierać tę doniosłą decyzję podjętą w imieniu narodu amerykańskiego, choć bez jego pełnej wiedzy i zgody. Nawet George Ball apelował teraz do Waltera Lippmanna i innych sceptyków, by wyciszyli swoją krytykę, argumentując to tym, że antywojenna agitacja tylko wzmacnia pozycję Hanoi. William Small, kierujący serwisami informacyjnymi w telewizji CBS, musiał z kolei stawić czoła Deanowi Ruskowi podczas jednego z koktajli w Waszyngtonie – sekretarz stanu szturchnął go w pierś i powiedział: „Wszyscy amerykańscy dziennikarze chcą teraz zdobywać nagrody Pulitzera za swoje reportaże, ale przyjdzie taki dzień, że ludzie zaczną pytać, po której stronie się jest, i doprawdy nie wiem, jak wy, chłopaki, będziecie na to odpowiadać"[14].

Sam prezydent reagował na krytykę jeszcze gorzej. Po przedłużonym miesiącu miodowym w mediach, który rozciągnął się na cały pierwszy rok jego urzędowania, teraz jego stosunki z prasą mocno się ochłodziły. Johnson, w swoim stylu, z czasem zaczął nabierać przekonania, że wszyscy, którzy nie postrzegają go tak, jak on sam by sobie tego życzył, muszą być na liście płac Roberta Kennedy'ego. Kiedy senator Frank Church dołączył do chóru krytyków polityki wietnamskiej, Johnson

skomentował to kwaśno: „Następnym razem, kiedy stary Frank będzie chciał wybudować jakąś tamę u siebie w Idaho, niech idzie po prośbie do Waltera Lippmanna!".

Raz uruchomione operacje militarne zaczynają się toczyć własnym torem. W kwietniu 1965 roku Johnson wysłał amerykańskich marines i 82. Dywizję Powietrznodesantową do Republiki Dominikany, by zapobiegli tam przejęciu władzy przez komunistów. W wytworzonej wcześniej atmosferze kryzysu samo hasło „wspierania naszych chłopców" pozwoliło prezydentowi w bardzo krótkim czasie wymóc na Kongresie wyasygnowanie 700 milionów dolarów na operacje na Karaibach… a przy okazji w Wietnamie.

Czy po 22 listopada 1963 roku Lyndon Johnson naprawdę wahał się w kwestii eskalacji, czy też tylko udawał, że się waha, na przykład dając wyraz różnym rozterkom w rozmowach telefonicznych z senatorem Richardem Russellem i innymi? Istnieją przekonujące argumenty na poparcie tezy, że mimo długich godzin spędzonych na debatach z doradcami wojskowymi i cywilnymi Johnson nigdy tak naprawdę nawet nie rozważał przyjęcia kursu, który mógłby dać jego rodakom podstawy do oskarżania go o słabość, o zaakceptowanie porażki. Ponadto wojna w Korei ustanowiła wcześniej pewien ważny precedens, podsycając wiarę, że nawet w przypadku nieosiągnięcia ostatecznego zwycięstwa militarnego można zapewnić sobie jakieś akceptowalne i kompromisowe rozwiązanie pokojowe.

Kogo najbardziej należałoby w tej sytuacji winić? H.R. McMaster napisał: „Szefowie [Sztabów] (…) nie potrafili przebić się do prezydenta ze swoimi obiekcjami w kwestii nastawienia McNamary do tej wojny. Zamiast tego usiłowali działać w ramach tej strategii, po to by móc z czasem pozbyć się rozmaitych ograniczeń utrudniających dalsze akcje. W konsekwencji nie zarekomendowali więc wysłania takiej liczby wojsk, jaką sami uznawali od początku za konieczną do zaangażowania w Wietnamie"[15]. Generał Bruce Palmer również zaliczał się do tych wojskowych, którzy obwiniali Kolegium Połączonych Szefów Sztabów o nieumiejętność jasnego uświadomienia narodowemu przywódcy, że jego pomysł narastającej eskalacji niemal z całą pewnością nie przyniesie oczekiwanych rezultatów: „Po prostu nie potrafili zmusić się

do wygłoszenia tak negatywnej opinii, sądząc, że odebrane to zostanie jako nielojalność”[16]. Wojskowi przywódcy całkiem często stają też przed jeszcze innym dylematem: mają obowiązek wypełniać polecenia swoich politycznych zwierzchników, ale jednocześnie muszą umieć uzasadnić samo istnienie nierzadko mocno rozbudowanych i bardzo kosztownych sił zbrojnych. Jeśli zaś żołnierze amerykańscy mieli okazać się niezdolni do pokonania jakichś obszarpanych partyzantów, jak świadczyłoby to o ich użyteczności? Przy wszystkich ograniczeniach Westmorelanda to nie jego należy winić za podjęcie decyzji o zaangażowaniu w Wietnamie ogromnych wojsk tylko dlatego, że sam o to poprosił. Parafrazując Tennysona: to nie w nim tkwiła przyczyna, on tylko słał swych ludzi w bój i na śmierć. Kluczowe decyzje podejmowali zaś Johnson i McNamara. Admirał Sharp, głównodowodzący na Pacyfiku, uskarżał się, że wszystkie spotkania z udziałem sekretarza obrony kończyły się konkluzjami, do których on sam zmierzał: McNamara sprawował swój urząd w stylu przypominającym o wiele bardziej dowodzenie bitwą niż zarządzanie procesem politycznym.

Jeśli zaś chodzi o Lyndona Johnsona, to przecież nie przypadkiem każdy prezydent Stanów Zjednoczonych nosi zarazem tytuł zwierzchnika sił zbrojnych. Jaki zresztą na dobrą sprawę miał on wybór w latach 1964–1965? Niektórzy współcześni krytycy jego decyzji o eskalacji nie chcą przyznać, że ówczesne ustąpienie komunistom było jednoznaczne ze skazaniem Wietnamczyków na bardzo mroczną przyszłość pod despotycznymi rządami Le Duana i jego kolektywistycznej tyranii, co zresztą ostatecznie stało się ich udziałem po roku 1975. Frances FitzGerald napisała: „W tej wojnie nie było żadnej «drugiej strony» (...). My sami, nie dość, że opowiedzieliśmy się po złej stronie, to jeszcze stworzyliśmy tę złą stronę (...). To nie Wietnamczycy rozpoczęli przemoc, to myśmy im ją zanieśli wraz ze swoim przybyciem (...). Jedynym, czego próbowaliśmy dokonać w Wietnamie, było uniemożliwianie dojścia do władzy lokalnemu rządowi”[17]. Wywód ten całkowicie ignoruje głęboko niedemokratyczny, a nawet nieludzki charakter reżimu północnowietnamskiego. O wiele rozważniej brzmią słowa senatora Eugene’a McCarthy’ego, który dużo później stwierdził:

„Cała kwestia moralna, jak ja ją postrzegałem, w ostateczności sprowadzała się do pytania: czy istniała jakakolwiek proporcja między skalą zniszczeń a możliwym dobrem, jakie miałoby z tego wynikać? (...). Zaczęło się przecież od stwierdzeń (...) że ludzie w Wietnamie Południowym chcą żyć w wolnym społeczeństwie. Ale ceną za osiągnięcie tego celu było zniszczenie praktycznie całości tego społeczeństwa. W pewnym momencie należy szukać pragmatycznych ocen (...), nie osiągnie się takiego celu, dążąc do całkowitego zniszczenia”[18].

Dziś wiemy już, że kolektywizacja poniosła oczywistą klęskę w każdym społeczeństwie, które jej próbowało. Z historycznego punktu widzenia wydaje się jednak nieuniknione, że rozmaite zubożałe i w przeważającej części chłopskie społeczności XX wieku, wśród nich te w Chinach i Wietnamie, odczuwały ogromną pokusę wcielenia w życie teorii Marksa i Lenina, zanim owe społeczności same się nie przekonały o całkowitej niewykonalności wspomnianych teorii. Cena ludzka takich eksperymentów była straszliwa – ale równie straszliwe okazały się koszty prób ich powstrzymywania siłą przez Amerykanów. Doug Ramsey sugerował, że Wietnamczykom, z ich silnie rozwiniętymi i starannie poukładanymi stosunkami między jednostką a rodziną oraz między rodziną a społeczeństwem, po prostu bardziej pasował komunizm niż liberalny indywidualizm świata Zachodu[19]. Z drugiej strony w roku 1965 trudno doprawdy było kogokolwiek w Wietnamie winić za postrzeganie pokoju za wszelką cenę jako opcji lepszej od kontynuowania morderczej walki. Fatalny błąd popełniony przez Stany Zjednoczone polegał na niemal bezgranicznym zaangażowaniu się w Wietnamie Południowym, choć ich rzeczywiste strategiczne interesy były tam minimalne, w sytuacji gdy przeciwnik, Wietnam Północny, mógł rzucić na szalę dosłownie wszystko i nie musiał zabiegać o zgodę czy poparcie własnego społeczeństwa. Tym bardziej że fakt praktycznego zajęcia Południa przez Amerykanów w latach 1964–1965, bo przecież to właśnie miało tam wtedy miejsce, dodatkowo legitymizował wietnamski komunizm i jego walkę.

U podstaw historycznego potępienia decyzji podjętej przez Lyndona Johnsona leży przekonanie, że dokonał on takiego, a nie innego wyboru,

kierując się interesem własnym i swojego kraju, a nie interesami narodu wietnamskiego, że okazał się ślepy na nieproporcjonalność środków w stosunku do celów, jak to zdefiniował Eugene McCarthy, że nie chciał słuchać wskazówek mądrych i upartych doradców, którzy od początku przekonywali go, iż taki sposób prowadzenia wojny niemal z całą pewnością doprowadzi do klęski, no i wreszcie, że zwodził i oszukiwał społeczeństwo amerykańskie. Daniel Ellsberg, asystent Johna McNaughtona w Pentagonie w latach 1965–1966, z goryczą mówił później, już po swoim nawróceniu: „Wszystko, co robiliśmy, było ukrywane przed opinią publiczną, wszystkie kłamstwa, wszystkie bezprawne działania, które przygotowywano, wszystkie agresywne akcje przeciwko Wietnamowi Północnemu”[20]. 27 lipca 1965 roku senator Mike Mansfield raportował do prezydenta w sprawie odbytego wcześniej tego dnia spotkania z Fulbrightem, Russellem i innymi ważnymi członkami Komisji do spraw Stosunków Zagranicznych: „Panowało powszechne poczucie ulgi, że pańskim celem nie jest jakieś głębokie zaangażowanie, lecz że zamierza pan jedynie uczynić to, co niezbędne z militarnego punktu widzenia aż do stycznia, podczas gdy [ambasador przy ONZ Arthur] Goldberg i Rusk będą czynić wysiłki, by nas stamtąd wyciągnąć”[21].

O niemal ukradkowym wysłaniu nowych sił wypowiedział się w charakterystyczny sposób Dean Rusk: „Nie chcieliśmy stawiać Moskwy i Hanoi w dramatycznie nowej sytuacji”. A ponieważ okręty z żołnierzami już wkrótce płynęły dosłownie jeden po drugim, mógł on zgodnie z prawdą oświadczać, że jeśli chodzi o liczbę wojsk wysyłanych do Wietnamu, „ten tydzień nie różnił się w zasadzie od poprzedniego”. Administracja starannie wystrzegała się też wszelkiej dosłowności: żadnych dramatycznych parad wojskowych, żadnych pułków maszerujących ulicami miast w stronę portów czy lotnisk. A Robert McNamara szykował się już do wysłania kolejnych transz żołnierzy. Jak wielu władczych i pewnych siebie ludzi, sekretarz obrony był bardzo podatny na dyktat ze strony jeszcze silniejszych od siebie, w tym wypadku Lyndona Johnsona. Jeśli tylko prezydent zadzwonił do niego do domu i zaprosił do siebie, to choćby było niedzielne popołudnie i McNamara smażył akurat burgery dla całej rodziny, natychmiast gasił

on grilla, wsiadał do samochodu i pędził na spotkanie, nawet jeżeli okazywało się ono tylko kaprysem Johnsona albo zwykłą towarzyską pogawędką.

W oczach przyszłych pokoleń ci dwaj ludzie tworzą właściwie wojenny tandem, a przecież mieli ze sobą bardzo niewiele wspólnego. Pedantyczny McNamara nie znosił wulgarnego stylu, języka i zachowania Johnsona, ale mimo to podziwiał niezwykłą siłę woli prezydenta. Jego zwierzchnik zaś cenił u McNamary inteligencję, bezwzględność, a nade wszystko lojalność. Kilka miesięcy wcześniej, kiedy było już jasne, że wojna zmierza w złą stronę, przyjaciele namawiali sekretarza obrony, by zrezygnował z urzędu, ale ten odpowiadał im, że musi zostać i „dopilnować tego całego Wietnamu do końca". Tak naprawdę jednak nie potrafił zmusić się do odejścia. Jest jakimś niezwykłym paradoksem, że rozumiał lepiej od większości otaczających go ludzi prawdopodobnie nieusuwalną słabość reżimu południowowietnamskiego, a zarazem prezentował coraz bardziej zawziętą postawę wobec krytyków pokroju George'a Balla. Z jednej strony był człowiekiem, który jako urzędnik i decydent szczycił się własną racjonalnością, a z drugiej, począwszy od połowy 1965 roku, stał się obsesjonatem, którego decyzje graniczyły czasami z szaleństwem. Żaden inny człowiek nie zapłacił więcej swoją dotychczasową reputacją za zaangażowanie w tę wojnę niż właśnie sekretarz obrony.

Senator Mike Mansfield napisał do prezydenta niemal proroczo 27 lipca 1965 roku: „Największą konsternację (...) budzi u mnie fakt, że nawet jeśli pan zwycięży, i to całkowicie, to i tak nie będzie pan wyglądał za dobrze. Bo i cóż takiego pan osiągnie?"[22]. A w gronie swoich kolegów z senackiej Komisji do spraw Stosunków Zagranicznych powiedział: „istniało pełne porozumienie, że (...) jesteśmy obecnie głęboko uwikłani w miejscu, w którym nie powinno nas w ogóle być, że sytuacja w szybkim tempie wymyka się spod kontroli i że należy podjąć wszelkie wysiłki w celu wyrwania się z tej matni". Doprawdy, Lyndon Johnson nie mógł narzekać, że nie ostrzegano go przed możliwymi, a nawet bardzo prawdopodobnymi konsekwencjami kursu, jaki właśnie zdecydował się obrać.

Jeśli zaś chodzi o przeciwnika, to jeden z wysokich rangą działaczy NFW tak oto wyraził się o perspektywie zwiększonego zaangażowania wojskowego Stanów Zjednoczonych: „Było w nas takie gorączkowe oczekiwanie długiej i o wiele bardziej brutalnej wojny, od którego aż robiło nam się niedobrze. Ale nie chodziło wcale o to, że brakowało nam determinacji czy wiary w nasze ostateczne zwycięstwo (...). Po prostu, gdyby Amerykanie mieli tu interweniować z całą siłą, wówczas skala przemocy wzrosłaby nieporównywalnie”[23].

2. NOWI LUDZIE, NOWA WOJNA

I tak oto całe zastępy Amerykanów zaczęły lądować w Wietnamie. Lekarz David Rogers musiał sam kupić bilet do Oakland, skąd wyruszał jego transport: „Wyglądało to prawie tak, jakbyśmy chyłkiem wykradali się z kraju”. Pracownica linii lotniczej zdziwiła się, że kupuje bilet w jedną stronę: „A nie chce pan od razu powrotnego?”. Podróż samolotem była z kolei całkowicie nowym i dziwnym doświadczeniem dla Roberta Danielsa, czarnego chłopaka z ubogich rejonów dzielnicy South Side w Chicago. Kiedy przelatywali nad Pacyfikiem, „bałem się jak cholera. Myślałem, że już nigdy tam nie dotrzemy”[24]. A po siedemnastogodzinnym locie wypompowani podróżą żołnierze słyszeli tylko: „Okej, teraz wszyscy w dwuszeregu zbiórka!”[25], po czym zaganiano ich do autobusów, które dowoziły ich do jakiegoś białego budynku z desek. Tam wymieniano ich pieniądze na kwity MPC – *military payment certificates*, czyli świadectwa pobierania żołdu – i przyznawano im łóżka w przejściowych barakach.

Kiedy sierżant Jimmie Spencer dotarł do Wietnamu w grudniu 1965 roku, „wyglądało to tak, jakby Stany Zjednoczone przejęły już cały kraj”[26]. Spencer urodził się w 1944 roku w Mobile w stanie Alabama, jako nieślubne dziecko, „zanim jeszcze stało się to popularne”[27]. Zgłosił się na ochotnika, początkowo na trzy lata, ale kiedy po tym czasie zwolniono go z wojska, poczuł, że mu go brakuje, i zaciągnął się ponownie. Najpierw służył w jednostce sił specjalnych, w otoczeniu

doświadczonych podoficerów, którzy zaliczyli już i Koreę, i II wojnę światową – ze wszystkich sił starał się im dorównać. Każdemu nowo przybyłemu dawano tę samą radę dotyczącą postępowania z Wietnamczykami: „Chwyć ich za jaja, a wkrótce będziesz miał również ich serca i umysły". Spencer opowiadał: „Byłem w swoim żywiole. Wszyscy wokół mnie byli ochotnikami. Czułem się bardzo dumny ze swojej służby. Robiliśmy to, co wcześniej nasi poprzednicy podczas II wojny światowej – przychodziliśmy z pomocą ludziom, którzy tego potrzebowali".

Kapitan Gordon Sullivan powiedział: „W roku 1965 zdecydowaliśmy, że przybyliśmy tu po to, by wygrać tę wojnę, i chcieliśmy, by Wietnamczycy stanęli z boku i przyglądali się, jak to robimy (...). Amerykanie mieli bardzo kiepskie zdanie o narodzie wietnamskim". Również kapitan Henry Gole scharakteryzował postawę swoją i swoich kolegów z sił specjalnych wobec wietnamskich sojuszników słowami: „A teraz się usuńcie. Wreszcie pojawili się tu ci, którzy posprzątają ten bałagan"[28]. Niektórzy z tych młodych ludzi wiedzieli równie mało o odległych regionach własnego kraju, co o całym państwie, do którego właśnie trafili. Pewien starszy szeregowy ze Wschodniego Wybrzeża zupełnie serio pytał swego kolegę z Oregonu: „A czy tam, skąd pochodzisz, wciąż są jeszcze Indianie żyjący na wolności?"[29]. Kapitan Joseph Fitzgerald zauważył z kolei, że „niektórzy żołnierze uważali za zabawne przechadzanie się po Sajgonie w stylu Wyatta Earpa, z pistoletem wystającym z otwartej kabury". Starszy szeregowy Reg Edwards przeżył w Wietnamie swój pierwszy szok wcale nie wtedy, gdy zetknął się ze śmiercią i zniszczeniami, ale kiedy zobaczył, że nawet małe dzieci palą tu papierosy, co wydało mu się rzeczą straszną: „Pierwszymi słowami po wietnamsku, jakich się nauczyłem, były «*Thuoc la co hai cho suc khoe*», czyli «Papierosy szkodzą zdrowiu»"[30]. Ci, którzy trafili na głęboką prowincję, często panicznie bali się węży i nerwowo reagowali na gibony nawołujące się w koronach drzew. Wszyscy nienawidzili też wszechobecnych pijawek.

Żołnierzom piechoty wydawano po maczecie, jakimś narzędziu do kopania, minie Claymore z okablowaniem i zapalnikiem, jednym ponczo z podszewką, hełmie z wyściółką i maskowaniem, jakimś środku

odstraszającym owady, ręczniku w kolorze oliwkowoszarym, parcianym pasie, zestawie ładownic na amunicję, zestawie baterii do radia, a całość uzupełniał karabin półautomatyczny M-14. Podoficerowie pouczali swoich ludzi: „Z odległości 100 metrów celujecie w krocze, a trafiacie w jamę klatki piersiowej. Z odległości 300 metrów celujecie w głowę, a trafiacie w zagłębienie klatki piersiowej". Mówiono im ponadto, że francuscy plantatorzy kauczuku sympatyzują z komunistami i opłacają się podatkami Wietkongowi. Służący w Delcie sierżant Mike Sutton handlował z kolei przechwyconą bronią na czarnym rynku, akurat tam zwanym rynkiem „zielonym", by uzyskać sprzęt, którego brakowało w jego zespole doradców, w tym na przykład przyczepne czterdziestokonne silniki do łodzi typu Johnson. Nową amerykańską placówkę w My Tho z miejsca ochrzczono mianem Baza Whisky, aż usłyszał o tym jakiś oficer z USIA, który najpierw złapał się za głowę, a potem zmienił jej nazwę na znacznie lepiej brzmiącą Dong Tam, to jest „Jak jeden mąż". Wietnamczykom rozdawano ulotki zachęcające ich do przyswajania sobie pewnych fraz w języku angielskim, dobrze brzmiących w uszach przybyszów, takich jak: „Pragnę pokoju", „Czy tęsknisz za żoną i dziećmi?", „Jesteśmy cywilami" albo „Ta droga jest niebezpieczna". Zamiast tego dzieci, jako pierwsze witające zazwyczaj pojawiających się w ich wiosce Amerykanów, o wiele chętniej powtarzały: „Cześć (...). Nie ma WK (...). Wietnam numer jeden"[31].

W odpowiedzi na takie przywitania żołnierze, ku rozbawieniu wieśniaków, obwiązywali sobie głowy flagami NFW i żartobliwie wykrzykiwali do miejscowych: „WK numer jeden!". Pewien świeżo przybyły oficer, jadący jeepem z marines, nie mógł oderwać oczu od kłębów czarnego dymu unoszących się na horyzoncie. „Czy to natarcie wroga?" – zapytał. „A gdzie tam, majorze – odparł mu jeden z szeregowych – po prostu palą tam tych zasrańców"[32]. Razem z żołnierzami pojawiła się cała gama niezwykłych pojazdów i innych maszyn, a także wiezionego przez nie sprzętu: oprócz helikopterów i samolotów były też jeepy, dwuipółtonowe ciężarówki, stalowe kontenery zwane „conex", miliony worków z piaskiem i kolejne miliony kilometrów drutu, setki tysięcy ton cementu, nadzwyczaj szeroka gama broni, kilka milionów prezerwatyw, tak na dobry początek, miliardy

papierosów, jako że w tamtych czasach niemal każdy żołnierz palił tytoń, jeśli nie przerzucił się już na jakiś bardziej profesjonalny towar. Tylko w roku 1966 Amerykanie ukończyli budowę 59 wojskowych lotnisk, wysyłali do Wietnamu 600 tysięcy ton towarów miesięcznie i wypisali czeki opiewające na blisko 2 miliardy dolarów. Na licznych placach budowy uwijały się 42 wojskowe firmy budowlane, pracując niemal na okrągło, a zakontraktowane dodatkowo przedsiębiorstwa cywilne, takie jak RMK-BRJ czy DMJM sprowadzały ze sobą mnóstwo ciężkiego sprzętu: pogłębiarki do kopania rowów pod trzydziestocalowe rurociągi, trzydziestotonowe wywrotki, kruszarki do skał działające z prędkością 400 ton na godzinę, olbrzymie wyciągarki, spychacze czy buldożery spalające dobrze ponad 2 tysiące litrów oleju napędowego dziennie.

Wszystkie te maszyny kopały rowy, wznosiły mury zabezpieczające przed wybuchami, budowały standardowe baraki z płyty pilśniowej o wymiarach 32 x 16 stóp [9,75 x 4,875 metra], pokryte cynkowaną blachą, o którą głośno bębnił potem deszcz, doprowadzając wielu żołnierzy do szału. A firmy takie jak Pacific Architects & Engineers, Vinnell Corp, Computer Sciences Corporation, Dynalectron oraz wiele, wiele innych szybko odkryły, że im wyższe koszty będą mogły wykazać – na przykład podnosząc standard zakwaterowania własnych pracowników – tym większe osiągną zyski. Frank Scotton powiedział: „Wietnamczycy wiedzieli o tym wszystkim, trudno więc, żeby nie zaszkodziło to wizerunkowi Amerykanów jako zaufanych partnerów".

Pewien oficer CIA opisał jednego z takich, dość typowych przedsiębiorców budowlanych, którego spotkał w sajgońskim barze Mimi: „Rumiany, z nalanym byczym karkiem, w kraciastej koszuli, wypuszczonej na spodnie i z trudem okrywającej bęben jego brzuszyska (...). Oto przed państwem, w całej swojej okazałości, amerykański rolnik, były kierowca ciężarówki albo fabryczny brygadzista, który teraz, rok po roku, może wyżywać się na wietnamskich ekipach drogowców albo budowlańców. Pan jakiejś uniżonej wietnamskiej żony czy kochanki, kustosz amerykańskiego kompleksu wyższości"[33]. Tyle że każdy z tak pogardliwie opisywanych prywatnych przedsiębiorców mógłby z całym

spokojem odpowiedzieć, iż musi być twardy, bo tylko ludzie twardzi byli w stanie robić interesy w trudnym miejscu, jakim stał się Wietnam.

Żołnierz amerykańskiej 1. Dywizji Piechoty (tzw. Wielka Czerwona Jedynka) w bazie, 1965 rok

Wszystko, co dotyczyło tej wojny, z konieczności musiało być twarde, *hard* – pojazdy, działa, pociski artyleryjskie, samoloty, pancerze, amunicja strzelecka, puszki na konserwy z racjami żywnościowymi, kontenery „conex", wreszcie wola nieprzyjaciela – wyjątek stanowiło ludzkie ciało i grunt pod stopami. Na potrzeby zarówno żołnierzy, jak i cywilów cały kraj już wkrótce został pokryty siecią baz, pasów startowych, utwardzonych dróg i punktów PX – wojskowych placówek handlowych. Na każdego amerykańskiego żołnierza przypadało 45 kilogramów sprzętu i zapasów dziennie, dostarczanych do pękających w szwach portów i wojskowych lotnisk rozsianych po tym pozbawionym rozbudowanej infrastruktury transportowej i stosunkowo prymitywnym azjatyckim kraju. Kradzieże na skalę przemysłową już wkrótce stały się codziennością. Pędzące na złamanie karku wyboistymi wiejskimi drogami ciężarówki z zaopatrzeniem,

przejeżdżając przez wioski, niemal roztrącały na boki chłopów i ich ociężałe bawoły, a latające nisko helikoptery Huey nawiewały tumany pyłu na niezliczone sznury z rozwieszonym praniem. A w leśnych ostępach amerykańskie materiały propagandowe „barwiły dżunglę na biało”[34], by zacytować jednego z komunistycznych oficerów – do roku 1968 MACV rozrzucała już jakieś 400 milionów ulotek miesięcznie. Jak oceniano, jedną z najbardziej skutecznych była ulotka skierowana do żołnierzy maszerujących na południe Szlakiem Ho Chi Minha, a zatytułowana *Wiersz północnowietnamskiego żołnierza do swojej matki*. O wiele bardziej skuteczne były rzecz jasna rozpylane z powietrza nad długimi odcinkami szlaku przebiegającymi przez Laos i Wietnam Południowy chemiczne defolianty, mające zniszczyć maskujące komunistów liście drzew, ale tępiące w gruncie rzeczy wszelką wegetację.

Kiedy wojskowa pielęgniarka Sharon Bystran opuszczała Oakland na pokładzie okrętu wiozącego 3 tysiące żołnierzy, zauważyła, że już wówczas, a więc na dość wczesnym etapie eskalacji, na brzegu zebrała się niewielka grupka demonstrantów przeciwnych wojnie, którzy powiewali jakimiś flagami i transparentami. Ta dwudziestotrzylatka z Oregonu sama była jednak niezwykle podniecona perspektywą przeżycia prawdziwej przygody: „Dobrze jest poczuć ten dreszczyk przed odkryciem nieznanego”. Kiedy jednak przybili w końcu do Qui Nhon, pierwszym, co poczuła, był wszechobecny smród. Dołączyła do personelu 85. Szpitala Ewakuacyjnego, by w kolejnym roku nabrać doświadczenia pielęgniarskiego, które w domu zdobywałaby przez całą dekadę. Trudno jej było jednak wytrzymać jako kobiecie w środowisku tak bardzo zdominowanym przez mężczyzn, zwłaszcza że wielu starszych oficerów postrzegało pielęgniarki głównie jako potencjalne źródła problemów. Nie lubił ich zwłaszcza kapitan prowadzący stołówkę: „[On] wyjaśnił mi kiedyś, że na wojnie walczy się lepiej bez obecności kobiet (...). Sądzę, że w jakimś sensie próbował w ten sposób pozostać wierny swojej żonie i właśnie dlatego nie podobało mu się, iż były tam kobiety, bo wciąż przypominały mu one, że coś takiego jak kobieta w ogóle istnieje”. Pielęgniarki szybko nauczyły się, by razem chodzić pod prysznice, gdzie wykształciły swoistą rutynę, wynikającą

w dużej mierze z tego, że na każdą z nich przypadało raptem 30 sekund pod bieżącą wodą: „Mawiałyśmy wtedy: «Jedna pod prysznicem, jedna na nocniczku, a jedna przy umywalce». Niepisaną regułą było też niezamykanie się w łazience od środka, chyba że miało się akurat okres. Wtedy pozwalałyśmy sobie na trochę więcej prywatności”[35].

Tymczasem nowo przybyli żołnierze przystępowali do walki, do „wyszukiwania i niszczenia”. Phil Caputo napisał: „Nie istniał żaden przyjęty model prowadzenia tych patroli i operacji. Bez szpicy, flanek czy tyłów walczyliśmy w nieokreślonej formacji z nieokreślonym wrogiem, który potrafił wyparować niczym poranna mgła w dżungli, by za chwilę zmaterializować się w jakimś najmniej oczekiwanym miejscu. Przez większość czasu nic się nie działo, ale kiedy już się działo, było to natychmiastowe i bez ostrzeżenia”[36]. Westmoreland wezwał tak ogromne posiłki, wyszedłszy z założenia, że Wietkong sam dąży do eskalacji swoich własnych operacji i planuje wielkie natarcia, którym najlepiej będzie się przeciwstawić, posyłając w bój zdolne do wszelkiego rodzaju manewrów bataliony amerykańskiej piechoty. Również i pod tym względem George Ball był sceptykiem: „Nie mamy żadnych podstaw sądzić, że Wietkong będzie toczył wojnę na naszych warunkach (...). Nie możemy oczekiwać, że [generał] Giap wyjdzie nam naprzeciw i przyjmie preferowane przez nas metody walki, niezależnie od liczby wojska, które tam wyślemy”[37].

Raz jeszcze rozwój wydarzeń lepiej przewidział właśnie Ball: w wielu początkowych starciach Amerykanów z WK uczestniczyły tylko małe grupki partyzantów: przeciętny bojownik brał udział w walce raptem raz w miesiącu. Wojna toczona przez komunistów na Południu wymagała 380 ton zapasów i uzbrojenia dziennie, z czego aż dziewięć dziesiątych pozyskiwano lokalnie. Z Północy sprowadzać trzeba było zaledwie 34 tony dziennie, co odpowiadało zawartości siedmiu dwuipółtonowych ciężarówek, choć w rzeczywistości zapasy transportowano raczej rowerami albo na plecach tragarzy. Szefowie Sztabów raportowali w sierpniu 1965 roku, że ilość zaopatrzenia przekazywanego na Południe przez przywódców z Hanoi „zależy przede wszystkim od ich arbitralnej decyzji”. Nowo przybyli amerykańscy żołnierze piechoty dzień za dniem zagłębiali się w kolejne

obszary niemal nieprzebytej dziczy. Pewien podoficer powiedział: „Jeśli nawet nawiązaliśmy już kontakt, wróg nie przystępował do walki z nami – najczęściej zostawiali tylko za sobą jakiegoś pojedynczego snajpera ulokowanego gdzieś na drzewie (...). W dżunglach Płaskowyżu Centralnego miało się szczęście, jeśli było coś widać na odległość większą niż 6 metrów. Czasami roślinność była tak gęsta, że praktycznie nie było nawet możliwości, by uzupełnić zapasy”[38]. W tych pierwszych dniach i tygodniach żołnierze próbowali jeszcze iść w góry w dziewięciokilogramowych kamizelkach kuloodpornych, co prowadziło w wielu przypadkach do zasłabnięć z powodu wyczerpania i upału.

Choć armia amerykańska i Korpus Marines generalnie walczyły skuteczniej od większości formacji ARVN, ich polityczni zwierzchnicy w Waszyngtonie grubo się pomylili, zakładając, że samo pojawienie się na teatrze wojny Amerykanów otworzy prostą drogę do zwycięstwa. Kapitan Andrew Comer był oficerem wykonawczym w 3. Batalionie 3. Pułku Marines podczas prowadzonej w sierpniu 1965 roku operacji „Starlite”, przewidującej natarcie z wody na ląd na półwyspie Batangan niedaleko Da Nang. Choć jego przełożeni odtrąbili sukces, on sam oceniał całe starcie jako jeden wielki chaos. Opisywał na przykład, jak dowódca jednego z czołgów „strzelał ze swojego ciężkiego karabinu maszynowego do jakiegoś chłopca w wieku mniej więcej dziesięciu lat z odległości 70 metrów” – Comer pobiegł do rowu, w którym schronił się chłopiec: „Zobaczyłem, że nie ma żadnej broni i nic mu nie jest, więc kazałem mu jak najszybciej się oddalić”[39]. Chciał też napomnieć nieostrożnego strzelca, ale nie był w stanie przekrzyczeć ryku silnika czołgowego.

Z kolei pewien kierowca jednej z gąsienicowych amfibii LVT wpadł w histerię pod ostrzałem moździerzowym nieprzyjaciela. Wielokrotnie cofał pojazd, nie zważając na to, że rozjeżdża rannych: ostatecznie pod gąsienicami zginęło pięciu leżących na ziemi Amerykanów. Comer podbiegł, by przywołać do porządku tego „oszalałego” kierowcę: „Całkowicie mnie zignorował, a w dodatku o mało nie rozjechał również mnie”. Kapitan mógł tylko patrzeć bezradnie na leżącą u jego stóp głowę w hełmie należącą do jednej z ofiar, której rysy wydały mu się znajome;

reszta ciała została wciągnięta przez mechanizm gąsienicowy pojazdu. Comer opisywał też swoją wściekłość z powodu przyznania pewnemu szeregowemu, którego nazwisko zresztą wymienia, odznaczenia Srebrna Gwiazda: „Tak naprawdę ewakuował się on z pola bitwy na pokładzie jednego z helikopterów lecących do Chu Lai (...). Nie przypominam sobie, by wcześniej udało mu się dokonać czegokolwiek heroicznego". Ów oficer marines złożył swoją relację z ówczesnych wydarzeń dopiero w roku 1991, motywując to następująco: „Tłumiłem w sobie gniew z powodu tamtej operacji pancernej na Wzgórzu 30 przez dwadzieścia sześć lat, ale czuję, że nie mogę spocząć w grobie, dopóki nie ujawnię tych faktów (...). Jest moim życzeniem, by wiedza o nich została utrwalona".

Jedna z dyrektyw północnowietnamskiego sztabu generalnego, wydana 10 czerwca 1965 roku, nakładała na wszystkie jednostki obowiązek przedstawiania szczegółowych raportów dotyczących kontaktów z siłami amerykańskimi w celu wyciągnięcia wniosków na przyszłość w zakresie taktyki. Ponadto zalecała ona: „Trzymać nieprzyjaciela w bezustannej defensywie i postawie reaktywnej. Zmuszać go do walki na naszych warunkach (...) w stanie ciągłego napięcia psychicznego, tak by nadwątlać jego siły (...). Chwytać w zasadzki i niszczyć mniejsze oddziały (...). Przeprowadzać odrębne, niezależne od innych działań ataki saperów"[40]. Jednostki WK zachęcano też do korzystania z okazji do atakowania sił ratunkowych bądź idących z odsieczą oraz do podsycania napięć między „długonosymi" a wojskami reżimu w Sajgonie. Kluczową słabością nowego wroga, jak objaśniali przywódcy wojskowi z Hanoi, była jego awersja do ponoszenia strat: „Gdyby udało nam się szybko przeprowadzić kilka akcji, w których amerykańskie jednostki zostałyby unicestwione, wówczas pojawi się po ich stronie zamieszanie nie tylko wojskowe, ale również polityczne".

Choć większość amerykańskich batalionów faktycznie ponosiła od początku pewne straty, były one stosunkowo niewielkie w porównaniu z tymi, których miały doświadczać już za rok albo za dwa lata. Na przykład w 1. Batalionie 3. Pułku Marines między marcem a sierpniem 1965 roku straty wyniosły 10 procent stanu osobowego, to jest nieco

ponad stu zabitych i rannych. Tymczasem już następnej wiosny taką liczbę ofiar potrafiła odnotować zaledwie jedna kompania w ciągu raptem godziny walk. Nowo przybyli żołnierze postrzegali samych siebie jako zawodowców, „dumnych i pewnych siebie", by zacytować pewnego oficera, który dodawał, że wszystkie swoje przewagi militarne osiągnęli oni „za cenę pomniejszonej zdolności do współczucia"[41]. Kapitan Walt Boomer powiedział: „Byłem gotów zrobić wszystko, by dostać się do Wietnamu, bo bałem się, że ta wojna mnie ominie. Całkowicie akceptowałem pogląd, że komuniści zamierzali przejąć cały świat, więc należało ich powstrzymać. Nawet już wtedy dzieciaki w szkole mówiły: «Ta wojna nie ma dla nas żadnego sensu», ale ja uważałem ich za głupków"[42].

Jimmie Spencer nie mógł się nadziwić, jak bardzo różnią się od niego i jego kolegów wietnamscy wieśniacy: „Niektórzy z tych ludzi nie wiedzieli nawet, co znajduje się po drugiej stronie góry, pod którą mieszkali". Żołnierze szybko znienawidzili mieszkańców osad leżących w pobliżu miejsc zasadzek na swoich kolegów, ponieważ podejrzewali, że mimo zachowywania kamiennego oblicza muszą oni znać sprawców i wiedzieć, gdzie ukrywali się aż do wczesnych godzin rannych, czyli ulubionej pory ataków na Amerykanów. Doug Ramsey w sierpniu 1965 roku odnotował z przykrością liczne przypadki „celowego i jednostronnego atakowania i palenia całych wiosek przez amerykańskich marines w odpowiedzi na kilka wcześniejszych strzałów snajpera"[43]. Tenże Ramsey wraz z Johnem Vannem sporządzili raport na temat pacyfikacji w prowincji Hau Nghia, w którym ostro krytykowali reżim w Sajgonie: „Obecni przywódcy, biurokraci i urzędnicy, czy to w prowincjach, czy w okręgach, ani nie wywodzą się z ludności wiejskiej stanowiącej większość całej populacji, ani nie myślą jak ona, ani nie wiedzą o niej zbyt wiele, ani wreszcie nie realizują jej potrzeb i życzeń"[44]. Trwający już od dłuższego czasu komunistyczny program mordowania światłych ludzi na prowincji, który doprowadził do śmierci bądź ucieczki niemal wszystkich właścicieli ziemskich i stosunkowo dobrze prosperujących chłopów, całkowicie zmienił strukturę społeczną na wsi, pozostawiając tam w zasadzie samych

ubogich wieśniaków, którzy teraz stawali się łatwymi ofiarami obu stron konfliktu.

Jeden z takich lokalnych naczelników Sajgonu w Vinh Kim opisywany był przez swojego amerykańskiego doradcę jako „sprawiedliwy, uczciwy i dynamiczny człowiek wykazujący się też oczywistymi kompetencjami wojskowymi (...). Stopniowo daje on wieśniakom poczucie, że Vinh Kim staje się coraz bardziej bezpieczne przed prześladowaniami ze strony Wietkongu". W sierpniu 1965 roku jak zwykle optymistyczna Marguerite Higgins napisała nawet osobny artykuł poświęcony tej godnej podziwu postaci, zatytułowany *Wietnamskie miasto wraca do dobrobytu*[45]. Tyle że sami mieszkańcy wprost nie znosili „Pana D", jak go tu nazywano, bo w ich opinii nie robił on nic, by powstrzymać deszcz spadających na ich głowy pocisków i bomb. W końcu zastąpił go pewien oficer, który z miejsca zyskał ogromną popularność, bo potrafił drastycznie zmniejszyć liczbę bombardowań i ostrzałów artyleryjskich tej miejscowości.

Wielu Amerykanów nie umiało patrzeć z szacunkiem na Wietnamczyków, między innymi z powodu warunków, w jakich oni żyli – kryte strzechą chaty z bambusa, o ciemnych wnętrzach, w których znajdowało się tylko kilka garnków i legowiska wyplatane ze słomy, nie były zdaniem przybyszów godne miana domów, a ich mieszkańcy nie zasługiwali na poważne traktowanie. Sami Wietnamczycy nieraz musieli patrzeć z udawaną obojętnością, jak żołnierze czy komandosi nakłuwają ściany ich chat albo słomiane posłania bagnetami. Phil Caputo napisał: „[W takich wypadkach] tylko uśmiechałem się głupio i pomagałem im z całą uprzejmością ogarnąć jakoś ten [pozostawiony przez żołnierzy] bałagan. Na zasadzie: pani patrzy, wcale nie jesteśmy jak Francuzi. My, Amerykanie, wszyscy jesteśmy przykładnymi żołnierzami. Naprawdę, można nas polubić"[46]. Caputo z przerażeniem odkrywał, że nie wszyscy w jego jednostce marines, z której był taki dumny, mieli w sobie równie dużo ludzkich uczuć co umiejętności bojowych: „Niektórzy z nich wcale nie byli tacy dobrzy i przyzwoici. Wielu kryło w sobie jakąś małostkowość, uprzedzenia czy wręcz zwykłą nienawiść. No i rzecz jasna sporą dozę arogancji, która mocno osłabiała ich głęboko zakorzeniony amerykański idealizm"[47]. Jego sierżant

wspominał, że już wcześniej, w Korei, miał okazję obserwować, jak niektórzy żołnierze „przestrzeliwali" swoje karabiny i ustawiali w nich celowniki, mierząc do – i zabijając – Bogu ducha winnych rolników: „Zanim pan stąd wyjedzie, sir, przekona się pan, że jedną z najgorszych rzeczy na tym świecie jest przeciętny amerykański dziewiętnastolatek".

Powyższe słowa sierżant odnosił z całą pewnością do osób takich jak starszy szeregowy Marion McGhee dowodzący grupą szturmową w 3. Batalionie 3. Pułku Marines, który 12 sierpnia 1965 roku wymaszerował poza teren swojej jednostki, obwieszczając wszem wobec, że „idzie dopaść kogoś z WK". Dwóch ludzi wysłanych za nim najpierw usłyszało strzał i krzyk, a potem zobaczyło samego McGhee idącego spokojnie w ich kierunku. Wyjaśnił im, że właśnie zabił partyzanta z WK, ale wciąż nie ma dość i szuka następnych. Jak ustalono później, wdarł się on przez ścianę do jednej z chat w pobliskiej wiosce, wyciągnął z niej śpiącą czternastolatkę, a następnie zastrzelił jej ojca, kiedy ten próbował interweniować. Podczas późniejszego przesłuchania przed sądem polowym McGhee zasłaniał się niepoczytalnością – co w kolejnych latach miało być dość standardową taktyką obrony w tego rodzaju wypadkach – ale ostatecznie uznano go za winnego nierozmyślnego morderstwa, za co musiał odsiedzieć sześć lat w więzieniu[48]. Większość żołnierzy czy komandosów nie zachowywała się rzecz jasna tak jak starszy szeregowy McGhee. Ale już od pierwszych dni eskalacji w roku 1965 stało się oczywiste, jak trudno będzie przekonać mieszkańców Wietnamu Południowego, że zwiększona obecność Amerykanów w ich kraju ma służyć ich własnym interesom.

Poświęcając tak wiele uwagi żołnierzom popełniającym czyny lekkomyślne albo wręcz niegodziwe, należy jednocześnie podkreślić, że w amerykańskiej armii byli też ludzie z gruntu przyzwoici. O postawie niektórych z nich, działających w rejonie Delty Mekongu, wiemy dzięki małżeństwu Elliottów. Major William Willcox pochodził ze Środkowego Zachodu i był człowiekiem, „który miał wyjątkowe stosunki z Wietnamczykami oraz reprezentował wszystkie cnoty swojego narodu. Dało się go bez odrobiny przesady stawiać za wzór doradcy idealnego"[49]. Kiedy okres służby Willcoxa dobiegł końca, David Elliott apelował do wyższych czynników w sprawie jego wydłużenia, ale

procedury armii amerykańskiej okazały się nie do ruszenia i majora zgodnie z planem odwołano. Elliott uskarżał się: „Akurat wtedy, gdy zaczynał chwytać, o co tu chodzi, gdy zaczynał czuć się naprawdę swobodnie!". Innym bohaterem w oczach obojga Elliottów był podporucznik marynarki Stanów Zjednoczonych Henry Klein, którego przysłano pewnego dnia do My Tho w celu zorganizowania jakiejś rzecznej operacji, a on postanowił skorzystać z tej okazji i zaprzyjaźnił się z miejscowymi, z entuzjazmem ucząc się ich kultury i zwyczajów: „Po prostu nie traktował swojego zadania jako zwykłej roboty do wykonania i późniejszego zameldowania". Kiedy kilka miesięcy później do Elliottów dotarła wiadomość o jego śmierci, wprost nie mogli go odżałować: „To był wspaniały amerykański chłopak, kwiat amerykańskiej młodzieży, który stracił życie, robiąc coś zupełnie bezsensownego". Z kolei wspominany już wcześniej pułkownik Sid Berry współpracował przez jakiś czas z kapitanem Peterem Dawkinsem, kolegą z West Point, który za swoje zasługi trafił nawet na okładkę magazynu „Life" z 8 kwietnia 1966 roku.

Oprócz Amerykanów do Wietnamu zjeżdżali też żołnierze z innych krajów przybywający na wezwanie Waszyngtonu, który jednym sojusznikom przypominał o jakichś zadawnionych długach, a innych prosił o nowe przysługi. Korea Południowa przysłała kontyngent, który ostatecznie osiągnął wielkość dwóch dywizji regularnego wojska i jednej brygady piechoty morskiej – Koreańczyków powszechnie postrzegano jako świetnych i oddanych żołnierzy, o czym mogła świadczyć choćby ogólna liczba ponad 5 tysięcy poległych w boju, ale zarazem obwiniano ich także o kilka niesławnych masakr ludności cywilnej. Z Filipin dotarła jedna brygada. Ameryka pozyskała też silnego sojusznika w Australii, po tym jak ministrem spraw zagranicznych został tam w roku 1964 Paul Hasluck. Był on gorącym zwolennikiem teorii domina, a żołnierze australijscy walczyli już wówczas z Indonezyjczykami na Borneo. Hasluck, podobnie jak premier australijskiego rządu Robert Menzies, miał szczere przekonanie, że jego kraj powinien stanąć ramię w ramię z Ameryką w Azji Południowo-Wschodniej, podobnie jak uczynił to już wcześniej w Korei. Menzies i Hasluck zignorowali przy tym przestrogi wpływowych dziennikarzy,

takich jak Denis Warner, który w grudniu 1964 roku napisał, że Wietnam Południowy stał się „niepaństwem". W ślad za nimi poszedł także rząd Nowej Zelandii, który był wprawdzie przekonany, iż z tej wojny nie wyniknie nic dobrego, ale czuł się w obowiązku podążyć za przywódcami swojego znacznie większego sąsiada.

28 kwietnia 1965 roku osiągnięto porozumienie między Australią a rządem w Sajgonie w sprawie wydelegowania oddziałów bojowych – w wyniku tego porozumienia do Wietnamu już wkrótce przybył jeden batalion Australijczyków, wzmocniony niewielkim kontyngentem nowozelandzkim, który ostatecznie rozrósł się do całej brygady, po uwzględnieniu rozmaitych formacji wspierających i sił specjalnych. Jednym z wysłanych wówczas żołnierzy był dziewiętnastoletni porucznik Neil Smith, który od razu po wylądowaniu ze zdumieniem zaczął się przyglądać wszystkiemu wokół, ale zwłaszcza czarnoskórym i Latynosom służącym w armii amerykańskiej: „W tamtych czasach nie było ich zbyt wielu w Australii. Nasi żołnierze nigdy też nie widzieli tyle sprzętu wojskowego naraz – nie wiedzieliśmy nawet, że na świecie jest aż tyle samolotów i helikopterów". Premier Menzies zajadle zwalczał wszelką krytykę tego posunięcia, ale miało ono zaciążyć nad losem wielu jego następców – jeszcze przed końcem tamtej dekady jego śmiały gest wsparcia dla Stanów Zjednoczonych stał się kwestią, która zdominowała całą australijską politykę[50].

Mimo że również po roku 1965 zdecydowanie więcej ofiar śmiertelnych odnotowywano wśród Wietnamczyków, to Amerykanie właśnie siebie postrzegali od tego momentu jako najważniejszego uczestnika tej wojny, a w oczach decydentów z Waszyngtonu, jeśli w ogóle nie całego świata, śmierć ludzi Westmorelanda zdawała się znacznie bardziej istotna od strat po stronie miejscowej ludności. Doug Ramsey tak oto skomentował rozbudowę sił Sajgonu: „Zamiast armii tworzyliśmy tylko jej wciąż rosnącą fasadę – stalową konstrukcję złożoną z [transporterów opancerzonych] M-113, czołgów M-48 Patton czy odrzutowców; kolosa, który stał na nogach nawet nie glinianych, lecz takich z błota i pyłu"[51]. Jednak to właśnie Wietnamczycy doznawali z powodu tej wojny głęboko osobistych okrucieństw konfliktów wewnętrznych, jakie nie mogły stać się udziałem żadnego

cudzoziemca. Pewien pilot helikoptera poleciał do Hue po worek z ciałem jakiegoś żołnierza ARVN, a kiedy zerknął na przywieszkę, przekonał się, że były to zwłoki jego brata. Inny pilot, latający szturmowcem Skyraider Tran Hoi, opowiadał, co czuł przed wyruszeniem na swoją pierwszą misję z eskadrą południowowietnamskiego lotnictwa przeciwko Północy: „kiedy jeszcze uruchamiałem silnik, modliłem się do naszych przodków, by jeśli tylko mnie słyszą, nie pozwolili memu bratu znaleźć się wśród żołnierzy nieprzyjaciela, na których spadną zrzucone przez mnie tego dnia bomby”[52].

Żona Ly Van Quanga, pułkownika sił powietrznych, przez cały okres wojny korespondowała ze swoim bratem na Północy, znanym generałem armii północnowietnamskiej, przy czym oboje słali swoje listy via Paryż. Pewnego dnia zdesperowany Quang skrzyczał swoją małżonkę: „Czy ty wiesz, że przez te twoje listy do wroga mogą mnie w każdej chwili rozstrzelać?”[53]. Ona jednak nie zrezygnowała z korespondencji. Podobnie jak dla wielu innych Wietnamczyków, lojalność wobec rodziny stała w jej hierarchii wyżej od wszelkich innych zobowiązań. A kiedy jeden z jej dziewięciu synów zginął na polu bitwy, udało jej się w końcu ustalić szczegóły jego śmierci właśnie dzięki bratu z Hanoi.

Jednym z najlepszych pomysłów CIA w Wietnamie było utworzenie w Sajgonie stacji radiowej znanej jako House 7, na której falach kobiety odczytywały fragmenty przechwyconych listów i pamiętników pisanych przez żołnierzy z Północy podążających Szlakiem Ho Chi Minha. Sama stacja określała się mianem Matki Wietnam, a jej celem miało być sianie demoralizacji wśród agresorów poprzez prezentowanie im twardych dowodów na nieskuteczność ich wysiłków, a więc ich nieuchronną porażkę. Tyle że, jak w przypadku wielu tego rodzaju operacji, działalność radia House 7 miała również pewne niezamierzone konsekwencje: jedna z kobiet tak mocno przeżywała historie ludzi, których listy i wspomnienia odczytywała na antenie, że w końcu przekonała się do sprawy komunistycznej. Nie mówiąc już o tym, że kolejni szefowie CIA nieodmiennie zakochiwali się w ślicznych

spikerkach zatrudnianych przez stację, co w wielu przypadkach kończyło się nawet płomiennymi romansami.

Swoistą muzyką akompaniującą w tle tej wojnie stał się odgłos wirujących śmigieł helikopterów, już wkrótce brzmiący równie znajomo w uszach każdego z jej uczestników jak szczęk odbezpieczanej broni czy szumy i trzaski w radiowym eterze. Kiedy żołnierze Południa lecieli swoimi hueyami na pole bitwy, żegnali się zazwyczaj tym samym, nieomal przesądnym pozdrowieniem: „Tylko nie dajcie sobie odstrzelić «trzeciej nogi»!". Z biegiem czasu komuniści coraz skuteczniej używali swojej broni automatycznej przeciwko nisko lecącym maszynom. Jak powiedział pewien wietnamski pilot: „Jeśli sam tego nie przeżyłeś, to nigdy nie zrozumiesz poczucia samotności podczas powrotu do domu z misji bez swojego skrzydłowego"[54]. Helikoptery były wprawdzie bardzo wytrzymałe, ale i tak, aby przeżyć, trzeba też było mieć trochę szczęścia. Nguyen Van Uc poleciał pewnego dnia na misję bojową maszyną CH-34, która w trakcie walk została kilkakrotnie trafiona, choć szczęśliwie nikt na pokładzie nie odniósł żadnych ran. Kiedy jednak wylądowali, zeszli wszyscy pod brzuch helikoptera, a tam szef załogi wskazał palcem w górę i powiedział: „Powinniśmy już być martwi"[55]. Jedna z kul, wystrzelona z ciężkiego karabinu maszynowego, utkwiła w samym środku drążka sterującego, łączącego się ze śmigłem. Gdyby drążek uległ przerwaniu, helikopter po prostu spadłby bezwładnie na ziemię.

Interwencja Stanów Zjednoczonych popsuła humory wielu działaczom Wietkongu, którzy wraz z nadejściem nowego roku 1965 w zasadzie świętowali już spodziewane zwycięstwo. Na obszarach kontrolowanych przez WK pojawiła się teraz kolejna fala ascetyzmu i ideologicznej czystości, obejmująca między innymi zakaz posiadania prywatnych radioodbiorników wydany z obawy przed rozsiewaniem propagandy Sajgonu. Wprowadzono też kampanię bojkotowania towarów pochodzenia amerykańskiego, która okazała się całkowicie nieskuteczna. Komuniści zawsze zresztą przejawiali tendencję do niedoceniania dóbr konsumpcyjnych i tego, jak potrafiły one uwodzić prostych ludzi; w tym konkretnym przypadku szczególnie cenione okazały się nylonowe spodnie i koszule. Kiedy podczas walk w Delcie

zginął jakiś partyzant noszący taki właśnie modny przyodziewek, jego trupa obdarto do gołego, a dokładnie to samo ubranie nosił później dowódca jego plutonu. Pewien cywilny świadek tych wydarzeń stwierdził tylko: „Muszę przyznać, że podziwiam tych twardzieli z WK za naprawdę kamienne serca!”[56].

Generalnie to również Wietkong wykazywał się na polu bitwy większym hartem i wolą walki od sił rządowych. Tym bardziej warto odnotować może mniej liczne, ale równie poruszające przypadki odwagi wykazywanej przez żołnierzy Południa, zwłaszcza że rzadziej je zauważano i celebrowano. Świat nigdy nie usłyszał więc o bohaterstwie pewnego porucznika rangersów, dowodzącego ludźmi, którzy znaleźli się w pełnym okrążeniu. Wezwał on wsparcie lotnicze, kierując je na własny granat dymny, co doprowadziło do śmierci jego samego i połowy jego plutonu, ale ocaliło całą resztę jego kompanii[57]. Na pierwsze strony gazet nie trafił też pewien dwunastoletni chłopiec, który wyciągnął z rozbitego na terenach kontrolowanych przez WK wraku samolotu F-101 półprzytomnego pilota, a następnie ukrył go do czasu przybycia helikopterów. Na ich pokład zabrano wówczas także rodzinę chłopca, zanim zdołała ich dosięgnąć zemsta komunistów[58]. W oddziałach zwiadowczych znalazł się też pewien żołnierz nazwiskiem Nguyen Van Moi pochodzący z Duc Lang w prowincji Chuong Thien, którego dwukrotnie odznaczano medalami za odwagę, o tyle zasłużonymi i wyjątkowymi, że miał on już wówczas siedemdziesiąt lat.

Giong Dinh było niewielką wysuniętą placówką leżącą 55 kilometrów na południe od Sajgonu. O godzinie 2.25 nad ranem 3 października 1965 stała się ona celem dużego ataku ze strony przeważających sił Wietkongu. Już podczas początkowej wymiany ognia zginęło dwóch z pięciu obrońców odbywających akurat służbę; zniszczeniu od ognia bezodrzutowych dział, który następnie przeszedł w ostrzał moździerzowy, uległy też dwa schrony. Nguyen Van Thi, trzydziestopięcioletni dowódca posterunku, wycofał się wraz z resztą garnizonu w sile 15 ludzi do jedynego ocalałego schronu i przyległej doń wieży strażniczej. Rozkazał ponadto swojemu radiooperatorowi imieniem Man wezwać wsparcie artyleryjskie, ale okazało się, że

radiostacja też została zniszczona. Podczas kolejnej godziny napięcie rosło, a obie strony ostrzeliwały się raz na jakiś czas w kompletnych ciemnościach. Wreszcie kilku napastników wdarło się za umocnienia i pochwyciło dwóch mężczyzn, cztery kobiety i czworo dzieci. Kobiety zmuszono następnie, by głośno wzywały swoich mężów do poddania się pod groźbą likwidacji małżonek oraz reszty zakładników. Thi odmówił kapitulacji, a jego ludzie obrzucili atakujących deszczem granatów.

Jeden z obrońców podczołgał się do schronu z amunicją, skąd po krótkiej wymianie ognia zdołał zabrać więcej granatów i przynieść je na pozycje zajmowane przez Thi i jego ludzi. Tymczasem w odległej o 8 kilometrów kwaterze głównej o ataku dowiedział się naczelnik okręgu, który wezwał wsparcie artyleryjskie dla oblężonej placówki. A radiooperator Man zdołał jakoś naprawić swój sprzęt. Jego dziewiętnastoletnia żona, klęcząc u jego boku, kierowała wsparcie na cel odległy o zaledwie 20 metrów od ich schronu. Zanim nadszedł świt, artyleria wystrzeliła 550 pocisków. Wietkong musiał się wycofać, zostawiając na polu walki trzech spośród swoich zabitych, dwóch rannych i dwanaście sztuk broni. O godzinie 9.30 do Giong Dinh dotarła z odsieczą kolumna Sił Regionalnych, by znaleźć tam dwunastu martwych obrońców garnizonu i członków ich rodzin, z czego dziesięcioro zamordowali z zimną krwią komuniści. Thi i jego ocalali towarzysze broni, którzy tak mężnie bronili powierzonej im placówki, nie doczekali się jednak od Amerykanów ani Srebrnych Gwiazd, ani tym bardziej Medalu Honoru. Jedyną ich nagrodą miało być swoiste odroczenie egzekucji, bo doskonale zdawali sobie sprawę, że będą musieli jeszcze nieraz powtarzać takie heroiczne wyczyny w najbliższej przyszłości.

Nieoceniona pomoc amerykańskich doradców działających przy armii południowowietnamskiej nasuwała zarazem pewne istotne pytanie: jakim cudem NFW był w stanie walczyć tak skutecznie bez wsparcia tego rodzaju ekspertów? Oczywista, acz jedynie cząstkowa odpowiedź brzmiała: komuniści wykazywali się po prostu większą motywacją i większymi umiejętnościami. Jednym z głównych sukcesów propagandy Hanoi było wzmacnianie takiego właśnie przekonania, a zarazem sprytne ukrywanie faktu, że ich własne siły również opierały

się w dużej mierze na zagranicznych wojskowych, tyle że ci – w tym przypadku Chińczycy i Rosjanie – pozostawali w cieniu w większości regionów na Północy, a już w ogóle nie było ich widać na Południu. Dla odróżnienia Amerykanie długo nie potrafili zrozumieć, jak wielkie straty wizerunkowe wyrządzają własnej sprawie, pozwalając, by ich oficerowie otwarcie asystowali dosłownie każdemu Wietnamczykowi, który sprawował jakąkolwiek władzę. Premier Wietnamu Południowego Nguyen Cao Ky napisał: „Brak wyczulenia na to, jak odbierane są pewne rzeczy, był charakterystyczną cechą postawy Amerykanów (...). W Wietnamie Północnym znajdowały się setki tysięcy żołnierzy chińskich, a także znaczący kontyngent sowiecki, ale ani Chińczycy, ani Sowieci nie zwoływali konferencji prasowych i nie wygłaszali publicznych oświadczeń. Wszystko to zostawiali w gestii Wietnamczyków z Północy”[59]. Wkrótce po upadku Nikity Chruszczowa w październiku 1964 roku Rosjanie zaczęli wysyłać do Wietnamu Północnego swoich techników, by szkolili tamtejszych żołnierzy w zakresie obrony przeciwlotniczej, a początkowo również w obsłudze wyrzutni rakietowych. Ten gest nie zmienił jednak zasadniczo nacechowanego pogardą podejścia Wietnamczyków do nich.

W roku 1965 obie strony straciły mnóstwo krwi. Doug Ramsey zapamiętał pewną operację z prowincji Binh Dinh, podczas której przeprowadzono cały szereg zmasowanych nalotów i ostrzałów artyleryjskich na „podejrzane formacje wojskowe”[60], skutkujących zabiciem około 1100 Wietnamczyków. Podczas późniejszego oglądu ciał okazało się jednak, że zaledwie 15 ofiar miało przy sobie broń i mogło zostać uznanych za komunistycznych bojowników. Ramsey długo rozwodził się nad przejawianą przez amerykańskie załogi lotnicze tendencją do brania każdej grupki odzianych na czarno ludzi za jakąś formację wojskową, podczas gdy najczęściej byli to tylko chłopi uprawiający ziemię. „A jeśli po pierwszych strzałach jej członkowie rzucali się do ucieczki – co jest przecież normalnym ludzkim odruchem – pogarszali tylko swoją sytuację, bo niektórzy piloci traktowali to jako potwierdzenie swoich wcześniejszych podejrzeń”. Jeden z takich pilotów, latający hueyem Dan Hickman, przyznawał, że biegnąca w dole

postać często uznawana była za podejrzaną: „Raz zastrzeliliśmy jakiegoś gościa, a potem okazało się, że był nieuzbrojony. Ale on przed nami uciekał, a w dodatku wyglądało na to, że coś ze sobą niesie, więc powiedziałem: «Zastrzelić go», bo w pobliżu było sporo ludzi nieprzyjaciela. Okazało się jednak, że on niósł tylko worek ryb. Chociaż i tak uważam, że pewnie dostarczał je lokalnemu WK”[61]. Komuniści szybko zauważyli tę prawidłowość i zaczęli szkolić swoich ludzi, by widząc śmigłowce, tłumili w sobie instynkt ucieczki i zamiast tego stali w miejscu, dzięki czemu wielu pilotów rzeczywiście brało ich za niewinnych ludzi[62].

Za sprawą zwiększonej siły ognia po stronie przeciwnika, ale i zwykłego niedostatku, zarówno formacje północnowietnamskie wysyłane na Południe, jak i lokalne siły Wietkongu zaczynały ponosić coraz większe straty. Do maja 1965 roku Le Duan stał się wyraźnie ostrożniejszy w ocenie sytuacji. W nowym liście do CBWP przyznawał, że nie należy szybko spodziewać się jakiegoś rozwiązania politycznego – „To jeszcze nie czas na targowanie się i negocjacje”. Dodawał też, że wcześniej nie doceniał siły woli Amerykanów. Taka zmiana nastawienia była w pełni uzasadniona. W samym tylko miesiącu rozpoczynającym się 19 października liczne formacje wysłane na Południe raportowały poważne straty w ludziach: w 32. Pułku było to 166 zabitych i 199 rannych, w 33. Pułku 170 zabitych i 232 rannych, w 66. Pułku 208 zabitych i 146 rannych, a wszystkie te liczby i tak prawdopodobnie znacznie zaniżono. Na domiar złego, w kilku innych przebywających na Południu jednostkach armii północnowietnamskiej połowa żołnierzy była niezdolna do walki z powodu malarii i beri-beri. Jeden z ich oficerów napisał później[63], że zauważalnie spadło morale wśród podległych mu ludzi, a niektórzy z nich przejawiali wręcz skłonności do nagłego zalewania się łzami. Trudno mu nawet było wyegzekwować dyscyplinę sanitarną – żołnierze przekonani o tym, że i tak już wkrótce zginą, nie kwapili się specjalnie do mycia i zachowywania czystości. Oficerowie polityczni cenzorujący listy z przerażeniem odkrywali, że większość ich autorów wyrażała przekonanie, iż ich los jest przesądzony – jeśli nawet nie zginą od bomb czy kul, to padną ofiarą

śmierci głodowej. A przy ogniskach śpiewano taką oto pełną żalu i skargi piosenkę:

Łatwiej pójść w góry niż wrócić z nich do domu,
A brak ryżu i soli otępia nasze serca.
Kiedy zachorujemy, nie dają nam lekarstw,
Więc po co w ogóle okazywać sobie miłość?
Krab leży nieruchomo na drewnianym pieńku,
Nieświadomy tego, że zaraz spadnie nóż.

Ataki przeprowadzane przez Wietkong na mniejsze miasta i miejscowości pomagały wprawdzie osłabiać wiarę ich mieszkańców w sajgoński rząd, ale jak dotąd zawsze je odpierano. Nocne natarcie na główne miasto okręgu Cai Be w Delcie, przeprowadzone przez 261. Batalion WK, miało doprowadzić do zajęcia budynku poczty, siedziby policji i koszar gwardii cywilnej, ale napotkało silny ostrzał artyleryjski i naloty lotnictwa szturmowego, wobec czego przy stratach własnych sięgających 200 żołnierzy atakujący musieli się wycofać. Pewien cywilny świadek mówił, że widział, jak o świcie ocalali napastnicy się ewakuują. „Wyglądali na zmęczonych i przybitych, a ich szeregi były zauważalnie przerzedzone. Większość niosła po dwa albo trzy karabiny, zabrawszy te należące wcześniej do martwych”[64]. Podobnie nie powiódł się atak na duży posterunek rządowy w Phu My, skutkując utratą 42 ludzi, wszystkich z tej samej kompanii z 514. Batalionu WK.

17 maja 1965 roku CBWP wydało dyrektywę zatytułowaną „Operacje bezpieczeństwa przeciwko marionetkowej policji”[65], w której wzywano lokalnych działaczy do „korzystania z każdej okazji do zabijania wrogich przywódców i ich bezwzględnych zbirów, zintensyfikowania naszych ataków politycznych nakierowanych na szerzenie strachu i zamieszania w szeregach wroga, a także (...) do poszukiwania poparcia wśród niższego personelu policyjnego”. Jeden z członków politbiura z Hanoi przechwalał się kiedyś szefowej brytyjskiej placówki SIS, że ma agentów w każdym ministerstwie i w każdej wiosce na Południu. Jego

rozmówczyni, Daphne Park, odparła na to zaczepnie: „W takim razie dlaczego wciąż musicie wieszać naczelników wiosek?". Niespeszony Wietnamczyk wyjaśnił: „Ponieważ jesteśmy leninistami, a Lenin wierzył w rewolucyjny terror"[66].

Komórka wywiadu komunistycznego w Sajgonie miała listę około 200 prominentnych członków reżimu do zlikwidowania. Wśród ich najważniejszych ofiar był między innymi przewodniczący Narodowego Zgromadzenia Ustawodawczego. Pierwsze trzy próby zamachu na niego były nieudane, aż wreszcie pewnego ranka czterech komunistycznych agentów na motocyklach wyprzedziło jego pędzący samochód i oddało cztery strzały, z których jeden dosięgnął celu. Ku zachwytowi Hanoi w BBC ukazał się wkrótce materiał, z którego wynikało, że morderstwa dokonał w rzeczywistości sam reżim w Sajgonie, likwidując potencjalnego konkurenta do przejęcia władzy, co zmusiło prezydenta Thieu do wydania stanowczego dementi[67]. Ta sama komórka komunistyczna podłożyła też bombę w samochodzie zdążającym do głównej siedziby Policji Narodowej – w eksplozji zginęło albo odniosło rany 17 oficerów przebywających wówczas w pobliżu.

Pracująca dla RAND jako badaczka w terenie Duong Van Mai była pod wrażeniem nieugiętej woli pewnego wysokiego rangą działacza Wietkongu, z którym miała okazję porozmawiać po tym, jak wzięto go do niewoli: „Kiedy widzisz to na własne oczy, teoretycznie nic to w tobie nie zmienia. Ale zwiększa się twój strach, bo zdajesz sobie sprawę, że oni jednak mogą wygrać"[68]. Mai wyznawała dość powszechny, choć mocno niespójny pogląd: „Nienawidziłam tej wojny i chciałam pokoju, ale takiego, który powstrzymałby zwycięstwo komunistów"[69]. Frank Scotton czuł się równie skonfundowany: „Nagle uderzyła mnie myśl, że możemy to wygrać, jedynie angażując się olbrzymimi zasobami, setkami tysięcy żołnierzy, tyle że wtedy będzie to zwycięstwo pyrrusowe (...) poprzez obrzucenie całego Wietnamu materiałami wybuchowymi i spalenie ziemi na prowincji"[70]. Na ulicach amerykańskich miast, w tym zwłaszcza Waszyngtonu, antywojenne protesty zaczynały już gromadzić tysiące ludzi, i to nie tylko młodych mężczyzn, czyli potencjalnych rekrutów. 2 listopada 1965 roku trzydziestojednoletni

kwakier z Baltimore, Norman Morrison, naśladując samobójczych mnichów buddyjskich z Sajgonu, dokonał rytualnego samospalenia na ulicy przed oknem biura McNamary.

Pierwsza wielka bitwa tej nowej wojny miała miejsce w dolinie Ia Drang na Płaskowyżu Centralnym, który w oczach dowódców armii północnowietnamskiej stanowił doskonały teren do zaprawienia się w boju dla jednostek świeżo przybyłych z Północy. Za szczególnie atrakcyjne cele ataków uznawano zwłaszcza obozy sił specjalnych – w szczytowym okresie było ich około setki – rozsianych po całym terytorium Wietnamu, ponieważ zdecydowana większość z nich zlokalizowana była poza zasięgiem amerykańskiego wsparcia ogniowego. Głównodowodzący siłami lądowymi Stanów Zjednoczonych Harold Johnson nie ukrywał swojego „przerażenia" operacjami sił specjalnych, które uważał za nieroztropny sposób trwonienia olbrzymich zasobów. Z pogarda patrzył też na biorących w nich udział ludzi, którzy w jego mniemaniu „uciekali przed odpowiedzialnością [i] którzy (...) znaleźli sobie bezpieczną przystań, gdzie ich działalności nikt nie przyglądał się zanadto uważnie"[71]. Mike Eiland, oficer sił specjalnych, który przeprowadzał oddziały zwiadowcze Khmerów Krom do Laosu i Kambodży, podzielał sceptycyzm Johnsona, a sam już później powiedział: „Zasadnicze pytanie brzmi: «Co dobrego tym osiągnęliśmy?», i moim zdaniem odpowiedź na nie brzmi: «Niezbyt wiele». Informacje przynoszone z powrotem przez te zespoły były raczej mało istotne"[72].

Kiedy komuniści uderzali na jeden z obozów sił specjalnych, zawsze zadawali spore straty, które czasami przekształcały się wręcz w małe katastrofy. I właśnie po jednym z takich ataków, przeprowadzonym 19 października 1965 roku w bazie Plei Me, Westmoreland wydał 1. Dywizji Kawalerii Powietrznej rozkaz „wyszukania i zniszczenia" odpowiedzialnych zań jednostek nieprzyjaciela na obszarze doliny Ia Drang. Dowódcy armii północnowietnamskiej z chęcią przyjęli to wyzwanie, chcąc przekonać się w walce o wartości bojowej swojego nowego wroga. Pułkownik Nguyen Huu An twierdził, że operacja „Silver Bayonet" ogłoszona przez MACV „dała nam pierwszą okazję do zabicia jakichś Amerykanów"[73]. Podczas dwugodzinnej narady kadry

dowódczej 13 listopada, którą on sam opisywał jako „historyczną", An wyłożył główne cele stojące przed jego ludźmi: poznać styl walki nowego przeciwnika poprzez wciąganie go do całego szeregu starć na poziomie kompanii i batalionu. Narada zakończyła się uspokajającą konstatacją: „Pokonamy Amerykanów, tak samo jak pokonaliśmy ich marionetki".

Bitwa rozpoczęła się 14 listopada desantem żołnierzy z 7. Pułku 1. Dywizji Kawalerii Powietrznej, dowodzonego przez pułkownika Hala Moore'a, w punkcie określanym jako LZ X-Ray, przy wsparciu ogniowym bombowców B-52. Obie strony z miejsca przystąpiły do zażartych i przeciągających się walk. Sam pułkownik An w towarzystwie około trzydziestu członków swojej grupy dowodzenia wyruszył tego ranka błotnistą ścieżką na zbocze góry Chu Pong, skąd miał obserwować przebieg bitwy. Tuż przed północą, kiedy wokół LZ X-Ray wciąż trwała nieustająca wymiana ognia i rozlegały się wybuchy pocisków artyleryjskich, zatrzymał się on na chwilę, by zbadać teren, a wówczas jeden z jego oficerów sztabowych rzucił się na niego i przydusił go do ziemi na chwilę przed tym, jak okolicą wstrząsnęła cała seria potężnych eksplozji bomb zrzuconych przez jedną z superfortec. An szybko się podniósł, otrzepał i wzruszając ramionami, powiedział, że kiedy w powietrzu lata tyle ciężkiego sprzętu, o tym, czy ktoś przeżyje, i tak decyduje zwykły kaprys losu, wobec tego nie ma większego znaczenia, czy się leży, czy stoi. Następnie polecił swojej grupie dowodzenia rozłożyć się obozem w świeżych lejach po bombach, a ponadto wydał rozkaz, by jeden z batalionów zaatakował Amerykanów tuż przed świtem następnego dnia, to jest 15 listopada. Przebieg tego starcia sam An opisywał następująco: „Przez jakieś 15 minut w szeregach wroga panowało zamieszanie, ale potem odpowiedział on zaciekłą walką". Bój trwał przez cały dzień, a nawet długo po zapadnięciu zmroku, bo krążące w powietrzu samoloty C-130 bezustannie zrzucały rozświetlające teren flary. Z samych tylko dział kaliber 105 mm wystrzelono 33 tysiące pocisków. Kiedy komuniści wznowili swoje ataki rankiem następnego dnia, jeden z batalionów armii północnowietnamskiej zagubił się w drodze na linię frontu, a pozostałe wdały się w desperackie walki z wrogiem. Pewien

amerykański generał napisał później: „Doszło tam do jednych z najbardziej zażartych walk w historii armii Stanów Zjednoczonych, a niemal wszystkie starcia odbywały się na obszarze nie większym od boiska futbolowego".

Z punktu widzenia kawalerii powietrznej najcięższa i rozstrzygająca faza bitwy przypadła na 17 listopada. O północy jeden z batalionów Ana posilał się swoimi racjami żywnościowymi, kiedy jego zwiadowcy donieśli o zbliżających się żołnierzach nieprzyjaciela. Wietnamczycy szybko zastawili pułapkę, w którą schwytali niedoświadczonych żołnierzy z 7. Pułku 2. Dywizji, maszerujących gęsiego przez pole wysokich traw. Przez kolejne 2 godziny rozbici na małe grupki Amerykanie musieli walczyć wręcz z pojawiającym się nie wiadomo skąd wrogiem, a ponieważ obie strony znajdowały się tak blisko siebie, nie sposób było nawet wezwać wsparcia artyleryjskiego albo lotniczego. Również z punktu widzenia Ana sytuacja była „napięta, skomplikowana i trudna". Z jego perspektywy najgorsza część walk toczyła się między godziną 14.00 17 listopada a 20.00 18 listopada[74]. Ale kiedy Amerykanie doprowadzili wreszcie do sytuacji, w której mogli wezwać wsparcie powietrzne i artyleryjskie, zaczęli zadawać Wietnamczykom coraz większe straty, zwłaszcza wśród gońców i oficerów łącznikowych – a więc ludzi zmuszonych do ciągłego poruszania się po polu bitwy – którzy często znikali bez śladu. Podczas tej fazy walk wyróżnił się szczególnie 66. Pułk armii północnowietnamskiej, mimo że dowodzący nim pułkownik w tajemniczy sposób zniknął na samym początku bitwy – i pozostawał nieuchwytny, a nawet był uznawany za poległego, przez kolejne trzy dni; dowództwo nad jednostką przejął z nadzwyczaj dobrym skutkiem jej oficer polityczny La Ngoc Chau.

Pod nawałnicą pocisków, bomb i kul formacje północnowietnamskie musiały się ostatecznie wycofać. Ich dowódcy zapewniali później, że starcie z amerykańską piechotą nie stanowiło dla nich jakiegoś specjalnego problemu, choć – jak to ujął pułkownik An – „nie oznacza to, że walka z Amerykanami była łatwa, jak twierdzili niektórzy z naszych ludzi. Ich siła ognia okazała się niszczycielska. Mieli tak wiele samolotów, tak wiele bomb, tak wiele artylerii. Byli też ludźmi praktycznymi, którzy szybko uczyli się na własnych doświadczeniach

i posiadali technologię mogącą odwrócić losy bitwy (...). Byli sprytni i pomysłowi, a czasami zdolni wręcz do całkowitego odwrócenia niekorzystnej dla siebie sytuacji taktycznej”[75].

Po kilkudniowych starciach w dolinie Ia Drang obie strony ogłosiły swoje zwycięstwo. Kawaleria szacowała, że na każdego straconego żołnierza zabiła ponad dziesięciu komunistów. Starsi rangą dowódcy amerykańscy sugerowali, że wróg nie był w stanie wytrzymać zbyt długo tak olbrzymich strat. Westmoreland uznał, że bitwa w Ia Drang, zakończona w praktyce dopiero 26 listopada, pokazała wyraźnie, jakich zniszczeń jest w stanie dokonać mieszanka taktyki „wyszukać i zniszczyć” ze wsparciem ogniowym z powietrza. Według szacunków MACV po stronie nieprzyjaciela zginęło 3561 ludzi. Dla porównania wśród Amerykanów 7. Pułk 2. Dywizji stracił 151 żołnierzy, cała zaś dywizja odnotowała 305 poległych i proporcjonalną liczbę rannych. Liczby zabitych po stronie komunistów były jednak z całą pewnością przeszacowane, a w dodatku dowódcy północnowietnamscy już dawno przyjęli – i wcale nie zamierzali się jej teraz wyrzekać – postawę bezwzględnej tolerancji dla wszelkich strat w ludziach. Po bitwie w Ia Drang zorganizowano triumfalną konferencję we frontowej kwaterze głównej B3, której przewodniczył głównodowodzący siłami na Płaskowyżu Centralnym brygadier Chu Huy Man. Pułkownik An napisał: „Rzadko miałem okazję uczestniczyć w spotkaniu na polu bitwy, którego charakter był tak radosny i pełen ożywienia. Wszyscy, zarówno przyjaciele, jak i nieznajomi, ściskali sobie dłonie i gratulowali jeden drugiemu z powodu tego zwycięstwa”. Komuniści, podobnie zresztą jak Amerykanie, mocno przeceniali swoje dokonania, twierdząc, że „unicestwili” – a było to jedno z ich ulubionych słów – kilka amerykańskich batalionów.

Łatwo o cynizm przy formułowaniu ocen na temat corocznych okołoświątecznych wizyt i występów Boba Hope’a w Wietnamie albo przyjazdów do strefy wojny innych gwiazd z Hollywood, ale wysłani tam żołnierze naprawdę cenili i kochali wszystkie te chwile oddechu od walk. Również zespół amerykańskich doradców odczuwał dreszczyk emocji przed każdorazową wizytą w Delcie znanych i lubianych ludzi, takich jak James Garner, Robert Mitchum czy Henry Fonda.

Zaimponowała im zwłaszcza Ann-Margret, która zachowała spokój i zimną krew, nakrywszy dwóch rozchichotanych podoficerów schowanych pod podłogą baraku, w którym się przebierała[76]. Pułkownik Sid Berry i jego zespół doradców w My Tho wydali świąteczne przyjęcie na dziedzińcu ich kwatery głównej, mieszczącej się na terenie dawnego seminarium, w którym wzięło udział 300 członków rodzin wietnamskiego personelu, w tym „gromadka najsłodszych i najbardziej czarujących dzieciaków, jakie kiedykolwiek widziałem. My, Amerykanie, niemal wszyscy wałęsaliśmy się wśród tej ciżby dorosłych i dzieci, chłonąc ich miłość i szczęście, i czułość, i radość, i współczucie”[77]. Olbrzymi cudzoziemcy rozdawali dzieciakom lody, ciastka i podarunki, a potem puścili im animowaną bajkę. Na tym jednak nie kończyły się przewidziane atrakcje, bo z charakterystyczną amerykańską pomysłowością zaaranżowali oni kolejną świąteczną niespodziankę: jeden z nawigatorów naprowadzania zrzucił z góry całą masę białych papierowych płatków z napisem „Śnieg. Dzięki życzliwości USAF i Sekcji G-3”.

Żołnierze piechoty US Army i śmigłowiec UH-1D podczas bitwy o Ia Drang, 14 listopada 1965 roku

7 stycznia 1966 roku podczas *Godziny country* (*Country Music Hour*) na falach stacji radiowej AFN Vietnam pojawił się Roger Miller śpiewający „Dobra robota, dziewczyno, teraz już wiesz, jak doprowadzić mnie do płaczu", a po nim Eddie Arnold, Carl Smith i Tennessee Ernie Ford. Sid Berry zapamiętał zwłaszcza fragmenty tekstu: „Zakochałem się w dziewczynie z przydrożnego billboardu, która nie ma na sobie nic poza uśmiechem", a także: „Kiedy wychodziłem, na pożegnanie machały mi firanki w oknach"[78].

W Wietnamie były już teraz cztery dywizje i łącznie blisko 200 tysięcy żołnierzy amerykańskich, ale Robert McNamara w raporcie do prezydenta uznawał, że to wciąż za mało. Gdyby Wietnamczycy z Północy nadal nie zamierzali się wycofać, proponował podwojenie tej liczby w roku 1966, a później prawdopodobne zwiększenie sił w dyspozycji Westmorelanda do 600 tysięcy ludzi w roku 1967: „Należy się spodziewać, że liczba zabitych w akcji po stronie armii Stanów

Zjednoczonych wkrótce osiągnie tysiąc miesięcznie" – dodawał przy tym, jak przystało na obsesyjnego fana statystyki[79].

Jednocześnie, wykazując się umysłowym pogubieniem wcale nieodległym od prezentowanego przez Duong Van Mai, najważniejszy amerykański decydent w kwestiach tej wojny prywatnie przestrzegał, że istnieją poważne obawy o włączenie się do gry Chińczyków, wobec czego najlepszym wyjściem dla Stanów Zjednoczonych byłoby „wycofanie się z honorem"[80]. 21 stycznia 1966 roku McNamara powiedział w obecności między innymi Arthura Schlesingera i J.K. Galbraitha, że „nie uważa on rozwiązania militarnego za możliwe (...). Wydaje się głęboko przybity i zatroskany perspektywą niekończącej się eskalacji"; Schlesinger napisał o tej rozmowie: „Wojskowi już się jednak w to wgryźli i nabrali przekonania, że mogą «wygrać» tę wojnę"[81]. Jak na ironię, co odnotowali dobrze poinformowani liberałowie, w chwili, w której sam McNamara wydawał się tracić wiarę w sukces, nabrał jej – a był to doprawdy niesamowity zwrot akcji – Dean Rusk: sekretarz stanu miał odtąd przejąć pałeczkę od sekretarza obrony i nieść ją z dumą aż do roku 1968. Bliscy znajomi McNamary już na dwa lata – i mnóstwo trupów – przed jego spóźnionym odejściem dostrzegali, że w coraz większym stopniu ogarniało go poczucie niepewności, a nawet pesymizm. Można się tylko dziwić, że w takim stanie ducha i przy wciąż rosnących wątpliwościach zdecydował się on trwać na stanowisku jeszcze przez tak długi czas.

A w samym Wietnamie sierżant Jimmie Spencer uskarżał się z żalem: „Jak się okazało, to miał być maraton, a nie sprint"[82]. Sid Berry pisał z kolei do domu: „Nie chciałbym być teraz nigdzie indziej (...). Jestem przekonany o słuszności i ważności naszego pobytu w tym kraju. Sam nabrałem do Wietnamczyków wielkiego szacunku i sympatii. Radzą sobie zaskakująco dobrze, zważywszy na okoliczności trudniejsze, niż mógłby to sobie wyobrazić ktokolwiek w naszej ojczyźnie. Przed nami jednak wciąż długa droga. Mam tylko nadzieję, że nasz naród i nasi rodacy mają w sobie dojrzałość, wytrwałość, cierpliwość, odwagę i wiarę, by kontynuować tę walkę tak długo, jak długo to będzie konieczne"[83]. Do szczytu drabiny było jeszcze dosyć daleko. Na tyle

daleko, że wciąż nie sposób było zobaczyć, czy widać stamtąd jakiekolwiek wyjście.

12
„Próba schwytania dymu”

1. WALKA I NARTY WODNE

Nigdy nie było jednej wojny wietnamskiej, ale raczej kilkadziesiąt różnych wojen, w zależności od tego, gdzie kto walczył albo – w przypadku dziewięciu na dziesięciu ludzi, którym nie dane było służyć w piechocie – w inny sposób angażował się w zlecane mu działania. Dowódca kompanii Andy Finlayson udzielił kiedyś ostrej reprymendy jakiemuś kapralowi dowodzącemu inżynierami pracującymi nad przygotowaniem pozycji bojowych, ponieważ jego ludzie odmawiali kopania rowów i drążenia okopów strzeleckich. „My nie robimy takiego gówna – powiedział wyzywająco podoficer. – To robota dla piechoty”[1]. Artylerzyści, z wyjątkiem FO – wysuniętych obserwatorów (*forward observer*) – narażeni byli na znacznie mniejsze ryzyko od żołnierzy piechoty. Kapitan Chuck Hood, trzydziestoletni Wirgińczyk dowodzący baterią ciężkich dział, szybko przekonał się, że choć jego żołnierzom niejednokrotnie przychodziło znosić trudne warunki, takie jak kurz albo błoto, deszcz albo upał – nie zapominając o obowiązku zmiany luf w olbrzymich działach kaliber 175 mm każdorazowo po 300 wystrzelonych pociskach – to i tak jego największym zmartwieniem była walka z nudą wśród swoich podkomendnych: „Próbowałem wciąż wymyślać coś nowego, żeby przyciągnąć ich uwagę, a przy okazji odwieść ich od wizyt w lokalnych wioskach albo od ciągłych popijaw”[2].

Żołnierze spędzali w Wietnamie tylko rok, zaś większość oficerów z jednostek piechoty służyła w polu jedynie przez sześć miesięcy i potem

otrzymywała przeniesienie na jakieś stanowisko w sztabie. Westmoreland naciskał na wydłużenie okresu służby, ale Biały Dom się na to nie zgodził. Taka górna granica była zapewne koniecznością z politycznego punktu widzenia, w praktyce jednak powodowała poważne problemy: na polu walki Amerykanom brakowało naprawdę doświadczonych żołnierzy, bo tylko nieliczni „zawodowcy" spędzali tam więcej czasu. Mniej więcej dwie trzecie ludzi, którzy po zakończeniu służby wracali do domów i mogli odtąd z dumą określać się mianem weteranów – a poza tym mieli prawo do noszenia odpowiedniego medalu i uczestnictwa w pogadankach na temat swoich problemów z PTSD (zespołem stresu pourazowego) – nie było wcześniej narażonych na specjalnie wielkie ryzyko, w każdym razie nie większe od kogoś, kto uprawia przygodny seks albo bierze niesprawdzone narkotyki.

Personelowi wsparcia, technicznemu czy logistycznemu, który służył zwykle w jakiejś olbrzymiej zamkniętej bazie, zdarzało się nawet w ogóle nie widywać żadnych Wietnamczyków, wyjąwszy kobiety z pralni i dziewczyny z barów, a zamiast smrodu bitwy i woni śmierci odczuwali co najwyżej przykre zapachy paliwa do odrzutowców JP4 albo uryny w niepossprzątanej ubikacji. Skoczek spadochronowy Gene Woodley zawitał kiedyś do zatoki Cam Ranh i uznał to miejsce za „największe zaskoczenie w swoim życiu. Oni tam surfowali. Po ulicach jeździły wielkie samochody. Wszędzie spotykało się kobiety w modnych kreacjach i mężczyzn w garniturach. W końcu zapytałem: «Zaraz, co to w ogóle jest? Przecież tu jest lepiej niż w domu!»"[3]. Operator radaru Dwyte Brown z marynarki wojennej w pełni się z tym zgadzał: „Zatoka Cam Ranh to był raj na ziemi, człowieku. Zwykłem nawet mawiać: kurczę, gdybym tylko miał odłożonych trochę pieniędzy, zostałbym tu na resztę życia. Traktowano mnie tu jak króla"[4]. Brown przytył w ciągu swojego okresu „służby wojennej" niemal 20 kilogramów, jadając zwykle homary i steki, a większość czasu spędzanego w pomieszczeniu radiolokacyjnym poświęcał na przegrywanie kaset dla pewnego kapitana, który w zamian użyczał później Dwyte'owi swojego jeepa. Z kolei pod An Khe żołnierze z 1. Dywizji Kawalerii Powietrznej stworzyli w pobliżu swojej bazy swoisty „ośrodek wypoczynkowy", który

nazwali Sin City (Miasto Grzechu). Można tam było wstąpić do sklepu monopolowego Class 6 i kupić dwie dwulitrowe butelki ginu Gilbey's po 1,65 dolara za butelkę, a za 5 albo 10 dolarów pójść do łóżka z dziewczyną przebadaną wcześniej przez personel medyczny.

Czarnoskóry żołnierz piechoty Richard Ford w taki sposób wyrażał się o innym pobliskim obozie: „Nie mogłem uwierzyć, że Nha Trang też znajduje się w Wietnamie: oni mieli tam koszary, ciepłą wodę, jadalnie z trzema ciepłymi posiłkami dziennie i klimatyzację. [To] wyglądało jak jakiś ośrodek na plaży, jak jakiś kurort (...). Grali sobie w piłkę i w koszykówkę. I wszyscy byli biali. Właśnie to doprowadzało mnie do szału. Wszyscy ci biali chłopcy na tyłach"[5]. Żołnierze zielonych beretów stacjonujący na wyspie Phu Quoc jeździli z kolei na nartach wodnych i surfowali w zatoce przy samej Delcie Mekongu. Pewnego przybysza z Zachodu zainteresowały jednak bardziej reakcje miejscowych Wietnamczyków: „Dzieci przyglądały się z zaciekawieniem, jak ogromni blondyni śmigają obok nich, trzymając w ręku zakończenie liny i rozchlapując na boki wodę, ale starsi patrzyli na to z kwaśnymi minami i coś tam mamrotali. Nigdy wcześniej w Wietnamie Południowym nie odczuwałem takiej pogardy dla swojej rasy i koloru skóry"[6].

Decyzje o tym, kto gdzie miał trafić, podejmowane były niemal całkowicie arbitralnie. Lekarz Charlie Shyab przybył do Wietnamu, wierząc, że będzie mógł pozostać z tymi, z którymi odbywał wspólne szkolenie i zdążył już się zaprzyjaźnić. Ale podobnie jak niemal każdy, kogo przysyłano na zastępstwo, trafił zamiast tego między zupełnie nieznanych sobie ludzi na wysunięty odcinek frontu[7]. Porucznik John Wright wyszedł z pokoju przydziałów w Da Nang blady jak ściana, a na zadane przez przyjaciela pytanie, co mu jest, odpowiedział zwięźle: „Mam przerąbane". Jak się okazało, wysyłano go do 1. Batalionu 9. Pułku Marines, formacji określanej mianem „chodzących trupów" z powodu przerażającego odsetka ofiar. Z kolei ratownik medyczny David Rogers po zakończeniu okresu służby w piechocie otrzymał przydział do szpitala w Cu Chi: „Wszyscy tutejsi lekarze i pielęgniarki byli oficerami, którzy razem jadali posiłki i często ze sobą flirtowali. Najpierw byłem

w dżungli, a teraz trafiłem do tej zwariowanej rzeczywistości rodem z filmu *MASH*”[8].

Porucznik Judd Kinne musiał kiedyś udać się wraz z chorążym swojej kompanii do kostnicy dywizji w celu identyfikacji ciał poległych. Za kostnicę służył chłodzony barak z prefabrykatów typu Quonset, w którym – ku zniesmaczeniu Kinne’a – personel słuchał stacji AFN i bezustannie opowiadał sobie żarty. Chorąży dokonał autopsji ciał żołnierzy należących do jego batalionu i potwierdził prawidłową liczbę czarnych worków, stanowiących ledwie znikomy odsetek wszystkich znajdujących się tam zwłok. „Wyglądało na to, że mieliśmy komplet” – stwierdził Kinne, a jednocześnie pomyślał sobie w duchu: „Ja nie zamierzam wracać do domu w ten sposób”[9]. Phil Caputo pracował nawet przez jakiś czas w kostnicy: „Jeśli moim zadaniem jako dowódcy plutonu było wysyłanie ludzi na śmierć, to później, kiedy już byłem oficerem sztabowym, przyszło mi prowadzić rejestr zgonów”[10]. Jak zauważał, wszyscy martwi wyglądali w zasadzie tak samo, niezależnie od tego, czy za życia byli biali, czarni czy żółci. Ich skóra pokryta była łojem, tak iż przypominali woskowe lalki, „źrenice mieli poszarzałe, usta szeroko otwarte, jak gdyby śmierć zaskoczyła ich podczas krzyku”. Kiedy żołnierze tracili twarze w wybuchu, identyfikowano ich po kartach dentystycznych.

Część niedoszłych wyzwolicieli Wietnamu przegrywała ze zwykłym strachem. Sid Berry uskarżał się na zły wpływ, jaki miał na jego ludzi przydzielony im kapelan, który nigdy nie rozstawał się z bronią i na okrągło, w dzień czy w nocy, nosił kamizelkę kuloodporną: „Wciąż powtarza ludziom, że wojna jest straszna; wszędzie wokół dopatruje się Wietkongu. Z całym przekonaniem pyta, czy naszym zdaniem wojna zakończy się jeszcze przed Bożym Narodzeniem (...). Nie możemy sobie pozwolić na to, by człowiek Boży rozsiewał tu strach. On powinien emanować wiarą i pewnością siebie”[11]. Kapelan został wkrótce odwołany.

Inni wiedli życie pełne niebezpieczeństw, ale i egzotyki. Należąca do sił specjalnych Drużyna A stacjonująca w Ban Don, nieopodal granicy z Kambodżą, do przenoszenia zapasów używała słoni, okrywając

korpusy zwierząt wielkimi pasiasto-gwiaździstymi flagami, by uniknąć zbombardowania przez amerykańskie lotnictwo. Przejawiający tendencje do romantyzowania George Bonville przypatrywał się pewnego ciepłego wieczora rozległym wodom w Delcie opływającym jego kwaterę i rozmyślał: „Po co w ogóle ludzie walczą o kontrolę nad tym miejscem? Przecież to rolniczy raj, w którym każdy z odrobiną oleju w głowie mógłby mieszkać, pracować i żyć szczęśliwie. Tylko ludzie źli mogą toczyć w takim miejscu wojnę – a zatem, na Boga, jak się wydaje, ja sam właśnie do takich ludzi należę. Ale to nie ja zacząłem ten koszmar. Mogę tylko mieć nadzieję, że go zakończę”[12]. Pewien major, kończący już swoją służbę i wybierający się w najbliższych dniach do domu, przestrzegał Bonville’a, by nie nadstawiał zanadto karku za sprawę, która w sumie nie jest tego warta. Jak twardo obstawał ten siwowłosy sceptyk, Stany Zjednoczone powinny były się stamtąd wycofać już w roku 1964, jeśli nie wcześniej: „Posłuchaj mnie, synu. Straciliśmy tu już i tak zbyt wielu dobrych młodych oficerów. Ja sam walczyłem przedtem w Korei – i tam było zupełnie inaczej, bo Koreańczycy byli twardzi i zdeterminowani, by powstrzymać czerwonych, a przy tym teren sprzyjał operacjom obronnym. A to miejsce jest jak sito, zwłaszcza tu, obok Laosu i Kambodży. Najlepiej się nie wychylaj. To miejsce jest już tak czy inaczej stracone”[13].

Jeśli chodzi o szerszy ogląd sytuacji, podczas konferencji sztabu generalnego Armii Wietnamu Północnego (AWP) w Smoczym Dworze[14] zgodzono się, że im więcej amerykańskich żołnierzy włączy się do walk, tym trudniej będzie je wygrywać. Utrzymano zarazem dotychczasową strategię Hanoi polegającą na atakowaniu przede wszystkim sajgońskiej armii i formacji milicyjnych w nadziei, że jeśli uda się je zniszczyć, Waszyngton utraci jakikolwiek racjonalny powód do dalszej interwencji. Hanoi ustanowiło też nader ambitne cele na rok 1966: zabić 250–300 tysięcy ludzi z ARVN oraz 25–30 tysięcy Amerykanów; zniszczyć tysiąc samolotów i helikopterów; przejąć kontrolę nad 80–90 procentami obszarów wiejskich. Z kolei po stronie własnej komuniści zamierzali zwiększyć swoje siły na Południu – czy też, jak oni sami je nazywali, na „Polu bitwy B” – do 400 tysięcy

partyzantów, 90 tysięcy ludzi formacji lokalnych i 200 tysięcy regularnych żołnierzy AWP.

Nawet komunistyczni historycy wojny wietnamskiej przyznają, że były to cele nie tylko nadambitne, lecz i zupełnie nierealistyczne: „Zatwierdzony wówczas plan nadmiernie upraszczał ogląd sytuacji i nie liczył się z realiami (...), nie odzwierciedlał naszych rzeczywistych możliwości i nieadekwatnie traktował [wpływ] ataków [powietrznych] nieprzyjaciela na nasze linie zaopatrzenia, które sprawiały nam olbrzymie problemy"; organizacja logistyki to było „pomieszanie z poplątaniem (...). Jakość niektórych jednostek wysyłanych na pole bitwy pozostawiała wiele do życzenia"[15]. Kronikarze z Hanoi przyznają też, że nie doceniano zdolności bojowej Amerykanów, a nawet żołnierzy ARVN.

Przywódcy Wietnamu Północnego i Wietkongu dążyli wprawdzie do podobnych celów, ale czasami różnymi, a nawet sprzecznymi metodami. Powodowało to napięcia między komunistami z Południa a ich mocodawcami z Północy, których część bojowników WK prześmiewczo określała mianem szpinakożerców, bo w ich ubogiej diecie nie brakowało zwykłego zielska wydobywanego z wody. Le Duan i jego poplecznicy w politbiurze dążyli do jak największych starć bitewnych. Strategii tej sprzeciwiał się Giap, uważający, że pozwalała ona Westmorelandowi w pełni wykorzystywać przewagę siły uzbrojenia. Kiedy jednak w roku 1966 na Południe wysłano kolejnych 15 pułków regularnego wojska, stało się jasne, że w Hanoi w sposób absolutny dominowały już tamtejsze jastrzębie, a niegdysiejszy zwycięzca spod Dien Bien Phu miał tylko minimalny wpływ na rozwój sytuacji.

Na początku 1966 roku oficer polityczny Wietkongu w prowincji Long An analizował styczniowe działania amerykańskiej 173. Brygady Powietrznodesantowej z równą starannością, z jaką dwa miesiące wcześniej ruchom 1. Dywizji Kawalerii przyglądał się pułkownik An z AWP. Odnotował on, powołując się na słowa partyzantów, że pierwszym ich odczuciem pod ostrzałem z powietrza było przerażenie: „helikoptery wypełniały całe niebo, latały chmarami niczym muchy, a już po paru chwilach całe pole bitwy (...) wypełniło się żołnierzami

amerykańskimi. Zanim jeszcze padły pierwsze strzały, oni już wezwali wsparcie powietrzne i artyleryjskie, które przykryło wszystko gęstym ogniem. Bomby i pociski latały w takich ilościach, jakby jutro już nikt nie miał ich potrzebować. Nasi bojownicy donosili, że żołnierze amerykańscy są powolni, ale mogą dysponować właściwie nieograniczonymi zasobami uzbrojenia"; czołgi i transportery opancerzone „pełzły przez pola ryżowe niczym kraby (...), rozjeżdżając chłopskie (...) uprawy"[16].

Wietkong z Long An już od jakiegoś czasu planował zorganizowanie dużego, frontalnego natarcia na jeden z amerykańskich batalionów, przymierzając się do tego właśnie w roku 1966. Ale po przestudiowaniu taktyki wroga komunistyczni dowódcy doszli do wniosku, że operacja taka leży poza ich możliwościami. Postanowili więc grać na czas, zbierać siły i przeprowadzać mniejsze ataki partyzanckie. W opinii komunistów amerykańscy żołnierze nie należeli do najbystrzejszych: często nie zauważali bojowników WK znajdujących się zaledwie kilka metrów od nich. Zgadzano się też, że należało wykorzystywać ewidentny strach Amerykanów przed minami i bombami pułapkami; dostrzegano ponadto, że najłatwiej ich zaatakować podczas regularnych postojów.

Tymczasem w Waszyngtonie John McNaughton i William Bundy sporządzili dla Roberta McNamary listę celów na rok 1966, stanowiącą niemal lustrzane odbicie życzeniowego myślenia przywódców w Hanoi. Celem numer jeden miało być „wyniszczanie" – to ich własny termin – wroga w tempie szybszym, niż był on w stanie się odbudować. Następnie postulowali oni unicestwienie od 10 do 50 procent baz WK na obszarach opanowanych przez komunistów, zwiększenie o 30–50 procent dostępu do bezpiecznych dróg i szlaków kolejowych, a wreszcie rozciągnięcie rządowej kontroli nad ludnością obejmującej 50–60 procent populacji[17]. Późniejsi krytycy tych wytycznych zwracali uwagę na ich czysto statystyczny, a mało merytoryczny charakter, co stanowiło dość częstą przywarę McNamary i jego protegowanych – choć, jak już widzieliśmy, nieobce było także decydentom ze Smoczego Dworu w Hanoi.

W lutym do prowincji Quang Tri przybyły dwie nowe dywizje wojskowe z Północy, co wzbudziło poważne obawy wśród dowódców z Południa, że nieprzyjaciel może chcieć teraz zająć sam północny kraniec ich państwa, zyskując kontrolę nad całym terytorium rozciągającym się po drugiej stronie grzbietu wzgórz na wysokości Da Nang. Amerykański Korpus Marines miał poświęcić niemal całą resztę tamtego roku, a na dobrą sprawę nawet i większość pozostałej części wojny, na toczenie walk w celu zapobieżenia realizacji takiego właśnie scenariusza. Jednocześnie rozpoczęły się zażarte dyskusje, czy aby Westmoreland nie skierował zbyt dużego odsetka swoich sił do realizacji operacji „wyszukać i zniszczyć", zaniedbując inne, równie istotne z taktycznego punktu widzenia działania „oczyścić i utrzymać" – to jest obsadzanie wojskiem już odzyskanych terytoriów. Kapitan Chuck Reindenlaugh, doradca służący w Xuan Loc, na wschód od Sajgonu, w liście do domu z 30 stycznia 1966 roku opisywał z niedowierzaniem dokonania wroga, który dysponował nieporównanie mniejszymi zasobami uzbrojenia, ale niezrównaną wręcz odwagą: „Nasza słabość polega na nieumiejętności pozostawiania choćby małego garnizonu w każdej miejscowości, wiosce czy osadzie (...). A oni atakują tam, gdzie nie stacjonują żadne siły (...). Wyobraźcie sobie mecz futbolowy, w którym jedna z drużyn jest przepisowo ubrana i przestrzega wszelkich reguł gry. Za to drużyna przeciwna nie nosi koszulek, a nawet celowo upodabnia się do widzów. Ta drużyna nie gra też według przepisów, nie zauważa boiskowych linii, nic sobie nie robi z gwizdków sędziego, a kiedy już nie może zrobić nic innego, jeden z jej zawodników po prostu chowa piłkę pod koszulką i spokojnie idzie ukryć się wśród publiczności, gdzie możesz go szukać długo i bezskutecznie. W związku z tym niedoświadczeni zawodnicy po naszej stronie mają inklinację do stosowania taktyki «Wszystkich ich tam powystrzelać, spalić i zrównać z ziemią wioski udzielające schronienia Wietkongowi». A to jest dokładnie to, o co chodzi tym z WK, ale też naprawdę trudno się przed tym powstrzymać"[18].

Robert „Blowtorch" Komer – słynny ze swoich dynamicznych i niestandardowych działań były człowiek CIA i członek RBN, który miał w przyszłości sprawować osobliwą funkcję specjalnego asystenta

prezydenta do spraw pacyfikacji, a wówczas, to jest w maju 1967 roku, został szefem programu wspierania ludności cywilnej i obszarów wiejskich CORDS (Civil Operations and Revolutionary Development Support) w Sajgonie – od zawsze mocno krytykował podejście „wyszukać i zniszczyć", uznając je za szkodliwe dla procesu pozyskiwania serc i umysłów miejscowej ludności. Mieszkańcy Wietnamu Południowego bez wątpienia nie mieli rozeznania w rozmaitych subtelnościach taktyki przyjętej przez Westmorelanda, a nawet niespecjalnie zauważali późniejszą „lepszą odmianę wojny", za którą dość powszechnie chwalono jego następcę, Creightona Abramsa. Zresztą nawet wielu Amerykanów było tą taktyką w równym stopniu zdeprymowanych: pewien sfrustrowany porucznik marines powiedział kiedyś jednemu z reporterów, że ich walka przypominała „próbę schwytania dymu – kiedy tylko otworzysz pięść, widzisz, że nic tam nie ma"[19]. Nie istniało też żadne dobre rozwiązanie w kwestii lepszego podziału sił między formacje ścigające wroga a te obsadzające garnizony: w Wietnamie po prostu nigdy nie było, a nawet nigdy nie mogło być, wystarczająco wielu amerykańskich żołnierzy, by dało się jednocześnie realizować taktykę „wyszukać i zniszczyć" oraz chronić zamieszkane obszary kraju.

Późnym popołudniem 17 stycznia Wietkongowi udało się zdobyć cenne wojenne trofeum. W pobliżu Cu Chi szef do spraw pacyfikacji prowincji, Doug Ramsey, podróżował oto w kabinie ciężarówki wiozącej na pace pomoc dla cywilów – tę podróż stanowczo i wielokrotnie odradzała mu wcześniej córka lokalnego wietnamskiego naczelnika prowincji. W pewnym momencie Lo, kierowca ciężarówki, wydał ostrzegawczy okrzyk: jakieś 100 metrów przed nimi na poboczu klęczały dwie uzbrojone postacie w niebieskich koszulach i czarnych spodniach, a tuż za nimi, zza nasypu, wystawała głowa trzeciego mężczyzny. Ramsey uniósł swój karabin AR-15, ale nie mając pewności, kim są napotkani ludzie, nie zaczął z miejsca do nich strzelać. Przez kilka sekund wydawało im się, że po prostu przemkną bez większych konsekwencji przez tę zasadzkę Wietkongu – bo z nią właśnie mieli do czynienia. Ale w końcu komuniści otworzyli ogień, a ich kule, najpierw przeszywające worki z ryżem na pace ciężarówki, w końcu trafiły także

w nogę kierowcy. Samochód się zatrzymał. Ramsey odwrócił się i sam posłał kilkanaście kul napastnikom. Lo stwierdził, że silnik jest zepsuty. Amerykanin tylko przeklął – a przeklinałby zapewne jeszcze mocniej, gdyby wiedział, że silnik tylko zgasł i nadawał się do ponownego uruchomienia. Lo wysiadł z ciężarówki z rękoma uniesionymi do góry, a później opadł nawet na kolana, wyraźnie dając do zrozumienia, że się poddaje. Bojownicy Wietkongu w dalszym ciągu jednak strzelali, aż w końcu jeden z nich trafił w dziesięciolitrowy kanister paliwa leżący pod stopami Ramseya, sprawiając, że strumień oleju strzyknął prosto w twarz Amerykanina i zalał mu oczy. Starający się odzyskać możliwość widzenia Ramsey usłyszał zbliżające się kroki. Krzyknął więc: *„Toi dau hang!”* – „Poddaję się!”. Zostawiając broń w kabinie, wysiadł z uniesionymi w górę rękoma. Szykował się jednak na śmierć i pod nosem mruczał tylko mało oryginalnie: „Jasna cholera!”. Ale młodzi partyzanci, którzy go pochwycili, byli zbyt podekscytowani tym dokonaniem, by myśleć o zabijaniu tak ważnego jeńca. Zwłaszcza że humory jeszcze im się poprawiły, po tym jak przywłaszczyli sobie jego karabinek, zegarek i portfel. Zamiast tego puścili wolno kierowcę, a Ramseya uwiązali na sznurze i powiedli w dżunglę, gdzie miał on spędzić w niewoli kolejnych siedem strasznych lat, przez jakiś czas siedząc nawet w bambusowej klatce[20].

Tak oto skończyły się jego fantazje o Lawrensie z Indochin, które dzielił z takimi ludźmi jak Vann, Scotton, a później również Frank Snepp.

2. POD WŁASNYM OSTRZAŁEM

Kiedy w lutym 1966 prezydent Lyndon Johnson dowiedział się, że 1. Dywizja Kawalerii przystępuje do nowej odsłony akcji „wyszukać i zniszczyć”, której nadano kryptonim operacja „Masher” („Tłuczek”), osobiście interweniował w sprawie zmiany tej nazwy na jakąś lepiej brzmiącą. Ostatecznie zdecydowano, że będzie to operacja „Whitewing” – w jej wyniku miało zginąć aż 1342 partyzantów WK: pod koniec roku sama kawaleria szacowała, że zabijała średnio po 10 komunistów

dziennie, zaś ze statystyk MACV za rok 1966 wynikało, że każda jednostka w kraju miała na swoim koncie jednego martwego bojownika Wietkongu *per diem*. Wciąż jednak nie było to tempo wystarczające, by dorównać przyrostowi sił po stronie nieprzyjaciela. 5 lutego oficer sztabowy marines, pułkownik John Chaisson, pisał do swojej żony Marguerite, którą pozostawił w Maine: „Im dłużej oglądam tę wojnę toczoną na wysuniętych i ufortyfikowanych placówkach, tym częściej przychodzą mi na myśl niegdysiejsze walki z Indianami"; Chaisson opisywał „powolny i trudny proces wyrywania kolejnych obszarów kraju ze szponów terroru WK (...). Możemy bronić naszych pozycji bez końca, a to i tak donikąd nas nie zaprowadzi"[21]. W porośniętych dżunglą górach przejście zaledwie 50 kilometrów mogło zająć wojskowemu patrolowi nawet i tydzień.

9 marca doszło do kolejnej żenującej klęski przy ataku na obóz sił specjalnych: tym razem AWP zasadziła się na bazę w A Shau, jakieś 50 kilometrów na południowy zachód od Hue. Wielu spośród 360 miejscowych, służących w formacjach ochotniczych, całkiem racjonalnie rzuciło się do śmigłowców, przeznaczonych jednak dla 17 amerykańskich doradców, którzy wobec tego otworzyli ogień do swoich własnych ludzi. W całym tym chaosie zginęło 5 Amerykanów, a po jego zakończeniu do służby wróciła ledwie połowa Wietnamczyków. Podpułkownik marines Charles House, dowodzący oddziałem, który wysłano na ratunek obozowi, za swoją postawę został odznaczony Krzyżem Marynarki Wojennej – a za szczere przedstawianie reporterom niewesołego obrazu sytuacji otrzymał formalną reprymendę.

W kwietniu podlegający Westmorelandowi oficer operacyjny, generał dywizji William DePuy, przejął dowództwo nad 1. Dywizją Piechoty strzegącą północno-zachodniego przedpola Sajgonu od strony granicy z Kambodżą. Już wkrótce stał się on najtwardszym dowódcą formacji w całym kraju, wprowadzając równolegle rządy terroru w stosunku zarówno do Wietkongu, jak i swoich własnych oficerów. Kolejne operacje: „Abilene", „Lexington", „Birmingham", „El Paso" czy „Amarillo", polegające na systematycznym przeczesywaniu terenu uzupełniano nocnymi „ostrzałami nękającymi" – sporadycznymi

salwami artyleryjskimi kierowanymi na uczęszczane przez nieprzyjaciela szlaki albo na obszary, na których zwykł on się kryć, by złapać oddech. Niewielki wzrostem generał nie zaniedbywał zarazem wyszukiwania słabych ogniw we własnych szeregach. Szybko narodziła się ponura legenda o „przylatującym w środku nocy śmigłowcu", który zabierał źle ocenianych dowódców batalionów – o nich samych mówiono zaś, że zostali „zdepuyowani".

Ta jego bezwzględność już wkrótce doszła do uszu generała Harolda Johnsona, który powiedział mu z irytacją: „Moim zdaniem prawdziwego przywódcę poznaje się po tym, że potrafi działać najlepiej, jak się da, z wykorzystaniem tego, co ma pod ręką"[22]. W odpowiedzi na to DePuy wysmażył długą epistołę, w której szczegółowo wykładał powody swoich decyzji. Jeden ze zwolnionych ludzi z sekcji G-2 był oto „grubym, rozmemłanym oficerem niewykazującym się absolutnie żadnymi cechami niezbędnymi żołnierzowi". Inny z kolei, tym razem z sekcji G-5, „całkowicie nie nadawał się na oficera; zero inicjatywy, wyobraźni czy ambicji. Bezwartościowy". O zastąpionym dowódcy batalionu pisał natomiast: „Już kiedy pierwszy raz ujrzałem C., miałem silne podejrzenia, że jest człowiekiem słabym (...), [on] całkowicie utracił kontrolę nad swoim batalionem, wskutek czego doznawał niepotrzebnych strat z rąk nieprzyjaciela, sam zaś nie czynił WK żadnej krzywdy". DePuyowi trudno było odmówić energii, ale jego sposób dowodzenia z pewnością nie przyczyniał się do pozyskiwania serc i umysłów ani Amerykanów, ani Wietnamczyków. Harold Johnson zwracał mu kiedyś uwagę: „To bardzo dobrze brzmi: «Lepiej posłać im kulkę niż człowieka» (...), [ale] moim zdaniem nie należy polegać wyłącznie na przewadze uzbrojenia"[23]. DePuy najwyraźniej uważał inaczej, bo nic nie zmienił w swoim sposobie działania.

Doradca George Bonville czuł się wyczerpany fizycznymi wymogami codziennego życia w jego jednostce na Południu: „Pobudka o 3.30 nad ranem, coś szybkiego na ząb na śniadanie, dopilnować załadunku moich ciężarówek do My Tho i zaraz potem na pokład [jednostki szturmowej], by o świcie wziąć udział w operacji wodno-lądowej gdzieś w Delcie Mekongu – albo załadować się do helikopterów Huey i lecieć głęboko na mokradła Dong Thap Muoi – i zabić/schwytać kilku ludzi

WK, a potem wracać. To ostatnie oznaczało zwykle ostrożne wycofywanie się jakieś [10–15 kilometrów] z terenu operacji, w lejącym się z nieba żarze, brodząc po kolana przez pola ryżowe i kanały nawadniające, przedzierając się przez bambusowe/palmowe dżungle, a wreszcie, jeśli szczęście dopisze, z powrotem w Cho Gao późnym wieczorem (...). Ta sama monotonia posiłków: zawsze ryż z odrobiną jakiegoś wątłego lokalnego kurczaka i pozbawionymi smaku warzywami z puszki zabijała w nas wszystkich apetyt. Zaczęliśmy też obserwować recesję naszych dziąseł (...). Po jakimś czasie wprowadziliśmy u nas dodatkowo nocne zmiany przy radiostacji – po 2 godziny na osobę – bo zdaliśmy sobie sprawę, że przy takim zmęczeniu nie mamy szans usłyszeć ewentualnego ataku nieprzyjaciela, zwłaszcza kiedy nasza artyleria włączy się do walki”[24].

Tymczasem terror Wietkongu nie ustawał. Bonville opisał dość typowy jego przejaw: oto panna Anh, maszynistka z pobliskiej głównej kwatery okręgu, została porwana w nocy z domu swoich rodziców. A kiedy odmówiła pomocy przy planowaniu ataku na obóz amerykańskich doradców, rozbito jej czaszkę kolbami karabinów, a jej młodszego brata zadźgano na śmierć. Bonville napisał: „Ona miała może ze dwadzieścia lat, była gorliwą chrześcijanką, śliczną dziewczyną o manierach prawdziwej damy. Moi ludzie siadywali rankiem na tarasie i przyglądali się, jak lekkim krokiem podąża do pracy, a wiatr targa jej długą *ao dai,* dopasowaną kolorem do parasolki chroniącej jej alabastrową skórę przed słońcem. Ona sama doskonale ignorowała rzucane w jej stronę spojrzenia; kto wie, może wręcz nie cierpiała tych zagranicznych twardzieli podziwiających jej urodę, a może wprost przeciwnie”[25]. Doradca Mike Sutton wylądował kiedyś swoim hueyem w jakiejś osadzie w Delcie, gdzie wraz z resztą ludzi znalazł bezwładne ciało zwisające z lin rozpiętych między drzewami – był to naczelnik wioski, któremu poprzedniej nocy wypruto wnętrzności. Zamordowano także jego żonę, już przy użyciu mniej wyszukanych środków, a ich syna wykastrowano. „Pomyślałem sobie wtedy: «Co za barbarzyńcy». Ale potem miałem napatrzeć się równie strasznych rzeczy czynionych przez Amerykanów”[26].

Mike Eiland był Kalifornijczykiem ze średnio zamożnej rodziny, któremu udało się mimo to dostać do West Point. Trzy dni po ukończeniu tej uczelni poślubił córkę generała, częściowo dlatego, że w tamtych czasach ślubna obrączka stanowiła dla wielu młodych mężczyzn najprostszy sposób zapewnienia sobie regularnego seksu, „choć powinno się wprowadzić jakieś prawo federalne zakazujące kadetom małżeństwa przez rok po opuszczeniu szkoły". Kolejne trzy lata spędził jako znudzony oficer artylerii w Niemczech, by wreszcie zdecydować o zejściu ze standardowej ścieżki kariery i posmakować prawdziwej wojny. Podczas szkolenia w zielonych beretach – „uważałem, że to całkiem fajne nakrycie głowy"[27] – najbardziej obawiał się tego, że wojna może się zakończyć, zanim zdąży na nią dotrzeć. W Fort Bragg wszyscy zaczytywali się książką Bernarda Falla *Street Without Joy* (*Ulica bez radości*) i do znudzenia oglądali film szkoleniowy o walkach pewnego oddziału OSS w okupowanej Francji w roku 1944, z którego przejęli swoje nieoficjalne motto: *„Poussez!"*, słysząc je bezustannie z ust niemal wszystkich bohaterów tej produkcji.

Dokładnie 1 maja 1966 roku, po zaledwie pobieżnym zapoznaniu z sytuacją, Eiland został przydzielony jako dowódca do dwunastoosobowej Drużyny A, stacjonującej w jednej z nadrzecznych baz na daleko wysuniętym południowo-zachodnim krańcu Wietnamu, zaledwie kilka kilometrów od granicy z Kambodżą: „po prostu zrzucili nas pośrodku niczego". Zajmowany przez nich były obóz 5. Sił Specjalnych, zlokalizowany tuż obok stanowiących sanktuarium WK mokradeł Dong Thap Muoi, pozostawał nieużywany już od trzech lat, to jest od czasu jego zdobycia przez komunistów. Eiland i jego ludzie zakwaterowali się w willach otaczających starą francuską rafinerię cukru, otoczyli cały kompleks drutem kolczastym i zabrali się do rekrutowania bojowników. To ostatnie wymagało, jak się szybko przekonali, żmudnych negocjacji z lokalnymi naczelnikami. W końcu udało im się stworzyć jedną kompanię z członków sekty religijnej Hoa Hao, kolejną z dezerterów z wojska i im podobnych, a trzecią z ludzi wyznaczonych przez pewnego przywódcę Khmerów Krom rezydującego w jednej ze świątyń w Sajgonie: „On był w stanie zapewnić

nam przeszkolonych ludzi w dowolnej liczbie – wszystko zależało od uzgodnienia ceny, co mogło zabrać nawet i cały dzień".

Początkowo Eiland był wręcz przytłoczony nowością i odmiennością wszystkiego wokół – otaczającą go zielenią, obcą kulturą, upałem i smrodem. Jego jednostka, która rozrosła się już do około 400 ludzi, zaczęła wysyłać w teren czteroosobowe patrole, co nierzadko kończyło się wymianą ognia przeciągającą się nieraz i do późna w nocy. A ponieważ cały ten obszar uznano wcześniej za FFZ (strefę swobodnego ognia), wszelkich napotkanych cywilów z miejsca pakowano do ciężarówek i oddawano pod opiekę władzom wietnamskim jako uchodźców. Sam Eiland, zdeprymowany wyraźnymi rozkazami, jakie otrzymał w tej materii, wyjaśniał: „To nie byli żadni uchodźcy, dopóki my ich takimi nie uczyniliśmy. Tak naprawdę to ich po prostu uprowadzaliśmy, realizując politykę odbierania nieprzyjacielowi terenu i okazji do zdobycia pożywienia".

Nocą 12 maja, kiedy to Drużyna A działała w tym miejscu od niecałych dwóch tygodni, lokalny WK przypuścił zmasowany atak na obóz, wykorzystując czynnik całkowitego zaskoczenia. W niemal nieprzeniknionych ciemnościach zielone berety podjęły pasywną obronę kompleksu, ostrzeliwując się z karabinów M-14 i granatników M-79 z wnętrza zajmowanych willi stojących już za głębokim rowem odwadniającym, którego napastnicy nawet nie próbowali forsować. „Słyszeliśmy tylko, jak nawołują się między sobą: «Gdzie są ci Amerykanie?», i myszkują wszędzie wokół. Było jasne, że pozostała część obozu jest nie do uratowania". Taka wymiana ognia po omacku trwała przez całą noc, bo żadna ze stron nie miała środków rozświetlających; Eiland nie miał też możliwości użycia artylerii. Do walki włączyli się nieliczni Wietnamczycy po jego stronie, co skończyło się dla nich niechybną śmiercią. Najlepiej wyszli na tym ci, którzy się nie wychylali – nic nie mówili, nie ruszali się, a przede wszystkim nie strzelali. O brzasku Amerykanie zauważyli, że nieprzyjaciel zniknął, zostawiając za sobą zniszczone pojazdy i zatopioną łódź desantową, która cumowała przy brzegu rzeki. Wszędzie leżały ciała zabitych, głównie obrońców. Eiland był zaszokowany tym widokiem: „Nigdy przedtem nie widziałem trupów, zwłaszcza porąbanych na kawałki".

Przy braku możliwości ewakuacji rannych jego ratownik medyczny musiał dołożyć wszelkich starań, by jakoś poskładać ich na miejscu.

Eiland nigdy nie miał wielkiego zaufania do sił specjalnych ARVN, z którymi przyszło mu współpracować, a zmniejszyło się ono jeszcze bardziej, kiedy zorientował się, że z powodu głodu jego pozostali rekruci są bliscy buntu: ich wietnamski kapitan podkradał większość zapasów ryżu przeznaczonych dla swoich ludzi. Amerykanie postanowili w tej sytuacji sami zająć się dystrybucją racji żywnościowych, na co ów kapitan odpowiedział złożeniem ostrej skargi na brak poszanowania dla lokalnych zwyczajów, a tak naprawdę na odebranie mu możliwości dodatkowego zarobku. Koniec końców Eilanda i jego sierżanta zwolniono w trybie doraźnym z pełnionych obowiązków „za okazywanie braku wrażliwości kulturowej".

Codziennemu życiu w piechocie brakowało egzotyki i przygód charakterystycznych dla zielonych beretów. Ale Bob Nelson i tak je doceniał: po raz pierwszy w swoim życiu ten czarnoskóry Amerykanin nie doznawał żadnych przykrości w związku ze swoim pochodzeniem rasowym: „Troszczyliśmy się tam jeden o drugiego"[28]. Pewien członek Ku Klux Klanu (miał nawet przy sobie kartę członkowską) powiedział mu kiedyś, że jego spojrzenie na czarnych zmieniło się po tym, jak jeden z „braci" wyciągnął go rannego z pola bitwy pod ostrzałem nieprzyjaciela. Nelson był synem pokojówki i robotnika, który zmarł, kiedy Bob miał zaledwie sześć lat[29]. Resztę dzieciństwa spędził z dziadkami na ich niewielkiej farmie tytoniowej w rygorystycznie przestrzegającej zasad segregacji Karolinie Południowej. Wstąpił do Korpusu Marines zaraz po szkole średniej, bo pilnie potrzebował jakiejś pracy, ale życie w Parris Island[5*] wydało mu się równie ciężkie jak większości rekrutów, a może nawet cięższe, bo wszyscy instruktorzy rutynowo zwracali się do ciemnoskórych per *nigger* (czarnuch). Na całe życie zapamiętał też wielki transparent wiszący w kolejnym ośrodku szkolenia polowego w Kalifornii: „Naucz się patrzeć śmierci prosto w twarz, bo pojedziesz tam, gdzie śmierć będzie codziennością". A ich sierżant zapewniał ich nader często, że „śmierć w marines to dobra śmierć".

Nelson nie był tego do końca pewien, ale kiedy w marcu 1966 roku dołączył do batalionu w Phu Bai, z zadowoleniem stwierdził, że bardzo łatwo przychodzi mu tam nawiązywać przyjaźnie, na przykład z „farmerem Fredem" z Minnesoty, a przy tym bez problemu dogaduje się z ludźmi z Wilmington, Pittsburgha czy Chicago. Podczas niekończących się marszów przez dzikie tereny żołnierze popędzali jeden drugiego, mimo że sami zbliżali się już do kresu wytrzymałości: „No dalej, człowieku – zasuwamy! Zasuwamy!". On sam lubił grać w koszykówkę, a przy tym biegał na średnich dystansach, więc nie zaniedbywał ćwiczeń mających utrzymać go w formie – w dodatku po raz pierwszy w życiu zaczął doznawać rzeczywistego poczucia własnej wartości. „To była kwestia honoru: nigdy się nie poddawać, nigdy nie rezygnować". Ale i Nelson miał trudności z zaakceptowaniem pewnych rzeczy, z jakimi przyszło mu obcować na co dzień: wychowano go w rodzinie głęboko religijnej, w której nawet nie wymawiało się na głos słowa „zabijać". Tymczasem w swoim nowym otoczeniu musiał słuchać, jak właściwie wszyscy bezustannie mówili między sobą o „skasowaniu jakiegoś żółtka".

Wszyscy byli pod wrażeniem siły ognia po swojej stronie. Nelson obserwował zniszczenia, jakich dokonywały naloty powietrzne, kanonady artylerii czy ogień mniejszych dział w okolicznym krajobrazie. Wystrzeliwane ze śmigłowców bojowych pociski kaliber 20 mm potrafiły wręcz „przeorać całą ziemię. Myśleliśmy sobie – kurczę, my tu naprawdę mamy wszystko pod kontrolą. Nikt nie wytrzyma pod takim deszczem z ołowiu!". Podobnie postrzegali rzeczywistość generałowie, a jednak na rozległe obszary kraju nie spadały żadne bomby ani pociski, a poza tym całkiem spory odsetek żołnierzy nieprzyjaciela potrafił jakoś wyjść cało nawet z najbardziej zmasowanego ostrzału. Co ciekawe, czasami korowody związane z udowodnieniem zabicia wroga dowództwu okazywały się trudniejsze do zniesienia od samej akcji. Reg Edwards, ku zachwytowi sierżanta swojego plutonu, zastrzelił raz Wietnamczyka, który miał przy sobie granat. „O w mordę! Piękny, kurwa, strzał" – powtarzał podoficer[30]. Edwards dostał rozkaz zaciągnięcia trupa z powrotem do obozu. Jak opowiadał: „Szybko odpadła mu ręka. Więc musiałem się zatrzymać

i wracać po tę rękę. Włożyłem mu ją do spodni. Droga bardzo mi się dłużyła. Więc zacząłem myśleć (...). Myślałem o mgle i o tych zapachach, które zawsze przynosi ze sobą deszcz. I nagle zdałem sobie sprawę, że ten gość to też człowiek, pewnie ma jakąś rodzinę. W tym momencie poczułem, że nie targam już ze sobą zwyczajnego żółtka".

Frank Scotton napisał: „Za sprawą jakiegoś szczególnego sylogizmu (ludzie tacy jak my nie żyją jak zwierzęta, a Wietnamczycy żyją jak zwierzęta, zatem nie są wcale ludźmi) Wietnamczyków zbyt często traktuje się jak istoty podrzędne. Rzadko zdarzało się, by jakiś amerykański żołnierz zdawał sobie sprawę z wyrafinowania wietnamskiej kultury i jej bliskich związków z naturą i środowiskiem, a w rezultacie dochodził do wniosku: «Zaraz, to m y tu jesteśmy prymitywami»"[31]. George Bonville wzdragał się na myśl o ekscesach niektórych Amerykanów, w tym jednego należącego do jego własnego zespołu doradców: „Starsi wieśniacy ginęli w naszych zasadzkach albo od strzałów żołnierzy z patroli tylko dlatego, że wstali w środku nocy i wyszli na zewnątrz, by naprawić przeciekający dach w swoich chatach. Albo jakieś dziecko zachorowało w nocy, a jego matka, martwiąca się, czy dożyje rana, brała pochodnię i próbowała zanieść dziecko przez pola ryżowe do najbliższej kliniki (...). W jednym z takich przypadków pochodnia zgasła, a matka z dzieckiem trafiła pod ostrzał Amerykanów, bo traf chciał, że wychodziła akurat z osady, o którą toczyły się wcześniej walki. Matka została ranna, a dziecko zginęło. W takiej to piekielnej wojnie przyszło mi brać udział"[32].

Wietnamczycy nie byli wcale jedynymi ofiarami takich nieostrożnych ostrzałów. W oddziale Boba Nelsona był pewien Czirokez obsługujący karabin maszynowy: „Człowieku, on kochał ten swój karabin – i strzelał z niego zawsze, kiedy tylko miał okazję"[33]. Pewnej nocy, kiedy stał w zasadzce, z ciemności wyłoniła się jakaś niewyraźna postać, która nie dość szybko wypowiedziała ustalone hasło. Obsługujący M-60 Czirokez natychmiast wystrzelił, zanim jeszcze zdążył usłyszeć krzyki: „Marines! Marines!", a idący w jego stronę ludzie zidentyfikowali się jako żołnierze wracający z patrolu. Jak się okazało, pierwszy z nich dostał jedną z kul w biodro. Z kolei George Bonville z konsternacją odnotował, że Południowcy, do których go przypisano, zwykli kłaść „ogień

przygotowawczy" nawet wówczas, gdy w pobliżu nie było widać żadnego wrogiego celu. Pewnego ranka w trakcie natarcia piechoty żołnierze musieli przypaść plackiem do ziemi, bo „wszędzie przed nami zaczęły lądować pociski moździerzowe, pękając w gałęziach drzew i rozsiewając wokół rykoszetujące odłamki. A potem do akcji wkroczyły pięćdziesiątki, przeszywając mocno już przerzedzoną dżunglę, rozrywając się nad naszymi głowami i odbijając się od twardych pni drzew kokosowych. Tuż obok nas spadały puste łuski, a nad sobą widziałem zakrzywiony łuk rozgrzanego do czerwoności pocisku smugowego, który wreszcie spadł w błoto tuż przed moim nosem". Niemiecki fotoreporter Horst Faas, który dokumentował tę operację, też przypadł nisko do ziemi i przeklinał głośno perspektywę śmierci pod ostrzałem własnych wojsk. Wciąż wzywał Bonville'a do skontaktowania się z ARVN i przerwania ognia, aż wreszcie wykrzyknął rozjuszony: „Wy durni Amerykanie! Po co w ogóle pakujecie się w tę gównianą wojnę?!"[34]. Tego hałaśliwego i denerwującego poranka nie napotkano żadnego wrogiego żołnierza, ale doświadczenie z Faasem tylko pogłębiło instynktowną niechęć do mediów odczuwaną przez Bonville'a i wielu innych żołnierzy.

„O Wietkongu powiedzieli nam jedynie tyle, że to zwykłe żółtki, których trzeba pozabijać – wyjaśniał Reg Edwards. – Nikt nie siada z tobą przy stole i nie robi ci wykładu na temat ich historii i kultury. To po prostu wróg. Zabić, zabić, zabić"[35]. 23 września 1966 roku o godzinie 19.00 ze Wzgórza 22 leżącego na północny zachód od Chu Lai wyruszył dziewięcioosobowy patrol marines. Na jego czele teoretycznie stał sierżant Ronald Vogel, ale zaraz po wyruszeniu pewien agresywny dwudziestojednolatek, a zarazem weteran wielu walk, szeregowy John Potter, ogłosił, że to on przejmuje dowodzenie, bo cała misja zapowiada się jako „rajd bojowy". Każdy członek oddziału otrzymał rozkaz usunięcia naszywek identyfikujących ich przynależność do swojej jednostki, zabroniono im też zwracania się do siebie głośno po imieniu. W pobliskiej wiosce żołnierze pochwycili jakiegoś chłopa, którego oskarżyli o przynależność do Wietkongu i zaczęli „przesłuchiwać". Czterech innych ludzi wywlekło z chaty jego żonę, wyrwało jej z objęć trzyletnie dziecko, a potem po kolei zgwałciło. Następnie patrol

zastrzelił jej męża, dziecko, szwagierkę oraz dziecko tej ostatniej. Na zwalone na stertę ciała Potter rzucił dodatkowo granat, żeby „wszystko dobrze wyglądało". A na koniec marines strzelili jeszcze do ofiary gwałtu i zostawili ją na śmierć.

Na tym jednak nie koniec tej historii. Kiedy marines wrócili do bazy, dowódca ich kompanii nakazał wszcząć śledztwo w sprawie ich domniemanego „nawiązania kontaktu z wrogiem". Wysłany na miejsce oficer pomimo odnalezienia zwłok ciężko okaleczonego dziecka, które Potter zatłukł na śmierć kolbą swojego karabinu, robił wszystko, by ukryć niewygodną dla Amerykanów prawdę. Wyszła ona na jaw dopiero wówczas, gdy wieśniacy odnaleźli zostawioną na śmierć ofiarę gwałtu, która jednak przeżyła, i zanieśli ją do bazy marines, by tam ją wyleczono. Opowiedziała ona szczerze, co ją spotkało, a oficer medyczny natychmiast złożył raport swoim przełożonym. Pottera skazano na dwanaście lat więzienia za morderstwo z premedytacją i gwałt. Oficera odpowiedzialnego za próbę zatuszowania zbrodni wydalono z Korpusu, ale ten akurat werdykt został zmieniony w trakcie postępowania apelacyjnego. Tylko dwóch innych członków patrolu trafiło jeszcze do więzienia za to, co zrobili[36].

Reg Edwards opisywał później z żalem swój udział w paleniu wiosek i zabijaniu wieśniaków. Ale, co może wydać się dziwne, najbardziej wstrząsnęło nim zabicie małego prosiaka: „Myślisz sobie: zaraz padnie i umrze. Ale nie. Wszystkie kiszki wylewają mu się z brzucha, a on tylko kwiczy i kręci się w kółko. Bo widzisz, zwierzakom trzeba strzelać prosto w głowę. Inaczej nie rozumieją, że mają się po prostu położyć i umrzeć"[37]. Bob Nelson otrzymał raz rozkaz oddania kilku strzałów z granatnika M-79 w stronę wejścia do jakiegoś schronu. Kiedy już opadł kurz, ktoś z jego oddziału zajrzał do środka i odkrzyknął: „Tylko jakaś suka i dwójka dzieciaków", wszyscy martwi. Nelson powiedział później ze smutkiem w głosie: „Bez tego jednego wspomnienia, które zostało ze mną na zawsze, chętnie bym się obył, chętnie wyrzuciłbym je ze swojego banku pamięci"[38]. Emmanuel Holloman z Baltimore był tłumaczem, który cały swój pierwszy okres w Wietnamie poświęcił na rozdawanie cywilom rekompensat: 10 dolarów albo tysiąc piastrów za zniszczony dom, a 40 albo nawet 60, jeśli miał akurat dobry dzień, za

każdego trupa. Holloman uważał, że czarnoskórzy Amerykanie, tacy jak on, lepiej od białych dogadywali się z miejscową ludnością, bo potrafili doskonale wczuć się w ich status ofiary.

Bob Nelson powiedział: „Czasami było bardzo poważnie, później czasami zupełnie niepoważnie, a potem wszystko się zmieniało i znów zaczynało być poważnie" – z reguły bez żadnego ostrzeżenia[39]. Mike Sutton szedł pewnego ranka przez jakąś wioskę w Delcie z całym oddziałem doradców, kiedy nagle zza drzewa wyskoczył pojedynczy bojownik WK i strzelił w plecy jednemu z towarzyszy Suttona, młodemu Teksańczykowi nazwiskiem Dave Hargraves. Wietnamscy żołnierze unieszkodliwili napastnika, zanim Sutton zdążył unieść swój karabin, ale nie umniejszyło to w niczym jego szoku i smutku, tym bardziej że już od wielu dni nie widzieli żadnych partyzantów i nie mieli ich zobaczyć także przez wiele następnych[40].

3. PUŁAPKI I KURZ NA SZLAKU

W Wietnamie najpierw pojawiły się pierwsze bomby pułapki, potem więcej bomb pułapek, a potem jeszcze więcej bomb pułapek – czy też, by użyć współczesnej terminologii wojskowej, improwizowanych ładunków wybuchowych (IED) – a żołnierze wprost nienawidzili każdej z nich z osobna i wszystkich razem. Większość wytwarzano z elementów przechwyconego bądź znalezionego amerykańskiego sprzętu wojskowego: bomba z pocisku moździerzowego kaliber 60 mm urywała nogę, taka z pocisku kaliber 81 mm również nogę, ale czasem dodatkowo jeszcze kilka palców albo rękę do łokcia. Bomba z pocisku kaliber 105 mm urywała już obie nogi, a często jeszcze i rękę. Od tej zaś zrobionej z pocisku kaliber 155 mm delikwent, który na nią wpadł, tracił niechybnie połowę ciała poniżej pasa, dodatkowo wszyscy inni znajdujący się w promieniu 20 metrów z dużym prawdopodobieństwem też tracili życie. Miny zakopywano często po kilka, w bliskiej odległości od siebie, tak by pierwsza okaleczała żołnierza idącego na przedzie, a kolejna – ratownika medycznego, który spieszył mu z pomocą. Zdarzało się, iż żołnierze wdawali się

w makabryczne dyskusje o tym, którą część ciała mogliby ostatecznie poświęcić w pierwszej kolejności: większość twierdziła, że najchętniej zachowałaby nogi, a przynajmniej ich część powyżej kolan. W okresie zaledwie dwóch miesięcy tylko jedna kompania marines odnotowała aż 57 przypadków utraty nóg przez jej żołnierzy z powodu min albo bomb pułapek – jak ponuro podsumował pewien oficer, dawało to średnią na poziomie blisko jednej straconej nogi na dzień[41].

Jeśli jakiś żołnierz dostrzegł z daleka wystający z ziemi wyzwalacz miny, mógł spróbować rzucić w to miejsce granatem w nadziei na zdetonowanie ładunku. W pełni zakopane miny należały zawsze do najtrudniejszych wyzwań: nawet jeśli rozbrajający którąś z nich saper zdołał ujść z życiem, dokopując się do pokrywy i zapalnika, to musiał jeszcze rozbroić mechanizm wybuchowy z najwyższą precyzją: każda nieuwaga albo niedokładność skutkowała śmiercią. Ale najbardziej znienawidzone przez wszystkich bez wyjątku żołnierzy były wyposażone w trzyodnogowe spłonki miny szrapnelowe zwane powszechnie „Bouncing Betties" (Podskakujące Betty). Saper Harold Bryan pracował kiedyś przez godzinę nad uwolnieniem jakiegoś żołnierza z 1. Batalionu 9. Pułku Kawalerii Powietrznej, który nadepnął na jedną z takich min, ale nie wywołał – póki co – jej detonacji. Jak się okazało, odnogi spłonki wbiły się w grubą podeszwę jednego z ciężkich wojskowych butów nieszczęśnika, i to tak mocno, że każda próba ich usunięcia skutkowałaby niechybnym wybuchem. Ostatecznie Bryan postanowił obwiązać żołnierza w pasie grubą liną, ustawił jego kolegów w bezpiecznej odległości 20 metrów, a następnie razem poderwali go i podciągnęli w swoim kierunku dobrych 5 metrów, zanim nastąpiła nieuchronna eksplozja[42].

Akurat ten człowiek stracił ledwie spód swojego buta, jednak tylko nieliczni mieli tyle szczęścia w spotkaniu z miną. A po każdorazowym wybuchu pojawiały się wezwania do natychmiastowego szukania żółtków – przy czym chodziło zwykle o dowolnego Wietnamczyka, znajdującego się akurat pod ręką – na których można by się zemścić. Kiedy mina wybuchła pod nogami żołnierzy z oddziału Boba Nelsona, najpierw zadbano o ewakuację ofiar, a potem patrol poszedł dalej i „zginęli niewinni ludzie", jak przyznawał on sam, dodając jeszcze:

„Staliśmy się bardzo agresywni”[43]. Pewien generał ARVN powiedział zaś: „Nieprzyjaciel nie zamierza stanąć z tobą twarzą w twarz. Za to prześladuje cię noc w noc, żebyś odniósł wrażenie, iż wszyscy wokół są do ciebie wrogo nastawieni. I z czasem zaczynasz postrzegać każdego jako swojego wroga. Tymczasem w rzeczywistości atakuje cię wciąż ta sama piątka albo szóstka partyzantów WK, którzy powracają noc po nocy. A w dodatku zakładają jeszcze pułapki z naostrzonych kijów bambusowych, podkładają miny i bomby pułapki (...). I w końcu WK doprowadza cię do takiej nerwowości, że tracisz cierpliwość i mówisz: «Dobra, czas zrobić z tym wszystkim porządek». A wtedy naprawdę wpadłeś w ich pułapkę, bo zaczynasz zabijać nie tych, co trzeba”[44].

Harold Hunt, jeden z pięciu synów czarnoskórego robotnika samochodowego, wstąpił do wojska tego samego dnia, w którym ukończył szkołę średnią w roku 1961, a później tylko z rzadka żałował tej decyzji: „Niewiele dzieciaków, które znałem, miało w ogóle okazję wyjechać gdziekolwiek poza Detroit przez całą resztę ich życia, a ja byłem właściwie wszędzie”[45]. Podczas pierwszego okresu w Wietnamie służył jako strzelec pokładowy helikoptera, a w grudniu 1965 powrócił do tego kraju w charakterze dowódcy oddziału w 2. Batalionie 27. Pułku Piechoty. „Już od pierwszego dnia sprawy wyglądały paskudnie – opowiadał. – Musieliśmy przedzierać się w drodze do Cu Chi, walczyć o dosłownie każdy metr ziemi, za którą odpowiedzialna została 25. Dywizja”. Pewnego ranka w kwietniu 1966 roku Hunt prowadził przez wysokie trawy patrol w kierunku wysuniętej placówki Ann-Margret, kiedy odniósł lekką ranę od kuli podczas strzelaniny, która wywiązała się z przypadkowo napotkanym wrogiem. W czasie, gdy reszta Amerykanów się ostrzeliwała, on osunął się na ziemię i natrafił ręką na jakiś drut – a ściślej: na wyzwalacz ładunku wybuchowego. A ponieważ miał na plecach radio, wdał się w szybką wymianę słów z Williem Somersem, ich strzelcem obsługującym karabin maszynowy M-60: „To albo niewybuch, albo ładunek wyzwalany naciskiem – widzisz go od siebie?”. Somers, owszem, widział, ale nie mógł dosięgnąć tej zaimprowizowanej miny Claymore. W końcu wymiana ognia ucichła, a WK się wycofał. Hunt ostrożnie się odwrócił, a wówczas plecami przycisnął zakończenie wystającego drutu, a więc i wyzwalacz. Mina

wybuchła, poważnie raniąc mu prawą część twarzy i ciała, a także obie nogi; życie ocalił jedynie dzięki radiu, w które trafiła większość odłamków. Kolejne pół roku spędził w wojskowym szpitalu, gdzie zrekonstruowano mu twarz, poskładano nogi, a wreszcie poddano go długiej serii zabiegów fizjoterapeutycznych, zanim odzyskał ograniczoną zdolność do służby wojskowej.

Równie źle zaczęło się wieść w Wietnamie Bobowi Nelsonowi, po tym jak pewnego czerwcowego poranka jego patrol trafił na bombę pułapkę, która eksplodowała bezpośrednio za nim, a jej odłamki poraniły go może niezbyt głęboko, ale w tylu różnych miejscach, że musiał spędzić jakiś czas w szpitalu polowym, a potem jeszcze tydzień w bazie[46]. Podczas kilku kolejnych miesięcy brał jeszcze udział w kilku mniejszych bądź większych utarczkach i wymianach ognia. Aż wreszcie Wietnam skończył się dla niego ostatecznie pewnego październikowego dnia, kiedy jego oddział zwiadowczy usłyszał jakieś głosy dochodzące zza mijanego żywopłotu, a dowódca oddziału krzyknął: „Wietkong!". Nelson natychmiast posłał w tamtym kierunku serię ze swojego thompsona, a w zamian został obsypany deszczem granatów. Jeden z nich wybuchł na tyle blisko, że zdetonował flarę dymną przytwierdzoną do jego parcianego pasa. Niewiele widząc i z trudem oddychając w oparach szczypiącego w oczy i dławiącego gardło dymu, Nelson sięgnął po omacku do pasa, by odrzucić źródło problemu, ale kiedy natrafił ręką na rozgrzany do czerwoności pojemnik, poczuł w niej przeszywający ból. Krzycząc i przeklinając, odtoczył się kawałek po polu ryżowym, a wokół niego trwała zażarta wymiana ognia. A kiedy wreszcie się skończyła, ewakuowano go do szpitala, a stamtąd odesłano do domu.

Kto podkładał wszystkie te bomby pułapki? Mimo że amerykańscy dowódcy bezustannie chwalili się zabijaniem „tych żółtków z Wietkongu", pewien komunistyczny oficer rzucał na tę kwestię nieco inne światło. Pisał on o swojej wizycie w Delcie, podczas której „osobiście kierował organizacją wykańczania Amerykanów w tej strefie walk (...). Dzień po dniu operacje [w tej strefie] stawały się coraz szerzej zakrojone, coraz bardziej kreatywne i entuzjastyczne"[47]. Człowiek ten upierał się ponadto, że często bomby pułapki podkładali nie sami

partyzanci, ale lokalni mieszkańcy: „Ludzie nie decydowali się automatycznie atakować Amerykanów ani też nikt ich do tego nie zmuszał. To postępowanie samych amerykańskich żołnierzy zmieniało nastawienie ludności. [Początkowo] rozdawali cukierki i ciasteczka, przekazywali dzieciom koszulki, odbudowywali i wyposażali szkoły, organizowali badania lekarskie i rozdawali darmowe leki. Ale już wkrótce potem ci sami Amerykanie zaczęli ostrzeliwać wioski, niszczyć uprawy chłopów (...), strzelali do niewinnych cywilów i ich zabijali. Rozjeżdżające drogi amerykańskie ciężarówki zmuszały autobusy wypełnione pasażerami do zjeżdżania wprost do kanałów i strumieni. Żołnierze regularnie grozili biciem ludziom słabym i niewinnym. To właśnie dlatego wieśniacy, z własnej inicjatywy, zaczęli podkładać miny i bomby pułapki. Tak oto rozwijała się, wojna ludowa (...), zupełnie sama z siebie”[48]. Ta komunistyczna wersja rozwoju wydarzeń niewątpliwie zawiera w sobie jakiś element prawdy, choć przecież to jednostki WK przyczyniały się do rozkwitu lokalnych wytwórni zaimprowizowanych ładunków wybuchowych, organizując zbiórkę niewybuchów albo łusek po pociskach, które łatwo można było przekształcić w miny domowej roboty. W takich lokalnych fabryczkach najpopularniejsze były jednak bomby umieszczane w pustych puszkach po sardynkach: wystarczyło tylko wypełnić je materiałem wybuchowym i wyposażyć w jakiś zapalnik.

Kapitan piechoty Ted Fichtl twierdził, że w miarę nabywania doświadczenia bojowego uczył się jak najczęściej słuchać swoich obytych w polu – czy może raczej w dżungli – podoficerów. „O wiele łatwiej byłoby nam walczyć, nawet przy niedoświadczonych porucznikach, gdybyśmy tylko mieli więcej zaprawionych w boju sierżantów” – konstatował Fichtl. To właśnie dzięki takim ludziom odkrył on, jak ważne jest okopywanie się w każdym miejscu postoju, a także wprowadzanie rygorystycznej dyscypliny dotyczącej snu: „Wszyscy mieliśmy w sobie mocno i głęboko wdrukowany ten kult macho, który kazał nam myśleć, że damy radę każdemu zadaniu, nawet jeśli będziemy chwytać tylko krótkie i okazjonalne drzemki. Ale przekonaliśmy się, że to wcale nie takie proste – umiejętność logicznego myślenia szybko się wtedy zamula. A umiejętność właściwej oceny

rzeczywistości i okoliczności, w jakich się znajdujesz, spada w zastraszającym tempie".

Kto wie, czy nie jeszcze ważniejszą, a z pewnością zbyt często zaniedbywaną umiejętnością było czynienie wszelkich wysiłków, by wróg nie przejmował pełnej kontroli nad wydarzeniami w godzinach nocnych. Fichtl wyjaśniał: „Jak sądzę, w żołnierzach amerykańskich jest jakiś fundamentalny strach przed operacjami nocnymi (...). Ja sam padłem zresztą jego ofiarą. [Ale] jeśli go nie przełamiesz i nie wystawisz nocą czujek, nie porozsyłasz patroli i nie obsadzisz wysuniętych pozycji, wówczas stajesz się niezwykle narażony na atak nieprzyjaciela"[49]. Kapitan Dan Campbell, wykształcony w West Point, a w Wietnamie dowodzący kompanią wojsk powietrznodesantowych, w pełni podzielał opinię Fichtla. Uważał, że jego jednostka zbyt mało uwagi poświęca nocnym patrolom, częściowo dlatego, że ludzie są już pod wieczór bardzo zmęczeni całodzienną akcją. Campbell z podziwem komentował za to niesłabnącą wolę – a nawet entuzjazm – niektórych swoich ludzi do przełamywania w sobie strachu i zagłębiania się w tunele nieprzyjaciela.

Byli też i tacy nieliczni żołnierze, którzy wręcz upajali się doświadczeniami w Wietnamie. W kompanii powietrznodesantowej pułkownika Johna Harrisona służył pewien niesamowity sierżant nazwiskiem Manfred Fellman, który jeszcze jako chłopiec zdobył w roku 1945 Żelazny Krzyż za bohaterską obronę Wrocławia po stronie Wehrmachtu. Fellman poprosił nawet o zgodę na noszenie tego odznaczenia w Wietnamie, czego jednak odmówił mu poproszony o to oficer, argumentując rzecz następująco: „Pomyśl tylko, jak poczułby się, widząc ten medal, ktoś, kto przeżył Auschwitz". „Fellman to był gość – opowiadał Harrison, który podziwiał umiejętności bitewne swojego niemieckiego kolegi – ale jego wielkim problemem, za który nieraz musiał odcierpieć, stanowiło picie"[50]. Również pilot helikoptera kapitan Frank Hickey był pełen entuzjazmu w tym, co robił: „Sprawiało nam to dużą przyjemność (...). Zawsze wygrywaliśmy (...). Na moje oko, odnosiliśmy same sukcesy. A przed każdą akcją wołaliśmy do siebie: «Chodźmy dorwać jakiegoś żółtka!»"[51].

Prosty wiejski chłopak z Arkansas, Carlos Norman Hathcock, miał świetne oko i pewną rękę, dzięki czemu, jak sam twierdził, zabił 93 komunistów[52]. Przez większość czasu był raczej spokojny, a nawet nieśmiały, ale przejawiał też skłonności do gwałtownych wybuchów: jeden z nich wpędził go zresztą w niemałe kłopoty, bo wdał się w bójkę z oficerem po tym, jak samowolnie przedłużył okres przepustki. W roku 1965 Hathcock zdobył najbardziej prestiżowe wyróżnienie strzeleckie w Ameryce, Puchar Wimbledonu, przyznawany za zwycięstwo w zawodach na odległości tysiąca jardów (około 915 metrów), a już w marcu następnego roku pojechał na wojnę, początkowo jako członek żandarmerii wojskowej, a potem jako snajper w marines. „Wietnam wyjątkowo mi podpasował" – opowiadał później. Nigdy sam nie prosił o przepustki. Po zakończeniu służby odkrył, że właściwie to nie potrafi robić nic innego. Zaciągnął się więc po raz kolejny i wrócił na wojnę, gdzie pewnego ranka jego gąsienicowa amfibia wpadła na minę. Doznał oparzeń ponad 43 procent ciała, a po powrocie ze szpitala do Quantico przekonał się, że nie jest już w stanie celnie strzelać. Dalej służył w wojsku jako instruktor strzelectwa, ale coraz częściej trapiły go napady pijaństwa i niekontrolowane wybuchu gniewu.

Kiedy Jonathan Polansky, filigranowy, szczupły i ważący zaledwie 51 kilogramów rekrut przydzielony do 101. Dywizji Powietrznodesantowej, zameldował się w swojej nowej bazie, poczuł, jak ogarnia go czarna rozpacz: „Najpierw zaprowadzono mnie do dowódcy kompanii, wielkiego i silnego chłopa z ponadtygodniowym zarostem i jasnymi włosami zaczesanymi do tyłu. A sierżant w moim plutonie okazał się prawdziwym czarnoskórym olbrzymem. Przerażali mnie ci twardzi i silni mężczyźni w pobrudzonych łachach. Ja sam miałem na sobie nowy, czyściutki i odprasowany mundurek, a moje buty aż lśniły. Z wygoloną głową i w za dużym hełmie wyglądałem może na dwunastolatka. Więc oni tylko raz na mnie spojrzeli i od razu wybuchnęli śmiechem. Na sercu zaległ mi ogromny ciężar. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek wcześniej poczuł się tak onieśmielony, tak słaby, tak bezradny. Nikt tu nie potrzebował takiego nieopierzonego młokosa jak ja". Po pierwszym niekończącym się dniu ciągłego przedzierania się przez górskie ostępy Polansky udał się do swojego

kapitana, by poprosić o przeniesienie do innej jednostki. „Nie dam tu rady" – wyznał szczerze. Oficer tylko się roześmiał i powiedział mu, żeby się nie martwił, bo z początku wszyscy tak myślą, a potem jakoś się układa. Nazajutrz kompania poszła w jeszcze wyższe góry: „Pod koniec tamtego dnia czułem się już fantastycznie. Zaświtało mi, że może jednak jakoś tu przeżyję. A po trzecim dniu w dżungli już wiedziałem, że dam sobie radę. Nie wiedziałem jeszcze jak, ale w zasadzie byłem tego pewien"[53].

W miejscu, gdzie popełniano tak wiele niegodnych postępków, zdarzały się też czyny szlachetne, o których warto wspomnieć i pamiętać. Shirley Purcell była doświadczoną pielęgniarką, którą powołano do czynnej służby w roku 1966. Jej brat, prosty farmer z Teksasu, namawiał ją, by nie jechała, ale ona czuła, że jest to jej obowiązkiem, i nawet zaczęła się odchudzać, by spełnić wojskowe wymagania dotyczące wagi. Trafiła do Bien Hoa, gdzie między zmianami w wojskowym szpitalu spędzała wiele godzin w lecznicy przy miejscowym sierocińcu, szkoląc tam wietnamskie siostry na oddziale położniczym i zwracając im uwagę na konieczność wkładania rękawiczek do wszelkich zabiegów chirurgicznych. Szczególnie przywiązała się do pewnej pięciolatki, którą nazywała „nicponiem": specjalnie dla niej Purcell zgłosiła się nawet później do drugiej tury służby w Wietnamie. Była dumna ze swojej pracy, którą wykonywała z całą pasją i poświęceniem: „Tak naprawdę to nie obchodziła mnie cała ta polityka (...), [ale] tam byli amerykańscy żołnierze, którzy potrzebowali pomocy"[54].

Ewakuacja rannego amerykańskiego żołnierza z Wietnamu Południowego, ok. 1964–1965 roku

Pośród tych, o których mówiła, był na przykład pewien żołnierz piechoty, który wszedł na jedną z Bouncing Betty: „Ten młody człowiek został niemal dosłownie rozerwany na pół – od kolan w górę aż po żebra miał wyrwaną jedną wielką dziurę. A w środku wszystko wyglądało niczym mielone mięso. Wszystkie jego wewnętrzne organy zostały posiekane, za to nogi były w stanie idealnym, podobnie jak ręce i dłonie, i górna część klatki piersiowej. Także jego umysł był w pełni sprawny. Patrzył na nas całkiem przytomnie. Wszyscy, którzy zebrali się przy stole w sali operacyjnej i widzieli tego młodego umierającego człowieka, mieli zapewne to samo poczucie całkowitej bezradności i beznadziei, ponieważ nikt nie mógł już absolutnie nic dla niego zrobić. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłam. Całe to przerażenie i frustracja w oczach lekarzy, którzy mimo swojego przeszkolenia i doświadczenia oraz poświęcenia dobrze wiedzieli, że nie mieli choćby minimalnej szansy na uratowanie mu życia”. W innym podobnym

przypadku na oddział trafił żołnierz z otwartą raną czaszki: „Miał może z dziewiętnaście lat, a jego rana nie nadawała się do operacji (...). Pamiętam, że podtrzymywałam mu głowę, żeby mózg nie wypływał na zewnątrz. A on spojrzał na mnie i zapytał: «I co? Jak to wygląda?». Musiałam mu powiedzieć szczerze: «Nie jest dobrze, ale nie zostaniesz teraz sam». I to naprawdę było wszystko, co mogliśmy mu zaoferować – że nie zostawimy go z tym samego". Przez całe swoje dotychczasowe życie najmocniejszym trunkiem, jaki tolerowała Shirley, była herbata, teraz jednak w klubie oficerskim w Chu Lai zaczęła zamawiać wódkę z sokiem pomarańczowym i wcale nie miała z tego powodu poczucia winy. A po powrocie nigdy nie była w stanie zdobyć się na obejrzenie choćby jednego odcinka telewizyjnego serialu *MASH*, bo każdy wybuch śmiechu wiązł jej w gardle wraz z napływem strasznych wspomnień.

Jeśli chodzi o dwa australijskie bataliony wysłane w południowo-wschodnie rejony Wietnamu, powyżej Vung Tau, to początkowo realizacja przydzielonej im misji szła dość opornie z uwagi na stosunkowo niewielką liczebność w stosunku do wielkich połaci lądu, jakie miały one patrolować i przeczesywać. Przez kilka pierwszych tygodni trudno im było w ogóle natrafić na jakichkolwiek wrogów, aż wreszcie nocny atak moździerzowy przypuszczony na ich obóz w połowie sierpnia 1966 roku, w którym rannych zostało 24 ludzi, zmusił dowódcę batalionu do wysłania w teren większych sił. Po południu 18 sierpnia, przy bardzo niekorzystnych warunkach pogodowych, oddział 100 Australijczyków starł się z przeważającymi siłami WK w pobliżu opuszczonej wioski Long Tan i bój ten szybko przekształcił się dla nich w prawdziwą walkę o życie. Wprawdzie wezwane wsparcie artyleryjskie mocno przerzedziło szeregi komunistów, ale żołnierzom piechoty zaczynało powoli brakować amunicji karabinowej. Mimo szalejącej ulewy i niskiego pułapu chmur dwa helikoptery RAAF wyruszyły z bazy, by dostarczyć na miejsce pilnie potrzebne dodatkowe zaopatrzenie i niemal w chwili, w której piechota już widziała przed sobą niewesołą perspektywę walki wręcz, jej żołnierzom ukazał się jakże radosny widok transporterów opancerzonych wiozących oprócz karabinów maszynowych kaliber 0,5 cala także dodatkową kompanię ludzi. Komuniści musieli się wycofać, pozostawiając na polu bitwy swoich 245

zabitych. Australijczycy sami stracili 18 ludzi. Wprawdzie zwyciężyli w tym starciu, ale mieli pełną świadomość, że mogło się ono dla nich skończyć prawdziwą katastrofą, częściowo właśnie dlatego, że ich kontyngent nie był wystarczająco liczny, by sprostać nieprzyjacielowi, wyjątkowo silnemu szczególnie na tym terytorium, które komuniści uznawali już za swoje własne. Mimo to w ciągu kolejnych miesięcy i lat zarówno Australijczycy, jak i Nowozelandczycy wyrobili sobie reputację niezrównanych żołnierzy piechoty.

Równolegle z operacjami „wyszukać i zniszczyć" trwały równie, a może nawet jeszcze bardziej uporczywe naloty powietrzne na dzikie obszary, na których szukali schronienia komuniści. Już w roku 1961 rozpoczęła się operacja „Trail Dust", to jest akcja defoliacji szlaków w Laosie i Kambodży, którymi z północy zmierzały na tereny walk kolejne rzesze bojowników. W lipcu 1965 roku pierwsze środki roślinobójcze zaczęto zrzucać także w samym sercu Wietnamu Południowego, a chmury chemicznych oparów nieubłaganie docierały do sadów w pobliżu Bien Hoa i Lai Thieu, z katastrofalnymi konsekwencjami dla tamtejszych upraw mango, jabłek cukrowych, dżakfrutów czy ananasów. Drzewa usychały niemal w ciągu jednej nocy; brązowiały też liście na tysiącach kauczukowców. Miejscowa ludność była początkowo zdezorientowana, bo nie potrafiła dostrzec żadnej przyczyny tej z pozoru całkowicie naturalnej katastrofy. W końcu jednak prawda wyszła na jaw, a choć rolników zapewniano, że okres działania czynnika chemicznego znanego jako Agent Orange nie powinien trwać dłużej niż rok, wielu z nich odebrało to jako bardzo marną pociechę. Pewien pułkownik ARVN zauważył, że gniew i niepokój, które wzbudziła wśród ludności defoliacja przeprowadzana w pobliżu terenów zamieszkanych, „w znacznej mierze przewyższył jakiekolwiek zdobycze militarne"[55]. Przyznawał jednak zarazem, że defolianty stanowiły skuteczny sposób przerywania szlaków komunikacyjnych wroga w dżungli, zwłaszcza na bagnach namorzynowych wzdłuż rzeki Sajgon.

Szczyt tego programu przypadł na lata 1968–1969; łącznie uwolniono niemal 75 milionów litrów defoliantów, z czego ponad połowa, skażona dioksynami, rozprzestrzeniła się potem swobodnie po terytorium

całych Indochin. Kwestia ta należy do najbardziej spornych w oglądzie całej wojny przez kolejne pokolenia: nie sposób wręcz nie odczuwać głębokiej odrazy wobec zaplanowanej i systematycznej akcji niszczenia środowiska naturalnego dla realizacji wojskowych celów taktycznych. Trudno też wątpić w to, że część Wietnamczyków, a być może nawet i samych Amerykanów, odczuwała jakieś efekty uboczne stosowania Agent Orange. A z drugiej strony warto zachować zdrowy rozsądek i z dużą ostrożnością podchodzić do nader skrajnych tez wysuwanych już w XXI wieku przez Hanoi, ale i przez niektóre organizacje w Ameryce, że owe efekty uboczne były długotrwałe i dotknęły setki tysięcy ludzi z pokolenia wojennego, wywołując u nich tak tragiczne skutki jak uszkodzenia płodów, rak czy inne straszliwe choroby. Oficjalni historycy Hanoi podają wręcz liczby sięgające 2 milionów cywilów, którzy mieli rzekomo paść ofiarą stosowania Agent Orange. Skądinąd wiemy jednak, że dioksyny w poważny sposób uszkadzają organizmy jedynie tych ludzi, którzy są wystawieni na ich działanie przez dłuższy czas, a w takiej skali przydarzało się to podczas wojny naprawdę nielicznym. Pewien wypowiadający się niedawno weteran z Południa zauważył, że on i jego koledzy przez cały czas pracowali przy defoliantach, rozpylając je z ręcznie obsługiwanych podajników, i żaden z nich nie odczuwa dziś efektów ubocznych. Sugeruje on wręcz, że za pogorszenie stanu zdrowia obserwowane u części wietnamskich rolników odpowiadać może nie tyle stosowanie Agent Orange, ile notoryczne i beztroskie używanie przez nich samych środków owadobójczych[56].

Niezależnie od tego, czy ma on rację, dysponujemy również badaniami naukowymi, które przeprowadzono w latach osiemdziesiątych XX wieku na zlecenie australijskiego sędziego Philipa Evatta. Przez dwa lata zbierano wówczas dowody mające odpowiedzieć na pytanie, czy Agent Orange miał jakikolwiek wpływ na rodaków sędziego służących w Wietnamie, co zaowocowało sporządzeniem dziewięciotomowego i liczącego 2760 stron raportu jednoznacznie nadającego temu środkowi chemicznemu status „niewinnego". Jeden z naukowców doradzających Królewskiej Komisji stwierdzał z typowo australijską bezpośredniością: „Większość problemów dręczących

weteranów wojny wietnamskiej nie była zawiązana ze środkiem Agent Orange: wynikały one po prostu z faktu, że przeszli oni przez cholernie krwawą wojnę”[57]. Evatt sugerował w swoim raporcie, że najbardziej przekonującymi i rozpowszechnionymi przyczynami trudności przeżywanych przez australijskich weteranów były zapewne nadużywanie tytoniu i alkoholu, a także zespół stresu pourazowego. Historyk nie powinien zbyt łatwo wydawać werdyktu w sprawie stosowania Agent Orange, zwłaszcza wobec całej masy dowodów niepotwierdzających powszechnie przyjmowanej tezy. O ile zatem jest niezaprzeczalnym faktem, że defoliant ten stanowił instrument walki, który trudno dziś oceniać pozytywnie, o tyle nie należy w związku z tym automatycznie akceptować najbardziej skrajnych tez dotyczących rzekomego wpływu tego specyfiku na ludzi wystawionych na jego działanie.

Niemal każdy tydzień 1966 roku przynosił historie takie jak ta, która przydarzyła się pewnego wrześniowego poranka niecałe 100 kilometrów na północ od Sajgonu. 2. Batalion 18. Pułku Piechoty o godzinie 9.00 poruszał się na północ Drogą nr 13 między Loc Ninh a plantacją kauczuku Michelina, w której – jak wiedziano – zainstalował się i umocnił Wietkong. Amerykanie jechali kolumną transporterów opancerzonych wspomaganych przez czołgi. Dowódca Kompanii C, dwudziestosiedmioletni Ted Fichtl, powiedział: „Mieliśmy świadomość, że jedziemy tam na przynętę (...). Ale wiara w naszą zdolność sprowokowania nieprzyjaciela i wyjścia z tego cało była w nas bardzo wysoka (...). Wiedzieliśmy, że reszta batalionu, brygady i dywizji czeka w pogotowiu, pod bronią i niecierpliwie, aż coś się tam wreszcie wydarzy, i na Boga, coś się wydarzyło”[58]. Już po drodze kolumna napotkała silny ostrzał z zasadzek po obu stronach szlaku, zarówno z broni strzeleckiej, jak i z moździerzy oraz dział bezodrzutowych: „Ogień był wyjątkowo silny, a przy tym niezwykle celny i skuteczny (...). Z miejsca straciliśmy dużo sprzętu i odnieśliśmy wiele strat w ludziach”. Dowodzona przez Fichtla Kompania C została zmuszona do zatrzymania się i rozpaczliwej obrony przy użyciu miotaczy ognia i ciężkich karabinów maszynowych, znalazłszy się w znacznie większych tarapatach, niż przewidywało to wcześniej jej dowództwo.

Obustronny ostrzał ciągnął się godzinami, aż wreszcie nieuszkodzone amerykańskie pojazdy musiały wycofać się ze strefy walk.

Do Fichtla dotarł piechotą dowódca batalionu, który wydał mu rozkaz zaprzestania walki na dotychczasowym odcinku i zamiast tego podążenia ze wsparciem dla Kompanii A, która znalazła się w jeszcze większych tarapatach. Kapitan odczuwał jednak ogromne wyczerpanie emocjonalne. Zaczął protestować, argumentując, że stracił już blisko połowę swoich ludzi, wobec czego misję tę powinien otrzymać ktoś inny. W odpowiedzi na to, jak wspominał Fichtl: „Pułkownik powiedział: «To nie jest problem. Problemem jest to, że Kompania A potrzebuje wzmocnień. Wykonać». Pułkownik zmusił nas do dalszej walki siłą swojego przywództwa". Akcja trwała kolejne 5 godzin, rozciągając się na odcinku frontu o długości około 750 metrów, przy czym zdarzało się czasem, że partyzanci i Amerykanie strzelali do siebie z odległości zaledwie kilkunastu metrów. Wśród zabitych byli między innymi oficer bezpośrednio podlegający Fichtlowi oraz dowódca jednego z plutonów. Aż wreszcie pojawił się promyk nadziei dla Kompanii C: oto 5 kilometrów za plecami wroga helikopterami przetransportowano pozostałą część batalionu: „To był naprawdę piękny widok, kiedy zaczęły się zlatywać nasze śmigłowce (...). Od razu dało się wyczuć, że uwaga [WK] zaczęła się dzielić między wydarzenia rozgrywające się bezpośrednio przed nimi a to, co mogło za chwilę nastąpić na ich tyłach".

Amerykanie musieli ewakuować swoich rannych ciężarówkami, ponieważ z powodu nadzwyczaj intensywnego ostrzału nie było żadnych szans na lądowanie zwyczajowo odbierających ich z pola bitwy helikopterów medycznych – określanych powszechnie mianem *dust-offs*, czyli zamiatacze. Kiedy około godziny 14.00 bitwa wreszcie się zakończyła, a nieprzyjaciel się wycofał, Fichtl przekonał się, że w jego kompanii pozostało zaledwie 66 ludzi zdolnych do walki, a zanim uzupełniono wszystkie poniesione wówczas straty, miały minąć długie tygodnie. Na całe życie zapamiętał też szok, z jakim przyjął usłyszany w radio komunikat sztabu dywizji podający trzykrotnie zawyżoną liczbę ofiar po stronie nieprzyjaciela w stosunku do tej, jaką on sam znał od bezpośrednich uczestników. W roku 1966 odbyło się około stu bitew

porównywalnych do tej, jaką stoczył 2. Batalion 18. Pułku Piechoty. W przytłaczającej ich większości to komuniści stracili więcej ludzi od Amerykanów, ale tylko z rzadka uznawali oni własną porażkę. Był to rok, w którym Westmoreland miał się aż za bardzo przekonać, że „żółtki" rzadko, jeśli w ogóle, zamierzają się poddawać. A im dłużej z uporem odmawiali zejścia z ringu, tym mocniej zaczynali doprowadzać do frustracji najpotężniejsze państwo na Ziemi.

13
Łapówki i olejek miętowy

1. KRADZIEŻE

Korupcja była zjawiskiem powszechnie występującym w całym Wietnamie Południowym. Amerykańskie agencje do spraw narkotyków nie dawały sobie rady z powstrzymywaniem handlu heroiną, kokainą i marihuaną, ponieważ w jego organizację zaangażowane były aż po same uszy czołowe postacie reżimu i ich klienci. Zarówno w wojsku, jak i w życiu cywilnym prawie nikt nie słyszał o czymś takim jak awans za zasługi. Niektórzy oficerowie przez dekady pozostawali porucznikami, bo brakowało im wpływów i gotówki. Wyższe dowództwa przydzielano z kolei nie na podstawie kompetencji świeżo upieczonych generałów, lecz zgodnie z ich sympatiami politycznymi. Napływ ogromnej masy Amerykanów tylko wzmógł wszechobecne łapówkarstwo i oszustwo. Amerykańska pomoc gospodarcza Commercial Import Program (CIP) swoją największą wartość osiągnęła w roku 1966 kwotą 400 milionów dolarów. Część z tych pieniędzy wydano zgodnie z przeznaczeniem – na przykład na zakup tysięcy maszyn do szycia dla małych zakładów dziewiarskich. Całkiem sporo trafiło jednak wprost do kieszeni dobrze ustawionych biznesmenów, zwłaszcza tych wspierających reżim, którzy importowali za nie rozmaite dobra luksusowe sprzedawane potem na ulicznych targowiskach Sajgonu. Duong Van Mai napisała: „W tej klasie nowobogackich znajdowało się wielu takich, którzy bez skrupułów okradali Amerykanów”[1]. Starsi ludzie narzekali, że w odróżnieniu od tradycyjnej wietnamskiej hierarchii, w której najwyżej stali uczeni, za nimi szli chłopi, potem rzemieślnicy, a na końcu kupcy, teraz na samym szczycie drabiny społecznej wydawały się lokować dziewczęta z barów,

a na sam jej koniec zepchnięci zostali wszyscy uczciwie i ciężko pracujący, wyprzedzani nawet przez pokojówki czy taksówkarzy. „Dla nas termin «kultura Zachodu» oznacza bary, burdele, czarny rynek i jakąś niepojętą maszynerię, w większości siejącą zniszczenie" – wyjaśniał jeden z chłopów, Phung Thi Le Ly[2].

Sporządzony już po wojnie raport amerykańskiej organizacji pomocowej USAID konkludował: „Korupcja (...) stanowiła bardzo ważny czynnik sprzyjający pogarszaniu się ogólnonarodowego morale, co ostatecznie doprowadziło do porażki". A jeden z generałów Południa w taki oto niewesoły sposób pisał o którymś kolejnym przetasowaniu wśród ministrów i dowódców zarządzonym przez prezydenta Thieu: „Te zmiany w niczym nie poprawiły przywództwa ani nie przysłużyły się naszej narodowej sprawie. Wprowadzono je w ramach wciąż tej samej, aż nazbyt dobrze znanej sieci intryg i walk o władzę, biorąc za podstawę nie doświadczenie i zasługi, lecz osobistą lojalność i stosunki klanowe"[3]. Generał Vien przytaczał ze smutkiem dość typowy przykład oficera, który sprawdzał się świetnie jako dowódca pułku, ale kiedy mianowano go naczelnikiem prowincji Binh Dinh, zaczął przydzielać publiczne stanowiska i wyświadczać rozmaite przysługi za pieniądze, a swojej żonie pozwolił prowadzić pokątną szulernię[4].

Oficjalny kurs wymiany wietnamskiego piastra bezustannie sztucznie zawyżano, tak by sprzedaż pozwoleń na import towarów mogła wciąż przynosić sute zyski[5]. Samą walutę wymieniano najczęściej na czarnym rynku, dzięki czemu wzrastały fortuny wielu obrotnych ludzi, w tym etnicznych Chińczyków, mających dostęp do dolarów albo bonów towarowych amerykańskiej armii. Do kupienia, po odpowiednio wysokiej cenie, było właściwie wszystko, poczynając od cementu czy lodówek, a kończąc na pojazdach i urządzeniach mechanicznych, broni oraz amunicji. Kwitły też interesy fałszerzy podrabiających wszystko, co tylko się dało. Podobne plagi towarzyszą rzecz jasna wszystkim konfliktom, ale w tym wypadku utrzymywały się one na tyle długo, że niektóre z nich doczekały się jakiejś formy instytucjonalizacji. I tak premier Nguyen Cao Ky, wielokrotnie i głośno ogłaszający krucjaty przeciw korupcji, twierdził, że oficer policji odpowiedzialny za walkę z przestępczością w Cholon zapłacił mu 130

tysięcy dolarów za zdobycie swojej posady, po czym zadbał, by inwestycja ta zwróciła mu się już po dwóch latach[6]. Z kolei wojskowy gubernator Sajgonu wysyłał oddziały żołnierzy do chronienia wielkiego kasyna w Cholon w zamian za niewielki odsetek jego przychodów.

Według wojskowego biura śledczego armii amerykańskiej zjawiska czarnego rynku i przestępstw walutowych „[przekraczały] możliwości działania agencji pilnujących przestrzegania prawa”[7]. Typowy był choćby przypadek pewnych trzech dezerterów z marines: ukrywając się w Da Nang, podrobili rozkazy swojego przeniesienia do Sajgonu, gdzie dołączyli do szajki 47 innych dezerterów z wojska zajmujących się szeroko zakrojonym procederem wymuszania okupów. Z zysków wynajmowali apartamenty w Sajgonie, przesyłali pieniądze do domu i przekupywali żandarmerię, by zanadto się nimi nie interesowała. Szajkę ostatecznie rozbito, a jej członków wtrącono do więzienia, ale wśród mundurowych było znacznie więcej domorosłych gangsterów[8]. Bodaj najbardziej zdumiewającym aspektem tej wysokiej przestępczości było jednak nie to, że sami Wietnamczycy walczyli z nią wyjątkowo opieszale, lecz fakt, iż zamieszane w nią były pewne elementy amerykańskich struktur rządowych. Jeden z cywilnych przedsiębiorców budowlanych, Cornelius Hawkridge, napatrzył się w Sajgonie na tak wiele nieprawidłowości i machinacji, że w końcu zdesperowany zaczął sam śledzić nielegalną działalność przestępczą, by z dowodami i formalną skargą udać się do władz amerykańskich, które… zupełnie go zignorowały. Hawkridge jeszcze przez jakiś czas samotnie prowadził swoją własną małą krucjatę, by wreszcie opisać ją w roku 1971 w książce zatytułowanej *A Very Private War* (*Wojna bardzo osobista*), która wzbudziła niestety znacznie mniejszy odzew, niż na to zasługiwała. Z reguły jednak cywilni przedsiębiorcy, w tym kilka największych amerykańskich korporacji, sami zaangażowani byli bardzo głęboko w działalność przestępczą. Wojskowi śledczy ustalili, że czarny rynek walutowy zdominowany był przez pewien syndykat operujący z Madrasu, a podkomisja senacka oszacowała wartość rocznych przepływów finansowych na tym rynku na ćwierć miliarda dolarów.

Senator Karl Mundt z Dakoty Południowej słusznie zauważył, że obroty o tak wielkiej skali mogły mieć miejsce jedynie przy współudziale amerykańskich banków, w których przestępcy trzymali wyprane w ten sposób pieniądze, w tym przede wszystkim instytucji takich jak Irving Trust i Manufacturers Hanover Corporation. Frank Furci, syn mafiosa z Florydy, służył przez krótki czas w amerykańskiej armii w Wietnamie, by po zwolnieniu ze służby powrócić wraz z poznanym tam kolegą do kraju i rozkręcić na miejscu biznes przemytniczy we współpracy z wciąż pozostającymi w wojsku podoficerami; zyski z tego przedsięwzięcia transferowano do International Credit Bank w Genewie. Inną ważną centralą nielegalnego obrotu pieniędzmi był oddział firmy Deak & Co. w Hongkongu; sama ta firma założona została w roku 1939 przez węgierskiego imigranta Nicholasa Deaka, który spędził lata wojny, służąc w OSS. W roku 1964 magazyn „Time" nazwał go wprost „Jamesem Bondem w świecie pieniędzy". Przestępcy piorący swoje zyski poprzez Deaka dobrze wiedzieli, że są zabezpieczeni przed nadmiernym zainteresowaniem ze strony agencji pilnujących przestrzegania prawa, ponieważ to właśnie jego firma stanowiła wygodny kanał przekazywania łapówek dla zagranicznych rządów przez amerykańskie korporacje. A w 1976 roku „Washington Post" ujawnił dodatkowo, że Deak obsługiwał też olbrzymie czarnorynkowe transakcje prowadzone przez biuro CIA w Sajgonie, dzięki którym Agencja mogła wręcz podwoić swój budżet przydzielony jej w tym regionie.

Niezależnie od tego, jak źle możemy oceniać zachowanie wysoko postawionych Wietnamczyków okradających swój własny naród, nie mogliby oni zbyt długo kontynuować tego procederu bez aktywnego bądź pasywnego współudziału tysięcy Amerykanów, z których część również zajmowała stosunkowo wysokie stanowiska. W roku 1972 za udział w szeroko zakrojonych oszustwach związanych z klubami wojskowymi i punktami PX skazano najwyższego rangą podoficera armii amerykańskiej, sierżanta sztabowego Williama Woolridge'a. W przekrętach tych uczestniczyły też całe rzesze sierżantów pracujących w zaopatrzeniu. Pewien młody oficer programu CORDS nazwiskiem Hal Meinheit regularnie proszony był

o podpisywanie pokwitowań odbioru jakichś rzekomo zakupionych materiałów, które przy choćby pobieżnym zbadaniu wyglądały na całkowicie lipne. Jego oburzenie wywołała jednak dopiero informacja, że pieniądze z tego procederu płynęły do kieszeni jednego z wojskowych kolegów: „Nawykłem już do korupcji wśród Wietnamczyków, ale nie spodziewałem się, by także dobrze opłacany amerykański doradca mógł przykładać rękę do takiego wykorzystywania systemu”[9].

2. RZĄDZENIE

Błędem jest postrzeganie korupcji wyłącznie jako zwykłego i nieodłącznego skutku ubocznego prowadzonej wówczas wojny. Był to bowiem czynnik na tyle zaraźliwy, że zainfekował samo sedno wysiłku wojennego Stanów Zjednoczonych. Społeczeństwo, w którym szerzył się i świetnie prosperował występek, nawet specjalnie nie kryjąc się przed oczami świata, podczas gdy cnota nie była w żaden sposób nagradzana, niedomagało w sposób bardzo poważny jeszcze przed jakimkolwiek starciem z nieprzyjacielem. Trudno więc się było dziwić respektowi, jakim cieszyli się mianowani przez Wietkong szefowie prowincji, odziani w noszone przez zwykłych chłopów czarne koszule, a na nogach noszący sandały wycięte ze starych opon, zwłaszcza gdy zestawiało się ich z odpowiednikami przysyłanymi przez Sajgon, którzy jeździli mercedesami, a swoje żony stroili w drogie ciuchy i biżuterię. Amerykanie często lekceważyli problem korupcji, wychodząc z założenia, że przecież każdy azjatycki rząd był nią przesiąknięty do szpiku kości. Tyle że nie każdy z nich był jednocześnie zaangażowany w walkę na śmierć i życie z komunistyczną partyzantką.

Pełniący w latach 1965–1966 funkcję premiera Wietnamu Południowego Nguyen Cao Ky szybko przekonał się, jak pisze, że „wszystko, czego tylko się dotykałem, miało potencjalnie jakąś wartość finansową! Tu przydział do służby bliżej domu dla jakiegoś majora, a tam możliwie daleko dla czyjegoś rywala w walce o względy jakiejś kobiety. Raz licencja na import jakichś towarów, raz na budowę albo

zamknięcie jakiejś fabryki, a raz na rozpoczęcie nowego przedsięwzięcia. Kontrakt budowlany. Jakaś mało wymagająca praca dla krewniaka. Zwolnienie od poboru albo od konieczności służby w jednostce bojowej. Łagodny wyrok dla skazanego już przestępcy”[10]. Ky ostatecznie pogrążył się w oczach sajgońskiego korpusu prasowego, a za jego przyczyną także w oczach międzynarodowej opinii publicznej, kiedy zaczął raz za razem chwalić Trzecią Rzeszę i jej wodza, jak choćby w wywiadzie udzielonym w roku 1966 pewnemu niemieckiemu korespondentowi: „Podziwiam Hitlera, ponieważ potrafił doprowadzić do porządku wasz kraj po tym, jak znalazł się on w straszliwym stanie na początku lat trzydziestych. Nasza sytuacja tu, w Wietnamie, jest jednak tak rozpaczliwa, że potrzebujemy w zasadzie ze czterech albo pięciu Hitlerów”[11]. Wprawdzie politbiuro w Hanoi okazywało lustrzany wręcz entuzjazm dla Stalina i Mao Zedonga, dwóch kolejnych masowych morderców XX wieku, ale w latach sześćdziesiątych tegoż stulecia żaden z nich nie wzbudzał jeszcze w zachodnich kręgach liberalnych odrazy choćby porównywalnej z tą, z jaką powszechnie spotykał się Hitler.

Bodaj jeszcze większe straty wizerunkowe premier Ky poniósł, nieumiejętnie postępując z pewnym trzydziestopięcioletnim wietnamskim kupcem chińskiego pochodzenia nazwiskiem Ta Vinh. W ramach prowadzonej przez Ky kampanii przeciw korupcji Vinh został najpierw uznany za winnego defraudacji, skupywania waluty, spekulacji i próby przekupstwa. Co gorsza, za wszystkie te występki skazano go na karę śmierci, a publicznej egzekucji dokonano o świcie 14 marca 1966 roku na centralnym targowisku Sajgonu, Ben Thanh, w obecności tłumu ludzi, wśród których była też łkająca małżonka Vinha oraz siedmioro z jego ośmiorga dzieci. Pluton egzekucyjny składał się z dziesięciu członków elitarnego oddziału spadochroniarzy, ale mimo to niespecjalnie się oni spisali: robotę musiał za nich dokończyć pistoletem jeden z oficerów. Choć nikt nie wątpił w winę skazanego biznesmena, to nałożona nań kara wydawała się rażąco niesprawiedliwa, bo przecież Vinh praktykował jedynie to, za co tysiącom innych bogatych Wietnamczyków nie spadł z głowy choćby włos. Komuniści mordowali wprawdzie ludzi nawet w bardziej

barbarzyński sposób, ale mieli na tyle rozsądku, by nie czynić tego przed kamerami zaproszonych z całego świata stacji telewizyjnych. Tymczasem za przyczyną tyleż niepotrzebnej brutalności, co zwykłej nieporadności, Ky jeszcze bardziej pogrążył się w oczach zagranicznej opinii publicznej, która i tak nie miała o nim specjalnie wysokiego mniemania.

W lutym prezydent Johnson spotkał się zarówno z Ky, jak i z Thieu w Honolulu, gdzie udzielił im surowego napomnienia, że powinni jak najprędzej zająć się problemami swojego kraju, które niepokoiły zwykłych Wietnamczyków. Zwrócił im na przykład uwagę, że już jakieś 2 miliony Wietnamczyków z Południa zmuszonych było opuścić rodzinne domy. Problem z uchodźcami, jak wyjaśnił Johnson swoim wietnamskim gościom, to „w moim kraju problem gorący niczym pistolet. A ponieważ w waszym interesie leży, bym nie wywieszał białej flagi i się nie poddawał, więc musimy razem coś z tym zrobić". Dodał też, że gdyby tylko obaj poczytali sobie „New York Timesa" oraz zapisy niedawnych przesłuchań przed senacką Komisją do spraw Stosunków Zagranicznych, wówczas z pewnością zrozumieliby, jak wielka presja ciąży teraz na Białym Domu, by przedstawić w kraju dowody na to, iż w Sajgonie idzie ku lepszemu. Podczas wspomnianych przesłuchań Max Taylor powiedział członkom komisji, której przewodniczył Fulbright, że Stany Zjednoczone dążą obecnie do sukcesów na polu bitwy wystarczających, by móc zmusić nieprzyjaciela do zaakceptowania niepodległego i niekomunistycznego Wietnamu. Dean Rusk dorzucił zaś: „Twardość jest absolutnie nieodzowna dla osiągnięcia pokoju". Największe uznanie ze wszystkich przesłuchiwanych przed komisją świadków zdobył jednak George Kennan, który powiedział wprost, że „większy szacunek w oczach światowej opinii publicznej zapewniłoby [nam] stanowcze i śmiałe wycofanie się z niepewnych pozycji".

Niewielu Wietnamczyków, a już z pewnością nie Ky, miało jakiekolwiek pojęcie o tym, jak działała Ameryka. Premier rzadko czytywał amerykańską prasę, a już w późniejszym czasie napisał: „Jeśli Amerykanie, którzy całą rzeszą przybyli do mojego kraju, nigdy nie zdołali zrozumieć Wietnamu, to i mój naród (...) także nie rozumiał

Ameryki (...). Ja sam nie zdawałem sobie do końca sprawy z potęgi amerykańskich mediów i ich wpływu na kształtowanie opinii publicznej (...). Uważałem, że Ameryka to prezydent Johnson i jego ambasadorzy; sądziłem, że kiedy rozmawiamy z kongresmenami, sekretarzami różnych departamentów i najważniejszymi generałami, to w gruncie rzeczy rozmawiamy z Ameryką. Ale w stu procentach się myliliśmy"[12]. Ky wyrażał żal, że nie poświęcał więcej uwagi na zdobywanie uznania opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych, choć zważywszy na jego własną osobowość i na samą naturę jego rządu, trudno doprawdy sobie wyobrazić, jak mógłby w ogóle tego dokonać.

Tymczasem po raz kolejny dała o sobie znać zaściankowość i naiwność sajgońskich generałów, doprowadzając do nowego kryzysu. Podczas gdy Amerykanie rzucali na szalę coraz większe zasoby uzbrojenia i żołnierzy, by wygrać wojnę, ich wietnamscy klienci zaczęli rozgrywać jakiś dziwny wyścig o władzę na terenie całego kraju. Stało się tak dlatego, że po rozmowach przy stole konferencyjnym w Honolulu, gdzie posadzono go naprzeciwko samego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Ky doszedł do przekonania, iż może teraz w większym stopniu wykorzystywać swój własny autorytet. Jego pierwszym ruchem było usunięcie ze stanowiska dowódcy I Korpusu, generała Nguyena Chanha Thi, który zarządzał prowincjami północnymi niczym swoim osobistym lennem, z siedzibą w Hue.

Ta prastara stolica leżąca nad Rzeką Perfumową była ostatnim ważnym miastem w Wietnamie Południowym, które wciąż zachowywało swój wietnamski charakter, pełne pogody i spokoju, prawie wcale nie dotknięte amerykanizacją. Kobiety z Hue cieszyły się opinią najlepszych kucharek w kraju. W mieście roiło się od studentów, przysiadających w okolicach bramy Ngo Mon, by w spokoju poczytać sobie w otoczeniu lotosowych stawów. Na murach francuskiej cytadeli wciąż widniały rozmaite, dość enigmatyczne graffiti w rodzaju: „*Liberté, qu'est-ce que c'est?*" czy „*Amour?*". W dawnym klubie kolonialnym woda w basenie wyschła już do połowy, na pianinie zalegał grubą warstwą kurz, a na stolikach leżały stare egzemplarze „Le Monde" i „France Soir". Miasto szczyciło się również bogatą, jeśli nie dominującą kulturą buddyjską. A Thi zdołał przekonać mnichów, że ich interesy są

w zasadzie zbieżne z jego własnymi. W rezultacie 12 marca wybuchły pierwsze demonstracje sprzeciwu wobec zwolnienia generała, a już wkrótce do buddystów dołączyli studenci. Fala protestów szybko rozprzestrzeniła się na Da Nang i Sajgon, a następnie poszerzyła o strajkujących robotników. Jedna z ulotek rozdawanych przez członków Grupy Walczących Buddystów obwieszczała: „Jesteśmy uciskani przez dwie siły – komunistów i Amerykanów. Musimy odzyskać nasze prawo do samostanowienia".

Przy wszystkich pretensjach Ky do rządzenia był on zaledwie najbardziej widocznym członkiem władającej krajem wojskowej junty. W obliczu kłopotów nadchodzących z północy po prostu spanikował. Zrozpaczony ambasador Lodge pisał do Lyndona Johnsona: „Większość z tego, co mówi [Ky], następuje jakiś tydzień albo dwa za późno. A w dodatku, nawet jeśli już jakiś Wietnamczyk mówi coś inteligentnego i prawdziwego, zawsze trzeba sobie zadać pytanie, czy jest w stanie w ogóle cokolwiek z tym zrobić". Tak czy inaczej premier zdołał przekonać Amerykanów, że buddyści działają w zasadzie w interesie komunistów, a północna część kraju dąży do secesji. Szef sztabu II Korpusu zaś wyjaśniał dowództwu MACV, że „w armii trwała systematyczna działalność wywrotowa prowadzona przez buddyjskich kapelanów, którzy powtarzali żołnierzom, iż powinni szykować się do złożenia broni, ponieważ ta wojna toczona jest dla dobra Stanów Zjednoczonych"[13]. Na prośbę Ky Lodge udostępnił mu samoloty w celu przetransportowania dwóch batalionów wietnamskich marines do Da Nang, który to krok jeszcze bardziej wzmocnił narastającą falę antyamerykanizmu. Potem zaś Ky poszedł na pierwsze ustępstwa, obiecując rozpisanie wyborów w ciągu trzech do pięciu miesięcy, a po ogłoszeniu ich wyników ustąpienie ze stanowiska.

Te zapewnienia na krótko uspokoiły buddystów – co z kolei ośmieliło premiera do wysłania kolejnego tysiąca żołnierzy do Da Nang, bez informowania o tym ani prezydenta Thieu, ani Amerykanów, a potem również do wycofania się ze swojej obietnicy złożenia urzędu. Ponadto Ky wezwał do siebie trzynastu najważniejszych mnichów, którym zapowiedział, że grubo się pomylili, jeśli sądzili, iż pozwoli, by obalono go z równą łatwością jak kiedyś Diema: „Zanim uda wam się mnie

zabić, ja z wielką przyjemnością powystrzelam was osobiście, jednego po drugim”[14]. Demonstracje wróciły więc na ulice miast, wzbudzając coraz większy niepokój Amerykanów i odwracając ich uwagę od operacji przeciwko komunistom, którzy ze zdumieniem stali się tym samym zwykłymi widzami wewnętrznych rozgrywek o władzę.

Rząd Stanów Zjednoczonych uznał za oczywiste, że ma w tej sytuacji wszelkie prawo do ustanowienia nowego porządku w Wietnamie Południowym. 14 maja Averell Harriman odnotował rozmowę odbytą z McNamarą: „Zapytałem go, dlaczego nie mamy skłonić wojskowego komitetu [w Sajgonie] do wysunięcia kogoś innego na stanowisko premiera”. McNamara odparł, że tego rodzaju działanie należało odłożyć do czasu przeprowadzenia wyborów do wietnamskiego parlamentu we wrześniu. Traf chciał, że dokładnie tego samego dnia żołnierze wysłani przez Ky wylądowali w Da Nang, a w całodziennych walkach, które się tam z miejsca wywiązały, zginęło 14 dysydentów. Niedługo potem premier posłał na północ bezwzględnego szefa policji, pułkownika Nguyena Ngoc Loana, który szybko przywrócił rządową kontrolę w zbuntowanych miastach, zabijając setki zwolenników Thi, przy czym część z nich wywleczono z teoretycznie nietykalnych świątyń buddyjskich. Doszło do publicznego samospalenia kolejnych ośmiorga mnichów i mniszek – cały rytuał poszerzono teraz o jeden nowy element: współbracia polewali płonące ofiary olejkiem miętowym, by zamaskować jakoś drażniący powonienie odór palonego mięsa.

Loan systematycznie dogaszał tlące się jeszcze gdzieniegdzie ogniska buntu, wtrącając do więzień kilkuset najbardziej nieprzejednanych buntowników. W końcu udało mu się całkowicie zdławić opór buddystów, choć Wietnam Południowy zapłacił za to dalszymi stratami w swoim już i tak mocno nadwątlonym międzynarodowym wizerunku. James Reston napisał w „New York Timesie”, że kraj ten stał się „plątaniną rywalizujących ze sobą postaci, regionów, religii i sekt, zdominowaną przez centralną grupę wojskowych autokratów reprezentujących różne regiony, przez swoistą armię bez kraju rządzącą narodem rozrywanym wojną i poddawanym ciągłej eksploatacji (...) od całych pokoleń”[15]. Na nowego dowódcę I Korpusu premier Ky awansował Hoang Xuan Lama, powszechnie znanego ze

swojej niekompetencji dotychczasowego dowódcę 2. Dywizji. Mimo wciąż powtarzających się porażek na polu bitwy Lam zachowywał to stanowisko przez całe lata, bo wykazywał się bodaj najbardziej wówczas cenioną cechą – bezwzględną lojalnością wobec reżimu. Tymczasem generał Earle Wheeler kierował z Waszyngtonu ostrzeżenia pod adresem Westmorelanda, że chaos narastający w Sajgonie sprzyja antywojennej gorączce w ojczyźnie: „Nie sposób oczekiwać, by naród amerykański bez końca znosił tę trwającą już od dłuższego czasu i wielce niepokojącą sytuację (...). Wydaje mi się, że wyczuwam pierwsze oznaki nadchodzącej burzy". Generał dodawał, że rząd Stanów Zjednoczonych „nieodwracalnie utracił poparcie części własnych obywateli (...). Wielu z tych ludzi już nigdy więcej nie uwierzy, że ponoszone przez nas wysiłki i poświęcenia są jakkolwiek uzasadnione". Szefowie Sztabów opracowywali właśnie plany zaangażowania w Wietnamie pół miliona żołnierzy, a sam Westmoreland żądał ich już 700 tysięcy.

Tymczasem Wietkong ogłosił czerwiec 1966 roku „miesiącem nienawiści do Ameryki". Niejako w odpowiedzi na tę inicjatywę wysocy urzędnicy ambasady w Sajgonie zorganizowali w tym miesiącu wieczór muzyki ludowej, na który zaprosili Pham Duya, słynnego kompozytora i piosenkarza, który kiedyś służył w Wietminhu, ale zdezerterował zniesmaczony kulturowymi represjami komunistów. Amerykanie, na czele z Henrym Cabotem Lodge'em i Edem Lansdale'em, wyśpiewywali na głos takie hity jak *Whiffenpoof Song* (*Pieśń grupy Whiffenpoof*) czy *Wounded Soldier* (*Ranny żołnierz*), a wreszcie największy przebój Pham Duya, pochodzący z roku 1965 *The Rain on the Leaves* (*Deszcz na liściach*). Wietnamczycy, odziani w charakterystyczną chłopską czerń, wyrecytowali z kolei jego wzniosły poemat *Mother Vietnam* (*Matka Wietnam*), a potem zaśpiewali trzy starsze kawałki jeszcze z czasów Wietminhu: *Guerrilla March* (*Marsz partyzantów*), *Winter for the Fighting Man* (*Zima bojownika*) i *Carrying Rice for the Soldiers* (*Niosąc ryż dla żołnierzy*). Na koniec sam Duy ze wzruszeniem podziękował przybyłym i przyznał się, że najbardziej poruszył go motyw muzyczny *We Shall Overcome* (*Zatriumfujemy*), wykorzystywany przez amerykańskie ruchy walki o prawa obywatelskie. Niedługo potem ten sam Duy, którego

twórczość zakazana była przez komunistów aż do roku 2000, z konsternacją przyjął wiadomość, że ta jego ulubiona amerykańska ballada została w zupełności zawłaszczona przez ruch antywojenny w Stanach Zjednoczonych.

We wrześniu rzeczywiście odbyły się wybory do zgromadzenia narodowego, z jednym wszakże, dość istotnym zastrzeżeniem, że pozwolono w nich wystartować jedynie tym kandydatom, których zaakceptował sam premier Ky. Głównym zaskoczeniem po ich zakończeniu był jednak fakt, że wzmocniła się wówczas pozycja nie tyle premiera, ile Nguyena Van Thieu. W Sajgonie mówiło się głośno, że to po prostu małżonka Thieu zaczęła naciskać i popychać tego małomównego żołnierza do większej aktywności politycznej, jak zresztą czyniło to wiele silnych i ambitnych wietnamskich kobiet w stosunku do swoich mało zdecydowanych mężów. Kiedy zatem w następnym roku rozpisano wybory prezydenckie, zgodnie z zapisami nowej konstytucji sporządzonej w głównej mierze w Waszyngtonie, Ky ubiegał się już tylko o stanowisko wiceprezydenta, choć niewątpliwie uważał w skrytości ducha, że da mu ono sposobność dalszego sprawowania rzeczywistej władzy z tylnego siedzenia. Jak się okazało, rachuby te całkowicie go zawiodły, został bowiem odtąd zupełnie zmarginalizowany, a jego rywal miał już rządzić nieprzerwanie aż do ostatecznego upadku Wietnamu Południowego. W wyborach tych ujawniła się ponadto znacząca mniejszość, która w proteście przeciwko rządom wojskowym oddała głosy na własnego kandydata, pewnego mało pociągającego prawnika; dziwnym trafem trafił on zresztą wkrótce do więzienia.

Amerykańscy politycy coraz głośniej domagali się odpowiedzi na pytanie, dlaczego Stany Zjednoczone mają w dalszym ciągu wspierać sajgońskie rządy składające się z wojskowych autokratów, na co CIA niewzruszenie odpowiadała, że oprócz nich w Wietnamie nie ma w zasadzie nikogo innego: „To najlepiej wykształceni, najbardziej zdyscyplinowani i najwszechstronniej utalentowani ludzie wśród tamtejszej elity". Nie była to bynajmniej ocena daleka od prawdy, skoro od roku 1945 społeczeństwo wietnamskie zmagało się niemal bezustannie z koniecznością toczenia jakiejś wojny. Ale też tak wielka

dominacja Ky, a teraz również Thieu, w zasadzie uniemożliwiała dalsze wiarygodne przedstawianie Wietnamu Południowego jako demokracji. Pewien generał z Południa długo po tych wydarzeniach pisał o wielkich różnicach charakterologicznych dzielących Amerykanów i ich sajgońskich klientów: „Amerykanie są aktywni, niecierpliwi i racjonalni. Wietnamczycy są zgodni, cierpliwi i sentymentalni”[16]. Żołnierz ten zauważał w dalszej części swojego wywodu, że demokracja stanowiła dla jego rodaków zupełnie nieznaną nowinkę, a w wyniku niełatwych kompromisów między obydwoma systemami Wietnamczykom z Południa zapewniono liczne swobody, w tym zwłaszcza wolność wypowiedzi, co stało się dla sajgońskiego reżimu prawdziwym przekleństwem. W oczach opinii światowej był on wystarczająco opresyjny, by zasługiwać na potępienie, a jednak wciąż brakowało mu sił i środków, by móc skutecznie kontrolować swoje własne społeczeństwo.

Nguyen Van Thiem, prezydent Wietnamu Południowego w latach 1965–1975. Fotografia z 1969 roku

W październiku 1966 roku Lyndon Johnson został pierwszym urzędującym prezydentem Stanów Zjednoczonych, który odwiedził, wprawdzie na krótko, Wietnam, gdzie w przemowie do żołnierzy z zatoki Cam Ranh namawiał ich do upolowania „szopa i przybicia [jego] skóry do ściany". A Robert Komer stwierdził wówczas: „Zaczynamy «wygrywać» w tej wojnie". Ówczesne tendencje rzeczywiście rysowały się dość korzystnie. Robert McNamara publicznie wciąż manifestował swój niesłabnący optymizm, choć prywatnie przyznawał się już do rozmaitych wątpliwości i obaw. Politycznie zaś, po zamieszaniu z lat 1966–1967 związanym z buntami w Sajgonie, Hue, Da Nang i innych dużych miastach, reżim Thieu–Ky tylko się wzmocnił i osiągnął pewną stabilność, która pozwoliła mu

przetrwać w sposób niezagrożony aż do roku 1975, choć za cenę przyprawienia sobie łatki znienawidzonych przez Wietnamczyków ze wszystkich stron sceny politycznej marionetek w rękach prawdziwej władzy, wydającej polecenia z zagranicy. W roku 1967 przeprowadzono wybory lokalne, w których jednak mogło głosować stosunkowo niewielu chłopów, co z miejsca wzbudziło całkiem uzasadnione podejrzenia o ich wcześniejsze „ustawienie".

A skoro w Wietnamie Południowym w praktyce skończyła się jakakolwiek znacząca polityka, nie mogło też być mowy o jakimkolwiek poczuciu dumy z państwa, które mimo to wciąż wysyłało swoich obywateli na front, by tysiącami ginęli za utrzymywanie go przy życiu. Kto wie, czy nie najważniejsze z wielu istotnych wartości, których przywódcy Wietnamu Południowego konsekwentnie nie byli w stanie zapewnić swoim rodakom, stanowiły poczucie własnej wartości i szacunek dla samych siebie.

Pod koniec 1967 roku Thieu przeprowadził się do pałacu prezydenckiego w Sajgonie. Od tej pory regularnie doprowadzał go do szału Ky, uwielbiający lądować swoim helikopterem na dachu budynku, tuż nad sypialnią prezydenta, o dowolnych porach dnia i nocy. Aby jednak nie naruszać delikatnego stanu równowagi między nim a wiceprezydentem, Thieu sam nic w tej sprawie nie robił, za to wysyłał na skargę swoją małżonkę. Neil Sheehan powiedział o nim kiedyś: „Thieu był naprawdę wytrawnym graczem. Choć nie cofał się przed najbardziej oburzającymi oszustwami, nigdy nie dał powodów do choćby cienia podejrzeń, że mógłby stanowić zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych. A Amerykanie byli skłonni tolerować nawet najgorsze wietnamskie przywództwo, byle tylko nie sprzeciwiało się ono realizacji ich celów"[17].

Kiedy Duong Van Mai zaczęła pracę dla RAND, przeprowadzając wywiady z jeńcami Wietkongu, mimo głębokich przekonań antykomunistycznych złapała się na rozmyślaniu, dlaczego rząd w Sajgonie nie był w stanie motywować swoich ludzi w taki sam sposób, w jaki czynili to komuniści, to jest umacniając wiarę w „słuszność naszej sprawy". Napisała wówczas: „I stopniowo, krok za krokiem mnie oświeciło (...) – przegrywaliśmy sami przez siebie, ponieważ nie

potrafiliśmy stworzyć żadnego systemu, żadnej ideologii i żadnego przywództwa, dzięki którym można by wpoić ludziom takie właśnie przekonanie, dać im inspirację i zjednoczyć ich ze sobą”[18]. Stany Zjednoczone starały się, jak mogły, wspomagać fizyczną walkę i codzienne potrzeby Wietnamczyków, nie umiały jednak zaoferować zbyt wiele, by wesprzeć pogubione dusze Południowców.

3. GOURÉ I INNI GURU

W miarę nasilania się walki pojawiało się też coraz więcej rozmaitych propozycji, jak odnieść ostateczne zwycięstwo, w większości zupełnie nierealistycznych. Wśród rozważanych opcji z zakresu wojny psychologicznej była między innymi operacja „Shotgun” z maja 1966 roku. Miała ona polegać na całej serii pozorowanych ataków z wody na plaże w Wietnamie Północnym, które winny przekonać Hanoi, że są to ostatnie ćwiczenia przed rzeczywiście planowaną inwazją amerykańskich żołnierzy. Niechętnie odnosił się do niej zwłaszcza Earle Wheeler: argumentował, że gdyby faktycznie uwierzono w realność zagrożenia, wiązałoby się to z oburzeniem światowej opinii publicznej, co dałoby nieprzyjacielowi „doskonały materiał propagandowy”[19]. A gdyby z kolei próbować straszyć inwazją, do której ostatecznie by nie doszło, Stany Zjednoczone wyglądałyby żałośnie. Z kolei wśród mrzonek i fantazji generała Westmorelanda warto wymienić wizję prowadzonego pod przymusem programu urbanizacji, w ramach którego chłopów przenoszono by siłą do miast i w ten sposób wyrywano by ich spod wpływów Wietkongu. Koncepcja ta bardzo spodobała się również Bobowi Komerowi.

Tymczasem sekretarz obrony przywiązał się do jeszcze jednej propozycji, wysuniętej przez naukowca z Uniwersytetu Harvarda, profesora Rogera Fishera, a następnie popartej przez wydział JASON w Instytucie Analiz Obronnych (Institute for Defense Analyses), by ustanowić swego rodzaju elektroniczną barierę wybuchową, mającą odciąć dostęp z Północy zarówno bezpośrednio do Strefy Zdemilitaryzowanej, jak i do Wietnamu Południowego, poprzez Szlak

Ho Chi Minha. Owa „linia McNamary" miałaby powstać poprzez zrzucenie z powietrza 240 milionów min Gravel, 300 milionów „bombek guzikowych" (*button bomblets*) produkowanych przez Piccatinny Arsenal oraz 120 tysięcy bomb kasetowych Sadeye, a ponadto 19 200 sensorów akustycznych. Wymagałoby to użycia ponad stu samolotów, a roczne koszty wdrożenia tego programu oscylowałyby wokół 800 milionów dolarów. Ostatecznie wdrożono tylko niektóre jego elementy – wzdłuż Szlaku zrzucono olbrzymią liczbę sensorów, po czym bombardowano miejsca, w których wykryły one jakiś ruch. Odrzucono natomiast szerszą wersję bariery, bo praktycznie zewsząd, nawet z samej MACV, płynęły wobec niej słowa krytyki, o ile nie zwykłe szyderstwa. W przyszłości projekt ten miał być za to postrzegany jako wyjątkowo spektakularny przejaw szaleństwa ogarniającego z wolna decydentów planujących działania wojenne w Wietnamie.

Większość innych ekstrawaganckich teorii zakładała bombardowania powietrzne prowadzone w Wietnamie Południowym, Laosie, a później również w Kambodży z intensywnością niespotykaną dotychczas w historii działań wojennych. Pułkownik An z AWP napisał znużony: „Wystarczyło tylko, że liście drzew z lekka gdzieś przywiędły albo woda w jakimś strumieniu nagle się zamuliła, albo pojawiła się jakaś ścieżka tam, gdzie na zdjęciach z poprzedniego dnia żadnej ścieżki nie było, a nieprzyjaciel już przystępował do bombardowania i ostrzeliwania takiego miejsca"[20]. Co bardziej wrażliwi uczestnicy konfliktu, nie mówiąc już o jego postronnych obserwatorach, z narastającą konsternacją – a nawet zwykłą odrazą – patrzyli na to, jak te całkowicie bezładne i przypadkowe działania wpływają na życie ludności cywilnej. Na przykład 1 lipca 1966 roku amerykańskie bomby trafiły w wioskę uznawaną za przyjazną, zabijając tam 7 ludzi, a raniąc kolejnych 51. Z kolei 9 sierpnia eskadra F-100 ostrzelała pewną społeczność w Delcie, zabijając 63 cywilów i raniąc dalszych 83. A były to tylko najbardziej rzucające się w oczy przykłady pomyłek, które zdarzały się właściwie codziennie. Doradca sierżant Mike Sutton powiedział ze smutkiem: „Zabiliśmy całe mnóstwo ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z wojną"[21]. Zgadzał się z tym David Elliott, działający w My Tho: „Brutalność Wietkongu miała charakter indywidualistyczny, ale

zniszczenia czynione przez Amerykanów wynikały z przyjętej przez nich polityki”[22]. Korespondent wojenny Neil Sheehan zapytał kiedyś Westmorelanda, czy nie niepokoją go straty wśród cywilów zadawane przez jego własnych ludzi. Generał odparł na to: „Tak, Neil, to jest jakiś problem, ale z drugiej strony odbieramy w ten sposób nieprzyjacielowi dostęp do ludności, czyż nie?”[23].

Aż wreszcie dowództwu sił powietrznych (United States Air Forces, USAF) udało się pozyskać wsparcie pewnego guru, który argumentował, że po pierwsze, bombardowania były całkiem skuteczne, a po drugie – a to już był prawdziwy miód na uszy decydentów – że cywilne ofiary wcale nie obwiniały za swoje nieszczęścia Ameryki. Analityk RAND Leon Gouré, bo o nim tutaj mowa, odegrał ważną i w gruncie rzeczy ponurą rolę w ewolucji polityki bombardowań. Już w sierpniu 1964 roku, po miesięcznej wizycie w Wietnamie, zaraportował on dowództwu amerykańskich sił powietrznych, że jego zdaniem analiza RAND dotycząca motywacji i morale Wietkongu miała charakter przesadnie defetystyczny. Obiecał zarazem, że sam przedstawi bardziej pozytywny pogląd na wszelkie zalety i błogosławieństwa, jakie tylko można osiągnąć podczas tej wojny bombardowaniami.

Gouré urodził się w roku 1922 w Moskwie jako syn mienszewickiego rewolucjonisty, już wkrótce zmuszonego do ucieczki do Berlina. Kiedy był nastolatkiem, przeniósł się do Paryża, skąd jako Żyd musiał w szybkim tempie uciekać do Ameryki w roku 1940. Po zakończeniu służby wojskowej podjął pracę naukową, a ponieważ odpowiadała mu logika zimnej wojny i wykazywał się niesłabnącą nienawiścią do komunizmu, trafił w końcu jako analityk do RAND. W odróżnieniu od większości swoich kolegów nie miał nic przeciwko przeprowadzce do Sajgonu, zwłaszcza przy 100 tysiącach dolarów przyznanych mu jako budżet operacyjny przez siły powietrzne. Podjął się tam przygotowania nowego, poszerzonego projektu badawczego w zakresie motywacji i morale w Wietkongu, a pracę nad tym studium rozpoczął w grudniu 1964 roku. Jego dalsza działalność może jednak stanowić modelowy wręcz przykład zaprzężenia badań naukowych w służbę polityki i ideologii, czego rezultatem miała być śmierć od bomb wielu tysięcy niewinnych Wietnamczyków.

Gouré najpierw skatalogował wszelką broń przechwyconą w skrytkach nieprzyjaciela – czeskie pistolety maszynowe, rosyjskie pociski artyleryjskie, rumuńskie wyrzutnie rakietowe, miotacze ognia z NRD – a następnie zadał pytanie: jak można było w tej sytuacji n i e postrzegać Wietkongu jako elementu ogólnoświatowej ofensywy komunizmu? Po zainstalowaniu się w wielkiej willi RAND przy ulicy Pasteura 176 w Sajgonie Gouré spotykał się z każdym ważnym przybyszem do miasta, by przekonywać go do swoich teorii, a tych spośród kolegów, którzy zachowywali jednak własne zdanie, namawiać, by owych teorii nie kontestowali. Brzmiały one, w największym skrócie, następująco: należy jak najszybciej znieść wszelkie ograniczenia związane z wykorzystywaniem sił powietrznych, a pogląd ten miał on odtąd niestrudzenie promować przez kolejne dwa lata. Równie prosto brzmiały wysuwane przezeń argumenty przemawiające za wdrożeniem postulowanego planu: skoro, jak powszechnie wiadomo, nieprzyjaciel obawia się samolotów bardziej niż jakiejkolwiek innej broni stosowanej przez Stany Zjednoczone, rzeczą absolutnie logiczną jest jak najszersze wykorzystywanie tej właśnie przewagi. Właśnie za pomocą bomb można było zmusić do współpracy oporne wioski czy wypędzać mieszkańców z obszarów kontrolowanych przez WK do nowych lokalizacji, „w których możliwe byłoby bardziej efektywne ich monitorowanie i administrowanie nimi”[24]. Ta „logika” prezentowana przez Gourégo była bez wątpienia nieludzka, możliwe nawet, że obłąkańcza, a jego młodsi koledzy patrzyli na nią z niedowierzaniem i odrazą. Szefostwo RAND nie mogło jednak przeoczyć faktu, że rosnąca popularność ich analityka i jego dostęp do całej gamy decydentów w Waszyngtonie przykładały się w sposób bezpośredni na coraz mocniejszą pozycję samej korporacji w amerykańskich kręgach decyzyjnych.

Podczas jednego z kolejnych przyjazdów Leona Gouré do Sajgonu spotkał się on w Tan Son Nhut z Susan Morrell, której mąż David aktywnie uczestniczył w przygotowywaniu pierwszej wersji projektu badawczego RAND na temat motywacji i morale Wietkongu. Zapytany przez nią, co takiego chce osiągnąć, szerząc swoje niesprawdzone teorie, Gouré odparł, poklepując znacząco swoją aktówkę: „Odpowiedź

mam tutaj, przy sobie. Kiedy rachunki płacą siły powietrzne, odpowiedź może być tylko jedna i zawsze ta sama: bombardować”[25]. Próżności i ambicji tego człowieka dorównywał jego bezwstydny brak skrupułów wobec Wietnamu, który postrzegał on wyłącznie jako jeden z teatrów działań bojowych prowadzonych w ramach szerszej zimnowojennej rozgrywki. W marcu 1965 roku Gouré przedstawił pierwszy cząstkowy raport, w którym wykazywał rzekomą skuteczność dotychczasowych działań wojennych Stanów Zjednoczonych i zapewniał, że użycie jeszcze większych sił skutkować może jeszcze większą skutecznością. Na poparcie swojej tezy przedstawił niepodważalną statystykę, taką mianowicie, że jeśli jeszcze kilka miesięcy wcześniej aż 65 procent dezerterów z Wietkongu wyrażało przekonanie, że to komuniści wygrywali wojnę, to po roku amerykańskich nalotów powietrznych i ostrzałów artyleryjskich odsetek takich „optymistów” w szeregach wroga spadł do zaledwie 20 procent.

Gouré nie dostrzegał zarazem żadnych negatywnych efektów ubocznych, w tym wpływu bombardowań na nastroje wśród ludności cywilnej, a równocześnie upierał się, że jakość bojowa nieprzyjaciela wciąż spada, rośnie za to liczba dezercji z jego jednostek. Namawiał też do zintensyfikowania niszczenia plonów w celu wywołania głodu w szeregach wroga. Korespondenci tacy jak Neil Sheehan postrzegali Gourégo jako piewcę zimnej wojny, przyklaskującego jastrzębiom i szepcącego im do ucha dokładnie to, co chcieli usłyszeć. Cóż kiedy wśród wielbicieli tej nowej gwiazdy RAND znajdowali się kluczowi wówczas decydenci, a zarówno w Pentagonie, jak i w Białym Domu przyjmowano go z otwartymi rękami. Walt Rostow uznawał Gourégo za świetnego analityka, a McNamara po jednej z jego błyskotliwych i przekonujących prezentacji zapytał go wprost o wielkość budżetu, jakim dysponuje jego projekt. Usłyszawszy, że jest to raptem 100 tysięcy dolarów, sekretarz obrony natychmiast zaproponował: „A co mógłby pan osiągnąć przy milionie?”. A kiedy analityk RAND zapewnił go, że o wiele, wiele więcej, usłyszał od McNamary w odpowiedzi: „W takim razie ten milion jest pański”[26].

Od tego momentu akcje Leona Gouré zaczęły szybować do góry, a jego rozpoznawalność, by nie rzec: krótkotrwała sława, omal nie

zawróciła mu w głowie. Kiedy jeden z kolegów ze świata nauki zakwestionował przejętą przezeń metodologię oraz konkluzje, do jakich doszedł, Gouré odparł mu lekceważąco: „Daj spokój, właśnie wczoraj rozmawiałem z Bobem McNamarą (...) i powiedziałem mu, że te bombardowania B-52 są naprawdę skuteczne (...), a jeśli jeszcze dałoby się je przeprowadzać z nieco większą dokładnością, tak by nie bombardować aż tylu wiosek, wówczas możemy zniszczyć ich logistykę i odebrać im poparcie szerokich mas cywilów”[27]. Przez cały rok 1966 głos Gourégo był uważnie słuchany, a jego zalecenia z reguły wdrażane. Jego zespół zgromadził ostatecznie jakieś 35 tysięcy stron transkrybowanych i przetłumaczonych wywiadów z jeńcami wojennymi i dezerterami z Wietkongu, choć pod koniec jego działalności nawet sam Westmoreland zaczął już kwestionować optymistyczny wydźwięk konkluzji formułowanych na ich podstawie. A przeprowadzona przez Konrada Kellena, kolejnego żydowskiego emigranta pracującego dla RAND, krytyczna analiza studium Gourégo wykazała, że wnioski w nim zawarte oparto na całkowicie błędnych, zakorzenionych w zimnowojennej mentalności przesłankach, a przy tym dla ich osiągnięcia celowo naginano i źle odczytywano zebrane dane.

Leon Gouré nie zasłużył może na to, by obarczać go odpowiedzialnością za nader ekstrawaganckie używanie sił powietrznych przez Stany Zjednoczone, ale niewątpliwie posłużył on jako swoisty intelektualny listek figowy przy wdrażaniu polityki, którą zarówno administracja Johnsona, jak i wielu wpływowych generałów zamierzało tak czy inaczej realizować. Jednocześnie potwierdził on w pełni wyrażane przez Michaela Howarda obawy o całkowite odizolowanie RAND od „napięcia towarzyszącego żołnierzom, nieprzewidywalności i wszystkich innych czynników, które naprawdę mają znaczenie”[28] w rozumieniu działań wojennych. Pewien historyk USAF napisał wprost, że sam generał dywizji William Momyer, stojący na czele 7. Sił Powietrznych (Seventh Air Force) z biegiem czasu zaczął czuć się „zbulwersowany olbrzymim tonażem bomb, jakie jego B-52 zrzucały nad dżunglami Wietnamu Południowego, przy wątłych dowodach jakichkolwiek fizycznych szkód czynionych wrogowi, za to przy narastającym obciążeniu psychologicznym”[29]. A kiedy prezesem

RAND został w roku 1967 Harry Rowen, podjął on z miejsca starania o odsunięcie Gourégo od pełnionych obowiązków, co argumentował tym, że wykonywana przezeń praca była „szkodliwa dla kraju", nie mówiąc już o samej korporacji. I tak ów zwolennik nieskrępowanego wykorzystywania sił powietrznych został najpierw zesłany do Da Nang, gdzie miał analizować metody infiltracji szeregów wroga, a później zwolniony.

Na koniec warto odnotować uderzający kontrast między entuzjazmem okazywanym przez większość wojskowych rzekomym analizom Gourégo a ich chłodnymi reakcjami na inne raporty prezentowane przez badaczy z Santa Monica, dotyczące małej skuteczności pewnych konkretnych działań taktycznych bądź strategicznych. I tak na przykład studium wykazujące, że program chemicznego niszczenia plonów nie wyrządzał nieprzyjacielowi żadnych większych szkód, za to pogłębiał niedolę chłopów, zostało odrzucone od ręki, bez żadnych prób jego przeanalizowania. A kiedy autor tego raportu odwiedził MACV w nadziei przedstawienia go starszym rangą oficerom, odesłano go do domu, nie wysłuchawszy nawet, co ma do powiedzenia. Bruce Griggs, doradca naukowy generała, wyraził się o tym raporcie z nieukrywaną pogardą: „Przecież to gówno"[30]. A Szefowie Sztabów w Waszyngtonie tylko mu przyklasnęli.

Do 31 grudnia 1966 roku w Wietnamie było już 385 tysięcy Amerykanów, a Robert McNamara ogłosił, że wkrótce dołączą do nich całe rzesze kolejnych. Generał w stanie spoczynku John Waters opublikował w „US News and World Report" artykuł, w którym oddawał poglądy i frustracje wielu ze swoich wciąż służących kolegów. Zatytułował go *How the US Can Win* (*Jak USA mogą wygrać*) i wzywał do rzucenia olbrzymich sił lądowych na terytoria Laosu i Kambodży. „Należy to powiedzieć prosto, jasno i w sposób pełen godności: nie będziemy tolerować żadnego wtrącania się do tej wojny ze strony Chin, Laosu i Kambodży (...). Stany Zjednoczone muszą wybrać twardy kurs zamiast miękkiego kompromisu. Musimy (...) położyć na szali przyszłość (...). W ostatecznym rozrachunku ocalimy w ten sposób ludzi, pieniądze i sprzęt. Misja USA wykonana zostanie z honorem

i zdecydowaniem, my zaś zdobędziemy sobie respekt i szacunek wolnego świata".

Zamiast się z tym spierać, warto zauważyć, że choć koszty prowadzenia wojny przewidziano w budżecie na rok 1966 w wysokości 2 miliardów dolarów, to ostateczny rachunek opiewał na ponad 15 miliardów dolarów, a w roku kolejnym miał wzrosnąć już do 17 miliardów dolarów – co stanowiło około 3 procent amerykańskiego PKB. W swoim corocznym przemówieniu o stanie państwa wygłoszonym w styczniu 1967 roku prezydent Johnson ogłosił wprowadzenie dodatkowego, sześcioprocentowego podatku dochodowego i korporacyjnego na sfinansowanie wydatków wojennych. Prywatnie jednak prezydent martwił się znacznie bardziej o to, że chińscy „ochotnicy", których około miliona walczyło wcześniej w Korei, mogliby wkrótce pojawić się u boku żołnierzy AWP. Już wkrótce miał też przeżyć ogromny cios, jako że szanowany i charyzmatyczny senator Robert F. Kennedy ogłosił publicznie, iż przestał wierzyć w możliwość wygrania wojny. Od tamtej pory Johnson zaczął nabierać przekonania, że Kennedy, bliski przyjaciel McNamary, przekabacił na swoją stronę sekretarza obrony.

Po dwudziestu ośmiu miesiącach spędzonych w Wietnamie generał William Westmoreland w wywiadzie dla magazynu „Life" powiedział: „Zamierzamy być lepsi w wojnie partyzanckiej od ich partyzantów i przygotowywać lepsze zasadzki od ich zasadzek. Zamierzamy też uczyć się szybciej niż dotąd, ponieważ jesteśmy od nich mądrzejsi, dysponujemy większą mobilnością i siłą ognia, mamy większą odporność i większą wolę walki (...). No i mamy też więcej odwagi"[31]. Dodał jednocześnie, że Stany Zjednoczone toczą obecnie wojnę na wyniszczenie, w trakcie której w roku 1966 zginęło ponad 6 tysięcy Amerykanów. Stwierdził wreszcie, iż narasta w nim przeświadczenie, że nadszedł już czas, by podjąć wszelkie konieczne kroki w celu odcięcia Szlaku Ho Chi Minha.

Tymczasem w Hanoi premier Pham Van Dong odbył podobną rozmowę z Harrisonem Salisburym z dziennika „New York Times", w trakcie której zapytał go grzecznie: „A jak długo wy, Amerykanie, chcecie tu walczyć, panie Salisbury? (...) Jeszcze rok? Dwa lata? Trzy

lata? Pięć lat? Dziesięć lat? Dwadzieścia lat? Bo my się z chęcią dostosujemy".

14
Operacja „Rolling Thunder”

1. EPOKA KAMIENIA I EPOKA RAKIETOWA

Dowódca sił powietrznych Curtis LeMay napisał w swoich wspomnieniach z roku 1965 pewne zdanie, które miało się za nim ciągnąć już przez resztę życia: „Moja propozycja (...) byłaby taka, by szczerze powiedzieć [Wietnamczykom z Północy], że muszą spuścić z tonu i powstrzymać swoją agresję, bo w przeciwnym razie będziemy ich tak długo bombardować, aż wrócą do epoki kamienia”[1]. Tymczasem tkwiący głęboko w dżungli Wietnamu Południowego Doug Ramsey po przeczytaniu tych słów LeMaya poczuł nieodpartą potrzebę spotkania się z generałem, by móc mu wytknąć pewną nieścisłość: „Trudno wysłać z powrotem do epoki kamienia kogoś, kto w zasadzie nigdy z niej nie wyszedł”[2]. Lyndon Johnson zdecydował się skierować przeciwko Północy amerykańskie lotnictwo przede wszystkim dlatego, że rozpaczliwie poszukiwał jakiegoś sposobu na wyrwanie się z zaklętego kręgu, w którym Waszyngton zdawał się wciąż tańczyć do melodii wygrywanej przez przeciwnika. McGeorge Bundy napisał do niego 30 czerwca 1965 roku: „Posiadamy wszelkie środki, by móc dać Hanoi o wiele bardziej drastyczne ostrzeżenie (...). Jeśli generał Eisenhower ma rację, sądząc, że to perspektywa ataku nuklearnego doprowadziła do rozejmu w Korei, powinniśmy przynajmniej rozważyć, jakie realistyczne groźby mamy na podorędziu”. Fred Weyand, jeden z najbystrzejszych amerykańskich oficerów, a później szef MACV, w pełni popierał ofensywę bombową Lyndona Johnsona przeciwko Wietnamowi Północnemu, której nadano kryptonim „Rolling Thunder

II": „Jeśli mieliśmy nagiąć ich wolę do naszej, był [to] jedyny sposób, w jaki mogliśmy to osiągnąć"[3].

W ciągu ostatniego stulecia lotnictwo stanowiło potężną, choć nierzadko iluzoryczną, siłę w oczach rozmaitych rządów poszukujących rozwiązań mogących im dać wyraźną przewagę nad nieprzyjacielem. Operacje powietrzne wydają się bardziej wyrafinowane i mniej kosztowne politycznie od tych lądowych, bo też prowadzenie wojny z bezpiecznej podniebnej wysokości rzeczywiście wygląda lepiej od posyłania żołnierzy do dżungli czy na bagna namorzynowe. W dodatku większość załóg lotniczych bez większych zastrzeżeń i wyrzutów sumienia przyznaje sobie moralne prawo do siania zniszczenia, co przychodzi znacznie trudniej wszystkim tym, którzy muszą stanąć oko w oko z wrogiem i spróbować go zabić.

Ale wszyscy ci, którzy choć trochę zagłębili się w historię wojskowości, dobrze wiedzą, że skuteczność bombardowań bywa mocno ograniczona. Nieodmiennie cierpią w ich trakcie osoby postronne. Można je stosować z powodzeniem, a czasem nawet z decydującym skutkiem w stosunku do poruszających się kolumn żołnierzy i pojazdów, a także przeciwko nieumocnionym instalacjom. Często jednak zawodzą one w przypadku dobrze okopanych sił wroga oraz rozbudowanych celów przemysłowych i komunikacyjnych. W latach 1950–1953 amerykańskie lotnictwo czyniło ogromne wysiłki w celu odcięcia dróg zaopatrzenia między Chinami a Koreą Północną, ale prowadzona w tym celu operacja „Strangle" przynosiła jedynie ograniczone efekty. Nie zniechęcało to bynajmniej lotników do dalszych prób. W roku 1965 dowództwo bombowców zadeklarowało: „Siły powietrzne wciąż się rozwijają, a dzisiejsza technologia pozwala nam zrzucać bomby na cele wielkości dziesięciocentówki". Wobec takiej argumentacji Lyndon Johnson zlecił amerykańskiej marynarce wojennej i USAF zadawanie bolesnych ciosów w starannie wybrane miejsca na terytorium Wietnamu Północnego. Operacja „Rolling Thunder" miała na celu zademonstrowanie amerykańskiej potęgi bojowej w ograniczonej, a zatem humanitarnej, wersji, po to by wybić komunistom z głów jakiekolwiek dalsze próby zabiegania o zmianę reżimu na Południu.

Tak wyznaczone cele nie spodobały się części dowódców lotnictwa, w tym również LeMayowi – nawoływali oni do wywołania u nieprzyjaciela jak największych zniszczeń, a zwłaszcza do wyeliminowania portu w Hajfongu. W ich oczach przeprowadzanie ograniczonych nalotów nie miało większego sensu, a nawet wyglądało bardzo „nieamerykańsko", w odróżnieniu od „właściwego" sposobu prowadzenia operacji lotniczych praktykowanego przez aliantów przeciwko Niemcom i Japonii w latach 1944–1945. Choć jednak wielu ważnych ludzi w USAF i w marynarce wojennej pomstowało na polityczne restrykcje, jakimi obwarowane były w latach 1965–1968 wszystkie operacje bombowe, to przecież żaden z nich nigdy nie stwierdził wprost, że przez te ograniczenia nie sposób będzie osiągnąć zakładanych rezultatów. Działo się tak dlatego, że wszyscy oni postrzegali społeczeństwo nieprzyjaciela jako wątłą strukturę z bambusa i bawełny, która rozpadnie się szybko nawet pod wpływem ograniczonej dawki materiałów wybuchowych, tracąc zarówno środki do życia, jak i wolę do dalszej walki. Dopiero znacznie później, kiedy odporność komunistów stała się oczywista, a nawet legendarna, wszyscy ci dowódcy zaczęli głośno obarczać winą za własne niepowodzenia swoich politycznych zwierzchników. Pozostawali przy tym zupełnie ślepi i głusi na argumenty, że w tej wojnie, do której Stany Zjednoczone przystąpiły z własnej i nieprzymuszonej woli, mogły one liczyć na poparcie swojego społeczeństwa oraz swoich sojuszników, nie mówiąc już o cichym przyzwoleniu ze strony Rosji i Chin, jedynie wówczas, gdyby potrafiły zachować jakąś rozsądną proporcję między zaangażowaniem wojskowym, ofiarami cywilnymi a celem, o jaki toczyła się cała gra.

W lutym 1965 roku Biały Dom rozkazał podjęcie bombardowań nie tyle po to, by osiągnąć jakieś konkretne cele wojskowe, ile z chęci okazania politycznego zdecydowania Stanów Zjednoczonych. William Bundy powiedział później, nie do końca z sensem: „Tak naprawdę to nasza polityka kształtowała się, a w praktyce również sama się deklarowała poprzez nasze działania. I taki był też zamysł prezydenta"[4]. Już jednak 8 marca Maxwell Taylor zatelegrafował do Johnsona z Sajgonu, domagając się zgody na silniejsze uderzenie:

„Obawiam się, że jak dotychczas «Rolling Thunder» jest w oczach [Wietnamczyków z Północy] niczym więcej niż tylko kilkoma odległymi pomrukami burzy". A pewien pilot napisał kwaśno: „Odnosiłem wrażenie, że naszym zadaniem było sprawdzić, jak wiele bomb możemy zrzucić im na głowy bez większego zakłócania ich życia"[5]. Również John McCone z CIA przestrzegał, iż skrupuły Amerykanów interpretowane są przez Hanoi jako ich słabość. Odtąd z każdym rokiem lotnictwo miało zrzucać coraz więcej materiałów wybuchowych na wciąż poszerzającą się listę celów, tak że do roku 1968 na terytorium Wietnamu Północnego spadło już 643 tysiące ton amerykańskich bomb.

Tyle że dokładnie w tym samym okresie na tereny Południa zrzucono aż 2,2 miliona ton bomb: najwyraźniej amerykańscy przywódcy o wiele bardziej przejmowali się perspektywą zabijania cywilów na wrogiej Północy aniżeli w rzekomo sojuszniczym kraju sąsiednim. Napalm – popularnie zwany przez żołnierzy *hell-jelly*, „piekielną galaretą" – stosowano z upodobaniem na terytoriach podległych Sajgonowi, ale nigdy nie zezwolono na jego użycie na obszarze kontrolowanym przez Hanoi. Osobną kwestią był wybór konkretnych celów czy sposób prowadzenia bombardowań: argumentacja na temat zasadności uderzania w te, a nie inne instalacje czy też czynienia tego w taki, a nie inny sposób od początku stanowiła swoistą wiedzę tajemną, dając tym samym sposobność do licznych napadów frustracji. W maju 1965 pewien chorąży lotnictwa nie mógł wprost otrząsnąć się ze zdumienia: „Ale co to w ogóle jest ten konwój wojskowy? Jak wielka musi być liczba pojazdów i na jak długim odcinku drogi mają być one rozciągnięte, by móc je nazwać konwojem? A jeśli jest to tylko jeden poruszający się pojazd, czy stanowi on dozwolony cel? (...) Jak daleko od sprecyzowanej głównej drogi mamy pozwolenie odejść, by móc śledzić boczne drogi, po których również mogą poruszać się ciężarówki?"[6].

Warto przy tym dodać, że pierwsze cele atakowane w ramach operacji „Rolling Thunder" ustalano podczas wtorkowych obiadów jadanych przez Lyndona Johnsona w towarzystwie McNamary i Ruska. Między jednym a drugim daniem sekretarz obrony wyciągał z teczki menu o charakterze dalece niegastronomicznym uzgodnione już wcześniej z sekretarzem stanu, a prezydent niektóre z widniejących na

nim celów zatwierdzał, a inne odrzucał, opierając się głównie na własnym poczuciu politycznej wrażliwości, a także na geograficznej bliskości Hanoi, gdzie w latach 1965–1966 nie życzył on sobie żadnych nieprzyjemnych obrazków. Dodatkowo Johnson wprowadził nieoficjalne pięćdziesięciokilometrowe „strefy buforowe" wzdłuż granicy z Chinami oraz wokół większych miast, w których nie należało atakować żadnych celów poza wskazanymi w konkretnych i wyraźnych rozkazach bojowych realizujących jakieś specyficzne zapotrzebowania. Generał dywizji Bruce Palmer stwierdzał, że „przez większą część swojej prezydentury był on swoistym oficerem celowniczym"[7]. Poufny charakter tych dyskusji prowadzonych w Białym Domu pozwalał wszystkim trzem ich uczestnikom mówić sobie szczerze to, co myśleli – dopiero bowiem pod koniec 1967 roku do ich grona zaczęli dołączać przedstawiciele sił wojskowych – ale ponieważ ani same te rozmowy, ani ich konkluzje nie były w żaden sposób rejestrowane, w późniejszym czasie dochodziło do zajadłych sporów, co tak właściwie w ich trakcie uzgodniono i jakie konkretnie zapadły decyzje. W tych początkowych dniach aż cztery piąte wyznaczanych celów stanowiły mosty, choć warto zauważyć, że masywny most Paula Doumera w Hanoi oszczędzano aż przez dwa lata. Mimo że największą szansę trafienia w podłużny cel o niewielkich rozmiarach, taki jak most, dawało zrzucenie serii bomb po przekątnej od niego, tego rodzaju taktykę uznano za zbyt niebezpieczną dla cywilów, wobec czego nakazano po prostu bombardowanie punktowe, co skutkowało wysokim odsetkiem akcji zakończonych niepowodzeniem.

Lotnikom przemierzającym przestworza z prędkością 500 węzłów przypominano o obowiązku odróżniania pojazdów cywilnych od wojskowych z wysokości ponad 900 metrów. Za to zakłady rowerowe w Hanoi, stanowiące ważny składnik północnowietnamskiego systemu transportowego, pozostawiono nietknięte aż do ostatniej fazy wojny. Aby wyciszyć głosy oburzenia, w latach 1967–1968 Departament Stanu czasami wręcz narzucał ograniczenia w postaci maksymalnej ilości zrzucanych ładunków. Pewien pracownik tego departamentu skomentował kiedyś ze znużeniem dobrze sobie znany widok Ruska, swojego szefa, podążającego w pośpiechu na kolejne spotkanie

w Białym Domu: „Gdybyś mu powiedział, że masz niezawodny sposób na pokonanie Wietkongu i wydostanie się z Wietnamu, odburknąłby ci tylko, że jest teraz zbyt zajęty, by móc poświęcić temu uwagę: musiał najpierw przedyskutować listę celów do zbombardowania w następnym tygodniu”[8].

W operacji „Rolling Thunder” o wiele częściej od superfortec B-52 wykorzystywano myśliwce bombardujące: te pierwsze przeprowadziły zaledwie 141 misji, wszystkie tuż za północnym krańcem Strefy Zdemilitaryzowanej. Tyle że, podobnie jak większość samolotów stosowanych w marynarce wojennej, także 600 maszyn F-4 Phantom oraz podobna liczba F-105 Thunderchief z USAF nie było przystosowanych do latania w każdych warunkach pogodowych. Oznaczało to, że w czasie późnowiosennych miesięcy monsunowych, kiedy z nieba nad Wietnamem Północnym tylko z rzadka znikały ciężkie i niskie chmury, połowa celów wyznaczanych lotnictwu była w zasadzie nieosiągalna. Ponadto z biegiem czasu coraz większe żniwo zaczynała zbierać działająca z dużą energią obrona przeciwlotnicza. W roku 1965 Amerykanie stracili nad Północą 171 maszyn, w kolejnym już 280, a w 1967 roku 326. Komuniści dysponowali naprawdę imponującą liczbą dział przeciwlotniczych, a dodatkowo mogli rzucać do walki kolejne modele myśliwców MiG, jako że Rosjanie dostarczali im kontrolowane z ziemi systemy przechwytywania radarowego. W ciągu kilku miesięcy od upadku Chruszczowa, w listopadzie 1964 roku, jego następca Leonid Breżniew zaczął również wysyłać do Wietnamu Północnego pociski rakietowe ziemia-powietrze SAM-2; dwa lata później na Północy funkcjonowało już 200 ich wyrzutni. Pułkownik Jack Broughton, zastępca dowódcy 355. Taktycznego Skrzydła Myśliwskiego, określał terytorium wroga mianem „centrum piekła z ośrodkiem w Hanoi”. Wreszcie, choć jak na ówczesne standardy militarne celność trafień była jak najbardziej do przyjęcia, stosowane wówczas „żelazne bomby” (tak zwane niekierowane bomby), w odróżnieniu od pocisków precyzyjnego naprowadzania, które miały je wyprzeć jakiś czas później, były dość topornym rodzajem broni.

Począwszy od marca 1965 roku, aż do lipca roku następnego, Waszyngton systematycznie poszerzał swój mandat w ramach zasad

angażowania się – Rules of Engagement (RoE), aby umożliwić amerykańskim samolotom atakowanie coraz większych obszarów Północy, choć w dalszym ciągu z wyłączeniem ośrodków miejskich. Z niejasnych względów nie bombardowano także wciąż nieukończonych stanowisk wyrzutni SAM, choć było rzeczą oczywistą, że prędzej czy później zaczną one stwarzać zagrożenie: pewien dowódca dywizjonu F-4 z lotniskowca Midway wielokrotnie przelatywał nad jedną z takich wyrzutni, która pewnego dnia uzyskała zdolności operacyjne i go zestrzeliła. Dopiero kiedy 24 lipca 1965 roku strącono pierwszy samolot Phantom, prezydent niechętnie zgodził się na bombardowanie kilku stanowisk: trzy dni później 54 samoloty F-105 zrzuciły ładunki na dwa rzekome skupiska wyrzutni rakietowych. Sformułowana jeszcze przed rozpoczęciem wojny doktryna taktyczna zakładała, że największe zagrożenie ze strony wroga stanowią właśnie jego rakiety, a nie działa czy bojownicy, wobec czego samoloty podchodziły do celu na wysokości 150 metrów, to jest poniżej „okna", w którym mogły je dosięgnąć pociski rakietowe – a tam napotkały silny ogień artylerii przeciwlotniczej. Jak się okazało, rzekome stanowiska wyrzutni były silnie bronionymi celami pozornymi: obrona naziemna zastawiła pułapkę na amerykańskie samoloty i strąciła cztery z nich – a ściślej: cztery samoloty myśliwsko-bombowe Thunderchief, popularnie zwane Thuds, wobec czego cała ta górzysta okolica, w której w przyszłości Amerykanie mieli jeszcze stracić wiele maszyn, zyskała wśród załóg miano „Thud Ridge", to jest „Pasma Thudów". Co gorsza, w drodze powrotnej zderzyły się ze sobą dwa samoloty F-105, co sprawiło, że cała ta akcja okazała się najbardziej kosztownym nalotem w całej dotychczasowej historii konfliktu. Od tamtej pory siły powietrzne przyjęły bardziej wyrafinowaną taktykę, wysyłając najpierw do boju maszyny typu Wild Weasel wyposażone w antyradarowe pociski samonaprowadzające Shrike, których głowice zawierały pewną ilość fosforu, tak by kolejne fale atakujących mogły celować w źródło dymu.

Jednak od jednej trzeciej do nawet połowy wszystkich wyrzutni rakietowych nieprzyjaciela pozostawała poza zasięgiem lotnictwa, głównie ze względu na bliskość dużych skupisk ludności.

Wietnamczycy z Północy umieścili na przykład całą baterię stanowisk SAM na terenie stadionu w Hanoi, wiedząc, że tam nie stanie się im żadna krzywda. Nierzadko zdarzało się też, że amunicja wystrzeliwana przez ich własną artylerię przeciwlotniczą albo resztki zestrzeliwanych przez nią maszyn spadały na głowy cywilów, przy czym za ewentualne straty w sprzęcie i ludziach obwiniano rzecz jasna Amerykanów. Okręty cumujące w porcie w Hajfongu, w tym również jednostki chińskie i rosyjskie, strzelały do przelatujących nad nimi samolotów bez obawy o konsekwencje, toteż piloci, chcąc jakoś dać upust narastającym w nich złym emocjom, wyładowywali się czasem na latarni morskiej w Hajfongu, choć po prawdzie ona również stanowiła cel zakazany.

Przez cały czas tej kampanii trwała zażarta i niezdrowa rywalizacja o dobór celów między Szefami Sztabów, głównodowodzącym na Pacyfiku, marynarką a 7. Dowództwem Sił Lotniczych. Mark Clodfelter, dobrze poinformowany historyk piszący o tych bombardowaniach, stwierdził wprost: „Brak jednego ośrodka dowodzenia prowadził do chaosu”[9]. Szef 7. Dowództwa, generał William Momyer stacjonujący w Sajgonie, dysponował listą około 4 tysięcy możliwych celów, a konkurencyjny katalog przygotowany przez DIA (Defense Intelligence Agency – Agencja Wywiadowcza Departamentu Obrony), obejmował aż 5 tysięcy pozycji. O uruchomieniu bombowców B-52 decydował głównodowodzący na Pacyfiku stacjonujący w Honolulu. Momyer z chęcią zniszczyłby wały ochronne wzdłuż Rzeki Czerwonej, by zalać rozległe pola ryżowe w Delcie, ale Biały Dom nie chciał słyszeć o jakichkolwiek atakach, które mogłyby doprowadzić do masowego głodu.

Pierwsza faza tej powietrznej wojny okazała się dla Amerykanów bardzo kosztowna: w marcu 1965 roku marynarka wojenna traciła od 15 do 30 samolotów na każdy tysiąc misji, podczas gdy jesienią, a także przez cały rok 1966 wskaźnik ten spadł najpierw do 7, a następnie do 4. Za nieco ponad połowę, bo 58 procent strat bojowych marynarki, odpowiadał ostrzał przeciwlotniczy i był to wskaźnik wyraźnie mniejszy od wykazywanego przez USAF – 73 procent, oraz lotnictwo Korpusu Marines – 64 procent: łącznie artyleria przeciwlotnicza zestrzeliła aż 1600 spośród 2300 maszyn straconych przez Amerykanów.

Przedwojenni teoretycy słusznie zakładali, że działa nie będą w stanie namierzyć nisko latających maszyn, ale nie przewidzieli, że mogą one siać aż tak wiele zniszczeń wśród wyżej lecących napastników, poprzez przykrywanie gęstym ogniem wybranych „okien" na niebie.

Amerykańska kampania powietrzna nasiliła się zwłaszcza w drugiej połowie 1965 roku: liczba misji bojowych wzrosła z 2879 w sierpniu do 3553 we wrześniu. Ale pod koniec tego roku Szefowie Sztabów mogli już z dużą dozą realizmu przyznać, że w wyniku owej kampanii zdolność bojowa nieprzyjaciela nie została w jakimkolwiek poważnym stopniu nadwątlona. Postanowili wobec tego skoncentrować się teraz na innym kluczowym celu: ropie, choć eksperci DIA uważali, że Wietnam Północny mógł z powodzeniem funkcjonować przy zapotrzebowaniu na zaledwie 32 tysiące ton rocznie, podczas gdy istniejące w tym kraju zapasy wynosiły około 179 tysięcy ton. Entuzjaści bombardowania składów ropy zdawali się też zupełnie ignorować fakt, że pociągi na Północy napędzane były nie ropą, lecz węglem albo drewnem.

O zgodę na naloty na składy ropy zabiegał już nowy doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Walt Rostow, który w kwietniu 1966 roku zastąpił zmęczonego i pozbawionego wiary w sukces McGeorge'a Bundy'ego. W gronie swoich kolegów Rostow wychwalał odwagę Johnsona i porównywał go do Lincolna, stwierdzając, że „jeśli tylko LBJ zdoła utrzymać siłę uderzenia militarnego, już za kilka miesięcy wyjdzie na swoje"[10]. 29 czerwca samoloty marynarki zaatakowały kompleks rafineryjny w Hajfongu, w którym wytwarzano benzynę, ropę i smary. Pewien wysłany na zwiad tuż po tym nalocie pilot raportował: „Wyglądało to tak, jakbyśmy wysadzili w powietrze całe światowe zapasy ropy"[11]. Tak naprawdę jednak do tego czasu Wietnamczycy zdążyli już rozdysponować swoje rezerwy paliwowe do baryłek i podziemnych zbiorników. Nieco później tamtego lata Waszyngton zezwolił bombowcom B-52 na niszczenie celów położonych w Strefie Zdemilitaryzowanej, a także w pasie o szerokości około 15 kilometrów na północ od niej, już na terytorium komunistycznym. Każda z tych wielkich maszyn mogła zabrać na pokład ładunek dziesięciokrotnie większy od przenoszonego przez myśliwce, nic więc dziwnego, że już wkrótce superfortece zamieniły

cały ten teren w naznaczony kraterami obszar – z krajobrazem nieledwie księżycowym. Tyle że w niewielkim tylko stopniu zaszkodziło to ruchom i liniom zaopatrzenia nieprzyjaciela, jako że przeniosły się one w jeszcze większym stopniu na Szlak Ho Chi Minha. A kiedy pod koniec roku 1966 popsuła się pogoda, w dużej mierze ograniczając możliwość bombardowań w okolicach Delty Rzeki Czerwonej jedynie do opcji zakładającej użycie B-52, co wiązałoby się ze zwiększonymi stratami wśród cywilów, Biały Dom całkiem zrezygnował z dalszych nalotów w tym regionie. W zamian w okresie od 2 do 5 grudnia myśliwce bombardujące atakowały tereny kolejowe, zajezdnie ciężarówek i składy paliwowe w pobliżu Hanoi.

Specjaliści DIA wyliczyli, że na koniec tamtego roku zniszczono łącznie 4600 północnowietnamskich ciężarówek, uszkodzono ich drugie tyle, ponadto zatopiono 4700 łodzi dostawczych i uszkodzono kolejnych 8700, a także zniszczono 800 wagonów kolejowych i 16 lokomotyw. 7. Siły Powietrzne dysponowały tyloma zdjęciami celów, że brakowało im interpretatorów, by móc je wszystkie przeanalizować i zrozumieć, co się na nich w ogóle znajduje. W kwietniu 1967 roku, kiedy rozpoczęły się ataki na sieć energetyczną Północy, wywiad potrafił wprawdzie wyliczać, jak dużo mocy tracił każdorazowo reżim komunistyczny, ale nie umiał już wiarygodnie oszacować, ile mocy jeszcze mu pozostało – a przecież tylko to tak naprawdę się liczyło.

Niemal wszyscy mundurowi decydenci opowiadali się za bombardowaniami, a także za zaminowaniem Hajfongu, przez który płynęła większość zaopatrzenia wojskowego wysyłanego z Hanoi. Prezydent nie chciał jednak otwartej konfrontacji z Moskwą, jako że swoje towary rozładowywały tam również sowieckie frachtowce. Z tych samych względów nie udało się przerwać łączności w strukturach rządowych Hanoi, jako że kluczowe centrale telefoniczne nieprzypadkowo zlokalizowano w pobliżu sowieckiej ambasady. W grudniu 1966 roku za pośrednictwem Polaków z ICC prezydent wysunął dość absurdalną propozycję wstrzymania się od bombardowania celów w promieniu 15 kilometrów od Hanoi, jeśli komuniści nie będą przeprowadzać ataków w promieniu 15 kilometrów od Sajgonu. Jego oferta nie spotkała się jednak z żadną odpowiedzią,

wobec czego Stany Zjednoczone jednostronnie wprowadziły zakaz atakowania celów w bezpośredniej bliskości stolicy Ho.

Jednym z największych paradoksów tej wojny był fakt, że operacja „Rolling Thunder" wyrządziła nieporównanie większe szkody rządowi Lyndona Johnsona niż reżimowi Le Duana. Już sam fakt przystąpienia do bombardowań wstrząsnął międzynarodową opinią publiczną, w dodatku zmobilizował też sporą część wewnętrznej opozycji wobec administracji prezydenta, a późniejsze osłabienie intensywności nalotów nie zmieniło już znacząco tego nastawienia. Nie dość na tym, bo Johnson musiał również stawić czoła ostrej krytyce ze strony jastrzębi w Kongresie żądających jeszcze silniejszego uderzenia na wroga – niemal dosłownego rzucenia mu się do gardła. A kiedy prezydent, chcąc nieco podreperować swój wizerunek, postanowił zamanifestować starannie zaplanowany przejaw humanitaryzmu poprzez ogłoszenie „przerwy świątecznej" w bombardowaniach od 24 grudnia 1965 roku do 31 stycznia 1966 roku, spotkał się z dobrze znanym wyniosłym milczeniem ze strony Hanoi, wyrazami pogardy w szeregach lotnictwa i całkowitą obojętnością u światowej opinii publicznej. Stopniowe nasilanie ataków powietrznych dawało ponadto komunistom sposobność uczenia się i wyciągania wniosków, co z kolei prowadziło do konsekwentnego ulepszania przez nich swojej obrony przeciwlotniczej i opracowywania rozmaitych środków zaradczych, która to możliwość nigdy by nie zaistniała, gdyby zamiast lekkiego deszczu bomb na ich głowy spadał, jak to od początku postulowały zarówno USAF, jak i amerykańska marynarka, prawdziwa monsunowa ulewa materiałów wybuchowych.

Do roku 1967 Wietnamczycy mieli już 25 batalionów rakietowych, z których każdy dysponował 6 wyrzutniami rakiet SAM, a także około tysiąca dział artylerii przeciwlotniczej i 125 myśliwców MiG. W dodatku, choć ojczyzna Ho Chi Minha nigdy nie mogła się pochwalić wytwórczością przemysłową na wielką skalę, to wojna wyzwoliła w licznych Wietnamczykach mnóstwo pomysłowości i wyrafinowania technologicznego, którego wcześniej zapewne w sobie nie podejrzewali, a cały ich wysiłek skupiał się zasadniczo na jednym wspólnym celu: obronie przeciwlotniczej. W miarę atakowania coraz szerszej listy

celów wokół Hajfongu i Hanoi – czyli *Downtown* (Śródmieścia), jak żartobliwie określali wietnamską stolicę amerykańscy piloci – amerykańskie straty konsekwentnie rosły. Do jesieni 1966 roku operacje powietrzne prowadzone w całym regionie Azji Południowo-Wschodniej kosztowały Stany Zjednoczone średnio mniej niż jeden samolot na tysiąc misji. Ale już nad Wietnamem Północnym wskaźnik strat w lotnictwie sięgał dwudziestopięciokrotności tego odsetka. Samoloty zaczęły z czasem bombardować z wyższych pułapów, nierzadko spuszczając ładunki nie z 1200, lecz nawet 2100 metrów. Dzięki temu ograniczano straty własne, ale za cenę dalszego pogorszenia celności trafień. Atakujący zaczęli ponadto stosować przeciwpiechotne bomby kasetowe, dodatkowo napełniając niektóre z nich ładunkami z opóźnionym zapłonem, aby zmusić obsługę dział i wyrzutni rakietowych do jak najdłuższego przebywania w schronach.

Jeśli chodzi o komunistyczne MiG-i, to choć udało im się zestrzelić stosunkowo niewiele amerykańskich maszyn, czasami zmuszały one napastników do przedwczesnego zrzucania bomb, a nawet pocisków samonaprowadzających ECM (Electronic Counter-Measures), by umknąć komunistycznym samolotom bez szwanku. Podczas którejś konferencji na Filipinach poświęconej problematyce MiG-ów generał Momyer wdał się w szczegółową dyskusję z pułkownikiem Robinem Oldsem, wielkim i głośnym dowódcą jednej z formacji samolotów F-4. W rezultacie obaj ci weterani walk powietrznych z czasów II wojny światowej opracowali śmiały i pomysłowy plan nazwany operacją „Bolo", którą przeprowadzono 2 stycznia 1967 roku. Komunistyczne myśliwce unikały konfrontacji z maszynami F-4, za to z upodobaniem ścigały obciążone bombami samoloty Thunderchief. Postanowiono zatem ucharakteryzować kilka maszyn F-4 tak, by wyglądały na F-105, doczepiając im podwieszane pociski antyradarowe, po czym wysłano je w szyku bojowym nad dużą bazę MiG-ów w Phuc Yen. Z punktu widzenia obrońców misja ta wyglądała na typowy nalot bombowy. Prowadzący atak Olds wraz z ponad 40 innymi myśliwcami znaleźli się nad celem wczesnym popołudniem, lecąc wysoko nad grubą podstawą chmur. Reakcja MiG-ów była niespieszna, ale kiedy wreszcie poderwały się do lotu, wystarczyło zaledwie 15 minut, by pociski Sparrow

i Sidewinder wystrzelone przez samoloty F-4 strąciły co najmniej pięć maszyn nieprzyjaciela, bez żadnych strat własnych: pierwsze cztery trafienia zanotował zresztą sam Olds. A kilka dni później zastosowano z powodzeniem nieco inną wersję tego samego podstępu: dwa samoloty F-4 wleciały w przestrzeń powietrzną nieprzyjaciela tak blisko siebie, że naziemny radar zidentyfikował je jako jedną dużą maszynę: kiedy po chwili pojawiły się komunistyczne MiG-21, dwa z nich zostały strącone przez amerykańskie phantomy.

W marcu przeprowadzono niemal 300 misji wymierzonych w hutę żelaza w Thai Nguyen, która ostatecznie zawiesiła działalność. Amerykańskie lotnictwo wciąż jednak przeprowadzało swoje ataki znad utrzymującej się aż do późnej wiosny grubej warstwy chmur, polegając głównie na nocnych bombardowaniach z użyciem radarów, co dawało bardzo mieszane rezultaty; ładunki lądowały średnio w odległości do tysiąca metrów od wyznaczonych celów, a więc skuteczność przypominała tę z czasów II wojny światowej. Marynarka wojenna przeprowadziła z kolei prawie 100 nalotów na elektrownię w Hajfongu zmuszając ją wreszcie pod koniec maja do wstrzymania produkcji prądu.

Kiedy warunki pogodowe na to pozwalały, USAF przeprowadzały nawet do 200 misji bojowych dziennie – w dwóch falach rankiem i dwóch kolejnych po południu. Choć wróg nie dawał się już nabierać na kolejne sztuczki w rodzaju tych z powodzeniem zastosowanych przez pułkownika Oldsa w maju 1967 roku, Amerykanie twierdzili, że udało im się zestrzelić kolejne 23 MiG-i, tracąc w walkach zaledwie 3 własne maszyny – oznaczałoby to zredukowanie potencjału bojowego Wietnamu Północnego w zakresie pilotów myśliwców mniej więcej o połowę. Z kolei marynarka wojenna przystąpiła 19 maja do zrzucania naprowadzanych telewizyjnie bomb Walleye na instalacje energetyczne Północy, przekonawszy wcześniej prezydenta, że dzięki swojej precyzji akcje te będą skutkować jedynie minimalnymi stratami wśród cywilów. Tak rzeczywiście było, ale też Wietnam Północny dysponował odpowiednio dużą liczbą generatorów prądu, by utrzymać wystarczający poziom zasilania mimo ponoszonych strat. Do lipca przeprowadzano też miesięcznie 8 tysięcy misji wymierzonych

w północnowietnamskie linie zaopatrzenia na południe od 20. równoleżnika, praktycznie unieruchamiając ruch kolejowy na tym obszarze. Ale już na terenach leżących bardziej na północy komunistom udało się utrzymywać kluczowe połączenia kolejowe między Chinami a Hanoi.

Na początku 1967 roku w kręgach bliskich prezydentowi już tylko Walt Rostow i Dean Rusk wraz z zaufanymi ludźmi Johnsona, Clarkiem Cliffordem i Abe'em Fortasem, prezentowali niezachwianą wiarę w sens dalszej walki. W maju Averell Harriman powiedział rosyjskiemu ambasadorowi, że to właśnie Rostow stał się najniebezpieczniejszym jastrzębiem w Białym Domu[12]. Inni członkowie prezydenckiej administracji – i to nawet ci, którzy w dalszym ciągu popierali twardy wojenny kurs – coraz częściej wyrażali już wątpliwości, czy ewentualne militarne zyski z bombardowań Północy uzasadniają ich wysokie koszty polityczne. Pośród tych „nowo narodzonych" sceptyków wyróżniał się szczególnie McNamara, a sekundowali mu członkowie wpływowej grupy dyskusyjnej, która zbierała się w każdy czwartek w gabinecie podsekretarza stanu Nicholasa Katzenbacha. Byli wśród nich Cyrus Vance, William Bundy, czasami wpadał też Rusk i Richard Helms z CIA, a z rzadka nawet sekretarz obrony. Oni sami określali się mianem „Nieistniejącej Komisji", bo zaprzeczali nawet samemu faktowi istnienia takiej grupy. Opowiadali się za skoncentrowaniem nalotów na bezpośrednich szlakach zaopatrzenia komunistów, które wiodły w głąb Wietnamu Południowego.

Część z nich wyrażała szczere zaniepokojenia reakcjami Białego Domu na propozycje pokojowe wysuwane z różnych stron: czy to przez ONZ, czy za pośrednictwem brytyjskiego premiera Harolda Wilsona, który w lutym 1967 roku podjął polityczny flirt z Rosjanami, czy wreszcie przy udziale francuskich intelektualistów podziwiających Ho Chi Minha albo dzięki rozległym stosunkom harvardzkiego profesora Henry'ego Kissingera. Publicznie Johnson deklarował wprawdzie swoje poparcie dla negocjacji z Hanoi, a raz na jakiś czas prezentował nawet w świetle fleszy jakieś własne propozycje, ale skoro deklaracjom tym towarzyszyły niejednokrotnie nasilone naloty bombowe, dla wszystkich wokół było jasne, że wciąż zamierza on najpierw osiągnąć przewagę

militarną, a dopiero potem zasiąść do jakichkolwiek poważnych rozmów. A ponieważ Hanoi dążyło dokładnie do tego samego, żadna z wysuwanych w roku 1967 „inicjatyw pokojowych" od samego początku nie miała większych szans powodzenia.

Za to amerykańscy wojskowi z powodzeniem opierali się fali defetyzmu, która prywatnie porywała kolejnych polityków, w tym również McNamarę. Zamiast patrzeć zbyt daleko w przyszłość, koncentrowali się oni na tu i teraz, starannie planując każdy ruch, stosując metodę małych kroków i oczekując natychmiastowych rezultatów. Niechęć do wszelkich politycznych ograniczeń widoczna była najbardziej na niższych szczeblach, zwłaszcza wśród pilotów, którzy nie zgadzali się z zakazami atakowania niektórych elementów komunistycznej obrony przeciwlotniczej. Pułkownik Jack Broughton był wykształconym w West Point nowojorczykiem, który od roku 1945 miał okazję latać niemal każdym pozostającym w użyciu typem samolotu bojowego. Odsłużył dwie tury, pilotując myśliwce w Korei, gdzie zdobył szereg odznaczeń, a następnie, jako pilot F-105, brał udział w 102 misjach nad Wietnamem Północnym, za co przyznano mu Krzyż Sił Powietrznych. Do lata 1967 roku Broughton miał już serdecznie dość sposobu, w jaki jego dowódcy prowadzili działania wojenne w powietrzu: w spisanym później pamiętniku zanotował: „Chciałem walki"[13].

Okazja do kłótni nadarzyła się 2 czerwca. Broughton był wówczas dowódcą jednego ze skrzydeł, a dwóch jego pilotów wróciło właśnie z misji, podczas której, jak raportował jeden z nich, mógł on trafić w jakiś rosyjski okręt cumujący w porcie w Hajfongu (i jak się wkrótce okazało, tak rzeczywiście było). Następnego dnia Moskwa wystosowała formalny protest w związku z zaatakowaniem jej okrętu handlowego Turkiestan i zabiciem jednego z marynarzy na jego pokładzie. Admirał Sharp, głównodowodzący na Pacyfiku, początkowo zapewniał Waszyngton, że zarzuty Sowietów są całkowicie bezzasadne. USAF postanowiły jednak wszcząć własne śledztwo, a kiedy Broughton się o tym dowiedział, interweniował osobiście i zniszczył filmy z kamer umieszczonych na działkach pilotów, by nie dopuścić do wysunięcia w stosunku do nich oskarżeń. Kosztowało go to przesłuchanie przed

sądem polowym, który skazał go ostatecznie na grzywnę w wysokości 40 dolarów. Choć karę ową później cofnięto na szczeblu sekretarza sił powietrznych, cały ten epizod w praktyce zakończył karierę wojskową owego twardego nowojorczyka. Przez resztę swoich dni zachował on urazę do armii, dołączając do całkiem sporej grupy zawodowych wojskowych, nieustraszenie walczących z wrogami swojego kraju, lecz niepotrafiących się odnaleźć w rzeczywistości wojennych ograniczeń narzucanych przez polityków. A kiedy 29 czerwca myśliwce marynarki wojennej ostrzelały kolejny sowiecki okręt, wystraszona administracja nałożyła jeszcze ściślejsze limitacje RoE w rejonie Hajfongu.

Bombardowanie mostu kolejowego w Thanh Hoa w Północnym Wietnamie przez amerykańskie lotnictwo, 10 września 1967 roku

W wojsku wciąż również istniała pewna grupa, do której należeli między innymi admirał Sharp i generał Wheeler, bezustannie dążąca do dalszej intensyfikacji działań powietrznych. Senator Richard Russell, od dziesięcioleci wspierający karierę prezydenta, argumentował, że Stany

Zjednoczone powinny zacząć walczyć na całego albo całkiem wyjść z Wietnamu. Pod koniec sierpnia 1967 roku senacka podkomisja Stennisa opublikowała raport zalecający eskalację działań powietrznych, a także „podjęcie koniecznego ryzyka i zaangażowanie sił niezbędnych do doprowadzenia spraw do końca". Przesłuchania przed komisją Stennisa ujawniły głębokie podziały powstałe na linii McNamara–prezydent–KPSS. Już osiemnaście miesięcy wcześniej sekretarz obrony wyznał korespondentom prasowym podczas prywatnego spotkania z nimi, że „żadna skala bombardowań nie doprowadzi do zakończenia wojny". W drugiej połowie 1967 roku nawet jego najbliżsi współpracownicy okazywali zdumienie i konsternację, że sekretarz obrony nie rozważa złożenia rezygnacji z powodów pryncypialnych, a zamiast tego czeka na nieuniknioną dymisję, która faktycznie nadeszła, o wiele miesięcy za późno, w listopadzie tegoż roku. Wtedy to ku swojemu zdumieniu McNamara dowiedział się, że już wkrótce obejmie prezesurę Banku Światowego, o którą to nominację wystarał się dlań prezydent, nie pytając bynajmniej o zdanie samego zainteresowanego.

Tymczasem lotnicze jastrzębie pod przywództwem Rostowa w dalszym ciągu zachowywały dominujący wpływ na rozwój wydarzeń: Johnson autoryzował wciąż wydłużającą się listę celów na terenie Wietnamu Północnego. Rankiem 11 sierpnia 1967 roku bombowce po raz pierwszy przerwały most Doumera w Hanoi. Wznowiono też intensywne naloty na tereny kolejowe w Yen Vien, ale tym razem przy znaczących stratach własnych: obrona przeciwlotnicza i MiG-i, które po raz pierwszy zaatakowały od tyłu, straciły łącznie pięć samolotów F-4. Pilotów zawsze przestrzegano wprawdzie, by „pilnowali swojej szóstej" – to jest uważali na ewentualne maszyny nieprzyjaciela za swoimi plecami – ale byli oni tak przyzwyczajeni do frontalnych uderzeń MiG-ów, że ta nagła zmiana taktyki całkowicie ich zaskoczyła. Robin Olds, prowadzący atak, w którym zginęło dwóch pilotów F-4, napisał później gorzko: „Usłyszałem ich krzyki. Odwróciłem się i zobaczyłem tylko dwie wielkie kule ognia"[14].

Jesienią 1967 pojawiła się „inicjatywa pokojowa Kissingera", która w rzeczywistości była nieoficjalną wymianą stanowisk między Hanoi

a Waszyngtonem, do czego ów słynny profesor z Harvarda wykorzystał z jednej strony swoich prywatnych francuskich znajomych, a z drugiej wpływowe kontakty w rządzie. Kiedy jednak owa inicjatywa upadła, w połowie października Johnson zatwierdził pierwsze bezpośrednie naloty na bazę MiG-ów w Phuc Yen. Wciąż nie malały straty Amerykanów. W trakcie przeprowadzonej 17 listopada operacji przeciwko instalacjom obrony przeciwlotniczej na obrzeżach Hanoi komunistyczny pocisk zniszczył samolot F-105 pilotowany przez majora Charlesa Cappellego. Jeden z jego kolegów wspominał później ze smutkiem, że przed misją „Cappy" złamał pewne tabu obowiązujące wśród pilotów, a mianowicie tuż przed startem zapowiedział głośno, że kiedy wróci, zajmie się wreszcie niewypełnionymi papierami. „A tak się nie robi – wyjaśnił tenże kolega. – Nigdy nie mówi się o powrocie z misji"[15].

Podczas ostatniej fazy operacji „Rolling Thunder", która to faza rozpoczęła się w listopadzie 1967 roku, amerykańskim lotnikom przyszło mierzyć się z najgorszymi warunkami pogodowymi, jakie dotąd napotkali. W grudniu myśliwce nieprzyjaciela, który wykazywał wciąż rosnącą skuteczność, zmusiły już ponad 10 procent napastników do przedwczesnego zrzucenia ładunków przed dotarciem do wyznaczonych celów. 17 grudnia piloci raportowali, że dostrzegli na niebie formację złożoną z aż 20 MiG-ów poruszających się w szyku bojowym, a dwa dni później zauważono analogiczną formację złożoną z 14 maszyn. 2 grudnia nieprzyjaciel zestrzelił pięć samolotów USAF i trzy kolejne maszyny marynarki wojennej, z czego wszystkie poza trzema trafiły baterie wyrzutni SAM. Bombardowania radarów rzadko kiedy bywały celne. W roku 1968 przeciwko Wietnamowi Północnemu przeprowadzono wprawdzie 100 tysięcy operacji powietrznych, ale po tym, jak w marcu Lyndon Johnson zadekretował wstrzymanie lotów na północ od 19. równoleżnika, wszystkie one ograniczały się do bardzo niewielkiego obszaru, w którym komunistom udało się zgromadzić aż 2600 dział przeciwlotniczych.

Czasami wydawało się wręcz, że na amerykańskiej kampanii powietrznej ciąży jakaś klątwa. Kiedy próbowano zakłócić transport rzeczny, okazywało się, że zrzucane z samolotów miny magnetyczne

wybuchały zbyt daleko od przepływających statków. W marcu 1968 roku do wojny włączyły się nowoczesne maszyny F-111 o zmiennej geometrii skrzydeł, czemu towarzyszyły duże nadzieje na przełom w walkach, ale w wyniku niedociągnięć technicznych kilka z tych samolotów rozbiło się, a pozostałe, które zdołały wziąć udział w pierwszych misjach, spisywały się dosyć słabo. 11 marca komuniści przeprowadzili tragiczną w skutkach akcję komandosów: szturm saperów AWP z 41. Batalionu na zlokalizowaną na szczycie góry Pha Thi w Laosie amerykańską Stację 85, z której kontrolowano liczne misje lotnicze w ramach operacji „Rolling Thunder". W wyniku tego ataku zginęło 12 z 18 członków amerykańskiej obsługi stacji, a lotnictwo amerykańskie musiało następnie zbombardować własne instalacje, by uniknąć przechwycenia zaawansowanego technologicznie sprzętu przez nieprzyjaciela. Przez pozostałą część prezydentury Johnsona pilotom zlecano już głównie zadania zakłócania komunistycznych transportów drogowych wysyłanych ciężarówkami na południe.

Nacechowana brakiem zdecydowania polityka bombardowań zainicjowana przez Biały Dom w lutym 1965 roku mogła przynieść jakiekolwiek rezultaty jedynie przeciwko nieprzyjacielowi dysponującemu słabą wolą, a do takich z pewności nie należało politbiuro w Hanoi, albo też przeciwko ludności mogącej wyrazić swój sprzeciw wobec doznawanych cierpień, a społeczeństwu Wietnamu Północnego szansy na to konsekwentnie odmawiano. Wszelkie niedociągnięcia kampanii powietrznej z lat 1965–1968 odzwierciedlały w dużej mierze niezdolność lotnictwa do przełamania oporu stosunkowo prymitywnego społeczeństwa, dysponującego mimo to dość silnymi narzędziami obronnymi, choć swoją rolę odegrały tu zarówno niepewna, mało przyjazna pogoda, jak i niedoskonałe technologie celownicze. Lyndon Johnson stał się po prostu kolejnym prezydentem na długiej liście narodowych przywódców minionego stulecia, któremu przyszło przekonać się na własnej skórze o ograniczonej skuteczności bombardowań lotniczych.

2. „NA PÓŁNOC”

Kiedy rozpoczynała się amerykańska kampania powietrzna, morale wśród lotników USAF, marynarki wojennej i Korpusu Marines było wysokie. Jedynie nieliczni mieli w ogóle jakiś dylemat, kiedy ich żony stawiały im ultimatum: „Wybieraj: ja albo wojna!”[16]. Większość młodych ludzi – ale również i część weteranów dobijający do czterdziestki – którzy poświęcili całą swoją karierę na szkolenie się do walki, była podekscytowana możliwością udziału w prawdziwych misjach bojowych za sterami wspaniałych latających maszyn, balansując na skraju ryzyka, i nie potrzebowała nawet hojnej zapłaty w wysokości 2,16 dolara, jaką wdzięczny naród przyznawał im za codzienny trud. A po wzięciu udziału w określonej liczbie operacji bojowych pilotom USAF przysługiwała wycieczka do Bangkoku, skąd zabierano ich transportowcem na Filipiny, gdzie mogli się przez jakiś czas odprężyć i zrelaksować. W tamtejszym klubie oficerskim Cubi Point w Subic Bay niemal bezustannie odbywały się szalone imprezy z karaoke, obficie polewanym alkoholem i walkami na pięści. Komandor John Nichols napisał: „Przez pierwszych kilka dni [nowo przybyli] poruszali się głównie na czworaka, pijani w trupa i w bliskiej komitywie z miską sedesową. A potem odzyskiwali siły, grając w golfa, pływając albo nurkując”[17]. Jeszcze później zaś płynęli z powrotem przez Morze Południowochińskie na spotkanie z dobrze znanym wrogiem.

Ze względów organizacyjnych USAF, marynarce i MACV przyznano jako cele ataków osobne sektory Wietnamu Północnego. I tak piloci startujący z lotniskowców kierowali się do stref „RP” (od „Route Packages”) 2, 3, 4 i 6B, rozciągających się na północ od 18. równoleżnika w kierunku Chin; samoloty sił powietrznych działały w strefach „RP” 5 i 6A, obejmujących Hanoi i sieć kolejową na północnym zachodzie; MACV z kolei realizowała swoje zadania w użyczonej przez USAF strefie „RP” 1. Większość taktycznych maszyn wykorzystywanych przez USAF, w tym część bombowców B-52, operowała z baz w Tajlandii, gdzie do roku 1966 Stany Zjednoczone dysponowały już liczącym 34 tysiące osób personelem obsługi, z którego ponad trzy czwarte nosiło niebieskie mundury sił powietrznych, a niemal wszyscy pracowali na rzecz wojny,

co nie przeszkadzało im raz na jakiś czas się zabawić: ambulatoria w każdej z baz lotniczych zajmowały się nawet tysiącem przypadków chorób wenerycznych rocznie. Rząd w Bangkoku, chcąc uniknąć oskarżeń o współudział w bombardowaniach, początkowo nalegał na to, by samoloty startujące z terytorium Tajlandii nie atakowały celów na obszarach kontrolowanych przez Sajgon, a z kolei maszyny lecące na Północ uznawano formalnie za startujące z Południa, którą to fikcję porzucono dopiero w roku 1967.

Żaden z samolotów z czasów zimnej wojny nie nadawał się zbytnio do bezpośrednich ataków na cele naziemne. Wykorzystywane przez USAF wielkie maszyny F-105 Thud potrafiły wprawdzie znieść wiele, ale brakowało im manewrowości, a poza tym wymagały one intensywnych zabiegów serwisowych; ostatecznie Amerykanie stracili ponad 300 samolotów F-105. Z kolei F-4 Phantom, zaprojektowany przede wszystkim do działań przechwytujących, spisywał się znakomicie na dużych wysokościach, ale już znacznie gorzej podczas prowadzonych na niższych pułapach operacji nad Wietnamem Północnym, jako że kłęby czarnego dymu wydobywające się z jego silników zdradzały pozycję maszyny odległym nawet o wiele kilometrów nieprzyjacielskim MiG-om, a ponadto był on wówczas narażony na łatwe zestrzelenie przez naziemną artylerię przeciwlotniczą. W momencie rozpoczęcia operacji przeciwko Wietnamowi Północnemu USAF dysponowały 600 samolotami F-105 i mniej więcej taką samą liczbą maszyn Phantom. Ale w kolejnych latach jedynie te ostatnie, w liczbie 200 rocznie, wciąż schodziły z taśm produkcyjnych, podczas gdy maszyny F-105 w ogóle przestano wytwarzać. Ważnym powodem, dla którego na najbardziej niebezpieczne misje chętniej wysyłano thudy aniżeli phantomy, był fakt, że strata tych pierwszych pociągała za sobą śmierć tylko jednego pilota, podczas gdy maszynami F-4 latały załogi złożone z dwóch lotników – krążył nawet kwaśny żart, że ten na tylnym siedzeniu zajmował się głównie odczytywaniem szczegółów RoE nad terytorium wroga.

Najlepszym samolotem, jakim dysponowała marynarka wojenna, był A-4 Skyhawk, o wiele mniejszy od Phantoma. Ta zaprojektowana przez Eda Heinemanna maszyna była prosta, twarda i łatwa w serwisowaniu

– co zaczynało mieć coraz większe znaczenie w miarę nasilania się operacji bojowych. Wiele dywizjonów A-4 utrzymywało 100 procent gotowości do walki przez całą kampanię powietrzną, co rzadko zdarzało się mniej solidnym typom samolotów, jak choćby maszynom zwiadowczym Vigilante: nic dziwnego, że to właśnie skyhawki odbyły ostatecznie więcej misji bojowych od jakichkolwiek innych samolotów posyłanych wówczas do walki. Dla porównania, starszy F-8 Crusader miał dość dziwaczną konstrukcję, bo pilot siedział w nim dobre 2 metry przed przednią golenią podwozia. Dzięki solidnemu uzbrojeniu świetnie nadawał się on do przechwytywania, ale jego słabszymi stronami były nie dość precyzyjny radar i duże straty spowodowane wypadkami. Z kolei solidnie zbudowane samoloty Douglas Skyraider, które wysyłano na wiele pierwszych misji – to właśnie one zaliczyły dwa spośród pierwszych dziesięciu trafień MiG-ów – okazały się zbyt ociężałe i mało zwrotne, więc z czasem stosowano je głównie w operacjach zakłócania elektronicznego (ECM – Electronic Counter-Mesaures) oraz do misji ratunkowych. Piloci nieprzypadkowo powtarzali: „Szybkość to życie".

Podczas operacji prowadzonych nad Wietnamem Północnym ruchem powietrznym zawiadywała Stacja 85 w Laosie albo centrum kontroli lotów na Monkey Mountain – o kryptonimie „Motel" – zlokalizowane w Da Nang, w połowie drogi między Sajgonem a Hanoi; wsparcie zapewniał zaś ośrodek Udorn w Tajlandii. W żadnej z tych baz nie dało się jednak obserwować przebiegu akcji za Rzeką Czerwoną z dokładnością wystarczającą, by móc skutecznie prowadzić kolejne fale nalotów. Atakujący piloci byli więc w dużej mierze zdani na samych siebie czy też raczej zależni od lecących wraz z nimi dowódców w stopniu pułkownika bądź majora w zależności od rodzaju służby. Istotny czynnik stanowiła pogoda, decydując w poważnym stopniu zarówno o skuteczności misji, pogarszającej się wyraźnie wraz z nadejściem miesięcy monsunowych, jak i o stratach własnych, które w tym samym okresie nieodmiennie wzrastały. Nader często zdarzało się, że przy niskiej podstawie chmur piloci wlatujący głęboko w przestrzeń powietrzną nieprzyjaciela zmuszeni byli do powrotu bez

możliwości zrealizowania misji albo do awaryjnego zrzucania bomb w celu uniknięcia przechwycenia przez myśliwce nieprzyjaciela.

Samoloty marynarki wojennej atakowały Północ z lotniskowców operujących z wydzielonego na oceanie obszaru zwanego Yankee Station i przemierzających dostojnie wody Zatoki Tonkińskiej w odległości od 100 do 240 kilometrów od wybrzeża. Stany Zjednoczone dysponowały większą liczbą lotniskowców niż wszystkie pozostałe państwa na świecie razem wzięte – miały ich łącznie 16 w wersji uderzeniowej i 10 kolejnych w wariancie przystosowanym do zwalczania łodzi podwodnych. Ważące 75 tysięcy ton okręty klasy Forrestal były znacznie bezpieczniejsze od swoich starszych poprzedników klasy Essex: ich rozmiary gwarantowały nienaruszoną stabilność nawet na wzburzonym morzu. Niezależnie od klasy amerykańskie lotniskowce zabierały na pokład po mniej więcej 70 samolotów – to jest po dwa dywizjony myśliwców i po dwie albo trzy jednostki lotnictwa szturmowego, a ponadto oddziały wczesnego ostrzegania, zwiadu fotograficznego i helikopterowe. W czerwcu 1965 roku na miejsce przybył Independence, wiozący nowe typy samolotów, w tym maszyny A-6A Intruder, przez jednych porównywane do latających patelni, a przez innych do kijanek, wyposażone w system DIANE – Digital Integrated Attack and Navigational Equipment (Cyfrowe Wyposażenie Zintegrowanego Ataku i Nawigacji) – który dawał im możliwość działania w każdych warunkach pogodowych. A w listopadzie dopłynął jeszcze Kittyhawk, który miał na pokładzie drugi dywizjon samolotów A-6A.

Przy pełnym zaangażowaniu załogi lotniskowce mogły prowadzić bardzo intensywne działania wojenne: pewnego grudniowego dnia z Enterprise wysłano aż 165 misji bojowych. W pierwszym pełnym roku kampanii powietrznej marynarka wojenna zrealizowała 57 tysięcy misji bojowych, straciła ponad 100 samolotów i 80 ludzi. Komuniści mieli dość rozsądku, by wstrzymać się z atakowaniem z powietrza amerykańskich okrętów wojennych, wiedząc doskonale, że tego typu ataki przyniosłyby im ciężkie straty z rąk broniących lotniskowców patroli CAP (combat air patrol). Na pokładzie każdej z takich pływających platform załoga składająca się z 5 tysięcy marynarzy

i techników obsługiwała działalność ponad setki lotników. Ich codzienna praca, rutynowa i pozbawiona większych emocji w przypadku zwyczajowego eskortowania innych jednostek pływających, podczas wspomagania operacji powietrznych zamieniała się w aktywność pełną nerwowości, presji i ryzyka, i to nawet nie ze względu na możliwe ataki nieprzyjaciela. Medyczne pomiary poziomu stresu wykazywały, że piloci postrzegali nocne lądowania na pokładzie lotniskowców jako manewry znacznie bardziej stresujące i niebezpieczne nawet od dziennego przelotu nad Hanoi. Sytuacji nie ułatwiały rosyjskie trawlery szpiegowskie starające się wywołać jak najwięcej zamieszania i regularnie przepływające przed dziobami lotniskowców podczas startu samolotów. W towarzystwie maszyn wylatujących na kolejne misje nierzadko roiło się też od chińskich MiG-ów, startujących z wyspy Hainan.

Zarówno na pokładzie startowym, jak i w położonych pod nim hangarach z maszynami trwała intensywna i w zasadzie nieprzerwana aktywność. Personel nosił koszulki w różnych kolorach, wskazujących rodzaj wykonywanej pracy: żółty oznaczał kierujących ruchem samolotów, niebieski – obsadę wind i podnośników, zielony – obsługujących katapulty i łapaczy (aerofiniszerów), brązowy – kapitanów samolotów, a czerwony – ładowaczy bomb i strażaków. Bezustannie toczyła się walka o pomieszczenie pełnego garnituru samolotów: w sterowni znajdował się wielki szablon ukazujący pozycję każdej z zaparkowanych maszyn, na którym co chwila wprowadzano zmiany zgodnie z rozkazami przekazywanymi telefonicznie na pokład startowy. Dużą odpowiedzialność za ich szybkie wykonanie ponosili kierowcy ciągników, zazwyczaj młodzi chłopcy w wieku osiemnastu albo dziewiętnastu lat. Jeszcze większy ciężar spoczywał na barkach pełniących służbę pilotów, nierzadko zmuszonych siedzieć przez 2 albo 3 godziny w pełnej gotowości do startu, w kokpicie rozgrzanym do czerwoności pod palącym słońcem, zanim wreszcie dotarł do nich rozkaz natychmiastowego podjechania do jednej ze zwolnionych katapult.

Ze względu na stopień skomplikowania operacji przeprowadzanych na lotniskowcach wypadki, nawet bardzo poważne, były nieodłącznym

elementem służby. W październiku 1966 roku dwóch niefrasobliwych członków załogi Oriskany odpaliło pod pokładem flarę spadochronową, co doprowadziło do pożaru, w którym śmierć poniosło 44 ludzi. Z kolei po tym, jak Forrestal przeprowadził w ciągu czterech dni 150 misji bez straty choćby jednego samolotu, nadszedł feralny dzień, w którym pilot jednej z maszyn F-4 stojących w tylnej części pokładu startowego przypadkowo wystrzelił rakietę Zuni w stronę pozostałych, co pociągnęło za sobą bardzo poważne konsekwencje: trafiony w zbiornik paliwa inny phantom zajął się ogniem, który szybko podsycił silny wiatr. W ciągu kilku minut zaczęły eksplodować ładunki wybuchowe, które miał on na pokładzie, a błyskawicznie rozszerzający się pożar odciął kwatery mieszkalne pod pokładem, które zamieniły się w śmiertelną pułapkę. Mimo szybko podjętej akcji gaśniczej pod już ugaszonymi źródłami ognia wybuchały wtórne pożary, których stłumienie zajęło strażakom kolejne 12 godzin. Kiedy jeden z matów wraz z kilkoma marynarzami usiłował przenieść bombę znajdującą się niebezpiecznie blisko jednego z ognisk, ta wybuchła mu prosto w twarz, zabijając jego samego i towarzyszących mu ludzi. Nie odstraszyło to reszty załogi od równie ryzykownych aktów odwagi: pewien wątły porucznik nadludzkim wysiłkiem zdołał odtoczyć inną bombę z dala od niebezpieczeństwa. Kiedy wreszcie ugaszono wszystkie źródła ognia, okazało się, że zginęło aż 134 ludzi, zniszczeniu uległo 21 samolotów, a uszkodzeniu – kolejne 43. Naprawa wszystkich szkód na Forrestalu pochłonęła 72 miliony dolarów.

Lotniskowce przeprowadzały zazwyczaj trzy uderzenia na dzień, przy czym każde z nich dzieliła jakaś godzina przerwy. Sztabowcy dywizji wyznaczali cele, oficerowie operacyjni przekazywali rozkazy poszczególnym skrzydłom, a dowódcy grup powietrznych we współpracy z oficerami wywiadu planowali trasy przelotu. Pierwsza fala lotników jadła śniadanie o godzinie 4.30, następnie „szykowała się" i przechodziła odprawę, by o godzinie 6.00 być gotowa do startu. Jeśli tylko było to możliwe, nowym pilotom przydzielano cele blisko wybrzeża, tak by w przypadku trafienia przez nieprzyjaciela mieli oni szansę katapultować się do morza. Lotnicy są przesądni, więc w drodze do kokpitów albo przed włożeniem kombinezonu i uprzęży wielu z nich

głaskało swoje królicze łapki albo ściskało w ręku srebrne dolarówki. A kiedy już znaleźli się na pokładach swoich maszyn, trzeba było odbezpieczyć ładunki, aktywować mechanizm katapultujący fotel, zaryglować osłonę kabiny pilota, rozłożyć skrzydła. Następnie obsługa pomagała wyprowadzić samoloty z hangarów, z silnikami pracującymi na wolnych obrotach: przeciętny A-4 ważył jakieś 9 ton, i to już z paliwem oraz ładunkiem bomb, ale na przykład samolot tankujący KA-3 potrafił osiągać wagę do 33 ton. Po starcie z katapulty każda z maszyn w ciągu trzech sekund nabierała niewiarygodnego przyspieszenia od zera do 160 węzłów. Wszystkim tym działaniom towarzyszył bezustanny hałas, a od każdego członka obsługi czy marynarza, nie mówiąc już o samych lotnikach, wymagano ponadprzeciętnych umiejętności i odporności.

Typowa grupa uderzeniowa mogła składać się z 20 bombowców – na przykład 16 maszyn A-4 i 4 towarzyszących im F-8 – wspieranych przez 2 samoloty do zwalczania artylerii przeciwlotniczej Iron Hand. Jako ich eskorta, ale poza formacją, wybierając tę flankę, z której można się było spodziewać spotkania z MiG-ami, leciały dodatkowo samoloty Crusader TarCAP. Kolejna maszyna z systemem ECM trzymała się blisko wybrzeża, podobnie jak para samolotów tankujących. Z kolei 2 helikoptery latały po ustalonej wcześniej trasie, tak by móc jak najszybciej odzyskać zestrzelonego pilota, który wpadł do morza albo trafił na ląd w bezpośrednim jego sąsiedztwie. Po wystartowaniu formacja taka przelatywała nad całą armadą małych jednostek pływających, w większości łodzi rybackich i sampanów, a następnie wlatywała nad ląd, przy czym wszyscy jej piloci mieli pełną świadomość, że nieprzyjaciel już tam na nich czeka w pełnej gotowości. Jeszcze w 1944 roku przeciętna powietrzna misja bojowa marynarki wojennej na Pacyfiku trwała 4 godziny: dwadzieścia lat później czas ten skrócił się do 90 minut. Trzeba jednak zauważyć, że loty nad Wietnamem Północnym wiązały się z o wiele większym niebezpieczeństwem niż wcześniejsze misje nad Koreą Północną.

Przelatując nad linią wybrzeża na wysokości 6 tysięcy metrów z rykiem silników, który sami piloci odbierali, dzięki swoim hełmom i słuchawkom, w sposób mocno wytłumiony, należało wcisnąć

odpowiednie przełączniki, by uzbroić działa, bomby i pociski rakietowe. Od tego momentu zaczynało się też powolne opadanie, którego tempo zależało od odległości do wyznaczonego celu: samoloty Skyhawk leciały zwykle z prędkością 350 węzłów, więc szybsze maszyny Crusader musiały odpowiednio zwalniać. Wkrótce w kokpitach zaczynały wybrzmiewać wysokie tony wrogich radarów Fansong, ostrzegające pilotów o bateriach SAM znajdujących się po drodze. Od tego momentu wolno im już było przerwać ciszę radiową, ale rozmowy ograniczano zwykle do minimum. Pilotom powtarzano też wcześniej: „Jeśli cię trafią, wypadasz z częstotliwości uderzeniowej!". Dowódcy nie chcieli, by na kanale operacyjnym dominowały komunikaty zdesperowanych lotników dzielących się z innymi swoimi problemami. W pewnym momencie gdzieś wokół formacji mogły się pojawić nieprzyjacielskie MiG-i, a wówczas w słuchawkach rozlegała się dobrze znana wszystkim pilotom radiowa przestroga: „Straszydła na dziewiątej" – czy na czwartej albo jakiejkolwiek innej godzinie. Wróg nierzadko próbował odciągnąć eskortę od jej formacji i naprowadzić ją na baterie SAM, dlatego pilotów myśliwców instruowano, by trzymali się jak najbliżej ochranianych „ładunków". Z kolei samoloty do zwalczania artylerii przeciwlotniczej próbowały nurkować w stronę zauważonych celów, opróżniwszy wcześniej zbiorniki paliwa podwieszane pod skrzydłami, by w razie trafienia zwiększyć swoje szanse na wyjście z tego starcia w jako takim stanie. Do naziemnych baterii podchodzono zazwyczaj z kilku stron jednocześnie, by rozproszyć ogień nieprzyjaciela.

Kiedy tylko Wietnamczycy z Północy zidentyfikowali cele, ku którym zmierzali Amerykanie, przystępowali do koncentracji wokół nich swoich dział przeciwlotniczych, czy chodziło o mosty, czy o koszary, czy o inne podobne obiekty. Starsi piloci twierdzili, że ogień nieprzyjaciela był cięższy od tego, z którymi mieli do czynienia kiedyś nad Niemcami. Komuniści szczególnie dobrze opanowali umiejętność ostrzeliwania wybranych „okien" na niebie: „Potrafili ustawić całą kolumnę rozciągniętą na obszarze 5 mil kwadratowych [12,8 kilometra kwadratowego] i pluć morderczym ogniem od tysiąca do 6 tysięcy metrów – napisał komandor porucznik John Nichols. – Wyglądało to niesamowicie. Bardzo spektakularnie, aż boję się powiedzieć, że niemal

pięknie. Działa rozświetlające kaliber 23 mm i 37 mm wyrzucały z siebie biały dym. Pociski kaliber 57 mm eksplodowały w ciemnej szarości, a ciężkie pociski kaliber 85 mm i 100 mm wybuchały w czarnych chmurach. Do tego pojawiające się raz na jakiś czas kolorowe smugi z wielkokalibrowych karabinów maszynowych, wznoszące się łukami sięgającymi nawet 1500 metrów i już można sobie wyobrazić tę feerię różnobarwnych rozbłysków pojawiających się w wąskim wycinku przestrzeni powietrznej dosłownie co sekunda przez kilka kolejnych minut”[18]. Dowódcy ostrzegali pilotów, by nie próbowali wykonywać uników, które i tak niewiele dawały przy zmasowanym ostrzale wybranego „okna” powietrznego, lecz zamiast tego skoncentrowali się na trafieniu wyznaczonego celu: o ich własnym losie miało przesądzić zwykłe szczęście.

Samoloty MiG-17 pojawiły się po raz pierwszy podczas nalotu formacji złożonej z 50 maszyn na cele zlokalizowane na południe od Hanoi 3 kwietnia 1965 roku, a już następnego dnia USAF straciły 2 spośród swoich F-105. Z kolei 17 czerwca to Amerykanie strącili pociskami Sparrow swoje 2 pierwsze MiG-i. Piloci eksperymentowali z różnymi taktykami. Przez jakiś czas próbowali podchodzić z dużą szybkością na niskich wysokościach do pewnego punktu, w którym nagle zmieniali kurs i nabierali wysokości, by następnie zanurkować w kierunku celu – taktyka taka była znana jako metoda „na wyskok”. Miała ona jednak swoje ograniczenia: lecący z prędkością 500 węzłów lotnicy musieli doskonale orientować się w przestrzeni, a ponadto ich nisko poruszające się maszyny narażone były na ostrzał lżejszej artylerii naziemnej. Amerykańscy piloci dysponowali imponującą paletą elektronicznych urządzeń obronnych zlokalizowanych w skrzynkach podwieszanych pod skrzydłami. Marynarka miała też osobne samoloty wyposażone w system ECM przeznaczony do wykrywania stanowisk obrony przeciwlotniczej; były to maszyny EA-3B Skywarrior oraz EF-10B Skyknight. Atakujący najpierw zrzucali osłonę antyradarową, a następnie odpalali pociski Shrike AGM-45A w stronę zestawów naprowadzania nieprzyjaciela. Obie strony nie unikały przy tym przeróżnych gierek: amerykańskie ekipy odpowiedzialne za zakłócanie sygnału czasami odnajdowały częstotliwość, którą, jak im się zdawało,

nieprzyjaciel wykorzystywał do naprowadzania swoich myśliwców, by po jakimś czasie przekonać się, że puszczano na niej jedynie zapis jakichś pogaduszek pilotów, a komendy wydawano MiG-om na zupełnie innym kanale. Z kolei obrońcy nauczyli się z czasem, by włączać swoje radary wychwytujące dosłownie na sekundy przed odpaleniem pocisku, inaczej bowiem stawały się one łatwym celem dla wystrzelanych przez nieprzyjaciela rakiet Shrike.

Zagrożenie ze strony myśliwców nieprzyjaciela było raz większe, raz mniejsze, ale nigdy nie obawiano się ich w takim stopniu jak artylerii przeciwlotniczej. Wynikało to z kilku czynników. Przede wszystkim północnowietnamscy piloci byli ściśle kontrolowani z ziemi, otrzymując stamtąd instrukcje nawet w kwestii uruchomienia silników odrzutowych. Ponadto, podczas gdy samoloty MiG-17 były rzeczywiście nadzwyczaj zwinne, to już o maszynach MiG-21 trudno to było powiedzieć, zwłaszcza przy niskich prędkościach. Zazwyczaj atakowały one jedynie wówczas, kiedy miały wyraźną przewagę taktyczną, szczególnie pod względem wysokości, odpalały swoje pociski Atoll – odpowiedniki amerykańskich sidewinderów – a następnie zawracały i z pełną szybkością pędziły do bazy, nie próbując już kolejnego podejścia. 21 czerwca 1966 roku nowojorczyk, porucznik Phil Vampatella, pilotujący jeden z czterech samolotów Crusader, osłaniał zestrzelonego wcześniej pilota samolotu RF-8 do czasu pojawienia się helikoptera ratunkowego. Nagle poczuł solidny wstrząs – jego maszyna trafiona została przez artylerię przeciwlotniczą. Widząc, że traci paliwo, Vampatella wyłamał się z formacji, by poszukać jednego z samolotów tankujących. I właśnie wtedy usłyszał w radio naglący komunikat: „Uwaga, MiG-i!" – oznaczający, że pozostałe w formacji myśliwce zostały zaatakowane przez MiG-17. Z miejsca zawrócił, chcąc wesprzeć swoich kolegów, i od razu dostrzegł, że jeden z komunistycznych samolotów ściga któregoś z Amerykanów. Natychmiast krzyknął przez radio: „Odskocz w prawo!", ale było już za późno: trafiony crusader spadł.

Po chwili Vampatella zorientował się, że inny MiG-17 siedzi mu na ogonie, i zanurkował, z trudem utrzymując stery wierzgającej i nietrzymającej kursu maszyny, sunącej z prędkością 600 węzłów.

Poderwał ją bardzo późno, niemal na wysokości drzew, przekonany, że zgubił nieprzyjaciela. Ale nieprzyjaciel wciąż znajdował się tuż za nim, tyle że po chwili zawrócił, najwyraźniej zmierzając do bazy. Nie zważając na spore zniszczenia, jakich doznał już jego samolot, Vampatella podjął ryzyko wyruszenia w pościg za nim. Wystrzelił swojego sidewindera, a kiedy trafiony nim MiG eksplodował, poszukał samolotu tankującego, który przekazał mu dość paliwa, by wystarczyło na stukilometrowy lot powrotny na lotniskowiec Hancock. Odwagę, którą wykazał się Vampatella, niejednokrotnie stawiano za wzór podczas szkoleń dla pilotów, ale w rzeczywistości kontynuowanie walki w uszkodzonym samolocie kończyło się najczęściej jedynie telegramem „Zaginiony w akcji" wysyłanym do rodziny w kraju.

Marynarka przez całe lata nie mogła przeboleć, że jej piloci zestrzeliwują o wiele mniej maszyn nieprzyjaciela niż lotnicy USAF, częściowo z powodu niskiego odsetka trafień stosowanych w niej pocisków powietrze-powietrze Sparrow. Znacznie skuteczniejsze okazywały się rakiety Sidewinder, a jeszcze lepsze – pokładowe działka, które jednak montowano tylko w używanych przez marynarkę samolotach F-8. Tym samym nie potwierdzały się zapewnienia różnej maści mądrali, którzy głosili, że działka pokładowe nie są wcale potrzebne, jeśli dysponuje się rakietami. Tak naprawdę rezultaty bojowe pilotów marynarki zaczęły się poprawiać dopiero w ostatniej fazie wojny, kiedy to szkoła doktryny i taktyki walki w Miramar w Kalifornii stworzyła kurs Top Gun, którego absolwenci okazali się doskonałymi pogromcami MiG-ów.

Zaraz po zbombardowaniu wyznaczonego celu atakujące samoloty odchodziły w bok i zawracały, kierując się ku morzu i bezpiecznemu schronieniu na macierzystym lotniskowcu. Cały ten manewr trwał zwykle, by zacytować jednego z pilotów, „jakieś trzy minuty – co na dobrą sprawę równało się całej wieczności"[19]. Powracające na okręt maszyny witał monotonny głos oficera odpowiedzialnego za lądowanie, informujący drogą radiową o statusie górnego pokładu: „Pokład brudny (...) pokład brudny (...) pokład brudny, szykuj podwozie, skyhawk. Pokład brudny (...) Czysty pokład!"[20]. To właśnie doświadczeniu tego oficera pozostawiano ocenę, czy pilot uszkodzonego samolotu ma

podjąć próbę lądowania, czy powinien katapultować się do morza: ewentualne rozbicie się przy lądowaniu mogło nie tylko oznaczać śmierć samego pilota, ale też spowodować ogromne zniszczenia na pokładzie i wśród obecnej tam załogi. Nieuszkodzone maszyny siadały rzecz jasna bez problemów, co najwyżej lekko odbijały się od pokładu, zanim nie wpadły na liny aerofiniszera. Tak kończył się kolejny dzień pracy lotników marynarki.

Piloci odbywali średnio od 16 do 22 misji bojowych w miesiącu, a niektórym udawało się nawet dobić do 28: niewielka ich garstka mogła się pochwalić łączną liczbą 500 takich wylotów. Do jesieni 1966 roku, przy wzrastającym nasileniu operacji, zaczęło już brakować uzbrojenia – w tym zwłaszcza bomb – ale również sprzętu i samych lotników. Niepokojąco rosnąca liczba tych ostatnich przekonywała się już w trakcie wykonywania misji, że dostała bilet tylko w jedną stronę. Jack Broughton napisał o pewnym dniu, w którym jakaś niezauważona wyrzutnia SAM trafiła jeden z samolotów F-105 z jego dywizjonu: „Zorientowałem się, że ma kłopoty, kiedy ujrzałem wielką rdzawą kulę spowijającą jego maszynę (...) [która] wydawała się nienaruszona, ale szybko zaczęła obniżać lot, a jej lewe skrzydło opadało nieco w dół. Nadał tylko jedną transmisję: «Muszę stąd spadać. To na razie, chłopaki». Potem pociągnął za rączkę, a my wszyscy zobaczyliśmy czaszę spadochronu i usłyszeliśmy brzęczyk, podczas gdy on leciał dalej do Hanoi na nylonie”[21].

Major Fred Cherry z USAF był synem czarnoskórych robotników rolnych z Wirginii. Do szkoły lotniczej dostał się w roku 1951 wyłącznie dzięki swojemu uporowi, bo wcześniej wielokrotnie odrzucano jego podania, a po jej ukończeniu odbył 53 misje bojowe w Korei. Rankiem 25 października 1965 roku prowadził dywizjon samolotów F-105 podczas swojej pięćdziesiątej misji w Wietnamie, kiedy na kilka minut przed osiągnięciem celu usłyszał jakiś potężny głuchy odgłos. Natychmiast wyłączył całą elektrykę i hydraulikę, ale jego maszyna już po chwili wypełniła się dymem. Na niskiej wysokości, szepcąc pod nosem modlitwy, Cherry katapultował się niemal dokładnie w chwili, w której jego thud eksplodował, a panel sterowania przeleciał tuż obok głowy, lekko rozcinając mu skórę na twarzy. Znajdował się 65 kilometrów na

północny wschód od Hanoi, zaledwie dwie minuty lotu od wybrzeża i bezpieczeństwa. Po wylądowaniu od razu wpadł w ręce lokalnej milicji otoczonej przez gromadkę dzieci: „Myślałem, że zaraz porąbią mnie na kawałeczki tymi swoimi narzędziami rolniczymi, ale oni tylko tam stali i chichotali”[22]. Kiedy powiedziano mu, by podniósł ręce do góry, tylko pokazał na swoje wybite lewe ramię i złamaną kostkę. Był on czterdziestym trzecim amerykańskim lotnikiem pochwyconym przez nieprzyjaciela. Kiedy zaczął niezgrabnie kuśtykać w stronę pobliskiej drogi, tłum w milczeniu podążał za nim. Tylko jeden z żołnierzy oświadczył mu: „Jesteś przestępcą”. Zabrano go do więzienia Hoa Lo, nazywanego „Hiltonem Hanoi”. Nieco później przeniesiono go do innego więzienia znanego wśród jeńców jako „Zoo”, gdzie trafił do jednej celi z pilotem marynarki, pochodzącym z Karoliny Północnej człowiekiem nazwiskiem Porter Halyburton, który początkowo patrzył nań bardzo podejrzliwie, nie dowierzając, że czarnoskóry mógł dochrapać się rangi majora w USAF, i podejrzewając go raczej o to, że jest francuskim szpiegiem. Ale z upływem czasu – i wskutek wymuszonej bliskości – obaj mężczyźni nie tylko przekonali się do siebie, ale zaczęli sobie okazywać szacunek i wzajemną troskę. Kiedy w rany Cherry’ego wdało się zakażenie, „Hally” doglądał go troskliwie, niczym członka własnej rodziny. A gdy po jakimś czasie Południowca przeniesiono do innej celi, Cherry poczuł coś, co określił słowami: „w całym moim życiu nigdy nikogo mi tak bardzo nie brakowało”[23].

Norm McDaniel, urodzony w roku 1937, był jednym z ośmiorga dzieci czarnoskórego dzierżawcy rolnego z Karoliny Północnej, a dorastał, słuchając okropnych rodzinnych opowieści o czasach wielkiego kryzysu, także o tym, jak jego ojciec musiał zbierać bawełnę za dolara dziennie. Z dzieciństwa Norm zapamiętał głównie to, że często chodził spać głodny: „Jeśli mój ojciec zaszedł najpierw do sklepu z alkoholem, zamiast do spożywczego, to wszyscy mieliśmy problem”[24]. Jego matka, sama osierocona w dzieciństwie, fanatycznie wierzyła w edukację i bez przerwy powtarzała jak mantrę: „Wykorzystaj najlepiej, jak potrafisz, to, co masz”. Kiedy w roku 1959 jej syn z powodzeniem ukończył studia inżynierii na objętym segregacją Uniwersytecie Technicznym Karoliny Północnej i został przyjęty do wojska jako nawigator w USAF, był to

wielki sukces dla całej jego rodziny. McDaniel szybko polubił życie w lotnictwie i przez kilka kolejnych lat uczestniczył w licznych misjach jednego ze skrzydeł superfortec. Jedynie podczas wyjazdów z bazy on i jego żona Jean-Carol zaczynali odczuwać problemy związane z ich rasą: „W Missisipi, a nawet w Utah nie chcieli nas ani w hotelach, ani w restauracjach".

Jesienią 1965 roku McDaniel został przeniesiony z jednostki bombowców B-52 do służby w charakterze oficera wojny elektronicznej przy jednym z dywizjonów samolotów EB66C startującym z terytorium Tajlandii. „Nie miałem żadnych obaw z tym związanych. Po prostu czułem, że robię to, co powinienem robić". Maszyna, którą przyszło mu latać, miała stanowczo za słabą moc i musiała wykorzystywać podczas startu całą długość pasa, zwłaszcza w gorące dni. Za każdym razem McDaniel zmawiał po cichu modlitwę, „nie za mnie, lecz za moją rodzinę". Misje trwały zwykle około 3 godzin, z czego 25 minut przeznaczano na krążenie wokół wyznaczonego obszaru na wysokości 7500 metrów i monitorowanie oraz zakłócanie transmisji radarowych nieprzyjaciela. Kiedy tylko wykryto jakiś potencjalnie groźny sygnał, natychmiast informowano o tym przez radio pilotów uderzeniowych: „Czerwony alarm, samolot nieprzyjaciela" lub „Namierzanie pocisku", lub jakiś podobny w tonie komunikat, a po ustąpieniu zagrożenia ogłaszano: „Droga wolna". McDaniel był jednym z czterech „kruków" wpatrujących się uważnie w monitory zainstalowane w specjalnym, pozbawionym okien pomieszczeniu tuż za kokpitem samolotu B-66.

Wszystkie misje przebiegały dosyć rutynowo, a każdy pilot musiał wykonać 100 lotów „na Północ", jak same załogi określały terytorium nieprzyjaciela, zanim mógł wrócić do kraju. W swojej całkiem komfortowej bazie McDaniel dużo czytał, ćwiczył i grał w ping-ponga. W klubie oficerskim popularna była gra w tak zwanego martwego robala: kiedy któryś z lotników wykrzyknął głośno te właśnie słowa, wszyscy przypadali plackiem do ziemi. Ten, który zrobił to jako ostatni, musiał potem fundować kolejkę całej reszcie, co oznaczało czasem nawet do 60 drinków, ale ponieważ alkohol był tam tani, nie uszczuplało to zbytnio niczyjego portfela. McDanielowi nawet podobał się ten pobyt w Takhli, tyle że strasznie tęsknił za rodziną i wiedział, że

jego bliscy także za nim tęsknią. Jak wyznał: „Nigdy zbytnio się nie bałem. Domyślaliśmy się, że ten bajzel będzie trwał całymi latami. Skupialiśmy się więc tylko na tym, żeby odbyć tych naszych 100 misji i móc wracać do domu za jakieś osiem czy dziewięć miesięcy". Podczas dwudziestego dziewiątego lotu, w pobliżu Hanoi, namierzyła ich wyrzutnia SAM-2 i musieli wykonać całą serię gwałtownych uników. Manewry te zdawały się trwać całą wieczność, aż wreszcie wyczerpana emocjonalnie załoga usłyszała przez interkom beznamiętny, ale jakże pięknie brzmiący w jej uszach komunikat: „Namiar zerwany". Dopiero wówczas wszyscy mogli odetchnąć z ulgą i wrócić do swojej komfortowej bazy w upalnej i wilgotnej Tajlandii. A McDaniel mógł pomyśleć: „Hej, teraz i ja poznałem, co to strach".

A już dwie misje później, 20 lipca 1966 roku, kiedy zbliżali się do wyznaczonego celu w okolicy Hanoi, ich samolotem mocno szarpnęło – „jakbyśmy przelatywali przez jakąś wielką dziurę powietrzną". Na całą serię szybkich i gwałtownych pytań zaniepokojonej załogi pilot Bill Means odpowiedział uspokajająco: „Prawie nas trafili, ale wciąż lecimy". Nie trwało to jednak długo. Dosłownie kilka sekund później Means stracił kontrolę nad maszyną, a ta zaczęła bezładnie spadać. Kiedy wreszcie udało się jako tako wyrównać jej lot, załoga bezskutecznie czekała na kolejne wieści ze strony pilota. Ale wszelka komunikacja została zerwana, a co gorsza odcięło też dopływ tlenu. Wkrótce w pomieszczeniu zajmowanym przez cztery „kruki" zaczęły się gromadzić kłęby dymu. Regulamin nakazywał im w takim wypadku katapultowanie się w ustalonej kolejności. Pierwszy miał być McDaniel, siedzący z przodu po lewej stronie. „To był czas na podjęcie decyzji. Wszędzie widać było ogień i dym, więc pomyślałem sobie: «Spadam stąd»". Mimo tych okoliczności McDaniel pamiętał o całej procedurze: najpierw zasunął osłonę swojego hełmu, potem aktywował osobistą butlę z tlenem, a wreszcie wcisnął się głęboko w fotel i pociągnął za rączkę odrzucającą górną klapę, a następnie za drugą, zwalniającą dźwignię katapulty.

Wszystko poszło jak należy i już wkrótce wisiał on na linkach swojego spadochronu, czekając, aż spokojnie opadnie na ziemię. I właśnie wtedy zauważył, że w czaszy robią się małe dziurki: najwyraźniej z dołu do

niego strzelano. Kiedy tylko dotknął nogami ziemi, otoczyli go chłopi, żołnierze i członkowie lokalnej milicji, którzy błyskawicznie rozebrali go do majtek i koszulki. Była godzina 8.30 rano, a on znajdował się jakieś 50 kilometrów na północny zachód od Hanoi. Początkowo usiłowano go wrzucić do jakiegoś dołu, w którym – jak był przekonany – czekało go rozstrzelanie. Ostatecznie jednak zawiązano mu oczy, poprowadzono do jakiegoś pojazdu i zawieziono do „Hiltona Hanoi", gdzie dotarł dopiero pod wieczór.

Przez jakiś czas prześladowały go obawy, że tylko on jeden z całej załogi zdecydował się na katapultowanie, a cała reszta wróciła bezpiecznie do Takhli i miała niezły ubaw z jego panicznej ucieczki. Wkrótce jednak przekonał się, że również pozostali koledzy, poza jednym skoczkiem, którego zabito zaraz po wylądowaniu, trafili razem z nim do więzienia jako jeńcy wojenni i mieli w nim pozostać aż do roku 1973. Kiedy jego bliscy w domu dostali wiadomość, że został on uznany za zaginionego w akcji, a jego los jest nieznany, jego matka powiedziała Jean-Carol: „Macowi nic nie jest. Odwiedziłam go we śnie. Leżał w jakimś małym pokoiku. Spytałam: «Wszystko w porządku, Mac?», a on odparł: «Tak, mamo. Nie martw się o mnie»". Opowieść matki McDaniela okazała się w jakiejś mierze prawdziwa. Także wiele innych rodzin, których bliscy zaginęli w akcji, doznawało podobnie niezwykłych wizji, które jednak nie sprawdzały się w rzeczywistości. Dopiero po długich osiemnastu miesiącach trzymania wszystkich w niepewności Wietnamczycy z Północy ogłosili, że pojmali nawigatora jako jeńca wojennego.

W Hanoi los potraktował McDaniela lepiej niż wielu jego rodaków: „Jedzenie było gówniane, ale robione z dosyć zdrowych składników, a do głodu przyzwyczaiłem się już w dzieciństwie". Podobnie jak większość innych Amerykanów, również i jego poddawano raz na jakiś czas rozmaitym okrutnym praktykom, czasami przekształcającym się wręcz w otwarte tortury. Dowody pochodzące zarówno ze źródeł wietnamskich, jak i rosyjskich sugerują, że komunistom udawało się wydobywać od wziętych do niewoli członków załóg lotniczych całkiem sporo znaczących danych operacyjnych, ale i tak głównym celem przesłuchań było podkreślanie swojej ideologicznej dominacji

i wymierzanie kary jedynym dostępnym przedstawicielom znienawidzonego wroga. W samych Stanach Zjednoczonych barbarzyństwa wyrządzane amerykańskim jeńcom wojennym wywoływały powszechne publiczne oburzenie. Warto jednak podkreślić, że komuniści brani do niewoli czy to przez tychże Amerykanów, czy też przez Wietnamczyków z Południa, spotykali się z równie twardym, a może nawet i gorszym traktowaniem, po którym nierzadko następowała śmierć. Kiedy napisana przez Franka Sneppa z CIA książka *Decent Interval* (*Przyzwoita przerwa*), ujawniająca wiele nieznanych faktów dotyczących Wietnamu, stała się bestsellerem w roku 1977, jej autor był zdumiony, że tak niewielu czytelników przejęło się opisami „rozszerzonych przesłuchiwań" i tortur, którym poddawano jeńców, a także tym, że prawdziwości tych relacji nigdy nie zakwestionowano[25]. Doug Ramsey również pisał z odrazą o cechującej jego kolegów „niedbałej tolerancji dla złego traktowania więźniów"[26]. Oburzenie okrucieństwem Hanoi w stosunku do pochwyconych jeńców mogło być usprawiedliwione jedynie przy założeniu, że amerykańscy kapitaliści oczekiwali lepszego traktowania swoich ludzi, znajdujących się w rękach nieprzyjaciela aniżeli pojmanych przez siebie wietnamskich komunistów.

Norm McDaniel, w lipcu 1966 najmłodszy stażem gość w „Hiltonie Hanoi", mógł się poszczycić łagodnym i nadzwyczaj pogodnym charakterem, który okazał się jego wielkim sojusznikiem podczas niemal siedmiu lat spędzonych w niewoli. Podczas gdy wielu innych jeńców pielęgnowało w sobie głęboką nienawiść do Wietnamczyków z Północy, którzy ich pojmali, on sam twierdził, że taka postawa była stanowczo bezproduktywna: „Uważam siebie za wiecznego optymistę. Dobrze wiedzieliśmy, że więźniów w Wietnamie można było zaliczyć do elity w porównaniu z tym, jak traktowano kiedyś jeńców w Korei. Trzeba było tylko znaleźć jakiś cel wybiegający poza to wszystko: ja miałem wiarę w Boga i moją rodzinę".

Znaczącą mniejszość pilotów stanowili weterani z dużym doświadczeniem bojowym. Komandor porucznik Richard Bengler miał czterdzieści dwa lata. Wcześniej pilotował samoloty B-17 i B-25 podczas II wojny światowej, a następnie myśliwce w Korei. W lipcu 1966 roku

przeżył katapultowanie do morza po zestrzeleniu jego F-8 przez nieprzyjacielskiego MiG-17. Cztery miesiące później to on triumfował w walce powietrznej, bo udało mu się strącić pierwszą w historii marynarki maszynę MiG-21 pociskami Sidewinder. Mówił o tym później następująco: „Czekałem na coś takiego długich dwadzieścia lat. To było niesamowite uczucie". Z kolei kapitan Jack Nolan z Freeport na Long Island miał już trzydzieści sześć lat, kiedy trafił do Wietnamu. Był synem prawnika i przez jakiś czas studentem medycyny: „Ale wtedy pojawiła się pewna dziewczyna. Poślubiłem ją, a co!". Od zawsze pasjonowało go lotnictwo: „Byłem zafascynowany samolotami, odkąd jako pięciolatek przeleciałem się na czyjeś zaproszenie stimsonem". W roku 1952 Nolan wstąpił do USAF i został wysłany do Korei, ale kiedy znajdował się nad Pacyfikiem, dowiedział się o podpisaniu zawieszenia broni. Przez kolejną dekadę pracował jako instruktor i wychowywał pięcioro dzieci, aż wreszcie pod koniec 1966 roku otrzymał przydział do jednego ze skrzydeł thudów stacjonującego, podobnie jak jednostka EB-66, w której służył Norm McDaniel, w Takhli w Tajlandii. „Co myślała o tym moja żona? Nigdy jej o to nie pytałem"[27]. W bazie panowały całkiem komfortowe warunki: lotnicy mieszkali w murowanych budynkach, po dwóch w jednym pokoju. Dwudziestu pilotów, którymi dysponował dywizjon, latało wszelkimi możliwymi maszynami, w zależności od tego, jaką przydzielano im danego dnia – samolotom nie nadawano żadnych spersonalizowanych nazw, nie ozdabiano ich żadnymi malunkami, wszystkie miały ten sam zielono-brązowy kamuflaż na górnych powierzchniach i błękitne podbrzusza. Szczególnie dobrze prowadziło się myśliwce F-105, zdolne do rozwijania prędkości naddźwiękowych na niskich wysokościach. Podczas misji nad Wietnamem Północnym zazwyczaj zabierały one po sześć bomb o wadze 350 kilogramów, system ECM do zwalczania radarów i pociski Sidewinder, choć akurat Jack Nolan nigdy żadnego z nich nie wystrzelił.

W dniach operacyjnych lotnicy wstawali wczesnym rankiem, między 2.30 a 7.00, jedli śniadanie i rozpoczynali długie, mozolne przygotowanie sprzętu do lotu. Pewien doświadczony pilot powiedział któregoś dnia, wchodząc na odprawę przed kolejną misję nad „Pasmem

Thudów": „Każdy, kto nie jest teraz całkowicie przerażony, po prostu nie rozumie, w co się pcha"[28]. Tego samego ranka Jack Broughton słyszał, jak jakiś człowiek wymiotuje w latrynie, i dobrze wiedział, że był to jeden z jego kolegów lotników. Broughton napisał też o długim okresie oczekiwania na start w pełnym rynsztunku, w kokpicie samolotu stojącego na rozgrzanej płycie lotniska w tajskiej bazie, pełnej wszelkiego rodzaju maszyn: „Pociliśmy się tak bardzo, że czasami z trudem cokolwiek widzieliśmy. Kolejka do startu była rodzajem zorganizowanego chaosu, w którym jeden pilot po drugim wciskał przycisk zapłonu, a powietrze wypełniało się smrodem spalin i kłębami gęstego dymu z załadowanej czarnym proszkiem kasetki rozruchowej, potrzebnej do uruchomienia silnika na niskich obrotach. Hałas był ogłuszający (...) Siedząc tak, rozmyślałem: jaki to będzie dla mnie dzień – dzień SAM czy dzień MiG-ów?"[29].

Jack Nolan latał zazwyczaj w formacji 16 maszyn, nie licząc dwóch dodatkowych stanowiących rezerwę, która poruszała się z prędkością 450 węzłów w grupach po cztery „na wysokości 5 tysięcy metrów podczas każdej cholernej misji". Przed wejściem w przestrzeń nieprzyjaciela każdy z pilotów podlatywał kolejno do jednego z dwóch samolotów tankujących KC-135, by przez 10 minut uzupełniać paliwo, a następnie odchodził na swoje miejsce w formacji taktycznej, w której cała grupa wlatywała w IP – *initial point*, czyli punkt początkowy. Zwalczające artylerię przeciwlotniczą samoloty F-4 starały się zaatakować cele na 15–30 sekund przed bombowcami, ostrzeliwując z działek pokładowych oraz rakietami Zuni każde miejsce dostrzeżonego rozbłysku na ziemi, aż wreszcie po wyczerpaniu całej amunicji ich piloci szarpali mocno w bok za trzymane w ręku drążki, by uruchomić dopalacz. To dawało im możliwość błyskawicznego nabrania mocy i szybkiego odejścia z obszaru walk, choć za cenę dramatycznego zwiększenia zużycia paliwa. Dopiero teraz do ataku przystępowały thudy, podchodząc do celu lotem nurkowym pod kątem 45 stopni, by znalazłszy się nad nim, zrzucić bomby z wysokości 1500 metrów, „po czym uciekać gdzie pieprz rośnie" – a dokładniej: odchodzić, czując przeciążenie sięgające od 4 do 6 G.

Celami mogły być mosty, tereny kolejowe czy lotniska. Na napastników zawsze czekała artyleria przeciwlotnicza, co kosztowało ich zwykle jedną maszynę dziennie straconą przez któreś z dwóch skrzydeł w ich dywizjonie. Czasami pokazała się też charakterystyczna biała smuga pocisku SAM, którą jednak piloci ignorowali, chyba że otrzymali wcześniej ostrzeżenie, że wystrzelono go, namierzywszy wcześniej któregoś z nich. „Zobaczyłem, że jeden z naszych spada, widziałem też, jak pilot się katapultuje, ale potem nigdy już o nim nie słyszałem". Najlepszą taktyką po napotkaniu lecącego z naprzeciwka pocisku SAM było wykonanie ostrego zwrotu w stosunku do jego toru lotu – pocisk zazwyczaj gubił wtedy namiar radarowy i wybuchał. Nolan, podobnie jak wielu innych pilotów, starał się patrzeć na swoją pracę bez nadmiernych emocji, mimo nachodzących go raz na jakiś czas ataków przerażenia: „Nie myślałem zbyt wiele o tym, co działo się na ziemi. Po prostu robiłem swoje, próbowałem jakoś przeżyć, no i dochrapać się awansu na majora – co mi się ostatecznie nie udało". Lotnicy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że wiele zrzucanych przez nich ładunków nie trafiało w cel – szczególnie trudno przychodziło im niszczenie mostów bombami o wadze 1300 kilogramów: „Odczuwałem prawdziwą frustrację, widząc elementy mostu pontonowego rozłożone na brzegu i ludzi gotowych załatać nimi każdą wyrwę, jaką uda nam się zrobić". Pewnego dnia, kiedy Nolan podchodził lotem nurkowym do jakiegoś mostu w pobliżu granicy z Chinami, jego maszyna została trafiona serią z broni automatycznej tuż pod prawym skrzydłem, a ponieważ uszkodzona została jej hydraulika, nie mógł on podłączyć się do samolotu tankującego i nabrać paliwa na powrót do bazy. Zrzucił więc swoje bomby do rzeki, a następnie skierował swój wielki samolot w stronę Da Nang w eskorcie dowódcy. Przed podejściem do lądowania musiał ręcznie opuścić podwozie za pomocą korby, ale udało mu się bezpiecznie usiąść na płycie. Do Tajlandii wrócił „gościnnym" lotem na pokładzie C-123, a zaraz po wylądowaniu udał się prosto do baru. Wkrótce potem przeniesiono go do sztabu operacyjnego 7. Sił Powietrznych, gdzie miał analizować dane dotyczące celów: „Tamto doświadczenie tylko wzmocniło we mnie przekonanie, że mnóstwo bomb spadało nie tam, gdzie powinny. Ale nikogo to nie obchodziło".

Bombowce szturmowe Douglas A-4 Skyhawk nad Wietnamem, 1966 rok

Przygody bojowe Nolana były stosunkowo mało efektowne, ale inni lotnicy przeżywali niezwykłe powietrzne dramaty. 20 kwietnia 1967 roku słynący z odwagi w całej marynarce komandor porucznik Mike Estocin prowadził atak trzech samolotów na Hajfong, gdzie udało się zniszczyć trzy stanowiska wyrzutni SAM, ale jego A-4 został lekko uszkodzony w jednym z wybuchów. Przekonany, że jego maszyna w dalszym ciągu zachowuje sprawność, Estocin nie zdecydował się na katapultowanie, a zamiast tego wystrzelił ostatni pocisk Shrike w naziemny cel i zawrócił do bazy. Ponieważ jednak zbyt szybko tracił paliwo, zaczął szukać któregoś z samolotów tankujących. Znalazł w końcu jeden z wielkich KA-3, kiedy zostało mu paliwa dosłownie na pięć minut dalszego lotu, po czym podpiął się pod niego i w ten sposób wrócił na Ticonderogę – malutkim skyhawkiem podczepionym pod gigantyczną powietrzną cysternę. Trzy kilometry przed lotniskowcem Estocin odpiął się i zaczął podchodzić do lądowania, mając dość paliwa tylko na jedną udaną próbę. Usiadł na platformie bez większych problemów, ale właśnie wtedy samolot stanął w płomieniach. Estocin

spokojnie otworzył osłonę kabiny i wyskoczył z maszyny, po czym, lawirując między strażakami spieszącymi do maszyny z gaśnicami, oddał swój kask któremuś członkowi obsługi i udał się pod pokład, ani przez chwilę nie oglądając się za siebie. Doprawdy, trudno było nie podziwiać tak chłodnej głowy i zdystansowanej postawy. Niestety, już sześć dni później szczęście mu nie dopisało. Podczas nalotu na skład ropy naftowej w pobliżu Hajfongu jego samolot został bezpośrednio trafiony jedną z rakiet SAM-2, a jego resztki rozbiły się o ziemię. Estocin otrzymał pośmiertnie Medal Honoru[30].

Jednym z najbardziej dramatycznych, a niejednokrotnie również heroicznych aspektów wojny powietrznej były wysiłki podejmowane przez cały okres jej trwania w celu ratowania tych członków załóg, których samoloty zostały trafione. Około jednej trzeciej zestrzelonych lotników zdołano przechwycić i ocalić od niewoli, niewielki ich odsetek został pojmany przez komunistów, a reszta zginęła. W sektorze przydzielonym marynarce morskie ekipy ratunkowe nierzadko całymi tygodniami doznawały potwornej nudy, latając tam i z powrotem nad wodami przybrzeżnymi opancerzonymi helikopterami HH-3E i na próżno nasłuchując jakichkolwiek wezwań. Aż wreszcie przychodził dzień, w którym w eterze rozlegał się elektryzujący apel, a ratownicy mieli okazję rzucić się w wir działania, nierzadko pełnego dramatyzmu i niebezpieczeństwa. A wtedy zwykle rozpoczynał się wyścig między tymi „aniołami" a rybakami, którzy za każdego Amerykanina wyłowionego z morza mogli dostać od komunistów równowartość 200 dolarów – co stanowiło dla nich prawdziwą fortunę.

27 kwietnia 1966 roku, po tym jak jeden z samolotów A-6A został trafiony przez artylerię przeciwlotniczą, lecący nim bombardier Brian Westin z niepokojem zauważył, że zraniony pilot Bill Westerman nagle pobladł, lewa ręka mu opadła, maska z tlenem zsunęła się z twarzy, a sam samolot zaczął wznosić się w sposób zupełnie niekontrolowany. Westin rozpiął mu uprząż, nachylił się, by samemu przejąć drążek sterowania, po czym skierował maszynę w stronę wybrzeża, jednocześnie wzywając przez radio pomocy. Po chwili Westerman ocknął się na tyle, że był w stanie przejąć kontrolę nad sterami i obrać niepewny kurs powrotny na Kittyhawk w towarzystwie dowódcy ich

dywizjonu. Nie zdecydował się jednak na podjęcie próby lądowania, więc obaj musieli katapultować się do morza. Jeden na trzech lotników, którzy wybierali ten sposób ocalenia życia, tonął, zanim zdołała go wyłowić ekipa ratownicza. Westina wciągnięto jako pierwszego na pokład helikoptera ratunkowego, a wtedy dostrzegł on, że z powodu dużej utraty krwi jego pilot był zbyt słaby, by samemu przypiąć się do podnośnika. Natychmiast wskoczył z powrotem do morza, by pomóc wyciągnąć Westermana z wody, a kiedy tylko to nastąpiło, dał sygnał załodze helikoptera, by jak najszybciej odwiozła rannego pilota i oddała go pod opiekę lekarzy. Jego samego wyłowiła dopiero druga ekipa ratunkowa, w chwili gdy wokół niego zaczynały już krążyć rekiny. Za swój wyczyn otrzymał on później Krzyż Marynarki Wojennej.

Innym razem pewien samolot zwiadowczy został zestrzelony nad samym brzegiem morza, a jego pilot poniósł śmierć. Osamotniony nawigator stojący na plaży w otoczeniu lokalnych mieszkańców już szykował się na pojmanie, kiedy zauważył zbliżający się helikopter ratunkowy, kierujący się na sygnał z rozbitej maszyny. Rozpiąwszy kombinezon, wyciągnął pistolet, zastrzelił pilnującego go członka milicji, po czym rzucił się w fale i zaczął płynąć w stronę śmigłowca, który już po chwili z powodzeniem go wyłowił. W kolejnym podobnym przypadku z jednego z niszczycieli wysłano już po zapadnięciu zmroku helikopter Seasprite, by przywiózł z powrotem dwóch członków załogi zestrzelonego F-4, którzy ukrywali się na terytorium Wietnamu Północnego. Strzelcom z seasprite udało się utrzymać na dystans żołnierzy nieprzyjaciela i pod ciężkim ostrzałem wciągnąć na pokład obu Amerykanów, po czym wrócić i bezpiecznie wylądować, mimo że w baku śmigłowca pozostało ledwie kilka litrów paliwa. Jeszcze inny pilot musiał godzinami dryfować w morzu, bo oba wysłane po niego helikoptery ratunkowe musiały się wycofać pod ciężkim ostrzałem nieprzyjaciela, który zranił śmiertelnie innego członka załogi również ocalałego z katastrofy. Tymczasem w przestworzach myśliwce toczyły zażartą walkę z Wietnamczykami z Północy, za wszelką cenę starając się ich nie dopuścić do swojego człowieka w morzu, dopóki kolejny przysłany śmigłowiec nie wyciągnął go wreszcie z wody przy resztkach światła słonecznego. Na wszystkich częstotliwościach radiowych

wykorzystywanych przez tę formację rozległ się wówczas triumfalny komunikat: „Mamy go!”. A jeden z lotników napisał: „W oczach pilotów, którzy rok po roku walczyli w tej szalonej wojnie, to jedno zwycięstwo było absolutnie bezdyskusyjne i niekwestionowane”[31]. W samym tylko roku 1967 zestrzelonych zostało siedem helikopterów marynarki niosących pomoc członkom załóg strąconych wcześniej samolotów.

Również sektor USAF był sceną aktów niezwykłego bohaterstwa. Pewien pilot trafionego crusadera katapultował się wprost w leśną gęstwinę na południowy zachód od Hanoi, a helikopter ratunkowy dotarł do niego tuż przed żołnierzami AWP, otaczającymi go już ze wszystkich stron. Kiedy jednak ze śmigłowca spuszczono na linie „penetratora dżungli”, okazało się, że jego kabel jest o 3 metry za krótki, by mógł go dosięgnąć wyprężony jak struna pilot. Pod silnym ostrzałem, samemu tracąc jednego z członków załogi, śmigłowiec wciąż opuszczał się w dół, torując sobie drogę w koronach drzew tylnym śmigłem, aż wreszcie potrzebujący pomocy człowiek na ziemi zdołał przypiąć się do liny i można go było wciągnąć na pokład. Jak się wkrótce okazało, sam helikopter doznał podczas tej akcji tak wielkich uszkodzeń, że musiał lądować awaryjnie po przeleceniu zaledwie kilku kilometrów. Na szczęście wszystkich znajdujących się na jego pokładzie zdołał niemal natychmiast zabrać wysłany po nich większy śmigłowiec Jolly Green Giant.

Z kolei urodzony w Niemczech porucznik Dieter Dengler był pilotem skyraidera, który rozbił się w Laosie po trafieniu ogniem z ziemi. Dostał się jako jeniec w ręce Pathet Lao i spędził w niewoli cztery miesiące, zanim udało mu się uciec w towarzystwie pilota UASF, Duane’a Martina. Przez kilka dni obaj przedzierali się przez dżunglę, żywiąc się owocami i garścią ryżu, aż wreszcie doszli do jakiejś rzeki, zbudowali tratwę i popłynęli z prądem, by dotrzeć do opuszczonej przez chłopów wioski, w której znaleźli trochę zboża. Dengler zachorował na żółtaczkę i malarię. W kolejnej wiosce, do której dotarli, zaatakował ich jakiś człowiek z maczetą, śmiertelnie raniąc Martina. Dengler kontynuował marsz w pojedynkę, aż wreszcie po dwudziestu dwóch dniach ucieczki poczuł, że nie da już rady iść dalej. Wyczerpany legł na trawie, ale wcześniej ułożył z kamieni wielki napis „SOS”. Cudownym

zbiegiem okoliczności napis ten dostrzeżono z przelatującego samolotu USAF i wezwano na to miejsce helikopter, który wyratował nieszczęśnika z opresji. Dengler ważył w tamtym momencie zaledwie 45 kilogramów, straciwszy aż 26 kilo ze swojej poprzedniej wagi.

Siły powietrzne i marynarka wielokrotnie utyskiwały na ograniczenia narzucane im przez polityków, ale na dobrą sprawę nawet ich nalotom na dozwolone cele nierzadko daleko było do ideału. I tak od marca 1965 roku do listopada 1968 roku przeprowadzono blisko 700 misji bojowych, by zniszczyć most kolejowy Thanh Hoa, leżący 130 kilometrów na południe od Hanoi. W marcu 1967 trafiono weń trzykrotnie naprowadzanymi bombami ślizgowymi Walleye. A mimo to zarówno sam most, jak i wiodąca przezeń linia kolejowa wciąż zachowywały drożność i funkcjonowały. Również most Paula Doumera w Hanoi przez długi czas atakowano zaciekle bez większego skutku, doprowadzając do jego zamknięcia na okres sześciu miesięcy dopiero w sierpniu 1967 roku.

Tamtego roku odnotowano też drastyczne zwiększenie aktywności nieprzyjacielskich wyrzutni rakietowych, co skutkowało wciąż rosnącymi stratami po stronie amerykańskiej. Dosłownie już każdy nalot napotykał deszcz pocisków SAM: tylko w jednym dniu, 21 sierpnia, odpalono ich aż 80. Pewien rosyjski generał uskarżał się, że jego północnowietnamscy sojusznicy wystrzeliwują te niezwykle drogie zabawki, „jakby odpalali fajerwerki". W samym tylko sierpniu marynarka straciła 16 samolotów. Wokół Hanoi działało już blisko 600 dział przeciwlotniczych i 15 stanowisk wyrzutni SAM. Generał dywizji Bruce Palmer napisał: „Cena wstępu naszych sił atakujących na terytorium nieprzyjaciela stawała się bardzo wysoka, może nawet zaporowa"[32]. W roku 1967 marynarka ogłosiła zniszczenie 30 stanowisk wyrzutni SAM, 187 dział artylerii przeciwlotniczej i 955 mostów – przy czym na wiele obiektów w tej ostatniej kategorii musiano przeprowadzać naloty kilkakrotnie – a także duże ilości taboru kolejowego. Łącznie szacowano, że bombardowania wyrządziły Wietnamowi Północnemu straty w wysokości 300 milionów dolarów – tyle że za cenę utraty 922 samolotów, których wartość była trzykrotnie większa. Wietnamska obrona przeciwlotnicza dysponowała już 8

tysiącami dział i 2 tysiącami wyrzutni rakietowych. Aż o 85 procent zredukowano zdolność Północy do wytwarzania energii elektrycznej, ale kraj ten wciąż funkcjonował dzięki przenośnym generatorom prądu. Rozeznanie wywiadu amerykańskiego w kwestiach przemysłu i infrastruktury nieprzyjaciela wciąż pozostawiało wiele do życzenia. Nic nie wskazywało na to, by cała ta wielka ofensywa powietrzna w jakikolwiek sposób ograniczała zdolność Wietnamu Północnego do prowadzenia wojny.

W obliczu rosnących strat i niespecjalnie widocznych sukcesów morale lotników wciąż się obniżało. W rozmowach między sobą szyderczo określali oni swoich planistów i dowódców mianem „Klubu Jachtowego z Zatoki Tonkińskiej". Załogi wciąż wylatywały na misje i bombardowały wyznaczone cele, czasami za cenę własnego życia, ale coraz trudniej było im wierzyć w to, że osiągane rezultaty były warte takich poświęceń, choć ich dowódcy z uporem odrzucali jakiekolwiek sugestie, iż wojna powietrzna napotyka w Wietnamie poważne ograniczenia. Jeszcze we wznowionym w roku 1984 podręczniku USAF *Basic Doctrine Manual* (*Podstawy doktryny lotniczej*) autorzy uparcie twierdzili: „Siły operujące w przestrzeni powietrznej mają zdolność przeniknięcia do samego serca potęgi nieprzyjaciela bez potrzeby mierzenia się z poszczególnymi formacjami obronnymi i eliminowania ich jedna po drugiej". A zdolność taka, jak argumentowali w dalszej części swojego wywodu niewątpliwi wielbiciele bombardowań, umożliwiała atakującym samolotom niszczenie „starannie wybranych zestawów kluczowych celów"[33], co niechybnie prowadzić miało do osłabienia potencjału bojowego nieprzyjaciela i jego woli dalszej walki. A kiedy w roku 1986 udzielającego wywiadu Curtisa LeMaya zapytano, czy wojna w Wietnamie była do wygrania, odparł on z niezachwianą pewnością: „W dowolnym momencie, w ciągu zaledwie dwóch tygodni, o ile tylko dałoby się wdrożyć program bombardowań bez żadnych ograniczeń"[34]. I taki pogląd tenże LeMay, ale również generał William Momyer czy admirał Ulysses Grant Sharp, głosili niewzruszenie aż po kres swojego życia. Dla potomności wydaje się on jednak całkowitą mrzonką. Owszem, taktyczne ataki powietrzne przeprowadzane na Południu, w tym zwłaszcza na Szlaku Ho Chi Minha, w poważnym

stopniu utrudniały komunistom prowadzenie wojny. Lecz już polityczne koszty operacji „Rolling Thunder" ponoszone przez Stany Zjednoczone były znacznie wyższe od jakichkolwiek strat zadawanych Wietnamowi Północnemu. A pod tym względem niemal z całą pewnością nic by się nie zmieniło nawet wówczas, gdyby dowódcom amerykańskiego lotnictwa pozwolono na atakowanie wszystkich możliwych celów, czego tak głośno się domagali.

15
Ból się nasila

1. RAZ LEPIEJ, RAZ GORZEJ

W styczniu 1966 roku polski wiceminister spraw zagranicznych zjawił się w Hanoi z informacją, że Amerykanie są gotowi do negocjacji. Oferta ta została jednak z pogardą odrzucona. Dokładnie z taką samą odpowiedzią spotkał się w czerwcu kanadyjski emisariusz przybywający z podobnym przesłaniem. A już miesiąc później Jean Sainteny, reprezentujący Francję podczas negocjacji z Ho Chi Minhem w marcu 1946 roku, przedstawił zupełnie nowe propozycje. Namawiał on Wietnamczyków z Północy do przekucia swoich wojennych zwycięstw na korzystny układ pokojowy, twierdząc, że Amerykanom zależało już tylko na zachowaniu twarzy. Ale podczas rozmowy tego Francuza z Pham Van Dongiem do gabinetu wkroczył sam Ho, który powiedział przybyszowi, by wrócił do domu i przekazał Waszyngtonowi, że jego ludzie niczego się nie boją i będą walczyć aż do końca, „nawet jeśli przyjdzie nam poświęcić wszystko”[1]. Komuniści stanowczo odrzucali jakiekolwiek porozumienie, które przedłużałoby istnienie reżimu w Sajgonie, i zamierzali walczyć o całkowite zwycięstwo, a nie jakąś jego namiastkę.

Podobnie jak naloty Luftwaffe na Wielką Brytanię w roku 1940 umożliwiły Winstonowi Churchillowi zjednoczenie społeczeństwa brytyjskiego wokół potrzeby stawienia im czoła, tak też amerykańskie bombardowania Wietnamu Północnego okazały się dla jego przywódców prawdziwym błogosławieństwem, pozwalającym im wykrzesać ze swojego narodu jeszcze większą wolę walki, motywowaną oczywistym i widocznym na co dzień zagrożeniem z przestworzy, a nie

tylko politycznym celem zjednoczenia kraju. Cywilom zaczęto wydawać stare karabiny, z których mieli oni strzelać do przelatujących samolotów – samym latającym maszynom nie czyniło to wprawdzie zbyt wiele krzywdy, ale za to znacząco podnosiło morale ludności. Muzyk Van Ky powiedział: „Dla naszego narodu [bombardowania] nie były niczym nieoczekiwanym ani dziwnym – byliśmy na nie psychologicznie przygotowani. Już na samym początku wujek Ho powiedział nam: «Ta wojna może się ciągnąć bardzo długo, a nasza stolica Hanoi może zostać zniszczona, ale my się nie boimy»”[2]. A pewien nastolatek wyznał, że po tym, jak kilka zbłąkanych bomb spadło na placu zabaw w ich miejscowości, zabijając wiele dzieci, w tym dwójkę jego kuzynów, usłyszał od swojej matki dość niezwykłe jak na rodziców słowa, by porzucił szkołę i zaciągnął się do wojska[3].

Z kolei pewna zdeklarowana partyjna działaczka do końca życia wspominała z nostalgią entuzjazm towarzyszący pierwszym dniom amerykańskich bombardowań, w czasach gdy ona sama była jeszcze młodą i mało znaczącą komunistką: „Napędzały nas wówczas ideały, aspiracje, cele, do których wszyscy dążyliśmy. Rywalizowaliśmy ze sobą o to, by wypełnić każde zadanie, i pamiętam nawet, że czasami zalewałam się łzami, gdy ktoś okazywał się w czymś lepszy ode mnie. Nikogo nie trzeba było siłą powoływać do wojska – wszyscy sami zgłaszali się do służby. I nie było żadnej korupcji”[4].

Całkiem możliwe, że była to prawda, ale z pewnością nie cała. Choć bowiem społeczeństwo Wietnamu Północnego rzeczywiście wykazywało się dużym stoicyzmem, to absurdalne wydaje się zakładanie, że wszyscy z entuzjazmem przyjmowali narzuconą im próbę ognia. Pewien weteran wojenny, który później został uniwersyteckim wykładowcą literatury, powiedział w roku 2016: „Przez całe lata Wietnamczyków karmiono opowieścią o wojnie rodem z romantycznych eposów. I niektórzy z nas nie mogą już dłużej tego słuchać”[5]. W podobny sposób odniosła się do tej kwestii pewna nauczycielka szkoły średniej: „To był straszny czas. Czas pozbawiony radości – bo brakowało nam dosłownie wszystkiego. Mężczyźni wiedzieli, że wszyscy muszą iść do wojska, ale żaden z nich tego nie chciał. Pamiętam jednego z moich uczniów, który został powołany do

służby jeszcze przed oficjalnym zakończeniem nauki. Tuż przed wyruszeniem na Południe zjawił się on niespodziewanie w szkole i poprosił, bym pozwoliła mu po raz ostatni usiąść w jego starej ławce”[6].

Pham Hung, mieszkający w jednym z miasteczek na wschodnim wybrzeżu, miał przyjaciela imieniem Huong, przystojnego młodzieńca i świetnego piłkarza, który żył w samotności, bo jego ojciec wraz z resztą rodziny uciekli na Południe jeszcze w 1954 roku. Nawet po osiągnięciu przez Huonga wieku kwalifikującego do służby wojskowej całymi latami pomijano go w powołaniach ze względu na przeszłe stosunki jego rodziców z Francuzami. W końcu jednak władze dostrzegły jego entuzjazm dla sprawy rewolucji i wysłały wraz z całym oddziałem na Szlak. Tam jednak szybko okazało się, że jego rzekomy zapał do walki był udawany, a w rzeczywistości chodziło mu tylko o odnalezienie własnego ojca. Po próbie dezercji Huonga uwięziono, a po kilku nieudanych próbach wyswobodzenia się z niewoli słuch po nim zaginął. „Jego historia to prawdziwa ludzka tragedia” – podsumował Hung[7]. Podobny ciąg zdarzeń miał miejsce w pewnej zapadłej wsi, do której dotarła wojskowa ekipa werbunkowa, by zabrać stamtąd ustaloną liczbę poborowych. Jedna z rodzin kazała swojemu najstarszemu synowi ukryć się w dżungli. Urzędnicy ostrzegli, że jeśli młodzian sam nie zgłosi się do nich w ciągu trzech dni, jego rodzicom odebrane zostaną kartki żywnościowe. Chcąc nie chcąc, wrócił on więc do domu, a następnie pozwolił zaciągnąć się do służby, ale po wymarszu na Południe przy pierwszej możliwej okazji zdezerterował na wyraźne życzenie swojej rodziny[8].

Jako chłopiec Hung ze zdumieniem przyjmował obsesyjne dążenie swojego ojca do zapewnienia obu synom jak najlepszej edukacji: bezustannie karcił ich i nakłaniał, by robili wszystko w celu dostania się studia. Pewnego dnia Hung wybrał się z kolegami na wagary do wraku strąconego myśliwca amerykańskiej marynarki wojennej, za co dostał od ojca największą burę w życiu. Dopiero później zrozumiał jego motywację: dzieci idące na studia, podobnie jak te w Wietnamie Południowym i Ameryce, były zwolnione z poboru. Ojcu Hunga dlatego tak bardzo zależało na dalszej edukacji swoich synów, że mógł w ten

sposób uchronić ich przed wojną. Każdy Wietnamczyk zapamiętał na całe życie, gdzie był i co robił, kiedy zobaczył pierwszy atakujący amerykański samolot: Hung, który miał wówczas dziesięć lat, był tak przerażony, obserwując trafiony bombami pobliski most, że natychmiast pobiegł schować swój ukochany tornister z książkami, by nie uległy zniszczeniu. Później oczywiście śmiał się sam z siebie i swojego dziecięcego zaabsorbowania posiadanymi przedmiotami zamiast wykazywania troski o własne życie. Nie do śmiechu było mu za to kilka lat później, kiedy do małego domku jego rodziców dokwaterowano żonę i córkę pewnego wojskowego pułkownika ewakuowane z Hanoi. Hung szybko zakochał się w dziewczynie, nastolatce tak jak on. Pewnego dnia jej matka, wracająca z pobliskiego miasteczka, zginęła od bomb zrzucanych na most[9].

Rodzina Hunga stanowiła część małej społeczności buddyjskiej, mieszkającej niedaleko równie niewielkiej wspólnoty katolickiej. Dzieci z obu tych miejscowości toczyły między sobą miniaturową wojnę religijną, udając, że obrzucają się nieistniejącymi granatami, strzelają do siebie z wymyślonych karabinów albo kopią tunele. Części dorosłych niezbyt podobały się takie okrutne zabawy, ale praktykują je przecież dzieci w każdym społeczeństwie toczącym jakąś wojnę. Na ulicach miast i miasteczek wisiały wielkie plakaty najpierw Lyndona Johnsona, a później Richarda Nixona, na których każdy z nich przedstawiony był karykaturalnie z ogromnym wystawionym językiem służącym jako pas startowy dla bombowców. Co rano w szkole uczniowie podczas zajęć kalistenicznych skandowali odpowiednie slogany propagandowe. Większość Wietnamczyków czerpała swoją wiedzę o sytuacji w kraju i na świecie jedynie z sieci rządowych głośników rozwieszanych na ulicach. Nadawane przez nie audycje propagandowe zapewniały ludzi, że ich rodacy na Południu żyją w skrajnym ubóstwie, eksploatowani przez Amerykanów.

Po polach i domach snuły się resztki „zasłon" antyradarowych zrzucanych przez bombowce. Nawet w społecznościach wiejskich ludzie spędzali niezliczone godziny w schronach – i uczyli się, by zostawać w nich jeszcze przez kilka minut po sygnale odwołującym alarm, by z nieba zdążyły spaść wszystkie zużyte pociski i resztki

zniszczonych maszyn. Psy nazywano powszechnie Johnsonami, a później nazwiskiem kolejnego prezydenta: „Nixonem często straszono wtedy dzieci, niczym jakimś złym potworem z bajki”[10]. A ponieważ większość nalotów miała miejsce za dnia, Wietnamczycy zaczęli przyzwyczajać się do życia, pracy i zakupów w godzinach nocnych. Również rozkłady pociągów ustawiano tak, by z granicy chińskiej do Hanoi jechały one pod osłoną ciemności. Z kolei kierowcom ciężarówek polecano wyuczać się na pamięć tych odcinków dróg, na których mogli prowadzić swoje pojazdy bez włączania świateł.

Inżynierowie wykazywali się bezgraniczną energią i pomysłowością przy naprawianiu zniszczonych mostów i torów kolejowych. Nad doprowadzaniem do porządku zbombardowanej infrastruktury pracowało w szczytowym momencie 600 tysięcy robotników, głównie kobiet: po zaatakowaniu przez pilotów terenów kolejowych w Kep, na kluczowej linii do granicy z Chinami, zdołano przywrócić jej drożność w zaledwie 20 godzin. Kolejnych 145 tysięcy ludzi było zatrudnionych przy obsłudze artylerii przeciwlotniczej. A ponieważ zdecydowaną większość mężczyzn powołano do służby wojskowej albo w inny sposób wykorzystywano do obrony kraju, wiele ciężkich prac fizycznych musiały wziąć na siebie kobiety. Pewien Wietnamczyk, urodzony w rodzinie chłopów, zachował z wczesnego dzieciństwa wspomnienie swojej matki, która w porze sadzenia i zbierania ryżu wstawała o godzinie 3 nad ranem, by móc wykonać najtrudniejsze roboty do południa, zanim słońce zacznie świecić pełnym blaskiem. Zapamiętał on też, że w niektóre dni ta dzielna kobieta była już tak wycieńczona, iż po dojściu na pole po prostu zasypiała tam między sadzonkami ryżu[11].

Naloty po jakimś czasie na tyle spowszedniały Wietnamczykom z Północy, że zaczęły w nich wzbudzać coraz mniejszy strach (choć wcale nie zmniejszały ich pogardy dla wroga). Mieszczuchy nauczyły się wykorzystywać krótkie przerwy w atakach, związane z amerykańskimi świętami narodowymi, do szybkich wypadów na wieś. Pewien rosyjski dyplomata opisywał powrót z jednego z takich wyjazdów i nerwowość narastającą w Wietnamczykach wraz ze zbliżaniem się ostatnich godzin kolejnej planowej przerwy w bombardowaniach: „Niekończące się kolumny ciężarówek i cystern z paliwem kompletnie blokowały

wąskie i zniszczone drogi, na których w pośpiechu załatano co większe leje po bombach. W miarę jak zbliżała się północ, atmosfera w pobliżu Hanoi gęstniała, podobnie jak ruch na drogach, który często zamieniał się wręcz w bezruch. Raz musiałem nawet wysiąść ze swojego samochodu i obudzić jakiegoś młodziutkiego wietnamskiego kierowcę, który zasnął za kierownicą, tkwiąc w ogromnym korku”[12].

Z powodu racjonowania żywności bezustannie poszukiwano rozmaitych dodatków do diety i zamienników brakujących produktów. Na wsi bywały to potrawki ze szczurów z dodatkiem szafranu, grillowane szczury z liśćmi cytryny, szarańcza, świerszcze, żuki czy larwy jedwabników. Pożądliwie spoglądano też na zwierzęta domowe. Kiedy pewnemu jedenastolatkowi oznajmiono, że wraz z rodziną wraca do domu w mieście, po raz ostatni przytulił ukochanego psiaka, którego musiał zostawić na wsi: „A rankiem zabrali go jacyś nieznajomi ludzie i wtedy zrozumiałem, że zamierzają go zabić”[13]. Psy smakowały ponoć najlepiej, jeśli przed ich zabiciem mięso porządnie zbito i w ten sposób zmiękczono.

Do Thi Thu i pozostali studenci uniwersytetu w Hanoi byli prawie tak samo wygłodzeni jak młodzi ludzie podążający na południe Szlakiem Ho Chi Minha. „Chłopcy odczuwali to bardziej od nas” – wspominała Thu. Jedli bardzo mało mięsa i niewiele więcej warzyw; czasami zamiast ryżu dawano im ziemniaki albo kukurydzę. Nawet wodę do mycia trzeba było oszczędzać. Wieczorami, zamiast chodzić do kina czy korzystać z innych rozrywek, studenci musieli uczestniczyć w długich zebraniach organizowanych przez Związek Młodzieży, podczas których dyskutowano, jak być dobrym obywatelem, czasami nawet z dużą zawziętością – jak na przykład wtedy, gdy pewien student odłożył na chwilę w łazience swój zegarek, a jakiś zły obywatel go ukradł. Nie było palenia papierosów czy picia alkoholu, prawie nie uprawiano seksu: „Byliśmy dobrymi dzieciakami. Ludzie wtedy w ogóle rzadko się skarżyli – po prostu przyjmowaliśmy, że wszystko ma być tak, jak jest”[14].

Dorastająca w Hanoi nastoletnia Pham Phuong początkowo nie czuła szczególnej wrogości do Amerykanów[15]. Ale potem zaczęła się

kampania powietrzna. A wraz z deszczem spadających bomb pojawiły się kolejne fale przerażenia: podczas pierwszej eksplozji Phuong pobiegła schować się pod jakimś drzewem. Od tej pory jej życie całkowicie się zmieniło z powodu wprowadzenia w nim odgórnie przymusowych środków bezpieczeństwa. Phuong wraz z rodziną znalazła się wśród setek tysięcy mieszkańców dużych miast ewakuowanych na wieś, gdzie ludzie witali ich wprawdzie bardzo przyjaźnie, ale gdzie niemal zawsze brakowało żywności. Ewakuowane rodziny nierzadko rozdzielano, a każdy ich członek trafiał do innego domu, tak iż małe dzieci, nierozumiejące, co się właściwie dzieje, biegały później, pochlipując, tam i z powrotem, szukając swoich mam. Jedynym oświetleniem w wiejskich chatach były lampy naftowe, a ci, którzy chcieli przy ich nikłym świetle coś poczytać, chodzili później z nosami poczernionymi sadzą.

Phuong, śliczna młoda dziewczyna w wieku szkolnym, a później księgowa w jakimś biurze, doświadczyła w dzieciństwie ubóstwa, jakiego nie jest sobie nawet w stanie wyobrazić większość jej rówieśniczek z Zachodu. Do szkoły podstawowej chadzała pieszo 3 kilometry, a później do średniej 8 kilometrów – rzecz jasna na bosaka. Jako nastolatka, zamiast śnić o jakimś romantycznym chłopaku, fantazjowała w sekrecie o ładnych ubraniach, w tym o jedwabnych spodniach – ale przede wszystkim o lepszym i bardziej obfitym jedzeniu. Ojciec zabraniał jej chodzić na organizowane na otwartym powietrzu pokazy chińskich i rosyjskich filmów, głównie wojennych, bo bilety na nie były stanowczo zbyt drogie. Największą rozrywkę stanowiły więc dla niej nieliczne wizyty u wujka po zakończeniu lekcji w szkole: mogła tam posłuchać programów nadawanych przez jego malutkie, wyprodukowane w Chinach radyjko; pierwszy telewizor w swoim życiu miała zobaczyć dopiero po zakończeniu wojny. A przecież Phuong należała do stosunkowo uprzywilejowanej rodziny, dumnej ze swojej nauczycielskiej tradycji – jej ojciec biegle czytał po angielsku, francusku i rosyjsku. Właśnie dzięki tej komunikatywności nie miał on większych problemów ze znalezieniem pracy, za to kiedy dla samej Phuong nadszedł czas uczęszczania na wyższe studia, jej

kandydaturę odrzucono z powodu „niewłaściwego pochodzenia społecznego", jako że była córką „intelektualisty"[16].

Czasami jedna plama na życiorysie mogła całkowicie zrujnować czyjąś karierę. Kiedy Nguyen Dinh Kien otrzymał powołanie do wojska, jego rodzice wystarali się o odroczenie, ponieważ Kien został ich jedynym dzieckiem po tym, jak jego starszy brat zginął wcześniej w walkach toczonych w Laosie. Podczas rozpatrywania tej prośby okazało się, że w aktach osobowych chłopaka znajduje się informacja, iż jego ojciec pracował kiedyś jako strażnik dla Francuzów, a on sam, jak stwierdzał jakiś urzędnik, „nie wykazał się dotąd wystarczająco dużą motywacją w osobistej walce ideologicznej"[17]. Kien napisał później: „Te twarde i bezwzględne słowa sprawiły mi później mnóstwo problemów w całym moim życiu". Kiedy ubiegał się o członkostwo w Partii, jego podanie odrzucono. Mimo dobrych wyników w nauce odmówiono mu największego przywileju – możliwości wyjazdu na studia za granicą. A kiedy zgłosił się na ochotnika na szkolenie dla pilotów, mimo zdania wszelkich możliwych testów nie został przyjęty jako „element niepewny". Przez długie lata odmawiano mu możliwości służenia w jakiejkolwiek formacji wojskowej.

Generalnie po tym, jak młodzi ludzie dostawali powołanie do wojska i przywdziewali mundury, ich bliscy tracili z nimi wszelki kontakt: równie dobrze mogliby oni zostać połknięci przez smoka, co w pewnym sensie wielu z nich się zresztą przydarzało. Rodziny cierpiały okrutne męczarnie, czekając na jakiekolwiek wieści o losie ojców, mężów czy dzieci: kiedy żołnierz AWP Nguyen Hien Dinh zginął w walkach w roku 1965, jego krewni nic o tym nie wiedzieli jeszcze przez kolejnych pięć miesięcy. Matka Hiena wybiegała na spotkanie listonoszowi za każdym razem, gdy zbłądził on do jej odległej i zagubionej wioski – i raz za razem musiała się zadowalać jedynie uściskiem dłoni. Pierwszą oznaką tego, co się z nim stało, była dla rodziny kartka z życzeniami na święto Tet z pułku Hiena, którego nazwisko napisano zresztą z błędem: takie kartki wysyłano zwyczajowo najbliższym krewnym wszystkich poległych żołnierzy. Formalnie powiadomiono ich jednak o jego śmierci dopiero trzy tygodnie później.

Le Duanowi i jego towarzyszom z ogromnym powodzeniem udało się zmobilizować mieszkańców Wietnamu Północnego do nieustępliwego toczenia wojny z nieprzyjacielem. Ale wartości takie jak sprawiedliwość, poczucie spełnienia czy szczęście osobiste nigdy nie figurowały na liście ich celów, ani przed amerykańskimi bombardowaniami, ani po ich rozpoczęciu.

2. PRZYJACIELE

Już na samym początku operacji „Rolling Thunder" amerykańska ambasada w Moskwie wydała opinię, że bezpośrednia interwencja Rosji jest mało prawdopodobna, jeśli nie zostanie zagrożone istnienie Wietnamu Północnego jako państwa socjalistycznego. I choć opinia ta rzeczywiście okazała się prawdziwa, to bombardowania skłoniły zarówno Sowietów, jak i Chińczyków do wydatnego zwiększenia pomocy, udzielanej Wietnamczykom na bezprecedensową skalę. Pierwsze stanowisko wyrzutni SAM-2 pojawiło się już w sierpniu 1965 roku, na południowy wschód od Hanoi. Typowa bateria składała się z czterech do sześciu wyrzutni posadowionych w odległości 45 metrów od siebie, wokół radaru i wozu łączności. Każdy z wystrzeliwanych pocisków miał długość 11 metrów i wyglądem przypominał nieco słup telefoniczny z niewielkimi skrzydełkami. Ta dwustopniowa rakieta przeznaczona do zwalczania celów na średnim i wysokim pułapie mogła się wznosić na wysokość niemal 18 kilometrów, zostawiając za sobą białą smugę dymu ze spalanego paliwa opartego na nafcie i kwasie azotowym. Przez pierwsze pięć sekund po wystrzeleniu pocisk napędzał silnik startowy, po czym, na jakieś dwadzieścia kolejnych, napęd przejmował silnik marszowy. Pociski wystrzeliwano zwykle parami albo czwórkami, a ich ważąca 150 kilogramów głowica niosła śmierć niemal za każdym razem, gdy wybuchała w odległości do 90 metrów od samolotu. W roku 1965 lotnictwo traciło jeden samolot na każde 17 wystrzelonych rakiet SAM, ale z czasem, dzięki usprawnieniom w zakresie pocisków samonaprowadzających ECM, używanych do niszczenia wyrzutni, wskaźnik ten zaczął się poprawiać na korzyść

Amerykanów, by szybko osiągnąć proporcję 35 do 1. Do roku 1972 trzeba już było wystrzelić średnio 60 pocisków, by zaliczyć jedno trafienie.

W Wietnamie Północnym służyło w charakterze instruktorów i doradców kilkuset rosyjskich techników i lotników, przy czym większość z nich chwaliła sobie to doświadczenie. Pułkownik Jurij Kislicyn, urodzony w Kazachstanie w 1934 roku, był jednym z wysoko wyspecjalizowanych dowódców baterii SAM-2 wysłanych na tę zagraniczną misję: „Bardzo chciałem jechać – wiecie, to było takie romantyczne”[18]. Dwudziestojednoletni kapral Petr Zalipski z Winnicy był najmłodszym ze stuosobowego oddziału ludzi, podróżującego pociągiem przez niekończącą się trasę wiodącą z Rosji do Chin. Każdemu przyjeżdżającemu Rosjaninowi z miejsca wydawano dokument tożsamości w miejscowym języku, który potwierdzał, że jest on obywatelem sowieckim „niosącym pomoc narodowi wietnamskiemu w jego walce z amerykańskimi agresorami, wobec czego należy mu zapewnić wszelkie możliwe wsparcie”.

Porucznik Walery Miroszniczenko również miał dwadzieścia jeden lat, kiedy wylądował w Wietnamie po trwającym 20 godzin locie, wliczając w to pięć postojów na tankowanie. Jego dowódcy od początku stawiali sprawy jasno: była to misja specjalnego znaczenia, a w celu zamaskowania ich wojskowego statusu on i jego towarzysze podróżowali w cywilnych ubraniach, wybranych z ogromnej moskiewskiej kolekcji garniturów szytych w NRD, „niezwykle szykownych jak na tamte czasy”[19]. Kiedy meldowali się w jednym z północnowietnamskich hoteli, w rubryce „cel pobytu” wpisali formułę „wizytujący inżynierowie”. „Z początku rozglądaliśmy się ciekawie dookoła, śmialiśmy się i wymienialiśmy między sobą uwagi o tym, jak tu jest interesująco, aż tu nagle: Bum! Bum! Wszędzie wokół eksplozje i ogień z dział – w stronę dwóch phantomów, które zaatakowały składy ropy naftowej. Oni [Amerykanie] nawrócili trzykrotnie, mimo nieustającego ostrzału artylerii przeciwlotniczej. A my leżeliśmy plackiem w błocie, brudząc swoje piękne, czyściutkie białe koszule. Kiedy walki ustały i wróciliśmy do autobusu, już nie opowiadaliśmy sobie żartów”. Podróż do wyznaczonego im stanowiska wyrzutni rakietowych obejmowała krótki rejs promem i choć trwał on zaledwie 45

minut, Rosjanie bezustannie spoglądali z niepokojem w niebo, obawiając się, że jakiś amerykański samolot może ich zaatakować pośrodku rzeki.

W roku 1966 porucznik Walery Panow został starszym oficerem w centrum łączności w Hajfongu – odpowiadał za przekazywanie ostrzeżeń o startach amerykańskich samolotów, nadchodzących z sowieckich trawlerów, które śledziły ruchy lotniskowców nieprzyjaciela. Wszyscy Rosjanie pracujący w tym ośrodku nosili wietnamskie mundury bez żadnych naszywek umożliwiających ich identyfikację, a mieszkali dyskretnie, acz raczej mało wygodnie, w pozbawionych dachu ruinach dawnych koszar francuskich. Cierpieli na chroniczne choroby skóry związane z przegrzaniem, a z powodu braku wody często musieli się myć i prać swoje rzeczy bezpośrednio w morzu. W ciągu całej wojny jedynie 18 Rosjan zostało zabitych przez amerykańskie samoloty, a Panow raz omal nie dołączył do tego grona, kiedy fragment muru oderwany przez eksplodującą bombę trafił go w głowę, na szczęście chronioną hełmem, co jednak skończyło się dla niego tylko kilkudniowym wstrząśnieniem mózgu. „To był niezwykły czas – wspominał później z całą powagą – w którym można było polegać wyłącznie na sobie i swoim towarzyszu walki”[20]. Jeden z oficerów majora Wiktora Malewanyja podczas któregoś z nalotów schował się w świeżym leju po bombie, uznając, że nikt nie trafi dwukrotnie w dokładnie to samo miejsce. Jego założenie okazało się błędne – został rozerwany na kawałki.

Większość Wietnamczyków w liczącym tysiąc żołnierzy pułku szkolonym przez jednostkę Petra Zalipskiego mówiła trochę w jego języku, a część personelu technicznego nawet studiowała wcześniej w Rosji. Począwszy od lipca 1965 roku, ich bateria wystrzeliwała rakiety przynajmniej co drugi dzień, a czasami nawet częściej: „Napięcie było nieustające”. Zważywszy na pilne zapotrzebowanie na obsługę kolejnych stanowisk, szkolenie skrócono z początkowych sześciu miesięcy do trzech. Rosjanie szybko przejęli też od swoich podopiecznych gorącą nienawiść do Amerykanów. Dowodzący batalionem major Ilinych, popularny wśród podkomendnych również dzięki emocjonalnemu charakterowi, zaapelował do swoich trzech

kontrolerów przed wystrzeleniem pierwszym rakiet: „Moi drodzy, bardzo was proszę, dopadnijcie i zniszczcie tych drani, udowodnijcie, że jesteście sowieckimi patriotami!". Lokalni wietnamscy cywile, postrzegający tego rosyjskiego oficera nieledwie jako swojego wybawiciela, za każdym razem, gdy tylko pojawiał się on w swoim nieodłącznym pojeździe KAZ-59, pozdrawiali go głośnymi okrzykami „Ilinych! Ilinych!".

Za każdym razem, kiedy Rosjanie zmieniali lokalizację, miejscowi wieśniacy przynosili im ananasy i banany, a także pomagali kopać doły – co mogło być naprawdę wyczerpującym zajęciem, zwłaszcza na kamienistym gruncie. Powszechnie krążyły opowieści o tym, że strąceni amerykańscy lotnicy byli bezpieczni jedynie wówczas, kiedy wpadali w ręce wojskowych, za to, jeśli jako pierwsi zjawili się przy nich cywile czy członkowie lokalnych milicji, groziło im dosłowne rozerwanie na kawałki, jak to czasem miało miejsce w przypadku alianckich pilotów zestrzeliwanych nad terytorium Niemiec. Walery Panow stwierdził nie bez satysfakcji: „Chłopi zabijali ich motykami i zakopywali w najbliższym leju po bombie"[21]. Z kolei Walery Miroszniczenko powiedział: „Wszyscy nie mogliśmy się wprost doczekać, aż postrzelamy sobie do jankesów i pokażemy im, kto tu rządzi". A Wiktor Malewanyj, który jako dziecko przeżył całą II wojnę światową na okupowanej Ukrainie, oceniał: „Odczucia Wietnamczyków wobec Amerykanów były nawet bardziej wrogie niż kiedyś nasze w stosunku do Niemców"[22].

Kiedy jeden z kontrolerów radarowych, ostrzeżonych o zbliżającej się amerykańskiej formacji, spojrzał na monitor, ze zdumieniem dostrzegł, że nie jest w stanie wyznaczyć namiaru dla swojej baterii SAM-2. Jak wyjaśniał Petr Zalipski, w wyniku zakłócania sygnału przez Amerykanów „na monitorze mogliśmy widzieć tylko linię poziomą, a zamiast wyraźnej linii pionowej pojawiało się tylko błyskające światło. Działo się tak dlatego, że samolot prowadzący formację zrzucał zasłonę antyradarową, od której odbijał się wysyłany przez nas promień. Przede wszystkim trzeba było dojść do tego, który z samolotów zakłócał sygnał. A cała formacja składała się z dwóch grup po 15 maszyn – były tam i F-4D, i F-105. Miałem przeczucie, że najlepiej będzie wystrzelić w sam

środek tej formacji. I takie też współrzędne przekazałem majorowi Ilinychowi. A on powiedział: «Dobrze, w takim razie spróbujmy tego. Może nawet uda nam się w coś trafić pośród tej kuli światła»”[23]. Rakiety wystrzelono, po czym jak zwykle ogłoszono zaliczenie trafienia, choć najczęściej tego rodzaju komunikaty były równie prawdziwe jak liczby zabitych po stronie nieprzyjaciela prezentowane przez MACV.

Ostatecznie stworzonych zostało dziesięć wietnamskich pułków rakietowych, a wszystkie one działały według jednej prostej zasady: „Albo jesteś w ruchu, albo cię nie ma”, ponieważ, jak pokazywało twarde doświadczenie, pozostawanie w jakiejkolwiek lokalizacji przez okres dłuższy niż 24 godziny było jednoznaczne z zapraszaniem Amerykanów do jej zniszczenia. Obsługa wyrzutni potrafiła je rozmontować w ciągu godziny, a następnie przenieść się na nowe miejsce odległe o kilka albo kilkanaście kilometrów. Nauczyła się też włączać radary namierzające dosłownie na pięć do siedmiu sekund przed wystrzeleniem rakiety. „Na ekranie pojawiły się dwie jasne plamki, jedna tuż obok drugiej – opowiadał Nguyen Kien Dinh[24], siedzący wówczas w dusznym wnętrzu furgonu naprowadzającego. – Naszych trzech operatorów natychmiast odczytało szybkość samolotów i jak jeden mąż krzyknęło: «Cel!». (…) A wtedy z batalionu wyszedł rozkaz: «Wystrzelić dwa pociski, odległość (…)»”. Nastąpił rozbłysk światła, pojawiła się biała chmura, a potem dał się słyszeć ogłuszający wybuch. Jasna smuga za pociskiem prowadziła wprost do nieprzyjacielskiego samolotu, a furgon lekko się zakołysał. Sześć sekund później drugi SAM-2 wystrzelił ku niebu, a później cała załoga wsłuchiwała się już tylko w głos oficera naprowadzania odczytujący kolejne odległości. Kiedy oba sygnały na ekranie wreszcie się spotkały, wykwitła na nim biała plamka, pochłaniająca sygnał zwrotny celu. A wszyscy trzej operatorzy namierzania wykrzyknęli: „Detonacja głowicy!”. Tego rodzaju sukcesy były jednak stosunkowo rzadkie: batalion rakietowy Kiena potrzebował aż dwóch lat, by odnotować swoje pierwsze potwierdzone trafienie maszyny nieprzyjaciela.

Przez cały czas trwania operacji „Rolling Thunder” przewaga w wojnie elektronicznej przechylała się raz w tę, a raz w tamtą stronę. Nie sposób wręcz przecenić wpływu, jaki miały trafiające w cel pociski

Shrike na odwagę i morale załóg na stanowiskach obrony przeciwlotniczej. Kiedy północnowietnamski personel zrozumiał, że sama aktywacja radarów namierzających stanowiła zaproszenie do ich zniszczenia, czasami dosłownie w ciągu kilku sekund, jego część stała się wyraźnie mniej chętna do otwierania ognia. Od możliwej śmierci ludzie tacy woleli już perspektywę późniejszego tłumaczenia się przed wściekłymi dowódcami, którym usiłowali wmawiać, że nie byli w stanie zidentyfikować celu. Pewnego dnia w roku 1966 na którymś ze stanowisk w pobliżu Hajfongu jeden ze starszych oficerów wizytujący mobilne centrum kontroli baterii usłyszał właśnie tego rodzaju wymówkę i wybuchnął z oburzeniem: „Nawet moje stare oczy potrafią dostrzec cel na waszym monitorze! Wystrzelić pociski, do jasnej cholery! Przecież oni atakują elektrownię w Uong Bi!”[25]. W grudniu 1967 roku obrona przeciwlotnicza stanęła przed kolejnym wyzwaniem: oto Amerykanie zaczęli z powodzeniem zakłócać zdalny kanał radiowy między wyrzutniami SAM a zawiadującymi nimi mobilnymi centrami kontroli mieszczącymi się w nieodległych furgonach. Ale już wkrótce szala ponownie przechyliła się na drugą stronę, bo jeden z pojmanych jeńców załamał się podczas przesłuchania i wyjawił szczegóły dotyczące nowych zdalnie sterowanych bomb Walleye wraz z listą celów, jakie miano nimi atakować. A dwa miesiące później, dokładnie w Walentynki 1968 roku, w ręce komunistów wpadł cały i prawie nieuszkodzony samolot F-105, dzięki czemu udało im się w końcu poznać sekrety jego systemów zakłócania sygnału.

Rosjanie z trudem wytrzymywali upały panujące latem w Wietnamie, nawet kiedy pracowali w krótkich spodenkach i brali prysznic co kilka godzin. Cukier zmieniał się w galaretę. Papierosy racjonowano. Poczta przychodziła rzadko, a w radiu nie dało się odbierać żadnej rosyjskojęzycznej stacji. Gazety dostarczano razem w jednym pakunku, zwykle kilka tygodni po opisywanych przez nie wydarzeniach. Nadejście każdej paczki – czy to z porcją kawioru, salami i domowego chleba, czy z kalendarzami dla „krótkich” żołnierzy, zbliżających się do zakończenia służby za granicą, czy wreszcie zawierającej wódkę i rosyjski szampan – stanowiło wielkie wydarzenie. Oficerowie dodatkowo dostawali brandy.

Rosjanie sami przybywali z kraju, w którym nikomu się nie przelewało, ale większość z nich i tak była zaszokowana ubóstwem panującym wśród bosonogich Wietnamczyków z Północy oraz ogromem prac fizycznych wykonywanych przez kobiety. Podobnie jak Amerykanie, również i Rosjanie nie ukrywali zafascynowania ich urodą, ale generalnie wszyscy przestrzegali ściśle egzekwowanych reguł zalecających trzymanie się od nich z daleka. W jednostce Petra Zalipskiego zdarzało się czasem, że dziewczęta z pobliskiej wioski wpadały na pogaduszki „i może jeszcze na kilka buziaków, ale kiedy ktoś próbował wpychać ręce tam, gdzie nie trzeba, albo przycisnąć którąś z dziewcząt do ściany, dostawał od niej klapsa – niezbyt mocnego, ale to wystarczało. One były naprawdę bardzo silne”[26]. Jeden z kolegów Zalipskiego, imieniem Iwan, zakochał się kiedyś w olśniewającej pół-Francuzce pracującej w kantynie, a ona odwzajemniła jego uczucie. Kiedy jednak oboje poprosili o zgodę na małżeństwo, dziewczyna nagle zniknęła z kantyny, a Iwana odesłano do domu w Rosji. Z kolei Walery Miroszniczenko zobaczył raz jakieś kobiety przenoszące ciężkie kamienie pod strażą i zapytał, kim one są i co takiego robią. Jego tłumacz odparł na to chłodno: „One odbywają karę, na którą skazano je za romansowanie z cudzoziemcami”.

Inny Rosjanin, nazwiskiem Sieliagin, otrzymał przydział do pracy z pewnym północnowietnamskim inżynierem radiowym, ojcem dziesięcioletniego chłopca, którego przez całe życie wychowywano w nieufności do nieznajomych, surowo mu przykazując, by nigdy z nimi nie rozmawiał. Za każdym razem, gdy „wujek Sie” dawał malcowi cukierka, ten, ku zdumieniu Rosjanina, zaczynał płakać i uciekać. Jak mówił: „Bałem się, bo on [Sieliagin] był taki wielki, miał gęste włosy i szare oczy”[27]. Większość Rosjan spotykała się jednak z ciepłym przyjęciem. Któremuś udało się zjednać sobie miejscowe dzieci sztuczkami karcianymi. Inni zdobywali popularność, fotografując lokalnych mieszkańców, z których wielu nigdy wcześniej nie widziało aparatu, a potem rozdając im odbitki. Należy jednak dodać, że Wietnamczycy monitorowali każdy ruch swoich gości, nawet ich wyjścia do latryn, a przy tym podejrzliwie patrzyli na to, że niektórzy z tych rzekomych sojuszników próbują uczyć się ich języka.

Rosjanie szczególnie nienawidzili komarów, „wielkich jak B-52", jak wyraził się z niedowierzaniem jeden z ich żołnierzy. Fascynowała ich z kolei zmienność diety. Ich gospodarze zapewniali im o wiele hojniejsze racje od tych wydawanych własnym obywatelom, nie szczędzili im też piwa. W posiłkach rzadko pojawiało się za to mięso. W jednostce Petra Zalipskiego używano koników polnych jako przynęty przy chwytaniu olbrzymich żab – „przepysznych, z białym i delikatnym mięsem, niczym u kurczaków (...) do dziś wolę żaby od owoców morza"[28]. Wielu nauczyło się też jeść węże, ich zdaniem smakujące nawet lepiej od lokalnej wieprzowiny, w której nierzadko znajdowali resztki szczeciny. W stołówkach rutynowo buszowały mrówki, z rzadka dostępne w nich było mleko. Walery Panow miał szczęście, bo służąc w Hajfongu, mógł łowić morskie ryby, a czasami zarzucał też sieci na dzikie kaczki. Jurij Kislicyn powiedział: „To był bardzo wygłodzony kraj: mawialiśmy nawet między sobą, że Wietnamczycy zjedzą wszystko, co pełza i się czołga, poza samym czołgiem, wszystko co pływa, poza lotniskowcem, i wszystko, co lata, poza B-52". Jednego dnia Jurij głaskał swojego psa Kao-Kee, a już następnego wszyscy razem go zjedli – smakował całkiem znośnie.

Major Petr Isajew dowodził grupą sowieckich doradców lotniczych pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku, kiedy na szpicy obrony powietrznej Wietnamu Północnego latały myśliwce MiG-21. Nieraz zdarzało mu się obserwować spektakularne fiaska, jak wtedy, gdy pewien wietnamski dowódca skrzydła wylądował na brzuchu i bez kół przed tłumem ważnych szych obserwujących pokaz sprawności sił lotniczych, bo zapomniał, jaka jest właściwa pozycja dźwigni wysuwania podwozia. Po pokazie ów Wietnamczyk, co zrozumiałe, był zupełnie zdruzgotany, ale Rosjanin zupełnie się tym nie przejął i pocieszał go słowami: „W lataniu może się zdarzyć dosłownie wszystko"[29]. Znacznie trudniej przychodziło Isajewowi pogodzić się z faktem, że w Wietnamie Północnym ideologia zawsze dominowała nad wojskowością: na przykład o tym, kto ma wypełnić daną misję, decydował jakiś komitet, którego członkowie w większości nie posiadali żadnych kwalifikacji w zakresie lotnictwa. A kiedy próbował on zmienić tego typu praktyki i zaproponował dokonywanie analiz po akcji w celu

wyciągania wniosków na przyszłość, od oficera politycznego usłyszał, przez tłumacza: „Towarzyszu, przybyliście tutaj, żeby pomóc nam prowadzić walkę z amerykańskimi agresorami. Pozostałe kwestie nie powinny was w ogóle interesować".

W miarę jak relacje między Chinami a Związkiem Sowieckim stawały się coraz bardziej napięte, zdarzały się rosnące opóźnienia, a nawet zawieszenia rosyjskich transportów kolejowych idących przez terytorium Mao, w tym również dostaw trumien. W związku z tym podjęto decyzję, że obywatele sowieccy, którzy zginęli w Wietnamie, mają odtąd być chowani tam, gdzie padli, a Petr Zalipski i jego koledzy żartowali z lokalnymi dziewczętami, że muszą one pamiętać o rosyjskich zwyczaju „odwiedzania naszych grobów z wódką i chlebem"[30]. Między chińskimi a rosyjskimi technikami i dyplomatami niejednokrotnie dochodziło do swoistego „wyścigu technologicznego", którego celem było jak najszybsze dotarcie do zestrzelonych amerykańskich samolotów, przy czym Wietnamczykom zdarzało się często zwodzić i jednych, i drugich w sprawie położenia tychże wraków. Sowiecki dyplomata Anatolij Zajcew zapamiętał pewną piosenkę ułożoną przez któregoś z jego kolegów, o takich właśnie szalonych wypadach przez dżunglę i pola ryżowe, byle tylko dotrzeć do niewybuchów albo strąconych samolotów przed Chińczykami:

Umów się ze mną na randkę
O szóstej, dzień po zakończeniu wojny.
Będę na ciebie czekał na Arbacie,
z kawałkiem F-105 pod ramieniem[31].

Najczęściej jednak zdarzało się, że na miejscu tego rodzaju wypadków jako pierwsi zjawiali się lokalni wieśniacy, którzy przede wszystkim rozkradali aluminium, metal przydatny do celów domowych. „Już następnego ranka po katastrofie – powiedział pewien zdumiony Rosjanin uczestniczący w misjach odzyskujących – z wraku dosłownie nic nie zostawało. Wietnamczycy zdążyli wszystko rozebrać,

by potem zrobić z tego grzebienie i pierścionki”[32]. A sowiecka ambasada w Hanoi raportowała do Moskwy w marcu 1967 roku: „Nasi specjaliści wojskowi pracują w bardzo trudnej atmosferze (...), często dodatkowo i niepotrzebnie pogarszanej przez wietnamskich towarzyszy (...) [którzy] pod rozmaitymi pretekstami ukrywają miejsca katastrof albo odwlekają nasze wizyty. Przy wielu okazjach okazywało się, że przy strąconych samolotach byli już wcześniej przed naszymi jacyś inni specjaliści, często Chińczycy (...) i zdążyli z nich zabrać wszystko, co miało jakąś wartość”[33].

W lipcu 1966 roku Rosjanie wystosowali gniewną notę do rządu Wietnamu Północnego, protestując przeciwko opóźnieniom w rozładunku sowieckich statków w portach, a zarazem sugerując, że powodem tych opóźnień jest chęć zatrzymania ich w Hajfongu na jak najdłuższy czas, by uniknąć amerykańskich ataków powietrznych[34]. Sowiecka ambasada raportowała ponadto do Moskwy, że Wietnamczycy nie tylko nie okazują wdzięczności za sprzęt dostarczany im na potrzeby przemysłu, ale w dodatku jego znacznej części w ogóle nie wykorzystują, trzymając go po prostu w magazynach. Obdarowywani uskarżali się też niewdzięcznie na niską jakość rosyjskich materiałów. A w marcu 1968 roku w związku z wprowadzeniem prawa do „karania za działalność kontrrewolucyjną” obostrzeniami objęto też sowieckich dyplomatów, którym zabroniono poruszać się po kraju i prowadzić bez uzyskania zezwolenia jakichkolwiek rozmów z lokalną ludnością. Wydalono nawet wówczas jednego z członków rosyjskiej misji, jak się wydaje, za kontaktowanie się z ludźmi z całkowicie już zmarginalizowanej frakcji Giapa[35]. Sowiecka ambasada uskarżała się wówczas z irytacją, że politbiuro w Hanoi traktuje ZSRS wyłącznie jako swoje „tyły”, dostarczające sprzętu na wojnę, a przy tym gardzi gotowością Rosjan do pośredniczenia w zawarciu pokoju z Amerykanami. Pewien generał AWP powiedział wówczas sowieckiemu *chargé d’affaires*: „Gdyby nas pokonali, wówczas nie mielibyśmy innego wyboru, jak tylko usiąść do rozmów. Ale jak na razie to my wciąż odnosimy kolejne decydujące zwycięstwa. Co w tej sytuacji mogłyby nam przynieść rozmowy? Utratę

wszystkiego, co dotąd zdobyliśmy, a przede wszystkim naszej przyjaźni z Chinami, które są całkowicie przeciwne negocjacjom”[36].

Na stanowiskach wyrzutni SAM wciąż utrzymywały się jednak przynajmniej znośne robocze stosunki między rosyjskimi doradcami a ich wietnamskimi uczniami. Porucznik Walery Miroszniczenko powiedział: „Mówiłeś im, że mają się czegoś nauczyć, a oni się tego uczyli, nawet jeśli nie rozumieli, czego właściwie się uczą. Nie chodzi nawet o to, że oni wszyscy żyli w strachu, bardziej już o to, że wychowano ich w karności, dbałości o szczegóły i dążeniu do perfekcji. W ten sposób mieli stworzyć społeczeństwo komunistyczne”. On sam i jego koledzy z fascynacją patrzyli na to, jak doskonale funkcjonują Wietnamczycy na swoich skromniutkich racjach żywnościowych – „kilka łyżek zwykłego, nieokraszonego ryżu (...). Skąd oni brali w sobie tyle sił? Byli niczym mrówki skupione wyłącznie na realizacji przydzielonych im zadań”. Dowódcy północnowietnamscy niechętnie zgodzili się nawet na niewielkie zwiększenie racji żywnościowych przyznawanych obsłudze stanowisk wyrzutni rakietowych w nadziei na poprawę ich zdolności dostrzegania przeciwnika.

W czerwcu 1965 roku w odpowiedzi na prośbę Le Duana Chiny wysłały do Wietnamu kontyngent wojskowych inżynierów i logistyków[37]. W następnym roku dołączyło do nich ponad 170 tysięcy żołnierzy – głównie zwiadowców i inżynierów – tak iż w latach 1965–1968 na Północy służyło już łącznie 310 011 Chińczyków, wspieranych przez 346 doradców[38]. Pięćdziesięciosiedmioletni pułkownik Guilin Long był specjalistą od spraw infrastruktury kolejowej, który wcześniej służył w wojsku zarówno podczas wojny domowej, jak i w czasie konfliktu koreańskiego[39]. A pewnego pięknego dnia w kwietniu 1965 roku wezwano go do budynku sztabu generalnego Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w Pekinie, gdzie otrzymał rozkaz dołączenia do dziesięcioosobowej grupy zadaniowej wylatującej w trybie natychmiastowym do Wietnamu. Ich rolą miało być kierowanie pracami naprawczymi na odcinkach torów zniszczonych w wyniku amerykańskich bombardowań, aby przeciwdziałać opóźnieniom w dostawach broni i zapasów z Chin. Sam Long odpowiedzialny był za kolejowe przejście graniczne w Huu Nghi Quan, zwane Przejściem

Przyjaźni, a także za mierzący 240 kilometrów odcinek Hanoi–Lao Cai. Cała ich grupa, dowodzona przez starszego stopniem generała, zaraz po przybyciu do Wietnamu udała się na spotkanie z Pham Van Dongiem i innymi członkami politbiura. „Sytuacja była niezwykle poważna – zapisał Long w swoich wspomnieniach. – Gdyby ogólnokrajowa sieć kolejowa w Wietnamie w dalszym ciągu ulegała kolejnym zniszczeniom, wówczas państwu temu groziło ryzyko zaprzepaszczenia całego wysiłku wojennego".

Longowi dane było wykorzystać swoje wcześniejsze doświadczenia z lat 1950–1953, kiedy to dbał o zachowanie ciągłości połączeń kolejowych w Korei Północnej pod wrogimi nalotami. Tym razem jednak odczuwał on już mocno swoje lata, zwłaszcza kiedy musiał bez przerwy zmieniać miejsce pobytu, podróżując w trudnych warunkach związanych z porą monsunową. W ciągu upalnych dni, kiedy temperatura sięgała czasami 36 stopni Celsjusza, „kręciło nam się w głowach, a ubrania mieliśmy mokre od potu. A kiedy padało, od stóp do głów okrywało nas błoto (...). Nie było to wygodne życie". W czerwcu przybyły z Chin pierwsze oddziały sił pomocniczych – pięć pułków Korpusu Kolejowego Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej oraz jeden pułk artylerii przeciwlotniczej. A Long objął stanowisko szefa inżynierów przy 1. Oddziale Korpusu Inżynierskiego Chińskich Ochotników Ludowych, choć żadnego z tych „ochotników" nawet zapewne nie zapytano o chęć wyjazdu do Wietnamu.

Long ustanowił kwaterę główną w prowincji Lang Son, a swoich robotników rozlokował wzdłuż torów kolejowych. Już wkrótce Chińczycy dowiedzieli się z oburzeniem, że o ich przybyciu poinformowano w sajgońskim radio. A kiedy 3 lipca nad ich głowami pojawił się amerykański samolot zwiadowczy, Wietnamczycy przekonali swoich gości, by zmienili miejsce zakwaterowania. Nie uchroniło ich to bynajmniej przed ostrzałami z powietrza, które powodowały znaczące straty w ludziach. Long zapisał: „Znaleźliśmy się w takim samym położeniu, jak w Korei dwanaście lat wcześniej (...). W sposób oczywisty nieprzyjaciel znał wszystkie nasze lokalizacje". Wietnamscy działacze sugerowali z kolei, że to niebieskie stroje, noszone przez każdego Chińczyka, zdradzały z daleka ich narodowość.

W pełni lata poza zniszczeniami dokonywanymi przez amerykańskie bombardowania Chińczycy musieli się dodatkowo mierzyć z wysokimi temperaturami sięgającymi niekiedy nawet 49 stopni, przy wilgotności dochodzącej do 85 procent. Robotnicy pracujący przy naprawie torów pili nierzadko po 15 litrów wody dziennie, a i tak niektórzy z nich ciągle omdlewali. Szerzyły się też wśród nich rozmaite choroby, bo bakterie nieznane ich systemom odpornościowym obecne były dosłownie w każdym strumieniu czy kałuży. Chińscy robotnicy wojskowi cierpieli w szczególności na endemiczne dolegliwości skórne oraz na bezsenność. Nieustannie brakowało im też jedzenia: Wietnamczycy zapewniali swoim sojusznikom jedynie dynie i szpinak wodny, a do tego czasami kilka bananów. Pułki Longa musiały zatem sprowadzać resztę niezbędnych produktów, takich jak żywność w puszkach czy suszone warzywa, z macierzystych Chin. Podobnie jak Amerykanie stacjonujący kilkaset kilometrów na południe, żołnierze chińscy wciąż zmagali się z lokalnym robactwem, pijawkami i komarami, powszechnie wśród nich znienawidzonymi. Do stołówkowych kuchni nierzadko zakradały się węże wyjadające składowane tam jaja, nie brakowało ich też w kwaterach sypialnych – zdarzyło się nawet, że jeden z robotników zmarł od ukąszenia jadowitej żmii. Tysiące Chińczyków zapadało na malarię. „Choć nam, ludziom z Korpusu Kolejowego, dane już było doznać wszelkiego rodzaju trudności podczas [wojny domowej] i w Korei, nigdy przedtem nie musieliśmy pracować w tak nieprzyjaznych okolicznościach” – zapisał Long.

Artyleria Wietnamu Północnego korzystająca ze świeżo dostarczonych sowieckich dział M46 kal. 130 mm

Do tych nieprzyjaznych okoliczności z całą pewnością zaliczały się intensywne bombardowania. Naloty na zachodnią linię kolejową z 9 lipca 1965 roku zniszczyły wiele stacji i mostów. A 23 sierpnia amerykańskie samoloty zaatakowały linię północną wraz z pracującymi wzdłuż niej chińskimi robotnikami. Zmasowane natarcie na most Thanh Hoa z 20 września zaowocowało aż dwudziestoma trafieniami w cel i poważnymi stratami materialnymi. A do końca roku przeprowadzono jeszcze pięć kolejnych nalotów. Chińczycy szczycili się tym, że ich robotnicy każdorazowo zdolni byli dokonywać błyskawicznych napraw zniszczonych odcinków: w szczególności połączenie z Chinami przywracano najszybciej, jak to tylko było możliwe. Gorzej przedstawiała się sytuacja bardziej na południu, zwłaszcza w prowincji Bac Giang, gdzie w okolicach Hanoi dochodziło do powtarzających się nalotów na ważne mosty – pewien chiński żołnierz musiał nawet zjechać z trafionego przęsła stojącą w ogniu ciężarówką, by nie dopuścić do jej wybuchu i spowodowania dalszych zniszczeń. Po kilku takich atakach z Pekinu ściągnięto więcej dział

przeciwlotniczych, a ponadto wykopano głębokie rowy i inne umocnienia, obozy robotników zaś zmniejszono i rozproszono. Obsługa stanowisk przeciwlotniczych chwaliła się spektakularnymi sukcesami, jak to zwykli czynić wszyscy kanonierzy świata, sugerując strącenie aż 11 amerykańskich maszyn i uszkodzenie kolejnych 17 podczas samej tylko serii nalotów w październiku. Zaraz po swoim przybyciu do Wietnamu Chińczycy dysponowali jedynie nader skromnym, bo dwuosobowym personelem wywiadowczym monitorującym działania Amerykanów. Ale już w ciągu kolejnych dwóch lat ich sieć obrony przeciwlotniczej obejmowała, poza samymi działami, również 31 planszetów radiolokacyjnych i dopracowany w szczegółach system wczesnego ostrzegania telefonicznego. W trosce o poprawę opłakanego stanu fizycznego żołnierzy dowództwo chińskiej armii zezwoliło im na korzystanie z niesłychanych udogodnień, takich jak dodatkowy zestaw ubrań roboczych dla każdego z nich, plastikowe sandały w miejsce szmacianych butów, środek odstraszający komary, lekarstwa na ukąszenia węży czy doradcy medyczni. A Wietnamczycy, choć niechętnie, pozwolili swoim gościom na uprawianie warzyw w przydomowych ogródkach.

Wszystkie te udogodnienia nie likwidowały jednak samych zagrożeń. Popołudniem 21 sierpnia 1966 roku Guilin Long jechał na inspekcję na terenie odbudowy Drogi nr 1 w pobliżu góry Yulong, kiedy nagle na niebie pojawił się atakujący amerykański samolot. Z powodu głośnej pracy silnika w swoim aucie Long z początku nie zorientował się w niebezpieczeństwie, dopóki nie zobaczył żołnierzy rzucających się do ucieczki w stronę pobliskiej dżungli. Po zatrzymaniu pojazdu on i jego ludzie wyczołgali się na zewnątrz pod ostrzałem z działka, ale już wkrótce podmuch od nieodległej eksplozji cisnął Longiem w stronę pobliskiego okopu. W ataku zginął jego szef operacyjny oraz kierowca, a wietnamski tłumacz odniósł liczne rany. Z kolei osobisty asystent Longa doznał rozcięcia arterii w jednej z rąk, przez co zemdlał podczas próby wyciągnięcia swojego nieprzytomnego szefa z okopu. Kiedy już Long odzyskał świadomość, zorientował się, że jest cały unurzany we krwi swojego podwładnego. Samego zaś pułkownika odesłano później do domu z diagnozą wstrząśnienia mózgu i uszkodzenia kręgosłupa.

Został on jednym z 1675 Chińczyków rannych podczas operacji „Rolling Thunder", choć szczęśliwie nie dołączył do grona 771 zabitych.

O ile wiemy, ani rosyjscy, ani chińscy lotnicy nie uczestniczyli jako członkowie załóg w misjach bojowych przeciwko Amerykanom. Za to na mocy porozumienia z września 1966 roku pomiędzy Hanoi a Pjongjangiem do Wietnamu trafiło początkowo 10, a później 20 północnokoreańskich pilotów MiG-17, stacjonujących w bazie Kep na północny wschód od Hanoi i powszechnie znanych jako „Grupa Z"[40]. Od początku roku 1967 do końca roku 1968, kiedy ich misja dobiegła końca, w grupie tej walczyło łącznie 87 Koreańczyków z Północy, z czego zginęło 14 pilotów. Efektem ich działań, jeśli wierzyć im samym, miało zaś być zestrzelenie 26 amerykańskich samolotów.

23 grudnia 1966 roku do Hanoi przybył z wizytą, która miała przynieść doniosłe konsekwencje propagandowe, zastępca redaktora naczelnego dziennika „New York Times" Harrison Salisbury. Spośród całej grupy dziennikarzy i ludzi mediów ubiegających się o wizę północnowietnamską nieprzypadkowo wybrano właśnie jego, jako że od samego początku amerykańskich bombardowań był on ich zdeklarowanym oponentem. Salisbury'ego obwożono po różnych miejscach w Hanoi, w których – jak twierdzili gospodarze – zniszczeniu uległo aż trzysta domów, a śmierć poniosło dziesięcioro ludzi – choć żadne z tych miejsc nie znajdowało się w promieniu mniejszym niż 8 kilometrów od najbliższego z celów atakowanych przez pilotów USAF. Podczas nalotów miało też ucierpieć Liceum Przyjaźni Wietnamsko-Polskiej. Następnie zawieziono go do Nam Dinh, jakieś 100 kilometrów od stolicy, a tam wyjaśniono, że miasto to zbombardowano już 52 razy, zabijając 89 mieszkańców i niszcząc ponad jedną dziesiątą zabudowy mieszkalnej. A Salisbury raportował później, że amerykańskie lotnictwo „zrzuca olbrzymie ilości materiałów wybuchowych na cele czysto cywilne".

Przebywający w Wietnamie Salisbury napotykał tam trudności stające przed każdym właściwie gościem zapraszanym przez reżim państwa totalitarnego[41]. Wszystko było dlań nowe i podniecające, a trudno było doprawdy nie wykazywać empatii dla doświadczeń ubogiego azjatyckiego narodu, bombardowanego przez najpotężniejsze

państwo świata z dość wątpliwych powodów. Mimo to za jego bezdyskusyjną przewinę uznać trzeba nie dość staranne podkreślanie najpierw w swoich depeszach, a później w opartej na nich książce, że nie był on w stanie osobiście sprawdzić faktów prezentowanych mu przez jego gospodarzy, przez co niejako sankcjonował swoim autorytetem wiele stwierdzeń przedstawicieli reżimu północnowietnamskiego, które okazały się nieprawdziwe – na przykład oskarżeń o to, że Amerykanie celowo bombardowali wały wzdłuż Rzeki Czerwonej czy zakłady tekstylne w Nam Dinh. Rząd Stanów Zjednoczonych, starając się zdyskredytować przynajmniej część rewelacji Salisbury'ego, zwracał uwagę na to, że używał on danych statystycznych pojawiających się również w komunistycznych broszurach propagandowych. Salisbury opublikował też pewną fotografię, mającą rzekomo przedstawiać zniszczoną katolicką katedrę, podczas gdy późniejsze śledztwo ujawniło, że stoi ona w stanie nienaruszonym. Żywy i zaangażowany styl tego dziennikarza wzbudzał u jego czytelników mnóstwo emocji, ale – podobnie jak w przypadku wielu późniejszych tego typu sprawozdań z Wietnamu Północnego, składanych przez różnych zagranicznych gości o sympatiach mocno lewicowych – trudno nie dostrzec w jego artykułach sporej dozy naiwności i łatwowierności.

Tak czy inaczej, rząd Stanów Zjednoczonych stanął przed koniecznością prezentowania przekonujących wyjaśnień i sprostowań w odniesieniu do kolejnych niewygodnych faktów dotyczących nalotów na Wietnam Północny, w tym zwłaszcza nader smutnej prawdy, że niemała część bomb zrzucanych nad tym krajem spadała wcale nie tam, gdzie powinna. I tak na przykład podczas ataków na elektrownię w Nam Dinh ładunki wybuchowe trafiały również w przylegające do niej zakłady dziewiarskie. Myśliwce marynarki wojennej rutynowo ostrzeliwały działa umieszczane na wałach przeciwpowodziowych. Zdarzyło się też, że samolot wysłany nad jedną z zajezdni taboru kolejowego zbombardował zamiast niej zupełnie inną, leżącą bliżej Hanoi. Jeden z czołowych kronikarzy działalności USAF podczas tej wojny, Wayne Thompson, wcale nie ukrywał w swoich zapiskach takich właśnie błędów i pomyłek: „Nawet jeśli pilot trafnie zidentyfikował cel,

to większość wypuszczonych przezeń bomb i tak w cel ten nie trafiała”[42]. Według szacunków samych sił powietrznych jedynie połowa ładunków zrzucanych przez samoloty F-105, przenoszące zazwyczaj po sześć trzystuczterdziestokilowych bomb, lądowała w promieniu 150 metrów od wyznaczonego celu. Właśnie taki promień uznawano bowiem za względnie przyzwoitą celność, choć i tak pozostawiał on całkiem spory margines dla niezamierzonych zniszczeń określanych w języku wojskowych jako *collateral damage*. A przecież pozostawała jeszcze cała masa bomb zrzucanych awaryjnie, pustych zbiorników po paliwie, pocisków powietrze-ziemia, a wreszcie pozostałości po rakietach i pociskach wystrzeliwanych przez północnowietnamską obronę przeciwlotniczą – wszystko to prędzej czy później musiało gdzieś spaść. Bezsporny pozostawał zatem sam fakt wyrządzania znacznych i niezamierzonych szkód zarówno pozawojskowym obiektom i budynkom mieszkalnym, jak i przebywającej w nich ludności cywilnej.

Salisbury uświadomił całemu bez mała światu – jego raporty docierały bowiem do ogromnej rzeszy czytelników, wywołując odzew znacznie większy od tego, jakiego mogło oczekiwać samo politbiuro w Hanoi – dwa niezwykle istotne fakty. Po pierwsze, że amerykańskie bombardowania wyrządzały krzywdę niewinnym cywilom. Po drugie, że prości ludzie odpowiadali na nie jeszcze większą determinacją i odwagą. Podejmowane przez Lyndona Johnsona niezdarne próby ograniczania skali i zasięgu nalotów na niewiele się zdawały, skoro, jak argumentował Salisbury, z jakiegoś powodu atakowano całe mnóstwo mało znaczących celów na prowincji, podczas gdy elektrownia w Hanoi, a nawet ogromny most Paula Doumera pozostawały – w chwili pisania przezeń tych słów – nietknięte. Generalnie jednak podróż tego wysłannika „New York Timesa” do Wietnamu niewiele zmieniła w ogólnym oglądzie wojny. Przeprowadzony w lutym 1967 roku sondaż pokazał wprawdzie, że aż 85 procent Amerykanów przyznawało już, iż w tej wojnie ginęli cywile, ale i tak 67 procent respondentów wciąż popierało bombardowania[43]. W kolejnych miesiącach doszło zatem do dalszej intensyfikacji wojny powietrznej.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy II wojny światowej dowodzone przez Curtisa LeMaya amerykańskie lotnictwo (USAAF) zrzuciło 147 tysięcy ton bomb na Japonię, zabijając 330 tysięcy jej mieszkańców. W operacji „Rolling Thunder" wykorzystano cztery razy więcej materiałów wybuchowych, które przyniosły śmierć 52 tysiącom spośród 18 milionów obywateli Wietnamu Północnego. Swoje domy opuściła połowa mieszkańców Hajfongu, a populacja Hanoi skurczyła się o jedną trzecią. W roku 1966 kampania powietrzna kosztowała Stany Zjednoczone 6,6 dolara za każdy dolar zniszczeń wyrządzonych nieprzyjacielowi, a w roku następnym wskaźnik ten wzrósł już do blisko 10 dolarów[44]. Kiedy poprzedniej wiosny komandor James Stockdale pytany był przez swoich pilotów: „Dlaczego walczymy w tej wojnie?", mógł im z czystym sumieniem odpowiedzieć „Ponieważ leży to w interesie Stanów Zjednoczonych"[45]. Ale im dłużej trwały bombardowania i im więcej strat one przynosiły, tym bardziej sceptyczni stawali się ludzie odpowiedzialni za prowadzenie samych walk powietrznych. Porucznik Eliot Tozer, pilot A-4, zapisał w swoim dzienniku: „Frustracja dosięga nas na wszystkich poziomach. Latamy ograniczoną liczbą maszyn, zrzucamy ograniczoną ilość ładunków wybuchowych na ograniczoną liczbę celów w bardzo ograniczonym przedziale czasowym. A najgorsze jest to, że robimy to wszystko w ramach ograniczonej i bardzo niepopularnej wojny"[46].

Uczucia Tozera podzielano na samym szczycie łańcucha dowodzenia. Pod koniec jednej z narad odbywających się w roku 1967 zrozpaczony generał John McConnell z USAF ukrył twarz w dłoniach i zaczął lamentować: „Nie potrafię wam powiedzieć, jak się teraz czuję (...). Mam już tego wszystkiego dość. Jeszcze nigdy nie byłem tak cholernie sfrustrowany"[47]. W operacji „Rolling Thunder" zniszczono 65 procent zapasów ropy Wietnamu Północnego, 59 procent jego elektrowni, 55 procent głównych mostów, 9821 pojazdów i 1966 wagonów kolejowych. Mimo to Hanoi udało się zaprząc bombardowania do swojej własnej gry propagandowej, a przy okazji skłonić Moskwę i Pekin do przysyłania jeszcze większej pomocy wojskowej. Do roku 1968 Chiny transportowały już koleją na południe tysiące ton zaopatrzenia dziennie. Wietnam Północny otrzymał łącznie niemal 600 milionów dolarów pomocy

gospodarczej i miliard dolarów pomocy wojskowej, co jak na stosunkowo mały i prymitywny azjatycki naród stanowiło sumy doprawdy zawrotne.

Tajna analiza Pentagonu z roku 1966, przygotowana przez wydział JASON, wykazywała godną podziwu klarowność w odniesieniu do niezamierzonych konsekwencji operacji „Rolling Thunder": „bombardowania w sposób oczywisty wzmocniły poparcie ludności dla reżimu, wyzwalając w niej uczucia patriotyczne i nacjonalistyczny entuzjazm". W studium tym przyznawano też, że „ludzie bezpośrednio dotknięci bombardowaniami przechodzili osobiste trudności i dramaty (...). Morale [ludności] ucierpiało jednak prawdopodobnie mniej wskutek bezpośrednich bombardowań, a bardziej poprzez ich pośrednie konsekwencje, takie jak ewakuacja populacji miejskich i rozdzielanie rodzin". Tyle że „bezpośredni, frontalny atak na społeczeństwo prowadzi do wzmacniania społecznej tkanki narodu, do wzrostu wśród ludności poparcia dla istniejących rządów, do zwiększania determinacji do walki i oporu, i to zarówno wśród przywódców, jak i wśród szerokich mas"[48].

Analityk RAND Oleg Hoeffding argumentował w grudniu 1966 roku: „Kampania [powietrzna] Stanów Zjednoczonych dała reżimowi [w Hanoi] być może niemal idealną mieszankę zamierzonej powściągliwości z przypadkową krwawością"[49]. I choć Hoeffding celowo pisał w tonie z lekka nonszalanckim, to udało mu się dostrzec pewną prawdę o wymiarze fundamentalnym: „Hanoi nie omieszkało wykorzystać dla swoich celów odpowiedzi militarnej na przesadnie wyolbrzymione zagrożenie (...) Jeśli zaś chodzi o wpływ na morale ludności i na skuteczność rządowej kontroli, ostrożne szacunki nakazywałyby przyznać, że przyniosły one [to jest bombardowania] reżimowi więcej pożytków, niż szkód (...). Bombardowania doprowadziły do tylu przypadkowych zniszczeń i ofiar wśród cywilów, że rząd mógł wykorzystać je do podtrzymywania wojowniczych nastrojów antyamerykańskich, a z drugiej strony wyrządziły nie dość szkód, by móc w poważny sposób zastraszyć czy zniechęcić większość Wietnamczyków"[50].

A mimo to Szefowie Sztabów wciąż wykazywali niesłabnący entuzjazm dla dalszych bombardowań. W swoim zdumiewająco absurdalnym memorandum z 16 czerwca 1967 generał Earle Wheeler wzywał do intensyfikacji ataków na linię kolejową Hanoi–Hajfong, argumentując, że „istnieje pewne prawdopodobieństwo, iż mogą się one okazać decydujące (...), choć nie jestem ekspertem w sprawach krajowej czy światowej opinii publicznej, to uważam, że właśnie b a r d z i e j, a nie m n i e j nasilone działania przyniosą nam zwiększone poparcie, rzecz jasna nie ze strony komunistów, wśród których zyskamy jednak rosnący respekt. Nie uważam też, by niosło to za sobą jakieś szczególnie poważne ryzyko (...) 123 ataki powietrzne (...) warte są kosztów ludzkich ponoszonych w związku z nimi, jeśli pomniejszają one stan osobowy wojsk sprzymierzonych na Południu tylko o jednego żołnierza. Ujmując to inaczej, kampania powietrzna opłaca nam się pod względem kosztów ludzkich, jeśli przynosi zaledwie 1,6 procent różnicy między potencjalną a rzeczywistą infiltracją [Południa przez AWP] – a w dolarach, jeśli odpowiada za 2,1 procent różnicy w tej infiltracji”[51].

Jeszcze zanim zdecydowano o zakończeniu operacji „Rolling Thunder”, co stało się w marcu 1968 roku, jej nikłe rezultaty doprowadziły do pewnego politycznego wstrząsu o charakterze swoistej apostazji czy też nawrócenia, to jest do rezygnacji Roberta McNamary. Przed swoim odejściem z urzędu 29 lutego, podczas prywatnego przyjęcia, pozwolił on sobie na bardzo emocjonalne wystąpienie, w którym wyraził zaniepokojenie „druzgocącą daremnością” bombardowań. Podobnie jak kilku wysokich rangą wojskowych, a w odróżnieniu od na przykład Earle’a Wheelera, zaczął on wreszcie rozumieć, że nawet jeśli udałoby się ostatecznie osiągnąć w ten sposób zwycięstwo, to przyszłoby ono za cenę dokonania olbrzymich zniszczeń, w skali całkowicie nieprzystającej do wartości głoszonych przez Stany Zjednoczone.

Lyndon Johnson z jednej strony chciał pokazać w Wietnamie swoją siłę i zdecydowanie, a z drugiej ograniczały go jego własne obawy: o los programu Great Society, o konsekwencje sprowokowania sowieckiej albo chińskiej interwencji wojskowej, o konieczność zapewniania

amerykańskim wysiłkom wojennym ciągłego poparcia albo co najmniej cichego przyzwolenia ze strony sojuszników, a wreszcie o utrzymanie przy sobie politycznych zwolenników w kraju, na świecie zaś – dobrego wizerunku Stanów Zjednoczonych. Prezydent nie przyjmował przy tym do wiadomości, że nie da się bombardować nieprzyjaciela w sposób powściągliwy, a jednocześnie spodziewać się, że złamie się w nim wówczas wolę walki. Zresztą, potrzeby społeczeństwa komunistycznego były tak niewielkie, że nawet intensywna kampania powietrzna, zalecana przez Szefów Sztabów, nie przyniosłaby zapewne rezultatów zasadniczo odmiennych. A w kontekście zapiekłej rywalizacji chińsko-sowieckiej, trwającej w drugiej połowie lat sześćdziesiątych XX wieku, trudno było doprawdy sobie wyobrazić scenariusz, w którym dowolne z tych dwóch dominujących mocarstw komunistycznych porzuca swojego sojusznika, nawet gdyby amerykańskim lotnikom udało się obrócić cały Wietnam Północny w gruzy – czy też, trafniej, w drzazgi i słomę.

16
Po pas w wielkim grzęzawisku

1. ZWOLENNICY POKOJU

W roku 1967 były już dwie równoległe wojny wietnamskie: pierwsza toczyła się rzecz jasna na polach bitewnych w Azji Południowo-Wschodniej, w drugą zaś przekształcała się coraz szybciej zawzięta kampania wymierzona przeciwko tym walkom w samych Stanach Zjednoczonych. Telewizja CBS zaczęła nadawać program komediowy *The Smothers Brothers Comedy Hour*, który stał się zaskakującym hitem tamtego sezonu. I choć prezentowane w nim żarty i satyryczne docinki były dość stonowane jak na standardy XXI wieku, to kiedy do programu zaproszono gościnnie piosenkarza folkowego i autora wielu antywojennych utworów Pete'a Seegera, wybuchła prawdziwa kłótnia o to, czy należy mu w ogóle pozwolić w nim wystąpić. Seeger zaprezentował ostatecznie porywające wykonanie pewnego numeru, w którym pojawiały się dwa szczególnie znaczące wersy: „Stoimy już po pas w wielkim grzęzawisku / Ale naczelny głupek każe nam iść dalej". Piosenka ta opowiadała ponoć o losach jakiegoś plutonu odbywającego szkolenie wojskowe w Luizjanie w roku 1941, ale nikt z widzów z pewnością nie miał ani też nie powinien mieć żadnych wątpliwości, że tak naprawdę chodziło w niej o Wietnam i o prezydenta Lyndona Johnsona.

Tamtej wiosny wewnętrzny opór społeczny przed dalszym udziałem Ameryki w wojnie wybuchł z całą siłą, przekształcając się w ruch o charakterze masowym, w dużej mierze przemieszany, choć nie tożsamy, z ruchem hipisowskim oraz wszelkimi dążeniami wolnościowymi nowego pokolenia, takimi jak swobodne korzystanie

z narkotyków czy uprawianie wolnej miłości. Jak to określił długowłosy hipisowski lider Jerry Rubin: „Toczy się obecnie wojna między ludźmi młodymi a rządzącymi tym krajem ludźmi starymi". Przeciwko wojnie wypowiadała się otwarcie cała plejada gwiazd i znanych postaci, w tym większość Kennedych i bliskie im osoby, takie jak J.K. Galbraith czy Arthur Schlesinger, a ponadto Joan Baez i Bob Dylan, Norman Mailer i Jane Fonda, pediatra doktor Benjamin Spock, brytyjski filozof Bertrand Russell oraz liczni artyści, przedstawiciele świata akademickiego i lewicowcy po obu stronach Atlantyku, wreszcie przywódcy ruchu walczącego o prawa ludności czarnoskórej. Martin Luther King ogłosił w sierpniu 1967 roku: „Obietnice Wielkiego Społeczeństwa [program Great Society – przyp. tłum.] zostały rozstrzelane na polach bitewnych Wietnamu".

Podczas kwietniowego przesłuchania w Senacie doświadczonego dyplomaty Ellswortha Bunkera, szykowanego na następcę Henry'ego Cabota Lodge'a w Sajgonie, przyszły ambasador podkreślał, że celem wojny jest doprowadzenie do powstania silnego, prężnego i wolnego Wietnamu Południowego. Senator Fulbright zadał wówczas pytanie: „Czy prawo do samostanowienia 15 milionów Wietnamczyków warte jest szkód, jakich doznajemy tu, w kraju?". Z miesiąca na miesiąc skala demonstracji antywojennych rosła, aż wreszcie w październiku do Waszyngtonu zjechało 50 tysięcy protestujących, naprzeciwko których stanęło 10 tysięcy żołnierzy mających ochraniać Pentagon. Senator Edward Kennedy ogłosił wówczas: „Żaden wielki naród nie może twierdzić, że walczy o wolność i demokrację dla innego narodu, jeśli (...) szczytowym osiągnięciem wszystkich tych wysiłków jest zniszczenie ziemi i sposobu życia tegoż ludu".

W ferworze obustronnej argumentacji zatracały się wszelkie zniuansowane rozróżnienia. Zwolennicy wojny postrzegali samych siebie jako patriotów, a zarazem jako wrogów komunizmu. „New York Times" przytaczał gorzkie słowa pewnego rabina, który świeżo powróciwszy z Wietnamu, krytykował wszystkich atakujących administrację za „działanie na rzecz przedłużania wojny (...), robienie dokładnie tego, czego najbardziej życzą sobie «jastrzębie» w Hanoi", to jest przedstawianie Stanów Zjednoczonych jako „agresora,

a Wietkongu i Wietnamczyków z Północy jako niewinnych ofiar”[1]. Z kolei Carl McIntire, założyciel Biblijnego Kościoła Prezbiteriańskiego, uznał wojnę w Wietnamie za walkę o „prawą i świętą sprawę”, zaś kaznodzieja Billy James Hargis argumentował, że Amerykanie walczyli o „wolność (…) [o] bezpieczeństwo i obronę Stanów Zjednoczonych”. A redakcja ewangelickiego tygodnika „Christianity Today” domagała się wprost kolejnych bombardowań.

Tymczasem po przeciwnej stronie sporu wciąż narastała gorączka antywojenna. Wielu Amerykanów, którzy mieli wcześniej jakąś styczność z Wietnamem, potępiało sposób, w jaki ich państwo prowadziło tam działania zbrojne. Potrafili oni jednak także dostrzec zarówno brutalność komunistów, jak i totalitarny charakter reżimu w Hanoi, wobec czego odcinali się od protestujących, którzy robili swoiste salto moralne i poprzez śpiewy mające piętnować nieprawość ich własnego prezydenta – *„Hey, hey, LBJ, how many kids have you killed today?*” („Hej, hej, LBJ, ile dzieci zabiłeś dzisiaj?”) – przyjmowali niejako, że to wróg stoi po stronie dobra. Kiedy Frank Scotton przemawiał do studentów, z przerażeniem zauważył, że z góry uznają oni walkę toczoną w imię Ho Chi Minha za w pełni uprawnioną: „A gdy zacząłem im to uświadamiać, w ogóle nie rozumieli, do czego zmierzam – wyglądało to tak, jakbym zaczął im wykładać wyższą matematykę”[2]. Z kolei przewodniczący KPSS był wstrząśnięty, kiedy jeden z antywojennych demonstrantów, po przedstawieniu mu dowodów na torturowanie przez komunistów jeńców wojennych, oświadczył, że winni temu są sami amerykańscy lotnicy, bo przecież nie musieli się godzić na misje bombardujące.

Henry Kissinger wypowiedział się kiedyś z lekceważeniem o „niewyczerpanych pokładach masochizmu wśród amerykańskich intelektualistów, którzy z nabożną czcią wyrażają przekonanie, że wszelkie trudności w stosunkach [Wschód–Zachód] wynikają z głupoty i nieustępliwości Stanów Zjednoczonych”[3]. Była to doprawdy bardzo dziwaczna faza historii, podczas której znacząca część młodych ludzi z demokratycznych krajów Zachodu wyznawała niczym niezmącony podziw dla Mao Zedonga, Fidela Castro, Che Guevary i innych światowych rewolucjonistów, nie chcąc słyszeć o opresjach szerzonych

przez ich bohaterów – a w przypadku Mao nawet o masowych mordach dokonywanych za jego wiedzą, nieporównanie straszliwszych od jakichkolwiek niegodziwości, za jakie można było wówczas winić Stany Zjednoczone.

Konsekwencje tej narastającej fali niepokojów wewnętrznych odczuwane były szczególnie silnie na terenach uniwersytetów. W początkowych fazach wojny żołnierze piechoty, marynarze i lotnicy walczący w Wietnamie czynili to może niezdarnie, a po części również bezdusznie, ale przeważało wśród nich poczucie odpowiedzialności za powierzoną im misję, nawet jeśli specjalnie się do niej nie garnęli. Ale począwszy od roku 1968, postawa taka ulegała stopniowej zmianie. Kolejni weterani wracali do domów, a na ich miejsce przybywali nowi żołnierze, wśród których wielu dorastało w atmosferze niezgody na zastaną rzeczywistość, akceptacji dla narkotyków – i niedowierzania. Kiedy do MACV zaraportowano, że w następnej transzy batalionów znajdą się żołnierze z wykształceniem wyższym, generał Creighton Abrams uznał to początkowo za świetną wiadomość. Z błędu wyprowadził go dopiero jeden z jego oficerów, który skomentował to grobowym tonem: „Czyli potrafiący napisać list do swojego kongresmena”[4].

Demonstracja przeciwników wojny w Wietnamie, Nowy Jork, 1969 rok

Robert Holcombe był czarnoskórym nowojorczykiem, który długo unikał poboru, a przysięgę wojskową musiał ostatecznie składać w kajdankach. Ten syn dwojga nauczycieli szkolnych był zdeklarowanym buntownikiem, wprawionym w strajkach okupacyjnych i w zebraniach dyskusyjnych, zagorzałym czytelnikiem *Czerwonej książeczki* Mao, a z Uniwersytetu Tennessee usunięto go za udział w rozruchach. Jak powiedział później: „Przeczytałem wcześniej całe tony książek, w tym literaturę z Kuby, Chin, a nawet z samego Hanoi.

Wojny toczy się tak naprawdę wyłącznie o własność. Dla mnie więc w Wietnamie chodziło o zdobycie przyczółka w niewielkim państewku na Dalekim Wschodzie, dysponującym plantacjami kauczuku, ryżem, drewnem, a możliwe, że również ropą. No i ludźmi. Czyli źródłem taniej siły roboczej”[5]. Ale w końcu, po całych latach zabawy w ciuciubabkę z władzami, także i on wcielony został na siłę do amerykańskiej armii służącej w Wietnamie.

Choć w roku 1967 Holcombe nie dał się jeszcze zaciągnąć na wojnę, to i tak można go uznać za doskonały przykład nowej fali, przenikającej coraz mocniej również do amerykańskiej armii. Pewne badania na próbie żołnierzy podejmujących służbę właśnie w tamtym roku wykazały, że już jeden na pięciu używał wcześniej marihuany, przy czym trzy lata później odsetek ten miał wzrosnąć aż do połowy. Było to jednak zaledwie odzwierciedlenie tendencji obserwowanych w całym społeczeństwie amerykańskim, w którym procent znanych władzom palaczy trawki wzrósł z jednej czwartej w roku 1967 do dwóch trzecich w roku 1971. Tymczasem wielu żołnierzy już stacjonujących w Wietnamie, przeglądając gazety dostarczane do ich baz prosto z ojczyzny, z niedowierzaniem czytało o rozszerzającej się fali protestów antywojennych w Stanach Zjednoczonych. W oddziale porucznika Andy’ego Finlaysona pewien sierżant nie krył obrzydzenia, kiedy żołnierze przynieśli mu pozbierane komunistyczne ulotki w języku angielskim, w których cytowano krytyczne wypowiedzi Eugene’a McCarthy’ego i Roberta Kennedy’ego na temat wojny. „Niestety, nie byłem w stanie podać im żadnego dobrego powodu, dla którego ci amerykańscy przywódcy polityczni mówili takie rzeczy” – przyznał potem ów zawodowy żołnierz marines[6]. A część amerykańskich wojskowych nabrała wręcz później przekonania – którego bronili oni aż po grób – że wojna w Wietnamie nie tyle została przegrana na polu bitwy, co padła ofiarą zdrady moralnej w ojczyźnie, swoistego „ciosu w plecy”.

Teksańczyk, kapitan John McNamara, pisał z Da Nang, że on i jego ludzie czuli się „urażeni dowodami sprzeciwów wśród cywilów [w USA] (…), całkiem niedawno widziałem zaminowany przez WK cywilny autobus: kobiety, dzieci, zwierzęta w kawałkach, rozsmarowani po

całym pojeździe”[7]. Jednocześnie przyznawał się do pewnej konfuzji: „My tego nie robimy. Powstaje więc pytanie: czy ja i mój rząd, a zatem również cała cywilizacja Zachodu, stworzyliśmy takie warunki, w których możliwy był rozkwit azjatyckiego terroryzmu?”. Nawet komuniści byli zdumieni, a wręcz do pewnego stopnia zdeprymowani, siłą antywojennego ruchu w Stanach Zjednoczonych. Radykalny aktywista tego ruchu Tom Hayden, który później poślubił Jane Fondę, udał się z wizytą do Hanoi, by po powrocie stać się żarliwym rzecznikiem jego polityki. Kiedy Doug Ramsey, więziony wtedy w dżungli, podczas jednego z przesłuchiwań usłyszał wzmiankę właśnie o Haydenie, zadał swoim prześladowcom pytanie, co tak właściwie o nim myślą. Jeden z nich odparł na to chłodno: „Podziwiamy jego postawę ideologiczną, ale gardzimy nim jako człowiekiem. Jak można szanować kogoś, kto zdradza swój własny kraj?”[8].

Pozostaje kwestią dyskusyjną, do jakiego stopnia wewnętrzny opór wobec wojny w Ameryce wynikał z kwestii pryncypialnych, a w jakiej mierze wzmacniał go obowiązkowy pobór do służby wojskowej, który przynajmniej części młodych ludzi dawał silną osobistą motywację do sprzeciwiania się konfliktowi, mogącemu w najlepszym razie zmarnować dwa lata ich życia, a w najgorszym – przynieść im śmierć. Ze statystyk wynika, że stosunkowo niewielu Amerykanów walczyło wbrew swojej woli[9]. 25 z 27 milionów amerykańskiej młodzieży w wieku poborowym nigdy nie musiało chwycić za broń. A spośród tej mniejszości, której przyszło to zrobić – w tym około jednej czwartej z 2 150 000 Amerykanów służących w Wietnamie – śmierć poniosło 17 725 osób. Jedno z badań opinii publicznej wykazało, że większość rodaków uznawała ich za „frajerów, którzy musieli ryzykować własnym życiem, walcząc w złej wojnie, w złym miejscu i w złym czasie”.

Zwolennicy prowadzenia wojny podkreślali, że jedynie 1 procent podlegających poborowi Amerykanów ostatecznie się nie zaciągał, a równie niewielki odsetek uporczywie unikał wcielenia do służby. Statystyki takie nie uwzględniały jednak niezwykle szerokiego wachlarza prawnych kruczków umożliwiających uzyskanie odroczenia, które co sprytniejsi potrafili umiejętnie wykorzystywać. Do roku 1966 poboru unikali wszyscy żonaci mężczyźni, co wywołało

dziesięcioprocentowy wzrost małżeństw wśród nieletnich. Inni zapewniali sobie spokój, po prostu idąc do szkoły – tę drogę obrali choćby Bill Clinton czy Donald Trump; rektor Uniwersytetu Yale, Kingman Brewster, grzmiał z pogardą o „cynicznym uchylaniu się od służby wojskowej, psuciu całego systemu edukacji, plamieniu narodowego ducha”[10].

Poborowy Don Graham zapamiętał, że pokolenie jego ojca oceniało się nawzajem po tym, kto pojechał, a kto nie pojechał walczyć w II wojnie światowej: „Mój tato nigdy nie zapomniał, że Hubert Humphrey był dupkiem, który pozostał w domu. Tymczasem ja w Wietnamie właściwie nie spotykałem nikogo, kto chodził na studia (...), zdałem sobie sprawę z tego, że w naszym pokoleniu wygrani będą ci, którzy poszli do szkół prawniczych”[11]. Mark Rudd, przewodniczący stowarzyszenia Students for a Democratic Society (Studenci dla Społeczeństwa Demokratycznego), starał się o odroczenie poboru, argumentując, że był zawodowym rewolucjonistą. Ostatecznie uznano go za fizycznie niezdolnego do służby wojskowej, choć komisja poborowa zapewne wzięła pod uwagę fakt, że wcielenie go na siłę do armii doprowadziłoby jedynie do szerzenia w jej szeregach zupełnie niepożądanych poglądów.

Rodzice jednej czwartej uczniów szkół średnich namawiali swoich synów do uchylania się od poboru. Inni młodzi ludzie unikali wcielenia do wojska z powodu „budzącej wątpliwości postawy moralnej”: na przykład byli już wcześniej skazani za kradzież bydła, palenie trawki czy zabicie orła. Do służby nie przyjmowano także gejów. Z poboru zwolnieni byli członkowie Gwardii Narodowej – tę drogę obrał George W. Bush, a także gracze drużyny futbolowej Dallas Cowboys, po tym jak zarząd klubu załatwił im wszystkim wpisanie w szeregi tej samej lokalnej jednostki Gwardii. Przymusowego wyjazdu do Wietnamu uniknął też pewien futbolista z Filadelfii, który wytłumaczył się następująco: „Gdyby mnie powołali, to nasza drużyna Eagles zostałaby bez obrońcy”[12]. Z kolei co sprytniejsi lekarze wstępowali do federalnego Korpusu Służby Zdrowia (Health Service Corps), stając się tym samym – jak prześmiewczo nazywali samych siebie – „żółtymi beretami”; o dziwo, aż dziewięciu ludzi z tej grupy zostało potem

laureatami Nagrody Nobla. Wreszcie, dzieci bogatych rodziców mogły liczyć na łaskawsze potraktowanie przez zasiadających w komisjach poborowych lekarzy, wzbudzając ich sympatię zwykłym przekupstwem – tę drogę również obrał Donald Trump. Można też było próbować symulować chorobę wrzodową układu pokarmowego poprzez pobranie sobie pół litra krwi, a potem jej wypicie tuż przed badaniem. Po jakimś czasie wyłoniła się pewna grupa komisji szczególnie podatnych na odraczanie poboru: do miast z tej grupy należały Seattle, Waszyngton czy Butte w stanie Montana. Z kolei w Berkeley w stanie Kalifornia rada miejska przyjęła uchwałę zakazującą policji aresztowania dezerterów.

Lawrence Baskir i William Strauss, autorzy studium poświęconego poborowi w czasie wojny wietnamskiej, napisali: „Poborowi, którzy walczyli i ginęli w Wietnamie, rekrutowali się przede wszystkim z grupy społecznych «przegranych», tej samej, z której pochodziły jednostki gorzej radzące sobie w szkołach, w zakładach pracy, a także w innych formach społecznego współzawodnictwa”[13]. Na pola bitewne trafiało jedynie 7 procent młodych ludzi z rodzin średnio i dobrze zarabiających oraz jedynie 9 procent absolwentów studiów w porównaniu z 14 procentami tych, którzy rzucali szkołę średnią. W roku 1965 czarnoskórzy stanowili jedną czwartą wszystkich poborowych zabitych w walce, co do tego stopnia zaszokowało Departament Obrony, że odtąd zaczął on starannie wybierać placówki dla kolejnych transz czarnoskórych rekrutów, by móc doprowadzić do znaczącego obniżenia tego dramatycznie wysokiego odsetka. Generał Westmoreland powiedział później, że to wcale nie naród amerykański musiał „dźwigać całe brzemię (…) [bo] jedynymi, którzy (…) zapłacili wysoką cenę i poświęcali swoje życie, byli ci, którzy znaleźli się na polu bitwy, w większości synowie ubogich rodziców”[14].

Tezę tę postanowił zweryfikować historyk amerykańskiej wojskowości Conrad Crane, który przeanalizował dane statystyczne dotyczące służby w Wietnamie i w bardzo przekonujący sposób wykazał, że rzecz miała się jednak nieco inaczej[15]. Powołuje się on ponadto na pewne studium z roku 1992, z którego wynika, że choć rzeczywiście aż 30 procent wszystkich zabitych na polu walki wywodziło się z najniższej grupy dochodowej, stanowiącej około jednej

trzeciej całości, to zarazem 26 procent pochodziło z grupy najwyższej. Ponadto, choć 12,5 procent poległych stanowili czarnoskórzy, a 5 procent Latynosi, to w rzeczywistości oba te odsetki były nieznacznie n i ż s z e od proporcji poborowych należących do każdej z tych mniejszości w stosunku do reszty walczących. Aktywiści ruchu na rzecz praw czarnej ludności, którym udało się przekonać większość świata, a przy tym siebie samych, że to właśnie czarnoskórzy ponosili nieproporcjonalnie wysokie koszty walki w wojnie rozpętanej przez białych, stanowczo zatem przesadzali ze swoimi pretensjami.

Część młodych ludzi postanawiała jasno zademonstrować swój sprzeciw wobec służby wojskowej: pierwsze rytualne spalenia kart mobilizacyjnych zaczęły się już w roku 1964. Sprzeciwiający się poborowi, w liczbie 50 tysięcy, stali się dobrowolnymi wygnańcami, a niektórzy z nich uciekali się do bardzo niekonwencjonalnych środków. Pewien mężczyzna udał się w góry, gdzie spędził kolejne sześć lat życia, mieszkając w domku na drzewie. Inny uciekinier, pochodzący z Minnesoty, został aresztowany w mieście Eureka w Kalifornii, gdzie pracował w centrum handlowym jako Święty Mikołaj. Część tych, którzy zdecydowali się nie opuszczać Stanów Zjednoczonych, przybierała fałszywą tożsamość. Sporo ich było zwłaszcza na wiejskich obszarach regionu Nowa Anglia, który zaczęto nawet nazywać „małą Kanadą", bo niemal na każdej farmie albo w każdym miasteczku można było spotkać uciekinierów spoza stanu. Z kolei ci, którzy wybrali emigrację, kierowali się przede wszystkim do Meksyku, gdzie jednak tyleż łatwo było wyjechać, co trudno później się utrzymać. Wśród ulubionych kierunków amerykańskich uciekinierów znajdowały się też Kanada i Szwecja – w tym drugim kraju część Amerykanów musiała początkowo żebrać, bo opieka społeczna przyznawała im zaledwie 15 dolarów tygodniowo, jednak pełen współczucia szwedzki rząd już wkrótce podwoił wysokość tej zapomogi, ku nieskrywanej wściekłości Kongresu.

Pewien dezerter spędził cały okres wojny wietnamskiej, podróżując rowerem po Kanadzie i utrzymując się z datków od spotykanych ludzi. Inny uciekinier argumentował: „Ja wcale nie uchylam się od poboru – jestem po prostu dwudziestowiecznym niewolnikiem, który uciekł swoim panom". Pewien młody żołnierz, którego znamy jedynie

z imienia, Bob, tuż przed planowanym wylotem do Wietnamu wystarał się o krótki urlop, po czym zdezerterował do Kanady, skąd napisał do swojego przyjaciela służącego na polu bitwy: „Nie jestem pacyfistą, ale będąc w armii, uświadomiłem sobie, czym jest ta wojna – rasistowską walką prowadzoną w imieniu olbrzymiej amerykańskiej machiny wojennej (...). I właśnie wy, chłopaki, możecie najlepiej uzmysłowić ludziom w Ameryce, jakie gówno wyprawia się tam rzekomo w ich imieniu". Niektórzy z uciekinierów zadawali sobie zapewne później pytanie, czy warto było wyruszać na długą tułaczkę, skoro amerykański system karny nad wyraz wyrozumiale traktował ponadpółmilionową rzeszę młodych ludzi uchylających się do poboru: spośród całej tej grupy jedynie 25 tysięcy osób skazano, a jeszcze mniej, bo 3250, osadzono w więzieniach. Wśród bardziej znanych Amerykanów opierających się mobilizacji warto wymienić Muhammada Alego, którego w roku 1967 skazano za to na karę pięciu lat pozbawienia wolności, choć ostatecznie nie odsiedział on w więzieniu ani jednego dnia. Pod tym akurat względem czarnoskórzy traktowani byli wyraźnie gorzej, otrzymując generalnie dłuższe wyroki od białych. Stany Missisipi i Luizjana szybko zyskały sobie złą sławę, bo prawo mobilizacyjne stosowano tam jako broń wymierzoną w aktywistów ruchów na rzecz praw obywatelskich. W ostatecznym rozrachunku na pole bitwy trafiał zaledwie jeden na siedmiu poborowych. A spośród tych, których rzeczywiście posyłano do walki, jedynie 3 procent nie wracało do domów, kolejnych zaś 10 procent odniosło rany wymagające hospitalizacji. Wielu z tych, którzy wrócili cało i zdrowo, przywiozło jednak ze sobą wspomnienia, które zamieniły ich późniejsze życie w koszmar.

Warto zauważyć, że bardzo duża liczba młodych patriotów bez uskarżania się ani stosowania żadnych wybiegów jechała do Wietnamu, mimo że nie miała najmniejszej ochoty walczyć, ponieważ uznawała służbę wojskową za swoją powinność. Mieszkający na farmie w Dakocie Południowej Larry Pressler usłyszał od swojego ojca, że żaden z jego synów nie powinien choćby próbować unikać poboru. Gdyby bowiem nawet im się to udało, argumentował ojciec, wówczas ktoś inny, zapewne jeszcze biedniejszy, musiałby pojechać zamiast nich, „a wy będziecie tego żałować aż do końca swojego życia"[16]. Tak to dwóch

braci Presslerów pojechało na wojnę, a po zakończeniu swoich okresów służby wróciło do domu. David Rogers, syn profesora chemii z New Jersey, wykładał literaturę angielską i historię w Hamilton College. Ponieważ ojciec Rogersa był kwakrem i silnie sprzeciwiał się wojnie, on sam zarejestrował się jako osoba niezdolna do służby wojskowej z powodów moralnych. Jako człowiek wrażliwy i skłonny do refleksji, nie był jednak w stanie wytrwać w tym postanowieniu: „Nie miałem żadnego dobrego wyboru. Byłem z małego miasteczka. Czułem, że to nie w porządku, by ktoś inny miał jechać na moje miejsce. Aż zobaczyłem zdjęcie jakiegoś medyka opatrującego rannych i pomyślałem sobie: «Mogę to robić»”[17]. Wbrew sprzeciwom rozgniewanego ojca Rogers podjął służbę w piechocie. Ogółem znacznie więcej młodych Amerykanów przyjmowało wezwania do mobilizacji, niż je odrzucało, ale to właśnie o tej drugiej grupie mówiło się później i więcej, i głośniej.

Rekruci Armii Stanów Zjednoczonych w Fort Jackson w Karolinie Południowej, 1967 rok

Na koniec warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt ruchu antywojennego: Amerykanie są w stanie wybaczyć niemal wszystko poza porażką. A wojna wietnamska jak żadna inna wystawiła cierpliwość największej demokracji na świecie na ciężką i długotrwałą próbę. Wielu jej obywateli zwróciło się ostatecznie przeciwko tej walce nie dlatego, że wydawała im się ona moralnie zła, ale dlatego, że zwycięstwo w niej stawało się coraz bardziej wątpliwe.

2. UCZESTNICY WOJNY

Wiosną 1967 roku służący w Wietnamie Frank Scotton zaliczał się już do tej grupy żołnierzy, którzy byli bliscy głębokiej depresji: „Stało się dla mnie jasne, że robimy tu mnóstwo błędów, a przede wszystkim opieramy prowadzenie wojny na powodowaniu straszliwych zniszczeń wśród ludzi, których przybyliśmy chronić”[18]. 21 lutego zginął nigdy niestroniący od przygód i niebezpieczeństw francuski dziennikarz Bernard Fall, po tym jak wszedł na minę podczas obławy na partyzantów na „Ulicy bez Radości” w pobliżu Da Nang, w której to obławie brał udział jako obserwator. Już dużo wcześniej wyrobił on sobie wśród osób sceptycznie zapatrujących się na tę wojnę opinię jasnowidza, jako że niestrudzenie głosił, iż Stany Zjednoczone powtarzają wszystkie błędy popełniane niegdyś przez Francuzów w latach pięćdziesiątych XX wieku, tyle że przy użyciu większej ilości uzbrojenia. Siły „wolnego świata” w Wietnamie liczyły już teraz 1,3 miliona żołnierzy południowowietnamskich i amerykańskich, co oznaczało, że jeden żołnierz przypadał na każdych 15 mieszkańców tego kraju. Do dyspozycji tej ogromnej armii pozostawały 2 tysiące samolotów taktycznych, nie licząc wsparcia w postaci superfortec B-52. Ogromne lotnisko O’Hare w Chicago odnotowywało wówczas 690 tysięcy startów i lądowań rocznie, zaś do roku 1968 przez Tan Son Nhut przechodziło już 804 tysiące lotów, przez Da Nang 846 tysięcy, a przez Bien Hoa rekordowe 857 tysięcy, przy czym wszystkie te liczby nie obejmowały ruchu powietrznego helikopterów.

Scotton nabrał wówczas przekonania, które miało go już odtąd nie opuszczać, że jedyną dającą się zrealizować strategią Stanów Zjednoczonych powinno być rozmieszczenie dużych sił wzdłuż linii między Quang Tri a Mekongiem i utrzymywanie ich tam jak najdłużej. „A skoro tego nie zrobiliśmy, byliśmy skazani na długą wojnę, dokładnie taką, w jakiej Amerykanie nigdy nie byli dobrzy". Jest wysoce wątpliwe, czy w ten sposób dałoby się rzeczywiście zablokować Szlak Ho Chi Minha; zresztą, nawet jeśli osiągnięto by pod tym względem jakiś sukces, i tak nie przydałoby to przecież siły i wiarygodności reżimowi w Sajgonie. Mimo to pogląd Scottona podziela znacząca większość weteranów tej wojny.

Tymczasem na polu bitwy, czy też raczej na setkach pól bitewnych rozsianych po wzgórzach, polach ryżowych i gęstych dżunglach, na mocy rozporządzenia Amerykanów żołnierze ARVN stali się właściwie biernymi obserwatorami, zaś siły amerykańskie podejmowały cały szereg krwawych i bezwzględnych operacji, mających na celu lokalizowanie, wciąganie do walki i niszczenie zarówno formacji AWP, jak i partyzantów Wietkongu – przy czym w latach 1967–1968 tych drugich wciąż było znacząco więcej od tych pierwszych. Westmoreland naciskał na swoich dowódców, by ich ludzie pozostawali w bezustannym ruchu, nie dając nieprzyjacielowi ani chwili wytchnienia. Po jednej z bitew w pobliżu granicy z Kambodżą, toczonej od 31 marca do 1 kwietnia 1967 roku, w trakcie której nacierający pułk WK został mocno przetrzebiony przez 1. Batalion 26. Pułku Piechoty, dowodzony przez podpułkownika Alexandra Haiga, szef MACV „ostro przejechał się" po dowódcy korpusu Palmerze za to, że nie ścigał wycofującego się wroga[19].

„Jednym z powracających wciąż problemów – wyjaśniał Fred Weyand, wówczas dowodzący 25. Dywizją – polegał na tym, że najpierw wysyłało się ludzi na operację wyszukiwawczą (...) przynoszącą może z 15 zabitych [partyzantów]. Ale po zakończeniu tej operacji trzeba się było stamtąd wycofać (...), a kiedy po jakimś miesiącu wracaliśmy, stawaliśmy przed dokładnie takim samym wyzwaniem"[20]. Weyand bardzo krytycznie zapatrywał się na wiarę Westmorelanda w to, że armia amerykańska jest w stanie zgnieść nieprzyjaciela, prowadząc

wojnę na wyniszczenie: „Owa koncepcja wydawała się po prostu śmieszna". Amerykanie mieli zdecydowanie zbyt mało żołnierzy piechoty, by móc zapuszczać się na dłużej poza zasięg swojej artylerii, rozmieszczonej w umocnionych bazach ogniowych, których sieć rozbudowywano w pośpiechu na terenie całego kraju, głównie na wzgórzach pozbawionych roślinności. A wobec tego wojska lądowe podejmowały kolejne ofensywy, ścierały się z wrogiem, po czym wycofywały się na z góry upatrzone pozycje, pozostawiając za sobą niepotrzebne już pojemniki po racjach żywnościowych czy uzbrojenie, które powracający partyzanci Wietkongu skrupulatnie zbierali i wykorzystywani.

Oficerowie i żołnierze nie lubili słuchać o „liczbie ofiar" po obu stronach, ale w wojnie, w której nie istniała żadna perspektywa zatknięcia własnej flagi w stolicy nieprzyjaciela, trudno było o jakikolwiek inny miernik sukcesu. Wbrew często powtarzanym mitom, nie była to wcale koncepcja szczególnie oryginalna: każda armia w każdej wojnie ocenia swoje postępy przynajmniej po części według tego, ilu żołnierzy nieprzyjaciela zabiła albo wzięła do niewoli. W Wietnamie jednak stało się to prawdziwą obsesją, do tego stopnia, że dowódcy obsztorcowywali podkomendnych, którzy nie byli w stanie zapewnić odpowiedniej liczby trupów. Taka postawa prowadziła co najmniej do nonszalancji, jeśli nie do celowych przekłamań przy rachowaniu poległych w walce, na przykład do rutynowego dodawania do uśmierconych komunistycznych bojowników również przypadkowo zabitych chłopów.

Kapitan Vince Felletter ze 101. Dywizji Powietrznodesantowej uskarżał się, że jego zwierzchnicy byli „trochę za bardzo wyczuleni na punkcie tego gównianego zliczania trupów"[21]. Kiedyś zdarzyło się, że jego kompania podczas okopywania się odkryła, iż znajduje się na terenie cmentarza bojowników AWP: „[Dowództwo] Brygady rozkazało nam wtedy wykopać wszystkie [ciała], a oni mogli później zaraportować je jako wrogów zabitych podczas poprzedniego kontaktu [z nieprzyjacielem]". Szczególnie złą sławą okryła się pod tym względem 9. Dywizja operująca w Delcie: w jej kwaterze głównej wisiał na ścianie ogromny wykres obrazujący „efektywność" na podstawie „nieprzyjaciół

eliminowanych przez kompanię w ciągu jednego dnia na polu bitwy". Siły Regionalne i Siły Ludowe miały wynik po 0,30, ARVN – 0,75, a wojska amerykańskie – 1,50[22]. Z owego naściennego wykresu wynikało, że liczba wrogów zlikwidowanych rzekomo przez 9. Dywizję wzrosła z 1998 w drugim kwartale 1967 roku do 2671 w tym samym okresie roku 1968, a następnie do 8138 w drugim kwartale 1969 roku[23]. Abrams pomstował później na „uwielbienie dla w y k r e s ó w (...). W końcu dochodzi do sytuacji, w której to one stają się najważniejsze w tej całej wojnie, te pieprzone w y k r e s y, a nie prawdziwi l u d z i e i r z e c z y w i s t e sprawy"[24]. John Vann z pogardą wyrażał się o sposobach, jakimi zawyżano statystyki zabitych wrogów, opowiadając Frankowi Scottonowi o „bezwstydnej demolce 9. Dywizji"[25]. W dwóch prowincjach, w których operowała ta formacja, odnotowywano średnio 500 ofiar cywilnych miesięcznie, podczas gdy w pozostałych dwunastu prowincjach kontrolowanych przez IV Korpus liczba ta wynosiła łącznie zaledwie 400. Vann zwykł mawiać o jednym z dowódców 9. Dywizji, Julianie Ewellu, że „mógłby zabić swoją własną babcię, gdyby tylko dało się ją wliczyć do statystyk zlikwidowanych wrogów". To właśnie na Ewellu wzorowana była postać potwornego generała Lemminga w powieści *The Lionheads* (*Lwie głowy*), fikcyjnej, ale mocno krytycznej wobec armii amerykańskiej wizji prowadzenia wojny wietnamskiej, napisanej przez Josiah Buntinga, byłego zawodowego oficera 9. Dywizji.

Mimo wszystkich tych zastrzeżeń błędem byłoby postrzeganie lat 1967–1968 jako okresu porażek taktycznych Amerykanów: za każdym razem, gdy wojskom Westmorelanda udawało się dopaść wreszcie nieprzyjaciela, zadawały mu ciężkie straty. Przechwycone dokumenty ujawniały spadek morale w wielu jednostkach WK i AWP. W jednym z nich opisywano wysiłki propagandowe komunistycznej 2. Dywizji, podejmowane w celu przeciwdziałania „strachowi przed przedłużającą się wojną, niechęci [do walki] (...) i zapobiegania dezercjom, przechodzeniu na drugą stronę, poddawaniu się wrogowi i samobójstwom"[26]. Komunistyczni dowódcy z wściekłością czytali kolejne raporty donoszące o tym, jak ich żołnierze pierzchają w panice podczas kontaktu z nieprzyjacielem. Robert Komer kierujący akcją pacyfikacyjną napisał do prezydenta 28 lutego 1967 roku: „Ogromnym

kosztem, marnotrawiąc wiele zasobów, ale mimo to niezaprzeczalnie wygrywamy wreszcie wojnę na Południu. Niewiele z naszych programów – czy to cywilnych, czy wojskowych – przynosi jakikolwiek skutek, ale za to potrafimy zamęczyć nieprzyjaciela samą naszą masą i ciężkością”[27].

Po stoczonej w połowie 1967 roku bitwie w Delcie, podczas której 514. Batalion Wietkongu zaatakowany został zarówno przez helikoptery, jak i przez jednostki pływające, jeden z ocalałych komunistów uskarżał się, że wbrew wieloletniej indoktrynacji przekonującej z naciskiem, jakoby „długonosi” nie umieli dobrze walczyć, w rzeczywistości okazało się, iż „Amerykanie walczyli zażarcie (...) o wiele lepiej od ARVN”[28]. Szefowie Sztabów napisali do McNamary 17 października: „Obecna strategia i wdrażane środki wojskowe skutkują stałymi postępami (...). Nieprzyjaciel ma prawdopodobnie znacząco większe problemy, niż wskazują to nasze statystyki bitewne i twarde dane wywiadowcze”[29]. Zważywszy na ilość kłamstw i przekłamań dominujących w dokumentach z okresu tej wojny, to akurat stwierdzenie należy uznać za całkiem uzasadnione.

Tymczasem w Hanoi podczas dyskusji politbiura „wyrażano rozmaite opinie na temat skali zwycięstwa, jakie można było osiągnąć”[30]. Smoczy Dwór szacował, że do końca 1967 w Wietnamie Południowym walczyły już 232 tysiące jego żołnierzy – to jest 190 batalionów – w porównaniu do 204 tysięcy rok wcześniej. Wzrost ten osiągnięto, dosyłając wciąż nowe regularne jednostki AWP i pokrywając w ten sposób straty w ludziach ponoszone przy niezmiennej akceptacji dowództwa. Według historii wojny spisywanej w Hanoi dowódcy wojskowi postrzegali ten okres jako czas trudności i frustracji: „Poza amerykańskimi batalionami, które zniszczyliśmy w dolinie Ia Drang w listopadzie 1965 roku, nie stoczyliśmy od tamtego czasu żadnej bitwy, w której udałoby nam się osiągnąć wcześniej wyznaczone cele”[31]. W związku z tym Wietnamczycy z Północy oceniali, że jeśli nie uda im się w jakiś spektakularny sposób przejąć inicjatywy w walkach, skazani będą na bezustanne ścieranie się z nieprzyjacielem jeszcze przez długie lata i bez większych nadziei na rozstrzygnięcie wojny na swoją korzyść,

a wbrew temu, co oficjalnie głoszono, ich cierpliwość wcale nie była niewyczerpana. Dlatego plan strategiczny ogłoszony przez Hanoi w lipcu 1967 roku przewidywał „koncentrację maksymalnych wysiłków w celu zapewnienia sobie decydującego zwycięstwa poprzez doprowadzenie do powszechnej ofensywy-powstania, bez względu na koszty”[32]. Taka była geneza ofensywy Tet z roku 1968, uderzenia przeprowadzonego częściowo za sprawą fałszywych nadziei – a częściowo w związku z pilną potrzebą pokazania własnemu społeczeństwu jakiegoś rezultatu wojskowego.

Mimo niewątpliwych sukcesów Amerykanie napotykali też jednak całkiem sporo trudności. Ruch antywojenny w kraju zyskiwał na popularności znacznie szybciej, niż amerykańska armia posuwała się naprzód przez dżungle południowo-wschodniej Azji. A co bystrzejsi decydenci polityczni zaczynali wreszcie postrzegać jako słabość, a nie przewagę, fakt, że w odróżnieniu od kierownictwa północnowietnamskiego, stawiającego sobie nader ambitne, sięgające aż po horyzont cele, Stany Zjednoczone chciały osiągnąć tak naprawdę bardzo niewiele. To zaś w poważny sposób ograniczało dostępne i akceptowalne środki przez nie stosowane, przede wszystkim wykluczając możliwość inwazji na Północ. Earle Wheeler napisał 9 sierpnia 1967 roku: „Nasz rząd wielokrotnie stawiał sprawę zupełnie jasno, że (...) nie jesteśmy tu po to, by obalić reżim w Hanoi (...), ani też nie po to, by zniszczyć WP. Chcemy tylko, by WP przestał nadzorować i wspierać wrogą działalność Wietkongu na Południu i wycofał stamtąd swoje siły wojskowe”[33].

Ponadto Stany Zjednoczone na dobrą sprawę nigdy nie poradziły sobie z kłopotami wynikającymi z chaotycznego łańcucha dowodzenia w obrębie sprzymierzonych wojsk. Innym chronicznie trapiącym je problemem była słabość wywiadu. Gdy Fred Weyand skrytykował kiedyś Billa Colby’ego za to, że CIA nie jest w stanie przewidzieć żadnych ruchów komunistów, Colby odparł: „Wiesz co? Zamieniłbym wszystkie nasze kontakty na Południu na jeden porządny kontakt na Północy”. Weyand skomentował to następująco: „Byłem naprawdę zdumiony, że nasz kraj, dysponujący całą swoją potęgą, nie miał akurat tego [kontaktu na Północy]. Świadczyło to o sile systemu komunistycznego,

który potrafił utrzymywać nas w zupełnej ciemności. Przecież w każdej rodzinie na Północy musiał być ktoś ranny albo zabity w walkach, a przynajmniej każda musiała kogoś takiego znać, a mimo to rząd potrafił trzymać wszystkich pod kontrolą. A my nie potrafiliśmy nawet kontrolować wszystkich ulic w Nowym Jorku".

Tymczasem z powodu głębokiej penetracji przez komunistów struktur wojskowych na Południu poziom zaufania między Amerykanami a Wietnamczykami, a nawet w obrębie samych sił zbrojnych rządu w Sajgonie, był bardzo niski. Generał dywizji Bruce Palmer nie mógł wyjść ze zdumienia, kiedy pewien dowódca jednej z dywizji ARVN nalegał na rozmowę w cztery oczy, poza terenem jednostki, a więc z dala od swojego personelu, zanim przeszedł do poruszania naprawdę ważnych kwestii. Wietnamczyk wyjaśnił mu z miejsca, że jego własny oficer wywiadu podejrzewany jest o grę na dwie strony[34]. Palmer należał przy tym do licznej grupy wojskowych zdegustowanych słabnącym poparciem politycznym w Waszyngtonie, mimo ciągłego wysyłania do walki – i na śmierć – kolejnych transz żołnierzy, by wypełniali cele deklarowane przez rząd. Po wizycie McNamary, która nastąpiła w czerwcu 1967 roku, generał zapisał: „Stało się (...) zupełnie jasne, że nasi przywódcy cywilni i wojskowi mocno oddalili się od siebie"[35].

Amerykanie ściągali na miejsce kolejne tony sprzętu i wyposażenia, zupełnie nie zważając na to, jak zaśmiecają w ten sposób Wietnam. Pewien dziennikarz tak oto opisywał dość charakterystyczną scenę zaobserwowaną w Da Nang: „Na głównej ulicy, tuż przy nabrzeżu (...) obok Alp usypanych z amunicji pojawił się nowy łańcuch Andów złożony ze skrzyń, pojemników na żywność w puszkach czy napoje, plastikowych butów, tranzystorowych odbiorników radiowych, generatorów prądu, klimatyzatorów, elementów ciężkiej artylerii, czołgów i ciężarówek, kijów do baseballu, słodyczy i tanich kolorowych pisemek. Wyglądało to tak, jakby każde przedsiębiorstwo ze Stanów Zjednoczonych wysyłało tu wszelkie niepotrzebne towary, by na miejscu stały się zwałami śmieci"[36]. Betonowe bloki ogradzano olbrzymią ilością drutów kolczastych; tuż obok skrzyń z amunicją koczowały starsze kobiety, a dzieci przymilały się do strażników o papierosy,

ćwicząc swój kulawy angielski w rwanych konwersacjach z ludźmi, którzy przybyli tu ponoć z pomocą, ale teraz zagrażali samym podstawom życia społecznego. Zresztą, również sami amerykańscy dowódcy nabierali coraz większych wątpliwości, czy rozmaite udogodnienia zapewniane żołnierzom, takie jak lody dostarczane nawet jednostkom walczącym na froncie, rzeczywiście podnoszą ich morale, jak to zakładano, czy też wręcz przeciwnie – osłabiają w nich ducha bojowego i chęć do dalszej walki.

Większość światowych mediów nie wierzyła już w żadne wojskowe komunikaty dotyczące przebiegu działań wojennych, nieważne jak błahe czy niekontrowersyjne. 3 września 1967 roku „Washington Post" opublikował nadesłaną przez Richarda Harwooda, żołnierza marines i weterana walk o Iwo Jimę, depeszę, której nadał on tytuł *W tej wojnie nic już się nie zgadza*. Harwood zanalizował pewien pojedynczy przypadek, by udowodnić tezę, że oficjalnie podawane dane są oszustwem. Jak pisał, MACV zaraportowała, że w roku 1966 zdolność bojowa południowowietnamskiego pułku pancernego stacjonującego w Sajgonie uległa „znaczącej poprawie". Trudno było jednak pogodzić to stwierdzenie z faktami: z danych wynikało bowiem, że w obrębie tego pułku 8. Szwadron zgłosił śmierć jednego nieprzyjaciela, 5. Szwadron – 12, 10. – 23, a 9. aż 148 żołnierzy wroga, przy czym jednocześnie statystyka strat własnych dla wszystkich tych szwadronów wykazywała zaledwie 14 zabitych. Jednym słowem, MACV dowolnie żonglowała liczbami, byle tylko przedstawić rzeczywistość w jaśniejszych barwach, a w prezentowane przezeń dane uwierzyć mogli już chyba tylko ci, którzy z uporem pisali listy do Świętego Mikołaja, licząc na autentyczną odpowiedź z jego strony.

Tyle że do samych walczących w większości nie dotarł jeszcze z ojczyzny duch zmiany, symbolizowany przez protestujących przeciwko wojnie, uchylających się przed poborem i Pete'a Seegera. Na przykład służącego w marines Walta Boomera nie opuszczał entuzjazm: „Jeśli kiedyś w ogóle był dobry czas na walkę w Wietnamie, to był nim z pewnością rok 1967. Nie było żadnych narkotyków, żadnego rasizmu. A jeśli nawet coś złego działo się na polu walki, gdzieś tam w Da Nang, to my i tak nic o tym nie wiedzieliśmy"[37]. Boomer, syn drobnego

przedsiębiorcy z Karoliny Północnej, a przy tym absolwent Uniwersytetu Duke, zrobił w wojsku prawdziwą karierę. A tego rodzaju oficerowie z rzadka, jeśli w ogóle, zastanawiali się nad szerszym obrazem wojny: on sam z dużą satysfakcją wypełniał powierzoną mu funkcję, do której długo się szkolił, to jest dowodził własną kompanią, a o jej członkach wyrażał się z dużym szacunkiem jako o „odważnych młodych ludziach. Funkcjonowaliśmy wszyscy w pewnej bańce naszego Korpusu. Nic nie rozumiałem z tego, co działo się w prawdziwym świecie".

Kapitan Jim Williams, syn dyrektora szkoły w miejscowości Winona w Minnesocie, prezentował bardzo podobną postawę: „To był czas prawdziwego patriotyzmu, w którym pobrzmiewały jeszcze sentymentalne tony II wojny światowej i wojskowych parad". Większość roku 1967 Williams spędził, dowodząc jednostką zwiadowczą w pobliżu granicy z Laosem, a jego codziennym doświadczeniem był widok miejscowych, pędzących obładowane towarami słonie na targ. Było to jeszcze przed tym, jak Wietnamczycy z Północy przystąpili do oblężenia Khe Sanh, a cała okolica była na tyle spokojna, że mógł on bez przeszkód uczęszczać na msze odprawiane w jednym z lokalnych wiejskich kościółków przez pewnego amerykańskiego misjonarza. Z kolei zawodowy oficer, pochodzący z Teksasu kapitan John McNamara, napisał wówczas do rodziny w domu: „Jeśli kręcą cię historie typu *Terry and the Pirates*, możesz zapuszczać się w głąb lądu w poszukiwaniu przygody albo bratać się do woli z ludźmi z gór. A jeśli lubisz manewrować pułkami i batalionami, na to też masz tutaj sporą szansę. Tak więc, jako profesjonalny poligon, to miejsce jest wręcz doskonałe"[38]. Tyle że, jak przyznawał, problemem stawała się cała reszta tej wojny, a zwłaszcza sposób, w jaki odbierali ją sami Wietnamczycy: „Nie ukrywam, że jestem teraz wyraźnie mniejszym optymistą co do biegu spraw, niż byłem wtedy, gdy pisałem do was ostatnim razem".

3. SZTUKA PRZEŻYCIA

Chcąc jak najdłużej pozostać przy życiu, żołnierz powinien unikać wszelkich zbędnych ruchów, a najlepiej leżeć w miarę bezpiecznie w jakiejś dziurze w ziemi i się stamtąd nie wychylać – każdy ruch narażał go bowiem na niebezpieczeństwo dostrzeżenia przez nieprzyjaciela. Tyle że obowiązkiem piechoty było ciągłe przemieszczanie się. Większość czasu spędzonego na polu bitwy żołnierze przeznaczali na szukanie kontaktu z nieprzyjacielem w ramach plutonu, kompanii czy batalionu. Dla jakichś 50 tysięcy Amerykanów służących w piechocie w dowolnym momencie tej wojny egzotyczne okoliczności azjatyckiej przyrody szybko stawały się nową normą: połyskująca w słońcu jasna zieleń pól ryżowych, znacznie ciemniejsza zieleń gajów palmowych, mali chłopcy wyprowadzający bawoły, rolnicy trudzący się cierpliwie za drewnianymi pługami zaprzężonymi w woły. A o zmierzchu żołnierze mieli okazję oglądać, jak bawoły wracają do obejść, teraz upodobnione do nich samych, bo z bokami uwalanymi błotem od tarzania się w bajorach. Przy czym, gdzieś tam w ukryciu, za fasadą tej rustykalnej sielanki, czaił się bezlitosny wróg.

Walt Boomer powiedział: „Każdego dnia szukaliśmy okazji do walki, najlepiej na naszych warunkach. I szybko zacząłem dostrzegać różne szczegóły: «Ten gość rozsiadł się wygodnie i patrzy. A kiedy za jakiś czas zauważy, że na chwilę straciłeś czujność, wtedy rzuci się do ataku». On znał teren, a my nie. Pamiętam pewien straszny dzień, jaki się nam przydarzył. Posuwaliśmy się w dół pewnej bardzo wąskiej doliny, porośniętej różnymi krzakami, kiedy zaatakowali nas z góry i z obu stron: to była zasadzka zastawiona na nasz pluton, w której zginęło trzech ludzi; straciłem wtedy gościa odznaczonego Krzyżem Marynarki Wojennej. Myśleliśmy sobie: przecież mamy wsparcie artyleryjskie i powietrzne – jeśli walki potrwają dłużej, to ich dorwiemy. Ale tak się nie stało. Tamta operacja nie stanowiła części jakiejś większej ofensywy, po prostu moja kompania dostała rozkaz «oczyszczenia terenu» – cokolwiek miało to znaczyć. Ilu z nich udało nam się zabić? Nie wiem. Dowództwo wściekało się, że zaniżamy statystyki zabitych”[39].

Nawet jednak przed napotkaniem nieprzyjaciela niemałym wyzwaniem dla żołnierzy były długie marsze w trudnych warunkach terenowych, w piekącym skwarze, a do tego z pokaźnym ładunkiem na plecach. Każdy z nich musiał dźwigać swoją broń, stalową puszkę po nabojach, w której przechowywano papiery i inne przedmioty niemogące ulec zamoczeniu, co najmniej osiem napełnionych nabojami magazynków, cztery granaty odłamkowe i dwa dymne, po cztery manierki z wodą, które zresztą rzadko wystarczały – zwłaszcza w suchym terenie rozsądnie było zabrać ze sobą zapas wody ważący może z 9 kilogramów. A byli też tacy, którzy dociążali się jeszcze jakimś dodatkowym sprzętem, na przykład pistoletem kaliber 0,45 cala. Jeśli zaś chodzi o racje żywnościowe, to Andy Finlayson zabierał na swoje pięciodniowe patrole rozpoznawcze po jednej puszce fasoli z kiełbasą, kolejną konserwę ze spaghetti z klopsikami, cztery puszki z owocami i trzy mniejsze z przekąskami[40]. David Rogers wolał z kolei mieć przy sobie zapas masła orzechowego i dżemu, którymi smarował krakersy, a do tego owoce i jakieś ciasto. Nic zatem dziwnego, że większość żołnierzy piechoty traciła na wadze, i to całkiem niemało. Walt Boomer przybył do Wietnamu, ważąc 81 kilogramów, a gdy wyjeżdżał, ważył już tylko 70.

Podczas przemieszczania się żołnierze regularnie zaśmiecali trasę przemarszu niepotrzebnymi już rzeczami, a ledwie zipiący nowi rekruci wyrzucali dodatkowo ukradkiem również te jeszcze niezużyte, byle tylko zmniejszyć jakoś niesiony ciężar. Takim nowicjuszom szybko wyjaśniano też, że owijanie się pasami z amunicją do karabinów maszynowych M-60 może i nadaje im wygląd twardzieli, ale jest zupełnie niepraktyczne, bo naboje wystawione na działanie warunków atmosferycznych brudzą się i nagrzewają, przez co później broń nimi załadowana ma tendencję do zacinania się. Już po wojnie Jim Williams przekonał się, że najlepszym sposobem, by poznać charakter służby w Wietnamie w rozmowie z innymi weteranami, było zadanie im pytania, czy nosili tam bieliznę. Jeśli odpowiedź była twierdząca, oznaczało to, że rozmówca unikał najgorszych miejsc: noszenie bielizny prowadziło tam bowiem do rozwoju grzybicy krocza, wobec czego wkładali ją tylko nieliczni[41]. Phil Caputo powiedział: „Wszystko tam

psuło się i gniło bardzo szybko: ciała, skórzane buty, płótno, metal, morale”[42].

Kapitan Chuck Reindenlaugh napisał do swojej żony: „Na całej planecie nie ma chyba żadnego innego skrawka ziemi mniej nadającego się do toczenia na nim konwencjonalnych działań wojennych (...). Podmokłe tereny, na których brodzi się w wodzie po kolana; drzewa i krzaki tak gęsto ze sobą splecione, że w wielu miejscach nie sposób wręcz się między nimi przecisnąć; olbrzymie drzewa, których korony są tak rozległe, że na dole panuje ciągły półmrok”[43]. Żołnierze z wadą wzroku żyli w ciągłym strachu, że podczas marszu przez niekończące się chaszcze i gęstwiny drzew zgubią gdzieś okulary. Brytyjski oficer Freddy Spencer Chapman zatytułował swoje klasyczne wspomnienia z toczonej w roku 1942 kampanii na Malajach *The Jungle is Neutral* (*Dżungla jest neutralna*) i pod tym akurat względem nic się nie zmieniło również dla kolejnego pokolenia, wysłanego do Wietnamu: najlepiej radziły tam sobie chłopaki ze wsi, dorastające w otoczeniu dzikiej natury, przez co niestraszne im były gęste zarośla, węże czy piszczące gibony. Wielu Amerykanów wywodziło się jednak z miast. Im z kolei z dużym trudem przychodziło przedzieranie się przez leśne gęstwiny, w których dodatkowo na ścieżkach nierzadko można było trafić na bombę pułapkę. Tam, gdzie widoczność sięgała zaledwie metra albo dwóch, każdy żołnierz musiał nie spuszczać wzroku z poprzedzającego go kolegi: ci mniej uważni nierzadko gubili drogę i znikali reszcie z oczu. Kompania Walta Boomera straciła kiedyś w ten sposób pewnego żołnierza marines, który mimowolnie oddalił się podczas jednej z akcji: „Musieliśmy przerwać całą operację i go odszukać, zanim trafili na niego ci z Wietnamu Północnego”.

Większość Amerykanów nie potrafiła poruszać się w ciszy. „Najpewniejszym sposobem znalezienia śmierci – napisał Andy Finlayson – było po prostu rozmawianie normalnym głosem (...). Zazwyczaj nie widziało się nawet wtedy swojego wroga, bo ludzki głos działał niczym magnes na kule”[44]. Jednostka żołnierzy piechoty, starających się maszerować szybko, robiła hałas niemal dorównujący czynionemu przez stado słoni, nadeptując na suche liście i gałęzie albo łamiąc zwisające pędy bambusa. Tymczasem w gęsto porośniętym

i nieprzyjaznym terenie rozsądną taktyką było poruszanie się w tempie jednego kroku na pięć–sześć sekund, dziesięciu na minutę, a trzystu na godzinę. Z kolei zapuszczającemu się daleko od bazy patrolowi zwiadowczemu, z konieczności zmuszonemu do obsesyjnej wręcz dbałości o niepozostawanie na widoku, pokonanie zaledwie mili mogło zająć nawet cały dzień, bo równie ważne jak poruszanie się do przodu było zacieranie za sobą śladów. Przedzieranie się przez dżunglę przerywały cogodzinne pogawędki przez radio, w trakcie których operatorzy podawali „posrepy" – to jest raporty pozycyjne – odbierane najpierw na przenośnych radiostacjach PRC-10, a później na nowszych aparatach PRC-25: „Wszystko w porządku. Sytuacja bez zmian". Niemal wszystkie amerykańskie jednostki kontaktowały się drogą radiową zbyt często, nie zważając na mrówczą pracę wykonywaną przez komunistyczne służby monitorujące.

W odróżnieniu od oficerów wspomagających się podczas przemieszczania mapą i kompasem, od szeregowych piechurów wymagano liczenia kroków podczas marszu. Prowadzący oddział – czyli idący w szpicy – nie torował pozostałym drogi, lecz poruszał się z największą ostrożnością, pozostawiając machanie maczetami kolegom idącym z tyłu. W każdej jednostce znajdowała się jakaś niewielka grupka narwańców zawsze gotowych do walki. W plutonie Judda Kinne'a należeli do niej sierżant sztabowy Hayward Riley, znany z tego, że świetnie radził sobie w walce wręcz, i kapral Thompson Flute, Indianin z Oklahomy, który tracił rozum w pobliżu baru z alkoholem w bazie, ale był wprost nieoceniony na polu bitwy[45]. Walt Boomer z kolei zawsze wybierał do wysłania na szpicę „najbardziej uzdolnionego łowcę, takiego z szóstym zmysłem". Reg Edwards, początkowo niechętny prowadzeniu oddziału, zaczął mniej bać się chodzenia na szpicy po tym, jak zorientował się, że na tej pozycji żołnierze w rzeczywistości zwykle mają największe szanse na przeżycie pierwszego kontaktu z nieprzyjacielem – główny atak kierowany jest bowiem na zasadniczą część oddziału, idącą z tyłu[46]. Podczas marszu niezwykle istotne było zachowywanie odpowiednich odstępów między żołnierzami – co najmniej 5 metrów – zwłaszcza na obszarach silnie zaminowanych: w przypadku wejścia na bombę pułapkę zbyt bliskie

rozstawienie ludzi oznaczało zwielokrotnienie strat, zarówno w postaci zabitych, jak i rannych. Ulubionym przez żołnierzy miejscem był środek kolumny, bo tam najrzadziej zaczynała się jakakolwiek akcja. Na końcu oddziału szedł zawsze specjalnie wyznaczony człowiek, który musiał się odznaczać umiejętnościami podobnymi do żołnierza ze szpicy – chronił on tyły kolumny, wypatrując wroga, który mógł równie dobrze spróbować zakraść się od tej właśnie strony.

Tim O'Brien, jeden z najlepszych kronikarzy doświadczeń żołnierzy piechoty, napisał: „Jeśli akurat się nie przemieszczałeś, to czekałeś. Kopałeś kryjówki. Zabijałeś komary. Nad tobą niezmiennie prażyło słońce, a wokół rozciągały się bezkresne, parujące gorącem pola ryżowe. Nawet w głębokiej dżungli, gdzie mogłeś zginąć na tysiąc różnych sposobów, wojna objawiała się na co dzień tylko zwykłą, nieprzerwaną nudą (...). Siedziałeś sobie gdzieś na szczycie jakiegoś wysokiego wzgórza, spoglądając na rozpościerające się w dole płaskie pola ryżowe i tak mijał ci kolejny spokojny, upalny i całkowicie wypełniony pustką dzień, a ty czułeś, jak ta nuda przenika cię całego aż do szpiku kości (...). Próbowałeś się jakoś odprężyć. Rozluźniałeś mięśnie i pozwalałeś swoim myślom ulecieć gdzieś daleko. I przez chwilę wydawało ci się nawet, że nie jest tam aż tak źle. A wtedy docierały do ciebie odgłosy strzelaniny, tuż za twoimi plecami, i czułeś, jak jaja podchodzą ci pod samo gardło, z którego wydobywają się tylko jakieś prosięce pokwikiwania"[47].

Niektóre walki wybuchały wraz z wylądowaniem w gorącej strefie zrzutu, to jest na terenie zajmowanym przez oddziały wroga, który strzelał do żołnierzy piechoty zaraz po tym, jak wyskakiwali oni z helikopterów. Phil Caputo napisał, że tego rodzaju operacja „wywołuje emocjonalną presję o skali nieporównywalnej do emocji związanych z konwencjonalnym natarciem lądowym. Chodzi o ograniczoną przestrzeń, o hałas, o szybkość, a przede wszystkim o poczucie totalnej bezradności. Owszem, za pierwszym razem pojawia się też pewne podniecenie, ale potem staje się to jednym z najbardziej nieprzyjemnych doświadczeń oferowanych przez współczesną wojnę"[48]. Kiedy leciało się na akcję w pierwszym śmigłowcu, podenerwowanie udzielało się wszystkim w środku, ale tak naprawdę to

druga maszyna stawała się najczęściej celem nieprzyjaciela. Bywało też, że i bez jego udziału dochodziło do urazów. Podczas jednej z operacji lądowania Fred Childs siedział w otwartych drzwiach hueya zniżającego się nad ziemię na wysokość metra czy dwóch, kiedy dwóch ludzi po drugiej stronie maszyny wyskoczyło na zewnątrz, wskutek czego helikopter gwałtownie przechylił się na bok, a Childs wypadł na zewnątrz i uderzył się w głowę. Doznał wstrząśnienia mózgu, a z bitwy, która się później rozegrała, właściwie nic nie zapamiętał[49].

Któregoś dnia nieopodal Chu Lai, podczas innej operacji desantowej, pewien potrafiący zachować stoicki spokój czarnoskóry żołnierz nazwiskiem Davis został trafiony zaraz po tym, jak postawił stopy na ziemi, ale zupełnie tym niezrażony bezustannie ostrzeliwał się przed nieprzyjacielem. Traf chciał, że tuż obok niego oberwał również inny żołnierz, Taylor, który jednak od razu upadł na ziemię i zaczął łkać. Davis, nie przerywając strzelania, zaczął z niego bezlitośnie szydzić, domagając się, by zrobił użytek ze swojej broni: „Leżysz tak i płaczesz, bo wiesz, że zaraz umrzesz. Umierasz i wiesz, że umierasz. A skoro tak, to mógłbyś równie dobrze zabrać ze sobą paru z tych żółtków". A kiedy Taylor odkrzyknął z rozpaczą: „Wcale nie umrę!", Davis tylko nasilił swoje szyderstwa: „To po co tak siedzisz i płaczesz, skoro nie zamierzasz umrzeć? Płaczesz, bo jesteś wielką cipą". Szyderstwa podziałały, bo od tej chwili Davis i Taylor ostrzeliwali się razem aż do przybycia pomocy medycznej[50]. Dwudziestodziewięcioletni dowódca kompanii Vince Felletter stracił raz sześciu ludzi, którzy wyskoczyli z trafionego hueya, a zaraz potem zwalił się im na głowy jego wrak. A ponieważ wciąż kręciło się w nim śmigło, na ocalałych spadł nieprzyjemny obowiązek zbierania i sortowania pociętych części ciał. Następnego wieczoru z dowództwa batalionu przysłano im na kolację gorącego indyka – „Sądzę, że pewnie zrobiło im się nas żal". Ten gest szybko jednak poszedł w zapomnienie, bo cała kompania uległa zatruciu pokarmowemu, a 14 ludzi musiano o świcie ewakuować do szpitala z temperaturą przekraczającą 39 stopni Celsjusza. Jak przyznawał sam Felletter: „To było najgorsze, co wydarzyło się za mojego dowództwa"[51].

Podczas poruszania się w terenie zapach potrafił ściągnąć na żołnierzy niebezpieczeństwo równie szybko jak hałas. Obie strony z lubością posługiwały się zwiadowcami, którzy nierzadko dysponowali bardzo wyczulonym powonieniem. Pewien żołnierz AWP nazwiskiem Nga zyskał sobie przydomek „owczarka niemieckiego", ponieważ, jak zapewniał jeden z jego kolegów, „ma legendarnego wręcz nosa. Za każdym razem, kiedy mówi, że «wyczuwa» Amerykanów, zawsze ma rację"[52]. Niektórzy amerykańscy oficerowie, zwłaszcza ci prowadzący patrole zapuszczające się daleko od bazy, zakazywali palenia papierosów, więc żołnierze zamiast tego po prostu żuli tytoń. W tego rodzaju misjach przydawały się też psy zwiadowcze, jednak były one bardzo podatne na odwodnienie: nierzadko zdarzało się, że ich opiekunowie kończyli, niosąc swoich podopiecznych na rękach. Australijscy obrońcy praw zwierząt urządzili demonstrację w Canberze po tym, jak Cassius, jeden z psów zwiadowczych w australijskim kontyngencie, padł z wycieńczenia i przegrzania mimo wysiłków weterynarzy amerykańskiej armii, którzy zanurzali go nawet w lodowych kąpielach[53]. Z kolei w jednostce marines Landena Thorne'a żołnierze kazali swoim wietnamskim zwiadowcom, skautom Kita Carsona, kopać przydzielone do ich plutonu nieszczęsne zwierzęta, „żeby nauczyć je odróżniać dobrych ludzi od złych"[54]. Ale mimo tej wyrafinowanej tresury psom i tak zdarzało się czasem zaszczekać, a tym samym zdradzić pozycję swoich opiekunów.

Nie sposób w pełni oddać napięć i stresów związanych z operacjami zwiadowczymi, podczas których po długich dniach niewygód, zmęczenia, życia w brudzie i ciągłego wypatrywania zagrożeń zawsze mógł nadejść jeszcze gorszy koniec w postaci wejścia w zasadzkę zastawioną przez nieprzyjaciela. Kapitan Julius Johnson powiedział, że w jego ocenie największym wyzwaniem było „utrzymywanie moich ludzi w ciągłej gotowości bojowej, nawet po tygodniu lub dwóch bez żadnego kontaktu z nieprzyjacielem, po to aby ich reakcje nie uległy spowolnieniu i aby byli w stanie natychmiast wyczuć zagrożenie i odpowiedzieć ogniem na ogień"[55]. W jego jednostce żołnierze powtarzali podczas marszu zabawną parafrazę znanego ustępu

z Psalmu 23: „I choćbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo ty jesteś ze mną (...). Twoja artyleria i twoje B-52 są moją pociechą”[56].

W warunkach wszechobecnej wilgoci rdza atakowała zawleczki granatów, puszki z jedzeniem, broń, obwody elektryczne. Najlepszym sposobem na odpędzenie insektów było spryskanie ubrania i butów środkiem odstraszającym owady; cóż kiedy nader często go brakowało. Żołnierze nie dysponowali za to żadną profilaktyką przeciwko pijawkom: niektórzy robili sobie specjalne podwiązki ze stalowych sprężyn, by spodnie jak najściślej przylegały do ciała, ale pasożytom i tak w jakiś sposób udawało się wpełzać pod spód, a zanim poczuło się pierwszy ból, potrafiły zagłębić się głową w skórę na dobre pół centymetra. A co gorsza, można je było usunąć, przy użyciu rozżarzonego papierosa, dopiero podczas wieczornego postoju.

Bomby pułapki najczęściej zauważano na początku dnia, kiedy żołnierze zachowywali jeszcze czujność i świeżość umysłu. Sierżant Mike Sutton brodził po łydki w mokradłach, kiedy przedzierając się przez stertę ściętych gałęzi bambusa, poczuł, że trafia nogą na drut wyzwalacza. Już na całe życie zapamiętał te kilka sekund, kiedy czując oblewające go zimne poty, zaczął powoli cofać nogę... i przeżył[57]. O wiele niebezpieczniej robiło się późnymi popołudniami, kiedy ludzie byli już porządnie zmęczeni wspinaniem się na kolejne wzgórza i brodzeniem przez bagna, a przy tym brudni, głodni i pogryzieni przez robactwo. Rozsądny dowódca zmieniał wtedy żołnierza idącego na szpicy, by zapewnić oddziałowi świeżą parę oczu i uszu. A kiedy w powietrzu rozlegał się rozpaczliwy krzyk: „Padnij!”, oznaczało to, że któryś z żołnierzy, zwykle poniewczasie, zorientował się, że właśnie wszedł na wyzwalacz i reszta oddziału ma natychmiast paść na ziemię. Jeśli zaś chodzi o bardziej klasyczne kontakty bojowe, inicjował je niemal zawsze nieprzyjaciel, zwykle przystępując do ostrzału idącej kolumny albo obrzucając ją granatami – czyli „Chi-Com” – i zabijając jednego albo kilku Amerykanów, zanim zdążyli oni sami odpowiedzieć ogniem. Porucznik Frank Boccia porównał starcie, jakie się później z reguły wywiązywało, do „nieporadnych zapasów w smole z przewiązanymi oczami”. A pewien żołnierz marines napisał: „Choć walcząc i ze zmęczeniem, i z upałem, szybko tracisz siły i popadasz

w otępienie, to wystarczy ledwie jakiś krzyk albo jakiś podejrzany ruch, a już czujesz napływ adrenaliny i z miejsca odzyskujesz czujność. Nagle twój nos i uszy, i oczy działają lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Po prostu dostajesz prawdziwego kopa”[58].

Amerykanie dysponowali przytłaczającą przewagą siły bojowej, ale akurat piechurzy przedzierający się przez nieprzyjazny teren i konfrontujący się w nim z niemal niewidzialnym wrogiem mieli z tego bardzo niewielki pożytek. David Rogers powiedział: „W naszym odczuciu siły były dosyć wyrównane. B-52 nic ci nie pomogą, kiedy wpadasz w zasadzkę w dżungli; ja osobiście nigdy nie miałem wrażenia, że jakoś znacząco nad nimi górujemy. Ich RPG był lepszy niż nasz LAW. A ich AK-47 spisywał się lepiej od naszego M-16”[59]. W sercu każdego oddziału znajdował się jego „wieprz” – to jest karabin maszynowy M-60, stanowiący potężną broń, plującą gęstym i ciągłym ogniem, tyle że ciężki i nieporęczny w niesieniu – ważył 14 kilogramów, łącznie z solidnym pasem, nie licząc ciężaru amunicji, której potrzebował naprawdę sporo. Niektórzy mieli jeszcze przy sobie ręczne granatniki M-79 Thumper, przypominające wyglądem obrzyny i strzelające pociskami kaliber 40 mm. Oprócz tychże M-79 na wyposażeniu były jeszcze rakietnice kaliber 66 mm typu LAW, które stanowiły uzupełnienie i wsparcie dla broni ręcznej. Rogers opowiadał, że podczas starcia „czasami wystrzeliwaliśmy jedną z [rakiet] LAW tylko po to, żeby narobić trochę hałasu” – a dokładniej, by podnieść morale swoich żołnierzy, niezmiennie poprawiające się po usłyszeniu odgłosu wybuchu na pozycjach wroga. Czasami wykorzystywano też granaty gazowe, albo do wykurzenia nieprzyjaciela z uparcie utrzymywanych przezeń pozycji, albo do sprawdzenia, czy nie ma go przypadkiem w jakimś nowo odkrytym systemie tuneli.

Żołnierze uwielbiali ataki własnego lotnictwa i wsparcie ogniowe dział kaliber 105 mm: „Wypowiadając kilka prostych słów do radiostacji, mogłem praktykować magiczną sztukę zniszczenia”[60] – zachwycał się pewien oficer. Artylerzyści odlegli o jakieś 10 kilometrów najpierw zrzucali pocisk dymny, by oznaczyć punkt celowania, a potem czekali na to, aż ich FO towarzyszący plutonowi albo dowódca kompanii podadzą dokładniejsze namiary na cel. Właśnie dlatego żołnierze byli

w stanie wybaczyć swoim oficerom wiele niedociągnięć, ale nigdy nieumiejętne odczytywanie mapy, bo wówczas sami mogli zginąć od wezwanego przez siebie ostrzału. Jeśli zaś chodzi o wsparcie z powietrza, obserwatorzy zawsze kierowali samoloty na kurs biegnący równolegle do linii frontu, ponieważ w razie ataku od tyłu obawiano się, że część śmiercionośnego ładunku spadnie na głowy Amerykanów. Walt Boomer przyznał: „Wszyscy uwielbialiśmy napalm. Nie wiem, jak bardzo był on skuteczny, ale z pewnością działał pozytywnie na nasze morale". Niewiarygodną wprost ilość materiałów wybuchowych zupełnie zmarnowano, zrzucając je nad obszarami, na których w ogóle nikogo nie było. Kiedy Andy Finlayson poprowadził w dżungli zrzucony z helikopterów patrol mający zbadać naocznie rezultat bombardowań dokonanych tuż przedtem przez samoloty B-52, znalazł wprawdzie wielkie zniszczenia, lecz także ślady niedawnego przemarszu wielu ludzi, ale żadnych ofiar, a kałuże krwi pozostawiły najwyraźniej słonie albo bawoły[61].

Podczas wymiany ognia wielu żołnierzy – jeśli tylko miało sprawne karabiny – nie mogło oprzeć się pokusie strzelania na oślep w stronę najbliższej ściany zieleni, nierzadko z przełącznikami ustawionymi na ogień ciągły, określanym przez nich jako *rock-and-roll*. FO Bill Hardwick napisał: „Słaba dyscyplina strzelecka była zjawiskiem powszechnym. Czasami chodziło po prostu o poprawę samopoczucia (...), takie walenie na oślep (...), czysta amatorszczyzna. A wróg prezentował zwykle pod tym względem dużą samodyscyplinę"[62]. Działo się tak po części dlatego, że bojownicy Wietkongu mieli zwykle przy sobie stosunkowo niewiele amunicji, czasami nie więcej niż dwa magazynki, co w przypadku przedłużającej się wymiany ognia mogło dawać Amerykanom czy Wietnamczykom z Południa pewną przewagę. Kapitan Joe Tenney uskarżał się, że wielu ludzi w jego kompanii nawet nie udawało, że próbuje w coś celować: „Raz widziałem wrogiego żołnierza, który przebiegł w poprzek ostrzeliwanej strefy bez najmniejszego draśnięcia, mimo że strzelało do niego dziewięciu naszych"[63].

Jeśli zaś chodzi o nadlatujące kule, to Tim O'Brien opisywał „ten głuchy odgłos trafiającego cię pocisku, uderzającego niczym pięść,

zapierającego ci dech w płucach, sprawiającego, że zaczynasz kaszleć. Przy czym sam odgłos strzału dociera do ciebie znacznie później, gdzieś tak po dziesięciu latach. A wtedy już kręci ci się w głowie, do nosa docierają jakieś nieznane ci wcześniej zapachy twojego ciała, a w głowie kłębią ci się miliony myśli, na przykład, co będziesz mówił albo robił potem. I ten moment, w którym twój wzrok pada na jakiś mały biały kamyczek albo na źdźbło trawy i zaczynasz sobie myśleć: «No tak, to właśnie ostatnia rzecz, jaką oglądam w życiu, t e n kamyczek albo t o źdźbło trawy», a od takich myśli łzy same napływają ci do oczu".

Najbardziej nielubianym określeniem w słowniku każdego żołnierza piechoty było „przyszpilony". W swoim podstawowym sensie oznaczało ono, że dany oddział, pluton czy kompania znalazły się w potrzasku, bo napotkały tak silny ostrzał nieprzyjaciela, że próba dalszego poruszania się byłaby samobójstwem. Żołnierze często rozciągali jednak to tłumaczenie także na inne okoliczności: na przykład danego dnia nikt nie czuł się na siłach, by próbować czegoś bohaterskiego, co mogłoby mu przynieść Medal Honoru; albo wszyscy zgadzali się, że najlepiej będzie się przyczaić i wezwać wsparcie artyleryjskie lub powietrzne. Wszystko to wyjaśnia, dlaczego tak duża część działań wojennych w Wietnamie przebiegała za pośrednictwem radia. Większość wymian ognia była krótka, co nie znaczy mało znacząca: w jednej z takich utarczek, trwającej zaledwie 30 sekund, zginęło albo odniosło rany 15 z 35 żołnierzy marines uczestniczących w patrolu[64]. Często zdarzało się, że garstka bojowników WK nie oszczędzała swojej broni przez dobrych kilka minut, po czym wycofywała się, zanim można było skierować na zajmowane przez nią pozycje wsparcie artyleryjskie. Vince Felletter powiedział: „Oni potrafili znacznie łatwiej od nas zakończyć każdą wymianę ognia".

W leśnej gęstwinie nie bardzo dawało się porozumiewać gestami, a w kakofonii wybuchających granatów, ognia z broni automatycznej i krzyków przerażenia czy bólu nie sposób było dosłyszeć komend wydawanych głosem, wobec czego dowódcom trudno było zachować jakąkolwiek kontrolę nad przebiegiem wydarzeń. Niektórzy oficerowie na szczeblu batalionu kierowali ruchami swoich jednostek z pokładu hueyów latających nad polem walki, ale taka praktyka rzadko podobała

się samym żołnierzom. Kapitan Ken Moorefield zapamiętał, że jego pułkownik i oficer operacyjny krążyli na wysokości jakichś 300 metrów, nad nimi, na wysokości 450 metrów, latał dowódca brygady, a jeszcze wyżej, na 750 metrach nad ziemią, z helikoptera przyglądał się walkom dowódca dywizji „i, jak Boga kocham, uczestniczyłem też pewnego dnia w bitwie, podczas której na wysokości tysiąca metrów znalazł się głównodowodzący wszystkimi wojskami Stanów Zjednoczonych (...). Z punktu widzenia dowolnego żołnierza piechoty, który znajduje się na dole, gdzie w każdej chwili mogą odstrzelić mu tyłek, a ołów wciąż świszczy koło ucha, trudno jest poczuć szacunek czy choćby jakąkolwiek jedność z takimi dowódcami, siedzącymi sobie wygodnie gdzieś wysoko w chmurach, w wykrochmalonych i odprasowanych galowych mundurach”[65].

Dowódcy kompanii wściekali się czasem, kiedy starsi oficerowie próbowali zarządzać najmniejszymi szczegółami toczonych walk. Vince Felletter powiedział: „W rozmowie przez radio wdałem się w lekką pyskówkę z moim dowódcą batalionu, aż wreszcie kazałem mu iść w cholerę i nie zwracać mi głowy, dopóki nie zakończy się trwająca akurat wymiana ognia. Trochę straciłem wtedy panowanie nad sobą (...), a potem miałem z tego powodu jakieś problemy”. To doprawdy uderzające, w jak wielu powieściach i pamiętnikach, wśród których warto wymienić zwłaszcza *Matterhorn* Karla Marlantesa, pojawia się motyw nie tylko braku szacunku dla wyższych szarżą dowódców, ale wręcz otwartej pogardy, a nawet nienawiści w stosunku do nich.

Po nawiązaniu kontaktu z nieprzyjacielem zdarzyć się mogło dosłownie wszystko: strzelcy w plutonie Charliego Shyaba posłali raz kilka serii nad głowami grupki własnych żołnierzy czających się gdzieś z tyłu, takich, „którzy po prostu nie mieli na to [walkę] ochoty”[66]. Tego rodzaju ludzi spotkać można było w każdym plutonie. Sam Shyab dowiedział się, że trafił do swojej jednostki na miejsce pewnego lekarza, który odmówił dalszego uczestnictwa w misjach polowych, wobec czego znaleziono mu jakieś stanowisko w bazie. A kiedy kompania wpadła w tarapaty na górze Chu Moor, ocalali z walki żołnierze z niedowierzaniem przekonali się, że ich sierżant, który wydawał się porządnym facetem, „po prostu wpadł w szok. A potem wystawił nas do

wiatru”[67]. Po raz ostatni widziano go, kiedy wynosił na tyły jednego z rannych żołnierzy, a potem zniknął na zawsze.

Wszyscy żołnierze mówili do swojego ratownika „doktorku”, bo w przypadku odniesienia przez nich ran stanowił on ich jedyną szansę na dotrwanie do przybycia pomocy medycznej, a zatem był w praktyce lekarzem, którego umiejętności mogły zdecydować o tym, czy ktoś przeżyje, czy nie. Podczas misji zwiadowczych David Rogers zabierał ze sobą apteczkę, którą nosił w torbie po materiałach wybuchowych C4: znajdowały się w niej tabletki soli trzeźwiących, bandaże, morfina, dwie puszki z białkiem, dożylna kroplówka i granaty sygnalizacyjne do wezwania helikopterów medycznych. Podczas normalnej służby na polu walki zestaw ten uzupełniała jeszcze torba po magazynkach do AK-47 wypełniona ampułkami morfiny, a także dodatkowa apteczka. Rogers zawsze również nosił przy sobie nożyczki przyczepione do kółka przy pasie. Jak opowiadał: „Większość ran miała niewielki otwór wlotowy i znacznie większy drugi, wylotowy. Raz zupełnie nie wiedziałem, co zrobić z pewnym gościem, u którego za nic nie mogłem znaleźć żadnej otwartej rany: jakieś odłamki szrapnela musiały przedostać mu się do środka. Kiedy wkładaliśmy go do helikoptera, jeszcze żył, ale do Cu Chi dotarł już martwy”. Fred Hillyard, dwudziestoszścioletni absolwent West Point, odnosił wrażenie, że zbyt często ataki traciły cały impet, bo priorytetowo traktowano konieczność ewakuacji rannych, która natychmiast znikała zawsze wtedy, gdy tacy ludzie umierali, nie doczekawszy transportu. Jak mówił: „Emocjonalne przywiązanie, jakie okazujemy rannemu towarzyszowi broni, zmienia się diametralnie w chwili, gdy jego status staje się KIA. Światełko tlące się w każdym człowieku jest dla nas tak ważne, że dopiero wówczas, gdy ono zgaśnie, nasza postawa emocjonalna zaczyna być zupełnie inna (...). Potem zabity staje się już tylko problemem logistycznym”[68]. Jim Williams stwierdził z kolei, że kiedy żołnierze przerywali atak, by wynieść na tyły rannego, „robili tak częściowo z chęci wydostania się samemu spod ostrzału, a to nas zabijało – i to dosłownie – ponieważ kiedy traci się przewagę w starciu, oznacza to, że zyskuje ją nieprzyjaciel, i wtedy zostajesz przyszpilony”[69]. On sam powtarzał swojej kompanii: „Nie

obchodzi mnie, kto właśnie oberwał; nawet gdyby była to wasza matka, macie ją tam zostawić i kontynuować natarcie!".

Kiedy pewien komunistyczny oficer wyrażał się sceptycznie o amerykańskich żołnierzach, przywołał powody, które można uznać za zgoła oczywiste: „Zabierali ze sobą zbyt wiele luksusów, więc byli za ciężcy, za powolni. Już z daleka widzieliśmy, że zbliżają się w naszą stronę"[70]. Nie oznacza to wcale, że żołnierze AWP zawsze przewyższali swoich przeciwników w zachowaniu na polu walki. Bywało, że Amerykanie dowiadywali się o urządzonej na nich zasadzce dzięki tym samym odgłosom, którymi zdarzało im się czasem zdradzać swoją pozycję nieprzyjacielowi – a więc szczękaniu metalu o metal, pobrzękującej menażce czy nieostrożnym pogawędkom. Pewnego razu, podczas wymiany ognia, w której Amerykanom nie szło początkowo zbyt dobrze, ich morale uległo natychmiastowej poprawie, kiedy jeden z żołnierzy zaczął droczyć się z komunistami. Andy Finlayson relacjonował: „Wkrótce już wszyscy zaczęliśmy się śmiać i krzyczeć do nich, żeby do nas przyszli, jeśli chcą się bić (...). Sam już nie wiem, czy to z powodu ciężkiego ostrzału, jaki im zafundowaliśmy, czy ze względu na ten śmiech, a może przez granaty, ale to właśnie nieprzyjaciel zszedł nam z drogi"[71].

Po zakończeniu walki, w której poniesiono jakieś straty, żołnierze starali się zebrać razem, by odmówić krótką modlitwę nad ciałami poległych towarzyszy broni, choć praktykę tę trzeba było zarzucić po tym, jak liczba zabitych znacząco wzrosła. Szeroko rozpowszechniona była też inna, znacznie już mniej przyjemna praktyka, a mianowicie okaleczanie ciał martwych wrogów. Szczególnie niesmaczny, a przy tym hańbiący dla mediów, był pewien epizod z października 1967: jeden z kamerzystów stacji CBS wręczył wówczas jakiemuś żołnierzowi nóż i poprosił go o odcięcie ucha martwemu komuniście, ku uciesze i satysfakcji telewidzów. Co gorsza, zarówno ów kamerzysta, jak i jego reporter woleli uciec z kraju niż zeznawać na korzyść pogrążonego przez nich żołnierza podczas jego późniejszego procesu przed sądem wojennym. Tak czy inaczej, dość powszechnie wiedziano, że żołnierze lubią brać sobie tego rodzaju pamiątki. Pewnego dnia oficer medyczny w batalionie Walta Boomera poprosił swojego kapitana na stronę, po

czym wyjawił mu, że jego ludzie kolekcjonują uszy wrogów. Tego wieczora Boomer zebrał wokół siebie całą kompanię, kazał wszystkim usiąść i powiedział: „Jeśli zrobicie to jeszcze raz, zabiję was. Co powiedziałyby na to wasze matki?". W jego odczuciu tylko twarde przywództwo mogło przeciwdziałać tego rodzaju ekscesom: „Zaczyna się od obcinania uszu, ale stąd już prosta droga do popełniania naprawdę strasznych okrucieństw. To, co zdarzyło się w My Lai, było możliwe właśnie dlatego, że zawiedli oficerowie". Po tej reprymendzie część ludzi, zamiast obcinać wrogom uszy, zaczęła zadowalać się pozostawianiem na ich trupach kart z asem pikowym.

John McNamara pisał do domu, że przeraża go to, jak często w luźnych rozmowach między żołnierzami pojawia się przekonanie o konieczności stosowania terrorystycznej taktyki w odpowiedzi na terror stosowany przez wroga: „Jeszcze kilka lat temu był to zaledwie margines. Ale jeśli rzeczywiście kierownictwo [wojskowe USA] postanowi kiedyś pójść tą drogą – dobry Boże! Nawet całkiem porządni ludzie zaczynają okazywać sfrustrowanie (...). Strzeżcie się gniewu centurionów"[72]. Tymczasem służący w 1. Dywizji Kawalerii Powietrznej Don Graham poczuł „prawdziwą dumę"[73], kiedy jeden z pułkowników odwołał z pola walki dowódcę kompanii, którego ludzie bezmyślnie palili domy cywilów.

Mimo że praktyki religijne nie były specjalnie popularne – na msze uczęszczał regularnie zaledwie jeden na pięciu żołnierzy, a dwie trzecie nie pojawiło się tam nigdy – większość i tak często się modliła. Podczas prowadzonej we wrześniu 1967 roku operacji „Swift" kapelan Vincent Capodanno pocieszał jednego z rannych słowami: „Spokojnie, żołnierzu. Już niedługo ktoś przyjdzie ci z pomocą. Dzisiaj wszystkim nam towarzyszy Bóg". Człowiek ten wyznał później, że właśnie dzięki obecności księdza Capodanno był w stanie odnaleźć w sobie poczucie wewnętrznego wyciszenia. Kapelan, który zginął niedługo później, otrzymał pośmiertnie Medal Honoru, a przez Kościół katolicki ogłoszony został Sługą Bożym. Sam fakt, że Capodanno starał się być jak najbliżej walczących żołnierzy, zjednywał mu ich powszechny szacunek i zaufanie, choć niektórzy jego koledzy zabiegali o nie zbyt mocno. James May zapamiętał, jak kapelan w jego jednostce, starając

się wzbudzić poczucie braterstwa broni z walczącymi, z lubością powtarzał różne obsceniczne inwokacje, w rodzaju: „Dobry Boże, spraw, by nasze bomby spadły prosto na głowy tych małych żółtych skurwysynów”[74]. Z kolei jeszcze inny kapelan uwielbiał fotografować się z karabinem i granatami, a kolejny z chęcią podejmował się latania helikopterem w charakterze strzelca siedzącego w otwartych drzwiach.

Jednostka pozostająca w marszu zazwyczaj późnym popołudniem rozglądała się za odpowiednim miejscem na postój, najlepiej na jakimś wzniesieniu zapewniającym widok na okolicę. Pod koniec dnia żołnierze pokryci byli warstwą czerwonawego brudu zmieszanego z potem, mocno zaschniętą w palącym słońcu, wobec czego, jeśli tylko w pobliżu przepływała jakaś rzeka, wszyscy z ulgą wskakiwali do wody, by zmyć z siebie ten pot i kurz, a czasem nawet zeskrobać go przy użyciu rzecznego piasku. Walt Boomer zmuszał swoich ludzi do golenia się – „Wprawdzie chciałem, by myśleli i działali jak dzikie zwierzęta, ale nie chciałem, żeby w końcu się nimi stali”. Niewielu oficerów miało jednak odwagę wprowadzać taką dyscyplinę, zwłaszcza w miarę jak wojna przedłużała się i coraz mocniej dawała wszystkim w kość.

W większości przypadków każdy wieczór przynosił także jeszcze jeden przykry obowiązek – okopywanie się. Wszyscy żołnierze nienawidzili tej czynności, choć przecież często mogła ona zdecydować o tym, czy przeżyją do rana. Sprawne jednostki drążyły kryjówki mogące pomieścić po dwóch ludzi, głębokie na jakiś metr, głośno przeklinając kamienie i korzenie, pojawiające się pod płytką nawierzchnią z czerwonawej gliny. Kiedy nadszedł deszcz, co zdarzało się naprawdę często, przybierał on zwykle rozmiary biblijnej ulewy, zalewając wykopane kryjówki, bez trudu przedzierając się przez dachy sklecone naprędce z wojskowych peleryn i wywołując w obozie swoistą rywalizację o najbardziej dosadne przekleństwo. Po zakończeniu kopania można było przystąpić do upichcenia jakiejś kolacji, zwykle na zaimprowizowanej kuchence, zrobionej z podziurawionej w wielu miejscach puszki po racji żywnościowej, wypełnionej niewielkimi kawałkami materiału wybuchowego C4, który sycząc, wydzielał przez otwory gorące białe płomienie. Nie obywało się bez handlowania jedzeniem i targów o to, co się komu należy: każdy chciał dostać owoce

z puszki i ciasto, a nikt – poza Waltem Boomerem – nie palił się zbytnio do szynki i fasoli. Większość walczących od zwykłych konserw wolała specjalne pakiety zwiadowcze LRRP, tyle że żołnierzom piechoty przydzielano je raczej rzadko. Niektórym nie wystarczało to, co znajdowali w puszkach, i próbowali bawić się w polowych kucharzy, na przykład oddzielali ziemniaki w konserwie wypełnionej mięsno-ziemniaczaną papką, po czym mieszali je z zamiennikiem śmietany w proszku, a mięso podgrzewali wraz z sosem w wojskowej menażce. Inni z kolei zaparzali sproszkowaną kawę albo kakao, rozpuszczali ser, który następnie rozsmarowywali na krakersach, albo przygotowywali shaki z listków estragonu czy czipsy z cebuli[75].

Amerykański patrol w Wietnamie, 1966 rok

Po dwóch tygodniach w drodze wszystko i tak zaczynało smakować tak samo, nie mówiąc już o tym, że czasami szczęściem był już sam fakt otrzymania jakiegokolwiek posiłku: jeśli pogoda się załamywała,

planowaną kolejną dostawę zaopatrzenia – wraz z pocztą, a czasami nawet i piwem – przekładano na później. Większość jednostek raz na jakiś czas miała okazję przekonać się, co to głód, choć rzecz jasna nigdy w takiej skali jak ich nieprzyjaciele. Ale znacznie gorszą tragedią, która mogła przytrafić się w terenie, było wyczerpanie się baterii w radiostacji, co stanowiło szczególnie duże ryzyko dla patroli zwiadowczych zapuszczających się daleko od bazy. Jeśli bowiem zrywała się komunikacja, skutkowało to niemożliwością ściągnięcia zaopatrzenia, wsparcia, pomocy medycznej czy helikopterów ewakuacyjnych, a zatem przesądzało o szansach przeżycia. Prawie wszyscy palili papierosy, które dostarczano wraz z racjami żywnościowymi; w transportach pojawiały się też słodycze, żyletki do golenia, pasta i szczoteczki do zębów, papier listowy i ołówki. Ważną rolę grały tabletki: żołnierze ssali pastylki soli, łykali wodę ze środkiem Halazone, który nadawał jej smak jodyny, a na częste dolegliwości żołądkowe brali cztery razy dziennie po dwie tabletki przeczyszczające. Codziennie obowiązkowo należało też połknąć pigułkę przeciw malarii – pod czujnym okiem ratownika medycznego, bo niektórzy z chęcią dostaliby gorączki, byle tylko móc wydostać się z dżungli. W latach 1967–1968, choć dało się już wówczas zauważyć wzrost nadużywania narkotyków, zjawisko to ograniczało się przede wszystkim do tyłów, bo na polu walki oficerowie i podoficerowie wciąż dysponowali wystarczająco dużym autorytetem, by powstrzymywać swoich ludzi przed braniem takich substancji.

Wieczorami, leżąc w hamakach albo rozciągnięci na „materacach” z kartonów po puszkach żywnościowych, żołnierze mieli wreszcie czas na krótki relaks. Niektórzy czytali mocno sfatygowane książki. Andy Finlayson podczas wszystkich PO – patroli obserwacyjnych – z daleka od bazy łapczywie pochłaniał każdą lekturę, jaka wpadła mu w ręce. Nie gardził historią, politologią, antropologią, Conradem, Hardym, Hemingwayem, Updikiem, a nawet klasyczną japońską opowieścią *Genji monogatari*[76]. Znacznie bardziej popularne były jednak komiksy. Z braku innych lektur Harold Bryan zmuszał się czasem do czytania Biblii, którą przysłała mu jego matka – „zwłaszcza kiedy nie mogłem znaleźć żadnych «Playboyów»”[77]. Ci, którzy nie chcieli albo nie mogli

czytać, zaczynali wieczorne rozmowy. David Rogers wspominał: „Myślało się wtedy o domu – «Co też oni mogą teraz robić?». Miałem też przyjaciela, sierżanta, który uwielbiał różne gry słowne. Dużo razem przeszliśmy i byliśmy ze sobą bardzo blisko". Prędzej czy później każda rozmowa schodziła na uniwersalny temat, obsesyjnie wręcz powracający w umysłach żołnierzy: DEROS – to jest szacowaną datę zakończenia okresu służby, którą każdy z nich miał głęboko wyrytą w pamięci i w sercu, zwłaszcza kiedy stawał się „krótki". W 101. Dywizji Powietrznodesantowej żołnierze śpiewali nieoficjalny „hymn" zatytułowany *Boonierat song* (*Piosenka szczurów z zadupia*), którego słowa brzmiały: „Trafiłem do tego kraju / By spędzić tu cały rok / Za kumpla mam karabin / I modlę się, by jakoś przeżyć". Niektórzy zabierali ze sobą w drogę „laski krótkich" – starannie rzeźbione kawałki drewna, którymi wspomagali się przy chodzeniu; inni woleli nosić kalendarze albo podobne do nich, samodzielnie robione dzieła sztuki, na których odznaczali kolejne mijające dni. Niepisana reguła głosiła, że nowo przybyli nie powinni pytać starego wygi o to, jak długo już służy, zanim on sam nie uzna za stosowne podzielić się z nimi tą informacją.

John Del Vecchio napisał: „Dla wielu żołnierzy Wietnam kojarzył się z rozpaczą, depresją, doliną ciemności. Większość takich skojarzeń miała niewiele wspólnego z AWP, ani nawet z dżunglą (...), wiązały się [one] z faktem rozłąki z żonami, rodzinami i przyjaciółmi, a także z całkowitą utratą kontroli nad swoim życiem"[78]. Niektórzy pisali listy, inni nagrywali swoje przemyślenia na kasetach magnetofonowych. Spośród tych ostatnich część dość bezmyślnie rejestrowała też rozmaite odgłosy królujące w ich aktualnym życiu: wystrzały z moździerzy czy dział kaliber 105 mm. Takie taśmy faktycznie dawały bliskim w ojczyźnie pewne pojęcie o tym, co działo się z ich synem czy mężem w Wietnamie, ale jednocześnie przepełniały tych bezradnych ludzi dodatkowym przerażeniem. Byli też tacy, którzy w czasie wolnym najbardziej lubili się wygłupiać. Tim O'Brien napisał: „Średnia wieku w naszym plutonie wynosiła dziewiętnaście albo dwadzieścia lat, a w konsekwencji sprawy często nabierały zabawnego kolorytu, niczym podczas zawodów sportowych w jakiejś egzotycznej szkole. Choć rywalizacja mogła iść na poważnie, to wszystko odbywało się w radosnej

atmosferze, przy mnóstwie praktycznych żartów i wygłupów”[79]. Niestety, niektórzy z tych młodych ludzi, czy to bezwiednie, czy z powodu braku wyobraźni, przenosili te wygłupy również na pole walki – i płacili za to wysoką cenę. Pewien chłopak, który „zawsze lubił się wydurniać”, pewnego dnia tak się w tym zapamiętał, że wyszedł poza zabezpieczony teren, gdzie trafił na minę i stracił nogę.

W godzinach nocnych większość żołnierzy musiała przerywać swój sen, by stanąć na warcie albo – jeśli nie dopisało im szczęście – wyjść na patrol, podczas którego posuwali się z najwyższą ostrożnością z obawy przed nadepnięciem na coś niebezpiecznego, potknięciem się o wystający korzeń czy upadkiem z grobli na pole ryżowe. Wszyscy nienawidzili nocnych patroli, dobrze wiedząc, że ich umiejętności bezszelestnego poruszania się w ciemnościach były co najmniej niedoskonałe, zwłaszcza w porze suchej, kiedy każdy patyk czy liść trzaskał albo szeleścił pod stopami nawet najbardziej wprawionych zwiadowców. W ciemnościach komuniści mogli swobodnie przemieszczać się do wiosek i osad, wiedząc, że niemal na pewno nie zastaną tam żołnierzy amerykańskich czy południowowietnamskich. Walt Boomer podsumował to krótko: „W nocy my nie istnieliśmy, był tylko Wietkong”.

Najczęściej jednak dowódcy zadowalali się jedynie przygotowaniem zasadzek w odległości od stu do tysiąca metrów od obozu. Sierżant Jerry Ledoux powiedział: „Ja na warcie zawsze zachowywałem czujność i szokowało mnie, kiedy widziałem, jak inni smacznie chrapią, choć powinni dbać o bezpieczeństwo pozostałych. Niektórzy chyba nie zdawali sobie sprawy z tego, że to nie jest jakaś gra, ale sprawa życia i śmierci”[80]. Zgadzał się z tym kapitan Joe Tenney: „Zbyt wielu ludzi spało na warcie, a ich oficerowie czy podoficerowie wcale ich nie kontrolowali”[81]. Ale nawet jeśli ludzie wyznaczeni do oddziału czuwającego w zasadzce nie ulegli pokusie zaśnięcia, problem pojawiał się wówczas, gdy nieprzyjaciel nadchodził w dużej sile: strzelać czy może lepiej siedzieć cicho? Wayne Miller na warcie potrafił czasem tak bardzo zmarznąć, zmoknąć i wpaść w czarną rozpacz, że celowo oddawał pod siebie mocz, częściowo po to, by choć na chwilę poczuć od spodu ciepło, a częściowo dlatego, że pójście „na stron” wiązało się

z dużym niebezpieczeństwem – niejeden żołnierz zginął w ten sposób od kuli zbyt nerwowych kolegów. Podczas kilkunastu kontaktów z nieprzyjacielem, jakich Miller doświadczył w trakcie ośmiu miesięcy spędzonych w terenie, nigdy nie wiedział na pewno, czy któryś z oddanych przezeń strzałów w ogóle kogoś trafił. Aż wreszcie, pewnej nocy, kiedy siedział w zasadzce z miną Claymore pod ręką, tuż obok niego przeszło trzech żołnierzy nieprzyjaciela. Wcześniej poinstruowano go, by nie robił nic, zanim nie usłyszy pierwszych strzałów. A kiedy wreszcie takie padły, Wietnamczycy zaczęli rzecz jasna wycofywać się po swoich śladach i już po chwili ponownie pojawili się tuż obok kryjówki Millera. A wtedy on zwolnił wyzwalacz miny Claymore i już po chwili z mieszaniną przerażenia i fascynacji przyglądał się, jak trzy ludzkie ciała dosłownie znikają na jego oczach[82].

W roku 1967 dowodzący kompanią Walt Boomer wyznał: „Zdałem sobie sprawę z tego, że zacząłem być skutecznym dowódcą dopiero po kilku miesiącach. A kiedy wreszcie to się stało, przyszedł koniec mojej służby". W ostatnich jej tygodniach, które upłynęły w pobliżu DMZ, „nasza misja polegała na wyszukiwaniu Wietnamczyków z Północy. To oznaczało trudny do wytrzymania tryb życia. Byliśmy w ciągłym ruchu – raz pozostawaliśmy poza bazą przez czterdzieści pięć dni, bez możliwości umycia się pod prysznicem. Żyliśmy jak zwierzęta – a większych sukcesów i tak nie odnieśliśmy. Wróg zwykle i tak sam nas znajdował wtedy, kiedy było to dla niego wygodne. A kiedy raz na jakiś czas nam udało się trafić na żołnierzy północnowietnamskich, oni i tak dobrze wiedzieli, że w razie bezpośredniego spotkania z nami skończy się ono ich śmiercią. A my nie rozumieliśmy, że niezależnie od tego, ilu ich zabijemy, i tak będzie to zawsze zbyt mało".

4. BROŃ

W bezpośrednich starciach w terenie przewaga amerykańskiej artylerii nie miała większego znaczenia. Tam liczyła się broń będąca na wyposażeniu żołnierzy piechoty i ona też doprowadziła do swoistego

spadku pewności siebie w armii Westmorelanda. Najbardziej technologicznie zaawansowane państwo świata wyposażało bowiem swoich żołnierzy w broń gorszą od tej, jaką posługiwała się większość bojowników Hanoi. Stwierdzenie to należy uściślić: jeśli chodzi o zasięg, karabin amerykański spisywał się o wiele lepiej. Problemem były jednak warunki terenowe. A nieocenioną zaletą używanego przez komunistów AK była jego prostota i niezawodność, pozwalająca wręczyć go każdemu słabo przeszkolonemu wieśniakowi, który mógł następnie prowadzić nim automatyczny ostrzał nawet po zabrudzeniu karabinu piachem czy błotem albo zalaniu go wodą, a więc wystawieniu go na warunki, w których większość M-16 odmawiała dalszego działania.

Karabin AK-47 – liczba w nazwie pochodzi od roku wyprodukowania jego prototypu – został opracowany przez grupę rosyjskich projektantów pod kierownictwem sierżanta Michaiła Kałasznikowa, weterana wojsk pancernych Armii Czerwonej, który po odniesieniu w roku 1941 ran uniemożliwiających mu dalszą walkę został przekwalifikowany na specjalistę od ręcznej broni palnej. U podstaw tego modelu legł nabój pośredni o wymiarach 7,62 x 39 milimetrów, opracowany przez Niemców do osiągania średnich odległości – od 50 do 200 metrów. Mając już taki stosunkowo lekki nabój, Kałasznikow i jego współpracownicy skupili się na skonstruowaniu możliwie prostego karabinu, którego mechanizm spustowy wykazywał pewne pokrewieństwa z amerykańskim M-1. Jego niewiarygodna trwałość i niezawodność były wynikiem zastosowania jedynie ośmiu dużych i ciężkich części ruchomych, w dodatku spasowanych na tyle luźno, że niestraszne im były drobiny piasku i brudu. Trwałość tej broni podniosło też zastosowanie chromowania przewodu lufy, komory gazowej i iglicy. Jej jedynymi wadami były: tendencja do lekkiego znoszenia na lewo i nieprzyjemny odgłos wydawany przy zmianie magazynka.

Nieprecyzyjność AK-47 nie miała większego znaczenia: partyzanci i tak używali go do prowadzenia zmasowanego ostrzału, zwykle w trybie samopowtarzalnym albo też krótkimi seriami. Począwszy od roku 1947, w fabrykach całego świata komunistycznego

wyprodukowano blisko 100 milionów sztuk tej broni. Kałasznikow okazał się najpopularniejszą bronią palną w dziejach, łatwo rozpoznawalną dzięki charakterystycznemu, łukowatemu kształtowi magazynka i chętnie wybieraną przez rewolucjonistów na całym świecie, od Angoli aż po Filipiny. A w roku 1963 Chińczycy zaczęli zaopatrywać Wietnam Północny w produkowany przez siebie wariant tego karabinu o nazwie Typ-56, który miał się przyczynić do śmierci albo okaleczenia większej liczby żołnierzy amerykańskich i południowowietnamskich niż jakakolwiek inna broń stosowana w tej wojnie.

W czasach wojny koreańskiej armia amerykańska patrzyła na AK z pogardą, traktując go ledwie jak zwykły pistolet maszynowy. Pentagon odrzucił wysuniętą w roku 1953 przez Brytyjczyków propozycję, by wyposażyć jednostki NATO w podobną lekką broń szturmową kaliber 0,280, wybierając zamiast tego własny klasyczny karabin samopowtarzalny M-14, długi na ponad metr i ważący prawie 5 kilogramów. W październiku 1962 roku McNamara napisał jednak do sekretarza wojskowego Cyrusa Vance'a: „Widziałem pewne dowody (...), które zdają się świadczyć o tym, że karabin M-14, w który uzbrajamy nasze wojska, dysponuje zdecydowanie niższą siłą rażenia i skutecznością bojową od karabinu szturmowego, w który Sowieci wyposażają żołnierzy swoich i swoich sił satelickich na całym świecie już od roku 1950"[83].

Tyle że armia nie miała na półkach żadnej broni, która mogłaby stanowić dobrą odpowiedź na sygnalizowaną przez amerykańskich żołnierzy potrzebę dysponowania lżejszym i poręczniejszym karabinem. Zwrócono się zatem do Colta, wytwórcy małokalibrowego karabinu oznaczonego jako AR-15 czy też ArmaLite. Jego prototyp stworzył w swoim warsztacie zlokalizowanym w hollywoodzkim garażu George Sullivan, inżynier aeronautyki pracujący dla firmy Lockheed, prywatnie zafascynowany ręczną bronią palną. Sullivan namówił do współpracy Eugene'a Stonera, byłego żołnierza marines, mającego doświadczenie w pracy z materiałami wybuchowymi, a ten zebrał wokół siebie grupę projektantów. Tę niewielką firmę wkrótce przejęła kompania Fairchild Aviation; wytwarzała ona już wtedy kilka typów

broni, która nigdy nie weszła do masowej produkcji, ale za to wzbudziła zainteresowanie sił zbrojnych. Model AR-15 opracowany przez Stonera wyewoluował w poręczną broń kaliber 5,56 mm, o wadze 2,8 kilograma (z pustym magazynkiem), długości 99 centymetrów, wykończoną czarnym plastikiem. A w roku 1959 Fairchild sprzedał ArmaLite korporacji Colt, która zaczęła intensywnie promować model AR-15, wytwarzany w jej zakładach w Hartford w stanie Connecticut.

Pierwsze próby w terenie, przeprowadzane w Wietnamie, wzbudziły spory entuzjazm, zwłaszcza jeśli chodzi o celność i lekkość tej broni, ale pojawiły się też zastrzeżenia, że z powodu swojej wysokiej prędkości kule wystrzeliwane z karabinu ArmaLite mogą rozpryskiwać się w chwili uderzenia w cel, doprowadzając do efektu takiego jak dum-dum zakazane przez prawo międzynarodowe. Oprócz tego prowadzono też tajne i dość makabryczne eksperymenty na wojskowym poligonie w Aberdeen w stanie Maryland na żywych kozach rasy angora oraz obciętych ludzkich głowach i kończynach importowanych z Indii. Zakończyły się one nader pozytywną konkluzją, że AR-15 potrafi wyrządzić więcej szkód w czaszce niż AK-47 czy M-14. W styczniu 1963 roku Earle Wheeler raportował, że ten nowy karabin w oczywisty sposób przewyższał kałasznikowa. Przyznawał wprawdzie, że istnieją pewne zastrzeżenia dotyczące jego niezawodności, ale jednocześnie zapewniał, że da się je „stosunkowo szybko skorygować”[84]. W grudniu Pentagon złożył pierwsze wielkie zamówienie na 104 tysiące karabinów, przemianowanych teraz na M-16, mimo że wciąż nie do końca wyjaśniono kwestię ich trwałości, a na przykład marines skłaniali się raczej ku innemu modelowi wytwarzanemu przez tego samego producenta, to jest ku Stonerowi 63.

W roku 1965 karabin M-16 wciąż intensywnie testowano w terenie, z dość mieszanymi wynikami. Kiedy jednak podpułkownik Hal Moore uznał ten model za świetną broń po tym, jak 1. Batalion 7. Pułku Kawalerii Powietrznej zastosował go w bitwie o dolinę Ia Drang, przekonało to Westmorelanda do wyrażenia o nim pozytywnej opinii. Tymczasem Colt prowadził intensywny lobbing na Kapitolu, wykorzystując doniesienia mediów o tym, że żołnierze w polu znajdują się na straconej pozycji, gdy muszą odpowiadać na ogień z AK-47

ostrzałem z przestarzałych M-14. Wpływowy senator Richard Russell zadzwonił 7 grudnia do McNamary i stwierdził lakonicznie: „Albo natychmiast kupujecie 100 tysięcy karabinów, albo puszczam ten raport do prasy". Kontrakt rzeczywiście podpisano. A Colt, który jeszcze w roku 1963 zanotował finansową stratę, dzięki M-16 miał przeżyć okres prawdziwej prosperity: ta nowa broń miała się ostatecznie sprzedać w 8 milionach egzemplarzy.

Na polu walki szybko ujawniły się jednak poważne wady tego karabinu. Armia od początku upierała się przy tym, by nowa broń miała możliwie daleki zasięg strzału, wykazując skuteczność do około 500 metrów, co oznaczało olbrzymie napięcia materiałowe w częściach składowych tej lekkiej broni automatycznej wskutek użycia wysokoenergetycznego gatunku prochu do elaboracji amunicji, powodującej między innymi szybką erozję przewodu lufy. Test M-16 przeprowadzony przez redakcję pisma „Shooting Times", biblii każdego entuzjasty broni palnej dostępnej cywilom, wykazał powtarzające się przypadki wadliwego działania tej broni. W opublikowanym raporcie zaznaczono, że wady te zostaną zapewne wyeliminowane przed udostępnieniem karabinu wojsku, do czego jednak nie doszło. Historyk uzbrojenia C.J. Chivers napisał: „Na dobrą sprawę armia i Colt wprowadzili prototyp do masowej produkcji, a wszelkie poprawki nanosili dopiero po tym, jak zaczął on zawodzić w rękach żołnierzy"[85].

Przez cały rok 1966 żołnierze walczący w Wietnamie zmagali się z nawracającymi problemami dotyczącymi ich nowych karabinów, które ulegały szybkiej korozji w tropikalnych warunkach pogodowych. Po oddaniu strzału nierzadko zdarzało się, że łuska nabojowa blokowała się w komorze. Można ją było wtedy usunąć, jedynie przepychając lufę podłużnym prętem – jeśli akurat żołnierz miał takowy pod ręką – przy czym czasem trzeba to było robić pod ostrzałem nieprzyjaciela. Ponadto odczuwano ciągłe braki zestawów do czyszczenia, wobec czego wielu żołnierzy wykorzystywało rozmaite materiały, od kabli telefonicznych po nylonowe sznurki, by sporządzić domowej roboty wyciory. Inni pisali do domu z prośbą o zakup i przesłanie standardowych wyciorów[86].

Spośród 2 tysięcy egzemplarzy M-16 poddanych przez rusznikarzy testom na wczesnym etapie produkcji w aż 384 wykryto jakieś wady i niedociągnięcia. I właśnie tutaj szukać należy podstaw prawdziwego skandalu związanego z tym karabinem. Armia amerykańska od samego początku zdawała sobie bowiem sprawę z rozmiarów perturbacji, od początku wiedziała też, że wyposaża swoich żołnierzy piechoty w broń nienadającą się do walki na śmierć i życie. Przez długie miesiące fakt ten skrzętnie jednak ukrywano. O „problemy z zacinaniem się" obwiniano samych żołnierzy, którzy mieli ponoć nie dość starannie czyścić swoje karabiny. Na czele kampanii zmierzającej do ukrywania wad M-16, przede wszystkim przed Kongresem, stanął pułkownik Richard Hallocks z wojskowej Advanced Research Development Agency (Agencji Zaawansowanych Badań i Rozwoju). Nadawał on każdemu memorandum Agencji dotyczącemu tego karabinu status „TAJNE. NIE ROZPOWSZECHNIAĆ". Wdrożono procedurę instytucjonalnego tuszowania faktów, byle tylko zapewnić nieprzerwane zakupy i dystrybucję M-16. W lutym 1967 roku broń ta zaczęła trafiać do żołnierzy marines walczących w Wietnamie. A kiedy szybko pojawiły się pierwsze skargi na jej częste zacinanie się, winę ponownie zrzucono na nieumiejętne obchodzenie się z nią użytkowników. Podczas konferencji prasowej w Da Nang generał dywizji Lew Walt oficjalnie ogłosił, że jego ludzie są „w stu procentach przekonani" do swojego nowego karabinu. A MACV rozesłała do swoich oficerów prasowych wytyczne, by nie wspominali słowem o jakimkolwiek wadliwym działaniu M-16.

Nie mogło to rzecz jasna powstrzymać wkurzonych żołnierzy, w tym również żołnierzy marines, przed wylewaniem swoich frustracji w listach do domu. A 26 marca 1967 roku w waszyngtońskim „Daily News" ukazał się artykuł, w którym stwierdzano wyraźnie, że w wojsku narasta przekonanie o wyższości starych karabinów używanych przez komunistów nad nową bronią oddaną właśnie do użytku Amerykanom. Wkrótce potem do mediów zaczęły też przenikać budzące trwogę opowieści o walkach, w których całe tuziny żołnierzy, zamiast odpowiadać na ogień nieprzyjaciela, musiały zmagać się z własną zacinającą się bronią. Po którymś z takich starć pewien żołnierz marines wypowiedział się dla jednej z lokalnych gazet amerykańskich,

„Asbury Park Evening News", uskarżając się: „Wiecie, co było dla nas największym zagrożeniem? Nasz własny karabin (...). Praktycznie obok każdego z naszych zabitych ludzi znajdowaliśmy niedziałającą broń, którą próbował on jakoś naprawić". Było w tym z całą pewnością trochę przesady, ale Kongres wreszcie zaczął interesować się całą sprawą. 20 maja 1967 kongresmen reprezentujący stan New Jersey wysłał wycinek z „Asbury Park" do biura McNamary, który odtąd nie mógł już zasłaniać się niewiedzą czy nieświadomością istnienia problemu.

Był to czas, w którym marines zaangażowali się w tak zwane bitwy o wzgórza, w których zginęło ponad 150 żołnierzy – a jakaś część z nich niewątpliwie z powodu noszenia karabinów niezdolnych do strzelania. W lipcu 2. Batalion 3. Pułku Marines doznał ogromnych strat, wciąż zmagając się z nieustającymi problemami z M-16. Kapitan Gerry Turley opisywał doświadczenia własnego batalionu jako „katastrofę (...). Po prostu mówiono nam: «Rzućcie wasze M-14 na tę stertę, a zamiast nich weźcie sobie M-16 z tamtej». Nastąpił siedemdziesięciopięcioprocentowy wzrost w wadliwym działaniu broni. A kiedy się na to skarżyliśmy, oni bezradnie rozkładali ręce i mówili: «Musicie je lepiej czyścić»". W ciągu zaledwie trzydziestu dni intensywnych walk batalion ten stracił wszystkich pięciu dowódców, co niektórzy oficerowie przypisywali wprost wadliwości nowej broni. Turley powiedział: „Proszę sobie wyobrazić, jaki wpływ mógł mieć ten fakt na batalion piechoty. Morale było absolutnie katastrofalne"[87].

Pewien dwudziestotrzyletni porucznik nazwiskiem Michael Chernevak napisał do domu długi i szczegółowy list, w którym przedstawił przebieg pewnej wymiany ognia, twierdząc, że w samej jego kompanii posłuszeństwa odmówiło aż 40 karabinów. Kopie tego listu rozesłał też do swojego kongresmena, do Roberta Kennedy'ego oraz do kilku gazet z „Washington Post" na czele; dziennik opublikował go 29 października. Odpowiedzią Korpusu Marines było wszczęcie śledztwa, jednak nie w sprawie wad karabinu, ale rzekomego wykroczenia popełnionego przez autora listu: Chernevak otrzymał wkrótce formalne napomnienie. Mimo to nawet sam przedstawiciel Colta na Azję, Kanemitsu Ito, napisał do swojego pracodawcy list, w którym stwierdzał, że oskarżenia o wadliwe działanie jego

najnowszego produktu znajdowały pełne uzasadnienie. Powołał się przy tym na swoje spotkanie z marines, które porównał do wizyty w „legowisku rozjuszonych, dzikich lwów". Ito zauważał, że większość jego rozmówców nienawidziła swojego nowego karabinu „i miała wszelkie prawo, by go nienawidzić". Odpowiedzią Colta na to półprywatnie przeprowadzone śledztwo, a także na publicznie ogłaszane oskarżenia, był cały zalew kłamstw. Producent uparcie nie przyjmował do wiadomości, że z jego bronią może być coś nie w porządku. Pod koniec roku 1967 karabiny M-16 zrzucono nawet z helikopterów pewnemu batalionowi marines na polu walki, nie troszcząc się o to, by żołnierzy zapoznać ze szczegółami tej nowej broni i sposobem obchodzenia się z nią. Walt Boomer wyznał: „To był koszmar. W pewnej zasadzce okazało się, że aż połowa naszych karabinów nie chciała działać. Zawsze kochałem Korpus Marines, ale uważałem przy tym, że był odpowiedzialny za kilka głupich rzeczy"[88]. Podobnie myślał również Judd Kinne: „Zawsze sądziłem, że M-14 był lepszą bronią"[89].

Ale entuzjazm dla konkurencyjnego AK-47 także nie był zjawiskiem powszechnym[90]: pewien południowowietnamski oficer, którego ludzie testowali tę broń, zaraportował, że większość z nich ostatecznie się do niej nie przekonała, uznając, iż trudno zmienia się w niej magazynki w ruchu, karabin jest podatny na rdzewienie, a przy intensywnym strzelaniu jego skuteczność znacząco spada. Armia amerykańska i Korpus Marines ostatecznie nauczyły się jakoś sobie radzić z M-16 i skutecznie prowadzić nimi pojedynki ogniowe, w czym pomogło niewątpliwie zwiększenie produkcji sprzętu do czyszczenia tej broni. Część problemów dostrzeżonych w trakcie roku 1966 zdołano ponadto rozwiązać w ciągu kolejnych dwóch lat, wypuszczając zmodyfikowaną wersję wyposażoną w nowy bufor i pokrywając przewód lufy warstwą chromu, co zapewniało karabinowi lepsze działanie. Niezmienny pozostał jednak zasadniczy fakt, że choć M-16 był bronią znacznie bardziej zaawansowaną od kałasznikowa, to jednocześnie nie dorównywał mu trwałością i niezawodnością. Jest także kwestią dyskusyjną, czy wyposażanie amerykańskich sił w Wietnamie w karabin, który potrafił wypstrykać się z całego magazynka w zaledwie

trzy sekundy w trybie *rock-and-roll*, było działaniem w ich najlepszym interesie. Pod wieloma względami historię M-16 i AK-47 można uznać za odzwierciedlenie szerzej pojmowanych trudności wojskowych napotykanych przez Stany Zjednoczone w ich wysiłkach utrzymania Wietnamu Południowego.

Podobnie jak wielu nieskomplikowanych ludzi, William Westmoreland lubił życie w blasku fleszy, przynajmniej do momentu, w którym w ich świetle zaczęły być widoczne rysy na jego reputacji. Pewnego dnia, kiedy ów dowódca MACV udał się z wizytą do 1. Dywizji Kawalerii Powietrznej, towarzyszący mu w trwającej kilka godzin podróży Don Graham zapytał jednego z jego trzech adiutantów: „Sir, jaką dokładnie pracę dla generała pan wykonuje?". W odpowiedzi usłyszał: „Noszę za nim czyste i wyprasowane mundury, tak aby podczas odwiedzin w kolejnych jednostkach zawsze wyglądał świeżo i elegancko"[91]. W listopadzie 1967 roku na życzenie Lyndona Johnsona generał złożył też odbywającą z wielkimi fanfarami wizytę w ojczyźnie, by osobiście zapewnić społeczeństwo amerykańskie, że wojna zmierza ku szczęśliwemu zakończeniu.

Generał William Westmoreland i prezydent Lyndon B. Johnson w Gabinecie Owalnym, 1967 rok

Prywatnie Westmoreland wcale tak jednak nie uważał, bo wciąż domagał się kolejnych, w dodatku coraz większych, transz żołnierzy. Jako lojalny podwładny wykonał jednak co do joty polecenie zwierzchnika sił zbrojnych. „Washington Star" zatytułował relację z wizyty generała opublikowaną 7 listopada jego własną, siedmiowyrazową wypowiedzią: *W sensie wojskowym wojna jest właściwie wygrana*. Również Bob Considine z „Philadelphia Inquirer" wziął za dobrą monetę słowa generała, pisząc: „Dość już narzekań. Wreszcie wygrywamy tę wstrętną wojnę. To już nie jest, powtarzam: nie jest, żaden pat"[92]. A 21 listopada Westmoreland ogłosił w National Press Club: „Już od ponad roku nieprzyjaciel nie odniósł zwycięstwa w żadnej większej bitwie (...). Jest zdolny wystawić duże siły jedynie na obrzeżach swoich sanktuariów (...). Jego siły partyzanckie topnieją w stałym tempie. Zaczyna mieć problemy z utrzymaniem morale". Nawet James Reston, długoletni sceptyk, czuł się w obowiązku traktować z szacunkiem te oznaki pewności siebie prezentowane przez

Westmorelanda. Po tym wystąpieniu na forum National Press Club wszyscy lojaliści i patrioci wzdłuż i wszerz USA zaczęli głośno wyrażać swoje poparcie dla zwierzchnika sił zbrojnych i jego generała. Ponadto przystąpili do intensywnego zwalczania oponentów polityki prezydenta. Podczas konwencji amerykańskiej centrali związkowej AFL-CIO zorganizowanej 2 grudnia sekretarz stanu Dean Rusk porównał ludzi protestujących przeciwko wojnie do szturmowców Hitlera.

A tymczasem kapitan John McNamara pisał do domu: „Istnieje jakiś szczery i wzajemnie podzielany szacunek pomiędzy WK/AWP a mną (...). W niepokojący sposób przybliżamy się do położenia Francuzów – militarnej nieugiętości [w połączeniu z] polityczną bezradnością”[93]. Z kolei Don Graham wymieniał listy ze swoją matką Kay, która była wówczas właścicielką „Washington Post”. Później relacjonował: „Zarówno wtedy, jak i teraz, nie bardzo wiedziałem, co właściwie powinniśmy robić. Kiedy wreszcie wróciłem do domu [w lipcu 1968 roku], dziękowałem Bogu, że mnie już tam nie ma, a każdemu, kto by mnie o to zapytał, stanowczo odradzałbym wybieranie się [do Wietnamu]. Moglibyśmy tam siedzieć i ze dwadzieścia lat, a i tak nic byśmy nie wskórali. Chodziło przede wszystkim o to, że w ogóle nie mogliśmy znaleźć wroga”[94]. Graham postrzegał tę wojnę z dość ograniczonego, a ponadto uprzywilejowanego punktu widzenia, ale miał rację.

Oficer AWP nazwiskiem Pham Phu Bang był pod wrażeniem amerykańskich ataków w prowincji Tay Ninh w czasie prowadzonej w sierpniu 1967 roku operacji „Junction City”: „Oni wciąż nacierali, jedna fala za drugą”. Jego ludziom zaczynało już brakować żywności, zaopatrzenia medycznego, broni i amunicji. A kiedy jego jednostce przydzielono rolę tylnej straży podczas wycofywania się reszty dywizji przez silnie ostrzeliwany las, Bang był przekonany, że nadeszła ostatnia godzina jego życia. Leżąc w zaroślach z bronią gotową do strzału, on i jego ludzie czekali na nadejście Amerykanów, na walkę z nimi – i na śmierć. Ale żołnierze wroga w ogóle ich nie zauważyli i przeszli obok. Powoli i z niedowierzaniem Bang i jego podkomendni zaczęli sobie

uświadamiać, że jednak przeżyją ten dzień – a nawet, jak miało się okazać, również wiele kolejnych[95].

Niezależnie od liczby i intensywności ofensyw, patroli czy nalotów powietrznych prowadzonych przez nieprzyjaciela, zwykle pod ładnie brzmiącymi kryptonimami, komuniści nie wydawali się tracić ani energii, ani ducha walki, nie mówiąc już o brutalności. W grudniu 1967 roku, po zajęciu górskiej miejscowości Dak Son na terenie Płaskowyżu Centralnego, zabili oni 250 spośród zamieszkującego ją tysiąca ludzi, a następnie spalili wszystkie zabudowania. A w Smoczym Dworze północnowietnamscy generałowie szykowali już plany znacznie ambitniejszych przedsięwzięć[96].

17
Nasi ludzie, ich ludzie – wojna wietnamska

1. „*SONG QUA NGAY*” – „PO PROSTU PRZETRWAJMY TEN DZIEŃ”

Przed swoim pojmaniem Doug Ramsey, w towarzystwie Johna Vanna, często podejmował ryzyko szalonej jazdy przez wietnamskie wioski jasnożółtą półciężarówką podziurawioną kulami. Podziwianie wietnamskich krajobrazów sprawiało mu sporą przyjemność. Jak napisał: „Mijając jedno za drugim pola bujnego, dojrzewającego ryżu, dostrzegaliśmy, jak jego grube ziarna zmieniają swój kolor, najpierw powoli, potem coraz szybciej, od barwy słomy, poprzez szafranowy odcień zachodu słońca, aż po głęboką paloną miedź. Cieszyliśmy się powiewami chłodnego powietrza, doznaniami wizualnymi i słuchowymi, a nawet ostrymi wiejskimi zapachami, zupełnie jakbyśmy byli małymi dzieciakami z miasta wysłanymi na nasz pierwszy obóz w terenie. Raz na jakiś czas zatrzymywaliśmy się na kilka minut w jednej czy dwóch spośród mijanych wiosek, pełnych domów krytych czerwoną dachówką albo strzechą, w których ludzie szykowali się do zapadnięcia zmierzchu w dokładnie taki sam sposób, jak oni sami czy ich przodkowie czynili to zawsze od setek lat – my zaś staraliśmy się choć na krótką chwilę zapomnieć o bezdusznych wytycznych czy martwych ciałach i przypomnieć sobie, że w zwykłym życiu zwykli ludzie zachwycają się zwykłym pięknem i zwykłą prawdą”[1]. Następnie Ramsey dodał ze smutkiem: „Rzecz jasna dobrze wiedziałem, że to wszystko musi któregoś dnia zniknąć z wietnamskiego krajobrazu – prawdopodobnie całkiem szybko – i ustąpić miejsca standardom co najmniej siedemnastowiecznym, o ile nie od razu

dwudziestowiecznym. Wiedziałem też, że za moimi nostalgicznymi i romantycznymi wyobrażeniami tak naprawdę skrywa się twarda rzeczywistość wypełniona trwającą całe życie mozolną pracą na roli, naznaczona niekończącą się biedą, przesiąknięta zabobonami i przesądami, uniemożliwiającymi jakikolwiek postęp, i charakteryzująca się niską średnią długością życia w wypadku jakichś 90 procent populacji". Po dekadzie trwania wojny podwoiła się liczba ludności miejskiej w kraju do 40 procent w roku 1970.

Życie polega w dużej mierze na akceptacji zastanej rzeczywistości. A dla młodych Wietnamczyków konflikt zbrojny stał się nieledwie stanem naturalnym, równie oczywistym jak istnienie pól ryżowych czy drzew palmowych. Nghien Khiem tak wspominał swoje szkolne lata: „Nauczyliśmy się uciekać, kiedy tylko słyszeliśmy odgłos nadlatującej rakiety, ale poza tym nie martwiliśmy się zbytnio niczym innym"[2]. Tyle że wojna tak czy owak determinowała bieg życia niemal wszystkich Wietnamczyków, może poza tymi najbardziej uprzywilejowanymi. Phan Tan Nguu miał ambicje dalszego zgłębiania chemii, która zainteresowała go w szkole średniej, by wykształcić się na farmaceutę. Ale jedyną dostępną dlań ścieżką w Wietnamie Południowym w roku 1966 okazała się kariera w aparacie bezpieczeństwa, do którego wstąpił, by dochrapać się ostatecznie stanowiska oficera w Wydziale Specjalnym. Już na zawsze zachował on pewną nutkę żalu związaną z tym, jak potoczyło się jego życie: „Służba ułożyła mi się całkiem dobrze, ale policjantów stygmatyzuje się w pewien sposób..."[3]. Wszędzie tam, gdzie pojawiało się amerykańskie wojsko, lokalni mieszkańcy mogli zarobić parę dolarów, ale też płacili za to wysoką cenę: podczas transportów do Qui Nhon kierowcy ciężarówek z zaopatrzeniem dla którejś z jednostek artylerii polowej najpierw rozjechali sześcioletnią dziewczynkę, a już następnej nocy zabili staruszkę na obrzeżach Kontum. Jeden z takich kierowców uznawał za całkiem zabawne sytuacje, w których na ogłuszający dźwięk jego klaksonu poprzedzający go rowerzyści w panice skręcali w krzaki, nierzadko wywracając się przy tym z przykrymi dla siebie konsekwencjami. Inny kierowca komentował to później z nieco większą dojrzałością: „Oto, jak zachowywali się niektórzy Amerykanie"[4].

Obie rywalizujące ze sobą stolice ulegały degradacji, zdecydowanie większej w przypadku Hanoi. Pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku dotychczasowe ubóstwo charakteryzujące codzienne życie mieszkańców Wietnamu Północnego zostało dodatkowo spotęgowane przeszczepianiem na lokalny grunt ducha rewolucji kulturalnej Mao Zedonga. Dzieci zaczęto posyłać do państwowych żłobków, rygorystycznie wprowadzano kolektywizację rolnictwa, coraz mniej łaskawym okiem spoglądano na własność prywatną. Wszelkie tego rodzaju obostrzenia nieodmiennie tłumaczono społeczeństwu Ho Chi Minha jako konieczne warunki dalszej walki o zjednoczenie kraju oraz wynik zbrodniczej działalności amerykańskich imperialistów. Z kolei Związek Sowiecki już otwarcie postrzegany był jako „rewizjonistyczny".

W Sajgonie natomiast wyraźnie widać było priorytetowe traktowanie wojny, przy zaniedbywaniu niemal wszystkich innych spraw, w tym również sprzątania ulic miasta. Jeszcze w latach trzydziestych XX wieku wybudowany tam tor wyścigów konnych Phu Tho niemal dorównywał elegancją paryskim Longchamps. Ale już pod koniec lat sześćdziesiątych charakterystyczne czerwono-żółte trybuny popadały w ruinę, a na wybiegu zamiast koni zobaczyć było można głównie chmary ważek. Co prawda raz na jakiś czas w niedziele organizowano jeszcze jakieś rachityczne gonitwy, podczas których filigranowi, ważący niespełna 40 kilogramów dżokeje dosiadali koni poruszających się w upale równie dziarsko jak żołnierze piechoty w terenie, ale ich celem było wyłącznie zadowolenie garstki maniaków zakładów na trybunach. Jeśli zaś chodzi o zakłady, nie sposób wręcz było obstawić, po czyjej stronie opowiadali się nieliczni widzowie tych wątpliwej jakości spektakli. Weźmy na przykład takiego Truonga Nhu Tanga, szefa Société Sucriere, który zatrudniał 5 tysięcy pracowników. Udzielał się on towarzysko, miał własny dom przy plaży w Cap-Saint-Jacques, spędzał wakacje w Dalat, grywał w tenisa i w grę karcianą „cztery kolory" w najlepszych domach w mieście, a jednocześnie w sekrecie należał do kierownictwa NFW.

Po raz pierwszy zadenuncjowano go w roku 1965, lecz miał wtedy sporo szczęścia, bo po półrocznym okresie uwięzienia pozwolono mu wrócić na stanowisko dyrektora Société. Ale już dwa lata później

zdradził go inny działacz komunistyczny, Ba Tra, który zmienił strony i zgłosił się do rządu południowowietnamskiego, by niedługo potem ponieść śmierć z ręki zabójcy Wietkongu. Tang pozostawił nam plastyczny obraz więzienia w Sajgonie, gdzie go osadzono: „Scena, która prezentowała się przed moimi oczami (...), napełniła mnie tak wielkim przerażeniem i paniką, że przez chwilę obawiałem się, iż utraciłem duszę. Na całej długości korytarza leżeli jak dłudzy ludzie przykuci za kostki do ścian łańcuchami. Wielu z nich miało zakrwawione i opuchnięte twarze; tu i tam ich kończyny sterczały pod nienaturalnymi kątami. Niektórzy wili się z bólu. Inni po prostu leżeli, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Z tego kłębowiska ciał wydobywały się jakieś jęki i odgłosy szlochu. Powietrze przepełnione było cichym, bezustannym zawodzeniem. Serce zaczęło mi bić szybciej. Po jednej stronie przejścia znajdował się ciąg drzwi, najwyraźniej prowadzących do pokojów przesłuchań. A zza tych drzwi dobiegały przekleństwa i spazmatyczne okrzyki bólu”[5]. Tang, osoba uprzywilejowana, i to w oczach obu stron konfliktu, a przy tym dysponująca dostępem do dużych pieniędzy, wywinął się dosyć tanim kosztem. Jego żona przekupiła naczelnego śledczego kwotą 6 tysięcy dolarów, by oszczędzić mężowi tortur. Potem zaś zapłaciła kolejne 5 tysięcy dolarów przewodniczącemu trybunału, który rozpatrywał sprawę Tanga – człowiek ten został później zresztą głównym doradcą Thieu do spraw bezpieczeństwa[6] – by uzyskać bardzo niską karę dwóch lat więzienia, po której odbyciu Tang dołączył do swoich towarzyszy z NFW w dżungli.

W Wietnamie Południowym więzi rodzinne znaczyły co najmniej tyle samo ile ideologia. Wieloletni oficer CIA w Sajgonie Frank Snepp uwielbiał i podziwiał Wietnamczyków, ale odrzucał wyidealizowany ich obraz prezentowany przez Frances FitzGerald: „Ona wcale nie pisała o takim Wietnamie, jaki znałem ja sam. Ja nie dostrzegałem, by ludzie tutaj przepełnieni byli jakimś resentymentem antykolonialistyczym. Wydawali mi się oni bardzo pragmatyczni: Wietnam Południowy był niekończącym się ciągiem przystosowań”. Doradca prezydenta Thieu do spraw wojny psychologicznej ukrywał u siebie w domu szwagierkę, która prowadziła komórkę komunistyczną w Hue. Z kolei szef sztabu

południowowietnamskiej armii chronił dwóch siostrzeńców swojej żony, których ojciec był wysokim działaczem komunistycznym. Córka Tanga, Loan, była bliską przyjaciółką córki Thieu, Tuan-Anh: prezydent nie przestał przyjmować jej w swoim domu po zdemaskowaniu Tanga jako zdrajcy, a nawet – co wystawia Thieu całkiem niezłe świadectwo – zasponsorował później Loan kurs z zakresu technik komputerowych w Pensylwanii[7].

Choć w kraju wciąż nie brakowało pereł naturalnego piękna, większość ich została skażona wojną, o czym świadczyć mogło choćby istnienie 77 sierocińców i 200 tysięcy młodocianych przestępców. Niektórzy rolnicy, mając dość niszczenia im plonów przez wciąż przemieszczające się kolumny wojska, porzucali uprawę ryżu i przenosili się do miast. Z kolei nad Sajgonem i przylegającymi doń przedmieściami Long Binh i Tan Son Nhut zawisła na stałe chmura chemicznych zanieczyszczeń. Niemal każda ulica w mieście była zryta koleinami i podziurawiona z powodu braku napraw i olbrzymiego wzrostu ruchu, w tym zwłaszcza prawdziwego tsunami motorowerów Hondy obserwowanego po roku 1967. Na poboczach leżały góry cementu i śmieci; całe miasto poprzecinane też było betonowymi zaporami bezpieczeństwa i ogrodzeniami z drutu kolczastego, a przy tym zadymione czarnymi wyziewami z ciężarówek napędzanych silnikami Diesla.

A wzdłuż rzeki Sajgon i wpadających do niej kanałów wyrastały kolejne dzielnice nędzy. W każdej z nich trwała ożywiona działalność wytwórcza i rzemieślnicza, przy czym „warsztaty" stolarskie, szewskie czy krawieckie działały wprost na ulicy. Z kolei w samej stolicy liczne ulice wyspecjalizowały się w handlu konkretnymi towarami: na jednej sprzedawano sprzęt kuchenny, na innej wentylatory elektryczne, a jeszcze gdzie indziej klimatyzatory, rowery, ubrania, książki, aparaty fotograficzne, imitacje mundurów dla dzieci, sos rybny, zupy, warzywa, orzechy, pomarańcze, żaby i węgorze w czosnku czy wódkę ryżową zachwalaną jako szkocka bądź bourbon. Nie brakowało też dziewcząt: w ilościach hurtowych, całkiem niebrzydkich, z wyzywającym makijażem i twarzami wyrażającymi całą gamę emocji, od absolutnej bezwzględności po głęboką melancholię. I choć w mieście wciąż można

było znaleźć oazy romantyczności, to ogólnie Sajgon zdominowały już brud i nędza. I tylko od nastawienia ideologicznego zależało, czy taki obraz jawił się jako lepszy, czy jako gorszy od wszechobecnej szarości i monotonii Hanoi.

Ale wojna toczyła się na wsi. Chłopi zaś nierzadko mówili bojownikom Wietkongu: „Wam jest o wiele łatwiej. Potrzebujecie tylko karabinów i plecaków. Możecie z nimi pójść gdziekolwiek i tam zacząć żyć od nowa. A my mamy tu żony, dzieci, ryż, ogródki i nie możemy zabrać tego wszystkiego ze sobą. Nawet bawół nie dałby się zbyt łatwo przekonać, by za nami pójść. Musimy więc tutaj zostać". Wielu z nich powtarzało fatalistyczne motto *„Song qua ngay"* – „Po prostu przetrwajmy ten dzień". Ważnym składnikiem sukcesów odnoszonych przez komunistów była ich praca u podstaw z ludnością wiejską, do której potrafili dotrzeć o wiele skuteczniej od przedstawicieli rządu w Sajgonie. Wśród wieśniaków szerzono na przykład pogłoski, że programy szczepień wdrażane przez Amerykanów są tak naprawdę karą za wspieranie WK i mają na celu wywołanie wśród dzieci bezpłodności. A tymczasem pewien amerykański ekspert epidemiologiczny nie widział potrzeby zbadania doniesień, że wieśniacy w dobrej wierze handlują szczurami w celach kulinarnych.

W ramach działań zmierzających do poprawienia jakości racji żywnościowych przydzielanych żołnierzom postanowiono zastąpić *nuoc mam* – sfermentowany sos rybny uwielbiany przez wszystkich Wietnamczyków – soją importowaną z Korei, powszechnie przez nich znienawidzoną. Odmiany „cudownego ryżu" zwielokrotniły plony, ku początkowemu zachwytowi rolników: wkrótce te rewolucyjne wariacje – zwane żartobliwie „ryżem Honda", bo dzięki ich uprawie wieśniacy masowo sprawiali sobie motorowery – stanowiły już ponad połowę produkcji rolnej w Wietnamie Południowym. Niestety, owe „cudowne" odmiany wymagały też o wiele większych ilości nawozów i pestycydów, więc kiedy amerykańska pomoc zaczęła się kurczyć, a ceny oleju napędowego i nawozów rosnąć, południowowietnamscy producenci ryżu znaleźli się w potrzasku.

Niewielu mieszkańców terenów wiejskich postrzegało rząd jako siłę pozytywną; przeciwnie – kojarzył im się on wyłącznie z jakąś nieobecną

instytucją, która inkasowała od nich podatki i zabierała im młodych mężczyzn. Komuniści robili wprawdzie dokładnie to samo, ale dbali przy tym o zachowanie pozorów dobrotliwości. Podczas gdy żołnierze ARVN bez żadnych skrupułów ogołacali wieśniaków z ich płodów rolnych, takich jak owoce czy drób, pewien amerykański jeniec ze zdumieniem odnotował dużą powściągliwość bojowników WK wobec produktów żywnościowych nienależących do nich: „Nasza trasa przemarszu prowadziła przez jakiś ogród warzywny. Ale ponieważ należał on najwyraźniej do którejś z siostrzanych jednostek, żaden z moich strażników nie uległ pokusie urwania sobie garści liści kapusty – choć większość z nich nie widziała świeżych warzyw od ponad roku”[8]. Australijski lekarz doktor Norman Wyndham pisał w Vung Tau: „Ci wieśniacy nie pragną niczego innego poza pokojem. Nie mają oni nic do stracenia, nie obawiają się więc, że jakiś nowy rząd mógłby im cokolwiek odebrać”[9].

Creighton Abrams scharakteryzował naczelników okręgowych wyznaczanych przez Sajgon jako ludzi „do tego stopnia niekompetentnych, że ich zabicie byłoby przeciwskuteczne”[10]. Jedyną właściwie grupą ludności na terenach wiejskich w Wietnamie Południowym mającą rząd w niejakim poważaniu była drobna mniejszość byłych uchodźców z Północy, która zaznała tam życia pod butem komunistów. Jeden z takich ludzi, stary naczelnik wioski nazwiskiem Ngo Dinh Ho, w roku 1967 opisał pewnemu brytyjskiemu dziennikarzowi swoją młodość spędzoną na Północy jako dziesięć lat „piekła na ziemi”[11]. Również wielu jego sąsiadów mieszkających na wyspie Phu Quoc u ujścia Delty podobnie jak on parało się rybołówstwem i przybyło tam niegdyś z terytorium komunistów. „Ta czerwona ziemia jest bardzo dobra – wyjaśniał Ho. – Gdyby tylko udało nam się jakoś pozbyć Wietkongu, to byłoby tu jak w raju – jak w jakimś pięknym śnie (...). Jestem bardzo wdzięczny Stanom Zjednoczonym za wszelką udzielaną nam pomoc”. Może gdyby więcej Wietnamczyków doświadczyło w swoim życiu tego, co przeżył w młodości Ho, ta wojna zakończyłaby się inaczej.

2. BOJOWNICY

1967 był trudnym rokiem dla sił komunistycznych w Wietnamie Południowym. Jeden z żołnierzy północnowietnamskiej 3. Dywizji „Żółta Gwiazda" opisywał[12], jak jej poszczególne jednostki ulegały zdziesiątkowaniu, doznawszy podczas walk ogromnych strat w ludziach: „Szli do boju silni i pełni zapału, a kiedy wracali, to na całą kompanię mogło składać się zaledwie czterech albo siedmiu ludzi, siedzących i jedzących w milczeniu ryż z jednej wspólnej tacki". Po rozbiciu przez 1. Dywizję Kawalerii Powietrznej „nasi żołnierze nie byli w stanie zwalczyć w sobie przerażenia i skonfundowania". Ten sam żołnierz stwierdzał, że po jednej z bitew stoczonych zimą 1967 roku w jego własnym batalionie – „rozbitym w puch" – stan osobowy zmniejszył się z 240 do zaledwie 38 ludzi. A mimo to wciąż wysyłano go do kolejnych walk.

Dramatyczne zwiększenie obecności wojsk amerykańskich szczególnie dawało się we znaki Wietkongowi w Delcie Mekongu, gdzie większość terenu słabo nadawała się do walk partyzanckich i nie zapewniała takiej przewagi taktycznej jak wzgórza czy dżungle na północy – nie sposób tu było na przykład wykopać żadnych tuneli. Dlatego wysiłki czynione przez NFW, by utrzymać na tym obszarze dominację, polegające w dużej mierze na wznowieniu terroru wobec rzekomych sympatyków rządu w Sajgonie, czasami nosiły znamiona czystej desperacji. Rzeczne i przybrzeżne patrole marynarki doprowadziły do niemal całkowitego odcięcia linii zaopatrzenia dla komunistów drogą morską z Północy, co, począwszy od roku 1963, zaczęło odgrywać decydującą rolę w toczących się na tym obszarze walkach.

Wobec takiego rozwoju sytuacji w Delcie komuniści coraz wyraźniej zaczęli przenosić swoją uwagę na północne regiony kraju i Płaskowyż Centralny, znacznie łatwiej dostępne ze Szlaku Ho Chi Minha, które już wkrótce stały się ich ulubionym terenem walk. Były to w dodatku obszary tak rozległe i dzikie, że pomimo zaawansowania amerykańskiej technologii monitorującej można tam było bez przeszkód zakładać stałe bazy i obozy wojskowe. Andy Finlayson opisywał, jak podczas jednego

ze swoich długodystansowych patroli natknął się w pobliżu granicy z Laosem na takie właśnie obozowisko, doskonale zamaskowane pod wiszącymi na wysokości kilkudziesięciu metrów gęstymi koronami drzew, a dodatkowo otoczone ogrodzeniem z bambusa i zabezpieczone sterczącymi na zewnątrz naostrzonymi palikami bambusowymi, a także rozmieszczonymi dookoła bunkrami: „Na każdym końcu tej ufortyfikowanej osady znajdowała się też wieżyczka strażnicza wzniesiona na trzymetrowych palach. Wewnątrz naliczyłem osiem solidnie zbudowanych chat, z których każda była wystarczająco duża, by móc pomieścić oddział żołnierzy nieprzyjaciela. Była tam też spora zagroda dla zwierząt, w której widziałem świnie, osobna chata służąca za kuchnię, scena na podwyższeniu z własnym zadaszeniem i jeden bardzo duży dwupiętrowy budynek, zrobiony z heblowanego drewna, bambusa i słomy, z własnym balkonem. Rozmiary i poziom skomplikowania tego obozu wywarły na nas wielkie wrażenie”[13].

W jednym z kolejnych takich obozów, raz na jakiś czas przenoszonym w inne miejsce, w latach 1966–1973 Doug Ramsey i garstka innych amerykańskich jeńców mieli rzadką okazję przyglądać się z bliska życiu codziennemu komunistycznych bojowników. Ramsey napisał: „[Nawet] najlepsi spośród ludzi WK i AWP (…) nie potrafili ustrzec się przywar, wynikających z młodzieńczej nadgorliwości, arogancji charakterystycznej dla tych, którzy wiedzą lepiej, a przy tym całkowitej ignorancji w kwestii świata zachodniego”[14]. Ten Amerykanin dostrzegał wśród bojowników podobne typy osobowościowe jak w dowolnej innej grupie przypadkowo zebranych ludzi. „Byli tam ludzie naprawdę wspaniali, a tuż obok odleceni sadomasochiści. Nie brakowało patykowatych moli książkowych, ale i typów rwących się do komenderowania; tych wyszczekanych i tych zamkniętych w sobie; delikatnych mieszczuchów i nieokrzesanych prostaków; intelektualnych snobów i ludzi naprawdę inteligentnych, szczerze zainteresowanych zgłębianiem prawdy (…). Czułem się w rękach WK bezpieczniej, niż czułbym się, jak sądzę, pod opieką niektórych grup amerykańskiego społeczeństwa sytuujących się na skrajnej lewicy. Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że to my

byliśmy narodem bardziej skłonnym do przemocy niż Wietnamczycy”[15].

Wietnamczycy okazywali niezwykłą czułość swoim dzieciom, ale już zwierzęta traktowali z nieopisanym barbarzyństwem: ludzie Zachodu odwiedzający sajgońskie zoo z niedowierzaniem przyglądali się entuzjazmowi tłumów obserwujących karmienie węży żywymi kaczuszkami. Ramsey, podobnie jak wielu Amerykanów, dostrzegał też różnicę między podatnością Wietnamczyków z Północy na indoktrynację, która była dla nich chlebem powszednim, a obojętnością wobec niej prezentowaną przez większość Południowców, zainteresowanych wyłącznie przepędzeniem obcych i poprawą losu chłopów. Przesłuchujący schwytanych jeńców Bob Destatte uważał, że ideologia była dla nich w dużej mierze funkcją nienawiści do wszelkich obcych wpływów: „Nawet wielu członków Partii wstępowało do niej z powodów czysto praktycznych”. Większość partyzantów, których spotkał Doug Ramsey, miała od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat, a więc byli oni o wiele bardziej doświadczonymi żołnierzami od swoich odpowiedników po stronie amerykańskiej. Pytani o powody, wzruszali tylko ramionami i odpowiadali z niejakim fatalizmem: *„Thoi ke me no? Bao nhieu thi bao; cu danh giac hoai vay thoi!”* – „A co, u diabła, możemy z tym zrobić? Gadanie i tak nic tu nie da, więc po prostu będziemy dalej walczyć!”[16]. Wielu z nich wyczekiwało na jakiś przełomowy moment – na decydującą bitwę, choćby trudną i niebezpieczną – co wyjaśnia ich gotowość do uczestnictwa w ofensywie Tet w roku 1968.

Sposób myślenia żarliwych rewolucjonistów przybliża nam dziennik prowadzony przez pewną młodą lekarkę, pracującą w górskich rejonach prowincji Quang Ngai. W odróżnieniu od wielu innych tekstów źródłowych po stronie komunistycznej dokument ten nie został poddany ani cenzurze w czasie jego powstawania, ani późniejszym zabiegom upiększającym. Dwudziestoczteroletnia Dang Thuy Tram była córką wybitnego chirurga z Hanoi, a jej przygoda z rewolucją rozpoczęła się w roku 1967, kiedy to wyruszyła na trwający dziesięć tygodni marsz Szlakiem Ho Chi Minha, by podjąć pracę w jednym ze szpitali polowych Wietkongu. W jej życiu dominowały już wówczas dwa przenikające ją do głębi uczucia: nieodwzajemniona miłość do pewnego

oficera AWP, którego znała od dzieciństwa, a także nienawiść do amerykańskich „bandytów". Pisząc o swoim pragnieniu uzyskania członkostwa w Partii, wyrażała ona jednocześnie zaniepokojenie, że jej rzekome pochodzenie ze środowiska „intelektualnego" może przyczynić się do zniweczenia tych ambicji: „Dlaczego na drodze kogoś wywodzącego się z burżuazji znajduje się tyle przeszkód i cierni? – uskarżała się w dzienniku. – Nieważne, jak bardzo się starasz i ile dokonałaś (...), wciąż jesteś dla nich osobą sytuującą się poniżej kogoś wywodzącego się z klasy robotniczej, który ledwie tylko zaczął rozumieć ideały Partii"[17]. Kiedy zatem wreszcie zdobyła upragnioną legitymację partyjną, nie posiadała się wprost z radości.

Tram często opłakiwała zgony bojowników WK, których przyszło jej opatrywać: „Dziś poległ jeden towarzysz, a jutro padnie inny. Stosy ciał i kości nie przestają narastać, ale w naszych sercach zmieniają się one w góry coraz większej nienawiści do wroga (...). Kiedyż wreszcie uda nam się przepędzić ten żądny krwi motłoch z naszej ojczyzny? (...) Jeśli pewnego dnia dane nam będzie wreszcie żyć wśród pachnących kwiatów socjalizmu, powinniśmy zapamiętać tę scenę na zawsze, nigdy nie zapomnieć o poświęceniu wszystkich tych, którzy przelewali krew za wspólną sprawę"[18]. Nawet jeśli przytaczane tu sformułowania wydają nam się żywcem wyrwane z leksykonu propagandowych komunałów, to z całą pewnością trafiały one do serca tej młodej kobiety. Kiedy zatem jeden z partyjnych towarzyszy wyznał jej miłość, ona odparła mu z całą powagą: „W moim sercu nie ma miejsca na jakiekolwiek prywatne dążenia, bo skupia się ono bez reszty na obowiązku[19] (...). Zresztą, czy można dążyć do czegoś piękniejszego od stania się częścią tej wielkiej rewolucyjnej rodziny?"[20]. Inny z jej młodych towarzyszy, imieniem Luc, był człowiekiem na tyle wrażliwym na piękno natury, że lubił śpiewać o tym układane przez siebie pieśni:

O góro i rzeko, jak pięknie wyglądacie,
Gdy księżyc rozświetla pagórki, a chmury płyną u ich stóp.

Ten sam Luc zawsze nosił też na szyi czerwony szalik z wyhaftowanymi słowami: „Z całą determinacją ślubuję poświęcić życie dla przetrwania Narodu”[21]. Miał go na sobie również tego dnia, kiedy zginął podczas ataku na ośrodek okręgu Duc Pho.

Żarliwość zdeklarowanych rewolucjonistów, takich jak Luc czy Tram, robiła wrażenie na niektórych Amerykanach. Jack Langguth, reporter relacjonujący tę wojnę dla „New York Timesa”, napisał w wydanej później książce: „Przywódcy Wietnamu Północnego (...) zasłużyli na swoje zwycięstwo. A przywódcy Wietnamu Południowego (...) zasłużyli na przegraną”[22]. Pogląd ten, podzielany przez większość innych korespondentów, wynikał w dużej mierze z codziennych doniesień o okrucieństwach i partactwach rządu w Sajgonie oraz jego amerykańskich mentorów, podczas gdy analogiczne „dokonania” komunistów pozostawały ukryte. Obywatele współczesnych demokracji liberalnych, z których wielu korzysta z przywileju wolności raczej do okazywania swoich sympatii sportowych aniżeli do roztrząsania kwestii politycznych, często wyrażają podziw dla tych członków innych kultur, którzy o swoją wolność dopiero walczą. Tyle że historia nieraz już udowodniła, iż ruchy określające się jako wolnościowe potrafią wprowadzać praktyki dokładnie przeciwne, a przy tym mogą zawładnąć umysłami młodych ludzi do tego stopnia, by ci poświęcali w ich imieniu dosłownie wszystko, łącznie z własnym życiem. Tak czy inaczej, trudno się dziwić, że cudzoziemcy w Wietnamie byli skłonni przeciwstawiać zaangażowanie komunistów korupcji i letargowi panującym w Sajgonie. Ale to wciąż tylko połowa prawdy.

Sukcesy Hanoi osiągane na polu globalnej walki propagandowej wynikały w dużej mierze z polityki *omertà*, bezwzględnego milczenia. Opresje, którym poddawani byli mieszkańcy Północy, a także klęska jej polityki gospodarczej stanowiły tematy zakazane przez cenzurę. Na podobnej zasadzie w przestrzeni publicznej nie funkcjonował temat zbrodni wojennych Północy. W odróżnieniu od terytoriów Sajgonu Hanoi wpuszczało też do siebie z zagranicy jedynie zdeklarowanych sympatyków własnej sprawy, którym w dodatku pozwalało na ściśle kontrolowane poruszanie się po kraju. Francuski pisarz Jean Lacouture, jeden z czołowych wówczas apologetów Ho Chi Minha, wyznał po

długim czasie w szczerym wywiadzie dla jednej z mediolańskich gazet: „Jeśli chodzi o Wietnam, to moje zachowanie przypominało tam czasem bardziej postawę bojownika, a nie dziennikarza. Ukrywałem niektóre aspekty działań wojennych prowadzonych przez Wietnam Północny (...), ponieważ wierzyłem, że sprawa, o którą walczył (...) była na tyle dobra i sprawiedliwa, iż uzasadniało to niepokazywanie ich błędów. Wierzyłem, że nie należy ujawniać stalinowskiej natury północnowietnamskiego reżimu”[23].

Polityka propagandowa obejmowała również wykluczanie z oficjalnych państwowych mediów i publikacji ukazujących się w Wietnamie Północnym wszelkich treści niewiążących się bezpośrednio z walką o narodowe wyzwolenie. Zgodnie z tymi wytycznymi w tamtejszym radio nie pojawiła się nawet jedna wzmianka ani o wojnie na Bliskim Wschodzie toczonej w roku 1967, ani o rosyjskiej inwazji na Czechosłowację w roku 1968, ani o lądowaniu Amerykanów na Księżycu w roku 1969. Więziony jako jeniec Doug Ramsey patrzył z obrzydzeniem na komunistyczny komiks *Prawdziwi bohaterowie wojenni*, wychwalający cnoty pewnej kobiety, która została zamachowcem samobójcą. Nie cierpiał też bezustannie nadawanych w Radio Hanoi pieśni wojennych, „przerażających swoją oczywistą fascynacją przemocą i skłonnością do jej opiewania, swoją ograniczonością spojrzenia, swoją wrzaskliwością, a wreszcie tendencją do dzielenia wszystkich na bohaterów albo zdrajców, i to zarówno w Waszyngtonie, jak i w Wietnamie”. Z czasem znużyła go też piosenka marszowa wyśpiewywana bezustannie przez żołnierzy NFW:

Wyzwolić Południe!
Jesteśmy gotowi, by tam wyruszyć,
By zabijać Amerykańskich imperialistów,
Zgnieść i rozgonić ich lokajów, którzy sprzedają nasz kraj.

Świetna powieść autobiograficzna Bao Ninha zatytułowana *The Sorrow of War* (*Smutek wojny*) przedstawia nam jednak obraz komunistycznych żołnierzy dalekich od beznamiętnych automatów

z wypranymi mózgami. Ninh – a w rzeczywistości Hoang Au Phuong – urodził się w roku 1952 i spędził cztery lata na Południu jako żołnierz piechoty AWP. W jego wciągającej narracji ludzie walczący dla Północy wykazują uczucia i motywacje analogiczne do tych charakteryzujących ich amerykańskich oponentów: braterstwo broni, chęć przetrwania, zniechęcenie ciągłą utratą przyjaciół, obsesyjne myślenie o dziewczynach pozostawionych w domu. W jednym z ustępów alter ego pisarza, młody oficer Kien, zdecydowanie odrzuca próbę wejścia z nim w zażyłość podjętą przez jednego z młodych towarzyszy broni: „Nie znosił żadnych poufałości (...). Do diabła, gdyby tak każdy w jego pułku miał przychodzić do niego ze swoimi osobistymi problemami po tych straszliwych walkach, byłoby to dla niego niczym rzucenie się pod wodospad".

Kien popiera sprawę Północy, ale z cynizmem patrzy na rzeczywistość, w której cały ciężar walk zrzuca się na biednych chłopców ze wsi, niemających w dodatku nic do powiedzenia w kwestii własnego przeżycia czy śmierci. On sam, dobrze wykształcony młodzieniec, co daje mu uprzywilejowaną pozycję na tle swojego społeczeństwa, lubi zresztą tych „przyjaznych, prostych chłopskich bojowników, wykazujących niezwykłe cechy, które czynią z nich siłę niemal nie do pokonania". Po stronie Północy są nawet odpowiednicy Amerykanów palących trawkę: Kien i jego ludzie eksperymentują bowiem z popalaniem suszonych kwiatów i korzeni rośliny *Rosa canina*, kwitnącej na biało w porze deszczowej, której „woń wypełniała powietrze, zwłaszcza nocami (...), podsycając erotyczne, obsesyjnie powracające sny. Kiedy się budziliśmy, ta woń rozpływała się już w powietrzu, ale w nas i tak pozostawała jakaś tląca się namiętność, równie bolesna, co pełna ekstazy". A kiedy palili rozdrobnione kwiaty i korzenie wymieszane z tytoniem, „po zaledwie kilku zaciągnięciach się czuli, jakby coś unosiło ich do góry, jakby powoli szybowali po niebie niczym ta smuga dymu wznosząca się na wietrze (...). Oni sami mogli wybierać, o czym chcą teraz marzyć, a nawet mieszać ze sobą różne marzenia, zupełnie jakby przygotowywali sobie jakiś przepyszny koktajl. Paląc *Rosę* zapominało się o codziennym piekle żołnierskiego

życia, o głodzie i cierpieniu. Zapominało się też o śmierci. Ale przede wszystkim absolutnie, ale to absolutnie, nie pamiętało się o jutrze”[24].

Powieść Ninha wyśmiewa powtarzające się sesje indoktrynacji: „I znowu ta polityka. Polityka z rana, polityka po południu, a wieczorem jeszcze raz polityka. «My wygraliśmy, a wróg przegrał. Wróg z całą pewnością przegra. Północ już wkrótce (...) zbierze plon. Ludzie powstaną i przyjmą was z otwartymi rękami. A tym, którzy nie chcą tak uczynić, po prostu brakuje świadomości»”[25].

W przeciwieństwie do Amerykanów, którzy mogli przynajmniej być pewni swoich codziennych racji żywnościowych, ich nieprzyjaciel nie miał wcale takiego komfortu. Północnowietnamscy oficerowie szybko ukuli w swoim gronie powiedzenie: „Marszałkiem polowym naszej armii jest ryż”. A jeden z owych oficerów, Pham Phu Bang, opisywał pełne obsesji konwersacje o jedzeniu toczone ze swoim bliskim przyjacielem Thanh Giangiem. Miesiąc po miesiącu, a w końcu także rok po roku, opowiadali też oni sobie żarty – „o tak, były tam żarty” – i przechwalali się rzekomymi podbojami miłosnymi ze swojego życia sprzed wojny. A kiedy Bang odniósł poważne rany podczas amerykańskiego nalotu pod Tay Ninh, to właśnie Giang zaciągnął go na tyły, gdzie rozciął jego przesiąknięte krwią ubranie i przebrał go w czysty garnitur z własnych zapasów. Dopiero po wydobrzeniu Bang dowiedział się, że garnitur ten miał posłużyć jego przyjacielowi jako uroczysty strój ślubny, wobec czego otaczany był przezeń nabożną wręcz czcią. A jeszcze później Giang został poczytnym pisarzem, określanym mianem „wietnamskiego Ernesta Hemingwaya”[26].

Pułkownik Nguyen An był zapalonym myśliwym, który z lubością tropił i zabijał jelenie, chyba że jego ludzie akurat natknęli się na większego zwierza. „Kiedyś podczas marszu – napisał – od czoła kolumny dotarła niespodziewana wieść: «Mamy mięso słonia. Pospieszcie się!»”. Wszyscy przyspieszyli kroku. A kiedy An ze swoją grupą dotarł na miejsce, w którym rzeczywiście zabito słonia, przekonał się, że żołnierze dokonali tego, detonując niewielki ładunek wybuchowy podłożony pod jego zad, ponieważ skóra zwierzęcia była zbyt gruba, by móc ją przebić nożami. „Jeden z ludzi wczołgał się pod jego brzuch i wykrawał stamtąd wielkie kawały mięsa. Inni przepychali się

nawzajem, byle tylko dostać się do odsłoniętych żeber, a jeszcze inni walczyli o możliwość wykrajania sobie steków z zadu. A najsmaczniejsze kąski – trąba i cztery nogi – zostały odcięte i zabrane na samym początku. W ciągu zaledwie kilku godzin po słoniu pozostała tylko skóra i kości”[27]. To szczęśliwe miejsce na długo pozostało w ich pamięci, a na mapach AWP opisane zostało jako Pole Słonia.

Ale nawet głodni żołnierze Północy nie byli w stanie zjeść wszystkiego: Kien, narrator powieści Bao Ninha, przytacza historię swojego towarzysza „Wyniosłego” Thinha, który pewnego dnia zastrzelił wielkiego orangutana, po czym rozkazał swoim ludziom, by triumfalnie zawlekli go do obozu: „Ale, na Boga, kiedy go oskórowano, zwierzę wyglądało niczym gruba, owrzodzona kobieta, wciąż przewracająca oczami, na wpół białymi, a na wpół szarymi. Przerażeni żołnierze z oddziału wybiegali z chaty z krzykiem, zostawiając za sobą wszystko, co mieli przy sobie”[28]. Zamiast spodziewanej uczty zwierzę trzeba było zakopać i przykryć wielkim kamieniem.

To nie głód stanowił też największy problem dla ludzi AWP. Wbrew temu, co nierzadko myśleli Amerykanie, natura zastawiała na Wietnamczyków te same pułapki co na cudzoziemców, a wśród nich jadowite węże, dokuczliwe insekty i wszelkie inne robactwo wciskające się do namiotów i za pazuchy. Podobnie rzecz miała się z pogodą, o której Wietnamczycy śpiewali żałośnie brzmiące piosenki, na przykład: „Deszcz spada na nas z liści bananowców, kropla za kroplą i oznajmia nam, że nadeszła już jesień”. Wydaje się wprost niewiarygodne, że walczący po obu stronach byli w ogóle w stanie funkcjonować w dżungli w trakcie pory deszczowej, w wiecznie przemoczonych ubraniach i w strugach deszczu spływającego im po twarzach. A z drugiej strony, jak wyjaśniał Bang, „kiedy przemaszerowało się jakieś 30 kilometrów dziennie, a poprzedniego dnia prawdopodobnie ze 30 kolejnych, to na każdym postoju i tak natychmiast zapadało się w sen, czy padał akurat deszcz, czy też nie”[29].

Bojownicy zapadali też na przeróżne choroby, na które ich oficerowie medyczni często nie mieli zbyt wielu lekarstw. Pewnego dnia w roku 1967 jeden z szeregowców walczących dla Północy poddał się żołnierzom Sajgonu. Cierpiał na ostrą malarię, z której leczył go

w jednym z obozów w Kambodży pewien doktor, będący jednocześnie jego krewnym. I właśnie on powiedział choremu w tajemnicy, że jeśli chce przeżyć, musi stać się *chieu hoi* – uciekinierem, ponieważ dalsze życie w dżungli z całą pewnością go zabije. Po przyjęciu do szpitala polowego amerykańskiej armii człowiek ten przeszedł kilka transfuzji olbrzymich ilości krwi sfinansowanych z własnej kieszeni przez dwudziestu amerykańskich darczyńców. Przywrócono go ostatecznie do zdrowia, a następnie skierowano do rządowej zbrojnej kompanii propagandowej, gdzie z entuzjazmem wykrzykiwał „Niech żyją Thieu, Ky i amerykańscy imperialiści!". Twierdził on też, że jedynym komunistą, którego wciąż poważał, był ów doktor radzący mu szczerze, by stał się *chieu hoi*[30].

Chroniczne dolegliwości – takie jak malaria czy choroby wywoływane niedoborem witamin – dotykały nawet wysokich rangą działaczy CBWP. Przez cały sześcioletni okres pobytu w dżungli Truong Nhu Tang spędzał średnio dwa miesiące w roku, leżąc bez ruchu z wysoką gorączką: „Niemal wszyscy mieszkający w dżungli wyróżniali się żółtawą cerą i chorobliwą bladością". Kiedy z Hanoi wyruszył na południe minister zdrowia, by na miejscu zbadać możliwości walki z malarią, sam zapadł na tę chorobę i ostatecznie zmarł. Niezliczona rzesza bojowników WK i AWP cierpiała też na osłabiające zarówno ciało, jak ducha hemoroidy.

O ile amerykańscy żołnierze tęsknili za domem, o tyle ich odpowiednicy z Północy narażeni byli na jeszcze gorsze katusze: po opuszczeniu swoich bliskich długimi okresami nie mieli od nich praktycznie żadnych wieści; nie wiedzieli też prawie nic o tym, co działo się na świecie, poza wąskim kręgiem ich bezpośredniego doświadczenia. Samo pokonywanie Szlaku Ho Chi Minha stanowiło zawsze duże wyzwanie, nawet wtedy, gdy po niektórych jego odcinkach można się już było poruszać ciężarówkami. Pułkownik An z AWP, wezwany do Hanoi, zapamiętał następujący obrazek: „Noc w noc setki ciężarówek i innych pojazdów ciągnęły się w długim szeregu. A raz podczas jazdy cała kolumna nagle się zatrzymała i wszyscy kierowcy wyłączyli światła w swoich pojazdach. Nad naszymi głowami usłyszeliśmy ryk silników nieprzyjacielskich samolotów, a w oddali

widać było rozbłyski z jakiegoś odległego frontu. Siedzieliśmy tak i czekaliśmy całymi godzinami. Spojrzałem z niepokojem na zegarek i zobaczyłem, że była już 4.00 – zaraz miało świtać. Udałem się w stronę czoła kolumny, by tam się czegoś dowiedzieć. Noc była dziwnie cicha i spokojna. Wydawało się, że w pobliżu nie ma żadnego życia, poza nieustannym bzyczeniem nocnych owadów. Idąc, waliłem w drzwi kabin mijanych ciężarówek i pytałem głośno: «Jest tam kto?», ale nikt mi nie odpowiadał. A przy jednej z nich zacząłem uważnie nasłuchiwać i usłyszałem odgłos chrapania. Wróciłem do naszego wozu; wycofaliśmy, ominęliśmy stojący konwój i ruszyliśmy w dalszą drogę”[31]. Niedługo potem An doznał poważnych obrażeń na moście, który zawalił się pod ciężarem ich pojazdu, więc do Hanoi dotarł ostatecznie cały w bandażach. Widząc go w takim stanie, jeden z przyjaźnie nastawionych kolegów pułkowników skomentował: „Po trzech latach na Płaskowyżu Centralnym wreszcie masz szansę wrócić do domu i ucałować żonę, a tymczasem usta, którymi planowałeś tego dokonać, masz spuchnięte jak balony. I co ty teraz poczniesz, biedaku?”.

W regularnych odstępach czasu na Szlak wyruszali też wojskowi kurierzy wiozący ze sobą pakunki z listami ważące jakieś 25 kilogramów. Za cud należałoby uznać już sam fakt, że przynajmniej część z nich mimo niesprzyjających warunków pogodowych i spadających dookoła bomb docierała do miejsca przeznaczenia. „Z powodu deszczu niektóre listy były czasem nie do odczytania – mówił jeden z żołnierzy natychmiast dodając, że i tak ich otrzymanie było dla nich wielkim wydarzeniem. – W dobrych czasach poczta docierała do nas może ze dwa razy w roku; rzadziej, jeśli sprawy szły w złym kierunku. A kiedy któryś z nas dostawał już list, nigdy nie był on jego prywatną sprawą: zbierał się wokół niego cały oddział, a on musiał czytać go na głos”[32].

Operacje sił amerykańskich i południowowietnamskich zmuszały jednostki AWP i WK do częstej i szybkiej zmiany lokalizacji swoich obozów. Młoda doktor Dang Thuy Tram opisywała smutek, z jakim musiała w pośpiechu opuszczać swoją górską placówkę. Mając z natury romantyczne usposobienie, szybko zaczęła ona darzyć uczuciem swój mały i prymitywny szpitalik: „Chyba nic nie napełnia mnie większym

smutkiem od tego spektaklu ewakuacji – widoku porzuconych domów, ogołoconych z mebli, pozbawionych życia. Tego popołudnia, kiedy wracam do kliniki z lasu, wróg jest już niedaleko – a ja spoglądam na te śliczne domki i moje serce wypełnia się nienawiścią (...). Tyle potu wylano, by położyć każdy z tych kamieni, by pokryć strzechy wiązkami słomy. Jeśli naprawdę będziemy musieli opuścić to miejsce, gdzież indziej dostaniemy równie dobre pomieszczenia do leczenia?”[33].

A rankiem następnego dnia długa kolumna bojowników, tragarzy i personelu medycznego wyruszyła w drogę, niosąc na plecach tyle materiałów opatrunkowych i leków, ile byli w stanie udźwignąć, a dodatkowo dźwigając na noszach chorych i rannych: „Z trudem wchodzimy pod górę, a pot zalewa nam twarze, ale nie śmiemy się zatrzymać na postój. Jesteśmy wszyscy tak wycieńczeni, że długo muszę namawiać niektórych ludzi, by wrócili na dół po trzy ostatnie nosze. Kiem, ranny żołnierz ze złamaną nogą, leży na ostatnich z nich (...). Wołam jedną ze swoich studentek, Ly – drobną dziewczynę – by pomogła mi go ponieść. Jest wielki – i stanowczo zbyt ciężki, byśmy dały radę we dwie go udźwignąć. Możemy (...) tylko pociągnąć go na niewielką odległość”[34]. Ostatecznie Tram znalazła dwóch partyzantów, którzy zanieśli Kiema do kryjówki. Następnego dnia, spoglądając w dolinę i widząc gęste kłęby dymu unoszące się znad ruin jej szpitala, dziewczyna zaczęła szlochać.

Przez cały czas trwania wojny siły amerykańskie i wojska Sajgonu podejmowały olbrzymie i bezskuteczne wysiłki w celu zniszczenia kwatery głównej NFW, zlokalizowanej zazwyczaj w niepozornym skupisku chat po którejkolwiek stronie granicy z Kambodżą. Po swoim zwolnieniu z więzienia Truong Nhu Tang udał się w dwutygodniowy marsz przez Deltę Mekongu właśnie do siedziby CBWP, wówczas znajdującej się na terenie plantacji kauczuku Mimot, przylegającej do tejże granicy w miejscu zwanym Fishhook (Obszar Haczyka): „Pierwszą oznaką tego, że wreszcie dotarłem do celu, była drewniana bariera umieszczona w poprzek szlaku, przy której znajdował się punkt kontrolny obsadzony jakimiś dziesięcioma strażnikami. Wzywano stamtąd z obozu żołnierzy przybywających na rowerach, którzy następnie prowadzili nowo przybyłych do chaty dla gości, jednej z wielu

dobrze zamaskowanych pod gęstymi koronami drzew w dżungli". Jak szybko przekonywali się owi nowo przybyli, również sam budynek kwatery głównej przypominał zwykłą chłopską chałupę: „Z bliska można było dostrzec system tuneli i bunkrów odchodzący z tego miejsca. CBWP było tak naprawdę, i to od zawsze, raczej organizacją ludzi, a nie miejscem (...), grupą przywódców, którzy wdrażali dyrektywy północnowietnamskiego politbiura i koordynowali operacje Partii z tymi prowadzonymi przez NFW"[35].

Wielkomiejscy partyjni luminarze, tacy jak on, mieli problemy z zaadaptowaniem się do warunków życia w dżungli, „niczym ścigane zwierzęta"[36]. Tang zabrał ze sobą jedynie dwie czarne piżamy, kalesony, siatkę na komary i kilka metrów kwadratowych plastikowej folii, mogącej służyć jako peleryna przeciwdeszczowa albo prowizoryczny dach podczas obozowania. Bojownicy WK dysponowali z reguły podobnym dobytkiem, z tym że nosili jeszcze przy sobie „słoniowe kiszki" – długie rulony z materiału, w które zawijali ryż, a całość przerzucali sobie przez ramiona podczas marszu. Pomagały one choć w części zaspokajać bezustannie towarzyszący im głód, a monotonną dietę uzupełniano, uprawiając ogródki warzywne i zabijając dzikie zwierzęta. A kiedy postój w jakimś miejscu się wydłużał, można było nawet przystąpić do hodowli świń czy kur, których mięso gotowano później na „kuchenkach Hoang Cama", określanych tak od nazwiska pewnego dowódcy partyzantów, który wymyślił poziomo poprowadzony komin rozpraszający dym. Przywódcom NFW zdarzało się od czasu do czasu skosztować mięsa słonia, tygrysa, dzikiego psa czy małpy, ale dysponującemu wyrobionym podniebieniem Tangowi żaden z tych przysmaków nie przypadł zbytnio do gustu. W odróżnieniu od pułkownika Ana mięso słonia opisywał on pogardliwie jako „gumowate i twarde niczym podeszwy starych butów"[37]. Znacznie bardziej smakowały mu wielkie ćmy żyjące w dżungli, które chwytano, kiedy przylatywały do światła latarń, a po odcięciu im skrzydeł pieczono na grillu.

Tang należał do licznej grupy komunistów – ale także Bogu ducha winnych wietnamskich, kambodżańskich czy laotańskich chłopów – dla których dominującym rysem wojny były powtarzające się naloty

bombowe B-52 w ramach operacji „Arc Light". CBWP oraz główne jednostki sił AWP otrzymywały zazwyczaj ostrzeżenia o takich atakach z sowieckich trawlerów operujących u wybrzeży Guam albo Okinawy i monitorujących starty amerykańskich maszyn; z kolei radary północnowietnamskie wychwytywały formacje nadlatujące znad Tajlandii. Dzięki temu wyżsi rangą działacze i ich współpracownicy mieli trochę czasu, by zebrać najpotrzebniejsze rzeczy i odrobinę ryżu, zanim oddalili się od możliwego celu ataku, czy to piechotą, czy na rowerze. Czasami jednak czas ten okazywał się niewystarczający. Tang pisał: „Ogłuszające odgłosy bum-bum-bum były coraz bliższe, a w dodatku wybuchy następowały w prostej linii wiodącej ku naszym pozycjom. Aż wreszcie cały ten kataklizm zwalił się i na nas, a wtedy wszyscy przypadli do ziemi – niektórzy z cichym krzykiem, inni z trudem opanowując napady gwałtownego drżenia kończyn. Wszędzie wokół nas ziemia wibrowała w spazmach, a my znajdowaliśmy się w samym środku tego piekła"[38]. Słychać też było modlitwy, przy czym tylko nieliczne do Lenina albo wujka Ho, a większość do Buddy.

„Nawet dochodzący z odległości tysiąca metrów świdrujący odgłos eksplozji dosłownie rozrywał bębenki w uszach, doprowadzając liczne ofiary do permanentnej głuchoty, zaś rozchodzące się wokół fale uderzeniowe odbierały niektórym przytomność. Bomba, która spadła w odległości 500 metrów, rozwalała ściany niewzmocnionego bunkra, grzebiąc tych, którzy szukali schronienia w jego wnętrzu (...). Podczas pierwszych kilku ataków B-52, których przyszło mi doświadczyć, czułem się, jakbym znalazł się w oku Apokalipsy: moje przerażenie sięgało zenitu. Odbierało ci wówczas wszelką kontrolę nad własnym ciałem, a w głowie tłukły się jedynie wykrzykiwane na cały głos rozkazy opuszczenia bunkra i rzucenia się do ucieczki". Podczas jednego z takich nalotów w siedzibie CBWP składała akurat wizytę jakaś sowiecka delegacja: rosyjscy goście nie kryli później zażenowania, bo u wielu z nich widoczne były ślady zmoczenia spodni. Tang zapisał: „Ci wizytujący ludzie doprawdy nie mieli się czego wstydzić; ich gospodarze nieraz przeżyli już bowiem to samo doświadczenie".

Czasami zdarzało się też, że Tang i jego koledzy wracali do CBWP po zakończeniu bombardowań tylko po to, by na miejscu przekonać się, że

z obozu nic w zasadzie nie zostało: „Wyglądało to tak, jakby przez dżunglę przeszła jakaś olbrzymia kosa i ścięła niczym źdźbła trawy gigantyczne drzewa tekowe czy inne leśne olbrzymy, a przy tym posiekała je na miliardy porozrzucanych wszędzie szczap. Po kompleksie chat nie pozostał choćby ślad: żywność, ubrania, zapasy, dokumenty, wszystko dosłownie wyparowało. W jakiś niesamowity sposób rzeczy, które jeszcze niedawno tu były, teraz przestały istnieć (...), leje po bombach były gigantyczne – szerokie na jakieś 10 metrów i niemal tak samo głębokie. W porze deszczowej szybko wypełniały się wodą, dzięki czemu potem świetnie nadawały się na stawy dla kaczek albo na akweny do zarybienia".

Za to, jak zauważył ten doświadczony partyjny działacz, po tym jak on sam i jego towarzysze przywykli już do bombardowań, początkowy szok i przerażenie ustępowały miejsca „skrajnemu fatalizmowi. Te B-52 w jakiś sposób nadawały życiu zupełnie inną perspektywę. Wielu z tych, którzy przeżyli ich atak, przekonywało się o tym, że później patrzyli już na wszystko ze znacznie bardziej pogodnej i filozoficznej perspektywy. Owa lekcja wystarczała nam naprawdę na długo, a mnie samemu więcej niż przy jednej okazji w przyszłości miała pomóc opanować się w obliczu bardzo prawdopodobnej śmierci".

3. ŻOŁNIERZE SAJGONU

Już po zakończeniu wojny pewien amerykański generał napisał, że jej wielką tajemnicą pozostaje to, dlaczego „wróg najwyraźniej walczył o wiele lepiej od Wietnamczyków z Południa"[39]. A Doug Ramsey powiedział: „Porównując przeciętnego oficera ARVN z jego odpowiednikiem z WK – o wiele bardziej zmotywowanym – z góry wiedziało się, że Południe miało niewielkie szanse"[40]. Wietkong stwierdzał z kolei drwiąco, że jedynymi beneficjentami reżimu w Sajgonie byli mnisi, dziwki, Amerykanie i generałowie[41]. Również na Południu byli jednak tacy Wietnamczycy, którzy gorąco wierzyli w swoją sprawę i twardo o nią walczyli, a przy tym lubili Amerykanów.

Pilot Tran Hoi powiedział: „Ujmowała mnie ich hojność, a już zwłaszcza ta okazywana przez amerykańskie lotnictwo. Za każdym razem, kiedy tylko czegoś potrzebowaliśmy, oni nam to dawali, nawet jeśli chodziło o zabawki dla naszych dzieci”[42].

Hoi latał na misje wspomagające ataki lądowe samolotem śmigłowym Douglas A-1 Skyraider, uzbrojonym w zestaw pocisków kaliber 2,75 cala i bomb o wadze niecałych 113 kilogramów, a także w działko kaliber 20 mm. W słoneczne dni kokpit i metalowe wnętrze maszyny były tak rozgrzane, że z trudem był w stanie wsiąść na pokład, by dokonać rozruchu silnika przed startem. W locie można już jednak było odczuć cudowny chłód: Hoi uwielbiał zresztą sam fakt szybowania w powietrzu, czasami na niskich wysokościach, dochodzących do zaledwie 15 metrów, kiedy trzeba było ścigać cele na ziemi. Twierdził, że nie miał problemu z codziennym ostrzeliwaniem ludzi z powietrza, bo czuł, iż walczy po właściwej stronie. Pewnego dnia, po otrzymaniu rozkazu zaatakowania jakiegoś skupiska chat, Hoi najpierw przeleciał nad nim, po czym zaraportował do bazy, że nie widzi tam żadnych nieprzyjaciół, lecz jedynie pojedynczego człowieka wyprowadzającego psa. Ale w radio usłyszał w odpowiedzi, że wywiad potwierdza obecność w tym miejscu komunistów, po czym powtórzono rozkaz ataku. Bez dalszej zwłoki Hoi zrzucił wówczas swój ładunek napalmu: „Dobrze wiedziałem, jak przebiegli potrafią być komuniści”[43].

Innego dnia on i jego skrzydłowy otrzymali rozkaz zaatakowania dużej dżonki pływającej po ujściu Mekongu. Szybko zauważyli cel, oznakowany flagą Sajgonu. Kiedy jednak o tym donieśli, usłyszeli: „Zignorować – to tylko wybieg”. Hoi przeszedł w lot nurkowy i wystrzelił dwie rakiety, które eksplodowały na rufie łodzi. Po chwili spod pokładu zaczęły wybiegać odziane na czarno postacie, po czym jedna po drugiej wyskakiwały za burtę, w brązowy nurt rzeki. Hoi zanurkował ponownie i ostrzelał je z działka. Tymczasem jego skrzydłowy, choć również wykonał zwrot do ataku, nie wystrzelił później ani razu. Była to jego pierwsza misja bojowa, a on, cały w emocjach, powtarzał tylko przez radio: „Nie mogę tego zrobić! To zbyt okrutne!”. Kiedy już wracali do bazy po zakończonej misji, Hoi ofuknął go przez radio: „To jest nasze zadanie. Nie jesteśmy tu dla

przyjemności. Albo zaczniesz je wykonywać, albo lepiej od razu poproś o przeniesienie". Jego młody towarzysz walki już nigdy potem się nie zawahał.

Jako pilot VNAF Tran Hoi niewątpliwie znajdował się w uprzywilejowanej pozycji. Główny ciężar tej wojny ponosili jednak żołnierze, z których większość przejmowała się przede wszystkim tym, by przetrwać. Wietnamscy oficerowie odpowiadali na wysuwane przez amerykańskich doradców propozycje podjęcia bardziej agresywnych działań: „Nie, nie da się. Dużo niebezpieczeństwa"[44]. Sierżant Mike Sutton uczestniczył kiedyś w nocnej operacji z grupą Sił Regionalnych, której żołnierze podczas marszu bezustannie pobrzękiwali menażkami i manierkami, do czego dochodziły odgłosy wydawane przez niesione przez nich żywe kury. A kiedy Amerykanin zaproponował, by na czas akcji zostawili oni za sobą całą tą menażerię i kuchenne wyposażenie, ich oficer zaprotestował, że przecież muszą mieć co jeść i na czym to ugotować: „Rzecz jasna chodziło wcale nie o to, ale o celowe narobienie hałasu, by odpowiednio wcześniej ostrzec ludzi z WK i mieć pewność, że nie dojdzie do żadnego spotkania z nimi"[45]. Preston Boyd, oficer medyczny w jednostce Suttona, był Indianinem z plemienia Siuksów, który nosił ze sobą szwedzki pistolet maszynowy model K i lubił sobie z niego postrzelać. Po kilku nocnych starciach, podczas których ludzie z SR po prostu rzucali swoją broń na ziemię i uciekali, Boyd zwrócił się do nich z całą powagą: „Zróbcie to jeszcze raz dziś w nocy, a sam was powystrzelam".

Trudno się jednak było dziwić właśnie takiemu ich zachowaniu. W powieści *Paragraf 22* Josepha Hellera pojawia się pewien nawracający motyw: ilekroć jakiś lotnik sądzi, że jest już bliski osiągnięcia liczby przeznaczonych mu misji, jego szalony oficer dowodzący liczbę tę zwiększa. Poborowi w Wietnamie Południowym stali w obliczu jeszcze gorszej konieczności: w ogóle nie mieli nadziei na wyrwanie się z piekła walk; musieli wciąż walczyć i walczyć, u boku Amerykanów, którym pozwalano wrócić do domów po upływie roku. Przez machinę szkoleniową Sajgonu przeszło 159 138 rekrutów w roku 1966, a już 503 740 zaledwie cztery lata później. Dezercje były na porządku dziennym, najwięcej zaś, jak w przypadku każdej wojny, zdarzało się ich

tam, gdzie żołnierzom groziło największe niebezpieczeństwo – w piechocie. Pochwyceni dezerterzy podawali jako powody swojej ucieczki, w kolejności ważności: tęsknotę za domem, niechęć do walki, osobistą antypatię do zwierzchnika, niemożność wspierania swojej rodziny[46]. Wypłacany walczącym żołd był żałośnie niski – szeregowy zarabiał zaledwie połowę tego, co cywilny robotnik fizyczny, a jeden pocisk kaliber 105 mm kosztował więcej, niż wynosiły miesięczne pobory majora. W okresie od 1964 do 1972 roku ceny dóbr konsumpcyjnych wzrosły dziewięciokrotnie, a ryżu aż dwunastokrotnie, gdy tymczasem żołd w armii ledwie się podwoił. Pewien porucznik wyznał: „Nigdy nie myślałem o ożenku, bo też nigdy nie wiedziałem, kiedy mogę zginąć, a nie chciałem zadawać ukochanym niepotrzebnego bólu. Z tego samego powodu żadna dziewczyna, która miała taki wybór, nie decydowała się wyjść za żołnierza”[47].

Bogaci Wietnamczycy na obiad jadali kraba albo zupę mięsno-makaronową, smażoną rybę, przyprawiony stek czy potrawkę z kaczki z ryżem, a na deser raczyli się owocem lotosu nadziewanym orzechami. Ich gorzej sytuowani rodacy nie mieli już dostępu do takich frykasów, ale rzadko przymierali głodem. Najgorzej odżywiali się jednak ci, którzy służyli swojej ojczyźnie w mundurach. Głód był nieodłącznym towarzyszem żołnierza, i to nawet w koszarach, bo oficerowie rozkradali większość racji ryżu należnych ich podkomendnym. Wielu służących w wojsku ludzi dorabiało sobie na boku jako taksówkarze, nauczyciele czy robotnicy budowlani. Pewien amerykański doradca odkrył ze zdumieniem, że zawsze wtedy, gdy on wyjeżdża na akcję w terenie, przydzielony mu przez ARVN kierowca „wypożycza” używanego przez nich jeepa. Problemy ze związaniem końca z końcem mieli nie tylko żołnierze, ale również oficerowie, którzy argumentowali: „Przecież nie możemy walczyć o pustym żołądku, prawda? (...) Aby móc postępować we «właściwy sposób» – czyli być uczciwym człowiekiem – najpierw trzeba się najeść”[48]. Racja żywnościowa na jeden posiłek przewidziana dla amerykańskich żołnierzy uczestniczących w walce zawierała 3800 kalorii, co stanowiło niemal dwukrotność dziennej wartości kalorycznej przyznawanej żołnierzom Południa, przy dość ryzykownym założeniu, że którykolwiek z nich otrzymywał choćby tyle.

Pewien generał opisywał, jak jego porucznicy zabierali do domu większość wydawanych im racji, by móc nakarmić swoje rodziny: „Widziałem, jak instruktorzy szkolący żołnierzy piechoty pakowali do swoich plecaków jedną kromkę suchego chleba albo jedną małą kulkę kleistego ryżu przed rozpoczęciem długich i wyczerpujących ćwiczeń w polu. Tylko tyle mogli ze sobą zabrać i musiało im to wystarczyć za śniadanie i za obiad (...). Wielu [oficerów] ciężko się zadłużyło, tylko po to, by móc wyżywić swoje rodziny”[49]. Na samym szczycie wojskowej piramidy sprawy miały się jednak zgoła inaczej: niektórzy generałowie sprzedawali nieprzyjacielowi maszyny do pisania, papierosy, hondy, a nawet miny Claymore i granaty. Jak to ujął pewien działacz NFW: „Całkiem niemało amerykańskich żołnierzy zginęło od min zakupionych od ich towarzyszy z ARVN”[50]. Komuniści niechętnie patrzyli za to na karabiny M-16, najwyraźniej podzielając opinię Amerykanów o wyższości modelu AK-47, ale wykupywali na pniu wszelkie radiostacje PRC-25, które tylko im oferowano.

Jeśli chodzi o zdrowie żołnierzy Sajgonu, to więcej z nich zapadało na cholerę albo malarię niż ginęło w walce. Pielęgniarka Phyllis Breen, zakładając pewnego dnia cewnik jakiemuś południowowietnamskiemu żołnierzowi, z przerażeniem dostrzegła u niego ogromnego tasiemca[51]. W roku 1966 w całym kraju było zaledwie tysiąc lekarzy, z których siedmiuset zostało powołanych do służby w armii. Mimo to warunki panujące w wojskowych szpitalach były tak straszliwe, że wielu żołnierzy wolało o własnych siłach dokuśtykać jakoś do domu niż ryzykować „leczenie” w takich placówkach. Na brak obłożenia nie narzekał za to wojskowy ośrodek dla paraplegików w Vung Tau, gdzie wszystkie łóżka zapełnione były właściwie na stałe przez tę samą grupę około pięciuset okaleczonych żołnierzy, którzy po prostu nie mieli dokąd pójść. W przypadku śmierci żołnierza w walce jego najbliżsi, oprócz opłakiwania ukochanego, musieli się dodatkowo zmierzyć z całkiem przyziemnymi problemami. Kiedy Ngo Thi Bong pojechała po ciało swojego starszego syna Vana poległego podczas jednej z operacji ARVN, na miejscu dowiedziała się, że jego śmierć nastąpiła wskutek bliskiego wybuchu bomby moździerzowej, wobec czego musiała ona sama pozbierać jego porozrywane członki do worka na śmieci. Niestety,

pomimo najszczerszych starań nie udało jej się nigdzie znaleźć jego lewej ręki. Oznaczało to, że według nauczania buddystów, dusza młodego Vana miała się odtąd przez całą wieczność błąkać i opłakiwać swoją utraconą kończynę[52].

Żołnierz armii Wietnamu Południowego (ARVN) niesie na ramionach towarzysza broni rannego w potyczce z Wietkongiem, 1970 rok

Brytyjski dziennikarz Richard West napisał w roku 1967: „Kiedy słuchasz wystąpień Amerykanów, Koreańczyków czy Australijczyków, a następnie wysłuchasz, co mają do powiedzenia Wietnamczycy, z miejsca uderza cię jedna zasadnicza różnica. Cudzoziemcy są pełni zapału i energii. Wietnamczycy sprawiają zaś wrażenie, jakby na niczym im już nie zależało. Tak długo panowali nad nimi obcy,

z jakiejkolwiek bądź nacji, że Wietnamczycy są już nimi wszystkimi po prostu zmęczeni”[53]. Było to bez wątpienia nadzwyczaj celne spostrzeżenie – ale tylko w odniesieniu do Południowców. W szeregach Północy nie brakowało bowiem zdeklarowanych rewolucjonistów jak doktor Dang Thuy Tram. Pewnego wieczora trafiła ona do opuszczonej wioski, niedawno zniszczonej przez Amerykanów. Wieśniacy, w towarzystwie których rozłożyła obóz, nie mieli nawet dość paliwa do rozpałki, by przyrządzić sobie ryż. A mimo to Tram napisała z uporem: „Nie jesteśmy pokonani; może i wróg spalił ten dom, ale my zbudujemy kolejny. To nic trudnego. Wystarczy nam kilka palmowych liści. Podczas wojny do życia potrzeba naprawdę niewiele, bo też życie kręci się wyłącznie wokół walki i pracy. Potrzeba nam tylko garnuszka z ryżem i marynowaną rybą; plastikowej folii, którą można wyścielić schron przeciwbombowy; ubrań i soli, ułożonych starannie w dwóch koszykach, które można w jednej chwili zarzucić na ramiona i zabrać ze sobą, kiedy tylko pojawi się wróg”[54].

Dang Thuy Tram zdawała się czerpać jakąś wewnętrzną siłę z ciężkich doświadczeń, które były jej udziałem: podobnie jak u wielu młodych ludzi na każdej wojnie jej emocje narastały wraz z kolejnymi trudnościami, aktami poświęceń i niebezpieczeństwami. Czy można ją zresztą winić za dostrzeganie również i takiej, romantycznej strony swojego położenia? Należy przy tym pamiętać, że już od kołyski poddawana ona była politycznej indoktrynacji, wobec czego ta łatwowierna młoda kobieta nawet nie próbowała kwestionować ideałów czy metod „swojej” rewolucji. Gdyby jednak jakimś sposobem dziennik Tram wpadł w ręce Lyndona Johnsona czy Williama Westmorelanda, nie mogliby się oni zapewne oprzeć wrażeniu, że z podobnie silnym przeświadczeniem o słuszności i powodzeniu swojej sprawy nie mógłby pisać żaden Wietnamczyk z Południa.

18
Ofensywa Tet

1. PRELUDIUM

Tamten chiński Nowy Rok miał się stać datą, która wyryła się już na zawsze w pamięci każdego Wietnamczyka czy Amerykanina obecnego wówczas w Wietnamie, a pytanie: „Co robiłeś w Tet?", odnosiło się już odtąd tylko do dnia 30 stycznia 1968 roku i do tygodni, które nastąpiły zaraz po nim. Osobistą odpowiedzialność za przeprowadzenie ofensywy na Wietnam Południowy, która miała się skończyć całkowitą porażką i katastrofalnymi stratami, ponosił sam Le Duan. To właśnie ten przywódca Północy przewidywał bowiem w następstwie swojej ofensywy wybuch powszechnego powstania, mającego wesprzeć sprawę komunistów, a tymczasem na ich wezwanie za broń chwyciło zaledwie kilkuset Południowców. W każdym otwartym społeczeństwie fiasko o tak olbrzymich rozmiarach skutkowałoby niechybnie upadkiem jego architekta oraz całkowitym zrujnowaniem jego wiarygodności i reputacji. Tymczasem przyspieszyło ono załamanie się prezydentury Lyndona Johnsona, jak również doprowadziło do osłabienia woli dalszej walki aż do zwycięstwa w narodzie amerykańskim. Ofensywa Tet okazała się bowiem szokującym przejawem pewnej ważnej prawdy odnoszącej się do toczonych współcześnie wojen: o ich powodzeniu czy porażce nie decydują jedynie, a może nawet przede wszystkim, kryteria czysto wojskowe. Kluczowy jest odbiór wydarzeń przez opinię publiczną, a pod tym akurat względem starcia z lutego 1968 roku stały się dla amerykańskich wysiłków wojennych prawdziwą wizerunkową katastrofą. Oto bowiem już sam fakt okazania przez komunistów siły wystarczającej do najechania Wietnamu Południowego oraz pogrążenia

go w wojennym chaosie i zniszczeniach, nawet jeśli dotknęły one w największej mierze ich samych oraz bezradnych cywilów, uznany został powszechnie za ogromny triumf Północy.

Opowieść o Tet należy jednak zacząć wcześniej, na początku lata 1967 roku, kiedy to doszło do zażartych przepychanek na szczytach władzy wśród członków centralnego komitetu wojskowego w Hanoi. Jeszcze w poprzednim roku zgodzono się, że należy dążyć do wzniecenia „powszechnej insurekcji-powstania" na Południu, kiedy tylko pojawią się po temu sprzyjające warunki. I oto Le Duan, Le Duc Tho oraz Nguyen Chi Thanh – szef CBWP, stwierdzili teraz, że taka pora właśnie nadeszła, a tym samym zaczęli głośno argumentować za przeprowadzeniem decydującego uderzenia. Tymczasem Giap wraz z jeszcze jednym starszym generałem i mocno już osłabionym Ho Chi Minhem skłaniali się raczej ku utrzymywaniu dotychczasowego tempa działań, a jednocześnie ku dążeniu do podjęcia negocjacji z Amerykanami. Ostrożność Ho wynikała z jego obaw o ciężkie straty, które mogłyby osłabić strategiczne położenie komunistów w obliczu przedłużającej się walki, jaka – o czym był on przekonany – jeszcze ich czekała. W Wietnamie znajdowały się już bowiem 492 tysiące żołnierzy amerykańskich, a dodatkowo 61 tysięcy członków kontyngentów wystawionych przez kraje sprzymierzone, 342 tysiące ludzi ARVN i 284 tysięcy członków milicji SR i SL – te dwie ostatnie formacje odpowiedzialne były zresztą za ponad połowę wszystkich strat w ludziach podczas działań wojennych. Siły owe wspierało ponadto 2600 samolotów, 3000 helikopterów i 3500 pojazdów opancerzonych.

Tyle że „jastrzębie" dążące do rozegrania „wielkiej bitwy" powoływały się na raport ministra spraw zagranicznych Północy, który podkreślał wzrastającą siłę wewnętrznej opozycji antywojennej w Ameryce: w komunistycznych ulotkach propagandowych wykorzystywano już zresztą od jakiegoś czasu antywojenne karykatury zamieszczane w amerykańskiej prasie. Jednocześnie zaś minister ten opowiadał się za dwutorową strategią „walk i rozmów". Sam Le Duan nie odrzucał zupełnie koncepcji negocjacji, argumentował jedynie, że tego rodzaju proces winien się zacząć dopiero po jakiejś spektakularnej demonstracji siły i woli ze strony komunistów. Jeden z członków misji NFW w Hanoi

powiedział wówczas pewnemu rosyjskiemu dyplomacie: „Rozmowy zaczną się wówczas, kiedy albo Amerykanie zadadzą nam jakąś klęskę, albo my zadamy jakąś klęskę im. Wszystko i tak rozstrzygnie się na polu bitwy”[1]. Kto wie, czy nie decydującym momentem w tej rozgrywce okazał się dzień, w którym generał Van Tien Dung, przez piętnaście lat pełniący funkcję zastępcy Giapa i najwyraźniej zmęczony już podległością wobec swojego wymagającego przełożonego, zdecydował się zmienić front i przystąpił do obozu Le Duana, popierając jego projekt ofensywy Tet. Później miał on zresztą nakreślić większość działań planistycznych, które okazały się bardzo chaotyczne – czemu trudno w zasadzie się dziwić, zważywszy na to, że generał wywodził się z rodziny chłopskiej, całą młodość spędził, pracując w zakładach dziewiarskich, i do końca życia nie nauczył się dobrze pisać i czytać.

Do czerwca „frakcja postępowa” uzyskała już wyraźną przewagę, doprowadzając do przyjęcia „Planu 67–68”. Uchwała komitetu wojskowego nr 13 dekretowała z kolei „zmasowany wysiłek (...) w celu odniesienia decydującego zwycięstwa”. Zarówno Rosjanie, jak i Chińczycy przestrzegali przed podejmowaniem tego rodzaju działań, ale – jak powiedział później pewien oficer AWP – „Jeśli chcieliśmy zwycięstwa, walka partyzancka musiała się wreszcie przekształcić w wojnę konwencjonalną na pełną skalę”[2]. Le Duan przewidywał, że „za broń chwyci dla nas pół miliona ludzi”. Ale 6 lipca zasłabł, a następnie zmarł w Szpitalu Wojskowym nr 108 w Hanoi szef CBWP, Thanh, doznawszy niemal z całą pewnością zawału serca po wystawnej kolacji pożegnalnej wydanej na jego cześć przed powrotem na Południe. Wkrótce potem zaś Giap wyjechał na Węgry, by tam podleczyć swoje kamienie nerkowe. Wreszcie, 5 września, niedomagający Ho Chi Minh poleciał do Pekinu na „odpoczynek”. Nie ma żadnych przesłanek, by podejrzewać, że wszystkie te nieobecności stanowiły część jakiegoś planu „maskującego”; wydaje się raczej, że świadczyły one o dużej pewności siebie i dominacji Le Duana. A kiedy Ho wrócił do kraju 21 grudnia, szczegółowe plany ofensywy „Quang Trung” były już w zasadzie na ukończeniu.

Przez całą zimę 1967 roku Wietkong przypuszczał znaczące ataki, by utrzymywać swoich ludzi w gotowości bojowej, ale także testować

wytrzymałość wroga przed nadejściem „wielkiego natarcia". I tak 29 października doszło do starannie zaplanowanej napaści na Loc Ninh, a wkrótce potem do kolejnej, na Dak To. W nocy 4 listopada dwa bataliony, przy wsparciu moździerzy, najechały na ośrodek prowincji Cai Lay, a w akcji tej zginęło 56 broniących się żołnierzy i cywilów, po stronie komunistów zaś 36 bojowników. Łapani wówczas uciekinierzy z WK i AWP mówili przesłuchującym im przedstawicielom rządu w Sajgonie, że komuniści rozpoczęli masową rekrutację, przygotowując się do ofensywy, która „okryje chwałą NFW"[3]. Z kolei Ba Me, czterdziestoparoletni bojownik analfabeta, powiedział pewnemu wieśniakowi w Delcie, że rok 1968 miał się okazać decydujący dla losów wojny. Tyle że Me już wcześniej wyrobił sobie jak najgorszą reputację wśród swoich przełożonych, a to sprzeniewierzając fundusze, a to gwałcąc kobiety na wsiach, za co udawało mu się unikać kary wyłącznie ze względu na dużą skuteczność na polu bitwy. Można zatem wybaczyć oficerom wywiadu, do których w końcu dotarły jego przechwałki, że nie przejęli się nimi zbytnio, biorąc je za kolejne puste obietnice składane przez rozmaitych watażków z WK właściwie bezustannie.

Współpracownicy Giapa już do końca życia nosili w sobie przeświadczenie, że generał nie spieszył się z powrotem z Węgier z obawy o własną wolność po przybyciu do ojczyzny[4]: w drugiej połowie 1967 roku w Hanoi doszło do kilku istotnych przetasowań, w wyniku których kilku z jego najważniejszych podwładnych w praktyce odsunięto od realnych wpływów. Zatrzymano pewnego ważnego pułkownika pełniącego funkcję osobistego szefa sztabu Giapa; zwolniono dyrektora operacji wojskowych i dyrektora wywiadu, a wraz z nimi około 30 innych znaczących osób, w tym byłego osobistego sekretarza Ho Chi Minha i byłego zastępcę ministra obrony, których oskarżono o zbrodnie takie jak „rewizjonizm" czy „spiskowanie przeciwko politbiuru". Jak się wydaje, owe trzy fale czystek z roku 1967, które nastąpiły kolejno w lipcu, październiku i grudniu, miały znacznie więcej wspólnego z ideologicznym rozłamem na linii Chiny–Sowieci aniżeli z różnicą zdań w sprawie Tet, ale tak czy inaczej ich rezultatem było wymiecenie ze struktur władzy większości sojuszników Giapa. Sam

generał zachował wprawdzie miejsce w politbiurze, lecz znacząco okrojono jego wpływy.

Dokładnie to samo można było powiedzieć o Ho Chi Minhie, liczącym sobie teraz już siedemdziesiąt lat. Po zorganizowanej 28 grudnia specjalnej naradzie w sprawie powstania, odbywającej się w budynku przylegającym do domku Ho, pewien naoczny świadek zaobserwował, jak ów sędziwy człowiek kuśtykał powoli do domu, wyglądając na mocno złamanego i nieszczęśliwego. Już trzy dni później wrócił on do Pekinu na kolejną serię zabiegów medycznych, a tym samym był nieobecny podczas spotkania na szczycie poprzedzającego ofensywę, zwołanego w styczniu w miejscu oddalonym o 50 kilometrów od Hanoi, gdzie Le Duan wyłuszczył w szczegółach swój plan. Decyzja o przeprowadzeniu tego ataku w dniu Tet zapadła ostatecznie 15 stycznia, niewątpliwie z celowym naruszeniem zwyczajowego świątecznego zawieszenia broni, przestrzeganego dotąd przez NFW. Ponadto, z zadziwiającą dla siebie niestarannością, Smoczy Dwór nie raczył zauważyć, że w ramach całkiem niedawno wprowadzonego rewolucyjnego systemu liczenia świąt, zarysowała się dwudziestoczterogodzinna różnica w nadejściu Nowego Roku na Północy – co zadekretowano na 29 stycznia – i na Południu – co miało nastąpić dopiero 30 stycznia. W rezultacie doszło do zamieszania, w którym atakom w ramach ofensywy Tet brakowało synchronizacji: część z nich zaczęła się wcześniej, a część później.

25 stycznia 1968 roku Giap wybrał się z Budapesztu do Pekinu, by tam skonsultować się z Ho, choć nie wiadomo, co wówczas sobie powiedzieli. Do kraju generał powrócił wreszcie pięć dni później, a tam został wtajemniczony w plan przez nowego szefa operacji wojskowych. Przystał na realizację tego planu, ale jeszcze długo nie mógł się pogodzić z umniejszeniem swojej pozycji[5]. Przystąpiono do wysyłki na Południe wydrukowanych wcześniej nowych banknotów NFW, opatrzonych kryptonimem „towary 68”. Pchnięto tam też Le Duc Tho jako nowego zastępcę sekretarza Partii w CBWP, które to stanowisko miał piastować aż do maja. Wreszcie posłano dwóch generałów, by zapoznali ze szczegółami planu jednostki Wietkongu.

Podstawowym celem „Generalnej Ofensywy-Powszechnej Insurekcji Tet" („Tet General Offensive-General Insurrection")[6] miało być zniszczenie trzech z czterech dywizji ARVN, a tym samym odebranie wszelkiej wiarygodności reżimowi w Sajgonie. Plan ten, zawierający w sobie więcej fantastyki niż jakikolwiek analogiczny dokument stworzony czy to w Pentagonie, czy w MACV, wzywał do „unicestwienia" 300 tysięcy „marionetkowych żołnierzy" wraz likwidacją 150 tysięcy Amerykanów, a także obiecywał „wyzwolenie" 5–8 milionów ludzi żyjących na obszarach miejskich Południa. Miało też dojść do żywiołowych ataków na wsi, poprzedzających samą ofensywę Tet, których celem było wyciągnięcie sił amerykańskich i ARVN z ośrodków miejskich. Do sektora północnego skierowano cztery dywizje AWP, od Khe Sanh na zachodzie aż po obszary w pobliżu wybrzeża, z zadaniem „unicestwienia" od 20 do 30 tysięcy żołnierzy wroga, w tym od pięciu do siedmiu batalionów amerykańskiej piechoty. Niektórzy oficerowie od samego początku zwracali uwagę na ogromne trudności wynikające z konfrontacji z nieprzyjacielem dysponującym zmasowaną siłą ognia. Generał Tran Van Tra powiedział później: „Strategiczne cele, jakie sobie wyznaczyliśmy (...), były nierealistyczne: przy ich formułowaniu nie doszacowano reakcji i zdolności bojowych Stanów Zjednoczonych". Mimo to Le Duan był niewzruszony i nie chciał słyszeć o tym, że ofensywa może wcale nie doprowadzić do wzniecenia ludowego powstania. Zresztą, jak twierdził, już samo nabyte podczas niej doświadczenie miało opłacić się na przyszłość: „Zbrojne siły towarzysza Fidela Castro trzykrotnie atakowały miasta [na Kubie], zanim ostatecznie zatriumfowały". Gdyby zatem nawet powstańcom nie udało się przejąć południowowietnamskich miast, to „będą do nas należały cała wieś i wszystkie górskie dżungle".

William Westmoreland wkraczał w rok 1968 z pełną świadomością faktu, że komuniści szykowali coś dużego, tyle że nie miał pewności, co takiego miałoby to być. Telegram z MACV przestrzegał, że wróg wykazuje „nadzwyczajną energiczność" postępowania i najwyraźniej planuje „jakąś skoordynowaną ofensywę". Wciąż jednak pozostawał ten sam problem co zawsze: jak z aż nadto dobrze znanego zalewu rewolucyjnej retoryki wyłuskać prawdziwe zamiary Hanoi. Należy przy

tym pamiętać, że Amerykanie nic wówczas nie wiedzieli o postępującej w szybkim tempie marginalizacji Giapa. A mimo to już w listopadzie Joseph Hovey z CIA, od blisko trzech lat pełniący funkcję analityka w Sajgonie, przedstawił opracowanie tyleż błyskotliwe, co prorocze[7]. Przestudiował on protokoły przesłuchań jeńców wojennych, a następnie zestawił zawarte w nich informacje z raportami o zwiększonych dostawach zaopatrzenia po stronie wroga oraz o przyjmowaniu do formacji wojskowych Północy dzieci nawet w wieku czternastu lat. Istniały też dowody na zwiększoną działalność wywiadowczą komunistów w obrębie ARVN, w tym zdemaskowanie siedmioosobowej komórki WK, która zinfiltrowała jedną z jednostek Sił Regionalnych. Ponadto Amerykanie wiedzieli o dużych dostawach uzbrojenia z Chin – w dodatku tym razem nie były to zakupy, lecz darowizny – a także o nowym porozumieniu dotyczącym świadczenia pomocy, podpisanym z Moskwą 23 września.

Hovey zestawił ze sobą wszystkie te elementy i doszedł do wniosku, że komuniści zamierzają niedługo wywierać presję militarną w obszarach przygranicznych, po to by związać tam jak najwięcej sił sojuszniczych i „dać więcej przestrzeni WK/AWP w ich działaniach na obszarach zaludnionych". Prawdziwym ich celem, jak pisał ów analityk CIA, miało być jednak doprowadzenie do wybuchu „od dawna obiecywanego «powszechnego powstania». Aby to osiągnąć, WK/AWP wyznaczyły sobie zadanie zajęcia i utrzymania niektórych ośrodków miejskich w Wietnamie Południowym, a także odizolowania wielu innych (...) działania te miałyby złamać «wolę agresji» wśród Amerykanów i zmusić ich do zgody na wycofanie się z Wietnamu Południowego". Hovey dodawał, że jego zdaniem tak nakreślone przez komunistów cele są nierealistyczne, co jednak wcale nie oznaczało, że oni sami nie będą próbowali ich osiągnąć. Zasugerował też, że nawet w przypadku porażki militarnej, już sam fakt podjęcia takiej ofensywy w roku wyborczym w Stanach Zjednoczonych mógłby mieć negatywne skutki polityczne dla całej sprawy sojuszniczej.

17 listopada NFW zaproponował siedmiodniowy rozejm w związku ze świętem Tet, który w Sajgonie zinterpretowano jako chęć przeprowadzenia we względnym spokoju jakichś działań logistycznych

Wietkongu przed przystąpieniem do właściwej rozgrywki. W grudniu zaobserwowano znaczne wzmożenie ruchu ciężarówek na północnym odcinku Szlaku Ho Chi Minha: ich liczbę szacowano na 6 tysięcy, czyli dwukrotnie więcej niż w poprzednim miesiącu. A jednocześnie, jak twierdził później pewien komunistyczny działacz, w grudniu i styczniu nasilona „kampania likwidowania tyranów i szpiegów wyeliminowała trzysta osób”[8] – urzędników i ludzi popierających rząd Wietnamu Południowego. 19 listopada analityk MACV James Meacham napisał: „Mówi się, że WK zamierza wkrótce podjąć jakąś zmasowaną akcję terrorystyczną przeciwko sajgońskim Amerykanom i kontynuować ją aż do Tet. Nasi odpowiednicy w ARVN wydają się bardzo przejęci – to chyba pierwszy raz za naszej pamięci, kiedy aż tak mocno to okazują. Nie jest to dobry znak, ponieważ znają oni WK nieporównanie lepiej od nas”[9]. Atmosfera alarmu wśród Wietnamczyków z Południa wynikała między innymi stąd, że całkiem niedawno przechwycili oni pewien dokument, z którego wynikało, że Wietkong posiada szczegółową wiedzę nie tylko na temat struktury wydziału wywiadu w Sajgonie, ale nawet w zakresie rozkładu pomieszczeń w jego siedzibie – kwestię tę już od ubiegłego sierpnia rozpracowywała spora grupa agentów komunistycznych, w dużej mierze składająca się z kobiet, pozyskując wiele cennych informacji dotyczących infrastruktury.

1 stycznia 1968 roku w Radio Hanoi nadano wiersz napisany przez Ho Chi Minha: „Ta wiosna piękniejsza jest niźli wszystkie poprzednie / Przez cały kraj idą szczęśliwe fale triumfów / Naprzód! A nasze będzie pełne zwycięstwo”. A 5 stycznia MACV ujawniła dokument przechwycony jeszcze w listopadzie, który głosił: „Nadszedł już czas na generalną ofensywę, a wraz z nią w zasięgu ręki będzie szansa na powszechne powstanie (...). Przeprowadzać bardzo silne ataki wojskowe, koordynując je z powstaniami wśród lokalnej ludności w celu przejmowania miast i miasteczek”. Tego samego dnia wojska amerykańskie przechwyciły rozkazy ataku w święto Tet w prowincji Pleiku. A 22 stycznia Westmoreland przestrzegł Biały Dom, że komuniści mogą spróbować zorganizować jakiś pokaz siły jeszcze nawet przed samym Tet. Z kolei następnego dnia Korea Północna zaaresztowała załogę okrętu nasłuchu elektronicznego amerykańskiej

marynarki wojennej Pueblo, pływającego nieopodal jej wybrzeży, co doprowadziło do krótkotrwałego kryzysu, który miał na jakiś czas odwrócić uwagę amerykańskiego rządu. Do dziś trwają spekulacje, czy incydent ten został rzeczywiście celowo wyreżyserowany przez obóz komunistyczny, i wydaje się to wersją całkiem prawdopodobną: z całą pewnością wiemy, że Pekin zachęcał Pjongjang do jakiejś prowokacji wobec Waszyngtonu.

Pewien amerykański jeniec eskortowany wówczas na północ Szlakiem Ho Chi Minha zapamiętał, że po drodze mijały ich jednostki AWP zmierzające na południe, by przyłączyć się do ofensywy, a ich żołnierze odziani byli w nowe zielone mundury, obuci zaś w tenisówki, a nie zwyczajowe sandały z gumowymi podeszwami wyciętymi z opony. „Wszyscy wydawali się dziarscy, zdrowi, zdeterminowani i pewni siebie”[10]. Jeden z nich, niosący koła od haubicy kaliber 75 mm, pochwalił się nawet, że był weteranem spod Dien Bien Phu – zażartował przy tym, że wzgórza wydawały mu się teraz większe i bardziej strome niż w roku 1954. A jednocześnie z dumą podkreślał, że niektórzy młodsi od niego nieśli ładunki o wadze blisko 50 kilogramów, czyli – jego zdaniem – znacznie przekraczającej możliwości tragarzy Wietminhu podczas kampanii przeciwko Francuzom. Amerykanin postanowił zapytać go o opinię AWP o żołnierzach nieprzyjaciela, a zwłaszcza o swoich rodakach. W odpowiedzi usłyszał, że wprawdzie Amerykanie z zapałem się do czegoś zabierają, ale z czasem zapał ten zaczyna im przechodzić. Uznawał on zwłaszcza marines za świetnych wojowników, ale generalnie uważał, że żaden Amerykanin nie może się równać z żołnierzami AWP pod względem motywacji i doświadczenia. W całej tej sytuacji jeńca uderzył pewien znamienny fakt: ani przez chwilę wróg nie okazał mu oznak jakiejś osobistej niechęci. Kiedy obaj odchodzili już w swoją stronę, przyszło mu jednak na myśl, że to akurat może się zmienić wraz z pierwszym nalotem B-52.

Kiedy do dużej amerykańskiej bazy wojskowej zlokalizowanej w pobliżu granicy z Laosem przybył kontyngent marines, przysłany w celu wzmocnienia obsady garnizonu, na sąsiedniej plantacji kawy z krzaków zwisały ciężkie, dorodne ziarna. Nowo przybyli najpierw przywitali się z uzbrojonym w karabin żołnierzem patrolującym teren

bazy w pobliżu pasa startowego. „Hej, człowieku, jak nazywa się to miejsce?" – w odpowiedzi usłyszeli: „To jest Khe Sanh, a wy tej nazwy już nigdy nie zapomnicie"[11]. Pierwszym znaczącym wydarzeniem w roku 1968 miał być atak komunistów na ten skrawek odkrytej, czerwonawej ziemi, „gołej niczym rana w dżungli"[12], a obsadzonej garnizonem na osobisty rozkaz Westmorelanda, wbrew przestrogom dowódców marines sprawujących nad nią kontrolę.

Choć wojna trwała już wówczas dość długo, to kiedy 304. Dywizja AWP otrzymała rozkaz wymarszu na Południe w listopadzie 1967 roku, by tam spotkać swoje przeznaczenie w postaci wrogich Amerykanów, niewielu z jej oficerów czy żołnierzy mogło się pochwalić jakimś znaczącym doświadczeniem bojowym. W nocy 2 stycznia dowództwo 9. Pułku podjęło nadzwyczaj niebezpieczną próbę zorganizowania wypadu zwiadowczego: grupa żołnierzy w amerykańskich mundurach miała podejść pod wysunięte stanowiska Khe Sanh umiejscowione przy dawnej francuskiej Drodze nr 9, wiodącej z Laosu ku wybrzeżu. Po drodze zwiadowcy głośno ze sobą rozmawiali, a jeden z nich nawet śpiewał. Broń mieli przewieszoną przez ramię. W pobliżu rzeki Tchepone napotkali pierwszych Amerykanów, którzy odezwali się do nich po angielsku, a nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, otworzyli ogień. W strzelaninie zginął szef sztabu pułku i zastępca dowódcy batalionu saperów. Z kolei oficer dowodzący pułku zniknął bez śladu, a odnaleziono go dopiero później, ciężko rannego w gęstwinie krzaków, gdzie wdepnął na minę[13].

Przy tejże Drodze nr 9, choć zwykle bardziej na wschód, często wcześniej dochodziło do starć z komunistami, którzy zwykli przygotowywać zasadzki na konwoje Amerykanów i żołnierzy ARVN, a także atakować umiejscowione wzdłuż niej pomniejsze bazy i stanowiska strzelnicze, tak iż Khe Sanh stało się z czasem zależne od zaopatrzenia powietrznego. Dwie dywizje AWP[14] wysłane teraz w ten rejon miały za zadanie ściągnąć na siebie uwagę sił amerykańskich, a przede wszystkim zmniejszyć ich koncentrację wokół leżącego nieco dalej na wschód Hue, kluczowego celu podczas zbliżającej się ofensywy, ponieważ miasto to stanowiło symbol narodowości wietnamskiej. Dwie kolejne dywizje z Północy skierowano natomiast do sektora Cua Viet

w pobliżu wybrzeża. Po raz pierwszy w tej wojnie Smoczy Dwór zdecydował się też posłać czołgi jako wsparcie dla swoich formacji lądowych. Plan zakładał początkowo rozpoczęcie ataków dopiero pod koniec lutego, toteż komunistyczni dowódcy byli mocno skonsternowani, kiedy rozkazano im wyruszyć miesiąc wcześniej: do tego czasu nie zdążyli nawet zgromadzić wystarczających zapasów amunicji i ryżu.

Obie dywizje AWP skierowane pod Khe Sanh z miejsca rozpoczęły ostrzał artyleryjski tego garnizonu marines – liczącego ostatecznie 6 tysięcy ludzi – w związku z czym korzystanie z pasa startowego stało się mocno ryzykowne. Przez cały styczeń i luty właśnie oblężenie tej bazy stanowiło główny temat doniesień medialnych na całym świecie. Westmoreland zasugerował nawet, że Giap zamierza uczynić z Khe Sanh swoje nowe Dien Bien Phu, które to porównanie rozbudziło rzecz jasna wyobraźnię wszystkich ludzi mediów, mimo że generał natychmiast dodał, iż komunistom z całą pewnością nie uda się nawiązać do sukcesu Wietminhu. Dzień po dniu obóz poddawany był ciężkiemu ostrzałowi. A w wiadomościach telewizyjnych ukazywały się materiały pokazujące reporterów ubranych w kamizelki kuloodporne i mówiących do kamery, a jednocześnie kurczących się w sobie z każdym wybuchem pocisku w niedalekiej od nich odległości. Licząc loty przed, w trakcie i po zakończeniu Tet, B-52, naprowadzane przez radar Combat Skyspot, zrealizowały łącznie 2548 misji bojowych, w trakcie których zrzuciły 60 tysięcy ton bomb, część nawet w odległości tysiąca metrów od pozycji zajmowanych przez marines. Baza stała się też sceną prawdziwie dramatycznych wydarzeń, takich jak brawurowe lądowanie przeprowadzone przez starszego chorążego sztabowego Henry'ego Wildfanga, po tym jak jego C-130 został trafiony przez komunistów i zapaliły mu się oba skrzydła: pilot zdołał nie tylko bezpiecznie posadzić maszynę na ziemi, ale też szczęśliwie uniknął zderzenia z innymi samolotami zaparkowanymi na pasie startowym. Za ten niezwykły wyczyn Wildfang został udekorowany swoim piątym Zaszczytnym Krzyżem Lotniczym – a wydarzyło się wówczas również wiele innych porównywalnie dramatycznych historii.

Dla MACV Khe Sanh szybko stało się obsesją, a sam Lyndon Johnson kazał wówczas zainstalować u siebie w Białym Domu fototapetę z widokiem tego miejsca. Tyle że, pomijając zażarte starcia wokół wysuniętych pozycji amerykańskich zlokalizowanych na okolicznych wzgórzach – nazwanych, od swojej wysokości, Wzgórzami 950, 881, 861 i 558 – nigdy nie doszło do poważnego ataku na sam teren garnizonu. Sprowokowało to niektórych komentatorów do wysunięcia tezy, że Westmoreland na własne życzenie padł oto ofiarą błyskotliwego podstępu nieprzyjaciela. Owszem, komuniści, jak się to zwykle działo, ponosili podczas starć straty nieporównanie większe od Amerykanów, ale zdaniem Jamesa Wirtza pod Khe Sanh byli oni w stanie „narobić dość hałasu, by zagłuszyć rozmaite sygnały świadczące o przygotowywaniu przez nich rychłej ofensywy na ośrodki miejskie”[15]. A pewien pułkownik z Południa napisał: „Umysły naszych analityków wywiadu zdominowało wysokie prawdopodobieństwo uczynienia z Khe Sanh decydującego celu walk, podobnie jak w przypadku Dien Bien Phu. Wobec tego niewiele uwagi, jeśli w ogóle jakąkolwiek, poświęcali oni innym prawdopodobnym celom, takim jak miasta (...). [Nasi eksperci] byli przekonani, czy to z uwagi na uprzedzenia, czy na narodową dumę, że wróg nie dysponuje możliwościami, by tego dokonać”[16], to znaczy zaatakować miasta.

Westmoreland nadał Khe Sanh znaczenie, na jakie nigdy ono nie zasługiwało – zresztą, podobnie jak w Dien Bien Phu, w miejscu tym prawdopodobnie w ogóle nie powinno być żadnego garnizonu. Co gorsza, skierował on uwagę całego świata w niewłaściwą stronę, przez co później wyszedł na niekompetentnego – a nawet zszargał do reszty swoją już nadwątloną reputację – kiedy wróg uderzył ostatecznie zupełnie gdzie indziej. Z drugiej zaś strony błędem wydaje się też zakładanie, że Wietnam Północny zdecydował się użyć swoich dwóch dywizji wyłącznie w celu odciągnięcia uwagi nieprzyjaciela. Jest o wiele bardziej prawdopodobne, że komuniści naprawdę chcieli zająć tę amerykańską bazę i uczyniliby to, gdyby tylko artyleria, a przede wszystkim lotnictwo nie uniemożliwiły im wykonania owego zadania. Komunistyczni oficerowie żałowali zresztą później, że obu tych

formacji nie skierowano zamiast tego od razu na wschód, najlepiej do walki o Hue.

Ale nie tylko ludzie MACV dopatrywali się porównań z Dien Bien Phu. Także weterani walk z roku 1954 w AWP widzieli tu pewne analogie, tyle że na swoją niekorzyść. Zauważali oni na przykład z żalem, że Amerykanie nie powtórzyli błędu Francuzów i obsadzili okoliczne wzgórza otaczające obóz. O wiele lepiej oceniali też amerykańskie umocnienia, nie mówiąc już o nieporównywalnie większej sile lotnictwa. Tak naprawdę koncentracja przez komunistów stosunkowo dużych sił przy samej granicy z Laosem osłabiła ich strategiczną pozycję w stopniu większym, niż reakcja Westmorelanda zaszkodziła sprawie amerykańskiej, tyle że błędy w ocenie popełnione przez Hanoi nie trafiały później na czołówki gazet i do serwisów telewizyjnych, a pomyłki MACV nagłaśniano w nich bezustannie. Westmoreland i jego sztab przekonani byli ponadto, że ta wojna toczy się zasadniczo między komunistami a Amerykanami, wobec tego z góry odrzucali koncepcję, że ci pierwsi mogliby wybrać za główny cel swoich ataków siły południowowietnamskie.

Część odpowiedzialności za podejmowanie niewłaściwych decyzji, w tym zwłaszcza za niewycofanie się z rozejmu Tet – w pełni uzasadnione w obliczu napływających zewsząd doniesień wywiadu o wzroście aktywności formacji nieprzyjaciela – spada jednak również na Waszyngton. Zaprawiona w walce administracja Johnsona tym razem dała się zwieść podsuwanym jej co rusz aluzjom, że Hanoi skłania się powoli ku rozpoczęciu negocjacji. I z tego właśnie względu upierała się ona, że rozejm należy honorować, a w konsekwencji pozwoliła na udzielenie wielu żołnierzom ARVN urlopów na święta. Ponadto choć Westmoreland miał świadomość faktu, że komuniści mogą szykować coś dużego, nie wycofał się z żadnego z wcześniej ustalonych własnych planów ofensywnych, a nawet zżymał się na odmowę Waszyngtonu, by przeprowadzić jeszcze więcej wypadów na teren Laosu i Kambodży. Jego sztab zaś zignorował odkrycie kryjówek zawierających nowiutką broń, w tym jednej wyjątkowo dużej w pobliżu Sajgonu, a także dowody na to, że saperzy WK od jakiegoś czasu przeprowadzają rekonesanse w Tan Son Nhut.

Generał dywizji Fred Weyand, ów małomówny Kalifornijczyk dowodzący II Polowym Zgrupowaniem Wietnamskim, wskazywany jest często jako jedyny spośród wszystkich wyższych oficerów, który do pewnego stopnia przewidział nadchodzące kłopoty, bo postanowił ściągnąć swoje jednostki do Sajgonu i odwołał wszystkie zaplanowane operacje własne. Niewątpliwie to właśnie dzięki Weyandowi, byłemu oficerowi wywiadu wojskowego, w chwili zaatakowania Sajgonu przez komunistów w okolicach miasta znajdowało się aż 27 amerykańskich batalionów manewrujących. Tyle że jego troski i obawy dotyczyły wyłącznie stolicy i otaczającego ją obszaru, wobec czego nie rozpatrywał on możliwości ataków na pozostałych obszarach kraju. Kiedy Westmoreland i jego wysocy rangą podwładni argumentowali, już po zakończeniu Tet, że oni również dostrzegali wcześniej niebezpieczeństwo i przestrzegali przed nim, mieli niewątpliwie sporo racji; zapominali jednak dodać, że ani przez moment nie zorientowali się w jego rzeczywistej skali. Co więcej, od ubiegłego lata wiele jednostek raz po raz stawiano już w stan maksymalnej gotowości, by wkrótce potem oznajmić im, że żaden kataklizm tym razem jednak nie nastąpi. Także i teraz żołnierze i dowódcy mieli zatem prawo przypuszczać, iż zapewne ostatecznie nie wydarzy się nic specjalnego. A MACV popełniła po prostu najstarszy błąd w dziejach wojskowości: wszelkie sygnały świadczące o nadciągającym zagrożeniu, takie jak analizy posunięć Le Duana przedkładane przez Josepha Hoveya i jemu podobnych, odkładała ona na bok, ponieważ nie współgrały z logiką amerykańskiego dowództwa.

2. FUGA

Zamachowców samobójców uznaje się często za zjawisko charakterystyczne dla początku XXI wieku. Tymczasem nakreślona przez Le Duana ofensywa mogła osiągnąć zakładane cele właśnie dlatego, że partyzanci Wietkongu, wzmocnieni żołnierzami regularnych formacji AWP, okazali się skłonni iść na niemal pewną śmierć, byle tylko wykonać zadania przydzielone im w ramach Tet.

Komuniści wysłali do boju około 67 tysięcy bojowników, którzy przypuścili ataki na 36 spośród wszystkich 44 stolic prowincji w kraju, a także na 64 spośród 245 ośrodków okręgów, nie zaprzestając jednocześnie walk z dala od miast, w tym pod Khe Sanh, ale także w wielu innych miejscach. Tym samym zademonstrowali oni światu umiejętności skoordynowania ze sobą licznych operacji na ogromną skalę, jak również zmotywowania wielu mężczyzn i kobiet do realizowania celów, które nawet większość północnowietnamskich dowódców uznawała za nierealistyczne. Podziw dla tych umiejętności odciągnął uwagę tegoż świata od brutalności przywódców, którzy byli gotowi na każde okrucieństwo, tym bardziej że największą cenę za wszystko zapłacili ostatecznie niewinni cywile żyjący w Wietnamie Południowym.

Rankiem 27 stycznia żołnierze ARVN przechwycili przygotowane przez NFW kasety magnetofonowe z materiałami do wyemitowania w stacjach radiowych, które już wkrótce zamierzali zająć. Materiały te obejmowały obwieszczenia o opanowaniu Sajgonu, Da Nang i Hue. Komuniści utracili tym samym pewien element zaskoczenia, mimo że bardzo starali się do ostatniej chwili nie wyjawiać całości swoich planów ani związanych z nimi rozkazów nawet własnym żołnierzom, co zresztą doprowadziło do niewłaściwego przygotowania i złej koordynacji niektórych ataków. 28 stycznia część najwyższych rangą działaczy komunistycznych z Południa przebywała w „Czerwonym Biurze", niedostępnym dla niewtajemniczonych sekretnym schronieniu umiejscowionym pośrodku rozległych mokradeł przylegających do Dong Thap Muoi, które to tereny oni sami zwali nieprzypadkowo „Oceanem Atlantyckim". Żyli tam sobie stosunkowo wygodnie, popalając papierosy i popijając alkohole przysyłane z Sajgonu, posilając się też świeżo złowionymi rybami. Współdowodzący WK Vo Van Kiet i Tran Bach Dang zalegali na materacu z pałeczkami w dłoniach, kiedy znienacka pojawił się kurier na motocyklu i wręczył im list oznakowany „BARDZO PILNE I ŚCIŚLE TAJNE". W liście tym informowano: „A7 do A404: D-Day. Zacznijcie bitwę między pierwszym a drugim dniem Księżycowego Nowego Roku Tet. Godzina G: 12.00 o północy. To

decyzja Wujka Huonga”[17] – ten ostatni kryptonim odnosił się do politbiura.

Obaj byli równie zdumieni, co przerażeni, ponieważ spodziewali się, że moment przystąpienia do walki nadejdzie dopiero pięć dni później[18]. Teraz jednak pozostało im zaledwie trzy dni i noce na dotarcie do wyznaczonych miejsc na obrzeżach Sajgonu. Dang, czterdziestodwuletni weteran walk urodzony w Delcie, wspominał ponuro: „Potem już nikt nie miał ochoty ani na jedzenie, ani na picie”. Natychmiast podjęto decyzję o opuszczeniu obozu i wyruszeniu na swoje stanowiska, początkowo w mundurach, ale zabierając ze sobą cywilne ubrania, gotówkę i dokumenty tożsamości podrobione dla nich w Sajgonie przez sympatyków ich sprawy w policji. Niektórzy z bojowników przed wyruszeniem spalili jeszcze swoje chaty, co miało być symbolicznym gestem ukazującym ich całkowite oddanie na rzecz zwycięstwa albo zgodę na śmierć. Już wkrótce tysiące ludzi takich jak Kiet i Dang wyruszyły w dziesiątkach podobnych kolumn w stronę wyznaczonych środków miejskich: „Cała północna część mokradeł Dong Thap Muoi zaroiła się od grup rozchodzących się ludzi”. A ponieważ była to pora sucha, kontyngent zmierzający do Delty musiał dodatkowo nieść ze sobą łodzie wyładowane bronią i amunicją.

Grupa dowodzeniowa miała spotkać się z lokalnymi partyzantami na obrzeżach Sajgonu. W potwornym upale marsz przebiegał dość powoli, za to, ku zadowoleniu dowódców, najwyraźniej dopisywało im szczęście, bo nie zostali dostrzeżeni z pokładu żadnego z samolotów, których odgłosy raz po raz słyszeli nad swoimi głowami. Nocą z kolei kolumna musiała poruszać się jeszcze wolniej, bo Dang i Kiet z trudem byli w stanie odczytać wskazówki na mapie przy stłumionym świetle latarki. Panował jednak wśród nich nastrój ogromnego podniecenia, i to zarówno w szeregach dowódców, jak i wśród weteranów walk czy świeżych rekrutów, większość z tych ludzi autentycznie wierzyła bowiem w słuszność swojej sprawy. Przed samym świtem 29 stycznia wędrowcy zatrzymali się i ukryli w chatach należących do okręgowej siedziby Partii, gdzie mieli też okazję zjeść ciasta upieczone na Tet. A potem ich szczęście się skończyło: na niebie pojawiły się helikoptery i samoloty, które ostrzelały cały obszar z działek, a dodatkowo jeszcze

rakietami. I choć maszyny Huey krążyły tak nisko nad ziemią, że Kiet i Dang mogli wręcz dostrzec rysy twarzy strzelców siedzących w ich drzwiach, to obaj zakazali swoim ludziom odpowiadania ogniem. Do południa wszystko już ucichło: dostrzegłszy jakiś ruch w okolicy, Amerykanie słusznie zinterpretowali go jako aktywność nieprzyjaciela, ale nie zorientowali się ani w liczebności jego sił, ani w zamiarach. A cała ich strzelanina, choć narobiła dużo hałasu, nie wyrządziła ludziom WK żadnej większej krzywdy, może poza podziurawieniem kilku sampanów.

Tamtej nocy z 29 na 30 stycznia doszło już do pierwszych ataków w ramach ofensywy Tet, zbyt wczesnych, bo wynikających

z zamieszania wokół dat. W Da Nang, przybrzeżnym mieście Nha Trang i w kilku innych ośrodkach miejskich na północy kraju toczyły się zażarte walki. A żołnierze jednostek WK operujących bardziej na południu, którzy wtorkowym rankiem 30 stycznia dopiero zmierzali do wyznaczonych im miejsc, w tym do Sajgonu, ze zdumieniem przyjęli wyemitowany przez radio o godzinie 9.45 rządowy komunikat o zerwaniu przez komunistów rozejmu z okazji święta Tet i przeprowadzeniu w nocy całej serii ataków. Pewien wysoki rangą działacz partyjny z prowincji Long An tak opisywał ich skonsternowanie: „Nikt nie rozumiał, jak to się wszystko mogło stać. Czy to możliwe, że wszystkie nasze przygotowania miały służyć tylko odciągnięciu uwagi wroga? Czy za rozpoczęciem ofensywy w tak osobliwy sposób mogły stać jakieś ważne powody wojskowe?”[19]. Potem długo czekali na jakąś wiadomość radiową, która rozwiałaby choć część ich wątpliwości, ale czekali na próżno. Z kolei Kiet i Dang tego samego ranka dotarli bez zapowiedzi na umówione spotkanie pod Sajgonem, prowadząc z sobą swoją własną kolumnę. Po przybyciu nie tracili czasu, tylko od razu poinformowali oczekujących ich towarzyszy: „Sytuacja jest niezwykle trudna. Sajgon musi zostać zaatakowany jeszcze dziś wieczorem!”[20].

Słysząc to, pewien miejscowy działacz, najwyraźniej bliski rozpaczy, zajęczał tylko: „O, mój Boże! O, mój Boże”. Dawało to bowiem jego ludziom niecałe 20 godzin na przekazanie rozkazów wymarszu do dziesięciu batalionów rozproszonych po całej okolicy, przy niepewnych kanałach komunikacyjnych i z uwzględnieniem nieobecności niektórych oficerów urlopowanych z okazji święta Tet. Trzeba też było wydać żołnierzom racje żywnościowe i amunicję, a do poszczególnych jednostek przydzielić przewodników. Przed zwolnieniem działaczy do swoich obowiązków Dang wygłosił do nich jeszcze zagrzewające przemówienie, kończąc je uniesieniem zaciśniętej pięści i zakrzyknięciem bojowego hasła: „Stanowczość – i do ataku! Do ataku!”[21]. Później twierdził, że na dźwięk tych słów 3 tysiące głosów zakrzyknęło radośnie jak jeden mąż. Był to w jego ocenie najbardziej podniosły moment w całej kampanii, podczas którego nadzieje szybowały wysoko aż pod samo niebo. Ale już jeden ze słuchających go

oficerów zupełnie inaczej odebrał ową żywiołowość Danga, uznając ją za marny substytut realistycznego planowania.

Ostatni dzień marszu dłużył im się straszliwie, bo co rusz napotykali jakieś przeszkody, a wszyscy rwali się już do działania. Brodzili przez kanały, przemierzali w poprzek pola ryżowe, słuchali w sajgońskim radio raportów o przebiegu walk tocznych na północy, a przy tym dziwili się, że wciąż latające nad ich głowami samoloty zupełnie nie zwracają na nich uwagi. Kiedy zaś zapadła ciemność i droga zawiodła ich do jakiejś wioski, w której miejscowi cywile wyszli przed domy, by przyglądać się przemarszowi równej kolumny uzbrojonych ludzi, niektórzy z nich wpadli na pomysł: „A może właśnie tutaj urządzimy sobie świętowanie Tet?". Od miejscowych otrzymali ciasto, kiszoną kapustę i jakieś mięso do pogryzania w drodze, w którą niedługo ponownie wyruszyli.

O godzinie 21.00 natknęli się na obozowisko jednego z batalionów WK. Ku swemu zniesmaczeniu Dang znalazł któregoś z wyższych rangą oficerów rozłożonego na jakiejś desce i kompletnie pijanego. Człowiek ten zdołał jednak się podnieść, a nawet stanąć na baczność i zasalutować, po czym powiedział: „Melduję, że jestem tu zastępcą dowódcy!". Rozwścieczony Dang zapytał go wówczas, gdzie w takim razie był sam dowódca i jego oficer polityczny. „Melduję, że dowódca batalionu udał się na swój ślub, a komisarz udał się na jego wesele w charakterze gościa" – usłyszał w odpowiedzi. „Czy nie dotarły do was rozkazy?" – zdziwił się Dang. „Melduję, że jeszcze nie". Batalionowi w pośpiechu przydzielono zatem zadanie zaatakowania kwatery głównej sajgońskiej policji narodowej. Tymczasem na północy niektóre z rozpoczętych poprzedniego dnia ataków zostały już odparte, przy dużych stratach Wietkongu. W Nha Trang śmierć poniosło 377 bojowników, a kolejnych 77 trafiło do niewoli. Z kolei po stronie broniących miasta wojsk rządowych straty wyniosły 88 zabitych; zginęło też 32 cywilów. W trakcie walk zniszczeniu uległo 600 domów, co stanowiło przedsmak wielkiej fali destrukcji, która już wkrótce miała się przetoczyć przez cały kraj.

Generał Tran Do, sprawujący dowództwo polityczne nad operacjami Tet powierzonymi Wietkongowi, powiedział później, że przekleństwem

w ich wysiłku wojennym był nadmiar ideologicznego teoretyzowania przy niedostatecznym udziale pracy trzeźwych wojskowych planistów[22]. A jeden z wyższych rangą oficerów, biorących udział w ważnej północnej operacji w ramach tej ofensywy, wspominał po latach, że dowódcy z niesmakiem przyjęli suchy rozkaz, który nadszedł z Hanoi: „Doprowadzić do generalnej ofensywy i powszechnego powstania w celu wyzwolenia Hue”[23]. Jak dodał, on sam przypomniał sobie wówczas pewną myśl Lenina: „Rewolucja to nie czas na zabawy”. Zdaniem tego działacza, aby mieć jakąkolwiek szansę powodzenia, lokalny Wietkong potrzebowałby wsparcia dwóch pułków piechoty i dwóch batalionów artylerii AWP, a także dostaw około 400 ton amunicji. Tymczasem, choć do partyzantów faktycznie dołączyło parę jednostek AWP, to w chwili wyruszenia na Hue sporo im jeszcze brakowało do tej pożądanej liczby wojska i ilości uzbrojenia.

Trzecie co do wielkości miasto Wietnamu, liczące 140 tysięcy mieszkańców, oferowało jednak atakującym pewną znaczącą przewagę: znajdowało się ono w odległości jedynie krótkiego nocnego marszu od kryjówek, w których się dotąd czaili. Dzięki temu mogli oni wcześniej ustanowić po drodze łańcuch bunkrów obserwacyjnych i zgromadzić w podziemnych magazynach, do których mieli szybki i łatwy dostęp, tysiące ton ryżu. Popołudniem 30 stycznia w stronę miasta zaczęły zmierzać kolumny partyzantów[24]. Komunistyczne opowieści o tym marszu głoszą, że nawet jeśli któregoś z nich zmył nurt podczas przekraczania rzeki, nie wołał o pomoc, by nie rozpraszać swoich towarzyszy przed czekającym ich zadaniem; bardziej cyniczna wersja zakłada po prostu, że ktoś taki nie był w stanie wypluć połkniętej wody. Ale jedna z owych kolumn została w pewnym momencie, a ściślej przy przekraczaniu rzeki Duong Hoa, dostrzeżona przez żołnierzy ARVN, którzy wezwali wsparcie artyleryjskie: w rezultacie komuniści stracili 32 bojowników jeszcze przed rozpoczęciem właściwych walk. Zdarzało się też, że niektóre jednostki WK gubiły drogę, przez co przybywały na wyznaczone pozycje mocno spóźnione.

Linie komunikacyjne amerykańskiej armii były mocno obciążone, wobec czego nawet priorytetowe wiadomości docierały do odbiorców z niejakim opóźnieniem. Tamtego dnia, to jest 30 stycznia, w Phu Bai

przechwycono północnowietnamskie sygnały o rychłym ataku na Hue, ale zanim komunikat o tym dotarł dostatecznie wysoko, amerykańska dzielnica w mieście była już pod ostrzałem, a jej 400 mieszkańców musiało walczyć o życie. Wbrew późniejszym zapewnieniom MACV, że amerykańskie dowództwo nie zostało zaskoczone ofensywą – jako przykład podawano tu fakt, że Fred Weyand postawił jednostki na podległym mu obszarze w stan gotowości bojowej już o godzinie 20.37 29 stycznia – zachowanie wielu Amerykanów zdawało się świadczyć raczej o braku świadomości nadchodzącego kryzysu. I tak nocą 30 stycznia podlegający Westmorelandowi szef wywiadu, brygadier Phil Davidson, zakończył pracę i udał się na spoczynek w swoich kwaterach. A pewien szeregowiec nazwiskiem Louis Pumphrey z Panesville w stanie Ohio, stacjonujący w Di An nieopodal Tay Ninh, tuż przed zaśnięciem postanowił przygotować kasetę dla swojej rodziny. Nagrał na niej piszczące odgłosy swojej małpki imieniem Charlie, a cały przekaz zakończył słowami: „Zaraz idę do łóżka, tylko jeszcze złożę wieczorny raport. Spodziewają się tu jakiegoś ataku z powodu Tet, ale nic się nie dzieje. I pewnie nic się już nie podzieje”[25]. Niedługo potem na bazę spadły z hukiem pierwsze rakiety.

Wczesnym i mglistym rankiem 31 stycznia mieszkańców Hue wyrwały ze snu odgłosy maszerujących ulicami miasta na północ, w stronę bram cytadeli wybudowanej jeszcze w roku 1802, zwartych kolumn Wietkongu w towarzystwie dwóch batalionów AWP, odzianych w eleganckie nowiutkie mundury uszyte w Chinach. Stacjonująca w północno-wschodnim skrzydle tej cytadeli 1. Dywizja ARVN została ostrzeżona już 2 godziny wcześniej, po zauważeniu nieprzyjaciela przez jeden z patroli, wobec czego wkrótce nad miastem zaroiło się od zrzucanych z powietrza flar, na które atakujący odpowiedzieli wystrzeliwaniem wysoko pod niebo zielonych i czerwonych pocisków smugowych. Poza tym napastnicy nie napotkali jednak żadnego znaczącego oporu. Kolega Franka Scottona z USIA Bob Kelly zanotował lakonicznie: „Do miasta wkroczyły żółtki (...). Zero oporu! Jednostki AWP w eskorcie lokalnych WK. Miejscowi nosili białe opaski, główne siły – czerwone, a AWP – żółte”[26].

Kiedy zaczęło się natarcie komunistów, Ngo Thi Bong[27] wraz z rodziną spała w swoim domu przy ulicy Tran Hung Dao 103. Początkowo, przyzwyczajeni do codziennych strzelanin, zupełnie nie przejęli się odgłosami walk, aż wreszcie Bong, wraz z synami, zeszła na dół, gdzie przez zatrzaśnięte okiennice zauważyła grupkę około dwudziestu młodziutkich bojowników Wietkongu. Jako kobieta w średnim wieku, która najpierw straciła męża w wojnie z Francuzami, a później syna zabitego w służbie ARVN w roku 1966, dobrze wiedziała, co się święci: „Wiedziałam, że mocno ucierpimy". W trakcie bitwy, która rozpoczęła się od chaotycznych starć we wczesnych godzinach porannych we środę 31 stycznia, komunistom udało się zająć większość obszaru miasta Hue wraz z ogromną cytadelą i zabudowaniami pałacowymi w obrębie jej murów. Nie udało im się za to, co miało się okazać decydujące, przejąć kontroli nad stanowiskiem dowodzenia 1. Dywizji, usytuowanym w sektorze Mang Ca, to jest w kompleksie amerykańskich doradców, znajdującym się półtora kilometra na południe, za rzeką Huong. Wielu żołnierzy Sajgonu rzucało się do ucieczki albo szukało sobie bezpiecznych kryjówek, co umożliwiło napastnikom przejmowanie dużych zapasów broni i amunicji, z których część wydawano na miejscu setkom bojowników WK uwalnianym z miejskich więzień. Saperzy wysadzili magazyn paliw w pobliżu Tam Thai, a żołnierze AWP zajęli pozycję na północnych obrzeżach miasta, blokując wszelki ruch w obie strony.

Dwudziestosześcioletni porucznik Tran Ngoc Hue usłyszał pierwsze odgłosy strzelaniny w Hue, będąc w swoim domu położonym w obrębie murów cytadeli[28]. Natychmiast sprowadził swoich rodziców, żonę i córkę do rodzinnego bunkra, takiego, jakie kopał każdy rozważny i przewidujący mieszkaniec Wietnamu Południowego, a następnie rowerem i w cywilnym ubraniu udał się przez pogrążone w ciemnościach miasto do ludzi, którymi dowodził. Hue stał na czele oddziału Hac Bao, to jest Czarnych Panter, sił szybkiego reagowania podlegających 1. Dywizji, których poszczególne elementy rozsiane były po całym mieście. Podczas tej jazdy w pewnej chwili zorientował się, że tuż obok niego przemieszcza się kolumna żołnierzy AWP, na szczęście zbyt zajętych sobą, by zwracać na niego większą uwagę. Po dotarciu do

swojej uszczuplonej kompanii zebranej na niewielkim lądowisku w obrębie murów cytadeli, Hue z miejsca otrzymał przez radio rozkaz przemieszczenia się do kwatery głównej 1. Dywizji. Kompanii udało się dotrzeć do stanowiska dowodzenia tuż przed tym, jak siły północnowietnamskie przypuściły na nie atak – który został odparty. Jeden z podlegających Hue dowódców plutonów, stacjonujący w więzieniu okręgowym na południowym brzegu rzeki, wysłał doń ostatnią wiadomość tuż przed zajęciem budynku przez atakujących i rychłą własną śmiercią – prosił przełożonego o zaopiekowanie się jego żoną i siedmiorgiem dzieci.

Przez cały ów dzień 31 stycznia walki skupiały się właśnie wokół stanowiska dowodzenia ARVN i amerykańskiego kompleksu mieszkalnego, które komuniści ostrzeliwali z moździerzy, a także pociskami kaliber 122 mm, na co broniący się odpowiadali rakietami LAW. W pewnym momencie żołnierzom komunistycznym udało się nawet przerwać na krótko linię obrony Południowców, ale ostatecznie zdołano ich odeprzeć po tym, jak ci ostatni skierowali wezwane wsparcie artyleryjskie na własne bunkry. Pozycje zajmowane przez Wietnamczyków z Południa utrzymywały się również przez kolejne dni, ale już w samym mieście komuniści ustanowili swoją kwaterę główną w sali tronowej nieodległego Pałacu Doskonałego Spokoju, a partyjni działacze rozbijali się po ulicach w przechwyconych jeepach, aresztując ludzi w każdym wieku i obojga płci, jeśli tylko przychodziła im ochota oskarżyć ich o rzekomą współpracę z reżimem albo Amerykanami.

W 2. Batalionie 3. Pułku Piechoty majora Phama Van Dinha stacjonującym w okolicach Hue aż jeden na pięciu żołnierzy dostał urlop z okazji święta Tet. Przydzielony do tej jednostki amerykański doradca, kapitan Joe Bolt, zorientował się z kolei, że nie jest w stanie wezwać wsparcia ani lotniczego, ani artyleryjskiego. Mimo to o północy 31 stycznia Dinh otrzymał rozkaz wkroczenia do miasta. Wraz z pozostałymi mu 260 ludźmi dotarł on do Rzeki Perfumowej wczesnym popołudniem, a następnie wdał się w walki o miejskie targowisko, podczas których zginęło 10 jego podkomendnych, a wielu kolejnych odniosło rany. Większość oddziału Dinha czuła rozpacz i przerażenie, ponieważ żołnierze pochodzili właśnie stąd, a zatem ich rodziny były

bezpośrednio narażone na nieludzkie działania komunistów – on sam dowiedział się później, że jego żonie i dzieciom udało się uciec i dołączyć do grupy uchodźców. Następnego ranka część jego ludzi wspięła się na masywne mury cytadeli, gdzie jednak wpadli pod zmasowany ogień komunistów. Podczas walk ulicznych, które się następnie wywiązały, Joe Bolt zdołał przedrzeć się do kompleksu amerykańskiego, skąd powrócił z jeepem wypełnionym amunicją i racjami żywnościowymi. Udało mu się także pozyskać dwa bezodrzutowe działa kaliber 106 mm, które okazały się nieocenione przy likwidacji stanowisk snajperów. Każda podejmowana przez ARVN próba przedostania się do cytadeli była udaremniana. Komuniści i Wietnamczycy z Południa obrzucali się wyzwiskami na wspólnych częstotliwościach radiowych. Amerykanie krytykowali później poczynania wojsk Sajgonu w Hue i choć niewątpliwie mieli sporo racji, jeśli chodzi o skuteczność działań, to już liczba ofiar po stronie ARVN świadczy o tym, że nie wszyscy Południowcy walczyli tchórzliwie.

Pod drzwiami wejściowymi do domu Ngo Thi Bong leżał ranny, krwawiący żołnierz wojsk rządowych, któremu nikt nie miał odwagi pomóc. Aż wreszcie przez uliczkę przechodził jakiś komunista, który podszedł do rozciągniętego na ziemi wroga i wpakował mu w głowę śmiertelną kulę. Wkrótce potem do domu weszła ich cała grupa. Ludzie Wietkongu nawet nie musieli uciekać się do gróźb – po prostu stwierdzili, że skoro to oni wygrywają, rozsądnie będzie im pomagać. Przez kolejne dni partyzanci spali i jedli w domu Bong, a przy okazji rozdawali ulotki propagandowe i śpiewali partyjne piosenki. Część ubogich ludzi z okolicy – rikszarzy i tym podobnych – woziła dla komunistów broń i amunicję, ale rodziny z klasy średniej, takie jak Ngo, starały się robić dla nich tak niewiele, jak tylko było to możliwe.

Ponurzy i rzadko się uśmiechający nieproszeni goście wydawali się zaskoczeni tym, że ci buddyści, o których słyszeli, iż niespecjalnie lubią reżim w Sajgonie, równie mało entuzjazmu okazywali sprawie przeciwnej. Już później komunistyczna narracja przyznawała, że „jeśli chcieliśmy powstania wśród mas, należało zaangażować do walki na tyle dużo sił wojskowych, by uczynić zwycięstwo realną perspektywą”[29]. Innymi słowy, nie należało liczyć tylko na rewolucyjny

zapał: ludzie musieli zyskać przekonanie, że żołnierze Hanoi ostatecznie zatriumfują – a najwyraźniej, przynajmniej w oczach większości mieszkańców Hue, nie było to wcale takie oczywiste. Przerażeni uciekinierzy napływali do świątyń, do budynków uniwersyteckich, a także do kompleksu MACV, który szybko stał się miejscem nieopisanie przeludnionym: z braku wody ludzie musieli zacząć pić oranżadę, którą wszyscy wkrótce znienawidzili. Walki, mające toczyć się jeszcze przez kilka kolejnych lutowych tygodni, charakteryzował jeden wspólny rys, który odcisnął się mocno zarówno na samym mieście, dotkniętym przez ogromne zniszczenia, jak i na jego ludności, zabijanej całymi tysiącami. Oto komuniści zaciekle bronili wszelkich pozycji, które zdołali zająć podczas pierwszej nocy i pierwszego dnia ofensywy, a siłom amerykańskim i rządowym udawało się ich stamtąd wyprzeć dopiero po długim i ciężkim boju. Pierwszą amerykańską formacją wysłaną na północ w celu wspomożenia obrońców kompleksu MACV była „Grupa Bojowa X-Ray" z Phu Bai, natknęła się ona jednak po drodze na znaczne siły północnowietnamskie i została przez nie rozbita. Potem ku oblężonym w mieście oddziałom Amerykanów kierowano już w zasadzie nieprzerwany strumień posiłków, z których jednak większość dostawała się tam transportem rzecznym. Dowódcy tych oddziałów niejednokrotnie otrzymywali przy tym zupełnie nierealistyczne rozkazy, jak choćby w przypadku dowodzącego 2. Batalionem 5. Pułku w ramach 1. Dywizji Marines podpułkownika Erniego Cheathama, który usłyszał od swojego przełożonego w pułku w sobotę 3 lutego: „Chcę, żebyście przeprowadzili atak w całym mieście i wymietli stamtąd AWP!".

Podjęta początkowo samobójcza próba wdarcia się do cytadeli przez most Truong Tien kosztowała oddział śmierć 10 spośród setki marines, przy czym 56 kolejnych odniosło w walkach rany. Ludzie ci byli po prostu niewyszkoleni do walk ulicznych, które stanowią sztukę samą w sobie. Uczyli się tego dopiero w trakcie kilku następnych tygodni, ale uczyli się na własnych błędach, takich jak choćby podążanie naprzód po odkrytym terenie w rodzaju szerokich ulic czy alei, przy których znajdowało się mnóstwo budynków, a wkrótce również ich ruin,

dających doskonałą kryjówkę nieprzyjacielowi i tym samym nieostrożne wystawianie się na strzały snajperów czy na ogień z broni automatycznej, co rzecz jasna prowadziło do kolejnych strat w ludziach. Żaden Amerykanin na szczeblu wyższym od pułkownika nie orientował się zupełnie w zasadach rozgrywania tej miejskiej bitwy, a generałowie wydawali wręcz kompletnie niepraktyczne dyrektywy, czy to z Camp Evans leżącego na północ od miasta, czy z Phu Bai po stronie południowej.

W ciągu pierwszych dziesięciu dni, ze względu na wartość historyczną cytadeli, skrupuły nie pozwalały Amerykanom kierować na nią nalotów i ostrzału artyleryjskiego, mimo że to właśnie na jej terenie znajdowała się największa koncentracja sił AWP. Jednak już na ulicach dzielnic mieszkalnych na południowym brzegu rzeki bez wahania stosowano zmasowany ogień z dział bezodrzutowych kaliber 106 mm, jak również pociski z gazem łzawiącym i granaty. Z kolei sami komuniści na zajmowanych przez siebie obszarach bez skrupułów „zabijali tyranów i eliminowali niegodziwców", to jest, pomijając zwyczajowe dla nich upiększenia, popełniali tysiące morderstw. Szybko doszło do awarii sieci elektrycznej i wodociągowej; zamilkła też miejska stacja radiowa. Zarówno za dnia, jak i nocami mieszkańcy Hue mogli oglądać i słyszeć jedynie bezpośrednie oznaki wojny, która w dodatku często upominała się o wielu z nich.

Uciekający z Hue wietnamscy cywile obok zniszczonego mostu Truong Tien, 1968 rok

Przez większą część lutego Westmoreland w poważnym stopniu nie doceniał skali komunistycznego zaangażowania w i pod Hue, po trosze z powodu swojej obsesji na punkcie Khe Sanh, ale również dlatego, że amerykańska machina dowodzenia i kontroli, w tym zwłaszcza wywiadu, przeżywała wówczas poważne załamanie. Dowódcy wojsk i formacji marines w jakiś sposób przekonali samych siebie, że wróg dysponuje w mieście nie więcej niż 2 tysiącami ludzi, podczas gdy w rzeczywistości było ich tam pięciokrotnie więcej. W konsekwencji Amerykanie wciąż posyłali w bój stosunkowo niewielkie siły,

umożliwiając komunistom łatwe związanie ich walką i metodyczne wybijanie. Niemałą część propagandowych sukcesów Hanoi związanych z ofensywą Tet czerpało ono właśnie z przedłużających się walk w Hue. Z drugiej zaś strony niemała część frustracji amerykańskich żołnierzy piechoty i marines wynikała z konieczności walki na warunkach dyktowanych w pełni przez nieprzyjaciela. Przez wiele dni amerykańskie dowództwo oszukiwało samo siebie, że Hue stanowi w gruncie rzeczy jedną z wielu porażek komunistów na froncie ofensywy Tet. W rzeczywistości okazało się, że miasto to stało się zdecydowanie największym sukcesem owej operacji. A WK i AWP potrafiły przekuć walki o Hue w prawdziwą legendę, porównywalną w skali z amerykańską obroną Corregidoru w roku 1942 – z góry skazaną na niepowodzenie, ale jakże heroiczną.

Kapitan Charles Krohn, oficer wywiadu w 2. Batalionie 12. Pułku Kawalerii (pancernej), porównał los swojej jednostki, lekkomyślnie wysłanej na południe, do Hue, czwartego dnia walk, do losu Lekkiej Brygady podczas wojny krymskiej: „Musieliśmy pokonać zaledwie 200 metrów, czy coś koło tego, ale zarówno my, jak i Lekka Brygada stanowiliśmy łatwe ludzkie cele, podczas gdy obrońcy niewiele ryzykowali (...). Nie było żadnego zadowalającego ani istotnego powodu, dla którego amerykański batalion miałby nacierać przez otwarte pole na umocnione pozycje sił armii północnowietnamskiej”[30]. Krohn pisał w ten sposób o potyczce z 4 lutego rozegranej w jakiejś wiosce położonej 6 kilometrów na północ od Hue. „Poszło nas do ataku jakichś czterystu. Kilku zdołało zrobić ledwie pierwszy krok. A kiedy dotarliśmy na drugą stronę polany, mieliśmy już dziewięciu zabitych i czterdziestu ośmiu rannych (...). Sami zabiliśmy zaś ledwie ośmiu tych z AWP (w najlepszym razie), a czterech wzięliśmy do niewoli (...). Do dowództwa brygady zaraportowaliśmy potem większą liczbę zabitych, ale było to myślenie życzeniowe, mające poprawić nam humory. Prywatnie wszyscy wiedzieliśmy jednak, że wróg został przez nas ledwie draśnięty”[31].

Krohn opisał też swoje uczucia podczas ładowania na pokład helikoptera ewakuacyjnego ciała swojego oficera medycznego nazwiskiem Johnny Lau: „Rozmawialiśmy ze sobą wcześniej, tuż przed

atakiem, a on powiedział mi, że jest z Sacramento w Kalifornii. Mówił, że jego rodzina prowadzi własny sklep spożywczy. Wywiązała się między nami rozmowa na temat najlepszego sposobu przyrządzania wołowiny z imbirem, którą musieliśmy przerwać w chwili rozpoczęcia ataku, ale obiecaliśmy sobie później do niej wrócić”[32] – co rzecz jasna już nigdy nie nastąpiło. W trakcie sześciu tygodni walk w okopach liczebność tego batalionu zmalała z początkowych pięciuset do niecałych dwustu ludzi. Krohn napisał gorzko: „AWP miała tam, na górze, lepszych dowódców, niż my”[33]. Jego mocno uszczuplonemu w walkach batalionowi szczęście dopisało przynajmniej o tyle, że zdołał wyrwać się z uścisku nieprzyjaciela i we względnym spokoju przystąpić do lizania ran.

Liczne bitwy w ramach ofensywy Tet stopniowo rozlewały się na cały kraj, angażując ostatecznie większość batalionów Westmorelanda. Kiedy jednak wszystko dopiero się zaczynało, dowódca plutonu powietrznodesantowego John Harrison prowadził patrol w pobliżu Nha Trang, z powodu konieczności przestrzegania rozejmu Tet wyglądający z grubsza na grupę myśliwych „polujących na jelenie”. Nagle w swoim radio usłyszał on ostrzeżenie: „Jest gorąco. Powtarzam: jest gorąco. Zrozumiałeś?”[34]. Pluton od razu zawrócił do swojej polowej bazy „Betty”, gdzie jednak nakazano mu powrócić tam, skąd przyszedł, w poszukiwaniu Wietkongu. Nie musieli nawet długo szukać, bo z miejsca natknęli się na grupę zaskoczonych ich pojawieniem się partyzantów, najwyraźniej gromadzących się przed wyruszeniem do ataku. Jeden z nich zaczął biec prosto w stronę Amerykanów, strzelając do nich w pistoletu. Idący na szpicy plutonu Harrisona żołnierz był do tego stopnia zaskoczony tym pokazem brawury i głupoty, że nawet nie odpowiedział ogniem. Zrobił to za niego sam porucznik, który wpakował w napastnika szesnaście kul, zanim tamten wreszcie padł bez życia na ziemię, brocząc krwią i wzbijając tumany kurzu.

Przesłuchujący jeńców wojennych Bob Destatte jechał wówczas jeepem w towarzystwie dwóch poruczników drogą na południe od miasta Tuy Hoa. O ofensywie Tet dowiedział się po raz pierwszy wówczas, kiedy daleko przed ich samochodem pojawiła się kolumna Wietnamczyków odzianych w jakieś stare łachy, a niektórych nawet

w same krótkie spodenki. Nagle kilku z nich zaczęło strzelać. Destatte zapamiętał, że początkowo tylko pomyślał sobie ze złością: „Jezu, jeśli zaraz się nie uspokoją, to jeszcze kogoś zabiją!". Ale już po chwili w jego głowie pojawiła się całkiem inna myśl: „To chyba jednak są ci źli". Trójka Amerykanów wyskoczyła z auta i wczołgała się w przydrożne krzaki, by tam szukać schronienia. Leżeli tak przerażeni, aż na drodze pojawiła się grupka uciekinierów z miasta. Destatte zagadnął kilku z nich po wietnamsku, prosząc: „Jeśli spotkacie żołnierzy rządowych, powiedzcie im, że jest tu kilku «długonosych», którzy wpadli w tarapaty". Niedługo później na miejscu zjawił się pluton SR, którego dowódca zapytał tylko: „To wy jesteście tymi «długonosymi», którzy potrzebują pomocy?". Amerykanom pozostało już tylko dziękować niebiosom, że wyszli z opresji cało i zdrowo[35].

Jeden ze startujących na co dzień z lotniskowca pilotów marynarki wojennej, który pewnej nocy musiał lądować awaryjnie w Da Nang, odpoczywał po tym wyczerpującym manewrze na podłodze pomieszczenia operacyjnego, kiedy nagle poczuł, że ktoś szarpie go za ramię, próbując wybudzić ze snu. „Czy to twój samolot, tam przed nami?" – wydzierał się histerycznie jakiś pułkownik. „Musisz go stąd zabrać. Nie mam jak go zamaskować. On musi stąd zniknąć". Pilot odpowiedział na to przekleństwami, a na koniec dodał: „Jak chcesz, to sam go zabierz". Emocje pułkownika przybrały wtedy jeszcze na sile; wykrzykiwał, że w takim razie wyśle buldożery, by zepchnęły maszynę z pasa. Jak napisał później pilot: „Wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że rozmawiam z szaleńcem. Zupełnie mu odbiło". A ponieważ nie zależało mu na tym, by jego „piękny myśliwiec" potraktowano buldożerem, z niechęcią wciągnął kombinezon i wystartował mimo wciąż panujących ciemności, by 2 godziny później wylądować na Filipinach[36].

30 stycznia o godzinie 21.00 w Sajgonie pochwycono pewnego uzbrojonego bojownika Wietkongu, który wyjawił, że za 6 godzin ma dojść do licznych ataków na cele w samym mieście i wokół niego. Pół godziny później w ręce żołnierzy rządowych wpadł kolejny partyzant, mający przy sobie dwa karabiny AK-47 ze składanymi kolbami. Było już wprawdzie za późno, by obrońcy mogli dokonać jakichś znaczących

przesunięć swoich sił, ale większość jednostek zdążono przynajmniej ostrzec przed spodziewanymi atakami. Wielu partyzantów, którzy nigdy wcześniej nie byli w żadnym mieście, gubiło drogę w plątaninie sajgońskich ulic: miejscowi przekazali na przykład w ręce policji pewnego nastoletniego bojownika ze wsi, który siedział na krawężniku i łkał, bo nie potrafił odnaleźć swoich towarzyszy.

Tran Bach Dang, tak wściekający się na opóźnienia w przybywaniu poszczególnych batalionów do miasta, sam miał problemy, by wraz ze swoimi ludźmi w ciemnościach pokonać ostatnich kilkanaście kilometrów dzielących ich od Sajgonu. Z centrum dochodziły już wyraźne odgłosy strzelaniny, kiedy on sprawdzał jeszcze drogę na mapie w jakiejś świątyni na obrzeżach stolicy. Jeden z dowódców batalionów raportował, że rozkazano mu zaatakować magazyny paliwa w Nha Be, tyle że on nie miał zielonego pojęcia, gdzie to jest, a jego ludzie byli wycieńczeni forsownym marszem. Ale kiedy Dang nastawił swoje radio na częstotliwość stacji w Sajgonie i kanału ARVN, odpowiedziała mu tylko cisza w eterze. Na krótko przywróciło mu to energię: najwyraźniej nadajniki znajdowały się już w rękach komunistów. A kiedy jeszcze do świątyni zaczęły ściągać tłumy miejscowych przynoszących ze sobą melony, petardy, herbatę, lekarstwa i ciasta na Tet, humor zupełnie mu się poprawił. Na razie wszystko wyglądało całkiem obiecująco.

3. SYMBOLICZNE UPOKORZENIE

31 stycznia o godzinie 1.30 oddziały uderzeniowe Wietkongu – AWP nie weszła bowiem do stolicy – który zdołał ściągnąć do miasta łącznie 4 tysiące bojowników, przypuściły ataki na rozliczne cele w Sajgonie, w tym przede wszystkim na pałac prezydencki, mimo że stał on w tym dniu pusty, jako że prezydent Nguyen Van Thieu przebywał na urlopie w My Tho. Napastnicy, w liczbie trzynastu mężczyzn i jednej kobiety, zostali szybko odparci, wobec czego wycofali się do pobliskiego budynku mieszkalnego, gdzie w trakcie piętnastogodzinnej wymiany ognia likwidowano ich jednego po drugim. Inni partyzanci zajęli

siedzibę ogólnokrajowej stacji radiowej przy pomocy sympatyzującego z nimi pracownika rozgłośni, który dorobił dla nich klucze. Udało im się utrzymywać budynek przez 6 kolejnych godzin, tyle że nie powiodły się próby nadawania stamtąd przygotowanych wcześniej materiałów propagandowych z powodu odcięcia kabli wiodących do nadajnika. Komuniści przypuścili ponadto szturm na most Newport oraz ataki w położonej na przedmieściach chińskiej dzielnicy Cholon i na podmiejskie bazy w Long Binh, Bien Hoa i Tan Son Nhut. Wiceprezydent Nguyen Cao Ky wprowadził powszechnie obowiązującą godzinę policyjną dla ludności cywilnej, tak by każda osoba spotykana na ulicach Sajgonu mogła zostać z góry uznana za nieprzyjaciela.

Wietnamczycy zdążyli już w sobie wyrobić tak dużą dawkę cynizmu, że niektórzy z nich, słysząc w Radio Hanoi obwieszczenia o rychłym obaleniu reżimu, zakładali z góry, że chodzi zapewne o wymierzony w Thieu kolejny pucz, za którym stoi Ky. Davida i Mai Elliottów, spędzających tę noc w kompleksie RAND przy ulicy Pasteura, obudził w środku nocy odgłos potężnego wybuchu. Kiedy jednak zapalili światła, z miejsca ofuknął ich jakiś pułkownik marines: „Natychmiast zgasić! Przecież nas atakują!". Podobnie jak część Wietnamczyków, również Elliottowie założyli, że chodzi o przewrót – a zatem wewnętrzną sprawę wietnamską – wobec czego wrócili do łóżka. W rzeczywistości do wybuchu doprowadzili saperzy Wietkongu, wysadzający dziurę w zewnętrznym ogrodzeniu terenu pobliskiej ambasady amerykańskiej, co miało już wkrótce doprowadzić do jednego z najbardziej dramatycznych epizodów w całej tej wojnie.

Wkrótce po wybuchu pod ambasadę podjechała niewielka ciężarówka marki Peugeot, a za nią taksówka. Z samochodów wyskoczyło 19 komandosów z komunistycznego batalionu C-10, którzy spędzili ostatnich kilka dni w ukryciu w pobliskim warsztacie samochodowym. Zaraz po opuszczeniu aut napastnicy otworzyli ogień do dwóch amerykańskich żandarmów wojskowych, którzy – co trzeba im przyznać – nie stracili zimnej krwi, bo w pierwszej kolejności zamknęli bramę na teren ambasady, a dopiero później zaczęli się ostrzeliwać, zabijając dowódcę plutonu WK i jego zastępcę. O godzinie 2.47 strażnicy nadali ponadto przez radio zakodowaną wiadomość o ataku:

„Sygnał 300!”. Następnie jeden z nich dodał: „Zbliżają się do nas, zbliżają się do nas! Pomocy! Pomocy!”, po czym sam zginął. Pilnujący ambasady żołnierze ARVN rzucili się do ucieczki, wobec czego reszta napastników zaczęła przeciskać się na jej teren przez wyrwę w murze, uczynioną wysadzonym przez ich saperów siedmiokilogramowym ładunkiem. Ale kiedy komandosi przedostali się już na teren kompleksu, ich pomysłowość się skończyła. Odpalili dwie rakiety w stronę budynku archiwów, od których uderzenia odpadło ze ściany amerykańskie godło, zranili jednego żołnierza marines i mocno wystraszyli kilka przygodnych osób, ale nikogo więcej już nie zabili. A po całej tej heroicznej akcji ukryli się za wielkimi betonowymi donicami na kwiaty stojącymi na dziedzińcu i przez kolejnych kilka godzin ograniczali się już tylko do zdawkowej wymiany ognia z garstką marines i żandarmów wojskowych, strzelających do nich z otaczających budynków.

Allan Wendt, trzydziestotrzyletni specjalista od spraw gospodarczych, który w ambasadzie pełnił funkcję oficera dyplomatycznego, zbudził się w nocy, słysząc potężny wybuch. Jego pierwszą reakcją było wczołganie się pod łóżko, drugą – telefon do żołnierza marines urzędującego na parterze, który wyjaśnił mu, że trwa właśnie atak na ambasadę. To, co wydarzyło się dalej, można określić tylko jako czarną komedię. Szybko okazało się bowiem, że w całym budynku ambasady nie ma żadnej broni poza tą, którą nosi ze sobą trzech strażników, w tym jeden wówczas już poważnie ranny. Wendt zakładał, że napastnicy lada chwila przypuszczą szturm, bo i czemuż mieliby tego nie zrobić? „Myślałem, że mam przed sobą dosłownie ostatnie chwile życia”[37]. Zdesperowany pobiegł do względnie bezpiecznego, bo zaopatrzonego we wzmacniane ściany pokoju deszyfrującego, w którym zamknął się od środka. Stamtąd zaczął dzwonić. Pierwszy telefon wykonał do MACV. Urzędnik Westmorelanda zapewnił go, że wkrótce przybędzie pomoc, ale nie omieszkał dodać – zupełnie niczym w standardowych korporacyjnych powitaniach powtarzających: „Proszę się nie rozłączać, za chwilę zajmiemy się twoim problemem” – że napływają do nich teraz liczne zgłoszenia o atakach z całego obszaru Sajgonu. Słysząc to, Wendt ostro

zaprotestował, wskazując nie bez racji: „Ale to akurat miejsce jest symbolem amerykańskiej potęgi w Wietnamie". Oficer MACV odparł na to, że w drodze jest już opancerzona kolumna wojska – choć w rzeczywistości wcale tak nie było. Dyplomata połączył się następnie z Centrum Operacyjnym Departamentu Stanu i z Salą Oceny Sytuacji (Situation Room) w Białym Domu – w obu przypadkach wystawił za okno słuchawkę, tak aby rozmówcy mogli sami usłyszeć odgłosy strzelaniny.

Początkowa odpowiedź sił Sajgonu na ataki WK stała pod znakiem jeszcze mniejszej dyscypliny niż same te ataki. I tak 716. Batalion Żandarmerii Wojskowej, jedyna amerykańska jednostka stacjonująca w centrum miasta, otrzymał rozkaz wysłania wsparcia do ambasady. Jego oficerowie odmówili jednak wyjścia z koszar do czasu udostępnienia im pojazdów opancerzonych i helikopterów, a ponadto sprzeciwiali się angażowaniu w wymianę ognia po ciemku. Jeden z nich skomentował, wzruszając ramionami: „Przecież WK jest już na terenie kompleksu. To gdzie oni niby nam teraz uciekną?". Większość Amerykanów – marines i żandarmów wojskowych – którzy w kolejnych godzinach stopniowo eliminowali jednego komandosa WK po drugim, czyniła to nie z rozkazu przełożonych, ale z poczucia obowiązku. Przy okazji zabili zresztą czterech południowowietnamskich kierowców ambasady, choć całkiem możliwe, że jeden z nich pomagał napastnikom.

Prawdziwym bohaterem wśród obrońców okazał się dwudziestojednoletni sierżant marines Ron Harper, odpowiedzialny za budynek archiwów, który zdążył zamknąć i zabarykadować wiodące doń ciężkie tekowe drzwi, zanim ludzie WK mogli wejść przez nie do środka. W ciągu długiej strzelaniny, która wywiązała się później, na miejscu zjawiły się dziesiątki reporterów telewizyjnych i prasowych, by śledzić ten niezwykły dramat rozgrywający się dosłownie kilkaset metrów od ich hoteli. Brygadier John Chaisson, dyrektor Centrum Operacji Bojowych w kwaterze głównej Westmorelanda, również zszedł na dół swojego budynku mieszkalnego, ulokowanego o przecznicę od ambasady, by w towarzystwie strażnika obserwować rozwój wydarzeń i nasłuchiwać odgłosów walki: „Jest coś niesamowitego w tych walkach

ulicznych. Wydarzenia zdają się przebiegać zarazem wszędzie i jednocześnie, a każdy głośny wybuch jest dodatkowo zwielokrotniany dzięki odbijaniu się jego odgłosu od sąsiednich budynków".

O pierwszym brzasku nadleciały hueye, które z dużym opóźnieniem zabrały pluton z 502. Pułku Piechoty Powietrznodesantowej jako wsparcie dla ambasady. Kapitan Jack Speedy napisał: „Tamten poranek był spektakularnie wręcz piękny: słońce wędrowało coraz wyżej po niebie, a znad rzeki Sajgon unosiły się mgły. Nad wielu niżej położonymi budynkami dało się zauważyć dymy z palenisk. W złotym poblasku wstającego słońca lśniła na zielono roślinność w mieście"[38]. Kiedy jednak spoglądało się w stronę ambasady, żołnierze widzieli tylko puste ulice; przynajmniej dopóki niewidzialny wróg – komandosi WK – nie otworzył do nich ognia, raniąc strzelca siedzącego w drzwiach helikoptera, który upadł do tyłu, brocząc krwią. A wówczas, okazując zaskakującą bojaźliwość, pilot maszyny, zamiast usiąść na dachu ambasady, odbił w kierunku Long Binh, gdzie w momencie podchodzenia do lądowania o godzinie 6.30 doszło do wybuchu w składzie amunicji – był to kolejny samobójczy „sukces" komunistycznych saperów. Steve Howard będący świadkiem tego wydarzenia relacjonował później: „Wyglądało to tak, jakby w Wietnamie po raz pierwszy użyto broni atomowej"[39]. W rezultacie spadochroniarzy wysadzano w atmosferze wszechobecnej paniki: „To całe Tet wyraźnie zaczynało działać na wszystkich dookoła".

Podczas gdy z hueya wyciągano rannego strzelca, pozostali żołnierze pobiegli do innego śmigłowca, którym wreszcie polecieli do ambasady, by wylądować na jej dachu ponad 6 godzin po tym, jak pierwszy z napastników przedostał się na jej teren. A kiedy oni wyskakiwali z maszyny, pewien żołnierz marines i pewien wojskowy łącznościowiec skorzystali z okazji, by do niej wskoczyć i w ten sposób uciec jak najdalej od niebezpieczeństwa. Nowo przybyli zbiegli tymczasem w dół po schodach, na których spotkali jakiegoś cywila – prawdopodobnie Wendta – „który patrzył na nas tak, jakbyśmy byli najwspanialszymi ludźmi na całej ziemi". A już wkrótce kolejne helikoptery zaczęły wysadzać następne grupy żołnierzy. Dwóch rannych napastników

wzięto do niewoli, a potem przekazano w ręce Wietnamczyków z Południa.

Pułkownik George Jacobson był oficerem w stanie spoczynku, który mieszkał w willi na terenie kompleksu i pełnił funkcję koordynatora misji – cywilnego doradcy ambasadora. Jeszcze poprzedniego wieczora Jacobson zorganizował u siebie w ogródku pokaz fajerwerków z okazji święta Tet; pozostałą część nocy spędził, leżąc na podłodze z granatem w dłoni, jedyną bronią, jaką dysponował: skoro bowiem mieszkało się na terenie silnie ufortyfikowanej ambasady, to spanie z naładowaną bronią pod poduszką wydawało się raczej zbytnią nadgorliwością. O pierwszym brzasku pułkownik przeżył wydarzenia dorównujące dramatyzmem scenom z hollywoodzkiego westernu: kiedy na schodach na dole rozległy się kroki ludzi z WK – ostatnich komandosów pozostających jeszcze na wolności – wyjrzał za okno, a dostrzegłszy tam pierwszych żołnierzy marines, cicho zawołał do nich o broń. Po chwili rzeczywiście rzucono mu w górę pistolet, a dosłownie kilka minut później, dokładnie o godzinie 6.45, Jacobson miał okazję wpakować cały magazynek w pierś bojownika, który wpadł do jego pokoju, strzelając na oślep ze swojego AK-47.

O godzinie 9.15 ogłoszono, że cały teren ambasady został już zabezpieczony. Tom Speedy powiedział: „Ciała martwych komunistów nie zdążyły jeszcze ostygnąć, kiedy na teren kompleksu wtargnęła mongolska horda dziennikarzy (…) [Odtąd] moim największym problemem stali się właśnie ludzie z prasy". Jeden z żołnierzy powiedział nowo przybyłym, że napastnicy wdarli się do budynku archiwów. Była to oczywiście nieprawda, ale brzmiała na tyle sensacyjnie, że już po chwili zaczęła się pojawiać we wszystkich serwisach wiadomości na świecie, dodatkowo pogarszając i tak nie najlepszy obraz sytuacji. Ktoś zauważył całkiem trzeźwo, że cała broń wykorzystana przez komunistów do zadania tak bolesnego ciosu reputacji i prestiżowi Stanów Zjednoczonych kosztowała o wiele mniej niż wynosząca 4 tysiące dolarów minimalna opłata za dostęp do satelity komunikacyjnego na Pacyfiku, za pośrednictwem którego telewizje transmitowały materiały z Sajgonu na cały świat, wyrządzając temuż mocarstwu straty nieporównanie większe od samych ataków. Generał

William Westmoreland dowiedział się o ataku na ambasadę o godzinie 3.00, ale zdecydował się opuścić swoją kwaterę i udać na miejsce dopiero wówczas, kiedy poinformowano go, że jest tam już bezpiecznie. Jednak to, jak się tam zachował, miało zaszkodzić jego reputacji jeszcze bardziej od wcześniejszej opieszałości. Najpierw ofuknął on Speedy'ego i jego żołnierzy za to, że są nieogoleni, każąc im pójść i zrobić ze sobą porządek, zanim znów pokażą mu się na oczy. Następnie zaś „odszedł i znalazł sobie jakichś kolejnych paru biedaków, na których zaczął się wyżywać (...) Cóż, po naszej stronie było dość Westmorelandów i jemu podobnych, byśmy zaczęli nienawidzić samych siebie". Alan Wendt, dyplomata, który musiał spędzić całą długą noc w strachu o swoje życie, odniósł po tej wizycie jeszcze gorsze wrażenie. Nie dość, że nikt nie poczuwał się do winy za to, że – mówiąc w przenośni – kawaleria dotarła z odsieczą dopiero z sześciogodzinnym opóźnieniem, to jeszcze generał, ujrzawszy leżące wszędzie trupy i gruzy, nie ukrywał swojego zniesmaczenia takim mało estetycznym widokiem: „Sugeruję, by jak najszybciej uprzątnąć to miejsce – powiedział pełniącemu służbę oficerowi – tak żeby do południa ludzie mogli powrócić do swoich codziennych obowiązków"[40].

Następnie Westmoreland obwieścił dziennikarzom, że nieprzyjaciel poniósł właśnie bolesną porażkę. Przemawiając niczym ksiądz zszokowany faktem, że szabrownicy mogli chcieć ukraść jego złocone naczynia mszalne, generał powiedział: „Wróg podstępnie wykorzystał rozejm z okazji święta Tet, by spowodować możliwie wiele zamieszania". Później Westmoreland posunął się nawet do sugestii, że cały ów atak na stolicę miał być „wybiegiem" komunistów, odwracającym uwagę od ich „głównego celu" w prowincji Quang Tri. Słysząc to, Peter Braestrup z „Washington Post" zadał przekorne, ale całkiem zasadne pytanie: „Jak w ogóle jakikolwiek atak (...) w śródmieściu Sajgonu można uznać za wybieg mający odwrócić uwagę od czegoś innego?"[41].

19
Olbrzym się chwieje

1. PODJĘTA RĘKAWICA

Atak na amerykańską ambasadę stanowił wprawdzie efektowne, ale tylko jedno z kilkuset gwałtownych starć, do których doszło w pierwszych godzinach 31 stycznia. Tran Tan był uczniem szkoły średniej, który mieszkał z rodzicami i dziewięciorgiem rodzeństwa w niewielkim, krytym strzechą domu na obrzeżach Sajgonu. Tamtej nocy ze snu wyrwała chłopca matka, szarpiąca go nerwowo za ramię. „Pod naszym domem słychać dużo hałasów i nie brzmią one wcale jak fajerwerki”[1] – powiedziała. Tan zaczął ubierać się w pośpiechu, a jego ojciec, były żołnierz służący kiedyś u Francuzów, wyszedł na zewnątrz, żeby zbadać sprawę. Po chwili wrócił i ogłosił: „Wszędzie jest pełno WK, lepiej stąd wiejcie”. Tan wziął swojego młodszego brata na siodełko rodzinnej hondy i bocznymi uliczkami uciekł z nim do domu wujka – obaj chłopcy byli w takim wieku, że mogli stanowić obiekt niebezpiecznego zainteresowania ze strony komunistów. Ich rodzice i sąsiedzi zaleźli natomiast schronienie w pobliskiej szkole, która miała im służyć za dom przez kolejnych sześć miesięcy, dopóki nie przeniesiono ich do obozu dla uchodźców. W wyniku walk toczonych z bojownikami uczestniczącymi w operacji Tet większość okolicy została całkowicie zniszczona, a niewielki dom Tranów doszczętnie spłonął, tak że zostali bez środków do życia.

Tymczasem w Delcie pewien student zaprosił do swojego domu na herbatę jednego z komunistycznych działaczy, którzy zjawili się w mieście Cai Lay wraz z oddziałami partyzantów WK. Komunista odparł jednak na tę propozycję, że nie ma teraz czasu na herbatę,

i dodał: „Na razie cieszmy się tym, że już wkrótce nastanie pokój. I mam nadzieję, że pomożesz mi w jego zaprowadzeniu”[2]. Jak się okazało, w praktyce chodziło o to, by młodzian zapisał nazwiska i adresy wszystkich urzędników rządowych, policjantów i wojskowych, jakich tylko znał, a ten bezzwłocznie wykonał polecenie, pomijając jedynie najbliższych przyjaciół. W ciągu dwóch następnych tygodni trwały zażarte walki o miasto, podczas których ludność cywilna kryła się w swoich domach. Po upływie tego czasu napastników udało się ostatecznie wyprzeć z głównej dzielnicy rządowej.

W Sajgonie dowódca WK Huynh Cong Than zanotował: „Wydarzenia podczas pierwszego dnia walk były zupełnie różne od moich wyobrażeń i oczekiwań. Bataliony uderzeniowe, po których spodziewaliśmy się szybkich postępów, nie zdołały osiągnąć zbyt wiele, ponieważ dysponowały tylko ręczną bronią palną i niewielką ilością amunicji, podczas gdy siły nieprzyjaciela przewyższały ich liczebnością i wykorzystywały swoją znajomość plątaniny miejskich uliczek i alejek do stawiania zażartego oporu. Cywile witali wprawdzie naszych ludzi dość ciepło, ale nic nie wskazywało na to (...), byśmy przybyli tutaj wesprzeć jakieś ludowe powstanie”[3]. Wkrótce po wdarciu się owych batalionów do centrum miasta zerwaniu uległa łączność między nimi a kwaterą główną na jego obrzeżach, tak że musiały one polegać wyłącznie na informacjach czerpanych z sajgońskiego radia, które szybko wznowiło nadawanie. W całym regionie do walki pchnięto 35 batalionów WK, z czego 11 w obrębie miasta. Z uwagi na źle prowadzony wywiad zupełnie nie wypaliła taktyka zaatakowania silnie bronionego śródmieścia przy użyciu ciężkiej broni samych Wietnamczyków z Południa, którą mieli przechwycić bojownicy WK, a następnie oddać w ręce towarzyszących im przeszkolonych żołnierzy formacji pancernych: na miejscu okazało się bowiem, że stojące tam zwykle czołgi zniknęły, a z haubic kaliber 105 mm pousuwano zamki. Duży atak przypuszczono na koszary wojskowe w Tan Son Nhut. Obecny w tej bazie wiceprezydent Ky uzbroił w karabiny i pistolety nawet swoją żonę i trójkę najstarszych dzieci. Jednym z amerykańskich bohaterów tego starcia został pułkownik Glen Otis, który z dużą zręcznością poprowadził nocny odwód 3. Batalionu 5. Pułku Kawalerii

Powietrznej od strony Cu Chi, zachodząc komunistycznych bojowników od tyłu. Co prawda jego własna jednostka, sprowadzona wcześniej na miejsce hueyem w celu zidentyfikowania zasadzek i przygotowania własnych pozoracji, doznała ciężkich strat, ale to właśnie dzięki niej kawaleria mogła później przyczynić się w dużym stopniu do udaremnienia natarcia na Tan Son Nhut.

W jednym z nieodległych domów nastoletni uczeń Tran Van De, wyglądający ostrożnie przez uchyloną bramę, ujrzał jakiegoś żołnierza w hełmie maskującym, należącego niewątpliwie do którejś z formacji Wietkongu, który darł się na całą ulicę: „Wszyscy wychodzić z domów. Tu armia rewolucyjna, która nadeszła, by was wyzwolić". De i jego rodzina zostali jednak w środku, ponieważ jako dobrych katolików wychowano ich w przekonaniu, by nie ufać komunistom i czuć wobec nich raczej strach i nienawiść. Wkrótce potem z ulicy dobiegły odgłosy strzelaniny, a De wraz z matką i czworgiem rodzeństwa, tulący się dotąd do siebie w kącie, wczołgali się pod wielkie łóżko, gdzie De, przykładając palec do ust, nakazał pozostałym nie wydawać żadnych odgłosów. Przez kolejne godziny robiło się coraz straszniej: kule, które przebijały się przez drzwi wejściowe, świstały po pokoju; nad głowami słychać było odgłosy latających helikopterów, a jeden z nich wystrzelił rakiety, od których zapalił się sąsiedni dom. W końcu cała rodzina uciekła na puste pole kilkaset metrów za ich domem, gdzie kuląc się w rowie, spędzili kolejne trzy dni. Każdego ranka De wracał do ich domu, by sprawdzić, czy jeszcze stoi. Na trzeci dzień obudził go widok skierowanej weń lufy karabinu, za którą widniała sylwetka ogromnego amerykańskiego żołnierza. „Jestem uczniem" – odezwał się po angielsku chłopak, a wtedy Amerykanin opuścił broń, ale Wietnamczyk i tak dostrzegł, że zrobił to z pewnym wahaniem, a może nawet podejrzliwością[4].

Generałowie czują się najlepiej, kiedy mogą dowodzić dużymi siłami wojskowymi w starannie zaplanowanych bitwach. Fred Weyand szczycił się tym, że już wcześniej zadbał o ustanowienie odpowiednich i trwałych kanałów komunikacyjnych, dzięki czemu mógł szybko i skutecznie sprowadzać kolejne jednostki II Polowego Zgrupowania Wietnamskiego na poszczególne odcinki walk w Sajgonie i wokół

miasta. Reszta wysokich oficerów MACV wydawała się jednak zupełnie niezdolna do opanowania chaosu, który owładnął całym krajem. Łączność między Amerykanami a Wietnamczykami z Południa była słaba. Wielu lokalnych dowódców było zdanych na własną inicjatywę. Podczas pierwszych godzin walk w Sajgonie amerykańska żandarmeria wojskowa doznała ciężkich strat, ponieważ była w oczywisty sposób nieprzygotowana do walki z piechotą. Zginęło wówczas 16 żandarmów, a 21 odniosło rany, przy czym wielu z nich znajdowało się na pace ciężarówki wysadzonej przez Wietkong. W Cholon ciężkie walki trwały długimi tygodniami. Stacjonująca tam garstka Australijczyków odparła atak WK na swoje kwatery, podczas którego jeden z napastników zginął z ręki kucharza, szeregowego „Popa" Clementa. Z charakterystyczną dla swojej narodowości swadą opowiadał on później o tych wypadkach: „Jak tylko zobaczyłem tego gościa z rurką uniesioną nad głową, od razu pomyślałem sobie, że pewnie nie przyszedł tutaj naprawiać nam kanalizacji"[5]. Generalnie, niezależnie od zażartości i czasu trwania walk, siłom rządowym niemal wszędzie udawało się bronić zajmowanych pozycji i zadawać napastnikom straty o wiele większe od tych, których same doznawały. Jeśli jednak chodziło o starcia uliczne, z reguły kończyły się one chaosem i dużym rozlewem krwi.

Amerykański 3. Szpital Polowy, zlokalizowany na obrzeżach Sajgonu, na co dzień zajmował się zwykle koszmarnym stanem uzębienia swoich cywilnych pacjentów i wydawaniem im różnokolorowych tabletek placebo, które wprost uwielbiali. Teraz jednak zupełnie niespodziewanie placówka ta znalazła się w samym oku cyklonu. Amerykańscy chirurdzy operowali właśnie jakiegoś rannego bojownika Wietkongu, kiedy do sali operacyjnej zajrzał jeden z pielęgniarzy i rzucił krótko: „Właśnie walnęli w ambasadę". „Tak, akurat..." – mruknęli tylko z niedowierzaniem lekarze, nie przerywając wykonywanej pracy, na co pielęgniarz zareagował grobowym głosem: „Zostawcie tego tutaj, zaraz będziemy mieli znacznie poważniejsze przypadki". Pracujący w tym szpitalu jako ratownik medyczny William Drummond powiedział: „Właśnie wtedy zaczął się maraton (...). Pracowaliśmy bez przerwy przez jakieś 40 godzin"[6].

A podczas tej pracy trzeba było podejmować wiele trudnych decyzji, takich jak odstępowanie od leczenia szczególnie ciężkich przypadków, bo brakowało ludzi i zasobów, by móc zająć się wszystkimi. Rannych potrafiących samodzielnie się poruszać pakowano do autobusów i wywożono do Tan Son Nhut, skąd ewakuowano ich na Hawaje. Część personelu nie dawała rady – Drummond opisał, jak szef chirurgii po prostu załamał się nerwowo: „To było dla niego za dużo. On chyba nie był odpowiednią osobą, żeby temu wszystkiemu podołać". Sam Drummond też poczuł w pewnym momencie, że musi na chwilę wyjść na zewnątrz, by zaczerpnąć powietrza, a tam ujrzał dwuipółtonową ciężarówkę wiozącą trupy Amerykanów, co najmniej kilkanaście, a może nawet więcej. Koszary niższych rangą żołnierzy zarekwirowano na potrzeby kostnicy, która w pewnym momencie mieściła już 600 ciał, zarówno Wietnamczyków, jak i Amerykanów. Z kolei w szpitalu, liczącym 150 łóżek, w szczytowym momencie znajdowało się 500 pacjentów. A ponieważ w wielu jego salach brakowało okien, „czułeś się tam jak w grobowcu": czasami lekarze wychodzili na chwilę na zewnątrz tylko po to, by przekonać się, czy jest jeszcze dzień, czy już noc.

Drummond oceniał, że najtrudniej mu było w towarzystwie „oczekujących" – ludzi, który los był już przesądzony: „Ciężko mi było patrzeć na kogoś, kto mógłby być moim bratem, bo był mniej więcej w moim wieku, i rozmawiać z nim jak gdyby nigdy nic, choć wszyscy wiedzieliśmy, że niedługo umrze". Szpitalna przełożona pielęgniarek i jej zastępczyni były opiekuńczymi kobietami po pięćdziesiątce. Kiedy jedna z nich zauważyła wysiadającego z ciężarówki żołnierza marines z ręką urwaną w łokciu, wykrzyknęła ze współczuciem: „Biedaku, widzę, że straciłeś rękę", na co on odparł: „To jeszcze nic, słoneczko, postrzelili mnie też w jaja!". Tempo pracy zaczęło zwalniać dopiero na trzeci dzień, kiedy skończyły się szpitalne zapasy sterylnych materiałów opatrunkowych.

Tymczasem w Ameryce ludzie byli tyleż zszokowani, co niejednokrotnie źle poinformowani. Gwiazdor NBC Chet Huntley powiedział widzom swojej stacji, że snajperzy Wietkongu wdarli się do budynku amerykańskiej ambasady, weszli na jego dach, a stamtąd

strzelali do ekip ratunkowych znajdujących się na dziedzińcu. Sarah McClendon, prezentująca wiadomości w programie *Capital Tieline* nadawanym w Dystrykcie Kolumbia, pozwoliła sobie natomiast na następujący komentarz: „Sytuacja jest bardzo, bardzo zła i sądzę, że już czas, by ludzie to sobie uświadomili”[7]. W nieco bardziej stonowany sposób wyrażał się Tom Buckley, który w gazecie „New York Times” dawał wyraz bezbrzeżnemu zdumieniu tym, że „po dziesięciu latach walk i 10 tysiącach ofiar Wietkong wciąż był w stanie znajdować tysiące mężczyzn, którzy gotowi są nie tylko uderzać w nocy, a potem się wycofywać, ale również podejmować misje mogące zakończyć się tylko i wyłącznie ich śmiercią”[8]. Z kolei w CBS Mike Wallace ogłosił, że ataki, do których właśnie doszło, „obalają mit, jakoby sojusznicy mieli militarną kontrolę nad Wietnamem Południowym”. Senator John Stennis z Missisipi powiedział reporterom, że nawet jeśli te ataki miałyby przynieść nieprzyjacielowi niezwykle ciężkie ofiary w ludziach, to i tak stanowiły one osobiste upokorzenia dla Lyndona Johnsona. Zresztą sam prezydent też był nimi głęboko wstrząśnięty, a jego wiara w wojskowych, w tym zwłaszcza w Westmorelanda, załamała się, by nigdy już nie powrócić do poprzedniego stanu.

Uszkodzony mur amerykańskiej ambasady w Sajgonie. W ten sposób partyzanci Wietkongu dostali się na teren ambasady w nocy 31 stycznia 1968 roku

Tymczasem walki nieustannie trwały. W Sajgonie 1 lutego o godzinie 6.00 dowodzący WK Dang i jego sztabowcy wsiedli do dużych sampanów udekorowanych flagami NFW, zapuścili silniki motorowe i popłynęli w górę rzeki, aż do samego centrum miasta. Tam, nie zważając na bezustanny ostrzał, przemaszerowali śródmiejskimi uliczkami, przy których w wielu domach zdążono już wywiesić ich flagi, do mostu Ba Tang. Dang był weteranem walk jeszcze z czasów Wietminhu i pamiętał Sajgon z lat 1945–1946. Teraz postanowił wstąpić do domu niejakiej pani Chin, w którym w tamtych odległych czasach mieściła się siedziba komitetu Partii. A podczas marszu jeden z partyzantów, zachwycony faktem przybycia do stolicy, uznał, że lepiej poczuje klimat jej ulic, kiedy zdejmie sandały, co też z miejsca uczynił.

Tamtego popołudnia w MACV brygadier John Chaisson zapisał z ledwie skrywanym podziwem: „To jest naprawdę fantastyczny wyczyn. Nieprzyjaciel uderzył na niemal każde lotnisko i niemal każdą stolicę prowincji w tym kraju, i to jednocześnie. Jak dotąd zadał nam całkiem znaczące straty, choć może nie za wielkie w ludziach, za co sam zapłacił bardzo wysoką cenę. Jeśli uda nam się wyjść z tego zwycięsko (a uda się), to moim zdaniem nie zostanie mu już w odwodzie zbyt wiele sił. Albo zatem zdoła przeważyć szalę tym razem, albo właśnie uczynił tę wojnę o wiele krótszą”[9].

W powstańczej kwaterze polowej dobre nastroje już powoli opadały. Działacze partyjni donosili, że wszyscy komandosi WK wysłani do centrum miasta zostali zlikwidowani. Dang ustanowił nowe stanowisko dowodzenia w pagodzie niedaleko mostu Binh Tien, a następnie zaczął rozsyłać „ekipy rekrutacyjne” na ulice miasta z zadaniem, by wzywały wszystkich obywateli do przyłączenia się do powstania – w dużej mierze bezskutecznie. Później dotarła do niego wiadomość, że na dom jego przyjaciółki, pani Chin, spadła bomba, zabijając wszystkich jego mieszkańców. W trakcie kolejnych dni i nocy brakowało czasu na sen, a za pożywienie służyły przede wszystkim napływające niemal bezustannie wieści z odcinków walk, głównie niedobre, przynoszone przez dzielne kurierki przemykające się chyłkiem przez ostrzeliwane ulice i alejki. Wojska sojusznicze konsekwentnie parły naprzód, wykorzystując dużą siłę ognia, a w konsekwencji wypierały komunistów z zajętych wcześniej przez zaskoczenie terenów. Nad głowami bez przerwy krążyły helikoptery, z których po zapadnięciu zmroku zrzucano flary rozbłyskowe. Amerykański nasłuch kierunkowy zdołał zidentyfikować źródło transmisji prowadzonych przez Danga drogą radiową, wobec czego na jego aktualną lokalizację już wkrótce zaczęły spadać wrogie pociski. Nie ustawał też napływ rannych, których znoszono w jedno miejsce, ale z braku ludzi i środków nie poddawano żadnemu dalszemu leczeniu. Od wielu dni partyzanci jedli wyłącznie mięso i jaja kaczek, nie mogąc już prawie na nie patrzeć. Dang rozpaczliwie, ale bezskutecznie, domagał się wsparcia w ludziach i sprzęcie.

Tymczasem w pozostałej części kraju niemal każda amerykańska jednostka bojowa zaangażowana była w jakimś stopniu w starcia czy działania przeciwpartyzanckie. Kapitan Myron Harrington, trzydziestolatek z Augusty w stanie Georgia, który przejął jedną z kompanii w 1. Batalionie 5. Pułku Marines zaledwie na pięć dni przed świętem Tet, odczuwał pewne zażenowanie związane z faktem, że jak dotąd w trakcie ośmioletniej służby wojskowej nie dane mu było jeszcze uczestniczyć w żadnej porządnej akcji: „Miałem pełną świadomość tego, że jestem zielony”[10]. Już w kilka godzin po rozpoczęciu ofensywy on i jego ludzie zostali wysłani na poszukiwanie wroga na południe od Hue, w bezpośrednim sąsiedztwie starej linii kolejowej wiodącej wzdłuż wybrzeża, gdzie rzeczywiście, w okolicach jakiejś porzuconej wioski, czekał na nich oddział AWP, z którym wdali się w bezładną strzelaninę. Po zapadnięciu zmroku na ich pozycje raz na jakiś czas spadały pociski moździerzowe, a o pierwszym brzasku Harrington otrzymał rozkaz poprowadzenia swoich dwóch plutonów forsownym marszem, by dołączyć do reszty batalionu – odległej o dobre 20 kilometrów. Był to tylko jeden z licznych wówczas przykładów zamieszania decyzyjnego i dowódczego: z wojskowego punktu widzenia wysyłanie tak małych sił na długi i niebezpieczny marsz przez niepewny teren nie miało większego sensu. Przed wyruszeniem w drogę Harrington spytał dowództwo batalionu: „Co znajduje się między wami a mną?”, by w odpowiedzi usłyszeć, że nic. A jednak kiedy tylko jego Kompania Delta ruszyła się o zaledwie kilkaset metrów, napotkała pierwszy ostrzał ze strony nieprzyjaciela. Wyswobodzenie się spod ognia zajęło jej 2 godziny i kosztowało 8 rannych, których zdołano ewakuować dzięki wsparciu ogniowemu marynarki wojennej. Podczas dalszego marszu Harrington miał okazję obserwować pojawianie się kolejnych formacji AWP, których ruchy koordynowano albo gestami rąk, albo gwizdkami: „Wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że szykuje się coś poważnego”. Dopiero po upływie kolejnych 36 godzin, korzystając z osłony nocy, jego ludziom udało się przegrupować i dołączyć do reszty batalionu, dokładnie o północy 2 lutego.

Kompania Piechoty Powietrznodesantowej porucznika Johna Harrisona stacjonująca pod Nha Trang otrzymała z kolei rozkazy

przejścia przez otwarte pola ryżowe w kierunku dwóch domów i cmentarza, zajmowanych podobno przez Wietkong. Harrison zapamiętał: „Aż tu nagle nieprzyjaciel, owszem, pokazał się, ale za naszymi plecami, ostrzeliwując nas rakietami i pociskami moździerzowymi: łup-łup-łup”[11]. On i jego ludzie schronili się w jakiejś chatynce, ale okazała się ona marną kryjówką, bo przez jej ściany ze świstem przelatywały kule nieprzyjaciela. Walki trwały cały dzień, przy czym reszta jego kompanii została w tyle o jakiś kilometr i tam zaciekle się ostrzeliwała. „Szybko zrobiła się z tego ostra naparzanka – kto narobi komu więcej szkód. W większości takich potyczek ludzie giną zwykle na samym początku, w pierwszych trzydziestu sekundach, ale tutaj ciągnęło się to i ciągnęło”. A kiedy Harrison stracił jednego ze swoich żołnierzy, zastrzelonego na werandzie sąsiedniej chaty, wezwał przez radio wsparcie lotnicze: nurkujące samoloty przelatywały tak nisko nad jego kryjówką, że podmuch powietrza zerwał z niej dach, a jego samego przyprawił o krwawienie z nosa i uszu. W pewnym momencie nad swoją głową zauważył on aż sześć F-4 szykujących się kolejno do lotu koszącego.

Ale WK nie zaprzestawał ostrzału. Z jednej z chat wyskoczyła jakaś dziewczynka, która chwyciła za karabin leżący na ziemi i z powrotem ukryła się w środku. Widząc to, Harrison rozkazał strzelcowi obsługującemu M-60: „Następnym razem masz ją zastrzelić”. I choć tuż przed zapadnięciem zmroku przybyła inna kompania, mająca ich zluzować, do tego czasu jednostka Harrisona straciła już kolejnych trzech ludzi, zabitych podczas próby wydostania spod ostrzału rannego kolegi. To był naprawdę bardzo ciężki dzień. Harrison wspominał: „Po raz pierwszy w Wietnamie nie udało mi się zdominować przeciwnika siłą ognia. Mimo prowadzenia zmasowanego ostrzału z naszych M-60 nie byliśmy w stanie osłabić ich siły ognia. Zresztą niemal w ogóle nie widzieliśmy przeciwnika, czasem tylko błyskały nam wystrzały z ich AK”. Spadochroniarze wycofali się ostatecznie tuż przed zapadnięciem zmroku, ale nieco później porucznik poprowadził jeszcze patrol na pole bitwy, by pozbierać swoich poległych. Wracając z patrolu, żołnierze zgubili jednak drogę i musieli poprosić przez radio o wystrzelenie z bazy pocisku smugowego, na który mogliby się kierować.

W żywych, a czasami nawet poruszających wspomnieniach ludzi z Wietkongu, którzy uczestniczyli w ofensywie Tet, da się zauważyć celowe pomijanie licznych okrucieństw popełnianych na obszarach zajmowanych przez komunistów. Jednego z działaczy, nazwiskiem Nguyen Van Lem, oskarżono o to, że pochwycił oficera ARVN podpułkownika Nguyena Tuana z rodziną, po czym osobiście poderżnął gardło jemu samemu, jego żonie, sześciorgu jego dzieciom oraz jego osiemdziesięcioletniej matce. A kiedy wkrótce potem, bo już 1 lutego, Lem wpadł w ręce komandosów ARVN, ci przekazali go szefowi sajgońskiej policji, brygadierowi Nguyenowi Ngoc Loanowi, który z miejsca wyciągnął z kabury rewolwer Smith & Wesson i strzelił mu prostu w głowę. Traf chciał, że moment zabijania więźnia przez Loana uwiecznił na fotografii Eddie Adams z AP, za co zresztą otrzymał później Nagrodę Pulitzera, a zdjęcie to, które szybko obiegło cały świat, wyrządziło niepowetowane szkody sprawie amerykańskiej i południowowietnamskiej. Sam fotograf bardzo zresztą żałował, że tak się właśnie stało: „Wtedy zupełnie nie dostrzegałem, że nabierze to aż takiej wagi. Po prostu jeden zastrzelił drugiego. I co z tego? (...) A ja akurat przypadkiem miałem okazję tam wtedy być". Adams żałował również, że nie mógł zrobić zdjęcia wtedy, kiedy „ten z Wietkongu rozwalał całą rodzinę [Tuanów]"[12]. Z kolei amerykański historyk Ed Moise wyraża przekonanie, że cała historia o Lemie mordującym rodzinę Tuanów została wymyślona już po wojnie. Prawdy nigdy zapewne nie poznamy, warto za to przytoczyć w tym miejscu gorzkie słowa skreślone przez wiceprezydenta Ky: „Dzięki jednemu kliknięciu migawki nasza walka o niepodległość i prawo do samostanowienia w mgnieniu oka przekształciła się w obraz pozornie bezsensownej i brutalnej egzekucji"[13].

MACV apelowała wprawdzie do mediów, by wzięły pod uwagę niezliczone okrucieństwa dokonywane przez drugą stronę, tyle że nie potrafiła ich udokumentować porównywalnie poruszającymi obrazami. Ta sama historia powtarzała się później wielokrotnie podczas bitew. Gazety publikowały na przykład zdjęcia agencji AP, na których jeden z południowowietnamskich marines strzela do jeńca. A pewien amerykański doradca komentował je następująco: „Zwykle zabijamy

poważnie rannych Wietków, z dwóch różnych powodów. Pierwszy to taki, że nasze szpitale są pełne naszych własnych żołnierzy i cywilów i nie ma w nich już miejsca dla wrogów. A drugi wynika z tego, że kiedy oglądasz ciała pięcioletnich dziewczynek, którym przewiązano oczy, ręce związano za plecami i przestrzelono głowy, to myślisz o zemście. Ja sam wczoraj widziałem dwie takie martwe dziewczynki. A godzinę później zastrzeliłem Wietka".

W MACV obowiązek codziennego mierzenia się z grupą reporterów – „tym stadem sępów"[14] – spadał na brygadiera Johna Chaissona. Informacje z frontu dochodziły do dowództwa z kilkugodzinnym opóźnieniem, więc rankiem 1 lutego podwładni Westmorelanda ogłosili, że w Hue doszło tylko do ataku – zresztą odpartego – jednej kompanii WK na most i rampę przeładunkową. A jeszcze wieczorem tego samego dnia służby prasowe amerykańskiej armii wydały komunikat, w którym informowały tylko o trafieniu składu amunicji w Phu Bai, 15 kilometrów na południe od Hue, dwoma pociskami moździerzowymi, gdy tymczasem większa część miasta znajdowała się już wówczas w rękach komunistów. Dodatkowo, poszukując jakichkolwiek dobrych wieści, rzecznicy prasowi podkreślali fakt dobrowolnego skracania urlopów przez wielu wietnamskich żołnierzy, jak również to, że tylko nieliczni cywile odpowiadali na komunistyczne apele o przyłączenie się do walki. Sam Chaisson powiedział zaś reporterom 3 lutego, że oczyszczenie Hue z napastników to „tylko kwestia czasu", przy czym cały ten proces nie powinien zająć więcej niż „jeden czy dwa dni". W rzeczywistości bitwa o to miasto miała się toczyć jeszcze przez kolejne trzy tygodnie.

Tymczasem w „Christian Science Monitor" z tego właśnie dnia pojawiła się wzmianka, że Stany Zjednoczone stoją przed możliwością militarnej porażki. Z kolei redakcja „Wall Street Journal" napisała we wstępniaku, że z tą wojną coś było „bardzo nie w porządku. Rząd Wietnamu Południowego, przy całym olbrzymim wsparciu ze strony USA, okazał się niezdolny do zapewnienia bezpieczeństwa szerokim masom ludzi żyjącym zarówno na prowincji, jak i w miastach"[15]. A w swojej rubryce satyrycznej Art Buchwald napisał: „Little Big Horn, Dakota, 27 czerwca 1876: «General George Armstrong Custer oznajmił

dziś w udzielonym nam na wyłączność wywiadzie, że w bitwie pod Little Bighorn[6*] najgorsze mamy już za sobą i zaczynamy powoli dostrzegać światełko w tunelu»"[16].

Jeśli chodzi o wyższą kadrę oficerską w armii południowowietnamskiej, to jej część zachowywała się przyzwoicie, ale niektórzy najzwyczajniej w świecie okazywali się tchórzami. Westmoreland informował Pentagon, że dowódca IV Korpusu schronił się w swojej posiadłości, strzeżonej przez czołgi, inny zaś oficer wysokiej rangi zaczął nosić pod mundurem cywilne ubrania[17]. Generał dywizji Creighton Abrams uskarżał się z kolei szefowi sztabu ARVN, że w Hue trzy bataliony wietnamskich marines zdołały w trzy dni posunąć się do przodu o zaledwie pół przecznicy: „W tak rozstrzygających chwilach (...), jeśli marines nie potrafią [pokazać, na co ich stać] (...), wówczas tracą oni prawo do stanowienia części waszych sił zbrojnych"[18]. David Brannigan z NBC donosił wręcz, że żołnierze południowowietnamscy skupiali się bardziej na szabrowaniu aniżeli na walce z wrogiem. Fred Weyand stwierdził później: „Niektórzy z nich radzili sobie bardzo dobrze – równie dobrze, jak radzilibyśmy sobie my, będąc na ich miejscu – ale niektórzy spisywali się naprawdę fatalnie (...). W zbyt wielu przypadkach, kiedy tylko groziło im mierzenie się z przeważającymi siłami, po prostu szli w rozsypkę"[19].

W samym Sajgonie już piątego dnia walk, to jest 4 lutego, regionalny dowódca WK zaproponował całkowity odwrót, ale jego propozycja została z miejsca odrzucona przez sekretarza Partii. Wysocy działacze partyjni oskarżali później część przywódców o rzekomy brak determinacji, choć tego rodzaju krytyka z całą pewnością miała przede wszystkim odwrócić uwagę od ich własnych błędów, w tym ogłoszenia wielkiej ofensywy na podstawie licznych fałszywych założeń. Tego samego dnia, to jest 4 lutego, po formalnym uczczeniu 38. rocznicy założenia Wietnamskiej Partii Komunistycznej, Dang po raz kolejny zmienił swoje stanowisko dowodzenia. Wraz z całym sztabem rowerami udał się na prom, którym wszyscy przepłynęli na drugą stronę rzeki Sajgon. A ponieważ amerykański ostrzał artyleryjski tylko nabierał intensywności i liczba ofiar po ich stronie wciąż rosła, już

nazajutrz, 5 lutego, zapadła decyzja o odwrocie. CBWP rozkazało wszystkim jednostkom wycofać się z centrum miasta, choć poleciło im jednocześnie kontynuować walki na jego obrzeżach, na co pewien dowódca batalionu zareagował z desperacją: „Przecież przedmieścia są jak maszynka do mięsa: jeśli mamy próbować je utrzymać, oznacza to utratę wielu ludzi”[20]. Ostatecznie mocno przerzedzone kolumny wycieńczonych i przybitych ocalałych zaczęły wychodzić z miasta i powolnym marszem zmierzać z powrotem do bezpiecznego sanktuarium Dong Thap Muoi.

John Chaisson 6 lutego napisał do domu: „Generał Westmoreland trzyma się całkiem nieźle, choć znajduje się pod ciągłym ostrzałem prasy”. Szef MACV wciąż nie mógł się jednak pozbyć swojej fiksacji na punkcie północno-zachodniego krańca kraju. 8 lutego stwierdził on w depeszy do Pentagonu: „Choć uważam, że zdołamy utrzymać Khe Sanh, dopuszczam też myśl, iż szczęście nam tam nie dopisze. A jeśli faktycznie je utracimy, wówczas konieczne będzie odzyskanie tego miejsca i właśnie dlatego wysłałem w ten region 1. Dywizję Kawalerii Powietrznej (...). Rozsądnie jest się zabezpieczyć na wypadek zrealizowania się najgorszego możliwego scenariusza”[21]. Jeszcze 10 lutego w wiadomości przesłanej admirałowi Sharpowi Westmoreland upierał się, że w jego przeświadczeniu Wietnam Północny „zamierza uczynić z Khe Sanh drugie Dien Bien Phu”[22].

A media podążały za tokiem rozumowania generała. W lutym i marcu z bazy leżącej przy Drodze nr 9 napływało aż 38 procent wszystkich doniesień przekazywanych z Wietnamu przez AP (nie licząc samej stolicy), a także jedna piąta wojennych fotoreportaży publikowanych przez „New York Times” i „Washington Post”. Z kolei w stacjach telewizyjnych wciąż ukazywały się kolejne ujęcia ofiar i zniszczeń na terenie garnizonu bronionego przez marines – połowa czasu przeznaczanego co dzień w CBS na relacjonowanie tej wojny poświęcana była właśnie oblężeniu – przy czym nie powstawały rzecz jasna żadne materiały o znacznie większych stratach doznawanych przez AWP. 16 lutego w CBS reporter Murray Fromson oświadczył ponuro: „Tutaj to Wietnamczycy z Północy decydują o tym, kto przeżyje, a kto umrze (...), i prędzej czy później wykonają oni ruch, który

przesądzi o losie Khe Sanh". Choć dzień w dzień na lądowisku w bazie bez przeszkód siadały kolejne samoloty, a potem równie bezpiecznie z niego startowały, to telewizyjne materiały z lubością skupiały się na wrakach trzech maszyn C-123 i jednej C-130, zalegających w jego pobliżu. A gwiazda CBS Walter Cronkite podczas wizyty w Wietnamie miał podobno przyznać, że niewielu tak naprawdę wątpi w to, iż komuniści mogliby zająć Khe Sanh, gdyby tylko rzeczywiście tego chcieli.

W obliczu tak wielkiego kryzysu analitycy CIA podnieśli swoje szacunki sił komunistycznych operujących na Południu z 515 do 580 tysięcy ludzi, choć w rzeczywistości liczba ta była zapewne bliższa 300 tysiącom. Obawy narastające w MACV dotarły w jakiejś mierze również do Białego Domu – bo jak inaczej można wyjaśnić sugestię Johnsona poczynioną w obecności Earle'a Wheelera 3 lutego, że choć nie jest wcale jego życzeniem zrzucać bombę atomową na Khe Sanh, to wróg może go ostatecznie zmusić do podjęcia takiej decyzji? Westmoreland zapewniał wprawdzie prezydenta, że takie rozwiązanie nie będzie konieczne – właśnie podczas ofensywy Tet miała miejsce jedna z niewielu bezpośrednich rozmów telefonicznych między tymi dwoma politykami – ale sam generał wyznał później, że gdyby AWP zechciała przeprowadzić pełnoprawną inwazję na Południe, wówczas Stany Zjednoczone powinny użyć wszelkich dostępnych im środków w celu jej powstrzymania, w tym także broni chemicznej czy nuklearnej[23].

5 lutego do jednego ze współpracowników Williama Fulbrighta zadzwonił anonimowy rozmówca, który zasugerował, by senator zainteresował się faktem, iż jeden z czołowych amerykańskich ekspertów do spraw taktycznej broni nuklearnej, profesor Richard Garwin, właśnie wrócił z wizyty w Wietnamie Południowym. Ta wskazówka zaowocowała intensywnymi i pełnymi zaniepokojenia spekulacjami: 8 lutego Eugene McCarthy, aspirujący teraz do startu z ramienia Partii Demokratycznej i w kontrze do Johnsona w wyborach prezydenckich w roku 1968, stwierdził, że wojsko poprosiło właśnie o dostęp do taktycznej broni nuklearnej. Zarówno Biały Dom, jak i Pentagon natychmiast odrzuciły te rewelacje McCarthy'ego jako czyste i nieuzasadnione spekulacje, którymi faktycznie były. Mimo to

dociskany pytaniami na jednej z konferencji prasowych Earle Wheeler nie wykluczył możliwości użycia broni nuklearnej w przypadku, gdyby Khe Sanh groziło realne niebezpieczeństwo upadku. Johnson tymczasem przez krótki czas rozważał inwazję na Północ.

O samym fakcie toczenia się ówcześnie takich właśnie ożywionych dyskusji świadczyć może nagłówek artykułu, który ukazał się 17 lutego w dzienniku „New York Times". Głosił on: *Johnson zaprzecza, by kiedykolwiek rozważano użycie atomu w Wietnamie*. Ale już wszelkie tego rodzaju spekulacje z miejsca wzbudzały przerażenie sojuszników Ameryki. Brytyjski premier Harold Wilson powiedział w programie stacji CBS *Face the Nation*, że użycie broni nuklearnej byłoby „szaleństwem (...), czystym szaleństwem". Prawdę mówiąc, do decyzji o jej zastosowaniu nie było nawet wówczas specjalnie blisko, a większość ogólnikowych wypowiedzi generałów miała na celu raczej trzymanie Hanoi w niepewności i nie odzwierciedlała jakichś rzeczywistych intencji wkroczenia w nową fazę przemocy. 12 lutego admirał Sharp, starając się ostatecznie zamknąć temat, rozkazał Westmorelandowi porzucić jakiekolwiek nuklearne planowanie awaryjne. Szkody poczynione na arenie międzynarodowej były już jednak wówczas całkiem niemałe i okazały się nieodwracalne.

Komuniści zaangażowali 60 tysięcy ludzi w starcia w północnym sektorze walk. Wczesnym rankiem 7 lutego jeden z batalionów 304. Dywizji nieskutecznie wspierany przez wojska pancerne przypuścił natarcie na amerykański obóz sił specjalnych w Lang Vei, 8 kilometrów na zachód od Khe Sanh, a zarazem po przeciwnej stronie pasma górskiego. Pierwszy z czołgów PT-76, którymi dysponowała AWP, został szybko trafiony i spłonął, ale żołnierzom piechoty udało się mimo to wtargnąć na teren obozu. Armia naciskała na marines stacjonujących w Khe Sanh, by wysłali przez góry odsiecz, którą to sugestię z dużym rozsądkiem odrzucono: AWP była z całą pewnością przygotowana na taki ruch, a może nawet go oczekiwała. Sam fakt, że podobna propozycja w ogóle padła, odzwierciedlał panikę panującą wówczas na szczytach dowodzenia. Pod Lang Vei napastnicy zaatakowali bunkry obrońców rakietami B40, a do jednego z nich, szczególnie zaciekle się broniącego, wlali benzynę, po czym podłożyli ogień. Na koniec zatknęli

w obozie swoją flagę, kosztem ofiar w ludziach sięgających 30 procent. Ocalałych Amerykanów ewakuowano helikopterami, a leżący w nadmiernie eksponowanym miejscu obóz porzucono.

Komuniści głośno i buńczucznie przechwalali się tego rodzaju sukcesami, ale nie wspominali już o tym, że ich straty w całym regionie były przerażająco wysokie. Nawet zanim do akcji wkroczyły B-52, swoje zdążyły już zrobić liczne choroby: jeden na pięciu ich żołnierzy cierpiał na malarię, a odsetek ten jeszcze wzrastał wraz z nadejściem pory deszczowej. Równie źle wyglądały wskaźniki poległych w walce: w jednym z nieudanych natarć pewien pułk stracił aż jedną czwartą swojego stanu osobowego, inny zaś pułk zmniejszył się o 20 procent, atakując Wzgórze 832[24]. Doświadczenia należącego do AWP 9. Pułku można śmiało uznać za typowe: wieczorem 6 lutego jego żołnierze rozłożyli się obozem wzdłuż strumienia, niecałe dwa kilometry od Drogi nr 9. Następnego ranka, kiedy ludzie zbierali się do dalszego marszu, nad ich głowami nagle pojawiły się samoloty: sześć B-52 siało grozę i zniszczenie. Bezpośrednio pod lecącymi z nieba kolumnami bomb znalazła się połowa żołnierzy pułku.

Ludzie pierzchali, padali na ziemię, zaś po przelocie superfortec próbowali ratować rannych. Wtedy nastąpił drugi atak, a po nim jeszcze trzeci. Kiedy wreszcie sylwetki ostatnich B-52 zniknęły gdzieś w oddali, wszędzie pełno było porozrywanych na strzępy ciał walających się wśród poszatkowanych drzew albo zanurzonych w zabarwionej krwią wodzie. Pułk stracił wówczas niemal 300 żołnierzy, co stanowiło 15 procent jego stanu osobowego, a wszystko to jeszcze przed dotarciem na właściwe pole bitwy[25]. Jeden z dowódców kompanii przeżył załamanie nerwowe. Także spisane kroniki dywizji odzwierciedlają spadek morale w następstwie opisywanych wydarzeń. Podobne do tych naloty bombowe doprowadziły ponadto do zniszczenia niemal 12 ton amunicji, transportowanej na południe Szlakiem Ho Chi Minha przy tytanicznym wysiłku bojowników.

Po kilku tygodniach oblężenia Khe Sanh okoliczne zielone wzgórza otaczające bazę zmieniły się wskutek bombardowań w nieużytki koloru czerwonawego jak ziemia, spowite gęstymi kłębami pyłu i dymu. Po każdym kolejnym nalocie wśród komunistów można było

zaobserwować ożywiony ruch, jako że starali się oni dokopać do przysypanych ziemią i gruzem ocalałych towarzyszy. Jedna z bomb eksplodowała tuż obok bunkra dowodzenia, zabijając pięciu nowo przybyłych żołnierzy, świeżo po szkole średniej[26]. Trwała też bezustanna rywalizacja snajperów z obu stron, czasami przybierająca kształt przedłużających się pojedynków na celne strzały, ale generalnie większość swoich wysiłków komuniści poświęcali ciągłemu przybliżaniu okopów do amerykańskiej bazy. Motywacją do wzmożonego kopania była dla nich świadomość, że jedynie „przytulając się" możliwie blisko do obrońców, mogli zapobiec kolejnym atakom powietrznym na swoje pozycje. Do marca niektóre kompanie AWP liczyły zaledwie po 30 żołnierzy. Ale także Amerykanie broniący wówczas zajmowanych pozycji zapamiętali te doświadczenia na całe życie. Kapral Orville Fulkerson zauważył pewien osobliwy szczegół: oto wymieszane ze sobą ciała Amerykanów i żołnierzy AWP zalegające na Wzgórzu 881 „trzęsły się niczym galareta" za każdym razem, kiedy trafiały w nie kolejne kule wystrzeliwane z broni ręcznej przez obie strony starcia[27]. Z kolei Jeff Anthony, jeden z obrońców Wzgórza 861, nigdy nie podzielał obaw, że Wietnamczycy z Północy mogliby zająć Khe Sanh, bo każdy ich atak na pozycje zajmowane przez jego kompanię był z łatwością odpierany przy dużych stratach wroga[28]. Amerykańskim marines co i rusz migały w ciemnościach niewyraźne sylwetki napastników, najpierw w odległości jakichś 60, później 40, a w końcu nawet 30 metrów – czyli bliżej, niż większość z nich miała dotąd okazję ich oglądać podczas całego swojego pobytu w Wietnamie. Ale dzięki flarom rozświetlającym niebo obrońcy byli w stanie siać prawdziwe zniszczenie wśród nacierających żołnierzy AWP, opróżniając w ich stronę magazynek po magazynku, jeden pas z nabojami za drugim, „choć my z kolei ponosiliśmy spore straty przez te ich moździerze". Po jednym z takich starć, stoczonym o poranku 25 lutego, komuniści spróbowali tego samego wybiegu psychologicznego, jaki zastosowali niegdyś pod Dien Bien Phu, zachęcając Amerykanów do pozbierania swoich zabitych pod widoczną białą flagą. Marines słusznie zignorowali tę oczywistą próbę zapewnienia sobie bezcennych ujęć propagandowych.

Komunistyczni dowódcy, starając się jakoś rozładować napięcie bezustannie towarzyszące ich żołnierzom, a przy tym choć do pewnego stopnia poradzić sobie z wyczerpaniem i nudą, postanowili sprowadzić na miejsce trupę artystyczną, która w warunkach polowych odgrywała sztukę zatytułowaną *Na obrzeżach obozu w Ta Con* napisaną przez dramaturga nazwiskiem Chu Nghi. Miała ona podnosić morale wśród walczących, ale czynnik ten mocno stracił na znaczeniu po tym, jak jej autor zginął w jednym z nalotów, który ranił dodatkowo jednego aktora i jedną aktorkę[29]. Historycy Hanoi przytaczali też zupełnie fantazyjne statystyki dotyczące strat zadawanych rzekomo Amerykanom, na przykład rozdymając liczbę ofiar z rzeczywistych 500 do rzekomych 3055 albo twierdząc, że zniszczono już 279 amerykańskich samolotów[30]. Jeden z oddziałów raportował, że na każdego straconego własnego żołnierza zabito aż 40 przeciwników, co argumentowano następująco: „wysocy, ciężcy i powolni Amerykanie masowo ginęli od naszych kul”[31]. Ci sami historycy opisywali też Khe Sanh jako „chwalebną wiktorię”. Rzecz jasna żaden komunistyczny żołnierz prywatnie nie wierzył w takie brednie. Zresztą, nawet kroniki samej 304. Dywizji przyznają, że w jej jednostkach dochodziło do „znaczącego ubytku stanu osobowego podczas tej zażartej próby sił”, co z kolei powodowało „problemy (...) w sferze morale i ideologii, zarówno w kadrze dowódczej, jak i pośród żołnierzy dywizji”[32]. Znacząco wzrosła liczba dezercji i samookaleczeń. Odpowiedzią na nie było zaostrzenie dyscypliny: rozmaite kary wymierzono wówczas rekordowo wysokiej liczbie 399 ludzi, w tym 186 członkom Partii i 85 działaczom, za przestępstwa i wykroczenia takie jak „brak ducha bojowego”[33].

Według AWP aż 45 procent jej strat spowodowanych było nalotami, podobny odsetek – ostrzałem artyleryjskim, a jedynie niecałe 10 procent żołnierzy miało zginąć od ręcznej broni palnej. Do czasu zakończenia wszystkich bitew w ramach ofensywy Tet komuniści walczący w sektorze północnym mieli już u siebie 12 tysięcy chorych, a ponadto przyznawali się do 6 tysięcy zabitych i kolejnych 15 tysięcy rannych w trakcie działań bojowych. Jeśli chodzi o oblężenie Khe Sanh, to trwało ono aż do wiosny. Z obiektywnego punktu widzenia nie sposób nie uznać go za jedną wielką porażkę AWP, która straciła co najmniej

dziesięciu swoich żołnierzy na każdego zabitego Amerykanina. Westmoreland, a do pewnego stopnia również i ludzie mediów, ponieśli jednak prawdziwą klęskę psychologiczną, bo MACV uznano za ofiarę genialnego podstępu komunistycznego – z czym na dobrą sprawę trudno się nie zgodzić.

Kiedy w Hue zapadła noc z 4 na 5 lutego, napastnicy odnotowali już po swojej stronie dobrze ponad tysiąc zabitych i 4 tysiące rannych, a do tego zaczynało im brakować amunicji i żywności. Kiedy jednak dowódcy AWP poprosili o zgodę na odwrót, stanowczo im jej odmówiono. Zamiast tego usłyszeli, że już wkrótce nastąpią zrzuty z powietrza, wobec czego powinni się do nich przygotować, szykując ogniska sygnalizacyjne. Przekazano im ponadto, że 18 lutego dojdzie do nowej fali ogólnokrajowych ataków, a im samym wysłane zostaną posiłki. Jeden z działaczy kajał się później za wszystkie te kłamstwa, uznając je całkiem słusznie za nadużycie zaufania swoich własnych ludzi poprzez celowe propagowanie wśród nich fałszywych nadziei[34]. Niewielu wysokich rangą komunistów miało odwagę otwarcie przyznawać, że sprawy mają się źle. Jak to ujął pułkownik Nguyen An z AWP: „Wszyscy bali się odezwać, bo jeszcze ktoś mógłby ich oskarżyć o tchórzostwo albo o jakieś odstępstwo ideologiczne”[35].

Kiedy wiceprezydentowi Ky doniesiono, że Amerykanie wahają się przed zbombardowaniem świątyń i pałacu w Hue, wokół których koncentrowały się siły komunistyczne, zareagował na to z typową dla siebie bezwzględnością: „Te rzeczy zostały zbudowane przez ludzi i mogą też zostać odbudowane przez ludzi. Rozwalić!”[36]. Odtąd w stronę cytadeli zaczęły frunąć pociski artyleryjskie, a także – jeśli pozwalały na to niezbyt na ogół sprzyjające warunki pogodowe – eskadry samolotów. Mimo to proces odzyskiwania miasta przebiegał nieznośnie powoli, w tempie kilkuset metrów gruzów dziennie. A im dłużej trwały walki, tym większą pogardę czuli do swoich południowowietnamskich sojuszników amerykańscy marines. Jeden z nich, wskoczywszy na tył czołgu ARVN, by móc strzelać z jego działka obrotowego, na próżno dobijał się do środka o amunicję: załoga szczelnie zamknęła klapę i nie zamierzała jej nikomu otwierać[37].

Z okopów na północ od Hue porucznik Andy Westin pisał do swojej żony Mimi: „Kochana, po raz pierwszy, odkąd tu przybyłem, ostatniej nocy popłakałem się. I to nie tylko ja. Wszyscy płakaliśmy, począwszy od oficera dowodzącego aż po szeregowych żołnierzy (...) Cały nasz batalion wpadł w pułapkę żółtków (...). To była rzeź! Dowództwo uznało, że wszystkie żółtki ruszyły do walki, więc szliśmy sobie przez las, jak na wycieczkę (...). Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem i mam nadzieję, że już nigdy nie zobaczę”[38]. W miarę jak rosły straty po ich stronie, Amerykanie coraz mniej przejmowali się losem cywilów przypadkowo znajdujących się na drodze ich pocisków, bomb czy kul. Ponadto, widząc, jak niewielkie postępy w walce ulicznej są w stanie czynić, z całym okrucieństwem podchodzili też do miejskich budowli, co skutkowało ich masowym niszczeniem. Aby odzyskać zaledwie półtorakilometrowy pas na południu miasta, pomiędzy kompleksem MACV a kanałem Phu Can, potrzeba było aż czterech dni zaciekłych walk, podczas których wroga potraktowano ogniem z czołgów, miotaczy płomieni i bezodrzutowych dział kaliber 106 mm. Z kolei po przeciwnej stronie rzeki wysiłki ARVN podejmowane w celu odbicia cytadeli co i rusz kończyły się niczym.

11 lutego batalion marines, w którym służył Myron Harrington, został wysłany Drogą nr 1 do Hue: „Nikt nie wiedział, o co chodzi” – żołnierzom przekazano jedynie pobieżne wskazówki dotyczące taktyki walk ulicznych, „o których nie mieliśmy bladego pojęcia”[39]. 13 lutego podczas próby zdobycia cytadeli należąca do batalionu Kompania Alpha została odparta, ponosząc ciężkie straty. Nazajutrz na drugi brzeg rzeki posłano Harringtona i jego zdumionych kolegów z Kompanii Delta, którzy jeszcze w swoich łodziach desantowych i dżonkach musieli kryć się przed ostrzałem nieprzyjaciela. Tamtego wieczora Harrington usłyszał podczas odprawy: „A tak nawiasem, to jutro macie zdobyć bramę Dong Ba”, co – jak zapamiętał – napełniło go „bezbrzeżnym przerażeniem”.

Noc upłynęła mu bezsennie, częściowo z powodu właśnie usłyszanych rozkazów, częściowo ze względu na niekończące się dudnienie artylerii. Rankiem 15 lutego Harrington poprowadził setkę ludzi najpierw w dół, do fosy, a z niej w górę, w kierunku murów

cytadeli. Po drodze było na szczęście dość rumowisk i zwałów gruzu, by zapewnić im jaką taką możliwość krycia się podczas biegu. „Wokół było podejrzanie spokojnie, zupełnie jak na tych pozornie cichych japońskich plażach na Pacyfiku podczas II wojny światowej". A potem komuniści otworzyli ogień, z miejsca raniąc jednego z ludzi Harringtona. „Ostrzał był tak intensywny, jakbyśmy nagle znaleźli się pośrodku trzystumetrowej strzelnicy w Quantico. Nie mogłem nawet zebrać myśli. Jeden z dowódców plutonu leżał na skalnym występie, ranny od strzału z granatnika RPG, a przy nim jego strzaskane radio. Posłałem po niego kilku ludzi, ale wszyscy zostali trafieni". A potem Harrington rozkazał sierżantowi Maury'emu Whitmarowi wspiąć się razem ze swoją drużyną na mur. „Spojrzał na mnie z niedowierzaniem – a potem to zrobił".

Marines zaczęli powoli wspinać się ku podstawie wieży stanowiącej ich cel, podążając od zachodniej strony fortyfikacji. Na miejscu wydarzeń pojawił się też czołg, dowodzony przez młodziutkiego porucznika nazwiskiem Morris, który zaczął strzelać, osłaniając w ten sposób wspinających się żołnierzy: „Był w tym naprawdę świetny". Jeden z czarnoskórych marines przybiegł do Harringtona i wykrzyknął z mieszaniną dumy i sarkazmu: „Właśnie zasłużyłem sobie już na trzecie Purpurowe Serce[7*]! Ale, jak stwierdził kapitan: „To było ledwie draśnięcie w pierś, więc zrobiłem z niego łącznika i odtąd zanosił amunicję chłopakom walczącym na murze. Do dziś nie znam nazwisk większości moich ludzi z tamtego dnia, ani tych co przeżyli, ani tych, co poginęli. Ja tylko musiałem wydawać im rozkazy, by szli prosto na śmierć. A wszędzie, dosłownie wszędzie, unosił się ten potworny odór śmierci. Nawet kiedy jadło się swoje racje, to jakby jadło się śmierć".

W samym środku tej rzezi doszło też do pewnego dziwacznego zdarzenia. Oto do Harringtona przybiegł pod ostrzałem pewien młody porucznik nazwiskiem Joe Allen, który najpierw zameldował mu się jako nowo przybyły żołnierz przysłany w zastępstwie, a następnie wypalił: „Panie kapitanie, tydzień temu widziałem się z pańską żoną i córką". Wokół trwały nieustające wybuchy pocisków i świstały kule, a Harrington zapamiętał: „Na chwilę odebrało mi oddech. Moje myśli uleciały gdzieś daleko, poza samą bitwę, a to nigdy nie jest dobry

pomysł". Dopiero późnym popołudniem znacząca część ludzi wspięła się na szczyt murów i przedostała na teren cytadeli. Dowodził nimi kapral Bob Thoms, sam walczący niczym lew, którego mundur był cały w strzępach. Do godziny 16.30 cały teren uznano za opanowany, kosztem 6 zabitych i 40 rannych spośród około setki marines, z którymi zaczynał ten dzień kapitan Harrington. A o godzinie 4.00 nad ranem następnego dnia, to jest 16 lutego, AWP przystąpiła do kontrataku. Nastąpiła seria kolejnych zaciętych starć, zanim wieżę można było ponownie uznać za w pełni opanowaną. W jej ruinach odnaleziono ciała 24 żołnierzy nieprzyjaciela.

Harringtonowi zostało teraz 39 sprawnych ludzi, którym z miejsca powierzył zadanie oczyszczenia terenu. Okazało się to operacją nad wyraz powolną, bolesną i wyczerpującą. „Wróg miał dwa tygodnie na dobre przygotowanie swoich pozycji. A my byliśmy na skraju wycieńczenia, w punkcie, w którym jest się właściwie nieskutecznym, bo nie dba się już o to, czy się umrze, czy przeżyje. Byliśmy całkowicie wypaleni mentalnie. A na górze nikt nawet nie zastanawiał się nad tym, co się tu u nas musi dziać. Dowództwo wciąż dopytywało się tylko: «Dlaczego tak dużo czasu zabiera wam pozbycie się jakichś resztek AWP?»". Dowodzący nimi oficer, major Bob Thompson, naraził się na gniew samego Creightona Abramsa za tak niewielkie postępy swoich ludzi i na dobrą sprawę został nawet zwolniony ze stanowiska, choć dowództwo marines doprowadziło później do odwołania tego rozkazu. Harrington zaś otrzymał Krzyż Marynarki Wojennej, choć kiedy się o tym dowiedział, nie do końca w to wierzył: „Nie byłem przekonany, czy na to zasłużyłem". Inni nie mieli takich wątpliwości.

22 lutego o godzinie 6.30 resztki sił AWP uwiezionych w cytadeli przystąpiły do samobójczej próby wyrwania się z oblężenia. Część żołnierzy południowowietnamskich rzuciła się wówczas do ucieczki, ignorując groźby swojego porucznika, że zostaną podczas niej zastrzeleni. Walki trwały niemal całą dobę, aż wreszcie o godzinie 5.00 następnego dnia, 23 lutego, Czarne Pantery z Hac Bao zatknęły swoją własną flagę nad Pałacem Cesarskim, ściągając przy okazji tę wywieszoną przez NFW. A w tym momencie ku powszechnemu zdumieniu z ozdobnego jeziora przy pałacu wyłoniła się nagle jakaś

prawie naga sylwetka – jak się wyjaśniło, był to południowowietnamski żołnierz, który ukrywał się tak już od dwudziestu dni, wychodząc z wody nocami w poszukiwaniu pożywienia: okazał się on zarazem starszym bratem kapitana Phama Van Dinha. ARVN straciła w Hue 458 swoich ludzi, odnotowała też ponad tysiąc rannych: jak z tego wynika, przynajmniej część jej żołnierzy musiała więc walczyć całkiem dobrze. Z kolei armia amerykańska straciła 74 zabitych i 507 rannych, Korpus Marines zaś odnotował 142 zabitych i 857 rannych. Szacuje się ponadto, że w trakcie walk zginęło około 6 tysięcy cywilów, w tym zapewne niemała część od kul swoich własnych żołnierzy.

Dzień po opanowaniu cytadeli Bob Kelly z USIA napisał do Franka Scottona: „Na południe od rzeki każdy dom nosi ślady po kulach. Na ulicach pełno spalonych samochodów i czołgów oraz powalonych drzew. Wszędzie widać dziury po rakietach i pociskach [artyleryjskich] 8″ (…). W s z y s t k i e domy i sklepy otaczające wielkie targowisko, przy którym zawsze parkowały sampany, zostały zniszczone. Napalm, CS, [pociski] 8″ i pięćsetki [bomby pięciusetfuntowe] są w użyciu każdego dnia. Te dranie w Sajgonie nie mają bladego pojęcia o skali problemu (…) A najbardziej wkurza mnie to całe gadanie naszych pieprzonych generałów, którzy twierdzą: «Wiedzieliśmy, co się święci», jak gdyby wręcz chcieli do tego dopuścić. Teraz zaś, doznawszy szokującej porażki, przekuwają ją w zwycięstwo, bo przecież zabiliśmy więcej ludzi, niż sami straciliśmy". Wściekłość Kelly'ego wynikała po części z faktu, że na bieżąco miał on okazję obserwować, jak wielu południowowietnamskich żołnierzy i urzędników salwowało się ucieczką.

Jeden z dziennikarzy, opisując wygląd dzielnic mieszkalnych i komercyjnych w Hue, porównywał je do obrazów rodem z płócien Goi: „całe ulice leżały w ruinie. Na chodnikach zalegały sterty gruzu, w asfalcie pełno było lejów po bombach, a między nimi walały się poczerniałe i wypalone skorupy samochodów. W ścianę jednego z domów wbiła się jakaś ciężarówka. A nad tym wszystkim unosił się dojmujący odór śmierci (…). Tamtego dnia Hue nie przypominało już ani trochę miasta, które dobrze znałem i kochałem, podobnie jak zwęglone i poszarpane przez bomby szczątki ludzkie leżące na ulicy nie

przypominają nam kogoś, z kimś się kiedyś przyjaźniliśmy albo kogo kochaliśmy. Tak oto komuniści do spółki z najwyższym dowództwem amerykańskiej armii zniszczyli najpiękniejsze z wietnamskich miast". Pewien mieszkaniec, wskazując na jedną ze stert gruzu, skomentował zaś zgryźliwie: „Człowieka, który tu mieszkał, zastrzelili ci z Wietkongu. A teraz jego dom zniszczyli Amerykanie. Ciekawe, prawda?"[40]. Zalegające na ulicach trupy oznaczały ucztę dla szczurów i psów.

Komuniści stracili w tej bitwie od 2500 do 5000 ludzi – oni sami nigdy nie przedstawili wiarygodnych liczb – przy czym w ostatnich dniach lutego ich ocalali mogli wycofać się bez większych przeszkód na zachód, co najlepiej świadczy o chaosie panującym wówczas w armii amerykańskiej i w ARVN. Sama bitwa w porównaniu z działaniami bojowymi z lat 1939–1945 nie była może jakoś specjalnie wielka, ale okazała się najkrwawszym starciem w dziejach całej II wojny indochińskiej. A 26 lutego w Hue odkryto pierwszy z wielu masowych grobów: podczas krótkich rządów NFW w mieście jego działacze systematycznie mordowali wszystkich urzędników rządowych i zwolenników Sajgonu, ale także intelektualistów, mieszczan i „wrogów ludu", jakich tylko zdołali odszukać, nie zapominając także o ich rodzinach. Do podobnych morderstw, choć już na mniejszą skalę, dochodziło też w innych miejscach. Jeden z komunistów w taki oto sposób starał się wytłumaczyć wszystkie te okrucieństwa: „Lud do tego stopnia znienawidził tych despotów, że potraktował ich niczym jadowite węże – które należało wyeliminować, zanim zaczną ponownie kąsać".

Wśród ofiar znalazł się pięćdziesięciotrzyletni Nguyen Tat Thong, kierujący rządowym systemem opieki społecznej, który przyjechał do miasta, by móc świętować wraz ze swoją rodziną – w tym sześcioma dalszymi krewnymi, wśród których było dwóch nastoletnich braci chodzących jeszcze do szkoły. Wszystkich ich zamordowano. Zginęła też pewna czterdziestoośmioletnia wdowa nazwiskiem Nguyen Thi Lao, uliczny sprzedawca papierosów, a także kilku katolickich księży i wielu amerykańskich cywilów[41]. Setki osób likwidowano tylko dlatego, że znajdowały się na liście rzekomych sympatyków rządu. Ogółem

odnaleziono około 2810 ciał, ale rzeczywista liczba ofiar była niemal z całą pewnością większa. Kapitan Denis Campbell, australijski doradca, napisał: „Można do pewnego stopnia zrozumieć nienawiść, która każe [komunistom] dusić żołnierzy wroga drutem i dekorować ich ciałami mury, ale zakopywanie żywcem całych rodzin, w tym dzieci, pod błahym pretekstem, że ludzie ci nie chcieli chwycić za broń i iść do walki, przekracza już wszelką wyobraźnię. Żywiłem dotąd pewien niechętny podziw dla WK (...), ale teraz nie ma już po nim śladu”[42].

Wszystkie te morderstwa zadają kłam pretensjom wietnamskich komunistów, jakoby reprezentowali oni siłę przewyższającą moralnie reżim w Sajgonie. Niestety, doniesienia o nich słabo przebiły się do mediów, częściowo dlatego, że MACV ogłosiła odkrycie masowych grobów dopiero 9 marca, a w tym czasie jej własna wiarygodność leżała już w gruzach. W prywatnych rozmowach Westmoreland wyrażał się bardzo krytycznie o marines, którzy jego zdaniem spaprali sprawę podczas bitwy o Hue. Tak rzeczywiście było, ale stało się to przecież wskutek rozkazów ich dowódców, raz za razem posyłających swoich ludzi do wykonania zadań niemożliwych do zrealizowania z taktycznego punktu widzenia, a rozkazy owe szły przecież z samej góry, to jest z MACV, na której czele stał Westmoreland. Prawda jest taka, że długimi tygodniami całe amerykańskie dowództwo nie potrafiło prawidłowo ocenić sytuacji, wskutek czego stosowało do jej opanowania zupełnie nieadekwatne środki.

W ostatnich dniach lutego i pierwszych dniach marca w południowowietnamskich miastach likwidowano ostatnie ogniska komunistycznego oporu. W tym nieszczęsnym kraju znajdowało się już wówczas dokładnie 636 akredytowanych korespondentów wojennych, dla których ofensywa Tet stanowiła prawdziwą ucztę. Niektórzy z tych reporterów wysyłali do domu depesze albo nadawali materiały w tonie bliskim histerii. Inni wykazywali się odwagą osobistą, by tworzyć porządną i bliską realiom prozę wojny. Generalnie we wszystkich tych doniesieniach przeważał jednak podziw dla osiągnięć komunistów, a brakowało w nich tego, co amerykańscy żołnierze postrzegali jako najważniejszy rezultat właśnie zakończonych starć – wróg został odparty i poniósł porażkę. Ówczesnych ludzi mediów opisał w oficjalnej

historii wojny zatwierdzonej przez amerykańską armię William Hammond, który uchodzi za wzór bezstronności. A jednak nawet on pozwolił sobie na stwierdzenie: „Zbyt łatwo poddawali się oni presji towarzyszącej ich zawodowi. Rywalizując między sobą o dostęp do każdej, choćby najmniej istotnej wiadomości, pod przymusem dostarczania materiałów na pierwsze strony gazet czy na główne miejsca w serwisach, rezygnowali z pogłębiania swoich analiz na rzecz koloryzowania, a nawet tworzyli newsy tam, gdzie wcale ich nie było”[43].

Hammond zauważał jednak zarazem pewną prawidłowość, która do jakiegoś stopnia zaprzeczała słowom przytoczonym powyżej: „Nie sposób nie dostrzec (...), że doniesienia prasowe wciąż bywały nierzadko bliższe prawdzie od oficjalnych oświadczeń wydawanych przez administrację”[44]. Całkiem możliwe, że miał on na myśli depesze wysyłane w trakcie ofensywy Tet przez korespondenta „New York Timesa” Gene’a Robertsa. Przez niemal cały luty reporter ten, mimo że dopiero co dotarł na miejsce, był w stanie lepiej oceniać postępy i dokonania amerykańskich sił wojskowych w Hue od dowolnego wysokiego dowódcy w północnej strefie walk. Jego doniesienia stanowiły tyleż przeciwwagę dla licznych niedociągnięć innych ludzi mediów, ile oskarżenie dowództwa amerykańskiej armii i Korpusu Marines.

2. KAPITULACJA PREZYDENTA

W następstwie ofensywy Tet zauważalnie spadło morale zarówno w AWP, jak i w Wietkongu: obie te formacje uznały operację za swoją militarną porażkę, która kosztowała je około 20 tysięcy zabitych. Nawet oficjalna historia Hanoi przyznaje, że „szala na polu bitwy przechyliła się na jakiś czas na stronę nieprzyjaciela (...). Nasze pozycje i siły zostały poważnie osłabione”[45]. Wewnętrzne szacunki komunistów mówiły o tym, że w wyniku narażenia na siłę ognia Amerykanów niektóre jednostki partyzanckie straciły nawet 60–70 procent swojego stanu

osobowego. Jeden z dowódców WK, a jednocześnie przełożony Long Ana, napisał: „W żadnym momencie mojej kariery wojskowej nie czułem się tak bezradny i nieskuteczny, jak w tym właśnie okresie (...). Wciąż nie potrafię w pełni wyjaśnić tamtych wydarzeń”[46]. Wystarczy jednak choćby pobieżnie przejrzeć historię, by uświadomić sobie, że miejskie powstania niemal zawsze kończą się porażką – wystarczy wspomnieć choćby Warszawę w roku 1944, Budapeszt w roku 1956 czy Pragę w roku 1968 – chyba że dochodzi do poważnego osłabienia woli walki ze strony rządzącego reżimu i jego sił zbrojnych. Jeden z pułkowników AWP powiedział: „Przekonaliśmy się wtedy, że nie ma szans na jakąś powszechną insurekcję”[47]. Owszem, część Wietnamczyków z Południa mogła przyłączyć się do sprawy powstańców, gdyby w którymś momencie zaczęło wyglądać na to, że mogą oni odnieść zwycięstwo, tyle że moment taki nigdy nie nastąpił. Ten sam pułkownik opisywał początkowe sukcesy, takie jak przeniknięcie do amerykańskiej ambasady czy zdobycie centrów kilku miast jako „ogromne zwycięstwo”. Przyznawał wszakże zarazem, że błędem było dążenie do późniejszego utrzymania tych zdobyczy za wszelką cenę: „Najwłaściwiej byłoby wycofać się z miast i w dalszym ciągu skupiać się na konsekwentnym opanowywaniu prowincji”. Zgadzało się z tym w pełni również wielu amerykańskich oficerów, którzy dobrze wiedzieli, że bezpośrednia walka z dużymi formacjami nieprzyjaciela o wiele bardziej odpowiadała MACV od uganiania się za rozproszonymi oddziałami partyzanckimi. A pewien dowódca dywizji przyznał kilka miesięcy później: „Na nasze szczęście ci w CBWP to banda militarystów i niespełnionych oficerów wojskowych, którzy marzą o wygraniu tej wojny dzięki jakiejś wielkiej bitwie”[48].

Pognębione resztki komunistycznych bojowników powracały do baz, z których jeszcze niedawno wszyscy wyruszali pełni entuzjazmu i przekonania o nieuchronnym zwycięstwie. A tam zastawali w stanie nienaruszonym swoje rzeczy osobiste, których – jak się okazało – nikt nawet nie zamierzał stamtąd zabierać. I w tym właśnie momencie wielu z nich uświadamiało sobie ostatecznie, jak fatalnie zaplanowana została cała ta ofensywa. Przywódca WK Tran Do powiedział: „Tet w sposób oczywisty odmieniła cały charakter tej wojny (...). Okazała się ona

atakiem z gatunku «wszystko albo nic». Postawiliśmy sobie niewłaściwe i nieosiągalne cele (...). Ale zawołania w stylu «trzeba ich wykończyć» brzmiały w naszych uszach tak cudownie. W rezultacie w latach 1969, 1970, 1971 weszliśmy w okres olbrzymich trudności. Kiedy nas pytano, jaki odsetek ludności kontrolujemy, odpowiadaliśmy, że «większość», ale w rzeczywistości utraciliśmy praktycznie całe poparcie"[49]. Do już do końca życia zachował w sobie głęboką urazę do CBWP i Hanoi za cynizm, z jakim wykorzystały one wolę poświęcenia i walki u większości swoich najbardziej zagorzałych zwolenników.

Pułkownik An z AWP napisał: „Wielu z naszych ludzi straciło serce do walki (...). Uznawali oni, że teraz to wróg ma przewagę"[50]. Straty Wietkongu jeszcze się powiększyły, do około 50 tysięcy zabitych, w wyniku spektakularnych porażek podczas drugiej i trzeciej fali „miniofensyw Tet" w maju i sierpniu 1968 roku. Siły zbrojne NFW cofnęły się w wyniku tych klęsk do wcześniejszego stanu zbieraniny lokalnych grupek partyzanckich, a niemal cały ciężar prowadzenia dalszych działań zbrojnych spadł odtąd na barki formacji AWP.

Jeśli chodzi o drugą stronę konfliktu, to Amerykanie stracili podczas ofensywy Tet około 4 tysięcy zabitych w całym kraju, a wojska Wietnamu Południowego blisko 6 tysięcy. Jednak wynik tego starcia – w tym również dramatyczny spadek skali przemocy na prowincji – spowodował u żołnierzy całkiem spory przypływ optymizmu. Fred Weyand powiedział: „Poczyniliśmy duże postępy. Ludzie ośmielali się już jeździć nocami. Tylko z rzadka dochodziło do zabójstw"[51]. A Creighton Abrams wręcz naśmiewał się z przeciwnika: „Spójrzcie na Khe Sanh. Ten biedny, stary G i a p – a mówię to z całym przekonaniem – ten biedny, stary G i a p. Jest mi go n a p r a w d ę szkoda. A tak się s t a r a ł, tak się biedaczek starał, posłał tam te swoje dywizje i kazał im walczyć, aż z obozu nic nie zostanie. A przecież gdyby rzeczywiście był z niego taki genialny dowódca i taktyk, jakim okrzyknęła go amerykańska prasa – aha, i jeszcze strateg – to może wpadłby na pomysł, by przesunąć jedną albo i obie te dywizje na wybrzeże, wtedy zaś sam nie wiem, jak do cholery zdołalibyśmy je stamtąd wyprzeć!"[52]. Z kolei Jeff Anthony z marines, jeden z obrońców garnizonu w Khe

Sanh, przyznał: „Po Tet poczuliśmy, że teraz możemy się po nich przejechać na całego”[53].

W swoich ostatnich dniach urzędowania w Pentagonie Robert McNamara zasugerował, że oczywistą nauczką wynikającą z Tet była konieczność podporządkowania wojsk południowowietnamskich bezpośrednio dowództwu amerykańskiemu. Westmoreland wykazał się na szczęście na tyle dużą wrażliwością, by zawetować tę propozycję, zauważając trzeźwo, iż byłby to prawdziwy dar z nieba dla komunistycznych propagandzistów. Generał informował zarazem Waszyngton, że zaczyna teraz dostrzegać przed sobą świetlane perspektywy, a za namową przewodniczącego Komitetu Połączonych Szefów Sztabów Earle’a Wheelera zażądał ogromnych wzmocnień na podległym mu odcinku. 10 marca „New York Times” ujawnił, że wojskowi domagają się kolejnych 206 tysięcy żołnierzy, co wymagałoby powołania pod broń rezerwistów. Artykuł ten opisywano później jako najbardziej szkodliwy przeciek w całym okresie prezydentury Johnsona, a całe odium czy wręcz szyderstwa za tę wyjątkową niezręczność spadły ostatecznie na Westmorelanda. Jeszcze tego samego miesiąca poinformowano go, że zastąpi go Creighton Abrams, a trzy miesiące później wrócił do kraju, gdzie z miejsca objął funkcję szefa sztabu wojsk lądowych. Odwołanie go z pełnionego dotąd stanowiska wynikało częściowo z jego błędów i niedociągnięć w dowodzeniu amerykańskimi działaniami bojowymi w Wietnamie, ale w większej mierze stanowiło pokłosie całkowitego upadku jego wiarygodności. Nie dość, że publicznie zadeklarował rychłe zwycięstwo, którego nie był w stanie zapewnić, to jeszcze – w powszechnej opinii, choć tak naprawdę nigdy w rzeczywistości – przybliżył Amerykę do wstydliwej porażki.

Ofensywa Tet doprowadziła do ogromnych dewastacji: zniszczonych zostało 48 tysięcy wietnamskich domów, a niemal pół miliona cywilów zostało uchodźcami. Popularny wówczas cytat przypisywany przez któregoś z dziennikarzy pewnemu nieznanemu z nazwiska amerykańskiemu oficerowi – „Aby ocalić to miasto, konieczne było jego zniszczenie” – uważa się dziś za czysty wymysł, ale tak czy inaczej stwierdzenie to doskonale oddaje bolesny rozdźwięk między metodami stosowanymi przez Amerykanów a deklarowanym przez nich celem

„zachowania wolności Wietnamu Południowego". Kiedy z wizytą w stolicy pojawił się Abrams, Weyand z dumą opowiadał mu o „pomyślnej obronie" miasta, ale zaraz po tym, jak jego przełożony odleciał, generał spojrzał przez okno swojej kwatery głównej i dostrzegł, że „nad Sajgonem unosiły się kłęby dymu, a w powietrze wzbijały się jęzory ognia. Jak oszacowałem, moglibyśmy z powodzeniem obronić Sajgon jeszcze siedem razy, ale później musielibyśmy stanąć przed kłopotliwą prawdą, że nie ma już żadnego m i a s t a do bronienia"[54].

Intensywność toczonych wówczas bitew sprawiała, że w samej Ameryce nawet najbardziej zagorzali dotychczas zwolennicy wojny zaczynali powoli mieć jej dosyć. „Wall Street Journal" zadeklarował: „Społeczeństwo amerykańskie powinno zacząć godzić się z tym – jeśli zresztą już się nie pogodziło – że cały nasz wysiłek w Wietnamie może ostatecznie pójść na marne". A pewien komentator w NBC powiedział: „Musimy się zdecydować, czy dla ratowania Wietnamu warto go najpierw zniszczyć"[55]. Wielu Amerykanów rozsianych na polach bitewnych było równie przerażonych obserwowaną rzezią co widzowie przed telewizorami w ich ojczyźnie. Jerry Dodson z CORDS napisał do Franka Scottona 20 lutego: „Mecz właśnie się skończył, a nam pozostaje już tylko rzucić ręcznik. Parę dni temu byłem w Kontum i w Ban Me Thuot. Kontum jest zniszczone w 20 procentach, BMT zaś w jakichś 55 procentach, a całej tej dewastacji dokonały nasze samoloty i nasza artyleria, które wezwaliśmy w celu przepędzenia WK. Do równie wielkiej destrukcji doszło na obszarze I Korpusu i w Delcie. Dla tych, którzy kochają Wietnam, jedynym możliwym rozwiązaniem jest już tylko wycofanie się stąd"[56]. Scotton odparł mu na to: „Wprawdzie ogromnym kosztem, ale Północ zademonstrowała nam wyraźnie, że nigdy się nie podda"[57]. W Senacie komisja Fulbrighta była już tylko o krok od przyznania, że Kongres i naród amerykański zostali wplątani w wojnę pod fałszywymi przesłankami przedstawionymi w rezolucji dotyczącej Zatoki Tonkińskiej, co faktycznie miało miejsce. Jedną z pierwszych decyzji Clarka Clifforda, który zastąpił McNamarę na stanowisku sekretarza obrony, było wydanie okólnika do wszystkich wojskowych: żadnych kolejnych przewidywań o rychłym i nieuchronnym zwycięstwie w tej wojnie.

Prawdziwie druzgocący cios sprawie amerykańskiej zadał wówczas dodatkowo Walter Cronkite z CBS, weteran II wojny światowej, którego głosu słuchano w kraju nadzwyczaj uważnie. W lutym udał się on z wizytą do Hue, po której zakończeniu oświadczył Fredowi Weyandowi: „Widziałem te tysiące trupów. I zadecydowałem, że (...) zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy, by ta wojna jak najszybciej się zakończyła”[58]. Generał skomentował te słowa następująco: „Było to dla mnie szczególnie niepokojące (...) z powodu niewiarygodnego szacunku, jakim cieszył się Walter w społeczeństwie amerykańskim”. Weyand zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego Cronkite opisywał całą sytuację w taki sposób, jakby to Amerykanie i Wietnamczycy z Południa ponosili odpowiedzialność za masakry dokonane w Hue: „Mogę zaakceptować to, że ktoś przyjdzie i powie: «Boże, ta wojna jest taka straszna, że musi się natychmiast skończyć». Ale jak można w taki sposób odwrócić sytuację, by teraz wszystkim zaczęło się wydawać, że Wietnamczykom z Północy należy pozwolić wygrać – to już przekracza moje możliwości zrozumienia”.

Weyand miał sporo racji, ale nie zmieniało to faktu, że 27 lutego Cronkite powiedział milionom swoich widzów: „Mówienie, że jesteśmy dziś bliżej zwycięstwa, to wyrażanie niezachwianej wiary wbrew dowodom (...), optymiści okazali się nie mieć racji (...). Jedyną realistyczną, choć dalece niesatysfakcjonującą konkluzją jest stwierdzenie, że utknęliśmy w sytuacji patowej (...). Jako reporter widzę coraz wyraźniej, że jedynym racjonalnym wyjściem jest, byśmy przystąpili do negocjacji – nie jako ofiary, lecz jako ludzie honorowi, którzy dowiedli swojej wierności zwycięstwu i demokracji najlepiej, jak tylko potrafili”. W słowach Cronkite’a pobrzmiewało dużo mądrości, co mogło zapewne zdumieć niejednego z jego licznych widzów, ale żadnego z nich nie zaszokowało tak bardzo jak Lyndona Johnsona. Nie ma zgody co do tego, czy prezydent rzeczywiście skomentował to wystąpienie przypisywanymi mu później wielokrotnie słowami: „Jeśli straciłem Waltera, to straciłem też cały środek Ameryki”, ale nawet jeśli tak nie było, wypowiedź ta doskonale oddaje minorowy nastrój, jaki zapanował odtąd w Białym Domu.

W bezpośrednim następstwie ofensywy Tet Amerykanie poczuli zbiorowy odruch wsparcia swoich przywódców. Sondaż opinii przeprowadzony przez pracownię Louis Harrisa pokazał wyraźny s p a d e k poparcia dla wstrzymania bombardowań, z 26 procent w październiku do zaledwie 15 procent w lutym. Aż 74 procent respondentów wyrażało niesłabnącą wiarę w słuszność sprawy. Tylko 3 procent pytanych spodziewało się, że Ameryka przegra wojnę w Wietnamie, podczas gdy 39 procent oczekiwało przedłużania się pata, a 43 procent uważało, że wciąż możliwe jest zwycięstwo[59]. Pod tymi pozorami stanowczości nawet najwięksi patrioci zaczynali już jednak okazywać znużenie ciągnącą się od lat niewdzięczną awanturą na odległym krańcu świata. W Waszyngtonie coraz większa liczba chłodno myślących decydentów przyznawała, że w Indochinach istnieje ogromna nierównowaga między komunistami – gotowymi położyć na szali dosłownie wszystko, w tym dowolną liczbę ofiar wśród własnych ludzi – a Stanami Zjednoczonymi, których rzeczywiste interesy narodowe wydawały się maleć z dnia na dzień. 1 marca żołnierz piechoty Gary Young otrzymał list od swoich rodziców, wyrażający powszechne wówczas w jego ojczyźnie odczucia: „Drogi Synu, nie ma sensu, żebyś nas prosił o to, byśmy się nie martwili; w końcu sam wiesz, że jesteśmy tylko ludźmi i zdajemy sobie sprawę z tego, co się tam u was dzieje (...). Cathy jest cała podniecona, bo już jutro wieczorem idzie na potańcówkę w swojej szkole średniej (...). Ludzie w tym kraju mają już serdecznie dość tego, że cały ten Wietnam ciągnie się jak flaki z olejem. To naprawdę tylko bezsensowna strata czasu i życia. No dobrze, nie będę się dłużej rozpisywać na ten temat, bo chyba nigdy bym nie skończyła. Uważaj na siebie, o ile to w ogóle możliwe, wszyscy wysyłamy ci nasze uściski i nadzieję, że wszyscy nasi chłopcy już wkrótce wrócą do domu. Całusy, Mama, Tato i dziewczynki”[60].

5 marca Myron Harrington i jego ocalali ludzie z 1. Batalionu 5. Pułku Marines walczący w Hue zostali przesunięci do rezerwy i umieszczeni w obozie, który dysponował prysznicem. Do czasu kiedy okres urlopu kapitana dobiegł końca, prysznic zdążył już się zepsuć. Zamiast tego wskakiwał on więc wprost do pobliskiego Morza Południowochińskiego i z radością zażywał w nim kąpieli, oczekując nadejścia rozkazów

powrotu do walki. Joe Allen, ów młody porucznik, który dołączył do Kompanii Delta w samym środku bitwy o cytadelę w Hue, okazał się świetnym oficerem – a prywatnie chadzał na randki ze szwagierką Harringtona imieniem Perrin. Harrington przyznał później: „Powinienem był poprosić o jego przeniesienie spod mojego dowództwa". Pewnej majowej nocy wysłał on pluton Allena z rozkazami urządzenia zasadzki na komunistów. Zamiast tego jakiś oddział WK, który wcześniej starł się z inną ich kompanią, podczas odwrotu wpadł wprost na pozycje zajmowane przez ludzi Allena, czym całkowicie ich zaskoczył. W walce zginął również porucznik. A Harrington skonstatował ze smutkiem: „Odtąd moje relacje ze szwagierką już nigdy nie były takie same". Jego samego dotknęło wówczas takie załamanie nerwowe – przejawiające się silnie okazywanymi emocjami, w tym również płaczem – że omal nie zwolniono go ze stanowiska dowódczego. Moment, kiedy przyszło mu w końcu opuszczać Wietnam kilka miesięcy później, wspominał tak: „Odczuwałem pewną ulgę, że nagle zdjęto ze mnie tak ciężki obowiązek, ale z drugiej strony miałem też silne poczucie winy".

W Ameryce stało się zupełnie jasne, że ani społeczeństwo, ani Kongres nie poprą żadnego znaczącego zwiększenia sił w Wietnamie, oczekiwanego przez wojskowych. 12 marca w prawyborach prezydenckich przeprowadzonych w stanie New Hampshire okazało się, że Eugene McCarthy uzyskał zaledwie o 350 głosów demokratów i republikanów mniej od obecnego prezydenta. Staremu przyjacielowi Johnsona, twardo popierającemu dotąd wojenny kurs Clarkowi Cliffordowi, wystarczyło natomiast zaledwie kilka tygodni za biurkiem McNamary w Pentagonie, by także on zasilił szeregi sceptyków. 25 marca na zebraniu „Starych Mędrców", zwołanym na życzenie prezydenta w celu przedstawienia im najnowszych doniesień, ludzie ci, wśród których byli między innymi George Ball, Henry Cabot Lodge, a także generałowie Ridgway, Taylor i Bradley, zaoferowali Johnsonowi swoją własną rekomendację. Przewodzący całej tej grupie Dean Acheson oznajmił, że niemal wszyscy oni znacząco zmienili swoje dotychczasowe nastawienie, a większość nie wierzyła już w możliwość

wygrania tej wojny. Jedynie Abe Fortas, Max Taylor i Omar Bradley byli za tym, by dalej walczyć.

Wieczorem 31 marca Lyndon Johnson wygłosił telewizyjne orędzie do narodu, które zaczął następująco: „Dobry wieczór, moi amerykańscy rodacy. Dziś wieczorem chciałbym z wami porozmawiać o pokoju w Wietnamie (...). Żadna inna kwestia nie zajmuje w tej chwili bardziej naszego społeczeństwa". Następnie prezydent ogłosił jednostronne powstrzymanie się od bombardowań na północ od 20. równoleżnika i zadeklarował otwartą postawę wobec negocjacji. Kiedy piszący mu tę przemowę Harry McPherson zobaczył wcześniej, jak prezydent kreśli coś i dopisuje w jej tekście, zwrócił się z pytaniem do jednego z kolegów w Białym Domu: „Ciekawe, czy zamierza powiedzieć *sayonara*?". Jak się okazało, tak właśnie było. Johnson zakończył bowiem swoje telewizyjne wystąpienie słowami: „(...) Nie będę się ubiegał o przedłużenie mojego mandatu ani też nie przyjmę nominacji ze strony mojej partii na kolejny okres prezydentury".

Wielu Amerykanów postrzegało już wówczas swojego przywódcę w sposób głęboko cyniczny. Słysząc, jak wypowiada te słowa, niektórzy z nich z góry zakładali, że musi w nich tkwić jakiś podstęp, jakiś unik, może gambit albo ucieczka do przodu. Nic z tych rzeczy. Tamtego wieczora Johnson wprost uznał klęskę swojej prezydentury, podczas której osiągnął tak wiele w kraju, ale utknął na dobre w „wielkich bagnach" Azji Południowo-Wschodniej. Jego wrogowie, tacy jak bliski przyjaciel Kennedy'ego Arthur Schlesinger, uznali tę decyzję o rezygnacji z ubiegania się o reelekcję za „akt politycznego tchórzostwa"[61], ponieważ ich zdaniem wynikała ona wyłącznie z przekonania, że – podobnie jak Harry Truman po prawyborach w New Hampshire w roku 1952 w trakcie wojny koreańskiej – Johnson zostałby pokonany w dniu wyborów. Ten sam Schlesinger powoływał się później na argumentację Billa Moyersa, byłego sekretarza prasowego w Białym Domu, który mówił o „wietnamskiej obsesji" Johnsona, definiując ją jako „przerażającą mieszankę ego i postawy narodowej, która kazała Johnsonowi postrzegać siebie samego jako uosobienie Ameryki, zmuszonej do odpowiedzi na wyzwanie rzucone jej męskości"[62]. Z kolei prezydent Eisenhower zapisał lekceważąco w swoim osobistym

dzienniku: „Jak dla mnie, wydaje się oczywiste, że Prezydent toczy obecnie wojnę z samym sobą i choć zażarcie stara się bronić działań i decyzji, które podjął w przeszłości, zachęcając przy tym naród, by w dalszym ciągu podążał w wyznaczonym przezeń kierunku, i to bez względu na koszty, to zarazem chce zrzucić z siebie ciężar dalszego sprawowania urzędu”[63].

Clark Clifford, sekretarz obrony USA w latach 1968-1969 oraz Dean Rusk, sekretarz stanu (1961–1969) w Białym Domu, 1968 rok

Wielu ludzi wiązało ogłoszenie przez prezydenta tej swoistej decyzji o abdykacji z upokorzeniem, jakiego doznał wskutek ofensywy Tet. W rzeczywistości Johnson rozważał jednak wycofanie się z życia politycznego już od wielu miesięcy. Kwestią niezaprzeczalną jest natomiast to, że jego ducha złamał właśnie Wietnam. To przez toczoną tam wojnę stał się on obiektem nienawiści i szyderstw ze strony wielu Amerykanów, zwłaszcza tych z młodszego pokolenia, którzy za wszelkie oszustwa, porażki i morderstwa woleli winić właśnie jego, a nie wrogów swojego kraju. Tak właśnie dokonał się prawdziwy triumf Hanoi; to był sukces, który pozwolił Le Duanowi przejść do porządku dziennego nad

kolejną górą trupów usypaną w wyniku jego szalonego planu militarnego i obwołać ofensywę Tet swoim „morderczym ciosem". Nikt jakoś nie dostrzegał wówczas ogromnego bohaterstwa amerykańskich żołnierzy, którzy przecież odparli w końcu napastników, ani faktu przyznania aż piętnastu Medali Honoru tym, którzy najbardziej przyczynili się do przegnania niedoszłych zdobywców Sajgonu, ani wreszcie masowych morderstw w Hue. Dean Rusk przyznawał ze smutkiem: „Swoje największe polityczne zwycięstwo [komuniści] odnieśli tutaj, w Stanach Zjednoczonych"[64].

Tran Bach Dang z NFW powiedział, że ofensywa Tet odegrała decydującą rolę, zmusiła bowiem Stany Zjednoczone do deeskalacji tej wojny – „i nie jest możliwy żaden jej inny osąd"[65]. A autorytet i historyczne znaczenie Le Duana w łonie własnego społeczeństwa stały się odtąd niepodważalne. 5 kwietnia 1968 roku północnowietnamski minister spraw zagranicznych powiedział w wywiadzie dla CBS, przeprowadzanym przez Charlesa Collingwooda – wcześniej ofertę otrzymania od Hanoi wizy odrzucił Walter Cronkite, zakładając słusznie, że jej przyjęcie zostanie bez wątpienia wykorzystane propagandowo przez drugą stronę – iż jego kraj jest gotowy do rozmów. Na szefa zespołu amerykańskich negocjatorów prezydent nominował Averella Harrimana. I choć ta wojna miała odtąd potrwać jeszcze siedem lat – s i e d e m l a t – to stało się już wówczas jasne, że nie zakończy się ona z całą pewnością w jeden sposób: porażką Wietnamu Północnego.

20
Raz po raz to samo

1. UMIERANIE

Bezpośrednio po zakończeniu ofensywy Tet położenie komunistów wyglądało nieciekawie. Siły amerykańskie i ARVN raz za razem rozprawiały się z kolejnymi jednostkami Wietkongu. Któregoś ranka w Delcie grupa dowódców partyzantki weszła do wioski My Loc, w której natknęła się na patrol Amerykanów. Od ich pocisków zginął siedemnastoletni Khang, syn jednego z działaczy WK, który napisał: „Siedziałem przy jego ciele ze złamanym sercem i mówiłem do niego, jak gdyby wciąż żył: «Spoczywaj w pokoju, mój synu, dobrze spełniłeś swój obowiązek wobec rewolucji»”[1]. W późniejszych latach do Wietkongu wstąpili też dwaj bracia tego młodzieńca. Ich matka zareagowała na to wzruszeniem ramion i wyjaśnieniem, że przecież gdyby nie walczyli dla tej strony, to zostaliby siłą zaciągnięci przez drugą, a wówczas musieliby być może strzelać do własnego ojca. On sam dodawał jeszcze: „Nie zliczę już, ile kobiet straciło trzech, czterech, a nawet siedmiu czy ośmiu synów i córek jako męczenników naszej sprawy”.

W maju 1968 roku przyszły rozkazy z CBWP, by zainicjować nową falę ataków na miasta i miasteczka, ale nie wzbudziły one specjalnego entuzjazmu. Działacze uskarżali się, że nie zaoferowano im ani wzmocnień kadrowych, ani nowej broni, tylko po prostu namawiano ich do wznowienia misji z lutego, podczas których wielu towarzyszy przelało mnóstwo krwi bez osiągnięcia widocznych sukcesów. Grupom atakującym Sajgon uświadamiano, że „zaniosą płomień wojny prosto

do legowiska wroga”[2], ale Huynh Cong Than wspominał później: „Do tej drugiej fali ataków Tet szliśmy, czując się jak oddziały samobójców”[3]. Nocą 5 maja siły WK wchodzące do miasta od północy i od wschodu już na jego obrzeżach zostały powstrzymane przez ARVN i Amerykanów, zaś maszerujące od zachodu i od południa wdały się w walki uliczne, które szybko przegrywały. Po siedmiu dniach, jak zapamiętał Than, „już wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że sytuacja zrobiła się mocno niekorzystna (...). Wciąż nie rozumiem, po co raz jeszcze zaatakowaliśmy miasta, w których stosunek sił był dla nas tak wybitnie niesprzyjający (...). Co kazało naszym przywódcom wierzyć, że miliony ich mieszkańców tylko czekały na sygnał, by rzucić się w wir rewolucyjnej walki i poświęcić dla niej dosłownie wszystko?! Bo, jak się przekonaliśmy, wcale tak nie było. Owszem, szerokie masy nienawidziły Stanów Zjednoczonych i marionetkowego reżimu (...), ale tej złości daleko było jeszcze do rewolucyjnego wrzenia”[4]. W wyniku tak wielkich strat Wietkongu to AWP musiała wziąć na siebie niemal cały ciężar toczenia dalszych walk.

Mimo to zarówno Amerykanom, jak i żołnierzom ARVN nigdy nie dane było poczuć, że osiągnęli jakiś przełomowy sukces, a wojna stanie się odtąd łatwiejsza. 20 czerwca rząd Thieu ogłosił powszechną mobilizację. Wzajemne zaufanie w szeregach sojuszników było już wówczas bardzo niskie: po atakach z maja wśród Wietnamczyków z Południa krążyły pogłoski, rozsiewane w niektórych koszarach, że Amerykanie rozmyślnie trzymali się z boku, by zmusić do walki wojska Sajgonu. Jak to ujął już w roku 2012 pewien wietnamski oficer: „[Ludzie] spekulowali, że zaawansowane amerykańskie systemy nasłuchu elektronicznego (...) musiały zostać wyłączone, tak by wróg mógł z łatwością zinfiltrować stolicę. Niektórzy twierdzili wręcz, że amerykańskie helikoptery dostarczały żywność komunistycznym żołnierzom (...), a amerykańskie ciężarówki przewoziły komunistyczne jednostki. I choć nie wszyscy Wietnamczycy dawali wiarę takim pogłoskom, to wielu wciąż uważa, że coś było na rzeczy”[5].

Setki tysięcy ofiar na polach bitewnych, jakie miała pochłonąć ta wojna po roku 1968, wydają się dziś szczególnie tragiczne, jako że wszyscy ci ludzie musieli ginąć już po tym, jak Stany Zjednoczone

porzuciły nadzieję na zwycięstwo i walczyły wyłącznie o to, by uniknąć kompromitującej porażki. Dla weteranów II wojny światowej działania wojenne w Wietnamie stawały się szczególnie niezrozumiałe. Choć było w nich sporo ruchu, miał on charakter wybitnie okrężny. Nie sposób było odczuć jakiegoś postępu czy marszu naprzód, jak choćby w przypadku posuwania się z Sycylii w głąb Włoch czy z Iwo Jimy na Okinawę. Ten brak widocznych sukcesów wydawał się szczególnie zdumiewający w zestawieniu z ogromną siłą ognia, jaką dysponowali Amerykanie. Weźmy na przykład taką 11. Dywizję Kawalerii Pancernej, stacjonującą na północ od Sajgonu, która wliczając jej inżynierów wsparcia, personel medyczny, zaopatrzeniowy i serwisowy, żandarmerię wojskową, ekipy chemiczne, transportowe, sygnałowe i wywiadowcze, zespoły bezpieczeństwa radiowego oraz operacji psychologicznych, a wreszcie oddziały łącznikowe z USAF i z artylerią dywizji, liczyła łącznie 4600 ludzi. Pułk ten dysponował ponadto 50 helikopterami – typu Huey, Cobra i lekkimi OH-6A Loach do celów obserwacyjnych – a także 400 pojazdami gąsienicowymi – czołgami M-48A2, haubicami kaliber 155 mm i transporterami opancerzonymi. Jeden z jej oficerów opisywał 11. Dywizję jako „doskonale zorganizowane, wyposażone i wyszkolone narzędzie walki. Rodem z II wojny światowej”[6].

A mimo to Creighton Abrams niejednokrotnie uskarżał się, że tak znakomicie sformowane jednostki nie są w stanie zapobiec – na przykład – porywaniu przez WK dwudziestu wieśniaków, którzy odmówili wzniesienia blokady drogowej: „To naprawdę smutne. Kiedy ludzie starają się dołożyć swoją małą cegiełkę do naszej walki (...), my nie jesteśmy w stanie zapewnić im bezpieczeństwa. Na zawsze zapamiętam pewnego naczelnika okręgu, który powiedział mi: «Nie powinniście nigdy otwarcie zasięgać informacji u żadnego z cywilów, jeśli nie potraficie mu zagwarantować bezpieczeństwa». To całkiem dobra zasada (...). Tyle że większości kłopotów nie da się dostrzec ani usłyszeć (...) i to jest ten cholerny problem – ot, po prostu [WK] podczas chodzenia od wioski do wioski i zbierania podatków nagle po cichu kogoś pochwyci (...) i zastrzeli”[7].

Na dobrą sprawę z biegiem czasu konflikt ten zaczął przypominać *Dzień Świstaka,* bo starcia o jakąś łąkę porośniętą wysoką trawą, jakiś kawałek dżungli czy jakieś pole ryżowe powtarzały się już nawet nie miesiąc w miesiąc, ale rok w rok, a w dodatku na końcu nie czekała żadna wspaniała nagroda pod postacią Andie MacDowell. Jedynym, co się przez ten czas zmieniało, były nazwiska i numery tych, którzy maszerowali w pocie czoła i z duszą na ramieniu, a potem walczyli i ginęli. Starszy szeregowy Jeff Anthony powiedział: „Kiedy robisz wciąż to samo, raz za razem, w tym samym miejscu, to w końcu staje się oczywiste, że coś tu nie działa. Najbardziej smutnymi momentami były te, w których zaczynałeś się zastanawiać, co ty tam w ogóle, do cholery, robisz”[8]. Podobnie postrzegał to sierżant Jim Stevens: „Czasami zrzucano nas w tej samej strefie, w której byliśmy już ze dwa tygodnie wcześniej – a tam wciąż walały się nasze dawne śmieci. Pytałeś wtedy sam siebie: dlaczego nie toczymy tej wojny tak, jak należy, nie uderzymy w nich wszystkim, co mamy – albo całkiem się stąd nie zwiniemy?”[9].

W roku 1968 obecność komunistycznego wojska była najbardziej odczuwalna w trzech najdalej na północ wysuniętych prowincjach, tuż poniżej Strefy Zdemilitaryzowanej. Główny ciężar walki z czterema dywizjami AWP spoczywał wówczas na amerykańskim Korpusie Marines. W pierwszych dniach maja doszło do pewnej bitwy, której poświęcono później bardzo niewiele uwagi, choć w jej wyniku mocno ucierpiał jeden z batalionów, poniósłszy większe straty niż te odnotowane rok później podczas niesławnych starć o wzgórze Hamburger. Amerykańskie siły wojskowe w Wietnamie były wówczas bliskie swojego szczytowego stanu osobowego – liczyły bowiem 543 tysiące ludzi – ale w północnym zakątku kraju, na polu bitwy wielkości zaledwie 5 kilometrów kwadratowych, obejmującym kilka sąsiadujących ze sobą opuszczonych osad, AWP potrafiła skuteczniej od swoich przeciwników szerzyć przemoc i zniszczenie. Historię walki o Daido warto opowiedzieć w szczegółach również dlatego, że stanowi ona modelowy przykład dziesiątek innych, podobnych do niej starć, a wszystkie one były bardziej krwawe od jakiejkolwiek bitwy XXI wieku toczonej w Iraku czy w Afganistanie, a przy tym prawdopodobnie bardziej bezsensowne.

Grupa uderzeniowa złożona z 2. Batalionu 4. Pułku Marines uczestniczyła w ciągu kilku poprzednich miesięcy w całym szeregu zaciekłych starć z nieprzyjacielem, które mocno ją wykrwawiły. W jednostce tej nie brakowało dzielnych i sumiennych żołnierzy – a nawet paru bohaterów – ale było tam też sporo półgłówków, należących do „100 tysięcy McNamary" – rekrutów zakwalifikowanych jako zdolnych do poboru po tym, jak sekretarz obrony obniżył wojskowe kryteria dotyczące wykształcenia i zdolności intelektualnych, by choć w części zaspokoić bezustanne zapotrzebowanie piechoty na ludzi[10]. Kapral James Lashley, obsługujący karabin maszynowy M-60 weteran ośmiomiesięcznych walk w dżungli, stwierdził: „robiliśmy już wtedy wszystko czysto mechanicznie"; uważał ponadto, że jego własny pluton, poruszając się nocą, „hałasował niczym stado bawołów z puszkami pobrzękującymi o grzbiety"[11]. Jego żona stała się zagorzałą działaczką ruchu antywojennego i nawet wystąpiła o rozwód ze względu na to, że jej mąż zgodził się na służbę wojskową w Wietnamie.

Kiedy w 2. Batalionie zjawił się kapitan Jim Williams, by objąć funkcję dowódcy jednej z jego kompanii, okazało się, że nie ma dla niego kamizelki kuloodpornej. Zagadnięty o to sierżant odpowiedzialny za zaopatrzenie wskazał tylko na stertę takich kamizelek leżącą nieopodal kostnicy i powiedział: „Może znajdzie pan jakąś bez śladów krwi"[12]. Williams odnotował, że jego nowa jednostka znajdowała się „w strasznym stanie – stracili niedawno tylu ludzi". Rotacja osobowa, czy to z powodu wymiany transz walczących żołnierzy, czy ze względu na zastępowanie zabitych, była tak duża, że oficerowie nie potrafili nawet rozpoznać wszystkich podległych im marines: sam Williams wiedział tylko, że jego kierowca miał przydomek „Byk", ale nigdy nie poznał prawdziwego nazwiska i imienia tego człowieka, zanim go nie zabito. W jednym ze starć, stoczonym 11 września 1967 roku, batalion odnotował 16 zabitych i 118 rannych; w innym, z 14 października, zginęło 21 ludzi, a 23 odniosło rany; w listopadzie i grudniu doszło do tego jeszcze 6 kolejnych poległych i 78 rannych. Późnym popołudniem 12 marca 1968 roku Kompania Foxtrot straciła z kolei 18 żołnierzy zabitych w zasadzce. A już nazajutrz zastrzelono 5 kolejnych marines,

którzy poszli pozbierać poległych: jeden z trupów wypadł im potem zresztą z helikoptera podczas przenoszenia go na tył.

Pewien młody kapral napisał do domu list utrzymany w tonie bliskim histerii, stwierdzając, że wszyscy wokół niego po kolei tracą życie. Ojciec chłopaka, w oczywisty sposób zaniepokojony tymi rewelacjami, napisał do swojego reprezentanta na Kapitolu, przedstawiając mu położenie syna, a interwencja ta doprowadziła do wszczęcia „śledztwa kongresowego" – skierowania formalnego zapytania do Korpusu Marines. O godzinie 3 nad ranem oficer dowodzący Bill Weise został wyciągnięty ze swojej pryczy po to, by odebrać połączenie radiowe z dowództwa Dywizji, w trakcie którego dowiedział się, że ma 2 godziny na przedstawienie odpowiednich wyjaśnień. Weise wezwał wówczas autora listu, który z miejsca zalał się łzami, powtarzając: „Przepraszam, pułkowniku". W marcu 1968 roku batalion stracił 59 zabitych i 360 rannych, przy czym jego ludziom przypisano zlikwidowanie 474 żołnierzy AWP. Ta ostatnia liczba była wzięta z księżyca, ale Weise już dawno nauczył się, że jeśli chciał zachować swoją posadę, musiał regularnie przedstawiać w tej materii zawyżone statystyki.

Dowódcą 2. Batalionu był trzydziestodziewięcioletni syn zwykłego robotnika z dosyć nieciekawej dzielnicy Filadelfii. Wcześniej zdążył się jeszcze załapać na końcówkę wojny koreańskiej, po której zakończeniu próbował swoich sił jako komandos, płetwonurek i instruktor spadochroniarstwa. Dowództwo nad batalionem przejął sześć miesięcy wcześniej, po tym jak jego poprzednik został ranny, a przez cały ten czas ciężko pracował nad odbudowaniem dyscypliny i morale w jednostce. Jak twierdził: „Bardzo wiele spraw nie wyglądało tam tak, jak powinny. Moi ludzie nie byli w pełni przeszkoleni: wykazywali sporo nieudolności. Kiedy poprosiłem o przedstawienie planu wsparcia ogniowego, oficer operacyjny nie wiedział, jak go sporządzić"[13]. Weise nie należał do typu ludzi stworzonych, by dowodzić całą armią, był za to odważnym, porządnym i sumiennym oficerem z nieodłącznym tanim cygarem w ustach, bo w przeciwieństwie do papierosów cygara nie żarzyły się w ciemnościach. Czasami zdarzało mu się zamartwiać, że po powrocie do domu nie zastanie tam już swojej żony Ethel, która była na niego wściekła, iż w ogóle zabiegał o wysłanie do Wietnamu.

Kiedy całą jednostkę przeniesiono na północ od rzeki Cua Viet, w pobliżu DMZ, ku zdumieniu marines wróg niemal natychmiast się o tym dowiedział, prawdopodobnie przechwytując transmisje radiowe. „Hanoi Hannah", anglojęzyczna spikerka propagandowa, ogłosiła w eterze, że w okolice dotarł 2. Batalion dowodzony przez Billa Weise'a. A potem dodała, co na szczęście nie zrobiło na tych twardych ludziach specjalnego wrażenia: „Wszyscy wy, marines, niedługo zginiecie!"[14]. Nocą 27 kwietnia połowa ludzi Weise'a wzięła udział w obławie na żołnierzy AWP z jednostki stacjonującej nieopodal[15]. Kompania G prowadzona była przez kapitana Roberta Mastriona, niskiego i śniadego okularnika z Nowego Jorku, awansowanego na stopień oficerski z grona zwykłych żołnierzy. Miał on wprawdzie dwadzieścia osiem lat, ale w batalionie służył dopiero od miesiąca; jego ludzie darzyli go jednak sympatią i zaufaniem. Jeden z marines powiedział: „Wszyscy byliśmy wyczerpani, ale ten dupek ciągle chciał, żebyśmy «kogoś dorwali»"[16]. Pierwsze oznaki tarapatów, w jakie wpadła Kompania Golf, pojawiły się wraz z wybuchem granatu u stóp jednego z żołnierzy. Ktoś krzyknął: „Jezu, żółtki!". W ciągu kilku sekund rozpętała się intensywna strzelanina, w której zginęło 8 ludzi z oddziału podążającego na czele. Sierżant artylerii Billy Armer z odłamkami w twarzy i klatce piersiowej powtarzał tylko pod nosem: „Skurwysyny, trafiły mnie (...) skurwysyny, trafiły mnie". Okazało się, że natknęli się na kolumnę AWP przechodzącą tuż przed ich czołem: zielone pociski smugowe nieprzyjaciela nakładały się na ich czerwone, pogłębiając tylko wszechobecny chaos okrzyków i półcieni. Mastrion poprosił o posiłki, ale Weise odparł: „Jesteście zdani tylko na siebie", bojąc się, że jeśli wyśle tam więcej ludzi, w ciemności jedni Amerykanie zaczną strzelać do drugich.

Ratownik medyczny zaraportował Mastrionowi, że jeden z jego ludzi został ranny w głowę i umrze bez pomocy medycznej. O godzinie 1.30 na niebie pojawił się więc śmigłowiec CH-34 Sea Horse wysłany z okrętu desantowego Iwo Jima. Marines informowali wcześniej przez radio, że żołnierze AWP znajdują się jakieś 400 metrów od nich, wobec czego zaryzykowali podświetlenie miejsca, na którym miał wylądować helikopter. Decyzja ta okazała się bardzo nietrafna[17]: wróg znajdował

się o wiele bliżej, a kiedy po wylądowaniu sea horse'a zaczęto ładować na jego pokład rannych, rozległa się głośna i silna eksplozja. Pocisk z RPG-7 roztrzaskał przednią szybę śmigłowca i uszkodził lewe oko pilota. Helikopter wzniósł się, obrócił na południe, ale po przeleceniu 300 metrów z powrotem opadł na ziemię. Stery przejął wówczas drugi pilot, który jakoś doleciał do Iwo Jimy, tyle że zostawił na polu bitwy owego żołnierza marines zranionego w głowę, który w dalszym ciągu leżał na ziemi i krzyczał coś bez ładu i składu. Jego koledzy namawiali swojego ratownika medycznego, by podał mu zabójczą dawkę morfiny, ale ten się na to nie zgodził. Zamiast tego przez kolejnych 5 godzin, zanim wreszcie umarł, siedział przy nim kapitan Mastrion ze swoim oddziałem, podczas gdy reszta kompanii wycofywała się w nieładzie.

O świecie batalion był już bezpieczny, ale jego ludzi dotknęła prawdziwa trauma. Łącznościowiec, kapral Peter Schlesiona, napisał do domu: „To była bez wątpienia najstraszliwsza noc, jaką przeżyłem w Namie”[18]. Mastriona ewakuowano z powodu uporczywego bólu pleców. Dowództwo nad Kompanią G przejął kapitan Jay Vargas, dwudziestodziewięcioletni pół Meksykanin, pół Amerykanin z Arizony, dobrze znany członkom jednostki i przez nich szanowany. Po tak intensywnych przeżyciach ludziom Weise'a mogło się zapewne wydawać, że na jakiś czas los oszczędzi im równie ciężkich akcji. Niestety, wojna zwykle nie zważa na zmęczenie tych, którzy w niej uczestniczą. Dowództwo dywizji ustaliło, że w okolicy znalazły się dwa bataliony AWP, poruszające się na północ od dopływu rzeki Bo Dieu, którą transportowano zaopatrzenie na ostatnim, jedenastokilometrowym odcinku między wybrzeżem a wielką amerykańską bazą logistyczną na południowym brzegu rzeki w Dong Ha. Pułkownik Milton Hull, dowódca pułku, któremu bezpośrednio podlegał Bill Weise, podejrzewał cały w nerwach, że wróg może chcieć zaatakować właśnie Dong Ha. W związku z tym niebezpiecznie rozproszył dostępne mu siły wzdłuż brzegów rzek Cua Viet i Bo Dieu, jako zabezpieczenie na wypadek takiego ruchu przeciwników, którego kulminacja, jak oceniał wywiad, mogłaby przypaść na dzień 1 maja, ważne święto w komunistycznym kalendarzu.

W rzeczywistości AWP nie miała wcale ambicji atakowania Dong Ha: komuniści planowali jedynie zakłócić transport rzeczny za pomocą rakiet i karabinów maszynowych, wykorzystując rzadką możliwość wsparcia swojej piechoty z 6. Batalionu 52. Pułku Piechoty ogniem dwóch ciężkich dział, umiejscowionych tuż za DMZ. Przystąpili zatem do kopania bunkrów, a następnie położyli kable telefonu polowego między przylegającymi do siebie wioskami o nazwach Daido, An Lac i Dong Hoang. Cała ta infrastruktura była gotowa 29 kwietnia o godzinie 5.00, czyli na 24 godziny przed tym, jak w ich życie wkroczyli marines z 2. Batalionu[19]. Można rzec, że AWP celowo postanowiła sprowokować Amerykanów do ataku, wiedząc, że warunki walki sprzyjać będą właśnie jej.

Rankiem 30 kwietnia zgodnie z rozkazami pułkownika Hulla cztery kompanie batalionu Weise'a mocno się rozproszyły, rozciągając swoje siły na odcinku około 11 kilometrów i starając się okrążyć od północy i wschodu wciąż jeszcze nie ustalone pozycje komunistów. Z dachu jakiegoś porzuconego domu w pobliżu rzeki kapitan Jim Williams obserwował przez lornetkę, jak łodzie amerykańskiej marynarki wojennej wdają się w wymianę ognia z wrogiem, strzelającym z wiosek na własnym odcinku wybrzeża. W pewnym momencie na rufie jednej z tych amerykańskich łodzi desantowych doszło do eksplozji: trafiło w nią z odległości jakichś 450 metrów bezodrzutowe działo kaliber 57 mm, zabijając jednego marynarza i raniąc dwóch kolejnych. Na wody przybrzeżne natychmiast wypłynęły wietnamskie łodzie patrolowe, a amerykański konwój wycofał się na zachód do Dong Ha; marynarka wojenna ogłosiła zaś, że uważa rzekę Bo Dieu za zamkniętą, dopóki nie uda się usunąć znad jej brzegów formacji AWP.

O godzinie 8.18 starszy kapral James O'Neill, snajper towarzyszący patrolowi wysłanemu przez Kompanię H kapitana Williamsa, dostrzegł jakiś ruch w odległości 450 metrów i zameldował: „Sir, myślę, że przed nami jest cała masa żółtków". Na co jego przełożony odparł: „To zastrzel jednego z nich"[20]. Dzień był upalny i powietrze falowało od gorąca, przez co O'Neill nie widział celów wystarczająco ostro w teleskopowym celowniku swojego remingtona 700, ale po oddaniu dwóch strzałów zauważył, że jednej z postaci, siedzącej bez ruchu na skraju okopu,

ubyło jakieś pół głowy. Wkrótce potem Williams otrzymał nowe rozkazy od Weise'a, który informował go przez radio, nadając umówiony kod Dixie Diner 6, że jego własna Kompania H przystępuje do natarcia od północy na wioskę Dong Hoang, podczas gdy sąsiednia kompania F ma zaatakować Daido leżące niecałe 2 kilometry na prawo od niej. Na tym etapie dowództwo pułku pozwalało Weise'owi na użycie tylko tych dwóch kompanii, pomniejszonych o jeden pluton. Był to pierwszy duży błąd Amerykanów: rozpraszając i dzieląc swoje siły, dawali oni napotykanemu na swojej drodze wrogowi przewagę liczebną.

Kompanie F i H liczyły mniej niż po stu ludzi każda, czy to ze względu na straty bojowe, czy z powodu zachorowań, czy wreszcie z uwagi na zaplanowane urlopy. Weise wraz z resztą grupy dowodzenia wsiadł na wybrzeżu do płaskodennej wzmocnionej łodzi obserwacyjnej, z której miał śledzić postęp operacji, poruszając się powoli w górę rzeki w tempie ruchów piechoty na brzegu. Jak zwykle nie sposób było liczyć na wywiad: nikt nie potrafił powiedzieć, czy napotkanych komunistów będzie dwóch z jednym działkiem bezodrzutowym, czy dwustu, czy może 2 tysiące. Amerykańska artyleria kaliber 105 mm i 155 mm zaczęła ostrzeliwać cele granatami i pociskami dymnymi. Około 13.30 pierwsze plutony Kompanii H znalazły się na obrzeżach Dong Hoang, gdzie napotkały zażarty ogień zza zasłony drzew. Weise zaraportował do dowództwa pułku, że wróg najwyraźniej jest liczny i zajmuje umocnione pozycje, co zapewniło Amerykanom dodatkowe wsparcie ze strony dwóch czołgów M-48 oraz marynarki przybrzeżnej. Pewien zwiadowca strzelił do jednego z żołnierzy wroga pojedynczą kulą ze swojego M-16, po czym zakrzyknął: „Jee-zu Chryste!", widząc, jak tamten po prostu wyparowuje: w ferworze walki nie zauważył, że dokładnie w tym samym momencie Wietnamczyk został trafiony pociskiem kaliber 90 mm wystrzelonym przez któryś z czołgów. Żołnierze piechoty, dotąd czołgający się w pobliże Dong Hoang, teraz wstali na równe nogi, uformowali linię, w której rozstawili się co 5 metrów, i ruszyli naprzód marszem, strzelając z biodra.

Niektórzy komuniści zaczęli wyskakiwać ze swoich kryjówek i czmychać, ale inni nie przestawali strzelać. Widząc to, marines zaczęli biec, a wtedy Williams, słynący z odwagi trzydziestojednolatek

z Minnesoty, rzucił się w ich stronę, by spowolnić tempo ich poruszania się z obawy, że zbyt wcześnie znajdą się w strefie ostrzału własnej artylerii. W całym tym bitewnym zgiełku kątem oka dostrzegł, że tuż obok z podziemnej kryjówki wychyla się jeden z komunistów, by rzucić granatem. Granat odbił się o ziemię i eksplodował, zwalając dowódcę kompanii z nóg i wbijając mu w uda i pośladki mnóstwo bolesnych odłamków. Nie mogąc ustać na nogach ani przekrzyczeć huku wystrzałów i wybuchów, Williams kazał swojemu radiooperatorowi sprowadzić starszego podoficera. Jego podkomendny migiem pobiegł na tyły, uchylając się przed świszczącymi kulami, a po chwili wrócił, by zameldować, że sierżant nie zamierza się pojawić: „Jest w podziemnej kryjówce i nie chce jej opuszczać!". Williams kazał wówczas swojemu operatorowi raz jeszcze udać się do tego dekownika i powiedzieć mu, że jeśli nie zjawi się, i to szybko, wówczas kapitan osobiście go zastrzeli. Całe to zajście skomentował ze zrozumieniem inny oficer: „Facet napatrzył się już na sporo walki, a od początku nie był zbyt chętny do wojowania". Dowództwo nad Kompanią H przejął porucznik Alex „Scotty" Prescott.

Walki tymczasem nie ustawały. Pewien sierżant sztabowy, zwalony z nóg podmuchem eksplozji, podniósł się i podjął dalszy bieg, by po chwili poczuć, jak kolejny wybuch granatu wytrąca mu z dłoni karabin, a z nadgarstka zrzuca zegarek płetwonurka. Kiedy z trudem stanął na nogi, czując, że kręci mu się w głowie, poprosił jakiegoś kaprala o wymierzenie mu siarczystego policzka – co, o dziwo, podziałało. W ciągu następnych 15 minut resztki kompanii doszły do końca wioski Dong Hoang, tracąc kolejnych ludzi przy każdej z mijanych podziemnych kryjówek, z których co rusz wyskakiwali, strzelając, żołnierze nieprzyjaciela. „Jasna cholera, tam wszędzie pełno było martwych żółtków – powiedział sierżant Joe Jones, czarnoskóry olbrzym, który przejął dowodzenie swoim plutonem po tym, jak trafiono jego porucznika. – I pełno rannych marines (...). Wszyscy byli już ze sobą przemieszani; ludzie z różnych oddziałów i z różnych plutonów, rozsiani po całej tej cholernej wiosce"[21]. Porucznik Carl Gibson, idący dosłownie metr za Prescottem, w momencie gdy obaj docierali już do południowego skraju wioski, padł od kuli, która trafiła

go prosto w głowę. Miesiąc wcześniej się ożenił, a w Wietnamie był zaledwie od dziesięciu dni.

We wciąż trwającym zamieszaniu ocalali przystąpili do tworzenia perymetru. Pewien kapral płakał histerycznie nad rannym przyjacielem, jakiś sierżant leżał bez ruchu, pobladły od utraty krwi, a inny kapral darł się: „Musimy go stąd zabrać – on umiera, on umiera!". W okolicy nie było jednak żadnego lądowiska dla helikopterów; za to o godzinie 15.30 do brzegu kilkaset metrów na południe od pola bitwy przybiły niewielkie jednostki pływające – płaskodenne łodzie – które przywiozły zapasy amunicji i ewakuowały trzydziestu rannych. Ku powszechnemu zaskoczeniu z jednej z nich wysiadł pułkownik Hull, który z miejsca przystąpił do przepytywania „Scotty'ego" Prescotta. Ten napuszony twardziel z dowództwa pułku wyrażał przy tym przekonanie, że Weise i jego ludzie nie przejawiali wystarczającej agresji. W związku z tym namawiał oficera dowodzącego do „zaciśnięcia pętli" wokół wroga, na co jego oficer operacyjny zaprotestował: „Byliśmy tak blisko tych z AWP, że jeden z nich mógł wbić nóż w brzuch Weise'a"[22]. Williams został ewakuowany w jednej z łodzi, na której dnie walała się smętnie w kałuży krwi, częściowo jego własnej, pusta manierka. W pewnym momencie, martwiąc się o to, co nieraz zajmowało myśli również wielu innych rannych żołnierzy, poprosił on ratownika medycznego z marynarki: „Zupełnie straciłem czucie tam, na dole. Mógłby pan sprawdzić, czy wciąż jeszcze mam jaja?" – jeden z żołnierzy w jego batalionie, „Duży John" Malnar, stracił kiedyś jądro w Korei. Medyk obejrzał uważnie jego okolice intymne i odparł: „Moim zdaniem, wszystko tam wygląda, jak należy". Tego rodzaju wymiana zdań mogłaby nawet być komiczna, gdyby nie odbywała się w tak strasznych okolicznościach.

Rannych przetransportowano na Iwo Jimę, gdzie kolejne fale nadlatujących śmigłowców zapowiadano głośnymi komunikatami: „Przybywają ranni (...), przybywają ranni". W pewnej chwili do przepełnionej izby chorych na okręcie wkroczył jeden z marines i ogłosił, że 2. Batalion znalazł się w tarapatach, wobec czego każdy, kto jest zdolny do walki, powinien natychmiast wrócić na brzeg. Kilka obandażowanych postaci podniosło się z trudem i pomaszerowało sztywno do hangaru, gdzie trzymano ich zakrwawione kamizelki

i resztę sprzętu, a po wyposażeniu się we wszystko, co niezbędne, polecieli z powrotem, choć nie bezpośrednio na pole bitwy. Mimo że sami ratownicy medyczni towarzyszący żołnierzom w walce cieszyli się wśród nich dobrą reputacją, to nie można już tego było powiedzieć o ekipach medycznych w miejscach, do których zwożono później rannych: każdy żołnierz słyszał historie o rzeczach osobistych ginących w takich ośrodkach. Kiedy zatem Jim Williams na pokładzie Iwo Jimy poproszony został o oddanie swojego pistoletu, to mimo dojmującego bólu chwycił go mocno w dłonie i zasyczał: „Żaden cholerny marynarz nie odbierze mi broni!”[23]. Ostatecznie dał później na przechowanie swoją czterdziestkę piątkę jednemu z marines. Dopiero po wielu miesiącach Williams mógł wygodnie usiąść, a powrót do pełnej sprawności i do służby zajął mu równo rok.

Podczas gdy Kompania Hotel – od H – z trudem starała się zabezpieczyć Dong Hoang, blisko 2 kilometry na zachód od niej, ale ze znacznym opóźnieniem, bo o godzinie 13.50, Kompania Foxtrot zbliżała się do wioski Daido, poruszając się od północy na kadłubach amfibii i zupełnie nie wiedząc, czego ma się spodziewać. W pewnym momencie od strony wioski nadleciała rakieta, która eksplodowała po uderzeniu w jeden z pojazdów, przewożącym pięciu radiooperatorów: jeden z nich spadł z kadłuba, krzycząc z bólu od odniesionych ran. Wśród świstu kolejnych nadlatujących pocisków RPG wszyscy zaczęli zeskakiwać na ziemię i niepewnie podążać dalej piechotą. Większość sił kompanii zatrzymała się ostatecznie jakieś 100 metrów od celu, a pluton idący na prawej flance zajął pozycje na niewielkim cmentarzu.

Dowódca kompanii, kapitan James Butler, cichy i spokojny dwudziestopięciolatek z Teksasu, syn generała, nakierowywał atak napalmem – spadające z nieba puszki, rozrywające się w pewnym momencie w czerwone, narastające kłęby ognia, które błyskawicznie zmieniały się w czerń – na punkt oddalony o jakieś 40 metrów od jednego z poruczników Kompanii F. Po chwili ten zameldował mu przez radio: „Cholera, ale tu gorąco – żeby tylko nie zrzucali niczego bliżej nas!”. Po 4 godzinach starć Butler zaraportował do Weise’a, że zostało mu już tylko 26 ludzi zdolnych do walki, i poprosił o pozwolenie na wycofanie się. Weise się zgodził, choć wyrwanie się z kontaktu

z nieprzyjacielem zajęło tej mocno przetrzebionej grupie żołnierzy jeszcze kolejne 2 godziny oraz wymagało osłony phantomów i pojazdów opancerzonych rażących wroga z półcalowych karabinów maszynowych. Jak zauważył Butler, gdyby AWP postanowiła ich ścigać, „to mieli świetną okazję, by naprawdę dać nam popalić”[24]; na szczęście jednak tak się nie stało.

O godzinie 17.00 przez rzekę przeprawiła się Kompania Bravo z 1. Batalionu Marines jako wsparcie dla 2. Batalionu. Nie było to wówczas zbyt wesołe towarzystwo: w Bravo od jakiegoś czasu pojawiały się problemy dyscyplinarne takie jak bójki między podoficerami czy sytuacja z pijanym w trupa radiooperatorem, który groził wszystkim zdetonowaniem granatu[25]. Amfibie przybiły do brzegu tuż za wioską An Lac, a ich pasażerowie przypuszczali, że są tu jedynie po to, by wesprzeć batalion Weise’a w ataku na Daido. Tymczasem dosłownie w kilka sekund po wyczołganiu się na piasek przykrył ich gęsty ogień nieprzyjaciela, od którego zginął dowódca, jeden z poruczników, jeden z sierżantów i 7 żołnierzy, a kolejnych 14 odniosło poważne rany. „To był totalny chaos” – zapamiętał starszy kapral Doug Urban. „I wszyscy od tego ześwirowali. Już nie stanowiliśmy żadnej kompanii. Byliśmy po prostu zbieraniną ludzi kulących się na ziemi”[26].

Norman Doucette, zawodowy żołnierz, który wcześniej służył w Korei, krzyknął do swojego sierżanta: „Musimy dostać się do linii drzew – musimy zabezpieczyć tę pieprzoną linię drzew!”. Ale sierżant nie dał zgody na jakikolwiek ruch. A chwilę później, kiedy Doucette wychylił się, by sprawdzić, czy człowiek obok niego jeszcze żyje, sam dostał w twarz, tracąc sporą część zębów i języka. Upadł i przez jakiś czas leżał samotnie, uznając, że niedługo wykrwawi się na śmierć, i myśląc sobie ponuro: „Ktoś tak to zaplanował, że teraz leżymy wszyscy w piachu i jeden po drugim giniemy” – ale po dłuższej chwili podbiegł do niego pewien dzielny filipiński ratownik i zabandażował mu ranę[27]. Ocalali żołnierze z Kompanii Bravo zdołali zabezpieczyć zachodnią połowę An Lac, gdzie szczególnie zasłużył się Robert Robinson, mówiący niskim, ochrypłym głosem sierżant plutonu, któremu przyznano później Srebrną Gwiazdę za to, że nie przestał strzelać nawet po tym, jak dostał postrzał w ramię, zatamowany przezeń

prowizorycznie garścią błota. Nie można jednak było uznać tego za jakiś specjalny sukces: został im już tylko jeden oficer, pewien mocno wystraszony porucznik, który przypadł do ziemi i tak zastygł w bezruchu.

Po liczbie strzałów oddawanych przez wroga Weise oszacował jego siłę na co najmniej jeden pułk. W rzeczywistości na tym etapie w walkę zaangażował się tylko pojedynczy batalion AWP rozpoznany jako 6. Batalion 52. Pułku Piechoty, którego oficerowie w analogiczny sposób przeszacowali siłę Amerykanów, raportując do dowództwa, że starli się z dwoma batalionami marines wspieranymi przez 12 czołgów[28]. Komuniści w szczególny sposób przeklinali jednak amerykańską artylerię, która raz za razem przerywała ich linie telefonu polowego, choć już samym żołnierzom, chroniącym się w głębokich bunkrach, nie wyrządzała większych szkód. Tymczasem na rzece, z pokładu swojej łodzi monitorującej, Weise własnoręcznie obsługiwał moździerz kaliber 81 mm, u jego boku zaś stał „Duży John" Malnar, jego starszy sierżant sztabowy – niesamowity czterdziestojednoletni weteran najpierw walk na Pacyfiku toczonych podczas II wojny światowej, a później szeregu bitew w Korei – który strzelał z półcalowego karabinu maszynowego. Malnar nigdy nie miał żony ani rodziny: całym jego życiem był Korpus Marines. W pewnym momencie obaj zauważyli dwa sampany dryfujące blisko brzegu; możliwe, że były to łodzie rybackie, ale istniało też spore prawdopodobieństwo, że siedzieli w nich ludzie szpiegujący dla komunistów, więc Amerykanie rozwalili je oba, jeden po drugim.

Powoli zapadał zmierzch, a Weise powiedział pułkownikowi Hullowi, że jego zdaniem wyższe dowództwo w dalszym ciągu nie pojmuje, z jak silnym przeciwnikiem przyszło im się mierzyć: „Mocno dostajemy od nich w kość. Jest tu całe mnóstwo tych złych, a nas, dobrych, niewystarczająco wielu"[29]. W odpowiedzi usłyszał, że nie tylko on jeden ma teraz problemy: o 6,5 kilometra na zachód inny batalion wdał się w ciężkie walki i stracił już 144 ludzi. Oficer operacyjny, major „Fritz" Warren, napisał później: „Bill Weise znalazł się w kanapce z gównem"[30]. Oficer dowodzący batalionem zdołał ostatecznie uzyskać niechętną zgodę na wprowadzenie do walki własnej Kompanii Golf, znajdującej się wówczas niespełna 3 kilometry na północny zachód.

Dwa plutony Kompanii G natychmiast wsiadły do swoich maszyn Sea Knight, ale będąc już w powietrzu, dowodzący nimi Jay Vargas dostrzegł, że planowana strefa lądowania znajduje się pod ciągłym ostrzałem AWP, wobec czego nakazał powrót do bazy. A na lądowisku w bazie patrolowej powiedział swoim ludziom: „Dziś nie będzie darmowej przejażdżki – musimy tam dotrzeć pieszo". Żołnierze wzięli więc ze sobą sprzęt do walki i wyruszyli na trzykilometrowy marsz. W narastających ciemnościach podoficerowie musieli krzykiem popędzać część wyczerpanych żołnierzy, by nie zostali z tyłu. Kiedy tylko komuniści dostrzegli rozciągnięte kolumny Amerykanów, w pobliżu tych ostatnich już wkrótce zaczęły spadać pociski artyleryjskie i moździerzowe. Porucznik Jim Ferland zapamiętał: „Żołnierze byli bliscy paniki, ale kapitan Vargas zachował pełną kontrolę"[31].

Choć wraz z nastaniem nocy ostrzał osłabł, nie dane im było cieszyć się pełnym spokojem. Tymczasem w Dong Hoang kapral Richard Tyrell, chcąc wydostać spod sterty siana trupa jakiegoś Wietnamczyka, pociągnął za jego nogi. Okazało się jednak, że ten żołnierz AWP żyje, bo wyskoczył z siana jak z procy i rzucił się do ucieczki. Tyrell strzelił do niego ze swojego M-16, ale już po pierwszym strzale karabin się zablokował. Wyrwał wówczas pistolet jakiemuś innemu żołnierzowi i opróżnił cały magazynek w stronę czmychającej sylwetki. Nieopodal nowo przybyły rekrut oddawał mocz w usta zabitego komunisty, zanim jeden z jego zniesmaczonych towarzyszy broni nie kazał mu się oddalić. Weise z kolei przystąpił do rugania Jamesa Butlera, bo okazało się, że w Kompanii F zdolnych do walki było wciąż 55 marines, a nie 26, jak to wcześniej raportował, prosząc o zgodę na wycofanie się. Weise powiedział później: „Właśnie wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że Butler utracił jakąkolwiek kontrolę". Inny oficer wyraził się z kolei o tym Teksańczyku jako o „zwykłym miłym, przyzwoitym i uprzejmym facetem w typie Clarka Kenta, który jednak nigdy nie potrafił się zmienić w Supermana".

W nocy co rusz dochodziło do alarmów, bo uwięzieni w obrębie amerykańskiego perymetru żołnierze AWP starali się wymknąć poza jego granice. Tymczasem w sąsiedniej przybrzeżnej wiosce An Lac

Kompania Bravo zorientowała się, że wróg zakłóca jej łączność radiową. Do brzegu podpłynął Weise, by przekazać im informację o zmianie częstotliwości – i oberwał w udo odłamkiem pocisku moździerzowego. Z kolei rozrywające się nad Daido amerykańskie pociski świetlne w większej mierze niż własnym żołnierzom ułatwiały życie komunistom, ukazując im jak na dłoni samych marines. Prowadzący swój oddział Jay Vargas został strącony podmuchem eksplozji nadlatującego pocisku wprost do strumienia i od tej pory musiał maszerować, a potem walczyć, z odłamkami w kolanie i łydce. Jeszcze na stanowisku dowódczym batalionu kapitan otrzymał informację, że ostatnich kilkaset metrów w górę rzeki jego ludzie będą mogli przebyć łodziami desantowymi, tyle że w umówionym miejscu łodzi nie było: ich dowódca nie chciał podejmować ryzyka płynięcia w ciemnościach pod ostrzałem nieprzyjaciela. Wobec tego Vargas zarządził półgodzinną drzemkę, a potem, o godzinie 1.00 już 1 maja, przeprowadził ze swoimi dowódcami plutonów krótką odprawę, dotyczącą wznowienia ataku na Daido.

O świcie jeden z patroli odkrył, że AWP wycofała się ze swoich pozycji w An Lac, którą w całości zabezpieczyła Kompania Bravo kosztem dalszych 5 zabitych. Dwie godziny później Amerykanie, ku swojemu zdumieniu, dostrzegli sporą grupę żołnierzy nieprzyjaciela przemieszczających się tuż przed ich frontem, w widocznej rozsypce. Z miejsca przykryli komunistów gęstym ogniem, a Weise powiedział z satysfakcją: „To było jak strzelanie do kaczek". Morale jego ludzi wzrosło jeszcze bardziej, kiedy na niebie pojawiły się dwa F-4 i przeprowadziły ataki z użyciem napalmu. Kiedy obserwator z samolotu zwiadowczego ostrzegł pilotów obu phantomów przez radio: „Uważajcie na ogień z dołu! Ogień z dołu!", jeden z nich odpowiedział sarkastycznie: „Hmm… niech raczej oni się martwią o ogień z góry". Na brzegu rzeki Kompania Bravo raportowała, że wciąż nie jest w stanie posuwać się naprzód; na dobrą sprawę ani tego, ani następnego dnia nie udało jej się dokonać niczego istotnego: po traumie, jaką przeżyli tuż po wylądowaniu, ocalali nie mieli już ochoty do żadnych heroicznych czynów.

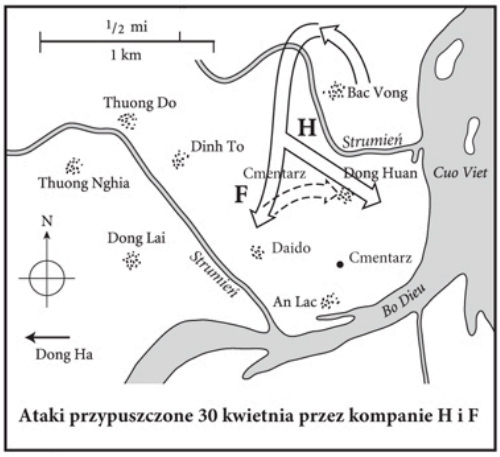

Ataki przypuszczone 30 kwietnia przez kompanie H i F

Ryc. 1

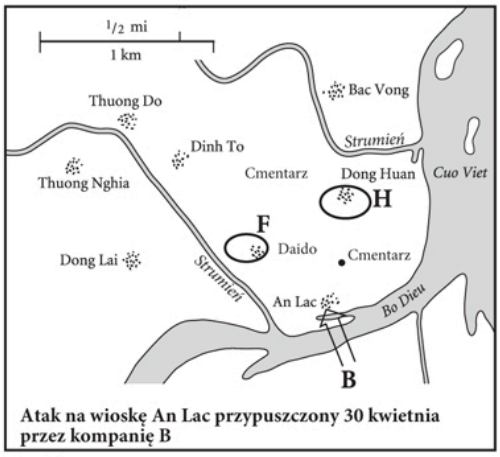

Atak na wioskę An Lac przypuszczony 30 kwietnia przez kompanię B

Ryc. 2

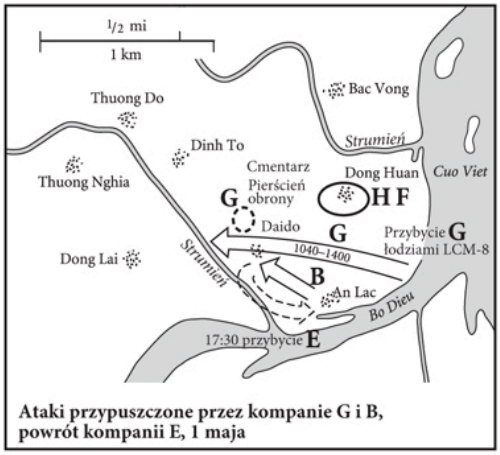

Ataki przypuszczone przez kompanie G i B, powrót kompanii E, 1 maja

Ryc. 3

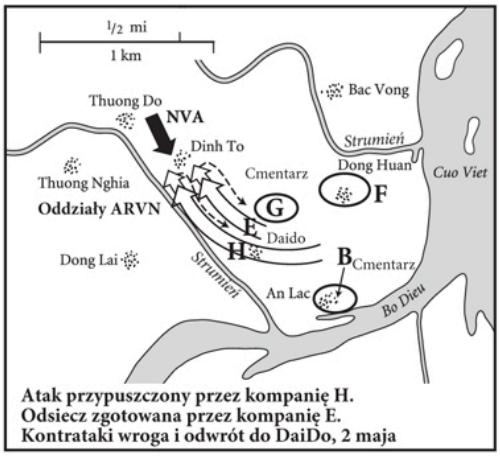

Atak przypuszczony przez kompanię H. Odsiecz zgotowana przez kompanię E. Kontrataki wroga i odwrót do DaiDo, 2 maja

Ryc. 4

Weise z powrotem wsiadł do swojej łodzi monitorującej, którą popłynął w dół rzeki na spotkanie z Kompanią G. Jej kolejny atak na Daido, przy wsparciu dwóch czołgów, zaczął się do uderzenia „przygotowawczego" przeprowadzonego przez samolot Skyhawk dokładnie o godzinie 12.53. Po nim nastąpił frontalny atak na ponadpółkilometrowym odcinku odkrytego terenu, do którego, mimo licznych przykładów bohaterstwa i poświęceń żołnierzy, nigdy nie powinno było dojść. Komuniści ostrzeliwali się z bunkrów wzniesionych na mocnych rusztowaniach z bambusa, wzmocnionych nasypami ziemnymi i wyściółką ryżową. W nocy do 6. Batalionu AWP dołączyła kompania z 48. Pułku, który teraz raportował już kontakt z trzema batalionami marines, wspieranymi 14 czołgami.

Wielu Amerykanów uważało to natarcie za czyste szaleństwo. Był wśród nich między innymi kapral Jim Lashley, mający wrócić do domu już za siedemnaście dni: „Jesteśmy już zbyt «krótcy» na to całe gówno". Z kolei kapral James Parkins z Kompanii Golf stwierdził z rezygnacją: „Tak, było wtedy sporo złej krwi, ale przecież nie dało się powiedzieć: «To głupota i nie zamierzam w tym uczestniczyć». Zresztą, gdybyś ty nie poszedł, a twój kumpel by oberwał, to i tak nie mógłbyś sobie darować (...). Zachowywałeś więc swoje myśli dla siebie, co najwyżej pomrukiwałeś coś sobie pod nosem, idąc naprzód"[32]. Wielu marines miało trzyczęściowe wyciory przytwierdzone taśmą do plastikowych części swoich M-16, by móc szybko wyczyścić często zacinający się mechanizm – a miał się on zacinać również tego dnia. Kiedy Amerykanie przeszli niecałe 200 metrów w sięgającej im po uda brązowej trawie, rozpoczął się ostrzał z ręcznej broni palnej, którą dysponowali żołnierze AWP pochowani w licznych kryjówkach rozsianych po całym polu. Lashley dostał w lewe ramię i miał strzaskany łokieć. Przez kilka sekund stał bez ruchu, czując ogromny ból, a potem potknął się i upadł: ból nie chciał ustąpić nawet po dwóch zastrzykach morfiny.

Żołnierze z plutonu porucznika Ferlanda zatrzymali się w miejscu i przypadli do ziemi. Jay Vargas zawrócił i zaczął do nich krzyczeć, by wstali i szli dalej, choć w jednym z oddziałów Ferlanda już wkrótce było 2 zabitych i 6 rannych. Kompania Bravo utrzymująca An Lac raportowała przez radio, że widzi jakąś setkę żołnierzy AWP na lewej flance Kompanii Golf. Jeden ze wspierających natarcie czołgów zaczął strzelać we wskazanym kierunku, a ogień nakierowywał któryś z marines stojący na jego kadłubie, dopóki nie zrzucił go stamtąd na ziemię podmuch kolejnej eksplozji. Dowódca czołgu, najwyraźniej zaskoczony siłą ognia nieprzyjaciela, zaczął się wycofywać. Widząc to, Jay Vargas podbiegł do pojazdu, chwycił za telefon znajdujący się w jego tylnej części i wykrzyczał do słuchawki, że postawi dowódcę przed sądem wojennym, jeśli ten ucieknie teraz z pola bitwy. „Idź do diabła" – odpowiedział czołgista, ale przynajmniej został jeszcze na tyle długo, by na kadłubie można było ułożyć kilku rannych, a dopiero później wrzucił

wsteczny i tym samym zakończył udział swojego M-48 w dalszych walkach.

Drugi z czołgów po wystrzeleniu całej amunicji, to jest 67 pocisków kaliber 90 mm, również zaczął się wycofywać. Kiedy Vargas próbował wyperswadować to jego dowódcy przez radio, ten odparł, że nic więcej nie może już zrobić. Ależ tak, argumentował Vargas, przecież już sama obecność stalowego potwora, przemierzającego pole ryżowe, wpływa pozytywnie na morale marines, a negatywnie na nastroje wroga. Słyszący tę rozmowę w swojej łodzi monitorującej Weise wtrącił się i rozkazał czołgiście pozostać w walce. Tymczasem artyleria AWP nieoczekiwanie przeniosła swój ostrzał z Kompanii Golf na Kompanię Foxtrot, z miejsca raniąc 8 ludzi. Porucznik Ferland miał już tak dość własnego M-16, że chwycił za jakiś porzucony AK-47. Niektórzy marines leżeli bez ruchu w wysokiej trawie, mając nadzieję, że nie rzucają się w oczy ani swoim, ani wrogom.

Kompania Golf wytrwała w Daido pod ostrzałem moździerzowym kolejne 2 godziny, tracąc coraz więcej ludzi. Wśród wielu makabrycznych momentów zapamiętano, jak jeden z marines niesie na tyły bezgłowe ciało swojego kolegi. A potem Wietnamczycy z Północy przystąpili do kontrataku. Wezwane lotnictwo strzelało do wszystkiego, co się ruszało, więc Vargas za pomocą zielonego dymu zaczął sygnalizować własną pozycję. O godzinie 16.25 jego ocalali ludzie, w tym 3 rannych, kuśtykających obok siebie i wspierających się jeden o drugiego, zaczęli się wycofywać, podczas gdy on sam i jego FAC (Wysunięty Obserwator Lotniczy) ostrzeliwali się gęsto, zapewniając względne wsparcie ogniowe dla tego odwrotu. Kompania G rozpoczęła ten dzień ze stanem osobowym 150 ludzi; teraz pozostało w niej już tylko 45 ocalałych, kryjących się w rowie nawadniającym. AWP triumfalnie ogłosiła, że naliczyła 300 trupów Amerykanów[33].

O godzinie 17.00 Weise zdecydował, że czas już rzucić do walki Kompanię Bravo. Decyzja ta zapadła jednak tak nagle, że żołnierzy stojących w kolejce do ciężarówki z racjami żywnościowymi popędzono w pośpiechu do amfibii, które natychmiast ruszyły, nie dając im czasu na zjedzenie posiłków, co dodatkowo popsuło ich już i tak niezbyt dobre nastroje. Jakieś 300 metrów od Daido, kiedy w stronę marines

skierowano gęsty ostrzał, żołnierze zaczęli ześlizgiwać się z pojazdów, po czym natychmiast przypadali do ziemi. Nowy dowódca kompanii w towarzystwie swojego radiooperatora dał sygnał do wznowienia natarcia – ale już po chwili zorientował się, że nikt za nimi nie podąża. W dodatku nieopodal eksplodował pocisk z RPG, poważnie raniąc kapitana w ramię. Jedynym oficerem w Bravo był już teraz pewien świeżo przybyły do Wietnamu dowódca plutonu, który zaczął drzeć się histerycznie przez radio: „Niech ktoś nam pomoże! Jesteśmy tu okrążeni! Oni są wszędzie! Wszystkich nas pozabijają!". Odpowiedział na to z pełnym spokojem Jay Vargas: „Posłuchaj mnie, Bravo, wyluzuj, dobrze? Nie jesteś tu sam. Nic ci nie będzie, tylko zbierz swoich do kupy, porozmawiaj z nimi i przestań się wydzierać".

Marines podczas przeszukiwania wioski Dai Do, 1 maja 1968 roku

Stało się jednak jasne, że Kompania B nie odegra już większej roli w dalszej części dnia. Niemniej jednak samo jej pojawienie się na polu bitwy na krótko odwróciło uwagę AWP, co umożliwiło Vargasowi i jego pozostałym przy życiu ludziom wycofanie się o kolejne 200 metrów, pod osłonę kopców pogrzebowych, gdzie można było im dostarczyć

zapasy amunicji. W ciągu następnej nocy przy wsparciu artylerii i dzięki pociskom świetlnym udało im się odeprzeć kilka prób ataków AWP. Kapitan własnoręcznie wykończył pewnego żołnierza nieprzyjaciela, który mimo wielokrotnych trafień wciąż rzucał w nich granatami.

Tuż przed tym, jak Kompania Bravo ostatecznie utknęła, na pole bitwy dotarła czwarta z kompanii podległych Weise'owi, z opóźnieniem udostępniona wreszcie przez pułkownika Hulla. Dowódcą Kompanii Echo był żołnierz z wyboru i przekonania, pochodzący z McCrae w stanie Georgia Jim Livingston, który nie miał cierpliwości do durniów, tchórzy, słabeuszy czy palaczy trawki i lubił urządzać swoim ludziom zaprawy bojowe w kamizelkach kuloodpornych. „Miałem bardzo silną matkę"[34] – opowiadał on sam z lubością. „Dawała mi zawsze spory wycisk, więc wyrosłem na niezłego twardziela. Zawsze szukałem okazji do bójki". Starszy szeregowy Michael Helms powiedział: „Obwinialiśmy szefa za nasze niedole, bo wydawało nam się, że zawsze zgłasza nas na ochotnika do każdej trudnej akcji. Wielu z nas stwierdzało, że chce pewnie zdobyć Medal Honoru albo zginąć, próbując to osiągnąć. Często narzekaliśmy i przeklinaliśmy go między sobą, mówiąc, że kiedyś wszystkich nas pozabija, ale zdecydowanie darzyliśmy go wielkim respektem"[35]. Weise twierdził z kolei, że Livingston obdarza swoich ludzi „twardą miłością", dodając, że na polu bitwy wykazuje olbrzymi zmysł orientacji i inteligencję.

Kompania Livingstona straciła już kilku ludzi od ognia nieprzyjaciela podczas trzykilometrowego marszu na południowy wschód, w tym pewnego sierżanta, którego nikt specjalnie nie żałował, bo wszystkim mocno zalazł za skórę. Do An Lac dotarli po przebyciu głębokiego strumienia, z którym poradzili sobie w taki sposób, że wyżsi marines utworzyli łańcuch połączony ich ramionami, dzięki któremu ci niżsi mogli przejść na drugą stronę. Jeśli wierzyć Weise'owi, Livingston „aż rwał się do akcji". Ten chłopak z Georgii szybko dostał okazję, by się wykazać: rozkazano mu osłaniać odwrót resztek Kompanii Bravo, dodając: „Te dzieciaki (...) wystarczająco mocno już oberwały"[36].

Tak oto, kiedy 1 maja zapadała już noc, 2. Batalion Marines znajdował się w śmiertelnym uścisku z siłami komunistów o bardzo podobnej liczebności. AWP dysponowała przy tym niewątpliwą przewagą, mogąc

walczyć z silnie umocnionych i dobrze przygotowanych pozycji. Amerykanie mieli z kolei wsparcie lotnictwa i o wiele więcej artylerii, tyle że przyjęli taktykę pozwalającą wykazać się właśnie komunistom. To doprawdy zdumiewające, że wyższe dowództwo nie tylko dopuściło, ale wręcz wymogło na swoich żołnierzach ponawianie ataków, pociągających za sobą jak dotąd olbrzymie straty. Żadne sygnały nie świadczyły o tym, by komuniści w ogóle mieli zamiar przekraczać rzekę Bo Dieu i iść w kierunku Dong Ha. A mimo to batalion wciąż otrzymywał od swoich starszych oficerów rozkazy wyprowadzania kolejnych ciosów, w rodzaju: „Musicie wywierać na nich ciągłą presję!".

Po co jednak była ta cała presja? Dziś, podobnie jak wówczas, trudno jest dopatrzyć się jakichkolwiek pozytywów w tych uparcie ponawianych natarciach. Tamtego wieczora 1 maja w obu obozach doszło do trudnych, intensywnych dyskusji o dniu jutrzejszym. Dowódcy AWP rozważali odwrót, ponieważ stało się oczywiste, że marines będą próbować kolejnych ataków. Niemniej jednak zasadniczym celem było dla nich zabijanie Amerykanów, a na to akurat mieli całkiem dobre widoki. Wprawdzie 6. Batalion 52. Pułku Piechoty doznał ciężkich strat, ale już 3. Batalion 48. Pułku był niemal niedraśnięty. Ostatecznie na zakończenie długiego posiedzenia partyjnego komitetu polowego ustalono utworzenie nowej połączonej kwatery głównej, która kierowałaby walkami następnego dnia i na której czele stanąć mieli zastępca oficera dowodzącego 52. Pułku i zastępca oficera politycznego 48. Pułku.

Weise z kolei ściągnął wszystkich swoich dowódców na brzeg, po czym powiedział Livingstonowi, że następnego ranka musi odbić Daido siłami własnej Kompanii E oraz resztkami Kompanii G. Przydzielone im dwa czołgi nie mogły już wziąć udziału w dalszych walkach, za to batalionowi obiecano priorytet przy wysyłaniu wsparcia powietrznego. Wydarzenia następnego dnia, 2 maja, przyniosły ostatecznie Livingstonowi ów Medal Honoru, którego tak bardzo pożądał, po wcześniejszym zdobyciu zarówno Brązowej, jak i Srebrnej Gwiazdy. Najpierw wydał on swoim ludziom rozkaz z rzadka już słyszany we współczesnych wojnach: „bagnet na broń". Następnie z Vargasem u boku poprowadził do natarcia obie kompanie. O godzinie 7.15, kiedy

Kompania E znajdowała się blisko 200 metrów od wioski, AWP otworzyła ogień. Dwa plutony Echo stanęły jak wryte, ale trzeci wyrwał do przodu i wdarł się do owej wioski pod gęstym ostrzałem nieprzyjaciela.

Jeden z nacierających marines wybiegł przed linię ataku i dostał przypadkowy postrzał w plecy od któregoś z towarzyszy walki, od którego „przepaliły się" wszystkie naboje w jego ładownicy. Jemu samemu na szczęście ocaliła życie kamizelka kuloodporna, ale już po chwili oberwał też w brzuch z nieprzyjacielskiego AK-47 i musiał wycofać się na tyły. Inny żołnierz z tego plutonu nie przerwał szalonego sprintu mimo otrzymania trzech postrzałów w nogę. Starszy szeregowy Marshall Serna, uzależniony od trawki i kokainy, a na polu bitwy regularnie wypraszający działki morfiny od swojego ratownika medycznego, zasłużył sobie na Srebrną Gwiazdę. Tam, gdzie niektórzy wykazywali się desperacką odwagą, inni dawali się poznać od zupełnie innej strony: pewien kapral pomógł zanieść jednego z rannych na tyły i tyle go widziano. A kiedy sierżant Jim Eggleston, odciągający jednego ze śmiertelnie postrzelonych marines, zawołał o pomoc do kilku ludzi kulących się za kopcami pogrzebowymi, żaden z nich się nie ruszył, a któryś odkrzyknął tylko: „Człowieku, przecież tam strzelają!". To był poranek pełen koszmarów: jeden z marines wszedł na eksplodujący pocisk RPG i jego towarzysze broni mogli obserwować, jak jego urwana noga dosłownie szybuje w powietrzu.

O godzinie 9.14 Livingston zaraportował, że Daido jest opanowane, kosztem 10 zabitych i 60 rannych: „Poranili Echo naprawdę porządnie". AWP przystąpiła właśnie do ostrzeliwania z moździerzy tych nowych amerykańskich pozycji, kiedy na rzece pojawiła się łódź pułkownika Hulla. Dowódca pułku stwierdził z całą powagą, że batalion musi „utrzymać tempo uderzenia". Jak wyjaśnił, oznaczało to, że w ciągu godziny miał nastąpić atak na kolejną wioskę, Dinh To. Jednocześnie zaś do natarcia miała przystąpić zmechanizowana jednostka ARVN, atakująca od jego lewej strony i zabezpieczająca tę właśnie flankę. Weise zasugerował inny plan – wysłać świeże siły amerykańskie na północ, a potem przeprowadzić stamtąd natarcie na AWP, spychając ich w stronę marines utrzymujących Daido: innymi słowy, zmusić

komunistów do wyjścia na otwartą przestrzeń. Hull z miejsca odrzucił tę propozycję: Kompania H miała sama przejść do ataku. „Scotty" Prescott i jego 75 ludzi wyruszyli zatem o godzinie 9.55, mając do pokonania niecałe 500 metrów otwartej przestrzeni. Porucznik Vic Taylor napisał później: „Upał był ogromny, powietrze wręcz stało w miejscu. Jeszcze przed wyruszeniem łapczywie pochłonęliśmy całą wodę, jaką tylko mieliśmy (...). A teraz obficie się pociliśmy, a nasze mundury były całe przemoczone. Przy każdym kroku znad wysuszonego pola ryżowego unosiły się małe obłoczki kurzu. Metalowe części broni były tak rozgrzane, że prawie nie sposób się było do nich dotknąć. Ustał wszelki ostrzał. Może jednak wszystko miało się odbyć łatwiej, niż się spodziewałem"[37].

Po pewnym czasie żołnierze weszli w gęste zarośla i między bananowce, gdzie czekał na nich wróg pochowany właściwie wszędzie i strzelający z ukrycia. W jednym z oddziałów zacięły się wszystkie M-16, więc żołnierze mogli tylko rzucać granaty. W pogłębiającym się zamieszaniu ludzie zaczęli szukać kryjówek. AWP była tak blisko, że Prescott nie był nawet w stanie wezwać wsparcia moździerzowego czy artyleryjskiego; o godzinie 12.00 zameldował, że Kompania Hotel wkrótce zostanie rozbita, jeśli szybko nie otrzyma wzmocnień. A potem sam został trafiony i stracił czucie w dolnej części ciała. Czołgając się w stronę jakiejś chaty, nie mógł przestać myśleć o reszcie życia spędzonej na wózku inwalidzkim. Dowództwo przejął Taylor, który przez radio poinformował Weise'a, że jego amunicja jest na wykończeniu, a wszędzie wokół widzi mnóstwo ofiar. „Trzymajcie się – usłyszał w odpowiedzi. – Echo jest już w drodze". Prescotta ewakuowano, a w pewnym momencie z nieopisaną ulgą poczuł on wracające czucie w nogach. Jak się okazało, kula trafiła jego manierkę, odbiła się rykoszetem o jedno z okuć na jego pasie z nabojami, po czym rozerwała drugą manierkę, a wszystko to spowodowało jedynie chwilowy szok i rozległe posiniaczenie, lecz żadnych poważniejszych obrażeń.

Teraz do akcji wkroczył Livingston na czele Kompanii Echo i ze swoją nieodłączną czterdziestką piątką w dłoni. W eterze pojawił się pułkownik Hull nadający z dowództwa pułku, który domagał się

natychmiastowej odpowiedzi, jak przebiega natarcie. Ponaglał też Weise'a: „Wykorzystajcie przewagę zaskoczenia, wykorzystajcie przewagę zaskoczenia! Nie zatrzymujcie się, przyjcie naprzód aż do sukcesu!". O godzinie 13.40 komuniści przystąpili do kontrataku w Dinh To, doprowadzając do morderczego starcia wręcz. Broń Livingstona się zacięła, więc odrzucił ją i chwycił za karabin. Z kolei żołnierze, których M-16 odmówiły działania, nacierali teraz z pistoletami w dłoniach. Nawet dowódca Echa, nigdy niestroniący od walki, poczuł się zmuszony poinformować przez radio Weise'a: „Nie możemy tu zostać, bo pozabijają nam wszystkie te dzieciaki". Zaczął się zatem odwrót, a AWP mocno napierała na ich tyły. Livingston starał się znaleźć wszędzie tam, gdzie tylko był potrzebny, aż wreszcie o godzinie 14.30 oberwał serią z karabinu maszynowego w nogę, a odłamkiem granatu w udo. Jego ludzie z przerażeniem patrzyli, jak ich, wydawałoby się, pancerny dowódca, zwala się na ziemię: „Mocno krwawiłem, więc kazałem im po prostu mnie zostawić. Ale zamiast tego paru czarnych żołnierzy zaczęło mnie odciągać"[38]. Kapitan poczuł jednocześnie falę paniki: dotąd to on w pojedynkę utrzymywał marines w ryzach, mimo że wielu z nich przeklinało go za swój ciężki los. Kapral Phil Cornwell powiedział: „Oni nas tam zniszczyli. Zostało nas tak niewielu, że wydawało się to wprost nierzeczywiste. Chłopcy byli wściekli i mówiło się nawet, że kapitana postrzelił jeden z naszych za to, że poprowadził nas prosto na rzeź. Ja tam się cieszę, że dostał w czapę – i nie ma już znaczenia, czy od któregoś z nas, czy od żółtków"[39]. Kompania E została rozbita.

Weise zameldował dowódcy pułku: „Panie pułkowniku, nasze natarcie wytraciło impet". Ale Hull pozostał nieprzejednany: „Weise, musimy wywierać na nich ciągłą presję. Trzeba kontynuować atak". Następnie dodał, że obiecane natarcie zmechanizowanej jednostki ARVN na lewej flance już wkrótce odwróci uwagę nieprzyjaciela. Hull wydał 2. Batalionowi, a właściwie teraz to już raczej nędznym jego resztkom, rozkaz przystąpienia do nowego ataku na Dinh To. Dodał, że Kompania Golf, wspierana przez Foxtrot, po prostu musi zająć tę wioskę. Obie te formacje liczyły już wówczas zaledwie 54 ludzi, z których całkiem sporo uzbrojonych było teraz w AK-47, bo ich własne M-16 zawiodły. W niezwykłym geście solidarności ze swoimi ludźmi,

być może zrodzonym z desperacji, Bill Weise postanowił pójść do natarcia razem z nimi. Prawie żaden z żołnierzy mających za chwilę podjąć kolejną próbę ataku nie spał od trzech nocy: wszyscy byli też wycieńczeni i głodni, a do tego większość całkowicie zrezygnowana.

Natarcie rozpoczęło się spokojnie, ale w pewnym momencie do marines zaczęto strzelać z lewej flanki, to jest z pozycji, które mieli zaatakować Wietnamczycy z Południa. Weise kazał swojemu operatorowi skontaktować się przez radio z amerykańskim doradcą i przekazać mu, żeby jego ludzie uważali, do kogo strzelają. A wtedy John Malnar krzyknął: „Hej, pułkowniku, to wcale nie ARVN, to AWP!". Jak się okazało, z nigdy niewyjaśnionych powodów Wietnamczycy z Południa wcale nie przystąpili do ataku, co podczas tej wojny zdarzało się nader często – w najlepszym razie zawiodła koordynacja, a w najgorszym zabrakło dobrej woli. Amerykanie znaleźli się w ten sposób pod ostrzałem ze wszystkich stron. O godzinie 15.05, wśród krzyków i wrzasków, na krótko przeszli do uderzenia. Ale już wkrótce Foxtrot, podążający wschodnią flanką, zaraportował, że został przyszpilony ogniem i ponosi ciężkie straty. James Butler miał iść w ślad za Kompanią G i przedrzeć się wraz z nią, ale poszedł inną drogą. Później tłumaczył, że tylko wykonywał rozkazy, ale Weise twierdził, że dowódca Kompanii F, umyślnie czy nie, postąpił wbrew nim. Po raporcie przedłożonym przez pułkownika w następstwie tych wydarzeń kariera Butlera w Korpusie Marines gwałtownie dobiegła końca.

O godzinie 16.45 dwie kompanie AWP przeprowadziły kontratak na ocalałych z Kompanii Golf, doprowadzając do panicznej ucieczki resztek Amerykanów. Jeden z marines szturchnął wówczas pewnego oficera obserwującego rozwój wypadków na froncie, mówiąc: „Melduję, że wszyscy się stamtąd zbierają!". Weise i „Duży John" Malnar wdali się w wymianę ognia z nacierającym przeciwnikiem, który znajdował się od nich dosłownie o kilkanaście metrów. Pewien marines opisywał: „Wszędzie zaczynał panować chaos, a ludzie darli się jeden przez drugiego: «Wycofujemy się! Wycofujemy się!»". Ludzie walczący po obu stronach Jaya Vargasa zostali zabici. W końcu pocisk z RPG trafił też osłaniającego tyły podczas odwrotu Malnara: zginął tym samym jedyny wśród Amerykanów weteran walk z Japończykami, Koreańczykami

z Północy i Chińczykami – zdołali go wykończyć dopiero Wietnamczycy. Seria z AK-47 powaliła też Weise'a, którego odciągnęło dwóch marines. Porucznik Judson Hilton porzucił swoją funkcję kontrolera wsparcia lotniczego i zaczął ostrzeliwać się z granatnika M-79 Thumper, przytomnie wpełzając wcześniej do rowu. Widziano, jak jeden z marines pomyka chyżo przez pole ryżowe zupełnie nagi, pomijając ciężkie wojskowe buciory. Jay Vargas mimo zaliczenia trzech trafień nie przestawał dowodzić swoimi wycofującymi się ludźmi, czym zasłużył sobie na Medal Honoru. Jego batalion pozostawił za sobą w Dinh To 41 zabitych.

W nocy AWP wycofała się z Daido, wciąż zajmowanej przez inny batalion marines. Sporządzając zestawienie trzydniowych walk, Amerykanie doliczyli się 537 żołnierzy nieprzyjaciela zabitych w trakcie działań piechoty i 268 kolejnych, poległych od ostrzału lotniczego i artyleryjskiego. W ramach wsparcia dla 2. Batalionu z okrętów wojennych u wybrzeży wystrzelono 2383 pocisków; kolejnych 5272, a do tego 1147 bomb moździerzowych dołożyła artyleria; a wreszcie lotnictwo przeprowadziło 27 ataków powietrznych. Batalion stracił 81 zabitych i 297 rannych, ponadto zaś jeszcze około setki żołnierzy z lekkimi obrażeniami, przy czym aż połowę tych strat odnotowano w ostatnim dniu walk, to jest 2 maja. Jeden z dowódców plutonu, który zaczynał całą akcję, mając 48 marines, zakończył ją z zaledwie trzema. Jeszcze 30 kwietnia batalion raportował 650 ludzi zdolnych do walki, do których później dołączyło jeszcze kolejnych 200; po zakończeniu działań bojowych w pełni sprawnych było już tylko 150 marines, dowodzonych przez „Fritza" Warrena, bodaj jedynego oficera, który nie doznał żadnych obrażeń.

Komuniści nigdy nie przedstawili własnych statystyk ofiar spod Daido. Te amerykańskie są niewiarygodne, ale z całą pewnością AWP poniosła większe straty od tych, które zaliczył 2. Batalion. W oficjalnych komunistycznych historiach opisujących później sytuację 2 maja doszukać się można jedynie zawoalowanych wzmianek i bardzo ogólnikowych informacji: „My także ponieśliśmy straty (...) Siła bojowa naszej piechoty została bardzo ograniczona (...). [W 6. Batalionie] zostało niewielu żołnierzy"[40]. Zaciekły opór stawiany podczas tych

trzech dni przez AWP pokazywał jednak, jak ograniczoną mocą rażenia dysponują amerykańskie artyleria i lotnictwo przeciwko dobrze okopanym żołnierzom wroga. Pod wrażeniem tego oporu był z całą pewnością Jim Livingston: „Oni po prostu się nie poddawali. To były małe twarde sukinsyny, które doceniały wagę porządnych umocnień. Wsadź takich do bunkra, a będą z tobą walczyć do usranej śmierci”[41]. Amerykanie wykazali się pod Daido, ale także w wielu innych bitwach, oczywistą słabością taktyczną: w przeciwieństwie do przeciwnika zupełnie nie zadbali o to, by być dla niego niewidocznymi, a przez to stawali się łatwymi celami.

AWP ogłosiła własne zwycięstwo i przystąpiła do rozdawania swoim żołnierzom medali w sposób równie rozrzutny, jak czynili to Amerykanie. Uparcie twierdziła przy tym, że walki z 2 maja toczyły się przeciwko trzem batalionom marines „oraz znaczącym siłom amerykańskiej 73. Brygady Kawalerii Powietrznej”, która to formacja nigdy w rzeczywistości nie istniała. Narracja Północy zamyka się długim ciągiem buńczucznych stwierdzeń: „Cały amerykański batalion, ciasno upakowany ludźmi, poszedł w całkowitą rozsypkę, a w kompletnym chaosie jego żołnierze ginęli i odnosili rany całymi tuzinami (...). W ciągu zaledwie 30 minut cały batalion został zmiażdżony, a na polu bitwy pozostawił on ponad dwieście walających się ciał (...). Krew amerykańskich agresorów zabarwiła na czerwono wody Cua Viet”[42]. „Podczas jednego tylko popołudnia niemal pięciuset Amerykanów zapłaciło za swoje zbrodnie własnym życiem”[43]. Spośród dziesięciu ocalałych z całego batalionu, zdaniem komunistycznego historyka, dwóch „całkowicie oszalało z przerażenia”. Ten przydługi cytat wart był przytoczenia po to, by uświadomić sobie, w jaki sposób opowiada się o doświadczeniach wojennych w Wietnamie XXI wieku. Inaczej rzecz jasna postrzegali całą rzecz sami północnowietnamscy żołnierze, których reprezentantem niech będzie walczący w piechocie Bao Ninh: „Niektórzy wykazują się odwagą, a inni nie do końca”. Słowa te w równym stopniu odnosiły się do jego własnych towarzyszy broni, jak i do tych z ARVN czy Amerykanów. Potwierdzał on ponadto, że żołnierze AWP żywili głęboki szacunek do amerykańskiej siły bojowej, „nawet jeśli Amerykanie nie rozumieli naszego narodu”.

Pół wieku po tych wydarzeniach trudno jest postrzegać Daido inaczej aniżeli jako akt bezmyślnego szaleństwa, który to pogląd podzielało zresztą już wówczas wielu ocalałych z 2. Batalionu. Dwudziestodwuletni ratownik medyczny „Doc" Pittman powiedział: „To wszystko było absolutnie – ale to absolutnie – niepoważne i zawsze uważałem, że kogoś powinni za to powiesić"[44]. Pierwszym odruchem marines było zrzucenie winy na Weise'a, choć on sam w wyniku odniesionych ran nie mógł wstać z łóżka jeszcze przez trzy tygodnie, a do służby powrócił dopiero po roku. Jak przyjęła to jego żona Ethel? „Była dla mnie miła – milsza, niż się po niej spodziewałem". Poczucie sprawiedliwości nakazuje nam jednak zasadniczą częścią winy obarczyć pułkownika Miltona Hulla i generała brygady Rathvona McClure'a Tompkinsa z 3. Dywizji Marines. Można jeszcze w jakimś stopniu zrozumieć, że 30 kwietnia obaj ci oficerowie posłali dwie kompanie do oczyszczenia przedpola przed Bo Dieu, mimo że nie mieli najmniejszego pojęcia, z jakimi siłami wroga przyjdzie im się mierzyć. Trudno jednak doprawdy wytłumaczyć, dlaczego wciąż nalegali na kontynuowanie frontalnych ataków przez kolejne dwa dni, 1 i 2 maja. Weise powiedział: „Wydaje mi się, że Tompkins nigdy do końca nie uświadamiał sobie, co się tam naprawdę dzieje. Robił wrażenie sparaliżowanego. A kiedy trzeciego dnia rozkazali nam dalej nacierać, mogłem już tylko powiedzieć: «Przecież to głupota»"[45].

Generał Creighton Abrams powiedział kiedyś żartobliwie do jednego ze swoich sztabowców: „Zastanawiam się, czy byłaby możliwa wymiana dowódców dywizji [z AWP] – my wzięlibyśmy ze dwóch od nich, a w zamian dalibyśmy im ze dwóch od nas"[46]. Dodał przy tym, że w jego najgłębszym przekonaniu sojusznicy wyszliby na tej zamianie zdecydowanie lepiej. Ciekawe, czy wśród tej dwójki miał na myśli również Tompkinsa. Hull utrzymywał później, że Amerykanie pod Daido starli się z dwoma pułkami AWP. Sytuację z nocy 2 maja opisywał zaś słowami, które wydają się czystą parodią rzeczywistości: „Po trzech bardzo ciężkich kontratakach 2. Batalion 4. Pułku Marines doznał pewnych strat, lecz jego szeregi wciąż zachowywały wysoki stopień zorganizowania, a żołnierze wykazywali pełną motywację i chęć kontynuowania ataku w celu odparcia przeciwnika. Ja jednak (...)

uznałem, że nadszedł czas, by zapewnić batalionowi chwilę wytchnienia”[47].

O bitwie pod Daido z rzadka wspomina się w spisywanych historiach tej wojny. Weise stwierdził: „Mam niejasne przekonanie, że Korpus Marines postanowił to zatuszować”[48]. Całkiem możliwe, że ma rację. Wiele, a nawet większość, błędów popełnionych w Wietnamie można zupełnie słusznie przypisać politykom, którzy najpierw zaczęli tę wojnę, a później brnęli w nią coraz głębiej i głębiej. Ale swoje dołożyli również amerykańscy dowódcy, wśród których bardzo niewielu okryło się chwałą, za to część wykazała się wręcz głupotą, porównywalną z szaleństwami wojny krymskiej – a jej modelowy pokaz nastąpił między innymi podczas bitwy pod Daido.

2. ROZMOWY

Tydzień po zakończeniu działań pod Daido, to znaczy 10 maja 1968 roku, w paryskim Hôtel Majestic amerykański zespół negocjatorów z Averellem Harrimanem na czele spotkał się z delegacją północnowietnamską, której przewodził aparatczyk średniego szczebla, niejaki Xuan Thuy. Już sam wybór przez komunistycznych przywódców tego właśnie człowieka jako swojego wysłannika na rozmowy pokojowe powinien był wystarczyć do ostudzenia euforycznych nastrojów, jakie udzielały się wówczas całej wspólnocie międzynarodowej – wyrażano wręcz złudzenia, że jakieś porozumienie pokojowe osiągnięte zostanie w ciągu tygodni, a w najgorszym wypadku miesięcy. I choć podczas rozmów obecny był także Le Duc Tho, najważniejszy ze współpracowników Le Duana, to główną rolę odgrywał właśnie Xuan Thuy. Jak się okazało, Wietnamczykom z Północy zależało na tym, by widziano, jak siadają do rozmów, ale w zasadzie na niczym więcej. Szczególnie skonfundowany wydawał się amerykański elektorat: z jednej strony na polu bitwy komuniści wciąż nie przestawali osłabiać sił i woli amerykańskich oraz południowowietnamskich wojsk, a z drugiej chcieli rozmawiać o pokoju: tak oto wyglądała ich dwutorowa polityka „rozmów i walk”. Tydzień po tygodniu, a potem

miesiąc po miesiącu, obie delegacje powarkiwały na siebie nawzajem w Paryżu. Amerykanie nie zamierzali rezygnować z żądania, by północnowietnamskie wojska opuściły Południe w ramach powszechnego wycofania się stamtąd wszystkich „obcych" sił, podczas gdy Hanoi domagało się przyznania Wietkongowi miejsca w przyszłym rządzie koalicyjnym w Sajgonie. Żadna z tych propozycji nie była do przyjęcia przez drugą stronę, wobec czego na trzy kolejne lata zapadł dyplomatyczny bezruch.

Ogłoszenie przez Lyndona Johnsona zamiaru wycofania się z kolejnych wyborów podcięło skrzydła amerykańskiej dyplomacji, jako że w Wietnamie Północnym zapanowały w jej następstwie nastroje prawdziwie triumfalistyczne, wynikające z przekonania, że zwycięstwo jest już w zasięgu ręki, i to pomimo opłakanego stanu Wietkongu. W Waszyngtonie sowiecki ambasador Anatolij Dobrynin usłyszał od swojego polskiego odpowiednika, że premier Pham Van Dong skłania się ku zaakceptowaniu neutralności Wietnamu Południowego po to, by powstrzymać jego dalszą dewastację. Niewykluczone, że tak właśnie było, tyle że zupełnie inaczej zapatrywali się na całą sprawę zwolennicy twardego kursu: Le Duan i Le Duc Tho[49]. Rosjanie, z utęsknieniem wyglądający końca nieustannie rosnących wydatków na działania wojenne Północy, naciskali na Hanoi, by wykazało się pewną elastycznością – ale wszystko na próżno. Dobrynin napisał: „W Moskwie panowała nie mniejsza konsternacja niż w Waszyngtonie (...). Prywatnie (...) wielu członków [sowieckiego] Politbiura przeklinało Amerykanów, Chińczyków i Wietnamczyków za ich niechęć do poszukiwania kompromisu. Breżniew powiedział mi kiedyś ze złością, że nie ma zamiaru «utonąć w bagnach Wietnamu»"[50].

Tymczasem amerykańska administracja wciąż łudziła się, że Rosja była w stanie doprowadzić do zakończenia tej wojny w dowolnym wybranym przez siebie momencie, zwłaszcza po tym, jak Chińczycy zaczęli przeżywać coraz większe trudności związane z wprowadzaniem rewolucji kulturalnej Mao, które w roku 1969 doprowadziły do wycofania z Wietnamu niemal całego ich personelu. Waszyngton wielokrotnie namawiał Moskwę do wzięcia na siebie roli pośrednika. Sowieci odpowiadali jednak na to twardo, że Stany Zjednoczone muszą

załatwić sprawę w stosunkach dwustronnych z Północą. Jak pisał Dobrynin, Amerykanie po prostu nie mogli zrozumieć, że niezależnie od tego, jak bardzo Rosja mogła pożądać pokoju, po rzuceniu jej przez Chiny wyzwania w kwestii przywództwa w świecie socjalistycznym żadną miarą nie mogła ona wycofać poparcia dla swojego głównego rewolucyjnego klienta. Moskwa była przy tym do tego stopnia przekonana, że zwycięstwo Huberta Humphreya w nadchodzących wyborach prezydenckich przyniesie zakończenie wojny, iż jej wysłannicy – rzecz jasna na próżno – błagali Le Duana, by łagodniej traktować tego demokratycznego kandydata w działaniach dyplomatycznych. Strach przed możliwym zwycięstwem Richarda Nixona popchnął nawet Rosjan jeszcze dalej: zaoferowali oni Humphreyowi potajemne wsparcie finansowe, którego ten uprzejmie odmówił[51].

W tamtym gorącym i krwawym roku wyborczym Ameryka była podzielona jak nigdy przedtem, przynajmniej od czasów wojny secesyjnej. Lyndon Johnson żałował teraz swojej przedwczesnej abdykacji i żywił próżne nadzieje, że zostanie mimo to wskazany jako kandydat na prezydenta przez Partię Demokratyczną. A im bardziej użalał się nad swoim losem, tym większą pogardę żywił wobec swojego wiceprezydenta. W całej Ameryce wrogość okazywana siłom zbrojnym osiągnęła już tak bezprecedensowe rozmiary, że nawet komandor Jim Koltes z amerykańskiej marynarki wojennej, służący jako oficer sztabowy w Pentagonie, wzorem wielu swoich kolegów przestał wkładać mundur podczas wychodzenia na ulice Waszyngtonu: „Mogłeś się przez to tylko wdać w jakąś pyskówkę”[52]. A mimo to nawet w takich okolicznościach żaden poważny kandydat do prezydentury, ani Eugene McCarthy, ani Robert Kennedy, nie odważył się zaproponować bezwarunkowego wycofania się Stanów Zjednoczonych z Wietnamu – co byłoby otwartym przyznaniem się do porażki. Wciąż było też kilku zatwardziałych zwolenników eskalacji, popierających formalne wypowiedzenie wojny Północy, choć tego rodzaju rezolucja nigdy nie miałaby szans przejść przez Kongres.

W roku 1968 śmierć i przemoc zawitały też do samej Ameryki: męczeńsko zginęli Kennedy i Martin Luther King, a w miastach

dochodziło do zamieszek na tle rasowym. Jeśli zaś chodzi o Wietnam, to 28 maja Michael Minehan, młody żołnierz obsługujący karabin maszynowy w prowincji Quang Tri, napisał do domu: „Dziś jesteśmy dziewiąty dzień poza bazą, ale niespecjalnie jest o czym pisać, bo tylko łazimy po górach i szukamy żółtków (...). Pomyślałem jednak, że skreślę tych kilka zdań, żeby wam powiedzieć, że u mnie wszystko w porządku”[53]. Ale już pięć dni później wszystko przestało być w porządku. Rodzice Minehana w Marlborough w stanie Massachusetts otrzymali telegram następującej treści: „Od komendanta Korpusu Marines, Z głębokim żalem potwierdzam, że państwa syn (...) zginął 2 czerwca 1968 roku (...). Odniósł na ciele rany fragmentacyjne od ostrzału własnego lotnictwa, które nie dotarło do wyznaczonego celu (...). Jego resztki zostaną odpowiednio przygotowane, zapakowane w skrzynię i wysłane do kraju bez żadnych kosztów dla państwa; zapewniona zostanie także eskorta do wybranego przez państwo domu pogrzebowego albo państwowego cmentarza. Ponadto zostanie państwu zwrócona, do wysokości nie większej niż 500 dolarów, kwota wydatków pogrzebowych i związanych z pochowaniem ciała. Swoje życzenia w tym względzie proszę kierować telefonicznie do kwatery głównej Korpusu Marines”.

Do końca 1968 roku tego rodzaju telegramy otrzymało dokładnie 16 899 rodzin w całym kraju – dawało to średnią ponad 300 tygodniowo – a sami Amerykanie zaczynali ich już mieć serdecznie dość. MACV zżymała się, że nikt nie docenia osiągnięć jej dowódców ani wysiłków żołnierzy przy odpieraniu ofensywy Tet, a potem kolejnych miniofensyw. Odpowiedzialny za pacyfikację Robert Komer powiedział z kolei podczas cotygodniowej narady roboczej służb wywiadowczych 29 czerwca: „Wygraliśmy tę kampanię, a nikt o tym nie wie”. Zgadzał się z tym nowy dowódca wojsk lądowych w Wietnamie, generał Creighton Abrams, który uskarżał się w rozmowie z mediami: „Wygląda to tak, jakby wywoływali ci błąd jeszcze przed rzuceniem piłki. Sędzia, reprezentowany przez szefów agencji [prasowych], podnosi wysoko rękę, ale do cholery, nasz miotacz wciąż jeszcze nie wypuścił piłki z ręki (...). Wszyscy sędziowie są wyraźnie przeciwko nam”[54].

Jeden z wysokich szarżą sztabowców Abramsa narzekał z kolei: „Wydaje mi się, że jadąc do tego Paryża, daliśmy się trochę zapędzić w kozi róg (...). Jeśli teraz nieprzyjacielowi uda się przeprowadzić jakąś [udaną] ofensywę, to zostanie za nią pochwalony, że okazał siłę, zdecydowanie i takie tam, zupełnie jak podczas Tet. A z drugiej strony, jeśli to my dołożymy wszelkich starań i zdołamy go uprzedzić, a tym samym zapobiec jego ofensywie, wówczas też pochwalą właśnie jego, tyle że za deeskalację”[55]. Abrams w pełni się z tym zgadzał.

W sierpniu szefowie prowincji NFW i Wietkongu otrzymali drogą radiową zwięzłe i arbitralne rozkazy z CBWP polecające im szykowanie kolejnej, „trzeciej fali” ofensywy Tet. Niektóre z zawartych w nich taktycznych instrukcji były absurdalne: bojownicy mieli się ukrywać w tunelach i bunkrach, nawet w centrum Sajgonu, a kryjówki mieli sobie drążyć drewnianymi pokrywkami, niesionymi właśnie w tym celu. Ten rozkaz po jakimś czasie cofnięto, zalecając jedynie utrzymanie ataków lokalnej partyzantki. W innych miejscach regionu grupy bojowników ostrzeliwały sporadycznie amerykańskie bazy, wykorzystując do tego celu rakiety pozostałe z lutowych zapasów. Ataki z sierpnia koncentrowały się przede wszystkim w prowincji Tay Ninh i zostały z łatwością odparte.

Były to jednocześnie trudne dni dla Wietkongu. W całej Delcie Mekongu intensywne kursy amerykańskich i wietnamskich łodzi patrolowych, wspomaganych nocami przez szperacze, skutecznie zakłócały, a nawet uniemożliwiały partyzantom komunikację po rzekach i kanałach. Samych partyzantów było zaś zbyt mało, by mogli jakoś odpowiedzieć na tę wzmożoną akcję przeszukiwawczą. Nagle okazało się, że narażone na wykrycie i zniszczenie są nawet tradycyjne mateczniki bojowników. Ich jednostki musiały ulec rozproszeniu, a większość wycofała się w kierunku Kambodży. Wielokrotnie atakowane były również ich posterunki zaopatrzeniowe. Najlepszy dowódca batalionu Wietkongu w Delcie, Muoi Xuong, został wysłany do Sajgonu, by tam dowiedzieć się czegoś o losach jednostki, z którą zupełnie utracono kontakt. Niedługo potem zginął on z rąk amerykańskich żołnierzy, po tym jak odkryli jego podziemną kryjówkę. Coraz częściej dochodziło też do dezercji z WK.

Amerykańscy dowódcy do tego stopnia czuli swoją świetną passę, że 31 sierpnia „Blowtorch" Komer wyraził wspólne dla większości z nich zaniepokojenie, iż Hanoi mogłoby zaproponować bezwarunkowe zawieszenie broni przed wyborami w USA: „Obaj kandydaci poparliby takie rozwiązanie: «Jak można być przeciwko zawieszeniu broni? To tak jak z macierzyństwem»"[56]. Earle Wheeler powiedział prezydentowi w październiku: „Ocena Abramsa jest wysoce zachęcająca. Jeśli nawet jeszcze nie wygraliśmy tej wojny militarnie, to jesteśmy na najlepszej drodze, by to uczynić"[57]. Szef sztabu niesławnej amerykańskiej 9. Dywizji, operującej w Delcie, opisywał, jak jego formacja zabrała się do osiągnięcia wyznaczonych celów w roku 1968: „Koncepcja podzielonego zwrotu z operacji polega na eliminowaniu jak największej liczby wrogów, ale w niewielkich dawkach zamiast koncepcji eliminacji całościowej (...), i my ją właśnie wdrażaliśmy. Na przykład jeśli każda z 39 kompanii [strzelców] wyeliminowałaby zaledwie jednego Wietka dziennie, wówczas dałoby to 1170 zabitych miesięcznie"[58]. Oto doskonały przykład statystycznego obłędu, a przy tym prawdziwego wojskowego bełkotu, który nader często uchodził wówczas za strategię.

Ale już sami żołnierze, zarówno ci walczący pod Daido, jak i ci obserwujący utratę ponad setki helikopterów miesięcznie, ci świadomi faktu, że w roku 1968 komuniści przeprowadzili 1500 ataków lądowych, a mocno osłabiony Wietkong zorganizował 9400 odnotowanych akcji terrorystycznych skutkujących śmiercią 5400 cywilów, a także ci, którzy zauważali, że ARVN zaraportowała 139 670 dezercji jeszcze przed Bożym Narodzeniem – wszyscy oni nie byli wcale przekonani, iż w tej wojnie ich strona zmierza ku zwycięstwu, a nawet że zwycięstwo takie w ogóle jest możliwe[59]. Major William Haponski napisał: „Moje doświadczenia są, jak sądzę, istotne jako odzwierciedlenie całej wojny, jako przykłady sytuacji, które mogłyby się wydawać amerykańskimi sukcesami (...) Wyszliśmy orać zupełnie nowe i nieznane pola, pełni nadziei na dobre plony, ale pola te okazały się niemal całkowicie zrujnowane tym, co działo się z nimi wcześniej, wobec czego nie dało się na nich wyhodować nic specjalnie wartościowego"[60].

Jeden z ludzi w kompanii piechoty starszego szeregowego Johna Halla pewnego dnia powiedział ni stąd, ni zowąd: „Więcej już nie pójdę do walki". Jego towarzysze broni przekonywali go do zmiany decyzji, argumentując, że przecież nie chce, by karnie zwolniono go ze służby, ale on uparcie trwał przy swoim: „Mam to w dupie. Nie chcę tu umrzeć"[61]. Z miejsca wycofano go na tyły, gdzie został poddany procedurze dyscyplinarnej, ale takich jak on miało być już wkrótce całe mnóstwo. Wśród rekrutów wysyłanych wówczas samolotami do Sajgonu byli i tacy, którzy mieli okazję oglądać zamieszki na ulicach Chicago podczas sierpniowej konwencji Partii Demokratycznej: trudno ich było później przekonać, że przylecieli walczyć w słusznej sprawie, za którą warto było ginąć.

Stan pogubienia, w jakim znaleźli się Amerykanie, i to niezależnie od przekonań politycznych, odzwierciedlał pewien list opublikowany przez „New York Times" 2 września, a nadesłany do redakcji przez pewnego profesora historii. Pisał on, że choć od dwudziestu czterech lat jest zarejestrowanym demokratą, to proponuje, by w listopadzie wstrzymać się od głosu, ponieważ „jak mi się zdaje, elektorat, który mógłby głosować na Huberta Humphreya, w rzeczywistości zasługuje bardziej na Richarda Nixona". Kandydat na prezydenta z ramienia Partii Republikańskiej doskonale wiedział, że jego szanse na zwycięstwo w wyborach zależą od tego, jak wielu głosujących uda się przekonać, iż to właśnie on i tylko on jest w stanie zakończyć wojnę bez narażania Stanów Zjednoczonych na upokorzenie. Pozwolił zatem, by do powszechnej świadomości przedostało się przeświadczenie – choć w gruncie rzeczy zasiał je raczej pewien źle poinformowany reporter, a nie sam Nixon – że dysponuje jakimś tajnym planem pokojowym, który ujawni dopiero wówczas, kiedy obejmie urząd. Była to oczywista fikcja. W rzeczywistości zamierzał on jedynie wykorzystać obawy komunistów, że jako nieprzejednany rycerz zimnej wojny byłby w stanie pozwolić na każde, nawet najbardziej ekstremalne rozwiązanie militarne, gdyby przeciwnik nie chciał pójść na ustępstwa. 25 października Nixon podjął próbę storpedowania planu wstrzymania bombardowań wdrażanego przez Johnsona poprzez obłudne i potajemne machinacje mające na celu zapobieżenie osiągnięciu

jakiegokolwiek porozumienia przed dniem wyborów, w tym zwłaszcza przez zachęcanie prezydenta Wietnamu Południowego, Thieu – z wykorzystaniem jako pośredniczki Madame Chennault, wdowy po Clairze Chennault, legendarnym szefie lotnictwa w Chinach z czasów II wojny światowej – do zbojkotowania rozmów w Paryżu.

Tydzień później, 31 października, spóźnione kontruderzenie mające zatopić kandydata Partii Republikańskiej zadał Lyndon Johnson, który w telewizyjnym orędziu do narodu ogłosił zaprzestanie wszelkich amerykańskich bombardowań na obszarze Wietnamu Północnego. Nie wydaje się, by którykolwiek z tych ruchów jakoś znacząco wpłynął na wynik wyborów, ale pozostaje faktem, że w styczniu 1969 roku, przy przewadze niecałego procenta głosów nad Humphreyem, urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych objął Richard Nixon. Wojna Johnsona miała się odtąd stać wojną Nixona. Jak jednak napisał ten ostatni w swoich pamiętnikach: „Nie istniała już kwestia, czy [mam] wycofać nasze wojska, ale jak mają one stamtąd wyjść i co za sobą zostawią”[62].

21
Dziedzictwo Nixona

1. ARMIA W ROZSYPCE

Pewnego wieczora w grudniu 1968 roku, wchodząc do lobby sajgońskiego hotelu Continental Palace, Frank Scotton dostrzegł, że trzech pijanych amerykańskich żołnierzy obraźliwie zaczepia grupę dystyngowanych Wietnamczyków. Scottonowi udało się namówić swoich rodaków do opuszczenia tego miejsca, a wtedy jeden z Wietnamczyków, senator, zaczął go wypytywać, cały roztrzęsiony: „Jak coś takiego może się dziać? Jak coś takiego może się dziać?”[1]. Scotton odparł, że jest to po prostu syndrom kraju, który nie potrafi sam się obronić. Młoda komunistyczna lekarka Dang Thuy Tram świętowała Tet w roku 1969 w towarzystwie pewnego oddziału AWP, który zawitał do jej szpitala. Jego przybycie uświadomiło jej, że był to już jej trzeci nowy rok spędzony na Południu, i skłoniło ją do melancholijnych refleksji podczas samotnego porannego spaceru do swojej kwatery: „Chłodna bryza jest niczym westchnienie (...). Olbrzymi smutek i tęsknota każą mi się zatrzymać. Zamiast już się przyzwyczaić do uczucia samotności, towarzyszącej życiu w obcym kraju, zamiast szukać pocieszenia w cieple i przyjaźni okazywanych mi przez innych (...), czuję się tak, jakby był to mój pierwszy dzień tutaj. Moim jedynym prawdziwym pragnieniem jest mieszkać znów z Mamą i Tatą w naszym ciepłym rodzinnym gniazdku (...) i wciąż być małą dziewczynką, którą wszyscy rozpieszczają”[2]. Na dobrą sprawę również otaczający ją wokół kapitalistyczni rodacy mogli ulegać wówczas podobnym przypływom sentymentalizmu.

Bezpośrednio po dojściu do władzy nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych i w następstwie towarzyszących temu przetasowań na szczytach MACV ani Wietnamczycy, ani Amerykanie nie dostrzegali z początku jakichś specjalnych zmian na wojennym froncie. Prezydent Nixon dążył wprawdzie do zawarcia jakiegoś porozumienia, ale jednocześnie nie miał najmniejszego zamiaru wyjść na tchórza: w swojej styczniowej mowie inauguracyjnej nawet słowem nie zająknął się o Wietnamie. Jego doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, doktor Henry Kissinger, napisał później: „Kwestią nadrzędną było zachować wiarę" – choć bardziej pasowałoby tu zapewne sformułowanie „robić wrażenie, że zachowuje się wiarę" – „u tych dziesiątków milionów, którzy polegając na amerykańskich zapewnieniach, związali swoje losy z naszymi"[3]. Wojna trwała zatem w najlepsze, w dalszym ciągu, kosztując 2,5 miliarda dolarów miesięcznie oraz ponad 200 zabitych Amerykanów tygodniowo – i choć było to o jedną trzecią mniej niż w roku 1968, to wciąż wyraźnie więcej niż w roku 1967. Przez cały rok 1969 amerykańskie siły zbrojne zużywały też średnio 128 400 ton uzbrojenia miesięcznie. W czerwcu tegoż roku Dan Bullock z Brooklynu w Nowym Jorku stał się najmłodszym Amerykaninem, który stracił życie w wojnie wietnamskiej. Skłamawszy co do swojego prawdziwego wieku po to, by móc dostać się do służby, ów czternastoletni czarnoskóry dzieciak napisał do swojej siostry w kraju: „Zdaje się, że wstąpiłem do marines w złym czasie. Módl się za mnie, bo do domu już raczej nie wrócę". Zaledwie dwadzieścia jeden dni po lądowaniu w Da Nang Bullock zginął od komunistycznego ładunku wybuchowego wrzuconego w torbie do jego bunkra.

Generał Creighton Abrams, wielki niedźwiedziowaty mężczyzna w wymiętoszonym mundurze, stanowił niemal idealne przeciwieństwo szczupłego i zawsze nienagannie wyglądającego Westmorelanda. W młodości był on gwiazdorem szkolnej drużyny futbolowej w Springfield w stanie Massachusetts, a podczas II wojny światowej służył jako brygadier wojsk pancernych pod Pattonem. Teraz nominacja tego pięćdziesięcioczterolatka na szefa MACV wzbudziła prawdziwy entuzjazm amerykańskich mediów, dostrzegających w niej pierwszy od dłuższego czasu powiew świeżości. Pomijając jednak zapowiadane

zastąpienie dotychczasowej taktyki „wyszukać i zniszczyć" nową: „oczyścić i utrzymać", nominacja Abramsa nie przyniosła żadnej znaczącej zmiany strategii. Następca Westmorelanda, zdając sobie sprawę z wciąż słabnącej woli kontynuowania walki w ojczyźnie, wiedział po prostu, że musi przede wszystkim działać szybko. Wiele jednostek WK i AWP starało się unikać bezpośrednich starć z wojskami amerykańskimi, wobec czego pełen energii Abrams podkreślał wagę wykorzystywania w pełni każdej takiej nadarzającej się okazji. Wydał nawet rozkaz, że każdy oficer dowodzący kompanią bądź jednostką wyższego rzędu po utracie kontaktu z nieprzyjacielem musi się wytłumaczyć, dlaczego tak się stało[4].

Abrams nic sobie nie robił z żądań napływających z Waszyngtonu, by ograniczyć liczbę ofiar wśród ludności cywilnej: w roku 1968 miesięczna częstotliwość akcji podejmowanych przez superfortece B-52 przeciwko celom w Wietnamie Południowym i Laosie niemal się podwoiła, osiągając liczbę 1500, a w marcu 1969 roku te gigantyczne maszyny zrzuciły łącznie 130 tysięcy ton bomb. MACV wciąż nie dysponowała jednak wiarygodnym wywiadem taktycznym: Fred Weyand przyznawał, że „siły sojusznicze nie zbudowały sobie żadnej bazy informacyjnej wśród lokalnej ludności"[5]. Mimo to w kwietniu 1969 roku Abrams chwalił się jednemu z reporterów: „Kiedy tylko utrzymujemy inicjatywę (...), nasz współczynnik likwidacji jest imponujący".

Najbardziej agresywnym z jego podkomendnych, a przy tym człowiekiem w najmniejszym nawet stopniu niezainteresowanym jakimikolwiek interesami narodu wietnamskiego, był generał brygady Julian Ewell, drapieżny weteran sił powietrznych z czasów II wojny światowej. W latach 1968–1969 Ewell dowodził 9. Dywizją operującą w Delcie Mekongu, po czym objął dowództwo nad II Polowym Zgrupowaniem Wietnamskim. Jak sam pisał: „Podejście «dotrzeć do serc i umysłów» jest przereklamowane. W Delcie jedynym sposobem na przełamanie kontroli i terroru WK jest stosowanie brutalnej siły"[6]. Ewell całkowicie odrzucał zarzuty inspektora generalnego MACV, że w ciągu sześciomiesięcznych działań bojowych prowadzonych w ramach operacji „Speedy Express" zginęło aż 7 tysięcy cywilów. Z kolei w kwietniu 1969 roku wyszło na jaw, że podkradanie paliwa

z wojskowego ropociągu na północ od Phu Cat osiągnęło już rozmiary 2 271 000 litrów miesięcznie, a w skali całego kraju straty ponoszone z tego powodu sięgnęły 17 milionów litrów. Podczas cotygodniowej narady dowódczej w MACV wywiązała się dyskusja na temat celowości przykładowego ukarania przynajmniej kilku z takich złodziei. Jeden z oficerów zaprotestował: „Nie można rozstrzeliwać ludzi za drobne kradzieże".

Ewell odparł na to: „G ó w n o p r a w d a"[7]. Ale Abrams także wyrażał niechęć do takiego pokazowego zabijania ludzi. Ewell powiedział wówczas: „Nie zgadzam się z panem, panie generale. Jak dorwiemy ekipę saperów zaminowujących drogę i zabijemy dwóch czy trzech z nich, to przestają to robić. Ci ludzie potrafią liczyć. A jak tylko zobaczą swoich zabitych ułożonych równym rządkiem, od razu przechodzi im cały entuzjazm. Właśnie tak doprowadziliśmy do otwarcia Drogi nr 4 – po prostu ich zabijając". Abrams zakończył ten temat, mówiąc: „W porządku, przyjrzymy się temu", co wzbudziło salwę śmiechu przy stole. Trzeba też podkreślić, że nalegał on na ostrożność w postępowaniu z ludnością cywilną: „Nie chcemy, by terroryzm WK zastąpił ten amerykański, tyle że jeszcze silniejszy". Tak czy inaczej, Ewell robił swoje. Pewien pilot hueya startujący z któregoś z okrętów bojowych przez jakiś czas wykonywał misję dla jednego z brygadierów 9. Dywizji, Johna „Mal Hombre" Geraciego: „Jego rozkazy były proste: zabijać wszystko, co się rusza"[8]. Geraci lubił się pokazywać z laseczką, którą z lubością szturchał swoich oficerów w pierś, cedząc przez zęby: „Chcę więcej zabitych". Ulubioną i dopracowaną do perfekcji przez 9. Dywizję techniką walki było „zabezpieczenie" danego obszaru przez piechotę, po czym walenie we wszystko na tym terenie z powietrza i za pomocą artylerii. Statystyki zabitych były z pewnością imponujące, ale znacznie gorzej wyglądały już zestawienia przejętej broni, najbardziej wiarygodnie wskazujące, czy zginęli ci ludzie, co trzeba.

12 listopada 1969 roku Associated Press po raz pierwszy przekazała doniesienia „wolnego strzelca" Seymoura Hersha, który dotarł do informacji wskazujących na dokonanie przez żołnierzy z 23. Dywizji Piechoty „Americal" masakry na ludności cywilnej w miejscowości My Lai, leżącej kilka kilometrów od wybrzeża, w prowincji Quang Ngai, za

co mieli oni wkrótce stanąć przed sądem wojennym. W trakcie dochodzenia prowadzonego w kolejnych miesiącach i latach wyszło na jaw, że 16 marca 1968 roku w miejscu tym zginęło co najmniej 504 wieśniaków w różnym wieku i obojga płci, zamordowanych z zimną krwią przez ludzi z Kompanii C 1. Batalionu 20. Pułku Piechoty – większość z nich w My Lai 4, osadzie noszącej tak naprawdę nazwę Tu Cung.

My Lai – lepiej znaną niektórym żołnierzom jako Pinkville – uważa się za miejsce największej podczas tej wojny niesprowokowanej zbrodni na cywilach, choć istnieją pewne sygnały, które mogłyby świadczyć o tym, że wojska południowokoreańskie dopuszczały się jeszcze straszniejszych rzeczy. Kapitan Ernest Medina dowodzący Kompanią C już wcześniej rozkazał zastrzelić z zimną krwią dwóch rybaków łowiących przy brzegu, a ludziom z jego jednostki nieraz zdarzało się mordować cywilów bez narażania się na konsekwencje. Również gwałty nie spotykały się z żadnymi działaniami dyscyplinarnymi. Na dzień przed masakrą kapelan tej jednostki, Carl Creswell, wziął udział w odprawie w kwaterze dywizji, podczas której pewien major wyraźnie zapodał ton, w jakim miała się odbywać nadchodząca obława: „Wchodzimy tam, a jeśli wystrzelą do nas choć jeden pocisk, zrównujemy wszystko z ziemią". Zaniepokojony Creswell powiedział: „Wie pan, majorze, moim zdaniem my nie toczymy wojny w taki sposób", na co ów major tylko wzruszył ramionami: „To twarda wojna, panie kapelanie"[9].

Dokładnie taki sam pogląd wyznawał każdy starszy oficer w regionie: w miesiącach, które nastąpiły po masakrze w My Lai, jeszcze bardziej szokujące od niej samej były liczne próby zinstytucjonalizowanego zatuszowania sprawy. Najpierw dowódcy zignorowali bezpośredni, żywy opis wydarzeń przedstawiony przez pilota helikoptera, chorążego Hugh Thompsona, który z dużą odwagą nagłośnił całą sprawę już pierwszego dnia po jej zaistnieniu i nie przestawał jej nagłaśniać także później. Dowódca jednostki specjalnej, podpułkownik Frank Barker, wobec którego wyrażano zaniepokojenie faktem, że Kompania C zaraportowała zabicie 128 wrogów bez przejęcia od nich choćby jednej sztuki broni, mówił tylko: „Tak, to tragiczne, że zginęło tyle kobiet

i dzieci, ale była to sytuacja bojowa". W marcu 1969 roku strzelec helikopterowy Ronald Ridenhour napisał do 30 członków Kongresu, unaoczniając im, jakiego rodzaju okrucieństwami przechwalają mu się koledzy z wojska, co z początku wzbudziło w ojczyźnie jedynie lekkie zaniepokojenie, dopiero znacznie później mające się przekształcić w wielką falę oburzenia. Zanim jednak do tego doszło, oficer sztabowy 23. Dywizji, major Colin Powell, późniejszy sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych, wysmażył memorandum dla adiutanta generała, w którym bezwstydnie wybielał wojskowych, zapewniając, że „Stosunki między żołnierzami Dywizji «Americal» a ludnością wietnamską są doskonałe". Powell nie uznał przy tym za stosowne porozmawiać z szeregowcem Tomem Glenem, dwudziestojednolatkiem z Tucson, który napisał odważny list do Creightona Abramsa, przedstawiając mu okrucieństwa popełnione przez ludzi z „Americal".

Dochodzenie prowadzone w sprawie My Lai potwierdziło także inne zbrodnie wojenne popełnione w tym samym okresie przez Kompanię Bravo z 4. Batalionu 3. Pułku Piechoty, za które nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Kiedy generał dywizji William Peers wszczął wreszcie spóźnione dochodzenie w tej sprawie w listopadzie 1969 roku, odkrył, że zamieszanych w nią było 28 oficerów, w tym 2 generałów i 4 pułkowników: wszystkich ich oskarżono o popełnienie łącznie 224 poważnych wykroczeń wojskowych, począwszy od składania fałszywych zeznań i nieprzekazywania raportów o możliwości popełnienia zbrodni wojennej, aż po świadome zatajanie informacji i współudział w ich ukrywaniu, a także przyczynianie się do utrudniania prewencji w zakresie zbrodni wojennych. Jak stwierdzono podczas dochodzenia, w masakrze w My Lai uczestniczyło ponad 40 spośród 103 ludzi Kompanii C, przy czym żaden z pozostałych żołnierzy nawet nie próbował jej powstrzymać ani też zapobiec towarzyszącym jej zbiorowym gwałtom. I choć dowódca 23. Dywizji, generał brygady Samuel Koster, został poniewczasie zdegradowany do stopnia brygadiera, to sąd wojskowy nie skazał nikogo innego za żadne poważne wykroczenie, jeśli nie liczyć wyroku dla dowódcy 1. Plutonu, porucznika Williama Calleya, wydanego 29 marca 1971 roku. Calley został wówczas wprawdzie skazany na karę więzienia, ale niemal

natychmiast interweniował prezydent, polecając, by zamiast tego orzeczono wobec niego obowiązek „pozostawania w swojej kwaterze".

Ofiary masakry w My Lai, 16 marca 1968 roku

Kiedy w wyniku procesu od zarzutów uwolniono kapitana Medinę, sędzia nie omieszkał złożyć mu życzeń z okazji urodzin. W związku ze skazaniem Calleya do Białego Domu napłynęło 5 tysięcy telegramów, wśród których na jeden potępiający przypadało aż sto z wyrazami poparcia dla tego przysadzistego porucznika. Publicznie wypowiedział się wówczas krajowy szef Veterans of Foreign Wars (Weteranów Wojen Zagranicznych), który oświadczył: „Po raz pierwszy w naszej historii postawiliśmy przed sądem żołnierza za wykonywanie swoich obowiązków". W listopadzie 1969 roku, kiedy prasa obszernie opisywała wydarzenia w My Lai, Nixon wielokrotnie utyskiwał w obecności swoich współpracowników w Białym Domu: „Stoją za tym wszystkim z całą pewnością ci brudni i zepsuci Żydzi z Nowego Jorku!". A w Fort Benning rekrutom podczas ćwiczeń kazano skandować: „Calley (...) Calley (...) To nasz człowiek". Sajgońska radiostacja wojskowa AFN do

znudzenia puszczała zaś pewną balladę nagraną przez jakiś zespół wokalny z Alabamy, który nieprzypadkowo przybrał sobie nazwę Kompania C: „Nazywam się William Calley, jak mi każą, idę w bój / Złożyłem przysięgę, wiem, że triumf będzie mój / Teraz robią ze mnie zbira, chcą włożyć mi pokutny strój". MACV ostatecznie nakazała radiostacji zaprzestania puszczania tej płyty, ale wiele mówiący jest fakt, że sprzedała się ona w 200 tysiącach egzemplarzy. Na ulicach Sajgonu zaczęły się też pojawiać wojskowe graffiti w rodzaju „Zabij żółtka za Calleya". Aż w końcu we wrześniu 1974 pewien sędzia federalny nakazał zwolnienie Calleya za poręczeniem, argumentując, że jego proces nie był uczciwy ze względu na wrogie nastawienie opinii publicznej. Tak oto po spędzeniu zaledwie czterdziestu dwóch miesięcy w areszcie domowym został on ostatecznie wypuszczony na wolność.

Masakra w My Lai stała się symbolem wszystkiego, co najgorsze w amerykańskich siłach zbrojnych i ich metodach prowadzenia tej wojny. „Patriotyczne lobby", które ujawniło się w ojczyźnie Calleya po jego skazaniu, wcale jednak się nie myliło, gardłując, że został on zwykłym kozłem ofiarnym. Podczas przesłuchania porucznik zeznał zgodnie z prawdą, że w swoich działaniach „jedynie wykonywał rozkazy", co w szerszym kontekście niewątpliwie oznaczało, iż zabijanie odzwierciedlało pewną kulturę powszechnie usprawiedliwianej przemocy wobec Wietnamczyków, wynikającej z pogardy rasowej wobec nich, która przeniknęła głęboko do wielu jednostek amerykańskiej armii – w tym również do umysłów ich dowódców. Sprawiedliwości stałoby się zadość dopiero wówczas, gdyby analogiczne przykładne wyroki dozoru albo aresztu domowego wymierzono również kilku oficerom wyższego szczebla, wymienionym z nazwiska w raporcie Peersa, w tym zwłaszcza Kosterowi.

Zarzucanie Abramsowi, że nie był w stanie wygrać tej wojny, wydaje się jeszcze mniej uzasadnione niż w przypadku jego poprzedników na stanowisku szefa MACV, bo też środki oddane do jego dyspozycji były nad wyraz skromne. Oczekiwano od niego sukcesów na polu bitwy w sytuacji, w której jego siły już wkrótce zaczęły się kurczyć. Z całą determinacją robił on to, do czego powołani są wszyscy żołnierze – to

jest zabijał wrogów – ale nie mógł już nic poradzić na dobrze znane i najwyraźniej nienaprawialne problemy wietnamskiej rzeczywistości, w tym zwłaszcza fakt, że rząd Wietnamu Południowego był całkowicie oderwany od swojego społeczeństwa. Stanąwszy przed koniecznością bronienia długiej, liczącej ponad 1600 kilometrów granicy zachodniej, za którą w niezliczonych kryjówkach czaili się komuniści, podobnie jak wcześniej Westmoreland, również i on na próżno domagał się od Waszyngtonu pozwolenia na zapuszczanie się w głąb Laosu i Kambodży. Założona przez AWP kambodżańska kompania przewozowa Hak Ly, w której zresztą rząd w Phnom Penh posiadał spore i całkiem dochodowe udziały, transportowała rocznie 14 tysięcy ton towarów z portu w Sihanoukville do północnowietnamskich baz na wschodzie kraju.

Świadomy tego Abrams nie krył swojej wściekłości: „To niesłychane, że te wrogie jednostki mogą tam sobie siedzieć i się wzmacniać (...) i nic im tam nie grozi”[10]. Ale kiedy tylko zasugerował generałowi broni Andrew Goodpasterowi, że kilka z jego B-52 podczas którejś z misji „Arc Light” mogłoby „przypadkowo” wylecieć poza granicę i tam zrzucić swoje ładunki, jego zastępca odparł, iż do tego rodzaju operacji wymagana byłaby polityczna decyzja Waszyngtonu. Abrams z furią zareagował też na sporządzone przez CIA studium, z którego wynikało, że działania militarne przeciwko przygranicznym bazom komunistów nie przyniosłyby specjalnych rezultatów. Greg Daddis zauważa, że jakiekolwiek zmiany w dowództwie MACV obserwowane po mianowaniu Abramsa miały raczej charakter retoryczny, a nie strategiczny[11]. Operacje prowadzone przez 101. Dywizję Powietrznodesantową czy natarcia na leżące niecałe 2 kilometry od granicy z Laosem Wzgórze 937 w dolinie A Shau – lepiej znane jako wzgórze Hamburger – z maja 1969 roku, mimo że miały miejsce już za kadencji Abramsa, były właściwie nie do odróżnienia od wielu bitew toczonych w okresie Westmorelanda.

Jedno z takich starć, które zdobyło sobie szczególnie złą sławę, przeszło do historii jako „Matterhorn”, taką bowiem nazwę nadał mu Karl Marlantes w swojej zbeletryzowanej autobiografii. Syn dyplomaty, porucznik Landen Thorne, podobnie jak Marlantes, jeden z dowódców

plutonu w Kompanii C 1. Batalionu 4. Pułku Marines, należał do stosunkowo nielicznych Amerykanów z wyższych warstw społecznych, którzy bez zastrzeżeń zgodzili się na służbę w Wietnamie. Jego dziadek był niegdyś zawodowym żołnierzem marines, a jego ojciec – oficerem radarowym na lotniskowcu Hornet podczas II wojny światowej, więc Thorne miał teraz okazję samemu sprawdzić wojenne talenty w rodzinie. W ostatnich miesiącach przed ukończeniem Yale wszyscy koledzy tego dwudziestopięcioletniego nowojorczyka bezustannie bili się z myślami, czy warto jechać na tę wojnę, a większość ostatecznie decydowała, że nie. „Ja sam też nabierałem z czasem coraz większych obaw, w miarę jak docierały do nas kolejne informacje stamtąd. Słyszałem na przykład: «Hej, a wiesz już, co się stało z Charliem? Właśnie go zabili». Ale wiedziałem też, że całkiem sporo ludzi diametralnie zmieniło swoje życie, byle tylko uniknąć służby wojskowej, a niektórzy z nich już na zawsze mieli potem poczucie winy”[12]. W drodze do punktu zbornego w San Francisco, z ulubionego miejsca randkowego w mieście, eleganckiej restauracji Top of the Mark, do dworca autobusowego, Thorne’owi towarzyszyła jego siostra Julia, która niedługo potem wyjechała dokończyć studia w Europie, by tam zostać zagorzałą uczestniczką demonstracji antywojennych.

Po wylądowaniu w Da Nang Thorne’a i innych świeżo przybyłych rekrutów przywitał mały tłumek weteranów właśnie kończących swoją służbę, którzy poinformowali ich beznamiętnie: „Witajcie na najbardziej zielonych bagnach na ziemi. Jeszcze będziecie tego żałować”. Po dwóch dniach oczekiwania na przybycie CH-46, mającego ich zawieźć do bazy polowej w Argonne – która, wraz z wydarzeniami na lądowisku Mack, miała stać się w narracji Marlantesa właśnie owym fikcyjnym Matterhorn – zastali oni tamtejszą kompanię dosłownie po sąsiedzku z formacją AWP okopaną na pobliskim wzgórzu, leżącym o rzut beretem od granicy z Laosem. Atak na amerykańską bazę nastąpił już pierwszej nocy: „Słychać było tylko głośne łup, łup, łup – to ich moździerze usiłowały wstrzelić się w nasze pozycje”. Thorne szybko się przekonał, że w jednostce, do której właśnie dołączył, nie działo się zbyt dobrze: „Oficer dowodzący dążył do osiągnięcia celów, które nie wydawały się racjonalne. Mając do dyspozycji młodych marines, możesz

dokonać naprawdę fantastycznych rzeczy. Ale przy słabym dowództwie staje się to mocno utrudnione". Później, całymi tygodniami, Amerykanie oczyszczali pobliskie wzgórze o kryptonimie Neville, a Thorne pełnił tam funkcję FO dla trzech dział kaliber 105 mm. I właśnie na tej wysuniętej pozycji, bronionej przez zaledwie dwa plutony, znajdował się on bladym świtem 25 lutego, kiedy 200 żołnierzy AWP, odzianych w zielone mundury polowe i sandały, przypuściło zaskakujący atak od strony dżungli, który pozwolił im podejść aż pod sam obóz Amerykanów. „Trzykrotnie ich odpieraliśmy, ale zabrakło nam min Claymore, nie mogliśmy się doczekać zaopatrzenia z powietrza, a oni wciąż walili do nas z moździerzy kaliber 60 i 82 mm". Ludziom na wysuniętych posterunkach obserwacyjnych powiedziano tylko: „Leżeć luźno" – to jest: pozostawać cicho i nieruchomo w nadziei, że wróg przejdzie obok, niczego nie dostrzegając. Z czasem wokół zaczęły wybuchać pożary, bo zapalały się torby z prochem w pobliżu stanowisk ogniowych, z których jedno wpadło nawet na krótki czas w ręce nieprzyjaciela.

Saperzy AWP zostali ostatecznie przegnani po trzygodzinnej bitwie, w trakcie której walczono czasem nie tylko na karabiny i granaty, ale również za pomocą sprzętu do okopywania się. Ceną za ten sukces było 12 zabitych marines i 2 martwych ratowników medycznych, a także wielu rannych, w tym takich, którym bliskie eksplozje mocno uszkodziły słuch. Przez kolejne dni wróg bezustannie nękał Amerykanów, utrzymujących się z wielkim uporem na mocno już zmniejszonym obszarze obozowiska na Neville, wskutek czego nie mogły tam lądować helikoptery, a zrzucana na spadochronach amunicja trafiała zazwyczaj poza perymetr. Thorne przekonał się, że ze strachu nie potrafił nawet zmusić się do jedzenia: „W żyłach wciąż płynęło mnóstwo adrenaliny. Czułeś się całkowicie zdestabilizowany emocjonalnie, bo już wcześniej pogodziłeś się ze śmiercią. A kiedy mimo to przeżywasz, stajesz się potem zupełnie inną osobą. Drugiej nocy naszym największym problemem stało się utrzymanie dyscypliny bojowej, ponieważ każdemu z nas brakowało cierpliwości i opanowania. Dało się zauważyć tendencję do szybkiego naciskania spustu albo przedwczesnego odpalania [miny] Claymore. Ja sam wezwałem wsparcie artyleryjskie od

razu potem, jak tylko usłyszeliśmy jakiś ruch". Trzeciego dnia, od dłuższego czasu cierpiąc na bolesne zaparcie, w pewnym momencie Thorne poczuł wreszcie, że musi udać się na stronę, ale kiedy tylko przysiadł za jakąś skrzynką amunicji, usłyszał znienawidzone „Łup! Łup!" nieprzyjacielskich moździerzy. „W tamtym momencie byłem jednak właściwie gotowy zginąć, byle móc się wysrać".

Wreszcie ataki ucichły. Pogoda była wprawdzie wciąż zbyt niekorzystna, by mogły ich odwiedzić helikoptery, ale przynajmniej dało się przystąpić do naprawiania dziur w ogrodzeniu ich obozowiska. Wysłana jako wsparcie dla nich kompania z wojsk lądowych musiała przebyć całą drogę piechotą, co zabrało jej dokładnie tydzień. A potem wreszcie dotarły z opóźnieniem maszyny Sea Knight. Ratownicy medyczni oczyścili ciała poległych Amerykanów z robactwa, a trupy nieprzyjaciół zrzucili na drugą stronę wzgórza: „Ci z AWP poszli sobie, by teraz ponaprzykrzać się Kompaniom Karl i C". Thorne'a zaś wezwano do Dong Ha, gdzie został obserwatorem lotniczym. Podczas wyjazdu jego pierwszą myślą było: „Jak mogę teraz zostawić wszystkich tych chłopaków?". A potem przyszła druga myśl: „Jakim sposobem tam w dowództwie mogą być na tyle popieprzeni, by w ogóle wysyłać nas w takie miejsce?". Kolejne trudne losy 1. Batalionu 4. Pułku Marines, opisane w żywy sposób przez Marlantesa, odzwierciedlają niezrozumiałą, ale nader częstą tendencję przejawianą przez niektórych dowódców, by posyłać w bój stosunkowo niewielkie siły i zupełnie nie troszczyć się o to, że okoliczności sprzyjają nieprzyjacielowi. Walki w tym rejonie trwały aż do kwietnia: pośród ich ofiar znalazł się pułkownik z 1. Batalionu, jeden z architektów nieszczęść tej formacji, który zginął od granatu moździerzowego. I choć jak zwykle straty AWP znacząco przekraczały te poniesione przez Amerykanów, to właśnie oni mieli pod koniec więcej powodów, by czuć się przegranymi w tej serii starć.

Paradoks polega na tym, że sami komuniści przyznali później, iż rok 1969 był dla nich najgorszy w całej wojnie, zarówno pod względem strat w ludziach, jak i spadku morale. Nawet młoda i żarliwa rewolucjonistka doktor Dang Thuy Tram, pracująca w górach prowincji Quang Ngai, w czerwcu tamtego roku wyznała, że zarówno ona, jak i jej towarzysze

odczuwali wówczas olbrzymie wyczerpanie i załamanie nastrojów, do tego stopnia, że wielu ludzi straciło nawet apetyt: „Dniami i nocami prześladują nas ogłuszające eksplozje bomb, ryk odrzutowców, odgłosy strzelających dział okrętowych i krążące nad naszymi głowami UH-IA. Cały las jest poszatkowany i oszpecony przez bomby, a te drzewa, które jeszcze stoją, mają liście pożółkłe od toksycznych chemikaliów. Nas też to wszystko dotyka. Wszyscy działacze są nieopisanie zmęczeni”[13].

Żołnierz AWP Bao Ninh napisał o „dżungli krzyczących dusz”, to jest pewnym jej obszarze, na którym niemal doszczętnie wybity został cały batalion: „Odgłosy cichutkiego łkania snuły się nocami po całej dżungli, a płacz ten niosły coraz dalej i dalej podmuchy wiatru (...). Można było usłyszeć ptaki kwilące ludzkim głosem. Żaden z nich nigdy nie wzniósł się do lotu, siedziały tylko w gałęziach i zawodziły. Nigdzie indziej na całym Płaskowyżu Centralnym nie dało się też znaleźć bambusowych odrostów o tak strasznym, trupim kolorze (...). Były również ogromne, ale to ogromne świetliki. Kiedy tylko zapada tu zmrok, drzewa i rośliny zaczynają łkać w jakiejś straszliwej harmonii. A kiedy daje się słyszeć ta muzyka duchów, wówczas zapada ona w głąb duszy, cały zaś las dookoła ciebie wygląda dokładnie tak samo, bez względu na to, w którą zwrócisz się stronę. Nie jest to miejsce dla ludzi o słabym sercu. Kiedy się tam mieszka, można albo oszaleć, albo umrzeć ze strachu”[14]. W końcu rozlokowani tam komunistyczni żołnierze potajemnie wznieśli buddyjski ołtarz, przy którym modlili się za swoich poległych towarzyszy.

Mimo tego poczucia wycieńczenia i wypalenia panującego wśród komunistów po drugiej stronie wcale nie dawało się odczuć przypływu pozytywnej energii. Szef wywiadu, brygadier Phil Davidson, wyrażał się gorzko, że „wróg odniósł swoje największe zwycięstwo w roku 1968” wcale nie w Wietnamie, lecz w Stanach Zjednoczonych[15]. A 15 marca, kiedy zaraportował Abramsowi zmniejszenie się ruchu ciężarówek na Szlaku Ho Chi Minha, generał zareagował na to, grożąc mu przewrotnie palcem: „Oj, ostrożnie, bo chyba wyczuwam tu jakąś nutę nadziei”[16]. Davidson odparł na to równie sarkastycznie: „Ależ nie, panie generale. Przecież ja nigdy nie pozwoliłbym sobie na nadzieję”. Ale już po chwili wybuchnął: „My musimy bronić naszych baz i miast, a także innych

obszarów zamieszkanych. A wyobraźmy sobie, że to w r ó g musi bronić wszystkiego, co ma – baz, obszarów i ludności. Przecież wtedy wygralibyśmy tę wojnę w zaledwie miesiąc! Skopalibyśmy im tyłki i zepchnęli ich wprost do oceanu!”[17].

Wydana w kwietniu przez CBWP Dyrektywa nr 55 zalecała bardziej pragmatyczne podejście do wojny ze strony komunistów, przestrzegając na przykład dowódców przed angażowaniem całych swoich sił w jakąkolwiek pojedynczą operację i instruując ich, by „zamiast tego zachowywali swój potencjał bojowy na potrzeby przyszłych walk”. Z kolei ogłoszone wkrótce potem Dyrektywy nr 81 i 88 wskazywały nowe cele, do których winien dążyć NFW; miało to być „zmuszenie nieprzyjaciela do przyjęcia negocjacji z nami, do wycofania swoich wojsk, do (…) zaakceptowania rządu koalicyjnego”. Siły komunistyczne wciąż wykazywały dość energii i agresji, by móc zadawać wojskom amerykańskim oraz siłom ARVN pokaźne i bolesne straty, tyle że w odróżnieniu od października 1965 roku, kiedy to AWP stanowiła zaledwie jedną czwartą ich potencjału bojowego na Południu, teraz odpowiadała już ona za mniej więcej 70 procent całości i wskaźnik ten bezustannie wzrastał.

Przedstawiciele mediów obecni w Sajgonie całkowicie stracili już wiarę w sens tej wojny. Peter Braestrup, który przez cztery lata pełnił funkcję szefa biura „Washington Post” w tym mieście, przygotował pełną sceptycyzmu analizę działań swoich korespondentów, z której wynikało, że zwłaszcza w roku 1968 większość z nich stała się już tylko „poszukiwaczami przygód i do pewnego stopnia podglądaczami. W najlepszym razie przejawiali oni dodatkowo zmysł obserwacji, umiejętność przepytywania ludzi i talenty opowiadania wciągających historii”, ale ich uwaga koncentrowała się już tylko na oczywistych miejscach, takich jak Khe Sanh, Sajgon czy Hue, kosztem przedstawiania szerszych analiz, a w dodatku „popełniali [oni] poważny grzech zaniechania (…). Większość analiz stanowiła jedynie prędkie reakcje zawierające półprawdy i niedopowiedzenia”[18]. Jak zauważał Braestrup, po szczycie uwagi poświęcanej Wietnamowi podczas ofensywy Tet zainteresowanie tym krajem ze strony globalnych mediów gwałtownie spadło. I choć z czasem stawało się coraz bardziej

oczywiste, że to Hanoi poniosło w tej ofensywie całkowitą klęskę, to taka pogłębiona i spóźniona analiza nikogo już właściwie nie interesowała. „Podczas Tet prasa krzyczała głośno, że pacjent umiera. A kiedy kilka tygodni później zaczęła przebąkiwać, że jakimś cudem jednak przeżył i ma się całkiem nie najgorzej, to tego rodzaju szeptów i tak nie sposób już było usłyszeć pośród głośnych reakcji opinii publicznej na te wcześniejsze pokrzykiwania”[19].

Braestrup miał oczywiście rację, ale jego analiza dotykała zaledwie części problemu. Pozostawało bowiem faktem, że żadne osiągnięcia militarne nie mogły przesłonić pewnej smutnej i coraz bardziej oczywistej prawdy: choć wielu Wietnamczyków z Południa nienawidziło komunistów, to wcale nie kochali oni swojego własnego rządu. Bestialstwo Le Duana słusznie sprawiło, że potomność czuje do niego odrazę, ale nie zmienia to faktu, że Hanoi zdołało uruchomić i utrzymać o wiele bardziej skuteczną machinę wojenną od sajgońskiej, i to mimo że dysponowało nieporównanie mniejszymi środkami materialnymi. Przywódcy Wietnamu Północnego, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że społeczeństwo amerykańskie straciło już cierpliwość do tej wojny, gotowi byli na kolejne lata bólu i wyrzeczeń w imię ostatecznego zwycięstwa, które teraz wydawało im się przesądzone. Zresztą, po narażeniu swojego własnego narodu na tyle dotychczasowych cierpień nie mogli już oni pozwolić sobie na nic innego. Tymczasem sytuację po drugiej stronie dobrze podsumował Frank Snepp, kiedy latem 1969 roku dołączył do sajgońskiej stacji CIA: „Nie skupialiśmy się na tym, czy wygramy albo przegramy, ale na tym, jak doprowadzić do końca wojny”.

Istniał jeszcze jeden krytyczny czynnik wpływający na ówczesną sytuację. Bez względu na jakiekolwiek sukcesy taktyczne osiągane przez siły Abramsa armia amerykańska sypała się już wówczas od środka – był to powolny, ale nieuchronny i zabójczy dla niej proces, który osiągnął swoją kulminację w roku 1973. Napędzały go trzy powiązane ze sobą i wzajemnie się wzmacniające czynniki: nadużywanie narkotyków, konflikty rasowe, dodatkowo podsycane przez rosnący w siłę w Stanach Zjednoczonych ruch Black Power, a wreszcie spadek dyscypliny i woli walki. Pewien amerykański generał powiedział później (w rozmowie

z autorem w roku 1985): „Do Korei weszliśmy z zepsutą armią, a wyszliśmy stamtąd z całkiem porządną; do Wietnamu pojechaliśmy ze świetną armią, a skończyliśmy z nędzną jej namiastką".

Kiedy kapitan Linwood Burney pod koniec roku 1968 przejął dowództwo nad jedną z kompanii powietrznodesantowych, zmuszony był wprowadzić w niej rutynowe akcje przeszukiwania kwater pod kątem narkotyków[20]. Żandarmeria wojskowa dokonała w kolejnym roku aż 11 tysięcy aresztowań za przestępstwa narkotykowe, a mimo to odsetek żołnierzy popalających trawkę nie przestawał rosnąć, by w roku 1971 osiągnąć niemal 60 procent. Wielu z nich wybierało niezwykle silną mieszankę, znaną wśród dziewcząt z barów pod nazwą „trawy Buddy": paczka jointów kosztowała równo dolara. W roku 1969 jedynie 2 procent personelu wojskowego miało jakiekolwiek doświadczenia z heroiną, ale po upływie kolejnych dwóch lat wskaźnik ten podskoczył już do 22 procent – co stanowi wzrost doprawdy imponujący – przekładając się na 700 oficjalnie odnotowanych uzależnionych. Narkotyk ten sprowadzano z sąsiedniego Laosu samolotami Royal Air Laos oraz Air Vietnam, a następnie rozprowadzano po kraju ciężarówkami ARVN. Całkiem niemało spośród Amerykanów zgłaszających się na ochotnika do służby w Wietnamie już po odsłużeniu swojej pierwszej, obowiązkowej tury czyniło tak ze względu na możliwość dalszego dostępu do narkotyków. W całym roku 1969 MACV odnotowała 16 przypadków śmierci z powodu przedawkowania, a tylko w pierwszych osiemnastu dniach roku 1970 doszło do kolejnych 35 takich zdarzeń. Abrams przyznawał, że nie miał w sobie dość odwagi, by „skopać tyłki" – to jest twardo karać – nadużywającym narkotyków, choć starał się przynajmniej ukrócić sam handel zabronionymi substancjami[21].

Dowodzący kompanią major Don Hudson zawsze mocno wierzył w swoich podkomendnych, a za wszelkie problemy z dyscypliną winił raczej niedostateczne starania kadry oficerskiej: „Mieliśmy tam sporo świetnych młodych ludzi, ale ich dowódcy, jak ja to widziałem, doprowadzili [niektórych z nich] do ruiny, bo nie potrafili wskazać im drogi"[22]. Hudson opisywał problemy z wypłatą żołdu, awansami czy długie, czasem nawet miesięczne okresy bez otrzymywania poczty: „To wszystko wołało o pomstę do nieba. Ale najbardziej prześladował mnie

problem z narkotykami (...). W każdym transporcie zapasów wysyłanym do żołnierzy znajdowałem kapsułki heroiny zawijane w plastikowe torebki i wrzucane do środka pojemników z wodą". Hudson użalał się nad instytucjonalną obojętnością wykazywaną wobec problemu narkotyków, podając przykład pewnego żołnierza, którego przyłapał z 500 kapsułkami czystej heroiny: zarzuty wobec niego ostatecznie oddalono „z powodu braku dowodów". „Oceniam, że miałem u siebie może z pięciu prowodyrów, którzy tak naprawdę działali w przestępczym półświatku". Pewnego razu odkrył on, że jeden z oddziałów wysłanych do dżungli w celu zastawienia zasadzki na wroga spędził tam całe trzy dni na haju po marihuanie, „a dowodził nim człowiek zupełnie nienadający się na dowódcę (...). Źli ludzie zaczynali przejmować całą [naszą] organizację. Ale kiedy już pozbyłem się najgorszych: tych najbardziej uzależnionych od narkotyków i tych, którzy zbijali kasę na ich dostarczaniu", sytuacja uległa zauważalnej poprawie.

Dealerzy nie zamierzali jednak tak łatwo się poddawać: najpierw zaczęli grozić Hudsonowi, a później wysunęli przeciwko niemu oskarżenia, że pełni służbę w stanie nietrzeźwym. Mimo to nie zachwiali w nim przekonania o słuszności obranej drogi: „Patrzyłem na to w ten sposób: jak ktoś zechce cię załatwić, to tak czy inaczej to zrobi. Nie przyjdzie przecież wcześniej i nie pochwali ci się tym. Żołnierze idą za zwycięzcą, więc jeśli starasz się, by twoi ludzie niepotrzebnie nie ginęli, i dbasz o nich, jak należy, to możesz być dla nich nawet bardzo twardy (...) i nie przejmować się tym, że któryś z nich może cię nie lubić". W późniejszych latach wojny wielu amerykańskich oficerów nieodmiennie wykazywało się odwagą wobec wroga, ale już tylko nieliczni potrafili iść w ślady majora Hudsona i twardą ręką kontrolować swoich własnych ludzi. W oddziale zwiadowczym szeregowego Richarda Forda, składającym się wyłącznie z czarnoskórych żołnierzy, krążył pewien specyficzny dowcip: otóż wszyscy oni mieli być rycerzami okrągłego stołu. Pewnej nocy jeden z nich, nazwiskiem Taylor, popalając jointa, zaczął się upierać, że jedyne drzewo rosnące w okolicy to tak naprawdę Statua Wolności: „Panie Ford. Panie Ford. Czy to nie ta stara dziwka? Przecież świat się porusza,

tak? W takim razie chyba przybliżamy się do Nowego Jorku, bo ja właśnie widzę tę starą dziwkę”[23]. Koledzy musieli bardzo się postarać, by go wreszcie uspokoić. O ile nadużywanie narkotyków stanowiło problem przede wszystkim wśród szeregowych żołnierzy, o tyle część oficerów i podoficerów zmagała się z uzależnieniem od innej używki: całkiem sporo z nich stało się z czasem alkoholikami.

Jeśli chodzi o dyscyplinę, to kapitan David Johnson, przejmując w październiku 1968 roku jedną z kompanii piechoty, z przerażeniem odnotował, że wielu jej żołnierzy konsekwentnie odmawia wychodzenia poza teren bazy, co jeszcze do niedawna było postawą zupełnie nie do pomyślenia. A po jednej z operacji wszyscy uczestniczący w niej żołnierze „po prostu padli z wyczerpania”, nie kłopocząc się nawet wyczyszczeniem swojej broni ani sprzętu. Sierżanci dowodzący plutonami w jego kompanii nie potrafili odpowiednio kierować ogniem moździerzowym czy artyleryjskim, a on sam nie był do końca pewien, jak zachowałaby się jego kompania pod ostrzałem nieprzyjaciela: „Wielu z nas bezustannie kwestionowało zasadność naszego pobytu w tym miejscu. Żołnierze raz po raz zadawali sobie pytania w rodzaju: «Jak długo jeszcze to wytrzymam? Czy przeżyję do końca zmiany?». Mówię tu zarówno o moich odczuciach, jak i o tych wyrażanych przez moich żołnierzy (...). Ludzie robili czasem dziwne, a nawet szalone rzeczy. Miałem raz żołnierza, [który] najadł się materiału wybuchowego C4, a potem zmarł (...), [inny] wpadł do wody głębokiej na jakieś półtora metra i w niej utonął. Fakt, że wciąż trafialiśmy na miny albo bomby pułapki, a sami nie mogliśmy złapać zbyt wielu wrogów (...), bardzo źle wpływał na morale. W ciągu sześćdziesięciu dni zdolność bojową utraciło u mnie 20 ludzi, w tym 17 od bomb pułapek, wliczając w to mnie samego”[24].

W innej części kraju dwóch pilotów pozabijało się nawzajem podczas zawodów w szybkości wyciąganiu pistoletów z kabur. Dowództwo sił lotniczych założyło, że był to po prostu nieszczęśliwy wypadek wynikły z jakiegoś niewytłumaczalnego przypływu szaleństwa, ale już kilka miesięcy później niemal identyczna sytuacja wydarzyła się ponownie, tyle że tym razem zginął tylko jeden z pilotów. Generał raportujący całe to zajście nie mógł wyjść ze zdumienia: „Ale po co w ogóle ludzie robią

coś takiego?”[25]. Z kolei 20 lipca 1969 roku młodziutka i śliczna dwudziestojednoletnia australijska piosenkarka Catherine Anne Warnes niespodziewanie padła trupem na scenie, wykonując recital dla amerykańskich żołnierzy w jednej z baz marines. Jak się okazało, zginęła od pojedynczego strzału oddanego zza sceny z broni automatycznej kaliber 22, wyposażonej w tłumik. Za to zabójstwo skazano dwudziestoośmioletniego sierżanta Jamesa Killena, który w chwili pijackiego napadu szału usiłował podobno zastrzelić swojego dowódcę kompanii. Killen odsiedział jednak tylko niecałe dwa lata, po czym – w wyniku ponownego procesu – został uniewinniony[26].

5 lutego 1970 do Pubu u Andy’ego, przybytku żołnierzy po służbie, ktoś wrzucił dwa granaty, kiedy akurat występowało tam australijskie żeńskie trio wokalne o nazwie Chiffons. Jeden z nich eksplodował, zabijając pewnego kaprala i raniąc 62 innych żołnierzy. Jak się okazało, wcześniej tego samego dnia ponad 20 czarnoskórych marines zebrało się na boisku do koszykówki, by dać upust swoim frustracjom w odniesieniu do białych kolegów z jednostki. Na zakończenia tego spotkania pewien kapral obiecał zgromadzonym: „Dziś wieczorem wykończymy kilka z tych [białych] bestii”. Wszystkich czarnoskórych żołnierzy ostrzeżono, by nie wybierali się na występ grupy Chiffons. Podczas późniejszego procesu oskarżyciel wojskowy powiedział: „Była to rozmyślna i starannie zaplanowana próba uśmiercenia cholernie dużej liczby ludzi (…), tylko i wyłącznie z powodu problemów rasowych”[27]. Tak czy inaczej, dwóch głównych podejrzanych ostatecznie uniewinniono, wobec czego do procesu trzeciego nawet nie doszło. Nikt nigdy nie został skazany za wrzucenie granatów do Pubu u Andy’ego.

Podczas wszystkich wojen nielubiani oficerowie padali ofiarą własnych żołnierzy – zwykle od strzałów w trakcie wymiany ognia z nieprzyjacielem. W Wietnamie proceder ten osiągnął jednak zupełnie nowy wymiar: dochodziło tam do zaplanowanych ataków z zimną krwią, nierzadko z użyciem granatów, stąd szybko zyskały sobie one nazwę *fragging* (czyli „fragmentacji”). W spisanej historii działu prawnego Korpusu Marines zaznaczono, że tego rodzaju akty „nigdy wcześniej nie były ani tak rozpowszechnione, ani wcielane w życie

z taką bezwzględnością”[28]. To samo źródło przytacza ponad sto takich zdarzeń, podczas gdy sama armia odnotowała przeszło 600 przypadków „fragmentacji” w okresie od 1969 do 1971 roku, w których wyniku doszło do 82 śmierci i 651 okaleczeń[29]. Pewien psychiatra, który zbadał 28 takich spraw, odkrył, że w większości odpowiedzialny był za nie personel pomocniczy, a 87,2 procent sprawców było pod wpływem albo alkoholu, albo narkotyków. Jedynie nieliczni wyrażali później skruchę.

Chroniczne braki kompetentnej młodszej kadry oficerskiej i podoficerskiej zaczęły się jeszcze pogłębiać wskutek odchodzenia z wojska oficerów zawodowych, którzy w desperacji rezygnowali z dalszej służby: aż 148 spośród 596 absolwentów West Point z roku 1965 poprosiło o zwolnienie z dalszych obowiązków w roku 1970. Major Michael Barry, pewien wcielony do wojska wbrew swojej woli lekarz, który służył w 95. Szpitalu Ewakuacyjnym w Da Nang, wyznał, że z czasem zaczął wpadać w coraz większą depresję, zmuszony do powtarzającego się leczenia ofiar „fragmentacji”. Ponadto całkowicie stracił on wiarę we własną sprawę: „Popieraliśmy niewłaściwych ludzi”. Również u niego narkotyki stanowiły „bardzo poważny problem (...) heroina, która do nas trafiała, była taka czyściutka, około 80 procent, podczas gdy tam w Stanach ludzie brali szajs może z pięcioprocentowy”. Pewnego dnia sześciu czarnoskórych ratowników medycznych przyniosło swojego martwego kolegę. Barry powiedział: „Urządzili sobie heroinowe przyjęcie. Wszyscy byli tak napruci, że nawet nie zdali sobie sprawy z tego, że jeden z nich przestał oddychać”[30].

Kiedy tuż przed Bożym Narodzeniem generał dowodzący 101. Dywizją Powietrznodesantową chciał złożyć pewnemu czarnoskóremu żołnierzowi świąteczne życzenia, ten odtrącił wyciągniętą doń rękę. Z kolei Landen Thorne odziedziczył po swoim poprzedniku pluton, który był „w całkowitej rozsypce. To były porządne dzieciaki, ale w jakiś sposób wykształciły się wśród nich trzy sekcje rasowe – do jednej należeli wszyscy czarni, do drugiej biali południowcy, a do trzeciej chłopaki z miast. Dopiero ja ich wszystkich wymieszałem. To był dość niebezpieczny czas, kiedy samemu można była zaliczyć fragmentację,

ale pomógł mi sierżant z plutonu. Prawda była taka, że plutony i kompanie stały się z czasem podobne do ulicznych gangów, w których wszyscy są ze sobą bardzo zżyci. A każdemu nowemu strasznie trudno było do nich przeniknąć, zwłaszcza porucznikowi”[31]. Choć czarnoskórzy żołnierze stanowili tylko 13 procent całego stanu osobowego w Korpusie Marines, to w połowie procesów przed sądami wojennymi w Wietnamie właśnie ich stawiano w stan oskarżenia. Nie ma żadnych podstaw do przypuszczeń, że dysproporcja ta wynikała z jakiejkolwiek wiktymizacji rasowej; odzwierciedlała ona raczej alienację czarnoskórych żołnierzy[32]. Odsetek dezercji osiągnął najwyższe poziomy w całej nowożytnej historii, dwukrotnie przewyższając ten z Korei i niemal czterokrotnie z czasów II wojny światowej. W roku 1969 po całym kraju wałęsało się aż 2500 żołnierzy, którzy samowolnie oddalili się ze swoich jednostek, a większość z nich angażowała się prędzej czy później w działalność przestępczą. Historyk zajmujący się działalnością prawników w armii opisuje niespotykany wcześniej wzrost ich roli w omawianym okresie: „Wojskowi sędziowie (...) zmagali się z (...) pokaźną grupą żołnierzy dotkniętych uzależnieniem od narkotyków, waśniami na tle rasowym i aktami otwartego buntu”[33].

W lutym 1969 roku sierżant artylerii Joseph Lopez powrócił do Wietnamu na swoją trzecią zmianę i z przerażeniem odnotował całkowity upadek dyscypliny: „Rozkaż jakiemuś żołnierzowi, żeby złożył swój koc w kostkę, a on spojrzy na ciebie, jakby zaraz miał zamiar cię zabić (...). Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ludzie patrzyli na swoich przełożonych podoficerów w taki sposób, w jaki ci młodzi spoglądają na nas teraz”[34]. Od kwietnia do września tamtego roku komisja monitorująca napięcia na tle rasowym odnotowywała średnio na obszarze podległym Korpusowi Marines jeden „duży kryzys o skali buntu” miesięcznie, a dodatkowo wiele innych mniej poważnych incydentów[35].

Sierżant Harold Hunt, ów czarnoskóry żołnierz z Detroit, który został poważnie ranny pod Cu Chi w roku 1966, po wyleczeniu upierał się przy powrocie do piechoty, wobec czego trafił ponownie do

Wietnamu w maju 1969 roku. Jego stare rany czasami jeszcze się odzywały, ale był on nadzwyczaj sprawny fizycznie, a dodatkowo dużo i ciężko ćwiczył. Wróciwszy do służby, był jednak zaszokowany zmianami, jakie zaszły w wojsku pod jego nieobecność: „Żołnierze byli teraz inni. W moim plutonie 50 procent stanu stanowili poborowi. Były tam i konflikty rasowe, i szprycowanie się, i brak dyscypliny. Trudno dowodzić takimi ludźmi, wydawać im rozkazy i sprawiać, by je wykonywali”[36].

Hunt sam bardzo się jednak różnił od większości czarnoskórych żołnierzy walczących wówczas w Wietnamie, jako że od zawsze był bezwzględnie lojalny wobec armii, nie zaś wobec któregokolwiek ze swoich pobratymców. A kiedy otwarcie zapowiedział, że nie będzie tolerował u siebie żadnego „gówna”, w tym zwłaszcza szprycowania się podczas akcji, wkrótce znalazł na swoich drzwiach kartkę z ostrzeżeniem: „MY TU FRAGMENTUJEMY TAKICH SKURWIELI JAK TY”. W jakiś sposób Huntowi udało się jednak dotrwać do końca swojej zmiany, być może dlatego, że przekonał swoich ludzi, iż największą szansę na przeżycie będą mieli wówczas, kiedy będą się starali trzymać jego wytycznych. „Tyle że teraz interesowało mnie zupełnie coś innego niż podczas dwóch poprzednich zmian. Nie starałem się już utrzymywać wolności Wietnamu Południowego – ale raczej utrzymywać siebie i moich ludzi przy życiu”. Zawodowy żołnierz marines Walt Boomer powiedział: „Problemy rasowe omal nie zniszczyły całej tkanki ludzkiej w armii i w Korpusie Marines. Wyglądało to źle, bardzo, bardzo źle – dosłownie rozrywało jednostki od środka. Zawsze powtarzaliśmy: żołnierz marines to żołnierz marines. Aż tu nagle czarni marines najpierw zaczęli okazywać swoje niezadowolenie, a potem wręcz wściekłość z powodu służby w Wietnamie”[37].

Oficer australijskich służb specjalnych Andrew Freemantle oceniał, że najlepsi z Amerykanów byli „naprawdę bardzo, bardzo dobrzy”, ale podobnie jak wielu innych nie ukrywał, że czuł się zbulwersowany brakiem dyscypliny, jaki miał okazję obserwować w latach 1970–1971: „Nawet w niektórych obozach sił specjalnych można było zobaczyć ludzi palących trawkę albo kobiety stojące w rządku przed bramą”[38].

Porucznik Tim Rohweller dowodził kompanią w składzie 3. Batalionu 9. Pułku Marines. Zdeterminowany, by poprawić dyscyplinę, nie okazywał on najmniejszej wyrozumiałości wobec tych swoich ludzi, którzy wciąż szukali wymówek, by pozostać w bazie, zamiast iść na akcję. Szeregowy Reginald Smith i jego czarnoskórzy koledzy sarkali na to coraz głośniej, aż wreszcie wmówili sami sobie, że ich porucznik jest odpowiedzialny za niepotrzebne ofiary w walce. Późnym wieczorem 20 kwietnia 1969 roku, kiedy Smith z kolegami popalali u siebie marihuanę, w pewnym momencie ogłosił on, że „załatwi tego skurwiela, jak tylko zaśnie". O godzinie 2.10 w nocy pod pryczą porucznika eksplodował granat, zadając mu liczne rany, od których Rohweller zmarł następnego dnia. Jeden z towarzyszy Smitha zeznał później, że tamtej nocy wrócił on do ich kwater, wymachując zawleczką od granatu i przechwalając się: „Załatwiłem tego skurwiela. Więcej już się do nikogo nie przypierdoli"[39]. Smith zmarł w więzieniu, odsiedziawszy trzynaście lat z zasądzonego wyroku dożywocia.

Pewien biały kapitan spytał któregoś dnia czarnoskórego żołnierza nazwiskiem Davis, jaki samochód zamierza sobie kupić po powrocie do Stanów. Davis odparł: „Nie będę kupował samochodu, panie kapitanie. Zamiast tego kupię sobie całą stację Exxona i będę rozdawał paliwo swoim braciom, żeby dokończyli palić to, co już zaczęli"[40]. Wszyscy biali i czarni w jednostce uznali tę ripostę za bardzo zabawną – tyle że w rzeczywistości wcale taka nie była, zważywszy na to, że zawierała w sobie zawoalowaną, acz zupełnie realną groźbę: dwóch białych majorów zostało wcześniej zastrzelonych za to, że kazali czarnym ściszyć zbyt głośną muzykę.

Problemy rasowe odczuwały obie strony. Biali określali czarnych mianem Afrykańczyków, brudasów, łosi, straszydeł czy czarnuchów. Pewien lekarz z Południa[41] z dumą obnosił się ze swoją koszulką Uniwersytetu Missisipi, byle tylko wkurzyć czarnoskórych braci[8*]. Ale już wywodzący się z regionu Appalachów John Hall, który w swoim plutonie miał ksywkę „Hillbilly", uważał, że stał się obiektem prześladowań ze strony swojego czarnoskórego sierżanta, nieukrywającego dystansu do białych chłopaków z Południa. Ten sam podoficer miał też zwyczaj zawsze zostawać w tyle, kiedy tylko ich

pluton wychodził na akcję, a pewnego razu Hall nie wytrzymał i wygarnął mu prosto w twarz: „Przestań mi tu chrzanić, czarnuchu. Po prostu nie masz dość jaj, żeby iść do walki!". Hall uświadomił mu następnie to, co było postawą powszechnie przyjmowaną w większości jednostek bojowych – że podczas operacji wszelkie konflikty rasowe ulegają zawieszeniu: „Kiedy tylko pluton wychodzi poza teren bazy, wszyscy musieliśmy trzymać się razem"[42].

Czarnoskóry żołnierz marines Jeff Anthony zaprzyjaźnił się blisko z Teksańczykiem „Bojo" Tylerem, który w samych superlatywach opowiadał mu o swoich rodzinnych stronach. W jednym z listów do rodziców Tyler opowiedział im o swoim nowym przyjacielu. W odpowiedzi przeczytał: „Tylko ani się waż sprowadzać nam tu jakichś czarnuchów, jak już stamtąd wrócisz". Anthony powiedział: „Naprawdę, bardzo się lubiliśmy, ale nie było mowy, żebym mógł go jeszcze kiedyś odwiedzić u niego w domu"[43]. Pułkownik Sid Berry opisał z kolei losy swojego kolegi z kadry oficerskiej, poważnie rannego w akcji. Określając go jako „czarnucha z Karoliny Północnej", Berry oddał się gorzkim rozważaniom: „Ciekawe, czy jacyś przekonani o własnej nieomylności biali bigoci nie protestują teraz przeciwko temu, że ich dzieci muszą chodzić do szkoły razem z potomstwem kapitana Williamsa, podczas gdy on przelewa krew za swój – ale także za ich kraj"[44].

Pewnego dnia 1969 roku jedna z kompanii piechoty powróciła do swojej bazy ogniowej z akcji w terenie i usłyszała, że właśnie szykuje się jakiś spektakl rozrywkowy. Napięcia rasowe były w niej wówczas równie duże jak wszędzie indziej. Tamtego wieczora, kiedy wszyscy zebrali się przed zaimprowizowaną sceną, ku ogromnemu zdumieniu żołnierzy pojawił się na niej siedemdziesięciojednoletni Georgie Jessel, który z twarzą umalowaną na czarno zaczął wykonywać stare piosenki Ala Jolsona z lat dwudziestych XX wieku. Jeden z żołnierzy opowiadał później, że autentycznie obawiał się wtedy o to, iż nieuchronnie dojdzie do zamieszek na tle rasowym: „Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszałem. Ten stary żydowski śpiewak z wodewilu wyśpiewywał ze sceny *Mammy Mine* i inne takie. Ale najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że nic

a nic nas to nie obeszło". I biali, i czarni po prostu cieszyli się z tego, że mogli wreszcie się rozerwać: „On był spoza naszego świata"[45].

Czarnoskóry żołnierz Arthur „Gene" Woodley wrócił do domu w Baltimore bardzo rozgoryczony po zakończeniu w roku 1969 służby w siłach specjalnych: „Ten kraj wyrządził nam wszystkim jedną ogromną krzywdę. Okłamał nas. Sprawił, że my wszyscy, naiwne, młode i durne czarnuchy, uwierzyliśmy w to, iż ta wojna toczy się o demokrację i o niepodległość. A tymczasem toczono ją o pieniądze. Wszystkie te wielkie korporacje zbiły na wojnie miliardy, a potem Ameryka sobie poszła"[46]. Poglądy Woodleya były szeroko rozpowszechnione wśród czarnoskórych, którzy służyli w Wietnamie w ostatnich latach wojny. Pomimo przypadków fragmentacji, konfliktów rasowych czy nadużywania narkotyków wielu żołnierzy piechoty i marines, zarówno białych, jak i czarnoskórych, wciąż starało się jak najlepiej wypełniać swoją powinność i bić się o wyznaczony im kawałek najwyraźniej niekończącego się frontu wojny wietnamskiej. Ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że począwszy od roku 1968, aż do zakończenia konfliktu, skuteczność sił amerykańskich nieubłaganie spadała. I mimo że wróg wciąż był gotów do walki, to z coraz większym trudem przychodziło przekonywać podkomendnych Abramsa do mierzenia się z komunistami i dorównywania im w zapale do walki i sztuce wojennej, nawet w interesie swojego własnego przetrwania.

2. POSIŁKI Z ANTYPODÓW

Kiedy już po wojnie pewien historyk zasugerował australijskiemu porucznikowi Neilowi Smithowi, że w roku 1969, gdy zaczynał on swoją służbę w Wietnamie, kraj ten w sposób oczywisty znajdował się w chaosie, ów były żołnierz piechoty odparł z jawnym zdumieniem: „Tam, gdzie my byliśmy, żadnego chaosu nie widziałem"[47]. Choć trzy australijskie bataliony piechoty służące w południowo-wschodnim Wietnamie, wspierane oddziałami specjalnymi i dodatkowym kontyngentem nowozelandzkim, stanowiły zaledwie drobny ułamek

łącznych sił sojuszniczych – licząc maksymalnie, w połowie roku 1969, 8 tysięcy Australijczyków i 543 Nowozelandczyków – zyskały one sobie całkiem dobrą reputację. Creighton Abrams uważał Australijczyków i Nowozelandczyków za „pierwszorzędnych żołnierzy”[48] – a nawet za jedyny kontyngent cudzoziemski wart poświęcania mu jakiejkolwiek uwagi: „Cała reszta traktuje Wuja Sama zupełnie niepoważnie”[49]. Amerykański porucznik John Harrison z nieukrywanym podziwem wyrażał się o tym, jak jeden z oddziałów australijskich sił specjalnych (SAS) poradził sobie z uzbrojonymi góralami napotkanymi na swojej drodze: „Oni byli niesamowici – i świetnie dowodzeni przez swoich oficerów. Nic nie było w stanie wyprowadzić ich z równowagi”[50]. W ciągu całej tej wojny SAS odnotowały około 500 zabitych nieprzyjaciół przy zaledwie siedmiu po własnej stronie, a są to statystyki w pełni wiarygodne. Stało za nimi przede wszystkim fanatyczne wręcz przywiązanie do szkolenia się w metodach walki i przetrwania poza terenem bazy. Pewien oficer SAS powiedział z nieukrywaną satysfakcją: „Zawsze słyszeliśmy ich pierwsi” – ich, to jest nieprzyjaciela – „zanim oni usłyszeli nas”[51].

Pewien oficer ARVN napisał, że Wietnamczycy największą sympatią wśród wszystkich wojsk sojuszniczych darzyli właśnie Australijczyków, ponieważ podczas operacji bojowych używali oni broni palnej z dużą dyscypliną: „Bitwa pod Long Tan w roku 1966 – w której Australijczycy zabili 257 komunistów, sami tracąc zaledwie 18 własnych ludzi – udowodniła, że istniał przynajmniej jeden dobry sposób toczenia tej wojny i osiągania w niej sukcesów”[52]. Ten sam major stwierdzał, że Australijczycy i Tajowie byli jedynymi obcymi nacjami, na których żołnierzy, wedle jego najlepszej wiedzy, nigdy nie złożono doniesienia za bezmyślne strzelanie do postronnej ludności[53]. Australijski porucznik Rob Franklin wyznał: „Naprawdę leżało mi na sercu niezabijanie cywilów. Którejś nocy w zastawioną przez nas zasadzkę wmaszerowała grupa cholernych drwali. Dzięki Bogu, nasi nie otworzyli do nich ognia – byłem z nich wtedy naprawdę dumny”[54].

Tyle że samo zaangażowanie się jego kraju w tę wojnę podzieliło Australię mocniej niż jakakolwiek inna kwestia w całej jej nowożytnej

historii – a podział ten objawiał się czasami niemal równie boleśnie jak wojenne kontrowersje rozdzierające Stany Zjednoczone. Pełniący obowiązki premiera aż do stycznia 1966 roku Robert Menzies, wbrew radom swoich urzędników służby cywilnej i żądaniom opozycyjnej Partii Pracy, by do Wietnamu wysłać jedynie symboliczny kontyngent wojsk, zdecydował o znacznie poważniejszym zaangażowaniu się w tę wojnę, podzielając przekonanie Waszyngtonu, że właśnie w ten sposób będzie można przeciwdziałać „zakusom komunistycznych Chin na tereny pomiędzy Oceanem Indyjskim a Pacyfikiem”[55]. Wprowadzono pobór do służby wojskowej, a wkrótce po tym, jak do Wietnamu dotarł drugi australijski batalion, doszło do śmierci pierwszego poborowego z tego kraju, szeregowca Errola Noacka, choć o tym, że zginął on od ognia własnych kolegów, opinia publiczna się już nie dowiedziała. Od samego początku w kraju istniała silna i głośna opozycja wobec zaangażowania Australii w tę wojnę. Około 100 tysięcy młodych Australijczyków rocznie osiągało wiek dwudziestu lat, a spośród nich, metodą losowania, wybierano co dziesiątego, kierowanego do służby wojskowej. Matki tych młodych ludzi zawiązały komitet antypoborowy, któremu nadały nazwę SOS – od „Save Our Sons” („Ocalmy naszych synów”). Przyszły minister w rządzie Partii Pracy Jim Cairns opublikował głośną książkę zatytułowaną *Living With Asia* (*Jak żyć z Azją*), w której argumentował, że jego kraj musi się nauczyć żyć z ciągłymi rewolucjami wybuchającymi na tym kontynencie i jakoś się układać z tamtejszymi rewolucjonistami, zamiast z nimi walczyć. Kiedy w Sydney urządzono paradę 1. Batalionu Royal Australian Regiment (1. RAR), pośród nieprzebranych tłumów liczących ponad 300 tysięcy ludzi znalazła się też pewna antywojenna demonstrantka, która cała wysmarowała się czerwoną farbą, po czym z premedytacją rzuciła się najpierw na idącego na czele pułkownika, a następnie na tylu z jego żołnierzy, ilu tylko zdołała ubrudzić.

Po podjęciu przez Wielką Brytanię w roku 1967 decyzji o wycofaniu swoich sił zbrojnych z terenów na wschód od Kanału Sueskiego zaszokowany rząd australijski doszedł do wniosku, że musi odtąd jeszcze ściślej związać swoje losy ze Stanami Zjednoczonymi. Następca Menziesa na urzędzie premiera, Harold Holt, poleciał z wizytą do

Waszyngtonu, gdzie serdecznie wyściskał się z LBJ; jednocześnie zaatakował on brytyjskiego przywódcę Harolda Wilsona za krytykowanie amerykańskich bombardowań. Pod koniec tamtego roku Canberra niechętnie uległa żądaniom Waszyngtonu, by dosłać kolejne wojska do Wietnamu, i skierowała tam swój trzeci już batalion piechoty oraz kilka czołgów. Za to rząd sąsiedniej Nowej Zelandii nigdy nie był do końca przekonany co do swojego zaangażowania w wojnę wietnamską. Kiedy jednak decyzję o wysłaniu swoich wojsk podjęła Australia, również Nowozelandczycy poczuli się w obowiązku uczynić to samo. Terenem wyznaczonym dla obu tych kontyngentów stała się prowincja Phuoc Tuy, na południowy wschód od Sajgonu. Ludność tej prowincji w liczbie około 100 tysięcy była w większości albo neutralna, albo prokomunistyczna, a do czasu przybycia na te tereny oddziałów AWP jako przeciwnik żołnierzy ANZAC (Australian and New Zealand Army Corps) występował batalion polowy Wietkongu D445, wzmocniony dwoma pułkami regularnego wojska. ANZAC ustanowił swoją bazę w Nui Dat – możliwie daleko od wszelkich miast w regionie – przy czym helikoptery i wsparcie logistyczne pozostawiono w okolicach portu Vung Tau.

W przeciwieństwie do mniejszych miast i miasteczek, niespecjalnie przejmujących się tą kwestią, w Melbourne i w Sydney sprzeciwy wobec zaangażowania w Wietnamie przebierały nierzadko dość ekstrawaganckie i zupełnie nieproporcjonalne kształty. Australijski związek zawodowy marynarzy odmówił na przykład obsługiwania tych jednostek, które miały potem płynąć w strefę wojny. A kiedy w grudniu 1967 roku doszło do niewyjaśnionego utonięcia Harolda Holta, znaleźli się tacy, którzy sugerowali, że popełnił on samobójstwo przytłoczony stresem wojny wietnamskiej. Kolejne demonstracje stawały się coraz bardziej radykalne, bo Nowej Lewicy udało się uzyskać znaczące poparcie wśród młodych ludzi, zadziwiająco duże jak na kraj tradycyjnie dotąd konserwatywny. Działający przy Uniwersytecie Monasha Klub Pracy zbierał fundusze na wsparcie NFW; maoiści z Melbourne głośno zachwalali chińską rewolucję kulturalną; studenci wykrzykiwali: *„One side right, one side wrong – victory to the Wietkong!”* – „Jedni mają rację, a drudzy nie – zwycięstwo Wietkongowi należy się!”.

Pracownicy poczty przez krótki czas odmawiali dostarczania listów australijskim żołnierzom. W sierpniu 1969 roku sondaże opinii publicznej po raz pierwszy pokazały, że większość społeczeństwa opowiada się za wyjściem z Wietnamu, a po październikowych wyborach powszechnych jeden australijski batalion rzeczywiście wycofano.

Mimo to niemal do samego końca wojny australijscy żołnierze stacjonujący w Wietnamie nie zaprzątali sobie uwagi całym tym zamieszaniem w ich ojczyźnie, również dlatego, że w większości niewiele w ogóle o nim wiedzieli. Porucznik Neil Smith, adoptowany syn pewnego robotnika z Perth, powiedział później: „Za nic w świecie nie zrezygnowałbym z takiej okazji. Każdy zawodowy żołnierz marzy o tego rodzaju doświadczeniach. To właśnie wtedy możesz się naprawdę sprawdzić. Ma to pewnie coś wspólnego z charakterystyczną dla młodego wieku głupotą”[56]. Australijczykom przyszło stoczyć na swoim odcinku kilka niezwykle zaciętych bitew: 12 maja 1968 roku nowo przybyły 1. RAR z miejsca skierował się do polowej bazy Coral wraz ze wspierającą go nowozelandzką baterią artylerii. Już pierwszej nocy batalion musiał odeprzeć zaskakujący atak AWP, na który w sposób oczywisty nie był jeszcze gotowy. Mimo to komunistów przywitał ogień z moździerzy i dział, strzelających z nieprzygotowanych pozycji, a w rezultacie tego pierwszego starcia zginęło 52 żołnierzy AWP, po stronie australijskiej odnotowano zaś 11 poległych i 28 rannych. Trzy dni później komuniści wrócili, zabijając 24 nieprzyjaciół, a samemu tracąc 34 ludzi. Po tych pierwszych dwóch starciach Australijczycy byli pod tak dużym wrażeniem siły bojowej AWP, że porównując ją do lokalnych oddziałów WK, z którymi mierzyli się wcześniej na południu, używali określenia „niebo a ziemia”. Australijska armia już od wielu lat szczyciła się najwyższymi umiejętnościami w zwalczaniu partyzantki, doskonalonymi poprzez kolejne doświadczenia nabywane w Malezji czy na Borneo, gdzie niemal wszystkie operacje toczyły się na poziomie kompanii. Teraz jednak jej żołnierze zaczynali powoli rozumieć, że ta wojna ma znacznie większy rozmach i znacznie bardziej konwencjonalny charakter.

Australijczycy i Nowozelandczycy wiele rzeczy robili po swojemu: na przykład zamiast hełmów woleli nosić lekkie kapelusze, a zamiast M-16 preferowali własną broń kalibru 7,62 mm, ponieważ cięższe pociski miały wyraźnie większą moc obalającą. Niektórzy z nich pisali do swoich rodziców z prośbą, by przysłać im ogrodowe sekatory, którymi poręczniej torowało im się później drogę w dżungli niż wojskowymi maczetami. Ponadto, w odróżnieniu od Amerykanów, którzy w każdej swojej bazie zatrudniali całą armię lokalnych kucharzy, sprzątaczek czy personelu pralni, Australijczycy od samego początku nie wpuszczali na swój teren żadnych Wietnamczyków – ze względów bezpieczeństwa nawet najbardziej uciążliwe obowiązki wykonywał ich własny personel. A kiedy przychodziło im walczyć w polu w towarzystwie któregoś z sojuszników, uznawali ich zazwyczaj za samobójczo nieostrożnych, zwłaszcza pod względem czynienia hałasu. Neil Smith, któremu przyszło kiedyś spędzić noc w jednej z amerykańskich baz polowych, nie mógł wyjść ze zdumienia, że oficerowie śpią tam osobno, a wszędzie panuje jeden wielki zgiełk: „Na australijskich pozycjach nocą można usłyszeć dźwięk spadającej na ziemię zawleczki”[57].

Amerykański kapitan Arthur Carey, który pracował z Australijczykami w roku 1968, był pod wrażeniem ich dyscypliny radiowej. W odróżnieniu od jednostek amerykańskich, dosłownie co kilka minut przekazujących do bazy radiowe meldunki sytuacyjne, ku wielkiemu uznaniu Careya, „zdarzało się całkiem często, że w [australijskiej] sieci radiowej mijały 2 albo i 3 godziny, zanim ktokolwiek w ogóle się odezwał. [Oni byli] bardzo wstrzemięźliwi z używaniem radia. I nie pamiętam, bym przez cały ten czas, który z nimi spędziłem, choć raz usłyszał słowa «liczba zabitych»”[58]. Ten ostatni argument może wyjaśniać, dlaczego wielu amerykańskich oficerów niższych rangą, takich jak Carey, dobrze oceniało Australijczyków, w przeciwieństwie do swoich kolegów o wyższych szarżach. Westmoreland nieraz podkreślał, że mają oni słabe statystyki zabitych, i krytykował przyjętą u nich praktykę rotowania jednostek po całym przyznanym im teatrze wojny zamiast stałego uzupełniania ich nowymi ludźmi. Kiedy w 7. RAR wizytę złożył generał dywizji Julian Ewell, skrytykował on podejmowane przez tę jednostkę „bezustanne

patrole (...). Podkreślał też wagę statystyki, zwłaszcza w odniesieniu do liczby zabitych. Jego dyskusja z [korpusem oficerskim australijskiego batalionu] przebiegała w chłodnej atmosferze, a obie strony w sposób oczywisty miały rozbieżne zdania. Jego wizyty nie zapamiętano ani z szacunkiem, ani z ciepłymi uczuciami"[59]. Australijczycy doszli do wniosku, że Ewell nie nawykł do szczerej, nieformalnej dyskusji, a zamiast tego domagał się bezwzględnego posłuszeństwa, do którego akurat ich naród nigdy nie przywiązywał jakiejś szczególnej wagi, a już zwłaszcza na polu walki.

Osiągane przez Australijczyków sukcesy wynikały nie z jakichś pokazów samobójczej odwagi, ale raczej z dobrego wyczucia czasu u ich młodszych dowódców. Na przykład w samym środku wymiany ognia przed linią bunkrów WK dowódca patrolu SAS Andrew Freemantle podjął znamienną decyzję: „Pomyślałem sobie – jeśli teraz spróbujemy pójść do natarcia, takiego frontalnego ataku, to zginie mnóstwo naszych ludzi, a czy naprawdę warto ich tutaj poświęcać?". Zamiast tego zarządził więc wycofanie się. Wieczorem do jego baraku przyszedł jeden z żołnierzy i powiedział: „Szefie, może źle się czujesz z tym, co dzisiaj zrobiłeś. Ale my chcieliśmy ci powiedzieć, że jesteśmy za to cholernie wdzięczni. Gdybyś tego nie zrobił, nie byłoby nas teraz tutaj"[60]. Ów młody oficer niewątpliwie poczuł się wtedy lepiej, ale właśnie tego rodzaju decyzje taktyczne kazały niektórym amerykańskim generałom podejrzewać Australijczyków o zajęcze serca.

Australijska wyższa kadra dowódcza uważana była często – i to zarówno przez własnych rodaków, jak i przez Amerykanów – za znacznie mniej imponującą od młodszych oficerów i zwykłych żołnierzy[61]. Brygadier Stuart Weir, dowodzący w latach 1969–1970 australijskimi siłami specjalnymi, słynął z agresywnych zachowań i napadów złego humoru, które – by zacytować jednego z historyków z jego kraju – „kazały wyższym oficerom kwestionować jego przydatność do tej funkcji". Operacje prowadzone przez ANZAC mocno ucierpiały też w wyniku bardzo nierozważnej decyzji podjętej przez jednego z poprzedników Weira. W styczniu 1967 roku niecieszący się specjalnym szacunkiem podkomendnych brygadier Stuart Graham odszedł od praktykowanych wcześniej ostrożnych operacji „oddzielić

kordonem i przeszukać" na rzecz agresywnych działań „wyszukać i zniszczyć", co zaowocowało gwałtownym wzrostem ofiar po stronie własnej. Komuniści nie mieli większych trudności z unikaniem obław „wyszukać i zniszczyć", o czym świadczył choćby przebieg operacji „Paddington" z lipca 1967 roku, podczas której dziewięć batalionów Amerykanów, Australijczyków i Wietnamczyków z Południa podjęło próbę schwytania w pułapkę jednego pułku WK. Z kolei podjęta następnej wiosny inna szeroko zakrojona operacja, o kryptonimie „Pinnaroo", doprowadziła wprawdzie do zniszczenia systemu komunistycznych bunkrów i przechwycenia sporej ilości broni, ale jednocześnie uczestniczący w niej Australijczycy ponieśli znaczące straty od bomb pułapek. Ich kontyngent miał ponadto za małą liczebność, by móc z powodzeniem wypchnąć nieprzyjaciela z tak zwanej Tajnej Strefy Minh Dam na wzgórzach Long Hai, która miała pozostać azylem komunistów aż do samego końca wojny.

Pewien Australijczyk opisywał jedną z takich operacji słowami, które mogłyby zabrzmieć wielce znajomo w uszach wielu Amerykanów: „Zawsze chodziło o to samo monotonne i wyczerpujące patrolowanie, przenoszenie dużych ciężarów ciernistymi szlakami, zdejmowanie hełmu po raz pięćdziesiąty, tracenie rachuby kroków, zbyt mało czasu na przygotowanie się, ciągłe sprawdzanie, co bogowie Piechoty uważają za «interesujące» obszary, i chodzenie całymi dniami w łachach przemoczonych od bezustannego brodzenia w strumieniach i bagnach"[62].

Brygadier Graham uznał też, że wobec ciągłego braku wystarczającej liczby żołnierzy musi sięgnąć po różne środki techniczne w celu odseparowania nieprzyjaciela od ludności cywilnej i jej ryżu: tak oto powstała bariera, długa na 13 kilometrów i rozciągająca się od wzgórz aż po wybrzeże. Na szerokim na mniej więcej 100 metrów pasie między dwoma równolegle biegnącymi ogrodzeniami z drutu kolczastego jego inżynierowie położyli 22 600 min. Graham rozkazał, by Australijczycy patrolowali jedną stronę bariery, drugą zaś pozostawił w gestii żołnierzy wietnamskich. Przez kilka pierwszych miesięcy pomysł ten przynosił pozytywne skutki: niektóre jednostki komunistyczne, odcięte od źródeł pożywienia, musiały się uciekać do spożywania korzonków

czy liści znajdowanych w dżungli. Aż wreszcie komuniści zauważyli, że sam zaminowany pas między dwoma ogrodzeniami nie jest monitorowany zbyt starannie. Z właściwą sobie pomysłowością partyzanci zaczęli zatem zapuszczać się na owo pole minowe i wykopywać z niego tysiące min, które następnie sami kładli w dogodnych dla siebie miejscach. Tak to w kolejnych latach żołnierze ANZAC mieli ponosić wciąż rosnące straty od swoich własnych min – średnio jedna na dziesięć ofiar śmiertelnych zabijana była właśnie przez nie. Tylko jeden batalion odnotował 64 zdarzenia związane z wybuchem min, z których 48 okazało się sprzętem australijskim przechwyconym przez nieprzyjaciela[63]. Kolejne problemy pojawiły się po tym, jak Australijczycy uznali, że pole minowe nie spełnia już swojego zadania, i spróbowali je rozbroić: ich czołgiści i inżynierowie ponieśli tak duże straty, że trzeba było całkowicie odstąpić od tego zadania. Cała operacja zamieniła się zatem w małą katastrofę, która w ojczystych mediach przedstawiona została jako prawdziwy skandal, a opozycyjni politycy otrzymali do rąk nową amunicję, pozwalającą im mówić o „kolejnym tragicznym przykładzie świadczącym o tym, jak bezsensowny i daremny jest udział Australii w tej wojnie”[64].

„Ten Wietnam to zabawne miejsce”[65] – rozmyślał porucznik Rob Franklin, syn kierowcy ciężarówki z Brisbane. „W czasie I wojny światowej przechodziłeś przez jakieś wzgórza i już wiedziałeś, gdzie jest wróg. Ale w buszu nigdy nie miałeś pojęcia, gdzie się ukrywa. Mogłeś się tam szwendać całymi tygodniami i nie usłyszeć choćby jednego strzału. Niezwykle trudno było w takich warunkach utrzymać czujność wciąż na tak samo wysokim poziomie. A potem nagle rozpętywało się prawdziwe piekło”. Już w pierwszych dniach służby Franklina, podczas jednej z misji ogniowych, doszło do pomyłki, która omal nie doprowadziła do katastrofy: moździerze kaliber 82 mm, za które właśnie on był odpowiedzialny, ostrzelały oto obszar odległy zaledwie o kilkanaście metrów od przypisanej do ich batalionu kompanii nowozelandzkich strzelców. Świadomy błędu, jaki właśnie popełnił, porucznik czuł, że tamtego dnia postarzał się o jakieś dziesięć lat. Myślał wówczas bez przerwy: „Chyba sobie z tym wszystkim nie poradzę”. A po ciężkiej i bezsennej nocy rankiem następnego dnia

wezwano go do stawienia się przed dowódcą owej nowozelandzkiej kompanii. Na spotkanie poszedł z drżącymi kolanami, ale na szczęście dowódca „okazał się fantastyczny i powiedział tylko: «Następnym razem bądź ostrożny»". I faktycznie, od tamtej pory Franklinowi nigdy nie zdarzył się już podobny błąd.

Choć ich batalion przygotowywał się intensywnie jeszcze przed opuszczeniem swojej bazy w ojczystym Townsville, to w buszu szybko okazało się, że trzeba zmienić wypracowaną taktykę. „Podczas szkolenia, w razie napotkania ostrzału żołnierz obsługujący karabin maszynowy odbijał w prawo, a wszyscy strzelcy biegli na lewo. Ale po kilku pierwszych kontaktach z nieprzyjacielem zupełnie to zmieniliśmy: wszyscy nasi ludzie tworzyli możliwie najszerszy front, a każdy z trzech karabinów maszynowych, którymi dysponował pluton, najszybciej, jak się dało, wystrzeliwał swoich sto naboi – wszystko po to, by zdławić ich ogień. Nauczyliśmy się też rozkładać z biwakiem w najgęstszym buszu, jaki tylko mogliśmy znaleźć. Generalnie, szybko się tam mądrzało i nabierało twardości". Również w ANZAC nie brakowało narwańców: jeden z ludzi Franklina, obsługujący moździerze, poprosił o przeniesienie do plutonu strzelców, bo brakowało mu prawdziwej akcji w terenie. Już w trakcie jednej z pierwszych wymian ognia został zabity, pozostawiając w domu ciężarną narzeczoną.

Kilka dni po przybyciu do Wietnamu w roku 1969 dziewiętnastoletni Neil Smith z zachodniej Australii wraz z trójką swoich kolegów poszedł na zapoznawczy patrol zorganizowany przez kończących służbę żołnierzy z miejscowego batalionu. Kiedy ich grupa nawiązała krótki kontakt z nieprzyjacielem, porucznik jako jedyny rzucił się plackiem na ziemię, czym zasłużył sobie na parę drwin i docinek. Podczas nocnej zasadzki Smith i trzech współnowicjuszy miało pełnić funkcję tylnej straży, nie zapewniono im jednak żadnej komunikacji z weteranami na czele kolumny. W całkowitych ciemnościach skamieniały ze strachu młody porucznik dostrzegł idących gęsiego żołnierzy nieprzyjaciela. A już po chwili zdał sobie sprawę z tego, że swoje miny Claymore ustawił tak blisko własnej pozycji, iż w razie ich zdetonowania wybuch dosięgnie także jego samego. Wobec tego postanowił leżeć bez ruchu i w ciszy obserwować kolumnę przechodzących wrogów, modląc się

w skrytości ducha, by żaden z jego śpiących kolegów nagle nie zachrapał. Już do końca jego długiej kariery w wojsku miało go prześladować wspomnienie tego feralnego dnia, choć po prawdzie tego rodzaju doświadczenie było wówczas udziałem tysięcy młodych ludzi, i to po obu stronach frontu[66].

Smith był zafascynowany całą egzotyką związaną z Wietnamem: odległym rozbłyskiem flar i pogłosem dział czy wszechobecnymi świetlikami. Za każdym razem, kiedy wraz z kolegami szykował się do snu, zdumiewała go mnogość i rozmaitość stworzeń wypełzających ze wszystkich okolicznych zakamarków. Pewnego razu, podczas kopania umocnień, do której to czynności zdjął wcześniej koszulę, próbując wytrzeć pot z klatki piersiowej, Smith zawył z bólu: w lewą sutkę ukąsił go skorpion siedzący na szmatce, którą się wycierał. Niemal dokładnie w tym samym momencie wywiązała się strzelanina, wobec czego wezwani ratownicy medyczni „grzecznie poprosili mnie, bym teraz zagryzł zęby" – co było australijską wersją uspokojenia się – mimo że porucznik z bólu nie mógł usiedzieć w miejscu i dosłownie miał ochotę wyć. Pisząc do rodziców 31 grudnia 1969 roku, uznał on noworoczne zawieszenie broni za „całkowitą bzdurę, [która] nie robi nam żadnej różnicy. Za to im daje tylko możliwość i swobodę przeorganizowania się (...). Czuję się w tej chwili dość samotnie i smutno. Walka w takiej wojnie jest cholernie frustrująca. Całymi dniami nic się nie dzieje, a mimo to dobrze wiesz, że ani przez chwilę nikt nie może czuć się bezpiecznie". Smith pisał też o sytuacji, w której jego jednostce udało się natrafić na lokalną grupę WK po zapachu gangreny: „Pewien biedny gość miał odstrzeloną połowę twarzy, do której dobrało się już robactwo"[67].

Choć tradycyjnie istnieją pewne napięcia między znacznie większą Australią a leżącą nieopodal niezbyt rozległą Nową Zelandią, to na polu walki żołnierze obu tych nacji bili się ramię w ramię o wspólną sprawę, jak zresztą działo się to zawsze w historii. Nieprzyjaciel obawiał się ponoć najbardziej nowozelandzkich żołnierzy Maorysów, których podejrzewał o kanibalizm. W jednostkach australijskich nie brakowało z kolei oficerów i podoficerów, którzy służyli wcześniej podczas II wojny światowej, w Korei czy na Malajach. Raz na jakiś czas trafiał się

też jakiś interesujący cudzoziemiec – Neil Smith szczególnie zapamiętał pewnego starszego sierżanta sztabowego, byłego członka Hitlerjugend, który z radością witał każdą okazję do zabijania Wietnamczyków, niezależnie od ich przekonań i przynależności: „On był naprawdę złym człowiekiem”[68]. Z kolei australijskie lotnictwo (RAAF) ceniło sobie kontyngent brytyjskich pilotów, zaś w siłach SAS służył pewien były członek włoskich Alpini oraz kilku weteranów z armii brytyjskiej, a wśród nich Andrew Freemantle. Po ukończeniu kursu walki w dżungli Freemantle na próżno wyglądał okazji do przećwiczenia swoich nowo nabytych umiejętności w prawdziwej akcji, która w jego własnych siłach zbrojnych ograniczała się wówczas jedynie do terytorium Irlandii Północnej: „Napisałem do sił specjalnych Afryki Południowej, Rodezji i Australii, składając im propozycję: «Jestem wyszkolonym zabójcą, macie może dla mnie jakąś pracę?»”. Wszystkie te trzy formacje odpowiedziały pozytywnie, ale Australijczycy przebili swoich konkurentów, bo jako jedyni zaoferowali bilet lotniczy w pierwszej klasie. Kolejne trzy lata Freemantle spędził zatem w SAS, w tym jeden rok właśnie w Wietnamie, i nigdy tego nie żałował – to było „naprawdę niezwykle ciekawe doświadczenie z profesjonalnego punktu widzenia”. I choć jego koledzy ani przez chwilę nie dawali mu zapomnieć o tym, co ich naród myśli o każdym Brytyjczyku, to podczas operacji w dżungli ich współpraca układała się wzorowo. Pewien wielgachny podoficer o ksywce „Oddjob”[9*] powiedział mu nawet kiedyś: „I tak wiemy, że jak coś się spieprzy, pierwszy podniesiesz rękę i weźmiesz winę na siebie”[69].

Neil Smith nie dostrzegał żadnej znaczącej różnicy między tym, jak spisywali się na wojnie ochotnicy i poborowi, częściowo dlatego, że wśród tych drugich tylko nieliczni nie chcieli jechać do Wietnamu: „Jeśli jakiemuś kolesiowi naprawdę zależało na tym, żeby nie jechać, byłoby głupotą upierać się przy zabraniu go”[70]. Stalowo twardy kręgosłup zapewniała reszcie żołnierzy grupa weteranów, ludzi takich jak starszy sierżant Hepplewaite z 8. RAR, który podczas nawiązywania kontaktu z nieprzyjacielem potrafił spokojnie się wypróżniać. Smith wyznał z podziwem: „Jeszcze zanim podciągnął spodnie, już wziął się do kierowania naszym ogniem – emanował od niego taki spokój, takie

ogromne poczucie godności". Australijczycy byli obsesyjnie wręcz przywiązani do patrolowania, a tym samym nie mieściło im się w głowach, że po roku 1969 część amerykańskich jednostek prawie w ogóle nie zapuszczała się poza ogrodzenie swoich baz. Liczba żołnierzy uczestniczących w patrolach okazywała się różna: w australijskim SAS było ich zwykle po pięciu, po to, by w razie trafienia któregoś z nich dwóch mogło go wynieść spod ognia, a dwóch kolejnych ich osłaniać. Powszechną praktykę stanowiło zabieranie ze sobą Wietnamczyka, który służył użytecznymi informacjami – był to albo uchodźca z programu *Chieu hoi*, albo jakiś miejscowy – i korzystanie z jego wskazówek podczas misji: „A jeśli źle nami pokierowali, to sami obrywali jako pierwsi"[71]. Inny weteran powiedział: „Słowem kluczowym była cierpliwość"[72]. Podobnie jak każdy inny kontyngent, Australijczycy mocno odczuwali jednak brak rzetelnych danych wywiadowczych pochodzących od lokalnej ludności: jak napisał z rezygnacją pewien oficer, chłopi nie byli w stanie w pełni zaufać cudzoziemcom, którzy za jakiś czas i tak mieli stamtąd zniknąć[73].

Andrew Freemantle żywił ogromny szacunek dla nieprzyjaciela, zwłaszcza po tym, jak miał okazję natknąć się na jeden z wietnamskich systemów tuneli: „Przysiedliśmy i nasłuchiwaliśmy w ciszy, co podczas patrolowania jest zawsze dobrym pomysłem, a wtedy tuż obok nas zauważyliśmy wystającą spod ziemi rurę. Wrzuciliśmy przez nią granat dymny i zakryliśmy jej wylot, a jakąś minutę czy dwie później dostrzegliśmy kłęby dymu wydobywające się z kępy krzaków oddalonych od nas o kilka metrów"[74]. Wraz z jednym z kolegów Freemantle zszedł do tunelu, aby go zbadać: na szczęście ten akurat system był opuszczony, ale jego tunele rozchodziły się w promieniu 500 metrów. Freemantle pomyślał sobie wtedy: „To niesamowite, a każdy, kto jest w stanie tego dokonać, ma w sobie to coś". Aby zniszczyć cały ten kompleks, trzeba było zużyć aż 2 tony materiału wybuchowego C4. Inni żołnierze z SAS podczas prowadzenia obserwacji jakiegoś obozu WK z fascynacją patrzyli na to, jak ludzie nieprzyjaciela wydobywają materiał wybuchowy z niewybuchów po to, by zrobić z niego własne granaty i miny pułapki. Freemantle zauważył też, że broń i sprzęt znajdywane przy ciałach martwych żołnierzy AWP były zawsze zadbane

i dobrze utrzymane. A kiedy ten były brytyjski żołnierz miał okazję obserwować przez lornetkę ruchy jednej z jednostek nieprzyjaciela, prowadzonej w nienagannej formacji strzały przez swojego oficera i jego radiooperatora, wówczas pomyślał sobie: „to z powodzeniem mogliby być nasi chłopcy na równinie Salisbury".

W późniejszym stadium wojny australijski kontyngent zaczął w pewnej mierze doświadczać tych samych problemów dyscyplinarnych co Amerykanie, tyle że ich źródłem były nie narkotyki, lecz alkohol. Rob Franklin wyznał: „Nas kręciło narąbanie się, a nie naszprycowanie". W wojskowych kantynach wprowadzono oficjalny limit dwóch puszek piwa dziennie na żołnierza, ale ponieważ w przypadku jego niewykorzystania przydział ten podlegał kumulacji, zdarzało się, że po trwającej dwadzieścia dni operacji ludzie odbierali hurtem po czterdzieści puszek. Podczas jednego z nielicznych procesów przed australijskim sądem wojennym rozpatrywano sprawę pewnego pułkownika, który uderzył pistoletem jakiegoś szeregowca podczas pijackiej kłótni. Z kolei w Boże Narodzenie 1970 roku pijany szeregowiec opróżnił cały magazynek swojego karabinu w stronę stołówki dla sierżantów w Nui Dat, zabijając dwóch podoficerów i poważnie raniąc trzeciego. Kolejnych dwóch oficerów zginęło we wcześniejszych fragmentacjach[75]. Niemal nazajutrz po przybyciu Neila Smitha do Wietnamu zdarzyło się, że spał on wraz z kolegą w namiocie przylegającym do namiotu porucznika Boba Convery'ego. W środku nocy obydwu nowo przybyłych obudziła głośna eksplozja. Obaj zerwali się na równe nogi, sądząc, że to początek ataku moździerzowego. Kiedy jednak nie doszło do żadnych dalszych wybuchów, wyszli na zewnątrz, by zbadać źródło hałasu, i odkryli, że to tylko jakiś rozżalony żołnierz wrzucił granat do namiotu Convery'ego, zabijając go na miejscu[76]. Fragmentacje były znacznie mniejszym problemem u Australijczyków w porównaniu ze skalą tego procederu u Amerykanów, ale nie oznacza to, że w ogóle do nich nie dochodziło.

Australijski ośrodek R&R (odpoczynku i rekreacji) mieścił się w Vung Tau. Krążył tam dowcip, że nieprzyjaciel wykorzystuje owo portowe miasto dokładnie w tym samym celu, „więc co drugi koleś, którego widziałeś, był z WK i przyjechał na R&R zupełnie jak ty. Tak czy inaczej,

obu stronom w pełni pasowało, że nie dochodziło tam do żadnych strzelanin”[77]. Oficerowie lądowali zwykle w Hotelu Grand, którego właścicielką była pewna pół-Francuzka niekryjąca się z przeświadczeniem, że jej goście są po przegranej stronie, wobec czego sama siedziała na walizkach, w każdej chwili gotowa do wyjazdu do Europy. Za to szeregowi żołnierze w towarzystwie dziewcząt i alkoholu okupowali zwykle jeden z licznych barów, w których dochodziło do legendarnych wręcz walk na pięści. Zresztą właściwie w całym Wietnamie, widząc gościa wylatującego razem z szybą przez okno jakiegoś baru, można było z góry założyć, że albo on sam, albo ten, który go stamtąd wyrzucił, okaże się Australijczykiem.

Australijscy żołnierze w prowincji Phuoc Tuy, Wietnam Południowy, 1969 rok

Tymczasem w kraju nastroje antywojenne wciąż narastały, osiągając z czasem crescendo. Po śmierci jakiegoś żołnierza piechoty protestujący zatelefonowali do jego rodziców i rzucili oschle: „Dostał to, na co zasłużył”[78]. Pod koniec 1970 roku australijską piechotę całkiem wycofano z pewnej operacji prowadzonej w górach Long Hai, ponieważ

po serii wcześniejszych strat doznanych w wyniku wybuchów min pułapek, w jej ojczyźnie zapanowała prawdziwa histeria. A kiedy z końcem tego samego roku któraś z jednostek miała zgodnie z planem wrócić do Australii, jej oficer dowodzący pouczał swoich podkomendnych: „Weźcie się za swoich ludzi. Nie chcę, żeby jakiś z tych chłopaków zawracał potem dupę" – w żargonie australijskim: naprzykrzał się – cywilom, którym przyjdzie ochota się z nich wyśmiewać czy ich krytykować. Jeden z oficerów obecnych na tej odprawie powiedział, że dopiero po dotarciu do ojczyzny wszyscy oni zrozumieli skalę antywojennych nastrojów – „i byliśmy nimi całkowicie zdumieni. Nie mogliśmy tego pojąć. Naszym zdaniem, mieliśmy pełną słuszność, jadąc tam, i równie wielką słuszność, robiąc tam to, co robiliśmy"[79]. Do roku 1972 jednym z czołowych haseł zakończonej pełnym sukcesem kampanii wyborczej lidera Partii Pracy Gougha Whitlama stało się zakończenie poboru i wycofanie się z Wietnamu: ostatni Australijczycy i Nowozelandczycy opuścili ten kraj jeszcze do końca tamtego właśnie roku. W Wietnamie służyło łącznie 60 tysięcy Australijczyków, z których 521 poniosło śmierć, i 3890 Nowozelandczyków – spośród tych ostatnich do kraju nie wróciło 37.

Współcześni historycy z antypodów generalnie zgadzają się, że decyzja Roberta Menziesa o wysłaniu do Wietnamu pierwszej transzy wojsk podjęta została w sposób wybitnie nierozważny – jako swoisty gest, czy może nawet odruch odzwierciedlający myślenie zimnowojenne – a jego późniejsi następcy na stanowisku premiera mogli tylko z ubolewaniem przyznawać, że nie są w stanie się z niej wycofać. Warto jednak zapoznać się również z argumentacją australijskiego pisarza Petera Edwardsa, który stara się przedstawić punkt widzenia rządu swojego kraju z roku 1965: „Wietnam nie zaliczał się wcale do kategorii walki w «wojnach innych narodów»; w przekonaniu Menziesa i jego głównych doradców, wojnę tę Stany Zjednoczone toczyły bowiem również o bezpieczeństwo Australii"[80]. Edwards dodaje, że w następstwie tej wojny strategiczna pozycja Australii, Tajlandii, Malezji i Indonezji w obliczu zagrożenia zalewem komunizmu stała się o wiele mocniejsza w roku 1975, niż była jeszcze dekadę wcześniej. W ocenie różnych światłych ludzi ze wszystkich tych

krajów właśnie dzięki walce stoczonej przez wojska sojusznicze ich ojczyzny mogły wypracować bardziej stabilne linie polityczne. Singapurczyk Lee Kuan Yew wielokrotnie powtarzał Amerykanom: „Gdyby nie wasza walka, nas już by tu nie było".

ANZAC spisał się w Wietnamie wyjątkowo dobrze, ale sugerowanie, jak czynią to czasami jego admiratorzy, że gdyby wszyscy inni radzili sobie równie skutecznie, wówczas wynik tej wojny mógłby być zasadniczo inny, wydaje się całkowicie chybione. Pozostaje bowiem faktem, że i na terenach przydzielonych Australijczykom nieprzyjaciel utrzymywał tak samo wysoki jak gdzie indziej poziom zaangażowania wojskowego, tyle że przyszło mu płacić za to większą cenę w ludziach. Ponadto, zgodnie z jedną z naczelnych tez tej książki, największym wyzwaniem dla sojuszników było nie osiąganie zwycięstw na polach bitewnych, lecz zaproponowanie Wietnamczykom jakiegoś wiarygodnego przywództwa politycznego i porządku społecznego. Doktor Norman Wyndham, sześćdziesięcioletni australijski chirurg kierujący ochotniczym zespołem medycznym w szpitalu w Vung Tau, był żarliwym chrześcijaninem, który nauczył się biegle władać językiem wietnamskim. W roku 1967 napisał on następująco o miejscowej ludności: „Większość pragnie zjednoczonego Wietnamu, ale nie takiego kontrolowanego przez komunistów (...) [Jednak] narasta w nich przekonanie (...), że każde rozwiązanie byłoby lepsze od życia, które teraz mają na co dzień"[81]. Dwa lata później przeświadczenie o tym podzielali coraz częściej mieszkańcy Południa.

3. BOGOWIE

W oglądzie historii, a już z całą pewnością w oczach Hollywoodu, symbolem tej wojny był helikopter Huey. Nie oznacza to rzecz jasna, że nie pamięta się o innych latających maszynach, takich jak Sea Knight, Jolly Green Giant, Chinook, „Latające Banany", transportujące ciężki sprzęt śmigłowce Tarhe, używane przez CIA helikoptery Jet Ranger i wiele innych, ale to właśnie obraz Hueya zdominował przekazy z Wietnamu. Bo też była to faktycznie niezwykła maszyna, jedna

z najbardziej udanych w całej historii lotnictwa. Skonstruowana przez pracownię Bell w latach pięćdziesiątych XX wieku jako Iroquois, najpierw otrzymała ona oznaczenie HU-1, które następnie zmieniono na UH-1. Z czasem helikopter ten miał się stać symbolem niewyobrażalnej potęgi Stanów Zjednoczonych, a nawet ich pozornej niezwyciężoności, by niedługo potem, w jakiś niepojęty sposób, zacząć przywoływać skojarzenia wprost przeciwne: mające świadczyć o ich słabości. Najpowszechniej spotykanym z licznych kolejnych wariantów tej maszyny była wersja „D": czterotonowa latająca bestia napędzana silnikiem Lycoming, o prędkości maksymalnej 210 kilometrów na godzinę, która po raz pierwszy pojawiła się w Wietnamie w roku 1963. Jako śmigłowiec transportowy zabierał on na pokład dziewięciu ludzi z pełnym uzbrojeniem, jako wsparcie ewakuacji medycznej sześć noszy, a jako maszyna bojowa liczne kombinacje rakiet, sześciolufowych karabinów maszynowych i innych rodzajów broni automatycznej. Łącznie powstało ich 16 tysięcy sztuk, przy czym w najgorszym okresie wojny armia potrafiła stracić nawet do tysiąca sztuk rocznie, czy to w wyniku zestrzelenia przez nieprzyjaciela, czy wskutek awarii mechanicznych albo błędów pilotów. Wszyscy, nawet ci, co nienawidzili tej wojny, wprost uwielbiali maszyny Huey: ten cudowny podmuch rześkiego powietrza, który odczuwali żołnierze siedzący w ich otwartych drzwiach, z nogami na płozach i bez żadnych zabezpieczeń, jeśli nie liczyć ręki obejmującej niedbale jeden ze wsporników; te wspaniałe widoki z góry na krajobrazy Azji Południowo-Wschodniej – na wszystkie te czerwienie i brązy, i połyskujące zielenie, z wysokości 1000 czy 1500 metrów wyglądające o wiele piękniej i bardziej zachęcająco niż z poziomu ziemi.

Doradca CORDS porucznik Brian Walrath napisał: „Siedząc na twardej podłodze śmigłowca, słyszymy tylko ogłuszający hałas. Tuż za nami wibruje silnik, skrzynia biegów ciężko zgrzyta, rozdzielając moc między główny wirnik i ten na ogonie, a same wirniki dają czadu tak mocno, że w uszach świszczy nam podmuch powietrza. Jesteśmy w rękach pilota, bezbronni wobec jakiegokolwiek nieprzyjaciela, który zechciałby nas zestrzelić, zamkniętych w tej cienkiej aluminiowej skorupie. A pod nami przemyka cały ten szalony miszmasz pól

ryżowych i innych upraw, by już wkrótce ustąpić gęstwinie drzew: to znak, że wlatujemy w góry”[82].

Z ziemi patrzono na lotników jak na magików, a często również jak na wybawicieli. Porucznik Mel Stephens z marynarki wojennej nigdy nie zapomni nocnej ewakuacji z rzecznej łodzi desantowej, na której otrzymał postrzał, a także towarzyszących mu wtedy uczuć ulgi i wdzięczności wobec załogi, która go uratowała: „Ci piloci byli dla nas jak bogowie”[83]. Wrażenie to potęgowało niewątpliwie ich fizyczne odseparowanie: zamknięci w swoich kokpitach dodatkowo kryli się oni jeszcze za osłonami przeciwsłonecznymi swoich hełmów. „Nigdy nie widziałem oczu żadnego z pilotów” – przyznał Brian Walrath, który z luku ładunkowego miał okazję oglądać jedynie widok ich karków wystających znad kanciastych zielonych siedzeń oraz dłoni w rękawiczkach, sprawnie obsługujących pokładowe przyrządy.

Większość pilotów wykazywała się fantazją, dużymi umiejętnościami i beznamiętnością, równie mało dbając o życie innych jak o swoje własne. Australijski kapral Roy Savage, stojąc raz na płozach amerykańskiego hueya i pomagając wejść do środka ludziom ze swojego oddziału, zorientował się w pewnej chwili, że wznosi się do góry. Widząc, jak ziemia ucieka w dół, poczuł narastające przerażenie, ale na jego szczęście wielki czarnoskóry strzelec siedzący w drzwiach maszyny chwycił go za parciany pas i wciągnął do środka. A chwilę później pilot śmigłowca obejrzał się przez ramię i krzyknął beztrosko: „Mało brakowało, a bym cię tam zostawił, stary!”[84]. Korespondent Neil Sheehan nieraz błagał z kolei swoich powietrznych szoferów o ostrożniejsze przelatywanie między palmami, z którymi piloci obchodzili się zwykle bardzo obcesowo, wyrąbując sobie prześwit między nimi za pomocą siedemnastometrowych wirników[85]. Co zdumiewające, zazwyczaj uchodziło im to na sucho, choć niektórym nie dopisywało szczęście i maszyna w końcu odmawiała im posłuszeństwa.

Jeden pilot hueya musiał pełnić służbę dla tysięcy żołnierzy. Dan Hickman po raz pierwszy usiadł za sterami helikoptera jako dwudziestolatek w roku 1967 i już wtedy wiedział, że będzie to miłość jego życia. Dorastał na plantacji tytoniu w Karolinie Północnej, „gdzie

mój tato posłał mnie do szkoły komandosów”[86]. Pierwszego dnia w Forcie Walters w Teksasie pułkownik dowodzący szkołą zwrócił się do dwustu kadetów słowami: „Połowa z was się wykruszy. Jeden padnie trupem jeszcze tutaj. A pozostałych dziewięćdziesięciu dziewięciu pojedzie do Wietnamu”. Pięć kolejnych miesięcy upłynęło im na szkoleniu u Waltersa, podczas którego każdy z nich musiał wylatać 120 godzin na lekkich treningowych maszynach Hughes, zanim pozwolono im przenieść się do Savannah, gdzie czekały na nich wielkie tysiąctrzystakonne hueye. Hickman powiedział: „On był ogromny i potężny, a przy hughesie wyglądał jak olbrzym – robił niesamowite wrażenie. Nauka latania na helikopterze jest jak nauka jazdy na rowerze: z początku czujesz się mocno niepewnie, a potem nagle wszystko zaskakuje”. Ta przesiadka wiązała się jednak z pewnymi niebezpieczeństwami: „Nie był tak zwinny jak LOH czy OH-6. Jeśli wykonywało się zwrot pod wiatr na niskim pułapie, lepiej było od razu potem nie nawracać w lewo, bo można było skończyć na ziemi. A jeśli traciło się moc na wysokości 150 metrów, miało się jakieś osiem sekund na to, by coś z tym zrobić”. Po czterech miesiącach spędzonych w Savannah przez kolejny miesiąc Hickman przechodził kurs taktyczny, podczas którego poznał cały śmiercionośny zestaw wyposażenia i uzbrojenia helikopterów.

Podczas tych wszystkich szkoleń i kursów przerażała go tylko jedna perspektywa: taka, że wojna w Wietnamie skończy się, zanim zdąży się na nią załapać. Rzecz jasna były to próżne obawy. Hickman przyleciał tam we wrześniu 1968 roku i trafił na placówkę w Di An, niedaleko Tay Ninh. Ucieszyło go, że znalazł się wśród ludzi w oczywisty sposób wiedzących, co robią, ale zarazem drażnił go pośpiech, z jakim z miejsca posłano go do walki. Dowódca powiedział tylko: „Możesz spać na tej pryczy, o tutaj. A jutro, jeśli ci to pasuje, masz pierwszą misję”. Cóż, w sumie mu pasowało. „Możesz polecieć jako drugi pilot cobry z misją ratunkową”. Następnego ranka, kiedy Hickman szykował się do wylotu w towarzystwie swoich nowych kolegów, mimowolnie usłyszał ich toczoną luźnym tonem rozmowę: „Zabiłeś kogoś wczoraj?”. „Taaa, trzech”. Przez głowę przemknęło mu tylko: „Przecież ci goście to świrusy!”.

Później zdarzało się czasem, że spędzał w powietrzu po 13 godzin dziennie: „Zawsze latało się przeciążoną maszyną, a szczególny problem stanowiły lądowania, bo tuż nad samą ziemią wirniki wzbijały ogromne tumany kurzu, które niczym gęsta brązowa mgła przesłaniały widok w dół. Trzeba było uporczywie wpatrywać się w pleksiglasową szybę pod stopami, by dostrzec jakikolwiek pojawiający się prześwit". Mimo takich komplikacji latanie w Wietnamie sprawiało mu ogromną przyjemność, bo nie ograniczały go żadne poważne przeszkody na ziemi, w rodzaju linii wysokiego napięcia i podobnych rzeczy. Wiele lat później, w roku 2004, kiedy Hickman dochrapał się stopnia generalskiego i poleciał ze swoją jednostką Gwardii Narodowej do Iraku, prawdziwym szokiem było dlań odkrycie, że armia straciła jakąkolwiek zdolność do podejmowania ryzyka: „To odbierało wojnie całą frajdę".

W jego jednostce kawalerii powietrznej znajdowało się dziesięć lekkich maszyn OH-6 służących do obserwacji i uzbrojonych tylko w sześciolufowy obrotowy karabin maszynowy, sześć transportowych UH-1 wyposażonych w karabiny maszynowe M-60, montowane w drzwiach i mogące wystrzeliwać do 550 sztuk amunicji na minutę, dziesięć helikopterów bojowych Cobra, a wreszcie jeden pluton powietrznodesantowy. Latało się albo na wysokości 450 metrów, albo tuż nad ziemią, dosłownie ocierając się o wierzchołki drzew i przeskakując nad zabudowaniami. „Nasze życie zależało od naszego refleksu – dlatego nigdy nie wziąłbym do ust żadnych leków". Pełen zbiornik paliwa lotniczego wystarczał, by huey mógł spędzić w powietrzu 150 minut, później trzeba go było dotankować, zwykle „na gorąco", to jest podłączając go wraz z kilkunastoma innymi maszynami do ogromnych gumowych pęcherzy za pomocą długich węży, za to bez wyłączania silnika: w warunkach bojowych rzadko był czas, by potem ponownie go uruchamiać. Hickman przekonał się, że o helikoptery w Wietnamie dbano znacznie staranniej niż w szkole lotniczej: filtry silnika, łatwo zapychające się pyłem, sprawdzano po każdym dniu lotu, ponadto zaś wszystkie maszyny przechodziły pobieżny przegląd po 25 godzinach w powietrzu, a potem pełny po 100 wylatanych godzinach – ten ostatni trwał aż 8 godzin.

Codzienna dieta obejmowała jajka z proszku, wołowinę z kukurydzą, mleko z proszku i chleb razowy; wieczorem, jeśli tylko się dało, obowiązkowych było kilka kolejek w barze. Przed pójściem do łóżka Hickman pisywał do pewnej dziewczyny imieniem Carol, którą pozostawił w Savannah. Jako chorążemu przysługiwał mu żołd w wysokości 500 dolarów miesięcznie: podczas okresu R&R w Hongkongu udało mu się wydać 1700 dolarów w zaledwie cztery dni, częściowo na sześć garniturów, sześć par butów i jeden wielki zestaw stereo. W prysznicach leciała tylko zimna woda, a wczesnym rankiem nad obozem nieodmiennie unosił się znienawidzony przez wszystkich odór palonych nieczystości: tak „utylizowano", przy użyciu paliwa lotniczego, zawartość latryn z poprzedzającego dnia. Bardzo brakowało im amerykańskiego jedzenia, więc kiedy pewnego dnia usłyszeli o jakiejś knajpce w Sajgonie, w której podawano prawdziwe hamburgery, kilku z nich wybrało się w ryzykowną, pięćdziesięciokilometrową podróż do stolicy pojedynczym jeepem, byle tylko móc ich tam spróbować. Podróż przebiegła wprawdzie bezpiecznie, ale rachunek przyszedł nazajutrz: przez cały dzień wszyscy na przemian to wymiotowali, to spędzali całe godziny, siedząc na desce w latrynie. U Hickmana sensacje żołądkowe były tak potężne, że całkiem serio liczył się z możliwością zejścia z tego świata.

Pomijając żołnierzy piechoty, nikt w Wietnamie nie był bliżej centrum wydarzeń niż załogi hueyów. „Jeden gość miał hopla na punkcie zabijania" – wspominał Hickman, nie ukrywając zdumienia. Całkiem spora część jego kolegów ze szkoły lotniczej zginęła albo została ranna – łącznie w Wietnamie straciło życie 4 tysiące członków załóg helikopterów. Kiedyś zdarzyło się, że szef załogi Hickmana padł na pokład z hełmem strzaskanym od ognia nieprzyjaciela. Pilot był przekonany, że jego człowiek nie żyje, ale okazało się, iż kula ledwie drasnęła go w głowę. Podczas innej misji Hickman zawisł nad ziemią na tak niewielkiej wysokości, że przez okno kokpitu zdołał wrzucić granat do oddalonej o kilka metrów chaty. Po chwili dostrzegł jednak, że żołnierz pakujący rannych do luku maszyny osunął się na ziemię, najwyraźniej rażony wybuchem. Niewiele myśląc, szef załogi przestrzelił na wylot bok helikoptera ze swojej czterdziestki piątki,

a potem cała załoga, niczym psotni chłopcy, przystąpiła do wyginania brzegów zrobionej w ten sposób dziury do wewnątrz, tak by wyglądało na to, że strzelał do nich wróg.

„Moimi najlepszymi kumplami byli Jim Newman i Elmore Jordan, czarnoskóry chłopak z Waszyngtonu. Żartowaliśmy między sobą, że jeśli któryś z nas uzna, iż nie ma szans na przeżycie, wówczas wyrzuci swój portfel dla pozostałej dwójki". Pewnego dnia Hickman usłyszał przez radio, jak Jordan raportuje ogień na pokładzie swojej maszyny, a chwilę później, usiłując dolecieć do lądowiska, informuje grobowym głosem: „Straciłem całą hydraulikę". Jego szef załogi przeszedł do kokpitu pilotów, a za hueyem ciągnęła się gęsta smuga czarnego dymu. Wreszcie Jordan nadał przez radio ostatni komunikat: „Silnik też poszedł". Hickman pomyślał sobie wówczas ponuro: „Cóż, więc to Elmore jako pierwszy wyrzuca swój portfel". Chwilę później ich oczom ukazał się słup czarnego dymu wznoszący się zza pobliskiej linii drzew: znak, że huey roztrzaskał się tam, nie doleciawszy ostatecznie do lądowiska. Okazało się jednak, że Jordan w cudowny sposób przeżył: jego szef załogi wyskoczył z maszyny w chwili, kiedy uderzała ona o ziemię, a następnie podniósł się i pobiegł, by wyciągnąć z płonącego wraku obu pilotów. Przy innej okazji Jim Newman został postrzelony w szyję. I jemu jednak jakoś się wtedy upiekło, więc nie musiał wyrzucać przez okno swojego portfela.

„A pewnego dnia Jim mnie zestrzelił. Lecieliśmy na wyznaczone LZ, kiedy nagle zaczęto do nas strzelać. Powiedziałem do tych w cobrach: «Przywalcie im z bliska kilkoma rakietami». Po chwili usłyszeliśmy wielki hałas i dostaliśmy od Jima pociskiem, który przeleciał na wylot przez nasz pulpit sterowania. Jakoś udało nam się dolecieć do lądowiska i bezpiecznie na nim usiąść. Podszedłem do niego i powiedziałem: «Jak zestrzelisz jeszcze ze czterech z nas, zostaniesz asem lotnictwa u naszych wrogów»". Najlepszym pilotem w jednostce był Harley Goff, ale jego wielkie umiejętności nie uchroniły go od katastrofy w wyniku awarii układu napędowego. Goff uszedł z niej wprawdzie z życiem, ale od tamtej pory był już nie do poznania po złamaniu trzech z czterech kończyn i utracie wszystkich zębów – co tylko świadczyło o tym, jak ogromną rolę podczas wojny odgrywało zwykłe szczęście.

W każdym z hueyów szef załogi obsługiwał jeden z karabinów zamontowanych w drzwiach, a któryś z żołnierzy piechoty drugi z nich. „Oni byli moimi oczami" – wyjaśniał Hickman. Karabiny M-60 wymagały utrzymywania w idealnej czystości, w przeciwnym razie miały tendencję do zacinania się. Strzelec po lewej stronie musiał dodatkowo uważać na podmuchy wiatru, który potrafił porwać pas z amunicją i wyrzucić go na zewnątrz. Dla efektu psychologicznego Hickman polecił swoim strzelcom stosować nieprzerwanie pociski smugowe, wbrew instrukcji nakazującej układanie w taśmach po jednym naboju smugowym na pięć zwykłych. „Te smugowe dość szybko wypalały gwint lufy, ale podczas natarcia warto było zrobić wszystko, byle tylko wróg za bardzo się nie wychylał". Tak czy inaczej, Hickman dobrze zdawał sobie sprawę z tego, jak rzadko strzelcy helikopterowi w ogóle trafiali w wykryty cel, mierząc z niestabilnej platformy, przechylającej się raz na jedną, raz na drugą stronę.

Choć załadowane cobry i hueye miały ten sam maksymalny udźwig wynoszący około 4500 kilogramów, te drugie lepiej sprawdzały się jako śmigłowce bojowe, bo były cichsze i zwinniejsze, a przy tym mogły zabrać na pokład po 62 rakiety i po 4 tysiące nabojów do sześciolufowych karabinów maszynowych. Nigdy wcześniej w historii w walkach nie uczestniczyło tak wiele taktycznych helikopterów – i nigdy więcej już do tego nie dojdzie. „Zdarzało się, że podczas pojedynczej bitwy nad głowami żołnierzy latała ich jednocześnie ponad setka – powiedział Hickman. – Kiedy patrzyłeś, jak w powietrze wzbijała się grupa dziesięciu śmigłowców bojowych, w towarzystwie czterech maszyn eskortujących i jednego helikoptera dymnego – ten widok był naprawdę niesamowity". Duszny i upalny klimat Wietnamu nigdy zanadto nie przeszkadzał temu chłopakowi z Karoliny Północnej, który dorastał, nie korzystając z uroków klimatyzacji. Za to podczas nocnych akcji zrzucania flar mocno dawał się odczuć kontrast między ciepłym powietrzem na ziemi podczas startu a lodowatym zimnem na wysokości blisko 2 tysięcy metrów. Nie mówiąc już o tym, że same flary Mk24 o światłości miliona kandeli stanowiły bardzo ryzykowny ładunek. „Nie cierpiałem tych misji" – wyznał Hickman i trudno go za to

winić: kilka maszyn stracono tylko dlatego, że flary uległy samozapłonowi jeszcze w luku załadunkowym.

Huey przysłany po rannych żołnierzy 101. Dywizji Powietrznodesantowej podczas walk o wzgórze 937 („wzgórze Hamburger"), maj 1969 roku

Po chwilowym przestoju z zimy 1968 roku, kiedy to wróg na jakiś czas przestał się pokazywać, „od stycznia wojna wróciła na swoje dawne tory". Zdarzało się, że Hickman wylatywał na trzydniowe misje w kierunku granicy z Kambodżą, nocą kierując się na lądowiska tylko dzięki oznakowaniu ich beczkami wypełnionymi piaskiem i płonącym olejem. Spał wówczas na ziemi, przy swojej maszynie. Raz na jakiś czas tu i tam pojawiał się przypadkowy żołnierz WK, wystrzeliwujący w powietrze kilka pocisków smugowych, ale zwykle Hickman nie napotykał na swojej drodze żadnych większych przeszkód. Kiedyś jednak sprawy przybrały bardziej poważny obrót, a on i jego załoga mieli okazję doświadczyć uczucia, które sami określali mianem

„gorących wypieków" (*hot flushes*). Oto pewnej nocy wysłano ich na pomoc ocalałym z jakiegoś oddziału zwiadowczego, przyszpilonego na ziemi gęstym ogniem nieprzyjaciela. Krążący nad tym miejscem południowowietnamski samolot szpiegowski wezwano przez radio do wsparcia oddziału ogniem z powietrza, ale piloci maszyny VNAF odmówili zejścia na niższą wysokość. Oprócz maszyny pilotowanej przez Hickmana na miejsce poleciały dodatkowo dwa śmigłowce Cobra, tyle że nawet w dobrych rękach ich broń strzelała z rozrzutem jakichś 20 metrów, więc strzelanie po ciemku byłoby z ich strony zbyt dużym ryzykiem. Hickman spędził całą godzinę, krążąc nad uwięzionymi w dole ludźmi i starając się obmyślić jakiś plan wydostania ich stamtąd. Wreszcie sami zainteresowani zapalili lampę stroboskopową zamaskowaną hełmem jednego z nich, dzięki której nakierowali hueye na naprawdę niewielki prześwit między gęstymi koronami drzew w dżungli: w ten sposób Hickmanowi udało się uratować ocalałych rangersów. Innej nocy udało im się zatopić 23 sampany płynące od strony Kambodży: „Oznaczyliśmy ich pociskiem smugowym, a potem do akcji wkroczyły cobry, które spadły na nich z dużej wysokości i ostrzelały rakietami. Podczas odpraw mówiono nam, że wykańczamy więcej wrogów niż cała reszta 9. Dywizji Piechoty".

Spośród trzystu ludzi w jednostce na misje latało może ze czterdziestu lotników. O tym, kto dowodził, nigdy nie decydowała szarża: „Rzadko mówiliśmy do siebie «sir» – w większości byliśmy dwudziestoparoletnimi chłopakami starającymi się jakoś sobie radzić bez nadzoru dorosłych". Pewien oficer dowodzący jednostką osobiście starał się nigdy nie schodzić poniżej 600 metrów, a z kolei jego następca „był odważny, ale nigdy nie latał zbyt dobrze". Hickman ruszał na większość misji dziennych helikopterami Huey, a na nocne cobrami. Kiedyś podczas odprawy przed nocną misją ratunkową w celu uratowania zagubionego oddziału zwiadowczego zapytał on swojego dowódcę lotu: „Ale dlaczego właśnie ja?". Odpowiedź, którą usłyszał, mile połechtała jego ego: „Ponieważ masz największe szanse na to, by wrócić żywy". Co najmniej kilka maszyn, które stracili, rozbiło się o drzewa – „tak to właśnie bywa przy agresywnych młodych

chłopakach". Najmniej ludzi ginęło na śmigłowcach Cobra, najwięcej na LOH: „Oni walczyli w tej wojnie z wysokości 6 metrów".

Choć w ich jednostce zdarzały się nieporozumienia i pomyłki, a kilku pilotów poprosiło o przeniesienie do obowiązków naziemnych, to „większość ludzi potrafiła zebrać się w sobie i robić to, co należy". Hickman zachował przekonanie, że wojna w Wietnamie była do wygrania: „Ale w roku 1969 stało się już oczywiste, że albo wejdziemy do Wietnamu Północnego, albo możemy o wszystkim zapomnieć. Czułem się zdradzony przez ruch antywojenny. Uczestniczyła w nim banda szkolnych dzieciaków, które nie wiedziały nic o prawdziwym życiu. Ja wierzyłem w armię. Było w niej mnóstwo jednostek, które starały się robić wszystko tak, jak należało".

4. WIETNAMIZACJA

W pierwszych miesiącach prezydentury Nixona on sam i jego doradcy starali się za wszelką cenę znaleźć nowe sposoby podejścia do wojny. Sekretarz obrony Melvin Laird, były kongresmen z Wisconsin, powiedział Creightonowi Abramsowi podczas swojej wizyty w Sajgonie w marcu 1969 roku, że zmiana administracji zapewnia wszystkim pewien głębszy oddech: „Moim zdaniem mamy teraz trochę czasu (...). Musimy wypracować jakąś wewnętrzną linię polityczną, z którą moglibyśmy wyjść do narodu [amerykańskiego]". W dalszej części swojego wywodu sekretarz wyjaśniał, że musi powstać jakiś program, w ramach którego „zmniejszy się udział w wojnie Stanów Zjednoczonych, nie tylko pod względem liczebności wojska, ale również co do ponoszonych ofiar, nakładów materiałowych i wydatków w dolarach (...). Będę miał zapewne wiele pytań o stosowanie B-52"[87]. Zaalarmowany tą częścią jego wypowiedzi Abrams z miejsca zaczął uświadamiać sekretarzowi obrony zalety tej konkretnej broni: „Nie mamy nic, czym moglibyśmy odpowiedzieć im równie szybko i skutecznie (...). W zaledwie kilka godzin możemy załadować na nie dowolny ładunek i posłać go tam, gdzie tylko chcemy, w ilościach takich, jak chcemy"[88].

Bezprecedensowe znaczenie uzyskało wówczas stanowisko doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, co początkowo uszło uwadze zarówno mediów, jak i waszyngtońskiego establishmentu. Do czasu wyborów doktor Henry Kissinger postrzegany był raczej jako zwolennik republikańskiego rywala Nixona, Nelsona Rockefellera. Po nich zaś stał się najważniejszym instrumentem w rękach nowego prezydenta na polu polityki zagranicznej. Kissinger, wyznawca historycznej koncepcji *realpolitik*, po raz pierwszy wyartykułowanej przez Ludwiga von Rochaua w połowie XIX wieku, w dodatku niewahający się wzbogacać jej w razie konieczności o sporą dawkę cynizmu, osobiście nigdy nie uważał wojny w Wietnamie za możliwą do wygrania. W pełni podzielał też przekonanie Nixona, że niezależnie od słuszności sprawy sojuszniczej, wojna ta wymagała stanowczo zbyt wiele uwagi politycznej, środków materialnych i autorytetu moralnego, które Stany Zjednoczone winny były raczej angażować w obronę swoich żywotnych interesów w zupełnie innych miejscach. Ten błyskotliwy i charyzmatyczny człowiek potrafił wkraść się w łaski swojego pracodawcy – mimo otwartej niechęci tego ostatniego okazywanej zarówno Żydom, jak i intelektualistom – głównie dzięki okazywaniu mu bezwzględnej lojalności, a później również braku skrupułów, w czym dorównywał samemu prezydentowi. I choć z natury był on osobą twardą i zimną jak głaz, to zarazem potrafił doskonale imitować serdeczność i miłe usposobienie. Arthur Schlesinger napisał właśnie w tych pierwszych dniach prezydentury Nixona: „Bardzo lubię Henry'ego i bardzo go szanuję, choć nie mogę wyzbyć się obaw, że co innego mówi mnie, a co innego ma do powiedzenia [konserwatywnemu ideologowi] Billowi Buckleyowi”[89].

Szef personelu Białego Domu H.R. Haldeman zanotował kiedyś: „Henry słusznie zauważył, że najlepszą metodą działania prezydenta jest brutalna nieprzewidywalność”[90]. A przynajmniej takie postrzeganie nastawienia Nixona do wojny Kissinger starał się od samego początku zaszczepić w Hanoi. Uważał on bowiem, że Wietnamczyków z Północy udałoby się skłonić do kompromisu jedynie w razie „postawienia ich w obliczu przeszkód nie do pokonania na samym polu walki”[91]. Pierwszym krokiem do tego miało być

rozpoczęcie zmasowanych, choć potajemnych, bombardowań komunistycznych kryjówek i azylów przy użyciu superfortec B-52. Jak nie bez ironii odnotował Haldeman, w niedzielne popołudnie 16 marca, zaraz po powrocie z kościoła, Nixon wydał zgodę na bombardowania w Kambodży: „Historyczny dzień. K[issinger] podekscytowany, bo jego «Operacja Breakfast» wreszcie odpalona, o 2.00 po południu naszego czasu. A razem z K podekscytowany też i P[rezydent]". Podczas kolejnych trzech lat amerykańskie lotnictwo zrzuciło na nieszczęsny kraj Sihanouka łącznie 108 823 ton bomb. A kiedy załoga jednego z B-52 popełniła błąd i omal nie unicestwiła ludności pewnej kambodżańskiej miejscowości, z wizytą do niej udał się amerykański ambasador, który wszystkim ocalałym rozdał po banknocie studolarowym. Lotnika, który pomylił się w obliczeniach, ukarano grzywną w wysokości 700 dolarów.

Wznowienie przez komunistów agresywnych działań w ramach ofensywy Tet w roku 1969, podczas których ponad setka południowowietnamskich miast ucierpiała od ich punktowych ataków, do białości rozjuszyło Biały Dom. Nixon uznał to niemal za osobistą zniewagę, za gest mający pokazać, że Hanoi zamierza traktować go tak samo, jak traktowało Lyndona Johnsona. W ten oto sposób bombardowania stały się częścią zainicjowanej przez Kissingera „represyjnej dyplomacji". Niektórzy chcieli pójść jeszcze dalej: Rada Bezpieczeństwa Narodowego przedłożyła propozycję przeprowadzenia operacji „Duck Hook", czterodniowych intensywnych nalotów na Wietnam Północny, mogących obejmować również taktyczną broń nuklearną. Kissinger poinformował sowieckiego ambasadora Anatolija Dobrynina o rozważanej koncepcji operacji „Duck Hook", a w lipcu Nixon napisał osobisty list do Ho Chi Minha, grożąc w nim zastosowaniem „środków o wielkiej konsekwencji i sile", jeśli Hanoi nie zechce dojść do porozumienia. 13 października 1969 roku zainicjował on nawet nuklearny alert, stawiając na nogi amerykańskie siły na całym świecie, tylko po to, by przekonać blok komunistyczny, że jest przywódcą skłonnym posunąć się naprawdę daleko i działać bardzo agresywnie – a nawet niebezpiecznie – kiedy tylko uzna, że go do tego zmuszono. Tyle że Rosjanie ledwie zauważyli ten alert, a wietnamski przeciwnik nie wydawał się przejmować ani tą, ani żadną z innych

próbą zastraszenia go przez prezydenta. W Hanoi postrzegano Nixona nie jako szaleńca, lecz jako racjonalnego polityka, który z całą desperacją ucieka się do wszelkich możliwych środków, byle tylko ukryć przed światem już nawet nie samą porażkę Ameryki, ale konieczność otwartego przyznania się do niej.

Ponieważ zwykło się tak często mówić o „geniuszu" Kissingera, warto w tym miejscu podkreślić, że przyjęte przezeń, a także przez Nixona, założenie, iż droga do pokoju wiedzie przez Moskwę, okazało się z gruntu fałszywe. Jesienią pierwszego roku sprawowania urzędu prezydent oświadczył Dobryninowi: „Proszę to dobrze zrozumieć: Związek Sowiecki będzie się musiał ze mną męczyć jeszcze przez następne trzy lata i trzy miesiące (...). A my nie będziemy się biernie przyglądać, jak nas powoli zamęczają na śmierć w Wietnamie"[92]. Tyle że sami Sowieci czuli wówczas bezustanną frustrację, widząc, jak niewielki wpływ na Hanoi dają im coroczne działania pomocowe w wysokości pół miliarda dolarów. Jeszcze zanim Pham Van Dong poleciał do Moskwy w roku 1970, sowiecki ambasador w Hanoi usilnie uświadamiał Wietnamczykom, że jest życzeniem Rosji, by delegacja Północy na rozmowy pokojowe w Paryżu zaczęła okazywać „więcej konstruktywności (...) i więcej szczerości"[93]. Na próżno strzępił sobie język.

Z kolei poszukujący wszelkiego rodzaju środków nacisku na komunistów Biały Dom szybko zdał sobie sprawę z tego, że wszystkie one i tak będą sprzeczne z nadrzędnym imperatywem polityki wewnętrznej, to jest zredukowaniem zaangażowania wojskowego Stanów Zjednoczonych. Kissinger otrzymał zatem zadanie przekonania członków RBN, a być może również siebie samego, że tego rodzaju działanie nie będzie pozostawało w sprzeczności z pozostałymi elementami polityki zagranicznej tej administracji. Jak argumentował, ograniczenie liczby żołnierzy „poprzez zapewnienie bardziej trwałej obecności Stanów Zjednoczonych może stać się kolejną formą wywierania presji". Był to oczywisty nonsens, choć Kissinger niewątpliwie miał rację, stwierdzając, że jego naród nie może po prostu ot tak wyjść sobie z Wietnamu Południowego, „zupełnie jakbyśmy odchodzili od wyłączonego telewizora"[94].

Choć zarówno Nixon, jak jego doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego nie darzyli sekretarza obrony specjalnym szacunkiem, to właśnie Melvin Laird wyartykułował decydującą, nawet drastyczną zmianę polityki amerykańskiej, a przy tym nadał jej nazwę, która miała już do niej przylgnąć, mimo całej niechęci samych Wietnamczyków – wietnamizacja. Zgodnie z tą nową linią administracja winna odejść od dotychczasowej strategii, wdrożonej jeszcze w roku 1965, która przewidywała delegowanie wszelkich poważniejszych zobowiązań militarnych na Amerykanów. Zamiast tego MACV miała odtąd jedynie wspierać ARVN w jej własnej walce. 14 maja 1969 roku Nixon wygłosił telewizyjne orędzie do narodu, w którym zapewnił, że jest niezmiennie przywiązany do koncepcji zapewnienia narodowi wietnamskiemu możliwości swobodnego wyboru własnej przyszłości. Aby jednak mógł on tego dokonać, a przy tym by dało się zapewnić pokój, wszystkie obce wojska – zarówno amerykańskie, jak i AWP – powinny bezwzględnie wycofać się z Południa. Pierwszym krokiem w tym kierunku miało stać się wyprowadzenie z Wietnamu od 50 do 70 tysięcy żołnierzy amerykańskich. Biały Dom zadekretował też, dosłownie od zaraz, spadek liczby ofiar po stronie Amerykanów, choć to akurat zalecenie spełnić było o tyle trudno, że właśnie wtedy, w maju 1969 roku, trwała nadzwyczaj bezsensowna operacja „Apache Snow", to jest ciąg kolejnych natarć na górę Ap Bia – albo Wzgórze 937, lepiej znane jako wzgórze Hamburger – podczas której zginęło 72 żołnierzy ze 101. Dywizji Powietrznodesantowej, a kolejnych 372 zostało rannych, nie licząc strat doznanych przez ARVN, tylko po to, by amerykańscy dowódcy mogli zademonstrować swoją determinację do dalszej walki. Operacja ta przede wszystkim jeszcze bardziej wzmogła antywojenną gorączkę w ojczyźnie, a senator Edward Kennedy określił ją mianem „szaleństwa".

Wietnamizacja została ogłoszona oficjalnie 8 czerwca, podczas spotkania na Midway, na środku Pacyfiku, obu zainteresowanych prezydentów, Nixona i Thieu. Pierwszą transzę wojsk amerykańskich przewidzianych do wycofania ustalono na 25 tysięcy ludzi, a termin samego wycofania wyznaczono na sierpień. Konserwatywny publicysta Joseph Alsop porównał to działanie do cynicznego postępku Rosjanki

uciekającej saniami przed stadem wilków i wyrzucającej z nich swoje dzieci, by w ten sposób odwrócić uwagę wygłodniałych zwierząt[95]. Creighton Abrams podczas posiedzenia RBN we wrześniu 1969 roku, w którym brał udział również Nixon, nie ukrywał z kolei swojej konsternacji: „Wszędzie tam, gdzie jesteśmy obecni w Wietnamie Południowym, stało się tak wyłącznie dzięki zastosowaniu brutalnej siły (...). Po zniknięciu tej siły sytuacja zmieni się diametralnie”[96]. Jak się wydaje, Abrams już w roku 1969 jasno dostrzegał to, co historyk Ken Hughes opisał dopiero wiele lat później: „Wietnamizacja nie była strategią przyjętą przez Nixona na poważnie; chodziło raczej o pewne oszustwo, które z całą premedytacją popełnił”[97]. 19 listopada Melvin Laird powiedział przed senacką Komisją do spraw Stosunków Zagranicznych, że przed wprowadzeniem tej nowej polityki skonsultowano ją z rządem w Sajgonie. Mijał się z prawdą, podobnie jak Kissinger dokładnie w tej samej kwestii: Thieu został o wszystkim poinformowany dopiero po tym, jak sprawa była już przesądzona.

4 sierpnia w Paryżu Kissinger przystąpił do tajnych i, jak miało się okazać, niekończących się negocjacji z delegacją północnowietnamską. Averell Harriman, wciąż formalnie przewodniczący stronie amerykańskiej, już wcześniej stracił jakąkolwiek nadzieję na osiągnięcie sukcesu w sytuacji, w której kolejne administracje nie chciały odstąpić ani od popierania reżimu Thieu ani od utrzymywania wojska na Południu. A Kissinger nie dysponował żadną inną kartą przetargową. Sam również sprzeciwiał się jednostronnym redukcjom liczby żołnierzy, zdając sobie sprawę, że w ten sposób nie zmusi się komunistów do żadnych poważnych ustępstw. Tyle że doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego – przynajmniej na tamtym etapie wydarzeń – nie miał żadnego wpływu na kształtowanie polityki wewnętrznej swojej administracji, wobec czego jego argumentację po prostu zignorowano.

Przez krótki czas Kissinger łudził się, że śmierć Ho Chi Minha 2 września zachwieje pewnością siebie, stabilnością i morale Wietnamu Północnego. Tak się oczywiście nie stało i stać nie mogło, bo choć powszechnie opłakiwano go jako ojca założyciela swojego kraju, to przecież już od dawna przestał on mieć jakikolwiek znaczący wpływ na

jego bieżącą politykę. Nie sposób kwestionować wielkości tego człowieka, mierzonej jego udziałem w przełomowych wydarzeniach historycznych. Niemałą część swoich sukcesów zawdzięczał on urokowi osobistemu, nienagannym manierom i wielkiej godności, za którym umiejętnie skrywał swoje prawdziwe oblicze. Tak naprawdę, jak to bywa ze wszystkimi skutecznymi rewolucjonistami, Ho charakteryzował się przede wszystkim absolutną bezwzględnością i minimalną empatią, a stworzony przezeń system, któremu przewodził od roku 1954, polegał głównie na okrucieństwie, szerzeniu ubóstwa i pozbawianiu rodaków wolności osobistej.

Władza Le Duana zyskała już teraz status absolutny. Po klęsce ofensywy Tet nie spodziewał się on militarnego zwycięstwa przed opuszczeniem Wietnamu przez Amerykanów. Był za to przekonany, że jego naród jest silniejszy od narodu wroga, a przekonanie to jeszcze umocniło się po wydarzeniach z 15 października, kiedy to przez całe Stany Zjednoczone przetoczyła się ogromna fala antywojennych demonstracji pod hasłem doprowadzenia do moratorium w Wietnamie – jej punktem kulminacyjnym był stutysięczny wiec protestujących w parku Boston Common. Jedynym osiągnięciem ludzi Nixona prowadzących rozmowy w Paryżu stało się w tej sytuacji wymuszenie na Wietnamczykach z Północy zaprzestania tortur na amerykańskich jeńcach wojennych przetrzymywanych w Hanoi – choć wciąż mieli oni doświadczać głodu i innych niedostatków. Z drugiej strony Hanoi samo zaczynało już wówczas rozumieć, że konieczne będzie z jego strony zapewnienie pochwyconym jeńcom jakiegoś minimalnego standardu życia, skoro ich los już wkrótce w sposób oczywisty stanie się jednym z kluczowych elementów negocjacji. Zgodnie z dyrektywą ogłoszoną 10 czerwca NFW przemianował się na TRR – Tymczasowy Rząd Rewolucyjny – który natychmiast wyłonił ze swojego grona gabinet cieni, to jest przyszłych ministrów, na razie czekających głęboko w dżungli tuż przy granicy z Kambodżą. Działaczom oświadczono z kolei, że nawet po podpisaniu jakiegoś traktatu ze Stanami Zjednoczonymi „wojna będzie toczona w dalszym ciągu". Krótko mówiąc, nie rozważano żadnej innej opcji poza całkowitym zwycięstwem komunistów.

Abrams powiedział: „[Wróg] teraz (...) gromadzi jeszcze w i ę c e j środków, podczas gdy my je w y c o f u j e m y (...). Wystarczy tylko ta prosta konstatacja, by móc przewidzieć, że to on zacznie sobie odtąd radzić lepiej, my zaś gorzej”[98]. A porucznik Landen Thorne, pełniący teraz obowiązki powietrznego obserwatora artylerii z pokładu samolotu zwiadowczego L-19, ze zdumieniem dowiedział się, że właśnie obcięto mu dotychczasowy przydział amunicji do dział. Pomyślał sobie wtedy: „Jeśli chcesz wygrać jakąś wojnę, to powinieneś dostawać wszelkie potrzebne do tego środki”[99]. Trudno powiedzieć, by nie miał racji.

22
Przegrywanie na raty

1. HACZYK I DZIÓB PAPUGI

Jeszcze w marcu 1969 roku Creighton Abrams i jego szef wywiadu odbyli jedną z licznych konwersacji na temat możliwości – i prawdopodobieństwa – przeprowadzenia ataków na kryjówki komunistów w Kambodży. Brygadier Phil Davidson pozwolił sobie wówczas na następującą uwagę: „Ale przecież jeśli gołębie nie zostawiły suchej nitki na starym wyjadaczu Johnsonie – a tak było: na dobrą sprawę, całkiem przepędziły go z urzędu – to proszę tylko pomyśleć, co zrobiłyby z Nixonem, gdyby kiedykolwiek zdecydował się wejść do Laosu i Kambodży!”[1]. Tyle że rok później Henry Kissinger desperacko poszukiwał argumentów, którymi mógłby wzmocnić swoje stanowisko podczas tajnych negocjacji prowadzonych w Paryżu. Sam przecież powiedział: „Musimy być twardzi”[2]. 29 kwietnia 1970 roku siły sojusznicze, liczące w szczytowej fazie walk 19 300 Amerykanów i 29 000 Wietnamczyków, dokonały całej serii wypadów na przygraniczne terytoria Kambodży, nazwane od swojego kształtu na mapach Parrot’s Beak (Dziobem Papugi) i Fishhook (Haczykiem). Abrams nie ukrywał, że wśród jego ludzi brakowało jakiegoś specjalnego entuzjazmu dla tego rodzaju operacji: „Skłonienie amerykańskich żołnierzy do okazania bardziej ofensywnej postawy wymagało od nas trochę wysiłku”[3]. Jednocześnie przystąpiono do nowej ofensywy bombowej na terytoriach Wietnamu Północnego.

Do tych wypadów na terytorium Kambodży doszło w ślad za przewrotem wojskowym 18 marca, w wyniku którego władzę w Phnom

Penh przejęła wojskowa junta oficerów pod przywództwem generała Lon Nola, korzystając z faktu, że książę Norodom Sihanouk przebywał akurat z wizytą w Pekinie – jak na ironię po to, by prosić Chińczyków o wpłynięcie na Wietnamczyków z Północy, by ci ograniczyli nieco swoje operacje we wschodniej Kambodży, traktowanej przez nich bez mała niczym własne terytorium zależne. Hanoi w rzeczy samej poczynało tam sobie z równym lekceważeniem prawa międzynarodowego i kwestii moralności co Waszyngton: obie strony zupełnie nie zważały przy tym na interes samych mieszkańców Kambodży, którymi Wietnamczycy dodatkowo pogardzali. Wciąż nie ma żadnych dowodów na to, by Amerykanie byli bezpośrednio zaangażowani w przewrót dokonany przez wojskowych, a chaotyczna władza ekscentrycznego Sihanouka nad swoim małym, chaotycznym i ekscentrycznym państewkiem nigdy nie była specjalnie silna. Pewien człowiek Zachodu, który miał okazję wysłuchać radiowego przemówienia księcia, oskarżającego w nim jakiegoś rzekomego wietnamskiego oszczercę przy użyciu wyzwisk wykrzykiwanych przeszywającym falsetem, wyznał, że brzmiał on „nie tyle jak głowa państwa dążąca do dyplomatycznego odprężenia, ile jak jakaś uczennica oskarżająca swoją koleżankę o «faulowanie» podczas szkolnego meczu hokeja”[4].

Lon Nol i jego współspiskowcy kierowali się autentyczną odrazą i złością w związku z nieformalną okupacją wschodnich terytoriów ich kraju przez Wietnamczyków z Północy oraz sprowokowanych w ten sposób bombardowań tych terenów przez Stany Zjednoczone. Zaprzątały ich przy tym również nieco bardziej przyziemne kwestie: rodzina księcia Sihanouka przywłaszczała sobie bowiem tak wiele fruktów wynikających ze sprawowania władzy, że dla generałów pozostawało, w ich mniemaniu, stanowczo zbyt mało. Gdyby jednak Waszyngton oświadczył uzurpatorom zupełnie jasno, że nie poprze ich przyszłych rządów, wówczas niemal na pewno nie odważyliby się oni zaryzykować obalenia księcia. Tymczasem doszło do tego, że wysoki rangą działacz WK Tran Bach Dang, który dotarł do Phnom Penh z CBWP akurat tuż po przeprowadzeniu przewrotu, z niedowierzaniem i na własnej skórze przekonał się o tym, że on sam i jemu podobni,

dotąd przez lata poczynający sobie w Kambodży jak u siebie w domu, od teraz są tam na cenzurowanym. W ostatniej chwili udało mu się umknąć, w samej koszulce i szortach, by poszukać schronienia w ambasadzie kubańskiej, z której przez Szanghaj przerzucono go do Hanoi, gdzie zdążył na czas, by uczestniczyć w makabrycznym przywileju: dane mu było obserwować, jak sowieccy technicy odmrażają zamrożonego trupa Ho Chi Minha, by poddać go zabiegowi balsamowania[5].

Nowi władcy Kambodży zwrócili się o pomoc do Amerykanów. W odpowiedzi Waszyngton wysłał im dość broni i gotówki, by utrzymać reżim Lon Nola przez kolejnych pięć lat, ale wciąż zbyt mało, by umożliwić mu zdławienie własnego komunistycznego ruchu Czerwonych Khmerów, który niemal z dnia na dzień stał się poważną siłą militarną. Armia Kambodży, już i tak znajdująca się w rozsypce i dysponująca zaledwie 20 chirurgami, została szybko i okrutnie przetrzebiona. Do jesieni Czerwoni Khmerzy zagrażali już samej stolicy, Phnom Penh, w której w wyniku nieustającego napływu uchodźców z terenów objętych amerykańskimi bombardowaniami i komunistycznym terrorem mieszkało wówczas o dobre 2 miliony więcej ludzi, w większości dotkniętych skrajnym ubóstwem. Po zorganizowanej w dniach 24–25 kwietnia przy granicy Wietnamu i Laosu trójstronnej konferencji Pathet Lao, Czerwoni Khmerzy i Wietnam Północny ogłosiły połączenie sił w dalszej wspólnej walce. Przy wszystkich swoich wadach i ograniczeniach Sihanouk cieszył się olbrzymim prestiżem wśród własnego narodu. To właśnie sprawiło, że nawet po swoim obaleniu książę stał się dla komunistów całkiem przydatnym i poręcznym narzędziem.

Za tragedię, która dotknęła Kambodżę w kolejnych dziesięcioleciach, wspólną odpowiedzialność ponoszą Stany Zjednoczone i Wietnam Północny. A rozpoczęte tam walki szybko przerodziły się w krwawy i bezlitosny koszmar, nawet jak na standardy panujące w Indochinach już od roku 1945. Dziennikarz Jon Swain opisał swoje spotkanie z dwoma rannymi żołnierzami północnowietnamskimi, pochwyconymi przez kambodżańską armię w pobliżu Kompong Cham: „Ich postrzępione oliwkowo-zielone mundury były wysmarowane

mieszaniną błota i krwi. Zostali straszliwie okaleczeni, cierpieli okropne męki i skamleli niczym zwierzęta złapane we wnyki. Nagle, zorientowawszy się, że ktoś na nich patrzy, obaj poruszyli się, otworzyli oczy i spojrzeli na mnie w tym półmroku [z] intensywną nienawiścią". Swain poprosił jakiegoś kambodżańskiego majora o pozwolenie na zabranie ich obu do szpitala. Zagadnięty żołnierz w odpowiedzi tylko dźgnął ich w ranne miejsca laską i odparł: „Niech zdychają. My nie zapraszaliśmy ich do naszego kraju"[6]. Jednym z tych ludzi był oficer AWP, pułkownik Dao An Tuat. Swain przejrzał jego notes i zauważył w nim wyblakłą fotografię Ho Chi Minha, a także wykaligrafowany przez właściciela własną ręką wiersz:

Żyć to znaczy umieć poświęcić się dla ojczyzny,
Poświęcić się dla ziemi, dla gór i dla rzek,
To zacisnąć zęby, stojąc twarzą w twarz z wrogiem,
Żyć to nie tracić odwagi w obliczu smutku,
To umieć się śmiać w czasie, gdy wszystko nas złości (...)
Musimy opić się krwią naszych wrogów.

Tuat, który rzeczywiście niedługo potem umarł w cuchnącej chacie, był niewątpliwie zdeklarowanym komunistą; Kambodżańczycy oblali później jego ciało, podobnie jak trupa jego towarzysza, benzyną i podpalili je, a resztki wrzucili do Mekongu. Nie ma raczej wątpliwości, że gdyby losy tej wojny potoczyły się inaczej, ci sami Wietnamczycy z Północy – a już z całą pewnością nieopisanie brutalni Czerwoni Khmerzy – postąpiliby dokładnie tak samo z niepotrzebnymi im jeńcami, których sami schwytali.

Wracając zaś do wypadów wojsk amerykańskich i ARVN na terytorium Kambodży, to choć część amerykańskich żołnierzy ucieszyła się, że wreszcie podjęto inicjatywę, której potrzebę oni sami zgłaszali już od dawna, to w ich ojczyźnie sondaże pokazywały, że 60 procent społeczeństwa była im przeciwna, podobnie zresztą jak sekretarz stanu William Rogers. Nie zmieniało to faktu, że pozwoliły one przechwycić

całkiem niemałe ilości uzbrojenia i żywności zgromadzone w zajętych kryjówkach: podczas jednej z odpraw w MACV, przeprowadzonej 12 maja, Abrams usłyszał, że do owego dnia udało się pozyskać „6500 rocznych racji ryżu na żołnierza". Sam generał nie był już jednak tak entuzjastyczny, besztając swojego rozmówcę: „broń, którą się stamtąd przywozi, to tylko kupa s z m e l c u (...). Pańska narracja to tak naprawdę jedno w i e l k i e o s z u s t w o i tak właśnie zostanie to prędzej czy później określone (...). To doprawdy żałosne, że siedzimy tu wszyscy i zastanawiamy się nad czymś, co jest tylko dyskusją o jakichś zamkach na piasku"[7]. Jak to się nader często zdarzało, wywiad działał bardzo słabo – aby zachować tajemnicę, Wietnamczyków z Południa całkowicie wykluczono z systemu planowania. Choć AWP poniosła znaczące straty, to nie zdecydowała się ona na bezpośrednie starcie z napastnikami, wybierając zamiast tego opcję wycofania większości swoich sił na zachód.

Doug Ramsey więziony przez komunistów przyznał już później, że ówczesne amerykańskie wypady na terytorium Kambodży odbierał on jako „albo zapuszczanie się po omacku na zupełnie obcy i nieznany teren, albo cyniczną, oportunistyczną próbę odwleczenia porażki w Wietnamie, zamiast starań o odniesienie tam zwycięstwa (...), w dodatku bez liczenia się z kosztami dla Kambodży"[8]. Uważał on, że tego rodzaju interwencja miałaby być może jakieś uzasadnienie, jako racjonalny gambit, ze cztery albo pięć lat wcześniej, ale nie w roku 1970: „Poświęcaliśmy w ten sposób długofalowe żywotne interesy niewielkiego i odległego kraju, który wcześniej czynił dosłownie wszystko, by uniknąć zaangażowania się w konflikt indochiński, na rzecz mało istotnych i chwilowych interesów jednego czy dwóch pokoleń naszych własnych decydentów politycznych (...). Przyznaliśmy sami sobie zupełnie wyjątkowe prerogatywy, do których nigdy nie pozwolilibyśmy choćby dążyć innym narodom"[9].

U zarania operacji kambodżańskiej administracja zakładała, że będzie ona ograniczona zarówno w czasie, jak w przestrzeni – nacierające wojska miały nie zapuszczać się dalej niż 30 kilometrów od granicy i zakończyć swoje działania do czerwca. W orędziu telewizyjnym Nixon powiedział: „Dziś wieczorem jednostki

amerykańskie i południowowietnamskie zaatakują kwaterę główną całej komunistycznej operacji wojskowej w Wietnamie Południowym". Tyle że CBWP nie mieściło się w jakimś wielkim kompleksie budynków, jak to sobie najwyraźniej wyobrażał prezydent, ale raczej składało się z grupy swobodnie przemieszczających się ludzi, przy czym czołowi członkowie TRR regularnie zamieniali jedno skupisko chat na drugie, nierzadko poza wąskim przygranicznym pasem, za który mieli nie wychodzić żołnierze amerykańscy. Nic dziwnego, że Phil Davidson oświadczył ponuro Abramsowi 19 maja: „Myślę, że dla każdego jest już zupełnie jasne, iż CBWP przemieściło się, zanim jeszcze zdążyliśmy przekroczyć granicę"[10]. I tak rzeczywiście było: niemal dwa miesiące wcześniej komunistyczni przywódcy, przewidujący możliwość wykonania takiego właśnie uderzenia, przesunęli swoje obozy znacznie bardziej w głąb Kambodży. Działacze ruszyli na wcześniej przygotowane trasy ewakuacyjne, które przemierzali pod osłoną 7. Dywizji AWP. W ucieczce przeszkadzały im amerykańskie samoloty, ale jeszcze bardziej ulewne deszcze. Jeden z ministrów TRR napisał: „Nasze wysiłki zdwajała nie tylko desperacja ludzi uchodzących ze szponów bezlitosnego wroga, ale również obawa o przyszłe losy naszej walki"[11]. W gronie przywódców TRR była też doktor Duong Quynh Hoa, wówczas w siódmym miesiącu ciąży: pod wpływem stresu towarzyszącego ucieczce urodziła ona w drodze, przy akompaniamencie ognia artyleryjskiego i strzałów z ręcznej broni palnej. Dziecko przyszło na świat żywe i zdrowe, ale już kilka miesięcy później zmarło na malarię. Przywódcy dotarli ostatecznie do kambodżańskiego miasta Kratie bez ofiar w swoim gronie, choć Truong Nhu Tang przyznawał, że „cała ta sprawa nieźle nas wystraszyła, nie mówiąc już o wielu fizycznych trudnościach, przez które musieliśmy przejść"[12].

Tang uznawał zarządzoną przez Nixona wyprawę do Kambodży za „bezcenny prezent dla wietnamskiej rewolucji (...) [ponieważ] przyczyniła się do jeszcze większego oddalenia amerykańskich przywódców od swojego społeczeństwa, a w wielu zwykłych Amerykanach zasiała trwały sceptycyzm co do moralności postępowania ich rządu"[13]. Operacja ta miała stanowić jeden

z elementów „dyplomacji przymusu" postulowanej przez Kissingera, tyle że strategiczne straty zadane przeciwnikowi okazały się o wiele mniejsze od politycznych szkód poniesionych przez Nixona w kraju: doszło wówczas do dramatycznego nasilenia antywojennych protestów, a 4 maja 1970 roku podczas demonstracji na terenie uniwersytetu stanowego w Kent (Ohio) żołnierze Gwardii Narodowej zastrzelili czworo nieuzbrojonych studentów, z których dwójka nawet nie brała udziału w protestach, zranili zaś dziewięcioro innych. Dwóch kolejnych studentów zginęło z rąk policjantów podczas zamieszek na uniwersytecie stanowym w Jackson (Missisipi), a dwanaścioro innych odniosło poważne obrażenia.

Po tej kolejnej odsłonie starć w Indochinach ktoś w MACV postanowił skatalogować wszystkie niewątpliwie ściśle ze sobą związane, ale wciąż odrębne konflikty rozgrywające się w regionie i wyszczególnił: wojnę domową w północnym Laosie; działania bojowe prowadzone przez AWP w celu utrzymania kanałów logistycznych w południowym Laosie i Kambodży; wojnę domową w Kambodży; starcia przygraniczne z CBWP w Wietnamie Południowym; walki w Delcie; strefy wojny w centralnej i północnej części kraju[14]. Tymczasem daleko na południu lekarka Wietkongu doktor Dang Thuy Tram napisała: „Ten wściekły pies Nixon bezrozumnie podsyca walki (...). Och! Dlaczegóż w ogóle istnieją tacy straszni, okrutni ludzie, którzy pragną podlewać swoje złote drzewa naszą krwią? (...) Och, mój kraju! (...) Czy jakikolwiek kraj na świecie wycierpiał tyle, ile nasz? Czy jakikolwiek inny naród walczył równie odważnie, nieustępliwie i nieprzerwanie, jak my? (...) Ja wciąż pozostaję żołnierzem w tej walce. Staram się uśmiechać (...) nawet wtedy, gdy z nieba lecą na moją głowę pociski i rakiety (...) Pamiętam słowa Lenina: «Rewolucjoniści to ludzie o gołębich sercach». To właśnie ja"[15]. Rankiem 22 czerwca patrol z amerykańskiego 4. Batalionu 21. Pułku Piechoty usłyszał jakieś głosy i dźwięki radia, w którym nadawano wietnamską muzykę. Ostrzeżeni o tym inni członkowie tej samej jednostki napotkali nieco później czwórkę ludzi podążających w ich stronę szlakiem w dżungli. A ponieważ cała rzecz rozgrywała się w strefie zakazanej FFZ, w której wszelkich napotkanych ludzi z góry uznawano za wrogów, otworzyli do nich ogień z M-16: dwóch

komunistów padło trupem, ale dwóm pozostałym udało się uciec. Jak się okazało, wśród dwójki zabitych była odziana w czarną piżamę i sandały Ho Chi Minha dwudziestosiedmioletnia Tram. Znaleziono przy niej radio Sony, podręcznik medycyny, buteleczki z nowokainą, bandaże, zdjęcie jej ukochanego kapitana z AWP wraz z kilkoma napisanymi przezeń wierszami oraz jej osobisty dziennik.

Amerykańskie wypady do Kambodży w połączeniu z operacją „Menu" – tajnymi nalotami B-52 – przysporzyły AWP poważnych trudności logistycznych. Obie te inicjatywy nie okazały się jednak przełomowe dla losów wojny, jak oczekiwali tego Nixon i Kissinger: ten drugi zrzucał winę za to na amerykańskie lotnictwo, które nie potrafiło zablokować Szlaku Ho Chi Minha. Kongres początkowo okazywał Nixonowi i jego nowej administracji w Białym Domu całkiem spore względy, popierając postulowaną przez prezydenta determinację w okazywaniu stanowczości i nieustępliwości. „Wielki naród – jak deklarował on jasno i donośnie – nie może wycofywać się z wcześniej złożonych zobowiązań". Odwoływał się przy tym do znanego od dawna stanowiska rządu amerykańskiego, że porzucenie Wietnamczyków z Południa zasiałoby ziarno wątpliwości wśród wszystkich sojuszników Stanów Zjednoczonych na całym świecie. Melvin Laird wzmacniał ten przekaz, wyszczególniając cele stawiane sobie przez tę administrację: z powodzeniem przeprowadzić wietnamizację, zminimalizować straty wśród Amerykanów, kontynuować wycofywanie kolejnych partii wojsk, a wreszcie stymulować proces negocjacyjny.

Z biegiem tamtego roku, również pod wpływem niejednoznacznego wyniku operacji w Kambodży, coraz więcej Amerykanów zaczynało przebąkiwać o wyjściu z Indochin na dosłownie każdych warunkach, a nawet w ogóle bez oglądania się na jakiekolwiek negocjacje. Na czele kampanii przeciwko dalszemu finansowaniu wojny stali demokratyczni senatorowie Mark Hatfield z Oregonu i George McGovern z Dakoty Południowej. Ambasador Ellsworth Bunker po powrocie do Sajgonu z krótkiej wizyty w ojczyźnie raportował Abramsowi 23 maja: „Najbardziej przygnębiające wrażenie zrobiło na mnie to, że nawet część z tych ludzi, którzy dotąd dosyć silnie nas popierali – tu jako przykład wymienił on Deana Achesona – teraz mówi: «Cóż, jeśli ta

sprawa ma podzielić kraj, to nie jest tego warta»”[16]. W takich okolicznościach dziwić może nie to, że amerykańscy żołnierze stawali się jeszcze bardziej niechętni ryzykowaniu życiem, ale to, że część z nich wciąż jeszcze była na to gotowa.

Nixon i Kissinger znaleźliby może jakieś pocieszenie w fakcie, że druga strona konfliktu przeżywała wówczas swoje trudności, gdyby rzecz jasna cokolwiek w ogóle o tym wiedzieli. Zważywszy na rozbudowany amerykański aparat wywiadowczy, wciąż trudno nam pojąć, dlaczego Waszyngton tak słabo znał i rozumiał różne sprawy dotyczące Wietnamu Północnego, a już zwłaszcza politbiura w Hanoi. CIA polegało w tym względzie niemal wyłącznie na brytyjskiej stacji SIS zlokalizowanej w ich konsulacie generalnym w Hanoi, a prowadzonej wówczas przez niesamowitą Daphne Park, która co dwa miesiące składała wizyty w Sajgonie, by tam poinformować o wszystkim swoich „kuzynów”. Brytyjczycy nie byli jednak w stanie stworzyć własnej siatki agentów ani wysyłać kodowanych telegramów czy dysponować własnym nadajnikiem radiowym. Mogli za to, z czego w szerokim zakresie korzystali, swobodnie rozmawiać z dyplomatami z krajów Europy Wschodniej, w tym zwłaszcza z ambasadorem sowieckim – a sama Park doskonale władała zarówno rosyjskim, jak i francuskim. Kiedy Amerykanie poprosili SIS o pomoc w obsłudze skrzynki kontaktowej, spotkali się ze stanowczą odmową: personel konsulatu był pod stałą i ścisłą obserwacją[17]. Brytyjczycy praktycznie nie mieli też dostępu do czołowych przywódców reżimu północnowietnamskiego, choć raz zdarzyło się, że wpadł do nich bez zapowiedzi jeden z członków politbiura, który przegadał potem z nimi 6 kolejnych godzin na balkonie konsulatu.

Któregoś dnia na lotnisku w Bangkoku pewien brytyjski wykładowca akademicki spotkał Park wracającą właśnie na placówkę z krótkiego urlopu: jak napisał, siedząc na stercie toreb z zakupami, wyglądała ona „jak stuprocentowa Angielka, niczym panna Marple u Agathy Christie”[18]. Zapytał ją, czy w tych torbach, które ze sobą wiezie, znajdują się zapasy dla SIS. „Ależ nie – odparła z uśmiechem – to wszystko dla ludzi z misji wschodnioeuropejskich, którym zupełnie nie pasuje wietnamskie jedzenie”. W swojej pożegnalnej depeszy wysłanej

w październiku 1970 roku Park opisała, jak wraz ze swoim jedynym kolegą z pracy dniami i nocami przemierzała dziesiątki kilometrów ulicami Hanoi, uciekając przed gromadami dzieciaków, wykrzykujących za nimi: *„Lien Xo!”* – „Rosjanie!” – a nierzadko wymierzających im też bolesne kuksańce i złośliwie podszczypujących. Zrelacjonowała też, jak we dwójkę przyglądali się Wietnamczykom „zgromadzonym wokół swojego rodzinnego koszyka ustawionego na chodniku i jedzącym ryż albo kładącym się do snu. W najgorętszych miesiącach tak młodzi, jak starzy całymi gromadami rozkładali się na noc albo na schodach wiodących do Ministerstwa Handlu, albo w drzwiach domów, albo wprost na chodniku, wszędzie, byle nie w dusznych podwórkach czy w pomieszczeniach mieszkalnych, gdzie jednej rodzinie przysługiwał jeden pokój. Podczas snu opadają ich szczury, walczące między sobą o resztki pożywienia, a czasami topiące się w wodzie spływającej do otwartych betonowych schronów (...). Szczurów nie brakuje nawet w kinach”[19].

Julian Harston, inny oficer SIS, wyjaśniał, jak próbowano oszacować wielkość ostatniego poboru, zliczając zużyte strzykawki stosowane do szczepień, znalezione w koszach na śmieci przed wojskowym szpitalem[20]. Miejscowy personel konsulatu przyjmował czasem od ludności niewielkie podarki, a o ubóstwie i jednych, i drugich świadczyć mógł fakt, że były wśród nich zestawy do naprawy rowerów, żyletki, aspiryna – a nawet puste butelki. Jak jasno widać, twardych danych wywiadowczych było generalnie bardzo niewiele, choć, co samo w sobie interesujące, pod koniec 1970 roku Daphne Park należała do tych, którzy przeczuwali, że reżim północnowietnamski przeżywa duże trudności.

Kiedy Chińczycy podjęli decyzję o wycofaniu swojego personelu – choć nie przerwali zarazem dostaw sprzętu i zaopatrzenia – w poważnym stopniu nadwyrężyło to prestiż Le Duana i Le Duc Tho, wiernych wyznawców maoizmu. Na styczniowym XVIII Plenum Komitetu Centralnego podjęto uchwałę, że kraj „musi odpowiedzieć na ataki wroga nie tylko oporem zbrojnym i aktywnością polityczną, ale również dyplomacją”. Ta dość ogólnikowa formuła wcale nie oznaczała jakiegoś zwrotu na szczytach władzy – jeśli nawet w Hanoi były jakieś gołębie, i tak nigdy nie ośmieliłyby się one wzbić do lotu – raczej

odzwierciedlała ona narastającą wśród Wietnamczyków z Północy tęsknotę za pokojem. Między politbiurem w Hanoi a komunistami na Południu zaczynało dochodzić do coraz większych napięć. Niektórzy z ministrów TRR, tacy jak Truong Nhu Tang czy Nguyen Van Kiet, znaleźli się pod ostrzałem „proletariuszy" z Hanoi za swoje burżuazyjne pochodzenie. Ranny Tang napisał: „Wielu z nas wywodziło się z zamożnych rodzin i nawykło do dobrego życia przed wkroczeniem na drogę rewolucji. Nasze motywacje były różne, ale wszyscy uważaliśmy, że poświęciliśmy już całkiem sporo dla sprawy naszego narodu, a byliśmy w stanie poświęcić dla niej dosłownie wszystko"[21]. Tang przyznawał wprawdzie, że nigdy nie uważał się za komunistę, ale dodawał jednocześnie, że „od 1920 roku jedynym sojusznikiem wietnamskiego nacjonalizmu niezmiennie pozostawał Komintern. Ho Chi Minh zaakceptował jego wsparcie, tak jak tonący przyjmuje każdą wyciągniętą doń rękę"[22]. Tang był zarazem coraz bardziej zaniepokojony ideologicznym rygoryzmem prezentowanym przez Le Duana i jego towarzyszy, czemu dał wyraz, pisząc: „Poświęcili oni sumienie i pragmatyzm na rzecz prawd objawionych swojej politycznej religii. A ich stalowa arogancja nie pozostawiała miejsca na żaden kompromis"[23].

W armii północnowietnamskiej brakowało ludzi do walki, czego skutki już wkrótce odczuło całe społeczeństwo: służba bezpieczeństwa przystąpiła do kolejnej fali prześladowań, tym razem za wyrażanie uczuć antywojennych. O tym, jak wielkie było zapotrzebowanie na rekrutów w szeregach AWP, świadczyć może fakt, że wcielano do niej wówczas nawet osoby takie jak trzydziestotrzyletni Nguyen Hai Dinh, przez dziesięciolecia traktowany jak wyrzutek, ponieważ był synem właściciela ziemskiego. Dinh chciał zrealizować w wojsku swoją jedyną życiową ambicję – zdezerterować na Południu: „Na Północy nie miałem niczego". Gdzieś w głębi serca marzył nawet, że kiedyś dostanie się do Ameryki. Na Szlaku, na który wymaszerował wraz z 28. Batalionem AWP, dane mu było doświadczyć standardowych trosk i niedostatków, za to wykazywał się tak wielką żarliwością w przyswajaniu sobie komunistycznej doktryny, że mianowano go pełniącym obowiązki oficera politycznego: „To wszystko miałem tylko w głowie, ale nie

w sercu. Każdy, kto myśli o sobie, ale chce jakoś przeżyć w społeczeństwie komunistycznym, musi stać się dobrym aktorem”[24].

Podczas jednego z nalotów bombowców B-52 Dinh doznał pęknięcia błony bębenkowej w uchu, aż wreszcie w trakcie zamieszania gdzieś na terytorium Kambodży udało mu się niepostrzeżenie odłączyć od swojej jednostki i ukryć w jakiejś pobliskiej szkole. 23 maja, powiewając białą szmatą, ostrożnie z niej wyszedł, by oddać się w ręce żołnierzy z amerykańskiej 25. Dywizji. Choć nie jadł nic już od dwóch dni, kiedy postawiono przed nim miskę z ryżem i puszkę mięsa, nie mógł przełknąć ani kęsa. Odesłany do ośrodka dla *chieu hoi* w Sajgonie czuł się tam niezręcznie w tłumie prostych wieśniaków, stanowiących zdecydowaną większość jego rezydentów: „Niektórzy z nich byli rzeczywiście antykomunistami, ale wielu innych po prostu miało już dość walki”[25]. Po przejściu rocznego kursu reedukacyjnego każdemu z nich przysługiwało sześć miesięcy wolności, ale potem wszyscy mieli zasilić szeregi ARVN. Tyle że Dinh nie miał najmniejszego zamiaru walczyć dla którejkolwiek ze stron. A ponieważ nie widział dla siebie żadnej szansy na emigrację do Ameryki, poprzez dalekie koneksje rodzinne wystarał się o przyjęcie do lokalnego seminarium katolickiego. Spędził w nim kolejne cztery lata, służąc jako ministrant przy ołtarzu i w teorii przygotowując się do przyszłej posługi kapłańskiej. Czytając Biblię, którą z czasem poznał na wyrywki i nawet polubił, z niejakim rozbawieniem zauważył, że jego seminarium zlokalizowane było w bezpośrednim sąsiedztwie domu szefa CORDS, Billa Colby’ego. Ale znacznie ważniejsze było dlań coś zupełnie innego: „Po raz pierwszy od 1954 roku wreszcie miałem dość jedzenia”. Dinh przytył dobrych 25 kilogramów, stając się jednym z nielicznych beneficjentów Nixonowskiej awantury w Kambodży.

2. TERROREM NA TERROR

Do roku 1972 już ponad 200 tysięcy byłych żołnierzy AWP i bojowników Wietkongu stało się *chieu hoi,* z czego większość z tych samych powodów, które kierowały Dinhem, to jest z chęci ucieczki od walk,

a nie ze względu na jakiś szczególny entuzjazm dla rządu w Sajgonie. Pewnego wieczora Frank Snepp z CIA, w towarzystwie swojego tłumacza, zabrał jednego z takich uciekinierów do któregoś z sajgońskich barów, pełnych roznegliżowanych dziewcząt i pijanych żołnierzy, licząc na to, że w takim miejscu łatwiej namówi go do współpracy. Komunista nie wydawał się jednak zbyt szczęśliwy i tylko mamrotał coś do siebie pod nosem. W końcu tłumacz, z niejaką niechęcią, przekazał Amerykaninowi jego słowa: „To był zły wybór. Przecież to nie mój świat". Snepp już nigdy więcej nie popełnił tego błędu i nie zabierał swoich „podopiecznych" na takie nocne wypady: „On nie chciał ani wina, ani kobiet, ani śpiewu. A to doświadczenie tylko utwierdziło go w przekonaniu, że nasza strona jest zbyt słaba, by móc wygrać"[26].

O wiele większą rolę w wykorzenianiu komunizmu na Południu odegrał jednak inny program, o kryptonimie Phoenix. Został on opracowany przez Williama Colby'ego jako program wywiadowczo-bojowy umożliwiający Wietnamczykom z Południa wychwytywanie bądź zabijanie kluczowych działaczy struktur komunistycznych. W okresie od 1969 do 1972 roku szefostwo tego programu przyznawało się do zneutralizowania 80 tysięcy takich ludzi, z czego jedną czwartą zabito. Phoenix dysponował tak zwanymi Prowincjonalnymi Jednostkami Zwiadowczymi obsadzanymi Wietnamczykami, które to formacje – w tym również pensje, wynoszące trzykrotność żołdu żołnierzy z ARVN – finansowano z budżetu CIA. Niektórzy Amerykanie utrzymują, że gdyby sojusznicy zdecydowali się na realizację takiego programu wcześniej, w odpowiedzi na polityczny terroryzm Wietkongu, wówczas losy tej wojny mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej. Kapitan marines Andy Finlayson uwielbiał okres służby w swojej PJZ, stacjonującej w willi CIA w Tay Ninh, gdzie stworzono im warunki do życia i jedzenia w stylu iście królewskim: „Wydawało mi się, że żyję w jednej z powieści Grahama Greene'a"[27]. Takim zespołom udawało się „organizować wywiad na poziomie lokalnym tak skutecznie, jak dotąd nikt jeszcze tego nie robił", a zebrane informacje wykorzystywały one do niszczenia komórek NFW. Frank Scotton zgadzał się, że Phoenix był skuteczny, „choć osobiście wolałbym mniej

śmiercionośne podejście”[28]. A PJZ szybko zdobyły sobie złą sławę ze względu na krańcową bezwzględność: oficer australijskich SAS Andrew Freemantle opisywał ich członków jako „absolutnych dzikusów (...), raz widziałem, jak używają sekatora, by odciąć komuś palec razem z pierścionkiem”[29].

Faktem jest, że kiedy ujawniono publicznie rozmaite okrucieństwa związane z programem Phoenix, okazały się one kolejnym gwoździem do trumny słabnącego poparcia dla wojny w Stanach Zjednoczonych. Zeznający przed senacką komisją w lutym 1970 roku Colby zaprzeczył wprawdzie, że była to operacja o charakterze kontrterrorystycznym, ale prawie nikt w to nie uwierzył. Frank Snepp zgadzał się, iż „rzeczywiście komuniści mocno ucierpieli”, ale też podkreślał: „Colby kłamał i kłamał, deklarując, że [program] Phoenix służył głównie do chwytania Wietnamczyków. Od samego początku był to program ich zabijania”. To prawda, Wietkong bez wątpienia dokonywał znacznie straszniejszych rzeczy: amerykański badacz Guenter Lewy twierdzi, że zbrojne (czy może raczej terrorystyczne) ramię NFW zwane Ban-an-ninh zabiło 36 725 Wietnamczyków, a uprowadziło 58 499 kolejnych – i obie te liczby wydają się wiarygodne. Tyle że Amerykanie bardzo chcieli wierzyć w to, iż ich strona zachowuje się lepiej. A do owych wierzących należał między innymi porucznik Bob Kerrey.

Kerrey, była gwiazda futbolu uniwersyteckiego z Nebraski, latem 1968 roku ze zrozumiałą dumą ukończył kurs umożliwiający mu zostanie członkiem elitarnego Team One (Oddziału Jeden) formacji SEAL w amerykańskiej marynarce wojennej. Mimo to po cichu marzył, by wojna w Wietnamie skończyła się, zanim zdąży na nią trafić: „Moje powody miały charakter osobisty, a nie geopolityczny (...). Po prostu wolałem nie jechać na tę wojnę, choć nigdy nie zamierzałem odmówić takiego przydziału (...). Moją prawdziwą, romantyczną ambicją było dowodzenie niszczycielem”[30]. I rzeczywiście, Kerrey przyjął służbę w Wietnamie, dodając, że „będzie tam służył z całym entuzjazmem”. W chwili lądowania wraz ze swoim plutonem w zatoce Cam Ranh na początku 1969 roku miał dwadzieścia pięć lat. Oficer dowodzący w tej bazie nie za bardzo nawet wiedział, co ma począć z przysłanymi mu komandosami SEAL. Ów młody porucznik wiedział za to jedno: jego

rolą było pomagać rządowi w Sajgonie w walce z komunistami, co umożliwiał wprowadzany właśnie program Phoenix, przewidujący eliminowanie przynajmniej części z nich. Z własnej inicjatywy Kerrey zaproponował organizowanie, z wykorzystaniem łodzi Swift, desantów na wschodnie wybrzeże, podczas których możliwe było prowadzenie patroli i zastawianie pułapek. W razie nienapotkania żadnego kontaktu komandosi przenosili się do Delty Mekongu, gdzie wyruszali na patrol z Cat Lo w te rejony prowincji Kien Hoa (obecnie Ben Tre), które kontrolował Wietkong. Aż wreszcie wywiad doniósł im, że określonego dnia komunistyczni działacze zamierzali spotkać się w Thanh Phong, jakieś 120 kilometrów na południowy wschód od Sajgonu, gdzie w dodatku przybywały dostawy zaopatrzenia dla WK. Kerrey i jego oddział przebywali w Wietnamie zaledwie od pięciu tygodni: Mike Ambrose, żołnierz mający już za sobą doświadczenia z poprzedniej zmiany, odradzał tego rodzaju operację – zwłaszcza że ich wietnamski zwiadowca i tłumacz był akurat na urlopie. Kerrey zdecydował jednak, że tam pojadą; w swoich późniejszych wspomnieniach napisał, że od szefa okręgu uzyskał zapewnienie, iż Thanh Phong leży w strefie FFZ.

Tamtej nocy, 25 lutego 1969 roku, komandosi SEAL popłynęli łodzią Swift wzdłuż jednego z kanałów do wyznaczonego wcześniej miejsca, odległego o jakiś kilometr od Thanh Phong. A kiedy doszli do pierwszego domu w wiosce, „nie wydałem rozkazu, by zacząć zabijać, ale też nie zakazałem tego, choć mogłem tak uczynić. Prawdę mówiąc, z tego, co się później stało, niewiele teraz pamiętam w sposób jasny i precyzyjny". Po wyeliminowaniu wszystkich osób znajdujących się w pierwszej z chat „byliśmy pewni, że w wiosce są uzbrojeni działacze, którzy teraz mają się na baczności. Mieliśmy wtedy do wyboru: wycofać się albo kontynuować przeszukiwanie domów w ciemnościach. Zanim zdążyliśmy podjąć jakąkolwiek decyzję, ktoś zaczął do nas strzelać od strony kobiet i dzieci, a w ten sposób znalazły się one w potrzasku krzyżowego ognia. Odpowiedzieliśmy własnym, silnym ostrzałem i przystąpiliśmy do wycofywania się. Widziałem, jak znajdujące się przed nami kobiety i dzieci dostają się pod kule i są rozrywane na strzępy. Słyszałem ich krzyki, a także inne głosy w ciemności podczas całego naszego odwrotu". Amerykanie udali się na spotkanie swoich

łodzi i wrócili nimi do Cat Lo w ciągu następnej godziny. Kerrey napisał później: „Nasze działania nie stanowiły niczego wyjątkowego w wojnie partyzanckiej, w której liczba ofiar cywilnych jest zawsze dosyć wysoka"; ale zarazem przyznawał: „Czułem się źle z tym, co zrobiliśmy"[31]. Nie przeszkodziło mu to jednak zeznać w oficjalnym raporcie z akcji przedłożonym marynarce, że wraz ze swoimi ludźmi zlikwidował 21 członków Wietkongu, za które to dokonanie przyznano mu Brązową Gwiazdę.

Zaledwie tydzień później oddział SEAL dowiedział się, że jeden z uciekinierów jest gotów poprowadzić Amerykanów do obozu grupy saperów biwakujących na wyspie Hon Tam, nieopodal Nha Trang. Wylądowali na miejscu w całkowitych ciemnościach nocą 14 marca 1969 roku, po czym podjęli wspinaczkę na ponadstumetrowy klif, która przebiegła zgodnie z planem. Wietnamski przewodnik poprowadził następnie Amerykanów do obozu wroga, w którym wszyscy wówczas głęboko spali. Kerrey zostawił tam na warcie czterech spośród swoich siedmiu ludzi, a pozostałych trzech powiódł na poszukiwanie kolejnych bojowników WK, których widziano w okolicy. Już kilka minut później napotkali idący z naprzeciwka oddział, a Kerrey zdążył wystrzelić zaledwie jedną serię, zanim został rażony wybuchem granatu. Upadł na plecy, wiedząc, że jest poważnie ranny. Szczególnie silny ból odczuwał w nodze, a kiedy tam sięgnął, poczuł, że jest ona niemal urwana. Jego ratownik medyczny sam oberwał odłamkiem w oko, więc nie za bardzo mógł pomóc Kerreyowi.

Podczas gdy nad głową wciąż gwizdały mu kule, a wokół dochodziło do kolejnych eksplozji, porucznik przewiązał sobie opaskę uciskową nad kolanem i nie bez trudu dźwignął się na nogi, by móc pokierować ogniem swoich ludzi. Kiedy strzelanina wreszcie ustała, zrobił sobie w nogę upragniony zastrzyk z morfiny, a jeden z komandosów z oddziału SEAL wcisnął mu między wargi papierosa Camel. Ich radiooperator wezwał helikopter medyczny, na który czekali w całkowitej ciszy, przerywanej jedynie odgłosami miejskiego życia dochodzącymi z Nha Trang, położonego po drugiej stronie wody. Kiedy śmigłowiec wreszcie się pokazał, jego załoga spuściła w dół nosze, na których ułożono, a następnie wciągnięto Kerreya. O świcie dotarł do

szpitala, oszołomiony i na wpół przytomny, nie do końca jeszcze świadomy faktu, że dla niego ta wojna, ale także jego krótka kariera w formacji SEAL, właśnie dobiegła końca, po zaledwie pięćdziesięciu dniach od jej rozpoczęcia.

Nieco ponad rok później ten małomówny chłopak z Nebraski znalazł się w gronie dwunastu weteranów, którzy pewnego poranka odbierali w Białym Domu od Richarda Nixona przyznane im Medale Honoru. Napisał on później, że czuł się wtedy bardzo niekomfortowo, bo choć prezydent powiedział im wszystkim, że są bohaterami, to do tamtego czasu postrzegał on już tę wojnę jako jeden wielki błąd. Niemniej jednak zgadzał się, że nie sposób było odmówić bohaterstwa „amerykańskim chłopcom skłonnym pojechać do tego dziwnego kraju i walczyć w nim o wolność ludzi, których ani nie znali, ani nawet nie rozumieli”[32].

Taką właśnie relację z wydarzeń przedstawił nam Kerrey, a opublikował ją już po tym, jak stał się osobą dobrze rozpoznawalną w całej Ameryce – byłym gubernatorem Nebraski, senatorem i kochankiem gwiazdy filmowej Debry Winger, o której wyraził się ze sporą dozą humoru: „Zwaliła mnie z nogi”. Ten oszałamiająco przystojny i ujmujący sposobem bycia bohater wojenny z czasem stał się działaczem ruchu antywojennego. Dopiero znacznie później miała wyjść na jaw skala zaników pamięci u Kerreya. W kwietniu 2001 roku „New York Times” opublikował wyniki przeprowadzonego wspólnie ze stacją telewizyjną CBS śledztwa w sprawie wydarzeń w Thanh Phong, znacznie różniące się od wersji rozgłaszanej już po latach przez Kerreya[33]. Po pierwsze, wykazano w nim, że twierdzenie, jakoby jego oddział nic nie wiedział o wiosce, którą miał zaatakować, było nieprawdziwe, jako że komandosi SEAL sami dokonali rozpoznania tego miejsca zaledwie dziesięć dni wcześniej. Co jednak znacznie ważniejsze, wszystko wskazuje na to, że doszło tam do systematycznego zabijania ludzi bez podejmowania żadnych prób odróżnienia wrogów od cywilów. Sam Kerrey powiedział dziennikarzowi „New York Timesa”: „Standardowa procedura operacyjna nakazywała pozbywanie się ludzi, z którymi nawiązywaliśmy kontakt”. W praktyce oznaczało to tyle, że żołnierze zadźgali ludzi znalezionych w pierwszej chacie, po to by narobić jak

najmniej hałasu. Kiedy zaś weszli do samej wioski, jak zeznał jeden z członków patrolu, urodzony w Niemczech Gerhard Klann, komandosi SEAL spędzili w jedno miejsce, po czym rozstrzelali kolejnych piętnastu mieszkańców, głównie kobiety i dzieci. Jako ostatnie zginęło pewne wrzeszczące niemowlę. Klann powiedział: „Wszędzie było pełno krwi i flaków". Inny komandos SEAL, William Tucker, powiedział dziennikarzowi „New York Timesa", że już w łodzi, podczas powrotu do bazy, odwrócił się do Kerreya i wyznał mu szczerze: „Wcale mi się to nie podoba", na co Kerrey miał odpowiedzieć: „Mnie też nieszczególnie"[34].

Inni członkowie patrolu zaprzeczali już jednak doniesieniom tej gazety, jakoby Wietnamczyków wymordowano bez żadnego istotnego powodu, upierając się, że słyszeli strzały dochodzące od strony wioski tuż przed rozpoczęciem masakry. Istniały zatem dwie wersje tych wydarzeń, aż wreszcie ujawniony został pewien raport sporządzony 27 lutego 1969 roku, w którym odnotowano, że przed oficerami armii amerykańskiej zjawił się jakiś leciwy Wietnamczyk domagający się zadośćuczynienia za rzekome okrucieństwa dokonane w Thanh Phong, a dokładnie za zabicie przez nieznaną liczbę Amerykanów 24 miejscowych ludzi, w tym 13 kobiet i dzieci. W tym samym wojskowym dokumencie stwierdzano ponadto, że na tamtym obszarze zanotowano w ostatnim czasie operacje oddziałów SEAL. Po skonfrontowaniu z tym nowym dowodem Kerrey wyznał: „To znacznie więcej niż wina. To ogromny wstyd. Nigdy, przenigdy nie uda mi się go zmazać. Sądziłem, że najgorsze, co może mi się przytrafić, to umrzeć dla swojego kraju, ale najwyraźniej się myliłem. Zabijanie dla swojego kraju może być znacznie gorsze". Podczas kariery politycznej Kerreya jego koledzy na Kapitolu nierzadko natykali się na tego rodzaju zagadki z jego przeszłości, których nie byli w stanie rozwikłać. Trzydzieści lat po tych konkretnych wydarzeniach w Wietnamie pojawiło się jednak ich prawdopodobne wyjaśnienie.

Szczegóły wydarzeń w Thanh Phong pozostają przedmiotem sporów, ale sam ich przebieg wydaje się jasny. Oto grupa narwanych komandosów pojawiła się w wiosce będącej niewątpliwie punktem przerzutowym zapasów dla WK, a leżącej na obszarze, o którym wiedzieli oni bardzo niewiele. Tam przyznano im licencję na zabijanie,

nierzadko nadużywaną przez siły specjalne, niezależnie od narodowości, we wszystkich wojnach świata. Oni sami wykorzystali ją do wymordowania cywilów, a następnie zaczęli kłamać w sprawie sposobu, w jaki do tego doszło. Z tak przedstawionej historii wynika jednak, że amerykańska marynarka odegrała w tej sprawie rolę nawet gorszą od samych żołnierzy, którzy zaatakowali wioskę. To ona najpierw dała formacji SEAL przyzwolenie na takie działanie, do jakiego ostatecznie doszło, a następnie przystąpiła do bezkrytycznego rozdawania odznaczeń, co zdaje się sugerować, że była bardziej zainteresowana ukazywaniem Amerykanów jako bohaterów niż odpowiedzialnym, by nie rzec: cywilizowanym, udziałem w operacjach prowadzonych przeciwko wrogowi.

Co więcej, operacje takie jak ta w Thanh Phong – a było ich znacznie, znacznie więcej – zbierały poważne żniwo polityczne i moralne. Wietkong również wykorzystywał swoje doskonałe lokalne sieci wywiadowcze do identyfikowania i eliminowania wrogów, nierzadko ze spektakularnym sadyzmem. Ale żaden z licznych wieśniaków spędzanych jako świadkowie na kolejny pokaz ścinania głów czy grzebania żywcem nie miał najmniejszych wątpliwości, dlaczego wyznaczonym ofiarom odbierano życie: wszystkie były przeciwnikami rewolucji. Tymczasem kiedy Amerykanie czy żołnierze ARVN zabijali cywilów, to choć bez wątpienia byli wśród nich komunistyczni działacze albo sympatycy tego ruchu – jak niemal z całą pewnością miały się sprawy również w Thanh Phong – likwidowano przecież nie tylko ich. I właśnie ten masowy charakter terroru inspirowanego przez Amerykanów, wynikający nierzadko z ich ignorancji co do tożsamości, nie mówiąc już o lojalności, wielu z tych, których eliminowano, przynosił nieodwracalne straty strategicznym celom prowadzonej przez nich wojny, w tym w szczególności jej moralnej legitymizacji.

Operacje oddziału SEAL dowodzonego przez Kerreya nadzorował z ramienia amerykańskiej marynarki wojennej kapitan Roy Hoffman, który na ścianie swojego biura powiesił specjalny wykres, rejestrując na nim kolejnych zabitych wrogów. Jak powiedział Kerrey: „oni chcieli od nas ofiar”[35], co należy rozumieć tak: admirałowie pragnęli wykroić dla siebie jakiś skrawek wojennego tortu, a przy okazji okryć się choć

w części bohaterską chwałą. „Nasza historia pojawiła się na forum publicznym zaraz po [wydarzeniach na] uniwersytecie w Kent, a marynarka uznała ją za dar z niebios”[36]. Kerrey utrzymuje też, że nosił się z zamiarem zwrócenia swojego Medalu Honoru, czując się niesłusznie zniesławionym w wyniku nowych doniesień o wydarzeniach w Thanh Phong, przedstawianych po roku 2001, ale zarazem dodaje: „Nie staram się o niczyje współczucie. W końcu przeżyłem”[37]. Wskazuje też całkiem słusznie, że niezależnie od tego, co zrobił albo czego nie zrobił jego oddział SEAL w Thanh Phong, łodzie patrolowe amerykańskiej marynarki bezustannie wypływały na szlaki wodne w Delcie, również poza strefami walk, by strzelać do wszystkiego, co się rusza, nie mówiąc już o śmierci zadawanej z pokładów amerykańskich samolotów i helikopterów. W tego rodzaju uwagach można wyczuć pewną niewypowiedzianą pretensję, że głęboko nieuzasadnione jest oskarżanie jego i jego ludzi za popełnione przez nich nadużycia w bliskim kontakcie z nieprzyjacielem w sytuacji, w której cała olbrzymia amerykańska machina wojenna bez opamiętania zabijała setkami i tysiącami, a nikt z kierujących tymi łodziami czy wysyłających na akcje samoloty nie został pociągnięty do odpowiedzialności, tak jak próbuje się to po latach uczynić w odniesieniu do niego samego.

Kiedy Andy Finlayson przesłuchiwał pewnego wysokiego rangą oficera AWP pochwyconego w Kambodży, ten wyjawił mu, że komuniści znajdowali się wówczas w poważnych tarapatach, również z powodu skuteczności programu Phoenix. Amerykanin zapytał go wtedy, czy oznaczało to, że wojska Hanoi były skazane na porażkę. Oficer tylko się uśmiechnął, potrząsnął głową, po czym odparł: „Jesteście daleko od domu i nie rozumiecie strategicznych uwarunkowań tego kraju. Wasz naród szybko się zmęczy, widząc, jak wciąż ginie coraz więcej Amerykanów, a wy nie osiągacie tu żadnych sukcesów. Wasz prezydent już zresztą powiedział, że będziecie się stąd zbierać. A my spokojnie zaczekamy, aż sobie pojedziecie, a wtedy zaczniemy przypuszczać atak za atakiem, atak za atakiem, dopóki ten marionetkowy reżim nie upadnie pod swoim własnym ciężarem. Nasze

zwycięstwo jest nieuniknione”[38]. Frank Snepp z CIA powiedział: „Z narastającą fascynacją prowadziłem kolejne przesłuchania [komunistów]. W pamięć zapadł mi zwłaszcza jeden z nich, który wydawał się bodaj najbardziej doskonale zdyscyplinowanym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Zdumiewała mnie też siła jego nienawiści do nas. Amerykanie nie są do tego przyzwyczajeni. Patrzyłem oto na kogoś, kto był w stanie poświęcić absolutnie wszystko, byle tylko osiągnąć swoje cele. Wywarło to na mnie olbrzymie wrażenie”.

W listopadzie 1970 roku Fred Weyand wziął udział w uroczystości przekazania ARVN swojej dotychczasowej kwatery głównej 25. Dywizji i – jak sam przyznawał – poczuł wówczas głęboki dyskomfort: „A zatem my się stąd zbieramy, a oni wcale nie są gotowi, by przejąć od nas stery. Ale cóż, odkąd zaczęliśmy się wycofywać, straciliśmy jakąkolwiek istniejącą dotąd przewagę nad Północą”[39]. Formacje milicyjne SR i SL doznawały strat nieporównanie większych nawet od swoich pobratymców z wojsk regularnych, odnotowując w roku 1970 aż 15 783 zabitych przy 5602 ofiarach w ARVN, przy czym w kolejnym roku proporcje te jeszcze się pogorszyły na ich niekorzyść. Siły zbrojne Wietnamu Południowego zajmowały pod względem liczebności czwarte miejsce na świecie, tyle że ich problemami wciąż były niewystarczające wyszkolenie i słaba wola walki.

Na domiar złego Amerykanów wydawało się opuszczać nawet zwykłe szczęście. Nixon starał się w każdy możliwy sposób zaakcentować swoje zainteresowanie losem jeńców wojennych przetrzymywanych na Północy, która to kwestia w coraz większym stopniu rozpalała emocje w kraju: do tego stopnia, że rodziły się obawy, iż część rodzin tychże jeńców może przyłączyć się do protestów ruchu antywojennego. Powodowany takimi pobudkami, w listopadzie 1970 roku wydał on zgodę na atak na więzienie Son Tay, leżące 32 kilometry na północ od Hanoi, w celu uwolnienia części Amerykanów, których podobno tam przetrzymywano. Ale przeprowadzony na trzy dni przed planowaną misją zwiad powietrzny wykazał, że cały ten kompleks stoi pusty – jeńców najprawdopodobniej przeniesiono już stamtąd gdzie indziej. Mimo to Waszyngton nakazał przeprowadzenie ataku z pokładu

helikopterów. Odbył się on w nocy z 20 na 21 listopada. Komandosi wrócili jednak z pustymi rękami.

Zwolennicy generała Creightona Abramsa twierdzą, że pod koniec roku 1970 szala wojny przechylała się już wyraźnie na stronę Amerykanów i tylko załamanie w polityce wewnętrznej uniemożliwiło pełne wykorzystanie tej świeżo osiągniętej dominacji na polu walki. Historyk Lewis Sorley, czołowy apologeta ówczesnego szefa MACV, napisał: „Walki jeszcze się nie skończyły, ale wojna była już w zasadzie wygrana”[40]. Nawet wśród samych wojskowych ostało się jeszcze kilku prawdziwych zwolenników tej wojny. Porucznik Mel Stephens[41] opuścił Wietnam pod koniec 1969 roku, odznaczony Srebrną i Brązową Gwiazdą, a także dwoma Purpurowymi Sercami, nie licząc wielu pochwał za wzorową służbę w licznych operacjach rzecznych prowadzonych przez amerykańską marynarkę wojenną. Po powrocie został on osobistym adiutantem admirała Buda Zumwalta, sprawującego funkcję szefa operacji morskich. A po odejściu z marynarki Stephens, wraz z Johnem Kerrym i kilkoma innymi weteranami, zaczął występować publicznie, zdecydowanie popierając zaangażowanie w Wietnamie, a nawet zeznając w tej sprawie przed senacką Komisją do spraw Stosunków Zagranicznych. Powiedział wówczas: „Moim zdaniem, to była dobra wojna. Ja sam zyskałem tam niezwykłe doświadczenia, a moje osiągnięcia bojowe otworzyły później przede mną wiele ciekawych możliwości. Wierzyłem w to, że wietnamizacja może się powieść i wszystko może się tam ułożyć, jak należy”.

Choć jednak prawdą jest, że sam Wietkong został drastycznie osłabiony, zarówno w wyniku programu Phoenix, jak i na skutek strat poniesionych na polu walki, to Wietnam Południowy mógłby doczekać się względnej stabilizacji pod kontrolą jakiegoś rządu o charakterze niekomunistycznym, choćby niespecjalnie kochanego przez społeczeństwo, tylko pod dwoma warunkami: gdyby zgodził się na to Wietnam Północny i gdyby naród amerykański nie zaczął okazywać ostentacyjnego rozczarowania całą tą kwestią. Na nieszczęście Nixona i jego administracji Le Duan i AWP stali się już do tego czasu równie stałymi elementami rzeczywistości jak monsuny czy skorpiony. Abrams

porównał kiedyś sytuację w Wietnamie do swoich wcześniejszych doświadczeń z lat 1944–1945, uskarżając się żałośnie, że Wietnamczycy z Północy byli „zupełnie jak Niemcy – jeśli dałeś im choć 36 godzin wytchnienia, to, na Boga, musiałeś znów zaczynać całą wojnę od początku”[42]. A w dodatku pod koniec 1970 roku generał musiał zabiegać o jakiekolwiek sukcesy na polu walki z o wiele mniejszą armią niż ta, z którą zaczynał: już 140 tysięcy amerykańskich żołnierzy zdążono bowiem wówczas odesłać do domu. A w Paryżu Kissinger zrezygnował ze swoich dotychczasowych żądań, by AWP również zaczęła wycofywać swoje siły w odpowiedzi na analogiczny ruch Amerykanów: najwyraźniej nawet on nie wierzył już w Świętego Mikołaja.

3. „LAM SON 719”

Jest prawdziwą ciekawostką, że choć Wietnam Północny był okrutnie zdyscyplinowanym społeczeństwem totalitarnym, to rządzili nim cywile. Za to Wietnamem Południowym, który w zamyśle miał stanowić demokrację, w pełni władali generałowie, niewykazujący jednak specjalnych talentów ani do polityki, ani do spraw wojskowych. Lewis Sorley, autor biografii Creightona Abramsa, czyni w niej odważne spostrzeżenie, że Nguyen Van Thieu „był z dużym prawdopodobieństwem człowiekiem uczciwszym i przyzwoitszym od Lyndona Johnsona, a biorąc pod uwagę różne okoliczności, w których przyszło im obu rządzić – zapewne również skuteczniejszym prezydentem swojego kraju”[43]. Na podobnej zasadzie zestawia on szefa sztabu ARVN w latach 1965–1975 generała Cao Van Viena z Earle’em Wheelerem, wyraźnie faworyzując tego pierwszego i argumentując, że był on „prawdopodobnie w mniejszym stopniu pomijany przy podejmowaniu kluczowych decyzji”. Tyle że Thieu wykazywał więcej energii i umiejętności w pozyskiwaniu zaufania i pomocy Amerykanów, głównie zresztą spełniając bez szemrania wszystkie ich życzenia, aniżeli w zabieganiu o poparcie swoich własnych rodaków. Vien z kolei wydawał się rzeczywiście dość

kompetentnym oficerem, ale jego pole działania mocno ograniczał sam prezydent, niezmiennie nalegający na mianowanie dowódców podług kryterium lojalności wobec niego samego, nie zaś na zasadzie kompetencji w kierowaniu wojskiem.

Wietnamizacja zrzuciła na barki obu tych mężczyzn, a także na krąg ich najbliższych podwładnych, niesłychanie wielki ciężar, bo oto nagle zostali oni zmuszeni do samodzielnego rządzenia krajem i samodzielnego prowadzenia wojny, zamiast postępować ściśle według wskazówek Amerykanów. Jak na ironię, dokładnie w tym samym czasie w Paryżu kwestionowano samą zasadność dalszego istnienia reżimu Thieu, a podczas rozmów toczących się między Wietnamczykami z Północy a Amerykanami – choć głównie tylko jednym Amerykaninem: Henrym Kissingerem – za to bez udziału żadnego przedstawiciela rządu w Sajgonie, choćby zaproszonego w celu zaprezentowania swojego stanowiska, komuniści zupełnie wprost i nie bez racji określali Thieu i jego współpracowników mianem „amerykańskich marionetek". Tymczasem, niezależnie od ocen, jakie można formułować na temat politbiura w Hanoi, warto zauważyć, że poza Białym Domem i konserwatywnymi mediami amerykańskimi nikt inny nie charakteryzował już wówczas Le Duana i jego towarzyszy jako zwykłych pachołków sowieckich albo chińskich.

Co wielce charakterystyczne, decyzja o poddaniu ARVN swoistemu chrztowi bojowemu poprzez błyskawiczne wdrożenie programu wietnamizacji podjęta została nie w Sajgonie, lecz w Waszyngtonie. Pomimo nikłych rezultatów wypadów do Kambodży w roku 1970 wciąż obowiązywał imperatyw utrzymywania militarnej presji na Wietnamczyków z Północy w celu zapewnienia sobie choćby minimalnej możliwości wynegocjowania z nimi jakichkolwiek ustępstw w Paryżu. Kissinger powiedział Arthurowi Schlesingerowi: „Dużo ostatnio myślałem o rezygnacji", ale zaraz potem dodał, że zaangażował się w coś, o czym nie może nic mówić, za to musi doprowadzić to do końca. Schlesinger słusznie założył, że musiało mu chodzić o tajne negocjacje. Z kolei o samym Nixonie tenże Kissinger wyraził się następująco: „To człowiek nieśmiały, który potrzebuje dużo wsparcia". Dodał też, że w obliczu zbliżania się terminu kolejnych wyborów w roku

1972 i narastania protestów antywietnamskich „[Nixon] miał dość poparcia, by wygrać, ale nie dość, by móc potem rządzić”[44].

Nowa inicjatywa Kongresu – a dokładniej poprawka Coopera-Churcha, przyjęta w grudniu 1970 roku – nałożyła na administrację zakaz używania amerykańskich wojsk lądowych poza granicami Wietnamu Południowego. Tymczasem wciąż nierozwiązany pozostawał ogromny problem powstrzymania napływu ludzi i zaopatrzenia Szlakiem Ho Chi Minha. W roku 1970 Wietnam Północny otrzymał przyspieszone dostawy rosyjskiego i chińskiego sprzętu wojskowego, których łączną wielkość szacowano na 2,5 miliona ton, w tym około 500 ciężarówek miesięcznie. MACV raportowała: „Wojna logistyczna w południowym Laosie i północno-wschodniej Kambodży wysuwa się obecnie na czoło jako kluczowy konflikt dla WK/AWP”[45]. Na początku 1971 roku dowódca 7. Sił Powietrznych generał Lucius Clay w taki oto sposób opisywał instrukcje przekazane mu przez Creightona Abramsa: „On chce, żeby Szlak Ho Chi Minha nabrał takiego kształtu, by nawet wrona musiała zabrać ze sobą racje żywnościowe, aby móc nad nim przelecieć”. Sztab Claya wskazał cztery wąskie gardła – to jest przełęcze Mu Gia, Ban Karai i Ban Raving, a także jeszcze jedno miejsce blisko DMZ, na zachód od tej strefy. Zainstalowano tam nowe sensory ruchu monitorowane przez drony zwiadowcze. Postanowiono też, że każde z tych wąskich gardeł będzie dzień w dzień, przez kolejnych sześćdziesiąt dni, celem co najmniej 27 misji bombowców B-52 i kolejnych 125 misji samolotów taktycznych dziennie. Bombardowania i deszcze faktycznie uczyniły całe odcinki Szlaku nieprzejezdnymi na długie tygodnie, ale mimo to AWP na Południu w dalszym ciągu jakoś otrzymywała zaopatrzenie i uzbrojenie wystarczające jej do kontynuowania walki.

Tymczasem w Kongresie coraz bardziej słabła wola dalszego finansowania wietnamizacji, a przy okazji po raz kolejny ograniczono liczbę misji przeprowadzanych przez amerykańskie lotnictwo – tym razem do 14 tysięcy miesięcznie, co stanowiło mniej niż połowę akcji dozwolonych w roku 1969. Pod koniec 1970 roku Nixon i Melvin Laird stanęli przed perspektywą finansowania całej wojny w kolejnym roku z budżetu w wysokości zaledwie 11 miliardów dolarów, w porównaniu

z 30 miliardami dolarów, którymi dysponowali jeszcze w roku 1969. W tej sytuacji zdecydowano się podjąć ryzyko przeprowadzenia znaczącej operacji wojskowej, polegającej na zaangażowaniu dużych sił południowowietnamskich, przy wsparciu amerykańskiego lotnictwa i artylerii, do walki z AWP w Laosie. W grudniu 1970 roku do Sajgonu wysłano asystenta wojskowego Kissingera, zyskującego sobie coraz większe wpływy brygadiera Alexandra Haiga, by wyjaśnił szczegóły tej propozycji Abramsowi. Do dziś istnieją kontrowersje co do tego, kto tak naprawdę wymyślił całą tę operację, której nadano w dodatku dość dziwaczny kryptonim „Lam Son 719": Lewis Sorley, naczelny apologeta Abramsa, twierdzi, że był to Haig, z kolei sam Haig wyjaśniał później, że pomysł wyszedł od Nixona i Kissingera.

Szef Abramsa, głównodowodzący na Pacyfiku admirał John McCain, którego zaangażowanie w tę wojnę dodatkowo wzrosło po tym, jak schwytano i osadzono w Hanoi jego syna służącego w lotnictwie marynarki wojennej, już wcześniej opowiadał się za wypadami do Kambodży, teraz zaś trzymał kciuki za tę nową operację w Laosie, choć nie omieszkał wspomnieć Abramsowi: „Zdaję sobie sprawę z tego, że ta operacja może przedstawiać wiele problemów"[46]. Generał udał się następnie do Thieu, by poinformować go o ustalonych już planach, a ten zgodził się rzecz jasna zaangażować siły ARVN do uderzenia, którego ostatecznym celem miało być laotańska miejscowość Tchepone. 10 grudnia admirał Thomas Moorer, następca Earle'a Wheelera na stanowisku przewodniczącego KPSS, przekazał Abramsowi prezydencki rozkaz przystąpienia do operacji. Moorer nadmienił przy tym, że wesprze ona proces wietnamizacji: „Słaba mobilność nieprzyjaciela powinna umożliwić nam jego odizolowanie na polu bitwy i zapewnić zwycięstwo Wietnamczykom z Południa". Amerykanie sądzili, że gdyby ARVN udało się dokonać znaczących zniszczeń w sieci zaopatrzenia AWP, wówczas oni sami mogliby sobie kupić co najmniej rok względnego spokoju. Abrams nie do końca wierzył w umiejętności Wietnamczyków do samodzielnego przeprowadzenia takiej operacji i przestrzegał, że w Laosie „należy oczekiwać, iż nieprzyjaciel będzie bronił swoich baz i centrów logistycznych", w odróżnieniu od jego wcześniejszego zachowania w Kambodży. Nie zdecydował się jednak na

postawienie weta, a tym samym wziął na siebie odpowiedzialność za przebieg dalszych zdarzeń. Spora część winy za to, co stało się później, musi zatem spaść również na Abramsa.

Podczas spotkania ambasadorów z całego regionu w Sajgonie 17 grudnia szef stacji CIA Ted Shackley przedstawił raport, z którego wynikało, że komuniści spodziewają się kolejnego ataku sojuszników na swoje przygraniczne kryjówki. AWP dysponowała w południowym Laosie stosunkowo dużymi siłami, a w gęstej dżungli nie było zbyt wiele miejsc nadających się na LZ dla helikopterów. 26 stycznia 1971 roku Agencja przechwyciła dodatkowo odkodowany przekaz nieprzyjaciela, który mówił o spodziewanym ataku, a kończył się słowami: „Przygotujcie się do mobilizacji i mocnego uderzenia we wroga. Bądźcie czujni”[47]. W pewnym powojennym opracowaniu wydanym w Hanoi zupełnie szczerze mówi się o słabości ówczesnego położenia komunistów w Wietnamie Południowym: „Nasze zdolności ofensywne zostały mocno nadwyrężone”[48], wskutek czego zmalała też skala operacji partyzanckich. Tymczasem w Laosie – czyli tuż za miedzą – komuniści czuli się już o wiele pewniej: „Utrzymywaliśmy [tam] strategiczną inicjatywę i byliśmy silniejsi od nieprzyjaciela”. Niemal z całą pewnością ostrzeżone przez informatora z ARVN, Hanoi założyło, że Sajgon podejmie próbę przeprowadzenia operacji siłami od 15 do 20 batalionów. Politbiuro zadekretowało: „Będzie to bitwa o decydującym znaczeniu strategicznym”. Smoczy Dwór wytypował jako pole bitwy potencjalnie faworyzujące swoje własne wojska obszar Ban Dong–Tchepone – nieodległy od Wietnamu Północnego i porośnięty dżunglą, oferującą dobrą osłonę przed operacjami powietrznymi. Komunistyczni planiści przyjęli cel zabicia 12 tysięcy żołnierzy Południa i zniszczenia 300 samolotów i helikopterów.

W Sajgonie wraz ze zbliżaniem się zaplanowanej daty natarcia w lutym 1971 roku Abrams zaczynał odczuwać coraz większy niepokój, zwłaszcza jeśli chodzi o ARVN: „Zbyt mocno na nich naciskamy (...), chcemy od nich zbyt wiele i zbyt szybko”. 29 stycznia przestrzegał on Moorera, że komuniści będą przygotowani na atak, lecz mimo to nie zażądał jego odwołania. Najpoważniejszym błędem, obciążającym całe dowództwo amerykańskie, wydaje się nieumiejętność dostrzeżenia, że

ryzyko operacji „Lam Son 719" przewyższało jakiekolwiek możliwe do osiągnięcia korzyści. Gdyby bowiem komunistom udało się odeprzeć natarcie przeprowadzone w takiej skali, a coraz więcej amerykańskich dowódców dochodziło do wniosku, że jest to całkiem prawdopodobne, to cała fasada wietnamizacji nieuchronnie ległaby w gruzach. I wszystko to w momencie, w którym znacząco pogarszał się również klimat polityczny: w styczniu Nixon podpisał ustawę o kontroli międzynarodowych zbrojeń i handlu bronią Foreign Sales Act, do której dołączone zostało uchylenie rezolucji o Zatoce Tonkińskiej, choć Biały Dom zaprzeczał, by fakt ten oznaczał jakieś nowe ograniczenia możliwości prowadzenia dalszych działań wojennych na terenie Wietnamu.

Na obszarze planowanego przez Sajgon natarcia AWP była w stanie zgromadzić około 60 tysięcy żołnierzy, w tym osiem batalionów saperów, mnóstwo artylerii, a nawet trochę czołgów. Wietnamczycy z Południa mieli przypuścić atak z powietrza oraz pancerne natarcie lądowe na dziewięć bezpośrednio wyznaczonych celów, znajdujących się w odległości od 30 do 65 kilometrów na zachód od Khe Sanh. Naczelne dowództwo objął kierujący I Korpusem Hoang Xuan Lam, choć niedostatek jego kompetencji rzucał się w oczy. Z kolei generał dywizji „Jock" Sutherland, dowodzący XXIV Korpusem, kontrolował całość wojsk amerykańskich, wspierających operację przy wykorzystaniu 53 maszyn Chinook, 500 hueyów, 18 haubic kaliber 155 mm, 16 dział kaliber 175 mm i 8 haubic ośmiocalowych. Sto metrów przed granicą z Laosem żołnierze napotkali znak głoszący: „UWAGA, ZAKAZ WYCHODZENIA AMERYKANÓW POZA TEN PUNKT". Major Tran Ngoc Hue, dowodzący Czarnymi Panterami podczas walk o Hue w roku 1968, a teraz mający powieść do boju 2. Batalion 2. Pułku Piechoty, w przypływie złych przeczuć w związku z mającą się lada chwila rozpocząć ogromną i ambitną operacją, przeprowadził szczerą rozmowę z Dave'em Wisemanem, doradcą swojego batalionu, który nie szedł z nimi w głąb Laosu, zadając mu na koniec zasadnicze pytanie: czy Amerykanin zgodziłby się zaadoptować jego dzieci?

Operacja „Lam Son 719" rozpoczęła się 8 lutego 1971 roku. Kolumna pancerna złożona z 62 czołgów i 162 transporterów opancerzonych M-

113 wyruszyła na zachód Drogą nr 9; jej północną flankę mieli osłaniać żołnierze kawalerii powietrznej i rangersi, południową zaś 1. Dywizja Piechoty. Z kolei hueye, pilotowane zarówno przez Amerykanów, jak i przez Wietnamczyków, przetransportowały żołnierzy ARVN mających dokonać natarcia z powietrza. Komuniści byli już wówczas tak przekonani o nieuchronnym ataku, że wokół przyszłego pola bitwy wyznaczyli ubite drogi, a także przygotowali składy broni i amunicji, ufortyfikowali niektóre wzgórza i obsadzili mosty. Przeprowadzili ponadto staranny rekonesans terenu, a niektóre jednostki urządziły sobie w pobliżu miejsca bitwy polowy poligon[49]. Mimo to Wietnamczykom z Południa udało się uzyskać efekt chwilowego zaskoczenia taktycznego: zaszokowani całą armadą helikopterów spadających na nich z powietrza komuniści początkowo zareagowali z pewnym opóźnieniem. Tylko nieliczni oficerowie AWP mieli jakiekolwiek doświadczenie w toczeniu wielkich bitew z wykorzystaniem różnych formacji i rodzajów broni, a zbyt mała liczba radiostacji uniemożliwiała sprawne dowodzenie i koordynację ruchów poszczególnych jednostek.

Przez kilka pierwszych dni atakujący mieli nawet powody do pewnego zadowolenia: mimo złej pogody czołgom Sajgonu udało się połączyć z batalionem piechoty powietrznodesantowej w Ban Dong (czy też A Luoi na amerykańskich mapach), niecałe 20 kilometrów w głąb Laosu. Piechota ustanowiła za to bazy polowe i przystąpiła do okopywania się. Hanoi przyznało później, że niektórzy z jego dowódców zostali wzięci z zaskoczenia: „Nie zdawaliśmy sobie w pełni sprawy z całej skali aktywności [przeciwnika] (...). Wiele jednostek posłano w bój przedwcześnie". 13 lutego w Sajgonie generał Vien przekazał Abramsowi, że zgodnie z zarządzeniem wydanym przez prezydenta Thieu siły wietnamskie nie powinny zapuszczać się już dalej na zachód. Pojawiły się też pogłoski, nigdy niepotwierdzone, że Thieu wydał ponadto sekretny rozkaz, by całkiem odstąpić od dalszego prowadzenia operacji, jeśli – albo kiedy – straty wśród Wietnamczyków z Południa przekroczą 3 tysiące zabitych.

A tymczasem w Laosie balans sił zaczynał powoli, ale nieubłaganie przechylać się na stronę komunistów, którzy ściągali na miejsce kolejne

swoje oddziały, koncentrując je wokół 16 atakujących batalionów przeciwnika. Abrams na próżno starał się namówić Wietnamczyków, by ruszyli naprzód, przestrzegając ich, że w razie pozostawania w jednym miejscu staną się dla wroga łatwym celem, który będzie on mógł do woli atakować i stopniowo niszczyć. Nocą 18 lutego dwa bataliony AWP uderzyły na 39. Batalion Rangersów, który szybko rozpoczął odwrót. Bazy polowe ARVN znajdowały się pod bezustannym ostrzałem artyleryjskim – jedną z nich porzucono po tym, jak wszystkie jej działa uległy zniszczeniu. W dodatku 23 lutego, jakieś 500 kilometrów na południe, doszło do katastrofy helikoptera, w której zginął szanowany generał Do Cao Tri. Jego śmierć o tyle wiązała się z losami operacji „Lam Son 719", że mówiło się wówczas coraz głośniej o tym, iż to właśnie on miał już wkrótce zastąpić dowodzącego nią generała Lama, którego niekompetencja stawała się powoli trudna do zniesienia.

Amerykańskie oddziały na drodze nr 9 niedaleko granicy z Laosem w czasie prowadzonej przez armię Wietnamu Południowego operacji „Lam Son 719", luty 1971 roku

Tydzień później mocno zdenerwowany Sutherland zaraportował do MACV na bezpiecznej linii telefonicznej: „Wróg jest w całej cholernej

okolicy i z każdym dniem wydaje się rosnąć w siłę (...). Tam naprawdę toczą się porządne walki”[50]. Abrams wyładował cały swój gniew na tym niosącym mu złe wieści podkomendnym, oskarżając go w dodatku o nieumiejętność właściwej oceny pogarszającej się sytuacji. Po raz pierwszy w tej wojnie czołgi toczyły bój z czołgami. Wsparcie lotnicze nie zdawało się na wiele, bo Amerykanom brakowało swoich obserwatorów FAC na ziemi – a tylko nieliczni oficerowie Południa dysponowali wystarczającymi kompetencjami językowymi, by móc skutecznie komunikować się z amerykańskimi lotnikami. Ponadto z dnia na dzień narastał ostrzał przeciwlotniczy nieprzyjaciela, zadając siłom powietrznym coraz większe straty. Co gorsza, i w dodatku zupełnie niespodziewanie, by nie rzec: żenująco, gwałtownie spadała liczba helikopterów zdolnych do lotu – do tego stopnia, że już wkrótce w powietrze mogła się wzbić zaledwie jedna czwarta wszystkich wysłanych hueyów. Generał dywizji Fred Weyand nie ukrywał swojej irytacji: „Macie tam dowódcę korpusu, który podobno miał nie pozwolić się prześlizgnąć nawet jednemu pieprzonemu ptaszkowi. Coś mi się to wszystko nie podoba (...). On po prostu nie ma pojęcia, co się tam, do cholery, dzieje”[51]. W równie mało pochlebny sposób wyrażał się o Sutherlandzie Abrams: „Przecież tu chodzi o powodzenie całej narodowej koncepcji strategicznej!”.

Zaniepokojenie zaczynało się z wolna udzielać również Białemu Domowi. Pod koniec lutego Kissinger wyraził się następująco: „Zupełnie nie rozumiem tego, co wyprawia tam Abrams”. Generał broni Bruce Palmer, zastępca szefa sztabu wojsk lądowych, napisał kwaśno: „Kiedy wszystko zdawało się podążać w dobrą stronę, Kissinger najpierw przyznał sam sobie rolę marszałka polowego, ale potem, nie rozumiejąc zdradzieckiej natury wojny i licznych związanych z nią niewiadomych, zaczął się irytować i wściekać, kiedy tylko «Lam Son 719» utknęła w miejscu”[52]. Za to szef MACV bynajmniej nie zamierzał poddawać się rozpaczy: „Znaleźliśmy się w prawdziwie twardym zwarciu. Po prostu musimy teraz sprostać naszemu przeciwnikowi, by móc je wygrać (...). Już nieraz wcześniej różni prorocy przepowiadali naszą klęskę”[53]. Ten optymizm nie opuszczał Abramsa jeszcze 9 marca; wyraził on wówczas „coraz mocniejsze przekonanie, że mamy tutaj do

czynienia z bitwą, która być może okaże się jedynym decydującym starciem całej tej wojny”[54], przy czym zwycięstwo w niej miała dać Amerykanom przewaga w sile ognia. Jak się wydaje, problem polegał w dużej mierze na tym, że amerykańscy dowódcy nie byli w stanie sami ocenić, co tak naprawdę działo się na polu walki, ani też nie mogli posłać tam ludzi, których słowu i ocenie sytuacji w pełni ufali.

Creighton Abrams podjął próbę osobistego przekonania Thieu, jedynego człowieka władnego dysponować wszystkimi formacjami armii południowowietnamskiej, do posłania w bój także 2. Dywizji w celu odwrócenia losów bitwy. W odpowiedzi prezydent oświadczył: dobrze, ale tylko wtedy, jeśli w akcję zaangażuje się także jakaś jednostka amerykańska. Walki wciąż nie ustawały, lecz wietnamscy generałowie namawiali już Thieu do całkowitego wycofania się z Laosu. Zupełnie inaczej miały się sprawy u Amerykanów: Alexander Haig, który przybył do Sajgonu 18 marca, przekazał Sutherlandowi, że Biały Dom życzy sobie, by ARVN kontynuowała walki co najmniej do końca kwietnia. Nastroje w Waszyngtonie zauważalnie się poprawiły po tym, jak nadeszły raporty, z których wynikało, że lotnictwo zadaje komunistom spore straty. W Khe Sanh co osiem minut lądowały kolejne samoloty C-130 przywożące amunicję i zaopatrzenie, nad samym zaś polem bitwy nawet w godzinach nocnych bezustannie krążyły trzy maszyny wystrzeliwujące flary i trzy kolejne śmigłowce bojowe. W ciągu całej tej operacji amerykańskie lotnictwo taktyczne wykonało łącznie 8 tysięcy misji, co dawało po 150 lotów dziennie, a bombowce B-52 odbyły kolejnych 1280 lotów. Pułkownik An z AWP napisał o obszarze wokół jego stanowiska dowodzenia nieopodal rzeki Sa Mu: „Trzciny i wysokie trawy na wzgórzach zostały kompletnie wypalone przez napalm. Nasz las stał się jakby niewielką odizolowaną wysepką na poczerniałym oceanie zniszczenia”[55].

A tymczasem po stronie Południowców było już 5500 ofiar. Brygadier Haig znienacka zupełnie zmienił zdanie i oświadczył, że czas już zwijać całą operację. 18 marca AWP przeprowadziła silne uderzenie, którego celem było odcięcie części odsłoniętych jednostek południowowietnamskich. Jeden z podkomendnych Ana, dowódca oddziału z Hanoi, napisał: „Tamtej nocy księżyc świecił jasno.

Wyruszyliśmy w drogę zaraz po zapadnięciu ciemności. Wróg kładł swój ostrzał artyleryjski od drogi wzdłuż zbocza aż do naszych ufortyfikowanych pozycji na szczycie, a potem znów w dół do drogi, i jeszcze raz, i jeszcze. Dwóch naszych odniosło rany, więc zostało nam tylko siedmiu zdolnych do walki. Każdy z nas czym prędzej wykopał sobie stanowisko strzeleckie, niektórzy wykorzystali do tego celu leje po bombach albo stare wilcze doły zrobione kiedyś przez wroga. A potem ułożyłem się, przykryłem sobie brzuch swoim hamakiem i zasnąłem jak suseł. Obudziłem się tuż przed świtem. Całe ubranie miałem przemoknięte od deszczu. Było mi tak zimno, że nie mogłem powstrzymać szczękania zębami. A im było mi zimniej, tym bardziej stawałem się głodny (...). Z całej siły, którą miałem po zjedzeniu jeszcze poprzedniego popołudnia kulki ryżu, niewiele większej od pięści, nie zostało już nic po nocnej ucieczce przed ostrzałem". Potem jeden z jego ludzi wybrał się na poszukiwanie czegoś do jedzenia i wrócił z hełmem wypełnionym ryżem, który znalazł w porzuconym nieprzyjacielskim bunkrze: „Byłem taki szczęśliwy, jakbyśmy wygrali jakąś bitwę"[56].

Rzecz w tym, że właśnie wygrywali: komuniści sukcesywnie zabierali się do kolejnych pozycji Południa, po czym obracali je w ruinę za pomocą dział kaliber 122 mm o zasięgu 22 kilometrów oraz dział kaliber 130 mm o zasięgu 27 kilometrów, wykazując przy tym całkowitą obojętność wobec swoich własnych strat. Ludzie Północy z całą energią podjęli też aktywność radiową, zarówno blokując komunikację nieprzyjaciela, jak i siejąc własną propagandę: obie strony w pełni korzystały przy tym ze wspólnoty języka, obrzucając się wzajemnie obelgami, a południowowietnamscy marines któregoś dnia za zdumieniem stwierdzili, że rozkazy bojowe zaczął im wydawać jakiś kobiecy głos. Pewien żołnierz AWP opisywał, jak jego oddział dostał rozkaz przeszukania pola bitwy i zebrania z niego porzuconych granatników M-79 Thumper, po czym odbył z nimi pospieszne ćwiczenia: „Dość szybko uzyskaliśmy niezłą celność"[57]. W ciągu godziny wystrzeliwane z tych dział pociski kaliber 40 mm spadały już na pobliski konwój ARVN, a wobec takiej siły ognia dalsze walki nie potrwały długo i Wietnamczycy z Południa zarządzili odwrót. Komuniści zaś ostrożnie podeszli w stronę rozbitego konwoju, licząc

ciała zabitych wrogów i mijając kolejne porzucone ciężarówki, w których nie wyłączono nawet silników.

Oficer Południa Tran Ngoc Hue został awansowany na pułkownika niemal w tym samym czasie, gdy jego batalion znajdował się pod ciężkim ostrzałem artyleryjskim Północy, broniąc swoich pozycji na Wzgórzu 660. On sam odniósł poważne rany od odłamków moździerzowych, a kiedy garstka ocalałych przystąpiła do spóźnionego odwrotu, rozkazał im uciekać bez niego – ostatecznie uratował się zaledwie jeden kapitan i 60 żołnierzy. Hue wpadł w ręce komunistów i musiał powlec się razem z nimi Szlakiem Ho Chi Minha do Hanoi, bez kilku palców u rąk i z zainfekowanymi ranami, pełnymi insektów i robactwa. Kiedy w końcu dotarł do stolicy Północy, był człowiekiem dwudziestodziewięcioletnim. Kolejnych trzynaście lat przyszło mu spędzić w niewoli, podobnie jak wielu innym jeńcom pochwyconym w trakcie operacji „Lam Son". Z powodów czysto prestiżowych Thieu osobiście podjął decyzję, że jego żołnierze mają dotrzeć do wyznaczonego celu operacji, to jest miejscowości Tchepone, na którą przypuszczone zostało nowe natarcie powietrzne 3 marca. Po zażartych walkach szpica wojsk południowowietnamskich faktycznie przebiła się do miasta, choć szybko została też z niego wyparta.

Podczas gdy żołnierze południowowietnamscy walczyli na śmierć i życie, ich generałowie wykazywali się aż nazbyt dobrze znajomą drażliwością i niekompetencją. Lam, dowódca korpusu, nie potrafił podjąć żadnej decyzji, a oficer dowodzący wojskami powietrznodesantowymi nie chciał nawet omawiać z nim przebiegu operacji; z kolei szef wszystkich wietnamskich marines odmawiał ruszenia się z Sajgonu. Jak napisał pułkownik Nguyen Duy Hinh, „przekleństwem [«Lam Son»] były ciągłe niesnaski, ocierające się wręcz o niesubordynację, wśród części polowych dowódców ARVN. Prezydent Thieu i generał Vien najprawdopodobniej wiedzieli o tych rozdźwiękach, ale nie przedsięwzięli żadnych środków zaradczych (...) być może [dlatego, że] generałów tych uważano za podpory całego reżimu". Tymczasem na polu bitwy, po tym jak pięciu z dziewięciu dowódców batalionów kawalerii powietrznej zostało zabitych albo rannych, jeden z tych, którzy wciąż mogli walczyć, na siłę wpakował się

do helikoptera ewakuującego rannych. 27 marca Fred Weyand powiedział na odprawie amerykańskiego dowództwa, że czas już było spojrzeć prawdzie prosto w oczy i przyznać, że dla świata operacja „Lam Son 719" zakończyła się porażką: „Mamy tu jakiś problem z *public relations* czy może jakiś problem psychologiczny (...), a to dla nas bardzo, bardzo ważne"[58]. Abrams był wściekły na to, jak przedstawiała tę bitwę prasa: szczególnie niepochlebnie wyrażał się o Glorii Emerson z „New York Timesa" – „tym strasznym babsztylu"[59] – a przy tym niemal z desperacją odmalowywał stosunki amerykańsko-wietnamskie: „Istnieje tutaj przepaść kulturowa, która jest naprawdę wielka, a niektórzy z Amerykanów po prostu w żaden sposób nie potrafią sobie z nią poradzić"[60].

Pierwsze jednostki południowowietnamskie zaczęły się wycofywać z Laosu 3 marca, a stopniowy odwrót całych sił kontynuowany był przez resztę tego miesiąca we wciąż narastającym chaosie. Do kraju wróciła niecała połowa czołgów Sajgonu i tylko nieco ponad jedna trzecia transporterów opancerzonych: cała reszta albo się popsuła, albo stanęła z braku paliwa, albo została zniszczona ogniem komunistów. Amerykanie stracili z kolei ponad 100 helikopterów, a kolejnych 544 zostało uszkodzonych. Podczas późniejszych analiz sformułowano wielce charakterystyczne, choć dość oględne stwierdzenie: „Koncepcja mobilności powietrznej została surowo przetestowana podczas tej operacji"[61]. W miarę jak AWP poczynała sobie coraz śmielej, a chętnych do ewakuacji przybywało, wśród żołnierzy Thieu dochodziła do głosu panika, a obrazami dominującymi w fotograficznych przekazach z „Lam Son 719" stały się zdjęcia uciekinierów oblegających helikoptery ewakuacyjne czy desperatów czepiających się ich płóz, byle tylko opuścić strefę działań wojennych. Do czasu przymusowego zakończenia całej operacji po czterdziestu dwóch dniach ciężkich walk Wietnamczycy z Południa stracili niemal połowę zaangażowanych w nią ludzi, to jest około 8 tysięcy żołnierzy, wliczając w to wziętych do niewoli.

MACV oszacowała z kolei, że po stronie AWP zginęło 13 tysięcy walczących, co wydaje się jednak sporą przesadą. Już po wojnie sam Wietnam Północny przyznał się do utraty w tej bitwie 2163 zabitych

i 6176 rannych, które to dane wydają się znacznie bardziej wiarygodne, stanowiąc 13 procent całości zaangażowanych sił. Według komunistów połowa ich strat była wynikiem ognia artyleryjskiego i moździerzowego, ponad jedna trzecia – nalotów powietrznych, w tym, co zaskakujące, tylko 2 procent – napalmu, który tak imponował żołnierzom amerykańskim i wietnamskim, reszta zaś – od broni strzeleckiej. Ich historycy twierdzą ponadto, że niemal połowę swoich strat komuniści ponieśli poza linią frontu, co najprawdopodobniej świadczyło o tym, że zadali im je Amerykanie, a nie Wietnamczycy z Południa. Komuniści przyznali się też do ciężkich strat w sprzęcie wojskowym: przepadło 670 dział przeciwlotniczych, 600 ciężarówek, 88 czołgów i jedna piąta moździerzy.

Oficer CIA Merle Pribbenow już jakiś czas wcześniej zaprzyjaźnił się z dwoma szeregowymi Wietnamczykami z piechoty powietrznodesantowej, którzy odwiedzali go za każdym razem, kiedy zdarzało im się być w Sajgonie. Po „Lam Son" jeden z nich zjawił się bez zapowiedzi i był wyraźnie zdruzgotany po tym, jak stracił w Laosie swojego przyjaciela i większość ludzi z jednostki. Pribbenow pomyślał sobie wówczas: jeśli tak wygląda i czuje się po walce żołnierz elitarnej formacji, „to reszta ARVN musi być niezłym bagnem do uprzątnięcia"[62]. Bob Destatte, doświadczony w przesłuchiwaniu wietnamskich jeńców i mówiący płynnie ich językiem, powiedział z kolei ze złością: „Jeśli szukać winnych wśród uczestników «Lam Son 719», to nie byli nimi z pewnością zwykli żołnierze, walczący tak, jak tylko potrafili, lecz ludzie, którzy ich tam posłali"[63]. Pułkownik Nguyen Duy Hinh napisał ze smutkiem: „Siły ARVN musiały pozostawić w Laosie znaczącą liczbę swoich poległych i rannych ludzi. To zaś stało się straszliwą traumą dla ich nieszczęsnych rodzin, pragnących postępować zgodnie z tradycją, nakazującą kult zmarłych i przywiązanie do żywych, a skazanych na życie w ciągłym smutku i wśród niewyjaśnionych wątpliwości. Nastąpiło tutaj pogwałcenie nakazów wiary i pobożności, którego Wietnamczycy nigdy nie mogli ani zapomnieć, ani wybaczyć". Frank Snepp z CIA powiedział: „«Lam Son 719» powiedziała nam wszystko, co powinniśmy wiedzieć o tym, jak

naprawdę wyglądała wietnamizacja – a Hanoi mogło zobaczyć dokładnie to samo co my”[64].

Ta niewątpliwa klęska wprawiła Biały Dom w prawdziwą furię, choć Nixon z obowiązku starał się zachować dobrą minę do złej gry i w swoim wystąpieniu telewizyjnym z 7 kwietnia powiedział: „Wietnamczycy z Południa zademonstrowali, że bez pomocy amerykańskich doradców potrafią skutecznie walczyć w starciu z najlepszymi żołnierzami, jakich był w stanie wystawić przeciwko nim Wietnam Północny”. W rzeczywistości jednak wynik tej operacji okazał się dokładnie przeciwny do zakładanych celów: pozycja Amerykanów w paryskich negocjacjach uległa osłabieniu, a nie wzmocnieniu. A w samym Wietnamie, w sytuacji, w której zgodnie z wymogami amerykańskiej polityki wewnętrznej wciąż musiało dochodzić do bezwarunkowego wycofywania kolejnych partii wojsk, wiarygodności reżimu Thieu i zdolności jego armii do obrony własnego kraju zadany został kolejny, druzgocący cios.

W tej sytuacji administracja postanowiła obarczyć winą po równo samych Wietnamczyków – to na nich skupił się gniew Kissingera – oraz amerykańskich wojskowych. Alexander Haig powiedział: „Prezydent Nixon i ci z nas, którzy zaangażowali się w część planistyczną, byli oburzeni sposobem przeprowadzenia tej operacji przez Departament Obrony”[65]. Szalejący z wściekłości Nixon początkowo chciał zwolnić Abramsa i zastąpić go pierwszym lepszym oficerem, który nawinie mu się pod rękę. Powiedział nawet wówczas Haigowi: „Łap pierwszy dostępny samolot i leć do Sajgonu. Przejmujesz dowodzenie”. Jeśli wierzyć Haigowi, miał on przekonywać prezydenta do wstrzymania się z wszelkimi decyzjami przez następne 24 godziny, a dopiero po nabraniu pewnego dystansu do wydarzeń przystąpienia do wprowadzania ewentualnych zmian. I rzeczywiście, kiedy Nixon trochę ochłonął, o dymisji Abramsa nie było już mowy[66]. Kissinger podważa wprawdzie wersję Haiga, ale wydaje się ona przekonująca. Sam doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego oświadczył stanowczo, że już nigdy nie uwierzy w żadne słowo wypowiadane przez Abramsa.

Zbliżająca się kampania prezydencka zaczęła teraz nabierać w kalkulacjach Białego Domu jeszcze większych rozmiarów. 19 marca

1971 roku Kissinger powiedział: „Ujmując rzecz tak brutalnie, jak tylko się da, nie możemy pozwolić sobie na to, by [Wietnam Południowy] upadł jeszcze przed wyborami". Na co Nixon odparł tylko: „Pełna zgoda"[67]. Kissinger oceniał, że jeśli działania prezydenta w Wietnamie odebrane zostaną jako porażka, jeszcze zanim Amerykanie będą głosować, wówczas z pewnością nie doczeka się on reelekcji; z tego powodu stanowczo odradzał pójście za „głosem ludu" i sprowadzenie wszystkich żołnierzy z powrotem do kraju jeszcze do końca tamtego roku. Jak się wydaje, Nixon, Kissinger i Haldeman nigdy za to nie dyskutowali na serio o tym, czy przedłużanie tej wojny poza dzień głosowania Amerykanów w roku 1972 w jakikolwiek znaczący sposób wpłynie na samych Wietnamczyków. Na tamtym etapie Biały Dom w zasadzie spisał już ich na straty. Pozostawało jeszcze tylko podjąć decyzję co do tego, jak wybrać stosowny moment, by powiedzieć im to wprost.

W debacie wewnątrzkrajowej coraz bardziej zaczynała teraz dominować kwestia blisko 600 amerykańskich jeńców wojennych znajdujących się w rękach komunistów: Amerykanie kupili łącznie 50 milionów naklejek i 135 milionów znaczków pocztowych wyrażających poparcie dla ich więzionych rodaków. Administracja bezustannie prosiła Kongres o zapewnienie funduszy na toczenie dalszych, coraz bardziej już ograniczonych działań wojennych, po to, by móc wzmocnić amerykańską pozycję negocjacyjną w Paryżu. Ale kiedy na Kapitolu zjawił się sam prezydent, by w przeddzień swojego kolejnego telewizyjnego wystąpienia do narodu 7 kwietnia uświadomić senatorom potrzebę takiego finansowania, jeden z nich poprosił wprost, by wytłumaczyć mu, w jaki sposób 50 tysięcy Amerykanów pozostających w Wietnamie miałoby pomóc wpłynąć na stanowisko Hanoi, skoro wcześniej nawet pół miliona żołnierzy nie potrafiło przekonać komunistów do wymiany jeńców. Następnego dnia Nixon wyznał Kissingerowi: „Rzecz jasna nie mogłem mu powiedzieć wprost: «Słuchaj no, jak już zejdziemy do tych 50 tysięcy, wówczas sprawa będzie prosta – zwyczajnie wymienimy te 50 tysięcy na naszych jeńców wojennych» – a oni zrobią to w mgnieniu oka, bo niczego bardziej nie pragną od tego, żebyśmy się wreszcie stamtąd wynieśli". „To fakt" –

przytaknął Kissinger, a Nixon tylko się roześmiał: „Prawda, że tak? Jezu!”[68].

John Paul Vann, nowo mianowany szef do spraw pacyfikacji i najwyższy rangą Amerykanin w rejonie Płaskowyżu Centralnego, w hierarchii cywilnej odpowiadający statusem dwugwiazdkowemu generałowi, powiedział po „Lam Son”: „Ta wojna stopniowo przesuwa się w stronę dwóch korpusów [stref] północnych i przekształca w jakiś rodzaj bardziej konwencjonalnej konfrontacji pomiędzy Wietnamem Północnym a Południowym”[69]. Było to stwierdzenie bardzo bliskie prawdy. 7 kwietnia zwiad lotniczy wykazał, że ruch ciężarówek na Szlaku Ho Chi Minha w Laosie powrócił do intensywności sprzed ofensywy „Lam Son 719”.

Niezależnie od ciężkich walk i rosnącej liczby zgonów w Wietnamie nie brakowało wówczas również pewnych akcentów komediowych: Abrams dowiedział się otóż, że w zatoce Cam Ranh służbę w amerykańskiej marynarce wojennej rozpoczęło pięć delfinów butelkonosych, przeszkolonych do atakowania pływających sabotażystów. Żołnierz przedstawiający raport w tej sprawie poinformował też generała, że „wróg utrzymywany jest w przekonaniu, iż delfiny zostały wyszkolone do atakowania przyrodzenia męskich pływaków. Według naszych najświeższych informacji wróg zamierza odpowiedzieć na to, wdrażając w przyszłości plan wysyłania na misje sabotażowe żeńskich pływaczek”[70]. Po takiej dawce optymistycznych doniesień przyszedł jednak czas i na gorsze wieści: generał dowiedział się oto, że jeden z delfinów zdążył już zdezerterować. Do innej, równie interesującej sytuacji doszło w obozie sił specjalnych w Bu Prang, w którym odnotowano zauważalny spadek morale. Jak się okazało, był to skutek napięć między służącymi tam miejscowymi góralami a żołnierzami z Kambodży. Górale czcili otóż pytona żyjącego w pobliskiej dżungli, któremu raz na jakiś czas zanosili różne ofiary. Aż tu pewnego dnia Kambodżanie złapali pytona, zabili go i zjedli. Usiłujący pogodzić obie zwaśnione strony amerykańscy doradcy zdołali ostatecznie wynegocjować niełatwy rozejm, zawarty jednak pod takim oto warunkiem, że przywrócenie harmonii nastąpi dopiero po złożeniu ofiary z białego bawołu. Oficerowie sił specjalnych przystąpili do

poszukiwania takiego właśnie zwierzęcia w całym regionie, a po jego odnalezieniu zakupili je i załatwili jego transport do obozu, podwieszonego pod helikopter transportowy C-7. Niestety, podczas podróży w brzuch bawołu wbiła się jedna z płóz maszyny, doprowadzając do jego śmierci, wobec czego już po przybyciu zupełnie nie nadawał się on na zwierzę ofiarne. Po kolejnej trudnej rundzie rozmów górale zgodzili się ostatecznie, że odpowiednim ekwiwalentem za bawołu może być dwieście kur, wobec czego szybko po nie posłano, sprowadzono je do Bu Prang, złożono w ofierze i zjedzono[71].

Pewnego dnia, niedługo po klęsce operacji w Laosie, Abrams uczestniczył w uroczystości upamiętniającej jej ofiary na wietnamskim cmentarzu narodowym pod Sajgonem. A ponieważ po jej zakończeniu mający go odebrać helikopter nie doleciał na czas, był on zmuszony zaczekać na niego na opustoszałej już nekropolii, po odjeździe wszystkich pozostałych dygnitarzy, żołnierzy i orkiestr dętych. Stojąc tak samotnie, jedynie w towarzystwie osobistego ochroniarza, wypatrujący niecierpliwie swojego transportu, generał zauważył zbliżającego się do cmentarza piechotą jakiegoś sierżanta ARVN z żoną i dziećmi u boku: „Ona była w ciąży. A mieli już troje małych dzieci. On trzymał na rękach jedno z nich (...). Szli tak bardzo powoli i bardzo długo. Jeden z tych dzieciaków, mały chłopiec, może w wieku jakichś 9 lat, niósł w rękach dużą plastikową torbę, taką wielką reklamówkę. W środku był spory pęk kadzidełek, które wystawały u góry, i może jeszcze jakieś przekąski albo coś innego. Jak sądzę, szli na grób swojego krewnego (...), takie odniosłem wrażenie". Podobnie jak wielu wojskowych, Abrams raz na jakiś czas skłonny był do przypływów nagłego i intensywnego sentymentalizmu. A jeden z nich owładnął nim właśnie wtedy: „Całe to gadanie o tym, iż «Azjaci (...) nie cenią sobie życia», i wszystkie takie – myślę, że tak naprawdę to jeden wielki mit. Sądzę, że oni odczuwają te sprawy mniej więcej tak samo jak wielu naszych rodaków"[72].

23
Niezamierzone straty

1. MARY ANN

W ciągu roku 1971 wiele jednostek w armii amerykańskiej i Korpusie Marines ulegało stopniowej atrofii pod wpływem napięć związanych ze zniechęceniem, problemami rasowymi, nadużywaniem narkotyków i swoistym wyścigiem o to, by nie stać się ostatnim Amerykaninem, który zginie za sprawę powszechnie już uznawaną za straconą. Szerzyło się też naiwne przekonanie, że żołnierze mają prawo odmawiać walki, jeśli tylko czują, że nie chcą już dłużej przelewać krwi. W marcu 53 marines z okolic Khe Sanh nie wykonało rozkazu przystąpienia do misji bojowej, a mimo to nie spotkały ich żadne konsekwencje dyscyplinarne; z kolei żołnierze z bazy polowej Pace odmówili wyjścia na patrol. Wieści o tego rodzaju epizodach roznosiły się lotem błyskawicy, podsycając defetystyczne nastroje w kolejnych jednostkach. Ekstremalnym ich przejawem była katastrofa, do której doszło w bazie ogniowej Mary Ann w nocy z 27 na 28 marca 1971 roku. Zginęło wówczas 30 ludzi spośród jej personelu – bo obrońcami można by po prawdzie nazwać zaledwie kilku z nich – a kolejnych 82 zostało rannych. Baza Mary Ann, nazwana tak od imion siostry jej pierwszego oficera dowodzącego, była standardowym i niczym się niewyróżniającym skupiskiem surowych stalowych baraków, obłożonych workami z piaskiem i otoczonych drutem, którego jedyną ozdobę stanowił las anten, wystający ponad nagi grzbiet górski – a wszystko to gdzieś pośrodku rozległej prowincji Quang Tin, około 50 kilometrów od granicy z Laosem. Jej garnizon stanowiła Kompania C z 1. Batalionu 46. Pułku Piechoty, będącego częścią 23. Dywizji „Americal", której reputacja właśnie sięgnęła dna po ujawnieniu jej

udziału w masakrze w My Lai w roku 1968, za co zresztą całkiem niedawno skazany został porucznik William Calley. Żołnierze z Kompanii C nie traktowali swoich obowiązków zbyt poważnie, bo w ciągu kilku najbliższych tygodni Mary Ann miała zostać przekazana pod kontrolę Wietnamczyków z Południa, którzy już obsadzili pozycje artyleryjskie.

Starszy szeregowy Ed Voros powiedział: „Ta wojna nie miała już najmniejszego sensu. Wszyscy uważaliśmy, że jest gówno warta (...). Po prostu musieliśmy tam być, więc chodziło nam tylko o to, żeby samemu przeżyć i nie narażać na niebezpieczeństwo swoich kumpli”[1]. Podobnie zapatrywał się na ówczesny stan rzeczy szeregowy James Creaven: „Nie byliśmy przecież głupi. Wiedzieliśmy, że zaczęliśmy się wycofywać, a już na pewno wiedzieliśmy, że ARVN nie ma najmniejszej ochoty sama toczyć własnej wojny. To po co mieliśmy narażać swoje życie dla ludzi, którzy nawet nie doceniali tego, że tu dla nich przyjechaliśmy? Jedynymi, którym jeszcze w ogóle na czymś zależało, byli zawodowi oficerowie. Za to każdy, kto zachowywał się jak narwaniec i nie mógł się doczekać, aż zabije paru żółtków, z miejsca stawał się mocno podejrzany”. Podczas przygotowywania zasadzek Creaven i inni żołnierze jego pokroju byli najszczęśliwsi wtedy, gdy wróg mijał ich, niczego nie zauważając, bo sami absolutnie nie zamierzali go wciągać do walki: „Przecież ci ludzie nigdy nie zrobili mi nic złego”[2].

Dyscyplina w 1. Batalionie przedstawiała się wyraźnie gorzej, niż w wielu innych oddziałach, nawet jeśli i w nich nie było pod tym względem idealnie. Wielokrotnie zdarzały się tu odmowy wyjścia na akcje, a raz podjąć walki nie chciała nawet cała kompania. Porucznik Brian Magrath, doradca przydzielony do pobliskiej jednostki wietnamskiej, kilka razy słyszał przez radio rozmowy w obrębie garnizonu Mary Ann, „podczas których patrole odmawiały udawania się w pewne obszary uważane za szczególnie niebezpieczne”[3]. Jeden z żołnierzy tego batalionu zmarł, a trzech kolejnych było tego bliskich, po tym jak wszyscy najedli się plastiku – materiału wybuchowego C4 wydobytego z miny Claymore, o którym słyszeli, że daje ponoć niezłego kopa. Kapitan Paul Spilberg pisał do domu o swoich problemach z ludźmi z 1. Batalionu: „Ta kompania to jedno wielkie bagno (...).

Żołnierze całymi godzinami przesiadują, gdzie popadnie, i czytają gazety albo grają w karty (...), a przez większość czasu nie noszą nawet przy sobie broni”[4]. Autor tego listu uważany był za dobrego wojskowego, wykazującego się dużą motywacją, ale już jeden z jego dowódców plutonu wyraził się o nim następująco: „Spilberg wyżywał się na nas, porucznikach, za to, że jesteśmy zbyt dobrzy dla naszych żołnierzy, a przecież gdybym stanął przed nimi i zaczął się drzeć, że to ja tu jestem porucznikiem i mają mnie we wszystkim słuchać, to mogłaby mnie czekać fragmentacja”[5].

Wysocy rangą oficerowie mogliby rzec – i na dobrą sprawę tak właśnie mówili po tym, jak w bazie doszło już do katastrofalnego przesilenia – że do wydarzeń w Mary Ann przyczyniło się złe dowodzenie. Ale przecież dowodzący batalionem podpułkownik Bill Doyle, niski i przysadzisty trzydziestolatek, mający w sobie pół krwi irlandzkiej, a pół amerykańskiej, był człowiekiem odważnym aż do granicy nieodpowiedzialności. Wielokrotnie własnoręcznie uśmiercał wrogów ze swojej osobistej broni, ponieważ wierzył w dawanie dobrego przykładu. Przed wejściem do jego centrum operacyjnego stał wielki znak z napisem: „F[OR]T. ODWAGI. ZABIJAJ ZAWODOWO”, nad nim zaś wisiała czaszka bawołu z rogami. Mówiono o nim, że walczy równie desperacko, jak imprezuje, i dlatego krytycy określali go mianem „narwańca i ochlapusa”.

Podlegli Doyle’owi oficerowie i podoficerowie stanowili zróżnicowaną grupę: niektórzy byli kompetentni, inni niespecjalnie. Podczas jakiejś lutowej wymiany ognia porucznik z Kompanii C naprowadził ogień artylerii na swój własny pluton, zabijając jednego z żołnierzy. Generalnie jednak przed miejscowymi dowódcami stał dokładnie ten sam fundamentalny dylemat, jaki mieli wówczas niemal wszyscy inni: jak daleko mogli się posunąć w egzekwowaniu karności i dyscypliny wśród swoich ludzi, by nie narazić się z ich strony na fragmentację albo, co gorsza, na zbiorową odmowę stanięcia do walki – czyli bunt, choć sama armia bardzo starała się unikać tego słowa. Niemal dzień w dzień dochodziło do swoistych upokarzających dla oddanych wojsku oficerów negocjacji, w trakcie których ustalano, na jakie operacje żołnierze zgadzają się pójść, a na jakie nie. Ludzie

z Kompanii D tegoż 1. Batalionu odmówili kiedyś wyjścia na obławę w przypadku niezapewnienia im psów zwiadowczych, bojowych helikopterów Cobra i dodatkowego śmigłowca Huey do ewakuacji medycznej. Dopiero po ostrej reprymendzie ze strony podpułkownika Doyle'a z niechęcią dali się przekonać do ruszenia się z bazy.

Miesiąc po tym incydencie, w bezksiężycową noc 27 marca, dowódca batalionu spał sobie spokojnie w centrum operacyjnym Mary Ann, kapitan Spilberg zaś w swoim baraku. Obrona obozu spoczywała w rękach dowodzącego Kompanią C kapitana Richarda Knighta, dwudziestoczteroletniego okularnika, który przerwał studia, by wstąpić do armii. Ten syn właściciela restauracji na Florydzie odbywał swoją drugą już zmianę w Wietnamie, wciąż pełen entuzjazmu, mimo ciężkich ran odniesionych w roku 1968. Brakowało mu jednak stanowczości czy też przymiotów osobistych pozwalających egzekwować od swoich ludzi wykonywanie prostych wojskowych czynności, takich jak patrolowanie ogrodzenia obozu, długiego na mniej więcej 500, a szerokiego na 200 metrów, czy obsadzanie wszystkich 22 przygotowanych schronów bojowych. Albo rozstawianie ostrzegawczych flar i min Claymore. Albo poprawianie poluzowanych drutów w ogrodzeniu. Albo niezasypianie na służbie. Albo powstrzymywanie się podczas niej od spożywania alkoholu i zażywania marihuany. Cały personel tej bazy, włączając oficerów, radiooperatorów, obsługi moździerzy, kanonierów, strzelców, kucharzy i wszystkich pozostałych, liczył łącznie 231 Amerykanów i 21 żołnierzy ARVN.

Teoretycznie wartę powinien pełnić jeden na czterech ludzi. Tyle że Mary Ann nigdy jeszcze nie przeżyła żadnego ataku z zewnątrz, wobec czego większość żołnierzy wyznaczonych do patrolowania ogrodzenia bazy z podziwu godną pogardą dla realiów wolała albo iść spać, albo grać w karty, albo porządnie się narąbać – spożywanie przez nich ogromnych ilości alkoholu nie ulega wątpliwości, choć można by dyskutować, czy większego problemu nie stanowiły narkotyki. Knight pozostawił obowiązek nadzoru nad żołnierzami dowódcom plutonów i podoficerom, którzy wykazywali się równie nikłym zaangażowaniem, po czym poszedł spać. O godzinie 2.00, jak każdej poprzedniej nocy,

wyznaczona załoga włączyła potężny dwudziestotrzycalowy szperacz, zamontowany na jednym z jeepów, którym omiotła oczyszczony z przeszkód terenu obszar bezpośrednio za ogrodzeniem bazy. Po 20 minutach, nie dostrzegłszy niczego niepokojącego, żołnierze wyłączyli reflektor, odcięli zasilanie z generatora i wrócili do swoich baraków.

Mniej więcej w tym samym czasie, tyle że w innej bazie ogniowej, jakiś były saper z AWP wykonał pewną demonstrację w obecności amerykańskich oficerów, prezentując im swoisty „rajd" między plątaniną drutów, mającą w teorii bronić dostępu do bazy. Creighton Abrams powiedział wówczas: „Było to dla nich prawdziwie szokujące doświadczenie. Na własne oczy mieli okazję obserwować, jak ten mały człowieczek przechodził przez te cholerne druty, jakby w ogóle ich tam nie było, w dodatku bez jednego dźwięku"[6]. Właśnie coś takiego, tyle że na znacznie większą skalę, wydarzyło się w Mary Ann 28 marca o godzinie 2.40: około 50 saperów, ubranych tylko w zielone szorty, resztę ciała wysmarowawszy łojem i sadzą, przypuściło starannie zaplanowany atak na bazę. Podeszli do niej od południowego zachodu, najpierw podczołgując się do pierwszego, zewnętrznego pierścienia podwójnych drutów kolczastych, w którym wycięli duże otwory. Podobnie poradzili sobie z kolejnymi dwiema barierami wewnętrznymi, z którymi poszło im nawet łatwiej, bo były słabo zadbane. Następnie leżeli przez jakiś czas tuż przed linią bunkrów, czekając na rozpoczęcie ostrzału moździerzowego mającego stanowić uzgodniony wcześniej sygnał do ataku. Amerykanie dowiedzieli się o swoich nieoczekiwanych gościach dopiero wówczas, gdy w ciemnościach zaczęły w ich stronę lecieć torby wypełnione ładunkami wybuchowymi, granaty, pojemniki z gazem drażniącym CS oraz kule z karabinów AK-47. W rezultacie wybuchła panika i nastąpił zupełny paraliż. Kapitan Knight zginął w swoim bunkrze, razem z sierżantem odpowiedzialnym za łączność. Żołnierze AWP niczym lawina przetoczyli się przez całą bazę, strzelając do wszystkiego, co się ruszało i wrzucając granaty albo torby z materiałami wybuchowymi do kolejnych mijanych baraków. Z kolei dwie ekipy saperskie pobiegły na grzbiet, by wysadzić zlokalizowane tam działa.

Napastnicy pochodzili z 409. Batalionu Saperów AWP, a ich natarcie poprzedziła dwumiesięczna obserwacja Mary Ann – choć komuniści określali ją mianem Xa Doc, od nazwy najbliższej wioski[7]. Nocami zakradano się pod ogrodzenie bazy, by wyszukiwać w nim dogodne przejścia między drutami. Podczas odpraw wszelkie szczegóły omawiano z wykorzystaniem specjalnego modelu terenu, a każdy z dowódców oddziałów rozpracowywał przydzielony mu odcinek, przypatrując mu się uważnie z zamaskowanego punktu obserwacyjnego. Kiedy po południu dokładnie tego samego dnia, w którym miało zostać poprowadzone natarcie, w okolicy nagle pojawiły się helikoptery i samolot zwiadowczy L-19, a raporty komunistycznego wywiadu doniosły o tym, że w pobliżu operuje jakiś patrol amerykańskich sił specjalnych, saperzy obawiali się, że ich operacja została spalona. Alarm okazał się jednak bezpodstawny i wszystko poszło zgodnie z planem. Po zapadnięciu zmroku osiem komunistycznych grup bojowych ruszyło pomiędzy kłęby drutów już wcześniej opracowaną i zapamiętaną trasą. Dopiero gdy mrok rozświetliło na chwilę jasne światło szperacza z Mary Ann, leżący bez ruchu między rzędami drutów saperzy mieli okazję przeżyć kilkanaście trudnych minut. Niektórym w dodatku bez wątpienia mocno burczało wtedy w brzuchach: już od wielu dni musieli sobie radzić przy mocno ograniczonych racjach żywnościowych, a do ataku przystępowali, zjadłszy na kolację jedynie korzenie manioku.

Odpowiedzią garnizonu na ten nagły i nieprzerwany ciąg eksplozji było pozostawanie w bunkrach i niedawanie żadnych oznak życia, czy to ze strachu, czy dlatego, że przynajmniej niektórym mogło się wydawać, że mają do czynienia jedynie z ostrzałem moździerzowym. Wbrew regulaminowi podpułkownik Doyle nie wystawił też żadnych straży przed swoim centrum operacyjnym. W rezultacie z głębokiego snu wybudził go dopiero ładunek wybuchowy wrzucony do środka w torbie, którego eksplozja rzuciła nim o ścianę i spowodowała u niego lekką ranę nogi. Po chwili w drzwiach pojawił się z pistoletem w dłoni kapitan Spilberg, który krztusząc się i kaszląc, zameldował: „Sir, oni używają gazu CS!". „Co ty, kurwa, nie powiesz!" – odkrzyknął oszołomiony podpułkownik. Wietnamczycy z Północy dodawali

pojemniki z gazem do części swoich granatów moździerzowych, a także do ładunków umieszczanych w torbach, powiększając w ten sposób zamieszanie panujące wśród Amerykanów, w panice próbujących wymacać swoje maski.

Tymczasem saperzy biegali pozornie bez ładu i składu, doskonale jednak wiedząc, co chcą osiągnąć, w przeciwieństwie do żołnierzy garnizonu. Kiedy pomieszczenie łączności wypełnił żółty dym, ludzie zaczęli je pospiesznie opuszczać, pozwalając na zniszczenie wszystkich kanałów komunikacji. Wszystkich poza jednym, bo na osobnym kanale zarezerwowanym dla artylerii operator zdążył zażądać wystrzelenia pocisków oświetlających. Tyle że nie zaraportował, iż Mary Ann została w ogóle zaatakowana, wobec czego w kwaterze głównej nie wiedziano, jak zareagować na tę dziwną prośbę. Jeden z ładunków doprowadził do zdetonowania skrzynki z granatami fosforowymi, od których z kolei zajął się ogniem bunkier operacyjny. Doyle był przytomny, ale wykazywał objawy wstrząśnienia mózgu, a może zadziałał tu po prostu ogromny szok. W ciągu kolejnych 30 minut większość ludzi z Mary Ann nie wychylała nosów ze swoich kryjówek, modląc się po cichu, by wróg się nimi nie zainteresował. Tylko nieliczni zdołali dotrzeć do swoich karabinów, więc reszta pozostawała nieuzbrojona albo w najlepszym razie ściskała w rękach pistolety. Saperzy otwierali ogień ze swoich AK-47 za każdym razem, gdy dostrzegali jakiegoś Amerykanina. Leżąc w ciszy, niektórzy obrońcy mieli okazję słyszeć rozmowy napastników albo patrzeć, jak ci wrzucają im do bunkra granaty wykonane z puszek po coli, by następnie zablokować od zewnątrz wejście i spotęgować siłę wybuchu.

Wielu napastników zrywało zegarki z nadgarstków leżących nieruchomo Amerykanów, czy to martwych, czy tylko sprawiających takie wrażenie. Jeden z nich pochylił się nawet nad jakimś rannym i zwrócił się doń po angielsku: „Wszystko w porządku, żołnierzu? Umarłeś już, żołnierzu?”[8], a potem wymierzył mu pogardliwego kopniaka. Ów żołnierz nie odezwał się ani słowem, wstrzymał oddech i starał się nie wykonywać żadnego ruchu, podczas gdy jego prześladowca zdejmował mu z ręki zegarek i wyciągał z kieszeni portfel. Porucznik Jerry Sams dowodził swoim plutonem od miesiąca i ani razu

nie miał jeszcze okazji słyszeć odgłosu strzałów. A teraz, kiedy w pośpiechu wciągał na nogi buty, wrzucony do środka granat trwale oślepił go na jedno oko i zadał mu liczne rany odłamkowe na ciele. Kiedy leżał w swoim baraku, zwijając się z bólu, nie opuszczała go jedna natrętna myśl: „Słyszałem, jak oni zabijają moich ludzi!”[9]. Na jednym z krańców obozu stała bateria haubic ARVN, z której nie oddano ani jednego wystrzału. Napastnicy nie oszczędzili nawet stołówki, w której otoczeni kłębami żółtego dymu kucharze darli się w panice, potęgowanej jeszcze wrzucanymi do środka raz po raz granatami.

Jedynie nieliczni stawiali jakikolwiek opór. Porucznik Barry McGee, absolwent West Point i były bokser, zdobywca Złotych Rękawic, acz nielubiany przez własnych ludzi, zabił podobno jednego z saperów gołymi rękami, zanim nie zastrzelił go kolejny. Tony Jorgensen postrzelił kopiącego go napastnika z pistoletu, ale jednocześnie odniósł ciężkie rany od jego granatu i konał później, leżąc w kałuży wymieszanej amerykańskiej i wietnamskiej krwi. Dwóch zaopatrzeniowców Louis Meads i William Meek oszołomionych wybuchem granatu zachowało jednak dość przytomności, by wychylić głowy nad rumowisko i zauważyć dwóch rozmawiających ze sobą napastników, których z miejsca zastrzelili. Meek powiedział: „To było naprawdę miłe uczucie, bo wiedziałem, że ten sukinsyn już mnie nie dorwie”[10]. Z kolei z relacji AWP wynika, że jej filigranowy szeregowy Trung miał wdać się w walkę wręcz z jakimś olbrzymim Amerykaninem, który próbował go udusić, wobec czego ten zdetonował granat i uśmiercił swojego przeciwnika. Inny saper miał z kolei rozwalić głowę jednemu z obrońców tępym zakończeniem rury Bangalore.

Kapitan Spilberg zapamiętał, jak podpułkownik Doyle i dwóch innych ludzi usiłowało jakoś uruchomić bezużyteczne radiostacje w ogarniętym pożarem bunkrze dowodzenia. Ranny oficer Ed McKay darł się histerycznie: „Wszyscy tu zginiemy!”, aż wreszcie podpułkownik wymierzył mu siarczysty policzek i krzyknął: „Zamknij, kurwa, ryj, poruczniku!”. A kiedy gorąco wewnątrz bunkra stało się już nie do zniesienia, wszystkim im udało się niepostrzeżenie przemknąć w ciemnościach do pobliskiego ambulatorium, które było na szczęście opuszczone. Dowództwo wciąż nie miało pojęcia, co dzieje się w Mary

Ann. Mimo że zastosowano w końcu oświetlacze, nie pozwalały one niczego dostrzec, bo cała baza spowita była gęstymi kłębami dymu z płonących baraków i wybuchających ładunków. A kiedy Spilberg zasugerował Doyle'owi, że powinni uciekać, wciąż mocno oszołomiony podpułkownik z miejsca odrzucił tę myśl, odpowiadając kapitanowi: „Paul, najwyżej tutaj umrzemy". Ale wokół ich kryjówki na południowym krańcu FSB zapanowała wreszcie jakaś dziwna cisza. Oficerowie słyszeli już tylko odgłosy strzałów dochodzące od północy, gdzie nieprzyjaciel wciąż miał pełne ręce roboty z niszczeniem dwóch dział kaliber 155 mm i zabijaniem kanonierów gramolących się niezgrabnie ze swojego baraku sypialnego. Pewien artylerzysta zeznający później przed wojskową komisją badającą całą sprawę powiedział o swoich kolegach: „Byli tak wstrząśnięci i wystraszeni, że biegali wszyscy w różnych kierunkach". Dwóch lekarzy omal nie przewróciło się o ciało jakiegoś sierżanta z zaopatrzenia, który leżał na ziemi bez obu nóg.

Wietnamczycy z Północy przerwali atak o godzinie 3.25, to jest 45 minut po jego rozpoczęciu, kiedy nad Mary Ann pojawił się pierwszy amerykański śmigłowiec bojowy, wyposażony w podczerwień huey „Nighthawk" – w świetle jego reflektorów i pocisków smugowych udało się dostrzec kilku napastników wycofujących się przez otwory w drutach. Wkrótce potem wylądował helikopter medyczny. Sierżant John Calhoun, jeden z pierwszych ewakuowanych rannych, został trafiony w pięciu różnych miejscach. Powiedział później: „Pochodzę ze wsi, a tam biło się kiedyś świniaki. A kiedy bije się świniaka, z jego wnętrzności dochodzi taki specyficzny zapach – a ja, lecąc wtedy śmigłowcem, poczułem dokładnie taki sam zapach dochodzący z ran brzusznych. To był obrzydliwy zapach, a ranni wciąż jęczeli, krzyczeli i błagali o pomoc".

Tymczasem w bazie powoli przywracano porządek. Podpułkownik Doyle kuśtykał z obandażowaną nogą wśród ofiar ataku, robiąc sobie słabe żarty z poszkodowanych i ich „ran za milion dolarów". W wielu miejscach wciąż tańczyły płomienie, a raz na jakiś czas rozlegał się odgłos kolejnej eksplodującej partii materiałów wybuchowych. Na miejsce przybył zaszokowany dowódca brygady, a obracający się wirnik

jego helikoptera tylko podsycił ogień pożarów. Jeden z pilotów śmigłowców medycznych zapytał, czy potrzebne będą worki na zwłoki, a w odpowiedzi usłyszał: „Tyle, ile tylko uda wam się przywieźć". Ciała niektórych martwych Amerykanów spaliły się niemal na popiół. Z kolei mocno odkształcone trupy 5 komunistów wrzucono do kontenera na śmieci i podpalono, za co odpowiedzialnym oficerom zagrożono później postawieniem zarzutów o popełnienie zbrodni wojennej.

Napastnicy wrócili z akcji w poczuciu triumfu, ale przyszło im cierpieć kolejne niedostatki: z braku ryżu przez kolejne cztery dni musieli żywić się leśnymi korzonkami i roślinami. Przyznawali się jednocześnie do utraty 14 spośród swoich ludzi, a dodatkowo wynieśli z walk kolejnych 21 rannych – co dowodzi, że przynajmniej jakaś niewielka część Amerykanów stawiła im skuteczny opór. Po ewakuacji Doyle'a do bazy przysłano nowego oficera operacyjnego, który zaczął poniewczasie, ale konsekwentnie wprowadzać w Mary Ann dyscyplinę. Już drugiego dnia swojego pobytu podpułkownik Clyde Tate znalazł w pomieszczeniu operacyjnym butelkę whisky, którą natychmiast rozbił. Ocalali żołnierze, pod wpływem przeżytej traumy i poczucia skrzywdzenia, zaczęli snuć teorię, że padli ofiarą „zdrady od wewnątrz" – to jest, że obecni w bazie Wietnamczycy z ARVN, których kwater nie zaatakowano, musieli dostarczyć saperom informacji, a może nawet wpuścić ich na teren Mary Ann. Były to oczywiste wymysły, ale odzwierciedlały głęboki i wszechobecny brak zaufania między Amerykanami a „tymi dobrymi" Wietnamczykami.

Do zupełnie innych wniosków doszedł jednak generalny inspektor 23. Dywizji, który w swoim raporcie odmalował dosyć niewesoły obraz: ludzie wyznaczeni do sprawowania warty poszli spać, a po ataku większość żołnierzy szukała kryjówki, zamiast stawić czoła nieprzyjacielowi. Inspektor z całą brutalnością stwierdzał ponadto, że wielu zabitych „padło ofiarami własnej nieodpowiedzialności, ponieważ nie robili tego, co rozkazano im robić". Niezależnie od tego potwierdzał on odwagę napastników i profesjonalizm, z jakim przeprowadzono atak. Na koniec zaś stwierdzał, że wśród amerykańskich żołnierzy „istnieje (...) w pełni zrozumiała niechęć do przyznania, iż niezależnie od okoliczności WK/AWP może sobie radzić lepiej od nas (...),

a większość żołnierzy WK/AWP wydaje się (...) wierzyć w słuszność swojej sprawy (...). Tego samego zaś nie można było powiedzieć o przeciętnym żołnierzu amerykańskim w Wietnamie wiosną 1971 roku". Dowodzący dywizją generał brygady James Baldwin nie chciał pozbawiać Doyle'a dowództwa nad 1/46. Batalionem, więc uczynił to za niego Abrams w Sajgonie. Swoje stanowiska stracili też sam Baldwin oraz dowódca brygady.

W raporcie MACV, przedstawionym w lipcu, oskarżono poległego kapitana Knighta o „zaniedbanie obowiązków", a kilku innych ważnych członków personelu dowódczego określono jako „nieskutecznych"; Doyle miał dużo szczęścia i zdołał uniknąć sądu wojennego. W miarę jak na światło dzienne zaczynały wypływać kolejne fakty związane z atakiem na Mary Ann, prasa podchwytywała je z dużą ochotą. Ale niedługo po zakończeniu procesu Calleya armia amerykańska nie miała już najmniejszego zamiaru prać publicznie swoich kolejnych brudów. Westmoreland pisał z Waszyngtonu: „Sekretarz [Armii] i ja sam pragniemy uczynić wszystko, co w naszej mocy, by ograniczyć liczbę ran własnoręcznie zadawanych sobie przez Armię"[11]. Doyle'owi pozwolono zatem zachować zarówno mundur, jak i stopień wojskowy, tyle że przeniesiono go na stanowisko nieoperacyjne. I on, i Baldwin, obaj ze zniszczonymi karierami, umarli stosunkowo młodo. Ich późniejsi obrońcy twierdzili, że obaj stali się zwykłymi kozłami ofiarnymi. Można się z tym w zasadzie zgodzić w takim sensie, że tragedia w Mary Ann była raczej wynikiem pewnej niewydolności instytucjonalnej: już od jakiegoś czasu dowódcom na każdym możliwym poziomie z trudem przychodziło bowiem narzucanie własnego autorytetu czy wymaganie od swoich ludzi utrzymywania choćby minimalnych standardów żołnierskiego zachowania.

Żaden inny pojedynczy epizod tej wojny nie pokazuje w sposób równie obrazowy, jakim szaleństwem było jednostronne podejmowanie próby wycofania się z niej, mimo utrzymywania bliskiego kontaktu z nieprzyjacielem. Skala indolencji, a nawet dekadencji, do jakiej dopuścili oficerowie w Mary Ann, wydaje się przekraczać wszelkie wyobrażenia. Wielu ludzi wyrażało później swój autentyczny żal z powodu losów tego garnizonu, ponieważ jego straty były rzeczywiście

horrendalnie wysokie. Tyle że do tak smutnego końca przyczynili się wcześniej niemal wszyscy jego członkowie, poczynając od podpułkownika Doyle'a.

Niezależnie od starań sił południowowietnamskich, amerykańskiego lotnictwa czy niektórych jednostek lądowych zdecydowana większość Amerykanów walczących w piechocie nie była już ani tak zmotywowana, ani tak zdyscyplinowana, a w konsekwencji dalece nie tak skuteczna, jak ich komunistyczni przeciwnicy. Porucznik Brian Walrath, amerykański doradca służący niedaleko Mary Ann, napisał później: „Wątpię, czy ci żołnierze [z garnizonu FSB] jakoś znacząco różnili się od większości (...) na tamtym etapie wydarzeń"[12].

Do innego podobnego w charakterze incydentu doszło 21 maja, kiedy to inna baza ogniowa zaatakowana została 11 rakietami kaliber 122 mm, które zabiły 32 Amerykanów, a raniły kolejnych 21, głównie dlatego, że wszyscy oni znajdowali się w chwili ataku w stołówce, skąd w panice uciekli do jednego bunkra, trafionego później bezpośrednio przez kolejną z rakiet. Abrams nie potrafił wówczas ukryć swojej wściekłości, bo wcześniej jednostce tej przekazano ostrzeżenie o zbliżającym się ataku. Powiedział: „Nie należy lekceważyć takich rzeczy [alertów wywiadu]. Lekceważąc je, lekceważy się życie swoich ludzi"[13]. Niemal taka sama historia wydarzyła się później jeszcze na LZ English, gdzie w chwili ataku nieprzyjaciela żołnierze grali w siatkówkę i zbierali się do oglądania filmu. Również wtedy Abrams nie mógł opanować swojej frustracji, wykrzykując: „To niedopuszczalne – to całkowita porażka ich dowódców. Przecież oni tam mieli dane wywiadowcze (...). Nie wiem, o czym oni, do cholery, sobie myśleli". Cóż, myśleli zapewne o bliskim powrocie do domu: zaledwie miesiąc po ataku na Mary Ann Amerykanie opuścili to wzgórze już na zawsze. A podczas corocznego świątecznego występu na Boże Narodzenie 1971 roku Bob Hope po raz pierwszy został wygwizdany przez żołnierzy wciąż służących w Wietnamie.

2. „KOZIOŁ”

Co bardziej doświadczeni amerykańscy wojskowi powoli zdawali sobie sprawę, że niezależnie od tego, w którą stronę podążą dalsze walki na lądzie, ich własne formacje bojowe nie będą już w nich odgrywały żadnej znaczącej roli. Fred Weyand powiedział w maju 1971 roku: „Nasze lotnictwo będzie odtąd klejem spajającym to wszystko ze sobą (...). Gdyby nie to lotnictwo, doprowadzające ich [to jest wrogów] do szału, to już dawno byłoby z nami źle, a mimo to ci goście w Waszyngtonie wciąż chcą się zamachnąć również na nie”[14]. Chodziło mu rzecz jasna o narastającą presję polityczną – wyrażającą się kolejnymi cięciami wydatków uchwalanymi przez Kongres – by w ślad za ograniczaniem amerykańskich sił lądowych zacząć wycofywać z Wietnamu również formacje sił powietrznych. A w miarę powrotu do Ameryki kolejnych transz żołnierzy to właśnie siły powietrzne stawały się główną bronią, jaką mieli jeszcze do dyspozycji Nixon i Kissinger. Między marcem 1969 roku a majem 1970 roku prezydent osobiście nakazał wykonanie 4308 misji B-52 na wyznaczone cele w Kambodży, których nie ujawniono nawet szefowi USAF generałowi Johnowi Ryanowi. Przed wyruszeniem na każdą taką misję lotniczą nad terytorium Kambodży czy Laosu nawigatorom kazano podpisywać klauzulę poufności, a ponieważ Hanoi uparcie odmawiało przyznania, że na obszarze obu tych państw znajdowali się jego żołnierze, nie bardzo mogło ono wykorzystywać propagandowo fakt, iż swoje nielegalne kampanie powietrzne prowadzili tam również Amerykanie. Dowództwo Lotnictwa Strategicznego (DLS) prowadziło nawet podwójną dokumentację wykonanych akcji: w części raportów, o bardzo wąskiej cyrkulacji, podawano rzeczywiste cele, do szerokiej dystrybucji przeznaczano natomiast te, w których opisywano jakieś fikcyjne ataki na terenie Wietnamu Południowego.

Praktykowano jednak wówczas jeszcze jedną podobnie oszukańczą sztuczkę, o wiele mniej znaną, a rzucającą sporo światła na sposób, w jaki Ameryka prowadziła w tamtych dniach wojnę w Wietnamie. Począwszy od 1969 roku, Nixon coraz mocniej naciskał na dowódców sił powietrznych, by nie oszczędzali Wietnamczyków z Północy i walili

w nich tak mocno, jak tylko się da i gdzie tylko się da[15]. A ponieważ jego zdaniem lotnictwo wciąż okazywało się nie dość skuteczne, z czasem zaczął mieć jak najgorszą opinię o wojskowych, często narzekając na ich rzekomy „brak jaj". Tyle że z uwagi na wymogi polityki wewnętrznej administracja nie była w żaden sposób skłonna poszerzyć zakres regulaminu wojskowego RoE, by dać dowódcom szersze pole do działania, to bowiem musiałoby przyciągnąć zupełnie niepotrzebną uwagę Kongresu i mediów.

W późniejszych miesiącach 1971 roku prezydent osobiście zlecał wykonywanie wielokrotnie ponawianych nalotów na kolumny pojazdów pancernych i wszelkich innych na północ od DMZ. Były to jak najbardziej racjonalne środki podejmowane przeciwko wrogowi, który w oczywisty sposób gromadził siły do jakiejś nowej ofensywy, tyle że wykraczały one poza zakres istniejącego regulaminu RoE. W listopadzie admirał Thomas Moorer, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, przekazał generałowi broni Jackowi Lavelle'owi, dowodzącemu 7. Siłami Powietrznymi w Sajgonie, by wysłał jakieś samoloty zwiadowcze nad bazę powietrzną w Dong Hoi w Wietnamie Północnym, ponieważ komuniści z całą pewnością je ostrzelają, a wówczas da to podstawę do przeprowadzenia na nią nalotów bombowych. I tu właśnie tkwiło sedno problemu, którego przejawem miał się stać tak zwany skandal Lavelle'a. Obowiązujące od roku 1968 zasady RoE pozwalały amerykańskim samolotom atakować pozycje artyleryjskie i rakietowe na Północy jedynie wówczas, jeśli to one jako pierwsze otworzyły ogień, a instalacje radarowe jedynie w przypadku, kiedy ich załoga podejmowała próbę namierzenia intruza i skierowania na niego własnych myśliwców MiG-21. Niezależnie od tego, jak absurdalne mogły się wydawać tego rodzaju restrykcje z czysto racjonalnego punktu widzenia, z czasem nabrały one statusu niemalże słowa objawionego, zwłaszcza w okresie, w którym wielu członków Kongresu szukało jakiegokolwiek punktu zaczepienia, by móc doprowadzić do natychmiastowego wycofania się z wojny.

Regulamin RoE pozostawiał rzecz jasna pewne pole do interpretacji – na przykład pozwalał na atakowanie tych stacji radarowych, którym w przeszłości zdarzało się namierzać amerykańskie samoloty, jeszcze

przed tym, jak podłączone do nich wyrzutnie rakietowe były zdolne wystrzelić swoje pociski. Tyle że w grudniu 1971 roku komunistyczne wyrzutnie SAM zaczęły strzelać dokładnie w chwili uzyskania namiaru radarowego, co odbierało pilotom możliwość jakiejkolwiek reakcji. W umysłach lotników i ich dowódców zaczął odtąd narastać zamęt odnośnie do tego, jak daleko mogli się posunąć, atakując wyrzutnie nieprzyjaciela – które szykowały się już być może do zestrzelenia intruza – by nie zostać potem oskarżonym o niesprowokowaną akcję. Z Białego Domu płynęły bez przerwy dobrze znajome tony: Nixon chciał, by komunistom wyrządzano jak najwięcej szkód. Bezustannie uskarżał się przy tym, że lotnictwo nie spisywało się tak, jak należy, częściowo dlatego, że bombardowania radarów znad pułapu chmur okazywały się często nieskuteczne. W grudniu 1971 roku generał Ryan złożył roboczą wizytę w bazie Udorn w Tajlandii i przekazał jej załodze, że jest mocno rozczarowany jej „fatalnymi osiągnięciami". Lecz kiedy niedługo potem z wizytą w Sajgonie pojawił się sekretarz obrony Melvin Laird, a generał broni Lavelle skorzystał z okazji i poprosił go o rozszerzenie zakresu RoE, Laird stanowczo odmówił. Zamiast tego sekretarz obrony zapewnił tylko, że szef 7. Sił Powietrznych powinien „wykorzystać do maksimum autorytet, którym się cieszymy, a on wesprze nas w Waszyngtonie"[16]. Tyle że zaledwie miesiąc później ten sam Laird, który nie należał do ścisłego kręgu wtajemniczonych w Białym Domu, oświadczył w niejakiej sprzeczności z powyższymi słowami, iż instalacje radarowe powinny być atakowane jedynie wtedy, gdy kontrolują one MiG-i, które już są „w powietrzu i mają wrogie zamiary".

2 lutego 1972 roku admirał Moorer powiedział Nixonowi, że polecił Creightonowi Abramsowi – jako zwierzchnikowi Lavelle'a – „zwiększyć zakres swoich lotów zwiadowczych i uczynić tak, by tym samolotom zwiadowczym zawsze towarzyszyło silne wsparcie bombowców, a w przypadku gdyby do tych pierwszych zaczęto oddawać strzały, do czego dochodzi niemal zawsze, wówczas do akcji mają wkraczać bombowce – i tego rodzaju operacje przeprowadzamy już od jakiegoś czasu, sir". A prezydent odparł na to: „Chcę się tylko upewnić, że interpretacja [RoE] będzie bardzo, ale to bardzo szeroka"[17].

A następnego dnia, podczas spotkania z ambasadorem Ellsworthem Bunkerem, przebywającym akurat z wizytą w Waszyngtonie, Nixon uświadomił mu, że musi powiedzieć Abramsowi mniej więcej tyle: „Może walić w pozycje SAM, i kropka. Ale ma się tym zbytnio nie chwalić (...). A jeśli to już wyjdzie na jaw (...), ma mówić, że było to «obronne uderzenie reakcyjne»".

Tyle że tego rodzaju operacje nie miały już dłużej prawa przejść niezauważone. W styczniu Lavelle, as przestworzy z czasów II wojny światowej, rzeczywiście nakazał przeprowadzenie kilku „obronnych uderzeń reakcyjnych". A kiedy załogi biorące w nich udział stwierdzały później, że wróg nie odpowiadał ogniem, przestrzegano je przed podawaniem tego faktu w skomputeryzowanych raportach pooperacyjnych OPREP-4. W kolejnym miesiącu specjalista od spraw wywiadowczych w bazie lotniczej w Udorn, sierżant Lonnie Franks, napisał do zajmującego zdecydowanie antywojenne stanowisko senatora Harolda Hughesa, wyjawiając mu, że załogi przedstawiają sfałszowane raporty po misjach bombowych, byle tylko uzasadnić ich odbycie. Kolejna odsłona tej historii toczyła się już publicznie. Generał Ryan, z którym Lavelle już od dawna miewał liczne zatargi, wysłał do Sajgonu inspektora generalnego sił powietrznych Louisa Wilsona, by ten zbadał przedstawione zarzuty. A Wilson zaraportował, opierając się na dosyć wątpliwych dowodach, że dowódca 7. Sił Powietrznych rzeczywiście zlecał misje w oczywisty sposób naruszające uzgodnione RoE. Lavelle został z miejsca wezwany do Waszyngtonu, gdzie szybko złożył rezygnację z dalszej służbie w USAF ze „względów zdrowotnych", przechodząc w stan spoczynku ze stopniem generała brygady, a zatem utraciwszy dwie generalskie gwiazdki.

Na tym etapie wydarzeń prezydent Nixon nie wiedział jeszcze niczego. A kiedy wkrótce potem odbywał, przy udziale Kissingera, osobiste spotkanie z generałem broni Johnem Vogtem, nowo mianowanym następcą Lavelle'a na stanowisku dowódcy 7. Sił Powietrznych, powiedział mu, że domaga się od swojego lotnictwa znacznie większej agresywności. Opisując później to spotkanie, Vogt wyraził się, że Nixon miał podczas niego „dzikość w oczach"[18]. A potem na pierwszych stronach gazet pojawiły się przecieki dotyczące

szczegółów dymisji Lavelle'a. Komentatorzy oskarżali generała o prowadzenie w sprzeczności z rozkazami przełożonych swojej „prywatnej wojny powietrznej", do której miał on angażować pilotów i podległych mu dowódców, dopuszczonych do „szerokiej sieci spisku". 14 czerwca podczas spotkania z Kissingerem i sekretarzem stanu Rogersem Nixon po raz pierwszy wspomniał o okrytym już teraz niesławą generale: „O co tu, do cholery, chodzi? – pieklił się. – I kto to w ogóle jest ten Lavelle? Czy robią z niego jakiegoś kozła? Jeśli tak (...), to nie jest dobrze". Kissinger i Rogers wyjaśnili mu sytuację z listem wysłanym przez sierżanta Franksa i odzewem, jaki on wywołał. Na kolejnym spotkaniu tamtego dnia Kissinger powiedział: „Problem z Lavelle'em polega na tym, że on miał podstawy przypuszczać, iż my oczekiwaliśmy od niego podjęcia bardziej agresywnych kroków". Nixon odparł: „Dokładnie tak, dokładnie tak". A Kissinger kontynuował: „Aż tu nagle Laird spada na niego niczym jastrząb z przestworzy". A Nixon: „Nie chcę, by kogokolwiek ścigano za to, że robił to, co uważał za słuszne". Kissinger pozwolił sobie w tym momencie na kilka cierpkich uwag o wojskowych: „Oni wszyscy zwracają się przeciwko sobie niczym szczury". Nixon w pełni się z tym zgodził, a następnie zapytał: „Czy możemy coś zrobić, żeby powstrzymać to całe cholerstwo?". Teraz przyszedł czas na bezwzględne kalkulacje polityczne. Kissinger powiedział: „Uważam, że trzeba to przeczekać. Uważam, że powinniśmy po prostu mówić, eee (...), że podjęliśmy już środki zaradcze". Na zakończenie Nixon raz jeszcze rytualnie westchnął nad złamaną karierą Lavelle'a: „Ale jednak cholernie szkoda tego faceta. W dodatku odchodzi w takim złym świetle, Henry". I tak właśnie wyglądał koniec tego jeszcze do niedawna prominentnego lotnika.

Kissinger nie był wcale daleki od prawdy, mówiąc o wojskowych jako o „szczurach zwracających się przeciwko sobie". We wrześniu 1972 roku Moorer zeznał przed senacką komisją, że nigdy nie zachęcał do przeprowadzania „obronnych uderzeń reakcyjnych" podczas operacji lotniczych przeciwko Północy, co było oczywistą nieprawdą. Abrams z kolei podczas przesłuchania przed tym samym gremium powiedział: „[Lavelle] działał niezgodnie z Regulaminem, a w mojej ocenie Regulamin nie jest do końca tożsamy z linią polityczną"[19]. Już sama

ogólnikowość wypowiedzi Abramsa może świadczyć o tym, jaką plątaniną krętactw stała się do tego czasu ta wojna. Zdymisjonowanie Lavelle'a za wdrażanie wielokrotnie powtarzanych życzeń zwierzchnika sił zbrojnych stawiało w niezwykle złym świetle jego bezpośrednich przełożonych, to jest Moorera i Ryana, którzy faktycznie uczynili zeń „kozła", jak to ujął sam Nixon. Ale też regulamin RoE, według którego miały działać USAF, był pełen śmieszności i hipokryzji. Racjonalny wybór wydawał się bowiem prosty i tylko jeden: albo Amerykanie chcieli prowadzić wojnę powietrzną przeciwko Północy, albo tego nie chcieli. Tyle że w narastająco pokręconym świecie waszyngtońskich decydentów politycznych nie obowiązywała już ani racjonalność, ani uczciwość.

3. „WRACAJMY DO DOMU"

Creighton Abrams był już w tym czasie cieniem dawnego siebie, cierpiąc na chorobę wrzodową, zapalenie płuc, nadciśnienie i problemy związane z nadmiernym spożyciem alkoholu: już choćby tylko z tych względów, nie biorąc pod uwagę jednoczesnej utraty zaufania Białego Domu, trudno jest doprawdy pojąć, dlaczego wciąż zachowywał on swoje stanowisko. Jedna z najciekawszych ówczesnych rozmów między Nixonem a Kissingerem odbyła się rankiem 29 maja 1971 roku, tuż przed wylotem doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego na kolejną rundę tajnych negocjacji. Podczas tego spotkania Kissinger nakreślił prezydentowi swoje plany, zgodnie z którymi porozumienie miało zostać zawarte na tyle szybko, by można było wykorzystać ten fakt jeszcze w kampanii przed następnymi wyborami prezydenckimi[20].

KISSINGER: Dzięki temu przebrniemy jakoś przez rok 1972. Jestem teraz w tej sprawie doskonale cyniczny, panie prezydencie.

NIXON: Owszem.

KISSINGER: Jeśli to się powiedzie, w październiku ’72 będziemy już mogli jeździć po całym kraju i chwalić się, że zakończyliśmy tę wojnę, podczas gdy Demokraci chcieli po prostu poddać się komunistom (...).

NIXON: Dokładnie tak.

KISSINGER: A wtedy nasze akcje idą mocno w górę.

Doradca pozwolił też sobie na szczerą prognozę prawdopodobnych losów rządu w Sajgonie:

KISSINGER: Jeśli mają tam już wejść komuniści, to lepiej, żeby się to stało w pierwszych sześciu miesiącach nowej kadencji, niż miałoby się to przeciągać na całe miesiące i lata.

NIXON: Jasne, że tak.

KISSINGER: Mówię to z pełnym wyrachowaniem.

NIXON: Doskonale wiem, o co ci chodzi.

13 czerwca „New York Times” zaczął drukować kolejne dokumenty, które z czasem zyskały sobie miano Pentagon Papers. Był to w istocie ściśle tajny raport, zlecony pięć lat wcześniej przez Roberta McNamarę, gdzie jak na dłoni można było zobaczyć wszelkie oszustwa i błędy w ocenie, które doprowadziły do zaangażowania się Stanów Zjednoczonych w wojnę w Wietnamie. Administracja skierowała początkowo całą swoją złość w stronę Daniela Ellsberga, urzędnika, który udostępnił ten raport prasie, ale i tak nie udało jej się przykryć faktu, że jego upublicznienie tylko pogłębiło narastające już od jakiegoś czasu w społeczeństwie amerykańskim przekonanie, iż Amerykanie nigdy w ogóle nie powinni byli trafić do Wietnamu, a wobec tego tym bardziej należało teraz jak najszybciej opuścić to przeklęte miejsce.

Alexander Haig stwierdził, że stało się już sprawą oczywistą, iż Stany Zjednoczone muszą zaakceptować jakiś rząd koalicyjny w Sajgonie, uwzględniający reprezentację komunistyczną. Tyle że Hanoi takie ustępstwo już nie wystarczało: jego przedstawiciele nalegali teraz na bezwarunkowe usunięcie prezydenta Nguyena Van Thieu, z uporem

przyczyniającym się do dalszego przedłużania rozmów, a nawet stagnacji w negocjacjach. Departament Stanu, w absolutnej niezgodzie z realizowaną już od dobrej dekady linią polityczną, zaczął namawiać prezydenta Wietnamu Południowego do wykonania pierwszego kroku w stronę komunistów. Nixon powiedział zaś Kissingerowi w lipcu: „Oni dobrze wiedzą, że trzymają nas za jaja". Do końca 1971 roku zarówno prezydent, jak i jego doradca byli już gotowi zaakceptować rozejm z zachowaniem istniejącej sytuacji, zarzucając wszelkie mrzonki o wymuszeniu na komunistach wycofania żołnierzy AWP z terytorium Południa.

Prezydent Richard Nixon dyskutuje o sytuacji w Wietnamie z gen. Creightonem Abramsem (drugi od lewej), gen. Earlem Wheelerem (pierwszy od prawej) oraz sekretarzem obrony Melvinem Lairdem (drugi od prawej), 12 maja 1969 roku

Prawdopodobnie najważniejszym, a już z całą pewnością najbardziej twórczym osiągnięciem całej prezydentury Richarda Nixona – bo czasami całkiem zapomina się o tym, że miała ona jednak jakieś osiągnięcia – było doprowadzenie do odprężenia w stosunkach z Chinami. Dzisiaj, w XXI wieku, trudno nam jest wyobrazić sobie, jak

olbrzymi dystans w sensie politycznym, moralnym i strategicznym musiał przebyć ówczesny rząd amerykański, by szukać pragmatycznego znormalizowania stosunków z reżimem od blisko ćwierćwiecza uważanym przez tamtejszych konserwatystów za siedlisko wszelkiego zła. Ci sami konserwatyści postrzegali jednocześnie Mao Zedonga jako sprawcę historycznego upokorzenia Stanów Zjednoczonych, to jest „utraty Chin". Inicjując pierwsze kroki na drodze do zbliżenia z Pekinem, poprzez pośredników z Europy Wschodniej, Nixon i Kissinger pragnęli zrealizować dwa cele. Pierwszym było rozpoczęcie dialogu, który mógłby pogłębić rozdźwięki istniejące już w obrębie obozu komunistycznego, a tym samym jeszcze bardziej odizolować Związek Sowiecki. Drugi, znacznie ważniejszy, stanowiło zwiększenie szans na osiągnięcie porozumienia pokojowego w Wietnamie. Administracja wciąż bowiem wierzyła, że po wycofaniu wsparcia przez Chińczyków i Sowietów samo Hanoi nie będzie w stanie skutecznie prowadzić dalszych działań wojennych.

W pewnym sensie były to oczywiście rachuby całkiem słuszne. Tyle że Amerykanie wciąż nie doceniali, pod jak wielką ideologiczną presją znalazła się Moskwa, decydując się na wsparcie Wietnamu Północnego. Wycofanie owego wsparcia w tamtej chwili oznaczałoby porzucenie heroicznych rewolucjonistów Le Duana w godzinie próby, a to z kolei całkowicie zrujnowałoby wiarygodność Sowietów w oczach wszystkich zwolenników socjalizmu na całym świecie, wobec czego podobna opcja nigdy tak naprawdę nie wchodziła w grę. Zwłaszcza Kissinger nie oczekiwał już teraz zbyt wiele po układzie pokojowym, jaki byłby w stanie zaakceptować. Podczas lotu do Pekinu na pierwsze sekretne spotkanie z premierem Zhou Enlaiem w lipcu 1971 roku zapisał on w swoim notatniku: „Chcemy przyzwoitej przerwy (*a decent interval*)". Chodziło mu o to, by Amerykanie uzyskali jakiś rozsądny czas na pełne wycofanie się z Wietnamu, zanim wpadnie on w ręce komunistów, co można by uznać za zachowanie przez nich resztek godności. Ten sam przekaz powtórzył on również podczas drugiego, październikowego spotkania obu polityków w Pekinie, tym razem już nagłośnionego, które zaszokowało cały świat, a w Hanoi wywołało wręcz prawdziwy popłoch. Od tej pory wszyscy Wietnamczycy, czy to z Północy, czy z Południa,

znaleźli się bowiem w zupełnie nowej sytuacji, jako że rządzący Chinami i Stanami Zjednoczonymi wydawali się już teraz znacznie bardziej zainteresowani rozwijaniem stosunków bilateralnych między swoimi dwoma wielkimi narodami aniżeli losem Hanoi czy Sajgonu. Sam ten fakt nie oznaczał jeszcze pokoju w Wietnamie, ale z całą pewnością stał się kluczowym czynnikiem w procesach dyplomatycznych, które w końcu do tego doprowadziły.

Kiedy w październiku 1971 roku w Wietnamie Południowym odbyły się ostatnie już, jak miało się wkrótce okazać, wybory prezydenckie, ku zażenowaniu Waszyngtonu i przy szyderstwach całego świata wygrał w nich pozbawiony kontrkandydata Nguyen Van Thieu. Obaj zgłoszeni wcześniej rywale, wiceprezydent Ky i „Duży" Minh, wycofali bowiem swoje kandydatury, co tylko potwierdziło bezzasadność argumentacji, że toczona w tym kraju wojna była jakoby krucjatą na rzecz demokracji. A mimo to decydenci wciąż nie dopuszczali do siebie myśli o nieuchronnej porażce i o konieczności opuszczenia Wietnamu przez Amerykanów. Neil Sheehan powiedział z niejakim znużeniem: „Amerykanie nigdy nie pogodzą się z tym, że mieliby sobie pójść"[21]. Kiedy Tom Polgar miał wylatywać do Sajgonu, by objąć tam funkcję szefa stacji CIA, wyznał Melvinowi Lairdowi, że obawia się o bezpieczeństwo swojej rodziny w tym mieście. „A tam, nie przejmuj się – odparł mu na to sekretarz obrony. – Pewnie skończy się tym, że zostawimy w Wietnamie jakieś szczątkowe siły na kolejne trzydzieści lat, zupełnie jak w Niemczech"[22]. Ale wycofywanie wojsk amerykańskich trwało w najlepsze, z wszelkimi niedobrymi konsekwencjami. Kiedy 173. Brygada Powietrznodesantowa opuściła prowincję Binh Dinh, załamała się w niej akcja pacyfikacyjna, a komuniści zapewnili sobie pełną dominację polityczną. W lipcu z Wietnamu wyjechał Bill Colby, mózg programów CORDS i Phoenix. Do końca tamtego roku, choć na teatrze działań wojennych wciąż znajdowało się 175 tysięcy Amerykanów, większość z nich pełniła już tylko funkcje pomocnicze: w całym kraju pozostały zaledwie dwie amerykańskie dywizje bojowe, przy czym jedna z nich nie była w ogóle aktywna.

Nawet w stosunkowo stabilnym kontyngencie australijskim pod koniec jego zmiany w roku 1971 porucznik Rob Franklin myślał już w zasadzie tylko o jednym: „Jeszcze trochę, a będę miał to wreszcie za sobą". Przez cały ten czas zdążył on wyrobić w sobie głęboki respekt wobec komunistów – „naprawdę wytrawnych żołnierzy" – któremu towarzyszyło równie głębokie pragnienie, by nie zginąć akurat w tym momencie wojny. „Nasze misje nazywały się wprawdzie «wyszukać i zniszczyć», ale na tamtym etapie znacznie odpowiedniejsze byłoby dla nich określenie «wyszukać i unikać». Po prostu czuło się, że to już koniec". Pewnego dnia Franklin poprowadził pluton strzelców na patrol, podczas którego natknęli się oni na kilku bojowników Wietkongu, po czym ścigali ich aż do jakiejś plantacji kauczuku. Robiło się już późno i lada chwila miał zapaść zmrok. Franklin nakazał całej grupie zatrzymać się. Jego sierżant, Arthur Francis, zapytał go wówczas: „Ale po co się tu zatrzymujemy, szefie?". Porucznik odparł na to, używając popularnego przydomka Francisa: „Franger, ci chłopcy dociągnęli aż dotąd. Dajmy im spokój. Wracajmy do domu"[23].

24
Największa bitwa

1. LE DUAN PODKRĘCA TEMPO

Wielu historyków tej wojny postrzega wszystko to, co działo się po ofensywie Tet z 1968 roku, jako jej pokłosie, jako że od tamtej pory stało się już jasne, że Amerykanie zamierzają się wycofać, a tym samym przypieczętowany został los Wietnamu Południowego. To ostatnie stwierdzenie jest najprawdopodobniej prawdziwe, ale nie zmienia to pewnego znaczącego faktu: to w roku 1972 doszło do największych starć w całym tym długim konflikcie – a niektóre z tych bitew, z użyciem wszelkich rodzajów wojsk i broni przyćmiły swoją skalą i intensywnością nawet walki z roku 1968, skutkując w dodatku olbrzymimi stratami po obu stronach. Był to zarazem rok, w którym największe państwa świata zwoływały historyczne szczyty, negocjacje w Paryżu, od tak dawna stojące w miejscu, w końcu nabrały przyspieszenia, by nie bez przeszkód przybliżyć się do mocno wymuszonego kompromisu, a Richard Nixon zapewnił sobie upragnioną reelekcję.

Le Duan również nie próżnował, analizując przebieg wydarzeń i snując dalsze plany albo w nadmorskim kurorcie Do Son, albo w domu gościnnym Quang Ba w Hanoi. Jesienią 1971 roku, po spędzeniu pewnego czasu i w jednym, i w drugim miejscu, podjął wreszcie doniosłą decyzję: AWP przystąpi wkrótce do konwencjonalnej ofensywy, by pokazać całemu światu, jaką porażką jest wietnamizacja. Z charakterystycznym dla siebie nieprzejednaniem odrzucił przy tym obiekcje wysuwane przez część swoich towarzyszy uważających, że amerykańskie lotnictwo uniemożliwi realizację tak ambitnego planu.

W jego oczach była to bowiem doskonała wręcz okazja do kolejnego przetestowania siły woli Stanów Zjednoczonych, a przy tym szansa na wykazanie słabości reżimu w Sajgonie, co tylko wzmocniłoby pozycję Hanoi, a może nawet doprowadziłoby do upadku Thieu. Rzecz jasna w tych strategicznych kalkulacjach zupełnie pomijał on fakt, że przyjdzie mu posłać na pewną śmierć kolejne dziesiątki tysięcy swoich rodaków, i to w czasie, w którym wycofanie się Amerykanów z wojny było już sprawą praktycznie przesądzoną. O ile bowiem przywódcy Stanów Zjednoczonych nierzadko odwoływali się w trakcie tego konfliktu do metod niehumanitarnych, o tyle Wietnam Północny od samego początku stawiał w nim na czyste okrucieństwo.

A ponieważ przygotowań do ofensywy mającej objąć aż 10 dywizji, a taką właśnie skalę przewidywali komuniści, nie dało się żadną miarą ukryć ani zamaskować – przy okazji, jej północnemu skrzydłu nadano kryptonim Nguyen Hue, by uczcić pewnego osiemnastowiecznego wietnamskiego władcę, który zwyciężył Chińczyków – Amerykanie już wkrótce zaczęli otrzymywać rozmaite niepokojące sygnały. Po odprawie 22 grudnia 1971 roku Creighton Abrams doszedł do wniosku, że nieprzyjaciel w oczywisty sposób „nad czymś pracuje. Wszystkie z n a k i na to wskazują (...). I zupełnie nie podoba mi się, czym to p a c h n i e”[1]. Na innym spotkaniu, dziesięć dni później, podsumował on swoje przemyślenia w sposób następujący: „Nie wiemy ani k i e d y, ani g d z i e (...). Jedyne, co wiemy, to tyle, że [wróg] zdecydował (...), iż w odpowiednim czasie (...) jest gotowy pójść na całego”[2] – chodziło mu o to, że Wietnam Północny może rzucić do walki wszystkie swoje regularne formacje, ewentualnie poza jedną czy dwiema. 20 stycznia 1972 roku podczas jednej z odpraw w MACV dowódcy usłyszeli: „Nie ulega wątpliwości, że szykuje się [ze strony komunistów] jakaś wielka kampania. Spodziewamy się, że główne uderzenie pójdzie na [Płaskowyż Centralny i północną prowincję Quang Tri]”[3]. Z kolei dwa dni później informacje te uzupełniono o kolejne: „Po raz pierwszy od 1965 roku stajemy w obliczu sytuacji, w której wielką ofensywę nieprzyjaciela będą musiały odeprzeć w dużej mierze siły [południowowietnamskie]”[4]. Na zakończenie padło jeszcze zdanie: „Nikt nie będzie miał do dyspozycji takich środków, jakich by sobie

życzył", co wywołało wśród słuchaczy salwy śmiechu – ironicznego, ale i podszytego zaniepokojeniem.

2 lutego sam Abrams powiedział: „Czas zacząć przedstawienie! Kurtyna idzie w górę, a my znaleźliśmy się na scenie"[5]. Podczas odprawy z gościnnym udziałem delegacji południowokoreańskiej zasugerował on z dużym wyczuciem, że celem komunistów będzie zapewne „uderzenie w najsłabszy element całej tej układanki, to jest w wolę [dalszej walki] społeczeństwa amerykańskiego (...). Jeśli uda im się zająć Ben Het albo miasto Kontum, a potem utrzymać je przez jakiś tydzień (...), a dodatkowo zagrozić Quang Tri, wówczas prasa zacznie głosić, że wietnamizacja to porażka. A wtedy już nawet tych kilku ostatnich kongresmenów, którzy jeszcze popierają kontynuowanie wsparcia ekonomicznego, ostatecznie straci wiarę w słuszność sprawy"[6]. Powyższa ocena okazała się tak trafna, że dziwić może w zasadzie tylko jedno: dlaczego, kiedy Wietnamczycy z Północy rzeczywiście zaatakowali, udało im się osiągnąć całkiem spory efekt zaskoczenia. Stało się tak po części dlatego, że Abrams spodziewał się ich uderzenia w święto Tet, a kiedy tak się nie stało, spadła nań fala krytyki i szyderstw ze strony mediów za niepotrzebne sianie paniki. Prawdą jest jednak również i to, że nikt w Waszyngtonie nie chciał wtedy słuchać żadnych przestróg. Zwłaszcza doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego wydawał się w pełni przekonany o tym, że z powodzeniem radzi sobie z komunistami w Paryżu, a ponadto był wciąż zajęty innymi ważnymi kwestiami geostrategicznymi.

21 lutego prezydent rozpoczął swoją historyczną wizytę w Chinach, która szybko nabrała wymiaru triumfalnego, zarówno dla niego samego, jak i dla jego pośrednika: Kissinger trafił bowiem na okładkę magazynu „Time", choć inspiratorem tej inicjatywy był po prawdzie sam Nixon. Obie strony rozmawiały ze sobą z dość dużą szczerością, mimo że nie osiągnięto żadnego porozumienia w sprawie Tajwanu. Prezydent podkreślał swoją determinację, gdy chodzi o wycofanie się z Wietnamu Południowego, i nie ukrywał obojętności wobec tego, co stanie się w tym kraju później, jeśli tylko komuniści obejmą w nim władzę dopiero po jakiejś „rozsądnej przerwie", „wystarczającej przerwie" czy też „dłuższej przerwie czasowej"[7] – wszystkie te

określenia padały na różnych etapach wcześniejszych rozmów Kissingera z Zhou Enlaiem. Chińczycy z kolei zapewniali o swoim pragnieniu wyjścia z dotychczasowej izolacji, które okazało się zupełnie szczere, a także zbudowania nowych roboczych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, w zamian za co byli skłonni pójść na pewne ustępstwa polityczne. Ustępstwa te w żadnym wypadku nie obejmowały jednak przerwania wsparcia dla Hanoi i na dobrą sprawę snucie przez obu tych prominentnych Amerykanów fantazji o tym, że w ogóle mogłoby do tego dojść, od samego początku było z ich strony dużą naiwnością. Dzięki tej wizycie Nixon zapewnił sobie na jakiś czas doskonałą prasę, ale w gruncie rzeczy poleciał on do Chin z nadzieją, że uda mu się doprowadzić do pokoju w Wietnamie, a tego akurat tam nie osiągnął.

Niemniej jednak prezydent wrócił do siebie utwierdzony w przekonaniu, że może teraz postępować względem Północy, jak tylko będzie mu się podobało, jako że widmo chińskiej interwencji, majaczące gdzieś na horyzoncie co najmniej od dziesięciolecia, zostało ostatecznie zażegnane. Jego politykę wobec Indochin miały odtąd ograniczać już tylko nastroje amerykańskiego społeczeństwa, wyrażane przez jego reprezentantów w Kongresie, a nie nastawienie Chin czy nawet Związku Sowieckiego. Le Duan i jego towarzysze w Hanoi z miejsca zrozumieli, z jak zasadniczym przesunięciem w strategicznym układzie sił mieli odtąd do czynienia, i nie ukrywali z tego powodu swojej wściekłości, postrzegając cały ten rozwój wypadków jako zdradę ze strony Mao, który mógł przecież przy użyciu zaledwie kilku przestróg przekazanych amerykańskiemu prezydentowi oszczędzić im kolejnego deszczu bomb. Pewien wysoki rangą działacz komunistyczny uskarżał się na przykład, że już samo przyjęcie Nixona przez chińskiego przewodniczącego było jak „rzucenie tratwy ratunkowej tonącemu piratowi". Poczucie krzywdy w Hanoi w niewielkim tylko stopniu była w stanie złagodzić kolejna wielka transza chińskiej pomocy wojskowej.

Tymczasem w Paryżu wciąż trwały rozpoczęte jeszcze w roku 1968 formalne, choć już od dawna prowadzące donikąd rozmowy między przedstawicielami Wietnamu Północnego a delegacją amerykańską, której przewodzili kolejno Averell Harriman, Henry Cabot Lodge i David Bruce. Fred Weyand, doproszony do tych rozmów na jakiś czas

w charakterze doradcy wojskowego, wspominał z niesmakiem: „Komuniści byli niczym nieprzejednany wróg. Ani kroku w przód. Kiedy przy stole zasiadała [Madame Nguyen Thi Binh], od razu widać było, że jest to osoba wprost przepełniona nienawiścią”[8]. Tak czy inaczej, jedynymi dyskusjami, które w ogóle miały jakiekolwiek znaczenie, były odbywane raz na jakiś czas sekretne spotkania Kissingera z północnowietnamskim przywódcą Le Duc Tho, organizowane w zdobionej białymi stiukami willi należącej do francuskiej partii komunistycznej. Również i w nich doszło jednak do stagnacji, po tym jak Hanoi zaczęło domagać się usunięcia prezydenta Thieu, a Stany Zjednoczone ze swojej strony zażądały wycofania AWP z terytorium Południa – choć począwszy od lata 1971 roku Amerykanie wiedzieli już, że w najlepszym razie mogą w tym względzie uzyskać jedynie jakieś niewiele znaczące gesty. Dążący do reelekcji w przewidzianych na koniec tamtego roku wyborach prezydenckich Nixon był jednak zdeterminowany, by społeczeństwo amerykańskie nie zaczęło dostrzegać w jego zachowaniu skłonności do poddawania się i nie przypadkiem wciąż powtarzał wówczas: „Nie możemy przegrać tej wojny”. Dlatego też, choć początkowo zamierzał ściągnąć do kraju całość swoich sił zbrojnych, jeszcze zanim Amerykanie pójdą do urn, dał się ostatecznie przekonać Kissingerowi, nalegającemu, by pozostawić w Wietnamie część wojsk także po dniu głosowania. Co ciekawe, z licznych ówczesnych konwersacji Nixona i Kissingera zarejestrowanych na taśmach Białego Domu wynika, że doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego podkreślał olbrzymią wagę wyborów prezydenckich w roku 1972 nawet częściej i bardziej intensywnie od samego kandydata, nie zaniedbując przy tym regularnego łechtania próżności swojego zwierzchnika, i to w sposób, jaki nawet król Ludwik XIV mógłby uznać za lekko przesadny. „Jestem prawdopodobnie najtwardszym gościem, jaki kiedykolwiek sprawował ten urząd, a już z całą pewnością twardszym od Theodore’a Roosevelta” – chełpił się pewnego dnia prezydent, z czym Kissinger ochoczo się zgodził: „Bez wątpienia”[9].

Nixon postrzegał naloty i bombardowania jako sposób wywierania presji na Północ, który generalnie akceptowali, a nawet popierali

wyborcy amerykańscy – co odzwierciedlały studiowane przezeń uważnie sondaże – w odróżnieniu od angażowania do walki sił lądowych. Z biegiem roku 1972 coraz trudniej przychodziło już jednak rozstrzygać, do jakiego stopnia wprowadzana przez prezydenta eskalacja bombardowań wynikała z przyjętych przezeń imperatywów dyplomatycznych, a na ile odzwierciedlała ona jego maniakalną osobistą determinację, by w oczach opinii publicznej móc wyglądać na „twardziela". Badacze wciąż spierają się zażarcie o rozmaite szczegóły czy ramy czasowe zmieniających się stanowisk Stanów Zjednoczonych podczas procesu pokojowego w Wietnamie. Wydaje się jednak, że wcale nie trzeba wchodzić w tę materię aż tak głęboko i wybierać pomiędzy rywalizującymi ze sobą poglądami. Kluczowe elementy tego procesu były bowiem jasne, tyle że celowo opóźniano ubranie ich w słowa: naród amerykański z całą determinacją opowiadał się za wyjściem z Wietnamu i wówczas interesowała go już w zasadzie tylko jedna kwestia: los rodaków znajdujących się w rękach komunistów. Temu właśnie tematowi poświęcano wówczas w debacie publicznej najwięcej miejsca – zupełnie zresztą niepotrzebnie, bo było sprawą absolutnie oczywistą, że Hanoi uwolni wszystkich jeńców po tym, jak ostatnie wojska amerykańskie wrócą już do domu. Jack Cortel, kanonier latający B-52, napisał: „Odzyskanie naszych jeńców było jedynym celem, który dawał nam jeszcze poczucie jakiegoś sensu"[10].

Tymczasem wśród Wietnamczyków z Południa wciąż słabły zarówno wola dalszej walki, jak i entuzjazm dla reżimu w Sajgonie. Major Nguyen Cong Luan z ARVN wdał się raz w dyskusję w gronie znajomych oficerów na temat około setki generałów w swoim kraju, która zakończyła się konkluzją, że spośród nich wszystkich może ze dwudziestu było kompetentnych i uczciwych, dziesięciu zaś bez wątpienia wykazywało się zarówno monstrualnym skorumpowaniem, jak i beznadziejną niekompetencją[11]. Z kolei podczas dyskusji z Amerykanami o sposobach poprawienia morale wśród żołnierzy Południa generał Ngo Dzu podsunął im pomysł powrotu do stosowanego we francuskiej armii systemu mobilnych polowych burdeli[12]. A pewien młody wietnamski oficer napisał do jednego z brytyjskich korespondentów, by wyrazić swój zachwyt z powodu

dostania się wraz z bliskim przyjacielem do tej części armii Sajgonu, która nie musi uczestniczyć w operacjach bojowych: „A zatem nie będziemy zmuszeni nikogo zabijać – a to napełnia nas wielką radością”[13].

Już w chwili rozpoczęcia przez Amerykanów wycofywania swoich wojsk stało się bardzo mało prawdopodobne, by po zakończeniu tego procesu Wietnam Południowy ocalał jako państwo, i nawet Kissinger czy Nixon nie łudzili się zbytnio, że może być inaczej. Chodziło im wówczas już tylko o to, by uzyskać jakiś okres przejściowy trwający od osiemnastu miesięcy do dwóch lat, dzięki czemu mogliby udawać, że wciąż obchodzi ich los tego kraju. Zwłaszcza Kissinger okazał się pod tym względem zdumiewająco szczery wobec Chin i Rosji, będących w końcu antagonistami Ameryki – znacznie szczerszy niż wobec jej sojuszników. Zwolennicy obu tych polityków argumentują, że spadła na nich odpowiedzialność wyplątania swojego kraju z wojny, na którą to nie oni go posłali, a w dodatku trafiły im się bardzo słabe karty, które rozgrywali najlepiej, jak tylko potrafili. Z pierwszą częścią tej argumentacji można się w pełni zgodzić. Z historycznego punktu widzenia główny zarzut wysuwany przeciwko nim polega jednak na tym, że przez długie lata pozwalali oni na bezsensowną rzeź, tylko po to, by ukryć przed amerykańskim elektoratem, dla własnych korzyści politycznych, nieuchronność upokorzenia, jakiego Ameryka miała doznać w Indochinach.

Na początku 1972 roku major Walt Boomer służył w bazie ogniowej Sarge w prowincji Quang Tri jako doradca przy tamtejszym batalionie wietnamskich marines. Kiedy wyjeżdżał z domu w mieście Bethesda w stanie Maryland, jego żona Adele powiedziała tylko z mieszaniną znużenia i zdumienia: „Zupełnie nie rozumiem, po co ty to robisz”. Boomer odparł wówczas: „Po prostu taka jest moja robota. Taki już jestem”[14]. A kiedy przybył do Da Nang, z miejsca zaszokowały go pustki pozostałe po całych zastępach Amerykanów, którzy już wyjechali: wielkie połacie wojskowych baz i wszelkiej infrastruktury leżały teraz odłogiem, opuszczone i zaniedbane, nikomu już niepotrzebne. Szybko przekonał się też, że dzięki swojemu poprzednikowi, który zachowywał się jak tyran, jest powszechnie znienawidzony przez wszystkich

Wietnamczyków, w związku z czym musiał poświęcić sporo czasu i energii na nawiązanie z nimi jakiejś nici porozumienia. Boomerowi nie dawała też spokoju głęboka przepaść między kadrą oficerską a żołnierzami, jaką miał okazję zaobserwować: „Nasz major egzekwuje dyscyplinę za pomocą wielkiego kija. Wyczuwam tu potencjalne źródło problemów, zwłaszcza jeśli kiedyś wszyscy znajdziemy się w tarapatach. Czułem się tam osamotniony – dużo czytałem, dużo też ćwiczyłem. Nie czułem się wśród nich komfortowo. Oni nie wykazywali chęci do walki, wyglądali raczej na mocno wypalonych". W ciągu dni poprzedzających natarcie Wietnamczyków z Północy na wyraźne życzenie Amerykanina zintensyfikowano patrole, ale po tym, jak jeden z nich wdał się w wymianę ognia z napotkanym wrogiem, wietnamski major oświadczył, że nie będzie już więcej wysyłał swoich ludzi na podobne misje. Boomer próbował zmienić jego nastawienie: „Ale my musimy utrudniać im zbieranie się do walki", na co Wietnamczyk tylko wzruszył ramionami i odparł: „Mamy na to zbyt mało sił". Amerykanin nie uważał ludzi, którym miał doradzać, za tchórzy, raczej myślał, że „prezentowali oni taką postawę, iż nie będą podejmować żadnego ryzyka, jeśli nic ich do tego nie zmusi". Tyle że milion mężczyzn powołanych pod broń w Wietnamie Południowym miał już wkrótce zmierzyć się z taką właśnie sytuacją przymusową, bezpośrednim i rzeczywistym niebezpieczeństwem, przed którym nie sposób było uciec ani się uchylić.

2. SZTORM NAD POŁUDNIEM

Po wizycie zapoznawczej w kwaterze głównej 3. Dywizji Piechoty w Quang Tri 29 marca 1972 roku podpułkownik Gerry Turley miał od razu odlecieć do Sajgonu, ale jego helikopter się nie zjawił. A już w południe następnego dnia „świat stanął na głowie"[15]. Komunistom udało się osiągnąć spory efekt zaskoczenia, bo podeptali ostatnie już resztki porozumień genewskich z 1954 roku i poprowadzili swoje czołgi przez Strefę Zdemilitaryzowaną prosto na południe, a jednocześnie zaatakowali od zachodu. Wróg z miejsca rozpoczął ciężki ostrzał

artyleryjski znajdujących się w regionach północnych baz ogniowych, których możliwości stawiania oporu szybko zaczęły się wyczerpywać. W miarę rozwijania ofensywy szef sztabu AWP generał Van Tien Dung przypuścił dodatkowo serię dużych ataków w regionie Płaskowyżu Centralnego, a także w kierunku kluczowego miasta An Loc, leżącego niecałe 100 kilometrów na północ od Sajgonu, podczas gdy Wietkong i lokalne jednostki AWP pustoszyły Deltę Mekongu. Amerykanie i Wietnamczycy z Południa byli zaskoczeni nie tylko szybkością i skalą tych ataków, ale również wykorzystywaną przez wroga nową bronią pozyskaną od Sowietów i Chińczyków: 600 lekkimi i ciężkimi czołgami, najnowocześniejszymi ręcznymi wyrzutniami rakiet przeciwlotniczych SA-7 Strieła czy pociskami przeciwpancernymi, w tym sterowanymi przez radio rakietami Sagger, do których obsługi przeszkolono wcześniej tysiące komunistycznych operatorów, głównie na terytorium Europy Wschodniej.

Na północy kraju jedno nieszczęście dosłownie goniło drugie. Dowodzący I Korpusem nieudolny Hoang Xuan Lam z całą bezczelnością odmówił oszacowania siły uderzenia nieprzyjaciela. „Lam nigdy nie miał zwyczaju raportować złych wieści" – skomentował to generał Vien w Tan Son Nhut[16]. Z kolei ambasador Ellsworth Bunker już wcześniej wyjechał z Wietnamu na święta Wielkanocy, podobnie zresztą jak Creighton Abrams. Szef MACV przebywał akurat z żoną w Bangkoku, gdzie przechodził procedurę nawracania się na katolicyzm, wobec czego tymczasowe dowództwo sprawował jego zastępca, Fred Weyand. Weyand starał się tonować nastroje paniki, ale „w tym przypadku, niezależnie od sposobu, w jaki próbowałoby się to ująć, my n a p r a w d ę mieliśmy do czynienia ze zmasowanym natarciem, ponieważ na nasz teren wdzierało się jednocześnie cholernie dużo ludzi"[17]. Komuniści nieprzypadkowo zaczekali też ze swoją ofensywą na rozpoczęcie w prowincji Quang Tri pory monsunowej; dzięki temu, zwłaszcza w pierwszych jej dniach, niski poziom chmur w znacznym stopniu ograniczał Amerykanom możliwości odpowiedzi z powietrza.

Rankiem 2 kwietnia, to jest w Niedzielę Wielkanocną, zauważono komunistyczne czołgi podążające na południe, w stronę mostu Dong

Ha na rzece Cua Viet. O godzinie 9.15 zaprawiony w walkach Gerry Turley dowiedział się, że właśnie mianowano go szefem doradców sypiącej się 3. Dywizji, po tym jak jego amerykański zwierzchnik dał drapaka w towarzystwie wietnamskiego dowódcy dywizji. Turley tak opisywał rozgrywające się wówczas sceny: „Oficerowie sztabowi ARVN i podlegli im żołnierze po prostu wstali, pozbierali swoje rzeczy osobiste i wyszli z bunkra. Jako pierwsi opuścili go najstarsi oficerowie. Radioodbiorniki zostawiono porzucone, a mapy i wszelkie tajne dokumenty leżały tam, gdzie ostatnio ich używano. Wojskowy porządek błyskawicznie przekształcił się w chaos, a wystraszeni ludzie, którzy w jednej chwili przestali być żołnierzami, biegali w poszukiwaniu najbliższego pojazdu. Z kolei równie wystraszeni żołnierze amerykańscy, z radioodbiornikami i sprzętem stereo pod pachami, kierowali się do LZ z desperacją wymalowaną na twarzach. To był mroczny i tragiczny dzień".

Turley był zmuszony wydać jednemu z takich szykujących się do ucieczki amerykańskich oficerów bezpośredni rozkaz pozostania na stanowisku – a później jeszcze dwukrotnie musiał ten rozkaz powtarzać. On sam też zresztą myślał wówczas: pogoda nam nie sprzyja, piechota ARVN idzie w rozsypkę, ich artyleria nie odpowiada ogniem, a wrogie czołgi prują prosto na nas. Był tak zdumiony rozkazem przejęcia obowiązków, że na dowód jego autentyczności zażądał podania numeru ubezpieczenia społecznego pułkownika, który go wydał – był to ze wszech miar trafny środek ostrożności, zważywszy, że po swoim powrocie do Sajgonu i zapoznaniu się z niepokojącymi raportami nadsyłanymi z północy Abrams początkowo nie chciał w nie uwierzyć[18]. Generałowi z miejsca powiedziano: „Jakiś podpułkownik marines, doradca z bazy bojowej w Quang Tri, twierdzi, że sytuacja tam jest rozpaczliwa"[19] – tym podpułkownikiem był rzecz jasna Turley. Tyle że przełożony Turleya, generał brygady Fred Kroesen urzędujący w Da Nang, utrzymywał, że nic mu nie wiadomo o tym wszystkim, co raportuje jego człowiek, który z całą pewnością dał się ponieść panice.

Wściekły Abrams wyrzucił z siebie: „Mam wrażenie, że tam chyba ostro popalają sobie całe tony cholernej marihuany (...). Nie wiem, o co chodzi z tym całym gównem i jak je powstrzymać, ale (...) niech ktoś, do

cholery, to powstrzyma!". Tyle że odpowiedzialność za całe to „gówno" spoczywała teraz w rękach Wietnamczyków z Północy, a to był dopiero początek. System dowodzenia ARVN na północy całkowicie się rozsypał. Turley powiedział: „W wojsku kluczowa jest zawsze odpowiedź na pytanie: kto tu dowodzi? A po sześciu latach my wciąż nie potrafiliśmy jasno tego określić. Nie istniały żadne zunifikowane struktury dowodzenia. Na północy, po wycofaniu przez nas 70 tysięcy Amerykanów, Wietnamczycy z Południa po prostu nie potrafili zapełnić powstałych w ten sposób luk"[20].

Doszło wówczas także między amerykańskimi oficerami wojsk lądowych a USAF do gorszącej awantury, która wybuchła po tym, jak po zestrzeleniu przez wroga jednej z maszyn EB-66 włączył się nadajnik alarmowy jej pilota, wysyłając sygnał z DMZ. W następstwie tego wydarzenia podjęto szeroko zakrojoną akcję ratunkową w celu jego ocalenia, z którego to powodu siły powietrzne wprowadziły zakaz ostrzału artyleryjskiego w promieniu 25 kilometrów od zasygnalizowanej pozycji lotnika – a tak się złożyło, że obejmował on również korytarz używany przez kolumny AWP do przedostawania się na południe. Doradca do spraw wsparcia lotniczego, major David Brookbank, napisał z goryczą w swoim raporcie pooperacyjnym: „Dało to przeciwnikowi zupełnie bezprecedensową w annałach sztuki wojennej sposobność posuwania się naprzód bez żadnych przeszkód"[21]. Zestrzelonego pilota odnaleźli ostatecznie 12 kwietnia komandosi z południowowietnamskiej formacji SEAL, wspierani przez doradcę z amerykańskiej marynarki wojennej, ale wcześniej stracono jeszcze od komunistycznych pocisków wysłane na jego poszukiwania dwa samoloty zwiadowcze i jeden helikopter Jolly Green Giant. Choć w Wietnamie wciąż pozostawało 70 tysięcy Amerykanów, jedynie 6 tysięcy spośród nich należało do formacji bojowych: o losie rozpoczynających się właśnie bitew mieli zatem zadecydować żołnierze Południa i ich doradcy – ale przede wszystkim lotnictwo.

Nierzadko pojawiają się stwierdzenia, że jedyną instytucjonalną odnogą amerykańskiej armii oraz Korpusu Marines w Wietnamie, w której do samego końca nie zabrakło odwagi i zaangażowania, były załogi helikopterów. Również pośród czołowych bohaterów bitew

toczonych w roku 1972 najwięcej było właśnie amerykańskich pilotów, gotowych podejmować niewyobrażalne ryzyko, by móc uratować swoich schwytanych w pułapkę doradców, których czekała niechybna śmierć. Pewien huey w eskorcie dwóch cobr poleciał na ratunek pięcioosobowej grupie FO z bunkra Alpha 2, tuż przed granicą DMZ. Lądowanie przebiegło pod ostrzałem artyleryjskim, a zaraz potem porucznik Joel Eisenstein przebiegł sprintem 30 metrów dzielących go od bunkra, w którym znalazł porucznika Dave'a Bruggemana, ciężko rannego w głowę od szrapnela – młody Amerykanin musiał zdjąć swój hełm, a potem przekazał go wystraszonemu Wietnamczykowi z marines, któremu wcześniej ukradziono jego własne nakrycie głowy. Eisenstein zaciągnął oficera do śmigłowca, pomógł wsiąść na pokład jeszcze kilku rannym żołnierzom, po czym poderwał maszynę do lotu, a wtedy jeden z pozostałych na ziemi Wietnamczyków, rozwścieczony faktem, że nie zabrał się razem z Amerykanami, wymierzył w nich swojego thumpera. Widząc to, amerykański pilot przeżył prawdziwe chwile grozy: „Przez głowę przebiegła mi myśl: ten sukinsyn zaraz nas strąci. Widocznie uznał, że skoro on nie może stąd uciec, to nie pozwoli na to nikomu innemu". Wietnamczyk ostatecznie wstrzymał się od strzału, za to Bruggeman zmarł w trakcie lotu, na rękach Eisensteina. Nieco później, podczas ewakuowania kolejnych Amerykanów z dużej bazy w Ai Tu, jako pierwszy siłą przecisnął się do środka najstarszy stopniem oficer wojsk Sajgonu w tym regionie.

W centrum operacyjnym w Quang Tri w pewnym momencie zauważono zniknięcie kontrolera lotnictwa taktycznego z VNAF, podobnie jak wielu innych Wietnamczyków. Turley przekazał do Da Nang, że należy jak najszybciej zniszczyć most Dong Ha na południu, zanim dotrą do niego czołgi nieprzyjaciela, ale sprzeciwili się temu starsi stopniem oficerowie amerykańscy argumentujący, że będzie on potrzebny do przeprowadzenia kontrataku. Ów żołnierz marines zaapelował wówczas do Wietnamczyków, by przynajmniej czym prędzej wzmocnili siły broniące tego mostu. Szef sztabu wietnamskiej dywizji odmówił. Turley zwrócił się wówczas do dowódcy brygady, prosząc go, by uczynił tak z własnej inicjatywy. Po długiej i wymownej chwili milczenia Wietnamczyk spojrzał na mapę, potem na Turleya,

zamrugał oczami, a wreszcie odparł, że nie uczyni nic bez zgody swojego komendanta w Sajgonie. Zrozpaczony Amerykanin nie przestawał go prosić i błagać, aż Wietnamczyk „wreszcie przemówił najładniejszym angielskim, na jaki go było stać: «Wydam dowódcy batalionu rozkaz utrzymania Dong Ha»". Turley zareagował na to okrzykiem: „Mój Boże, to może jednak mamy jeszcze jakąś szansę!"[22].

Wietnamczycy z Południa mieli po południowej stronie mostu trzy zespoły wyposażone w granatniki przeciwpancerne LAW. Z niepokojem obserwowali, jak napastnicy zatykają swoją flagę na jednym ze stalowych dźwigarów, podczas gdy środkiem mostu wciąż płynie rzeka uchodźców i maruderów. Wbrew rozkazom Turley poinstruował kapitana John Ripleya, doradcę przy wietnamskiej piechocie: „Znajdź jakiś sposób, by wysadzić most Dong Ha"[23]. Jeszcze zaledwie kilka dni wcześniej Ripley zabijał doskwierającą mu dzień w dzień nudę, układając tysiącelementowe puzzle z wizerunkiem King Konga. A teraz, korzystając z podwózki załogi czołgu M-48, podążał na wschód przez miasto Dong Ha drogą, która już usiana była gruzem i wrakami aut po komunistycznym ostrzale. Na północnym brzegu rzeki, na którym cztery lata wcześniej stacjonował kapitan Jim Livingston i jego kompania marines przed rozpoczęciem bitwy o Daido, widać było wyraźnie kolumnę 20 nieprzyjacielskich czołgów. Kilku z uciekających wietnamskich żołnierzy, podążających szerokim strumieniem w stronę tyłów, porwało jeepa należącego do amerykańskich doradców, w którym znajdował się system bezpiecznej łączności. W rejestrze prowadzonym w kwaterze głównej odnotowano: „57. Pułk się załamał i znajduje się w kompletnej rozsypce". Jeden z wietnamskich marines w stopniu majora wyskoczył z czołgu, by przytrzymać przebiegającego obok żołnierza, a następnie wykrzyknął: „A dokąd to?!", na co ów człowiek odparł tylko: „To bez sensu, bez sensu". Oficer wyciągnął swój pistolet i zastrzelił rodaka, ale ta pokazowa egzekucja nie na wiele się zdała: uciekały już setki, a wkrótce nawet tysiące żołnierzy Sajgonu.

Niektórzy jednak trwali na stanowiskach – i walczyli dzielnie. Na moście Dong Ha pewien kapral nazwiskiem Luom wystrzelił pocisk z wyrzutni LAW w stronę przewodzącego komunistycznej kolumnie czołgu – ale chybił. Wystrzelił więc ponownie, trafiając tym razem tuż

poniżej wieżyczki, co spowodowało pospieszny odwrót czołgu; sam Luom zginął w walce kilka tygodni później. Napastnicy postanowili teraz przekierować swoją piechotę na pobliski stary francuski most kolejowy, nieprzejezdny po zniszczeniu jednego z przęseł jeszcze w roku 1967, ale wciąż możliwy do przebycia dla sprawnych piechurów. John Ripley wezwał wówczas wsparcie dział marynarki wojennej, które zmusiły piechotę do wycofania się, a później zdołały jeszcze zniszczyć cztery czołgi nieprzyjaciela. Również czołgi Sajgonu zgromadzone na południowym brzegu rzeki zaczęły strzelać do komunistycznych formacji pancernych po drugiej stronie.

Tymczasem Ripley i major Jim Smock z amerykańskiej armii zabrali się do niszczenia mostu drogowego, przy którym znaleźli pięciu żałośnie wyglądających inżynierów ARVN, przyglądających się beznamiętnym wzrokiem stercie skrzyń z materiałami wybuchowymi. Ripley wspominał później: „Wyglądali na takich, którzy zastanawiają się, czy przysłano nas tam po to, byśmy ich zabili, czy też może mają oszczędzić nam kłopotu i zabić się sami. Nigdy nie widziałem ludzi (...) wyglądających równie żałośnie i bezradnie”[24]. Podczas gdy Amerykanie myszkowali wśród skrzyń w poszukiwaniu zapalników, żołnierze Południa ulotnili się. Między mostem a stertą skrzyń przebiegało wysokie ogrodzenie. Ripley przeskoczył przez nie, a następnie Smock podawał mu górą, jedna po drugiej, wszystkie 25 skrzyń z plastikiem, nie zważając na ostre zakończenia drutów kolczastych, które raniły ich obu w ręce.

Wreszcie żołnierz marines wgramolił się na jeden z dźwigarów i zaczął podkładać ładunki wybuchowe, uważnie obserwowany z północnego brzegu przez nieprzyjaciela. Już po chwili komuniści zaczęli strzelać, ale – o dziwo – do Smocka, a nie do Ripleya, może dlatego, że nim zainteresował się jeden z czołgów T-54, który posłał mu wkrótce kilka pocisków. Po trzech godzinach ciężkiej, wyczerpującej i nerwowej pracy, podczas których ten głęboko wierzący trzydziestotrzylatek wielokrotnie mamrotał pod nosem: „Jezusie, Maryjo, dopomóżcie mi”, most został wreszcie zaminowany. Chwyciwszy w ręce druty, obaj pobiegli ze znalezioną puszką elektrycznych detonatorów z powrotem w kierunku linii ARVN, gdzie

podłączyli je do akumulatora wyciągniętego z jakiegoś wraku jeepa, w którym paliły się koła, po czym nacisnęli wyzwalacz. Nic się nie stało. Zrozpaczeni zaczęli go wciskać ponownie, a potem jeszcze raz, i jeszcze, aż wreszcie rozległa się głośna eksplozja i całe południowe przęsło mostu osunęło się do rzeki. Ripley poinformował przez radio Gerry'ego Turleya: „Most Dong Ha leży. Powtarzam (...). Ten most leży. Odbiór". Turley zanotował tę wiadomość o godzinie 16.30. Walt Boomer, mierzący się wówczas z własnymi problemami trochę dalej na zachód, powiedział później z głęboką wdzięcznością: „Ripley uratował nam życie". Kiedy w Sajgonie jeden z podkomendnych poinformował Abramsa o tym, że marines wysadzili most, „nie mogąc się doczekać na potwierdzenie", wiadomość ta wzbudziła wśród zgromadzonych dowódców radosny śmiech połączony z poczuciem ulgi. Ripley otrzymał później za swój wyczyn Krzyż Marynarki Wojennej, odegrał on bowiem kluczową rolę w spowolnieniu marszu komunistów na południe.

Nieco dalej na zachód, w obozie Carroll, dowodzący południowowietnamskim pułkiem pułkownik Pham Van Dinh, który w roku 1968 stał na czele batalionu podczas walk o Hue, powiedział pozostałym oficerom, że otrzymał od swojego odpowiednika z lokalnej formacji AWP stanowcze ultimatum: „Poddajcie się albo zginiecie". Poprosiwszy go o zawieszenie broni w celu przedyskutowania tego żądania ze swoimi podkomendnymi, zwołał on w pomieszczeniu operacyjnym specjalną odprawę, na której pojawiło się trzynastu z nich. Był 2 kwietnia, godzina 15.00, kiedy pułkownik zagaił: „Jeśli będziemy kontynuować walkę, wielu naszych ludzi zginie, a możemy zginąć i my. A nawet gdybyśmy odnieśli zwycięstwo i zostali ranni, nikt się potem o nas nie zatroszczy. Przyszedł więc czas, żebyśmy sami zatroszczyli się o siebie"[25]. Tylko jeden major nalegał na to, by dalej walczyć, reszta się nie odzywała. Dinh uzyskał poparcie dla opcji kapitulacji, po czym poszedł z tą wieścią do swoich doradców, podpułkownika Williama Campera i majora Joe Browna. Camper już wcześniej postrzegał ten pułk, pełen byłych dezerterów, jako „tykającą bombę zegarową". Samego Dinha poznał z kolei siedem lat wcześniej i był mocno zaszokowany jego późniejszą przemianą, którą miał okazję

zaobserwować jeszcze przed obecną sytuacją – Wietnamczyk robił na nim wrażenie „ospałego i apatycznego”[26].

Sam Dinh przyznał później, że odczuwał wówczas „pewne problemy w (...) głowie”[27]. Podczas rozmowy z doradcami oświadczył im, że jego ludzie nie chcą już dłużej walczyć, a nawet zasugerował, żeby się obaj zastrzelili, „by oszczędzić nam wstydu”. Camper oświadczył na to kwaśno: „My, Amerykanie, tak nie postępujemy”, i przez chwilę rozważał nawet zastrzelenie Wietnamczyka. Ostatecznie jednak wywołał przez radio Turleya i powiedział enigmatycznie, że musi opuścić swoją pozycję „z powodów, których nie może wytłumaczyć”[28]. Turley, nie znając okoliczności podjęcia takiej decyzji, odparł: „Nie, pułkowniku, ma pan pozostać tam, gdzie pan jest, i wykonywać swoje cholerne obowiązki!”. Kiedy jednak obaj Amerykanie wyjaśnili mu rozpaczliwą sytuację, w jakiej się znaleźli, wysłano po nich helikopter, który z trudem umknął przed komunistycznym ogniem, kosztem uszkodzonych przewodów hydraulicznych. Osłaniany przez pięć śmigłowców bojowych Cobra zdołał on ostatecznie dotrzeć do doradców i odstawić ich do Quang Tri. A pozostali w obozie Carroll południowowietnamscy żołnierze, w liczbie 1800, wpadli w ręce komunistów, podobnie jak pięć baterii artylerii. Sam zaś Dinh „w nagrodę” dostał przydział do AWP.

Kiedy Turley zaraportował do MACV o takim właśnie rozwoju wypadków, dostał w odpowiedzi pełną niedowierzania wiadomość: „Pułkowniku, pan najwyraźniej oszalał. W sztabie [korpusu wojsk południowowietnamskich] nic nie wiedzą o żadnej takiej kapitulacji. W obozie Carroll mamy 22 działa i 2 tysiące żołnierzy ARVN (...). Coś się panu pokręciło”. Niedługo potem Turley otrzymał rozkaz opuszczenia swojej placówki i udania się do Sajgonu, by osobiście stawić się przed Abramsem. Tam otrzymał ostrą reprymendę, a od postępowania dyscyplinarnego ocaliło go tylko to, że mógł przedstawić wydane mu rozkazy na piśmie. W czasie, w którym dosłownie wszędzie, począwszy od Białego Domu aż po najniższe szczeble dowodzenia, rozpoczynały się właśnie poszukiwania kozłów ofiarnych, Turley miał po prostu nieszczęście jako jeden z pierwszych przynosić przełożonym niedobre wieści.

Natarcie komunistów na FSB Sarge, leżącą na zachód od Carroll, rozpoczęło się deszczem rakiet. Sąsiadujące z nią wzgórze szybko zostało przejęte, a jego obrońcy rozpierzchli się. Osamotniony Walt Boomer tęsknił za swoim przyjacielem, innym doradcą, Rayem Smithem, lecz prawdę mówiąc, nie spodziewał się go więcej zobaczyć, a nawet nie żywił specjalnych nadziei, że sam powróci do domu. Ostrzał Sarge przybierał na sile, a liczba ofiar rosła, obejmując również dwóch młodych Amerykanów zajmujących się podsłuchem elektronicznym. Po tym jak jeden z pocisków trafił bezpośrednio w jego bunkier, Boomer uznał za oczywiste, że ich placówka nie ma szans się utrzymać, i zalecił wietnamskiemu oficerowi dowodzącemu wycofanie się. Major w końcu zgodził się z tą oceną: „Idziemy teraz". Wyruszyli po ciemku, zabrawszy ze sobą rannych zdolnych do samodzielnego poruszania się – dwa kolejne dni spędzili, przedzierając się przez dżunglę i ani razu nie widząc nieprzyjaciela, za to często go słysząc. Potem wyszli z dżungli na otwarty teren, gdzie zauważyli ich komunistyczni żołnierze, i zapanował totalny chaos.

Wietnamczycy towarzyszący Boomerowi rozbiegli się, każdy w innym kierunku. Amerykanin zaczął do nich krzyczeć: „Zatrzymajcie się! Nie biegnijcie! Nie zostawiajcie swoich rannych!", tyle że krzyczał po angielsku, więc żaden z nich go nie rozumiał. Przez chwilę odczuwał nawet pokusę zastrzelenia swojego wietnamskiego radiooperatora, bo zobaczył, że podczas ucieczki porzucił on zestaw łączności – jedyną nić łączącą Boomera ze światem zewnętrznym. Jeśli chodzi o pozostałych zbiegów, Boomer powiedział tylko: „Dobrze pamiętam ten wyraz przerażenia w ich oczach, kiedy przebiegali tuż przede mną (...). W tamtym momencie obowiązywała już zasada: ratuj się, kto może". Amerykanin i pozostała przy nim mała grupka Wietnamczyków doszli wreszcie – czy może raczej dokuśtykali, wykrzesawszy z siebie ostatnie resztki sił fizycznych i emocjonalnych – do najbliższej bazy ogniowej, wciąż jeszcze znajdującej się w rękach Sajgonu. Ku olbrzymiemu zdumieniu Boomera na spotkanie wyszedł im Ray Smith, z pomocą jakiegoś pojedynczego Wietnamczyka podtrzymujący rannego oficera Południa – jak się okazało, żaden z pozostałych 68 żołnierzy ocalałych w jego batalionie nie był skłonny wyjść z ukrycia. Obaj Amerykanie

doskonale wiedzieli, że mają niewiele czasu i muszą dalej uciekać przed nadciągającą falą komunistów, ale Boomer był tak wyczerpany, że nie dałby rady przejść choćby jednego kolejnego kilometra. Smith zawiązał wówczas linę wokół nadgarstka swojego przyjaciela, a drugi jej koniec przytwierdził sobie do pasa: połączeni w ten sposób obaj podążyli w ciemną noc. O świcie podeszli w okolice Quang Tri. Smith, wciąż mający przy sobie radio, skontaktował się ze zdumionymi Amerykanami, którzy uznali już ich obu za martwych, ale teraz z radością wysłali po nich hueya. Połowa ludzi z ich batalionu albo zginęła, albo dostała się do niewoli. A komuniści dopiero się rozkręcali.

3 kwietnia AWP wykonała pierwsze uderzenie na obszarze Płaskowyżu Centralnego – atak na FSB Delta. W ciągu kolejnych tygodni postacią kluczową dla wysiłków obronnych w regionie miał się stać John Paul Vann – ten sam człowiek, pod którego okiem nastąpiła w styczniu 1963 roku katastrofa w Ap Bac. Czas, który upłynął od tamtych wydarzeń, mocno go jednak zmienił, przy czym tylko nieliczni z jego dawnych admiratorów uważali tę zmianę za pozytywną. Z wyrachowanego sceptyka, człowieka niezależnego i sprzeciwiającego się autorytetom stał się on obsesyjnym wojownikiem. David Elliott wyznał: „Vannowi kompletnie odbiło. W swoich ostatnich latach wygadywał takie rzeczy, z jakimi ten stary Vann nigdy by się nie zgodził”[29]. Zawierając dziwny sojusz z dowodzącym II Korpusem ociężałym i nieporadnym generałem Ngo Dzu, Vann zapewnił sobie przydział do tej formacji w charakterze najwyższego rangą Amerykanina, cywila o statusie dwugwiazdkowego generała, dzięki czemu dzierżył w regionie władzę równą lokalnemu magnatowi. Mimo niechęci okazywanej mu przez Abramsa, swoim nieledwie mesjanistycznym zaangażowaniem Vann potrafił zdobyć podziw i uznanie Richarda Nixona, Freda Weyanda – ale także wielu oficerów Południa, którzy przezywali go „Panem B-52”, z powodu nadzwyczajnych umiejętności wyczarowywania nalotów powietrznych w najbardziej rozpaczliwych sytuacjach.

W ciągu dwóch ostatnich, jak miało się okazać, miesięcy swojego niezwykłego życia, spędzonych na Płaskowyżu Centralnym, Vann z całą energią, a nawet furią starał się odpierać natarcia Wietnamczyków

z Północy. Drogą powietrzną dostarczał zapasy, kierował wsparciem lotniczym, zagrzewał do walki dowódców i latał na kolejne misje w trakcie wymian ognia z taką dezynwolturą, że w końcu doprowadził do załamania nerwowego nawet swojego długoletniego i ulubionego pilota, Boba Richardsa, którego żadna ilość wypitej whisky nie była już w stanie przekonać do wożenia podniebną taksówką człowieka zupełnie niezważającego na świszczące mu koło głowy kule. Vann traktował konflikt w Wietnamie jak coś dogłębnie osobistego, i to do tego stopnia, że wielu Amerykanów nie wyobrażało sobie ani Vanna bez wojny, ani wojny bez Vanna. Odwaga, którą wykazywał, była odwagą szaleńca, tyle że akurat ten szaleniec był na tyle inteligentny, by w głębi serca wiedzieć, iż przez cały czas igra z przeznaczeniem.

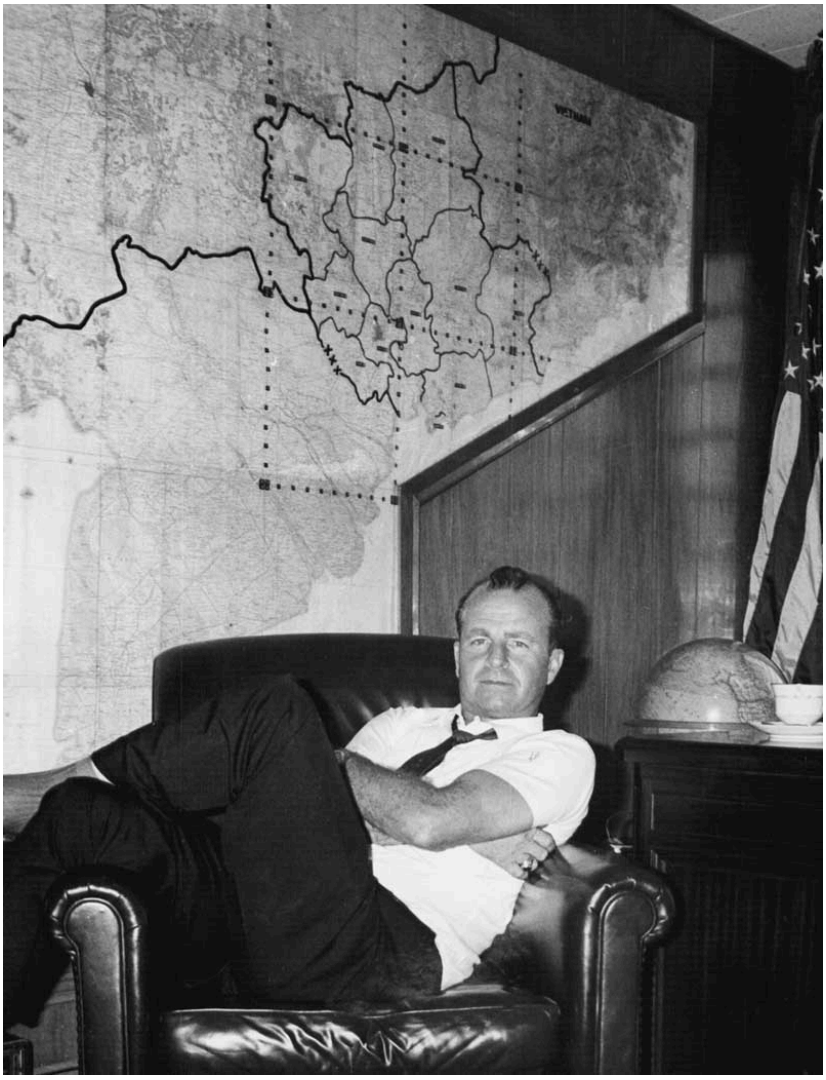

John Paul Vann, fotografia niedatowana

Wielu żołnierzy Południa stacjonujących na Płaskowyżu Centralnym nie potrafiło już dłużej opierać się znużeniu – i to narastającemu przez całe lata, a nie tylko przez tygodnie czy miesiące. Oficer operacji powietrznych, kapitan Doan Phuong Hai, podążający wraz ze swoją jednostką wzdłuż Drogi nr 14 w stronę Kontum, przypomniał sobie, jak kiedyś został ranny podczas wymiany ognia na tej samej drodze w roku 1967, a potem leczył go w lokalnym kościele katolickim uwielbiany tam francuski ksiądz „ojciec Joe". Teraz zaś, jak stwierdzał Hai, iglica kościoła się zawaliła, a cała budowla leżała w gruzach[30]. Jego 11. Batalion Powietrznodesantowy otrzymał rozkaz utrzymania bazy ogniowej Charlie, położonej o 10 kilometrów na południowy zachód od

Tan Canh. Jej dowódca, podpułkownik Nguyen Dinh Bao, przez swoich oficerów nazywany „Brachu Piątka", był głęboko niezadowolony z wydanych mu instrukcji, które, jak większość ówczesnych rozkazów, wymagały od jego ludzi zachowania ustalonej pozycji, pozostawiając całą inicjatywę nieprzyjacielowi. Rozsyłane wokół patrole wkrótce napotkały spore siły Wietnamczyków z Północy, kopiących bunkry i pozycje artyleryjskie w zasięgu strzału od bazy.

Już wkrótce obie strony rozpoczęły wymianę ognia artyleryjskiego. 6 kwietnia AWP przypuściła też duży, trwający całą noc atak lądowy na FSB Delta, leżącą na południe od bazy Charlie. Napastnicy przedarli się przez ogrodzenie i zajęli połowę obszaru bazy. Do świtu udało się ich wyprzeć przy dużych stratach własnych, ale ludzie z 11. Batalionu wiedzieli już, że w następnej kolejności natarcie pójdzie na nich. Powszechnie poważany Bao rozkazał swoim dwóm najbardziej zaufanym podkomendnym, majorowi Le Van Me i kapitanowi Haiowi, zająć osobne bunkry, na tyle oddalone od jego własnej kryjówki, by jeden z nich mógł przejąć dowodzenie w razie jej trafienia. Zalecił ponadto oszczędne gospodarowanie amunicją, dopilnował, by zakopana została każda z dostępnych min Claymore, i wystawił czujki nasłuchowe. Hai napisał: „Batalion przygotował się na najgorsze"[31].

Nocami, przy ciągłym ostrzale nieprzyjaciela, obrońcy mieli okazję obserwować konwoje ciężarówek podążających bez najmniejszych przeszkód i z włączonymi reflektorami Szlakiem Ho Chi Minha. „Naszym działom brakowało zasięgu, by móc coś z tym zrobić. Wezwaliśmy lotnictwo, ale nie było akurat żadnych wolnych samolotów. Poprosiliśmy [doradcę jednostki, majora Johna] Duffy'ego o przysłanie B-52, ale one też nie przyleciały". Bao uczęszczał kiedyś na kurs walki w dżungli prowadzony w Malezji, gdzie kupił sobie kurtkę maskującą brytyjskich spadochroniarzy, którą odtąd uwielbiał wkładać. Jego przesądni żołnierze z jakiegoś powodu uznawali ten ubiór za zły omen i błagali go o jego zmianę, on jednak pozostał niewzruszony na wszystkie ich prośby.

W kolejnych dniach na bazę Charlie wciąż spadał deszcz pocisków artyleryjskich, aż wreszcie 9 kwietnia ruszyło pierwsze natarcie piechoty. Odparto je przy dużych stratach, ale nieprzyjacielskie działa

kaliber 130 mm coraz bardziej dawały się obrońcom we znaki. 10 kwietnia, po kolejnym długotrwałym ostrzale artyleryjskim, 320. Dywizja AWP przystąpiła do całej serii ataków. Tamtej nocy oficerowie „Brachu Piątki" ponownie zaapelowali doń o zdjęcie rzekomo pechowej kurtki. On jednak odparł im, wzruszając ramionami: „No dobrze, może pomyślę o tym jutro – czyli za jakieś 30 minut. Ale wiecie co? Wy po prostu lubicie się ze mną droczyć, a może sami chcielibyście włożyć tę moją kurtkę. Ale do cholery, ubrania nie mają nic wspólnego ze szczęściem!"[32].

A potem nadleciały bombowce B-52 wezwane przez Johna Duffy'ego. Hai napisał: „Nagle ziemia się zatrzęsła, a ku niebu wystrzeliły kłęby ognia (...), zrobiło się tak gorąco, że ciężko było oddychać. Stałem oparty o ścianę okopu łączności, rękami zakrywając uszy, a usta otwierając szeroko, by zapobiec wstrząśnieniu mózgu, a mimo to czułem się tak, jakby serce zaraz miało mi wyskoczyć z piersi (...). O mój hełm tłukły się odłamki skał, kamienie i gałęzie. Następnego dnia nie było już żadnych ataków lądowych nieprzyjaciela, tylko przerywany ostrzał jego artylerii". Ostrzał ten pozostawał jednak na tyle silny, by uniemożliwić przylot śmigłowców medycznych – jeden, który mimo to spróbował wylądować, został trafiony i musiał zawrócić, ciągnąc za sobą smugę dymu. „Brachu Piątka" zwołał naradę ze swoimi oficerami, którzy jak jeden mąż opowiedzieli się za opuszczeniem bazy. Poranne mgły i zmrok zapadający już o godzinie 16.00 w poważnym stopniu ograniczały jednak możliwość przysłania wsparcia powietrznego nawet wtedy, gdy dostępne były akurat jakieś samoloty. Hai wściekał się: „Jeśli będziemy tu dalej siedzieć, a oni dalej będą w nas walić, to prędzej czy później nas pozabijają". Oficer dowodzący odparł na to: „Mówiłem to już dowództwu, ale tam nikt nie chce tego słuchać. Tak samo jak wszyscy, mam już dość ciągłego powtarzania słów: «Musicie się utrzymać aż do ostatniego człowieka!»"[33].

Morale żołnierzy mocno podupadło, na co niewątpliwie niemały wpływ miały jęki i krzyki rannych, dla których zaczynało już brakować środków medycznych. Wczesnym rankiem 12 kwietnia Hai ponowił swoją prośbę skierowaną do „Brachu Piątki" o zmianę feralnej kurtki. O dziwo, znużony pułkownik tym razem się zgodził: „Naczytaliście się

wszyscy tych waszych cholernych książek o astrologii i teraz wpadacie na różne idiotyczne pomysły. Dobrze, w takim razie wracam do mojego bunkra, by napisać list – wezwijcie mnie, jak coś się wydarzy”[34]. Na odchodnym rzucił jeszcze, by pozbierać broń i amunicję od poległych, bo do bazy nie miały już trafić żadne zapasy uzbrojenia. A potem na bazę znów zaczęły spadać kolejne pociski i rakiety nieprzyjaciela, których wybuchy niosły się pogłosem aż po linię wzgórz. John Duffy przyznał później: „Ten ich FO z AWP wysoko nad [bazą] Charlie był naprawdę dobry. W 10 minut zdjął trzy z naszych czterech bunkrów dowodzenia”[35]. Bezpośrednie trafienie zaliczył również bunkier pułkownika, a ludzie z jego sztabu zdołali wyciągnąć spod gruzów już tylko jego zwłoki – wciąż odziane w kurtkę brytyjskich spadochroniarzy.

Podczas trwającego do późnego popołudnia ostrzału zginęło albo ciężko rannych zostało 30 ludzi, kolejnych zaś 100 odniosło lżejsze obrażenia. Całą bazę spowijały kłęby dymu i kurzu. Aż nagle ogień artyleryjski niespodziewanie ustał, a obrońcy dostrzegli podchodzące pod bazę Charlie kolejne szeregi nieprzyjacielskiej piechoty, w charakterystycznych hełmach ze sprasowanego papieru i bluzach w kolorze khaki, przyozdobionych stanowiącym kamuflaż listowiem. Natychmiast otwarto w ich stronę ogień artyleryjski, który w połączeniu z napalmem zrzucanym z powietrza mocno przerzedził ich szeregi – łącznie w ciągu dwóch tygodni walk Duffy naprowadził na wrogie cele 188 ataków śmigłowców Cobra i samolotów, choć nie obyło się bez strat własnych: dwie maszyny trafiono, a jedną strącono. Ale ocalali komuniści w końcu zmuszeni zostali do odwrotu, zostawiając za sobą stos dymiących i poczerniałych trupów.

Przy wciąż malejących zapasach amunicji i mocno już ograniczonej liczbie obrońców garnizonu wietnamski dowódca wraz z Duffym doszli jednak do przekonania, że nie sposób jest go już dłużej bronić. Kolejna fala nalotów B-52 dała ich ludziom sposobność wycofania się po zapadnięciu zmroku 14 kwietnia: z obozu wyszło i podjęło trudne zejście ze wzgórza kilka grupek ocalałych, liczących łącznie 167 żołnierzy, w większości rannych, a do tego wyczerpanych i wygłodniałych, jako że racje żywnościowe skończyły się już dwa dni wcześniej. Następnego ranka, oczekując na helikoptery ewakuacyjne,

przyszło im jeszcze przeżyć kolejne trudne chwile: jak się okazało, nieprzyjaciel ruszył w pościg za uciekinierami i teraz mocno naciskał na ich tyły. Na szczęście w powietrzu pojawiły się dwie cobry, które ostrzelały komunistów i posłały im kilka rakiet, co nieco ostudziło ich zapał i pozwoliło transportowemu hueyowi zabrać pierwszą grupę amerykańskich żołnierzy. Również trzy kolejne grupy zdołały odlecieć bezpiecznie i na miejscu została już tylko garstka Wietnamczyków wraz z Duffym. Komuniści spróbowali kolejnego natarcia, ale dwie kolejne cobry wybiły im to z głów. A potem pojawił się jeszcze jeden huey, do którego wreszcie mogli wsiąść wycieńczeni ludzie z ostatniej grupy. To jednak nie był jeszcze koniec ich problemów. Nieprzyjaciel otworzył intensywny ogień do startującej maszyny, w wielu miejscach przebijając cienki kadłub; w końcu jedna z kul zraniła drugiego pilota. A kiedy byli już dobrych kilkanaście metrów nad ziemią, Hai otrzymał dwukrotny postrzał w nogę z nieprzyjacielskiego AK-47, zachwiał się i poleciał wprost ku otwartym drzwiom maszyny. Na jego szczęście stał tam Duffy, który zdołał chwycić filigranowego kapitana za jego parciany pas i wciągnąć go z powrotem do środka. Huey ciężko wzniósł się ku niebu i odleciał w bezpiecznym kierunku, a Duffy zajął się wówczas rannym w klatkę piersiową szefem załogi; niestety, zmarł on po kilku minutach, zaledwie na jeden dzień przed planowanym wyjazdem z Wietnamu.

Spośród 471 ludzi tworzących garnizon bazy Charlie drogą powietrzną zdołano ewakuować zaledwie 37. Niemal równocześnie z Charlie padły też FSB Delta i Metro, a 24 kwietnia stracono dodatkowo Tan Canh. Duffy'ego, oficera sił specjalnych, uhonorowano później odznaczeniem Krzyż Wybitnej Służby. Ta szczegółowa opowieść o losach 11. Batalionu Piechoty Powietrznodesantowej zasługuje na uwagę przede wszystkim dlatego, że wiele złego można było wówczas powiedzieć o napięciach i złych stosunkach między żołnierzami amerykańskimi a wietnamskimi. W tym jednak przypadku rzecz miała się zupełnie inaczej, a niebagatelną rolę odegrał zwłaszcza amerykański doradca Wietnamczyków. Obrona FSB Charlie wciąż pozostaje powodem do dumy dla wielu weteranów walczących wówczas po stronie Południa, w przeciwieństwie do takich haniebnych epizodów jak kapitulacja obozu Carroll.

Tymczasem na północ od Quang Tri dochodziło do zażartych starć między siłami pancernymi wystawionymi przez obie strony. Kiedy czołgi M-48 zniszczyły pierwszy z komunistycznych T-54, otwierających ich kolumnę, zachwyceni żołnierze z południowowietnamskiej piechoty skoczyli na równe nogi, po czym zaczęli bić brawo i wykrzykiwać: „To tak jak na filmach!" albo „To już koniec!"[36]. Rzecz jasna do końca było jeszcze daleko. Pewien oficer napisał: „Sporą część horyzontu przesłaniały kłęby ognia i dymu, a wszędzie unosił się kwaśny smród spalonego ciała wymieszany z zapachem kordytu". Ogniem zajął się skład amunicji w Ai Tu, a komunistyczna artyleria przystąpiła do ostrzeliwania miasta Quang Tri. Abrams powiedział: „Giap zastosował taktykę, którą w sporcie określa się mianem pressingu na całym boisku. On posłał do boju każdą c h o l e r n ą jednostkę i każdą sztukę broni, jaką tylko d y s p o n o w a ł!"[37].

W dodatku Hanoi uczyniło tak wbrew wyraźnym życzeniom Rosjan. 20 kwietnia, a więc w samym środku walk w Indochinach, Kissinger spotkał się w Moskwie z sowieckim przywódcą Leonidem Breżniewem, który dał mu do zrozumienia, że nie miałby nic przeciwko spotkaniu na szczycie z Nixonem. Na tamtym etapie wydarzeń, mimo nieustannego oficjalnego krytykowania Amerykanów za ich zachowanie w Wietnamie i nieprzerwanego kontynuowania olbrzymich dostaw uzbrojenia dla Północy, w nieformalnych rozmowach Sowieci dawali już do zrozumienia, że los Wietnamu jest im w zasadzie obojętny: podobnie jak Chińczykom, zależało im przede wszystkim na dojściu do porozumienia w sprawie jakiegoś odprężenia, obejmującego między innymi takie kwestie, jak ograniczenie arsenałów broni strategicznej. I tak jak rząd amerykański podtrzymywał swoje poparcie dla Sajgonu w dużej mierze z uwagi na wymogi polityki wewnętrznej, tak też Chiny i Związek Sowiecki postrzegały swoje wsparcie dla Hanoi głównie jako nieodzowny element utrzymania przy sobie swojej bazy ideologicznej.

John Vann poprzysiągł, że FSB Delta i miasto Tan Canh będą w stanie się utrzymać przeciwko dwóm atakującym dywizjom Północy i przez pewien czas udawało mu się dotrzymywać słowa. Jednak po upadku bazy Delta w broniącej Tan Canh 22. Dywizji Południa zupełnie załamały się morale i chęć dalszej walki. Obrońcy patrzyli zaszokowani,

jak ich czołgi niszczone są jeden po drugim przez pociski Sagger, z których jeden trafił również w bunkier dowodzenia. Vann odegrał ważną rolę w ewakuacji ocalałych amerykańskich doradców, którzy musieli ostrzeliwać się przed nacierającymi na nich komunistami nawet w chwili wskakiwania do helikopterów. Wśród wielu aktów bohaterstwa dochodziło wówczas również do czynów niegodnych, a nawet haniebnych: podczas gdy amerykańscy piloci śmigłowców ewakuacyjnych niejednokrotnie narażali swoje życie, byle tylko móc uratować jak najwięcej rannych, niektórzy z ich odpowiedników we VNAF urządzali swoiste licytacje miejsc w swoich hueyach, odstępując je za pieniądze również tym uciekinierom, którzy nie odnieśli żadnych ran. Wielu członków formacji milicyjnych SR i SL pierzchało w zupełnym bezładzie. Generał Dzu przeżył załamanie nerwowe i ku obrzydzeniu Vanna próbował go przekonać do wyperswadowania prezydentowi Thieu porzucenia całego Płaskowyżu Centralnego.

Przed komunistyczną nawałą uchronił się natomiast region Kontum, w tym zwłaszcza stolica tej prowincji o tej samej nazwie, zamieszkana przez 25 tysięcy ludzi i położona przy Drodze nr 14. Stało się tak dlatego, że po zdobyciu Tan Canh komuniści uznali, iż muszą się przegrupować i zatrzymali swój dalszy marsz na bezcenne trzy tygodnie, w trakcie których Wietnamczycy z Południa zdołali sprowadzić posiłki, a Amerykanie ściągnęli na miejsce dwa śmigłowce bojowe wyposażone w rakiety przeciwpancerne TOW, które okazały się bezcenną bronią w walce z czołgami T-54. Niektórzy z generałów Sajgonu imali się najdziwniejszych sposobów w celu zachęcenia swoich podkomendnych do walki. Pewien dowódca korpusu w następujący sposób instruował oficera odpowiedzialnego za obronę Kontum: „Ba, proszę cię, postaraj się tym razem nie uciekać!”[38]. Pułkownik Ly Tong Ba, bo to o niego chodziło, niemal dekadę wcześniej naraził się na pogardę Johna Vanna za swoje zachowanie pod Ap Bac. Teraz jednak, o dziwo, obaj świetnie się dogadywali i walczyli ze sobą ramię w ramię na polu bitwy.

* * *

Wśród żołnierzy komunistycznych walczących na północy pod Quang Tri był również siedemnastoletni kanonier Pham Than Hung, uczestniczący wówczas w swojej pierwszej w życiu bitwie. W chwili, w której od jego hełmu odbiła się jakaś zbłąkana kula, Hung tylko utwierdził się we wcześniejszym przekonaniu, że jego przeznaczeniem jest tak naprawdę zostać poetą, a nie bohaterem wojennym: „Byłem przerażony, a pot spływał mi ciurkiem po plecach”[39]. Był on człowiekiem dość niezwykłym jak na tę armię, albowiem miał odwagę samodzielnie myśleć i wyciągać własne wnioski. Ojciec Hunga długo zabiegał o to, by uchronić swojego syna przed pójściem na wojnę, długo też udawało mu się czynić to skutecznie, ale pod koniec konfliktu nie mógł już nic poradzić na chroniczny w Wietnamie Północnym brak ludzi do walki. Nastolatków kończących pierwszy rok studiów na uniwersytecie w Hanoi, w tym również Hunga, niespodziewanie poinformowano, że choć formalnie nie są objęci obowiązkiem poboru, to właśnie wszyscy zgłosili się „na ochotnika” do służby wojskowej. Noc poprzedzającą stosowne badania medyczne Hung spędził w towarzystwie swojego przyjaciela na dachu ich domu studenta, opracowując rozmaite fantastyczne sposoby uniknięcia znienawidzonej perspektywy wzięcia w kamasze, w tym taki, by wypić mnóstwa kawy zaprawionej tytoniem, co według wtajemniczonych miało im znacząco podnieść ciśnienie krwi. Tej akurat propozycji nawet nie mieli okazji przetestować, w dużej mierze dlatego, że zupełnie nie wiedzieli, skąd wytrzasnąć tytoń w środku nocy; zresztą podczas tej wyczerpującej rozmowy obaj posnęli, a kiedy się obudzili, słońce stało już wysoko, a badania medyczne właśnie się zaczynały. Kilka tygodni później cały ich rocznik zebrał się w największej auli na uniwersytecie, by wysłuchać przemówienia swojego rektora. W połowie tej przemowy zapadło się jednak podium, z którego ją wygłaszał. Spora część słuchaczy wybuchnęła wówczas płaczem przekonana, że jest to dla nich stanowczo zły omen: „Naprawdę myśleliśmy, że oznaczało ty tyle, iż wszyscy tam zginiemy”.

Studenci ci reprezentowali intelektualną elitę Wietnamu Północnego. O ich naiwnym postrzeganiu charakteru czekającego ich wkrótce nowego doświadczenia świadczyć może fakt, że niektórzy

z nich stawili się na miejscu zbiórki z gitarami i książkami – modne były zwłaszcza angielskie powieści, choć, podobnie jak dramaty Shakespeare'a, rzucały one na ich czytelników mroczny cień ideologicznych podejrzeń. Dziewczęta z ich rocznika kazały im wszystkim obiecać, że wrócą do domu co najmniej jako pułkownicy. Sami chłopcy powtarzali między sobą nerwowo poprawne ideologicznie żarty, w rodzaju: „Albo zazieleni ci się trawa, albo zaczerwieni ci się tors", co miało oznaczać, że albo skończą w grobie, albo ich pierś przyozdobią rzędy medali.

W prowincji Quang Tri jednostka Hunga rozłożyła się obozem na terytorium dopiero co odbitym przez wojska Północy: przez kilka następnych nocy wciąż strzelano do ich żołnierzy, zabijając kilku z nich, choć nigdzie wokół nie widać było żadnych formacji nieprzyjaciela. W końcu wydało się, że zabójczynią była siedemdziesięcioletnia miejscowa kobieta, pragnąca w ten sposób zemścić się za śmierć dwóch swoich synów, służących w armii Południa. Rzecz jasna z miejsca wykonano na niej egzekucję, co Hung przyjął z mieszanymi uczuciami. To prawda, myślał sobie, pomagała ona drugiej stronie, ale czy w szerszym oglądzie nie zasłużyła sobie na miano narodowej bohaterki? Były to doprawdy niebezpieczne przemyślenia jak na żołnierza armii Hanoi, choć bynajmniej nie jedyne tego rodzaju. On sam i towarzysze z jego baterii artylerii przeciwlotniczej kaliber 37 mm z odrazą spoglądali na oficerów, którzy „chcieli tylko zostać bohaterami". A kiedy faktycznie udzielono im pochwały za rzekome zestrzelenie sześciu amerykańskich samolotów, ów kanonier skomentował to następująco: „To wszystko była tylko propaganda. Nie pamiętam, żebyśmy cokolwiek wtedy zestrzelili"[40].

21 kwietnia cała ich bateria dostała się pod niszczycielski ogień z powietrza, w którym zginęła jedna trzecia kanonierów, kolejna jedna trzecia została ranna, a wszystkie działa uległy zniszczeniu. Żołnierze pytali jeden drugiego: „Po co w ogóle nasi oficerowie rozdrażniali Amerykanów, otwierając do nich ogień?". W następstwie tego nieszczęścia morale w ich jednostce mocno podupadło. Część ocalałych zaczęła zgłaszać rozmaite choroby. Pewien dowódca oddziału postrzelił się w nogę, a kiedy Hung pomagał mu dokuśtykać do ambulatorium,

zaczął go błagać, by nastolatek pomógł mu przekonać lekarzy, że padł ofiarą nieprzyjacielskiej kuli; ostatecznie i tak go aresztowano, po czym postawiono przed sądem wojskowym. Patrząc na pobojowisko, w które zmieniła się jego jednostka, Hung ze szczególną odrazą przyjmował fakt przetrząsania plecaków jego martwych towarzyszy przez mijających ich żołnierzy; zagadnięci o to szabrownicy odparli tylko, że przecież ich dotychczasowi właściciele niczego już z nich nie potrzebują, a oni sami „i owszem". Po przeniesieniu do baterii dział kaliber 130 mm Hung zorientował się, że służą w niej głównie byli dezerterzy, którym dano wybór: albo powrót do walki, albo więzienie. Tę baterię również czekał już wkrótce niszczycielski nalot, w którym zginęły całe dziesiątki żołnierzy, a sam Hung został na jakiś czas pogrzebany pod zwałami ziemi w swoim okopie. Potem zaś rozkazano mu wziąć wiadro i pozbierać porozrzucane dookoła części ciał swoich towarzyszy: „Byłem tak przerażony, że zdecydowałem, iż nie tylko nie nadaję się na bohatera, ale nie wydaje mi się także możliwe, bym mógł zostać choćby i poetą".

Morał z opowieści Hunga nie jest wcale taki, że nie wszyscy z jego towarzyszy walki byli ludźmi złymi albo tchórzami, ale raczej chodzi w nim o to, iż reprezentowali oni taki sam przekrój społeczny jak żołnierze każdej innej armii na świecie. Bao Ninh powiedział: „Nikt zdrowy na umyśle nie chciał tam być (...). Ale to był nasz obowiązek"[41]. Ich dowodzenie, wyszkolenie i dyscyplina stały generalnie na wyższym poziomie niż w przypadku żołnierzy ARVN. Ale już taktyczne umiejętności wyższych dowódców armii Północy w tej kampanii z roku 1972 wcale nie wydawały się specjalnie imponujące, nie różniąc się jakoś zasadniczo od tego, co zaprezentowali oni podczas ofensywy Tet w roku 1968. Mimo to okazały się one minimalnie wyższe od analogicznych kompetencji starszych oficerów Wietnamu Południowego.

Dwie leżące na północy bazy ogniowe, Bastogne i Checkmate, załamały się pod naciskiem komunistów dopiero po dłuższym i bardzo zaciętym oporze, ale pod koniec kwietnia „linia obrony Dong Ha" najpierw zaczęła się chwiać, a potem całkiem pękła. Choć wśród napastników prawdziwe spustoszenie siały naloty, były one i tak znacznie mniej skuteczne niż dalej na południu, ponieważ w prowincji

Quang Tri Amerykanie zdążyli już przekazać odpowiedzialność za kontrolę nad wysuniętymi FAC w ręce Wietnamczyków. Ponadto im bliżej DMZ, tym silniejsza była komunistyczna obrona przeciwlotnicza: szacuje się, że podczas tej kampanii w stronę samolotów amerykańskich i maszyn VNAF wystrzelono łącznie tysiąc rakiet SAM-2.

Kiedy kolumny wojsk Północy zaczęły przechodzić na południową stronę mostu Cam Lo, stało się jasne, że Quang Tri nie da się już dłużej bronić. Ostatni Wietnamczycy z Południa wraz ze swoimi amerykańskimi doradcami wycofali się stamtąd 1 maja, a już następnego dnia miasto zajęli komuniści. Podczas tego odwrotu dochodziło do zdumiewających scen: część Wietnamczyków ściągała z siebie wojskowy przyodziewek i paradowała po ulicach na wpół nago. Z dużym opóźnieniem zdymisjonowano dowódcę I Korpusu, Lama, którego zastąpił generał broni Ngo Quang Truong, określany przez Abramsa mianem „najbardziej profesjonalnego i najlepiej wykwalifikowanego oficera, jakiego miała ARVN”[42]. Oficjalnym kozłem ofiarnym za katastrofę w Quang Tri uczyniono nieszczęsnego dowódcę dywizji stacjonującej w tym mieście, którego z dużą dozą niesprawiedliwości skazano na pięć lat więzienia za „dezercję w obliczu wroga”.

Tego samego dnia, to jest 1 maja, Kissinger ponownie spotkał się w Paryżu z Le Duc Tho. Ów komunista zmusił doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego do wysłuchania długiego propagandowego monologu. Stawało się już coraz bardziej oczywiste, że najlepszym, czego mogłyby oczekiwać Stany Zjednoczone w negocjowanym porozumieniu pokojowym, byłoby uzyskanie jakiegoś zawieszenia broni, zachowującego istniejący stan spraw, choć Kissinger mimo to wciąż domagał się wycofania wojsk Północy zaangażowanych w trwającą właśnie ofensywę. Komunistyczni dowódcy wojskowi ze zdumieniem i oburzeniem przyjęli fakt, że Le Duc Tho ustanowił bezpośrednią łączność radiową między Paryżem a kwaterą polową na Południu, z pominięciem Smoczego Dworu, dzięki czemu mógł osobiście wydawać im rozkazy – zawsze zresztą takie same, bo domagające się kolejnych ataków. „To niewiarygodne – mówił później jeden z tych oficerów. – Sztab w ogóle nie zgadzał się z takim sposobem

prowadzenia spraw, tyle że nie wiedzieliśmy, do kogo niby mielibyśmy słać nasze protesty”[43]. W późniejszej fazie ofensywy z roku 1972 komuniści zaczęli przypuszczać swoje ataki już nawet nie po to, by zdobyć jakiś teren, ale wyłącznie w nadziei trafienia na pierwsze strony światowych gazet, poruszenia amerykańskiej opinii publicznej i zwiększenia presji na Kissingera w Paryżu. A w realizacji takich akurat, czysto politycznych celów Le Duc Tho rzeczywiście odnosił wyjątkowe sukcesy.

2 maja wieczorem poniżej rzeki My Chanh, na południe od Quang Tri, Wietnamczycy z ARVN i ich doradcy wciąż rozpatrywali niedawną utratę jednej dywizji piechoty, czterech grup komandosów rangers, jednej brygady pancernej, dwóch szwadronów kawalerii powietrznej i jednej brygady marines, nie licząc członków formacji SR i SL czy innych jednostek wsparcia. Podczas tej jatki chwałą okryli się nieliczni oficerowie i żołnierze, ocalali zaś opowiadali sobie historię Dinh Thi Thach, żony pewnego sierżanta sztabowego, która po opanowaniu przez komunistów swojej wioski leżącej w pobliżu Quang Tri, ryzykując życiem, tygodniami ukrywała w piwnicy kilkunastu uciekinierów z armii Południa, których później bezpiecznie przeprowadziła za linię frontu.

A tymczasem odwrót stawał się coraz bardziej chaotyczny. Pewien oficer wojsk pancernych notował: „Mój Boże, jak by tu opisać tę tragedię, która spotkała [nas] po dotarciu do Trasy nr 1. Wycofywaliśmy się w nieładzie, a drogę przed nami blokował nieprzyjaciel, którego wojska deptały nam dodatkowo po piętach i zrzucały pociski na głowy”[44]. Niektórzy zdesperowani czołgiści wciskali pedał gazu do podłogi i próbowali przeprawić się swoimi M-48 przez wody rzeki Thach Han. Inni wybiegali ze swoich maszyn, wrzucali do ich środka granaty, a kiedy już zaczynały się palić, dołączali do uchodźców, by wraz z nimi przekraczać wpław strumienie i brnąć przez nawodnione pola ryżowe w kierunku miasta Hue.

W Sajgonie Abrams wściekał się na Wietnamczyków z Południa uskarżających się na brak uzbrojenia i sprzętu: „ARVN nie straciła swoich czołgów dlatego, że wyeliminowały je czołgi wroga. ARVN straciła swoje czołgi dlatego, że, d o j a s n e j c h o l e r y, zostały one

porzucone przez jej żołnierzy. I nawet gdyby mieli oni p i e p r z o n e [czołgi] Józef Stalin 3, wszystko skończyłoby się tak samo”[45]. W podobny sposób pouczał on też prezydenta Thieu i Viena, szefa sztabu armii Sajgonu: „Wam wcale nie potrzeba s p r z ę t u. Wam potrzeba ludzi, którzy będą w a l c z y ć. Potrzeba wam też o f i c e r ó w, którzy będą walczyć i zachęcać do walki swoich ludzi (...) Macie już cały sprzęt, jaki jest wam potrzebny (...) A większość waszej artylerii, którą straciliście, została po prostu p o r z u c o n a”. Większość zachodnich mediów przewidywała, że wskutek ostatniej fali katastrofalnych rozstrzygnięć na polach bitewnych Wietnam Południowy nie zdoła się już podnieść.

Ostatnich trzystu pacjentów szpitala wojskowego w Quang Tri załadowano do ambulansów i wysłano konwojem na południe Drogą nr 1, gdzie rzecz jasna utknęły one w masie uciekinierów i wraków różnych wehikułów[46]. Drogę tę bezustannie ostrzeliwała też komunistyczna artyleria, która niszczyła i dziurawiła wszystkie poruszające się po niej pojazdy, w tym również ambulansy. Doktor Pham Viet Tu, lekarz w jednej z jednostek powietrznodesantowych, tak pisał o ówczesnym losie cywilów: „Na drodze i jej poboczach stały unieruchomione setki samochodów, ciężarówek, rowerów i motorowerów podziurawionych komunistycznymi kulami i odłamkami pocisków, a w niektórych przypadkach wręcz spalonych na popiół. A między nimi walały się ludzkie szkielety (...). Obrazem, który wstrząsnął mną najbardziej i poruszył aż do głębi moje serce, był jednak widok malutkiego szkieletu dziecka, może dwuletniego, spoczywającego wewnątrz dużej aluminiowej miski. Tuż obok leżały zaś szczątki jego matki, obok których można było dostrzec parę malutkich dziecięcych sandałków”[47].

Zarówno Abrams, jak i Wietnamczycy z Południa ze zdumieniem przyjęli wiadomość, że komuniści nie pomaszerowali dalej na południe od razu po zdobyciu Quang Tri. Kolejne miasto, Hue, było bowiem w zasadzie niebronione i tylko czekało na zdobycie. Jeden z oficerów Sajgonu napisał: „Hue wyglądało wówczas jak miasto bezprawia; nieliczni policjanci i żandarmi wojskowi nie byli w stanie kontrolować wielkiej masy uchodźców i żołnierzy napływających do miasta. Dochodziło do rabunków, plądrowania domów i sklepów czy kradzieży

samochodów. Głównymi ulicami płynął ludzki potok, a w bocznych uliczkach wałęsało się wiele samotnych dzieci, od maluchów po nastolatki, które płakały i kwiliły, patrząc na tę ciżbę mijających ich ludzi. Widziałem jakiegoś chłopca, w wieku może dwunastu lat, opartego o przydrożne drzewo i tulącego do siebie braciszka, na oko najwyżej trzyletniego. Ten starszy z braci trzymał też w rękach kartkę, na której nagryzmolił: «Jesteśmy dziećmi pana Xuana z Quang Tri i nie możemy znaleźć naszych rodziców»"[48].

Setki podobnie brzmiących wiadomości pisano wówczas również czy to kredą albo węglem na murach, czy też ołówkiem na kartkach, przytwierdzanych następnie do pni drzew przy użyciu kulki ryżu: „Do starszego szeregowego Nguyena Van Ba z 1. Batalionu 57. Pułku Piechoty. Dzieci i ja przenosimy się do domu cioci w Da Nang" albo „Kapral Bay z 3. Batalionu 2. Pułku Piechoty do żony: żyję i walczę. Niech Budda ma w opiece ciebie i nasze dzieci". Jedna z nich głosiła: „Żona Hoa do męża, sierżanta Truonga z SR w Quang Tri. Moździerz WK zabił wczoraj naszą malutką córeczkę. Chłopczyk i ja jesteśmy bezpieczni. Nie martw się o nas i nie dezerteruj"[49]. Pani Bong, owa gospodyni domowa z Hue, której dane było przeżywać straszne doświadczenia podczas ofensywy Tet w roku 1968, teraz napisała do przyjaciela: „Mój jedyny żyjący syn wyjechał z domu. Zostałam w nim sama z córką i małą wnuczką. Jest tu teraz tak pusto. Sama nie wiem, co zrobię, jeśli mój ukochany syn zginie. Wydaje nam się teraz, że ta straszliwa wojna już nigdy się nie skończy (...), moje biedne dzieci"[50].

Major Nguyen Cong Luan spotkał raz pewnego młodego kapitana dowodzącego własnym batalionem, który wydał mu się bardzo przygnębiony. Kiedy zaczął on uskarżać się na to, że Amerykanie odpowiadają już teraz zaledwie na połowę jego próśb o przysłanie wsparcia powietrznego, Luan zasugerował, że może dobrym sposobem zachęcenia Amerykanów do szerszej aktywności byłoby pokazanie przez armię Południa większej woli walki i zaangażowania[51]. W roku 1972 ARVN poniosła ogółem straty materialne w wysokości 200 czołgów, 275 transporterów opancerzonych, 634 ciężarówek i 300 dział, z czego połowa została albo porzucona albo zniszczona przez własnych żołnierzy na północy kraju. Na dobrą sprawę reżim w Sajgonie miał

sporo szczęścia, że komunistyczna ofensywa na północy i na obszarze Płaskowyżu Centralnego wytraciła swoje tempo po opanowaniu Quang Tri i Tan Canh. Napastnicy sami ponieśli olbrzymie straty, głównie za sprawą ataków powietrznych, a ponadto brakowało im wsparcia logistycznego do kontynuowania natarcia. Dzięki temu jednak Południe otrzymało niemal cały maj na przygotowanie nowej linii obrony i powstrzymanie słabnącej już z wolna ofensywy nieprzyjaciela. A późnym latem ARVN przeszła nawet do długiej i powolnej kontrofensywy, mającej na celu odzyskanie Quang Tri.

Spora część najcięższych majowych walk toczyła się wokół Kontum, stolicy prowincji o tej samej nazwie, położonej w dolinie w północnej części Płaskowyżu Centralnego i z trzech stron opasanej rzeką. Miasto to było stosunkowo zamożne, mogąc się pochwalić aż 9 kościołami katolickimi, a broniła go 23. Dywizja Piechoty, wspierana przez kilka czołgów, artylerię i milicję SL. Komuniści najpierw odcięli Drogę nr 14 na południe od miasta, po czym przy użyciu formacji pochodzących z trzech różnych dywizji przystąpili do natarcia na nie od północy i północnego zachodu. Rozpoczęło się ono 13 maja. Brygadier Ba napisał później: „To było piekło na ziemi – każdy kolejny dzień równie straszny jak poprzedni, ostrzał artyleryjski trwający nieprzerwanie przez czterdzieści dni”[52]. John Vann był niemal wszędzie – dostarczał uzbrojenie, kierował nalotami B-52, których naprowadził około 300 w ciągu trzech tygodni, zagrzewał do walki ociągających się dowódców.

Bitwa pod Kontum na Płaskowyżu Centralnym. Południowowietnamscy żołnierze w bazie; w tle widoczny nalot amerykańskich B-52, maj 1972 roku

Kiedy jeden z pocisków trafił bezpośrednio w bunkier Ba, lekarze uwijali się wśród rannych i usuwali ciała zabitych, a w tym samym czasie oficerowie sztabowi tuż obok kontynuowali prowadzenie bitwy. Jedną z najgorszych była noc 18 maja, kiedy to napastnicy z Północy wdarli się do Kontum i zajęli połowę miasta, zanim ostatecznie udało się ich odeprzeć. Ataki powietrzne wielokrotnie zaskakiwały czołgi Północy na otwartej przestrzeni. Zażarte walki toczyły się na trzech cmentarzach na obrzeżach miasta. O godzinie 9.00 rankiem 26 maja jeden z komunistycznych oficerów przyznał szczerze, że natarcie zgubiło cały swój impet. Jedyne dwa pozostałe mu czołgi właśnie wpadły na miny ARVN, a dwa poprzednie zostały zniszczone przez wrogie śmigłowce. Spisywana przez Hanoi historia tej wojny podaje: „Nasze ataki zaczęły wytracać tempo i stawały się stopniowo coraz mniej skuteczne (...). Tymczasem wróg sprowadził posiłki, wzmocnił swoją obronę, po czym przeszedł do kontrataków. Nocą z 5 na 6 czerwca polowa kwatera główna wydała rozkaz odwrotu spod Kontum

i zakończyła kampanię prowadzoną na północy i na obszarze Płaskowyżu Centralnego”[53].

Już po zakończeniu walk Amerykanie i Wietnamczycy z Południa w pełni zgadzali się z tym, że gdyby nie wszechobecny John Vann, Kontum z pewnością by upadło. W jakiś sposób udało mu się wyjść cało z niezliczonych tarapatów: raz zdarzyło mu się nawet opędzać kolbą karabinu od wietnamskich uciekinierów oblegających jego szykujący się już do startu helikopter Jet Ranger. Ba napisał z nutą sentymentalizmu: „Zwycięstwo nikomu nie należało się bardziej niż temu właśnie człowiekowi, który wziął sobie za punkt honoru umożliwienie ARVN pobicia komunistycznych agresorów. Często zadawałem sobie pytanie: «Po co w ogóle jakiś Amerykanin ryzykuje własnym życiem w tej walce? Dlaczego narażał się na liczne niebezpieczeństwa, najpierw pod Ap Bac, a teraz na obszarze Płaskowyżu Centralnego?»”[54]. Ba opisywał Vanna niczym jakiegoś męczennika, który zasłużył sobie na wdzięczność niemal wszystkich Wietnamczyków.

A on sam z czasem nabrał przekonania o swojej niezniszczalności, które rzecz jasna okazało się fałszywe, jak to zwykle bywa w tego typu przypadkach. 9 czerwca podczas lotu z niedoświadczonym pilotem i przy zapadających ciemnościach Vann zginął, gdy jego helikopter rozbił się o ziemię. Miał wtedy czterdzieści siedem lat i pozostawił po sobie cały wianuszek zaniedbanych żon, kochanek i potomków, narodowości zarówno amerykańskiej, jak i wietnamskiej. Neil Sheehan, autor biografii Vanna, zatytułowanej *A Bright Shining Lie* (*Bijące w oczy kłamstwo*), jednej z najlepszych książek o Wietnamie, słusznie zauważył, że choć Vann faktycznie ocalił Kontum, to uczynił to w sposób, który zanegował sam sens prowadzenia tej kampanii. Pokazał bowiem oto, że bez Amerykanów takich jak on, zdolnych sprowadzać wsparcie powietrzne, Wietnamczycy z Południa nie byli w stanie oprzeć się nawale z Północy. Udowodnił tym samym, że wszystkie kolejne bitwy i zgony służyły jedynie odwlekaniu rezultatu, który już wówczas można było bez trudu przewidzieć.

Podczas tej kampanii z roku 1972 Abrams powiedział: „Natężenie przemocy i poziom brutalności (...) osiągnęły skalę, jakiej nigdy dotąd nie obserwowaliśmy”. W tym samym czasie, w którym toczono walki

o Quang Tri i Kontum, dalej na południu trzy komunistyczne dywizje wyszły z terytorium Kambodży i z marszu zajęły Loc Ninh, a potem podeszły pod stolicę prowincji Binh Long – An Loc. Było to obsadzone silnym garnizonem miasto zamieszkane przez 10 tysięcy osób, a leżące między dwiema rzekami na rozległym płaskowyżu, około 100 kilometrów na północ od Sajgonu. Wieczorem 5 kwietnia saperzy nieprzyjaciela zdobyli leżące pod miastem lotnisko wojskowe, którego obrońcy czmychnęli ze swoich pozycji na widok pierwszych komunistycznych czołgów. Napastnicy odcięli też drogę prowadzącą do miasta od południa, przez co An Loc uzależnione było odtąd w pełni od dostaw powietrznych.

Po tym, jak dowodzący obroną An Loc major Nguyen Van Biet – albo Anh Hai, to jest „Najstarszy Brat" – ostrzegł przez radio, że lotnisko znajduje się pod ostrzałem artyleryjskim, 7 kwietnia do miasta ściągnięto helikopterami 3. Grupę Rangersów. Już wysypując się w pośpiechu z lądujących śmigłowców, komandosi mieli okazję się przekonać, że kwatera przewidziana na sztab ich grupy jest zaciekle broniona, przy dużych stratach własnych. Dowódca 5. Dywizji ARVN pułkownik Le Van Hung krzyknął do majora Bieta: „Przybyliście, chłopaki, w sam czas!"[55]. Jego własnym ludziom z trudem udawało się utrzymywać wyznaczone pozycje, a jeden z pułków był już właściwie stracony.

Przed kolejną falą ataków komunistów nastąpiła krótka przerwa, podczas której pewien oficer z grupy rangersów miał okazję obserwować mieszkańców powracających do swoich codziennych obowiązków wśród komunikatów wygłaszanych z rządowych ciężarówek krążących po ulicach, które wzywały wszystkich do zachowania spokoju, donoszenia władzom o wszelkich zauważonych przypadkach działalności komunistycznych infiltratorów i obiecywały kolejne wojskowe posiłki zmierzające do miasta[56]. A kiedy Wietnamczycy przystąpili już do zmasowanego ostrzału artyleryjskiego, nie próbowali nawet udawać, że będą dbać o życie cywilów – na dosłownie każdy skrawek miasta spadał deszcz rakiet kaliber 122 mm i pocisków kaliber 155 mm, wystrzeliwanych z dział przechwyconych pod Loc Ninh. Jeden z oficerów Południa napisał: „Rozdzierające krzyki,

ciała i ich fragmenty walające się dosłownie wszędzie, a nawet zwisające z dachów czy gałęzi drzew, jedna wielka tragedia. Wielu cywilów szukało schronienia w wojskowych bunkrach”[57]. Na An Loc spadało dziennie do 2 tysięcy pocisków artyleryjskich i moździerzowych.

Pewnego wieczora Wietnamczycy z grupy rangersów mieli okazję obserwować z narastającą konsternacją, jak ich amerykańscy doradcy, bez słowa wyjaśnienia, rzucają się w stronę lądującego helikoptera, który już po chwili zniknął im z oczu, odlatując na wschód. Co też mogło to oznaczać? Czy garnizon został przez nich uznany za nie do obrony? Tajemnica rozwiązała się dopiero nazajutrz o świcie, kiedy to w mieście pojawił się nowy zespół doradców. Jego dowódca przeprosił za sposób, w jaki dokonano wymiany, wyjaśniając, że wynikał on z potrzeby zachowania pełnego bezpieczeństwa. Jednocześnie zaś obiecał, że An Loc otrzyma od Amerykanów pełne wsparcie powietrzne, a kiedy rzeczywiście tak się stało, morale obrońców w zauważalny sposób wzrosło.

13 kwietnia o godzinie 2.30 komuniści przypuścili swoje pierwsze duże natarcie lądowe. Jadące na jego szpicy czołgi początkowo wprowadziły w szeregi obrońców sporą konsternację: „Nasi żołnierze byli przerażeni” – napisał jeden z nich[58]. Ale już po chwili członkom Sił Regionalnych udało się zniszczyć jeden z nich rakietą LAW. Z czasem ludzie z garnizonu zorientowali się, że te wyposażone w gąsienice potwory przestają być takie straszne na wąskich ulicach miasta, i zaczęli je eliminować, jeden po drugim, nie bez pomocy amerykańskiego lotnictwa. W dodatku załogi północnowietnamskich czołgów wykazywały się żałosną nieudolnością: wczesnym rankiem, w słabym świetle dopiero wstającego dnia, jeden z T-54 wpadł w wielki lej po bombie. Towarzyszące mu maszyny popełniły z kolei katastrofalny błąd taktyczny, rozjeżdżając się w różne strony miasta, dzięki czemu można je było niszczyć, każdy z osobna, albo za pomocą rakiet LAW, albo uderzeniami z powietrza. Do godziny 8.30 wyeliminowano w ten sposób z walki już siedem nieprzyjacielskich czołgów, wobec czego pozostałe zawróciły i wycofały się z miasta[59].

Amerykański doradca kapitan Hal Moffett powiedział później: „[Komuniści] nie potrafili odpowiednio korzystać ze swoich czołgów i Bóg im za to zapłać. Gdyby umieli przeprowadzić dobrze skoordynowane natarcie, to przetoczyliby się przez całe miasto niczym kula śniegowa. Byli jednak kompletnie niezorganizowani, a ja do dzisiaj nie potrafię zrozumieć, o co im chodziło, kiedy wysyłali nam po cztery czy pięć czołgów naraz”[60]. Żołnierzom Południa obiecywano teraz nagrody pieniężne za zniszczenie każdego czołgu: okazało się to strzałem w dziesiątkę, bo ci ubodzy z reguły ludzie wykazywali większą skłonność do narażania własnego życia dla pieniędzy aniżeli dla ojczyzny. Jak relacjonował Moffet, niektóre oddziały piechoty dysponujące wyrzutniami LAW „pozwalały czołgom podejść na odległość 30, a nawet 10 metrów, a dopiero potem do nich strzelały”. Na kluczowym moście prowadzącym do miasta od wschodu „te małe pokurcze przyczaiły się aż do ostatniej chwili i zaczekały, dopóki czołg nie znalazł się dokładnie pośrodku tego mostu, i wtedy wysłały go prosto w kosmos”. Widząc to, reszta komunistycznej kolumny pancernej zawróciła i podjęła próbę przeprawienia się przez rzekę poniżej mostu, gdzie czołgi stały się łatwymi celami dla USAF.

Wciąż jednak trwały zażarte i krwawe starcia piechoty, w których obrońcy z wolna tracili teren, a jeden batalion rangersów został niemal całkowicie przetrzebiony. Łączność radiową często zakłócały komunikaty komunistów, głoszące nieodmiennie: „Poddajcie się, to przeżyjecie – stawiajcie opór, to zginiecie!”. Wietnamczycy z Północy przejęli kontrolę nad kilkoma dzielnicami w północno-wschodniej części miasta, skąd zdołano ich wyprzeć dopiero po tym, jak w trakcie ulewnego deszczu nadleciał amerykański śmigłowiec bojowy Spooky, który ostrzelał komunistów niezwykle precyzyjnym ogniem automatycznym. Pewien wiwatujący oficer Południa wykrzyknął wówczas przez radio: „Strzał w dziesiątkę! Tak trzymać!”. Jak donosił ten sam człowiek, już wkrótce ze zniszczonych bunkrów „wybiegło kilku przerażonych żołnierzy nieprzyjaciela, którzy z trudem łapali powietrze i nie wiedzieli, co ze sobą począć w samym środku ulewnego deszczu”[61].

15 kwietnia o godzinie 4.30 oblegający miasto rozpoczęli ostrzał artyleryjski, od którego ogniem zajęło się wiele budynków w kilku dzielnicach mieszkalnych. A już pół godziny później, we wciąż zalegających ciemnościach, podjęli kolejne duże natarcie lądowe. Spośród dziewięciu czołgów wysłanych jako wsparcie piechoty Północy jeden zerwał gąsienicę, a w drugim zatarł się silnik z braku oleju, wobec czego zdolnych do walki pozostało tylko siedem. Do świtu komunistom udało się opanować peryferyjne dzielnice, po czym popełnili dokładnie ten sam błąd, który zdarzył im się już dwa dni wcześniej – posłali przodem swoje czołgi, bez żadnego wsparcia. Żołnierze Południa uzbrojeni w wyrzutnie LAW zniszczyli kilka T-54, atak wytracił impet, a komuniści musieli się wycofać. Do miasta przybyły posiłki w postaci dwóch batalionów powietrznodesantowych i dodatkowej grupy rangersów, by wzmocnić przerzedzone szeregi obrońców. I choć w ciągu następnego tygodnia komunistom udało się opanować kilka pozycji na obrzeżach An Loc, to nie potrafili oni w żaden sposób przedostać się do centrum miasta.

Nawet jeśli ataki nie były przeprowadzane prawidłowo – a wiele mówiąca była późniejsza dymisja jednego z dowódców dywizji Północy – to również i obrona miasta nie przejdzie raczej do annałów największych osiągnięć w dziejach wojskowości. Starszy doradca, pułkownik William Miller, raportował znużony, że Hung, dowódca 5. Dywizji, wykazywał się „zmęczeniem-niestabilnością-nieracjonalnością-drażliwością-niesłuchaniem rad – generalnie lepiej się było do niego nie zbliżać". Od 22 kwietnia do 10 maja oblegający i oblężeni toczyli ze sobą kolejne zażarte walki. Nocami niebo rozjaśniały iluminanty i flary zrzucane z maszyn C-47. Ataki powietrzne wyrządzały mnóstwo szkód na pozycjach komunistycznych. W końcu obrońcy garnizonu, liczącego już teraz 6200 ludzi i 25 amerykańskich doradców, przeszli do kontrataków, dzięki którym wyparli napastników z miasta, co nawet zdaniem komunistycznych historyków doprowadziło do upadku morale wśród ich żołnierzy Północy[62]. 10 maja w Sajgonie prezydent Thieu ogłosił ogólnonarodowy stan wyjątkowy. Z dumą poinformował też, że w obliczu kryzysu do służby wojskowej zgłosiło się na ochotnika ponad 53 tysiące Wietnamczyków

z Południa: najwyraźniej perspektywa możliwego zwycięstwa komunistów skłoniła niektórych do poświęcenia. Z historycznego obowiązku warto ponadto odnotować, że choć dziesiątki tysięcy żołnierzy walczących dla Sajgonu dezerterowały wówczas z armii Thieu, to niemal żaden nie czynił tego po to, by przejść na stronę komunistów: najzwyczajniej w świecie chcieli oni po prostu wrócić do domu.

Komunistyczni dowódcy pod An Loc pozostawali jednak nieprzejednani: zaangażowawszy wszystkie swoje siły i środki w to oblężenie, nie zamierzali absolutnie godzić się z porażką. 11 maja, wzmocnieni 35 nowo przybyłymi czołgami, przypuścili kolejne natarcie w sile 5 pułków, atakujących z czterech kierunków. W schronie dowództwa Wietnamczyków z Południa dobrze słychać było ryk silników czołgów AWP, a ich dym oraz podnoszony przez nie kurz wpadał do bunkra przez otwory strzelnicze. Jeden z amerykańskich doradców przestrzegał swojego wietnamskiego tłumacza: „Muszę ci powiedzieć, że być może nie będziemy w stanie się tu utrzymać, więc jeśli chcesz ocalić głowę, trzymaj się mnie i bądź gotów do ucieczki”[63]. W An Loc, podobnie jak wszędzie indziej, decydującą rolę odegrało lotnictwo, przerywające kolejne ataki przypuszczane przez komunistów. Jak relacjonował Hal Moffett, „jeden kosiarz stokrotek [*daisy-cutter*, czyli duża bomba] był w stanie powstrzymać cały batalion. Ich dowódcy darli się na [żołnierzy ze swojej] jednostki, żeby wstali i ruszali do ataku. Nacierać! Strasznie na nich krzyczeli – nawet u nas było to słychać. Ale im wcale nie spieszyło się do atakowania. Zlikwidowaliśmy komunistyczną próbę wejścia do miasta od północnego wschodu. Na własne oczy widziałem, jak uciekają. Mogliśmy wygrać tamtego dnia całą bitwę, bo [AWP] poszła w całkowitą rozsypkę. Ale wszelkie walki ustały na 3 godziny”.

Straty po stronie Północy były już teraz olbrzymie, a przy tym komuniści niemal wystrzelali się z całej amunicji. W swoim raporcie pooperacyjnym Moffett przedstawił żywy obraz ówczesnych wydarzeń, Jak pisał, niektórzy z żołnierzy Południa walczyli jak lwy: „Ludzie z sił powietrznodesantowych byli po prostu fantastyczni (...) jak chwycili za gardło, to już nie puszczali”[64]. Nie wszyscy walczyli jednak równie dobrze: jedna grupa rangersów „została całkowicie wyparta ze swoich

pozycji przez około sześciu [żołnierzy nieprzyjaciela]. Zamiast odpowiedzieć ogniem, wycofali się, obrzucając napastników granatami. Tłumaczyli się, że gdyby zaczęli strzelać, zdradziliby swoją pozycję (...). A [ich] pułkownik przyszedł potem do mnie z płaczem (...). Naprawdę, płakał jak dziecko, a łzy spływały mu po policzkach – i dopytywał się ciągle, dlaczego nie nadeszło żadne wsparcie z powietrza".

Moffetta drażniła też pasywność wykazywana przez część obrońców, którzy pozwalali napastnikom ustawiać swoje moździerze na otwartych pozycjach. Tyle że An Loc doświadczyło jednego z najcięższych ostrzałów artyleryjskich, jakie przeprowadzili komuniści w ciągu całej tej wojny, a w dodatku w jego trakcie całkowitemu zniszczeniu uległ kompleks szpitalny: „Z moich szacunków wynika, że zabili oni od trzystu do pięciuset ludzi – kobiet, dzieci, niemowląt, żołnierzy, wszystkich po trochu. Po prostu postanowili zrównać to miasto z ziemią". Tymczasem cobry musiały razić ogniem z wysokości 1500 metrów, by uniknąć poważnego ryzyka strącenia rakietami ziemia-powietrze, którymi od niedawna dysponowali komuniści. Ponadto atakujące maszyny musiały podchodzić do natarcia zza pozycji ARVN, a nie z boku, by jak najkrócej być narażonymi na ogień nieprzyjaciela.

Jeszcze w trakcie trwania walk ulicznych jedna z dywizji Południa przemieściła się na północ Drogą nr 13, by podjąć próbę przerwania oblężenia. Ostatecznie próba się nie powiodła, ale wypad ten niewątpliwie odwrócił uwagę komunistycznej formacji wysłanej jej na spotkanie. Amerykanie zaangażowali do pomocy oblężonemu garnizonowi nadzwyczajne środki powietrzne: na spadochronach zrzucono do miasta 2693 ton amunicji i racji żywnościowych. 11 maja bombowce B-52 przeprowadzały swoje niszczycielskie ataki niemal dokładnie co godzinę, a dodatkowo dzień w dzień dochodziło średnio do niemal trzystu nalotów taktycznych. Starszy doradca generał brygady James Hollingsworth raportował do MACV: „Gdyby nie doradcy, to, jak mniemam, mielibyście teraz [komunistów] (...) u siebie w Sajgonie"[65]. Była to prawda, tyle że nie z uwagi na „doradztwo" zapewniane przez Amerykanów, ale ze względu na ich nieocenioną rolę nawigatorów naprowadzania wsparcia lotniczego (FAC). W tej ostatniej już odsłonie zaangażowania armii amerykańskiej i Korpusu Marines

w Wietnamie, po doznaniu tylu wcześniejszych upokorzeń i porażek, wielu oficerów i podoficerów obecnych w zespołach doradców wykazało się ogromną odwagą, poświęceniem i profesjonalizmem, które okazały się decydujące dla powstrzymania komunistycznej ofensywy. Wraz ze swoją grupą Moffett spędził w An Loc pięćdziesiąt trzy dni: „Kiedy się stamtąd ewakuowaliśmy, musieliśmy dosłownie wyrzucać Wietnamczyków z naszego helikoptera, nie braliśmy też żadnych rannych, bo jak się weźmie jednego, to trzeba potem zabrać wszystkich (...). Osobiście wyciągnąłem ze środka naszego ptaka czterech Wietnamczyków, po prostu ich stamtąd wyrzuciłem, żeby móc samemu wsiąść". Potwierdził to jego tłumacz Tran Van De: „Wielu ludzi próbowało zdezerterować albo udawało rannych, żeby tylko się stamtąd wydostać"[66].

Wojskowy tłumacz Moffetta w rozmowie odbytej zaraz po jego ewakuacji zapytany został, czy An Loc jest w stanie przetrwać kolejny atak, równie ciężki jak ten z 10 maja. „Absolutnie nie, sir (...). Jest już za dużo wyrw w liniach obronnych, a oni [obrońcy] są już zbyt słabi. Gdyby [komuniści] natarli równie mocno jak ostatnim razem (...) Moim zdaniem, jak zbiorą się do kupy, to [następnym razem] (...) nie sądzę, by [Wietnamczycy z Południa] się utrzymali". W tej samej rozmowie wyrażał się on ponadto z dużym krytycyzmem o niektórych wietnamskich oficerach, z niechęcią opuszczających swoje bunkry. Jak twierdził, widział dowódców wysyłających swoich ludzi podczas ciężkiego ostrzału po papierosy dla siebie albo po mokrą szmatkę do wytarcia sobie potu z ciała, „a ten szeregowy wyglądał tak, jakby sam nie mył się, odkąd go tam przysłano (...). Wszyscy mieli głęboko w dupie szeregowych walczących w tej wojnie". Była to rzeczywiście stara i aż nadto znajoma bolączka instytucjonalna w południowowietnamskiej armii.

Mimo że komuniści utrzymali pierścień oblężenia wokół An Loc aż do 8 czerwca, od połowy maja widać już było wyraźnie, że zagrożenie minęło. Historia Sztabu Generalnego AWP stwierdza: „Nie walczyliśmy [tam] dobrze"[67]. Straty Wietnamczyków z Południa poniesione dla utrzymania miasta wyniosły 12 500 ludzi. Straty napastników sięgnęły

prawdopodobnie 25 tysięcy, nie mówiąc o utracie aż 36 bezcennych czołgów.

Podczas gdy armia Thieu z trudem odpierała ataki AWP na Południu, prezydent Nixon przeprowadził na Północy jedną z najintensywniejszych kampanii bombardowań podczas tej wojny, by ukarać Hanoi za pychę. Między 1 maja a 30 czerwca USAF i samoloty marynarki wojennej wykonały łącznie 18 tysięcy misji, w trakcie których stracono 29 maszyn. 8 maja, podczas ogólnokrajowej transmisji telewizyjnej, Nixon poinformował naród amerykański, że podjął właśnie „decydujące kroki w stronę zakończenia tej wojny": chodziło mu o operację ofensywną skierowaną przeciwko sieci logistycznej i komunikacyjnej Północy, której nadano kryptonim „Linebacker", a która zakładała przeprowadzanie 330 misji dziennie oraz – po raz pierwszy – zaminowanie dojścia do portu w Hajfongu. Ponadto, w samym szczycie natężenia starć w 1972 roku, 5 grup lotniskowców, 3 krążowniki artyleryjskie i 38 niszczycieli miało zapewnić wsparcie z morza dla walczących Wietnamczyków z Południa. Ta dramatyczna riposta na wielką zniewagę, za jaką Nixon uznał komunistyczną ofensywę, przyjęta została ze zdumiewająco wielkim entuzjazmem przez obywateli USA: Amerykanie tym bardziej pochwalali uderzanie we wroga z powietrza, im mniej podobało im się zwalczenie go na jego własnych mokradłach i w dżunglach.

W kwietniu i maju znacząco wzrosło zapotrzebowanie na wsparcie z powietrza, wobec czego na teatr działań wojennych trzeba było dosyłać kolejne maszyny: w ostatecznym rozrachunku aż 210 bombowców B-52 i 374 myśliwców F-4 operowało z Guam i z terytorium Tajlandii. Główny nacisk położono na cele związane z komunikacją, w tym tereny kolejowe w Yen Vien czy most Paula Doumera w Hanoi, który zniszczono za pomocą 29 bomb naprowadzanych laserowo, a także z użyciem systemu elektrooptycznego. Od kwietnia do października na terytorium Północy zrzucono 155 548 ton ładunków wybuchowych. Transport śródlądowy spadł w tym okresie ze 160 tysięcy ton miesięcznie do zaledwie 30 tysięcy ton, a przywóz towarów drogą morską z 250 tysięcy ton do zera. Chińczycy zawiesili swoje dostawy morskie i zamknęli linie kolejowe. Operacja „Linebacker" doprowadziła

do zniszczenia niemal całych zapasów ropy w Wietnamie Północnym i 70 procent mocy energetycznej w tym kraju. Z punktu widzenia Amerykanów nie była to jednak operacja zupełnie wolna od strat: wśród lotników wielu było już teraz stosunkowo mało doświadczonych, czego skutki jak na dłoni widać było choćby w czerwcu, kiedy to komunistyczne MiG-i zestrzeliły aż 7 amerykańskich myśliwców, tracąc po swojej stronie tylko 2 maszyny. Łącznie w czasie trwania operacji „Linebacker" stracono 44 samoloty. Ale podczas gdy lotnictwo taktyczne operujące na Południu siało prawdziwe spustoszenie wśród komunistów, niemal z całą pewnością odgrywając decydującą rolę w toczących się tam walkach, to już intensywna kampania bombardowań na Północy nie miała żadnego większego przełożenia na jej zdolność bojową z uwagi na słabo rozwiniętą i mało znaczącą infrastrukturę tego kraju.

Tego rodzaju argumentacja w najmniejszym stopniu nie trafiała jednak do Nixona. A kiedy swoje wątpliwości względem operacji „Linebacker" zgłosił także Creighton Abrams, domagający się przekierowania zaangażowanych w nią środków na Południe, zwierzchnik sił zbrojnych stracił ostatecznie resztki cierpliwości wobec niego. A Kissinger wyraził się wówczas, z właściwym sobie instynktem zabójcy: „Jego czas już minął. Patrz tylko: roztył się, za dużo pije i nie jest więcej w stanie niczego osiągnąć". W czerwcu Abrams wrócił więc do domu, a zastąpił go, na ostatnich kilka miesięcy istnienia MACV, Fred Weyand. Abrams nie został jednak zdymisjonowany, ale wręcz przeciwnie: dostał kopa w górę, bo zastąpił Westmorelanda na stanowisku szefa sztabu wojsk lądowych. Był on niegdyś porządnym i kompetentnym oficerem, świetnie nadającym się do prowadzenia konwencjonalnych operacji wojennych w Europie. Jego późniejszy stopniowy upadek podczas długich lat spędzonych w Sajgonie, przyspieszający zwłaszcza w ostatnich miesiącach na pełnionym tam stanowisku, należy zapewne wiązać z presją ze strony czynników politycznych i wojskowych, z którą musiał się bezustannie mierzyć, a która najwyraźniej przerosła go jako dowódcę. Jeden z jego kolegów, stwierdziwszy kiedyś, że od Abramsa wymagano „prowadzenia wojny,

dając mu fundamenty z galarety", nie wykazał się wówczas wcale zbytnią przesadą.

22 maja Nixon stał się pierwszym amerykańskim prezydentem, który złożył wizytę w Moskwie, gdzie odbył trwające cały tydzień rozmowy na szczycie z sowieckim przywódcą Leonidem Breżniewem. Najtrudniejszym dla obu stron tematem podczas tego spotkania była bez wątpienia kwestia broni nuklearnej, o której w dodatku musiano dyskutować w cieniu toczącej się w Wietnamie wojny. Tłumacz Breżniewa zapisał później: „Jeśli od czasu do czasu w ogóle wspominano o Wietnamie, to tylko po to, żeby móc «odhaczyć kwestię», czyli móc potem przekazać Wietnamczykom i naszym sojusznikom, jak silną i niewzruszoną postawę zajmuje kierownictwo ZSRS”[68]. Sowiecki premier Aleksiej Kosygin przestrzegał, że jakakolwiek dalsza eskalacja ze strony Amerykanów zmusi Hanoi do szukania pomocy wojsk chińskich. „Nixon słuchał tego z zaciśniętymi zębami. A potem spokojnie, ale twardo zaprzeczył takim, jak się wyraził, nieuzasadnionym podejrzeniom i podkreślił swój zamiar zakończenia całego tego rozlewu krwi. Brak postępu w tym względzie przypisał nieprzejednaniu Wietnamczyków i zaapelował do nas o wpłynięcie na naszych przyjaciół i sojuszników”[69]. Choć Rosjanie użyli w odpowiedzi mocnych słów, to już ich ton pozostawał zauważalnie neutralny.

Rosjanie wyraźnie obawiali się Nixona i byli głęboko zaniepokojeni tym, że Wietnam mógłby stanąć na drodze jakiemuś porozumieniu, które zamierzali z nim zawrzeć. Kilkakrotnie w ciągu tego szczytu na amerykańskie wezwania do wyperswadowania Wietnamczykom konieczności podjęcia poważnych negocjacji Sowieci odpowiadali oskarżeniami względem Stanów Zjednoczonych o nieskuteczne powstrzymywanie Izraelczyków od eskalacji przemocy wobec Palestyńczyków. I tak to piłeczka przelatywała raz na tę, a raz na tamtą stronę siatki. Amerykanie mówili na przykład: Izrael to niezależne od nas państwo, z którym utrzymujemy wprawdzie bliskie stosunki, ale nie możemy go zmusić do zmiany linii politycznej. Na co Rosjanie ripostowali: dokładnie to samo można powiedzieć o nas i o Wietnamie Północnym. Szczyt w Moskwie zakończył się podpisaniem traktatów ABM i SALT I, co w ocenie obu zainteresowanych stron stanowiło o wiele ważniejsze osiągnięcie od rozstrzygnięcia kwestii indochińskiej.

3. PUSTE ZWYCIĘSTWO

Tymczasem w Wietnamie Południowym, począwszy od czerwca, przez całe lato i jesień tamtego roku, amerykańskie lotnictwo nękało wycofujące się stopniowo siły Północy, umożliwiając żołnierzom Sajgonu powolne odzyskiwanie części utraconych terytoriów. Straty wśród komunistów osiągały poziomy, na które nie mógłby sobie pozwolić bodaj żaden inny przywódca narodowy, niedorównujący bezwzględnością Le Duanowi. Dowódca 308. Dywizji wysłał nawet osobisty list do Giapa, w którym uzmysławiał mu, że ofensywę należy jak najszybciej zakończyć. Uskarżał się w nim ponadto, że każdego, kto tylko argumentował za odwrotem, oficerowie polityczni okrzykiwali tchórzem, „a mimo to taka jest właśnie moja rekomendacja. W sytuacji, w jakiej się obecnie znajdujemy, mielibyśmy trudności z dotrzymaniem pola pojedynczemu plutonowi nieprzyjaciela". Pod Quang Tri komunistyczni inżynierowie ułożyli w czerwcu, kosztem ogromnego wysiłku, przeprawę pontonową złożoną z 42 elementów – tylko po to, by wkrótce przyglądać się jej spektakularnemu zniszczeniu podczas jednego z nalotów, który ponadto poczynił olbrzymie spustoszenia w ich jednostce artylerii przeciwlotniczej[70]. Inna brygada artylerii została dosłownie zdmuchnięta, zanim jeszcze dotarła na wyznaczone pole bitwy. Mimo to wciąż ponawiano kolejne natarcia piechoty, ale jak to ujął generał Phi Long: „pod koniec trwających tydzień walk nasze zasoby uległy całkowitemu wyczerpaniu. Liczebność każdego batalionu zmniejszyła się do zaledwie 30 albo 40 żołnierzy". Kilku wyższych rangą oficerów trzeba było zastąpić kimś innym, bo dosłownie padali z wycieńczenia, spowodowanego rozmaitymi przyczynami. Wietnamczykom z Północy przyszło właśnie odbierać brutalnie bolesną lekcję tego, że mimo pewnych ograniczeń w walce z partyzantką czy w zakresie niszczenia dróg zaopatrzenia w dżungli, lotnictwo było siłą prawdziwie niszczycielską przeciwko formacjom konwencjonalnego wojska, a już zwłaszcza przeciwko przemieszczającym się jednostkom pancernym. Wiele niepotrzebnych strat i trudności spowodowały także zaniedbania w zakresie logistyki, wbrew przestrogom Giapa, który

jednak wydawał się odgrywać w tej kampanii rolę czysto administracyjną i honorową, a nie operacyjną[71].

11 lipca doszło do natarcia Wietnamczyków z Południa, wspieranych przez helikoptery, które miało się stać pierwszym krokiem w długiej walce o odzyskanie Quang Tri. Kiedy pod jego naporem komuniści zaczęli się z wolna cofać, do pomocy w walce o utrzymanie miasta wysłany został doświadczony pułkownik An. Przybywszy na miejsce w ulewnym deszczu, natychmiast stwierdził, że większość kompanii piechoty wykazuje stan osobowy w wysokości co najwyżej 20 procent, a ocalali żołnierze są w złej formie fizycznej i psychicznej. Napisał on: „Nieprzyjaciel przypuszczał na nas uderzenie za uderzeniem i zaczynał już osiągać miażdżącą przewagę"[72]. An także opowiadał się za przerwaniem całej operacji, a wspierał go w tym jeszcze jeden starszy oficer, który powiedział: „Jest już jasne, że to wróg przejął inicjatywę (...). Wiem, że inni działacze w dywizji się ze mną zgadzają, ale każdy z nich boi się powiedzieć to na głos"[73].

An napisał: „Być może dlatego, że powiedzenie «Rewolucja wyłącznie atakuje» tak mocno wbiło się w naszą świadomość, każdy, kto tylko zasugerował przyjęcie jakiejkolwiek postawy defensywnej, z dużym prawdopodobieństwem narażał się na oskarżenia o «wyrażanie myśli negatywistycznych ideologicznie»"[74]. „Pora deszczowa przysparzała nam niezliczonych trudności. Okopy wciąż zalewała woda, a wraz z nią muł i błoto. Nawet kiedy już udawało nam się jako tako oczyścić bunkry, po kilku godzinach znów były one pełne wody (...). Niezależnie od tego, jak bardzo starał się personel transportowy, dostaw wciąż przychodziło za mało. Nasi żołnierze (...) byli głodni, zmarznięci, brudni i chorzy"[75].

Pham Hung z 308. Dywizji świętował swoje osiemnaste urodziny, przypadające 26 sierpnia, właśnie w Quang Tri, pod ciągłym ostrzałem artyleryjskim ARVN. Mimo to postanowił urządzić niewielką uroczystość, na którą chciał złowić parę ryb z pobliskiej sadzawki, przy zastosowaniu standardowej żołnierskiej techniki: podczas chwili ciszy i przerwy w walkach wyskoczył z okopu, podbiegł do sadzawki i posłał całą serię ze swojego AK-47 w stronę lustra wody. Potem pozostało mu już tylko pozbierać pływające brzuchami do góry martwe ryby,

a następnie z powrotem wskoczyć do okopu. Niestety, cała ta operacja zajęła mu odrobinę za dużo czasu, bo kiedy miał już schować się w bezpiecznej kryjówce, na miasto spadł deszcz amerykańskich bomb. Wybuch jednej z nich rzucił go oszołomionego na ziemię, gdzie leżał przez chwilę, snując na wpół świadome rozmyślania: „Ja tu umieram, i to wcale nie honorowo. Zamiast zostać bohaterem, ściskam w rękach parę martwych ryb. A w dodatku jeszcze nigdy nie kochałem się z dziewczyną”[76].

Mimo że czuł się fatalnie, po jakimś czasie Hung zrozumiał wreszcie, że wcale nie umiera, choć obficie krwawi. Próbował wołać o pomoc, ale nie słyszał żadnego odzewu na swoje wezwania. Wcześniej zginął już ratownik medyczny z ich kompanii, ale Hungowi w końcu udało się ściągnąć na siebie uwagę jego następcy, studenta weterynarii, który zabandażował mu rany na rękach i głowie. Dwóm innym żołnierzom polecono zanieść go do ambulatorium, ale kiedy nadeszła druga fala nalotów, obaj po prostu porzucili go bezceremonialnie na otwartej przestrzeni, a sami pobiegli szukać schronienia. A kiedy wrócili do niego po zakończeniu bombardowania, Hung powiedział tylko: „Lepiej sam się tam doczołgam. To mniej bolesne niż spadanie z waszych rąk”. A kiedy już dotarł do ambulatorium, wszyscy jego koledzy zaczęli mu gratulować wielkiego szczęścia: nie dość, że przeżył, to jeszcze mógł teraz wrócić do domu, a oni musieli dalej cierpieć męki w armii.

Hung uznał ich uwagi za niestosowne, zwłaszcza że wciąż obficie krwawił. Ale już tydzień po odniesieniu tych ran, razem z całą kolumną innych rannych, wyruszył w długą, powolną i bolesną wędrówkę powrotną do domu, rzecz jasna Szlakiem Ho Chi Minha: „Przedstawialiśmy sobą okropny widok, widok pokonanej armii. Idąc, śpiewaliśmy, ale były to same smutne piosenki. W tamtym momencie czuliśmy wszyscy, że ta wojna będzie się jeszcze ciągnąć i ciągnąć, a my nie mamy w niej żadnych szans na zwycięstwo. Po drodze wciąż spotykaliśmy grupy nowych rekrutów zdążających w przeciwnym kierunku i bardzo im współczuliśmy. Mówiliśmy jeden do drugiego: «Gdyby tylko te dzieciaki wiedziały, co ich tam czeka, z miejsca zawróciłyby i pobiegły z powrotem do domu»”.

Ale, co ciekawe, kiedy tylko ci pobici i mocno doświadczeni przez los ludzie przekroczyli granicę swojej ojczyzny, ich nastroje z miejsca się poprawiły. Po dojściu do rzeki Kien Giang któryś z nich wykrzyknął: „Tam, po drugiej stronie, urodził się Giap!". Hung powiedział: „Pomyśleliśmy sobie wtedy: «Dopóki jest z nami Giap, wciąż możemy wygrać». Poczuliśmy się wszyscy jak wyschnięte drzewo, które wreszcie podlano. Nagle i ja odniosłem wrażenie, że jednak możemy zatriumfować, a ja muszę tam wrócić i znów walczyć za mój kraj". Akurat w jego przypadku rany okazały się zbyt poważne, by dało się go ponownie wysłać na front, ale mimo to nie zrzucił on munduru jeszcze przez kolejne dwa lata, by w ten sposób uchronić przed powołaniem do służby wojskowej, w zastępstwie za siebie, swojego brata. Kiedy w końcu wyszedł z wojska w maju 1974 roku, poczuł gorycz z powodu całkowitego braku wdzięczności ze strony armii za wszystko, co przeszedł, walcząc w jej szeregach: mimo że doznał trwałego uszczerbku słuchu i miał problemy psychiczne, utrzymujące się jeszcze przez wiele lat, kazano mu zapłacić gotówką za kilka utraconych elementów żołnierskiego wyposażenia i nawet nie zaproponowano żadnego transportu, przez co musiał iść piechotą 15 kilometrów, by móc złapać najbliższy autobus do domu.

Pewien dowódca jednego z pułków artylerii Północy walczących na Południu przyznawał, że jesienią 1972 roku „nasi ludzie nie mieli już więcej sił". Bao Ninh stwierdzał z kolei, że morale w armii mocno podupadło: „Straty były nawet gorsze od tych z roku 1968"[77]. Tymczasem w Hanoi nauczycielka Do Thi Thu zalała się łzami, kiedy dowiedziała się, że trzech spośród byłych uczniów jej klasy zginęło pod Quang Tri. Rzecz jasna po drugiej stronie sprawy miały się zgoła odwrotnie: kiedy los wreszcie się do nich uśmiechnął, morale wśród żołnierzy ARVN na jakiś czas wyraźnie wzrosło. W swoim domu w Sajgonie pułkownik wojsk powietrznodesantowych Ly Van Quang spędzał całe noce, świętując ze znajomymi oficerami przy *ruou de* – wódce ryżowej – i wymieniając się z nimi doświadczeniami. Wszyscy zaśmiewali się, wspominając szalone pomysły komunistycznych dowódców czołgów pod An Loc. Jak to zapamiętał jeden z członków

rodziny pułkownika: „Oni byli z siebie tacy dumni: to był pierwszy raz, kiedy ARVN zrobiła coś naprawdę ważnego zupełnie samodzielnie”[78]. Wysoki rangą działacz komunistyczny Truong Nhu Tang przyznawał, że Wietnamczycy z Południa i ich amerykańscy sponsorzy raz jeszcze wyszli ze starć zwycięsko, „tak jak wcześniej podczas Tet, w Kambodży oraz w wielu innych zażartych walkach, w których mierzyli się z Wietkongiem i z głównymi siłami Wietnamu Północnego. Nasze straty były olbrzymie”[79]. Ale także i tym razem „cały paradoks polegał na tym, że mimo wszystkich tych zastrzeżeń owa wiosenna ofensywa okazała się naszym decydującym triumfem (...). USA i Wietnam Południowy przegrały już wówczas tę wojnę – podobnie jak przegrał ją Wietkong, tyle że my jeszcze wtedy tego nie wiedzieliśmy”[80]. Tangowi chodziło o to, że Wietnam Północny miał już wkrótce poddać wszystkich Wietnamczyków z Południa nowym opresjom, nie siląc się nawet na szukanie jakichkolwiek rozwiązań pośrednich.

Kissinger przestrzegał prezydenta Thieu, że musi odzyskać możliwie najwięcej utraconych terytoriów, zanim podpisany zostanie traktat pokojowy, ponieważ wszystko, co będą w tym momencie kontrolowali komuniści, z całą pewnością już przy nich pozostanie. Choć 16 września południowowietnamscy marines odnieśli znaczące, zwłaszcza prestiżowo, zwycięstwo, odbijając z rąk nieprzyjaciela cytadelę w Quang Tri, to po zażartych walkach o nią, w których zginęło albo odniosło rany 5 tysięcy żołnierzy, Wietnamczycy z Południa byli już zbyt wyczerpani, by pójść za ciosem i odzyskać także utracone bazy ogniowe wzdłuż Drogi nr 9 oraz bezpośrednio na południe od DMZ. Dong Ha, niegdyś jedna z najważniejszych amerykańskich baz, w ostatnich trzech latach wojny stało się portem, przez który komuniści transportowali zaopatrzenie z wybrzeża wzdłuż rzeki Cua Viet. Połowa terytorium czterech północnych prowincji Wietnamu Południowego – to jest jedna dziesiąta całego obszaru kraju – pozostała już na stałe pod dominacją komunistów, podobnie jak przygraniczne tereny na zachodzie, przylegające do Laosu i Kambodży.

W czasie kiedy żołnierze Thieu desperacko walczyli w kolejnych bitwach rozgrywających się w pierwszej połowie 1972 roku, do domu wróciło kolejnych 135 tysięcy Amerykanów, co oznaczało, że

w Wietnamie pozostawało ich już tylko 49 tysięcy. Pewien południowowietnamski oficer opisywał dziwne odczucia, z jakimi przejeżdżał obok opuszczonych koszar i obozów w Phu Bai, Dong Tam czy Qui Nhon albo omiatał wzrokiem wyrosłe przy nich slumsy, w których kiedyś tętniły życiem bary, nocne kluby i burdele, a teraz wszystkie te przybytki, nikomu już niepotrzebne, niszczały[81]. W Delcie Mekongu, na której obszar we wcześniejszej fazie wojny AWP nawet się nie zapuszczała, teraz Hanoi dysponowało już 8 tysiącami regularnego wojska. Jeden z amerykańskich doradców w My Tho stwierdził z niesmakiem: „Mieliśmy północnowietnamskich żołnierzy tuż pod naszymi nosami”[82]. Inny doradca, również stacjonujący w Delcie, w niewielkim mieście Vinh Kim, raportował stamtąd, że pięciuset komunistów właśnie splądrowało ich amerykański kompleks: „Stoją tam i walczą. My wzywamy wsparcie naszych B-52, a oni wciąż tam są. Ci ludzie nie zamierzają się cofać. To już jest naprawdę inna wojna niż ta, do której byliśmy w tych stronach przyzwyczajeni”[83]. Przy ciągłym zapotrzebowaniu na kolejnych żołnierzy, którzy mogliby walczyć w wielkich bitwach dalej na północy, rząd wycofywał swoje garnizony z takich lokalnych placówek, zostawiając tym samym całe okręgi na pastwę komunistów. I co ciekawe, komuniści ci wykazywali znacznie więcej wrażliwości w układaniu się z miejscową ludnością od żołnierzy Sajgonu, do tego stopnia, że miejscowi już wkrótce zaczęli im oferować żywność. A rosnący w siłę Wietkong przystępował do nowej fali politycznych zabójstw, popełnianych na wszystkich tych, którzy wcześniej współpracowali z reżimem w Sajgonie.

Szereg wielkich bitew, które rozegrały się w roku 1972, zakończył się ostatecznie taktycznym zwycięstwem Południa, odniesionym wszakże za cenę 11 tysięcy zabitych żołnierzy i około 50 tysięcy rannych. Większość z 300 Amerykanów zabitych w całym tamtym roku zginęła właśnie podczas wiosennej ofensywy Północy. Straty po jej stronie przekroczyły prawdopodobnie 100 tysięcy zabitych i rannych. Przepadła też ponad połowa wysłanych w bój sił pancernych – co najmniej 250 czołgów – i większość ciężkiej artylerii. Wreszcie w wyniku toczonych walk śmierć poniosło około 25 tysięcy cywilów, co stanowiło doprawdy porażającą liczbę „niezamierzonych strat”, nawet jak na standardy

ustanowione już wcześniej w Wietnamie. Chińczycy krytykowali jednak Hanoi za coś zupełnie innego, a mianowicie za przecenienie swoich sił. „Nasi wojskowi stwierdzili, że stracili oni Quang Tri tylko dlatego, że Le Duan wydał rozkaz zajęcia Hue" – powiedział ich wysoki rangą działacz.

Po stronie amerykańskiej znalazło się jak zwykle kilku zawodowych optymistów, takich jak Creighton Abrams, którzy głośno cieszyli się z wielkiego zwycięstwa odniesionego przez Wietnam Południowy: „Przy w s z y s t k i c h tych niepowodzeniach, które zdarzały się wcześniej, a p o z a t y m przy wszystkich tych niewłaściwych przykładach, które zdarzały się wcześniej (...), nigdy nie dotarlibyśmy tu, gdzie teraz jesteśmy (...), gdyby pewna liczba [żołnierzy] (...) nie postanowiła stanąć i walczyć"[84]. Później zaś generał dodał jeszcze: „Na Boga, Wietnamczycy z Południa też potrafią nieźle rąbać!"[85]. Niewielu innych Amerykanów podzielało jednak ten entuzjazm. Merle Pribbenow z CIA, wówczas stacjonujący w Sajgonie, powiedział: „Jedno stało się całkiem jasne: bez zmasowanego wsparcia powietrznego ze strony USA ten kraj już by upadł"[86]. Większość jego co bardziej przytomnych rodaków zgadzała się z taką oceną sytuacji, a mimo to wielu członków Kongresu bezustannie wzywało do przykręcenia śruby w finansowaniu operacji lotniczych.

Północnowietnamskie politbiuro też miało swoje powody do zadowolenia z wyniku całej kampanii. Siły zbrojne Sajgonu po raz ostatni postawiły wtedy poważny opór najeźdźcom: wycieńczeni moralnie żołnierze okazali się już później w większości niezdolni do czegokolwiek więcej poza markowaniem walki. Major David Johnson był jednym z licznych amerykańskich doradców, którym doświadczenia z roku 1972 również nie posłużyły zbyt dobrze: „Starałem się wykonywać moje obowiązki, ale nie wkładałem w to już serca"[87]. A w miarę jak kolejni odjeżdżający Amerykanie kierowali się w stronę baz lotniczych, z których miał nastąpić ich wylot, zostawiali po sobie coraz większe połacie kraju przypominające jeden wielki śmietnik, wypełniony popsutymi albo zużytymi dobrami konsumpcyjnymi i sprzętem wojskowym. Mimo całej rzeki dolarów i mimo wielkiego wysiłku wojennego władcy Wietnamu Południowego i ich mocodawcy nigdy tak naprawdę nie zdołali sobie zapewnić trzech niezbędnych do rządzenia

elementów: poczucia godności, szacunku dla samych siebie i choćby minimalnej dozy współczucia wobec własnych obywateli, co dałoby im sympatię i jaki taki posłuch wśród nich. A bez tych trzech elementów jakiekolwiek sukcesy na polu bitwy nie na wiele się już zdawały.

25
Wielkie, brzydkie, grube ptaki

1. „TO ABSOLUTNIE I CAŁKOWICIE ZMIECIE MCGOVERNA”

Henry Kissinger uzyskał już niemal status supergwiazdy po tym, jak włączył się w negocjacje porozumienia, które miało wreszcie umożliwić jego krajowi wyplątanie się z wietnamskiego grzęzawiska. W październiku 1972 roku zarówno społeczeństwo amerykańskie, jak i sam doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego doszli do przekonania, że to właśnie jego błyskotliwe umiejętności dyplomatyczne doprowadziły wreszcie do przełomu w rozmowach toczonych w Paryżu. Prawda jest jednak taka, że Stany Zjednoczone po prostu zgodziły się wreszcie na spełnienie jedynego warunku, na którym tak naprawdę zależało Wietnamowi Północnemu, to jest wycofanie z Południa własnych żołnierzy przy pozostawieniu tam wojsk Północy. Niemal wszystkie inne zapisy ostatecznie podpisanych porozumień paryskich brzmiały w taki sposób, że żadna ze stron nie spodziewała się w zasadzie ich przestrzegania. Jedynym ustępstwem ze strony komunistów, pozwalającym Waszyngtonowi zachować twarz i zgodzić się na pozostałe warunki, było odstąpienie przez Hanoi od powtarzanego wcześniej z uporem żądania, by prezydent Nguyen Van Thieu przestał być przywódcą Wietnamu Południowego.

W grę wchodziły tutaj dwa kluczowe czynniki. Już pod koniec lata Wietnamczycy z Północy zorientowali się, że reelekcja Nixona jest w zasadzie przesądzona. Po pierwsze, oznaczało to nie tylko tyle, że gasła nadzieja na możliwość negocjowania w przyszłości z jakimś innym, bardziej skłonnym do ustępstw amerykańskim rządem, ale

także i to, iż po zakończeniu głosowania nawet aktualna administracja mogłaby raptownie utwardzić swoje dotychczasowe stanowisko. Po drugie zaś, Hanoi dokonało pewnej pragmatycznej kalkulacji, z której wynikało, że pozbycie się Amerykanów stanowiło w zasadzie jedyny liczący się w negocjacjach cel: po tym, jak już „imperialiści" opuszczą Indochiny, uporanie się z ich klientami w Sajgonie i tak nie przedstawiałoby specjalnie trudnego problemu ani też nie zabrałoby zbyt dużo czasu. To przekonanie podzielał zresztą sam rząd Wietnamu Południowego.

Ówczesne rozmowy na temat Wietnamu prowadzone w Białym Domu między Nixonem a Kissingerem zachowały się dla potomności w najmniejszych szczegółach, ponieważ po raz pierwszy w historii nagrywano je wszystkie na taśmie magnetofonowej. Obaj ci politycy nie żywili już wówczas zbyt wielu złudzeń co do podejmowanych przez siebie działań, choć jednocześnie robili wszystko, by naród amerykański wciąż jeszcze je zachowywał. Kissinger twierdził, że postrzega zwrot Hanoi w sprawie Thieu jako swój sukces dyplomatyczny, ponieważ umożliwiał on osiągnięcie pożądanej przez Biały Dom „przyzwoitej przerwy". Powiedział on Nixonowi 3 sierpnia: „Jeśli za rok czy dwa od dziś Wietnam Północy połknie ostatecznie Wietnam Południowy, to my jesteśmy kryci, bo możemy z całą mocą twierdzić, że stało się tak wskutek niekompetencji samych Wietnamczyków z Południa. Ale gdybyśmy sprzedali ich tak od razu, powiedzmy, że w ciągu trzech albo czterech miesięcy, to wyglądałoby na to, że sami zepchnęliśmy prezydenta Thieu w przepaść"[1]. Kissinger podejrzewał, że nawet Chińczycy byliby wówczas zażenowani takim pokazem amerykańskiej nieudolności i cynizmu. Tak czy inaczej, w dalszych negocjacjach wszystko podporządkowane było odsuwaniu ich rezultatów w czasie, tak by można je było sprzedać opinii publicznej jako wynik pewnych nieuchronnych procesów, a nie rezultat własnych decyzji i zaniechań.

W Paryżu w dniach 26–27 września Le Duc Tho i Kissinger byli już bardzo blisko ostatecznego spisania wynegocjowanych wcześniej uzgodnień w sprawie formuły trójstronnej „komisji wyborczej" oraz „Komisji Zgody Narodowej", mających odtąd funkcjonować w Wietnamie Południowym – obie one odzwierciedlały wielokrotnie

formułowane przez Północ żądanie stworzenia trójpartyjnego rządu koalicyjnego. A 29 września Kissinger tak oto wyjaśniał sens tych ustaleń Nixonowi: „Widzi pan, panie prezydencie, to wszystko pic na wodę, bo w praktyce jedyną konsekwencją naszej propozycji będzie zawieszenie ognia. Tam nigdy nie dojdzie do żadnych wyborów". „Ale w takim razie – spytał Nixon – co będzie dalej? Rozumiem, że... oni po prostu znowu zaczną ze sobą walczyć, tak? Tyle że nas już tam nie będzie". „Właśnie" – potwierdził Kissinger[2].

W kolejnych dniach Nixon okazywał raz na jakiś czas moralne naciski wobec Północy – być może podświadomie odczuwał coś w rodzaju poczucia winy w związku z planowanym porzuceniem dotychczasowego sojusznika na Południu, czego szczegóły dopracowywał właśnie jego emisariusz. Rozważał na przykład wznowienie intensywnej kampanii bombowej: „Postanowiłem, że nie będę tak po prostu sobie siedział i przyglądał się biernie, podczas gdy 55 tysięcy Amerykanów zginęło na próżno". Ale już rankiem 6 października sytuacja się zmieniła: Kissinger poważnym tonem poinformował swojego zwierzchnika o nowym rozwoju wypadków. Zamierzał oto osobiście lecieć do Paryża, gdzie Le Duc Tho miał mu przedstawić całą listę własnych propozycji, z zawieszeniem ognia przy zachowaniu istniejącego stanu posiadania i przy uwzględnieniu innych mało istotnych warunków, uzgodnionych już poprzednio. Czy wobec tego prezydent życzyłby sobie, by jego emisariusz spojrzał na te propozycje łaskawym okiem? Podczas długiej i trudnej rozmowy, która wywiązała się w następstwie tego zagajenia, Nixon zaczął mięknąć. Wyrażał obawy o to, że na niecały miesiąc przed dniem wyborów w Stanach Zjednoczonych prezydent Wietnamu Południowego mógłby wystąpić publicznie i przedstawić to porozumienie jako zdradę ze strony amerykańskiego sojusznika.

Kissinger w pełni podzielał obawy Nixona: „Thieu rozumuje całkiem słusznie, że uzgodnione przez nas warunki prędzej czy później go zniszczą"[3]. Obaj politycy wdali się wówczas w dyskusję o możliwości zaaranżowania przewrotu w Sajgonie w celu zmiany rządu Wietnamu Południowego. Ostatecznie jednak odrzucili tę opcję, dochodząc do wniosku, że to właśnie Thieu powinien do końca przewodzić niemal

pewnemu upadkowi swojego kraju w najbliższej przyszłości. Kissingerowi udało się uśmierzyć część obaw prezydenta poprzez złożenie mu obietnicy, że uzyska od komunistów zapewnienie o wycofaniu się z Laosu i Kambodży, a także o porzuceniu Szlaku Ho Chi Minha. Nixon odparł na to: „Takie zapewnienie zawsze warto mieć. Ale nie przywiązywałbym do niego zbytniej wagi. Oni i tak nigdy się nie wycofają". „Pewnie nie – zgodził się Kissinger – ale będę to miał na piśmie"[4]. Następnie zaczął uspokajać swojego pracodawcę, stawiając mu za przykład de Gaulle'a, który wyprowadził Francuzów z Algierii w roku 1962, a potem „wszyscy uznali go za wielkiego człowieka". Na koniec Kissinger poinformował prezydenta, że Hanoi wyraziło życzenie, by przyszły układ pokojowy podpisali ministrowie spraw zagranicznych poszczególnych krajów, i dodał: „Ja nie chcę podpisywać tego cholerstwa. Pan powinien je podpisać", na co Nixon odburknął: „Nie sądzę, że powinniśmy przydawać mu znaczenia moim podpisem"[5]. W rezultacie tej rozmowy prezydent Stanów Zjednoczonych upoważnił Kissingera do przyjęcia propozycji Le Duc Tho.

Richard Nixon, Henry Kissinger (pierwszy od lewej) i gen. Alexander Haig w Camp David, 1972 rok

O godzinie 4.00 po południu 8 października 1972 roku w dobrze już wszystkim znanej willi w Gif-sur-Yvette na obrzeżach Paryża Le Duc Tho otworzył swoją zieloną teczkę i wyciągnął z niej listę warunków Północy. Jego propozycje były zgodne z oczekiwaniami, ale przede wszystkim okazały się do przełknięcia dla Kissingera, którego próg wytrzymałości ustawiony był już wówczas bardzo, ale to bardzo wysoko, a zasadzały się głównie na zwolnieniu jeńców wojennych i wprowadzeniu zawieszenia broni dla obu stron, z zachowaniem ich aktualnego położenia, w zamian za całkowite wycofanie się Amerykanów. Hanoi nalegało ponadto na zapis o równowadze w uzbrojeniu – gdyby Amerykanie mieli w dalszym ciągu dozbrajać ARVN, wówczas Północ rezerwowała sobie prawo do postępowania w taki sam sposób wobec swoich własnych sił na Południu, przy zachowaniu „ścisłego poszanowania" dla suwerenności Laosu i Kambodży. Jedna z propozycji komunistów zakładała też, że Stany

Zjednoczone winny wypłacić Wietnamowi Północnemu reparacje za dokonane przez nie zniszczenia wojenne.

Kissinger wyszedł z tej sesji negocjacji w nastroju niemal euforycznym, który jednak szybko zepsuł mu John Negroponte z Departamentu Stanu, przewidując, że porozumienie w takim kształcie wzbudzi wściekłość w Sajgonie. Kissinger zaczął się wręcz na niego wydzierać: „Ty nic nie rozumiesz! Ja chcę wyjść im naprzeciw (...). Chcę zakończyć tę wojnę jeszcze przed wyborami”[6]. A już 12 października doradca powrócił do Waszyngtonu wielce podekscytowany: komuniści byli w zasadzie gotowi złożyć swój podpis, a do dnia głosowania pozostawał jeszcze prawie miesiąc. Nixon usłyszał od niego: „Panie prezydencie, ten układ, który mamy na stole, jest znacznie lepszy od czegokolwiek, co mogliśmy sobie wymarzyć. Moim zdaniem to absolutnie i całkowicie zmiecie McGoverna”[7].

Nixon miał naprawdę dużo szczęścia, że jego oponentem z ramienia Partii Demokratycznej w wyborach z roku 1972 został senator George McGovern z Dakoty Południowej, jeden z najmniej wyrazistych kandydatów do urzędu prezydenta w całej współczesnej historii. Gdyby bowiem zamiast tego nominatowi republikańskiemu przyszło zmierzyć się z senatorem Edwardem Kennedym, którego reputacja mocno ucierpiała w wyniku incydentu Chappaquiddick[10*], to zapewne choć i tak odniósłby zwycięstwo, ale jego polityka wietnamska zostałaby niewątpliwie poddana znacznie ostrzejszej analizie. Kennedy już od dawna krytykował wietnamizację, przedstawiając ją jako jedną wielką farsę, mającą przykryć zamiar dobicia z komunistami jakiegoś targu w przeddzień amerykańskich wyborów. Miał pod tym względem całkowitą rację: w prywatnych rozmowach toczonych w obrębie administracji skupiano się już wyłącznie na długości trwania owej „przyzwoitej przerwy” przed przejęciem Sajgonu przez komunistów, tak by była ona akceptowalna politycznie. Sam Kissinger uważał, że powinno wystarczyć jakieś osiemnaście miesięcy; jak powiedział Nixonowi jeszcze w sierpniu: „Jeśli datą tą będzie, powiedzmy, październik, to do stycznia ’74 roku wszyscy już przestaną się tym w ogóle interesować”.

Podczas omawiania z Nixonem kształtu przyszłego porozumienia Kissinger odniósł się też do propozycji wypłaty Północy reparacji, określając je mianem „naszej najlepszej gwarancji na to, że oni będą przestrzegali tego porozumienia". Całkowity budżet Stanów Zjednoczonych na pomoc dla zagranicy wynosił wówczas niecałe 2 miliardy dolarów, co nie przeszkodziło prezydentowi zawyrokować hojnie: „Dajmy im 10 miliardów"[8]. Podczas lunchu z Haldemanem i Haigiem Nixon z równą rozrzutnością nakazał też zaserwowanie wszystkim obecnym wina Château Lafite Rothschild rocznik 1957. Był to z jego strony naprawdę niezwykły gest: zwykle prezydent dbał bowiem o to, by najlepsze roczniki trzymane w Białym Domu trafiały wyłącznie do jego kieliszka, podczas gdy jego podwładnym serwowano zwykłe czerwone wino z Kalifornii. Z dużą starannością Nixon wysmażył też na piśmie instrukcję dla Kissingera, w której zalecał, by sam fakt zbliżających się wyborów nie miał żadnego wpływu na późniejsze rozmowy czy działania toczone z udziałem przedstawicieli zarówno Wietnamu Północnego, jak i Południowego. Dokument taki niewątpliwie stawiałby go w dobrym świetle w oczach historyków, gdyby nie pewien mały szkopuł, a mianowicie fakt jego całkowitej niezgodności z powszechną wówczas w Białym Domu pragmatyką.

Tymczasem 17 października w Paryżu doszło do pierwszych nieporozumień z Wietnamczykami z Północy w kwestii wymiany jeńców: oprócz wypuszczenia przez obie strony wziętych do niewoli podczas działań wojennych żołnierzy Le Duc Tho domagał się również zwolnienia przez Sajgon około 30 tysięcy cywilów, podejrzewanych o działalność komunistyczną. Kissinger ostrzegał, że tego rodzaju wymóg będzie z dużym prawdopodobieństwem nie do przyjęcia dla Thieu, którego i tak doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego musiał jeszcze jakoś przekonać do podpisania się pod dotychczas już przyjętymi ustaleniami, mimo że Wietnamczyków z Południa nie dopuszczono nawet do ich negocjowania, a miały one przecież przesądzić o przyszłych losach ich właśnie obleganego kraju. Nixon zdawał sobie sprawę z ogromu tego wyzwania i nie przypadkiem doradzał Kissingerowi: „Najkrócej mówiąc, musisz go z całą brutalnością przyprzeć do muru"[9]. Prezydenckiemu emisariuszowi

przybywającemu do Sajgonu zgotowano prawdziwie lodowate przyjęcie: służby wywiadowcze Thieu zdążyły mu już donieść o nieuchronnym porozumieniu, którego ostatnie szczegóły dogadywano właśnie w Paryżu, na długo przed tym, jak sami Amerykanie uznali, że pora już o nim powiedzieć swoim „sojusznikom". Kapitan Phan Tan Nguu, oficer służb specjalnych, przedstawił nawet formalny raport, oparty na informacjach pozyskanych od zaufanego podwójnego agenta w szeregach komunistycznych, znanego jako „źródło Tay Ninh", w którym stwierdzał, że tamtejsi działacze zgadzali się, iż do porozumienia dojdzie już wkrótce, a sam Thieu nie łudził się nawet, że jego wydźwięk będzie pozytywny dla jego władzy[10].

Mimo to Kissinger zapewniał prezydenta, że wojska komunistyczne będą stopniowo opuszczały jego kraj: „Nasi wojskowi oceniają, że obecne siły północnowietnamskie są mocno osłabione i bez znaczących wzmocnień prędzej czy później będą musiały zostać wycofane"[11]. Ponadto obiecał deszcz nowych dostaw amerykańskiego uzbrojenia, dzięki któremu Wietnam Południowy mógłby wzmocnić swoją obronę jeszcze przed podpisaniem traktatu. Warto tu zauważyć, że już od roku Kissinger bezustannie zapewniał komunistów, iż w przypadku uzyskania „przyzwoitej przerwy" Stany Zjednoczone nie będą więcej interweniować na Południu, po ostatecznym podpisaniu porozumienia i po wycofaniu stamtąd ostatnich resztek amerykańskich wojsk. A tymczasem, by uzyskać akceptację Thieu dla traktatu pokojowego, zaoferował mu obietnicę całkowicie sprzeczną z tamtymi zapewnieniami, a mianowicie podjęcie natychmiastowych działań militarnych w przypadku, gdyby Hanoi naruszyło jego warunki: „Nie wyobrażam sobie, by prezydent Nixon przyglądał się obojętnie, w razie gdyby Wietnam Północny znowu [was] zaatakował".

W celu ułatwienia doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego przekonania Thieu, że Amerykanie zamierzają dotrzymać danego mu słowa, dołączył doń Creighton Abrams, świeżo zaprzysiężony na szefa sztabu wojsk lądowych. Kissinger raz po raz powtarzał Wietnamczykom: „Musicie mi zaufać", aż wreszcie zirytowany prezydent odparł, że nie widzi żadnych powodów, by miał to uczynić. Amerykanin zapewniał też kłamliwie, że nie dysponuje jeszcze wersją

projektu porozumienia w języku wietnamskim, podczas gdy na biurko Thieu trafiło już streszczenie całego tego dokumentu w jego ojczystym języku, rozsyłane przez komunistów do swoich działaczy niższego szczebla, a dostarczone przez wspomniane już „źródło Tay Ninh”[12].

Podczas spotkania 21 października minister spraw zagranicznych w rządzie Thieu zaprezentował listę 23 żądań dotyczących różnego rodzaju zmian w tekście zapisów proponowanych w projekcie porozumienia paryskiego, z których najważniejsze było żądanie wycofania wszystkich wojsk Północy z terytorium Południa. Kissinger skomentował je następująco: „Moim zdaniem nie ma żadnej szansy na przekonanie ich, by się na to zgodzili”[13]. Nixon przesłał z Waszyngtonu depeszę, w której polecał Kissingerowi naciskać na Thieu aż do osiągnięcia jego zgody, ale w taki sposób, by nie „zmusić go do publicznego zerwania z nami przed 7 listopada”. Następnego ranka, to jest 22 października, Kissinger przeszedł więc od obietnic do gróźb i pochlebstw, po czym wsiadł do samolotu, by odbyć krótką wizytę w Phnom Penh, gdzie miał poinformować o rozwoju sytuacji prezydenta Kambodży, Lon Nola.

Po powrocie amerykańskiego emisariusza do Sajgonu, co nastąpiło późnym popołudniem tego samego dnia, Thieu powiedział mu, że uznaje całe to porozumienie za jedno wielkie oszustwo. Jak twierdził, proponowana w nim komisja wyborcza była za strony komunistów jedynie przykrywką dla wprowadzenia rządu koalicyjnego: „Stany Zjednoczone porozumiały się właśnie z Sowietami i z Chinami. Więc jeśli teraz pozwolicie na obecność Wietnamczyków z Północy u nas, wówczas Wietnamczycy z Południa uznają, że zostali zdradzeni przez USA, a Wietnam Północny wygrał tę wojnę”. Kilkakrotnie w ciągu tego spotkania prezydent ronił łzy. Niewzruszony Kissinger ripostował zaś: „Głęboko ubolewam nad pańską sugestią, że działamy w porozumieniu z Sowietami i Chińczykami”. Pośród obiekcji zgłaszanych przez Thieu warto wymienić choćby tę, że uznając rozmaite zdobycze terytorialne Północy na obszarze całego Wietnamu Południowego, Stany Zjednoczone zgadzają się tym samym na powstanie licznych komunistycznych enklaw, swoistych „lamparcich cętek”, co tylko nasili wszechobecny chaos i utrudni ułożenie spraw w przyszłości. Prezydent

zauważał też, że w planowanej komisji wyborczej komuniści i antykomuniści mieli otrzymać dokładnie taki sam status. Kissinger wysłał do Białego Domu wiadomość, w której przestrzegał, że upór Thieu może doprowadzić do nowego kryzysu. Zadepeszował ponadto do Hanoi, by wyrazić swoje oburzenie z powodu udzielonego przez premiera Pham Van Donga dziennikarzowi „Newsweeka" wywiadu, w którym wyjawił on większość uzgodnionych warunków, pogarszając tym samym dodatkowo już i tak gorączkowe nastroje panujące w Sajgonie.

Po powrocie do Waszyngtonu Kissinger jeszcze energiczniej zabrał się do dalszego „działania w porozumieniu": jego pierwszą czynnością było zatelefonowanie do sowieckiego ambasadora Dobrynina, by poprosić Rosjan o wyjaśnienie Hanoi, że na dwa tygodnie przed wyborami w Ameryce administracja musi zachowywać się i wypowiadać publicznie w taki sposób, by unikać otwartego zerwania z Sajgonem. Ponadto zasugerował, by Wietnam Północny dokonał jakiegoś symbolicznego wycofania części swoich żołnierzy z Południa, wyjaśniając ambasadorowi: „[Hanoi] myśli być może, że celowo odwlekamy [porozumienie] do 7 listopada, tak by potem móc ich znowu zbombardować albo coś w tym stylu. Przekazuję panu uroczyste zapewnienie prezydenta, że tak nie jest"[14]. Mniej więcej w tym samym czasie, w którym Kissinger przeprowadzał tę rozmowę, po drugiej stronie korytarza, to jest w Gabinecie Owalnym, Nixon tłumaczył właśnie Alexandrowi Haigowi: „Jak tylko będzie po wyborach, zrzucimy im na głowy całe tony bomb. Rzecz jasna nie powiem tego Henry'emu, ale tak właśnie wtedy zrobimy".

Wszyscy czołowi gracze polityczni w Białym Domu bardzo starali się teraz przekonywać siebie nawzajem, że zdrada Sajgonu nie była tak naprawdę żadną zdradą, ponieważ tamtejszy reżim nigdy na dobrą sprawę nie był prawdziwym rządem. Haig powiedział prezydentowi: „Jeśli [Thieu] nie potrafi sobie poradzić, mając do dyspozycji milion żołnierzy i cały ten sprzęt, to, do jasnej cholery, najwyraźniej nie jest wart ratowania". Kissinger z kolei wyjaśniał Nixonowi: „Panie prezydencie, doszedłem do niewesołego przekonania, a przychodzi mi to powiedzieć z dużą trudnością, że cały system Wietnamu

Południowego uzależnił się już od wojny, za którą my płacimy, wobec czego ci ludzie nie są w stanie sobie wyobrazić funkcjonowania w warunkach pokoju. A tym, czego się najbardziej obawiają, nie są wcale komuniści. Oni są najbardziej przerażeni, tak – przerażeni, pokojem”[15].

Kiedy Nixon i Kissinger dyskutowali o niebezpieczeństwie zbyt wczesnego, a nawet raptownego załamania się reżimu w Sajgonie, doradca powiedział: „Sądzę, że nasz honor pozostaje niezagrożony – jest bezpieczny. Oni nie upadną aż tak szybko”. 24 października oznajmił zaś chińskiemu ambasadorowi, z charakterystyczną dla siebie dowcipną autoironią: „Wreszcie udało mi się osiągnąć jedność wśród Wietnamczyków z Północy i z Południa – i jedni, i drudzy mnie nie znoszą”. A kiedy człowiek Mao czekał na swój samochód, zdążył jeszcze zapytać asystenta Kissingera, czy istnieje jakaś szansa na to, że porozumienie zostanie podpisane przed dniem wyborów. W odpowiedzi usłyszał, że ewentualna zwłoka działa tak naprawdę na korzyść komunistów: gdyby bowiem jeszcze przed 7 listopada miało dojść do jakiegoś publicznego rozdźwięku między Waszyngtonem a Sajgonem, wówczas prezydent byłby zmuszony wziąć jego stronę, a przeciwstawić się Hanoi; już po głosowaniu z kolei postąpiłby dokładnie odwrotnie[16]. Administracja dawała jasno do zrozumienia zarówno Moskwie, jak i Pekinowi, że prywatnie nikt nawet nie oczekuje od Wietnamczyków z Północy honorowania warunków porozumienia: chodziło już wyłącznie o uzyskanie ich podpisów na oficjalnych dokumentach.

Bez wątpienia liczni politycy w wielu krajach świata prowadzili już nieraz rozmowy o kwestiach wagi państwowej podobne do tych toczonych między Nixonem a Kissingerem. Tyle że nigdy wcześniej rozmów takich nie nagrywano, co tu bez reszty obnażyło cynizm prezentowany przez obu rozmówców. Tak naprawdę jedyne zasadne pytanie, jakie winna sobie stawiać potomność, brzmi jednak: czy mieli oni w ogóle jakiś inny rozsądny wybór? Ta wojna niemal z całą pewnością przestała być możliwa do wygrania na długo przed tym, jak do Białego Domu wprowadził się Nixon. Prezydent Thieu i jego współpracownicy nie zrobili zbyt wiele w interesie społeczeństwa,

któremu przewodzili, a fakt, że komuniści zrobili dla niego jeszcze mniej, miały obnażyć dopiero przyszłe doświadczenia. Przewinienie Nixona, a także Kissingera, będącego narzędziem w jego ręku, jeśli w ogóle dopatrywać się tu jakiejkolwiek ich winy, polegało zasadniczo na tym, że poświęcili oni 21 tysięcy amerykańskich żołnierzy i nieporównanie więcej Wietnamczyków w długim korowodzie manewrów wojskowych i dyplomatycznych, nie tyle mających przynieść jakieś wymierne korzyści ludziom w Indochinach, czy to na Południu, czy na Północy, ile służyć interesom samego prezydenta w polityce wewnętrznej.

W pewnym stopniu za współwinnych można uznać samych amerykańskich wyborców: nawet w ostatnich latach tej wojny spora część elektoratu wciąż oczekiwała takiego jej rezultatu, który nie ukaże w sposób jawny i oczywisty niespełnienia ich narodowych oczekiwań. Nixon i Kissinger starali się jedynie schlebiać tym uczuciom, tyle że nie czynili tego, dążąc do rozwiązania sedna problemu, lecz wybrali metodę swoistego teatrzyku kukiełkowego, w którym dekoracje sceniczne miały być na tyle przekonujące, by pozwolić im odgrywać swoje przedstawienie przez stosunkowo krótki czas – tuż przed wyborami z roku 1972 i bezpośrednio po nich. Ich umiejętności taktyczne niezbędne do wywołania pożądanego rezultatu niewątpliwie zasługują na sporą dozę szacunku, choć to samo trudno jest już powiedzieć o ich kwalifikacjach moralnych. Kissinger udowodnił przy tym, że nie miał sobie równych w sztuce *realpolitik,* którą tak wysoko cenił. 23 października powiedział on Thieu w rozmowie w cztery oczy: „Stany Zjednoczone nigdy nie poświęcą swojego zaufanego przyjaciela". A wróciwszy do Waszyngtonu, już dwa dni później stwierdził w rozmowie z sekretarzem handlu, Petem Petersonem: „Mam tylko jedno pragnienie – napuścić jednych Wietnamczyków na drugich i mieć nadzieję, że jak najwięcej z nich pozabija się nawzajem".

26 października Wietnamczycy z Północy ujawnili światu warunki proponowanego układu pokojowego wraz z żądaniem, by Amerykanie podpisali go do dnia 31 października, jak to wcześniej ustalili w dyskusjach Le Duc Tho i Kissinger. To oświadczenie Hanoi wywołało w Stanach Zjednoczonych prawdziwą sensację i skłoniło Nixona do

namówienia Kissingera, by wystąpił po raz pierwszy w telewizji – a już w niedługim czasie miał się on stać prawdziwą gwiazdą programów informacyjnych, mimo że do tamtej pory właściwie w ogóle nie wypowiadał się publicznie. Podczas owego debiutu widać było brak doświadczenia prezydenckiego doradcy, ale jeszcze mocniej objawiły się jego autorytet, dowcip, pozorna szczerość i apolityczny status. „Panie i panowie – zagaił do tłumu dziennikarzy zgromadzonych na konferencji prasowej w Białym Domu – stało się oczywiste, że wojna, która toczyła się od dziesięciu lat, wreszcie zmierza do zakończenia".

W dalszej części oznajmił on, że Hanoi odstąpiło od swojego wcześniejszego żądania utworzenia rządu koalicyjnego na Południu, z kolei sam Sajgon podniósł kilka kwestii, których podniesienia można się było po nim spodziewać. Telewizja ABC nadała materiałowi z tej konferencji wielce wymowny tytuł *Pokój jest na wyciągnięcie ręki*. Dwa tygodnie przed dniem głosowania Kissinger mógł już zapewnić Nixona o spodziewanym triumfie wyborczym. Prezydent zagadnął go w wieczornej rozmowie telefonicznej: „A zatem wszyscy sądzą, że przynosisz im pokój?". „Aha". „Skoro tak myślą, to niech tak zostanie. Niech dalej tak myślą". Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego zbierał teraz pochwały ze wszystkich stron sceny politycznej. Senator James Buckley, brat Williama F. Buckleya, zadzwonił z gratulacjami, a przy okazji chciał upewnić się co do dalszego przebiegu zdarzeń: „Czy mogę założyć, że wynegocjowane warunki nie doprowadzą do utraty gruntu pod nogami przez żaden rząd?". „Absolutnie, całkowicie, na 100 procent". „To świetnie". James Reston z dziennika „New York Times" powiedział z kolei: „Twój kraj ma wobec ciebie wielki dług, Henry". Za to demokratyczny kandydat George McGovern nie omieszkał skorzystać z okazji, by popełnić kolejny z długiego katalogu błędów w tej kampanii, skrytykował bowiem Nixona za uparte trwanie aż do samego końca przy prezydencie Thieu, jak gdyby w ogóle nie dostrzegał faktu, że jego oponent w tym właśnie momencie solidnie grillował południowowietnamskiego przywódcę, by można go było wkrótce podać jako danie główne na wystawnej kolacji wydanej na cześć komunistów.

Sajgon jeszcze przez kilka dni starał się robić wszystko, by uniknąć otwartego konfliktu z Waszyngtonem: Thieu wyrażał się jedynie ogólnikowo, że Południe nigdy nie zaakceptowałoby porozumienia, które działałoby przeciwko interesom jego obywateli, ale nie dodawał już, że układ proponowany przez Kissingera ma właśnie taki charakter. Następnego dnia oświadczył on przed Zgromadzeniem Narodowym, że wśród jego „minimalnych żądań" znajduje się wycofanie północnowietnamskich wojsk, po którym to wystąpieniu „New York Times" oskarżył Thieu o upór i obstrukcję. 27 października „Los Angeles Times" wydrukował artykuł z nagłówkiem *USA nalegają na Hanoi, by wycofało wojska: domagają się podjęcia działań i ściągnięcia 145 tysięcy żołnierzy przed podpisaniem*. Nie było w tym zbyt wiele prawdy, za to artykuł ten w wydatnym stopniu przysłużył się wzmocnieniu reputacji Kissingera jako twardego negocjatora, a przy okazji na jakiś czas odsunął na dalszy plan ważne doniesienia w rozkręcającej się właśnie aferze Watergate, to jest raporty o nieprawidłowościach popełnianych przez wysokich rangą członków sztabu wyborczego Nixona.

Niemal wszystkie ówczesne komentarze w amerykańskich mediach odzwierciedlały powszechnie odczuwaną rozpaczliwą potrzebę przedstawiania doktora Henry'ego Kissingera jako dostarczyciela dobrych wieści dla całego narodu. Tęsknota niemal wszystkich Amerykanów, niezależnie od afiliacji politycznych, za wyplątaniem się z Wietnamu w połączeniu z naiwnym przekonaniem, że możliwe jest osiągnięcie jakiegoś honorowego rozwiązania pokojowego, okazały się tak dominujące, że całkowicie przyćmiły zgłaszane przez mniejszość obiekcje co do dalszego losu Thieu i rządzonych przezeń ludzi. Wielu po prostu zakładało, że życie bez bomb, pocisków i napalmu tak czy owak będzie tam wyglądało lepiej niż w przypadku trwania wojny. Wydaje się, że nie powinniśmy z miejsca odrzucać tego rodzaju założeń jako nieuprawnionych.

Kissinger sprzeciwiał się wcześniej dalszemu prowadzeniu ataków powietrznych na Północ, również po dniu wyborów. W ich przededniu jednak, sfrustrowany zarówno nieprzejednaniem Sajgonu, jak i pogardliwymi zniewagami ze strony Hanoi, zaczął się powoli skłaniać ku takiemu właśnie rozwiązaniu. 31 października powiedział Nixonowi:

„Sądzę, że powinniśmy zacząć wysyłać nasze B-52 dalej na północ". Prezydent ochoczo się z nim zgodził: „Absolutnie". Kissinger kontynuował: „Ponieważ to jedyne, co [rozumieją?] te sukinsyny (...). A jeśli po tygodniu nic nie odpowiedzą, powinniśmy znów zacząć ich bombardować". Następnego dnia Thieu wprost określił projekt porozumienia jako „kapitulację wobec komunistów". George McGovern zaatakował zarówno Nixona, jak i Wietnamczyków z Południa za to, że wciąż nie podpisali układu pokojowego: oskarżył nawet prezydenta o to, że planuje prowadzić wojnę przez kolejne cztery lata, po to by utrzymać Thieu przy władzy – było to przypuszczenie tak dalekie od rzeczywistości, że aż śmieszne.

Theodore White, niestrudzony kronikarz kolejnych wyborów prezydenckich, odnotował wówczas pewne interesujące zjawisko: oto po długich latach, w czasie których republikański kandydat Richard Nixon postrzegany był powszechnie jako jeden z najmniej lubianych polityków w Ameryce, na ostatniej prostej kampanii wyborczej w roku 1972 tłumy rodaków zaczęły mu okazywać nieledwie uwielbienie. Jedno z ostatnich ogłoszeń wyborczych Partii Republikańskiej zachęcało elektorat: „Tym razem zagłosuj tak, jakby zależał od tego cały twój świat". 7 listopada Nixon zapewnił sobie zwycięstwo w historycznych rozmiarach, uzyskując 60,7 procent głosów, przy zaledwie 37,5 procent oddanych na McGoverna.

W kolejnych miesiącach amerykańska dyplomacja w sprawie Wietnamu koncentrowała się wokół podejmowania przez administrację bezustannych wysiłków w celu przełamania oporu Sajgonu i przekonania Thieu do zaakceptowania projektu porozumienia zawartego w Paryżu. Z kolei 20 listopada w Gif-sur-Yvette Kissinger zaprezentował Le Duc Tho listę 69 poprawek do tegoż projektu, przedstawionych przez rząd Thieu, z których zdecydowanie najważniejsze było żądanie całkowitego wycofania sił Północy – choć *nota bene* Hanoi nigdy nie przyznało, że w ogóle wysyłało je na Południe. Jest mało prawdopodobne, by amerykański negocjator wierzył w ich uwzględnienie; raczej starał się on pokazać komunistom, przed jakimi wyzwaniami sam stoi w trudnych rozmowach z Wietnamczykami

z Południa. Następnego dnia, po przejrzeniu poprawek, Le Duc Tho stwierdził krótko: „Nigdy nie zgodzimy się na nie". Hanoi wyrażało całkiem szczere zdumienie, że Amerykanie nie potrafią przywołać do porządku swoich sajgońskich marionetek. Tho ponowił dodatkowo swoje wcześniejsze żądanie uwolnienia 30 tysięcy więzionych na Południu cywilów. Nieco później Kissinger odczytał wiadomość od prezydenta, który instruował go, by zerwał toczone rozmowy.

Rozwój kolejnych wydarzeń naznaczony był pewną sprzecznością, wynikającą z tego, że choć oficjalnie administracja Nixona skupiała się na publicznym obarczaniu winą Hanoi, to już po cichu nasilała deszcz obietnic i gróźb kierowanych w stronę Sajgonu, by zapewnić sobie zmianę jego stanowiska. Kiedy 29 listopada Nixon spotkał się w Białym Domu z wysłannikiem Wietnamu Południowego, był wobec niego brutalnie bezpośredni, grożąc wprost odcięciem całej pomocy finansowej: „Bez naszej pomocy nie dacie sobie rady. Zrozumiano?"[17]. Mimo to Thieu wciąż odmawiał zaakceptowania układu zawartego w Paryżu. Le Duc Tho wycofał ostatecznie swoje żądanie uwolnienia 30 tysięcy cywilnych więźniów, ale 12 grudnia stwierdził, że musi wrócić do Hanoi na konsultacje.

A potem doszło do jednego z najbardziej groteskowych zwrotów w całej tej wojnie. Prezydent Nixon nakazał bowiem wznowienie intensywnej kampanii bombardowań, rzekomo w odpowiedzi na upartą obstrukcję ze strony komunistów, ale przede wszystkim jako karę za to, że wciąż nie zwolnili oni amerykańskich jeńców wojennych. Tyle że stanowisko Le Duc Tho prezentowane przezeń w grudniu nie było jakoś znacząco odmienne od tego z października. W tym czasie zmieniło się jedynie to, że Wietnam Południowy odmówił poparcia zaproponowanej mu ugody. Najbardziej przekonujące wyjaśnienie tej, jak miało się o niej później mówić, bożonarodzeniowej kampanii bombardowań Nixona, zwanej jednak oficjalnie operacją „Linebacker II", jest jednak takie, że miała ona posłużyć jako pokaz siły i przekonać Sajgon oraz naród amerykański, iż Stany Zjednoczone wciąż z całą mocą i zdecydowaniem popierają Wietnam Południowy, a przy okazji ukarać Północ za czteroletnie opieranie się woli Richarda Nixona. Niezależnie od dokonanych zniszczeń, kampania ta nie wniosła nic

istotnego do dyplomatycznej strony sporu, okazała się za to ostatnim znaczącym aktem wojskowym amerykańskiej interwencji w Wietnamie.

2. „ZRZUCIMY IM NA GŁOWY CAŁE TONY BOMB"

O godzinie 11.00 w poniedziałek 18 grudnia 1972 roku w sali odpraw dla załóg B-52 w bazie lotniczej Andersen na wyspie Guam pochodzący z Tennessee pułkownik James McCarthy teatralnym gestem rozsunął zasłony skrywające mapę lotów i ogłosił triumfalnie: „Panowie, dzisiaj waszym celem jest… Hanoi!". Jeden z lotników, Vince Osborne, powiedział: „Jestem pewien, że oczekiwano po nas jakichś wiwatów (…), a tymczasem członkowie załóg siedzieli tam w milczeniu, z poważnym wyrazem twarzy, po którym można było poznać, że w skrytości ducha mówią teraz sami do siebie: «A niech to szlag!»"[18]. Kapitan Ed Petersen sądził wręcz, że się przesłyszał, bo nie mógł uwierzyć, że wraz z resztą lotników ma lecieć „prosto do śródmieścia". „Z początku myślałem sobie, że to pewnie jakiś żart"[19]. Wcześniej piloci nabrali przekonania, niemal graniczącego z pewnością, że dla Amerykanów ta wojna w zasadzie już się skończyła. A tymczasem w ciągu kolejnych dni przyszło im wykonać 729 misji bojowych bombowcami B-52, w trakcie których zrzucili na Wietnam Północny 15 237 ton bomb, nie uwzględniając lotów maszyn taktycznych, które zwiększyły tę ostatnią liczbę jeszcze o jakieś 5 tysięcy ton. Operacja „Linebacker II" okazała się najbardziej intensywną kampanią z wykorzystaniem superfortec B-52 w całej tej wojnie, a realizujących ją 155 maszyn z trudem mieściło się na ograniczonej do 8 kilometrów kwadratowych przestrzeni parkingowej, zużywając dziennie ponad 7,5 miliona litrów paliwa lotniczego. Wszyscy lotnicy nienawidzili wówczas bazy Andersen, a niektórzy z nich określali wręcz samych siebie mianem „psów załogowych" albo POGs-ów – od Prisoners On Guam (więźniów na Guam). Wiele pojazdów krążących po bazie miało na zderzakach naklejki imitujące te, z którymi w ich ojczyźnie powszechnie się wówczas obnoszono w celu wyrażenia poparcia dla uwolnienia amerykańskich jeńców wojennych, tyle że zamiast hasła „Free the PoWs" („Uwolnić jeńców") stało na nich

„FREE THE POGS”. Personel bazy błyskawicznie rozrósł się do 12 tysięcy ludzi, których musiano jakoś upchnąć w pomieszczeniach przewidzianych dla jednej czwartej tej liczby. Dochodziło do tego, że po zestrzeleniu jakiejś załogi inni lotnicy urządzali swoisty wyścig po należące do niej meble. Tak oto wyglądało zakończenie szeroko zakrojonej kampanii powietrznej, toczonej z przerwami od roku 1965.

Podczas wszystkich wojen lotnicy zawsze żyją w świecie równoległym do tego, w którym walczą żołnierze wojsk lądowych. Zamiast w prostych barakach albo na hamakach rozpiętych między drzewami w dżungli członkowie załóg B-52 spali w klimatyzowanych kwaterach pośrodku betonowych pustyń, na których nigdy nie słychać było ani odgłosów wystrzałów, ani huku wybuchów. Przez większość dni mieli dość czasu, by z rana wziąć prysznic i zjeść porządne amerykańskie śniadanie, zanim przyszło im wylecieć nad terytorium nieprzyjaciela. A po powrocie z misji i bezpiecznym zaparkowaniu swoich wielkich ryczących maszyn mieli oni zwykle okazję, by udać się na drinka w klubie oficerskim. Nie oznacza to żadną miarą, że toczona przez nich wojna była w jakikolwiek sposób łatwiejsza albo mniej wymagająca, nie sposób jest bowiem oszacować ogromnego napięcia psychicznego, związanego z niemal codziennym przekraczaniem ostrej granicy między poukładaną i rutynową rzeczywistością Guam a poprzecinanym smugami pocisków przeciwlotniczych niebem nad Wietnamem Północnym.

Zainteresowanie świata kwestią bombardowań w Indochinach ogniskowało się przede wszystkim wokół ich ofiar, czemu w zasadzie trudno się dziwić. Ale już sami lotnicy nie zastanawiali się specjalnie nad losem ludzi pod swoimi stopami, zwłaszcza że z reguły w ogóle ich nie widzieli, za to ich uwagę zaprzątały rozmaite zagrożenia, z jakimi mieli do czynienia. Rzecz jasna niektórym „narwańcom” bardzo podobała się ich rola, jako że w każdym pokoleniu młodych pilotów są tacy, którzy ekscytują się niebezpieczeństwem, walką, a nawet sianiem zniszczenia. Wielu innych odczuwało jednak przede wszystkim strach, a osiągnął on swoje apogeum właśnie podczas tych bożonarodzeniowych bombardowań z roku 1972. Komandor John Nichols z amerykańskiej marynarki wojennej napisał: „Nikt nie chciał

być ostatnią ofiarą przegranej już wojny”[20]. Coraz więcej pilotów nie wstydziło się wymigiwać od latania na kolejne misje bojowe. Otrzymując przydział na szczególnie niebezpieczny lot, niektórzy protestowali, że dopiero co taki odbyli: „Zaraz, minutkę. Wczoraj ledwie umknąłem przed artylerią przeciwlotniczą. Teraz kolej na kogoś innego”[21]. Inni z kolei wykrywali w swoich maszynach jakieś techniczne usterki, by w ogóle nie musieć lecieć albo wrócić z misji przedwcześnie. Z czasem wśród lotników zaczęły też krążyć niepokojące plotki, że komuniści nie biorą już więcej jeńców, bo i tak mają ich za dużo.

Załogi transportowców, a także piloci myśliwców USAF oraz tych bombowców B-52, które operowały z lotniska U-Tapao w Tajlandii, wykonywali loty, które tam i z powrotem nie zabierały im więcej niż 3–4 godziny. Ale już misje B-52 z bazy w Guam rozpoczynały się w odległości niemal 5 tysięcy kilometrów na wschód od celów na terytorium Wietnamu Północnego. Większość załóg mogła zrzucić wieziony ładunek dopiero po dziewięciogodzinnym locie do wyznaczonego celu, a licząc z drogą powrotną do „Skały”, pokonywała łącznie ponad 13 tysięcy kilometrów, przynajmniej raz spotykając się w powietrzu z samolotami tankującymi startującymi z Okinawy. Choć część tego długiego lotu można było przebyć na autopilocie, to nawet przed napotkaniem nieprzyjaciela w kokpicie B-52 zawsze było do wykonania sporo wymagających obowiązków. Jim McCarthy napisał: „W odróżnieniu od myśliwców odrzutowych albo nowszych modeli B-52, model B-52D nie ma żadnego wspomagania elektrycznego. Aby móc nim precyzyjnie sterować, lecieć w ustalonej formacji albo wykonywać jakiekolwiek manewry, trzeba po prostu wykazywać się sporą siłą mięśni”; zdaniem tego pilota, latanie modelem D „porównywano czasem do prowadzenia osiemnastokołowej ciężarówki bez wspomagania kierownicy, hamulców hydraulicznych czy automatycznego rozrządu w samym centrum Waszyngtonu, a do tego w godzinach szczytu”[22].

Do każdej misji trzeba było posyłać całą armadę samolotów rozmaitych typów i pełniących różne funkcje. Przed superfortecami atakowały myśliwce, biorące na cel działa przeciwlotnicze i wyrzutnie

rakiet nieprzyjaciela. Maszyny wyposażone w system ECM starały się zakłócić komunistyczne kanały łączności i sygnały radarowe. Samoloty F-4 Phantom zrzucały zasłonę antyradarową. Kolejne phantomy leciały też u boków bombowców, by zapewnić im bezpośrednią osłonę przed MiG-ami. Same B-52 obsługiwane były przez sześcioosobową załogę: dwóch pilotów, dwuosobowy „zespół obrony", złożony z oficera broni elektronicznej i kanoniera, którzy siedzieli zaraz za kokpitem tyłem do kierunku lotu i wpatrywali się w swoje monitory i wskaźniki, a wreszcie zespół ataku, składający się z nawigatora oraz nawigatora radarowego – ten ostatni był też kiedyś znany jako bombardier – siedzących w pomieszczeniu pod pokładem. Cztery karabiny maszynowe kaliber 0,5 cala, umieszczone w ogonie samolotu, stanowiły pozostałość po II wojnie światowej, ale na wysokości blisko 10 kilometrów rzadko się do czegokolwiek przydawały, choć akurat podczas operacji „Linebacker" II udało się z nich zestrzelić dwa MiG-i.

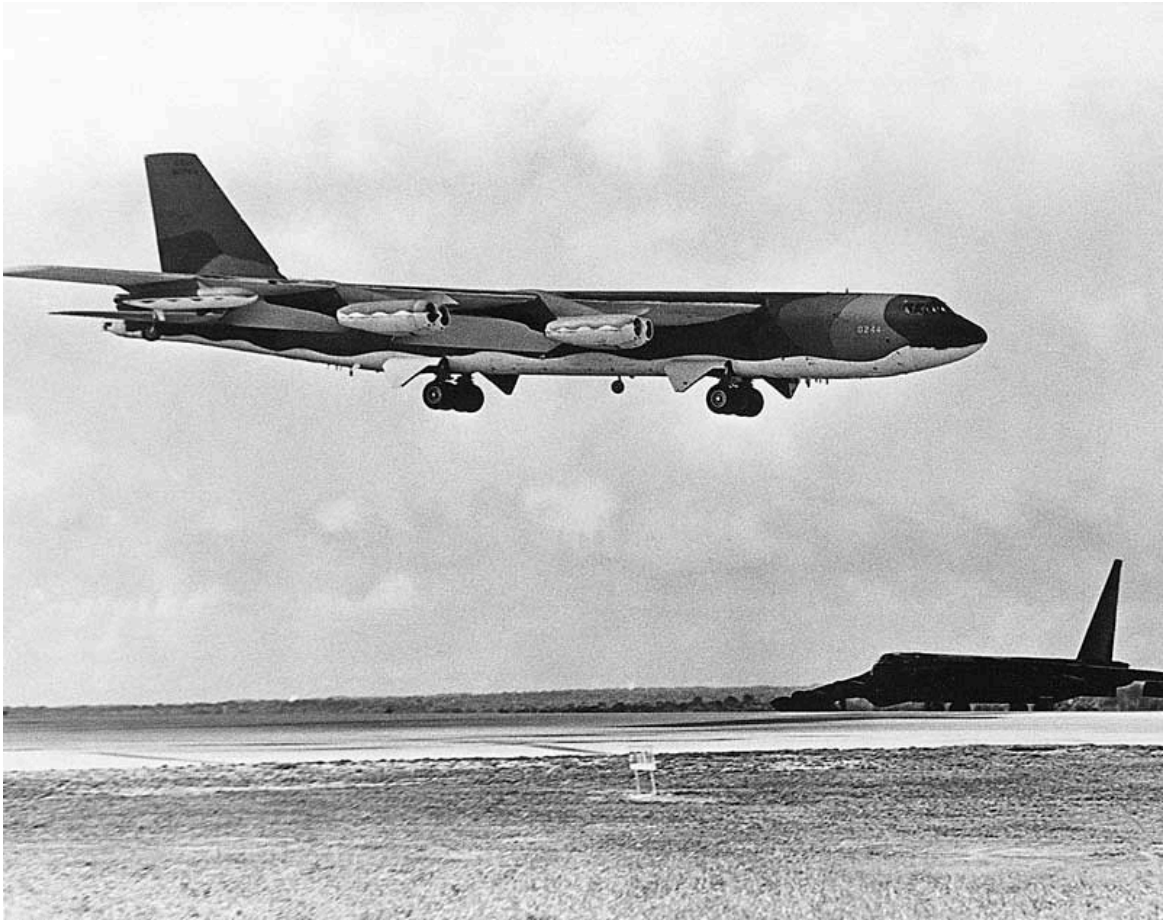

Lądowanie bombowca B-52 w bazie Andersen na Guam podczas operacji „Linebacker”, 1972 rok

Na Guam obsługą B-52 zajmowało się 5 tysięcy osób personelu naziemnego w warsztatach zwanych popularnie Fabryką Rowerów. Dbanie o ten konkretny typ samolotu, zaprojektowany w roku 1949, a wprowadzony do użytkowania cztery lata później, było zadaniem trudnym i skomplikowanym – niektóre maszyny wykorzystywane do bombardowania Hanoi liczyły sobie nawet po siedemnaście lat. Każda superforteca miała dziesięć niezależnych systemów hydraulicznych i cztery wielkie generatory, napędzane turbinami na gorące powietrze, do których sprężone powietrze tłoczono z silników, a w których temperatura sięgała 250 stopni Celsjusza. Każdy wyciek mógł doprowadzić do katastrofy, ponieważ przewody przebiegały tuż obok wiązek kabli sterowania, zbiorników z paliwem czy przewodów z tlenem.

Kiedy baza Andersen, zwana też „U-T", działała na wysokich obrotach, pojedynczy bombowiec tankowano i załadowywano bombami w 4 godziny – czyli w ciągu połowy czasu standardowo przewidzianego na obie te czynności – a całkowite przeglądy maszyn trwały do 8 godzin. W pełni załadowany samolot zabierał na pokład 84 bomby pięciusetfuntowe[11*] umieszczone w specjalnych opakowaniach. Potrzeba było naprawdę wielkiego wysiłku, by móc dźwigać ładunki tego rodzaju w temperaturach dochodzących nierzadko do 40 stopni, przy wysokiej wilgotności, a niekiedy nawet w tropikalnych ulewach. Personel naziemny dokonywał czasem prawdziwych cudów: jeśli w załadowanym już bombami samolocie niespodziewanie pękła opona podczas kołowania do startu, potrafiono mu zmienić koło w zaledwie 15 minut, nawet bez wyłączania silnika, podczas gdy standardowo procedura taka trwała 150 minut.

Przed każdą misją planiści spędzali długie godziny, debatując nad celami, punktami zrzutu ładunków czy optymalnymi osiami ataku, przy uwzględnieniu całej mozaiki wyrzutni rakiet SAM i instalacji radarowych nanoszonych na bieżąco na mapy zgodnie ze zdjęciami lotniczymi wykonywanymi przez latające na wysokim pułapie samoloty zwiadowcze SR-71. Dwie komórki (*cells*), z których każda składała się z trzech maszyn B-52, mających na pokładzie nawet po 30 ton ładunków wybuchowych, przy wypełnieniu również przestrzeni pod skrzydłami, mogły wyeliminować niemal wszystko, co żyło w założonym „oknie" – stanowiącym prostokąt o wymiarach 3650 x 1000 metrów: takie właśnie były konsekwencje „bombardowań dywanowych". Po wybraniu celów i uwzględnieniu najnowszych doniesień wywiadowczych poszczególnym załogom wydawano „cząstki" – czyli rozkazy cząstkowe. Wybrane cele mogły znajdować się w jednej z dwóch możliwych stref, określanych jako strefa niskiego albo wysokiego ryzyka, w zależności od gęstości naziemnej obrony przeciwlotniczej. Misje realizujące cele priorytetowe otrzymywały oznaczenie „Press-On" („Nie odpuszczać"), co oznaczało, że załoga musiała za wszelką cenę dążyć do ich wykonania, niezależnie od napotkanego oporu albo usterek systemowych w samolocie.

Po odprawie katolicy mogli udać się do kapelana po ostatnie namaszczenie, które część z nich uważała za pomocne w wyciszeniu się, inni jednak mieli z nim tylko złe skojarzenia. Następnie załogi udawały się do swoich samolotów, wyposażone w wypakowane różnego rodzaju sprzętem kamizelki umożliwiające przetrwanie po katapultowaniu się, broń ręczną, pudełka z racjami żywnościowymi i wielkie walizki wypchane dokumentacją techniczną samolotu, bombowymi tabelami obliczeniowymi, danymi potrzebnymi do nawigacji i tajnymi materiałami z odprawy. Zabierali ze sobą ponadto zestaw cieplejszych ubrań, zupełnie zbędny, jeśli tylko działał pokładowy system grzewczy, za to nieodzowny w razie jego awarii, bo temperatura w kokpicie spadała wówczas nawet do minus 56 stopni Celsjusza.

Piloci myśliwców określali bombowce B-52 pogardliwą nazwą „Buffs" – od *big ugly fat fellers*, czyli „wielkich, brzydkich, grubych ptaków" – co wszyscy powszechnie odbierali jako wyrażenie celowo obsceniczne. Dowództwo Lotnictwa Strategicznego wolało z kolei nieco bardziej poetyckie określenie „parada słoni" – tak bowiem kojarzył się niektórym rządek tych olbrzymich maszyn sunących wolno po pasie podczas kołowania do startu. Wyloty na operacje bojowe ściągały spore tłumy widzów, czy to spośród personelu naziemnego, czy też samych lotników po służbie, stojących w gromadkach na płycie lotniska, albo przyglądających się startom z balkonów lub sprzed budynków. A kiedy jeden po drugim „Buffs" przyspieszały, by wreszcie oderwać się od ziemi, ciągnęły za sobą narastającą smugę czarnego dymu, w miarę jak wstrzykiwana pod ciśnieniem woda zwiększała ich ciąg.

Nabierające wysokości samoloty przelatywały nad rosyjskim trawlerem usytuowanym przy brzegu, z którego liczono kolejne maszyny wroga. A potem pozostawało już tylko jakoś przetrwać długi lot w kierunku zachodnim: nawigatorzy często grali wtedy w szachy albo pisali listy. Pewien lotnik zajmował się w tym czasie rozwiązywaniem zadań w szkolnym podręczniku algebry; niektórzy przysiadali nad kursami korespondencyjnymi, w jednym przypadku z dziedziny stomatologii. A kiedy przychodziła im ochota na chwilę niedyskrecji, sprośne żarty albo ponarzekanie na kwestie proceduralne, przechodzili na porozumiewanie się karteczkami przekazywanymi

z rąk do rąk, żeby uniknąć późniejszych kłopotów z inspektorami z DLS, którzy monitorowali nagrania rozmów z kokpitu. W trakcie długiego lotu nad morzem nierzadko zdarzało się, że całe załogi po prostu zasypiały. Ważne było, by do misji przystępować w pełni sił fizycznych i z dobrym samopoczuciem, bo latanie na dużych wysokościach z dolegliwościami takimi jak silne przeziębienie, zapalenie ucha czy zapchane zatoki groziło nabawieniem się poważnej infekcji. Nieprzewidziane problemy pojawiały się też przy zmiennej pogodzie: na przykład silne wiatry dziobowe zwiększały zużycie paliwa do tego stopnia, że czasami potrzebne było dodatkowe tankowanie w powietrzu.

Przy podchodzeniu do celu nikt już jednak nie spał. Do grudnia 1972 roku Wietnam Północny dorobił się doskonałej obrony przeciwlotniczej: licznych MiG-ów, stanowisk artylerii i wyrzutni rakiet. Załogi SAM-2 zaczynały oddawać w powietrze salwy już w pierwszym momencie, w którym samoloty amerykańskie pojawiały się w ich zasięgu. Reakcje w kokpitach bywały różne: pilot Robert Clark, prowadzący trzecią falę bombowców 18 grudnia, wspominał: „Ja byłem gotowy na wszystko, mój nawigator wyglądał na absolutnie przerażonego, mój kanonier lustrował okolicę niczym jastrząb, a mój oficer działań elektronicznych nie mógł się doczekać, aż zobaczy, czy jego sprzęt będzie działał, jak należy – był jednocześnie i podniecony, i wystraszony”[23]. Les Dyer nie odczuwał za to żadnego zaniepokojenia: „Byłem młody, odporny na kule i niezniszczalny”, a Bruce Woody opisywał sam siebie jako „przerażonego aż do szpiku kości”[24]. Jerry Wickline wyznał: „Przez cały ten czas myślałem tylko o tym, że w następnej sekundzie będzie już po mnie (...). Kilka razy oślepiały mnie albo bliskie detonacje pocisków, albo jasne smugi ciągnące się za mijającymi mnie rakietami. A B-52 lecący tuż za mną został zestrzelony”. I dodawał: „Jednego się o sobie dowiedziałem podczas tamtej misji: że nie jestem tchórzem. Rozpaczliwie szukałem jakiejkolwiek wymówki, byle tylko móc zawrócić samolot i nie musieć dalej lecieć przez ten gąszcz pocisków, ale bardziej od możliwości śmierci bałem się tego, że kiedy wrócę, okrzykną mnie tchórzem”[25].

Do precyzyjnego zbombardowania celu trzeba było czterech minut stabilnego lotu w linii prostej podczas podchodzenia do niego, niezależnie od świszczących wokół pocisków. Złożone z trzech maszyn komórki leciały w jednej formacji, możliwie blisko siebie, by zdradzić jak najmniej informacji radarom nieprzyjaciela, ale jeśli jeden z pilotów się zagapił i odleciał nieco w bok czy z nerwów wykonał jakiś niepotrzebny manewr, wówczas cała ta taktyka mogła zostać łatwo wykryta. Ale i tak prędzej czy później załoga każdej maszyny słyszała w słuchawkach mrożące krew w żyłach słowa swojego oficera wojny elektronicznej: „PODŁĄCZYŁ SIĘ SAM!". Pilot pytał wówczas tylko: „Radar, jak daleko do celu?", i słyszał w odpowiedzi na przykład: „Jeszcze dziesięć sekund", a potem: „Pięć. Cztery. Trzy. Dwie, Jedna. BOMBY POSZŁY!", i wreszcie upragnioną komendę: „Pilot, przechodzisz do zwrotu"[26].

Pierwszy atak w tej kampanii rozpoczął się 18 grudnia o godzinie 19.45 – dokładnie o tym czasie swoje bomby zrzuciły maszyny z pierwszej komórki, po której nadlatywały w długim ciągu kolejne i kolejne. W każdym z samolotów można było odczuć lekki wstrząs w momencie uwalniania 30 ton ładunków wybuchowych. Zbyt gwałtowny zwrot mógł na chwilę zakłócić system monitorowania radarowego, sprawiając, że samolot pozostawał bezbronny na dosłownie kilka sekund, co jednak mogło okazać się zabójcze. Pułkownik Hendsley Conner opisywał, jak podczas jednej z misji, którą dowodził, jego pilot w taki właśnie sposób poderwał swój olbrzymi bombowiec w pewną księżycową noc: „TRACH! I już nas trafili. Miałem takie odczucie, jakbyśmy nagle dostali się w samo centrum wielkiego grzmotu. Ten dźwięk był wprost ogłuszający. Na jedną krótką chwilę zrobiło się bardzo jasno, a potem znów zapadła ciemność. Czułem zapach ozonu ze spalonego prochu i wydawało mi się, że zaczynamy się przechylać lekko na prawo"[27]. Przez wewnętrzny telefon wywołał pilota, Cliffa Ashleya, który odpowiedział: „Nic mi nie jest, ale samolot mocno oberwał".

Jak się okazało, pocisk nieprzyjaciela eksplodował tuż przy B-52, z jego lewej strony, niszcząc dwa silniki i odrywając koniec skrzydła. Z uszkodzonych miejsc buchały płomienie, doszło do rozszczelnienia

kabiny, a większość instrumentów uległa awarii. Nie było żadnych szans na powrót na Guam, wobec czego szybko wyznaczono nowy kurs do Tajlandii, a jednocześnie wezwano przez radio eskortę: niemal natychmiast odpowiedziały dwa F-4: „Jesteśmy z wami, kolego". Maszyna zaczęła szybko tracić wysokość, spadając z pułapu blisko 10 tysięcy metrów, podczas gdy załoga czyniła rozpaczliwe wysiłki, by jakoś wylecieć znad terytorium Wietnamu Północnego, a najlepiej przelecieć jeszcze nad przestrzenią Laosu: „Wiedzieliśmy, że w Laosie z reguły nie bierze się jeńców". Trzydzieści minut później wszyscy mogli wreszcie odetchnąć z ulgą, bo udało im się wlecieć w przestrzeń powietrzną Tajlandii. Teraz nadszedł czas na rozstrzygnięcie kolejnego problemu: gdzie by tu można wylądować. Ale właśnie wtedy jeden z towarzyszących im pilotów F-4 ostrzegł, że płomienie robią się coraz większe i zajęło się już od nich całe skrzydło, dodając: „Obawiam się, że nie uda wam się go posadzić". Każdy z sześciu przewidzianych członków załogi miał własny fotel z katapultą, a kilka chwil później zaczęła się świecić czerwona kontrolka z napisem ABANDON, czyli „opuścić statek". BUM! Katapultował się nawigator. Conner, który nie należał do standardowej załogi i nie miał własnej wyrzutni, musiał, zataczając się, przejść przez cały kadłub, do dziury, w której zniknął ostatni z jej członków: przez nią spojrzał na dół, na majaczącą daleko w dole ziemię. A potem wyskoczył, by kilka sekund później pociągnąć za sznurek zwalniający czaszę spadochronu. Opadając, spojrzał jeszcze w górę na płonący samolot, który obracając się wokół własnej osi, zniżał się szybko w stronę ziemi. A już po chwili sam się na niej znalazł, lądując w niewielkim tłumie tajskich wieśniaków, którzy mieli nawet dla niego wodę. Dwadzieścia minut później przyleciał po niego helikopter marines: jak się okazało, siedziało już w nim bezpiecznie pozostałych sześciu członków załogi ich B-52.

Podczas pierwszej nocy operacji „Linebacker II" Richard Jones naliczył 56 rakiet SAM wysłanych w stronę ich formacji, a John Filmore widział ich ze 30 podczas ataku na lotnisko Phuc Yen pod Hanoi[28]. Major Don Aldridge, lecący w charakterze zastępcy koordynatora działań powietrznych, zapisał swoje wrażenia z obserwacji nocnego nieba: „Zacząłem dostrzegać ogień [przeciwlotniczy] (...) w większości

na wysokości 6–7,5 tysiąca metrów, ale dosyć gęsty. Na zachód od Hanoi zaktywizowały się MiG-i, ale przejęły je nasze F-4. Zacząłem widzieć wystrzały z SAM (...), kilka pocisków 122 mm bez naprowadzania (...). Kanonier raportuje (...), cała komórka porusza się niczym jedna maszyna. Rakiety SAM latają coraz gęściej, ale większość z nich mija nas o dobre pół mili (...). 120 sekund do celu – dwa SAM na trzynastej, ale mocno nietrafione – eksplodowały wysoko, jakieś pół mili od nas, patrząc horyzontalnie (...). SAM nad maszyną – widzę smugi odrzutu za nimi – oba eksplodowały powyżej nas (...), a potem już prosto i wyrównać, aż do zrzucenia bomb (...) w Komórkę Zieloną skierowano 31 SAM”[29].

Również B-52 kapitana Johna Alwarda doznał poważnych uszkodzeń od bliskiego wybuchu pocisku, który omal w niego nie trafił. Z dwoma niedziałającymi silnikami i kolejnymi dwoma nie w pełni sprawnymi pilot odbił na południe, by po przeleceniu przez DMZ dotrzeć do Da Nang. Odległość nie była wprawdzie duża, lecz pas tamtejszego lotniska był bardzo krótki, stanowczo niewystarczający dla wielkiego, a do tego nie w pełni sprawnego bombowca. Podczas podejścia, odbywającego się przy złej pogodzie, Alward przekonał się, że baza znajduje się akurat pod ostrzałem moździerzowym i rakietowym ze strony komunistów. Jako że nie był zbyt doświadczonym pilotem, przedyskutował ze swoją załogą możliwość katapultowania się nad morzem. Wszyscy stwierdzili jednak, że najpierw warto spróbować wylądować, tyle że trzeba uczynić to szybko. Tak właśnie zrobili, ale kiedy drugi pilot pociągnął za dźwignię aktywującą tylną czaszę hamującą, nic się nie wydarzyło: prowadzący do niej przewód najwyraźniej został zerwany. Wciąż pruli więc z dużą prędkością wzdłuż pasa, za którym rozciągało się już tylko pole minowe, wobec czego Alward zwiększył moc i ponownie poderwał maszynę w powietrze. Tam zawrócili do drugiego podejścia, które, o dziwo, okazało się skuteczne.

Amerykanie szybko nauczyli się rozpoznawać, które ze stanowisk nieprzyjacielskiej obrony przeciwlotniczej wykazywały się skutecznością, a które wręcz przeciwnie. Jeden z takich północnowietnamskich batalionów rakietowych ochrzcili oni prześmiewczo „Załogą F”, od popularnego wówczas telewizyjnego

serialu komediowego, ponieważ z jego starań rzadko cokolwiek wychodziło. Dla odmiany inne stanowisko obronne nieprzyjaciela, na południowy zachód od Hanoi, znane było jako „Killer Site VN-549" i stało się obiektem bezustannie ponawianych ataków mających je wyeliminować. Z kolei piloci północnowietnamskich myśliwców MiG często trzymali się toru lotu bombowców B-52, ale pozostając w bezpiecznej odległości od nich: Amerykanie domyślali się, że „odgrywają rolę policyjnej eskorty dla SAM" – to jest przekazują dane o położeniu i wysokości bombowców, tak by załogi wyrzutni mogły otworzyć do nich ogień nawet bez uzyskania namiarów radarowych. Wielu pilotów nawet bardziej niż rakiet bało się ostrzału ze strony artylerii przeciwlotniczej, ponieważ jej pocisków nie sposób było dostrzec, dopóki nie wybuchły: północnowietnamskie działa kaliber 100 mm potrafiły być skuteczne nawet na wysokości przekraczającej 9 tysięcy metrów.

Tymczasem na ziemi, dobrych 8 kilometrów poniżej, znajdował się jeden z wielu rosyjskich doradców do spraw obrony przeciwlotniczej, dwudziestojednoletni porucznik Walery Miroszniczenko, który zapamiętał: „Akurat oglądaliśmy *Wyzwolenie*, taki film o II wojnie światowej, który wyświetlało u nas kino objazdowe. W jednej chwili na ekranie strzelały czołgi, a już w następnej zaczęły się wokół nas rzeczywiste eksplozje. Przez chwilę sądziliśmy, że to może idzie burza i zaczyna grzmieć. Ale potem spojrzeliśmy w górę i zauważyliśmy samoloty B-52: jeden z nich spadał, płonąc jak pochodnia"[30]. W Wietnamie Północnym do dziś mówi się o tych bombardowaniach z grudnia 1972 roku jako o „powietrznym Dien Bien Phu", co ma oznaczać, że to właśnie wtedy komuniści zadali USAF decydującą porażkę. Kampania ta nastąpiła po nie najlepszym dla Wietnamczyków okresie w pierwszej połowie tamtego roku, jako że powtarzające się przypadki niszczenia albo uszkadzania ich baterii rakietowych mocno obniżyły morale obsługujących je załóg. Jeden z ich członków napisał: „Niektórzy szeptali już nawet po kątach, że jesteśmy niekompetentni i nic nie możemy"[31] w obliczu coraz powszechniejszego stosowania przez Amerykanów pocisków samonaprowadzających ECM.

Zdarzenia któregoś z jesiennych dni zaraz po wystrzeleniu dwóch rakiet SAM w stronę jakiegoś amerykańskiego samolotu lecącego w odległości około 10 kilometrów porucznik Nguyen Kien Dinh opisywał tak: „Nagle słyszę, jak ktoś obok mnie krzyczy: «Uwaga, to shrike!»". Wcześniej dowódca batalionu nie chciał słuchać ich próśb, by na chwilę zmniejszyć aktywność ich własnego radaru śledzącego, dzięki czemu trudniej byłoby namierzyć jego sygnał, a zatem i w niego trafić. „Dwie albo trzy sekundy później doszło do potężnej eksplozji, która rzuciła mną o monitor. Kiedy się odwróciłem, zorientowałem się, że wybuch wyrwał drzwi naszej furgonetki, a w powietrzu unosiło się mnóstwo dymu i pyłu. Prawie wszyscy w naszym wozie naprowadzania odnieśli jakieś rany, a sprzęt nadawał się do wyrzucenia". Z kolei w ciężarówce z generatorem prądu, przydzielonej do tego stanowiska, Kien znalazł jednego ze swoich towarzyszy, leżącego nieruchomo na konsolecie z przyciskami. „Krzyknąłem do niego, ale nic nie odpowiedział. Leżał tak bezwładnie, a po piersiach ciekła mu wąska strużka krwi. Okazało się, że niewielki odłamek shrike'a przebił mu serce". Po raz pierwszy w ciągu swojej sześcioletniej służby Kien miał wówczas okazję oglądać czyjąś śmierć i był tym widokiem mocno wstrząśnięty – odczuwał ponadto wyrzuty sumienia, bo zdawał sobie sprawę z tego, że jego zespół popełnił błąd[32].

Rzeczywistym celem Amerykanów podczas tych bożonarodzeniowych ataków nie było wcale zadanie nieprzyjacielowi strat materialnych – chodziło o osłabienie jego morale: planiści starali się wprowadzać w życie ludności jak najwięcej zamieszania, wobec czego naloty odbywały się w godzinach nocnych – co przyniosło pewne rezultaty. Późnym wieczorem 18 grudnia Kien padł wyczerpany na swoją matę, „mając nadzieję na choć kilka minut odpoczynku dla odzyskania sił"[33], po wcześniejszych zmaganiach z dwoma falami B-52. Ledwie udało mu się zamknąć oczy, a już nastąpił kolejny alarm – tym razem chodziło o nadlatujące myśliwce F-111. Kiedy i to zagrożenie minęło, Kien raz jeszcze ułożył się, by złapać choć trochę snu, lecz nie było mu to dane tamtej nocy: tuż przed 4.00 nad ranem 19 grudnia pojawiła się trzecia fala B-52, a ich sprzęt zakłócający mocno dawał się we znaki monitorom Wietnamczyków z Północy. Kiedy wreszcie nastał

chłodny poranek, wycieńczeni i zrezygnowani członkowie załóg ledwie mieli dość sił, by w milczeniu zjeść coś na śniadanie: minionej nocy ich pułk musiał stawić czoło aż sześciu falom amerykańskich samolotów, a nie udało im się zestrzelić choćby jednej maszyny, choć z innych jednostek napływały doniesienia o strąceniu trzech B-52. Nie był to wcale koniec. Do poranka 21 grudnia „mieliśmy już za sobą ze cztery albo i pięć kolejnych alarmów bojowych i wszyscy byliśmy wyczerpani brakiem snu i napięciem nerwowym. Kiedy tylko słyszeliśmy dźwięk dzwonka, każdy musiał odrzucić swój koc, szybko wciągnąć buty i pobiec na swoje stanowisko bojowe, nie zważając na przenikliwe zimno”[34]. A kilka dni później jeden z nadlatujących F-4 zrzucił na ich stanowisko kilka bomb, które zmiotły całą baterię z powierzchni ziemi.

Tymczasem w „Hiltonie Hanoi”, to jest w więzieniu dla amerykańskich jeńców wojennych, odgłosy eksplodujących bomb wzbudzały wśród osadzonych wybuchy ogromnej radości i satysfakcji. Więźniowie podskakiwali, krzyczeli i głośno bili brawo, co wprawiało w prawdziwe zdumienie ich strażników. Jeden z nich odezwał się do pułkownika Robinsona Risnera: „Ale przecież oni próbują was zabić”. Więzień odparł na to bezczelnie: „Nic bardziej mylnego. Oni próbują zabić w a s!”.

Jeśli chodzi o ludność cywilną, warto przytoczyć wspomnienia Nguyen Thanh Binh, która mieszkała wprawdzie wiele kilometrów na wschód od Hanoi, ale podczas operacji „Linebacker” często wychodziła przed dom, by w towarzystwie wielu swoich sąsiadów wpatrywać się w odległą linię horyzontu, podczas tamtych nocy przypominający im „wulkan w trakcie erupcji”[35], jako że kolejne fale bombowców, jedna za drugą, prawie nieprzerwanie zrzucały swoje ładunki. Ta młoda kobieta zapamiętała obraz: „Wielka chmara B-52 zdawała się przykrywać całe niebo, zasłaniała nawet księżyc”[36] – należy go z całą pewnością traktować jako pewną impresję, jako że samoloty te leciały na zbyt wysokim pułapie, by mogli je dostrzec w ciemnościach wpatrujący się w nocne niebo gapie czy nawet ludzie kryjący się w słabo oświetlonych schronach. Nie ulega natomiast wątpliwości, że bombardowania wzbudzały strach i poczucie krzywdy wśród milionów rodaków Le Duana.

Tymczasem przelatujący nad nimi na wysokości kilku kilometrów amerykańscy oficerowie wojny elektronicznej i nawigatorzy radarowi zamknięci w swoich „czarnych dziurach" nie mieli żadnych szans dostrzec ani miast, ani wiosek, ani kompleksów więziennych, ani stanowisk SAM. Funkcjonowali oni w swoistej rzeczywistości równoległej, postrzegając świat jedynie przez pryzmat wskazań swoich radarów. Nawigator Phil Blaufuss powiedział, że ogień nieprzyjaciela stanowił dla nich „zło [które] trzeba było ignorować (...), znajdując się (...) w środku wielkiego samolotu bez okien, przez które można by dostrzec piekło rozgrywające się na zewnątrz, bez dział do ostrzeliwania się, bez sprzętu ECM do blokowania tego ostrzału i bez panelu sterowania czy też manetek do manewrowania"[37]. Takim jak on oficerom wojny elektronicznej musiało zatem wystarczyć bezradne obserwowanie punkcików na monitorach symbolizujących kolejne wystrzeliwane pociski SAM-2, z których każdy stanowił potencjalne zagrożenie dla ich samolotu i mógł prędzej czy później przynieść śmierć akurat im. Tak właśnie stało się w przypadku majora Allena Johnsona, który zdążył jedynie wykrzyknąć: „Dopadli nas!", tuż przed gwałtowną eksplozją, która silnie uszkodziła jego samolot, a jego samego zabiła[38].

Wszystkich lotników znajdujących się nad terytorium nieprzyjaciela trzyma w ryzach wyszkolenie i dyscyplina, ale w trudnych chwilach potrafi im dodać otuchy jakiś nieoczekiwany pokaz brawury ze strony któregoś z nich. Nawigator radarowy Dick Parrish zapamiętał pewną noc, podczas której jego pilot widział wokół nich liczne rakiety SAM, a potem dostrzegł też na niebie wielką kulę ognia, zapewne od eksplodującego bombowca B-52. W pewnym momencie ich kanonier zauważył też na odczycie z radaru ślady dwóch wrogich pocisków, wobec czego musieli wykonać kilka uników, by zejść z ich kursu. Kiedy wreszcie zawrócili i poczuli się w miarę bezpiecznie, bo byli już całkiem blisko Laosu i macierzystej bazy U-Tapao, dostrzegli z kokpitu kolejną wielką eksplozję, tym razem na ziemi: niemal z całą pewnością rozbił się tam jeden z amerykańskich samolotów. Parrish powiedział później: „Wszystkie te rakiety dostrzeżone przez pilota, plus oba zestrzelone samoloty stanowiły dla nas trudne doświadczenia i, jak sądzę, w jakimś stopniu podziałały na nas przygnębiająco. Kiedy więc zmierzaliśmy już

w stronę morza, postanowiłem rozluźnić atmosferę jakimś słabym żartem. Ale Dick Enkler, nasz EWO [oficer wojny elektronicznej], dalej wpatrywał się tępo w swój monitor (...) I już po chwili zgasił mnie za te próby okazywania radości (...). A ja zacząłem wtedy myśleć: «Ale o co chodzi? Przecież wykonaliśmy zadanie i wydostaliśmy się stamtąd w jednym kawałku. Mam wszelkie powody, by okazywać radość»"[39].

John Allen i jego załoga podczas lotu powrotnego po wykonaniu zadania mieli zwyczaj wyśpiewywać głośno piosenkę *Listen to the Music* zespołu Doobie Brothers, puszczaną wówczas przez intercom, wyrażając w ten sposób swoją radość i ulgę z faktu oddalania się od terytorium wroga, a przybliżania do bazy Andersen. Tyle że żadna misja nie kończyła się w momencie zrzucenia ładunku. Podczas jednego z lotów powrotnych, tuż przed podejściem do lądowania w bazie, Ken Simpson jako nawigator poproszony został przez swojego pilota o przejście na tył i sprawdzenie, dlaczego w kokpicie zaświeciła się kontrolka sygnalizująca fakt niezrzucenia jednej z bomb. Przekonawszy się, że przedział na bomby jest zupełnie pusty, Simpson podpiął się do gniazda interkomu w jednym z kół, by zaraportować pilotowi, że wszystko jest w najlepszym porządku. A ten, niewiele myśląc, przystąpił do opuszczania podwozia, wskutek czego przerażony i pozbawiony spadochronu Simpson wyjechał razem z kołem na zewnątrz, mając okazję podziwiać z wysoka panoramę Zatoki Tajlandzkiej w promieniach wschodzącego słońca. Na szczęście udało mu się jakoś utrzymać, zanim nie przekonał pilota, by wciągnął podwozie z powrotem i pozwolił swojemu roztrzęsionemu nawigatorowi wrócić na bezpieczne miejsce w kabinie[40].

Po powrocie z tej pierwszej operacji w ramach całej kampanii niemal wszystkie załogi zaraportowały trafienia w wyznaczone im cele: utracono przy tym trzy B-52, a dwa kolejne zostały poważnie uszkodzone. Ku swej konsternacji lotnicy dowiedzieli się jednak, że wielu z nich będzie musiało ponownie wylecieć na misje bojowe już następnej nocy, a w dodatku przy podchodzeniu do celów będzie ich wszystkich obowiązywała jedna ścieżka zadekretowana przez dowódców z kwatery głównej DLS w Omaha. Generał brygady Pete Sianis, zastępca szefa sztabu do spraw operacji, słysząc od swoich

oficerów, że podczas ataków na Hanoi i Hajfong korzystniej byłoby podchodzić z różnych kierunków, stwierdził zdecydowanie: „Mamy to zrobić inaczej!". Następnie pozrywał z mapy różnokolorowe plastry ukazujące alternatywne ścieżki podejścia i nakazał: „Jedna droga tam i jedna z powrotem!". Taktyka ta okazała się całkiem skuteczna podczas kolejnej fali ataków w nocy 19 grudnia, bo choć 2 z 93 użytych wówczas bombowców B-52 doznały uszkodzeń, to żaden nie został strącony.

Kolejnej nocy, 20 grudnia, przed zjawieniem się bombowców nad Hanoi większości załóg obsługujących broniące miasta baterie SAM rozkazano zredukować liczbę pocisków w jednej salwie z trzech do dwóch, ponieważ rakiet było coraz mniej, a amerykańskie naloty mocno utrudniały sprowadzanie nowych; ponadto SAM miano odtąd stosować wyłącznie przeciwko B-52. Pomimo tych ograniczeń już w trakcie samych ataków okazało się, że z powodu wspomnianej wcześniej rygorystycznej trasy podejścia zaplanowanej przez DLS obrońcy zaczęli odnosić coraz większe sukcesy. Podczas nalotów z 20 grudnia spośród 99 bombowców wysłanych nad Hanoi udało im się zestrzelić aż 6. Jak wyraził się pewien północnowietnamski oficer: „Lotnictwo amerykańskie zupełnie nie ukrywało planów swoich operacji [oraz] (...) tras lotów z kierunku zachodniego-północno-wschodniego (...), sektor podejścia samolotów nieprzyjaciela, godzina ataku czy formacje lotu wcale się nie zmieniały"[41]. John Filmore Graham należał do licznych lotników, których złościły wszystkie te sztywne ograniczenia: „Byliśmy tak przewidywalni jak kaczki na polowaniu"[42]. Dopiero 26 grudnia DLS, z oporami i poniewczasie, zgodziło się na zmianę taktyki: 120 bombowców B-52 nadleciało wówczas nad Hanoi i nad Hajfong z dziesięciu różnych kierunków, a następnie zrzuciło swoje ładunki w ciągu 15 minut. Tym razem stracono tylko dwie maszyny.

Podpułkownik Bill Conlee, oficer wojny elektronicznej, znajdujący się tamtej nocy na pokładzie jednego z tych dwóch samolotów, opisał, jak trafił do niewoli, po tym jak w pobliżu jego komórki eksplodowało 10 SAM, dosłownie na kilka sekund przed chwilą planowanego zrzucenia ładunków[43]. Samolot, którym leciał, znalazł się pomiędzy równoczesnymi wybuchami dwóch z nich, wskutek czego jego lewe skrzydło zajęło się ogniem, a pięciu członków załogi odniosło obrażenia.

Doszło też do rozhermetyzowania kabiny i utraty mocy w obwodach elektrycznych. Włączył się alarm ewakuacyjny, a załoga się katapultowała. Schodząc powoli w dół na swoim spadochronie, Conlee przeżył kilka nerwowych chwil, bo w niewielkiej odległości minęły go jeszcze dwa kolejne SAM. Kiedy w końcu opadł na ziemię, krwawił obficie z licznych ran, które odniósł, a w dodatku od razu zaczęto do niego strzelać. Po chwili ujrzał sporą grupę Wietnamczyków, którzy podeszli do niego, pochwycili go i rozebrali do bielizny. Następnie poprowadzono go drogą, a stojący wzdłuż niej miejscowi wielokrotnie uderzali go narzędziami rolniczymi i kijami, tak że połamali mu kilka żeber i przetrącili prawe kolano. Potem rzucono go związanego na pakę ciężarówki, którą pojechał w godzinną podróż do Hanoi, leżąc wciąż twarzą w dół. Po przyjeździe dosłownie wyrzucono go na asfalt, od czego wybił sobie bark. A na koniec dwóch żołnierzy zawlekło go na jakiś dziedziniec, który okazał się wnętrzem osławionego „Hiltona Hanoi", gdzie osadzono go w izolatce.

Z biegiem operacji „Linebacker II" w macierzystej bazie pilotów i członków załóg coraz bardziej dawało się odczuć narastającą frustrację, wyczerpanie i stres. Jak wspominał Robert Clark, już drugiego dnia po rozpoczęciu bombardowań, wchodząc do klubu oficerskiego w bazie Andersen, „można było wyczuć strach. Chłopaki lgnęli jeden do drugiego, ciesząc się z samego faktu, że wciąż żyją"[44]. Nie brakowało ostrych popijaw, a nawet bójek; choinki i inny sprzęt nieraz lądowały w basenie, na polu golfowym odpalano flary, zdarzyło się też, że ktoś wniósł na parkiet taneczny nadmuchiwaną tratwę ratunkową, po czym uruchomił w niej mechanizm błyskawicznego napełniania się powietrzem. Jon Bisher powiedział: „Jeśli jesteś więźniem w celi śmierci, to przychodzą ci do głowy różne najgłupsze pomysły (...). Przecież oni doskonale wiedzieli, że nic im za to nie zrobią, a już na pewno nie odeślą ich za karę do domu"[45]. Mark Clodfelter napisał, że kluczowym czynnikiem sprzyjającym upadkowi morale wśród załóg była „nieumiejętność wyartykułowania przez amerykańskich przywódców politycznych i militarnych, jakie dokładnie cele mieli osiągnąć lotnicy, by móc uznać ich misje za sukces (...)

[a wobec tego] nie widzieli oni sensu ani końca swoich uporczywych bombardowań".

Informowanie o stratach własnych nie zawsze przebiegało w sposób przemyślany i z wyczuciem. Katie Turner znajdowała się akurat na basenie w klubie oficerskim bazy Andersen, kiedy powiedziano jej, że jej mąż nie wróci już do domu[46]. Wiele innych żon przez całe lata wiedziało tylko tyle, że ich mężów uznano za „zaginionych w akcji", bo dowódcy zupełnie bezpodstawnie postanowili podtrzymywać w nich minimalną nadzieję na to, że wciąż mogą oni żyć. W podobnej sytuacji znajdowały się zresztą również „wdowy morskie" z rozmaitych baz powietrznych marynarki wojennej w Kalifornii, które całymi latami zmuszano do pozostawania w stanie długiej i bolesnej niepewności. Zarówno w USAF, jak i w marynarce wojennej narastało poczucie rozgoryczenia związane z tym, że administracja Nixona nie domagała się od Hanoi jasnych odpowiedzi w sprawie losu zaginionych lotników, choć najprawdopodobniej sami komuniści nie byliby nawet w stanie zidentyfikować wielu z tych ludzi, zamienionych w spalone i poczerniałe szczątki albo wręcz w niewielką kupkę popiołu.

Im dłużej trwała operacja „Linebacker II", tym krótsze przerwy na odpoczynek dawano załogom. Już po pierwszych paru misjach kilkunastu lotników zgłosiło rozmaite niedyspozycje zdrowotne, byle tylko nie musieć lecieć na kolejne. Pod koniec operacji liczba ta zbliżyła się do 40 – co stanowiło około jednej dziesiątej całego stanu osobowego załóg biorących udział w każdej fali ataków. Paul Munninghoff wspominał, że dwóch jego kolegów „po prostu zastrajkowało, a słyszałem z drugiej ręki o jeszcze kilku innych takich przypadkach"[47]. Również pilot Ted Hanchett przyznawał: „[mogłem] zaświadczyć o dezercjach wśród załóg (...). Wciąż narażaliśmy nasze własne życie na ogromne ryzyko, a przecież nasi przywódcy, gdyby tylko chcieli, mogli to zakończyć naprawdę szybko". Dowódcy podchodzili do tego rodzaju przypadków z dużą wyrozumiałością: nikomu nie przedstawiono zarzutów dyscyplinarnych. Stres i zmęczenie udzielały się zarówno lotnikom, jak i obrońcom. Niektórzy piloci B-52 zaczęli ignorować rozkazy podchodzenia do celów w prostej linii i zamiast tego stosowali liczne uniki i inne drastyczne manewry. W ciągu tych jedenastu nocy

wystrzelono łącznie około tysiąca SAM, czasami w seriach jeden po drugim, co jednak w żaden sposób nie zwiększało ich skuteczności.

Do czasu, kiedy Waszyngton nakazał wstrzymanie operacji „Linebacker II" 29 grudnia, stracono już 15 maszyn B-52, a lotnicy zupełnie nie wiedzieli, kiedy dostaną rozkaz ponownego zbombardowania wroga. 3 stycznia 1973 roku dowódca DLS, generał John Meyer, zasłużony pilot myśliwców z okresu II wojny światowej, udał się do bazy Andersen z mocno nagłośnioną wizytą, która miała podnieść morale lotników, a okazała się katastrofą. Meyer już wcześniej odwiedził Guam w towarzystwie swojej rodziny, co tylko zirytowało żołnierzy jeszcze bardziej, uświadamiając im ich własną rozłąkę. Teraz z kolei postanowił on odznaczyć Krzyżem Sił Powietrznych pułkownika McCarthy'ego, dowódcę skrzydła, który wziął przedtem udział w zaledwie dwóch misjach operacji „Linebacker II", i to w charakterze pasażera. Podczas swobodnej rozmowy z lotnikami jeden z nich zaczął się uskarżać na negatywny wpływ, jaki intensywne operacje lotnicze wywierają na jego stosunki rodzinne, na co generał znalazł jedynie następującą odpowiedź: „Cóż, niektórym małżeństwom od samego początku nie dane jest przetrwać". Następnie Meyer przeszedł do uświadamiania załogom konieczności zachowania dyscypliny w szyku bojowym podczas podchodzenia do bombardowania, uciekając się nawet do gróźb postawienia przed sądem wojennym wszystkich tych, którzy wyłamią się z formacji. Po tej wypowiedzi doszło do niezwykłych, bezprecedensowych scen pomiędzy lotnikami a generałem z USAF: niektórzy z nich zaczęli wychodzić, inni głośno okazywali swoje niezadowolenie buczeniem albo gwizdami; w końcu w stronę Meyera poleciały krzesła, puszki z colą czy aktówki z materiałami po odprawie, a kilka z tych przedmiotów nawet w niego trafiło. Do akcji musieli wkroczyć starsi oficerowie, którzy pospiesznie wyprowadzili szacownego gościa. Nawet kiedy odjeżdżał z bazy, jego samochód został obrzucony żwirem przez rozwścieczonych pilotów. Był to jeden z najbardziej niezwykłych epizodów w całej historii Dowództwa Lotnictwa Strategicznego[48].

Część lotników odczuwała zażenowanie z powodu takiego właśnie rozwoju wypadków, ale wielu innych uważało, że Meyer sam sobie

zasłużył na to upokorzenie. Jak to ujął James Rash: „Większość z tych ludzi spędziła zbyt wiele godzin w powietrzu nad terytorium nieprzyjaciela (...). A wielu z nas jeszcze kilka dni wcześniej miało kolegów, z którymi byliśmy bardzo blisko, a potem oni już nie wrócili".

Jeśli chodzi o reakcję świata na te bożonarodzeniowe bombardowania, to zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w oczach opinii międzynarodowej odebrano je zdecydowanie negatywnie. Hanoi umiejętnie i z całym wyrachowaniem podrzucało mediom kolejne obrazki propagandowe, takie jak film ukazujący martwe ciała czy płaczące rozdzierająco dzieci albo zdjęcia zniszczonego szpitala. Celami USAF były przede wszystkim ośrodki kolejowe i zakłady energetyczne: w wyniku bombardowań moc energetyczna Wietnamu Północnego spadła ze 115 tysięcy kilowatów do zaledwie 29 tysięcy kilowatów, zniszczono też jedną czwartą zapasów paliwa w kraju. Hanoi skupiało się jednak na czymś zupełnie innym. Burmistrz miasta ogłosił, że w nalotach zginęło 1318 cywilów, a kolejnych 305 miało ponieść śmierć w Hajfongu. W „Washington Post" ukazał się artykuł określający te ataki jako „najokrutniejsze i najbardziej bezsensowne działanie wojenne zastosowane kiedykolwiek (...) przeciwko jednemu suwerennemu narodowi przez drugi"[49]. Z kolei komentarzowi Toma Wickera wydrukowanemu przez „New York Times" nadano tytuł *Hańba w skali świata*[50]. Londyński „The Times" zauważał natomiast, że bombardowania trudno było uznać za „zachowanie człowieka, który ze wszystkich sił dąży do pokoju", a artykuł w „Daily Mirror" zatytułowano: *Nixon utopił te święta we krwi*. W Hamburgu redakcja „Die Zeit" napisała: „Nawet kosmici musieliby to nazwać zbrodnią przeciwko ludzkości". Senator Edward Kennedy powiedział, że te ataki „powinny wstrząsnąć sumieniem wszystkich Amerykanów". W Canberze Gough Whitlam, nowo mianowany premier rządu utworzonego przez australijską Partię Pracy, odciął się od Stanów Zjednoczonych i skrytykował operację „Linebacker II". Jeden z jego ministrów, Tom Uren, potępił wykazywaną przez Nixona i Kissingera „mentalność zbirów". Inny nazwał tę kampanię „najbardziej potwornym działaniem w historii ludzkości, polityką maniaków".

Tego rodzaju brak powściągliwości w języku odzwierciedlał narastające wówczas lawinowo emocje polityczne, które gromadziły się przez całe lata trwania tej wojny, a do ich skumulowania przyczyniała się zarówno wieloletnia niechęć czynników liberalnych do Nixona, jak i ujawniane już teraz niemal dzień po dniu rewelacje w sprawie afery Watergate. Wielu amerykańskich konserwatystów wciąż zachowywało wiarę zarówno w swojego prezydenta, jak i w jego politykę: przyjmowali oni za dobrą monetę jego zapewnienia, że bombardowania były nieodzowne jako środek nacisku na komunistów, niezamierzających uwolnić przetrzymywanych jeńców wojennych. Ale już w oczach opinii międzynarodowej operacja „Linebacker II" jedynie umocniła wizerunek Wietnamczyków z Północy jako bezradnych ofiar pełnej przemocy polityki USA. Język, za pomocą którego krytykowano bombardowania, był w dużej mierze przesadzony, ale dzisiaj, niemal pół wieku później, dysponujemy dowodami wskazującymi, że operacja „Linebacker II" nie miała żadnego uzasadnienia politycznego czy militarnego, lecz służyła wyłącznie partykularnym celom samego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Gazety w Hanoi pisały, że od początku wojny siły komunistyczne zestrzeliły aż 3500 nieprzyjacielskich maszyn, choć w rzeczywistości od roku 1964 lotnictwo amerykańskie straciło nad terytorium Północy 944 samoloty i helikoptery. Dowodzący 7. Siłami Powietrznymi generał William Momyer napisał długo potem do jednego ze swoich kolegów z lotnictwa: „Żałuję jedynie tego, że nie wygraliśmy tej wojny. Dysponowaliśmy odpowiednimi siłami, umiejętnościami i wywiadem, ale nasi lepiej wiedzący cywile nigdy nie dali nam wolnej ręki. Mimo to nasze lotnictwo bez wątpienia sprostało wszelkim oczekiwaniom (...). Jeśli mielibyśmy wyciągnąć z tego jakąś nauczkę, musiałoby to być potwierdzenie dobrze znanej zasady – nie przystępuj do walki, jeśli nie jesteś gotowy zrobić wszystkiego, co konieczne, by móc ją wygrać". W rzeczywistości po II wojnie światowej tego rodzaju uwagi stanowiły już jednak przykład strategicznego niedouczenia[51]. Nie ma żadnych powodów, byśmy mogli przypuszczać, że lotnictwo było w stanie znacząco odmienić wynik konfliktu w Wietnamie, chyba że Momyerowi

i jemu podobnym pozwolono by na użycie broni nuklearnej – na co niektórzy z nich długo mieli nadzieję.

Bombardowania bożonarodzeniowe nie zmieniły sytuacji dyplomatycznej ani o jotę w stosunku do październikowej. Porozumienie zostało wynegocjowane i oczekiwało na podpisanie zaraz po tym, jak udałoby się wreszcie zmusić rząd w Sajgonie do jego przełknięcia. Hanoi zachowywało pewność siebie, bo zapewniło sobie przy stole konferencyjnym większość tego, co chciało, a resztę zamierzało uzyskać już niedługo, w formie swoistej ostatniej płatności.

26
Pocałunek przed śmiercią

1. WIĘZIEŃ

Niewielu ludzi śledziło przebieg negocjacji w Paryżu z większym osobistym zaangażowaniem niż blisko sześciuset amerykańskich jeńców wojennych przetrzymywanych przez komunistów. Większość z nich stanowili lotnicy, którzy trafiali do więzień w Hanoi albo w okolicach. Około dwudziestu albo trzydziestu jeńców pochwycono jednak na Południu – liczba ta zmieniała się między rokiem 1965 a 1973 – a potem trzymano ich w różnych obozach rozrzuconych po całym pograniczu z Kambodżą. Wśród tej ostatniej grupy wyróżniał się oficer służb zagranicznych Doug Ramsey, znajdujący się w rękach Wietkongu od stycznia 1966 roku. Przez pierwsze lata niewoli trzymano go w bambusowej klatce, niewiele większej od jego wychudzonego ciała, po której do woli hulały mrówki, skorpiony, termity i komary. Raz w miesiącu łaskawie pozwalano mu się ogolić. Listy z domu otrzymał dwa razy w ciągu siedmiu lat w niewoli, a raz zdarzyło mu się spędzić siedem tygodni bez możliwości umycia się. Przez jakiś czas musiał dzielić swoją skromną kwaterę z dwumetrowym czarno-żółtym wężem, którego znalazł w swoim łóżku. Wąż w końcu wypełzł z jego klatki i został zauważony przez strażników, którzy z miejsca go zabili.

Z początku Ramsey starał się przekonywać Wietnamczyków, że jest tylko zwykłym, mało ważnym cywilem. A oni pytali go wówczas, nie bezpodstawnie: w takim razie skąd masz swój karabinek AR-15? A co z granatami, które znaleźliśmy w kabinie ciężarówki? Argumentacja o jego rzekomej nieistotności zupełnie się zaś rozsypała po tym, jak komunistom wpadł w ręce egzemplarz „Washington Post", w którym

opisywano go jako „najważniejszego, jak dotychczas, jeńca pochwyconego przez wroga" i podawano jego stopień wojskowy podpułkownika. Z kolei Associated Press wyrażała się o nim jako o „jednym z najlepiej zorientowanych w sytuacji oficerów w cywilnej części amerykańskiej misji wojskowej". Był on człowiekiem wszechstronnie wykształconym, który swoje poglądy na wojnę kształtował na lekturach Tukidydesa i Sun Tzu[1]. Jego ojciec, emerytowany urzędnik rządowy i zwolennik Nowego Ładu, miał okazję doświadczać i oglądać z bliska trudności z czasów wielkiego kryzysu, a swojemu synowi zaszczepił cyniczne spojrzenie na działalność politycznych nominatów w służbie cywilnej, którym przeciwstawiał znacznie uczciwszych zawodowych urzędników. Po ukończeniu studiów podyplomowych na Harvardzie, gdzie jednym z jego nauczycieli był „Mac" Bundy, przyszło mu spędzić dwa lata w wywiadzie USAF w Japonii i na Okinawie. Kolejnym zawodowym przystankiem była praca za biurkiem dla Departamentu Stanu w Libanie, a kiedy pojawiła się oferta przeniesienia do CIA, Ramsey ją odrzucił, bo nigdy nie przemawiały doń wyczyny Jamesa Bonda. Komuniści z góry jednak założyli, że mieli do czynienia z oficerem wywiadu.

Ramseyowi i innym więźniom, którzy raz na jakiś czas pojawiali się w jego obozie, oszczędzano wprawdzie tortur standardowo stosowanych wobec jeńców w Hanoi aż do roku 1969, za to na Południu bardziej odczuwalne były wszelkie inne niedogodności, a nawet koszmary. Przede wszystkim, nigdy nie można było być pewnym, jak długo jeszcze się pożyje, bo część Amerykanów wpadających w ręce WK prędzej czy później czekała śmierć. Ramsey dowiedział się na przykład, że tuż przed jego pojmaniem w obozie doszło do egzekucji dwóch wojskowych jeńców: sierżanta Kena Rorabacka i kapitana Humberta Versacego. Obu poprowadzono do stołu, niby na posiłek, po czym zabito strzałami w tył głowy[2]. Usłyszawszy o tym, zaczął prosić swoich prześladowców, by w podobnej sytuacji dali mu chociaż 15 minut na napisanie listu do rodziców. Przez pierwsze dwa lata niewoli Ramsey utrzymywany był w stanie ciągłej niepewności co do swoich dalszych losów, wskutek czego cierpiał na bezsenność i śnił powtarzające się

koszmary o własnej egzekucji: „Nie wiem doprawdy, jak wytrzymałem to psychicznie".

Każda czynność, to, by usiąść, położyć się czy umyć zęby, wymagało prośby o pozwolenie kierowanej do strażników. Wydawali mu też oni rozkazy, podkreślane przenikliwymi odgłosami gwizdków. Ponieważ Wietkong z miejsca rozstrzeliwał Amerykanów, z którymi nie sposób było się dogadać, Ramsey, wykorzystując niezłą znajomość wietnamskiego, angażował się w częste konwersacje ze swoimi prześladowcami, mówiąc im – zgodnie z prawdą – że osobiście optowałby za wprowadzeniem w wioskach ich kraju socjalizmu. A kiedy jeszcze zgodził się podpisać propagandowe oświadczenie w tej sprawie, działacze posprzeczali się o to, czy nie należało w nim pomieścić jeszcze więcej upokarzających go słów. Ramseya wielokrotnie pytano też o kwestie wojskowe, na przykład o to, jak wielu żołnierzy Stany Zjednoczone zamierzają użyć podczas planowanej inwazji na Północ. Nic o tym nie wiedząc, strzelił, że może jakieś 400 tysięcy–700 tysięcy, na co przesłuchujący go działacz aprobująco skinął głową: „Nareszcie wkroczyłeś na ścieżkę wiodącą ku życiu"[3]. Przez cały czas niewoli normą był stan na pograniczu wygłodzenia. Niektórzy jeńcy umierali z głodu, bo zupełnie nie służyła im serwowana przez Wietnamczyków dieta – ich delikatne żołądki nie przyjmowały surowego pokarmu niewiadomego pochodzenia, natychmiast go zwracając. I na to istniała jednak rada: major marines Don Cook znalazł w sobie dość sił, by zmuszać się do zjadania własnych wymiocin.

W trakcie swojej niewoli Ramsey zapadł na imponującą liczbę rozmaitych dolegliwości – miał tasiemca, tyfus, szkorbut, zapalenie wątroby, beri-beri. Malaria atakowała sprawiedliwie obie strony konfliktu, a w jego obozie przyszło na nią umrzeć nawet zastępcy komendanta[4]; on sam doznał aż 123 napadów tej choroby. Rzecz jasna na porządku dziennym była czerwonka i pokrewna jej czerwonka pełzakowa. Najmniejsze skaleczenie nieodmiennie kończyło się infekcją. Ramsey napisał później o stanie, w jakim znajdował się on sam i inni współwięźniowie: „Każdy z nas wyglądał niczym wychudła i wymizerowana parodia swojego poprzedniego fizycznego ja (...) [byliśmy] tak słabi, że od czasu do czasu trzeba nas było zanosić do

latryny – nierzadko zbyt późno. Dopóki nie nawyknie się do więziennego życia w takim obozie, trudno wyobrazić sobie coś bardziej poniżającego dla dorosłego mężczyzny – a już zwłaszcza dla typowego macho, który należy do marines czy innego rodzaju wojsk uchodzących za elitarne. Później zaś okazuje się, że jeszcze gorsze jest poniżenie wynikające z budzenia się we własnych odchodach i leżenia w nich całymi godzinami czy nawet całymi dniami, bo ma się ręce i nogi skute kajdanami albo jest się zamkniętym w izolatce”[5]. Jednemu z więźniów zdarzyło się raz defekować 84 razy w ciągu jednego dnia.

Ramsey opisał jeden ze swoich napadów malarii, którego objawami były skurcze mięśni, gwałtowne drgawki i utrata kontroli nad całym ciałem. Ponieważ zerwała się akurat wtedy gwałtowna ulewa, „zdołałem jakoś, mocno spowolnionymi ruchami, przebrnąć przez głębokie kałuże wody, a po dotarciu tak daleko, jak tylko pozwalał mi mój łańcuch, wykopałem w ziemi niewielką dziurę i oddałem do niej wylewające się ze mnie potoki biegunki, a potem zataczając się, wróciłem – wszystkiego tego udało mi się dokonać, ani razu nie tracąc przytomności, ale tylko dzięki sporej liczbie drzew i słupów znajdujących się pod drodze”. Po powrocie był już jednak tak osłabiony, że nie mógł dosięgnąć swojego hamaka i padł prosto w błotnistą breję, w której siedział, zbierając siły, przez dobrych 10 minut, „za słaby nawet na to, by sobie przekląć”[6]. Przez cztery kolejne dni miał też wysoką gorączkę i nie mógł przyjmować żadnych pokarmów; ostra faza choroby utrzymywała się jeszcze przez dwa tygodnie. Inny więzień, szeregowy Charlie Crafts z Maine, tak oto opisywał swoje doznania: „Czułem się tak, jakby ktoś podłączył mi do dupy przewód od odkurzacza i zaczął wysysać wszystkie moje wnętrzności”. Sam Ramsey w szczytowym momencie swojego napadu dostał silnych konwulsji, a jego współwięźniowie uznali go już nawet za straconego.

Więźniowie nosili takie same czarne piżamy jak ich strażnicy, tyle że większość czasu spędzali przykuci do drzew, „ciężkim łańcuchem wrzynającym ci się w kostkę, o którą dodatkowo wciąż obijała się wielka metalowa kłódka”. Osłabionym chorobami i wygłodzeniem jeńcom z trudem przychodziło wykonywanie jakichkolwiek prac fizycznych, a sam Ramsey doznał zawrotów głowy, rąbiąc drzewo na rozkaz swoich

strażników. Zimą 1969 roku więźniom nakazano zbudować dla siebie nowy obóz, które to zadanie zajęło im całe pięć tygodni. W tym czasie narastały wśród nich napięcia, bo dochodziło do ciągłych kłótni o to, kto wykonał swoją część roboty, a kto temu nie podołał. Ponieważ zaś musieli być bardzo ostrożni w stosunkach z bojownikami Wietkongu, narastającą w nich z tego powodu frustrację wyładowywali teraz na sobie nawzajem, obrzucając się wyzwiskami i zarzucając sobie wzajemnie a to głośne chrapanie, a to ciągłe pierdzenie. Ramsey nie żywił jednak później specjalnie złych uczuć w stosunku do swoich współwięźniów, nawet tych, którzy zachowywali się nie w porządku wobec innych, tak jak pewnych dwóch cywilnych przedsiębiorców budowlanych. „Większość jeńców, którzy sami doznali ekstremalnych trudności, ma w sobie sporo wyrozumiałości w stosunku do innych, nawet tych, którzy pękali pod wpływem stresu”[7].

W pewnym momencie z CBWP nadeszła decyzja o uwolnieniu Charliego Craftsa. Wzbudziła ona sporo kontrowersji wśród strażników, którzy argumentowali, że zamiast niego powinno się wypuścić Dona Cooka, który spędził w niewoli już całe dwa lata. Sam Cook przekonywał ich z kolei, że to właśnie Crafts bardziej zasługuje na uwolnienie, ponieważ znajduje się w znacznie gorszym od niego stanie fizycznym. Jeśli chodzi o Ramseya, to po kilku latach swojego pobytu w niewoli dowiedział się on od pewnego wysokiego rangą działacza, który zjawił się w obozie z wizytą kontrolną, że zapadła decyzja o tym, by zachować go przy życiu, pod warunkiem iż nie będzie podejmował żadnych prób ucieczki. A kiedy Cook wyznał temu chłodnemu i wyrachowanemu Wietnamczykowi, że jest katolikiem, usłyszał od niego w odpowiedzi: *„Pax hominibus bonae voluntatis”* – „Pokój ludziom dobrej woli”[8]. Po tym, jak Ramsey i Cook otrzymali zgodę na to, by rozmawiać, zaczęli prowadzić między sobą długie debaty na temat doktryny katolickiej.

Douglas Ramsey (w środku) wśród jeńców wojennych uwolnionych 12 lutego 1973 roku. Ramsey spędził w niewoli siedem lat

W ciągu siedmiu lat w niewoli Ramsey miał okazję przeczytać zaledwie pięć książek: *Tomka Sawyera, Trzech panów w łódce…, Davida Copperfielda* i dwie rozprawy australijskiego komunisty Wilfreda Burchetta. Absolutnie zakazane było posiadanie Biblii, co stanowiło źródło głębokiej frustracji dla niektórych więźniów. Ramseyowi i Cookowi udało się raz podsłuchać transmitowany przez BBC koncert muzyki Bacha: „Obaj płakaliśmy jak dzieci". W piątym roku niewoli Ramseyowi udało się skądś wytrzasnąć talię kart, którymi odtąd namiętnie układał sobie pasjansa. Jeśli chodzi o to, o czym wtedy marzył, to: „czasami widziałem sam siebie w szytej na miarę kurtce ze skóry rekina od Brooks Brothers za 600 dolarów i w parze spodni Florsheim Imperials, pozującego niedbale ze świetnie zbudowaną wystrzałową laską rozciągniętą na masce mercedesa 600 przed wejściem do największego hotelu w Las Vegas – a następnie wysyłającego oprawioną kolorową fotkę formatu 16 na 20 cali jednemu z moich strażników z WK, którego zawsze podejrzewałem o tego rodzaju ciągoty. Ale takie wyobrażenia i tak nie umywały się do

zwykłego pejzażu jak z van Gogha oświetlonego słońcem jak z van Gogha albo do gorącej kąpieli, albo do butelki coli, albo do normalnej ludzkiej konwersacji, albo do muzyki klasycznej granej na cały regulator, przy jakichś 90 decybelach”[9].

Ramsey rozmyślał wtedy wiele o filozofii, a także o mechanice kwantowej: „Ponieważ nie miałem żadnej kontroli nad sprawami w moim własnym wycinku świata, wydawało mi się, że najlepiej będzie skupić się na całym świecie, w jak najszerszym wymiarze. To była taka umysłowa masturbacja”[10]. W ciągu tych długich lat kilka razy zdarzyły się jakieś momenty humorystyczne: śmiano się najczęściej ze spraw mało ważnych i raczej głupich, na przykład z tego, że pewna kura, która wpadła do latryny, po wyskoczeniu z niej zaczęła stroszyć pióra i wytrząsać z siebie cały brud na przechodzącego obok powszechnie nielubianego działacza. Innym razem, po tym jak zabrano jednego z poważnie chorych współwięźniów, pozostali dostali do jedzenia małpie mięso. Jeden z Amerykanów, który miał na swoim talerzu kończynę małpy, zaczął ją teatralnie oglądać ze wszystkich stron, a zapytany, po co to robi, odparł, że chce się tylko upewnić, czy nie będzie zaraz jadł swojego kolegi. Kiedy raz na czas któregoś z więzionych zabijała jakaś choroba, wśród pozostałych nieodmiennie spadało morale. Cook, o którym Ramsey mówił: to „ten wśród wszystkich jeńców, który zrobił na mnie największe wrażenie – potrzebowałem go, bo potrafił zarazem postawić mnie do pionu i dodać mi otuchy własnym przykładem”[11], zmarł na malarię w 1967 roku. Ramsey pisze też, że doradca major John Schumann umarł na niewydolność nerek, choć oficjalnie wciąż uznaje się tego żołnierza za zaginionego.

Z punktu widzenia zdrowia psychicznego dobrze się stało, że Ramsey nic wówczas nie wiedział o tym, iż mógł uniknąć ostatnich osiemnastu miesięcy niewoli, gdyby tylko Waszyngton wyraził taką wolę. W grudniu 1970 roku na Południu pochwycono Nguyena Tai, jednego z najwyższych rangą działaczy komunistycznych, którzy kiedykolwiek wpadli w ręce Sajgonu: wcześniej przez sześć lat kierował on operacjami szpiegowskimi i terrorystycznymi w stolicy Wietnamu Południowego. W październiku 1971 roku TRR zaoferował

Południowcom wymianę: Tai i jeszcze jeden wysoki rangą komunista właśnie za Douga Ramseya. Ale ani ludzie Thieu, ani CIA nie zgodzili się na taki układ. Zwłaszcza Tai był ich zdaniem postacią zbyt ważną: pozostawał on w odosobnieniu aż do ostatnich dni Sajgonu. O losie Ramseya miały zatem zadecydować ostateczne rozstrzygnięcia, które zapadły w Paryżu.

2. „POKÓJ"

Na początku 1973 roku lotniskowiec klasy Essex wypłynął z San Francisco w swoją ostatnią, jak miało się okazać, misję w Zatoce Tonkińskiej. Marynarze i lotnicy na jego pokładzie wpatrywali się z ponurym zdumieniem w zakorkowane ulice po obu stronach pustego mostu Golden Gate. Most został zamknięty przez policję, obawiającą się o to, że protestujący przeciwko wojnie demonstranci mogą chcieć zrzucać z niego na przepływający dołem okręt kamienie, a nawet materiały wybuchowe – do takiej bowiem temperatury wzrosło już wówczas antywietnamskie wrzenie w kraju. Teraz jednak Amerykanie zbliżali się przynajmniej do momentu ostatecznego zakończenia swojej awantury w Wietnamie, choć takich samych powodów do zadowolenia nie mieli już sami mieszkańcy tego kraju. W roku 2013 Henry Kissinger podał zmiany w projekcie porozumienia paryskiego wynegocjowanym w październiku 1972 roku, które jego zdaniem możliwe były dzięki bombardowaniom bożonarodzeniowym: nieograniczone prawo Stanów Zjednoczonych do dalszego dostarczania uzbrojenia i sprzętu dla Wietnamu Południowego; wycofanie się komunistów z Laosu i Kambodży; wzmocnienie międzynarodowych mechanizmów kontrolnych („Z których wszystkie, prawdę mówiąc, to jedna wielka bzdura – jak skomentował tenże Kissinger w prywatnej rozmowie z Nixonem 12 października 1972 roku – choć będą one dobrze wyglądać w oczach ludzi o miękkich sercach i słabych głowach"[12]); pomniejsze poprawki techniczne.

Pierwszą z tych spraw uzgodniono po prawdzie już przed czterema miesiącami[13]. Pozostałe zapisy albo miały charakter zupełnie

trywialny, albo od samego początku wydawało się jasne, że i tak nie będą przestrzegane przez komunistów. Kissinger podkreśla ponadto, iż rzekomo wskutek wspomnianych bombardowań w styczniu 1973 roku jego rozmówca z Paryża, Le Duc Tho, nie czynił już żadnych poważnych przeszkód na drodze do wypracowania ostatecznej wersji umowy, która przeszła do historii jako porozumienia paryskie. Tyle że Wietnamczycy z Północy byli gotowi sygnować niemal dokładnie ten sam układ, przynajmniej pod względem wszystkich jego istotnych elementów, już zeszłego października i pałali oburzeniem, że to Amerykanie odwlekają złożenie pod nim swoich podpisów. Jak to gorzko ujął John Negroponte z Departamentu Stanu: „Zbombardowaliśmy Wietnamczyków z Północy po to, by zaakceptowali nasze ustępstwa".

Decydująca zmiana faktycznie zaszła w styczniu, tyle że nie w Hanoi, ale w Sajgonie. Pod presją ze strony dwóch ważnych jastrzębi z Waszyngtonu, senatorów Barry'ego Goldwatera i Johna Stennisa, prezydent Thieu z ociąganiem zgodził się na wynegocjowane warunki. 23 stycznia o dojściu do porozumienia poinformował z Gabinetu Owalnego sam prezydent Nixon, który obiecał narodowi amerykańskiemu, że już wkrótce w Wietnamie dojdzie do generalnego zawieszenia broni, a jeńcy wojenni powrócą do domów w ciągu sześćdziesięciu dni. Wezwał ponadto do skrupulatnego przestrzegania warunków z Paryża. „Stany Zjednoczone – powiedział – będą w dalszym ciągu uznawały rząd Republiki Wietnamu za jedyną legalną władzę w Wietnamie Południowym. Będziemy też kontynuować naszą pomoc dla Wietnamu Południowego w ramach wynegocjowanego porozumienia i dalej wspierać wysiłki podejmowane przez ludność Wietnamu Południowego w celu pokojowego rozwiązania swoich problemów".

Prezydent nieprzypadkowo w bardzo ogólnych słowach wypowiadał się o konsekwencjach pogwałcenia układu: „Będziemy wypełniać wszystko to, do czego zobowiązuje nas to porozumienie, i oczekujemy od pozostałych stron, że i one będą wypełniać nakładane na nich zobowiązania". Większość Amerykanów uważała, że to właśnie dzięki swojej twardości, której odzwierciedleniem była bożonarodzeniowa kampania bombardowań, Nixonowi udało się wreszcie doprowadzić do

pokoju, który przez tak długi czas wymykał się kolejnym administracjom. Sondaże poparcia dla prezydenta wzrosły do 68 procent. A 27 stycznia sekretarz stanu William Rogers podpisał traktat w Paryżu: ostatnich 27 tysięcy amerykańskich żołnierzy i doradców zaczęło wracać do domu, który to proces zakończył się ostatecznie 29 marca. Od momentu objęcia prezydentury przez Nixona, który przecież wygrał wybory pod hasłem wprowadzenia własnego planu pokojowego w Wietnamie, zginęło tam 21 tysięcy Amerykanów. Komunistyczni więźniowie, zwalniani przez rząd w Sajgonie, przed wejściem do ciężarówek mających ich zawieść przez DMZ do domu na Północy w symbolicznym geście zrywali wydane im na Południu ubrania, analogicznie do jeńców północnokoreańskich wypuszczanych po rozejmie z roku 1953. A w Hanoi odbył się ogromny pokaz sztucznych ogni.

Kissinger wyznał swojemu szefowi, że przerażała go wizja Wietnamczyków z Północy przystępujących do szeroko zakrojonej ofensywy w celu zjednoczenia kraju już jesienią tamtego roku, co postawiłoby administrację przed koszmarnym dylematem, jak odpowiedzieć na to wyzwanie[14]. A jeszcze tego samego dnia, to jest 14 marca, Nixon powiedział Haldemanowi: „Cóż, Henry ma tu pełną rację. Musimy dołożyć wszelkich starań i dopilnować, żeby [porozumienie z Paryża] obowiązywało przynajmniej przez jakiś czas, ale za kilka lat od dziś nikt już nie będzie przejmował się tym, co dzieje się w jakimś cholernym Wietnamie". Następnie prezydent przeszedł do znacznie bardziej zajmującego go tematu wyborów cząstkowych, zupełnie nieświadomy faktu, że z powodu afery Watergate on sam przestanie pełnić urząd w Białym Domu w sierpniu 1974 roku, zanim jeszcze zostaną one rozpisane.

Zgodnie z warunkami porozumień paryskich Wietnam Południowy zwolnił 26 508 komunistycznych jeńców wojennych, Północ zaś wypuściła 4608 żołnierzy ARVN, 588 Amerykanów i 9 obywateli innych narodowości. Powrót amerykańskich jeńców wojennych, niemal wszystkich sprowadzonych drogą powietrzną z Hanoi, wywołał w ich ojczyźnie mnóstwo publicznych emocji, które nabrały jeszcze intensywności po tym, jak ujawniono szczegóły ich długoletniej niewoli.

Odkąd wyruszyli oni na wojnę, w ich kraju rodzinnym wiele się zmieniło. Pilot myśliwca, pułkownik Fred Cherry, nieobecny w domu przez blisko osiem lat, przekonał się, że jego żona dorobiła się tymczasem dziecka z innym mężczyzną, a dwóch jego synów wyrzucono ze szkoły średniej[15]; pani Cherry wydała ponadto wszystkie rodzinne oszczędności[16]. Z kolei głęboko religijny kapitan Norm McDaniel przeżył szok kulturowy: oburzały go seksualna dosłowność w filmach, otwartość w postrzeganiu homoseksualizmu, męskie spodnie w jaskrawych kolorach i szerokie paski noszone wcześniej wyłącznie przez kobiety, a także ceny w sklepach, które wydały mu się stanowczo za wysokie. „Wróciłem do kraju ze świadomością z roku 1966. Tam, w Wietnamie, niewiele słyszało się o zamieszkach i zabójstwach. Pamięć sprawiała mi dużo problemów. W końcu nauczyłem się skupiać tylko na wybranych rzeczach".

McDaniel zapewnił sobie swoisty parasol bezpieczeństwa, pozostając w czynnej służbie lotniczej. Miał też w sobie dość wyrozumiałości i współczucia, by rozumieć, że jego losy wcale nie potoczyły się tak źle, choćby w porównaniu z losami pozostawionych za oceanem Wietnamczyków: „Ja przynajmniej wróciłem do czegoś lepszego. A oni mieli dalej przeżywać te same cierpienia". Miał wówczas zaledwie trzydzieści pięć lat, ale z powodu niedoboru witamin jego kościec był w stanie charakterystycznym dla typowego sześćdziesięciolatka. Jak wyznał: „Ameryka traktowała nas, jeńców wojennych, o wiele lepiej od zwykłych weteranów. Wielu zwykłych żołnierzy też potrzebowało wsparcia – ale go nie dostawało"[17]. Niektórym z byłych jeńców udało się powrócić do pełnej sprawności fizycznej oraz psychicznej i rozpocząć nowe, pełne sukcesów życie poza siłami zbrojnymi: najbardziej znanym przykładem stał się senator John McCain. Inni jednak nigdy nie pozbyli się do końca fizycznego bólu i koszmarnych wspomnień. Przed zwolnieniem Douga Ramseya i innych Amerykanów przetrzymywanych na Południu, zwrócił się do nich sam komendant obozu[18]. Powiedział, że bezpośrednio po odzyskaniu przez nich wolności, a potem jeszcze przez jakiś czas, będą oni odczuwać rozgoryczenie, co uznał za nieuniknione i do pewnego stopnia naturalne. Większość niedostatków, jakie cierpieli jeńcy – kontynuował

– wynikała z trudnych warunków wojennych, w których ich przetrzymywano, ale części dałoby się zapewne uniknąć przy zmianie podejścia bojowników WK. Mimo to komendant wyrażał nadzieję, że jako ludzie dorośli Amerykanie będą w stanie dostrzec, iż na dobrą sprawę powinni być wdzięczni swoim prześladowcom za to, że pozwolili im żyć, choć znacznie wygodniej byłoby ich po prostu zastrzelić. Liczył też na to, że po powrocie do kraju więźniowie będą w stanie przemówić swoim rodakom do rozsądku, by nigdzie indziej nie podejmowano już interwencji takich jak w Wietnamie. A skoro im samym dane było wieść życie na skraju ubóstwa, to może łatwiej im się będzie teraz wczuć się w sytuację tych wszystkich, którzy muszą funkcjonować w ten sposób od narodzin do śmierci, bez najmniejszej nadziei na jakąkolwiek zmianę na lepsze. Większość jego amerykańskich słuchaczy zareagowała na te słowa cynicznie, a nawet pogardliwie: żaden z nich nie zamierzał wracać do ojczyzny po to, by stać się tam „bojownikiem o wolność". Ramsey zanotował jednak później, że w tym, co mówił ów komunista, były jakieś elementy prawdy, „a nawet głębokiej mądrości".

Zwolniono ich ostatecznie, łącznie 27 ludzi, 12 lutego 1973 roku w Loc Ninh, zwracając im w dodatku wszystkie rzeczy osobiste. Jedynie Jim Rollins otrzymał tani zegarek Seiko w zamian za swojego złotego rolexa, który – jak powiedział mu jeden z działaczy – przepadł „w warunkach wojennych". Sam Rollins nie był do końca przekonany do tej wersji wydarzeń, bo z miejsca wykrzyknął oburzony: „Gówno prawda! Jeszcze parę tygodni temu widziałem tego rolexa na nadgarstku twojego kuzyna!". Podczas przekazywania jeńców ich rodakom, wśród których znajdował się dawny druh Ramseya, Frank Scotton, pewien komunistyczny pułkownik poprosił o pozwolenie na obejrzenie kokpitu wielkiego amerykańskiego helikoptera. Podziwiając nowoczesny sprzęt w środku, wyznał on całkiem przyjaznym tonem, że być może któregoś dnia wyśle swojego syna na studia do Stanów Zjednoczonych, czym niechcący uświadomił wszystkim dookoła, że Wietnamczycy z Północy byli w pełni świadomi poważnych ograniczeń swojego społeczeństwa. W trakcie tej rozmowy jeńcy dowiedzieli się też, że tuż przed ich wyzwoleniem dziecko jednego z ich strażników

zginęło, a drugie straciło rękę w bożonarodzeniowych bombardowaniach Hajfongu. A mimo to człowiek ten na pożegnanie uścisnął im wszystkim ręce, życzył powodzenia, a nawet podzielił się z nimi swoją racją tytoniu. Ramsey uznał to za najbardziej imponujący gest, jaki mógł wykonać ów komunista na rzecz bronionej przez siebie sprawy: „Większość Amerykanów, którzy znaleźliby się w takich okolicznościach, trzeba by powstrzymywać przed chwyceniem za pierwszy lepszy AK-47 i przeprowadzeniem na całym kontyngencie jeńców masakry w stylu My Lai”[19].

Niektóre jastrzębie do dziś wierzą w to, że gdyby tylko Nixon zachował swój urząd, ponownie wykorzystałby on amerykańskie lotnictwo do ocalenia reżimu w Sajgonie, kiedy Północ przystąpiła wreszcie do swojej decydującej ofensywy. Tyle że już w lutym i marcu 1973 roku prezydent jasno dawał do zrozumienia – w tym również w rozmowie z jednym z właśnie sprowadzonych jeńców wojennych – że nie widzi żadnej politycznej możliwości powrotu do działań militarnych[20]. A 29 czerwca przedstawiciel mniejszości w Izbie Reprezentantów Gerald Ford zaszokował cały Kongres, oświadczając, że prezydent jest skłonny podpisać ustawę zakazującą Stanom Zjednoczonym prowadzenia jakichkolwiek działań bojowych w przestrzeni powietrznej albo u wybrzeży każdego z czterech państw wchodzących w skład Indochin – tym bardziej że minęły zaledwie dwa dni od zawetowania przezeń projektu mającego uniemożliwić USA bombardowanie Kambodży. Ustawa taka faktycznie weszła w życie – stosunkiem głosów 278 za do 124 przeciw w Izbie Reprezentantów, a 64–26 w Senacie – choć najpierw Ford przeprowadził jeszcze rozmowę telefoniczną z Nixonem, przebywającym wówczas w San Clemente, by upewnić się, że właściwie zrozumiał intencje zwierzchnika sił zbrojnych. I choć winą za dopuszczenie do upadku Wietnamu Południowego Nixon z lubością obarczał później Kongres, to z dokumentów wynika raczej, że to on sam dobrowolnie zrzekł się możliwości wpływania na dalszy rozwój sytuacji. Trudno też mieć wątpliwości co do jego motywacji: jeśli, czy może raczej kiedy, doszłoby do powszechnie oczekiwanej ostatecznej ofensywy Wietnamu

Północnego, Nixon nie chciał po prostu mieć przed sobą dylematu, czy powinien zareagować na nią jakąś nową amerykańską interwencją.

Choć nie zachowały się żadne taśmy z jego rozmów prowadzonych w San Clemente, to wiemy, że 29 marca w Waszyngtonie powiedział on Kissingerowi: „Co do Kambodży, to musimy zbombardować to cholerne miejsce, zanim Kongres odbierze nam taką możliwość. [Potem?] możemy już zrzucić całą winę na nich, jeśli wszystko zacznie się pieprzyć”[21]. Ale już w czerwcu prezydent zrzekł się jakiejkolwiek odpowiedzialności za sytuację w Indochinach. Niezależnie od coraz większych kłopotów z aferą Watergate była to mądra decyzja. Stany Zjednoczone i całe społeczeństwo amerykańskie doznały głębokiego rozdarcia z powodu toczonej tam wojny, a porozumienia paryskie dawały okazję do ostatecznego zamknięcia tej kwestii. 4 sierpnia Nixon podpisał ustawę przedłożoną z jego inspiracji, która zakazywała Stanom Zjednoczonym toczenia jakichkolwiek dalszych działań wojennych w Indochinach. Po czym, w geście godnym Piłata, wysmażył list do przywódców frakcji w Kongresie, w którym ostrzegał ich, że jeśli w konsekwencji przyjęcia tej ustawy komuniści opanują całe Indochiny, wówczas wina za to spadnie wyłącznie na Kapitol.

Nieco ponad dwa lata wcześniej, 18 lutego 1971 roku, Kissinger powiedział Nixonowi, że w jego przekonaniu Le Duc Tho powinien od nich usłyszeć mniej więcej tyle: „Dobra, jesteśmy skłonni zgodzić się na jakąś konkretną datę w przyszłym roku, do której nastąpi całkowite wycofanie naszych wojsk, zwolnienie wszystkich jeńców i powszechne zawieszenie broni”. Samemu prezydentowi wyjaśnił jeszcze dodatkowo: „A wtedy moglibyśmy powiedzieć Wietnamczykom z Południa – macie teraz rok bez wojny i wykorzystajcie go na solidne wzmocnienie się”[22]. Przez kolejne pół wieku Kissinger raz po raz podkreślał, że udało mu się uzyskać całkiem przyzwoite porozumienie, tyle że unicestwiły je później afera Watergate, perfidia komunistów i bojaźliwość Kongresu. Co innego pokazują jednak twarde dowody, zestawione przez badaczy takich jak Jeffrey Kimball i Ken Hughes na podstawie taśm z rozmowami toczonymi ówcześnie w Białym Domu, z których jasno wynika, że zarówno Kissinger, jak i Nixon zawsze postrzegali sprawę Wietnamu Południowego jako przegraną. Afera Watergate nic tu nie

zmieniła. Zarzut, jaki można postawić obu tym politykom – co raz jeszcze warto podkreślić – nie polega wcale na tym, iż nie udało im się ocalić reżimu w Sajgonie, które to zadanie należało do tych z gatunku właściwie niewykonalnych. Chodzi raczej o to, że przez długie lata usiłowali oni wmówić społeczeństwu amerykańskiemu, a później również i całemu światu, jakoby kiedykolwiek wierzyli w to, iż byli w stanie tego dokonać.

Sześć miesięcy po rezygnacji Nixona w rozmowie z Arthurem Schlesingerem Kissinger scharakteryzował prezydenta następująco: „Był zarazem i gorszy, i lepszy od tego, co myśleli o nim ludzie”[23]. W dalszym ciągu tego wywiadu sekretarz stanu – bo takie stanowisko objął Kissinger w grudniu 1973 roku – opisywał swojego byłego szefa jako człowieka zdumiewająco leniwego, któremu często nie chciało się nawet przejrzeć najważniejszych tytułów gazet. „Jego system pracy – oceniał polityk będący jeszcze do niedawna najważniejszym narzędziem w rękach Nixona – w dużym stopniu przypominał rutynę Hitlera, opisywaną przez Speera (...). W tej delikatnie homoseksualnej, a zarazem pełnej napięcia atmosferze Białego Domu wszystko wydawało się dziwaczne (...). Nie sposób było wierzyć w ani jedno wypowiadane przezeń słowo”. To był właśnie cały Kissinger: tak bardzo dystansujący się od ówczesnych wydarzeń, że można by przypuszczać, iż w ciągu poprzednich lat w Białym Domu odgrywał tam wyłącznie rolę nadwornego astronoma, który po latach patrzy beznamiętnie na rozmaite występki okrytego już wówczas niesławą prezydenta przez swój wielki teleskop.

Kissinger niewątpliwie zasłużył sobie na wdzięczność Amerykanów za to, że wydostał ich wszystkich z długiego koszmaru, a przy tym pozwolił im zachować jakieś resztki godności i szacunku do siebie samych. Żadnych powodów do okazywania mu wdzięczności nie mieli już jednak sami Wietnamczycy. Jego reputacja pozostanie na zawsze splamiona po tym, jak próżność nakazała mu przyjąć łączoną Pokojową Nagrodę Nobla, której drugą część rozważnie odrzucił Le Duc Tho. Większość uchodźców z Wietnamu do dziś nienawidzi Kissingera, zarzucając mu wprost zdradę. Jednym z nielicznych Wietnamczyków z Południa, którzy potrafili się zdobyć na chłodną i zdystansowaną

ocenę, jest historyk Nguyen Ky Phong piszący: „Jego zadaniem było zrobienie wszystkiego, co należało, byle tylko wyplątać Amerykanów z Wietnamu, i zadanie to wykonał”[24].

3. WOJNA FLAG

Kiedy pod koniec stycznia 1973 roku w Tan Son Nhut wylądowała północnowietnamska delegacja wojskowa, by ustanowić tam swoje biuro łącznikowe, po jej wyjściu z samolotu doszło do swoistego impasu, jako że nowo przybyli odmówili przejścia standardowej procedury imigracyjnej, gdyż w ten sposób pośrednio uznaliby władze Wietnamu Południowego. Część Amerykanów obserwujących tę scenę nie bez satysfakcji patrzyła na swoich niedawnych wrogów dosłownie pocących się z wrażenia na rozgrzanej płycie lotniska, ale ostatecznie z dalszych formalności zrezygnowano. Porucznik Nghien Khiem, zawiadujący tamtego dnia z ramienia VNAF bezpieczeństwem lotniska, zapamiętał: „Oni [komuniści] chodzili i rozmawiali w taki sposób, jakby wiedzieli, że i tak ich będzie na wierzchu”[25]. Niektórzy ludzie z jego kompanii pytali go: „Poruczniku, czy oni wszyscy naprawdę są generałami?”. Złote gwiazdki obecne na mundurach wojskowych z Północy, niezależnie od szarży, wprawiały żołnierzy Południa w bezbrzeżne zdumienie.

W całym obozie komunistycznym zapanował prawdziwy entuzjazm. Według pewnego dowódcy oddziału z AWP „morale poszybowało aż pod samo niebo, ponieważ byliśmy już absolutnie pewni ostatecznego zwycięstwa”[26]. Jego jednostka przystąpiła nawet do świętowania, „bo naszym zdaniem oznaczało to tyle, że wszyscy dożyjemy powrotu do domów”. Wraz z zakończeniem bombardowań na Szlaku Ho Chi Minha poprawiła się logistyka AWP, a co za tym idzie, również racje żywnościowe docierające do żołnierzy Hanoi. Doświadczony pułkownik An napisał: „To było tak, jakby ktoś po prostu wcisnął wyłącznik magnetofonu kasetowego: nagle ustały wszystkie odgłosy i hałasy”[27]. Komunistyczni żołnierze cieszyli się samą możliwością spokojnego

przespania całej nocy, beztroskiego jedzenia na otwartej przestrzeni czy spoglądania w niebo bez niepokoju, że lada chwila pojawi się na nim wrogie lotnictwo. Z Północy wysłano kilka trup teatralnych mających zabawiać wojsko, przy czym zdarzało się, że niektóre ich występy oglądali z bezpiecznej odległości również ich dotychczasowi (i przyszli) przeciwnicy z Południa. W jednostce Bao Ninha zaczęły nawet pojawiać się pewne oznaki luksusu, takie jak książki, „choć żadna z tych propagandowych bzdur nie nadawała się do czytania”[28].

Gdzieniegdzie dochodziło wręcz do pewnego bratania się obu stron. Tri, były student uniwersytetu w Hanoi, toczył bardzo miłe rozmowy z pewnym młodym Sajgończykiem, któremu również przerwano studia. Obaj zgadzali się, że żołnierz musi wykonywać swoje obowiązki, niezależnie od tego, po której stronie walczy, a wina – czy może raczej odpowiedzialność – spada na tych, którzy podejmują decyzje u szczytu władzy. W całym kraju jak grzyby po deszczu wyrastały propagandowe billboardy, takie jak ten umieszczony wśród trzcin na pograniczu obszaru kontrolowanego przez Wietkong: „Żołnierze, odłóżmy zemstę na bok, teraz potrzebujemy odbudowy i przyjaźni”[29]. Według Mai Elliott: „Doszło wówczas do krótkiego zachłyśnięcia się optymizmem. Nie chodziło o to, że ludzie zaczęli wątpić w ostateczne zwycięstwo komunistów, po prostu pojawiła się nadzieja, że może to im zająć jeszcze całkiem sporo czasu”[30].

W Sajgonie Merle Pribbenow z CIA ze zdumieniem słuchał niektórych ludzi z Departamentu Stanu, z pełnym przekonaniem perorujących o tym, że Południe ma szansę przetrwać. Z Langley przyleciał do nich szef operacji w Wietnamie, by poznać zdanie swoich podwładnych na temat dalszego rozwoju sytuacji: „Praktycznie wszyscy zgadzaliśmy się, że Hanoi tak łatwo się nie podda – powiedział Pribbenow. – Zakładaliśmy, że dojdzie do kolejnej szeroko zakrojonej ofensywy. A mimo to oficjalne stanowisko Agencji głosiło, że sytuacja jest pod kontrolą: Północ poniosła bardzo poważne straty podczas walk w roku 1972 i potrzebuje teraz pomocy gospodarczej ze strony Stanów Zjednoczonych”[31].

Optymiści mieli sporo racji, bo w pierwszych tygodniach po podpisaniu porozumień paryskich w Hanoi podnosiły się liczne głosy, w tym również samego Giapa, by w pełni respektować jego warunki. Stary generał uważał, że jakiś okres stabilizacji, wspomaganej obiecaną przez Amerykanów gotówką, byłby wprost bezcenny dla jego wyczerpanego wojną kraju. Jak zwykle jednak Le Duan odrzucał możliwość choćby czasowego ustąpienia pola. Ten człowiek o prawdziwie żelaznej woli, dumny z tego, że potrafił podporządkować wszystkie swoje ludzkie słabości sprawie rewolucji, 27 marca 1973 roku oznajmił w gronie członków politbiura, powiększonym o kilku innych ważnych działaczy, że nowym celem ma się odtąd stać wzmacnianie swojej pozycji na polu walki, przy czym całe odium za złamanie zawieszenia broni powinno spaść na drugą stronę.

Kluczową decyzją podjętą przez Hanoi była ta o kontynuowaniu wojny. Choć AWP nie mogła już odtąd liczyć na hojne dostawy broni od Sowietów i Chińczyków, to do tej pory udało jej się zgromadzić całkiem spore jej zapasy, a w dodatku, pod nieobecność amerykańskiego lotnictwa, nie groziły jej już tak olbrzymie straty w sprzęcie. W ciągu całego roku 1973 na Południe przetransportowano łącznie 27 tysięcy ton broni i amunicji, 40 tysięcy ton ryżu i 6 tysięcy ton paliwa – co stanowiło czterokrotność wolumenów z poprzedniego roku. Szlakiem wyruszyło też 100 tysięcy świeżego wojska, zwiększając liczebność komunistów na południe od Strefy Zdemilitaryzowanej do 400 tysięcy żołnierzy. Kissinger wzywał do jakichś działań militarnych mających powstrzymać ten ciągły napływ ludzi i sprzętu, ale nawet przed postawieniem przez Kongres ostatecznego weta dalszym operacjom wojskowym w Wietnamie Nixon i tak nie miał najmniejszej chęci na wznowienie bombardowań, zwłaszcza że właśnie rozkręcała się afera Watergate.

Ale nie tylko Wietnam Północny nie miał zamiaru przestrzegać warunków uzgodnionych w Paryżu. Ze zrozumiałych powodów prezydent Nguyen Van Thieu nie zgadzał się na to, by rozległe połacie jego kraju miały pozostawać w rękach komunistycznych. Część historyków milcząco zakłada, że gdyby tylko obie strony przestrzegały zapisów porozumień paryskich, mogłyby się one okazać całkiem znośnym kompromisem. Trudno było jednak racjonalnie wytłumaczyć,

w jaki sposób państwo, którego kształt na mapie przypominał teraz bardziej archipelag lądowych „wysepek" – porozrzucanych między komunistycznymi enklawami uprawomocnionymi w Paryżu, a wkrótce dodatkowo wytyczającymi swoje własne granice przy użyciu 10 tysięcy flag – miałoby sobie dalej radzić pod względem gospodarczym i politycznym. Zwłaszcza sam Thieu znalazł się teraz w położeniu nie do pozazdroszczenia. Ten mający już wówczas pięćdziesiąt lat polityk całą swoją dotychczasową karierę zbudował na ścisłej współpracy z Amerykanami, a nawet na spełnianiu wszystkich ich życzeń, a tymczasem wielu rodaków Nixona miało sobie odtąd najbardziej życzyć tego, by zniknął on w jakiejś mysiej dziurze i nigdy więcej się nie pokazywał. Clark Clifford, były sekretarz obrony Lyndona Johnsona, publicznie wyraził się o południowowietnamskim prezydencie jako o przeszkodzie na drodze do pokoju, dodając, że gdyby tylko ustąpił ze stanowiska, „w Sajgonie dałoby się utworzyć prawdziwie neutralny i reprezentatywny rząd, który mógłby w dobrej wierze prowadzić negocjacje z drugą stroną".

Taka ocena sytuacji nie miała rzecz jasna najmniejszego sensu: nawet gdyby Thieu rzeczywiście zrezygnował, to komuniści i tak nie byliby zainteresowani żadnym innym wynikiem aniżeli zjednoczenie całego Wietnamu pod ich własnym przywództwem. W słowach Clifforda nie chodziło jednak wcale o żadną zmianę rządu w Sajgonie – odzwierciedlały one raczej dość zrozumiałe, choć mało budujące pragnienie podzielane przez wielu Amerykanów, by cały ten cholerny Wietnam zniknął wreszcie na dobre z ich zbiorowej świadomości. Thieu nie mógł się wprawdzie pochwalić żadnymi specjalnymi osiągnięciami w ciągu ostatnich dwóch lat istnienia swojego „porozbiorowego" kraju, ale wydaje się mało prawdopodobne, by ktokolwiek inny na jego miejscu mógł sobie poradzić jakoś znacząco lepiej. W dalszym ciągu toczył on wojnę, ale w dużej mierze dlatego, że zmusił go do tego Le Duan, choć po części być może również z tego powodu, iż konflikt ten – jak z całym okrucieństwem podsumował kiedyś Kissinger – stał się z czasem jedynym racjonalnym powodem trwania jego chwiejącego się w posadach reżimu.

Thieu nie podjął przy tym żadnych wysiłków w celu zreformowania swojej armii, albo chociaż oddania dowództwa nad nią w ręce kompetentnych oficerów zamiast politycznych nominatów, i to pomimo że nie mogła się już ona odtąd skrywać za żelaznym pancerzem amerykańskiej potęgi wojskowej. Wykazał przy tym na tyle mało rozsądku, by uwierzyć w zapewnienia wielokrotnie składane mu przez Kissingera, że Waszyngton dochowa mu wierności i w razie wznowienia przez komunistów agresji na Wietnam Południowy ponownie pośle w bój amerykańskie lotnictwo i artylerię – choć przecież każdy średnio zorientowany waszyngtoński urzędnik mógł wyjaśnić południowowietnamskiemu prezydentowi, dlaczego w żadnych okolicznościach nie powinien się więcej spodziewać interwencji z użyciem B-52.

Po ogłoszeniu zawieszenia broni amerykańscy doradcy pożegnali się z jednostkami armii południowowietnamskiej, którym dotąd służyli radą i – co znacznie ważniejsze – zapewniali dostęp do amerykańskiego wsparcia ogniowego. Podpułkownik Gerry Turley oznajmił wprost swojemu odpowiednikowi z wietnamskich marines, że odtąd nie może się już spodziewać żadnego takiego wsparcia ze strony amerykańskiej marynarki wojennej. Wietnamczyk odparł na to szczerze: „Dziś odcięto mi moją prawą rękę". Widząc, jak nad wieloma miasteczkami i wioskami wykwitają kolejne flagi Wietnamu Północnego i Wietkongu, Turley nie miał żadnych wątpliwości, że – co ów pułkownik równie szczerze wyznał mu w dalszej części ich rozmowy – „po Wietnamczykach z Południa właśnie spuszczono wodę". Doradca wywiadu Edward Brady powiedział z kolei: „Wietnamczycy nigdy wcześniej nie czuli się przez nas zdradzeni i sprzedani, aż do tych (...) porozumień. Przedtem uważali nas za głupców, ale myśleli, że przynajmniej jesteśmy z nimi"[32]. Dowódca wietnamskiej marynarki Nguyen Tri użył natomiast słów, które wielokrotnie miały być później powtarzane przez wielu jego rodaków: „To nie komuniści wygrali. To Amerykanie postanowili wrócić do domu i pozwolić Wietnamowi Południowemu przegrać"[33].

Trzy lata wcześniej Creighton Abrams pozwolił sobie na wygłoszenie w obecności swoich sztabowców pogardliwej i nacechowanej pewnym

znużeniem opinii o południowowietnamskich sojusznikach: „Wiem, że ci ludzie zmagają się z tą c h o l e r n ą wojną już od dwudziestu lat. To znaczy, oni naprawdę nie mieli tutaj już od dawna choćby dłuższej chwili p i e p r z o n e g o pokoju. I są już tym zmęczeni, i tak dalej. A l e (...) jeśli oni n a p r a w d ę chcą, żeby to ich było na górze, to, d o j a s n e j c h o l e r y, wciąż muszą być gotowi na poświęcenia, i to wielkie poświęcenia. Bo a l t e r n a t y w ą wobec takiej postawy (...) jest to, że w ciągu kolejnych pięciu albo sześciu lat oni wszyscy, d o c h o l e r y, staną się komunistami”[34]. Był to wyraz autentycznego zniecierpliwienia odczuwanego przez całkiem wielu Amerykanów, równie wielkiego, a może nawet jeszcze większego w roku 1973 aniżeli trzy lata wcześniej, bowiem od teraz tylko od samego społeczeństwa południowowietnamskiego, a w szczególności od jego wojska, zależeć miało to, czy uniknie ono podporządkowania komunistycznej tyranii.

Tyle że Sajgon nie dostał wcale okresu względnego spokoju, owego „roku bez wojny”, o którym myślał kiedyś Kissinger. On sam poleciał zresztą w połowie lutego do Hanoi na rozmowy rozpoznawcze, po których odniósł wrażenie, że nie istniały żadne podstawy do budowania jakichkolwiek roboczych stosunków. W wojnie flag narastającej stopniowo na Południu obie strony zaczynały toczyć ze sobą coraz bardziej zaciekłe lokalne walki o utrzymanie albo odzyskanie jakiejś części terytoriów. Dowódcy Południa przenosili na inne obszary te jednostki, które uznawano za zbyt zbratane z nieprzyjacielem w dotychczasowym miejscu służby. Pewien żołnierz AWP po przybyciu któregoś ranka na umówione miejsce, w którym wymieniał się wcześniej owocami z Południowcami, omal nie zginął od miny, którą zdążyli tam zakopać nowo przybyli następcy dotychczasowego garnizonu. 29 marca doszło do formalnej likwidacji MACV: większość pozostających jeszcze w Sajgonie ludzi po prostu zebrała swoje manatki i opuściła klimatyzowane kwatery, w których dotąd urzędowała. Jej szczątkowe już funkcje przejął urząd *attaché* obrony, który jednak zatrudniał głównie amerykańskich cywilnych pracowników kontraktowych w liczbie 2500 oraz 400 lokalnych cywilów, a tylko 50 amerykańskich oficerów w służbie czynnej.

Wiceprezydent Ky napisał później z rozgoryczeniem, że kiedy Amerykanie wyjeżdżali, z dumą wskazywali na ogromną południowowietnamską armię, którą stworzyli, ale „nie potrafili już przyznać, nawet sami przed sobą, iż ten milion uzbrojonych ludzi prowadzony był przez grono wstrętnych lizusów, których prototypem był sam Thieu”[35]. Była to w dużej mierze prawda, choć wiceprezydent do grona owych lizusów z powodzeniem mógł zaliczyć również siebie samego. Pewien kapitan wojsk Południa powiedział o traktacie z Paryża: „To był dla nas wyrok śmierci”[36]. Tuż przed swoją śmiercią John Vann oznajmił z kolei grupie Amerykanów: „Przytłaczająca większość populacji – może z jakieś 95 procent – woli rząd Wietnamu [Południowego] od rządu komunistycznego[37]”. Choć jednak niewątpliwie tylko nieliczna mniejszość Wietnamczyków z Południa z radością przyjmowała perspektywę zwycięstwa Hanoi, to wszyscy ci, których odrzucał sam komunizm, wciąż kochali swój dotychczasowy kraj zbyt słabo, a o jakimkolwiek pokoju marzyli zbyt mocno, by podjąć dalszą walkę z pełnym przekonaniem o możliwości jej wygrania.

Winę za stopniowe unicestwienie zawieszenia broni ponosiły po równo obie strony. 3 marca 1973 roku ARVN przystąpiła do wielkiej ofensywy mającej doprowadzić do zajęcia terenów wokół bastionów nieprzyjaciela w lesie U Minh, w leżącej w Delcie prowincji Chuong Thien. Atak ten napotkał jednak zaciekły opór komunistów i ostatecznie został przez nich odparty. Giap twierdził później, że właśnie tego rodzaju inicjatywy podejmowane przez Wietnamczyków z Południa kazały mu z czasem zmienić stanowisko w sprawie przestrzegania warunków z Paryża. Tyle że od samego początku wydawało się mało prawdopodobne, by którakolwiek ze stron chciała powstrzymać się od dalszych działań wojennych: Północ dlatego, że oczyma wyobraźni widziała już swoje ostateczne zwycięstwo, a Południe z tego względu, iż cały system odziedziczony po Amerykanach był na dłuższą metę nie do utrzymania.

Jeden z generałów ARVN napisał, że wojna „zaprowadziła [Wietnam Południowy] na skraj moralnego i materialnego bankructwa” – jak twierdził, większość jego rodaków utraciła już wszelką zdolność do dalszych poświęceń; teraz słuchali oni najchętniej syrenich śpiewów

Trinh Cong Sona, znanego wówczas piosenkarza z Sajgonu, autora antywojennych ballad[38]. Z kolei pewien kapitan powiedział: „Większość naszych zwykłych żołnierzy nie miała żadnego powodu, by nienawidzić wroga, ponieważ nie miała ona okazji oglądać, do czego zdolny jest komunizm”[39]. A porucznik Nguyen Quoc Si zauważył ponuro: „Nie miało żadnego znaczenia, kto stał na czele rządu w Sajgonie – za wszystkie sznurki i tak zawsze pociągali Amerykanie. Oni też toczyli tę wojnę, tak długo, jak długo ich zdaniem leżało to w ich interesie. A potem przestali i zostawili nas samych”. O własnych doświadczeniach bojowych z okresu po traktacie paryskim powiedział on zaś następująco: „Ludzie nie chcieli już umierać, bo wiedzieli, że ta wojna i tak dobiega końca”. W latach 1970–1972 wojska Południa chwaliły się nader korzystnym „współczynnikiem zabijania”, wynoszącym ponoć pięciu zabitych wrogów na jednego straconego żołnierza po stronie własnej. Niezależnie od tego, ile prawdy było w takich statystykach, warto zauważyć, że w roku 1973 współczynnik ten spadł do wartości dwa do jednego, a w roku kolejnym wyniósł tylko nieco więcej niż jeden do jednego. Do tego czasu, przy narastających brakach amunicji wydzielanej formacjom bojowym, żołnierzom nakazywano już strzelanie do wroga pojedynczymi strzałami, a nie całymi seriami w automatycznym trybie *rock-and-roll*.

Jesienią 1973 roku pewien dziennikarz odwiedził cmentarz południowowietnamskich ofiar wojny w Bien Hoa, mieszczący groby ponad 12 tysięcy żołnierzy Południa, co stanowiło tylko nikły ułamek strat poniesionych przez cały naród. W warunkach „pokoju” wprowadzonego układem paryskim dzień po dniu liczba ta wzrastała o dziesięciu kolejnych: tylko w pierwszych trzech miesiącach po jego podpisaniu zginęło 6600 Południowców. Ów dziennikarz napisał: „W powietrzu niosły się głośne zawodzenia wdów i pochlipywanie dzieci, a przez te płacze i łkania słychać było głuche odgłosy szpadli wykopujących nowe groby dla kolejnych ofiar dostarczanych tu dzień w dzień”[40]. Przytłoczone ciężarami wojennymi państwo Thieu zaczynało też podupadać gospodarczo. Przez całą ostatnią dekadę głównym źródłem zarobkowania, poza uprawą ryżu na prowincji, stało się usługiwanie we wszelkich możliwych formach całym rzeszom

napływających do Wietnamu Południowego i niewyobrażalnie bogatych w oczach jego mieszkańców cudzoziemców, czy to gości, czy sponsorów, czy okupantów. Teraz zaś 2 miliony ludzi w miastach – czyli jedna trzecia całej siły roboczej – pozostały bez pracy. Pewien sprzedawca samochodów z Sajgonu uskarżał się, że schodziło mu już tylko jedno auto miesięcznie w porównaniu z setką jeszcze w poprzednim sierpniu. Ze sklepów znikały telewizory, skutery czy importowane papierosy. Cena ryżu podwoiła się. Rozpoczęta w październiku 1973 roku wojna na Bliskim Wschodzie przyniosła gwałtowny wzrost cen ropy i nawozów sztucznych, co z kolei doprowadziło do całkowitej nieopłacalności uprawiania „cudownego ryżu". W grudniu z kolei w wyniku ataku przeprowadzonego przez komunistycznych saperów doszło do zniszczenia połowy zapasów ropy składowanej przez Sajgon. Inflacja wzrosła najpierw do 30, a potem do 40 procent.

Pewien młody oficer Południa wyznał swojemu przyjacielowi, dziennikarzowi Gavinowi Youngowi: „Argumenty przeciwko komunizmowi mogą być albo materialne, albo moralne, czyż nie tak, Gavin? Ale warunki panujące obecnie u nas to: bezrobocie, wzrost cen i korupcja, *n'est-ce pas*? A zatem nie istnieje żadna dobra argumentacja, ani moralna, ani materialna, stąd nie ma w Sajgonie żadnego rzeczywistego patriotyzmu. Jak więc mamy dalej stawiać opór? A przecież chcemy dalej stawiać opór – większość z nas chce, przecież wiesz – lecz nie możemy. Czy nie ma w tym wszystkim jakiejś wielkiej tragedii, Gavin?"[41].

W rzeczy samej, tak właśnie było. W roku 1970 rząd w Sajgonie przyjął program reformy własności rolnej „Ziemia dla uprawiających". Trzy lata później kosztem blisko pół miliarda dolarów amerykańskich reforma ta zapewniła już 1,2 miliona rodzin prawo własności ziemskiej, której z utęsknieniem wyglądały one od dziesięcioleci; stosunki quasi-pańszczyźniane zostały niemal w całości zlikwidowane. Tyle że te radykalne środki podjęto zbyt późno, podobnie jak zbyt późno zabrano się do eksploatacji przybrzeżnych złóż ropy, z których, jak się okazało, można było pozyskać aż 1,5 miliarda baryłek, co w ciągu dekady całkowicie przemodelowałoby wietnamskie finanse publiczne. Niestety,

na tamtym etapie wszystkie te działania przypominały nieco pocieszanie pacjenta w stanie terminalnym, że jeśli jeszcze trochę pożyje, już wkrótce odziedziczy naprawdę wielką rodzinną fortunę.

Reżim Thieu wciąż działał bardzo nieskutecznie, a narastające braki w sprzęcie i uzbrojeniu wpływały negatywnie na morale w armii. Były one częściowo skutkiem stopniowego przykręcania kurka z pieniędzmi przez Kongres, ale przede wszystkim wynikały z faktu, że Amerykanie stworzyli wietnamską machinę wojskową na wzór swojej własnej, uzależnionej od najnowszej i kosztownej technologii – w roku 1974 Południe zużywało 56 ton amunicji na każdą tonę wykorzystywaną przez komunistów – a przez to znacznie droższej i trudniejszej w obsłudze od prostszego modelu stosowanego przez nieprzyjaciela. Co gorsza, doszło tu do zinstytucjonalizowania korupcji: Jacques Leslie z „Los Angeles Times" wpadł na trop przekrętu, w ramach którego dowódcy armii Południa sprzedawali łuski od nabojów – z tych wyprodukowanych przed rokiem 1968 można było odzyskać czysty mosiądz – za niebotyczne ceny w Singapurze, co tylko utwierdziło Davida Elliotta w przekonaniu, że „żadna ilość dodatkowej pomocy w latach 1973–1975 nie doprowadziłaby do niczego poza dalszym wzbogacaniem się tych generałów"[42]. Hal Meinheit, oficer polityczny w ambasadzie amerykańskiej, powiedział: „To było mocno podzielone społeczeństwo, bez żadnej wspólnej świadomości, dokąd chciałoby razem podążać"[43]. A pewien major ARVN napisał: „Wielu przewidywało zwycięstwo komunistów i wolało siedzieć okrakiem na barykadzie (...). Poparcie zwykłych ludzi dla Sajgonu szybko malało. Wielu z tych, którzy jeszcze do niedawna opowiadali się za rządem, teraz zaczynało wspierać komunistów"[44].

Ten sam oficer opisywał prezydenta Thieu z dużą dozą lekceważenia, choć nie bez racji, jako człowieka, który „nie był wystarczająco silny, by sprawować władzę dyktatorską (...). Czy jakikolwiek inny kraj znajdujący się w stanie wojny pozwalałby sobie na tak zajadłą krytykę rządu? Jak wiele krajów Trzeciego Świata dopuszczało, by dziennikarze publicznie oskarżali o korupcję ministrów i generałów, przy okazji uderzając w samego prezydenta?"[45]. W społeczeństwie południowowietnamskim głęboko zakorzeniona była ponadto

skłonność do zdrady. Sam Adams z CIA sporządził miażdżący raport, z którego wynikało, że infrastruktura reżimu stanowiła jeden wielki ser szwajcarski: szacował on, że w samych tylko siłach zbrojnych podległych rządowi służyło około 12 tysięcy informatorów wroga[46]. Kapitan Phan Tan Nguu został wysłany do Tay Ninh, gdzie miał kierować operacjami wywiadowczymi w Wydziale Specjalnym miejscowej policji. Po jakimś czasie zauważył, że jego kierowca po zakończeniu służby niezmiennie odjeżdża w stronę granicy z Kambodżą. Zarządzona obserwacja wykazała, że spotyka się tam z komunistycznymi oficerami, a późniejsze przesłuchania udowodniły, iż otrzymał zadanie zabicia samego Nguu. „Bardzo mi przykro" – skomentował całą sprawę kierowca, zanim wtrącono go do więzienia[47].

Na początku 1974 roku analitycy wywiadu z Departamentu Stanu sporządzili raport na temat możliwej przyszłości Wietnamu Południowego, opierając się na „pirackich" źródłach w amerykańskiej misji w Sajgonie – to jest tych oficerach, których trzeźwe spojrzenie na sytuację na tyle irytowało nowego ambasadora Grahama Martina, przysłanego w lipcu poprzedniego roku jako następca Ellswortha Bunkera, że zabronił on im przekazywania swoich depesz do Waszyngtonu. Hal Meinheit, jeden z autorów raportu, powiedział: „Doszliśmy do wniosku, że przy braku bardzo wydatnej pomocy ze strony Stanów Zjednoczonych perspektywy dalszego trwania tego reżimu były bardzo marne"[48]. Centrala CIA w Langley, którą kierował teraz William Colby, nie zgadzała się jednak z takim oglądem sytuacji, jak na ironię argumentując, że ponury wydźwięk raportu przedstawionego przez Departament Stanu miał uzasadnić nierealistyczne żądania ambasadora w sprawie zwiększenia przesyłanych mu funduszy. Tymczasem w Wietnamie walki nasilały się, a 4 stycznia 1974 roku prezydent Thieu wygłosił przemówienie w Can Tho, gdzie kiedyś służył jako dowódca IV Korpusu, w którym to przemówieniu zadeklarował: „Nie możemy siedzieć z założonymi rękoma. Musimy przedsięwziąć odpowiednie działania, by ukarać komunistów za ich agresywne zachowanie. Ta wojna znowu się toczy". Waszyngton w równym stopniu potępiał podejmowane przez Wietnamczyków z Południa próby powiększenia terytoriów podległych

Sajgonowi, co ataki komunistów mające na celu ich pomniejszenie, ponieważ obie te formy aktywności militarnej groziły całkowitym zawaleniem się delikatnej równowagi.

W marcu i kwietniu 1974 roku w sali konferencyjnej na górnym piętrze Smoczego Dworu w Hanoi zorganizowano dwie wielkie narady strategiczne dowódców Północy. Obecni na nich oficerowie zgadzali się, że najważniejszą dla nich sprawę stanowił fakt, iż ruch na Szlaku Ho Chi Minha – przemierzanym już teraz głównie przez pojazdy, a tylko z rzadka przez tragarzy – odbywał się bardziej swobodnie niż kiedykolwiek wcześniej. Wzdłuż Szlaku ułożono nawet długi na ponad 1600 kilometrów rurociąg, którym transportowano na Południe paliwo dla tamtejszych pojazdów AWP. Największym problemem wciąż pozostawała względna słabość Wietkongu, który na dobrą sprawę już nigdy nie podniósł się po porażce ofensywy Tet z roku 1968: wskutek tego komuniści mieli tylko niewielkie wpływy na terenach miejskich. Ponadto spora część sprzętu pancernego i ciężkiej artylerii znajdowała się w złym stanie. A co najważniejsze, wciąż utrzymywała się niepewność co do możliwej interwencji Amerykanów w przypadku przypuszczenia przez Hanoi kolejnej dużej ofensywy.

We wcześniejszej fazie wojny komuniści nie zwracali większej uwagi na wewnętrzną politykę amerykańską. Teraz jednak zarówno Hanoi, jak i ustanowiony na południu Rząd Tymczasowy, który na swoją aktualną siedzibę, zwaną szumnie „stolicą", wybrał sobie Loc Ninh, śledziły bieg wydarzeń w Waszyngtonie, za pośrednictwem BBC i Głosu Ameryki, „z zaciekawieniem graniczącym niemal z obsesją"[49], jak to ujął jeden z ministrów TRR. Analiza obu tych źródeł prowadziła komunistów do wielce dla nich obiecujących konkluzji. W styczniu 1974 roku Chińczycy przeprowadzili morski desant na należący do Wietnamu Południowego archipelag Wysp Paracelskich, który bez trudu zajęli i zaanektowali – bez żadnej znaczącej odpowiedzi ze strony Amerykanów. W ciągu pierwszych osiemnastu miesięcy obowiązywania porozumień paryskich na polach bitwy zginęło 26 tysięcy żołnierzy południowowietnamskich, a mimo to amerykański Kongres wciąż zmniejszał wartość pomocy przesyłanej do Sajgonu. Finansowanie reżimu Thieu spadło w roku 1974

niemal o połowę, z 2,1 miliarda do 1,1 miliarda dolarów, którą to kwotę ścięto później do równego miliarda.

Pierwsza znacząca decyzja strategiczna podjęta przez Hanoi w roku 1974 zakładała kontynuowanie walki także w wiosennej porze deszczowej, która tradycyjnie stanowiła okres pewnego wyciszenia, wykorzystywany na przegrupowanie sił i uzupełnienie zapasów. W marcu ciężkie walki toczyły się na zachód od Sajgonu: zainicjowali je wprawdzie Wietnamczycy z Północy, ale w odpowiedzi ARVN podjęła swoją ostatnią poważną kontrofensywę w tej wojnie. W wyniku tych starć komuniści mocno się wykrwawili, za to armia Wietnamu Południowego utraciła niemal ostatnie już resztki woli walki. Tę samą prawidłowość dało się zaobserwować również dwa miesiące później, na zachód od Ben Cat, gdzie 9. Dywizja AWP przypuściła silny atak na obszarze spornego już od dawna Żelaznego Trójkąta, z użyciem wojsk pancernych, na co ARVN również odpowiedziała wysłaniem własnych czołgów. W ciągu kolejnych miesięcy ciężkich walk kontrataki Południa doprowadziły do odzyskania utraconych terytoriów i zapobiegły przebiciu się komunistów przez jego linie obrony, ale opłacono to wysoką ceną krwi: 18. Dywizja armii Sajgonu straciła 275 zabitych i kolejny tysiąc rannych. Ku konsternacji dowódcy lokalnych wojsk, z zamówionych przezeń 150 tysięcy sztuk amunicji artyleryjskiej przyznano mu zaledwie jedną trzecią tej liczby. Do listopada, kiedy z wolna zaczęły wygasać bitwy toczone wzdłuż Drogi nr 7, niektóre bataliony południowowietnamskiej piechoty utraciły już nawet jedną czwartą swojego stanu osobowego. AWP ponosiła wprawdzie straty co najmniej tej samej wielkości, ale jak zwykle przywiązywała do nich znacznie mniejszą wagę. Sceptycy z politbiura w Hanoi sarkali: „Brat Ba" – to jest Le Duan – „znów wytraca nasze wojska, jak w roku 1968, a potem w roku 1972"[50], ale północnowietnamski przywódca pozostawał niewzruszony. Z kolei w Delcie Mekongu siły komunistyczne wywierały stałą presję na oddziały ARVN i lokalne milicje, mocno przetrzebiając ich szeregi.

Historycy podają nam bardzo mało szczegółów dotyczących krwawych starć z lat 1973–1974, ze szkodą dla pamięci dziesiątek tysięcy Wietnamczyków, którzy w nich ginęli. Dzieje się tak w pewnej mierze

dlatego, że istnieje niewiele wiarygodnych dokumentów z tego okresu – a publikowane relacje osobiste wydają się często mocno podrasowane. Częściowo jednak wynika to z faktu, że żołnierze obu stron nierzadko już tylko pozorowali walkę przekonani o tym, że ostateczne zwycięstwo komunistów zostało w zasadzie przesądzone. Siły południowowietnamskie straciły w roku 1973 dokładnie 25 473 zabitych, a w kolejnych latach blisko 31 tysięcy. Porucznik Nguyen Quoc Si, dwudziestoletni syn wysokiego oficera sajgońskiej policji, trafił do jednostki milicji Sił Ludowych na południowym wschodzie kraju, w pobliżu Vung Tau. Wcześniej była to raczej spokojna okolica, co nawet sami bojownicy WK wykorzystywali do odpoczynku i nabrania sił. Teraz jednak, po tym jak konflikt rozpalił się na nowo, Si już pierwszego dnia swojej służby musiał zmierzyć się w polu z ludźmi nieprzyjaciela. Tyle że w jego plutonie rzadko udawało się zgromadzić więcej niż 18 żołnierzy, którym do walki musiało wystarczyć dosłownie kilka M-16, a poza tym dysponowali oni głównie przestarzałymi karabinami samopowtarzalnymi M1 Garand: „Nie da się nimi walczyć z AK-47. Sam prosisz się o śmierć”[51].

Wciąż brakowało im amunicji, a podczas jednego ze starć Si musiał walczyć z Wietkongiem, mając w kieszeni tylko jeden granat. Nie istniała już możliwość ewakuacji medycznej helikopterami, wobec czego rannych trzeba było samemu donieść do najbliższej drogi, jeśli mieli dość szczęścia, by przeżyć taką podróż. Ludzie Si stanowili „wybuchową mieszankę” – niektórzy z nich byli żarliwymi antykomunistami, ponieważ ich rodziny sporo wycierpiały z rąk nieprzyjaciela; inni myśleli tylko o tym, jak uniknąć kłopotów, a najlepiej nie angażować się w ogóle po żadnej ze stron. Do ich patroli czasami przyłączali się miejscowi, licząc na bezpieczne towarzystwo w podróży, choć nadzieje te nie zawsze okazywały się trafne. Któregoś dnia szła z nimi jakaś ciężarna kobieta, a w pewnym momencie żołnierze Si usłyszeli za sobą głośną eksplozję. Jak się okazało, dziewczyna zboczyła dosłownie o metr z ich śladów i weszła na bombę pułapkę. „Ta kobieta po prostu zniknęła, odrzuciło ją w stronę dżungli. To znaczy górną część jej ciała, bo dolna całkiem wyparowała. To był

straszny widok, jej dziecko leżało na wierzchu – opowiadał młody oficer, po czym dodał filozoficznie: – Ale na wojnie widuje się nie takie rzeczy".

Saper Północy, kapral Vu Quang Hien, został trafiony w udo podczas jednej z bitew z tego okresu, a jego wycofująca się jednostka nie zabrała go ze sobą. Jakaś drobna miejscowa kobiecina pomogła mu dokuśtykać do gęstych zarośli za pobliskim stawem. Hien powiedział jej: „Możesz mnie tu zostawić, a jeśli w ciągu kilku następnych godzin usłyszysz strzał, to znaczy, że nie żyję. Jeśli nie, przyjdź po zmroku i zabierz mnie stąd". I tak właśnie się stało, z tym że kobieta przyszła ze swoim mężem do pomocy, bo Hien był dość dużym mężczyzną. Saper wyznał później: „Ona nie popierała żadnej ze stron – po prostu nie mogła znieść, że leżę tam bezradny w krzakach"[52].

18 lipca 1974 roku Giap, zapoznawszy się z raportem Sztabu Generalnego zatytułowanym *Ogólne studium kampanii w celu odniesienia zwycięstwa w wojnie na Południu*, rozkazał czynienie przygotowań do ofensywy, mającej przynieść komunistom ostateczną wiktorię do końca 1976 roku. Planowano zacząć ją od natarcia na obszarze Płaskowyżu Centralnego, a czas i kolejność dalszych działań miały zależeć od wyniku starć w tej pierwszej fazie operacji. Działania planistyczne ukończono 26 sierpnia, a plan ten przyjęto na październikowym posiedzeniu politbiura. Mimo utrzymujących się kontrowersji w kwestii osobistej pozycji zajmowanej przez Giapa w tym okresie, wśród badaczy istnieje dość powszechna zgoda co do tego, że po powrocie z Moskwy w styczniu 1974 roku (przechodził tam kurację w związku z kamieniami żółciowymi, która omal go nie zabiła) ów stary generał rzeczywiście kierował ową ostateczną ofensywą, co nie zdarzyło się mu już od lat. Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem nieoczekiwanego przywrócenia do łask odsuniętego już na boczny tor zasłużonego towarzysza wydaje się to, że po porażkach komunistów w ofensywach z roku 1968 i 1972 Le Duan, chcąc nie chcąc, musiał pogodzić się z faktem, iż zamierzając raz jeszcze wysłać do decydującego starcia niemal całość swoich sił, będzie potrzebował autorytetu i operacyjnej błyskotliwości Giapa. Wpływ na decyzje podejmowane przez Hanoi miała także zmiana na stanowisku prezydenta Stanów Zjednoczonych. Komuniści nie uznawali za możliwe, by następca Nixona w Białym

Domu, Gerald Ford, nawet z Henrym Kissingerem jako sekretarzem stanu, mógł zaryzykować i narazić swoją nowo sformowaną administrację na gniew społeczeństwa amerykańskiego wynikający z ponownego zaangażowania się w Wietnamie.

10 sierpnia 1974 roku Ford skreślił osobisty list do władz w Sajgonie, zapewniając Thieu o chęci honorowania zobowiązań złożonych przez Nixona; takie obietnice brzmiały jednak pusto w obliczu uruchomionej właśnie przez Kongres procedury dalszego zmniejszania funduszy pomocowych, tym razem z miliarda do 700 milionów dolarów, do czego w niedługim czasie faktycznie doszło. A ponieważ inflacja w Wietnamie Południowym wciąż szalała, powodując między innymi wzrost cen amunicji i innego sprzętu wojskowego, przekładało się to rzecz jasna na zmniejszenie możliwości operacyjnych ARVN. 13 września zdesperowany Kissinger wybuchnął, że uznaje za nie do pojęcia sytuację w której jego kraj darowuje miliard dolarów Izraelowi – a tak właśnie było – odmawiając przekazania równie wielkiej sumy Wietnamowi, w którym przecież zginęło tak wielu Amerykanów.

Niemało powiedziano już o tym, jak pragmatycznym człowiekiem i politykiem był ówczesny sekretarz stanu. Warto jednak w tym miejscu dodać, że Kissinger dostrzegał również pewne istotne implikacje moralne, materialne i polityczne, których ze wszystkich sił starali się nie zauważać Kongres i większość społeczeństwa amerykańskiego. Wycofanie wsparcia wojskowego stanowiło nieuniknioną konieczność i było decyzją ze wszech miar słuszną. Ale już stopniowe przykręcanie przez amerykańską władzę ustawodawczą kurka z pomocą finansową dla Sajgonu, w sytuacji, w której Rosjanie i Chińczycy wciąż utrzymywali otwarty i praktycznie nieograniczony kredyt dla Hanoi, było strategią nie do obrony. To prawda, na tym etapie same pieniądze zapewne i tak nie zmieniłyby ostatecznego rozstrzygnięcia: siły zbrojne Sajgonu były po prostu zbyt słabe, by samodzielnie poradzić sobie z komunistami. Ale kontynuowanie hojnej pomocy finansowej mogłoby przynajmniej w tej ostatniej fazie wojny pomóc Ameryce uratować resztki honoru, mocno wcześniej nadszarpniętego wycofaniem przez nią swoich wojsk. W tym sensie Kongres faktycznie ponosi odpowiedzialność za to mało roztropne działanie, niezależnie od winy

za liczne wcześniejsze błędy i niekonsekwencje, spadającej całkiem słusznie na Biały Dom.

W ostatecznym rozrachunku Sajgon otrzymał w roku 1974 łącznie 945 milionów dolarów, była to jednak kwota dalece niewystarczająca, by mógł on utrzymać swoją milionową armię, wyszkoloną, zorganizowaną i nawykłą do walki zgodnie z wzorcami przejętymi od Amerykanów. Samo tylko lotnictwo VNAF musiało uziemić 224 swoje maszyny, w tym 65 helikopterów, a operacje wykonywane przez pozostałe ścięto niemal o połowę. Również połowa ciężarówek będących na stanie armii musiała pozostać w parku maszynowym ze względu na brak paliwa; łączność z kolei przeżywała własne trudności z powodu braku baterii do radiostacji. W styczniu, a potem ponownie w kwietniu 1975 roku, Kongres odrzucił rozpaczliwe apele, wspierane przez Szefów Sztabów, o przeznaczenie funduszy na sfinansowanie zakupu dodatkowej amunicji, paliwa i części zamiennych przez Wietnamczyków z Południa. Wielu żołnierzom Thieu przyszło teraz żyć i walczyć w stanie permanentnego głodu, bo inflacja nieubłaganie zżerała ich i tak już nader skromne racje żywnościowe.

Rozważając sytuację Sajgonu pod koniec roku 1974, Merle Pribbenow z CIA powiedział: „Byłem już przekonany, że to długo nie potrwa”[53]. Jego wietnamska żona Thuy chciała kupić swojej matce trochę ziemi na północ od Bien Hoa, dokąd cała rodzina wybrała się w poszukiwaniu odpowiedniej lokalizacji. Jadąc na północ w kierunku tej miejscowości, wszyscy ze zdumieniem zauważali, że w żadnej z mijanych wiosek nie powiewa rządowa flaga. W końcu zawrócili do Sajgonu, całkiem odstępując od planu zakupu ziemi, ponieważ nagle zdali sobie sprawę z tego, że reżim Thieu przegrywa już nawet w tej swoistej wojnie flag. W listopadzie do Sajgonu przybył na zaproszenie wietnamskiego rządu Doug Ramsey, by uczestniczyć tam w ostatnim, jak miało się okazać, fetowaniu przez prezydenta Thieu Dnia Święta Narodowego. Ramsey był na wpół przygnębiony, a na wpół rozbawiony, kiedy zorientował się, że jego przewodnik całym sercem opowiadał się za sprawą Hanoi: „Znał takie szczegóły komunistycznej dialektyki, które można zgłębić tylko wtedy, kiedy jest się jednym z nich”[54].

Oficer VNAF Nghien Khiem stwierdził: „Wiedzieliśmy, że sprawy nie idą w dobrym kierunku. Ale wciąż tliła się w nas jakaś nadzieja, choć tej wiary było coraz mniej i mniej z każdą przegrywaną przez nas bitwą”[55]. Podczas przyjęcia w amerykańskiej ambasadzie Frank Scotton zaryzykował prognozę, że reżim nie dotrwa do końca 1976 roku. Większość doświadczonych oficerów polowych, wchodzących wciąż w skład misji, zgadzała się z nim, że Hanoi odniesie ostateczne zwycięstwo albo w tymże roku, albo w następnym, 1977 – „jedynym punktem spornym była kwestia, czy koniec Sajgonu nastąpi poprzez [polityczną] koalicję, czy też przez klęskę na polu bitwy”[56]. W styczniu 1975 roku szef wywiadu południowowietnamskiej marynarki powiedział Bobowi Destatte: „W tym roku komuniści jeszcze nie wygrają, ale mogą to już uczynić w roku następnym, a z całą pewnością do ich zwycięstwa dojdzie za kolejny rok”[57]. Kiedy Destatte spotkał pewnego doświadczonego siwowłosego sierżanta z wietnamskiej formacji rangersów, ten zaczął mu grozić, że go zabije – tylko za to, że był Amerykaninem. Uspokoiwszy się nieco, opowiedział mu, że właśnie wrócił z bitwy pod granicą z Kambodżą, w której jego jednostka poniosła ciężkie straty, wypstrykawszy się z całej amunicji, a to wszystko z powodu „zdrady” ze strony Stanów Zjednoczonych. Z kolei przypadkowy taksówkarz wyznał Amerykaninowi, że miał już dość tej wojny i chciał jej zakończenia dosłownie za każdą cenę – takie uczucia dominowały już wówczas we wszystkich niższych warstwach społeczeństwa południowowietnamskiego.

Zdesperowany Thieu zaczął nawet rozważać strategiczne wycofywanie swoich sił z obszarów, na których były one zbyt rozproszone, w tym z całej północnej części Wietnamu Południowego, by mogły się skutecznie i długo bronić na pozostałych odcinkach frontu. Ten mocno już znużony ciągłą walką, a do tego zgorzkniały polityk żywił teraz płonne nadzieje, że nawet jeśli jego terytoria miały się stopniowo zmniejszać, to niektóre ich fragmenty mogły wciąż nadawać się do obrony. Tyle że nadziei takich nie zamierzało mu robić samo Hanoi, w którym narastało przekonanie o konieczności jak najszybszego podjęcia decydujących działań. Północnowietnamscy przywódcy dostrzegali chaos polityczny, który zapanował w Stanach

Zjednoczonych w konsekwencji afery Watergate, nie omieszkali też zauważyć konsekwentnego ochładzania się nastawienia Kongresu, ale również światowej opinii publicznej, do Sajgonu. Gospodarka Południa przeżywała trudności niemal równie wielkie jak ta na Północy, przy czym te pierwsze znacznie trudniej było zamaskować bezwzględnie skuteczną machiną państwowej kontroli. W Hanoi odnotowywano wzrastające wrzenie społeczne na ulicach, w tym protesty przeciwko korupcji, na których czele stali katoliccy księża. Niektóre formacje armii Południa wciąż stawiały wprawdzie skuteczny opór najeźdźcom, ale wielu żołnierzy Thieu czuło aż nadto widoczne zniechęcenie. Podczas zażartych walk toczonych od sierpnia do grudnia AWP opanowała wysoko położone obszary na zachód od Da Nang, po czym odparła kilka kontrataków przeprowadzonych przez dwie formacje wojsk Sajgonu. W ciągu sześciu tygodni brutalnych starć o Wzgórze 1062 elitarna południowowietnamska Dywizja Powietrznodesantowa odnotowała straty w wysokości aż 2500 żołnierzy.

Wydarzenia na północy Wietnamu Południowego przekonały Smoczy Dwór, że w starciu twarzą w twarz jego armia jest już w stanie pokonać na polu walki swojego nieprzyjaciela. Tym bardziej że jego formacje miały tym razem rozpoczynać swoje ataki z obszaru klinów wbitych głęboko w terytorium państwa Thieu: niektóre jednostki komunistyczne już teraz znajdowały się zaledwie o niecałe 50 kilometrów od Sajgonu. Le Duan i jego towarzysze, choć raz w pełni zgadzający się z Giapem, doszli do wniosku, że lepszy moment do uderzenia już się nie nadarzy. Podobno siedmiu na jedenastu członków politbiura w Hanoi poparło ostatecznie propozycję przeprowadzenia w roku 1975 nowej „Generalnej Ofensywy i Powszechnego Powstania" w celu dokończenia procesu zjednoczenia Wietnamu.

27
Ostatni akt

1. INWAZJA

Na górzystej północy Wietnamu Południowego w pierwszych dniach marca 1975 roku weteran Wietminhu, generał brygady Nguyen Huu An, przyłapał się na tym, że sceny, na które patrzy, przypominają mu młodzieńcze doświadczenia spod Dien Bien Phu: „Wszędzie błoto, błoto i jeszcze więcej błota”[1]. W zacinającym deszczu jego piechota i inżynierowie z trudem mogli przeciągać przechwycone w roku 1972 haubice kaliber 105 mm na wysoko położone pozycje, z których dałoby się potem skutecznie razić leżące w dolinach bazy ogniowe Południa. An mianowany został dowódcą korpusu podczas tej kolejnej wielkiej ofensywy Le Duana, w którą ponownie zaangażowano olbrzymie siły, mające wreszcie zapewnić komunistom upragnione zjednoczenie Wietnamu: w bój posłano łącznie pół miliona ludzi – 15 dywizji piechoty oraz 17 batalionów saperów i 10 pancernych, a do tego 50 artylerii. Pierwszą fazę operacji, o kryptonimie K-175, przewidziano na okres od marca do maja, po czym w lipcu–sierpniu miała nastąpić druga faza ofensywy, jeśli tylko warunki do jej ogłoszenia oceniono by jako sprzyjające. Korpus Ana otrzymał zadanie zajęcia Hue i Da Nang, w operacjach nazwanych hasłowo „Szybkość to Siła” i „Bądźcie jak Błyskawica”. An przyznawał jednak, że w prywatnych rozmowach z towarzyszami, którzy doznali upokarzających porażek w roku 1968, a potem ponownie w roku 1972, słyszał od nich dość sceptyczne uwagi na temat możliwości zakończenia ofensywy K-175 jakimś większym sukcesem. Północ wciąż miała nad swoim wrogiem taką przewagę, że to ona wybierała, gdzie i kiedy przeprowadzi główne uderzenie, za to

Południe nieodmiennie dysponowało wyraźną wyższością w zakresie mobilności, siły ognia i wsparcia lotniczego.

Ostateczny plan aż ośmiokrotnie przechodził rozmaite modyfikacje. Kluczowym pytaniem planistów nie było przy tym wcale: „Co zrobi Sajgon?"; pytali raczej: „Jak zareaguje Waszyngton?". Komuniści dobrze wiedzieli, że w razie jakiejś interwencji amerykańskiej ani Chiny, ani Rosja nie kiwną palcem; wszystko zależało zatem od tego, jak republikańska administracja postrzega nastroje w amerykańskim społeczeństwie. Sekretarzem stanu, i to nie byle jakim, wciąż pozostawał Kissinger: pozwalał on sobie na pouczanie swojego mało lotnego zwierzchnika sił zbrojnych o strategii w polityce zagranicznej, zlecał zakładanie podsłuchów u rzekomo niedyskretnych urzędników, ale także u przedstawicieli mediów, z którymi się kontaktowali, a podczas zebrań i narad zanudzał wszystkich swoimi monologami. Należało zatem wziąć pod uwagę i to, czy albo jak jego wizjonerskie poglądy na historię przełożą się na ostateczne decyzje podejmowane przez prezydenta Geralda Forda. Z punktu widzenia Hanoi całkiem dobrym prognostykiem był za to fakt, że w wyniku wojny Jom Kipur w październiku 1973 roku i wywołanego przez nią kryzysu paliwowego Kissinger znacznie bardziej przejmował się teraz sytuacją na Bliskim Wschodzie, a Wietnam stanowił dlań tylko przebrzmiałe echo dawnych spraw.

Między 13 grudnia 1974 roku a 6 stycznia 1975 roku dwie dywizje armii Północy przeprowadziły natarcie w prowincji Phuoc Long, leżącej 160 kilometrów na północny wschód od Sajgonu. Następnie Hanoi przyglądało się bardzo uważnie, jak na tę bezsprzecznie niesprowokowaną inwazję na terytorium Południa zareagują Stany Zjednoczone. Waszyngton przez jakiś czas nosił się z myślą o posłaniu w bój swoich samolotów z grupy lotniskowca Enterprise, ale ostatecznie wycofał się z tego pomysłu – podobną pasywność zachował też wówczas, gdy siły Czerwonych Khmerów zacisnęły pierścień wokół stolicy Kambodży, Phnom Penh. Podczas transmitowanej przez stacje telewizyjne konferencji prasowej 21 stycznia prezydent Ford zapewnił rodaków, że nie widzi żadnych możliwości ponownego wysłania sił zbrojnych do Indochin. Dwa tygodnie później Kongres odrzucił nowe

postulaty zwiększenia funduszy dla Sajgonu. Premier Wietnamu Północnego Pham Van Dong mógł więc sobie pozwolić na dość buńczuczną uwagę skierowaną do swoich towarzyszy z politbiura, że „Amerykanie już tu nie wrócą, nawet jeśli zaoferuje im się mnóstwo słodyczy". Całkowitej pewności wciąż jednak nie było. Patrząc na tragarzy trudzących się pod ciężarem broni i amunicji transportowanej na pozycje artyleryjskie wzdłuż Drogi nr 14, generał brygady An i jego podkomendni nieustannie mieli w pamięci olbrzymie szkody wyrządzane im przez B-52 startujące z Guam. Giap spodziewał się wprawdzie zwycięstwa, ale oczekiwał go dopiero w następnym roku, po przeprowadzeniu jeszcze jednej, decydującej kampanii.

Strategiczny plan operacji z roku 1975 wykazywał się największą pomysłowością, jaką dowódcy Północy byli w stanie z siebie wykrzesać podczas całej tej wojny. Głównym celem jej pierwszej fazy miało być Ban Me Thuot, miasto liczące około 100 tysięcy mieszkańców i będące stolicą Płaskowyżu Centralnego. Położone wśród plantacji kawy, oferujących dobre możliwości schronienia, znajdowało się ono dodatkowo mniej więcej w połowie Drogi nr 14, biegnącej z północy na południe i łączącej Kontum z Sajgonem, a wreszcie nie było odległe od granicy z Kambodżą, od której dzieliło je niecałe 50 kilometrów. Generał dywizji Tran Van Tra, próżny i ambitny szef operacji wojskowych CBWP, dźwigający od lat hańbiące piętno taktycznych porażek poniesionych podczas ofensywy Tet w roku 1968, teraz miał nadzieję powieść swoich ludzi do chwalebnego zwycięstwa, które zmaże jego niegdysiejsze niepowodzenia. Tra chwalił się później wszystkim naokoło, że to właśnie on zaproponował przeprowadzenie w roku 1975 uderzenia przez Płaskowyż Centralny, choć po prawdzie najgłośniej za takim rozwiązaniem opowiadał się generał broni Hoang Minh Thao, któremu powierzono kierowanie tą ofensywą na miejscu.

Zamiast od razu poprowadzić żołnierzy do bezpośredniego natarcia na Ban Me Thuot, komuniści najpierw odizolowali to miasto, odcinając prowadzące doń szlaki drogowe w okolicach Pleiku, 160 kilometrów na północ, w całej serii skoordynowanych ze sobą ataków, które rozpoczęły się wczesnym rankiem 4 marca. Naczelne dowództwo nad całością operacji prowadzonych na obszarze Płaskowyżu Centralnego przejął

szef sztabu AWP, generał Van Tien Dung, który zdecydował o posłaniu w bój czterech swoich dywizji w miejscu, gdzie, jak oceniano, siły Południa były stosunkowo słabe. Ewentualny sukces tej operacji pozwoliłby Hanoi podjąć próbę rozdzielenia terytorium Wietnamu Południowego na dwie części, a tym samym odcięcia wielu silnych formacji Sajgonu stacjonujących w północnej części kraju.

Reżim Thieu dysponował wieloma danymi wywiadowczymi potwierdzającymi zagrożenie dla Ban Me Thuot, w tym również zeznaniami jeńców z AWP. Jak to jednak zwykle bywa, trzeba było umieć wyłapać ów „sygnał", to jest prawdziwy cel działań Hanoi, z zagłuszającego go „szumu" – jak oficerowie wywiadu określają rozmaite sprzeczne ze sobą i mało istotne dane. Tymczasem atakującym formacjom Północy nakazano zachowywanie ścisłej ciszy radiowej, a dla odwrócenia uwagi komuniści zaczęli generować sztuczny ruch w eterze w okolicach Pleiku. 8 marca odcięli oni Drogę nr 14 na północ od Ban Me Thuot, a następnie wiodącą ku wybrzeżu Drogę nr 21. Aby jeszcze bardziej zwiększyć konsternację nieszczęsnego Thieu, Północ przypuściła też jednocześnie nową falę ataków na obszarach na wschód i na północ od Sajgonu, w Delcie, a także w prowincjach Thua Thien oraz Quang Tri, gdzie w pełnej gotowości stały formacje generała Ana.

8 marca o godzinie 5.45 działa Ana przystąpiły do ostrzeliwania pobliskich baz ogniowych Południa, a w ślad za tym przygotowaniem artyleryjskim do natarcia ruszyła piechota. Przez spowite porannymi mgłami pola szły kolejne szeregi gotowych na wszystko żołnierzy z 324. Dywizji. Te pierwsze działania bojowe nie przyniosły jeszcze komunistom żadnego łatwego triumfu. Dowodzenie i koordynacja, zawsze będące piętą achillesową w wojskach Północy, także i tym razem okazały się niedopracowane: część atakujących jednostek zgubiła drogę, inne wchodziły wprost pod ostrzał dział i moździerzy ARVN. A nazajutrz, 9 marca, Wietnamczycy z Południa z powodzeniem przystąpili do kontrataku. Walki o jedną za kluczowych pozycji, Wzgórze 224, trwały jeszcze przez tydzień, a żadna ze stron nie zamierzała ustąpić: Południowcy zużywali 4600 pocisków artyleryjskich dziennie. An napisał o swoich ludziach, wykazując nieoczekiwaną

u niego szczerość: „Skuteczność bojowa korpusu w tej fazie walk była niska". Po ośmiu dniach starć nie zanosiło się na to, by komuniści mogli przebijać się dalej z północy – co zasługuje na podkreślenie, w świetle rozpowszechnionego przekonania, że cała armia Wietnamu Południowego już od samego początku poszła w rozsypkę.

W tym samym jednak czasie, w którym trwały te walki – co dodatkowo potęgowało panującą w Sajgonie niepewność co do intencji Hanoi – na obszarze Płaskowyżu Centralnego zaczął się realizować ponury scenariusz, na który po cichu liczono w Smoczym Dworze, choć chyba nawet tam nikt nie oczekiwał jego ziszczenia się w aż tak ogromnej skali[2]. Oto 9 marca piechota AWP, wspierana przez zaledwie dwa działa kaliber 105 mm, każde z nich dysponujące raptem 50 pociskami, zajęła miejscowość Duc Lap, leżącą niecałe 80 kilometrów na południowy zachód od Ban Me Thuot. Doszło tam do pierwszych godnych pożałowania przypadków całkowitego załamania się obrony Południa i rozbicia w puch trzech batalionów Sajgonu. Napastnicy przechwycili 14 dział i 20 pojazdów opancerzonych, z którymi ruszyli na północ, w kierunku Ban Me Thuot. Do miasta zdążyli już wcześniej przeniknąć saperzy i niewielkie grupki żołnierzy piechoty. W momencie rozpoczęcia szturmu rankiem 10 marca, przy użyciu 12 pułków, wspieranych przez 64 czołgi i pojazdy opancerzone, te oddziały dywersyjne skierowały się na lotniska i do kwatery głównej ARVN. Żołnierz piechoty Bao Ninh ze zdumieniem, a nawet zachwytem, patrzył na ten pokaz siły swoich wojsk w skali, jaką dane było dotąd oglądać raczej niewielu komunistycznym żołnierzom: „Prawie wszystkie nasze wcześniejsze walki toczyliśmy jako partyzantka, w sile jednej kompanii" – morale było wysokie, bo choć nikt jeszcze nie podejrzewał, jak szybko uda się osiągnąć zwycięstwo, to nikt też nie wątpił, że jest ono nieuchronne: „Wiedzieliśmy, że bez Amerykanów Południowcy utracili co najmniej połowę swojej poprzedniej siły"[3].

Dowódcą miejscowego korpusu obronnego był Pham Van Phu, czterdziestosiedmioletni weteran spod Dien Bien Phu, który miał się okazać niezdolny do kierowania obroną miasta przeciwko zmasowanemu natarciu komunistów. Phu zdołał sobie dodatkowo wmówić, że głównym celem toczącej się właśnie ofensywy

nieprzyjaciela miało być Pleiku, wobec czego przegrupował swoje siły zgodnie z tym założeniem. Gęsty ogień komunistycznej artylerii przeciwlotniczej uniemożliwiał VNAF przeprowadzanie ataków powietrznych, wobec czego już po 32 godzinach walk generał Dung mógł zaraportować do Hanoi pierwszy sukces w postaci zajęcia kwatery głównej 23. Dywizji wraz z olbrzymimi zapasami amunicji, w dodatku przy minimalnych stratach własnych. Żołnierze Południa wciąż jednak z całą determinacją bronili ufortyfikowanej i otoczonej drutem kolczastym bazy 53. Pułku, zlokalizowanej na lotnisku polowym, 5 kilometrów na wschód od miasta[4]. Rozochoceni łatwo im dotąd przychodzącymi sukcesami Wietnamczycy z Północy postanowili zaryzykować i 14 marca przypuścili nocny atak pancerny, który szybko zamienił się w farsę. Jeden z czołgów uszkodził sobie lufę, wjeżdżając w ciemnościach na drzewo; inny z kolei wpadł do rowu. Komunistyczna piechota została odparta przy ciężkich stratach własnych; niektórych żołnierzy zestrzeliwano wręcz z kadłubów czołgów, na których się ukrywali. Dowodzący bazą podpułkownik Nguyen Vo An okazał się bardzo zdeterminowanym i skutecznym oficerem, który miał odwagę stanąć na czele swoich 500 ludzi i osobiście poprowadzić ich do walki.

Komuniści wznowili swój atak wieczorem 16 marca, po tym jak saperzy, za cenę dużych strat własnych, podłożyli pod ogrodzenie bazy ładunki, które umożliwiły piechocie przedarcie się przez zasieki z drutów kolczastych. Wywiązały się dziewięciogodzinne walki, jednak napastnikom nie udało się zdobyć zbyt wiele terenu. Dopiero kiedy o godzinie 5.00 nad ranem 17 marca na teren bazy wdarły się cztery czołgi, sprawy nabrały tempa i już po trzech kolejnych godzinach została ona opanowana. Podpułkownikowi Vo Anowi i kilkudziesięciu ocalałym żołnierzom udało się uciec – dotarł on ostatecznie na wybrzeże 24 marca na czele 30 ludzi. Mimo że wiele jednostek Północy, w tym zwłaszcza dowódcy czołgów, wykazało się taką samą niekompetencją jak podczas walk w roku 1972, dla Hanoi liczyło się tylko jedno: komuniści odnieśli wielkie zwycięstwo. W kilku szpitalach w Ban Me Thuot pozostawiono swojemu losowi 400 rannych Wietnamczyków z Południa.

Szef sztabu ARVN generał Cao Van Vien o upadku tego miasta wyraził się w sposób następujący: „Był to najbardziej przełomowy moment w całej tej wojnie (...). Nasze siły zbrojne stanęły odtąd przed koniecznością mierzenia się z przeciwnikiem, które bezustannie podnosił stawkę”[5]. Prezydent Thieu dał się ponieść panice, która spowodowała podjęcie przezeń całej serii katastrofalnych decyzji. Najpierw dokonał potężnego wyłomu w linii obrony na północy kraju, rozkazując elitarnej Dywizji Powietrznodesantowej opuścić swoje dotychczasowe pozycje i dołączyć do garnizonu broniącego Sajgonu. Następnie zażądał przeprowadzenia kontrataku na wschód od Ban Me Thuot, który zakończył się całkowitą klęską. Po tak wielkim wyłomie uczynionym przez komunistów w liniach obronnych Sajgonu na obszarze Płaskowyżu Centralnego prezydent uznał też, że nie da się już dłużej bronić Kontum i Pleiku, wobec czego rozkazał wycofać stamtąd wojska, które miały przeprowadzić odwrót wzdłuż starej i rozpadającej się francuskiej Drogi nr 7b. Dobrze pamiętający katastrofę z roku 1954, kiedy to Wietminh rozbił w puch francuską Groupe Mobile 100, dokładnie w tym samym regionie i w bardzo podobnych okolicznościach, Vien zaczął przestrzegać Thieu przed podejmowaniem takiego kroku, grożącego równie poważnymi konsekwencjami – jednak na próżno.

Tej decyzji o opuszczeniu Płaskowyżu Centralnego – ogłoszonej przez prezydenta swoim własnym dowódcom 14 marca, podczas narady kryzysowej w zatoce Cam Ranh – nie konsultował on z oficerami amerykańskimi; nie uznał też za stosowne poinformować ich o jej podjęciu. Frank Snepp zakładał, że stało się tak dlatego, iż „był on po prostu przerażony tym, że Amerykanie wściekną się na niego i wycofają swoje poparcie”[6]. Ten rozkaz Thieu trudno było nawet uznać za podjęty pod wpływem impulsu; wynikał on raczej z pewnej osobistej ewolucji, którą prezydent przeszedł w poprzednim roku. Doszedł on bowiem wówczas do przekonania, że gdyby udało mu się jakoś skrócić swoje koszmarnie wydłużone linie obronne, wynikające z takiego, a nie innego kształtu Wietnamu Południowego, wówczas jego siły zbrojne mogłoby w dalszym ciągu z powodzeniem bronić żyznej i bogatej południowej części kraju. Już sama w sobie koncepcja ta była nie do

obrony, a na domiar złego prezydent uparł się jeszcze, by 25 tysięcy żołnierzy wycofywanych z północy w ciągu dosłownie kilku dni pokonało piechotą w trudnym górzystym terenie dystans 250 kilometrów dzielący ich od wybrzeża. Całkowicie zignorował też ważką kwestię rodzin tych żołnierzy, mieszkających na obszarze Płaskowyżu, nie mówiąc już o pozostałej części tamtejszej ludności cywilnej. Generał Phu miał podobno zalać się gorzkimi łzami, wracając samolotem z zatoki Cam Ranh do Pleiku; powtarzał też raz po raz, że ani on, ani Wietnam Południowy nie mają już przed sobą żadnej przyszłości[7]. W Pleiku nie zabawił on zresztą długo, odlatując stamtąd na wschód helikopterem – nadzór nad ewakuacją swojego korpusu pozostawił w rękach jednego z brygadierów. Tak oto rozpoczął się odwrót dziesiątek tysięcy żołnierzy, a wraz z nimi olbrzymiej ilości różnorodnego sprzętu, w tym pojazdów i uzbrojenia, które trzeba było teraz przetransportować wzdłuż krętej i źle utrzymanej drogi, wiodącej przez szereg górskich przełęczy.

Pilot Air America (AA) Fred Anderson powiedział później: „Nigdy nie zapomnę widoku drogi wylotowej z Pleiku. Była cała zapchana wielką ciżbą ludzi, idących piechotą i niosących ze sobą cały swój dobytek. Patrząc na nich, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że tysiące z nich umrą w drodze”[8]. Do samolotów AA ewakuujących personel amerykański raz na jakiś czas strzelano, ale czynili to rozgoryczeni i przerażeni Wietnamczycy z Południa. Inny z pilotów powiedział: „Wynikało to głównie z ich frustracji. Wszyscy byli wtedy cali w emocjach, po prostu chcieli się stamtąd wydostać i nie myśleli, co robią. To była czysta anarchia, a ludzie sprowadzeni zostali do najniższego poziomu”.

Pierwsze dwa dni odwrotu, to jest 16–17 marca, przebiegły bez większych incydentów, jeśli nie liczyć tłumu uchodźców depczącego po piętach żołnierzom. Problemy zaczęły się w niewielkim miasteczku Cheo Reo, po przebyciu około 80 kilometrów, gdzie 900 pojazdów całkowicie zablokowało wąską lokalną drogę. Nastał chaos, doszło do zamieszek, w trakcie których zbuntowani żołnierze posunęli się do plądrowania, przywłaszczania sobie mienia, a nawet strzelania na oślep. A potem siły komunistyczne podjęły próbę zablokowania

następnej przełęczy. 18 marca Południowcy podjęli nocny atak, mający pozwolić im się przebić, ale walczyli na tyle ślamazarnie, że zostali odparci. Udało się to dopiero rangersom, którzy jednak po niedługim czasie dostali się pod omyłkowy ostrzał własnego lotnictwa, tracąc swojego pułkownika i wielu szeregowych żołnierzy. Wielkie masy ludzi wciąż uwięzione pośród unieruchomionych pojazdów w Cheo Reo zaczęła teraz ostrzeliwać artyleria Północy: część dowódców czołgów i kierowców ciężarówek w poszukiwaniu jakiejkolwiek drogi ucieczki ruszyła na przełaj przez pola i nieużytki. Jedną z niewielu formacji, która zachowała względną spójność, pozostawał batalion rangersów, konsekwentnie przebijający się przez kolejne komunistyczne blokady, by w końcu 27 marca o godzinie 21.00 dotrzeć do Tuy Hoa, straciwszy wcześniej połowę swojego stanu osobowego. Do wybrzeża dotarł ostatecznie zaledwie jeden na czterech z 25 tysięcy żołnierzy stacjonujących na obszarze Płaskowyżu Centralnego, a wraz z nimi sztuka ta udała się jeszcze około 5 tysiącom członków ich rodzin i pozostałych cywilów. Generał Vien oceniał, że w ciągu tych dziesięciu dni zdolność bojowa II Korpusu – broniącego środkowej części Wietnamu Południowego – została zredukowana o trzy czwarte[9]. Sami komuniści przyznali się później do utraty 900 własnych żołnierzy zabitych w trakcie kampanii na Płaskowyżu Centralnym, z których większość najprawdopodobniej zginęła w pierwszych jej dniach.

Phu Binh, Południowy Wietnam, 23 marca 1975. Tłum uchodźców uciekających na wschód drogą nr 7 w kierunku Tuy Hoa

Wydarzenia, do których doszło w ślad za upadkiem Ban Me Thuot, doprowadziły do pierwszej z całej długiej serii ludzkich tragedii, które miały dotknąć milionów cywilów. Generał Vien określał cały ten odwrót mianem „upokarzającego", ponieważ odzwierciedlał on niedostatek przywództwa, i to na każdym możliwym poziomie[10]. Sajgoński dziennikarz Nguyen Tu opisywał ciągnących drogą na wschód uchodźców, „którzy teraz nie mieli już nic poza zakurzonymi i przepoconymi ubraniami na plecach. Ich stopy są opuchnięte, a ich oczy pozbawione życia i resztek nadziei. Małe dzieci (...) z trudem nadążają i zostają z tyłu"[11]. Masowe dezercje żołnierzy rozpaczliwie starających się chronić swoje własne rodziny miały się odtąd stać nawracającym motywem całej tej kampanii, podobnie jak tłumy cywilów i ich pojazdy tarasujące drogi i uniemożliwiające dotarcie na miejsce żołnierzom rządowym, zanim jeszcze tego samego spróbowały wojska nieprzyjaciela. Cały ten region już wkrótce stał się jednym wrzącym tyglem, w którym mieszały się chaos i ludzkie nieszczęścia,

a o to, by jego wysoka temperatura ani na chwilę nie spadała, dbali sami komuniści, raz po raz ostrzeliwując ludność z dział i moździerzy.

18 marca w Hanoi Giap poinformował politbiuro, że nadszedł oto krytyczny moment: czas już wykorzystać nieoczekiwane sukcesy odnoszone przez wojska Północy na skalę lokalną do przypuszczenia generalnej ofensywy. Dla komunistów było już wówczas rzeczą oczywistą, że Amerykanie nie zareagują na nią wysłaniem swojego lotnictwa, a wielu żołnierzy Thieu nie wykazywało żadnej woli dalszej walki. Mimo wielokrotnie opisywanych braków w uzbrojeniu wśród wojsk Południa nie ma żadnych podstaw do przypuszczeń, by wydarzenia tamtej wiosny mogły się potoczyć inaczej nawet wówczas, gdyby ARVN miała do dyspozycji dość broni i amunicji. Piszący na wygnaniu południowowietnamski historyk Nguyen Ky Phong sugeruje, że reżim wciąż posiadał dość sprzętu wojskowego, by móc prowadzić wojnę jeszcze przez rok[12], a tezę tę zdaje się potwierdzać fakt konsekwentnego przejmowania przez AWP olbrzymich ilości uzbrojenia – na samym tylko obszarze Płaskowyżu Centralnego było to 18 tysięcy ton. Faktem jest, że duża część tego sprzętu czy zapasów amunicji znajdowała się nie tam, gdzie była najbardziej potrzebna, ale to już wynikało z niewydolności i korupcji panujących w logistyce Południa i doprawdy trudno byłoby za to winić Stany Zjednoczone.

Podczas swojej marcowej wizyty w Waszyngtonie ambasador Graham Martin zwrócił się z bezpośrednim apelem do czołowych kongresmenów, prosząc ich o wydesygnowanie dlań nowych funduszy pomocowych – i spotkał się z ich strony z murem obojętności. Martin nie był specjalnie dobrym mówcą, ale na tamtym etapie wydarzeń nawet sam Cycero nie zdołałby przekonać przedstawicieli amerykańskiej władzy ustawodawczej do dalszego wspierania rządu w Sajgonie. Większość kongresmenów i senatorów dobrze wyczuwała nastroje społeczne i zdawała sobie sprawę z tego, że ich wyborcy oczekują jak najszybszego odłączenia kroplówki Wietnamowi Południowemu. Mimo to ambasador z miejsca skreślił obrzydliwie kłamliwy list do prezydenta Thieu, dostarczony do Sajgonu 15 marca, w którym pisał: „Mogę Panu dać moje absolutnie kategoryczne zapewnienie, że Prezydent oraz Sekretarze Stanu i Obrony są

przekonani o tym, iż spór toczący się obecnie w Waszyngtonie zostanie rozstrzygnięty na ich korzyść, a Pan będzie miał wszelkie środki, których Pan potrzebuje".

Spełniwszy w ten sposób swą powinność, Martin udał się na zasłużony dziesięciodniowy urlop na swojej farmie w Karolinie Północnej, który wykorzystał na podleczenie zębów. Jest mało prawdopodobne, by jakiekolwiek słowa czy czyny mogły wówczas odmienić bieg przyszłych wypadków, ale jego zachowanie z pewnością należy uznać za niegodne, podobnie zresztą jak upór Kongresu. Odmowa dalszego wspierania, choćby tylko finansowego, długoletniego dotychczasowego klienta Stanów Zjednoczonych, a w pewnym sensie również i ich ofiary, stawała się dla obu stron konfliktu jasnym i czytelnym sygnałem: oto naród amerykański tak bardzo zapragnął zapomnieć o swoim nieudanym zamorskim przedsięwzięciu, że gotów był całkowicie odwrócić się od Wietnamu – czy też, by użyć słów Franka Sneppa, „wykazał się szokującym brakiem zainteresowania dla przyszłych losów Wietnamczyków"[13]. Ten moralny wydźwięk bezustannych cięć finansowych miał znaczenie nawet większe od konsekwencji materialnych. Już żaden żołnierz armii Południa, od generała po zwykłego szeregowego, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że rząd w Sajgonie całkowicie utracił poparcie swojego dotychczasowego patrona; trudno było w takiej sytuacji oczekiwać, że w dalszym ciągu będą oni narażać własne życie dla z góry przegranej sprawy. W umysłach Wietnamczyków z Południa zaczęła się wtedy rodzić mająca przetrwać długie dziesięciolecia legenda o zadanym im przez Amerykę „ciosie w plecy". W tym sensie klęska poniesiona na Płaskowyżu Centralnym jedynie przydawała realnego wymiaru głęboko już zakorzenionemu w umysłach żołnierzy Thieu przekonaniu o beznadziei dalszej walki i nieuchronnej katastrofie. Ich los odwrócić mogło jedynie amerykańskie lotnictwo, tymczasem w Waszyngtonie urząd sprawował słaby prezydent, który nie miał zamiaru iść na zwarcie z opozycją w Kongresie, by wymusić na nim przeprowadzenie kolejnej interwencji.

Za to upojone dotychczasowymi sukcesami politbiuro w Hanoi wydało teraz dramatyczną dyrektywę nakazującą swoim siłom

ukończenie podboju Wietnamu Południowego do maja. „Sytuacja zmieniła się w zawrotnym tempie" – skomentował to generał brygady An[14]. 20 marca jego operująca na północy kraju artyleria zajęła pozycje wzdłuż kluczowej Drogi nr 1, biegnącej z północy na południe: w ciągu kilku godzin od rozpoczęcia przez nią ostrzału droga ta stała się nieprzejezdna na odcinku od Hue do Da Nang. Liczne samochody, którymi ludzie starali się uciec na południe, musiały zawrócić. Jedną z narad korpusu przerwała pewna lokalna działaczka Wietkongu, by zaraportować o tym, że tysiące dezerterów uciekających z armii nieprzyjaciela przechodzą przez jej rodzinną wioskę. Następnie poprosiła o pomoc w tej sytuacji. Z miejsca przydzielono jej kilka osób do odbierania im broni. Po jej oddaniu, jak jej wyjaśniono, samym zbiegom należy pozwolić spokojnie się oddalić, bo branie ich do niewoli stanowiłoby tylko obciążenie w przyszłych działaniach bojowych. An skomentował całą tę sytuację następująco: „Zdałem sobie wtedy sprawę z tego, że formacje nieprzyjaciela są na skraju załamania"[15]. Jednostki Południa przestawały już nawet dbać o kodowanie komunikatów radiowych, więc komuniści mogli swobodnie przysłuchiwać się, jak niektórzy z ich wrogów obrzucają się nawzajem w eterze wyzwiskami i przekleństwami.

W czasie tych ostatnich miesięcy siły Sajgonu musiały działać zupełnie po omacku, przy całkowitym braku informacji wywiadowczych na temat ruchów czy zamiarów nieprzyjaciela. W odróżnieniu od nich Hanoi było bezustannie informowane przez zdrajców w strukturach rządowych i wojskowych Sajgonu – w tym zwłaszcza przez pewnego sierżanta pracującego za biurkiem w gabinecie szefa sztabu ARVN – o niemal każdym planowanym przez przeciwnika przedsięwzięciu, w tym również o podjętej przez Thieu strategicznej decyzji porzucenia rozległych obszarów swojego terytorium. Giap najbardziej obawiał się, że siły Wietnamu Południowego wycofają się do swoistych enklaw wokół dużych miast takich jak Hue czy Da Nang, z których byłoby później trudno ich wyprzeć; z tego powodu zamierzał jak najszybciej przystąpić do uderzeń w wielu miejscach w celu zdezorganizowania jakichkolwiek skoordynowanych ruchów formacji wojskowych Południa. Na północy kraju strategia ta przewidywała błyskawiczne

natarcia w kierunku wschodnim wzdłuż kilku różnych osi ataku, co miało przynieść zablokowanie najważniejszych arterii, w tym kluczowej Drogi nr 1.

Dowodzący I Korpusem wojsk Południa Ngo Quang Truong miał poczucie, że w pierwszym tygodniu starć jego siły spisały się bardzo dobrze i utrzymały swoje pozycje – z czym zgadzał się zasadniczo jego odpowiednik po stronie AWP, generał An. Odwagą i determinacją wykazała się nawet część Sił Regionalnych, a marines zdołali przeprowadzić kilka skutecznych kontrataków. Teraz jednak obrona załamywała się z zastraszającą szybkością, w całym ciągu wydarzeń zapoczątkowanym przez reakcję Thieu na klęskę poniesioną na Płaskowyżu Centralnym. Rozkaz prezydenta o wycofaniu sił powietrznodesantowych oznaczał dla wojsk Truonga potężny cios, zarówno w sensie moralnym, jak taktycznym – a generał zmartwiłby się jeszcze bardziej, gdyby wiedział, że prezydent nosił się dodatkowo z zamiarem odebrania mu dywizji marines. W roku 1972 ci sami marines przy dużych stratach własnych zdołali odzyskać Quang Tri; teraz, po ostatecznym wcieleniu przez prezydenta w życie swojego zamiaru i wycofaniu ich z miasta na południe, padło ono zaledwie w ciągu jednego dnia, co przyniosło kolejny masowy exodus cywilów.

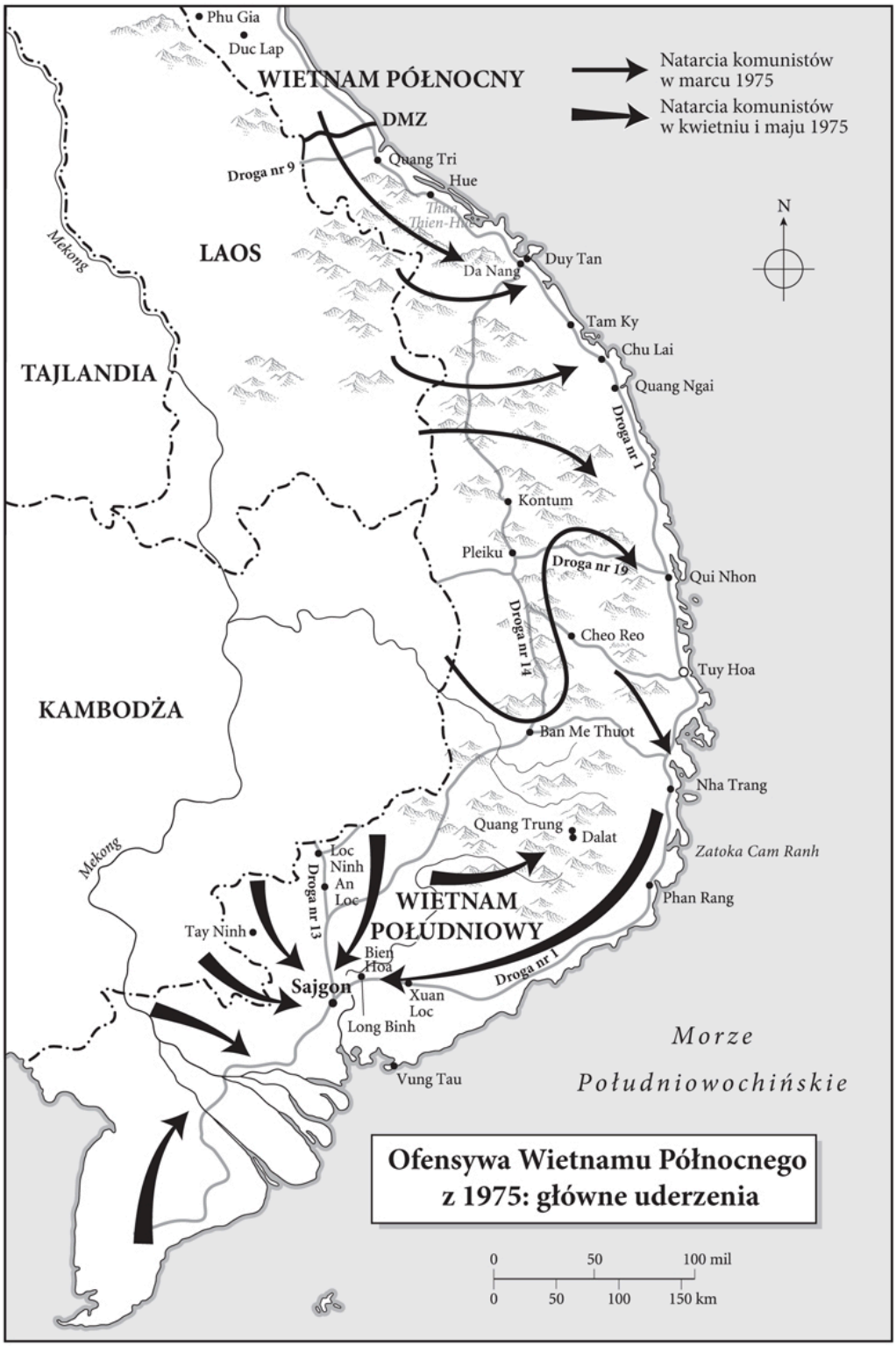

Podobnie jak na Płaskowyżu, także i tutaj uciekający piechotą i wszelkiego rodzaju pojazdami cywile szybko zablokowali wszystkie

drogi. Również w sąsiednich regionach na północy coraz więcej ludzi, zarówno wojskowych, jak i cywilów, zaczynało już dostrzegać, że zostali porzuceni przez własny rząd, który najwyraźniej nie uważał za możliwą dalszej obrony tego najbardziej oddalonego od stolicy skrawka kraju. Mimo kilku przypadków godnej postawy nielicznych jednostek ARVN siły komunistyczne przebiły się w kilkunastu kluczowych miejscach, od tych leżących na północ od Hue po te położone na południe od Da Nang, by uparcie i z całą mocą przeć ku wybrzeżu. Z dnia na dzień Truong i jego korpus tracili kontrolę nad kolejnymi obszarami regionu, dosłownie wyrywanymi im z rąk. A Thieu wciąż się miotał – raz żądał, by Hue broniono do ostatniego żołnierza, a raz proponował jego porzucenie.

Po dwóch tygodniach walk, w trakcie których I Korpus stracił 2 tysiące żołnierzy, zużywając, według własnych kalkulacji, 200 tysięcy pocisków artyleryjskich, 21 marca AWP wyparła formację rangersów z kluczowych wzgórz górujących nad Drogą nr 1. Stamtąd komuniści skierowali swoje uderzenie na północ, w kierunku Hue. 25 marca o godzinie 13.00 pewien żołnierz nazwiskiem Nguyen Van Phuong zatknął flagę Wietnamu Północnego nad dawną stolicą kraju. W mieście porzucono 50 czołgów i pojazdów opancerzonych, które An obsadził własnymi załogami i włączył do kolumny kierującej się teraz z powrotem na południe. Tymczasem ulice Hue zapełniły się tłumem rozbrojonych i zaszokowanych żołnierzy Sajgonu; setki oficerów wzięto z kolei do niewoli.

Podczas ewakuacji z północy w kierunku wybrzeża w dywizji marines, która przedtem sporo już wycierpiała, doszło do załamania się dyscypliny. Pewien amerykański *attaché* obrony już w ubiegłym roku przewidywał, że jakaś ofensywa nieprzyjaciela na północy mogłaby tam doprowadzić do powtórzenia się „Dunkierki, tyle że bez okrętów", i to właśnie miało teraz miejsce: po zdesperowanych żołnierzy i cywilów gromadzących się w ogromnej liczbie na brzegu przysłano bezładną zbieraninę statków i łodzi, których w dodatku było o wiele za mało, by pomieścić wszystkich chętnych. Na północy w zasadzie pozostały już tylko jakieś lokalne punkty oporu, z którego dławieniem generał An z AWP miał nawet mniej problemów niż z dostarczaniem ryżu do

swoich rozproszonych jednostek po rozmokłych i błotnistych drogach czy traktach.

Dziesiątki tysięcy żołnierzy i cywilów, którzy uciekli z Hue statkami albo mniejszymi łodziami, po kilkugodzinnym rejsie na południe wysadzano w Da Nang, gdzie całą masą przelewali się przez ulice miasta, szerząc silnie zaraźliwy wirus paniki. W oddali słychać było z kolei ogień artyleryjski: to położone na północ od miasta Phu Gia stawiało krótki opór nacierającym batalionom Ana. Do końca marca na ulicach Da Nang znajdowało się już około miliona uchodźców. Nad dziedzińcem amerykańskiego konsulatu unosiły się kłęby gęstego czarnego dymu: to jego personel i strażnicy z marines palili wszystkie akta. A już wkrótce do miasta zaczęły wkraczać kolumny rozentuzjazmowanych żołnierzy północnowietnamskich witane przez tłumy cywilów, przeczuwających historyczną zmianę na szczytach władzy.

Komandor Nguyen Tri, odpowiedzialny za mniejsze jednostki pływające w wietnamskiej marynarce wojennej stacjonującej w Da Nang, wielokrotnie dopominał się o jakieś rozkazy, ale jego admirał milczał jak zaklęty. 28 marca Tri złożył wizytę w kwaterze wojsk lądowych, która przeniosła się na teren bazy marynarki, by zastać tam tłum oficerów obładowanych workami na piasek – tyle że zamiast wysypanego wcześniej piasku mieli w nich swoje rzeczy osobiste. A już wkrótce przyleciały po nich helikoptery, by wywieźć to nieliczne grono uprzywilejowanych w bezpieczne rejony, za to na miejscu pozostawić chaos i bezhołowie. Tri załadował swoją własną rodzinę oraz rodziny pozostałych ludzi służących w bazie na pokład niewielkiej flotylli statków, po czym przeprawił się z nimi wzdłuż wybrzeża nieco dalej na południe. Ku swojemu oburzeniu w Qui Nhon zastał dokładnie takie same przygnębiające sceny: całkowite załamanie się porządku i dyscypliny.

Generał Truong, pisząc później o tych ostatnich dniach, w których dowodził I Korpusem, zauważał, że nawet kiedy usiłował wysyłać swoich żołnierzy tam, gdzie byli najbardziej potrzebni, „pochłaniała ich masa ludzi zapychająca Drogę nr 1 i wszystkie przylegające do niej tereny. Zamieszanie, frustracja, a w końcu i panika zaczęły się z czasem

udzielać również niektórym jednostkom bojowym”[16]. Pewien amerykański świadek tamtych wydarzeń, pilot AA Wayne Lennin, tak opisywał sytuację w Da Nang: „To miasto nie upadło, ono po prostu się rozpadło (...). Żołnierze zupełnie oszaleli. Biegali po ulicach miasta i strzelali z karabinów maszynowych do cywilów (...), zrywając z trupów biżuterię i gwałcąc dziewczęta”[17]. Do dantejskich scen dochodziło na lotnisku, gdzie rozhisteryzowane tłumy oblegały nieliczne odlatujące samoloty, w przekonaniu, że może to być ostatnia szansa na wydostanie się z miasta; ludzie czepiali się nawet kół, by po chwili ginąć w męczarniach, gdy wzbijający maszyny do lotu piloci chowali podwozia, miażdżąc tym samym tych swoistych pasażerów na gapę. Z powodu tłumów żołnierzy i cywilów, które wtargnęły na płytę lotniska, nie udało się też wywieźć z miasta licznych rannych leżących na noszach: w konsekwencji pozostawiono własnemu losowi aż 5 tysięcy pacjentów i członków personelu medycznego ze szpitala ogólnego w Duy Tan. Z kolei na wybrzeżu żołnierze oblegali wszystkie dostępne statki i barki; niektórzy z nich wjeżdżali swoimi czołgami albo ciężarówkami głęboko w wodę, byle tylko jak najszybciej dostać się na ich pokład. „Byli tam ci z rangersów, ci z marines, a także czołgi – opowiadał pewien wietnamski świadek. – A kiedy wpłynął pierwszy statek, to marines zaczęli strzelać do wszystkich innych, bo sami chcieli dostać się na ten statek. Wtedy ci z rangersów się wściekli i też zaczęli strzelać do marines, aż wreszcie statek zatonął”.

29 marca siły Północy wkroczyły do Da Nang, zajmując wcześniej rozległe połacie terytoriów, za cenę utraty co najwyżej 3 tysięcy własnych ludzi. W mieście pułki Ana mogły się przegrupować, korzystając z faktu, że znaleziono tam mnóstwo nowych środków transportu, w tym 487 porzuconych ciężarówek GMC. Ponadto udało im się zdobyć radiostacje PRC-25, wprost bezcenne dla armii zmagającej się z chronicznym niedoborem środków łączności, a od teraz, po raz pierwszy w tej wojnie, mogącej komunikować się już na poziomie kompanii. Każdy oddział piechoty otrzymał też własne granatniki M-79 Thumper. Co trzeci składnik artylerii Ana stanowił już teraz element uzbrojenia przejęty od przeciwnika.

Kolejnym wyzwaniem, jakie przed nim stało, było przeniesienie tej olbrzymiej masy ludzi i sprzętu, powiększonej jeszcze o kolejne dwie dywizje wezwane w pośpiechu z Wietnamu Północnego, o blisko tysiąc kilometrów na południe, by tam dołączyć do ofensywy na Sajgon. Ta Kolumna Przybrzeżna, bo pod taką nazwą była później znana, oddana została pod naczelne dowództwo generałowi Le Trong Tanowi, a składała się z aż 2276 pojazdów. Generał An czuł się nawet lekko przytłoczony jej wielkością w dniu wyruszania na południe 7 kwietnia: „Po raz pierwszy w mojej karierze przyszło mi kontrolować tak bardzo długą i rozciągniętą kolumnę wojska, złożoną z takiej ilości specjalistycznego sprzętu”[18]. Wzdłuż dróg ustawiały się wiwatujące tłumy, wśród których żołnierze pobitej armii rządowej pokornie żebrali o jedzenie. Kolumna musiała się często zatrzymywać, głównie w celu prowizorycznej naprawy zniszczonych albo wysadzonych mostów – między Da Nang a Xuan Loc przyszło jej pokonać aż 569 rozmaitych cieków wodnych. An wysyłał przodem oddziały mające zadbać o uzyskanie dostępu do składów paliwa w Qui Nhon, Nha Trang i zatoce Cam Ranh. Przez blisko dwa tygodnie korpus Ana pokonywał średnio ponad 90 kilometrów dziennie, pozostając w niemal bezustannym ruchu dzień i noc, z zaledwie czterogodzinnymi przerwami na sen.

Ciężki los Wietnamu Południowego nie umknął uwadze dziesiątek milionów Amerykanów. Nawet jednak obrazy cierpień wielkich mas ludzkich nie były w stanie odmienić nastrojów tamtejszej opinii publicznej, która już od dłuższego czasu zdecydowanie opowiadała się przeciwko jakiemukolwiek ponownemu zaangażowaniu militarnemu. A ponieważ kraj dotknęła akurat recesja gospodarcza, stała się ona wygodną wymówką dla bezczynności opozycyjnej frakcji w Kongresie. Inny powód podawał reprezentujący Kalifornię demokrata Henry Waxman: „Nie możemy zabiegać o pokój, dostarczając środki do prowadzenia wojny (...). Zapewnianie Sajgonowi ciągłego wsparcia wojskowego jedynie wzmacnia jego opór przed prowadzeniem merytorycznych negocjacji”[19]. Od tego rodzaju wypowiedzi znacznie gorsze były jednak postawy tych amerykańskich polityków, którzy wciąż obiecywali Wietnamczykom z Południa pomoc, dobrze wiedząc, że nigdy ona nie nadejdzie. Na przykład senator Hubert Humphrey lubił

raz na jakiś czas groźnie pohukiwać w tej sprawie, ale kiedy przyszło co do czego, potulnie zagłosował przeciwko nowym funduszom pomocowym. Thieu przekazał Fordowi z dużą szczerością, że bez amerykańskiej interwencji – w tym zwłaszcza nalotów B-52 – jego kraj prawdopodobnie skazany jest na porażkę. W odpowiedzi 22 marca amerykański prezydent obiecał wprawdzie swoje wsparcie, ale nie zająknął się ani słowem, jaką konkretnie formę miałoby ono przyjąć. Thieu przypomniał mu wówczas o zobowiązaniach składanych mu wielokrotnie przez Nixona i Kissingera po podpisaniu porozumień paryskich. Mimo to Ford doszedł do wniosku, że nie będzie ryzykował wywołania kryzysu konstytucyjnego, nakazując wznowienie nalotów i bombardowań. 25 marca ubrał tę decyzję w słowa: „Bardzo żałuję, że nie jestem władny robić pewnych rzeczy, na które mógł sobie pozwolić prezydent Nixon".

Za to sekretarz stanu Forda zachowywał w tamtych dniach charakterystyczną dlań umiejętność analizowania i przewidywania wydarzeń, z góry uznając za daremne wszelkie wysiłki dyplomatyczne mające odwieść komunistów od kontynuowania ofensywy. „Jestem przekonany – mówił wtedy Henry Kissinger – że Wietnam Północny nie zmieni absolutnie nic bez presji militarnej". Pojawiła się wprawdzie propozycja, by amerykańska marynarka pomogła przynajmniej w przeprowadzaniu ewakuacji z Hue i Da Nang, ale Biały Dom natychmiast się z niej wycofał, kiedy tylko dowódcy uświadomili politykom, że amerykańscy żołnierze musieliby wyjść na ląd. Zamiast tego Dowództwu Transportu Morskiego (Military Sealift Command) nakazano wyczarterować statki handlowe, które miały ratować tysiące uchodźców, co czasami przeradzało się w operacje nader dramatyczne i niepozbawione elementu przemocy. 28 marca Kissinger donosił Fordowi: „Nie sądzę, by Wietnam Południowy mógł wyjść z tego cało (...). Jest to moralna porażka Stanów Zjednoczonych"[20]. Następnego dnia, podczas spotkania z pracownikami swojego departamentu, wyraził się zaś następująco: „Ta hańba spada na nas". A kiedy jeden z nich zaproponował, by poprosić o interwencję Moskwę, Kissinger odparł: „Nie możemy prosić Sowietów, by w imię odprężenia uchronili nas przed nami samymi".

W Hanoi Giap przygotowywał się tymczasem do ostatniego etapu operacji, którą z całą determinacją postanowił obrócić w swój osobisty triumf: teraz przeniósł już do Smoczego Dworu nawet swoje łóżko, by móc tam przebywać na okrągło, aż do upadku Sajgonu, wyjąwszy tylko krótką wizytę złożoną na Południu, by spotkać się z dowódcami polowymi. W swoich cogodzinnych komunikatach „Van", bo taki nadano mu kryptonim, bezustannie wzywał swoich generałów do szybkości, szybkości i jeszcze raz szybkości – tak aby móc zająć Sajgon, zanim pora deszczowa rozpocznie się na dobre albo zanim Amerykanie zmienią jednak zdanie i przystąpią do bombardowań. O godzinie 19.00 każdego wieczora raport z całodziennych wydarzeń składano Le Duanowi: powojenni komunistyczni propagandziści podkreślają jego rolę jako *„de facto* najwyższego dowódcy", umniejszając tym samym legendę Giapa, choć nie ma najmniejszych wątpliwości, że cała ta kampania odzwierciedlała strategiczny geniusz tego przywróconego na krótko do łask starego generała.

Między 10 a 31 marca cztery dywizje AWP wspierane przez partyzantów Wietkongu przeprowadzały całą serię kolejnych ataków na północ i na wschód od Sajgonu; wszystkie one zostały ostatecznie powstrzymane, ale pozwoliły podejść napastnikom na odległość 65 kilometrów od stolicy. W ostatnich dniach tego miesiąca Le Duan zaczął nalegać, by również operujący na Płaskowyżu Centralnym generał Dung przeprowadził stamtąd uderzenie na południe, ale generał wykazał dość odwagi i uporu, by nie ulec tym namowom, argumentując, że musi najpierw uporać się z resztkami oporu stawianego przez II Korpus ARVN. 31 marca jego siły przebiły się przez linię obrony brygady powietrznodesantowej, utrzymującej dotąd skutecznie kluczową przełęcz M'Drak. Otworzyło to drogę do zdobycia portowego miasta Qui Nhon, a już następnego dnia wojska pancerne AWP pomknęły na południe, w kierunku Tuy Hoa. Amerykański konsulat w Nha Trang trzeba było ewakuować w pośpiechu, wśród zamieszania i gorszących scen. A ponieważ większość jednostek Południa już w zasadzie nie istniała, wkrótce padła też zatoka Cam Ranh. 2 kwietnia, po tym jak jego korpus został doszczętnie rozbity, generał Phu zbiegł do Sajgonu.

Wszystkie najważniejsze przełęcze wzdłuż Drogi nr 1 były już teraz kontrolowane przez komunistów. Frank Snepp, odnosząc się do twierdzeń niektórych rewizjonistów z XXI wieku sugerujących, jakoby Wietnam Południowy miał całkiem spójną koncepcję obrony całego kraju, zauważa: „Nie było ich tam wtedy i nie musieli patrzeć na ten bałagan. Próby nadania jakiejkolwiek klarowności poczynaniom ARVN są zupełnym nonsensem”[21]. Słowa te z całą pewnością można też odnieść do strategii Thieu – jeśli w ogóle da się o czymś takim mówić – która zawiodła na całej linii. Nie należy również zapominać o tym, że niektórzy południowowietnamscy żołnierze walczyli z ogromną odwagą i determinacją, godnymi znacznie lepszego narodowego przywódcy.

W długim wywodzie skierowanym do swoich towarzyszy 1 kwietnia Le Duan stwierdzał, że w dotychczasowych operacjach Północy „odnotowano niewiele strat militarnych”, a ponadto, że doprowadziły one do zdobycia wielkich połaci terytorium Wietnamu Południowego, przy stratach mniejszych niż te poniesione w roku 1972. Po raz pierwszy w trakcie tej wojny Hanoi zdecydowało się wysłać swoich kamerzystów i reporterów, którzy mieli towarzyszyć AWP w jej marszu ku zwycięstwu. Był wśród nich również Phung Ba Tho, który dopiero co powrócił do ojczyzny po dwudziestu latach spędzonych w Europie, gdzie z powodzeniem zajmował się kręceniem filmów. Armia dała Tho mundur i kamerę, po czym wysłała go na Południe, gdzie miał być świadkiem triumfu rewolucji. „Czułem wtedy dreszcz podniecenia” – wyznał rozemocjonowany Tho[22]. Początkowo on sam i jego towarzysze z komunistycznych mediów z pewnymi obawami poruszali się po gwarnych i zatłoczonych uchodźcami miastach na Południu, które kolejno wpadały w ręce żołnierzy AWP, „ale – jak mówi Tho – potem zorientowaliśmy się, że wszystko będzie w porządku”. Tłumy ludzi, między którymi musieli się przeciskać, czy to wojskowych, czy cywilów, nie miały wobec nich żadnych wrogich zamiarów – komuniści nie mogli się za to nadziwić pewnemu widokowi, który miał się już wkrótce stać codziennością na całym Południu, to jest byłym żołnierzom rządowym chodzącym w samych szortach, po tym jak wcześniej zrzucili swoje mundury.

Jednym z Amerykanów postrzegających wydarzenia tamtych dni szczególnie boleśnie był Jim Livingston, który siedem lat wcześniej zdobył Medal Honoru za męstwo okazane pod Daido, teraz zaś służył jako oficer operacyjny jednej z mobilnych brygad marines, stacjonując na statku dowódczym Blue Ridge u wybrzeży Wietnamu. Kiedy wybrał się z krótką wizytą na brzeg, do Da Nang, od tego, co tam zobaczył, „zrobiło mu się niedobrze". A pewien pułkownik z południowowietnamskiej dywizji Czarny Kot, który usiłował dostać się na pokład okrętu Livingstona w pobliżu zatoki Cam Ranh, został odepchnięty przez Amerykanina, zniesmaczonego faktem, że oficer ten opuszcza swoich ludzi: „A może ja wrócę tam z tobą i będę walczyć, skurwysynu?!"[23]. Jak wspominał Livingston, ta prześmiewcza oferta została jednak przez Wietnamczyka odrzucona. Byli też tacy, którzy na katastrofę reagowali jeszcze inaczej: właśnie w tym okresie zaczęło dochodzić do pierwszych samobójstw. W Qui Nhon dowódca operacyjny 42. Pułku najpierw odprawił swoich ludzi ewakuujących się łodziami, a potem wszedł do jakiegoś domu, gdzie strzelił sobie w głowę[24].

Giap żywił początkowo nadzieje, że idącym na czele formacjom Północy uda się zdobyć Sajgon „z marszu", wykorzystując impet, którego nabrały one w walkach toczonych w poprzednich tygodniach, i nie czekając w ogóle na dołączenie do nich Kolumny Przybrzeżnej. Rozkazał też wojskom generała Tra odcięcie stolicy od Delty Mekongu, ale komuniści napotkali tam znacznie silniejszy opór niż ten, z którym przyszło im się wcześniej mierzyć na Płaskowyżu Centralnym. Wielokrotnie dochodziło do intensywnych wymian ognia z południowowietnamskimi kanonierkami pływającymi po rzece, przypuszczony w połowie kwietnia atak na Can Tho został odparty, a pod Long An tamtejsze milicje SR i SL broniły się przed naporem 5. Dywizji AWP przez całe cztery dni.

Najważniejsza z bitew, którą przyszło stoczyć komunistom, rozegrała się 60 kilometrów na północny wschód od Sajgonu[25]. Miasto Xuan Loc, stolica prowincji Long Khanh, leżało na kluczowym odcinku Drogi nr 1, otoczone przez plantacje kauczuku i bananów. Starcia, jakie zaczęły się tam 9 kwietnia, stały się dla armii Wietnamu Południowego ostatnią

w jej historii okazją do wykazania się męstwem i determinacją w obliczu narastających przeciwności, choć rzecz jasna nie była już ona w stanie zmienić nieuchronnego rozwoju wydarzeń.

Dowódca 18. Dywizji, brygadier Le Minh Dao, z rzadka pokazujący swoją twarz schowaną zwykle za wielkimi i nieco złowrogo wyglądającymi okularami przeciwsłonecznymi, miał reputację playboya i od wojskowej chwały wolał sławę artystyczną – lubił bowiem występować jako grający na gitarze solista. Mimo to podjął on wraz ze swoimi oficerami staranne i umiejętne przygotowania do mającego już wkrótce nastąpić natarcia komunistów. Najpierw nakazali oni wywiezienie rodzin większości swoich żołnierzy do Long Binh, potem zaś rozmieścili działa przy tych samych drogach dojazdowych do miasta, z których korzystali komuniści podczas ofensywy Tet w roku 1968, słusznie przewidując, że będą chcieli uczynić tak ponownie. Dao wysłał ponadto swoich ludzi na okoliczne wzgórza, które wróg mógłby chcieć wykorzystać do obserwacji artyleryjskiej, a swoje własne działa w liczbie 36 umieścił w bunkrach, w których zadbał też o zapasy amunicji. Do tego wszystkiego monitorował kanały łączności AWP w eterze.

Jeden z pierwszych pocisków wystrzelonych podczas bombardowania miasta, które zaczęło się 9 kwietnia o godzinie 5.40, zniszczył kwaterę samego Dao położoną w pobliżu kościoła katolickiego. Po kilku następnych dniach komunistyczna artyleria zamieniła większą część Xuan Loc w stertę gruzów, nie wyrządzając jednak zbyt wielu szkód samym obrońcom, dobrze okopanym na obrzeżach miasta. O godzinie 6.40 pojawiły się dwie czerwone flary sygnalizujące natarcie wojsk pancernych i piechoty. Na wschodniej flance napastników z 7. Dywizji szybko zatrzymały druty, miny i naloty VNAF. Atakującym z północnego wschodu ludziom z 341. Dywizji udało się wprawdzie wtargnąć do miasta, ale ostrzał Południowców szybko odepchnął ich młodziutką i niedoświadczoną piechotę. Jedyny większy sukces odniosła 6. Dywizja, nacierająca od południa, by odciąć Drogę nr 1 pomiędzy Xuan Loc a Sajgonem. Po tej akcji miasto zostało całkowicie odizolowane.

W trakcie kolejnych dwóch dni żołnierzom Dao udało się przeprowadzić kilka udanych kontrataków, a także odeprzeć wszystkie natarcia ponawiane przez wroga. W ostatniej dużej operacji helikopterowej tej wojny sto hueyów wwiozło do miasta brygadę powietrznodesantową, mającą wzmocnić siły garnizonu. Bezustanny ostrzał artyleryjski komunistów powoli zamieniał życie cywilnej ludności miasta w piekło, ale nie przybliżało to Hanoi do triumfu, bo jego dowódcy popełniali błąd za błędem. Po pierwsze, generał Tra nie wykonał rozkazów, by zapobiec startom samolotów z Bien Hoa i w ten sposób uniemożliwić wysyłanie wsparcia lotniczego dla Xuan Loc; komuniści zdołali tego dokonać dopiero 15 kwietnia, dzięki ostrzałowi artyleryjskiemu i rakietowemu. Po kilku tygodniach walk w 7. Dywizji dawało się też odczuć coraz większe znużenie. Wietnamczycy z Południa robili dosłownie wszystko tak, jak należało, za to komuniści ponosili właśnie karę za swoją pychę, z jaką postanowili przeprowadzić frontalne natarcie na silnie umocnione pozycje wroga. Ponadto duże straty zadawały im siły VNAF, które właśnie w walce o to miasto po raz pierwszy użyły siedmiotonowych bomb BLU-82, zwanych kosiarzami stokrotek (*daisy-cutter*), jak również śmiercionośnych, zasysających powietrze bomb kasetowych CBU-55.

Xuan Loc stanowił już jednak ostatni wciąż utrzymujący się bastion oporu na sypiącym się wszędzie indziej froncie. Determinacja, z jaką walczyli ludzie brygadiera Dao, zmusiła Hanoi do odłożenia decydującego uderzenia na Sajgon, początkowo zaplanowanego na 15 kwietnia, by zaczekać na dotarcie reszty swojej armii. Do Xuan Loc przysłano przedstawicieli zachodnich mediów, by na własne oczy mogli obejrzeć mężną obronę miasta, ale ten efekt propagandowy zepsuła nieco przepychanka przy ich wylocie, bo zdesperowani mieszkańcy, pragnący za wszelką cenę wydostać się z tych zgliszcz, oblegli przysłane po dziennikarzy helikoptery, które z trudem były w stanie wystartować. Zmęczeni obrońcy zaczęli wykazywać coraz większą pasywność, a zresztą i tak niewiele mogli poradzić na gromadzenie przez Północ coraz większych sił na zachód od miasta. W końcu 20 kwietnia zapadła decyzja o ewakuacji Xuan Loc: żołnierze z garnizonu wyszli z miasta na piechotę, by dalej przedzierać się przez plantacje kauczuku, a 1. Brygada

Powietrznodesantowa miała osłaniać ich odwrót jako tylna straż. Dao, „z umęczoną twarzą człowieka, który nie za wiele ostatnio spał", by zacytować jednego z jego ludzi, postanowił honorowo wymaszerować wraz z nimi, zamiast dać się wywieźć hueyem. Bitwa o Xuan Loc była ostatnim starciem tej wojny, w którym walczyli ze sobą żołnierze z wielu różnych formacji. Hanoi nigdy nie podało wiarygodnych statystyk swoich strat, ale szacunki mówiące o 3 bądź 4 tysiącach zabitych wydają się nieprzesadzone. Samo podjęcie walki o to miasto było zresztą za strony AWP dużą nierozwagą: jej dowódcy mogli z łatwością odgrodzić je kordonem i ominąć, po czym kontynuować natarcie na Sajgon, a Dao i jego załodze pozwolić tkwić na swoich pozycjach obronnych. Tak czy inaczej ocalali południowowietnamscy żołnierze wspominają obronę Xuan Loc jako jeden z nielicznych jasnych punktów w całym morzu ówczesnych klęsk i upokorzeń.

W tym samym czasie, w którym toczono opisane wyżej walki, do starć doszło też w Phan Rang, przybrzeżnym mieście na Drodze nr 1 na południe od zatoki Cam Ranh, oddalonym o ponad 320 kilometrów na północny wschód od Sajgonu – żołnierze Południa przez kilka dni bronili tam swojej bazy lotniczej. 3 kwietnia okręty amerykańskiej marynarki wojennej u wybrzeży zaczęły wysyłać pomoc humanitarną dla uchodźców, ale ich dowódcy nie chcieli słuchać próśb o udzielenie obrońcom wsparcia ogniowego. W końcu samoloty VNAF ostrzelały nacierających komunistów, a podczas dramatycznej operacji helikopterowej udało się wydostać z miasta ośmiuset ocalałych żołnierzy z brygady powietrznodesantowej, którzy bronili wcześniej przełęczy M'Drak: przewieziono ich następnie do Sajgonu, gdzie wzmocnili garnizon broniący miasta.

16 kwietnia do Phan Rang dotarły pierwsze formacje idącej z północy Kolumny Przybrzeżnej, które przejęły główny ciężar natarcia na miasto. Port i samo miasto upadły szybko, ale baza powietrzna trzymała się jeszcze przez jakiś czas. Działa generała Ana musiały dodatkowo prowadzić wymianę ognia z południowowietnamskimi okrętami wojennymi. Komuniści mieli też problemy zupełnie innego rodzaju. Przejąwszy od swoich przeciwników mnóstwo środków transportu, zupełnie nie spodziewali się oni, że mogą przez to wpaść w tarapaty.

Tymczasem prowadzący swoją walkę na tych terenach już od dziesięcioleci Wietkong nauczył się przez ten czas jednego: każdy, kto porusza się po drogach pojazdami mechanicznymi, z założenia jest ich wrogiem. W konsekwencji dowódca jednej z dywizji obrony przeciwlotniczej Północy odniósł śmiertelne obrażenia po tym, jak w jego ciężarówkę trafiła rakieta B-40; pod własny ostrzał dostały się też komunistyczne czołgi. Sam generał An bardzo cieszył się z nowiutkiego jeepa, którego znalazł w porzuconej kwaterze południowowietnamskiego korpusu, dopóki nocą 16 kwietnia nie zaczęli do niego strzelać partyzanci; generałowi udało się szczęśliwie wydostać spod odstrzału mimo przebitych opon.

Ucieczka ludności cywilnej Drogą nr 1 z Xuan Loc – zajętego przez wojska Wietnamu Południowego po ciężkich walkach w kwietniu 1975 roku

Wśród jeńców schwytanych podczas walk na wybrzeżu byli dowódca korpusu, generał broni Nguyen Vinh Nghi, oraz James Lewis z CIA. Obu przewieziono samolotem do Hanoi. Tam pewien oficer propagandowy zaczął zadawać pojmanemu generałowi pytania w rodzaju: „W jaki sposób mamy sformułować apele do waszych marionetkowych

żołnierzy, by złożyli broń?". Zdesperowany Nghi odparł mu w końcu: „A po co wam w ogóle jakieś apele? Nasza armia i tak już się rozpadła". Przedstawiciele Wietnamu Południowego w Waszyngtonie starali się jeszcze argumentami o obronie Xuan Loc przekonać Amerykanów o tym, że armia Sajgonu wciąż miała w sobie dość woli walki, jeśli tylko Stany Zjednoczone zechciałyby jej zapewnić dalsze wsparcie finansowe. Senatorowie pozostali niewzruszeni. Nad Wietnamem Południowym wisiała coraz bardziej realna groźba ostatecznej zguby, a minorowe nastroje pogłębiały jeszcze wieści o upadku sąsiedniej Kambodży, skąd 1 kwietnia uciekł prezydent Lon Nol. Zwycięzcy Czerwoni Khmerzy, wykreowani przez Wietnamczyków z Północy, choć ci mieli się ich później wyprzeć, wkroczyli do Phnom Penh 17 kwietnia, a wkrótce potem przystąpili do zaplanowanego ludobójstwa na narodzie kambodżańskim.

2. „O, MÓJ KRAJU, MÓJ BIEDNY KRAJU"

Przez większą część kwietnia w całym kraju dochodziło do kolejnych starć zbrojnych i następujących po nich exodusów przerażonych mas ludzi, ale ponieważ sceny te rozgrywały się bez udziału światowych mediów, nie znamy dziś zbyt wielu związanych z nimi szczegółów. Z Wietnamu Północnego wyruszyły na południe tysiące działaczy komunistycznych, mających przejmować kontrolę nad kolejnymi połaciami „wyzwalanych terytoriów" – choć w uszach samych ich mieszkańców termin ten miał zabarwienie zdecydowanie pejoratywne. 2 kwietnia Le Duc Tho dołączył do generała Dunga – który teraz otrzymał zadanie przeprowadzenia uderzenia na Sajgon – by wraz z nim ustanowić kwaterę główną tuż obok bazy CBWP w Loc Ninh. Wcześniejsze upieranie się Dunga przy pozostaniu na Płaskowyżu Centralnym i dokończeniu rozprawy z resztkami II Korpusu, zanim skierował on swoje siły na południe, okazało się posunięciem ze wszech miar słusznym. Kolejne klęski wojsk Sajgonu oraz oznaki paniki w miastach przybrzeżnych utwierdzały cały świat, ale przede wszystkim Amerykanów i samych Wietnamczyków z Południa w przekonaniu, że

reżim i jego siły zbrojne wchodziły już w ostatnią, terminalną fazę istnienia. W tej sytuacji dziwić może nawet nie to, że wiele formacji ARVN po prostu się rozsypywało, ale to, iż niektóre z nich potrafiły jednak stawiać napastnikom mężny opór, mimo całej jego beznadziejności.

W samej stolicy utrzymywał się pewien mocno odrealniony stan świadomości. Choć logika nakazywała przyjąć nieuchronność ostatecznego triumfu komunistów, wielu mieszkańców miasta, zarówno Wietnamczyków, jak i Amerykanów, nie potrafiło pogodzić się z faktem, że wszystko, co dobrze znają i cenią sobie w swoim dotychczasowym życiu, już wkrótce zostanie im odebrane. Wśród takich ludzi wciąż żyjących złudzeniami wyróżniał się Graham Martin. W lutym w Sajgonie zjawiła się z wizytą delegacja Kongresu, której towarzyszył Frank Scotton. Nie ukrywał on swojej wściekłości po tym, jak dowiedział się, że na wyraźne życzenie ambasadora z zespołu, który miał zapoznać członków delegacji z aktualnym oglądem sytuacji, usunięto Franka Sneppa – człowieka, od którego najszybciej można by dowiedzieć się prawdy na temat rzeczywistego stanu rzeczy. Scotton zadbał jednak o to, by ów analityk CIA miał później okazję porozmawiać z kongresmenami prywatnie[26].

8 kwietnia CIA pchnęła do Waszyngtonu depeszę ze szczegółowymi informacjami otrzymanymi od wypróbowanego i zaufanego „źródła Tay Ninh" w sprawie podjętej przez Hanoi decyzji o dążeniu do całkowitego zwycięstwa: „niezależnie od tego, jak potoczą się wydarzenia (...). Nie będzie mowy o żadnych negocjacjach ani o rządzie trójstronnym. Siły komunistyczne uderzą na Sajgon". A mimo to dosłownie do ostatnich chwil ambasador Martin z jakimś niepojętym uporem odrzucał zalecenia swoich doradców, by pójść z Hanoi na jakikolwiek układ pozwalający zachować choćby kadłubowy kształt Wietnamu Południowego. Najważniejszą konsekwencją tego uporu było niesłuchanie przezeń wezwań do ewakuacji dziesiątek tysięcy Wietnamczyków najbardziej narażonych na zemstę komunistów, którą to operację rozpoczęto w związku z tym zbyt późno i objęto nią za małą liczbę ludzi. Nastawienie ambasadora, podobnie jak jego wcześniejsze buńczuczne depesze słane do Waszyngtonu wywoływały furię wśród

jego podwładnych, poważnie zaniepokojonych losem swoich południowowietnamskich przyjaciół i kolegów. Pierwsze, mocno spóźnione ewakuacje rozpoczęły się dopiero po 21 kwietnia: samoloty USAF, startujące z Tan Son Nhut, przystąpiły wówczas do wywożenia partiami – było ich łącznie 304 – zarówno Amerykanów, jak i Wietnamczyków, których ewakuowano w sumie niemal 43 tysiące.

Podczas tych ostatnich tygodni funkcjonowania Sajgonu jako stolicy państwa Thieu wielu Wietnamczyków, niemających dostępu do list ewakuacyjnych, starało się za wszelką cenę zapewnić sobie jakiś bezpieczny sposób opuszczenia kraju, mimo że emigracja wiązała się dla nich wszystkich, wychowanych i mocno osadzonych w kulturze odpowiedzialności za rodzinę i lokalną wspólnotę, z wysokim kosztem emocjonalnym. Z kolei członkowie społeczności francuskiej, a zwłaszcza ich ambasador, pozwalali sobie teraz na okazywanie pewnej wyższości w stosunku do nieszczęsnych Amerykanów, wynikającej z ich głębokiego – choć, jak miało się później okazać, nieuzasadnionego – przekonania o jakichś specjalnych relacjach z Hanoi, które miały pozwolić Francji zachować stosunkowo ważną pozycję w komunistycznym Wietnamie.

Wartość piastra spadła niemal do zera, więc cudzoziemcy dysponujący dolarami mogli teraz żyć jak królowie, praktycznie za grosze: pewien pilot AA wyliczył, że realna cena za seks z najpiękniejszą z dziewczyn we wszystkich barach w Sajgonie wynosiła wówczas 66 centów za szybki numerek, a 1,11 dolara za całą noc. W wielu barach i hotelach w mieście dochodziło wówczas do iście bakchicznych orgii, podsycanych niewątpliwie strachem opanowującym wszystkich ich uczestników. Amerykanie na próżno apelowali do rządu Thieu, by wyjawił swoim obywatelom choć część prawdy na temat rzeczywistej sytuacji. Zamiast tego oficjalna propaganda wciąż głosiła tylko puste slogany i kłamstwa, niewygodnym pogłoskom bezustannie zaprzeczano, a wielu wysokich urzędników państwowych i wojskowych aktywnie przyczyniało się do szerzenia złudnego poczucia bezpieczeństwa: w południowowietnamskiej szkole dowódców i oficerów sztabowych w Long Binh wciąż prowadzono zajęcia dla studentów, przerwane dopiero 28 kwietnia. Szkolący się na oficerów

starsi uczniowie spędzali całe godziny, debatując nad możliwymi scenariuszami bitewnymi; wszyscy też zgadzali się, że Amerykanie nie mogą ot tak porzucić narodu, dla którego poświęcili dotąd życie 58 tysięcy swoich rodaków[27].

Podczas gdy wielu Wietnamczyków wyprzedawało cały swój majątek, by zebrać pieniądze na ucieczkę, byli też tacy, którzy wracali do domu. Nguyen Thi Chinh, owa nastolatka, która w roku 1954 uciekła z Hanoi, by na Południu zostać z czasem wielką gwiazdą telewizyjną i filmową, kręciła akurat swój kolejny film w Singapurze, ale czuła, że jej miejsce było wówczas w Sajgonie: „Rozum podpowiadał mi, że to zła decyzja, ale serce – że dobra"[28]. A 1 kwietnia major Nguyen Cong Luan, dwudziestoletni weteran walk w armii Południa, który właśnie ukończył kurs w Fort Benning, wraz z trzema swoimi kolegami wsiadł w San Francisco do samolotu wracającego do kraju. Kiedy wylądowali w Tan Son Nhut, dziewczyna witająca ich w okienku dla przybywających nie mogła wyjść ze zdumienia: „Po co tu wracaliście? Ostatniej nocy padło Dalat".

Choć Australijczycy odegrali wcześniej chwalebną rolę w obronie Wietnamu Południowego, to teraz rządzący ich krajem gabinet Partii Pracy zakazał pilotom RAAF ewakuującym stamtąd resztki ich personelu zabierania jakichkolwiek uchodźców. Premier Gough Whitlam podkreślał, że w świetle składanych przez Hanoi publicznych zapewnień Wietnamczycy z Południa nie mieli się czego obawiać ze strony przyszłego komunistycznego rządu. Spośród 3667 osób ubiegających się w tamtych dniach o przyznanie australijskich wiz, pozytywnie rozpatrzono jedynie 342 aplikacje, a ostatecznie pozwolono polecieć tylko 76 szczęśliwcom: na miejscu pozostawiono cały wietnamski personel australijskiej ambasady. Co ciekawe, paru beznadziejnie sentymentalnych zagranicznych filantropów opłaciło i zorganizowało loty ewakuacyjne dla pensjonariuszy sajgońskich sierocińców. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł zakładać, że zwycięzcy komuniści z miejsca przystąpią do mordowania małych dzieci. Na śmiertelne niebezpieczeństwo byli za to narażeni brzuchaci oficerowie ARVN, nielubiani biurokraci i źle postrzegani policjanci: ci

jednak niestety nie znaleźli za granicą równie współczujących przyjaciół.

Porucznik Nghien Khiem powiedział: „Wtedy już rozumieliśmy, że przegrywamy, ale nie wiedzieliśmy, co dalej robić. Nie ważyliśmy się nawet rozmawiać o tym między sobą, żeby nie wzniecać paniki. Okłamywaliśmy też własnych ludzi, żeby dodać im otuchy”[29]. Jako syn dobrze prosperującego biznesmena Khiem miał sporo krewnych w Europie, którzy bezustannie wydzwaniali do niego, nalegając coraz mocniej: „Wyjeżdżaj stamtąd, wyjeżdżaj!”. „Cóż – skomentował on sam – oni wiedzieli znacznie więcej niż my. Ale jak ja miałem wyjechać?” Ngo Thi Bong, owa matrona, która przeżyła wszelkie okropności w Hue podczas ofensywy Tet z roku 1968, napisała do swojego mieszkającego w Sajgonie angielskiego przyjaciela Gavina Younga: „Już wszystko stracone. Mój najdroższy, mój jedyny syn Minh był w Da Nang (...). Czy to możliwe, że wciąż żyje? Czy może już zginął? To wszystko jest takie smutne, tak niewyobrażalnie smutne dla biednej matki. Nie potrafię nawet wyrazić moich uczuć, bo teraz żyjemy z minuty na minutę (...). Brak mi już łez, by móc opłakiwać mojego małego Minha, a jeszcze dodatkowo żałować moich wnucząt. O, mój kraju, mój biedny kraju”[30].

Dramatowi rozgrywającemu się po drugiej stronie Pacyfiku przyglądało się ze szczególnym zafascynowaniem blisko 3 miliony amerykańskich weteranów tej wojny. Były kapitan marines Hays Parks wyraził się ze smutkiem: „Gdyby tylko Wietnamczycy z Południa wiedzieli, jak się to wszystko skończy, walczyliby zapewne o wiele twardziej”[31]. Generał broni Bruce Palmer wściekał się z kolei: „Nieprzyjemna prawda jest taka, że kiedy w czarnej godzinie zrozpaczony Wietnam Południowy zwrócił się do nas, Stany Zjednoczone odwróciły wzrok (...). Nasi południowowietnamscy przyjaciele nigdy już nie będą potrafili zapomnieć tragedii i koszmaru tych ostatnich scen”[32]. Podobnie myślała wojskowa pielęgniarka Phyllis Breen: „Było mi po prostu tak strasznie szkoda wszystkich tych Wietnamczyków, którzy przecież nam zaufali”[33].

Brytyjski dziennikarz Richard West, znający Indochiny od podszewki, a przy tym przez jakiś czas wyrażający poglądy głęboko

antyamerykańskie, teraz pisał z Sajgonu w zupełnie innym tonie: „Niesłuszne jest portretowanie Wietnamu Południowego jako jakiegoś faszystowskiego reżimu obalanego właśnie przez ruch rewolucyjny. Nawet w przeddzień swojego upadku państwo to daje ruchom opozycyjnym pewne prawa do protestowania, a sajgońska prasa wykazuje więcej odwagi w obnażaniu przekrętów w strukturach władzy od swojej odpowiedniczki w Londynie. Wietkong, to jest lokalni komuniści z Południa, nie odgrywa już teraz w wojnie żadnej większej roli; sajgoński proletariat, który wcześniej dwukrotnie zignorował wezwania do wywołania powstania w roku 1968, też wydaje się apatyczny (...). Ten konflikt, który rozpoczął się jako rewolucja, przekształcił się z czasem w dobrze nam znaną, konwencjonalną inwazję na Południe przeprowadzaną przez Północ (...). Będąc tutaj, w Sajgonie, nie sposób nie poczuć obrzydzenia, kiedy czyta się w niektórych zagranicznych gazetach triumfalne komentarze o zasłużonym losie antykomunistów”[34]. Ta ostatnia uwaga odzwierciedlała wielki sukces osiągnięty przez propagandzistów z Hanoi: setki milionów ludzi na całym świecie, w tym również całkiem sporo Amerykanów, uwierzyły w to, że nieuchronne zwycięstwo Wietnamczyków z Północy stanowiło jedynie słuszny rezultat tej wojny.

W amerykańskiej strefie przejściowej w Tan Son Nhut tysiące przerażonych Wietnamczyków stało w długich kolejkach przed wejściem do mieszczącej się w tej bazie kręgielni albo zbierało się na jej kortach tenisowych w oczekiwaniu na transport lotniczy dla uchodźców. Po południu 23 kwietnia czterdziestopięcioletnia Le Thi Thu Van, wdowa po zamordowanym południowowietnamskim polityku Nguyenie Van Bongu, spotkała tam swojego przyjaciela, starszawego już nauczyciela francuskiego, który nagle zaczął głośno krzyczeć. Jak się okazało, zniknęła jego teczka zawierająca 2 tysiące dolarów, jedyny łatwo zbywalny dobytek, jaki posiadał – niewątpliwie padła ona łupem złodziei. Niepocieszony staruszek uznał w tej sytuacji, że nie chce jechać do Stanów Zjednoczonych jako żebrak – i wrócił do swojego domu w mieście. Razem z nim wrócił też jego kuzyn, wiceminister edukacji w rządzie Sajgonu, a ta impulsywna decyzja miała ich obu

kosztować lata spędzone później w komunistycznych obozach reedukacyjnych[35].

Po dostaniu się na pokład C-130 Van i jej dzieci znalazły sobie cztery płócienne siedzenia. Ale już po chwili przez zatłoczoną ładownię przepchnął się w ich stronę jakiś wysoki amerykański cywil w towarzystwie młodej Wietnamki, po czym gestem pokazał Van i jej potomstwu, że mają się przesunąć. A kiedy odmówiła, rozzłoszczony mężczyzna upuścił jej na stopy swoją ciężką torbę. „Wiesz co, dziewczyno? – zagadnął jeszcze, rozkładając się ze swoją towarzyszką na podłodze. – W moim kraju nadawałabyś się tylko do jednego. Do pracy w pralni!" Thu Van napisała później: „I tak to opuszczałam mój kraj z ciężkim sercem i z obolałymi stopami"[36].

Rodzina byłego pilota myśliwców VNAF Trana Hoia wydostała się z kraju na pokładzie samolotu linii World Airways, a ich ucieczkę zorganizowali jego przyjaciele, winni mu przysługę. Kiedy jego teściowa odmówiła wyjazdu razem z nimi, Hoi wręczył jej akt notarialny swojego domu i dokumenty własności dwóch samochodów, zapewniając ją na odchodnym: „Nie przejmuj się, mamo, to tylko na jakiś czas. Jak tylko sytuacja się uspokoi, twoje wnuki wrócą"[37]. Sam Hoi udał się następnie na Guam na pokładzie samolotu USAF Starlifter; wszystkie cenne rzeczy, które zostawił w Sajgonie, miały już wkrótce paść łupem zwycięzców. Eva Kim, sekretarka Grahama Martina, zaproponowała z kolei Merle'owi Pribbenowowi: „Masz wietnamską rodzinę – mogę ci zorganizować ucieczkę «na czarno» z kilku różnych miejsc". Tak też zrobiła, podając mu adres kryjówki, z której zabrano w bezpieczne miejsce jego teściową i siostrzenicę – jego żona i syn uciekli już wcześniej. Kim była niezwykle pomocną kobietą, która podobne „usługi" zaproponowała też wielu innym potrzebującym.

Niektóre dzieci, takie jak dziewięcioletni Bong, patrzyły na całą ewakuację jak na „jakąś fajną przygodę, wyprawę do nowych i nieznanych miejsc". Chłopak nie bardzo rozumiał tylko jedno: dlaczego wszyscy otaczający go dorośli tyle płakali. Jego matka, jak większość uciekinierów, słowem nie wspomniała o planach wyjazdu swoim sąsiadom, ale w kręgielni w Tan Son Nhut ich rodzina spotkała całe mnóstwo znajomych, przyjaciół i kolegów z klasy, a wszyscy oni

wyglądali na równie zażenowanych i nieszczęśliwych, choć nikt nie chciał o tym głośno mówić. Spędzili tam dwa długie dni i dwie noce, aż wreszcie pozwolono im wsiąść do samolotu C-130, gdzie bardzo bali się o to, by podczas wznoszenia się do góry nie zestrzelili ich komuniści, wówczas będący już bardzo blisko miasta. Rozluźnili się nieco dopiero nad pełnym morzem, choć przed nimi wciąż były jeszcze niewygody długiego lotu na Filipiny[38]. Mało chlubnym aspektem tych ewakuacji był fakt, że niektórzy Amerykanie i Wietnamczycy mający wpływ na kształt list pasażerów sprzedawali miejsca w samolotach za gotówkę: skorzystały z tego setki dziewcząt z barów dysponujące „zielonymi", czyli dolarami amerykańskimi. Ponadto łapówki w wysokości ponad 50 tysięcy dolarów musieli też wypłacić sami Amerykanie wietnamskim urzędnikom wojskowym i policyjnym w Tan Son Nhut, po to by nie robili oni żadnych problemów przy ewakuacji swoich rodaków.

Wróćmy teraz do południowowietnamskiego przywódcy, to jest prezydenta Nguyena Van Thieu. Co też mógł on sobie myśleć i co odczuwać, siedząc niemal w samotności w wielkim i pustym Pałacu Niepodległości, podczas gdy wokół niego wszystko się waliło i paliło? „Thieu byłby doskonałym pokerzystą w Las Vegas – oceniał Frank Scotton. – On był całkowicie nieprzenikniony"[39]. A Frank Snepp dodawał: „Jak tylko przestaliśmy kontrolować wietnamskiego przywódcę, to zupełnie się go wyrzekliśmy. Thieu był postacią tragiczną"[40]. Pewien wysoki rangą oficer lotnictwa zasugerował, że prezydent od zawsze miał w tyle głowy pamięć o tym, co stało się z Diemem, obawiając się, iż w razie przeciwstawienia się woli Waszyngtonu może go czekać taki sam koniec. „A w konsekwencji Amerykanie postrzegali Thieu jako małego człowieka"[41]. Z kolei Truong Nhu Tang, minister w rządzie cieni TRR, argumentował, że Thieu z całą naiwnością sądził, iż Amerykanie cenili sobie tę jego ślepą lojalność i ją odwzajemniali, wobec czego „po prostu nie potrafił zmusić się do uwierzenia, że w tak skrajnej sytuacji mogliby go oni opuścić"[42].

Ta ostatnia spekulacja wydaje się całkiem sensowna, choć nie sposób jej rzecz jasna udowodnić, jako że już na wygnaniu Thieu ani razu nie zdecydował się przerwać grobowego milczenia. W tych ostatnich

tygodniach sprawowania swojej władzy – choć może trafniej byłoby powiedzieć: pokazu nieumiejętności jej sprawowania – demonstrował on ten sam brak politycznej wrażliwości, który charakteryzował całe jego ośmioletnie rządy. Jeszcze w połowie marca odrzucił wezwania do rezygnacji ze stanowiska formułowane przez opozycjonistów takich jak ojciec Tran Huu Thanh czy były wiceprezydent Ky – ten ostatni, po wycofaniu się z wyścigu prezydenckiego w roku 1971, zaszył się na swojej farmie. Niedługo potem do więzienia wtrącono dziesięciu ludzi podejrzewanych o rzekome spiskowanie w celu obalenia rządu. Thieu nie przejął się też uchwałą sajgońskiego senatu, który wezwał go do ustąpienia. 4 kwietnia, mocno poniewczasie, wprowadził pewne zmiany w swoim gabinecie, choć jego przetrwanie na urzędzie i tak zależało przede wszystkim, jak zresztą zawsze, od lojalności generałów. Wykorzystywane przez CIA „źródło Tay Ninh", to jest agent „Hackle", raportowało, że Hanoi nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowane układaniem się z jakąkolwiek frakcją partyjną istniejącą na Południu. Bo też dlaczego Północ miałaby iść na jakiekolwiek układy, skoro i tak stała u progu absolutnego triumfu wojskowego? Jedynie ambasador Martin i garstka wietnamskich „szarych eminencji" żywili jeszcze jakieś złudzenia, że dałoby się jakoś doprowadzić do zrealizowania się innego scenariusza niż całkowite opanowanie kraju przez komunistów.

W oczach potomności Thieu jawi się jako postać mało sympatyczna – ktoś, kto nigdy nie potrafił nawiązać żadnych głębszych relacji z szerokimi masami swoich rodaków, rządzący nimi za pośrednictwem garstki mniej lub bardziej skorumpowanych wojskowych. Nie pozostały po nim żadne anegdoty, które pozwoliłyby nadać temu nienaturalnie chłodnemu człowiekowi jakąś ludzką twarz. Najlepsze, co można by o nim powiedzieć, to że przynajmniej nie należał do najokrutniejszych autokratów na świecie. Poniewczasie, 21 kwietnia, zrzekł się nawet prezydentury, by już na dobre wyjechać z kraju cztery dni później, w towarzystwie byłego premiera Tran Thien Khiema. Kierowcą Thieu w krótkiej i odbywanej po ciemku podróży z jego prywatnej rezydencji do bazy Tan Son Nhut, gdzie czekał już na niego samolot USAF C-118, był Frank Snepp. Po dojechaniu na miejsce prezydent uścisnął dłoń temu oficerowi CIA i powiedział tylko: „Dziękuję", z trudem

powstrzymując łzy[43]. Zebrana na miejscu garstka amerykańskich szpiegów, dyplomatów i strażników – wszyscy w cywilnych ubraniach – wymieniała między sobą lekko nerwowe żarty na temat dobiegających z oddali odgłosów ognia artyleryjskiego.

U stóp schodów wiodących do samolotu kilka ostatnich słów zamienił z prezydentem ambasador. „Chciałem mu tylko powiedzieć: «Do widzenia» – relacjonował później Martin. – Żadnych historycznych słów. Zwykłe: «Do widzenia»". Kiedy Thieu wsiadł już do samolotu, a jego silniki zaczęły osiągać coraz wyższe obroty, nastąpił dość niezręczny moment, jako że sam ambasador, sapiąc i dysząc, usiłował odciągnąć na bok niepotrzebne już schody. Na szczęście przytomność umysłu zachował Snepp, który krzyknął: „Panie ambasadorze! Pozwoli pan, że ja to zrobię". Przez wiele kolejnych lat utrzymywały się pogłoski, jakoby Thieu wywiózł w swoim bagażu południowowietnamskie rezerwy złota. Przez pozostałą część życia spędzoną na wygnaniu ani on sam, ani jego rodzina nie szastali jednak pieniędzmi i nie opływali w luksusy, a w roku 2016 wdowa po nim musiała się wręcz odwołać do hojności swoich przyjaciół, by móc nabyć miejsce na cmentarzu w hrabstwie Orange[44]. Najlepszym epitafium dla Thieu byłoby zapewne stwierdzenie, że stał się on bezsilną marionetką w momencie, w którym Amerykanie postanowili wypuścić z rąk jej sznurki.

Na kilka ostatnich, dramatycznych dni prezydenturę objął siedemdziesięciojednoletni emerytowany nauczyciel Tran Van Huong, kierowanie obroną Sajgonu powierzono zaś generałowi dywizji Nguyenowi Van Toanowi. Miał on do dyspozycji 60 tysięcy ludzi regularnego wojska i mniej więcej drugie tyle milicji SL i SR. Nie wystarczało to nawet do obsadzenia wszystkich stanowisk obronnych wokół miasta, wobec czego od południa było ono właściwie niebronione. Ani po jednej, ani po drugiej stronie nikt nie łudził się, że Wietnamczycy z Południa mogliby stawiać opór zmasowanym siłom Północy jakoś specjalnie długo, choć niektórzy oficerowie i politycy Południa wciąż żywili nadzieje, że uda im się walczyć na tyle dzielnie i skutecznie, by zapewnić sobie możliwość wynegocjowania jakichś warunków kapitulacji, zamiast po prostu żałośnie się poddać. NSA przechwyciła komunikat radiowy nieprzyjaciela, który zawierał rozkaz

otwarcia ognia artyleryjskiego w razie, gdyby Amerykanie jeszcze się nie wynieśli przed wkroczeniem do centrum miasta kolumn Dunga. Do dziś nie wiemy, czy nie miał to być zwykły blef, ale pozostaje faktem, że wyższy rangą personel amerykański zaplanował swój odlot przed zjawieniem się na ulicach pierwszych formacji komunistycznych. Dung miał do swojej dyspozycji ponad ćwierć miliona żołnierzy, podzielonych na 5 korpusów, 14 dywizji, 10 niezależnych brygad i pułków, a dodatkowo jeszcze 1 batalion obrony przeciwlotniczej SAM-2, sprowadzony drogą morską z Północy. Kilku pilotów błyskawicznie przeszkolono do zmiany samolotu MiG-17 na A-37, tak by mogli latać maszynami przejętymi od nieprzyjaciela; Hanoi nie chciało używać własnych myśliwców, otrzymanych od Rosjan ze strachu przed sprowokowaniem Amerykanów do jakiejś odpowiedzi. Dung zaplanował swoje uderzenie wzdłuż wielu osi natarcia, koncentrując się na kluczowych budynkach i symbolach władzy militarnej i politycznej, w tym na Tan Son Nhut oraz na Pałacu Niepodległości. Między liniami komunistycznymi a centrum miasta leżało 14 mostów, które przed zjawieniem się na nich kolumn pancernych mieli najpierw zabezpieczyć saperzy. Głównym celem ofensywy było związanie walką i zniszczenie sił południowowietnamskich jeszcze na peryferiach miasta, tak by uniknąć wyniszczających walk w jego centrum.

25 kwietnia Le Duc Tho wysłał długą depeszę do swoich kolegów z politbiura w Hanoi, starając się uśmierzyć ich obawy, że zbyt długo zwlekano z zakończeniem całej operacji albo nawet że po utracie stolicy siły Sajgonu mogą jeszcze wycofać się na obszar Delty i tam wciąż stawiać zbrojny opór. „Możecie być spokojni" – pisał Tho, dodając, że wszystko było w najlepszym porządku. Sajgon miał już wkrótce upaść, a wraz z nim miał odejść w niebyt znienawidzony reżim.

Po odprawieniu wszystkich maszyn odlatujących z Tan Son Nhut, ludzie ze służb bezpieczeństwa VNAF poszli do swojego dowódcy i zadali mu proste, acz istotne pytanie: „W porządku, poruczniku, ale co teraz?". Porucznik Nghien Khiem przez dobrych kilka minut milczał, bo sam nie za bardzo wiedział, jak ma na to pytanie odpowiedzieć. W końcu odrzekł: „Wracajcie do domów. Najlepsze, co możecie teraz zrobić, to zatroszczyć się o siebie samych". W tamtych dniach do

podobnej wymiany zdań między Wietnamczykami z Południa, czy to w mundurach, czy bez nich, musiało zapewne dochodzić dziesiątki tysięcy razy. Sam Khiem wsiadł na motorower i wyruszył do domu, do swojej rodziny. Wkrótce po tym, jak wyjechał z bazy, dostrzegł na jednej z ulic coś, co natychmiast przyciągnęło jego uwagę: dwie samotne filigranowe postaci, chłopczyk w wieku około dziesięciu lat i dziewczynka, może sześcioletnia, siedziały bezradnie na wielkiej stercie bagaży i innych rzeczy osobistych. Khiem zawrócił swój pojazd i podjechał do nich, by zapytać:

– Co tu robicie?

– Nasi rodzice kazali nam tu siedzieć i na nich czekać – odparł chłopiec.

– A kiedy to było?

– Wczesnym rankiem.

Było już późne popołudnie. Khiem wykonał jedyny gest, jaki przyszedł mu do głowy: poszedł do pobliskiego straganu, a tam kupił soki owocowe, które przyniósł dzieciom. Następnie powiedział: „Lepiej zostawcie tutaj te bagaże, a same idźcie do domu i tam zaczekajcie". Dzieci przytaknęły niepewnie, a Khiem wsiadł na swój motorower. Kiedy odjeżdżał, widział, że biedne rodzeństwo dalej siedzi tam, gdzie je wcześniej zauważył[45].

Wietnamczycy z Północy zaplanowali początek swojego ostatecznego ataku na Sajgon z sześciu kierunków na 27 kwietnia, ale Kolumnie Przybrzeżnej pozwolono ruszyć dzień wcześniej, ponieważ po drodze miała do pokonania dwie rzeki. Wczesnym rankiem 26 kwietnia 20 batalionów artylerii otworzyło ogień od wschodu, a wkrótce potem do akcji ruszyły czołgi i piechota. Już następnego dnia 18. Dywizja Piechoty ARVN, bohatersko walcząca w Xuan Loc, doznała ciężkich strat z rąk IV Korpusu wojsk Północy i została zmuszona do odwrotu, podczas gdy II Korpus Ana zaatakował siły Południa broniące jedynego połączenia drogowego między Sajgonem a morzem. An zapisał: „Walki nabierały intensywności z każdą upływającą minutą, a linia frontu przesuwała się raz do przodu, raz do tyłu, w miarę jak żołnierze zdobywali bądź tracili

kontrolę nad każdą zburzoną ścianą, każdym bunkrem czy drzewem kauczukowym, walcząc czołg przeciwko czołgowi, haubica przeciwko haubicy”[46]. Siłom Regionalnym udawało się przez jakiś czas utrzymywać miasto Long Thanh; resztki sił powietrznodesantowych również nie dawały się zepchnąć ze swoich pozycji, dopóki nie zostały otoczone z obu flank, co zmusiło je do wycofania się w kierunku portu Vung Tau.

Wieczorem 28 kwietnia pięć przechwyconych wcześniej przez komunistów, a teraz pilotowanych przez ich lotników samolotów A-37 zbombardowało Tan Son Nhut, niszcząc kilka maszyn na ziemi i czyniąc mnóstwo zamieszania wśród obrońców bazy. Dziesięć godzin później na to samo miejsce spadła jedna rakieta i deszcz pocisków artyleryjskich, zabijając dwóch strażników z amerykańskich marines. Komunistyczni saperzy zajęli i z powodzeniem utrzymywali przez kilka godzin most Newport, nieodległy od samego centrum miasta, a toczącym się o niego później walkom przyglądały się z ponurym zafascynowaniem grupki zachodnich reporterów i kamerzystów. Wietnamscy marines walczyli podobno mężnie i ofiarnie w północnej części miasta, ale ich determinacja na niewiele się zdała, bo linie obronne już wkrótce przełamane zostały w mniej więcej 20 miejscach przez komunistycznych żołnierzy, prących zdecydowanie do centrum stolicy.

10. Dywizja armii Północy, która od początku tej kampanii uczestniczyła w większej liczbie starć niż jakakolwiek inna formacja komunistów, posuwała się wzdłuż ostatniego odcinka Drogi nr 1. Na jej czele jechały czołgi, na których kadłubach roiło się od żołnierzy piechoty. Kolumna ta w pewnym momencie minęła Cu Chi, słynną niegdyś bazę Wietkongu, pod którą rozgałęział się cały skomplikowany system tuneli, niewidoczny dla oczu panujących na górze Amerykanów. Czołówka pancerna składała się z mieszaniny własnych czołgów T-54 i K-63, z których większość była już na granicy żywotności silników, a także z przechwyconych amerykańskich M-41 i M-48. Kierujący tymi pojazdami żołnierze wciąż popędzani byli przez swoich dowódców, którzy w razie napotkania przeciwnika kazali im po prostu z marszu go rozjechać, zamiast tracić cenny czas na wysadzanie piechoty

i przeprowadzanie klasycznego ataku[47]. Do godziny 6.00 we wtorek 29 kwietnia saperzy i piechota zabezpieczyli most Sang. Na niewiele się to zdało, bo wkrótce zawalił się on pod ciężarem dwóch przejeżdżających po nim czołgów, a napastnicy musieli zmierzyć się z „uporczywym oporem" w Dong Du. Kilka kolejnych czołgów ugrzęzło w strumieniu, z którego musieli je wyciągać inżynierowie, a kiedy już tego dokonali, czekała je rozprawa z siłami pancernymi Południa. Kiedy zaś uporano się i z tą trudnością, pojawiła się kolejna: dalsza marszruta, a konkretnie Droga nr 4, została zablokowana ciężarówkami. W ulewnym deszczu Wietnamczycy z Południa stawiali też zacięty opór, trwający przez większą część tamtego poranka, w zakładach tekstylnych Vinatexco oraz na moście Tham Luong. W składzie bomb w Tan Son Nhut doszło do spektakularnej eksplozji, po której późnym popołudniem czołgi Północy otworzyły ogień do samolotów zaparkowanych w bazie. Ostrzał przerwano dopiero po zapadnięciu zmroku, by wznowić go z nadejściem kolejnego dnia.

Tymczasem w centrum Sajgonu mieszkańcy miasta musieli już na dobre pogodzić się z myślą, że dochodzące do nich zewsząd złowrogie odgłosy zapowiadają prawdziwe trzęsienie ziemi, które definitywnie pogrzebie całe ich społeczeństwo. Szef sztabu ARVN Cao Van Vien zrezygnował ze swojego stanowiska i 28 kwietnia udał się w bezpieczne miejsce na pokładzie amerykańskiego transportowca, a dzień później w jego ślady poszedł również generał Toan i inni oficerowie. Były wiceprezydent Ky wygłosił nadęte przemówienie, w którym wzywał swoich rodaków do uczynienia z Sajgonu drugiego Stalingradu, po czym wsiadł do hueya i poleciał nim na lotniskowiec Midway. Chcąc uniknąć upokorzenia, jakim byłoby dlań rozbrojenie przez amerykańskich marynarzy, zarówno on sam, jak i jego towarzysze ucieczki wyrzucili po drodze do morza swoją osobistą broń, w tym również pistolet sprezentowany Ky przez samego Johna Wayne'a. Kapitan okrętu, który zjawił się w jego kabinie, by go powitać, wskazał na wietnamskie odznaczenie wiszące na swojej piersi i powiedział: „To pan mi je nadał". Ky napisał: „W oczach miałem łzy, a całym moim ciałem wstrząsał szloch. Kapitan wyszedł bez słowa, cicho zamykając za sobą drzwi do kabiny, i zostawił mnie samego z moim

smutkiem”[48]. Mimo reputacji polityka wysoce sprzedajnego, zaczynając nowe życie w Kalifornii, Ky okazał się człowiekiem niemal bez grosza.

Odgłos helikopterowych wirników rozlegał się już teraz niemal bezustannie na niebie nad Sajgonem: kiedy niemożliwe stało się wywożenie uciekających z Tan Son Nhut, począwszy od 29 kwietnia, ewakuacje zaczęto przeprowadzać bezpośrednio z terenu amerykańskiej ambasady oraz z kilku innych budynków należących do misji, które stały się od tego czasu ostatnimi już enklawami Amerykanów w mieście. Tamtego popołudnia porucznik Khiem dotarł ostatecznie do domu rodziców w Sajgonie, by ujrzeć tam swojego sędziwego dziadka i pozostałych członków rodziny pogrążonych w rozpaczy, która gościła wówczas w niejednej wietnamskiej rodzinie. Zgodnie ze zwyczajem swojego kraju Khiem poprosił teścia o formalną zgodę na zabranie żony Lien do ambasady, by umożliwić jej ucieczkę do 7. Floty, stacjonującej u wybrzeży. Mając już zgodę, posadził ją na motorowerze i podwiózł kilka przecznic do kompleksu ambasady pilnowanego przez amerykańskich marines ze względu na coraz bardziej oszalały tłum, kłębiący się pod jego murami. Za nimi, na lambretcie, pojechał też jej ojciec wraz z dwiema jej siostrami. Na miejscu wszyscy spotkali się z bratem Khiema, po czym porucznik przepchnął się jakoś z całym tym towarzystwem do bramy kompleksu.

A ponieważ Khiem był dobrze znany Amerykanom, sam widok jego dokumentów wystarczył, by marines wpuścili do środka całą ich grupę. Brakowało w niej jednak młodszego brata porucznika, dwudziestotrzyletniego studenta prawa. Khiem wrócił więc do domu rodzinnego, dokąd wkrótce potem dotarł też i sam młodzieniec. Raz jeszcze Khiemowi przyszło przebijać się przez tłum oblegający ambasadę, by po wciśnięciu bratu w dłoń banknotu studolarowego przepchnąć go niemal siłą przez bramę, a samemu wrócić do domu.

Tran Tan miał dwadzieścia pięć lat i podobnie jak Khiem pozostawał w bliskich kontaktach z Amerykanami – pracował bowiem jako nocny operator centrali telefonicznej w biurze USAID. Jego szefowie zaproponowali mu status „niezbędnego personelu”, który dawał mu prawo do miejsca w jednym z samolotów ewakuacyjnych. Tan

zadzwonił do swoich rodziców – amerykański telefon w domu był jeszcze jednym przywilejem tej pracy – i poprosił, by jego piętnastoletni brat Hung przyniósł mu do biura jedzenie i ubrania. A kiedy młodzieniec się zjawił, Tan kazał mu usiąść i zaczekać. Następnie zapytał Amerykanów, czy w podobny sposób mógłby też ściągnąć na miejsce swoich pozostałych dwóch braci, których dane podał im już przedtem. Ci jednak stanowczo odmówili – obaj oni byli bowiem żołnierzami, a prezydent Thieu zadekretował wcześniej, że personelowi wojskowemu nie wolno opuszczać kraju. Tan powiedział później: „Byłem młody i głupi – kiedy dotarliśmy na Guam i zobaczyliśmy, ilu jest tam ludzi z ARVN, zorientowałem się, że gdybyśmy tylko wytrzasnęli skądś parę dolarów i dali je odpowiednim osobom, wówczas moi bracia też mogliby się z nami zabrać”[49]. Z kolei jego ojciec w ogóle nie chciał słyszeć o ucieczce, wzruszając ramionami: „Jestem już zbyt stary, by troszczyć się o to, czy przeżyję, czy umrę”. Kiedy tamtego dnia, 29 kwietnia, o godzinie 6 wieczorem Tan i Hung wsiedli do helikoptera stojącego na dziedzińcu amerykańskiej ambasady i odlecieli nim z kraju, w ich rodzinie, tak samo jak w niezliczonych innych, powstała przepaść, która miała utrzymywać się później przez wiele długich lat. Tan mógł przynajmniej być wdzięczny losowi za to, że obaj jego bracia byli w wojsku zwykłymi żołnierzami: dzięki temu niskiemu statusowi uniknęli oni bowiem okropności komunistycznych obozów czekających na byłych oficerów.

Tamtego ostatniego już dnia ewakuacji zawstydzony personel CIA wsłuchiwał się w milczeniu w pozostające bez odpowiedzi komunikaty radiowe rozbrzmiewające w pomieszczeniu operacyjnym, będące niemal bez wyjątku rozpaczliwymi apelami o pomoc nadchodzącymi z całego terytorium Wietnamu, w rodzaju: „Jestem pan Han, tłumacz”. Frank Snepp mówił o nich „radiokoszmary”[50]. Nawet gdyby ich ambasador wykazał się lepszym zmysłem przewidywania, Amerykanie i tak nie byliby w stanie przeprowadzić w miarę uporządkowanej ewakuacji wszystkich tych Wietnamczyków, którzy w jakikolwiek sposób im się przysłużyli. Teraz więc ogromna liczba przerażonych ludzi organizowała sobie ucieczkę na własną rękę: czy to okrętami, czy łodziami albo jakimikolwiek innymi jednostkami pływającymi, którymi

upstrzone były wody oblewające Wietnam Południowy jeszcze przez dobrych kilka tygodni po jego upadku. Tylko nielicznym udało się załatwić sobie najbezpieczniejszy środek ucieczki, czyli przelot.

Owej ostatniej nocy w ambasadzie jeden z asystentów Martina, Ken Moorefield, uciął sobie pogawędkę z szefem stacji CIA Tomem Polgarem, niskim, przysadzistym i całkowicie łysym Węgrem, „który nie potrafił ukryć oczywistego rozgoryczenia i desperacji”[51]. Podobnie jak ambasador, Polgar niemal do samego końca żywił złudne nadzieje na osiągnięcie jakiegoś politycznego porozumienia. Teraz uskarżał się rozpaczliwie: „Och, gdybyśmy tylko nie obcięli im naszych dostaw”. Moorefield opisał też scenerię w kompleksie tuż przed swoim wylotem: „Panował tu teraz jakiś niesamowity wprost spokój. Prawie nie było już słychać żadnych hałasów. Żadnych odgłosów strzelaniny. Nic nie zapowiadało tego, co miało się tu wkrótce wydarzyć”. Podczas tej ostatniej nocy helikoptery marines wykonały 682 kursy, wywożąc z Sajgonu 1373 Amerykanów i 5595 ludzi innych narodowości – w zdecydowanej większości Wietnamczyków – na okręty wojenne 7. Floty. Ambasador Martin odleciał o godzinie 4.58 nad ranem 30 kwietnia, nadając uprzednio na okręt dowódczy uzgodniony kod „Tygrys, Tygrys, Tygrys”. Na terenie kompleksu pozostawiono kilkuset Wietnamczyków, ponieważ Waszyngton nalegał, by ewakuacja zakończyła się do rana: ostatni marines wylecieli z ambasady o godzinie 7.53.

Podczas gdy dosłownie ostatni Amerykanie odlatywali z Sajgonu, Południowcy stawiali najeźdźcom silny opór w bazie szkoleniowej Quang Trung, gdzie najpierw udało im się unieszkodliwić cztery czołgi Północy, a potem z determinacją bronili swoich pozycji przez całą noc. Komuniści wznowili ataki o godzinie 5.30 w środę 30 kwietnia, wciąż napotykając duży opór: jeden z ich czołgów trafiony został równocześnie rakietą z M-72 i pociskiem wystrzelonym przez czołg ARVN, który jednak już po chwili został staranowany przez komunistyczny T-54, a jego załoga w pośpiechu opuściła swój pojazd i uciekła. Żołnierze z pewnej jednostki armii Północy, która zgubiła się w mieście, namówili jednego z młodych gapiów, by wsiadł na ich czołg i pokazywał im dalszą drogę. Kiedy jednak cała kolumna dostała się pod

ogień obrońców, ów „przewodnik" szybko zeskoczył z kadłuba i rzucił się do ucieczki, a czołgi z tej jednostki już po chwili znowu skręciły nie tam, gdzie trzeba. Komunistyczne relacje wspominają o „wciąż narastającym oporze"[52]. Pierwszy z czołgów AWP, który zbliżył się do głównej bramy Tan Son Nhut, szybko stanął w ogniu: „Nasza piechota dostała się pod zmasowany ostrzał, jej siła uderzeniowa (...) została tak mocno osłabiona, że nie była już w stanie kontynuować ataku". Na miejsce posłano oficerów w celu oceny sytuacji: postanowili oni wezwać posiłki.

Atakujące samoloty VNAF – w jednej z ostatnich operacji powietrznych tej wojny – zniszczyły dwa kolejne czołgi. Do godziny 10.15 wciąż rosły straty wojsk pancernych Północy, „sytuacja stawała się coraz bardziej skomplikowana". Ale wtedy piechota wreszcie przedarła się przez linie obronne Południowców, zajmując ich bunkry na zachód od głównej bramy. W ślad za nią naprzód ruszyła kolumna czołgów i transporterów opancerzonych, wdzierając się na teren bazy i strzelając do wszystkiego, co się ruszało. Wówczas z ukrycia zaczęły wychodzić resztki obrońców, pokazujących gestami, że się poddają. Do wczesnego popołudnia spacyfikowano ostatnie punktu oporu na terenie bazy.

Doświadczony dowódca Wietkongu Huynh Cong Than poprowadził swoich ludzi w sile jednej dywizji do ataku na Sajgon od strony południowej. W jego ocenie sytuacji, mimo że w ogólnym rozrachunku Południowcy zostali pokonani, to jego jednostki musiały stoczyć całą serię zaciętych starć i potyczek, w trakcie których poniosły bardzo duże straty. Jeden z ich ataków, przypuszczony na okręgową kwaterę armii, został odparty; ostatecznie WK ominął cały kompleks, a następnie przeszedł przez rzekę Can Giuoc, głośno wspominając wciąż jeszcze żywe doświadczenia pokonywania tej samej trasy w roku 1968, podczas ofensywy Tet, choć w znacznie mniej sprzyjających okolicznościach. W przypadku Thana i jego ludzi wojna skończyła się okupacją kwater głównych policji oraz marynarki wojennej położonych w samym sercu miasta. „Twarze naszych żołnierzy rozświetlały jasno uśmiechy zwycięzców" – napisał. Symbolem triumfu osiągniętego owego 30 kwietnia stał się widok jednego z czołgów z 304. Dywizji generała

dywizji Ana z impetem przebijającego się przez bramę główną Pałacu Niepodległości opuszczonego już przez Thieu.

Trzy dni wcześniej nominalne obowiązki głowy państwa wziął na siebie były prezydent Duong Van „Duży" Minh, którego młodszy brat był wysokim rangą oficerem AWP. Żywił on płonne nadzieje na wynegocjowanie jakiegoś zawieszenia broni, ale komuniści nie zamierzali uznawać mandatu Minha do sprawowania władzy, podobnie jak nie uznaliby go w przypadku żadnego innego Południowca. Tamtego ranka 30 kwietnia generał przydał się jednak jako przywódca, bo wykonał jedyny ruch, jaki mu pozostał, to jest wydał oświadczenie o kapitulacji, nadawane później raz po raz w środkach przekazu. W ten sposób ocalił on życie wielu żołnierzom ARVN, którzy słysząc ten komunikat, zaczęli składać broń. Wszelkie znaczące walki wygasły tym samym do zapadnięcia zmroku.

Dziesiątki tysięcy Wietnamczyków kontynuowały exodus z Sajgonu, zarówno tamtego dnia, jak i przez wiele następnych dni i tygodni. Wyczerpany porucznik Khiem wrócił z ambasady do swoich rodziców i dziadka w domu: „Nie było czasu na rozpacz. Po prostu musiałem się zastanowić, co robić dalej, by przeżyć". Tamtego ranka 30 kwietnia jego rodzina dowiedziała się, że za określoną cenę ma szansę dostać się na pokład łodzi wywożącej uchodźców rzeką. Khiem z ojcem byli na to zdecydowani, ale kiedy próbował namówić do ucieczki również matkę, ta upierała się, że musi zostać i zaopiekować się jego dziadkiem. Ostatecznie ojciec odwiózł go do doków jedną z firmowych ciężarówek należących do rodziny, a tam w pośpiechu, ale i w emocjach pożegnał się z synem. Młody oficer wskoczył na pokład wyładowanej już po brzegi około 2 tysiącami ludzi łodzi, a ponieważ w pobliżu zaczynały już eksplodować pierwsze komunistyczne rakiety, natychmiast poinstruował załogę: „Odcinać cumy!". Polecenie niezwłocznie wykonano. Tamtego ranka rzeką Sajgon w kierunku morza wypłynął cały konwój łodzi i okrętów marynarki wojennej, pod narastającym ostrzałem artyleryjskim komunistów. Kiedy znaleźli się już na pełnym morzu, usłyszeli w przenośnych odbiornikach radiowych, że Wietnam Południowy ogłosił formalną kapitulację. Po tym komunikacie ludzie na łodzi zaczęli szlochać albo żarliwie się modlić.

Nguyen Hai Dinh, ów uciekinier z AWP, który spędził poprzednie cztery lata w sajgońskim seminarium duchownym, udając, że chce się tam wyszkolić na katolickiego księdza, dobrze wiedział, że oczekiwanie na nadejście zwycięzców nie jest dla niego dobrą opcją. 30 kwietnia przedarł się więc przez tłumy otępiałych i wystraszonych ludzi na ulicach, by dołączyć do grupki 15 żołnierzy sił powietrznodesantowych, wypływającej z nabrzeża rzeki Sajgon niewielką łódką rybacką, z której następnie przesiedli się na pełnym morzu na masowiec wiozący oprócz nich 4 tysiące innych uchodźców. Po zaokrętowaniu się Dinh natychmiast wyrzucił do morza swój południowowietnamski dowód tożsamości, a także zaświadczenie o tym, że był *chieu hoi*. Podczas dalszej podróży nie brakowało trudności i niewygód, choć największe przerażenie poczuli, gdy zepsuły się silniki okrętu. Ostatecznie udało im się dotrzeć bezpiecznie do Hongkongu, gdzie sam Dinh spędził kolejnych dziewięć miesięcy. Choć wcześniej zawsze marzył o ułożeniu sobie nowego życia w Stanach Zjednoczonych, okoliczności ucieczki z Sajgonu wszystko zmieniły: podobnie jak wielu jego rodaków, postrzegał on teraz Amerykanów jako zdrajców, wobec czego na swoją nową ojczyznę wybrał Wielką Brytanię[53].

Tak oto Wietnam Południowy błyskawicznie przechodził do historii, a zgromadzone na rozmaitych jednostkach pływających teraz po Morzu Południowochińskim wielkie tłumy wyczerpanych fizycznie i emocjonalnie ludzi przyglądały się z niedowierzaniem rozległej armadzie okrętów wojennych, od najmniejszych łodzi po ogromne lotniskowce i tankowce, będąc tym samym świadkami sceny największego upokorzenia, jakie kiedykolwiek spotkało Stany Zjednoczone, choć po prawdzie gros jego bolesnych konsekwencji przyszło ponieść społeczeństwu Wietnamu Południowego.

Kiedy siły komunistyczne zbliżały się do Vung Tau, wielu żołnierzy Sajgonu wyciągnęło zza pazuchy czerwone opaski i włożyło je sobie na ręce, sygnalizując w ten sposób gotowość przyłączenia się do zwycięzców. Porucznik Nguyen Quoc Si nie skorzystał z prezentowanych mu ofert ucieczki – jak powiedział: „kochałem Wietnam i nie miałem najmniejszego zamiaru mieszkać w Stanach

Zjednoczonych”[54]. W ostatnich godzinach przed zajęciem przez komunistów portu przyszło mu oglądać trudne do zapomnienia sceny: „Część spadochroniarzy walczyła do samego końca. Niektórzy zabijali siebie samych i swoje rodziny”. Jedna z łodzi wypełnionych uciekinierami została trafiona przez komunistyczną artylerię, kiedy wypływała już na pełne morze. A potem Si i inni oficerowie Południa mieli okazję obserwować wkraczających do miasta żołnierzy z 3. Dywizji Północy „Żółta Gwiazda”. Pierwszym, co dostrzegli, był niepokojący niski wiek większości żołnierzy wroga: „Wielu miało może ze trzynaście, może ze czternaście, a może z piętnaście lat. Mówiliśmy między sobą: «Jak to możliwe, że przegraliśmy tę wojnę, walcząc z chłopcami takimi jak ci? Przecież powinniśmy byli pokonać tak młode wojsko». Poczuliśmy wielki, bardzo wielki smutek. Komuniści nie mieli pojęcia, co z nami zrobić. Wręczyłem swojego colta czterdziestkę piątkę jakiemuś chłopcu, który zaczął się nim bawić jak zabawką. Musiałem mu go odebrać i usunąć wszystkie naboje, bo jeszcze by się postrzelił”. Oficerom Południa, którzy się poddali, od razu rozkazano pogrzebać wszystkie śmierdzące już ciała szpecące okolicę po końcowych starciach tej wojny, w tym krwawe resztki pozostałe z rzezi wokół Xuan Loc.

Flotylla marynarki komandora Tri stacjonowała w porcie Vung Tau już od 6 kwietnia, a dowodzący nią oficerowie z każdym dniem coraz zacieklej debatowali, czy już nadszedł czas, by uciekać. Mniej więcej połowa postanowiła ostatecznie zejść na ląd. Tri skomentował to później: „Gdybyśmy wiedzieli, jak będą się zachowywać komuniści, wszyscy by pouciekali”[55]. Ci, którzy wybrali wygnanie, skierowali się w liczbie 1500 ludzi w stronę filipińskiej zatoki Subic Bay na pokładzie okrętu desantowego, który dowiózł ich tam po bezpiecznej i pozbawionej większych przygód podróży, przynajmniej w porównaniu do niewygód i niedoli setek tysięcy innych uciekinierów. Na przykład dwie stare łodzie desantowe z Can Tho wypełnione Wietnamczykami i garstką amerykańskiego personelu konsularnego przez długie dni musiały płynąć w deszczu, a ich pasażerowie cierpieli głód i pragnienie, nękani przez chorobę morską, zanim nie przechwyciła ich stara jednostka typu Liberty – Pioneer Contender. Wycieńczeni i zgorzkniali Amerykanie, przez cały ten czas mający poczucie, że zostali opuszczeni

przez swoich, nie poprawili sobie zapewne nastrojów, kiedy zobaczyli spoglądającego na nich nonszalancko z rufy tego wielkiego statku oficera CIA, który dostał się tam wygodnie helikopterem. „Hej – zakrzyknął do nich zawadiacko – chyba musieliście się kapkę zmoczyć!”[56]

W Tay Ninh nikt nie miał więcej powodów, by obawiać się nadchodzących komunistów, niż podpułkownik służb specjalnych Phan Tan Nguu, którego żona Nguyet również pracowała w jego departamencie. Współpracujący z nim doradca CIA zaoferował im dwa miejsca w hueyu, ale odmówili z powodu dwójki dzieci, które wciąż pozostawały u ich dziadków. 30 kwietnia, spaliwszy wszystkie akta, Nguu wyruszył wraz z żoną swoją hondą, by dołączyć do reszty rodziny, ale droga została już zablokowana przez AWP. Na krótko udało im się schronić w jakiejś świątyni, ale jeszcze tego wieczora zostali wzięci do niewoli[57]. Również trzydziestodwuletnia major Nguyen Thuy z sajgońskiej policji dobrze wiedziała, że nie czeka jej nic dobrego, jeśli wpadnie w ręce komunistów, ale nie brała pod uwagę ucieczki ze względu na swojego najmłodszego syna – „a jego kochałam najbardziej” – który przebywał u jej rodziców w My Tho. W rezultacie następnych trzynaście lat przyszło jej spędzić w obozie reedukacyjnym, podczas gdy jej mąż, oficer ARVN, zaliczył ich tylko sześć. Cały majątek obojga, w tym ich dom rodzinny oraz dom ich rodziców, został zarekwirowany[58].

Tuż przed wkroczeniem komunistów do Sajgonu major Nguyen Cong Luan wypił pół butelki bourbona, więcej niż kiedykolwiek wcześniej w swoim nadzwyczaj trzeźwym życiu, a mimo to nie czuł się ani trochę pijany. Następnie przystawił sobie do głowy pistolet, ale wtedy jego kierowca powiedział: „Proszę tego nie robić. Bardzo pana proszę. Jeśli chce pan już podjąć decyzję o skończeniu ze sobą i przejściu w niebyt, to proszę mi przynajmniej pozwolić udać się tam razem z panem, a ja pozostanę już na zawsze pańskim kierowcą”[59]. Ta poważna przemowa rozbawiła Luana i kazała mu porzucić myśl o samobójstwie. Inni nie znaleźli jednak powodu, by podjąć podobną decyzję. Dosłownie kilka domów dalej mieszkał kolejny major ARVN, który najpierw zjadł ze swoją żoną i siedmiorgiem dzieci suty obiad,

a następnie dał im wszystkim po pigułce nasennej, kiedy zaś posnęli, pozabijał ich jedno po drugim, by na koniec popełnić samobójstwo. Zostawił po sobie następującą notę pożegnalną: „Drodzy sąsiedzi, moja rodzina nie może żyć pod jarzmem komunistów. Proszę, wybaczcie nam i pomóżcie naszym krewnym nas pochować. W naszym sejfie znajdziecie trochę pieniędzy. Wykorzystajcie je, proszę, na opłacenie naszego pochówku. Dziękuję i żegnajcie!”[60].

30 kwietnia o godzinie 5.00 po południu wszyscy mieszkańcy Wietnamu Północnego mieli okazję wysłuchać przez niezliczone uliczne głośniki dobrze znanego tematu muzycznego *Zabić faszystów*, który zawsze poprzedzał wiadomości nadawane przez Głos Wietnamu. Następnie z głośników rozległy się słowa: „Rodacy, prosimy teraz o wysłuchanie specjalnego obwieszczenia o zwycięstwie”. A po zakończeniu komunikatu nadano piosenkę zatytułowaną *Gdyby tylko mógł być z nami wujek Ho, by cieszyć się tym szczęśliwym dniem*.

Żołnierze Północy wkraczający do Sajgonu byli pod wrażeniem ilości i rozmaitości towarów eksponowanych w sklepach. Pewien młody porucznik pospieszył do księgarni Oświecenie w Khai Tri, w której wydał niemal wszystkie swoje pieniądze, by nabyć dwa słowniki wietnamsko-angielskie, jeden dla siebie samego, a jeden dla swojej siostry: „Chciałem wrócić na studia, a u nas, w Hanoi, nie widywało się takich rzeczy”[61]. Bao Ninh odnosił wrażenie, że wielu Południowców odczuwało po prostu zadowolenie z tego, iż wojna wreszcie się skończyła; bez wątpienia słusznie oceniał on, że pierwszą reakcją milionów niedawnych poddanych Thieu było poczucie ulgi, które na jakiś czas potrafiło nawet przyćmić ich obawy o przyszłość.

Komunistyczni historycy podają nam jedynie fragmentaryczne statystyki dotyczące tej ostatniej kampanii wojny. Wynika z nich, że podczas walk pod Xuan Loc i Phan Rang, a także na zachodnich rubieżach Sajgonu oraz w trakcie finałowego natarcia na stolicę zginęło albo odniosło rany ponad 12 tysięcy żołnierzy. Pewien wyższy oficer AWP zauważył kwaśno: „Nasz marsz ku zwycięstwu nie odbywał się wcale po czerwonym dywanie rozścielonym przed nami przez nieprzyjaciela, jak zdaje się uważać wielu ludzi”[62]. Łącznie we wszystkich bitwach stoczonych w roku 1975 Wietnam Północny stracił

prawdopodobnie około 10 tysięcy zabitych – co z drugiej strony nie było liczbą aż tak wygórowaną, jeśli zestawić ją z całą górą trupów, jaką przyniósł wcześniejszy upór Le Duana w dążeniu do zjednoczenia Wietnamu pod berłem komunistów.

Henry Kissinger był zaszokowany ogromem ludzkiej tragedii, do której doprowadziły wydarzenia bezpośrednio przed triumfem komunistów i te bezpośrednio po nim. A mimo to, kiedy wreszcie stawił się u niego w Waszyngtonie Graham Martin, wyleciawszy jako jeden z ostatnich Amerykanów z Sajgonu, sekretarz stanu pozwolił sobie w obecności ambasadora na prawdziwie wisielczy humor: „Cóż, dobrze, że udało się panu stamtąd wydostać, bo przecież, według spiskowej teorii dziejów, musimy mieć na kogo zwalić całą winę".

28
Pokłosie

1. ZEMSTA

Kiedy działa już umilkły, zwycięzcy komuniści zaczęli powoli wracać do domów w nastrojach wcale nie tak dużo lepszych od nastrojów swoich byłych amerykańskich nieprzyjaciół. Pewien Południowiec, Chau Phat, powiedział sarkastycznie: „Ci z Północy przekonali się, że zwycięstwo nie było dla nich wcale aż tak ważne, jak się tego spodziewali”[1]. Bao Ninh w swojej autobiograficznej powieści *The Sorrow of War* (*Smutek wojny*) opisuje powrót do Hanoi po zakończeniu kampanii z roku 1975 pociągiem określanym jako „Pociąg Zjednoczeniowy”, wypakowanym tłumem rannych i zdemobilizowanych żołnierzy: „Żołnierskie plecaki poupychano na półkach bagażowych i w każdym kącie. Wszędzie, wzdłuż i wszerz, porozwieszano hamaki, przez co wagony wyglądały trochę jak prowizoryczne obozowisko w dżungli. A po powrocie zwycięskich żołnierzy nie witały żadne surmy, żadne bębny, żadna muzyka. Ludność cywilna miała ich wszystkich głęboko gdzieś. Podobnie zresztą jak ich przywódcy”. Ninh przyrównywał hałaśliwe stacje, przez które przejeżdżali, do popołudniowych targów; ze znużeniem opisywał też wciąż powtarzające się przeszukiwania, którym poddawano żołnierzy, by sprawdzić, czy nie wiozą ze sobą jakichś wojennych łupów. „Głośniki darły się na cały regulator, raniąc uszy rannych, chorych, ślepych, osłabionych od malarii albo leżących z bielmem na oczach żołnierzy. Do ich głów wdzierał się bezustanny potok ironicznie dla nich brzmiących komunikatów, nawołujących do zignorowania ducha pojednania, do odrzucenia prób poszukiwania jakichkolwiek ludzkich wartości w ruinach pokonanego, sybaryckiego

społeczeństwa Południa. A zwłaszcza do wystrzegania się myśli, że jego ludzie stoczyli z nami mężną walkę albo że w jakikolwiek inny sposób zasługiwali na nasz szacunek". Podobnie jak większość jego towarzyszy broni, Ninh gardził „tymi nonsensami, którymi nas bombardowano"[2].

Wśród rosnącej rzeszy rozczarowanych, a nawet wyalienowanych sympatyków komunizmu na Południu był też były działacz tajnych struktur, a potem minister sprawiedliwości w TRR, Truong Nhu Tang, który z rosnącym zaniepokojeniem patrzył na sposób „wyzwalania" jego byłego kraju: „Partia komunistyczna z Hanoi skoncentrowała władzę w rękach skorumpowanych i niekompetentnych biurokratów oraz brutalnych służb bezpieczeństwa. Między nimi zaś szybko doszło do walki o pierwszeństwo rekwirowania co lepszych domów, o najbogatsze plantacje i o rozmaite luksusy z czarnego rynku". Tang nigdy nie zapomniał zebrania partyjnego, na którym przedstawiciele Północy zupełnie wprost zakomunikowali pozostałym, że zamierzają przejąć władzę, nie oglądając się na weteranów walki o wyzwolenie z NFW – w tym również samego Tanga: „Wciąż nie ukazało się choćby jedno zdjęcie ze [spotkania] w sali tanecznej Rex, gdzie rewolucja na Południu doznała ostatecznego upokorzenia 18 lipca 1975 roku"[3]. W jego otoczeniu sarkali również liczni przyjaciele i towarzysze walki: „Przynajmniej za Diema i Thieu nawet wśród złodziei obowiązywał jakiś kodeks honorowy. Tymczasem ci ludzie Partii niczym wilki rzucają się na wszystko, co tylko są w stanie rozszarpać. Czy pozbywanie się Amerykanów to był naprawdę taki dobry pomysł?" Przybyli z Północy działacze komunistyczni i oficerowie „po długich latach poddawania się rygorom życia wojskowego nagle stanęli [w Sajgonie] przed rzeczywistością jak z bajki, w obliczu bogactw, które zdawały się tylko czekać, by je zagarnąć. Wyglądało to tak, jakby na miasto spadła jedna wielka chmara szarańczy"[4].

Tymczasem ostatni Amerykanie powracający z Wietnamu odczuwali ogromny wstyd z powodu chaosu towarzyszącego finałowym etapom ewakuacji, a także dlatego, że tak wielu z ich sojuszników zostało wydanych na pastwę komunistów, zamierzających bez wątpienia mścić się na nich. Frank Snepp powiedział w sierpniu 1975 roku podczas prelekcji w waszyngtońskim Foreign Service Institute (Instytucie

Służby Zagranicznej): „Zostawiliśmy za sobą, na płycie lotniska albo pod murami ambasady, od 400 do 500 członków specjalnych formacji sajgońskiej policji, których wcześniej sami wyszkoliliśmy (...), około 1200 członków centralnej organizacji wywiadowczej w Sajgonie (...) i 30 tysięcy osób działających w ramach naszego kontrterrorystycznego programu Phoenix”[5]. Snepp podkreślał też, że nie zdołano wdrożyć spójnej strategii niszczenia akt zawierających dane dziesiątek tysięcy Wietnamczyków pozostających w służbie bądź Amerykanów, bądź rządu południowowietnamskiego, a według jego szacunków spośród osób najbardziej narażonych na odwet komunistów uciec z kraju zdołało zaledwie około jednej trzeciej. Słuchacze Sneppa, wywodzący się z kręgów politycznego establishmentu, przyjmowali wszystkie te informacje z pełnym niedowierzania milczeniem. Szokowało ich jednak nie to, co zrobili albo raczej czego zaniechali Amerykanie, lecz fakt, że Snepp mówił o tym w tak otwarty sposób. Jego przepełniona goryczą książka *Decent Interval* (*Przyzwoita przerwa*) wydana w roku 1977 stała się przyczyną postawienia mu zarzutów przez rząd amerykański i zajęcia jego dochodów, a w dalszej konsekwencji nadania mu statusu pariasa przez całe środowisko wywiadowcze.

Jeśli zaś chodzi o samych uciekinierów, którzy opuszczali wówczas Wietnam w każdy możliwy sposób, to szybko okazało się, że ich liczba przewyższa możliwości logistyczne Amerykanów. Kiedy porucznik Nghien Khiem wraz z resztą pasażerów swojej przeciążonej łodzi napotkał na Morzu Południowochińskim pierwszy amerykański okręt wojenny, jego załoga jasno dała im do zrozumienia, by natychmiast zmienili kurs, tnąc lustro wody między obiema jednostkami seriami z broni automatycznej, co część Wietnamczyków uznała za gest nieledwie symboliczny. Kierując się układem gwiazd, nieszczęśni uchodźcy obrali kurs na Singapur, dokąd ostatecznie dotarli po wielu dniach na morzu, spędzonych w głodzie, chłodzie i wilgoci. Tymczasem pozostały w Sajgonie ojciec Khiema stracił nie tylko swoją firmę, ale też cały majątek. Aby jakoś utrzymać rodzinę, jego matka otworzyła stragan z kawą, który prowadziła przez kolejnych siedem lat, dopóki wreszcie nie przyznano im pozwolenia na opuszczenie kraju: kiedy wyjeżdżali z Sajgonu, byli równie ubodzy, jak gdy opuszczali Hanoi w roku 1954.

„Tak oto, dwukrotnie za naszego życia, przyszło nam zaczynać zupełnie od zera” – ponuro ujął to Khiem.

Uchodźcy z Wietnamu podczas rozmowy z amerykańskimi urzędnikami imigracyjnymi w jednym z obozów dla uchodźców w Kalifornii, maj 1975 roku.

Nguyen Thi Chinh wyleciała z Sajgonu dzięki paszportowi dyplomatycznemu, który przyznano jej wcześniej jako najbardziej rozpoznawalnej gwieździe filmowej w Wietnamie Południowym. Kiedy jednak dotarła do Singapuru, gdzie jeszcze niedawno kręciła swój najnowszy film, zatrzymano ją na lotnisku: po upadku rządu Thieu jej dokumenty stały się niewiele wartym świstkiem papieru. Po dwóch dniach zapadła decyzja o jej deportacji: wyleciała z otwartym biletem dookoła świata, zakupionym dla niej przez przyjaciół. Tak rozpoczęła się jej samotna odyseja: w Paryżu dane jej było na krótką chwilę ujrzeć siostrę stojącą po drugiej stronie szyby w pomieszczeniu dla imigrantów, zanim nie kazano jej udać się do Londynu, gdzie jednak również nie otrzymała pozwolenia na pobyt. Dalej los pognał ją przez Atlantyk, do Nowego Jorku, gdzie na lotnisku JFK spotkała ją kolejna odmowa. Wreszcie 2 maja pozwolono jej wysiąść w Toronto: „Stałam się

w ten sposób pierwszym wietnamskim uchodźcą w Kanadzie”[6]. Jeszcze kilka dni wcześniej można ją było uznać za stosunkowo zamożną kobietę, teraz jednak cały jej majątku nagle znalazł się poza jej zasięgiem, pozostawiony w Sajgonie. Kanadyjska opieka społeczna miała dla niej płaszcz i zasiłek w wysokości 75 dolarów, ale także warunek wpuszczenia jej do kraju: miała natychmiast zacząć szukać sobie zatrudnienia. Tak oto zrealizował się scenariusz, którego nie zdołałby wymyślić żaden twórca jej licznych filmów: ta jeszcze do niedawno gwiazda ekranu została czyścicielką na farmie kurczaków, opłacaną kwotą 2 dolarów za każdą godzinę operowania szlauchem z wodą puszczaną pod ciśnieniem.

Zdesperowana chwyciła wreszcie za jedyną cenną rzecz, jaka jej pozostała: za notes z adresami, i mimo boleśnie wysokich kosztów połączeń zaczęła wydzwaniać do hollywoodzkich gwiazd, z którymi miała kiedyś okazję się spotkać albo pracować. Najpierw spróbowała kontaktu z Williamem Holdenem, który jednak akurat przebywał w Europie. Kamerdyner Glenna Forda z przykrością poinformował ją, że jego sławny pracodawca zupełnie jej nie pamięta. W biurze Burta Reynoldsa wciąż powtarzano jej, że pan Reynolds jest nieosiągalny. Wreszcie, kiedy prawie kończyły się już jej skromne fundusze, zatelefonowała do pewnej kobiety, którą spotkała tylko raz w życiu – do Tippi Hedren. „Byłam niczym tonąca, przez całą naszą rozmowę bezustannie płakałam jej w słuchawkę – a ona też płakała”. W końcu Hedren powiedziała jej: „Uspokój się”, i poprosiła Chinh o jakieś konkrety. W ciągu trzech kolejnych dni ta gwiazda grająca w filmach Hitchcocka zorganizowała swojej wietnamskiej koleżance po fachu bilet lotniczy oraz wizę do Stanów Zjednoczonych, pozwalając jej wreszcie wyrwać się z koszmaru pracy na farmie kurczaków. A po jej przyjeździe Hedren zaprosiła Chinh do swojego domu i oznajmiła, że skoro nie ma teraz nic, może sobie wybrać, co tylko chce, z jej przepastnej garderoby. Kiedy Bill Holden powrócił do kraju ze swojej podróży służbowej, wysłał Chinh największy bukiet róż, jaki kiedykolwiek widziała, do którego dołączył karteczkę z napisem: „Witaj w Ameryce. Niech ten kraj stanie się twoim domem”. Chinh była tylko jedną z 750 tysięcy Wietnamczyków z Południa, którzy w owym 1975 roku wyruszyli

w świat na poszukiwanie swojej drugiej ojczyzny. Zagrała ona jeszcze później w blisko stu kolejnych filmach, a cały świat znał ją jako Kieu Chinh.

W pierwszych dniach po upadku Sajgonu wydarzenia toczyły się w zawrotnym tempie. Pewien generał z AWP pozwolił sobie wówczas na nieledwie pojednawczy ton wobec swoich odpowiedników z armii Południa, mówiąc im: „Jedynymi pokonanymi są tak naprawdę Amerykanie". Ale już rodzina dwudziestoletniej studentki historii Kim Thanh, mieszkająca w pobliżu Tan Son Nhut, przez kolejne dni nie przestawała się ukrywać w piwnicy domu jej ciotecznego dziadka. Człowiek ów, podobnie zresztą jak jej rodzice, wyemigrował z Północy w roku 1954: „Oni dobrze znali komunistów i wiedzieli, co niedługo nastąpi"[7]. Kiedy rodzina postanowiła wreszcie wyjść z ukrycia, ich oczom ukazały się pierwsze oznaki zwycięstwa Północy: ciała walające się na ulicach, ofiary spontanicznych egzekucji. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że do większości takich samosądów, które miały miejsce latem 1975 roku, a których dokładnej liczby nie znamy – prawdopodobnie było ich kilka tysięcy – dochodziło z inicjatywy czynników lokalnych, bądź to dyszących chęcią zemsty działaczy komunistycznych, bądź bojowników Wietkongu, nie wynikały zaś one z jakiegoś odgórnego nakazu wydanego przez politbiuro w Hanoi. Tego rodzaju eksplozje nienawiści pojawiają się zresztą pod koniec wszystkich konfliktów zbrojnych: na przykład w latach 1944–1945 we Francji podczas *l'épuration* – czyli „oczyszczania" – byli członkowie ruchu oporu mordowali albo dokonywali doraźnych egzekucji tych swoich rodaków, których podejrzewali o kolaborowanie z nazistami. Niektórzy Wietnamczycy, przeczuwając czekający ich los, wybierali drogę samobójstwa. Należał do nich między innymi kluczowy informator w strukturach Wietkongu, Vo Van Ba, donoszący oficerowi Phan Tan Nguu z wydziału specjalnego w Tay Ninh. Zanim ze sobą skończył, powiedział on Nguu: „Ponieważ tak dobrze znam komunistów, wiem też doskonale, jak będzie wyglądało życie pod ich rządami"[8].

W miarę jak nowi władcy zacieśniali uścisk swoich rządów, mieszkańcy Wietnamu Południowego stopniowo uświadamiali sobie

prawdziwe znaczenie słowa „komunizm", dotychczas stanowiącego dla nich raczej rodzaj sloganu, którym szermowali bojownicy walczący po obu stronach konfliktu. Podczas paryskich negocjacji Le Duc Tho wielokrotnie zapewniał swoich zagranicznych rozmówców: „Nie mamy zamiaru wprowadzać komunizmu na Południu". Teraz jednak, jak to ujął Michael Howard, cały kraj spowity został „szarym całunem totalitaryzmu"[9]. Pewien lekarz z Hanoi, dokonujący inspekcji sprzętu w głównym szpitalu Sajgonu, zawyrokował: „Macie tu za dużo rzeczy. My musimy leczyć wiele chorób bez tego wszystkiego"[10]. Zgodnie z jego diagnozą, na Północ już wkrótce zaczęły podążać ciężarówki wypełnione sprzętem medycznym, ale także wieloma innymi wartościowymi rzeczami. Działacze komunistyczni „oczyścili" ponadto szpital wojskowy w Cong Hoa z około tysiąca rannych żołnierzy ARVN. Nie zawahano się nawet przed aktem wandalizmu na głównym cmentarzu Wietnamu Południowego, przed którego bramą wzniesiono tablicę informacyjną o treści: „Tu spoczywają marionetkowi żołnierze Amerykanów, którzy zapłacili cenę za swoje zbrodnie".

Jeszcze przez długie miesiące po zakończeniu walk przybyszom z Północy przebywającym na Południu bezustannie przypominano, by nigdzie nie ruszali się bez broni i zachowywali czujność z obawy przed możliwymi atakami ze strony rozczarowanych popleczników zwyciężonego reżimu, choć niemal do żadnych takich ataków nie dochodziło. Pewien były sierżant w armii Południa obserwował z ponurym rozbawieniem, jak żołnierze AWP reagują na bogactwa zastane w niedawnej stolicy, przemianowanej teraz na miasto Ho Chi Minha: „Patrzyli na wszystko szeroko otwartymi oczami: zobaczyli oto, co my tu mieliśmy, a czego u nich nigdy nie było". Z kolei zdeklarowany komunista Nam Ly, który jako jedyny ze swojej rodziny przeniósł się do Hanoi w roku 1955, w ramach ówczesnego „przegrupowania", pozostawiając resztę krewnych na Południu, teraz wybrał się do swojej matki, z którą nie widział się ani nawet nie komunikował od dwudziestu lat, wioząc jej rozmaite prezenty: kilkanaście kulek ryżu, dwa kilogramy cukru, dwie puszki skondensowanego mleka. Ly bez wątpienia uwierzył w powtarzaną przez Partię propagandę, że ludzie na

Południu cierpieli znacznie gorsze niedostatki od tych w państwie komunistycznym[11].

Po upływie dwóch miesięcy Kim Thanh pozwolono wznowić studia historyczne na uniwersytecie w Sajgonie, ale już pierwszego dnia przekonała się ona, że ich program został drastycznie zmieniony: „Kilku władców, o których wcześniej mówiono nam, że byli źli, teraz okazało się dobrymi, a kilku innych wprost przeciwnie”[12]. Jej ojciec, starszy sierżant w stanie spoczynku, miał trochę ziemi uprawnej, która została mu zarekwirowana na potrzeby chłopskich gospodarstw kolektywnych. Przy wprowadzaniu nowej waluty zupełnie pominięto fakt istnienia starej, wobec czego oszczędności gromadzone latami przez dziesiątki tysięcy rodzin nagle przestały mieć jakąkolwiek wartość. Do końca 1975 roku wielu mieszkańców Południa z trudem już wiązało koniec z końcem, a zaledwie kilka miesięcy później nastał tam powszechny głód. „Nigdzie nie można było dostać ryżu. Jedliśmy więc słodką kukurydzę, słodkie ziemniaki, maniok – wszystkie te rzeczy, których kiedyś prawie nie oglądało się na stołach”. A cierpienia Wietnamczyków z Południa miały się w kolejnych latach jeszcze pogłębiać wskutek bankructwa polityki gospodarczej Hanoi i złupienia ich kraju przez zwycięzców z Północy. Bez względu na stopień wojskowy czy pełnioną funkcję komuniści pozwalali sobie na swobodne wkraczanie do domów zwykłych ludzi i zabieranie z nich wszystkiego, co tylko im się spodobało. Południowców – a już zwłaszcza tych z nich, którym można było łatwo przyprawić łatkę sługusów upadłego reżimu – traktowano niczym mleczne krowy, to jest jako dostarczycieli łupów dla zwycięskiej armii. Skromne wynagrodzenie w naturze odebrali też Sowieci – trafiło do nich 10 tysięcy karabinów M-16 i 10 milionów sztuk amunicji, które to uzbrojenie, jak zapewniał Giapa szef KGB Jurij Andropow, „zostanie wykorzystane do walki z imperializmem, a także dla zaspokojenia potrzeb ruchów narodowowyzwoleńczych na świecie”[13].

W ciągu roku po „wyzwoleniu” do niewoli trafiło około 300 tysięcy Wietnamczyków z Południa. Każdy, kto kiedykolwiek miał choćby najmniejszy związek z upadłym rządem, automatycznie stawał się podejrzany i był naznaczony na resztę życia: kasjer w sajgońskim hotelu

Majestic uniknął wprawdzie więzienia, ale zwolniono go z pracy, a potem wielokrotnie przesłuchiwano, ponieważ przyjmował płatność od tak wielu Amerykanów w ich walucie albo w ich czekach. Mniej więcej dwie trzecie zatrzymanych, w tym wszyscy byli oficerowie, zostało wysłanych do obozów reedukacyjnych, gdzie spędzili od trzech do siedemnastu lat. Immunitetu nie stanowiła nawet udokumentowana działalność opozycyjna wobec reżimu Thieu: wśród osadzonych znalazł się też buddyjski mnich Tri Quang, który niejednokrotnie przyprawiał o ból głowy sajgońskich generałów.

Poprzedni rząd zakazał rozpowszechniania pewnego filmu, którego scenariusz napisała słynna poetka Nha Ca, uznając go za rzekome propagowanie pacyfizmu. Ta sama artystka, będąca w roku 1968 w Hue świadkiem masakr dokonywanych tam przez komunistów, opublikowała później emocjonalną elegię zatytułowaną *Chusta żałobna dla Hue*. I właśnie za to podpadła również kolejnej władzy, która wysłała ją do obozu, a kopię jej wiersza o Hue umieściła jako eksponat w Muzeum Zbrodni Wojennych w Hanoi, opisując ją jako przykład „marionetkowych kłamstw”[14]. Nie istniał jakiś oficjalny rozdzielnik, według którego ustalano długość wyroków pozbawienia wolności dla poszczególnych więźniów; zależała ona tylko i wyłącznie od kaprysu partyjnych działaczy. Le Minh Dao, dowodzący 18. Dywizją armii Południa pod Xuan Loc, pozostawał za kratami, albo raczej za drutami kolczastymi, aż do roku 1991 – o wiele dłużej, niż Stalin trzymał niegdyś pochwyconych nazistowskich generałów po zakończeniu II wojny światowej.

Tysiące byłych oficerów ARVN odsyłano do obozów na Północy. W jednym z nich do grupy więźniów trudzących się pod czujnym okiem strażnika podszedł raz jakiś sędziwy wieśniak i zaczął im czynić takie oto zarzuty: „Od 1954 roku czekaliśmy na to, aż tu przyjedziecie, by nas wyzwolić. A tymczasem kiedy wreszcie przybywacie, jesteście więźniami. Wstydzilibyście się! A to wszystko dlatego, że nie walczyliście wystarczająco mężnie, tolerowaliście korupcję i cieszyliście się życiem. Po prostu nas zdradziliście!”[15]. Jednym z obsztorcowywanych w ten sposób więźniów był major Luan, który napisał: „[W] milczeniu łykaliśmy wszystkie te ostre słowa, uznając je za

karę, na jaką sobie zasłużyliśmy". On sam spędził w niewoli siedem lat, a następnie przez kolejnych dziewięć starał się jakoś związać koniec z końcem w Sajgonie, zanim wreszcie udało mu się uciec do Stanów Zjednoczonych. Kiedy zwalniano go z obozu, pilnujący go sierżant skomentował to następująco: „Wprawdzie wychodzisz teraz z tego mniejszego więzienia, ale zaczniesz odtąd życie w kolejnym, większym, razem ze mną i z 70 milionami naszych rodaków".

Porucznik Nguyen Quoc Si trafił do obozu pracy w pobliżu granicy z Kambodżą, w warunkach niewiele lepszych od tych panujących w japońskich obozach jenieckich z czasów II wojny światowej. Zarówno on, jak i jego towarzysze musieli spędzać niezliczone godziny na wyznawaniu wszelkiego rodzaju win, jakie rzekomo popełnili. Powtarzano im, że zostaną wypuszczeni dopiero wówczas, kiedy zostaną uznani za zdolnych do wypełniania swojej roli w Nowym Społeczeństwie. Niepewność co do konkretnego czasu, w jakim mogłoby to nastąpić, doprowadzała niektórych z nich do szaleństwa: „Pewien lekarz wojskowy podciął sobie któregoś dnia nadgarstki – a następnego dnia znaleźliśmy jego nazwisko na liście więźniów przewidzianych do zwolnienia"[16]. Ponieważ jedynym dostępnym lekarstwem była aspiryna, dosłownie każda choroba mogła doprowadzić do śmierci. Ojciec Si, były oficer sajgońskiej policji, zmarł w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat już po kilku miesiącach spędzonych w niewoli, prawdopodobnie ze względu na chroniczną niewydolność wątroby. Jego rodziny nigdy o tym nie poinformowano. Z kolei jednego z towarzyszy niedoli Si zabiła astma. Inny, nienawykły do ciężkich prac na roli, zranił się śmiertelnie podczas próby ścięcia drzewa bambusowego: jedna z ostrych gałęzi odskoczyła z impetem i trafiła go prosto w głowę. W obozach szerzyła się też czerwonka.

Głód nierzadko stawał się w rękach oprawców rodzajem broni psychologicznej. W byłym oficerze medycznym ARVN Ly Van Quyu od jakiegoś czasu wzbierała złość na jednego ze swoich siedmiu współwięźniów, który rozdając całej ich grupie dzienne racje ryżu ze starej puszki po nabojach, sobie nakładał zawsze odrobinę więcej. Któregoś dnia Quy wreszcie nie wytrzymał i skoczył na równe nogi, zamierzając porachować się z tym złodziejem jedzenia. Zamiast groźnie

zrobiło się jednak komicznie: z powodu osłabienia Quy zachwiał się i przewrócił, zanim zdołał zadać pierwszy cios. „Tamtej nocy odczuwałem taki wstyd. Myślałem sobie: przecież komuniści właśnie tego po nas oczekują, że zaczniemy skakać sobie do oczu. A ja tańczę tak, jak oni mi zagrali. I od tamtej pory już nigdy nie zachowałem się w podobny sposób”[17]. W pierwszym obozie, do którego go skierowano, Quy pełnił obowiązki cmentarnego grabarza. Po jakimś czasie go przeniesiono, ale kiedy po trzech latach trafił w to samo miejsce, miał okazję się przekonać, że od czasu, kiedy ostatni raz je widział, cmentarz znacznie się rozrósł.

Codzienne życie obozowe zaczynało się o godzinie 5 rano, kiedy więźniom wydawano po kulce ryżu, mającej im wystarczyć aż do końca dnia, a następnie wyprowadzano ich do pracy w polu. W ośmioosobowej brygadzie jednemu więźniowi pozwalano zwykle poszukać dla siebie jakichś dzikich płodów natury nadających się do jedzenia, pod warunkiem że reszta rozdzielała między siebie przypadającą nań część pracy – dzięki temu odstępstwu od twardych reguł udawało im się jakoś unikać śmierci z niedożywienia i braku witamin. Do swoich baraków więźniowie wracali o godzinie 6 wieczorem, ale wcale nie oznaczało to końca ich ciężkiego dnia: wieczory przeznaczone były bowiem na indoktrynację ideologiczną. Większość z nich dość szybko gotowa była przytaknąć każdej propagandowej bzdurze czy zgodzić się z każdym słowem prowadzącego, byle tylko odzyskać wolność. Si powiedział: „Gdyby mi powiedziano, że do mojego zwolnienia wystarczy, bym długo i głośno płakał, stałbym się najlepiej płaczącym więźniem w całym obozie. Widziałem człowieka, który tam calutki posiwiał, choć dopiero skończył dwadzieścia dwa lata”.

Niektórzy z ludzi wysyłanych do obozów byli dość posuniętymi w latach mieszczuchami, zupełnie nienadającymi się do życia w prymitywnych warunkach, przy minimalnym poziomie higieny i wszechobecnej malarii. Nie wiadomo, ilu więźniów nigdy nie wróciło do domów, ale jeśli przyjąć śmiertelność na poziomie 5 procent – a jest to założenie bardzo zachowawcze – wówczas otrzymalibyśmy szacunki na poziomie co najmniej 10 tysięcy. Nawet jednak po zwolnieniu byli

więźniowie nie odzyskiwali pełni praw obywatelskich: większość wysyłano do Nowych Stref Ekonomicznych, to jest na obszary dziewiczej dżungli, na których mieli oni od zera stworzyć jakąś nową społeczność w warunkach niewiele mniej surowych od tych panujących w obozach. Niektórym po latach starań udawało się wreszcie uzyskać wizę wyjazdową w zamian za zrzeczenie się całego majątku. Kiedy Nguyen Thi Minh-Ha wyjeżdżała w roku 1980, tej ogołoconej z dobytku wdowie pozwolono zabrać ze sobą jedynie prochy swojego męża zmarłego w obozie, które rozsypała ona później nad morzem u wybrzeży Wielkiej Brytanii[18].

Jej brat Si, wypuszczony w roku 1978, wyprosił pozwolenie na jedną krótką wizytę w swoim dawnym domu w Sajgonie, po czym wysłano go do Nowej Strefy Ekonomicznej. W następnym roku, z pomocą przyjaciół i zrzekłszy się praw do rodzinnego domu, Si uzyskał zezwolenie na opuszczenie Wietnamu, mając przy sobie zaledwie 20 dolarów. Wcześniej w tajemnicy poślubił on Kim Thanh, którą znał od wczesnych lat szkolnych, a która teraz pracowała jako nauczycielka; jej samej pozwolono na wyjazd i dołączenie do niego w Wielkiej Brytanii dopiero w roku 1984. Setki tysięcy Wietnamczyków niebędących w stanie uzyskać wiz wyjazdowych decydowało się na los *boat people* („ludzi z łodzi”), gotowych walczyć z licznymi niebezpieczeństwami i trudnościami podczas ucieczki drogą morską z miejsca, które niegdyś było ich ojczyzną, a teraz stało się jednym wielkim więzieniem dla całego narodu.

Niektórzy dobrze sytuowani Południowcy cieszyli się z faktu zakończenia wojny, nawet jeśli jej wyniki nie do końca im odpowiadały. Była wśród nich między innymi małżonka pułkownika ARVN w stanie spoczynku Ly Van Quanga, której trzej synowie również służyli w wojsku, a czwarty zginął już wcześniej w „Lam Son 719”. Jej bratem był z kolei Thien Le, generał w armii północnowietnamskiej, wobec czego dość naiwnie zakładała ona, że dzięki tym więzom rodzinnym jej bliscy zdołają uniknąć prześladowań ze strony komunistów. Bardzo się myliła: wszyscy trzej jej synowie – a siostrzeńcy Thien Le – spędzili wiele lat w obozach pracy[19].

Ku zdumieniu całej rodziny w spokoju zostawiono za to jej ojca. Powód tej pozornej niekonsekwencji wyjaśnił się dopiero znacznie później. Przez dwadzieścia lat swojej służby w charakterze oficera sił powietrznych pułkownik Quang miał przy sobie oddanego mu bez reszty osobistego adiutanta nazwiskiem Thong. Człowiek ten był do tego stopnia związany zarówno z samym oficerem, jak i z całą jego rodziną, że dzieci wołały na niego „wujek Thong". Z rekomendacji pułkownika nadano mu nawet stopień oficerski, a następnie awansowano do rangi kapitana. Rok po upadku Sajgonu Thong pojawił się w rodzinnym domu Quanga w mundurze komunistycznego oficera i wyjawił, że przez ponad dziesięć lat był informatorem nieprzyjaciela. Zapewnił przy tym całą rodzinę, że nie stanie jej się żadna krzywda, ponieważ szanuje on pułkownika Quanga jako człowieka porządnego i uczciwego. Ten jednak, miast okazać mu wdzięczność, poczerwieniał cały na twarzy, po czym, mimo ciężaru swoich lat, zerwał się na równe nogi i rzucił w gościa krzesłem, wykrzykując przy tym: „Wynoś się z mojego domu, ty zdradziecki draniu!". Jeden z jego synów skomentował to następująco: „Dla mojego ojca wszystko musiało być zawsze albo czarne, albo białe"[20].

Nguyen Cong Hoan, antywojennie nastawiony Wietnamczyk z Południa, który po roku 1975 przez dwie kadencje zasiadał w Zgromadzeniu Narodowym, a następnie uciekł z kraju łodzią wraz z innymi uchodźcami, powiedział sześć lat później: „Bardzo żałuję, że wcześniej nie poznałem się na komunistach. Komuniści zawsze używają wielkich słów, którymi łatwo można oszukać lepszą część naszego ja. Tyle że używają ich po to, by doprowadzić do tragicznego końca. Ja im uwierzyłem – i byłem w błędzie"[21]. Hai Thuan, weteran jeszcze z czasów Wietminhu, który później zamieszkał na Północy, gdzie spędził całą wojnę, powrócił teraz do Sajgonu, by objąć stanowisko w nowym Ministerstwie Sprawiedliwości. Tu z przerażeniem odkrył, że jego własny syn, były oficer armii Południa, został zesłany do obozu, a jego emocjonalny protest złożony w politbiurze zignorowano. Pewnego pięknego poranka Thuan wszedł na dach wysokiego budynku przy ulicy Le Loi i rzucił się w dół, zostawiając po sobie dwa listy. Jeden z nich zaadresował do

przywódców Partii i potępiał w nich jej brutalność i kłamliwość. W drugim prosił o wybaczenie swoją żonę i swojego syna.

Truong Nhu Tang, minister sprawiedliwości w TRR, szybko zorientował się, że jego funkcja nie daje mu żadnych dodatkowych możliwości, w porównaniu z wszystkimi innymi Południowcami, by dowiedzieć się o losie swoich dwóch braci przetrzymywanych w Long Thanh. W końcu udało mu się wystarać o zgodę na odwiedzenie samego obozu, ale zabroniono mu bezpośredniego komunikowania się z braćmi. Dane mu było oglądać ich jedynie przez krótki czas – potem zapisał: „Ich twarze wciąż mnie prześladują: blade, wychudzone, przerażone, z pustymi, utkwionymi gdzieś w oddali oczami. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co mogli wtedy pomyśleć, widząc mnie siedzącego na tylnej kanapie rządowej limuzyny objeżdżającej to miejsce dookoła”[22]. Ostatecznie udało mu się doprowadzić do zwolnienia jednego z braci, ale drugiego czekała jeszcze kolejna ponaddziesięcioletnia odsiadka w innym obozie na Północy, ponieważ związany był on z poprzednim Zgromadzeniem Narodowym w Sajgonie.

Tang dołączył do ruchu oporu, „wierząc, że Ho Chi Minh, Pham Van Dong i Wietnamska Partia Komunistyczna jako patrioci zamierzali postawić interes narodowy ponad swoimi celami osobistymi i ideologicznymi. Ze względu na miłość do kraju wyrzekłem się rodziny, wyrzekłem się wszystkiego, tylko dla tego marzenia. Nie chciałem słuchać przestróg ojca, który powtarzał mi: «W zamian za twoją służbę od komunistów nie dostaniesz nawet cząstki tego, co masz teraz. A co gorsza, oni cię zdradzą i będą cię prześladować przez całe twoje życie»”. I tak się właśnie stało. Jak napisał rozgoryczony Tang: „Prawdziwa polityka politbiura była szkodliwa, a w ostatecznym rozrachunku destrukcyjna dla narodu”.

Oficer specjalnego wydziału policji Phan Tan Nguu uniknął wprawdzie egzekucji – a taki właśnie los spotkał wielu z jego kolegów – lecz musiał odsiedzieć aż siedemnaście lat w więzieniu. Jego żona dostała jedynie pięć lat kary, po której odbyciu czterokrotnie podejmowała wraz z dziećmi próbę ucieczki łodzią, by wreszcie dotrzeć do upragnionej Ameryki. Po rozłące trwającej ponad dwadzieścia lat

rodzina wreszcie ponownie się połączyła dopiero w roku 1996, kiedy Nguu pozwolono opuścić kraj. Po przybyciu na miejsce dowiedział się on, że jego synowie, o których nie miał dotąd żadnych wieści, dostali się na studia w Johns Hopkins University School of Medicine – a potem obaj zostali świetnymi chirurgami[23].

Phan Phuong, córka innego oficera z wydziału specjalnego, w momencie upadku Sajgonu miała piętnaście lat. Jej ukochanego ojca wkrótce zabrano z domu, by na kolejnych osiem lat wtrącić go do więzienia. Początkowo jej i jej ośmiorgu braciom i siostrom pozwalano kontynuować naukę w szkole. Jej matka handlowała trochę na targu – całej rodzinie uniemożliwiono znalezienie stałego zatrudnienia – a ponadto stopniowo wyprzedawali oni swój niewielki majątek. Ale później na rok więzienia skazano również matkę, a Phuong została jedyną żywicielką rodziny, zarabiając wytwarzaniem i sprzedażą lodów bananowych. To jednak nie wystarczało na życie, więc musiała się uciekać do żebrania o jedzenie dla swojego rodzeństwa, dostosowując się do nowej rzeczywistości, w której jedynym i nadrzędnym celem było przeżycie, a wiodącym do niego środkiem stawały się często posunięcia desperackie. Pewnego dnia, widząc sąsiada z workiem słodkich ziemniaków, poprosiła go o zaledwie jeden dla siebie i dla rodziny – ale spotkała się z odmową. „Każdej nocy modliłam się o cud, dopóki wreszcie nie wróciła moja mama. Byłam wtedy taka szczęśliwa”[24]. Rodzinie ostatecznie udało się uciec w 1991 roku. Doug Ramsey przyznawał, że nie był wcale zaskoczony bezwzględnością komunistów: „Jeśli już, to dziwiłem się, że nie poszli oni jeszcze dalej – wystarczy tu przywołać praktykowaną przez Chińczyków zasadę szukania zemsty na co najmniej trzech pokoleniach, a czasami nawet i siedmiu”[25]. Weteran Bao Ninh z AWP uważa z kolei, że po triumfie Hanoi „trudno było oczekiwać po zwycięzcach, by nie skorzystali z okazji i nie zechcieli zmusić pokonanych do przyjęcia swojego sposobu myślenia. Ale te obozy ciągnęły się stanowczo zbyt długo”[26].

W napisanej przez Nguyena Viet Thana i wydanej w roku 2016 bestsellerowej powieści *The Sympathiser* (*Sympatyk*) mowa jest o podjętej przez uchodźców próbie zorganizowania kampanii partyzanckiej wymierzonej w reżim z Hanoi. Tego rodzaju plan rzeczywiście powstał

w roku 1977: w wyniku bardzo agresywnego zbierania funduszy w środowisku amerykańskich imigrantów wietnamskiego pochodzenia sfinansowano wówczas stworzenie w północnej Tajlandii specjalnego obozu szkoleniowego. Kilka lat później Frank Scotton, oddelegowany do amerykańskiej ambasady w Bangkoku, otrzymał niewdzięczną misją rozwiania nadziei tych żyjących złudzeniami kontrrewolucjonistów. Powiedział im, że powinni się wstydzić za to, iż chcą ryzykować życie niewinnych ludzi w zasadzie po nic[27]. Mimo to nadzieje na zorganizowanie zbrojnego oporu utrzymywały się aż do końca lat osiemdziesiątych XX wieku: plany zakładały przerzucenie partyzantów przez Laos. W kolejnych operacjach, tym bardziej tragicznych, im bardziej okazywały się one bezcelowe, zginęło kilkuset „bojowników ruchu oporu", w tym jego przywódca, były oficer południowowietnamskiej marynarki wojennej.

Koniec wojny przyniósł przywódcom Wietnamu jeszcze jedno wielkie rozczarowanie: supermocarstwa zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie na powrót sprowadziły ich kraj – który przez poprzednie dwie dekady zdołał nabrać znaczenia daleko wykraczającego poza jego wielkość czy siłę – na margines światowych spraw. Chiny prezentowały postawę coraz bardziej nieprzyjazną. Pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku urzędnicy w Pekinie o jednym z członków politbiura w Hanoi wyrażali się z pogardą jako o „żebraku" z powodu częstotliwości jego próśb o pomoc. W roku 1979 między Chinami a Wietnamem doszło nawet do krótkiej, ale krwawej wojny granicznej. Rosjanie z kolei dramatycznie ograniczyli swoją pomoc, która po upadku Związku Sowieckiego znikła już na dobre[28]. Do roku 1980 bogaty w zasoby Wietnam stał się jednym z najuboższych krajów na świecie.

Przez kolejną dekadę jego mieszkańcy cierpieli ogromne niedostatki, a mimo to ich stetryczali przywódcy w dalszym ciągu upierali się przy potrzebie kolektywizacji rolnictwa i jednocześnie wzbraniali przed jakimkolwiek otwarciem na świat niekomunistyczny z obawy przed skażeniem czystości ideologicznej Wietnamu. Dopiero po VI Kongresie Partii w roku 1986 politbiuro w Hanoi zaczęło niechętnie modyfikować część swoich strategii politycznych, pozwalając na przykład Południowcom ponownie spróbować swoich sił w handlu, który zdawali

się oni rozumieć o niebo lepiej od swoich rodaków z dawnej Północy. W roku 1988 po rozległych połaciach północnej części kraju przetoczyła się fala głodu, wywołując niewypowiedziane cierpienia ponad 9 milionów ludzi: nie wiadomo przy tym, ilu z nich wówczas zmarło. Mimo to ideolodzy rządzący w Hanoi do spółki z wojskowymi, zwłaszcza zaś członkami wszechwładnego aparatu bezpieczeństwa, nie potrafili pójść na żaden rozsądny kompromis z twardą racjonalnością ekonomiczną. Jeszcze we wrześniu 1989 roku przemawiający w Partyjnym Instytucie Szkolenia Ideologicznego Nguyen Van Linh tak oto zachwalał zalety swojego systemu: „Kapitalizm z całą pewnością zostanie wyparty przez socjalizm, albowiem takie są prawa ludzkiej historii, którym nikt nie jest w stanie zaprzeczyć". Z kolei tuż przed swoją śmiercią w roku 1990 Le Duc Tho napisał wiersz, w którym gloryfikował radość z dzielenia się ubóstwem i cierpieniem:

W przeszłości byliśmy silni uczuciem
Dzieląc ze sobą życie i śmierć, dzieląc się miską ryżu i jedną koszulą
Teraz jednak ludzie wolą pieniądze
A miarą uczuć i emocji jest indywidualizm
Zatraca się zaś poczucie wspólnoty

Le Duan zmarł w roku 1986, ale jego następcy oraz ci, którzy przyszli po Tho, nie wykazywali żadnych inklinacji ani do zwiększenia swobód osobistych, ani do odstąpienia choćby odrobiny władzy dzierżonej niepodzielnie przez Partię: do dziś w każdej wietnamskiej szkole średniej naucza się teorii marksizmu-leninizmu. Gerontokratyczne przywództwo w Hanoi uznało jedynie, że trzeba pozwolić ludziom zarabiać pieniądze, by w ten sposób stopniowo budować zamożność społeczeństwa, a niektórzy z nich zaczęli to czynić z dość dużymi sukcesami. Jeśli zaś chodzi o sąsiadów i sojuszników, to większość żołnierzy Hanoi opuściła Laos w roku 1988, a z Kambodży wyszli oni rok później. Stosunki dyplomatyczne ze Stanami Zjednoczonymi przywrócono w roku 1995. W tym samym roku Wietnam dołączył też do organizacji politycznej i handlowej ASEAN, a dziesięć lat później do

WTO. Procesy podejmowania decyzji w Hanoi wciąż skrywa mgiełka tajemnicy, ale wydaje się oczywiste, że istnieje tam jakiś sojusz między starymi towarzyszami, wciąż wyznającymi wiarę w wyjątkowość ideologiczną Wietnamu, a „nuworyszami", których rodziny doszły do bogactwa i udziału we władzy dzięki ich wysokiej pozycji w Partii, przy czym obu stronom tego sojuszu zależy na dalszym blokowaniu liberalizacji. Na szczytach władzy nie brak osób dysponujących ogromnym osobistym majątkiem, beneficjentów zysków gospodarczych osiąganych przez ich kraj.

Jeśli zaś chodzi o olbrzymi i wciąż rosnący exodus z Wietnamu, to o jego wadze i rozmiarach świadczyć może uchwalenie przez amerykański Kongres już roku 1975 prawa znanego jako Indochina Migration and Refugee Assistance Act (Ustawa o migracji i pomocy uchodźcom z Indochin), które stało się godną tego mocarstwa odpowiedzią na wielki kryzys humanitarny zaistniały w wyniku „zjednoczenia" Wietnamu. Jeden z uchodźców, Chau Phat, stwierdził: „Nikt nie miał specjalnych powodów, by cieszyć się z wyniku tej wojny, ale życie z piętnem przegranych było z całą pewnością trudniejsze od obnoszenia się z chwałą zwycięzców"[29]. Wielu z tych, którzy musieli zaczynać wszystko od nowa w innym kraju, z początku zmagało się z licznymi trudnościami: „Oni [Wietnamczycy z Południa] zbyt długo dawali się zwodzić błędnymi informacjami. Wydawało im się, że Amerykanie zjawili się w Wietnamie po to, by im pomóc. Tymczasem oni pojechali tam tylko po to, by wykorzystać ten kraj jako platformę starcia z międzynarodowym komunizmem". Akurat Phat dobrze wyszedł na emigracji: jest on świetnie prosperującym biznesmenem i filantropem, znanym dziś jako Frank Jao.

Były oficer sił powietrznych Nghien Khiem również zaczął nowe życie w południowej Kalifornii, gdzie pracował jako robotnik za stawkę godzinową 2,5 dolara, dopóki nie ukończył kursu technika komputerowego. Pewnego dnia, niedługo po jego przyjeździe, z przejeżdżającej ulicą taksówki bagażowej wychylił się jakiś mężczyzna, który krzyknął do niego: „Wracaj do domu!". „Zabolało – przyznał Khiem, ale już po chwili dodał: – Potem jednak spotkałem mnóstwo dobrych ludzi". Podobnie jak zadziwiająco wielu innym

Amerykanom pochodzenia wietnamskiego, udało mu się odnieść sukces w swoim nowym życiu. Don Graham zatrudnił 30 uchodźców z Wietnamu w swojej rodzinnej gazecie „Washington Post": „Okazali się oni najbardziej lojalnymi i najciężej pracującymi ludźmi, jakich miałem". Nguyen Tri, niegdyś najmłodszy komandor w całej wietnamskiej marynarce wojennej, stał się zadowolonym z życia obywatelem hrabstwa Orange. Oto co powiedział: „Dziś czuję po prostu dumę z tego, że jestem Amerykaninem. Chcę żyć przyszłością, a nie przeszłością. Żałuję tylko tego, że po tym, jak komuniści podbili Wietnam Południowy, nie zachowali się oni równie wielkodusznie jak Północ po wygraniu amerykańskiej wojny secesyjnej"[30].

2. AUDYT TEJ WOJNY

Wydana w Wietnamie ośmiotomowa historia wojny, zatytułowana *Całkowite zwycięstwo*, pod sam koniec podaje wyliczenia statystyczne dotyczące jej ofiar[31]: blisko 2 miliony zabitych cywilów, 2 kolejne miliony okaleczonych albo dotkniętych niepełnosprawnością, wreszcie milion cierpiących na efekty uboczne zastosowania trujących chemikaliów. Jeśli zaś chodzi o straty na polu bitwy, to według szacunków Hanoi 1,4 miliona ludzi zginęło bądź zostało uznanych za zaginionych, a 600 tysięcy kolejnych odniosło rany. Liczby odnoszące się do ludności cywilnej wydają się mocno przesadzone, ale już statystyki wojskowe prezentują odpowiedni rząd wielkości – choć tak naprawdę nikt nigdy nie będzie miał w tym zakresie pewności. Warto przy okazji zauważyć, że w oczach obecnych władców Wietnamu weterani z ARVN, a już zwłaszcza ci dotknięci kalectwem, pozostają do dziś ludźmi poza systemem, a zatem i poza statystyką. Autorzy tego wiekopomnego dzieła kończą swoje wywody w sposób następujący: „Cała nasza Partia, armia i ludność obu części Wietnamu z powodzeniem wdrożyła strategiczną koncepcję wyłożoną przez naszego ukochanego wujka Ho w jego *Życzeniach na święto Tet* z roku 1969: «Walczyć o to, by zmusić Amerykanów do powrotu do domu, walczyć, by obalić ich marionetki». Nasz kraj został zjednoczony (...)

naród wietnamski przezwyciężył neokolonialistyczną kampanię agresji w walce, która stała się największym, najdłuższym i najbardziej zaciętym bojem stoczonym od czasów II wojny światowej”[32]. Robert McNamara zapytał kiedyś Giapa, kto jego zdaniem był najlepszym generałem w tym konflikcie, na co Wietnamczyk odpowiedział mu, trzymając się ściśle wytycznych ideologicznych: „Lud”[33].

Dobrą dekadę po upadku Sajgonu Ronald Reagan powiedział z kolei: „Czas już, byśmy przyznali, że to właśnie nasza strona walczyła o słuszną sprawę”. A amerykański konserwatywny pisarz Michael Lind, zgadzając się, że ten konflikt był „straszliwym fiaskiem (...) a toczono go metodami, które często okazywały się przeciwskuteczne, czasami zaś może nawet niemoralne”, postrzega go dziś, podobnie jak całe jego środowisko polityczne, jako „nieudaną kampanię w zakończonej powodzeniem ogólnoświatowej wojnie (...) [którą] trzeba było stoczyć, by zachować militarną i dyplomatyczną wiarygodność Stanów Zjednoczonych”[34].

Nie ustaną zapewne debaty, w których zestawiać się będzie niewątpliwie duże zasługi Ho Chi Minha i jego następców w wyrugowaniu z Indochin francuskiego kolonializmu z późniejszą tragedią ekonomiczną i społeczną, na którą narazili oni cały naród wietnamski, najpierw na Północy, a później już w całym kraju. Wielu Południowców wspierających sprawę komunizmu do roku 1975 całkowicie się od niego odwróciło, doświadczywszy na własnej skórze konsekwencji wdrażania ideologii Hanoi.

Czy interwencja Stanów Zjednoczonych mogła przynieść inny rezultat? Wielu Amerykanów – takich jak Frank Scotton, Doug Ramsey czy Sid Berry – wyjeżdżało do Wietnamu zainspirowanych ideałami czy potrzebą służby. Scotton zapamiętał pewną uwagę zasłyszaną od swojego starego kolegi, Johna Paula Vanna: „John mawiał, że pomogliśmy Wietnamczykom wzbić się wysoko w niebo maszyną cięższą od powietrza, a teraz musimy im pomóc zejść z powrotem na ziemię, możliwie delikatnie, tak by się nie rozbili”. Scotton zapytał go wtedy, jaka to różnica, na co Vann odparł: „Więcej ludzi przeżyje”. Obaj oni zaliczyli kiedyś wspólne lądowanie niewielkim helikopterem LOH na wysuniętym posterunku Sił Regionalnych, który został zaatakowany

poprzedniej nocy. Jakoś udało im się upchnąć w kokpicie pewnego ciężko rannego żołnierza, po czym wyruszyli z powrotem do Pleiku. Leżąc przez cały czas na kolanach Scottona, człowiek ten obficie krwawił, aż wreszcie skonał jeszcze przed wylądowaniem. Już na ziemi niepocieszony Vann stał przy maszynie, waląc z wściekłością dłonią o jej kadłub i powtarzając raz po raz: „Jeszcze tylko 20 minut! Jeszcze tylko 20 minut, a dowieźlibyśmy go żywego!". Scotton pomyślał sobie wówczas: „To był facet, którego John widział pierwszy raz w życiu: a jednak strasznie mu na nim zależało, bo był po naszej stronie"[35].

Ta anegdota jest niewątpliwie poruszająca, ale w szerszym oglądzie zaangażowanie Amerykanów w Wietnamie od samego początku oparte było na niewłaściwych przesłankach: zamiast kierować się interesem narodu wietnamskiego, amerykańscy decydenci brali pod uwagę głównie wymogi własnej polityki wewnętrznej i zagranicznej, w tym nadrzędny imperatyw powstrzymywania Chin. Podejmowane przez kolejne administracje decyzje o eskalowaniu konfliktu wzbudzają w oczach potomności zdumienie i wydają się niezrozumiałe, ponieważ wszyscy ówcześni gracze polityczni musieli zdawać sobie sprawę ze słabości rządu w Sajgonie, który miał przecież służyć jako swoista wietnamska fasada dla wznoszonego przez Amerykanów wciąż rosnącego gmachu militarnego. W roku 1965 Szefowie Sztabów przestrzegali McNamarę przed „brakiem jakiejkolwiek realnej struktury polityczno-ekonomicznej (...) [brakiem] stabilności rządów centralnych, niskim stanem morale w kręgach przywódczych i słabo wyszkolonym personelem służby cywilnej" – i dodawali: „Rozwiązanie tych problemów, na płaszczyźnie głównie politycznej, ma kluczowe znaczenie dla ostatecznego zdławienia partyzantki"[36]. Mimo podobnych przestróg amerykańscy przywódcy wciąż łudzili się, że wszystkie takie złożone kwestie da się rozwiązać, stosując jeszcze większą siłę militarną, jak gdyby opielenie grządki kwiatów możliwe było za pomocą miotacza ognia.

A ponieważ przyczyn ostatecznej porażki Stanów Zjednoczonych w Wietnamie należy upatrywać właśnie tutaj, za kolejne niepowodzenia na polu bitwy nie warto obarczać zbyt wielką winą samych wojskowych, mimo że niektórzy z nich z pewnością nie okryli się tam chwałą. W roku

1964 William Westmoreland cieszył się z otrzymania najważniejszego polowego stanowiska dowódczego nadanego jakiemukolwiek amerykańskiemu wojskowemu po rozejmie w Korei. Ale już cztery lata później, kiedy wracał do kraju, przeklinał zapewne swój los, doznawszy życiowego upokorzenia, gdy przez cały swój naród został uznany za nieudacznika i słabeusza. David Elliott zauważa całkiem słusznie: „Tej wojny nigdy nie dało się toczyć w sposób sprytny i przebiegły”[37]. Generał James Gavin należał do tych wojskowych, którzy już od samego początku przestrzegali: „Jeśli o jakąś wioskę walki toczą się pięć albo sześć razy, to zginie w niej mnóstwo cywilów. Zmieni się całe ich życie (...). A w miarę jak wojna będzie się przeciągać, zaczniemy własnymi rękami niszczyć to, o co zamierzaliśmy walczyć”[38].

Pomijając już nawet niedostrzeganie tego rodzaju oczywistych konsekwencji, amerykańscy decydenci nie potrafili również przewidzieć, jak wielki wpływ na gospodarkę i kulturę chłopskiego społeczeństwa w odległej Azji będzie miała przysłana tam olbrzymia armia zagranicznych żołnierzy. Wietnamska sekretarka pracująca w biurze USAID zarabiała więcej od pułkownika ARVN. Buldożery i blaszane baraki, anteny i pojazdy opancerzone, wieżyczki strażnicze, worki z piaskiem, kilometry drutów kolczastych – cała ta infrastruktura zdemolowała krajobraz na długo przed tym, zanim do akcji wkroczyły plujące ogniem działa, rażące pociskami z powietrza helikoptery czy silni i zwaliści żołnierze kupujący sobie seksualne względy drobnych miejscowych kobiet. Wietnam nie był zresztą wcale odosobnionym przypadkiem, jako że podobnie rzecz się miała z wszystkimi interwencjami militarnymi krajów zachodnich w odległych miejscach globu, niezależnie od szlachetnych intencji, które za nimi stały.

Komuniści od samego początku dysponowali olbrzymią przewagą propagandową, ponieważ w odróżnieniu od swoich wrogów przez większość czasu pozostawali właściwie niezauważalni dla zwykłych ludzi. Stąpali po dobrze sobie znanej ziemi lekko i cicho, podczas gdy Amerykanie przetaczali się przez nią niczym jakieś gigantyczne stwory rodem z filmów science fiction – do których zresztą wykształceni Wietnamczycy z lubością ich porównywali – naruszając spokój mieszkańców i niszcząc wszystkie delikatne struktury napotykane na

swojej drodze. Nawet w XXI wieku zachodni dowódcy wojskowi wciąż zdają się nie rozumieć, jakim szaleństwem jest posyłanie swoich żołnierzy do „walki w imię zwykłych ludzi", gdy noszą oni wielkie przyciemniane okulary, hełmy i kamizelki kuloodporne, nadające im wygląd niemalże robotów wysłanych do zabijania, których nie sposób polubić, a nawet rozpoznać w nich bliźnich takich samych jak my.

Zarówno na Północy, jak i na Południu, wszędzie, gdzie tylko pojawili się komuniści, szerzyli oni terror i odbierali ludziom wolność osobistą. Wbrew ogromnemu uwielbieniu, jakim zachodnia lewica darzyła Ho Chi Minha i Le Duana, dzierżyli oni stery nieludzkiego reżimu o charakterze wybitnie totalitarnym. A mimo to ich mandat do rządzenia wciąż wydawał się bardziej wiarygodny od pretensji zgłaszanych przez drugą stronę sporu. W większości społeczeństw, w tym również w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych, mieszkańcy terenów wiejskich darzą instynktowną nieufnością swoje metropolitalne elity. Takie antagonizmy były szczególnie ostro zarysowane w Wietnamie Południowym, w którym Sajgon postrzegano jako uosobienie francuskiej kultury kolonialnej, a nie własnych wzorców cywilizacyjnych. Tylko nielicznych ludzi interesowały szczegóły teorii marksistowsko-leninowskich, za to wielu z nich dało się zwieść obietnicom reformy rolnej, która zdjęłaby z nich nieznośne jarzmo właścicieli ziemskich i pożyczkodawców, a także hasłom wprowadzenia rządów Wietnamczyków w interesie Wietnamczyków oraz przegnania precz cudzoziemców. Południowiec Chau Phat powiedział: „Komuniści potrafili nam bezustannie przypominać o tym, jak upokarzającą sprawą jest bycie pod czyjąś okupacją". Jego ojciec, pochodzący z Północy, od samego początku wojny powtarzał mu: „Nie ma żadnej nadziei. Prędzej czy później przegramy". Jego syn skomentował to następująco: „On potrafił świetnie czytać w ludzkich umysłach i rozumiał, że to druga strona przyznała sobie monopol na patriotyzm"[39].

Truong Nhu Tang z TRR z pogardą wyrażał się o łatwości, z jaką komuniści manipulowali zachodnią opinią publiczną, mówiąc: „Nam nie tyle chodziło o zdobywanie zwolenników, ile o szukanie oponentów wobec reżimów amerykańskiego i sajgońskiego (...). Ale nie tylko opinia

publiczna w Wietnamie Południowym i w Ameryce była konsekwentnie okłamywana przez komunistów. Nawet ci z nas, którzy żyli w dżungli, poświęcali się i walczyli (...) stali się ostatecznie ich ofiarami".

Wietnamczycy z Północy wciąż otrzymywali dostawy gotówki i broni od swoich sowieckich i chińskich popleczników, tyle że ludzie na Południu nigdy nie widzieli tych zagranicznych sponsorów, za to często mieli okazję oglądać swoich komunistycznych rodaków w oczywisty sposób pozbawionych jakichkolwiek dóbr materialnych, z drugiej zaś strony na co dzień przychodziło im obserwować bezwstydne gromadzenie majątków przez amerykańskich sługusów z Sajgonu. Nawet najmniej rozgarnięci chłopi rozumieli w tej sytuacji, że ludzie rządzący Południem, niezależnie od tego, czy noszą mundury, czy smokingi, nie śmieliby samodzielnie nawet wstać rano z łóżka bez uprzedniego spytania swoich „długonosych" panów, którą nogą mają to zrobić. Tylko nieliczni Amerykanie dostrzegali jednak, jak wielkie szkody dla promowanej przez nich sprawy pociąga za sobą takie ostentacyjne obnoszenie się ze swoją dominacją. Wiktoria komunistów wynikała w mniejszym stopniu z militarnych osiągnięć AWP i Wietkongu, w większym zaś z faktu, że byli oni Wietnamczykami. Hanoi notorycznie kłamało w wielu różnych sprawach, ale w jednej od początku mówiło prawdę: przywódcy reżimu w Sajgonie zawsze byli jedynie marionetkami.

Słyszy się czasami, że brak paraleli między wojną w Wietnamie a zmaganiami Zachodu w krajach takich jak Irak czy Afganistan w XXI wieku. A przecież jest całkiem oczywiste, że Stany Zjednoczone i ich sojusznicy wciąż mają trudności z przekuciem sukcesów odnoszonych na polu walki w rozsądną i umiejętną politykę. Doskonały amerykański oficer, generał broni H.R. McMaster, opisał pewnego razu[40] swoje doświadczenia i osiągnięcia w dowodzeniu pułkiem kawalerii pancernej w Iraku w latach 2004–2005. Jego konkluzje okazały się dość ponure: „Problem polegał na tym, że nie było tam nikogo, z kim moglibyśmy połączyć siły". Neil Sheehan z kolei powiedział: „W Wietnamie Południowym również nigdy nie było nikogo, z kim można by połączyć siły"[41]. Przy braku wiarygodnych ludzi na miejscu zwycięstwa w kolejnych potyczkach były i już na zawsze musiały

pozostać niewiele znaczące. Ze wszystkich uczestników wojny w Wietnamie jedynie komuniści potrafili prowadzić spójną walkę polityczną i militarną.

Skoro jednak tej wojny nie dało się wygrać na polu bitwy, to Stany Zjednoczone mogły przynajmniej bardziej się postarać, by ograniczyć wszelkie nadużycia swoich sił zbrojnych, za przyczyną których ich wizerunek narodu niosącego w świat wartości cywilizacyjne wciąż doznawał kolejnych, coraz trudniejszych do naprawienia szkód. Częste przeświadczenie, że zwykli amerykańscy chłopcy wysyłani do walki za granicą w dalszym ciągu pozostawali przyzwoitymi chłopakami z sąsiedztwa, było tylko złudzeniem. Niektórzy i owszem, ale już inni – niekoniecznie. Żołnierzy szkoli się do tego, by zabijali. W warunkach polowych prowadzą oni ponadto życie na wpół zwierzęce, które przytępia w nich wszelką wrażliwość. Wielu z nich przestaje wtedy cenić życie przypadkowych ludzi, których przecież nawet nie zna, zwłaszcza wówczas, gdy po ich stronie straty wciąż tylko rosną. W Wietnamie trepy niejednokrotnie buntowały się przeciwko regulaminowi RoE, mającemu na celu ograniczenie strat wśród cywilów. Jeden z nich tak oto protestował w obecności Michaela Herra: „Przecież ta wojna staje się coraz bardziej popieprzona (...). To znaczy, jeśli nie wolno nam strzelać do tych ludzi, to co my tu w ogóle robimy?”[42].

Nie jest łatwo zapanować nad zachowaniem młodych ludzi, do których dyspozycji oddało się wcześniej śmiercionośną broń, a którzy – podobnie jak większość żołnierzy przez większość czasu – zmagali się a to z upałem, a to z zimnem, a to z głodem, a to z brudem, a to z pragnieniem, a to z biegunką albo zaparciem, a to z samotnością, a to ze zmęczeniem, a to z niedoinformowaniem, a już szczególnie trudno było im wyperswadować trzymanie nerwów na wodzy i zdejmowanie palców ze spustów, skoro był to dla nich najpewniejszy sposób utrzymania się przy życiu. Doświadczenia Sowietów i nazistów sugerują, że bezwzględni okupanci są w stanie zdławić wszelki opór przy użyciu nagiej siły. Tyle że w Wietnamie armia amerykańska okazała się wystarczająco uciążliwa i przejawiała dość pogardy rasowej – a przy tym raz na jakiś czas raziła morderczymi skłonnościami – by

zasłużyć sobie na wrogość miejscowej ludności, a zarazem nie była aż tak okrutna, by odwieść wielu chłopów od wspierania komunistów. Amerykanie spalili na tyle dużo wietnamskich wiosek, że udało im się wzbudzić oburzenie światowej opinii publicznej, a jednocześnie na tyle mało, że miejscowa ludność i tak nie przestała udzielać schronienia partyzantom.

Równie przerażająca była gotowość ich rodaków do przechodzenia do porządku dziennego nad okropnościami takimi jak masakra w My Lai czy inne jej podobne: sondaż opinii publicznej przeprowadzony w roku 1969 przez magazyn „Time" wykazał, że aż 69 procent Amerykanów podpisałoby się pod stwierdzeniem „Takie rzeczy zawsze zdarzają się podczas wojny". Tymczasem miara dojrzałości danego społeczeństwa nie zależy od tego, czy jego żołnierze raz na jakiś czas wykazują skłonność do popełniania okrutnych czynów, lecz zasadza się na tym, czy istnieje na nie społeczne i instytucjonalne przyzwolenie, jak miało to miejsce w przypadku armii Hitlera czy też walczących w czasie II wojny światowej wojsk rosyjskich albo japońskich. Żaden z tych przykładów nie powinien chyba jednak służyć za wzór współczesnej zachodniej demokracji. Ekscesy, do których dochodziło z winy sił amerykańskich w Wietnamie, nie były wprawdzie żadną miarą zjawiskiem powszechnym, ale też zdarzały się wystarczająco często, by uświadomić samym Wietnamczykom, że w oczach wielu umundurowanych Amerykanów są istotami podrzędnymi, a ich życie warte jest znacznie mniej od życia „dłogonosych". W sierpniu 1967 roku zorganizowano operację „Benton", o której mało kto w ogóle słyszał. Była to akcja z gatunku „wyszukać i zniszczyć", prowadzona przez jedną brygadę amerykańską i wymierzona w jeden z pułków AWP. Podczas jej trwania swoje domy straciło aż 10 tysięcy Wietnamczyków zamieszkujących prowincję Quang Tin na południe od Da Nang. Na obszar o rozmiarach mniej więcej 10 na 20 kilometrów spadło wówczas 282 tony bomb i 116 ton napalmu, a ponadto tysiąc rakiet, 132 820 pocisków kaliber 20 mm, 119 350 pocisków kaliber 7,62 mm i 8488 wystrzelonych przez ciężką artylerię. Po zakończeniu operacji ogłoszono zabicie 397 nieprzyjaciół, a 640 cywilów ewakuowano do obozów dla uchodźców. Tę trwającą dwa tygodnie akcję można uznać

za w miarę reprezentatywną dla całej wojny. Nie mówiąc już o popełnianiu przez Amerykanów tak elementarnych błędów wizerunkowych jak pozwalanie na to, by Wietnamczycy czyścili ich szeregowcom buty i sprzątali za nich baraki.

Amerykańscy dowódcy poświęcali sporo energii na wdrażanie rozmaitych programów społecznych. Jako zawodowi żołnierze zostali oni jednak wyszkoleni do tego, by za swoje główne powołanie uznawać walkę. Wychodząc z tego założenia, większość z nich zakładała zatem, że jeśli ich ludzie nie walczą, to nie robią tego, za co się im płaci. Ponadto zawodowi oficerowie musieli się wykazywać odpowiednio dużą ambicją i dbałością o swoją reputację, by móc sobie zasłużyć na kolejne awanse. A tych akurat trudno było się spodziewać w wyniku raportowania o wypełnieniu kwoty nowo otwartych szkół albo o liczbie wiosek odwiedzonych przez zespoły Medcap; nikt też nigdy nie otrzymał Medalu Honoru za rozdawanie cukierków w sierocińcach. Tak naprawdę liczyły się jedynie twarde statystyki dotyczące liczby żołnierzy nieprzyjaciela związanych walką i zabitych bądź unieszkodliwionych. Każdy naród potrzebuje wojska, które broniłoby jego interesów, ale problem zaczyna się wówczas, kiedy wojskowym daje się wolną rękę do działania na terenach zamieszkanych przez cywilów. Lekarz wojskowy Russ Zajtchuk po jakimś czasie znienawidził swoje wizyty w ramach programu Medcap: „Kiedy jedziesz do jakiejś wioski, która została zbombardowana i wielu jej mieszkańców się spaliło, a ty później masz dla nich trochę witamin i mydła… cóż, ja w każdym razie nie czułem się z tym w porządku. Na dobrą sprawę czułem się jak hipokryta”.

W późniejszej fazie konfliktu wojna partyzancka zaczęła ustępować miejsca konwencjonalnym starciom regularnych formacji zbrojnych, w których siły USA mogłyby z dużym prawdopodobieństwem pokonać komunistów, gdyby nie fakt, że w Stanach Zjednoczonych załamała się wszelka wola dalszego prowadzenia walki. Nawet jednak gdyby faktycznie większa siła ognia Amerykanów zdecydowała o ich zwycięstwie, trudno doprawdy wyobrazić sobie dalszy pozytywny rozwój wydarzeń. Rząd w Sajgonie cieszył się minimalnym poparciem społecznym: a zatem wciąż „nie było z kim połączyć swoich sił”. Najwyraźniej naród wietnamski musiał najpierw doświadczyć na

własnej skórze komunistycznego modelu rządów, co stało się właśnie, za ogromną cenę, po roku 1975, zanim mógłby w pełni świadomie zdecydować o jego odrzuceniu.

Wojna kosztowała Stany Zjednoczone 150 miliardów dolarów, znacznie mniej niż ta w Iraku, stoczona dwa pokolenia później. Tyle że prawdziwą cenę przyszło im zapłacić nie w pieniądzach, ani nawet nie w zgonach swoich obywateli – których było wprawdzie 58 tysięcy, ale już pod względem odsetka populacji stanowiły one stratę mniejszą niż ta poniesiona przez naród w Korei – ale w ogromie powstałej w jej wyniku traumy. Neil Sheehan zauważa, że poprzednie doświadczenia historyczne nauczyły Amerykanów, iż wojny zagraniczne zasadniczo im się opłacały: „Wygrałeś i wracałeś do domu w glorii chwały. A potem przyszedł Wietnam. Wielu ludzi zginęło tam na próżno. Wszystkie inne pomniki wzniesione ku czci poległych na wojnach opiewają ich zwycięstwo. Pomnik Wietnamski zaświadcza tylko o smutku i poczuciu utraty". Zarówno amerykańska armia, jak i Korpus Marines, potrzebowały potem około piętnastu lat, by strząsnąć z siebie piętno buntów, nieposłuszeństwa oraz wewnętrznych podziałów i móc stać się na powrót przykładnymi i skutecznymi formacjami bojowymi.

Równie wielkie szkody poczynione zostały w świadomości społeczeństwa amerykańskiego, wierzącego dotąd święcie w swoją moralną wyższość i militarną niezwyciężoność, co wynikało zarówno z odniesienia zwycięstwa w II wojnie światowej, jak i z powojennych sukcesów gospodarczych. Generał Walt Boomer zauważa: „Wojna wietnamska przyczyniła się w większym stopniu do zmian w naszym kraju niż jakiekolwiek inne wydarzenie w naszej niedawnej historii. Wytworzyła ona pewną aurę podejrzliwości i nieufności, z której nigdy już nie zdołaliśmy się otrząsnąć"[43].

Mimo że młodzi zeloci z ruchu antywojennego wykazywali się wielką naiwnością, charakterystyczną dla swojego wieku, opiewając rzekome cnoty Ho, Mao Zedonga czy Che Guevary, to szerokie rzesze zwolenników owego ruchu całkiem słusznie postrzegały Wietnam jako katastrofę. Kiedy Daniela Ellsberga zapytano, jak chciałby uzasadnić ujawnienie przez siebie 7 tysięcy stron tajnych dokumentów znanych jako Pentagon Papers, odparł on swemu rozmówcy następująco:

„Ciekaw jestem, czy zamierza pan zadać podobne pytanie któremukolwiek z pozostałych urzędników [zaangażowanych w kierowanie tą wojną], a mianowicie jak chciałby on uzasadnić fakt, że n i e zrobił tego, co zrobiłem ja? Dlaczego czuli, że mają prawo zachowywać milczenie w obliczu wszystkich tych kłamstw, które publicznie opowiadano (...), zbrodni, które popełniano, bezprawnych działań i zwodzenia amerykańskiej opinii publicznej?”[44]. Wypowiedzią tą Ellsberg trafił właściwie w samo sedno. Walt Boomer, który dowodził później Siłami Ekspedycyjnymi Marines w czasie I wojny w Zatoce w roku 1991, przyznaje, że najważniejszą nauczką, jaką wyniósł z Wietnamu, było: „Mów prawdę”.

Były nawigator USAF tak oto opisuje swoje doświadczenia z Wietnamu: „Choć jestem dumny z tego, że służyłem jako członek załogi B-52, późniejszych czterdzieści parę lat upłynęło mi na próbach zapomnienia tej przeklętej wojny (...) [tego] niepotrzebnego marnotrawstwa czasu, pieniędzy i ludzkiego życia. A pod koniec (...) nasi polityczni przywódcy po prostu podkulili ogony i uciekli, porzucając tych samych ludzi, którym złożyli wcześniej tak wiele obietnic”[45]. Frank Scotton dostrzega dziś w Stanach Zjednoczonych dwie konkurencyjne narracje: „Kiedy spotykają się amerykańscy weterani, prędzej czy później kończy się na narzekaniu, jak to Wietnamczycy z Południa wszystko spieprzyli. A kiedy spotykają się południowowietnamscy uchodźcy, rozmowa schodzi im na pomstowaniu, jak bardzo wszystko spieprzyli Amerykanie”[46]. On sam mówi o czasie już po wojnie: „czułem, iż skończyła się właśnie najważniejsza część mojego życia. Nigdy więcej nie zamierzałem nadstawiać karku dla jakiejkolwiek sprawy”. W południowej Kalifornii wreszcie zszedł się z Kim Vui, swoją niegdysiejszą miłością, którą zostawił w Dalat w roku 1966. Od ślubu w listopadzie 2015 roku „ona wciąż powtarza, że jestem jej winien pięćdziesiąt lat”. Doug Ramsey przeprowadził się ostatecznie do starego domu swoich rodziców w Boulder City w stanie Nevada: „Wydawało mi się, że to najlepsze miejsce do odzyskania jakiegoś poczucia normalności, choć ostatnio zastanawiam się, czy nie lepiej było jednak zostać gdzieś bliżej Waszyngtonu, bo tam mają lepszą opiekę”. Dotknięty głębokim

kalectwem i zmuszony do przeżycia za dalece niewystarczający zasiłek z Medicare oraz wypłaty z funduszu odszkodowawczego, wyraził się on następująco: „Podzielam wyrażane przez wietnamskich weteranów przekonanie, że wszyscy zostaliśmy wydymani przez oba nasze rządy”[47]. Ramsey zmarł w lutym 2018 roku.

Były oficer sił powietrznych Nghien Khiem twierdzi, że wciąż stara się unikać jakichkolwiek kontaktów z Wietnamczykami z Północy: „Należymy do jednego narodu, ale niektórzy członkowie mojej rodziny, przyjaciele czy moi dawni podkomendni zginęli z ich rąk”[48]. Dziś wprawdzie nie żywi on już urazy, ale też nie jest w stanie zapomnieć. Podobny problem ma również żołnierz AWP Pham Thanh Hung, który odniósł rozległe obrażenia pod Quang Tri w roku 1972: „Czasami wciąż nawiedzają mnie koszmary, w których jestem w samym środku nalotu powietrznego – albo jeszcze gorsze, w których dostaję kolejne powołanie do wojska, by iść na nową wojnę. Podobnie jak część mojego pokolenia czuję się w jakimś stopniu oszukany tym wszystkim, co się nam przydarzyło”[49].

Major Don Hudson, który dowodził kompanią piechoty w roku 1970, opowiedział o rozczarowaniu amerykańskich weteranów: „Wydawało im się, że wrócą do domów w pełnym umundurowaniu, obwieszeni medalami, a wszyscy będą się cieszyć i poklepywać ich po plecach. Jak się okazało, było zupełnie inaczej”[50]. David Rogers należy do tych, którzy spoglądając wstecz, wciąż odczuwają głębokie emocje: „To doświadczenie było nie do opowiedzenia. Nie potrafię tego nawet ubrać w żadne wielkie słowa – to wszystko było zbyt osobiste. Próbowałem napisać książkę, ale zabrakło mi umiejętności, by udźwignąć ten temat. Miałem duży problem z powrotem do domu, a potem z chodzeniem do kościoła. Nie byłem w stanie pójść do spowiedzi. Czułem się zbrukany. Byłem częścią machiny śmierci”. Niektórzy jego rówieśnicy zerwali z nim kontakty tylko dlatego, że miał związek z tym konfliktem. „Pewna dziewczyna, która wyjechała do Kanady ze swoim chłopakiem, była wobec mnie bardzo ostra”. Ale na dobrą sprawę dla Rogersa, podobnie jak dla milionów jego byłych towarzyszy walki, liczy się tylko jedno wspomnienie, pamięć o ludziach ze swojego plutonu: „to, że mogę

dumnie stanąć i powiedzieć, iż jako ich ratownik medyczny zawsze służyłem im swoją pomocą".

Około jednej trzeciej „jego ludzi" zostało zabitych albo rannych. A ponieważ mieszka niedaleko Waszyngtonu, czasami odwiedza tamtejszą Ścianę Pamięci, zawsze o piątej albo szóstej z rana. „Nie poszedłbym tam później, kiedy wokół są już inni ludzie. Dla mnie ten pomnik to jeden wielki nagrobek. Cieszę się, że tam stoi. Mam tam z jakieś dziesięć «swoich» nazwisk – jest Tony z Chicago, Jerry Johnson z Minnesoty, Sam i jeszcze kilku innych. Wracają wspomnienia. Patrząc na linię drzew za słonymi stawami na wyspie Martha's Vineyard, pomyślałem sobie: tu jest jak w Wietnamie, brakuje tylko śmigłowców nad czubkami drzew, najpiękniejszego widoku, jaki tam oglądałem. Czytając pisarzy takich jak Neil Sheehan, wpadam w złość na ludzi, którzy wtedy rządzili Ameryką. Oni dobrze wiedzieli, jak to się skończy. A my nie. Ja tylko liczyłem kroki i to wszystko". Starszy sierżant sztabowy Jimmie Spencer mówi z kolei: „Ludzie zmieniają powoli swoje wcześniejsze sądy. Teraz przynajmniej możliwe jest oddzielenie samej tej wojny od walczących w niej żołnierzy. Wcześniej obwiniano ich za coś, czego nawet nie zaczęli. Już nigdy więcej nie pozwolimy, by jedna grupa weteranów odwróciła się plecami od innej"[51].

Przy tak długiej perspektywie czasowej może uda się też kiedyś objąć takim historycznym miłosierdziem przynajmniej część „ważnych ludzi", którzy podejmowali wtedy katastrofalne decyzje, mające całkowicie zrujnować ich publiczną reputację, a którzy wyrażali później z tego powodu szczere ubolewanie. Późnym popołudniem któregoś dnia w roku 1967 w swoim ogromnym gabinecie w Pentagonie Robert McNamara omawiał wraz z jednym z podwładnych, Williamem Brehmem, kwestię zamówień amunicji. „Policzmy na spokojnie. Daje nam to 2 tysiące sztuk na każdego bojownika nieprzyjaciela. Tyle powinno wystarczyć"[52]. Nagle Brehm zauważył, że sekretarz obrony cały się trzęsie: przypadkiem jego wzrok padł na wiszący na ścianie portret jego poprzednika, Jamesa Forrestala, a po policzkach zaczęły mu spływać łzy. Najwyraźniej uświadomił sobie, że tak jak ciężar sprawowania tego urzędu zniszczył ostatecznie Forrestala, tak też prędzej czy później doprowadzi również i do jego upadku.

Były dowódca marines, generał Al Gray, twierdzi, że jego noga nigdy ponownie nie postanie w Wietnamie, „dopóki nie będę miał pewności, że wszyscy nasi ludzie wyszli już z ich więzień”[53]. Przez całe lata Ameryką wstrząsały pogłoski, oskarżenia i rzekome skandale związane z losem zaginionych w akcji żołnierzy, których nigdy nie odnaleziono. Tyle że w każdej wojnie losy pewnej liczby ofiar pozostają na zawsze nieznane; w tym wypadku odnosi się to zresztą także do sporej liczby Wietnamczyków: na całym Południu nie brakuje kamieni nagrobnych upamiętniających *Liet Sy Vo Danh* – „Nieznanych Męczenników” z AWP. Nie dysponujemy żadnymi wiarygodnymi dowodami na to, by Hanoi wciąż przetrzymywało jakichś amerykańskich jeńców wbrew ich woli[12*]. Bob Destatte, przez dwadzieścia trzy lata badający na zlecenie Defense Intelligence Agency poszczególne przypadki jeńców wojennych pochwyconych przez komunistów i osób zaginionych w akcji, mówi: „Nikogo tam nie zostawiliśmy”[54]. To człowiek inteligentny i dysponujący osobistym doświadczeniem z Wietnamu, więc nie ma powodu, by wątpić w przedstawiane przezeń konkluzje.

Rozpatrywanie alternatywnych kursów, jakie mogły przybrać wydarzenia historyczne, rzadko przynosi cokolwiek pożytecznego, zarówno samym historykom, jak i ich czytelnikom, ale dwie takie wersje historii warto mimo to rozważyć. Po pierwsze, Wietnamczycy z Północy nigdy nie przenieśli swojej walki na teren Zachodu, a w szczególności na kontynent amerykański, poprzez działania terrorystyczne, jak to czynią współcześni bojownicy muzułmańscy: najprawdopodobniej nigdy po prostu nie przyszło im to do głowy, zwłaszcza że w owych dniach nikt jeszcze nie słyszał o globalizacji. Taka powściągliwość generalnie dobrze przysłużyła się komunistom, jako że odebrała ona Amerykanom łatwy i zrozumiały argument, by uznać całe społeczeństwo prowadzone przez Ho za swojego bezpośredniego wroga – co w sposób oczywisty zagroziłoby jego władzy w kraju.

Równie interesujące wydają się spekulacje na temat konsekwencji, jakie miałoby ewentualne wstrzymanie przez Wietnam Północny sponsorowania walki zbrojnej na Południu. Kampania prowadzona na poziomie lokalnym przez Narodowy Front Wyzwolenia zostałaby wówczas z dużym prawdopodobieństwem zdławiona. W innych krajach

azjatyckich autorytarne rządy wojskowych przekształcały się w okresie między rokiem 1960 a 1990 w demokracje. Nie musząc toczyć bezustannej wojny, Wietnamczycy z Południa mogliby zaprząc całą swoją energię i pomysłowość do rozkręcania swojej gospodarki. Z kolei reżim w Hanoi miałby zapewne problemy z przetrwaniem olbrzymich zawirowań i zmian w obszarach ekonomicznych i politycznych, które przetoczyły się przez cały świat w ostatnich dekadach XX wieku, całkowicie dyskredytując koncepcje marksistowskie.

Historię piszą jednak zwycięzcy: nikt na świecie, rzecz jasna poza Pjongjangiem, nie kwestionuje już dziś legitymizacji Korei Południowej jako państwa, ponieważ świetnie funkcjonuje tam demokracja i dynamicznie rozwija się gospodarka. Tymczasem jej odwieczny wróg, Korea Północna, stanowi niemal wzór niepowodzeń, do jakich może doprowadzić totalitarny komunizm. Tyle że przez całe dekady po rozejmie z roku 1953 na Południu rządziła dyktatura o charakterze niemal równie represyjnym jak ta wciąż utrzymująca się u władzy Północy. Reżim w Seulu miał jednak to szczęście, że nie utracił militarnego i ekonomicznego wsparcia Amerykanów, a przy tym cieszył się wystarczającym poparciem swoich obywateli, by jakoś przetrwać ten etap autorytaryzmu i stopniowo dojść do bardziej oświeconych form rządów. Wietnam Południowy był swego czasu organizmem państwowym w takim samym stopniu wiarygodnym jak jego południowokoreański odpowiednik. Gdyby zapewniono mu takie same możliwości rozwoju, on również mógłby więc nie tylko przetrwać, ale nawet rozkwitnąć tak, jak stało się to w Seulu – tyle że my już nigdy się tego nie dowiemy.

Na podobnej zasadzie hasła „walki o wyzwolenie" i ostateczny triumf militarny pozwoliły Hanoi zachować swój prestiż i legitymizację, które umożliwiają dawnemu reżimowi rządzącemu Północą utrzymywać władzę po dziś dzień, a wszelkie problemy chować umiejętnie za figowym listkiem rewolucji. Profesor uniwersytetu w Oxfordzie Archie Brown, mający jak najgorsze zdanie o samym komunizmie – „jako alternatywna forma organizowania się ludzkich społeczności (...) jest całkowitą porażką" – odnotowuje mimo to niezaprzeczalny fakt, że zakończona sukcesem walka o zjednoczenie kraju dała starym

towarzyszom z Hanoi siłę do trzymania steru rządów przez kolejnych kilkadziesiąt lat: „Mimo całego okrucieństwa tego reżimu (...) z łatwością może się on odwoływać do projekcji wizerunku «wroga», jakim są Stany Zjednoczone, albo przywoływać straszliwe wspomnienia wojny, podkreślając przy tym swoje zasługi dla Wietnamu jako tego, kto wprowadził pokój i odbudował kraj ze zniszczeń”[55]. W tym sensie konflikt ten przesądził o dzisiejszym kształcie Wietnamu, podobnie jak II wojna światowa przesądziła o późniejszym kształcie Rosji, bo przecież zwycięstwo w niej odniesione dało tamtejszej partii komunistycznej sposobność do chwalenia się jedynym widocznym sukcesem odniesionym po roku 1917.

W roku 1993 David Rogers wrócił do Wietnamu już jako reporter i poprosił o zabranie go w okolice Tay Ninh, gdzie kiedyś walczył ze swoją jednostką. Ku wielkiemu zdumieniu, był tam wręcz fetowany przez byłych działaczy Wietkongu: „Dostali pewnie nakaz, by być naprawdę miłymi dla Amerykanów, bo akurat wtedy Kongres miał uchwalić umowę handlową między naszymi krajami”. Cała ta sytuacji skłoniła Rogersa do rozmyślań: „Skoro tak bardzo zależy wam na tym, żeby mieć u siebie restauracje McDonald’s, to na pewno byliśmy w stanie wam to załatwić już dawno temu”. Wielu dzisiejszych turystów amerykańskich ujmuje ciepłe przyjęcie, jakie zgotowują im współcześni Wietnamczycy, urodzeni zresztą zazwyczaj już po zakończeniu wojny. Tak naprawdę przytłaczająca większość mieszkańców tego kraju z ochotą przyjmuje dziś wartości liberalnej demokracji, dobrze poznawszy ograniczenia jej alternatywy. Kiedy prezydent Barack Obama odwiedził Wietnam w roku 2015, przyjęto go tam wręcz entuzjastycznie, podczas gdy wizyta złożona rok później przez prezydenta Chin Xi Jinpinga przebiegła w raczej chłodnej atmosferze.

Odwiedzający dziś Wietnam zachwycają się efekciarskimi budowlami w dawnym Sajgonie czy pięknem natury na prowincji, ale rzadko dostrzegają skrajną biedę, która wciąż panuje na wsi albo całkowity brak wolności słowa. Władcy Wietnamu XXI wieku łaskawie pozwalają swoim poddanym zarabiać pieniądze, ale już nie wyrażać swoje polityczne opinie albo szczerze rozprawić się z własną przeszłością. Wiele amerykańskich historii tej wojny zdaje się

postrzegać jej wynik jako konsekwencję działań wyłącznie jednej ze stron, to jest Stanów Zjednoczonych: wynika to częściowo z faktu, że dysponujemy olbrzymią dokumentacją tychże działań, podczas gdy informacje na temat wojennej aktywności Wietnamu Północnego wydostają się na zewnątrz równie obficie jak woda z wyschniętego zbiornika. Wiele powiedziano w tej książce o utracie wiarygodności przez MACV, postępującej w miarę trwania wojny, ale trzeba w tym miejscu mocno podkreślić, że w Hanoi kłamstwo po dziś dzień ma formę zinstytucjonalizowaną.

Oczywistą nauką, jaka płynie dla nas z wydarzeń w minionym stuleciu, jest stwierdzenie, że czynniki ekonomiczne odgrywają co najmniej równie wielką rolę w definiowaniu wyniku procesów historycznych jak te militarne. Nieżyjący już północnowietnamscy rewolucjoniści prawdopodobnie czuliby wielki niesmak, patrząc na współczesny Sajgon – nazwa miasto Ho Chi Minha powoli zaczyna wypadać z łask i całkiem możliwe, że niedługo zupełnie zniknie, podobnie jak Leningrad na powrót stał się Sankt Petersburgiem. Tamtejsze połyskujące milionami świateł sklepy są prawdziwymi świątyniami konsumpcjonizmu, szczycąc się najlepszymi markowymi produktami, drogą biżuterią czy ubraniami od najbardziej znanych projektantów. Można by wręcz bez zbytniej przesady stwierdzić, że choć niemal pół wieku temu Stany Zjednoczone przegrały wojnę na płaszczyźnie militarnej, to w ciągu kolejnych dziesięcioleci ich wpływy gospodarcze i kulturalne doprowadziły do odwrócenia tamtego wyniku. Tam, gdzie kiedyś nie dały sobie rady amerykańskie siły zbrojne ze swoimi superfortecami B-52, defoliantami i helikopterami Spooky, po latach nieodparte sukcesy odnoszą YouTube i Johnny Depp.

Jeśli w ostatnich latach coraz bardziej dysfunkcjonalnego rządu w Sajgonie jedynym uzasadnieniem dla jego istnienia stało się toczenie wojny, dokładnie to samo można było powiedzieć o reżimie w Hanoi. Już po kilku latach od upadku Sajgonu komunistyczni weterani zaczęli z nostalgią wspominać rzekomo wzniosły czas swojej walki. Im bardziej oczywista stawała się klęska wewnętrznej polityki władzy, tym silniej i nabożniej mieszkańcy Północy odwoływali się do uświęconej batalii o zjednoczenie kraju: David Elliott zauważa, że starsze pokolenie wciąż

postrzega ten okres jako „czas prostoty, wiary, skupienia, równości w ubóstwie. Ludzie pomagali sobie nawzajem. Istniało jakieś poczucie jednej wspólnej misji”[56]. Bao Ninh kończy swoją wojenną powieść, opisując nostalgię swojego fikcyjnego odpowiednika, Kiena, powszechną wśród weteranów każdego konfliktu: „Raz za razem powraca on do swoich miłości, przyjaźni, relacji koleżeńskich, do wszystkich tych ludzkich więzi, które pozwoliły mu przetrwać niezliczone wojenne cierpienia”. Kien zazdrościł temu swojemu utraconemu ja, które miało w sobie mnóstwo natchnienia i optymizmu: „to były dni, w których dbaliśmy o siebie, w których wiedzieliśmy, po co żyjemy i walczymy, a także dlaczego musimy cierpieć i się poświęcać. To były dni, w których wszyscy byliśmy bardzo młodzi, bardzo czyści i bardzo szczerzy”[57].

Tyle że sam autor odrzuca dziś tego rodzaju sentymentalizm: „Ta wizja głębokich więzi międzyludzkich jest mocno przesadzona. Na dobrą sprawę została ona wręcz przekuta w swoisty mit. Owszem, istniały bardzo realne relacje między żołnierzami, ale na Północy było też mnóstwo społecznej niesprawiedliwości. Walczyć szli synowie najuboższych, a inni, cieszący się politycznymi przywilejami, mogli wysyłać swoje dzieci na studia zagraniczne, by tam żyły sobie w pokoju i luksusie. Te czasy charakteryzowały się też nieprawdopodobną brutalnością: wojna trwała po prostu zbyt długo, a ludzie byli już nią straszliwie zmęczeni. Wiele rzeczy uległo zniszczeniu – i to nie tylko budynki czy instytucje, ale również tkanka społeczna”. Bao Ninh odnotowuje też, że podczas gdy Brytyjczycy mieli to szczęście, iż mogli w roku 1945 cieszyć się prawdziwą wolnością, która pozwoliła im w wyniku wyborów powszechnych usunąć z urzędu swojego wielkiego przywódcę z czasów wojny, Winstona Churchilla, „to już w Wietnamie generałowie nie przestali utrzymywać się u władzy”[58].

Trzynastoletni wówczas Truong Huy San tego dnia w roku 1975, kiedy przez głośniki rozstawione w jego północnowietnamskiej wiosce obwieszczono triumfalnie, że Sajgon został właśnie „wyzwolony”, walczył akurat „na niby” ze swoim przyjacielem na pobliskim wzgórzu. „Zgodnie z tym, czego uczono nas w szkole – napisał długo potem w swojej książce *The Winning Side* (*Po stronie zwycięzców*) – miało to

oznaczać koniec dwóch dziesięcioleci nieszczęść doznawanych przez Wietnam Południowy. Pomyślałem sobie wtedy: «Musimy szybko przystąpić do edukacji tamtejszych nieuświadomionych dzieci»”[59]. Ale już w roku 2012 ten sam człowiek zauważył: „Wielu ludzi uważnie przyglądających się przeszłości (...) z oszołomieniem zdaje sobie sprawę z faktu, że sprawy mają się dziś tak, jakby stroną faktycznie wyzwoloną była wtedy Północ”[60]. W dalszej części swego wywodu argumentuje on, że z historycznego punktu widzenia za zwycięzcę należałoby uznać Wietnam Południowy, bo to właśnie jego wartości w coraz wyraźniejszy sposób dominują dziś w całym kraju.

„O co w tym wszystkim chodziło? – zastanawia się na głos Walt Boomer. – Cóż, najbardziej martwi mnie to, że niewiele się z tego nauczyliśmy. Gdyby bowiem tak było, to nigdy nie najeżdżalibyśmy Iraku”[61].

Podziękowania

W trakcie zbierania materiałów do tej książki dużo podróżowałem, zarówno po Stanach Zjednoczonych, jak i po Wietnamie, przeprowadzając wywiady z całą masą świadków ówczesnych wydarzeń, którzy poświęcali mi mnóstwo swojego czasu i wykazali się niezwykłą wyrozumiałością. Wiele ciekawych informacji znalazłem w bogatych zasobach archiwów US Army's Heritage and Education Center w koszarach w Carlisle w stanie Pensylwania, a także w US Marine Corps w Quantico w stanie Wirginia: wyrażam wdzięczność Conowi Crane'owi i jego personelowi w Carlisle oraz Jimowi Gintherowi z zespołem w Quantico. Korzystałem też ze zbiorów Vietnamese Oral History Archive na Uniwersytecie Kalifornijskim (kampus Irvine). Erik Villard z US Army's Historical Center przedstawił mnie kilku osobom ważnym z punktu widzenia interesującego mnie tematu, w tym zwłaszcza Merle'owi Pribbenowowi. Merle, który służył w sajgońskiej stacji CIA od roku 1970 aż do jej ostatecznej ewakuacji, wniósł zupełnie unikatowy wkład do moich badań, dostarczając mi setek tysięcy słów tekstów przetłumaczonych z wietnamskich dokumentów, historii i pamiętników, za które to skarby nie chciał ode mnie absolutnie żadnego wynagrodzenia. Jak bowiem twierdził, największą nagrodą będzie dla niego sama ta książka. Mam wobec niego ogromny dług wdzięczności, również za niewątpliwą przyjemność przebywania w jego towarzystwie; wprowadził on ponadto do gotowego już tekstu wiele poprawek i uzupełnień.

Doug Ramsey nie tylko zechciał zaszczycić mnie czterogodzinną rozmową w swoim domu w Boulder City w stanie Nevada, ale dał mi też obszerny, niepublikowany maszynopis swoich wspomnień, w których zawarł opis jego fascynujących, a zarazem strasznych doświadczeń. Materiały z języka chińskiego zostały przetłumaczone przez Gu

Renquan. Niezrównaną badaczką, a jednocześnie tłumaczką dokumentów rosyjskich była zaś doktor Luba Winogradowna, która w jakiś sposób dowiedziała się, że na Ukrainie mógłbym uzyskać kontakt z sowieckimi weteranami służącymi podczas tamtej wojny w jednostkach obrony powietrznej Wietnamu Północnego: przeprowadzane z nimi później wywiady pozwoliły mi poznać fascynującą perspektywę drugiej strony konfliktu. Mój rodak, śp. pułkownik John Cameron-Hayes, zdał mi żywą relację ze swoich przeżyć członka pierwszych oddziałów brytyjskich, które wylądowały w Sajgonie w roku 1945. Jestem też wdzięczny profesorowi Edwinowi Moise'owi za zasygnalizowanie kilku błędów w pierwszej wersji tekstu oraz w mapach.

Profesor Pham Quang Minh z uniwersytetu w Hanoi przedstawił mnie ludziom, bez których moja praca na miejscu z pewnością nie przyniosłaby takich rezultatów. Le Hoang Giang, mój tłumacz w stolicy Wietnamu, jest młodym i nader uzdolnionym człowiekiem, mam zatem nadzieję, że życie przyniesie mu okazję do wykorzystania wszystkich swoich talentów. Max Egremont wypożyczył mi niepublikowane wspomnienia z Wietnamu swojego dalekiego kuzyna z Australii, chirurga Normana Wyndhama. W roku 1978 Michael Charlton i Anthony Moncrieff z BBC przeprowadzali wywiady z wieloma Amerykanami – wówczas jeszcze zdecydowana większość ówczesnych liczących się graczy pozostawała przy życiu – na temat procesów decyzyjnych w Stanach Zjednoczonych w latach 1945–1975. Część zebranych przez nich materiałów została później wyemitowana w serii radiowych dokumentów, a pełne transkrypcje tych audycji wydano następnie w formie książkowej, zadziwiająco rzadko wykorzystywanej przez historyków. W mojej ocenie, ich wartość jest ogromna, ponieważ Charlton stawiał wiele pytań, które ja sam chciałbym zadać, gdybym miał podobną możliwość. Jeśli chodzi o rozległą literaturę na temat tej wojny, najchętniej korzystałem z dzieł Davida i Mai Elliottów, w tym zwłaszcza z monumentalnego studium poświęconego życiu w Delcie Mekongu w czasach wojny autorstwa Davida oraz z pamiętników Mai. Silny wpływ na ostateczny rezultat mojej pracy wywarły wspaniałe książki Freda Logevalla *The Embers* of *War oraz Choosing War*, a także

doskonałe analizy Grega Daddisa. Profesor Mark Clodfelter, jeden z najwybitniejszych historyków wojny powietrznej, zgodził się przeczytać i opatrzyć swoimi komentarzami rozdziały poświęcone bombardowaniom. Wspaniały Tim O'Brien, mój kolega ze studiów w Macalester College w stanie Minnesota, sprawdził cały podrozdział zatytułowany Sztuka przeżycia. Mój stary druh doktor Williamson Murray wniósł nieocenione poprawki do wstępnej wersji tekstu, a kolejne wprowadzili później Con Crane i David Elliott. Margaret MacMillan jest autorką cennych komentarzy na temat wizyty Nixona w Chinach. Profesor Peter Edwards zapoznał się ze stronicami poświęconymi roli Australijczyków w tej wojnie. Wiele się nauczyłem dzięki spotkaniom ze wszystkimi wymienionymi wyżej autorami. Mój stary i drogi przyjaciel profesor sir Michael Howard, przeczytał cały wstępny zarys tekstu i wniósł do niego uwagi, które poprawiły – a także znacząco skróciły – ostateczną jego wersję.

Moi agenci w Londynie i Nowym Jorku, Michael Sissons i Peter Matson, pełnią w moim życiu niezmiennie tę samą nieodzowną rolę przez ostatnich trzydzieści pięć lat. Z kolei wydawcy Arabella Pike i Robert Lacey w Londynie oraz Jonathan Jao w Nowym Jorku są dokładnie tacy, jacy powinni być najlepsi ludzie w tej branży, choć mało komu się to udaje – rozumiejący, wspierający, mądrzy. Moja sekretarka Rachel Lawrence zbiera po mnie potłuczoną porcelanę w każdym składzie, z którego niezdarnie wychodzę, już od roku 1986, a w przypadku tej książki organizowała też moje skomplikowane rozjazdy prawie po całym świecie. Od jednego z przyjaciół usłyszałem ostatnio, że moja żona Penny prędzej czy później doczeka się kanonizacji: byłoby to jednak wciąż zbyt mało, by wynagrodzić jej nieoceniony wkład w moje życie i moją pracę – nie mówiąc już o radości, którą daje każdemu, z kim tylko się spotyka.

Glosariusz i słowniczek skrótów

AFN – Armed Forces Network, oficjalna sieć nadawcza armii amerykańskiej.

AK-47 – zaprojektowany przez Sowietów karabin szturmowy zwany popularnie kałasznikowem; jego chińska wersja zaczęła trafiać do wietnamskich komunistów w coraz większych ilościach, począwszy od roku 1965.

ANZAC – Australian and New Zealand Army Corps, Kontyngent Wojsk Australijskich i Nowozelandzkich.

APC – transporter opancerzony, w Wietnamie była to najczęściej jego wersja gąsienicowa typu M-113.

ARVN – Army of the Republic of [South] Viet Nam, Armia Republiki Wietnamu Południowego; skrót wymawiany „Arvin".

AWP – Armia Wietnamu Północnego albo armia północnowietnamska, nazwa przyjęta w niniejszej książce zamiast używanej też Ludowa Armia Wietnamu Północnego (LAWP).

Batalion – jednostka wojskowa z własną kwaterą główną, złożona z 400–1000 żołnierzy, standardowo dzieląca się na 3–4 kompanie.

Brygada – jednostka wojskowa z własną kwaterą główną, obejmująca 5 tysięcy żołnierzy, dzieląca się na bataliony lub pułki.

CAP – *combat air patrol,* bojowe patrole lotnicze.

Chieu hoi – dosłownie „oczekiwany powrót", nazwa wprowadzonego przez Sajgon programu przyjmowania i rehabilitacji uciekinierów z WK albo AWP, używana często potocznie w odniesieniu do tysięcy ludzi uczestniczących w tym programie („On jest *chieu hoi*").

CIA – Central Intelligence Agency, Centralna Agencja Wywiadowcza.

Claymore – kierunkowa mina przeciwpiechotna typu M-18, rozrzucająca pod kątem 40 stopni 100 stalowych kulek, detonowana ręcznie albo zdalnie.

CORDS – Civilian Operations and Revolutionary [później: Rural] Development Support, amerykański program wspierania ludności cywilnej i obszarów wiejskich.

CBWP – Centralne Biuro Wietnamu Południowego, Trung Uong Cuc Mien Nam, kwatera główna komunistów zlokalizowana zazwyczaj w pobliżu granicy z Kambodżą.

CP – *command post,* stanowisko dowodzenia.

DEROS – *date of estimated return from overseas service,* orientacyjna data zakończenia okresu służby zagranicznej.

DIA – Defense Intelligence Agency, Agencja Wywiadowcza Departamentu Obrony USA.

DLS – Dowództwo Lotnictwa Strategicznego, Strategic Air Command, podlegały mu przede wszystkim superfortece B-52.

DMZ – Demilitarized Zone, Strefa Zdemilitaryzowana, utworzona wzdłuż 17. równoleżnika na mocy porozumień genewskich z roku 1954 i rozdzielająca

	nowo powstałe państwa Wietnam Północny i Wietnam Południowy.
Dywizja	– formacja wojskowa składająca się z 8–15 tysięcy żołnierzy, podzielona na 2 albo 3 brygady, dowodzona przez amerykańskiego generała dywizji, rzadziej przez wietnamskiego pułkownika.
DZ	– *dropping zone*, strefa zrzutu spadochroniarzy.
Działko bezodrzutowe	– stosunkowo łatwy do przenoszenia, zaprojektowany przez Sowietów element artylerii krótkiego zasięgu, kalibru od 57 mm do 106 mm; mógł przebić pancerz z odległości 450 metrów albo przenieść ładunek wybuchowy na odległość do 3650 metrów; osadzany albo na trójnogu, albo na dwukołowym wózku, był powszechnie używany przez WK i armię północnowietnamską.
ECM	– *electronic counter-measures*, pociski samonaprowadzające używane przez amerykańskie lotnictwo do niszczenia stanowisk północnowietnamskiej obrony przeciwlotniczej.
FAC	– *forward air controller*, nawigator naprowadzania, osoba kierująca ostrzał lotniczy na wyznaczony punkt.
FFZ	– *free fires zones*, strefy swobodnego ognia.
FO	– *forward observer*, wysunięty obserwator (artylerii lub moździerzy), towarzyszący piechocie.
FOB	– *forward operating base*, wysunięta baza operacyjna.
FSB	– *fire support base*, baza wsparcia ogniowego.
GCMA	– Groupement de Commandos Mixtes Aéroportés, francuskie siły specjalne.
ICC	– International Control Commission, Międzynarodowa Komisja Kontroli, ustanowiona na

	mocy porozumień genewskich z roku 1954, składająca się z przedstawicieli Indii, Polski i Kanady, której zadaniem było monitorowanie wdrażania tych porozumień. Istniała, choć bez większych efektów, do konferencji paryskiej w roku 1973, po której zastąpiła ją ICCS.
ICCS	– International Commission for Control and Supervision, Międzynarodowa Komisja Kontroli i Nadzoru, w której znaleźli się reprezentanci większej liczby krajów niż w ICC; miała zająć się przypadkami rzekomych 18 tysięcy naruszeń zawieszenia broni, ale okazała się równie nieskuteczna jak poprzedniczka.
IP	– *initial point*, punkt początkowy wejścia w przestrzeń powietrzną nieprzyjaciela.
JUSPAO	– Joint US Public Affairs Office, amerykańskie biuro prasowe.
KIA	– *killed in action*, poległy w walce.
Kompania	– formacja wojskowa dowodzona przez kapitana, złożona ze 100–180 żołnierzy, dzieląca się na 3–4 plutony.
Korpus	– jednostka wojskowa z kwaterą główną zarządzającą 2 lub 3 dywizjami, dowodzona przez generała dywizji.
KPSS, Kolegium	– Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, Joint Chiefs of Staff, najwyższy organ władzy wykonawczej w amerykańskich siłach zbrojnych.
„Krótki”	– określenie, którym posługiwali się powszechnie amerykańscy żołnierze w odniesieniu do kolegów zbliżających się do końca okresu służby w Wietnamie, a zatem wyjątkowo niechętnych do

podejmowania ryzyka mogącego skutkować ich śmiercią.

LAW – *light anti-tank weapon,* ręczna wyrzutnia pocisków przeciwczołgowych kaliber 66 mm, używana zarówno przez siły amerykańskie, jak i armię południowowietnamską.

LBJ – Lyndon Baines Johnson.

LRRP – *long-range reconnaissance patrol,* długodystansowy patrol zwiadowczy.

LZ – *landing zone,* strefa lądowania helikopterów mających wysadzić siły uderzeniowe; gorąca LZ oznacza teren broniony przez nieprzyjaciela.

M-14 – karabin półautomatyczny kaliber 7,62 mm, standardowo używany przez piechotę amerykańską do okresu 1966–1968, po którym zaczęto go konsekwentnie wycofywać.

M-16 – karabin kaliber 5,56 mm, broń automatyczna znacznie lżejsza od swojego poprzednika, M-14; jego wersje z lat 1966–1968 nierzadko jednak zacinały się podczas akcji.

MACV – Military Assistance Command Vietnam, amerykańska kwatera główna w Sajgonie; skrót ten wymawiano „Mac-V".

MEDCAP – Medical Civil Action Program, program pomocy medycznej cywilom, w ramach którego wojskowe zespoły lekarskie wysyłano do opieki medycznej nad lokalną ludnością.

Montagnards – określenie nadane jeszcze przez Francuzów górskim plemionom Wietnamczyków, niemal bez wyjątku antykomunistów i z tego powodu często rekrutowanym później do operacji specjalnych przez Amerykanów, którzy zazwyczaj określali ich

własnym skrótem *Yards*. W przekładzie polskim oddawane słowem „górale" (dopisek tłum.).

NFW – Narodowy Front Wyzwolenia, teoretycznie koalicyjny ruch polityczny, w rzeczywistości całkowicie zdominowany przez komunistów, utworzony w roku 1960 w celu wspierania i kierowania ruchem oporu wobec rządu w Sajgonie na Południu.

NSC, RBN – National Security Council, Rada Bezpieczeństwa Narodowego.

OSS – Office of Strategic Services, Biuro Służb Strategicznych, agencja wywiadowcza Stanów Zjednoczonych działająca w latach 1942–1945.

Pluton – formacja złożona z 30–40 żołnierzy, standardowo 4 w każdej kompanii, zazwyczaj dowodzony przez porucznika, wspomaganego przez sierżanta.

PRC-10 – używany przez amerykańską piechotę przenośny zestaw do komunikacji radiowej, zastąpiony później przez PRC-25; ważył razem z baterią niecałe 11 kilogramów; dowódca kompanii mógł mieć do dyspozycji nawet do trzech operatorów takich zestawów, z których każdy nastrojony był na inną stację odbiorczo-nadawczą.

Pułk – jednostka wojskowa standardowo składająca się z 3 batalionów, dowodzona przez pułkownika.

RAR – Royal Australian Regiment.

RoE – Rules of Engagement, zasady angażowania się, swoisty regulamin określający warunki, w jakich siły amerykańskie mogły atakować komunistów i ich instalacje; występował w kilku wersjach całkowicie odmiennych dla Wietnamu Południowego i Północnego oraz dla Laosu czy Kambodży,

a ponadto podlegał zmianom w miarę trwania wojny.

RPG – *rocket-propelled grenade-launcher*, używany przez komunistów niezwykle skuteczny granatnik odpalany z ramienia, o zasięgu około 140 metrów; jego pociski mogły przebić pancerz grubości 18 centymetrów.

R&R – *rest and recuperation*, odpoczynek i nabranie sił, tygodniowy urlop poza Wietnamem przyznawany wszystkim Amerykanom przynajmniej raz na jeden okres służby w Wietnamie, zwykle spędzany na Hawajach, w Hongkongu albo w Australii.

SAM – skonstruowane przez Sowietów pociski ziemia-powietrze; najpopularniejsze były SAM-2, używane w Wietnamie Północnym od roku 1965.

Saperzy – w Wietkongu i armii północnowietnamskiej elitarne jednostki uderzeniowe szkolone w używaniu materiałów wybuchowych.

SF – Special Forces, siły specjalne.

Skauci Kita Carsona – uciekinierzy z AWP albo WK służący później w jednostkach amerykańskich.

SOP – *standard operating procedure*, standardowa procedura operacyjna.

SR, SL – Siły Regionalne, Siły Ludowe, formacje milicji rekrutowane przez Sajgon do obrony na poziomie lokalnym; lekko uzbrojone i dowodzone przez naczelników prowincji, liczyły łącznie 525 tysięcy ludzi.

Oddział – standardowo 4 jednostki składające się na pluton piechoty, z których każda liczyła 8–10 żołnierzy, dowodzona była przez podoficera i mogła dzielić się na mniejsze drużyny.

TRR	– Tymczasowy Rząd Rewolucyjny, stworzona przez komunistów w czerwcu 1969 roku namiastka rządu, mająca zastąpić NFW; początkowo miał siedzibę w CBWP, następnie w lutym 1973 roku przeniesiony do „tymczasowej stolicy" Wietnamu Południowego w Loc Ninh, na północ od Sajgonu.
USAF	– United States Air Force, Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych.
USIA	– US Information Agency, Agencja Informacyjna Stanów Zjednoczonych.
VNAF	– Vietnam Air Force, Siły Powietrzne Wietnamu (Południowego).
Wietkong, WK	– skrótowce pochodzące od nazwy Cong San Viet Nam, oznaczającej wietnamskich komunistów, wprowadzone, a potem powszechnie używane od końca lat pięćdziesiątych XX wieku.
Wietminh	– powszechnie stosowany skrót od Viet Nam Doc Lap Dong Minh Hoi, nazwy wietnamskiej komunistycznej organizacji bojowej założonej w 1941 roku.

Słowo o regułach językowych przyjętych w tekście

Wietnamczycy mówią o swoim własnym kraju Wiet Nam, ale dla uproszczenia będę używał powszechnie stosowanej na Zachodzie wersji jednowyrazowej Wietnam, podobnie jak upraszczam do jednego słowa nazwy typu Ha Noi, Sai Gon czy Wiet Kong.

W tekstach w języku wietnamskim bardzo często pojawiają się znaki diakrytyczne. Pomijam je w samym tekście książki oraz w przypisach, ale już w bibliografii i w indeksie nazwy własne i tytuły akcentowane są prawidłowo.

Wietnamskie nazwiska są zazwyczaj trójczłonowe, przy czym człon rodzinny podaje się jako pierwszy, a ja stosuję się w pełni do tej konwencji. Wielu zachodnich czytelników zwraca uwagę na powtarzanie się członu Nguyen w nazwiskach wymienianych przeze mnie Wietnamczyków; jest to całkowity przypadek, na który nie miałem żadnego wpływu.

Wszędzie tam, gdzie to możliwe bez utraty spójności narracji, pomijam nazwy prowincji, by uniknąć nadmiernego przeładowania tekstu szczegółami geograficznymi.

Tłumaczenie tekstów prowadzi często do pewnej sztuczności językowej. Dlatego przekładając w swojej książce dokumenty czy wspomnienia pisane przez cudzoziemców, starałem się pamiętać o przestrodze Drydena, że tłumacz „nie powinien być zbyt usłużny wobec swojego autora, lecz mu dopomagać", i robię wszystko, by oddać rozmowy toczone po wietnamsku czy francusku w kolokwialnej angielszczyźnie.

Termin „Afroamerykanin" używany jest stosunkowo od niedawna; w czasie wojny wietnamskiej powszechnie stosowano słowo „czarny",

wobec czego i ja je zachowuję. Odwołuję się przy tym do kwestii rasy Amerykanów jedynie wtedy, gdy ma to swoje uzasadnienie.

Szarże przypisane poszczególnym wojskowym są tymi, do których mieli oni prawo w czasie opisywanych wydarzeń.

Północ i Południe w odniesieniu do Wietnamu pisane są wielką literą, kiedy oznaczają odrębne państwa, małą zaś, gdy mają znaczenie czysto geograficzne, zwłaszcza w okresie przed rokiem 1954 i po roku 1975, kiedy kraj był zjednoczony.

Wszystkie strony konfliktu mierzyły odległości w systemie metrycznym. Mimo to ja podaję je w stopach, jardach i milach, nawet cytując bezpośrednio źródła z epoki.

Kolokwialne określenie na dołączenie do komunistycznej partyzantki w Wietnamie Południowym brzmiało *ra bung*, co oznaczało „iść na mokradła", analogicznie do terminologii francuskiego ruchu oporu podczas II wojny światowej, w której partyzantów nazywano *maquisards*, bo kryli się w *maquis*, czyli w dziczy.

Wietkong i skrót WK były nazwami nieformalnymi, używanymi przez Wietnamczyków z Południa, ale zbyt mocno weszły one do powszechnego użycia, by móc je pominąć w tej książce.

W dłuższych fragmentach tekstu traktujących o jednym temacie – w tym zwłaszcza w opisach osobistych doświadczeń z pola walki – przemieszane są czasem wspomnienia danych osób z różnych okresów wojny, w taki jednak sposób, by nie zniekształcić ich wymowy ani znaczenia.

Podając godziny rozpoczęcia albo trwania operacji wojskowych, posługuję się przyjętym przez armię czasem dwudziestoczterogodzinnym; w innych wypadkach staram się stosować bardziej naturalny dla ludności cywilnej system dwunastogodzinny.

Nie próbowałem nigdzie podawać wartości południowowietnamskiego piastra do amerykańskiego dolara, ponieważ z uwagi na chroniczną inflację i nierealistyczne oficjalne kursy wymiany tego rodzaju przeliczenia siłą rzeczy byłyby prawdziwe jedynie w odniesieniu do konkretnego i bardzo krótkiego okresu wojny, a dezaktualizowały się one naprawdę bardzo szybko.

Słowo od tłumacza

Zachowując generalnie niemal wszystkie zasady podane przez Autora w powyższym tekście, musiałem jednak siłą rzeczy dokonać kilku ich zmian albo dostosowań w przekładzie na język polski. I tak:

- konsekwentnie spolszczam nazwy własne już funkcjonujące w naszym języku, a więc Wietnam, a nie Vietnam, Sajgon, a nie Saigon itd.;
- stosowany przez Autora za namową Drydena zabieg oddawania rozmów toczonych po wietnamsku czy francusku w kolokwialnej angielszczyźnie przenoszę o krok dalej i staram się oddawać je w równie kolokwialnej polszczyźnie; analogicznie postępuję w przypadku podobnych konwersacji prowadzonych w języku angielskim;
- z oczywistych względów przywracam system metryczny w odniesieniu do odległości, nadto zamieniam też inne jednostki podawane w systemie imperialnym (funty, uncje, galony) na takie, którymi posługuje się na co dzień polski czytelnik (kilogramy, gramy, litry);
- słowo *black* w odniesieniu do Afroamerykanów służących w armii przekładam nie dosłownie jako „czarny", gdyż ma ono wówczas w polszczyźnie konotacje lekko negatywne, lecz jako „czarnoskóry".

Bibliografia

Literatura traktująca o wojnie wietnamskiej jest bardzo rozległa. Poniżej zamieszczam jedynie tytuły tych prac, które miały bezpośredni wpływ na moje przemyślenia, nawet jeśli był on bardzo skromny albo wręcz negatywny. Nieobecność niektórych tytułów, w tym również bardzo znanych, żadną miarą nie oznacza braku szacunku dla ich autorów – jest tylko wskazówką, że część powstałych na ten temat książek, nawet tych wybitnych, nie miała bezpośredniego przełożenia na moją pracę. Materiały w języku wietnamskim zostały przełożone przez Merle'a Pribbenowa, chyba że wyraźnie zaznaczono inaczej.

Od redakcji wydania polskiego: W adresach bibliograficznych uzupełniono miejsca wydania, których brakowało w angielskim oryginale, a całość zapisów dostosowano do formy używanej w polskich publikacjach. W przypadku pozycji opublikowanych w języku wietnamskim pozostawiono bez zmian angielskie tłumaczenia tytułów i nazw wietnamskich, to znaczy nie przekładano ich na język polski.

Adams Sam, *War of Numbers: An Intelligence Memoir,* Steerforth Press, South Royalton VT 1994.

Ahern Thomas, *CIA and the Generals: Covert Support to the Military Government in South Vietnam,* Center for the Study of Intelligence, CIA, Washington DC [1999], https://bit.ly/30j7QF5.

Andrade Dale, *Ashes to Ashes: The Phoenix Program and the Vietnam War,* Lexington Books, Lexington MA 1990.

Andrew Rod, *The First Fight: US Marines in Operation Starlite,* Marine Corps University, History Division, Quantico VA 2015.

Andrews William, *The Village War: Vietnamese Communist revolutionary activities in Dinh Tuong province,* University of Missouri Press,

Columbia MO 1973.

Appy Christian G., *Patriots: The Vietnam War Remembered from All Sides*, Viking, New York 2003.

Arbatov Georgi, *The System: An Insider's Life in Soviet Politics*, Times Books, New York 1992.

Asselin Pierre, *Hanoi's Road to the Vietnam War 1954–1965*, University of California Press, Berkeley–Los Angeles–London 2013.

Atkinson Rick, *The Long Gray Line*, Houghton Mifflin, Boston 1989.

Autry Jerry, *Gun-Totin' Chaplain*, Airborne Press, San Francisco 2006.

Baskir Lawrence M., Strauss William A., *Chance and Circumstance: The Draft, the War and the Vietnam Generation*, Knopf, New York 1978.

Battle of Dai Do: Seven Days in May, [w:] *The Fighting Third*, USMC, Quantico VA 1969.

Beckwith Charlie, Knox Donald, *Delta Force*, Harcourt Brace Jocanovich, San Diego CA 1983.

Beech Keyes, *Not Without the Americans: A Personal History*, Doubleday, Garden City NY 1971.

Bergen John D., *A Test for Technology*, Center of Military History United States Army, Washington DC 1986 (seria The US Army in Vietnam).

Berman Larry, *Planning a Tragedy: The Americanization of the War in Vietnam*, Norton, New York 1982.

– *No Peace, No Honor: Nixon, Kissinger, and Betrayal in Vietnam*, Free Press, New York 2001.

Biggs David, *Quagmire: Nation-Building and Nature in the Mekong Delta*, University of Washington Press. Seattle 2010.

Bilton Michael, Sim Kevin, *Four Hours in My Lai*, Viking, London 1992.

Bộ Tư Lệnh Quân Khu 5 [Military Region 5 Headquarters], Trần Quý Cát, *Lịch Sử Bộ Đội Đặc Công Quân Khu 5 1952–1975* [*History of Military Region 5 Sapper Troops 1952–1975*], People's Army Publishing House, Hanoi 1998 (obieg wewnętrzny).

Bộ Tư Lệnh Tăng Thiết Giáp [Armor Command], *Some Battles Fought by Our Armored Troops*, t. 4, General Staff Printing, Hanoi 1983.

Bonds Ray (red.), *The Vietnam War: The Illustrated History*, Salamander, London 1979.

Bong-Wright Jackie, *Autumn Cloud: From Vietnamese War Widow to American Activist*, Capital Books, Sterling VA 2001.

Bonville George, *You Ain't Nothing But a Swamp Rat*, Professional Press, Chapel Hill NC 2016.

Boot Max, *The Road Not Taken: Edward Lansdale and the American Tragedy in Vietnam*, Norton, New York 2017.

Borch Frederic L., *Judge Advocates in Vietnam: Army Lawyers in Southeast Asia 1959–1975* US Army Command and General Staff College Press – U.S. Army Command and General Staff College Press, Fort Leavenworth KS 2003, https://bit.ly/3929KU8.

Botkin Richard, *Ride the Thunder: A Vietnam War Story of Honor and Triumph*, WND Books, Los Angeles 2009.

Bowden Mark, *Hue 1968: A Turning Point of the American War in Vietnam*, Grove Atlantic, New York 2017.

Bradley Mark Philip, *Vietnam at War*, Oxford University Press, Oxford 2009.

Braestrup Peter, *Big Story: How the American Press and Television Reported and Interpreted the Crisis of Tet 1968*, Anchor, Garden City NY 1978.

Brigham Robert K., *ARVN: Life and Death in the South Vietnamese Army*, University Press of Kansas, Lawrence 2006.

Brodie Bernard, *War and Politics*, Macmillan, New York 1973.

Broughton Jack, *Thud Ridge*, Lippincott, Philadelphia 1969.

Brown Archie, *The Rise and Fall of Communism*, Bodley Head, London 2009.

Browne Malcolm, *The New Face of War*, Bobbs-Merrill, Indianapolis–New York 1965.

Bunting Josiah, *The Lionheads*, George Braziller, New York 1972.

Burkett B.G., Whitley Glenna, *Stolen Valor: How the Vietnam Generation was Robbed of its Heroes and its History*, Verity Press, Dallas TX 1998.

Burleigh Michael, *Small Wars, Faraway Places: The Genesis of the Modern World*, Macmillan, New York–London 2013.

Burr William, Kimball Jeffrey P., *Nixon's Nuclear Specter: The Secret Alert of 1969, Madman Diplomacy and the Vietnam War,* University Press of Kansas, Lawrence 2015.

Busch Peter, *All the Way With JFK?: Britain, the U.S. and the Vietnam War,* Oxford University Press, Oxford 2003.

Buttinger Joseph, *Vietnam: A Dragon Embattled,* Pall Mall Press, London 1967.

Caputo Philip, *A Rumor of War,* Holt, Rinehart & Winston, New York 1977.

Charlton Michael, Moncrieff Anthony (red.), *Many Reasons Why: The American Involvement in Vietnam,* Scolar, London 1978.

Chau Tran, Ngoc *Vietnam Labyrinth,* Texas Tech University Press, Lubbock 2012.

Chivers Christopher John, *The Gun,* Simon & Schuster, New York 2010.

Chung Pham Van i in. (red.), *Hai Muoi Mot Nam Chien Tran cua Binh Chung Thuy Quan Luc Chien Viet Nam (1945–1975)* [*The Vietnamese Marine Corps' Twenty-One Years of Warfare (1954–1975)*], Vietnamese Marine Association in the US, Santa Ana CA 2005.

Clarke Jeffrey J., *Advice and Support: The Final Years,* Center of Military History United States Army, Washington DC 1988 (seria The US Army in Vietnam).

Clemis Martin, *The Control War: Communist Revolutionary Warfare, Pacification and the Struggle for South Vietnam, 1968–1975,* dissertation, Temple University, Philadelphia 2015, https://bit.ly/3hM5trA.

Cloake John, *Templer: Tiger of Malaya,* Harrap, London 1985.

Clodfelter Mark, *The Limits of Air Power,* Free Press, New York 1989.

– *Beneficial Bombing,* University of Nebraska Press, Lincoln 2010.

– *Fifty Shades of Friction: Combat Climate, B-52 Crews and the Vietnam War,* National Defense University Press, Washington DC 2016, https://bit.ly/2LrUQ0Z.

– *Violating Reality: The Lavelle Affair, Nixon and Parsing the Truth,* National Defense University Press, Washington DC 2016, https://bit.ly/35fgpsL.

Colby William, *Lost Victory: A Firsthand Account of America's Sixteen-Year Involvement in Vietnam*, McGraw-Hill/Contemporary, Chicago 1989.

Conboy Kenneth, Andrade Dale, *Spies and Commandos: How America Lost the Secret War in North Vietnam*, University Press of Kansas, Lawrence 2000.

Cooper Chester, *The Lost Crusade: America In Vietnam*, Dodd, Mead, New York 1970.

Corn David, *Blond Ghost: Ted Shackley and the CIA's Crusades*, Simon & Schuster, New York 1994.

Daddis Gregory, *No Sure Victory*, Oxford University Press, Oxford–New York 2011.

– *On Lewis Sorley's „Westmoreland: The General Who Lost Vietnam"* [recenzja], „Parameters. The US Army War College Quarterly" 41 (2011), nr 3, s. 99–105.

– *Westmoreland's War: Reassessing American Strategy in Vietnam*, Oxford University Press, Oxford–New York 2014.

– *Withdrawal*, Oxford University Press, Oxford–New York 2017.

Dan Nguyen Huy Toan, Pham Quang Dinh, *The 304th Division*, People's Army Publishing House, Hanoi 1990.

Dang Tran Bach, *Tet 68: A Strategic Exercise*, „Ta̤p Chí Li̤ch Sử Quân Sự" [„Military History"] 1988, nr 2 (26).

– *Life and Memories*, Tre Publishing House, Ho Chi Minh City 2006.

Davidson Philip B., *Vietnam at War 1946–1975*, Sidgwick & Jackson, London 1988.

Del Vecchio John M., *The 13th Valley*, Sphere, London 1983.

Dietrich Erik Jurgen-Karl, *The Kraut: On Being German After 1940*, CreateSpace Independent Publishing Platform, [Middleton DE] 2015.

Doan Phuong Hai, *Goc bien chan troi*, Dong Van Publishing, San Jose CA 2000.

Dobrynin Anatoly, *In Confidence: Moscow's Ambassador to America's Six Cold War Presidents* Times Books, New York 1995.

Don Tran Van, *Our Endless War*, Presidio, San Rafael CA 1978.

Doyle Michael W., *Ways of War and Peace*, Norton, New York 1997.

Duc Huy, *Ben Thang Cuoc* [*The Victors*], t. 2: *Giai Phong* [*Power*], Osinbook, Los Angeles 2012.

Duc Pham Gia, *The 325th Division*, t. 1–2, People's Army Publishing House, Hanoi 1986.

Edwards Peter, *Australia and the Vietnam War*, NewSouth, Canberra 2014.

Elliott David W.P., *The Vietnamese War: Revolution and Social Change in the Mekong Delta 1930–1975*, t. 1–2. M.E. Sharpe, Armonk NY 2003.

– *Changing Worlds: Vietnam's Transition from Cold War to Globalization*, Oxford University Press, Oxford 2012.

Elliott David P., Elliott Mai, *Documents of an Elite Viet Cong Delta Unit: The Demolition Platoon of the 514th Battalion*, RAND, Santa Monica CA 1969 (cz. 1–4 dostępne online).

Elliott Duong Van Mai, *The Sacred Willow: Four Generations in the Life of a Vietnamese Family*, Oxford University Press, Oxford 1999.

– *RAND in South-East Asia: A History of the Vietnam War Era*, RAND, Santa Monica CA 2010.

Fall Bernard, *The Political-Religious Sects of Vietnam*, „Pacific Affairs" 28 (1955), nr 3.

– *Hell is a Very Small Place*, Lippincott, Philadelphia 1966.

– *Street Without Joy: The French Debacle in Indochina*, Stackpole, Mechanicsburg PA 1967.

Falabella Robert, *Vietnam Memoirs*, Pageant Press, New York 1971.

Finlayson Andrew R., *The Tay Ninh PRU and its Role in the Phoenix Programme 1969*, „Studies in Intelligence" 15 (1971), nr 2, https://bit.ly/3hMckkO.

– *Vietnam Strategies*, „Marine Corps Gazette" 72 (1988), nr 8, s. 90–94.

– *Killer Kane: A Marine Long-Range Recon Team Leader in Vietnam, 1967–1968*, McFarland, Jefferson NC 2013.

– *Rice Paddy Recon*, McFarland, Jefferson NC 2014.

FitzGerald Frances, *Fire in the Lake*, Vintage Book, New York 1972.

French David, *The British Way in Counter-Insurgency 1945–67*, Oxford University Press, Oxford–New York 2011.

Fulton William B., *Vietnam Studies: Riverine Operations 1966–1969*, Turner Publishing, Paducah KY 1997.

Gaiduk Ilya V., *The Soviet Union and the Vietnam War*, Ivan R. Dee, Chicago 1996.

Gavin James, *Crisis Now*, Random House, New York 1968.

Giles Frank, *The Locust Years*, Secker & Warburg, London 1991.

Głazunow Jewgienij Pawłowicz (red.), *Wojna wo Wietnamie… Kak eto było (1965–1973)*, Ekzamien, Moskwa 2005.

Gole Henry G., *General William DePuy: Preparing the Army for Modern War*, University Press of Kentucky, Lexington KY 2004.

– *Soldiering: Observations from Korea, Vietnam, and Safe Places*, Potomac Books, Dulles VA 2005.

Goscha Christopher, *The Penguin History of Modern Vietnam*, Allen Lane, London 2016.

Greene Graham, *Spokojny Amerykanin*, tłum. Jacek Woźniakowski, Muza, Warszawa 2004.

Greene Wallace, *The Greene Papers: General Wallace M. Greene Jr and the Escalation of the Vietnam War*, red. Nicholas Schlosser, USMC, Quantico 2015.

Grossheim Martin, *The Democratic Republic of Vietnam before the Second Indochina War*, „Journal of Vietnamese Studies" 8 (2012), nr 1, s. 80–129.

Ha Mai Viet, *Blood and Steel: Armor During the Vietnam War*, nakładem autora, Sugarland TX 2005.

Hackforth David H., *Steel My Soldiers' Hearts*, Touchstone, New York 2002.

Hai Doan Phuong, *Goc bien chan troi* [*The Sea on the Horizon*], Dong Van Publishing, San Jose CA 2000.

Haig Alexander, McCarry Charles, *Inner Circles: How America Changed the World*, Grand Central Publishing, New York 1994.

Halberstam David, *The Best and the Brightest,* Random House, New York 1972.

Haldeman H.R., *The Haldeman Diaries: Inside the Nixon White House,* Berkley Books, New York 1994.

Ham Paul, *Vietnam: The Australian War,* HarperCollins, Sydney 2007.

Hamilton-Paterson James, *A Very Personal War: The Story of Cornelius Hawkridge,* Faber & Faber, London 1971.

Hammond William M., *Public Affairs: The Military and the Media,* Center of Military History United States Army, Washington DC 1990 (seria The US Army in Vietnam).

Hanyok Robert, *Skunks, Bogies, Silent Hounds, and the Flying Fish: The Gulf of Tonkin Mystery 2–4 August 1964,* „Cryptologic Quarterly" 19 (2000), nr 4/20 (2001), nr 1, https://bit.ly/3hKrmI5.

Haponski William, *An Idea, and Bullets*, Combatant Books, The Villages 2016.

Harkins Michael, *Magnificent Pressure Exerted,* „Vietnam" 1989, nr 2 (Summer), s. 42–49.

Haun Phil, Jackson Colin, *Breaker of Armies: Air Power in the Easter Offensive,* „International Security" 40, nr 3, Winter 2015/16, s. 139–178.

Hayes Paddy, *Queen of Spies: Daphne Park, Britain's Cold War Spy Master,* Duckworth, London 2015.

Hayslip Le Ly, Wurts Jay, *When Heaven and Earth Changed Places,* Doubleday, New York 1989.

Herr Michael, *Dispatches,* Picador, London 1978.

Hersh Seymour, *The Dark Side of Camelot,* Little, Brown & Co, Boston 1997.

Hiep Dang Vu, *Highland Memories,* People's Army Publishing House, Hanoi 2000.

Higgins Marguerite, *Our Vietnam Nightmare,* Harper & Row, New York 1971.

Hồ Đe Gen., *Victory was Not Achieved Down a Red Carpet,* „Quân đội Nhân dân" [„People's Army Newspaper"], 29.4.2006.

Ho Van Ky Thoai, *Can Truong Chien Bai*, nakładem własnym, Virginia 2010.

Hoang Đan i in., *Chiến di̯ch tiến công Đường 9-Khe Sanh Xuân He 1968* [*The Spring–Summer 1968 Route 9-Khe Sanh Offensive*], Military History Institute of Vietnam, Hanoi 1987.

Hoang Van Thai, *Mấy Vấn Đề về Chiến Lược trong Cuộc Tiến Công va Nổi Dậy Xuân 1968* [*A Few Strategic Issues in the Spring 1968 Tet Offensive*], „Ta̯p Chí Li̯ch Sử Quân Sự" [„Military History"] 1988, nr 2 (26).

Hodges Michael, *AK47: The People's Gun*, Sceptre, London 2007.

Hoeffding Oleg, *Bombing North Vietnam: An Appraisal of the Economic and Political Effects* (RM-5213-1-ISA), RAND, Santa Monica CA 1966, https://bit.ly/2MDMJ2c.

Hoffman George, *The Path to War: US Marine Corps Operations 1961–1965*, Marine Corps University, History Division, Quantico VA 2014.

Howard Michael, *„Many Reasons" for Vietnam*, „Encounter" 1979, nr 52 (May).

– *Captain Professor*, Continuum, New York 2006.

Howze Hamilton H., *Vietnam: An Epilogue*, „Army" 25 (1975), nr 7, s. 12–16.

Hughes Ken, *Fatal Politics: The Nixon Tapes, the Vietnam War and the Casualties of Reelection*, University of Virginia Press, Charlottesville 2015.

Hunt Harold, *A Soldier's Journal*, Hunt Enterprises, Hanover MD 1991.

Hunt Ira A., *Losing Vietnam*, University Press of Kentucky, Lexington KY 2013.

– *The 9th Infantry Division in Vietnam*, University Press of Kentucky, Lexington KY 2010.

Hunt Richard A., *Melvin Laird and the Foundation of the Post-Vietnam Military 1968–71*, Historical Office, Office of the Secretary of Defense, Washington DC 2015, https://bit.ly/3hNsmuQ.

Huy Nguyen Duc, *A Soldier's Life* (współpraca: Nguyen Thong Nhat), People's Army Publishing House, Hanoi 2011.

Isaacs Arnold, *Without Honor: Defeat in Vietnam and Cambodia*, Johns Hopkins University Press, Baltimore–London 1983.

Jones Howard, *My Lai: Vietnam 1968 and the Descent into Darkness*, Oxford University Press, Oxford–New York 2017.

Kaiser Robert, *The Disaster of Richard Nixon*, „New York Review of Books", 21.4.2016.

Karnow Stanley, *Vietnam: A History*, Century, London 1983.

Kerrey Bob, *When I Was a Young Man: A Memoir*, Harcourt, New York 2002.

Khanh Hoang Nghia, *The Road to the General Headquarters Staff*, People's Army Publishing House, Hanoi 2008.

Kimball Jeffrey, *Nixon's Vietnam War*, University Press of Kansas, Lawrence 1998.

– *The Vietnam War Files: Uncovering the Secret History of Nixon-Era Strategy*, University Press of Kansas, Lawrence 2004.

Kissinger Henry, *The White House Years*, Simon & Schuster, New York–London 1979.

– *Ending the Vietnam War: A History of America's Involvement in and Extrication from the Vietnam War*, Simon & Schuster, New York–London 2003.

Krohn Charles A., *The Lost Battalion of Tet*, US Naval Institute Press, Annapolis MD 2008.

Kurlantzick Joshua, *A Great Place to Have a War: Laos and the Militarization of the CIA*, Simon & Schuster, New York 2017.

Ky Nguyen Cao, *Buddha's Child: My Fight to Save Vietnam*, St Martin's Press, New York 2002.

Laidig Scott, *Al Gray, Marine*, Potomac Institute Press, Arlington, VA 2012.

Lâm Chương, *Những Trận Đánh Không Ten Trong Quân Sử* [*Battles Not Described in Military Histories*], Nguyệt San Việt Nam [Vietnam Monthly], Vancouver 2003, s. 95–111.

Langguth A.J., *Our Vietnam: The War, 1954–1975*, Simon & Schuster, New York 2000.

Larteguy Jean, *Les Centurions*, Presses de la Cité, Paris 1960.

Lavalle A.J.C. (red.), *Air Power and the 1972 Spring Invasion*, Office of Air Force History, USAF, Wshington DC 1985, https://bit.ly/2MGFTcp.

Le Duc Tho, *Đồng chí Le Đức Tho. nói về một số vấn đề tổng kết chiến tranh va bien soa.n li.ch sư quân sự* [*Comrade Le Duc Tho Discusses Issues Relating to the War*], „Ta.p Chí Li.ch Sử Quân Sự" [„Military History"] 1988, nr 2 (26).

LeMay Curtis (współpraca: MacKinlay Kantor), *Mission with LeMay*, Doubleday, Garden City NY 1965.

Leslie Jacques, *The Mark: A War Correspondent's Memoir of Vietnam and Cambodia*, Four Walls Eight Windows, New York 1995.

Lewis Norman, *A Dragon Apparent*, Jonathan Cape, London 1951.

Li.ch Sử Cu.c Tác Chiến 1945–2000 [*History of the Combat Operations Department 1945–2000*], Cu.c Tác Chiến [Combat Operations Department], People's Army Publishing House, Hanoi 2005, http://www.quansuvn.net/.

Lind Michael, *Vietnam: The Necessary War*, Free Press, New York 1999.

Livingston James E., współpraca: Colin D. Heaton i Anne-Marie Lewis, *Noble Warrior*, MBI Pub. Co. – Zenith Press, Monneapolis 2010.

Logevall Fredrik, *Choosing War*, University of California Press, London 1999.

– *The Embers of War*, Random House, New York 2012.

– *Bernard Fall: The Man Who Knew the War*, „New York Times", 21.2.2017.

– *Rethinking „McNamara's War"*, „New York Times", 29.11.2017.

Long Guilin, *Memoirs*, Beijing 1995.

Long Joseph, *Hill of Angels: US Marines and the Battle for Con Thien*, Government Printing Office, Washington DC 2016.

Luan Nguyen Cong, *Nationalists in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012.

Lunn Hugh, *A Reporter's War*, University of Queensland Press, Brisbane 1985.

Ly Tong Ba, *Hoi Ky 25 Nam Khoi Lau; Cam Nghi Cua Mot Tuong Cam Quan Tai Mat Tran* [*Memoir of 25 Years of War: Thoughts of a General Who*

Commanded Troops on the Battlefield], nakładem własnym, San Marcos 1999.

Macdonald Peter, *Giap: The Victor in Vietnam*, Norton, New York 1992.

Maclear Michael, *Vietnam: The Ten Thousand Day War*, Thames Methuen, London 1981.

Marlantes Karl, *Matterhorn*, Atlantic Monthly Press, New York 2010.

Marshall Jonathan, *Dirty Wars: French and American Piaster Profiteering in Indochina 1945–75*, „Asia-Pacific Journal: Japan Focus" 12 (2014), 32, nr 2.

Mau Nguyen Xuan, The Ky, *Bao Ve Bau Troi: Hoi Ky* [*Defending the Skies: A Memoir*], People's Army Publishing House, Hanoi 1982.

McCarthy James R., Allison George B., *Linebacker II: A View from the Rock*, Air University Press, Maxwell Air Force Base AL 1976.

McCoy Alfred, *The Politics of Heroin in South-East Asia*, Harper & Row, New York 1972.

McMaster H.R., *Dereliction of Duty: Lyndon Johnson, Robert McNamara, the Joint Chiefs of Staff and the Lies that Led to Vietnam*, HarperCollins, New York 1997.

Memmi Albert, *The Colonizer and the Colonized*, Souvenir, London 2016.

Mersky Peter, Polmar Norman, *The Naval Air War in Vietnam*, Nautical and Aviation Publication Co., Annapolis MD 1981.

Michel Marshall L., *Clashes: Air Combat Over Vietnam 1965–1972*, US Naval Institute Press, Annapolis MD 1997.

– *The 11 Days of Christmas: America's Last Vietnam Battle*, Encounter, San Francisco 2001.

Millie David, *Team 19 in Vietnam: An Australian Soldier at War*, University Press of Kentucky, Lexington KY 2013.

Minh Nguyen Quoc i in., *History of the Sapper Forces*, t. 1, People's Army Publishing House, Hanoi 1987.

Moise Edwin, *The Tonkin Gulf Incident and the Escalation of the Vietnam War* University of North Carolina Press, Chapel Hill 1996.

Nghi Huynh, Noi Huynh Van, Sinh Nguyen Hung, *The Route 9: Southern Laos Counteroffensive Campaign 1971*, Military History Institute of

Vietnam, Hanoi 1987.

Ngo̱c An, *Tiểu Đoan Hỏa Tiễn 224* [*Rocket Battalion 224*], „Ta̱p Chí Li̱ch Sử Quân Sự" [„Military History"] 1997, nr 4.

Nguyen An, *New Battlefield* (opowiedziane Nguyenowi Tu Duongowi), People's Army Publishing House, Hanoi 2002.

Nguyen Dinh Kien, *Nguoi linh voi bau troi Ha Noi* [*A Soldier and the Skies over Hanoi*], People's Army Publishing House, Hanoi 2013.

Nguyen Duong, *Vietnam: The Other Side (Challenging All Odds)*, CreateSpace Independent Publishing Platform, [Middleton DE] 2015.

Nguyen Hung Linh, Mac Hoang, *Luc Luong Chong Phan Dong: Lich Su Bien Nien (1954–1975)*. [*Anti-Reactionary Forces: Chronology of Events (1954–1975)*], Public Security Publishing House, Hanoi 1997.

Nguyen, Lien-Hang T., *Hanoi's War: An international History*, University of North Carolina Press, Chapel Hill 2012.

Nguyen Nathalie Huynh Chau, *South Vietnamese Soldiers*, Praeger, Santa Barbara CA 2016.

Nguyễn Quốc Khue, *LĐ3/BĐQ Với Trận Chiến An Lộc/Binh Long* [*3rd Ranger Group and the Battle of An Loc/Binh Long*], „Ta̱p san Biệt Động Quân" [„Ranger Magazine"] 2003, nr 7.

Nguyễn Văn Minh (red.), Li̱ch Sử Kháng Chiến Chống Mỹ Cứu Nước, 1954–1975 [History of the Resistance War Against the Americans to Save the Nation, 1954–1975], Military History Institute of Vietnam – National Political Publishing House, Hanoi 2008.

Nguyen Viet Thanh, *Sympatyk*, tłum. Radosław Madejski, Muza, Warszawa 2016.

Nguyễn Tiến Đích, *Ký Ức Sư Đoan* [(*3rd*) *Division Memories*], People's Army Publishing House, Hanoi 1995.

Nhien Nguyen Van, Huu Nguyen Thanh, *History of Chemical Troops 1958–2008*, People's Army Publishing House, Hanoi 2008.

Nichols John B., Tillman Barrett, *On Yankee Station*, Bantam, New York 1988.

Ninh Bao, *The Sorrow of War*, Vintage Books, London 1998.

Nixon Richard, *No More Vietnams*, Arbor House, New York 1985.

Nolan Keith William, *Sappers in the Wire: The Life and Death of Firebase Mary Ann*, Texas A&M University Press, College Station 2007.

– *The Magnificent Bastards: The Joint Army-Marine Defense of Dong Ha, 1968*, Presidio, Novato CA 2007.

Nolting Frederick, *From Trust to Tragedy*, Praeger, Santa Barbara CA 1988.

Oberdorfer Don, *Tet!: The Turning Point in the Vietnam War*, Johns Hopkins University Press, Baltimore–London 2001.

O'Brien Michael, *Conscripts and Regulars: With the Seventh Battalion in Vietnam*, Allen & Unwin, St Leonards 1995.

O'Brien Tim, *The Things They Carried*, Flamingo, London 1990.

– *If I Die in a Combat Zone*, Dell, New York 1973.

– *Going After Cacciato*, Delacorte, New York 1978.

Pace Eric, *Harrison E. Salisbury, 84, Author and Reporter, Dies*, „New York Times", 7.7.1993.

Palmer Bruce, *The 25-Year War: America's Military Role in Vietnam*, Simon & Schuster [A Touchstone Book], New York 1984.

– *U.S. Intelligence and Vietnam*, „Studies in Intelligence" 28 (1984), nr 5.

Payne Kenneth, *The Psychology of Strategy: Exploring Rationality in the Vietnam War*, Hurst & Co, London 2015.

Pham Dai Gia, *The Last Prisoners*, Garden Grove CA 2016.

Phan Khắc Hy, list na temat uczestnictwa północnokoreańskich załóg powietrznych w wojnie, „Tuổi Trẻ", 28.8.2007.

Phan Nhat Nam, *Dau ninh lua 1963–73: But ky chien Hien Dai* [*The Mark of a Warrior*], Hien Dai Publishers, Saigon 1973.

Phap Nguyen Van i in., *History of the Air Defence Service*, People's Army Publishing House, Hanoi 1991.

Phuong Bui Vinh (red.), *Military Encyclopedia of Vietnam*, People's Army Publishing House, Hanoi 2004.

Phương Quang, *Don Vi Moi va Nhung Tran Danh Lich Su* [*New Unit and Historic Battles*], „Ky Binh" [„Cavalry"] 2006, nr 5 (June).

Pike Douglas, *Viet Cong: The Organization and Techniques of the National Liberation Front of South Vietnam*, MIT Press, Cambridge MA 1966.

Porter Gareth (red.), *Vietnam: The Definitive Documentation of Human Decisions*, przedm. Stuart Loory, t. 1–2, Heyden, London 1979.

Pouget Jean, *Nous Etions à Dien Bien Phu*, Presses de la Cité, Paris 1965; Publishing House, Hanoi 1997 (jedynie w obiegu wewnętrznym).

Prados John, *Vietnam: The History of an Unwinnable War 1945–75*, University Press of Kansas, Lawrence 2009.

Pribbenow Merle L., *North Vietnam's Final Offensive: Strategic Endgame Nonpareil*, „Parameters. The US Army War College Quarterly" 29 (1999), nr 4, s. 58–71.

– *General Võ Nguyên Giáp and the Mysterious Evolution of the Plan for the 1968 Tet Offensive*, „Journal of Vietnamese Studies" 3 (2008), nr 2, s. 1–33.

– *The Man in the Snow White Cell*, „Study in Intelligence" 48 (2004), nr 1, https://bit.ly/3hUdvyY.

– *The Most Famous Unknown Spies of the Vietnam War*, tekst prezentowany na Intelligence in the Vietnam War Symposium, Texas Tech University, Lubbock, październik 2006.

– *The -Ology War: Technology and Ideology in the Vietnamese Defense of Hanoi 1967*, „Journal of Military History" 67 (2003), nr 1, s. 175–200.

– *Drugs, Corruption, and Justice in Vietnam and Afghanistan: A Cautionary Tale*, „Washington Decoded", 11.11.2009.

– *Soviet-Vietnamese Intelligence Co-operation*, wykład w Woodrow Wilson Center, grudzień 2014.

– *1963: Laying the Military Foundation for the Communist Decision to Seek a „Decisive Victory"*, Texas Tech University Press, Lubbock 2013.

Ramsey Doug, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi.

Raskin Marcus G., Fall Bernard B. (red.), *The Vietnam Reader*, Vintage Books, New York 1967.

Robbins Christopher, *Air America: The Explosive True Story of the CIA's Secret Airlines*, Cassell Military, London 2012.

– *The Ravens: Pilots od Secret War of Laos*, Crown, New York 1987.

Robinson Anthony (red.), *Weapons of the Vietnam War*, Gallery, New York 1983.

Rocolle Pierre, *Pourquoi Dien Bien Phu?*, Flammarion, Paris 1968.

Salisbury Harrison, *Behind the Lines: Hanoi*, Harper & Row, New York 1967.

Samuels Charlie, *Machinery and Weapons of the Vietnam War*, Gareth Steven, New York 2013.

Santoli Al, *To Bear Any Burden: The Vietnamese War and its Aftermath*, Sphere Books, London 1986.

Schlesinger Arthur M., *Journals 1952–2000*, Penguin, New York 2007.

– *Robert Kennedy and His Times*, Houghton Mifflin, Boston 1978.

Scotton Frank, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014.

7 Chiến Sĩ Cách Mạng Được Máy Bay Anh Đưa Về Việt Nam Năm 1942 [*Seven Revolutionary Warriors Who Returned to Vietnam by British Aircraft in 1942*], https://bit.ly/2Xn3IHX (dostęp: 16.9.2005).

Senior Colonel Tran Hieu, First Director of the DRV's Intelligence Department, „People's Public Security", 2.9.2005 (dostęp: 21.4.2014).

Shapley Deborah, *Promise and Power: The Life and Times of Robert McNamara*, Little, Brown & Co, Boston 1993.

Shaw Geoffrey, *The Lost Mandate of Heaven*, Ignatius Press, San Francisco 2015.

Shawcross William, *Sideshow: Kissinger, Nixon and the Destruction of Cambodia*, André Deutsch, London 1979.

Sheehan Neil, *A Bright Shining Lie: John Paul Vann and America in Vietnam*, Random House, New York 1988.

Shepherd Jack, Wren Christopher (red.), *Quotations from Chairman LBJ*, Simon & Schuster, New York 1968.

Siemon-Netto Uwe, *Duc: A Reporter's Love for the Wounded People of Vietnam*, CreateSpace Independent Publishing Platform, [Middleton DE] 2013.

Simpson Howard R., *Tiger in the Barbed Wire*, Kodansha International, New York 1992.

Smith Ralph, *Vietnam and the West*, Cornell University Press, Ithaca NY 1971.

– *An International History of the Vietnam War*, Macmillan, London 1985.

Snepp Frank, *Decent Interval*, Random House, New York 1977.

– *Irreparable Harm*, Random House, New York 1999.

Solis Gary D., *Marines and Military Law in Vietnam: Trial by Fire*, History and Museums Division, Headquarters, US Marine Corps, Washington 1989.

Sorley Lewis (red.), *The Vietnam War: An Assessment by South Vietnam's Generals*, Texas Tech University Press, Lubbock 2010.

– (red.), *The Abrams Tapes 1968–1972*, Texas Tech University Press, Lubbock 2004 2004.

– (red.), *A Better War: The Unexamined Victories and Final Tragedy of America's Last Years In Vietnam*, Harvest, New York 1999.

Spector Ronald H., *Advice and Support: The Early Years* 1985, Center of Military History United States Army, Washington DC 1985 (seria The US Army in Vietnam).

Suchodriew Wiktor Michajłowicz, *Jazyk moj – drug mój: Ot Chruszczewa do Gorbaczewa...*, Tonczu, Moskwa 2008.

Suri Jeremi, *Henry Kissinger and the American Century*, Belknap Press of Harvard University Press, Cambridge MA 2007.

Swain Jon, *River of Time*, Heinemann, London 1995.

Tai Nguyen, *Doi Mat Voi CIA* [*Face to Face with the CIA*], Writers' Association, Hanoi 1999.

Tang Truong Nhu, *A Vietcong Memoir*, Vintage Books, London 1986.

Taylor K.W., *Voices from the Second Republic of South Vietnam (1967–1975)*, Cornell University Press, Ithaka NY 2014.

Taylor Maxwell, *Swords and Plowshares*, Norton, New York 1972.

Terry Wallace, *Bloods: Black Veterans of the Vietnam War*, Presidio Press, New York 2006.

Than Huynh Cong, *On the Long An Battlefi eld: A Memoir* (opowiedziane Nguyenowi Huu Nguyenowi), People's Army Publishing House, Hanoi 1994.

Thompson Robert, *Defeating Communist Insurgency*, Chatto & Windus, London 1966.

– *Make for the Hills* Pen & Sword – Leo Cooper, London 1989.

Thompson Wayne, *To Hanoi and Back: The United States Air Force and North Vietnam 1966–1973*, Air Force History and Museums Program, USAF, Washington DC 2000, https://media.defense.gov/2010/Oct/01/2001309673/-1/-1/0/ToHanoiAndBack.pdf.

Thorne Christopher, *Allies of a Kind: United States, Britain and the War Against Japan, 1941–1945*, Hamish Hamilton, London 1978.

Thuong Pham Huy i in., *The Lowlands Division* [Central Highlands Corps], t. 3, People's Army Publishing House Hanoi 1984.

Tin Thanh, *Their True Colors: The Political Memoirs of Bui Tin*, Turpin Press, Garden Grove CA 1994.

Tống Hồ Trinh, *Hướng tiến công va nổi dậy Tết Mậu Th ân ở Tri-Th ien Huế (năm 1968)* [*The 1968 Tet Offensive in the Tri-Thien-Hue Theatre*], Ministry of Defence, Hanoi 1986 (tłum. Bob Destatte i Merle Pribbenow dla US Army Center of Military History).

Tougas Shelley, *Weapons, Gear and Uniforms of the Vietnam War*, Capstone, Mankato MN 2012.

Tourison Sedgwick, *Secret Army, Secret War*, US Naval Institute Press, Annapolis MD 1995.

Tra̱ch Gầm, *Bên Lề Cuộc Chiến*, Việt Tide, Westminster CA 2015.

Tram Dang Thuy, *Last Night I Dreamed of Peace*, Harmony, New York 2007.

Trần Ba̱ch Đằng, *Cuộc Tổng Diễn Tập Chiến Lược* [*Tet 68: A Strategic Exercise*], „Ta̱p Chí Li̱ch Sử Quân Sự" [„Military History"] 1988, nr 2 (26).

Trần Độ, kaseta audio z wypowiedzią na temat ofensywy Tet, transkrypcja, marzec 1986, „Ta̱p Chí Li̱ch Sử Quân Sự" [„Military

History"] 1988, nr 2 (26).

Tran Hoi B., *A Vietnamese Fighter Pilot in an American War*, XLibris, Bloomington 2011.

Trần Quỳnh, *Những Kỷ Niệm Về Le Duẩn* [*Memories of Le Duan*], https://bit.ly/3hSAlqv.

Tran Trong Trung, *Tổng Tư Lệnh Vo Nguyen Giáp Trong Những Năm Đế Quốc Mỹ Leo Thang Chiến Tranh (1965–1969)* [*Supreme Commander Vo Nguyen Giap During the Years of American Imperialist Escalation of the War (1965–1969)*], National Political-Truth Publishing House, Hanoi 2015.

Tran Van Nhut (współpraca: Christian Arevian), *An Loc: The Unfinished War*, Texas Tech University Press, Lubbock 2009.

Trần Văn Quang, *Huế: 25 ngay đem* [*Hue: 25 Days and Nights*], „Ta̤p Chí Li̤ch Sử Quân Sự" [„Military History"] 1988, nr 2 (26).

Trṳc Lâm, *Số phận một nội gián* [*The Fate of a Mole*], „Quân đội Nhân dân" [„People's Army Newspaper"], 22.7.1995, s. 7 (tłum. Merle Pribbenow).

Trullinger James W., *Village at War: An Account of Revolution in Vietnam*, Longman, New York 1980.

Tuan Tran Quoc i in., *History of the General Staff During the Resistance War Against the Americans to Save the Nation 1954–1975*, People's Army Publishing House, Hanoi 2010.

Tucker Spencer C. (red.), *Encyclopedia of the Vietnam War*, ABC-Clio, Santa Barbara CA 1998.

Turley Gerald H., *The Easter Offensive: The Last American Advisors in Vietnam 1972*, US Naval Institute Press, Annapolis MD 1985.

Veith George J., *Black April: The Fall of South Vietnam 1973–75*, Encounter Books, New York 2012.

Veith George J., Pribbenow Merle L., *„Fighting is an Art": The Army of the Republic of Vietnam's Defense of Xuan Loc 9–21 April 1975*, „Journal of Military History" 68 (2004), nr 1, s. 163–213.

Vo Nhan Tri, *Vietnam's Economic Policy Since 1975*, Institute of Southeast Asian Studies, Singapore 1990.

Walrath Brian, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi.

Weinberger Sharon, *The Imagineers of War,* Vintage Books, New York 2017.

Wendt E. Allan, wywiad przeprowadzony przez Charlesa Stuarta Kennedy'ego (od 20.5.1998), Association for Diplomatic Studies and Training, Foreign Affairs Oral History Project, 2014, https://bit.ly/2XgYNsm.

West Richard, *War and Peace in Vietnam,* Sinclair-Stevenson, London 1995.

– *Victory in Vietnam,* Private Eye, London 1974.

Westad Odd Arne, *The Cold War: A World History,* Allen Lane, London 2017.

Westad Odd Arne, Jian Chen, Tønnesson Stein, Nguyen Vu Tung, Hershberg James G. (red.), *77 Conversations between Chinese and Foreign Leaders on the Wars in Indochina 1964–1977,* Wilson Centre Working Paper 22, Washington DC, https://bit.ly/30nqvj4.

Westmoreland William, *A Soldier Reports,* Doubleday, Garden City NY 1976.

White Theodore, *The Making of the President 1964*, Athenaeum, New York 1965.

– *The Making of the President 1968,* Jonathan Cape, London 1969.

– *The Making of the President 1972,* Jonathan Cape, London 1973.

Whitt Jacqueline E., *Bringing God to Men: American Military Chaplains and the Vietnam War,* University of North Carolina Press, Chapel Hill 2014.

Wiest Andrew, *Vietnam's Forgotten Army: Heroism and Betrayal in the ARVN,* New York University Press, New York–London 2008.

Windrow Martin, *The Last Valley,* Weidenfeld & Nicolson, London 2004.

Wirtz James J., *The Tet Offensive: Intelligence Failure in War,* Cornell University Press, Ithaca 1991.

Woods Randall, *Shadow Warrior: William Egan Colby and the CIA,* Basic Books, New York 2013.

Wyndham Norman, *Through Vietnamese Eyes,* prywatne memorandum, rękopis, 1968 (w posiadaniu Lorda Egremont).

Xuân Ba, cykl artykułów i wywiadów z drugą żoną Le Duana na łamach gazety „Tiền Phong", od 25.6.2006 przez kolejne tygodnie.

Young Gavin, *A Wavering Grace,* Viking, London 1997.

Zajcew Anatolij S., *Na Gromykowskich kowrach,* Mieżdunarodnaja Obszczestwiennaja Organizacyja Wietieranow Wojny wo Wjetnamie, Moscow 2001.

Źródła ilustracji

Alamy Stock Photo/BE&W: s. 96–97, 128, 167, 220, 266, 354, 374–375, 487, 528, 565, 702–703, 792, 806–807, 829

ASSOCIATED PRESS/East News: s. 247, 746

Bettmann/Getty Images: s. 898–899, 914

Bibliothèque Nationale de France/wikimedia commons/domena publiczna: s. 28

Center of Military History, United States Army/wikimedia commons/domena publiczna: s. 36

Department of Defense. Department of the Air Force/wikimedia commons/domena publiczna: s. 158

DoD photo by Oscar Porter, U.S. Army/wikimedia commons/domena publiczna: s. 199

Library of Congress: s. 23, 113, 179, 299, 498, 505

Malcolm Browne/ wikimedia commons/domena publiczna: s. 229

Nationaal Archief/wikimedia commons: s. 239

National Archives and Records Administration/domena publiczna: s. 419, 590, 773, 864, 939

National Archives and Records Administration/wikimedia commons/domena publiczna: s. 61

National Archives/Naval History and Heritage Command/domena publiczna: s. 328

Naval History and Heritage Command/domena publiczna: s. 402, 463

U.S. Army Military History Institute/wikimedia commons/domena publiczna: s. 712

U.S. Air Force/wikimedia commons/domena publiczna: s. 309, 843

U.S. Army images/wikimedia commons/domena publiczna: s. 605

U.S. Coast Guard Collection in the U.S. National Archives/Naval History and Heritage Command/domena publiczna: s. 288

U.S. Navy National Museum of Naval Aviation/wikimedia commons/domena publiczna: s. 442

Wikimedia commons/CC BY 2.0: s. 651

WORLD HISTORY ARCHIVE/BE&W: s. 672

Y. Okamato/National Archives and Records Administration/wikimedia commons/domena publiczna: s. 539, 631

Spis map

Indochiny Francuskie 6
Dien Bien Phu, 13 marca–7 maja 1954 87
Podzielony Wietnam 131
Wietnam Południowy 138
Ofensywa Tet, 1968 581
Atak na wioskę An Lac przypuszczony 30 kwietnia przez kompanię B 648
Operacja „Linebacker”, 1972 817
Ofensywa Wietnamu Północnego z 1975: główne uderzenia 903

Przypisy

Na użytek wydania polskiego przypisy zostały opracowane na nowo w tradycyjnej postaci. W adresach bibliograficznych uwzględniono obok wydawców również miejsca wydania, których brakowało w angielskim oryginale. Poprawiono drobne błędy i tam, gdzie było to możliwe, uzupełniono braki.

W przypisach wykorzystano skróty użyte przez Autora:

USAHEC	– archiwum US Army's Heritage and Education Center w Carlisle w stanie Pensylwania;
USMCA	– historyczne archiwum US Marine Corps w Quantico w stanie Wirginia;
UKNA	– brytyjskie Archiwa Narodowe;
AI	– wywiady z podanymi osobami przeprowadzone przez Autora albo przez współpracujących z nim badaczy w Rosji bądź w Chinach;
MP	– wywiady przeprowadzane w Hanoi przez Merle'a Pribbenowa w roku 2007.

We wstępie do przypisów w oryginale angielskim Max Hastings dodaje: „Osobnym i niezwykłym źródłem są taśmy Abramsa, stanowiące bezprecedensowe świadectwo ówczesnych działań wojennych. Są to nagrania narad dowódczych Creightona Abramsa z czasów sprawowania przezeń najwyższego stanowiska w MACV w latach 1968–1972. Edycji oryginalnych transkrypcji przechowywanych w Carlisle

dokonał Lewis Sorley. Niektóre odniesienia do materiałów wietnamskich pozyskanych w sieci są z konieczności nieprecyzyjne".

1. Piękna i wiele bestii

[1] Phuong Hai Doan, *The Sea on the Horizon*, Dong Van Publishing, San Jose CA 2000, s. 35.

[2] Tamże, s. 40.

[3] Stanley Karnow, *Vietnam: A History*, Century, London 1983, s. 85.

[4] Richard West, *War and Peace in Vietnam*, Sinclair-Stevenson, London 1995, s. 3.

[5] Gavin Young, *A Wavering Grace*, Viking, London 1997, s. 18.

[6] Norman Lewis, *A Dragon Apparent*, Jonathan Cape, London 1951, s. 99.

[7] MP: wywiad z Luu Doan Huynh.

[8] Norman Wyndham, *Through Vietnamese Eyes*, prywatne memorandum, rękopis, 1968 (w posiadaniu Lorda Egremont), s. 14.

[9] AI: Duong, 10.11.2016.

[10] N. Lewis, *A Dragon Apparent*..., s. 19.

[11] Tamże, s. 24.

[12] Tamze, s. 27.

[13] David W.P. Elliott, *The Vietnamese War: Revolution and Social Change in the Mekong Delta 1930–1975*, M.E. Sharpe, Armonk NY 2003, t. 1, s. 34.

[14] David Andelman, *Shattered Peace*, Wiley, Hoboken NJ 2008, s. 128.

[15] S. Karnow, *Vietnam*..., s. 123.

[16] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*, Vintage Books, London 1986, s. 11.

[17] MP: wywiad z Tran Trong Trungiem.

[18] AI: Tran, 9.7.2016.

[19] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 25.

[20] MP: wywiad z Van Ky.

[21] Duong Van Mai Elliott, *The Sacred Willow: Four Generations in the Life of a Vietnamese Family*, Oxford University Press, Oxford 1999, s. 105.

[22] MP: wywiad z Tran Trong Trungiem.

[23] „People's Public Security Newspaper", 21.4.2014.

[24] Jean Lacouture, Philippe Devillers, *End of a War*, Pall Mall, London 1969, s. 138.

[25] *Documents of the DRV*.

[26] James W. Trullinger, *Village at War: An Account of Revolution in Vietnam*, Longman, New York 1980, s. 43.

[27] Michael Charlton, Anthony Moncrieff (red.), *Many Reasons Why: The American Involvement in Vietnam*, Scolar, London 1978, s. 12.

[28] Nguyen Cao Ky, *Buddha's Child: My Fight to Save Vietnam*, St Martin's Press, New York 2002, s. 19.

[29] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*..., s. 35.

[30] AI: John Cameron-Hayes, 14.4.2016.

[31] AI: Bang, 7.10.2016.

[32] Raoul Girardet, *L'Idée Coloniale en France*, Table Ronde, Paris 1972, s. 281.

[33] Fredrik Logevall, *The Embers of War*, Random House, New York 2012, s. 106.

[34] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*..., s. 12.

[35] AI: Hoi, 14.9.2016.

2. „Brudna wojna”

[1] Pierre Rocolle, *Pourquoi Dien Bien Phu?*, Flammarion, Paris 1968, s. 95.

[2] Duong Van Mai Elliott, *The Sacred Willow: Four Generations in the Life of a Vietnamese Family*, Oxford University Press, Oxford 1999, s. 201.

[3] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 116.

[4] Tamże, s. 81.

[5] Norman Lewis, *A Dragon Apparent*, Jonathan Cape, London 1951, s. 18.

[6] Christopher Goscha, *The Penguin History of Modern Vietnam*, Allen Lane, London 2016, s. 244.

[7] Bernard Fall, *The Political-Religious Sects of Vietnam*, „Pacific Affairs” 28 (1955), nr 3, s. 246.

[8] N. Lewis, *A Dragon Apparent*..., s. 177.

[9] Duong Van Mai Elliott, *The Sacred Willow*..., s. 148.

[10] Tamże, s. 152.

[11] Howard R. Simpson, *Tiger in the Barbed Wire*, Kodansha International, New York 1992, s. 92.

[12] Christopher Goscha, *The Penguin History of Modern Vietnam*..., s. 242.

[13] Xuan Ba, cykl artykułów i wywiadów z drugą żoną Le Duana na łamach gazety „Tien Phong”, od 25.6.2006 przez kolejne tygodnie.

[14] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*..., s. 4 i 67.

[15] John Cloake, *Templer: Tiger of Malaya*, Harrap, London 1985, s. 263.

[16] AI: Bang, 7.10.2016.

[17] Graham Greene, *Spokojny Amerykanin*, tłum. Jacek Woźniakowski, Muza, Warszawa 2004, s. 75–76 i 208.

[18] Michael Lind, *Vietnam: The Necessary War*, Free Press, New York 1999, s. 1.

[19] Michael Charlton, Anthony Moncrieff (red.), *Many Reasons Why: The American Involvement in Vietnam*, Scolar, London 1978, s. 50.

[20] Stanley Karnow, *Vietnam: A History*, Century, London 1983, s. 178.

[21] UKNA: FO371/103518, 23.8.1953.

[22] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*..., s. 114.

[23] AI: Vu Anh Tram, 16.10.2016.

[24] Tamże, 8.10, 2016.

[25] AI: Binh, 5.10.2016.

[26] David W.P. Elliott, *The Vietnamese War: Revolution and Social Change in the Mekong Delta 1930–1975*, M.E. Sharpe, Armonk NY 2003, t. 1, s. 123.

[27] N. Lewis, *A Dragon Apparent*..., s. 309.

[28] Martin Windrow, *The Last Valley*, Weidenfeld & Nicolson, London 2004, s. 161.

[29] D.W.P. Elliott, *The Vietnamese War*..., t. 1, s. 92.

[30] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*..., s. 94.

[31] AI: Binh, 5.10.2016.

[32] D.W.P. Elliott, *The Vietnamese War*..., t. 1, s. 144.

[33] Le Thi Anh w: Al Santoli, *To Bear Any Burden: The Vietnamese War and its Aft ermath*, Sphere Books, London 1986, s. 35.

[34] MP: wywiad z Van Ky.

[35] Tamże.

[36] James W. Trullinger, *Village at War: An Account of Revolution in Vietnam*, Longman, New York 1980, s. 43.

[37] Nguyen Duc Huy, *A Soldier's Life* (współpraca: Nguyen Thong Nhat), People's Army Publishing House, Hanoi 2011, s. 35.

[38] MP: wywiad z cyklu Oral History, 2007.

[39] Nguyen Cao Ky, *Buddha's Child: My Fight to Save Vietnam*, St Martin's Press, New York 2002, s. 19.

3. Wyimaginowana forteca

[1] Pierre Rocolle, *Pourquoi Dien Bien Phu?*, Flammarion, Paris 1968, s. 57, 13.11.1953.

[2] Tamże, s. 47.

[3] Tamże, s. 251.

[4] Tamże, s. 329.

[5] Tamże, s. 327.

[6] Tamże, s. 70.

[7] Tamże, s. 335.

[8] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 63.

[9] P. Rocolle, *Pourquoi Dien Bien Phu?*, s. 275.

[10] Tamże, s. 352.

[11] Tamże, s. 371, list z 21.3.1954.

[12] Tamże, s. 411.

[13] Tamże, s. 307.

[14] Tamże, s. 37.

[15] Tamże, s. 407.

[16] Vo Nguyen Giap, *Collected Writings*, Cultural Publishing House, Saigon 2009, s. 132.

[17] P. Rocolle, *Pourquoi Dien Bien Phu?*, s. 324.

[18] Bernard Fall, *Hell is a Very Small Place*, Lippincott, Philadelphia 1966, s. 162.

[19] P. Rocolle, *Pourquoi Dien Bien Phu?*, s. 390.

[20] Tamże, s. 404.

[21] Tamże, s. 296, cytat za Bigeardem.

[22] Tamże, s. 372.

[23] Vo Nguyen Giap, *Collected Writings...*, s. 130.

4. Krwawe ślady

[1] „US News and World Report", 9.4.1954.

[2] Fredrik Logevall, *The Embers of War*, Random House, New York 2012, s. 475.

[3] Tamże, s. 479.

[4] Pierre Rocolle, *Pourquoi Dien Bien Phu?*, Flammarion, Paris 1968, s. 480.

[5] „Spectator", 30.4.1954.

[6] UKNA: FO371/112057.

[7] James Cable, *The Geneva Conference of 1954*, Macmillan, London 1986, s. 65.

[8] F. Logevall, *The Embers of War...*, s. 508.

[9] Bernard Fall, *Street Without Joy The French Debacle in Indochina*, Stackpole, Mechanicsburg PA 1967, s. 260.

[10] P. Rocolle, *Pourquoi Dien Bien Phu?*, s. 489.

[11] Tamże, s. 513.

[12] Jean Pouget, *Nous Etions à Dien Bien Phu*, Presses de la Cité, Paris 1964, s. 329–330.

[13] P. Rocolle, *Pourquoi Dien Bien Phu?*, s. 538, za majorem Grauwin.

[14] J. Pouget, *Nous Etions à Dien Bien Phu*, s. 328.

[15] MP: wywiad z Van Ky.

[16] MP: wywiad z Tran Trong Trungiem, 2007.

[17] Martin Windrow, *The Last Valley*, Weidenfeld & Nicolson, London 2004, s. 644.

[18] P. Rocolle, *Pourquoi Dien Bien Phu?*, s. 568.

[19] AI: Ramsey, 22.9.2016.

[20] „New York Herald Tribune", 29.4.1954.

[21] F. Logevall, *The Embers of War...*, s. 597.

[22] Phuong Hai Doan, *The Sea on the Horizon*, Dong Van Publishing, San Jose CA 2000, s. 37.

[23] Howard R. Simpson, *Tiger in the Barbed Wire*, Kodansha International, New York 1992, s. 136.

[24] Tamże, s. 139.

[25] Tamże, s. 142.

[26] Norman Lewis, *A Dragon Apparent*, Jonathan Cape, London 1951, s. 316.

[27] James W. Trullinger, *Village at War: An Account of Revolution in Vietnam*, Longman, New York 1980, s. 72.

5. Bliźniacze tyranie

[1] AI: Duong, 10.11.2016.

[2] AI: Kieu Chinh, 17.9.2016.

[3] AI: Dinh, 9.7.2016.

[4] Bernard Fall, *Street Without Joy The French Debacle in Indochina*, Stackpole, Mechanicsburg PA 1967, s. 278.

[5] Pierre Asselin, *Hanoi's Road to the Vietnam War 1954–1965*, University of California Press, Berkeley–Los Angeles–London 2013, s. 24.

[6] Tamże, s. 26.

[7] Duong Van Mai Elliott, *The Sacred Willow: Four Generations in the Life of a Vietnamese Family*, Oxford University Press, Oxford 1999, s. 354.

[8] Vo Nguyen Giap, *Collected Writings*, Cultural Publishing House, Saigon 2009, s. 107.

[9] Duong Van Mai Elliott, *The Sacred Willow*..., s. 231.

[10] Phuong Hai Doan, *The Sea on the Horizon*, Dong Van Publishing, San Jose CA 2000, s. 38.

[11] MP: wywiad z Toan.

[12] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*, Vintage Books, London 1986, s. 299.

[13] Nguyen Hung Linh, Hoang Mac, *Anti-Reactionary Forces: Chronology of Events (1954–1975). Internal Distribution Only*, Public Security Publishing House, Hanoi 1997, s. 54.

[14] Tamże, s. 105.

[15] AI: Kieu Chinh, 16.9.2016.

[16] Al Santoli, *To Bear Any Burden: The Vietnamese War and its Aft ermath*, Sphere Books, London 1986, s. 40.

[17] Tran Quynh, *Memories of Le Duan*, https://bit.ly/3hSAlqv.

[18] P. Asselin, *Hanoi's Road to the Vietnam War...*, s. 46.

[19] Muoi Thap w: David W.P. Elliott, *The Vietnamese War: Revolution and Social Change in the Mekong Delta 1930–1975*, M.E. Sharpe, Armonk NY 2003, t. 1, s. 169.

[20] Xuan Ba, cykl artykułów i wywiadów z drugą żoną Le Duana na łamach gazety „Tien Phong", od 25.6.2006 przez kolejne tygodnie.

[21] AI: Nguyen Quoc Si, 21.5.2016.

[22] Nguyen Duc Cuong, ur. 1941, cytat za: Maxwell Taylor, *Swords and Plowshares*, Norton, New York 1972, s. 93.

[23] Le Ly Hayslip, Jay Wurts, *When Heaven and Earth Changed Places*, Doubleday, New York 1989, s. 146.

[24] AI: Scotton, 11.9.2016.

[25] Tamże.

[26] UKNA: FO371/123388.

[27] „Life", 16.5.1955.

[28] Frances FitzGerald, *Fire in the Lake*, Vintage Books, New York 1972, s. 139.

[29] Fredrik Logevall, *The Embers of War*, Random House, New York 2012, s. 647.

[30] Graham Greene, *Spokojny Amerykanin*, tłum. Jacek Woźniakowski, Muza, Warszawa 2004, s. 13.

[31] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir...*, s. 1, 3, 4.

[32] AI: Kieu Chinh, 14.9.2016.

[33] D.W.P. Elliott, *The Vietnamese War*..., t. 1, s. 167.

[34] „New York Times", 7.5.1957, „Boston Globe", 6.5.1957.

[35] „Life", 13.5.1957.

[36] Marguerite Higgins, *Our Vietnam Nightmare*, Harper & Row, New York 1971, s. 168.

[37] *Vietnam: A Television History*, PBS 1983, prog. 2.

[38] Duong Van Mai Elliott, *The Sacred Willow*..., s. 250.

[39] AI: Sheehan, 5.3.2016.

[40] James W. Trullinger, *Village at War: An Account of Revolution in Vietnam*, Longman, New York 1980, s. 76.

[41] F. Logevall, *The Embers of War*..., s. xix.

[42] Joseph Buttinger, *Vietnam: A Dragon Embattled*, Pall Mall Press, London 1967.

[43] A. Santoli, *To Bear Any Burden*..., s. 59.

[44] J.W. Trullinger, *Village at War*..., s. 79.

[45] Nguyen Duc Huy, *A Soldier's Life* (współpraca: Nguyen Thong Nhat), People's Army Publishing House, Hanoi 2011, s. 145.

[46] Tamże, s. 146.

[47] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*..., s. 127.

[48] Xuan Ba, cykl artykułów i wywiadów z Nguyen Thuy Nga.

[49] P. Asselin, *Hanoi's Road to the Vietnam War*..., s. 56.

[50] MP: wywiad z Tran Trong Trungiem.

[51] P. Asselin, *Hanoi's Road to the Vietnam War*..., s. 83.

[52] BNA Vietnam Annual Report 1959, s. 13.

[53] P. Asselin, *Hanoi's Road to the Vietnam War*..., s. 83.

[54] F. FitzGerald, *Fire in the Lake*..., s. 153.

[55] D.W.P. Elliott, *The Vietnamese War*..., t. 1, s. 227.

[56] Tamże, s. 255.

[57] Tamże, s. 306.

[58] Tamże, s. 250.

[59] P. Asselin, *Hanoi's Road to the Vietnam War*..., s. 70.

[60] D.W.P. Elliott, *The Vietnamese War*..., t. 1, s. 217.

[61] 23.12.1960, House Committee on Armed Services hearings on Vietnam [Przesłuchania przed Komitetem Wojskowym Izby Reprezentantów w sprawie Wietnamu], s. 1353–1355.

[62] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*..., s. 71.

6. Nastaje czas JFK

[1] Arthur M. Schlesinger, *Journals 1952–2000*, Penguin, New York 2007, s. 150, 31.3.1962.

[2] Joshua Kurlantzick, *A Great Place to Have a War*, Simon & Schuster, New York 2017, s. 15

[3] Tran Quynh, *Memories of Le Duan*, https://bit.ly/3hSAlqv.

[4] UKNA: FO371/159715.

[5] AI: Eiland, 14.11.2016.

[6] David Halberstam, *The Best and the Brightest*, Random House, New York 1972, s. 135.

[7] Notatka, Lansdale do Taylora, 23.10.1961, [w:] *Foreign Relations of the United States, 1961–1963*, t. I, United States Government Printing Office, Washington 1988, dok. 185, s. 418–419.

[8] Duong Van Mai Elliott, *RAND in South-East Asia: A History of the Vietnam War Era*, RAND, Santa Monica CA 2010, s. 31.

[9] Howard R. Simpson, *Tiger in the Barbed Wire*, Kodansha International, New York 1992, s. 193.

[10] Duong Van Mai Elliott, *The Sacred Willow: Four Generations in the Life of a Vietnamese Family*, Oxford University Press, Oxford 1999, s. 286.

[11] AI: David Elliott, 23.9.2016.

[12] AI: Scotton, 11.9.2016.

[13] Tamże.

[14] AI: Ramsey, 22.9.2016.

[15] AI: Destatte, 12.9.2016.

[16] Frank Scotton, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014, s. 53

[17] Michael Charlton, Anthony Moncrieff (red.), *Many Reasons Why: The American Involvement in Vietnam*, Scolar, London 1978, s. 76.

[18] AI: Gray, 14.11.2016.

[19] F. Scotton, *Uphill Battle*..., s. 48.

[20] Tamże, s. 61.

[21] Gregory Daddis, *Westmoreland's War: Reassessing American Strategy in Vietnam*, Oxford University Press, New York 2014, s. 14.

[22] Al Santoli, *To Bear Any Burden: The Vietnamese War and its Aftermath*, Sphere Books, London 1986, s. 118.

[23] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 154.

[24] Tamże, s. 99.

[25] Arthur M. Schlesinger, *Robert Kennedy and His Times*, Houghton Mifflin, Boston 1978, s. 469.

[26] Hilsman, wywiad z 1969 roku, cytat za: G. Daddis *Westmoreland's War*..., s. 23.

[27] William Colby, *Lost Victory: A Firsthand Account of America's Sixteen-Year Involvement in Vietnam*, McGraw-Hill/Contemporary, Chicago 1989, s. 34.

[28] Anatoly Dobrynin, *In Confidence: Moscow's Ambassador to America's Six Cold War Presidents*, Times Books, New York 1995, s. 51.

[29] M. Charlton, A. Moncrieff (red.), *Many Reasons Why*..., s. 82.

[30] D. Halberstam, *The Best and the Brightest*..., s. 41.

[31] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*..., s. 235, na temat wizyty McNamary z września 1963 roku.

[32] Michael Howard, *Captain Professor*, Continuum, New York 2006, s. 172–173; wizyta odbyła się w 1960 roku.

[33] Duong Van Mai Elliott, *RAND in South-East Asia*..., s. 25.

[34] UKNA: FO371/170133, protokół wewnętrzny z 7.4.1963.

[35] Robert Thompson, *Make for the Hills*, Pen & Sword – Leo Cooper, London 1989, s. 121; Rahman odbył tę rozmowę w 1961 roku.

[36] UKNA: FO371/166698, 3.1.1962.

[37] Denis Warner w „Sydney Morning Herald", 12.5.1962.

[38] Deborah Shapley, *Promise and Power: The Life and Times of Robert McNamara*, Little, Brown & Co, Boston 1993, s. 132.

[39] Tamże, s. 132.

[40] Neil Sheehan, *A Bright Shining Lie: John Paul Vann and America in Vietnam*, Random House, New York 1988, s. 291.

[41] „Saturday Evening Post", 9.3.1963.

[42] „New York Times", 22.4.1966.

[43] AI: Sullivan, 12.3.2016.

[44] F. Scotton, *Uphill Battle*..., s. 19.

[45] AI: Nguu, 20.9.2016.

[46] AI: Mai Elliott, 23.9.2016.

[47] Dinh Duc Thien w: Tran Quynh, *Memories of Le Duan*...

[48] Tamże.

[49] Pierre Asselin, *Hanoi's Road to the Vietnam War 1954–1965*, University of California Press, Berkeley–Los Angeles–London 2013, s. 94.

[50] Muoi Thap w: David W.P. Elliott, *The Vietnamese War: Revolution and Social Change in the Mekong Delta 1930–1975*, M.E. Sharpe, Armonk NY 2003, t. 1, s. 601.

[51] William Andrews, *Village War: Vietnamese Communist revolutionary activities in Dinh Tuong province*, University of Missouri Press, Columbia MO 1973, s. 57–58.

[52] D.W.P. Elliott, *The Vietnamese War*..., t. 1, s. 377.

[53] Tamże, s. 381.

[54] F. Scotton, *Uphill Battle*..., s. 85.

[55] Malcolm Browne, *The New Face of War*, Bobbs-Merrill, Indianapolis–New York 1965, s. 103.

[56] Doug Ramsey, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi, II C19.

7. 1963: Trumny dla dwóch prezydentów

[1] AI: Sheehan, 5.3.2016.

[2] USAHEC: seria *The US Army in Vietnam*: William M. Hammond, *Public Affairs: The Military and the Media 1962–1968*, Center of Military History United States Army, Washington DC 1990, s. 77; „Indianapolis News", 28.3.1964.

[3] W.M. Hammond, *Public Affairs...*, s. 15.

[4] „New York Times", 21.10.1962.

[5] „New York Times", 25.7.1962.

[6] „Newsweek", 20.8.1962.

[7] David W.P. Elliott, *The Vietnamese War: Revolution and Social Change in the Mekong Delta 1930–1975*, M.E. Sharpe, Armonk NY 2003, t. 1, s. 399.

[8] Tamże, s. 402.

[9] Nguyen Van Go w: Robert K. Brigham, *ARVN: Life and Death in the South Vietnamese Army*, University Press of Kansas, Lawrence 2006, s. 41.

[10] D.W.P. Elliott, *The Vietnamese War...*, t. 1, s. 392.

[11] Neil Sheehan, *A Bright Shining Lie: John Paul Vann and America in Vietnam*, Random House, New York 1988, s. 223.

[12] Ha Mai Viet, *Blood and Steel: Armor During the Vietnam War*, nakładem autora, Sugarland TX 2005, s. 246–250.

[13] N. Sheehan, *A Bright Shining Lie...*, s. 222.

[14] Tamże, s. 274.

[15] Frances FitzGerald, *Fire in the Lake*, Vintage Books, New York 1972, s. 163.

[16] Tamże, s. 164.

[17] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 221.

[18] Ha Mai Viet, *Blood and Steel*..., s. 246–250.

[19] Norman Wyndham, *Through Vietnamese Eyes*, prywatne memorandum, rękopis, 1968 (w posiadaniu Lorda Egremont), s. 12.

[20] F. FitzGerald, *Fire in the Lake*..., s. 590.

[21] Michael Burleigh, *Small Wars, Faraway Places: The Genesis of the Modern World*, Macmillan, New York–London 2013, s. 485.

[22] AI: Scotton, 18.9.2016.

[23] Marguerite Higgins, *Our Vietnam Nightmare*, Harper & Row, New York 1971, s. 28–29.

[24] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*..., s. 237.

[25] „New York Times", 10.6.1963, i późniejsze numery: 14.6.1963, 16.6.1963, 22.6.1963.

[26] „Nieman Reports" 26 (March 1972), s. 8.

[27] Arthur M. Schlesinger, *Journals 1952–2000*, Penguin, New York 2007, s. 138, 11.10.1961.

[28] *Pentagon Papers Gravel Edition*, Beacon Press, Boston 1971, t. 2, s. 246.

[29] D.W.P. Elliott, *The Vietnamese War*..., t. 1, s. 410.

[30] Frank Scotton, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014, s. 71.

[31] Seymour Hersh, *The Dark Side of Camelot*, Little, Brown & Co, Boston 1997, s. 418.

[32] Fredrik Logevall, *Choosing War*, University of California Press, London 1999, s. 47.

[33] „New York Herald Tribune", 3.9.1963.

[34] F. Logevall, *Choosing War...*, s. 49.

[35] William Colby, *Lost Victory: A Firsthand Account of America's Sixteen-Year Involvement in Vietnam*, McGraw-Hill/Contemporary, Chicago 1989, s. 133.

[36] AI: Scotton, 11.9.2016.

[37] Michael Charlton, Anthony Moncrieff (red.), *Many Reasons Why: The American Involvement in Vietnam*, Scolar, London 1978, s. 91.

[38] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars...*, s. 188.

[39] Hoang Van Thai, *A Few Strategic Issues in the Spring 1968 Tet Offensive*, „Military History" 1988, nr 2, s. 21.

[40] AI: Sheehan, 5.3.2016.

[41] AI: Uc, 11.9.2016.

[42] AI: Nguyen Tri, 16.9.2016.

[43] AI: Scotton, 11.9.2016.

[44] F. Scotton, *Uphill Battle...*, s. 75.

[45] AI: Elliott, 23.9.2016.

[46] N. Wyndham, *Through Vietnamese Eyes...*, s. 8.

[47] Howard Jones, *Death of a Generation*, Oxford University Press, New York 2003, s. 436.

[48] „The Times", 23.11.1963.

[49] A.M. Schlesinger, *Journals...*, 11.3.1964.

[50] Deborah Shapley, *Promise and Power: The Life and Times of Robert McNamara*, Little, Brown & Co, Boston 1993, s. 263.

[51] Wypowiedź Galbraitha w programie telewizji NBC *Vietnam Hindsight*, 1971, cytat za: Larry Berman, *Planning a Tragedy: The Americanization of the War in Vietnam*, Norton, New York 1982, s. 23.

[52] Rufus Phillips, cytat za: Al Santoli, *To Bear Any Burden: The Vietnamese War and its Aftermath*, Sphere Books, London 1986, s. 3.

[53] AI: Johnson, 8.3.2016.

8. Labirynt

[1] AI: Snider, 9.3.2016.

[2] AI: Scotton, 18.9.2016.

[3] Erik Jurgen-Karl Dietrich, *The Kraut: On Being German After 1940*, CreateSpace Independent Publishing Platform, [Middleton DE] 2015, s. 127.

[4] Doug Ramsey, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi, II D9.

[5] Tamże, III A21.

[6] AI: Ramsey, 21.9.2016.

[7] D. Ramsey, niepublikowany rekopis..., III E4.

[8] Tamże, III A23.

[9] Frank Snepp, *Irreparable Harm*, Random House, New York 1999, s. xiv.

[10] AI: Snepp, 10.9.2016.

[11] Howard R. Simpson, *Tiger in the Barbed Wire*, Kodansha International, New York 1992, s. 187.

[12] USAHEC: Sidney Berry Papers, Box 39, list z 14.11.1965.

[13] Tamże, list z 15.11.1965.

[14] AI: Scotton, 18.9.2016.

[15] AI: Uc, 11.9.2016.

[16] Phan Nhat Nam, *Dau ninh lua 1963–73: But ky chien Hien Dai* [*Piętno wojownika*], Hien Dai Publishers, Saigon 1973, s. 41.

[17] Tamże, s. 44.

[18] USAHEC: Sidney Berry Papers, Box 38.

[19] Gavin Young, *A Wavering Grace*, Viking, London 1997, s. 193.

[20] Al Santoli, *To Bear Any Burden: The Vietnamese War and its Aftermath*, Sphere Books, London 1986, s. 125.

[21] Nguyen Cao Ky, *Buddha's Child: My Fight to Save Vietnam*, St Martin's Press, New York 2002, s. 334.

[22] Nguyen Duc Huy, *A Soldier's Life* (współpraca: Nguyen Thong Nhat), People's Army Publishing House, Hanoi 2011, s. 147.

[23] David W.P. Elliott, *The Vietnamese War: Revolution and Social Change in the Mekong Delta 1930–1975*, M.E. Sharpe, Armonk NY 2003, t. 2, s. 677.

[24] Tamże, s. 656.

[25] Tamże, s. 830.

[26] Tamże, s. 745 – wydarzyło się to w styczniu 1965 roku.

[27] Tamże, s. 754.

[28] Doris Kearns, *Johnson and the American Dream*, Harper & Row, New York 1976, s. 263.

[29] Arthur M. Schlesinger, *Journals 1952–2000*, Penguin, New York 2007, s. 286, 4.4.1968.

[30] Fredrik Logevall, *Choosing War*, University of California Press, London 1999, s. 77.

[31] Stanley Karnow, *Vietnam: A History*, Century, London 1983, s. 336–337.

[32] UKNA: FO371/175468.

[33] Maxwell Taylor, *Swords and Plowshares*, Norton, New York 1972, s. 12.

[34] Phuong Hai Doan, *The Sea on the Horizon*, Dong Van Publishing, San Jose CA 2000, s. 58 i 61.

[35] Bruce Palmer, *The Twenty-Five-Year War: America's Military Role in Vietnam*, Simon & Schuster [A Touchstone Book], New York 1984, s. 20.

[36] Tamże, s. 27.

[37] Wallace Greene, *The Greene Papers: General Wallace M. Greene Jr and the Escalation of the Vietnam War*, red. Nicholas Schlosser, USMC, Quantico 2015, s. 12.

[38] Tamże, s. 15.

[39] AI: Ramsey, 22.9.2016.

[40] H.R. McMaster, *Dereliction of Duty: Lyndon Johnson, Robert McNamara, the Joint Chiefs of Staff and the Lies that Led to Vietnam*, HarperCollins, New York 1997, s. 94.

[41] Deborah Shapley, *Promise and Power: The Life and Times of Robert McNamara*, Little, Brown & Co, Boston 1993, s. 199.

[42] F. Logevall, *Choosing War...*, s. 112.

[43] Tamże, s. 166, opinia z czerwca 1964 roku.

[44] David Halberstam, *The Best and the Brightest*, Random House, New York 1972, s. 368.

[45] Notatka z 25.3.1965 w: George C. Herring (red.), *The Pentagon Papers*, McGraw-Hill, New York 1993, s. 115.

[46] Henry G. Gole, *General William DePuy: Preparing the Army for Modern War*, University Press of Kentucky, Lexington KY 2004, s. 145.

[47] A. Santoli, *To Bear Any Burden...*, s. 87.

[48] Tamże, s. 86.

[49] W. Greene, *The Greene Papers*..., s. 27.

[50] Anatoly Dobrynin, *In Confidence: Moscow's Ambassador to America's Six Cold War Presidents*, Times Books, New York 1995, s. 120.

[51] Michael Charlton, Anthony Moncrieff (red.), *Many Reasons Why: The American Involvement in Vietnam*, Scolar, London 1978, s. 175.

[52] W. Greene, *The Greene Papers*..., s. 59.

[53] H.G. Gole, *General William DePuy*..., s. 145.

[54] Theodore White, *The Making of the President 1964*, Athenaeum, New York 1965, s. 254.

[55] M. Charlton, A. Moncrieff (red.), *Many Reasons Why*..., s. 135.

[56] Dr Williamson Murray do autora.

[57] USMCA: Chaisson Letters, JA/A/5/6.

[58] M. Charlton, A. Moncrieff (red.), *Many Reasons Why*..., s. 134.

[59] H.R. Simpson, *Tiger in the Barbed Wire*..., s. 186.

[60] Frank Scotton, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014, s. 181.

[61] M. Charlton, A. Moncrieff (red.), *Many Reasons Why*..., s. 102.

[62] H.G. Gole, *General William DePuy*..., s. 146.

[63] *Foreign Relations of the United States, 1964–1968*, t. 1, United States Government Printing Office, Washington 1992, s. 412–422.

[64] H.G. Gole, *General William DePuy*..., s. 55.

[65] Tamże, s. 146.

[66] W. Greene, *The Greene Papers*..., s. 157.

9. Wprost w otchłań zatoki

[1] Sedgwick Tourison, *Secret Army, Secret War*, US Naval Institute Press, Annapolis MD 1995, s. 55.

[2] Tamże, s. 100.

[3] Tamże, s. 125.

[4] AI: Nguyen Tri, 16.9.2016.

[5] Tamże.

[6] Robert Hanyok, *Skunks, Bogies, Silent Hounds, and the Flying Fish: The Gulf of Tonkin Mystery 2–4 August 1964*, „Cryptologic Quarterly" 19 (2000), nr 4/20 (2001), nr 1, https://bit.ly/3hKrmI5, s. 5–6.

[7] Hoang Nghia Khanh, *The Road to the General Headquarters Staff*, People's Army Publishing Hanoi 2008, s. 111.

[8] AI: Williams, 21.1.2016.

[9] Hoang Nghia Khanh, *The Road to the General Headquarters Staff*, s. 111.

[10] USAHEC: Vietnam War Document Collection, Box 2, Folder 7.

[11] Pierre Asselin, *Hanoi's Road to the Vietnam War 1954–1965*, University of California Press, Berkeley–Los Angeles–London 2013, s. 191.

[12] Michael Charlton, Anthony Moncrieff (red.), *Many Reasons Why: The American Involvement in Vietnam*, Scolar, London 1978, s. 163.

[13] UKNA: FO371/175481.

[14] Nguyen Dinh Kien, *Nguoi linh voi bau troi Ha Noi* [*Żołnierz i niebo nad Hanoi*], People's Army Publishing House, Hanoi 2013, s. 36.

[15] Van Tien Dung w: Nguyen Duc Huy, *A Soldier's Life* (współpraca: Nguyen Thong Nhat), People's Army Publishing House, Hanoi 2011, s. 149.

[16] Tin Thanh, *Their True Colors: The Political Memoirs of Bui Tin*, Turpin Press, Garden Grove CA 1994, s. 192.

[17] Odd Arne Westad, Chen Jian, Stein Tønnesson, Nguyen Vu Tung and James G. Hershberg (red.), *77 Conversations between Chinese and Foreign Leaders on the Wars in Indochina 1964–1977*, Wilson Centre Working Paper 22, Washington, https://bit.ly/3onqvj4, s. 74–77.

[18] Theodore White, *The Making of the President 1964*, Athenaeum, New York 1965, s. 274.

[19] Gavin Young, *A Wavering Grace*, Viking, London 1997, s. 20.

[20] Phan Nhat Nam, *Mark of a Warrior 1963–1973: War Notes*, Hien Dai Publishing, Saigon 1973, s. 49.

[21] Tamże, s. 50.

[22] Tamże, s. 52.

[23] Doug Ramsey, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi, I s. 17.

[24] Wallace Greene, *The Greene Papers: General Wallace M. Greene Jr and the Escalation of the Vietnam War*, red. Nicholas Schlosser, USMC, Quantico 2015, s. 197.

[25] Tamże, 5.10.1964.

[26] Tamże, s. 222.

[27] Frank Scotton, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014, s. 129.

[28] Deborah Shapley, *Promise and Power: The Life and Times of Robert McNamara*, Little, Brown & Co, Boston 1993, s. 313.

[29] David Halberstam, *The Best and the Brightest*, Random House, New York 1972, s. 432.

[30] 21.12.1964, szef sztabu sił powietrznych w: W. Greene, *The Greene Papers...*, s. 278.

[31] Tamże, s. 289.

[32] Tamże, s. 286.

[33] UKNA: PREM13/104.

[34] Fredrik Logevall, *Choosing War*, University of California Press, London 1999, s. 373.

[35] Tamże, s. 133.

[36] Nguyen Cao Ky, *Buddha's Child: My Fight to Save Vietnam*, St Martin's Press, New York 2002, s. 112.

[37] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 260.

[38] Phan Nhat Nam, *Mark of a Warrior...*, s. 53.

[39] Tamże, s. 54.

10. „Nie bardzo wiemy, co mamy dalej robić"

[1] Nguyen Huu An, *New Battlefield* (opowiedziane Nguyenowi Tu Duongowi), People's Army Publishing House, Hanoi 2002, s. 28.

[2] Pełna relacja tamże, rozdz. 1.

[3] Pham Gia Duc, *The 325th Division*, People's Army Publishing House, Hanoi 1986, t. 2, s. 44.

[4] AI: Ninh, 7.10.2016.

[5] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 253.

[6] Tamże, s. 259.

[7] Le Ly Hayslip, Jay Wurts, *When Heaven and Earth Changed Places*, Doubleday, New York 1989, s. 366.

[8] David W.P. Elliott, *The Vietnamese War: Revolution and Social Change in the Mekong Delta 1930–1975*, M.E. Sharpe, Armonk NY 2003, t. 1, s. 591.

[9] AI: Elliott, 23.9.2016.

[10] Le Ly Hayslip, Jay Wurts, *When Heaven and Earth Changed Places*..., s. 115.

[11] D.W.P. Elliott, *The Vietnamese War*..., t. 2, s. 908.

[12] Duong Van Mai Elliott, *RAND in South-East Asia: A History of the Vietnam War Era*, RAND, Santa Monica CA 2010, s. 58.

[13] Tamże, s. 63.

[14] Tamże, s. 65.

[15] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*, Vintage Books, London 1986, s. 59.

[16] Henry G. Gole, *General William DePuy: Preparing the Army for Modern War*, University Press of Kentucky, Lexington KY 2004, s. 143, list z 18.1.1965.

[17] Wallace Greene, *The Greene Papers: General Wallace M. Greene Jr and the Escalation of the Vietnam War*, red. Nicholas Schlosser, USMC, Quantico 2015, s. 349, 3.3.1965.

[18] „New York Times", 9.2.1965.

[19] Deborah Shapley, *Promise and Power: The Life and Times of Robert McNamara*, Little, Brown & Co, Boston 1993, s. 314.

[20] UKNA: FO371/180542.

[21] H.R. McMaster, *Dereliction of Duty: Lyndon Johnson, Robert McNamara, the Joint Chiefs of Staff and the Lies that Led to Vietnam*, HarperCollins, New York 1997, s. 323.

[22] Bundy w prywatnym liście do Sir Michaela Howarda z 20.3.1979.

[23] Michael Charlton, Anthony Moncrieff (red.), *Many Reasons Why: The American Involvement in Vietnam*, Scolar, London 1978, s. 121.

[24] UKNA: PREM11/692.

[25] Maxwell Taylor, *Swords and Plowshares*, Norton, New York 1972, s. 338.

[26] Wallace Greene, *The Greene Papers*..., s. 314.

[27] AI: Koltes, 11.10.2016.

[28] Philip Caputo, *A Rumor of War*, Holt, Rinehart & Winston, New York 1977, s. 58.

[29] Tamże, s. 82 i 27.

[30] USMHA, Sidney Berry Papers, Box 38, operacja z 24.9.1965.

[31] M. Charlton, A. Moncrieff (red.), *Many Reasons Why*..., s. 130.

[32] Duong Van Mai Elliott, *The Sacred Willow: Four Generations in the Life of a Vietnamese Family*, Oxford University Press, Oxford 1999, s. 312.

[33] Frank Scotton, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014, s. 145.

[34] Nguyen Van Thanh w: Robert K. Brigham, *ARVN: Life and Death in the South Vietnamese Army*, University Press of Kansas, Lawrence 2006, s. 43.

[35] Bruce Palmer, *The Twenty-Five-Year War: America's Military Role in Vietnam*, Simon & Schuster [A Touchstone Book], New York 1984, s. 26.

[36] Doug Ramsey, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi, III B1.

[37] Doug Ramsey, list z 6.6.1965.

[38] Phuong Hai Doan, *The Sea on the Horizon*, Dong Van Publishing, San Jose CA 2000, s. 174.

[39] Tamże, s. 177.

[40] Tamże, s. 186.

[41] Tamże, s. 197.

[42] 3.7.1965, Memo Johnson Library, cytat za: Ilya V. Gaiduk, *The Soviet Union and the Vietnam War*, Ivan R. Dee, Chicago 1996, s. 50.

[43] Gareth Porter (red.), *Vietnam: The Definitive Documentation of Human Decisions*, przedm. Stuart Loory, Heyden, London 1979, s. 374.

[44] Katzenbach, notatka z 10.6.65, tamże, s. 375.

[45] Mark Clodfelter, *The Limits of Air Power*, Free Press, New York 1989, s. 77.

[46] Tamże, s. 84.

11. Eskalacja

[1] Chester Cooper, *The Lost Crusade: America in Vietnam*, Dodd, Mead, New York 1970, s. 281.

[2] Notatka do L.B. Johnsona, 20.7.1965, w: Gareth Porter (red.), *Vietnam: The Definitive Documentation of Human Decisions*, przedm. Stuart Loory, Heyden, London 1979, s. 386.

[3] Greene Memorandum, 28.6.1965, w: Wallace Greene, *The Greene Papers: General Wallace M. Greene Jr and the Escalation of the Vietnam War*, red. Nicholas Schlosser, USMC, Quantico 2015.

[4] Harold Johnson, Oral History Transcript, LBJ Library, s. 6, 12–13, cytat za: H.R. McMaster, *Dereliction of Duty: Lyndon Johnson, Robert McNamara, the Joint Chiefs of Staff and the Lies that Led to Vietnam*, HarperCollins, New York 1997, s. 318.

[5] Ball, 28.6.1965 w: G. Porter (red.), *Vietnam: The Definitive Documentation*...

[6] Memorandum z 23.7.1965 w: G. Porter (red.), *Vietnam: The Definitive Documentation*...

[7] Za: Larry Berman, *Planning a Tragedy: The Americanization of the War in Vietnam*, Norton, New York 1982, s. 5.

[8] Michael Charlton, Anthony Moncrieff (red.), *Many Reasons Why: The American Involvement in Vietnam*, Scolar, London 1978, s. 220.

[9] Christopher Thorne, *Allies of a Kind: United States, Britain and the War Against Japan, 1941–1945*, Hamish Hamilton, London 1978, s. 694.

[10] Jack Valenti, *A Very Human President*, Norton, New York 1975, s. 317.

[11] Michael Howard, *„Many Reasons" for Vietnam*, „Encounter" 1979, nr 52 (May), s. 21.

[12] David McDonald, *The Reminiscences of Admiral David Lamar McDonald*, US Naval Institute Press, Annapolis MD 1976, s. 390, 393.

[13] M. Charlton, A. Moncrieff, *Many Reasons Why*..., s. 115.

[14] Tamże, s. 154.

[15] H.R. McMaster, *Dereliction of Duty*..., s. 328.

[16] Bruce Palmer, *The Twenty-Five-Year War: America's Military Role in Vietnam*, Simon & Schuster [A Touchstone Book], New York 1984, s. 46.

[17] Za: M. Charlton, A. Moncrieff, *Many Reasons Why*..., s. 159.

[18] Tamże, s. 166.

[19] Doug Ramsey, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi, II B9.

[20] M. Charlton, A. Moncrieff, *Many Reasons Why*..., s. 174.

[21] G. Porter (red.), *Vietnam: The Definitive Documentation*..., s. 391.

[22] Tamże, s. 392.

[23] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*, Vintage Books, London 1986, s. 58.

[24] Wallace Terry, *Bloods: Black Veterans of the Vietnam War*, Presidio Press, New York 2006, s. 229.

[25] John M. Del Vecchio, *The 13th Valley*, Sphere, London 1983, s. 3.

[26] AI: Spencer, 12.3.2016.

[27] Tamże, 10.3.2016.

[28] Henry G. Gole, *Soldiering: Observations from Korea, Vietnam, and Safe Places*, Potomac Books, Dulles VA 2005, s. 141.

[29] USMCA: Finch MS Coll. 1527.

[30] W. Terry, *Bloods...*, s. 6.

[31] David W.P. Elliott, *The Vietnamese War: Revolution and Social Change in the Mekong Delta 1930–1975*, M.E. Sharpe, Armonk NY 2003, t. 2, s. 1005.

[32] AI: Kinne, 2.10.2016.

[33] Frank Snepp, *Irreparable Harm*, Random House, New York 1999, s. 21.

[34] Dang Vu Hiep, *Highland Memories*, People's Army Publishing House, Hanoi 2000, s. 86.

[35] USAHEC: Oral Histories Medical Personnel, Bystran.

[36] Philip Caputo, *A Rumor of War*, Holt, Rinehart & Winston, New York 1977, s. 107.

[37] Ball do L.B. Johnsona, 1.7.1965, w: G. Porter (red.), *Vietnam: The Definitive Documentation...*

[38] AI: Spencer, 11.3.2016.

[39] USMCA: A/30/B/5/2; dalej to samo źródło.

[40] Tran Quoc Tuan i in., *History of the General Staff During the Resistance War Against the Americans to Save the Nation 1954–1975*, People's Army Publishing House, Hanoi 2010, t. 3, s. 22.

[41] Ph. Caputo, *A Rumor of War...*, s. 32.

[42] AI: Boomer, 3.3.2016.

[43] D. Ramsey, niepublikowany rekopis..., III C2.

[44] Tamże, III C1.

[45] D.W.P. Elliott, *The Vietnamese War...*, t. 2, s. 873; tekst Higginsa w: „Star", 10.8.1965.

[46] Ph. Caputo, *A Rumor of War...*, s. 100.

[47] Tamże, s. 150.

[48] Gary D. Solis, *marines and Military Law in Vietnam: Trial by Fire*, History and Museums Division, Headquarters, US Marine Corps, Washington 1989, s. 33.

[49] AI: Elliott, 23.9.2016.

[50] Peter Edwards, *Australia and the Vietnam War*, NewSouth, Canberra 2014, s. 184.

[51] D. Ramsey, niepublikowany rekopis..., II B37.

[52] AI: Hoi, 14.9.2016.

[53] AI: Ly Van Quang, 15.9.2016.

[54] AI: Tran Hoi, 16.9.2016.

[55] AI: Uc, 11.9.2016.

[56] D.W.P. Elliott, *The Vietnamese War...*, t. 2, s. 786.

[57] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 291; wydarzyło się to we wrześniu 1965 roku.

[58] Tamże, s. 290.

[59] Nguyen Cao Ky, *Buddha's Child: My Fight to Save Vietnam*, St Martin's Press, New York 2002, s. 296.

[60] D. Ramsey, niepublikowany rekopis..., s. 32.

[61] AI: Hickman, 22.2.2016.

[62] D. Ramsey, niepublikowany rekopis..., s. 32.

[63] Dang Vu Hiep, *Highland Memories*..., s. 87.

[64] D.W.P. Elliott, *The Vietnamese War*..., t. 1, s. 641, atak z roku 1964.

[65] Nguyen Hung Linh, Hoang Mac, *Anti-Reactionary Forces: Chronology of Events (1954–1975). Internal Distribution Only*, Public Security Publishing House, Hanoi 1997, s. 228.

[66] Nekrolog Parka, "Guardian", 28.3.2010.

[67] Nguyen Hung Linh, Hoang Mac, *Anti-Reactionary Forces*..., s. 234, do zabójstwa doszło 7.1.1966.

[68] Malcolm Gladwell, wywiad w *Revisionist History*, podcast, czerwiec 2016.

[69] Duong Van Mai Elliott, *The Sacred Willow: Four Generations in the Life of a Vietnamese Family*, Oxford University Press, Oxford 1999, s. 324.

[70] Frank Scotton, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014, s. 156.

[71] Jeffrey J. Clarke, *Advice and Support: The Final Years*, Center of Military History United States Army, Washington D.C. 1988, s. 198–199.

[72] AI: Eiland, 14.11.2016.

[73] Nguyen Huu An, *New Battlefield* (opowiedziane Nguyenowi Tu Duongowi), People's Army Publishing House, Hanoi 2002, s. 30.

[74] Tamże, s. 37.

[75] Tamże, s. 40.

[76] AI: Sutton, 12.11.2016.

[77] USAHEC: Sidney Berry Papers, Box 38.

[78] USAHEC: Sidney Berry Letters, Box 40.

[79] Memorandum R. McNamary, 30.11.1965 w: G. Porter (red.), *Vietnam: The Definitive Documentation…*, s. 400–401.

[80] Deborah Shapley, *Promise and Power: The Life and Times of Robert McNamara*, Little, Brown & Co, Boston 1993, s. 361.

[81] Arthur M. Schlesinger, *Journals 1952–2000*, Penguin, New York 2007, s. 243, 21.1.1966.

[82] AI: Spencer, 16.3.2016.

[83] List z 2.1.1966, USAHEC: Sidney Berry Letters, Box 40.

12. „Próba schwytania dymu”

[1] Andrew Finlayson, *Rice Paddy Recon*, McFarland, Jefferson NC 2014, s. 127.

[2] USAHEC: Company Commanders' Oral Histories, Box 7, File 3, Hood.

[3] Wallace Terry, *Bloods: Black Veterans of the Vietnam War*, Presidio Press, New York 2006, s. 238.

[4] Tamże, s. 258.

[5] Tamże, s. 36.

[6] Richard West, *War and Peace in Vietnam*, Sinclair-Stevenson, London 1995, s. 51.

[7] AI: Shyab, 11.11.2016.

[8] AI: Rogers, 6.3.2016.

[9] AI: Kinne, 2.10.2016.

[10] Philip Caputo, *A Rumor of War*, Holt, Rinehart & Winston, New York 1977, s. 184–185.

[11] USAHEC: Sidney Berry Papers, Box 38.

[12] George Bonville, *You Ain't Nothing But a Swamp Rat*, Professional Press, Chapel Hill NC 2016, s. 139.

[13] Tamże, s. 98.

[14] Odbyła się 7.9.1965 – zob.: Tran Quoc Tuan i in., *History of the General Staff During the Resistance War Against the Americans to Save the Nation 1954–1975*, People's Army Publishing House, Hanoi 2010, t. 3, s. 24.

[15] Tamże, s. 65.

[16] Huynh Cong Than, *On the Long An Battlefi eld: A Memoir* (opowiedziane Nguyenowi Huu Nguyenowi), People's Army Publishing House, Hanoi 1994, s. 113.

[17] Ulysses S.G. Sharp, William C. Westmoreland, *Report on the War in Vietnam*, US Government Printing Office, Washington 1969, s. 113–114.

[18] USAHEC: Vietnam War Documents, Box 2, Folder 15.

[19] R. West, *War and Peace in Vietnam*..., s. 31.

[20] Doug Ramsey, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi, I B7–11.

[21] USMCA: Chaisson Letters, JA/A/5/6.

[22] Henry G. Gole, *General William DePuy: Preparing the Army for Modern War*, University Press of Kentucky, Lexington KY 2004, s. 173.

[23] Tamże, s. 195.

[24] G. Bonville, *You Ain't Nothing But a Swamp Rat*..., s. 153.

[25] Tamże, s. 167.

[26] AI: Sutton.

[27] AI: Eiland, 14.11.2016; dalej relacja według tego źródła.

[28] W. Terry, *Bloods*..., s. 23.

[29] AI: Nelson, 12.11.2016; dalsza opowieść według tego źródła.

[30] W. Terry, *Bloods*..., s. 8.

[31] Frank Scotton, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014, s. 73.

[32] G. Bonville, *You Ain't Nothing But a Swamp Rat*..., s. 384.

[33] AI: Nelson, 12.11.2016.

[34] G. Bonville, *You Ain't Nothing But a Swamp Rat*..., s. 175.

[35] W. Terry, *Bloods*..., s. 4.

[36] Gary D. Solis, *marines and Military Law in Vietnam: Trial by Fire*, History and Museums Division, Headquarters, US Marine Corps, Washington 1989, s. 53–54.

[37] W. Terry, *Bloods*..., s. 15.

[38] AI: Nelson, 12.11.2016.

[39] Tamże.

[40] AI: Sutton, 12.11.2016.

[41] Dotyczy kompanii marines 3/7. w okresie od 15 listopada 1968 do 15 stycznia 1969 roku. USMCA: Hardwick, MS A/30/J/5/1.

[42] W. Terry, *Bloods*..., s. 20.

[43] AI: Nelson, 12.11.2016.

[44] Lu Mong Lan w: Al Santoli, *To Bear Any Burden: The Vietnamese War and its Aftermath*, Sphere Books, London 1986, s. 155.

[45] AI: Hunt, 13.11.2016.

[46] AI: Nelson, 12.11.2016.

[47] Huynh Cong Than, *On the Long An Battlefield: A Memoir* (opowiedziane Nguyenowi Huu Nguyenowi), People's Army Publishing House, Hanoi 1994, s. 120.

[48] Tamże, s. 116.

[49] USAHEC: Company Commanders' Oral Histories, Box 6, Folder 1, Dan Campbell.

[50] AI: Harrison, 11.3.2016.

[51] Hickey w: *Vietnam: A Television History*, PBS 1983, prog. 2.

[52] „Washington Post", 18.1.1987.

[53] Al Santoli, *To Bear Any Burden*..., s. 128.

[54] USAHEC: Medical Personnel Oral Histories, Purcell Shirley; kolejne cytaty z tego samego źródła.

[55] Hoang Ngoc Lung, *Strategy and Tactics*, U.S. Army Center of Military History, Washington 1980, s. 114.

[56] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 205.

[57] Peter Edwards, *Australia and the Vietnam War*, NewSouth, Canberra 2014, s. 402.

[58] USAHEC: Company Commanders' Oral Histories, Fichtl Theodore.

13. Łapówki i olejek miętowy

[1] Duong Van Mai Elliott, *The Sacred Willow: Four Generations in the Life of a Vietnamese Family*, Oxford University Press, Oxford 1999, s. 314.

[2] Le Ly Hayslip, Jay Wurts, *When Heaven and Earth Changed Places*, Doubleday, New York 1989, s. xiii.

[3] Hoang Ngoa Lung, *The General Offensives of 1968–1969*, General Research Corporation, McLean VA 1978, s. 142.

[4] Vien w: Lewis Sorley (red.), *The Vietnam War: An Assessment by South Vietnam's Generals*, Texas Tech University Press, Lubbock 2010, s. 311.

[5] Większość przedstawionych tu informacji oparto na: Jonathan Marshall, *Dirty Wars: French and American Piaster Profiteering in Indochina 1945–75*, „Asia-Pacific Journal: Japan Focus" 12 (2014), 32, nr 2, a także na danych zgromadzonych przez autora.

[6] Nguyen Cao Ky, *Buddha's Child: My Fight to Save Vietnam*, St Martin's Press, New York 2002, s. 162.

[7] Generał Prugh w: William C. Westmoreland, George S. Prugh, *Judges In Command: The Judicialized Uniform Code of Military Justice in Combat*, „Harvard Journal of Law and Public Policy" 3 (1980), nr 1.

[8] Gary D. Solis, *marines and Military Law in Vietnam: Trial by Fire*, History and Museums Division, Headquarters, US Marine Corps, Washington 1989, s. 161.

[9] Hal Meinheit, rękopis przekazany autorowi.

[10] Nguyen Cao Ky, *Buddha's Child*..., s. 167.

[11] Uwe Siemon-Netto, *Duc: A Reporter's Love for the Wounded People of Vietnam*, CreateSpace Independent Publishing Platform, [Middleton DE] 2013, s. 121.

[12] Nguyen Cao Ky, *Buddha's Child*..., s. 249.

[13] USAHEC: Westmoreland history, Book 6, tabs G-4, B-2, B-1.

[14] Nguyen Cao Ky, *Buddha's Child*..., s. 212.

[15] „New York Times", 3.4.1966.

[16] Nguyen Duy Hinh w: L. Sorley (red.), *The Vietnam War...*, s. 741.

[17] AI: Sheehan, 5.3.2016.

[18] Duong Van Mai Elliott, *The Sacred Willow...*, s. 317.

[19] USAHEC: Wheeler Papers, Box 2.

[20] Nguyen Huu An, *New Battlefield* (opowiedziane Nguyenowi Tu Duongowi), People's Army Publishing House, Hanoi 2002, s. 55.

[21] AI: Sutton, 12.11.2016.

[22] AI: Elliott, 23.9.2016.

[23] Neil Sheehan, *A Bright Shining Lie: John Paul Vann and America in Vietnam*, Random House, New York 1988, s. 621.

[24] Duong Van Mai Elliott, *RAND in South-East Asia: A History of the Vietnam War Era*, RAND, Santa Monica CA 2010, s. 83, cytat z *South-East Asia Trip Report*, s. 18.

[25] Tamże, s. 88.

[26] Tamże, s. 103.

[27] Tamże, s. 133.

[28] Michael Howard, *Captain Professor*, Continuum, New York 2006, s. 173.

[29] Robert Thompson, *Make for the Hills*, Pen & Sword – Leo Cooper, London 1989, s. 15.

[30] Duong Van Mai Elliott, *RAND in South-East Asia...*, s. 180.

[31] „Life", 11.11.1966.

14. Operacja „Rolling Thunder"

[1] Curtis LeMay (współpraca: MacKinlay Kantor), *Mission with LeMay*, Doubleday, Garden City NY 1965, s. 565.

[2] Doug Ramsey, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi, IV A5.

[3] USAHEC: Oral Histories Transcripts, Weyand.

[4] Oral Histories, wywiad z Bundym cyt. za: Mark Clodfelter, *The Limits of Air Power*, Free Press, New York 1989, s. 63.

[5] John B. Nichols, Barrett Tillman, *On Yankee Station*, Bantam, New York 1988, s. 16.

[6] Cytat za: M. Clodfelter, *The Limits of Air Power*..., s. 121.

[7] Bruce Palmer, *The Twenty-Five-Year War: America's Military Role in Vietnam*, Simon & Schuster [A Touchstone Book], New York 1984, s. 37.

[8] Chester Cooper, *The Lost Crusade: America in Vietnam*, Dodd, Mead, New York 1970, s. 420.

[9] M. Clodfelter, *The Limits of Air Power*..., s. 128.

[10] Arthur M. Schlesinger, *Journals 1952–2000*, Penguin, New York 2007, s. 251, 28.7.1966.

[11] Peter Mersky, Norman Polmar, *The Naval Air War in Vietnam*, Nautical and Aviation Publication Co., Annapolis MD 1981, s. 121.

[12] Anatoly Dobrynin, *In Confidence: Moscow's Ambassador to America's Six Cold War Presidents*, Times Books, New York 1995, s. 141.

[13] Jack Broughton, *Thud Ridge*, Lippincott, Philadelphia 1969.

[14] Robert Thompson, *Make for the Hills*, Pen & Sword – Leo Cooper, London 1989, s. 86.

[15] Tamże, s. 93.

[16] J.B. Nichols, B. Tillman, *On Yankee Station*..., s. 35.

[17] Tamże, s. 48.

[18] Tamże, s. 52.

[19] Tamże, s. 110.

[20] Tamże, s. 111.

[21] J. Broughton, *Thud Ridge*..., s. 93.

[22] Wallace Terry, *Bloods: Black Veterans of the Vietnam War*, Presidio Press, New York 2006, s. 271.

[23] Tamże, s. 280.

[24] AI: McDaniel, 14.11.2016; kolejne cytaty według tego źródła.

[25] AI: Snepp, 10.9.2016.

[26] D. Ramsey, niepublikowany rękopis..., II B42.

[27] AI: Nolan, 12.3.2016.

[28] J. Broughton, *Thud Ridge*..., s. 65.

[29] Tamże, s. 67.

[30] J.B. Nichols, B. Tillman, *On Yankee Station*..., s. 64.

[31] Tamże, s. 119.

[32] B. Palmer, *The Twenty-Five-Year War*..., s. 33.

[33] 9 AF Manual, 2-6 i 3-2, cytat za: M. Clodfelter, *The Limits of Air Power*..., s. 243–244.

[34] „USA Today", 27.7.1986.

15. Ból się nasila

[1] Nguyen Duc Huy, *A Soldier's Life* (współpraca: Nguyen Thong Nhat), People's Army Publishing House, Hanoi 2011, s. 152.

[2] MP: wywiad z Van Ky.

[3] AI: Nguyen Van Hien, 5.10.2016.

[4] AI: Nguyen Thanh Binh, 14.10.2016.

[5] AI: Pham Thanh Hung, 8.10.2016.

[6] AI: Do Thi Thu, 7.10.2016.

[7] AI: Pham Thanh Hung, 8.10.2016.

[8] AI: Pham Dai, 17.9.2016.

[9] AI: Pham Thanh Hung, 8.10.2016.

[10] Jewgienij Pawłowicz Głazunow (red.), *Wojna wo Wjetnamie… Kak eto było (1965–1973)*, Ekzamien, Moskwa 2005.

[11] Nguyen Dinh Kien, *Nguoi linh voi bau troi Ha Noi* [*Żołnierz i niebo nad Hanoi*], People's Army Publishing House, Hanoi 2013, s. 15.

[12] Anatolij S. Zajcew, *Na Gromykowskich kowrach*, Mieżdunarodnaja Obszczestwiennaja Organizacyja Wietieranow Wojny wo Wjetnamie, Moskwa 2001.

[13] Kuin Hiong, pamiętnik.

[14] AI: Do Thi Thu, 7.10.2016.

[15] AI: Pham Thi Khanh Phuong, 6.10.2016.

[16] Tamże.

[17] Nguyen Dinh Kien, *Nguoi linh voi bau troi Ha Noi…*, s. 52.

[18] AI: Kislicyn, 27.2.2016.

[19] AI: Miroszniczenko, 12.2.2016; kolejne cytaty z tego samego źródła.

[20] AI: Panow, 21.2.2016.

[21] Tamże.

[22] AI: Malewanyj, 22.2.2016.

[23] AI: Zalipski, 3.2.2016.

[24] Nguyen Dinh Kien, *Nguoi linh voi bau troi Ha Noi...*, s. 107.

[25] Merle L. Pribbenow, *The-Ology War: Technology and Ideology in the Vietnamese Defense of Hanoi 1967*, „Journal of Military History" 67 (2003), nr 1, s. 178.

[26] AI: Zalipski, 3.2.2016.

[27] Kuin Hiong, pamiętnik.

[28] AI: Zalipski, 3.2.2016.

[29] Petr Isajew w: Je.P. Głazunow (red.), *Wojna wo Wjetnamie...*

[30] AI: Zalipski, 3.2.2016.

[31] A.S. Zajcew, *Na Gromykowskich kowrach...*

[32] AI: Miroszniczenko, 14.2.2016.

[33] „Kommiersant Własť" 1998, nr 19 (26.5), s. 79.

[34] Ilya V. Gaiduk, *The Soviet Union and the Vietnam War*, Ivan R. Dee, Chicago 1996, s. 71.

[35] Le Ngoc Bon i in. w: *Glorious History of the Heroic People's Security Forces*, Hanoi 2006, s. 34 (tłumaczenie MP).

[36] Wypowiedź z 23.8.66, cytat za: I.V. Gaiduk, *The Soviet Union and the Vietnam War...*, s. 80.

[37] Han Nian Long (red.), *Contemporary China's Diplomacy*, China Social Science Publishing House, Beijing 1988, s. 34; Wang Taiping (red.), *Diplomatic History of the People's Republic of China*, t. 2, World Knowledge Publishing House, Beijing 1998, s. 35.

[38] Han Huanzhi (red.), *Contemporary China: Military Work of the Chinese Army* (2), China Social Science Publishing House, Beijing 1989, s. 514;

Historical Research Department of Academy of Military Sciences PLA China (red.), *Chinese People's Liberation Army Sixty-Year Event Record*, Military Science Publishing, Beijing 1988, s. 616.

[39] Cała relacja pochodzi z: Guilin Long, *Memoirs*, Beijing 1996, s. 176–177.

[40] Nguyen Van Minh, M.-G. Pham Van (red.), *History of the Resistance War Against the Americans to Save the Nation 1954–75*, Military History Institute of Vietnam, t. 5, Hanoi 2001, s. 271; także list do gazety „Tuoi Tre" z 17.8.2007

[41] Analogiczne przeszkody i komplikacje napotkał również autor podczas swojej wizyty w Chinach w roku 1971, kiedy pracował jako reporter dla telewizji BBC.

[42] Robert Thompson, *Make for the Hills*, Pen & Sword – Leo Cooper, London 1989, s. 45.

[43] Lou Harris w „Washington Post", 12.2.1967.

[44] *Pentagon Papers Gravel Edition*, Beacon Press, Boston 1971, t. 4, s. 136.

[45] Cytat za: Ulysses S. Sharp, *Strategy for Defeat*, Presidio Press, San Rafael CA 1978, s. 99.

[46] Peter Mersky, Norman Polmar, *The Naval Air War in Vietnam*, Nautical and Aviation Publication Co., Annapolis MD 1981, s. 180–181.

[47] David Halberstam, *The Best and the Brightest*, Random House, New York 1972, s. 138–139.

[48] Institute for Defense Analyses, JASON Study, 29.8.66, [w:] Neil Sheehan, Herdick Smith, E.W. Kenworthy, Fox Butterfield, *The Pentagon Papers as Published by „New York Times": The Secret History of the Vietnam War*, Bantam Books, Toronto–New York–London 1971, s. 505.

[49] Oleg Hoeffding, *Bombing North Vietnam: An Appraisal of the Economic and Political Effects* (RM-5213-1-ISA), RAND, Santa Monica CA 1966, https://bit.ly/2MDMJ2c, s. 22.

[50] Tamże, s. v.

[51] USAHEC: Wheeler Papers, Box 2.

16. Po pas w wielkim grzęzawisku

[1] „New York Times", 7.5.1967.

[2] AI: Scotton, 18.9.2016; jego wykład odbył się we wrześniu 1967 roku.

[3] Henry Kissinger, *The White House Years*, Little, Brown & Co, Boston 1979, s. 112.

[4] Lewis Sorley (red.), *The Abrams Tapes 1968–1972*, Texas Tech University Press, Lubbock 2004, s. 36.

[5] Wallace Terry, *Bloods: Black Veterans of the Vietnam War*, Presidio Press, New York 2006, s. 202.

[6] Andrew Finlayson, *Rice Paddy Recon*, McFarland, Jefferson NC 2014, s. 66.

[7] McNamara w prywatnym liście do Michaela Sissonsa z 23.3.1967.

[8] AI: Ramsey, 22.9.2016.

[9] Większość prezentowanych tu danych pochodzi z: Lawrence M. Baskir, William A. Strauss, *Chance and Circumstance: The Draft, the War and the Vietnam Generation*, Knopf, New York 1978.

[10] Tamże, s. 7.

[11] AI: Graham, 6.3.2016.

[12] L.M. Baskir, W.A. Strauss, *Chance and Circumstance...*, s. 49.

[13] Tamże, s. 9.

[14] Michael Charlton, Anthony Moncrieff (red.), *Many Reasons Why: The American Involvement in Vietnam*, Scolar, London 1978, s. 137.

[15] W rozmowie z autorem 6.11.2017.

[16] AI: Sen. Larry Pressler, 21.1.2017.

[17] AI: Rogers, 6.3.2016.

[18] AI: Scotton, 11.9.2016.

[19] Bruce Palmer, *The Twenty-Five-Year War: America's Military Role in Vietnam*, Simon & Schuster [A Touchstone Book], New York 1984, s. 60.

[20] USAHEC: Oral Histories Transcript, Weyand.

[21] USAHEC: Oral Histories, Felletter Vincent.

[22] Ira Hunt, *The 9th Infantry Division in Vietnam*, University Press of Kentucky, Lexington KY 2010, s. 93, May 1968.

[23] Tamże, s. 97.

[24] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes…*, s. 407, 18.4.1970.

[25] Frank Scotton, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014, s. 240.

[26] James J. Wirtz, *The Tet Offensive: Intelligence Failure in War*, Cornell University Press, Ithaca 1991, s. 34.

[27] Neil Sheehan, Herdick Smith, E.W. Kenworthy, Fox Butterfield, *The Pentagon Papers as Published by „New York Times": The Secret History of the Vietnam War*, Bantam Books, Toronto–New York–London 1971, s. 558.

[28] David W.P. & Mai Elliott, *Documents of an Elite Viet Cong Delta Unit: The Demolition Platoon of the 514th Battalion*, RAND, Santa Monica CA 1969 (dostępne online), s. 1030.

[29] USAHEC: Wheeler Papers, Box 2.

[30] Tran Quoc Tuan i in., *History of the General Staff During the Resistance War Against the Americans to Save the Nation 1954–1975*, People's Army Publishing House, Hanoi 2010, t. 3, s. 287.

[31] Tamże, s. 282.

[32] Tamże, s. 284.

[33] USAHEC: Wheeler Papers, Box 2.

[34] B. Palmer, *The Twenty-Five-Year War...*, s. 57.

[35] Tamże, s. 74.

[36] Richard West, *War and Peace in Vietnam*, Sinclair-Stevenson, London 1995, s. 25.

[37] AI: Boomer, 2.3.2016; następny cytat z tego samego źródła.

[38] McNamara w prywatnym liście do Michaela Sissonsa z 23.3.1967.

[39] AI: Boomer, 2.3.2016.

[40] Andrew Finlayson, *Killer Kane: A Marine Long-Range Recon Team Leader in Vietnam, 1967–1968*, McFarland, Jefferson NC 2013, s. 114.

[41] AI: Williams, 16.9.2016.

[42] Philip Caputo, *A Rumor of War*, Holt, Rinehart & Winston, New York 1977, s. 247.

[43] USAHEC: Vietnam War Documents, Box 2, Folder 15.

[44] Andrew Finlayson, *Rice Paddy Recon*, McFarland, Jefferson NC 2014, s. 115.

[45] AI: Kinne, 2.10.2016.

[46] W. Terry, *Bloods...*, s. 7.

[47] Tim O'Brien, *The Things They Carried*, Flamingo, London 1990, s. 33.

[48] Ph. Caputo, *A Rumor of War...*, s. 315.

[49] AI: Shyab, 11.11.2016.

[50] W. Terry, *Bloods...*, s. 41.

[51] USAHEC: Company Commanders' Oral Histories, Box 6, File 4.

[52] Nguyen Huu An, *New Battlefield* (opowiedziane Nguyenowi Tu Duongowi), People's Army Publishing House, Hanoi 2002, s. 49.

[53] Michael O'Brien, *Conscripts and Regulars: With the Seventh Battalion in Vietnam*, Allen & Unwin, St Leonards 1995, s. 39.

[54] AI: Thorne, 7.2.2016.

[55] USAHEC: Company Commanders' Oral Histories, Box 18, Folder 10.

[56] John M. Del Vecchio, *The 13th Valley*, Sphere, London 1983, s. 503.

[57] AI: Sutton, 12.11.2016.

[58] USMCA: Hardwick, MS A/30/J/5/1.

[59] AI: Rogers, 6.3.2016.

[60] Ph. Caputo, *A Rumor of War*..., s. 13.

[61] A. Finlayson, *Killer Kane*..., s. 185.

[62] USMCA: Hardwick, MS A/30/J/5/1.

[63] USMCA: Tenney, MS A/25/B/5/1.

[64] Ph. Caputo, *A Rumor of War*..., s. 243, patrol wrześniu1965 roku.

[65] Al Santoli, *To Bear Any Burden: The Vietnamese War and its Aftermath*, Sphere Books, London 1986, s. 190.

[66] AI: Shyab, 11.11.2016.

[67] Tamże.

[68] USAHEC: Company Commanders' Oral Histories, Box 18, Folder 2.

[69] Keith William Nolan, *The Magnificent Bastards: The Joint Army-Marine Defense of Dong Ha, 1968*, Presidio, Novato CA 2007, s. 53.

[70] AI: Pham Phu Bang, 7.10.2016.

[71] A. Finlayson, *Killer Kane*..., s. 134.

[72] McNamara w prywatnym liście do Michaela Sissonsa z 23.3.1967.

[73] AI: Graham, 6.3.2016.

[74] Jacqueline E. Whitt, *Bringing God to Men: American Military Chaplains and the Vietnam War*, University of North Carolina Press, Chapel Hill 2014, s. 171.

[75] J.M. Del Vecchio, *The 13th Valley*..., s. 199.

[76] A. Finlayson, *Killer Kane*..., s. 197.

[77] W. Terry, *Bloods*..., s. 30.

[78] J.M. Del Vecchio, *The 13th Valley*..., s. 106.

[79] T. O'Brien, *The Things They Carried*..., s. 35.

[80] Keith William Nolan, *Sappers in the Wire: The Life and Death of Firebase Mary Ann*, Texas A&M University Press, College Station 2007, s. 93.

[81] USMCA: Tenney, MS A/25/B/5/1.

[82] AI: Miller, 13.11.2016.

[83] Christopher John Chivers, *The Gun*, Simon & Schuster, New York 2010, s. 272 i nast. Relacja w kolejnych akapitach pochodzi przede wszystkim od Chiversa.

[84] Tamże, s. 290.

[85] Tamże, s. 316.

[86] AI: Spencer, 12.2.2016.

[87] AI: Turley, 2.3.2016.

[88] AI: Boomer, 2.3.2016.

[89] AI: Kinne, 2.10.2016.

[90] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 267.

[91] AI: Graham, 6.3.2016.

[92] „Philadelphia Inquirer", 17.9.2067.

[93] McNamara w prywatnym liście do Michaela Sissonsa z 23.3.1967.

[94] AI: Graham, 6.3.2016.

[95] AI: Bang, 7.10.2016.

[96] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*..., s. 362.

17. Nasi ludzie, ich ludzie – wojna wietnamska

[1] Doug Ramsey, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi, I A40; nastepny cytat z tego samego źródła.

[2] AI: Khiem, 13.9.2016.

[3] AI: Nguu, 20.9.2016.

[4] AI: Johnny Underwood, 11.10.2016.

[5] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*, Vintage Books, London 1986, s. 110.

[6] Tamże, s. 101.

[7] Tamże, s. 261.

[8] D. Ramsey, niepublikowany rękopis..., IV F10.

[9] Norman Wyndham, *Through Vietnamese Eyes*, prywatne memorandum, rękopis, 1968 (w posiadaniu Lorda Egremont), s. 17.

[10] Lewis Sorley (red.), *The Abrams Tapes 1968–1972*, Texas Tech University Press, Lubbock 2004, s. 252, 23.8.1969.

[11] Richard West, *War and Peace in Vietnam*, Sinclair-Stevenson, London 1995, s. 52.

[12] Huynh Cong Than, *On the Long An Battlefield: A Memoir* (opowiedziane Nguyenowi Huu Nguyenowi), People's Army Publishing House, Hanoi 1994, s. 124.

[13] Andrew Finlayson, *Killer Kane: A Marine Long-Range Recon Team Leader in Vietnam, 1967–1968*, McFarland, Jefferson NC 2013, s. 140.

[14] D. Ramsey, niepublikowany rękopis..., IV A65.

[15] Tamże, IV B14.

[16] David W.P. Elliott, *The Vietnamese War: Revolution and Social Change in the Mekong Delta 1930–1975*, M.E. Sharpe, Armonk NY 2003, t. 2, s. 868.

[17] Dang Thuy Tram, *Last Night I Dreamed of Peace*, Harmony, New York 2007, s. 46, 20.8.1968.

[18] Tamże, s. 12, 22.4.68, oraz s. 23, 31.5.1968.

[19] Tamże, s. 59, 11.10.1968.

[20] Tamże, s. 61, 20.10.1968.

[21] Tamże, s. 101, 19.3.1969.

[22] A.J. Langguth, *Our Vietnam: The War 1954–1975*, Simon & Schuster, New York 2000, s. 668.

[23] Cytat za: Michael Lind, *Vietnam: The Necessary War*, Free Press, New York 1999, s. 178.

[24] Bao Ninh, *The Sorrow of War*, Vintage Books, London 1998, s. 9.

[25] Tamże, s. 6.

[26] AI: Bang, 7.10.2016.

[27] Nguyen Huu An, *New Battlefield* (opowiedziane Nguyenowi Tu Duongowi), People's Army Publishing House, Hanoi 2002, s. 62.

[28] Bao Ninh, *The Sorrow of War*..., s. 5.

[29] AI: Pham Phu Bang, 7.10.2016.

[30] Nguyen Van Tanh, cytat za: Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 308.

[31] Nguyen Huu An, *New Battlefield*..., s. 95.

[32] AI: Bang, 7.10.2016.

[33] Dang Thuy Tram, *Last Night I Dreamed of Peace*..., s. 111, 27.4.1969.

[34] Tamże, s. 112.

[35] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*..., s. 128.

[36] Tamże, s. 157.

[37] Tamże, s. 159.

[38] Tu i niżej: tamże, s. 167, 168, 177.

[39] Hamilton H. Howze, *Vietnam: An Epilogue*, „Army" 25 (1975), nr 7.

[40] AI: Ramsey, 22.9.2016.

[41] Tran Bach Dang, *Tet 68: A Strategic Exercise*, „Military History" 1988, nr 2 (26), s. 59.

[42] AI: Hoi, 18.9.2016.

[43] Tamże, 17.9.2016.

[44] George Bonville, *You Ain't Nothing But a Swamp Rat*, Professional Press, Chapel Hill NC 2016, s. 336.

[45] AI: Sutton, 12.11.2016.

[46] Lewis Sorley (red.), *The Vietnam War: An Assessment by South Vietnam's Generals*, Texas Tech University Press, Lubbock 2010, s. 32.

[47] AI: Si, 21.5.2016.

[48] L. Sorley (red.), *The Vietnam War*..., s. 53.

[49] Dong Van Khuyen w: tamże, s. 61.

[50] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*..., s. 160.

[51] AI: Breen, 7.3.2016.

[52] Gavin Young, *A Wavering Grace*, Viking, London 1997, s. 30.

[53] R. West, *War and Peace in Vietnam*..., s. 37.

[54] Dang Thuy Tram, *Last Night I Dreamed of Peace*..., 24.7.1969.

18. Ofensywa TET

[1] Truong Cong Dong, cytat za: Ilya V. Gaiduk, *The Soviet Union and the Vietnam War*, Ivan R. Dee, Chicago 1996, s. 142.

[2] MP: wywiad z Tran Tong Trungiem.

[3] David W.P. Elliott, *The Vietnamese War: Revolution and Social Change in the Mekong Delta 1930–1975*, M.E. Sharpe, Armonk NY 2003, t. 2, s. 1083.

[4] Nguyen Duc Huy, *A Soldier's Life* (współpraca: Nguyen Thong Nhat), People's Army Publishing House, Hanoi 2011, s. 156.

[5] Tamże, s. 159.

[6] Merle Pribbenow, *General Võ Nguyên Giáp and the Mysterious Evolution of the Plan for the 1968 Tet Offensive*, „Journal of Vietnamese Studies" 3 (2008), nr 2, s. 1–33.

[7] Zob. James J. Wirtz, *The Tet Offensive: Intelligence Failure in War*, Cornell University Press, Ithaca 1991, *passim*.

[8] Tong Ho Trinh, *The 1968 Tet Offensive in the Tri-Thien-Hue Theatre*, Ministry of Defence, Hanoi 1986 (tłum. Bob Destatte i Merle Pribbenow dla US Army Center for Military History), s. 21.

[9] J.J. Wirtz, *The Tet Offensive*..., s. 183.

[10] Doug Ramsey, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi, IV F9.

[11] USMCA: Fulkerson, MS A/30/7/5/1.

[12] Richard West, *War and Peace in Vietnam*, Sinclair-Stevenson, London 1995, s. 56.

[13] Nguyen Duc Huy, *A Soldier's Life*..., s. 57.

[14] Przedstawiona tu relacja opiera się w dużej mierze na: Dan Nguyen Huy Toan, Pham Quang Dinh, *The 304th Division*, People's Army Publishing House, Hanoi 1990, t. 2, rozdz. 2.

[15] J.J. Wirtz, *The Tet Offensive*..., s. 81.

[16] Hoang Ngoa Lung, *The General Offensives of 1968-69*, General Research Corporation, McLean VA 1978, s. 354–355.

[17] Dang Tran Bach, *Life and Memories*, Tre Publishing House, Ho Chi Minh City 2006, s. 158.

[18] Tamże, s. 158.

[19] Huynh Cong Than, *On the Long An Battlefield: A Memoir* (opowiedziane Nguyenowi Huu Nguyenowi), People's Army Publishing House, Hanoi 1994, s. 130.

[20] Tamże, s. 131.

[21] Dang Tran Bach, *Life and Memories*..., s. 165.

[22] Tran Do, kaseta audio z wypowiedzią na temat ofensywy Tet, transkrypcja, marzec 1986, „Military History" 1988, nr 2 (26), s. 56.

[23] Tran Van Quang, *Hue: 25 Days and Nights*, „Military History" 1988, nr 2 (26), s. 26.

[24] Tong Ho Trinh, *The 1968 Tet Offensive*..., s. 30.

[25] USAHEC: Vietnam War Document Collection, Box 2, Folder 13.

[26] Frank Scotton, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014, s. 226.

[27] Relacja według: Gavin Young, *A Wavering Grace*, Viking, London 1997, s. 35–37.

[28] Relacja zaczerpnięto z: Andrew Wiest, *Vietnam's Forgotten Army: Heroism and Betrayal in the ARVN*, New York University Press, New York–London 2008, s. 101 i nast.

[29] Tong Ho Trinh, *The 1968 Tet Offensive*..., s. 67.

[30] Charles A. Krohn, *The Lost Battalion of Tet*, US Naval Institute Press, Annapolis MD 2008, s. 3 i 5,

[31] Tamże, s. 66.

[32] Tamże, s. 69.

[33] Tamże, s. 51.

[34] AI: Harrison, 14.3.2016.

[35] AI: Destatte, 12.9.2016.

[36] John B. Nichols, Barrett Tillman, *On Yankee Station*, Bantam, New York 1988, s. 40.

[37] AI: Wendt, 14.11.2016.

[38] USAHEC: Vietnam War Documents, Box 3, Folder 5, opowieść Speedy'ego.

[39] Wallace Terry, *Bloods: Black Veterans of the Vietnam War*, Presidio Press, New York 2006, s. 122.

[40] AI: Wendt, 14.11.2016.

[41] Peter Braestrup, *Big Story: How the American Press and Television Reported and Interpreted the Crisis of Tet 1968*, Anchor Press, Garden City

NY 1978, s. 118.

19. Olbrzym się chwieje

[1] AI: Tan, 21.9.2016.

[2] David W.P. Elliott, *The Vietnamese War: Revolution and Social Change in the Mekong Delta 1930–1975*, M.E. Sharpe, Armonk NY 2003, t. 2, s. 1098.

[3] Huynh Cong Than, *On the Long An Battlefield: A Memoir* (opowiedziane Nguyenowi Huu Nguyenowi), People's Army Publishing House, Hanoi 1994, s. 133.

[4] AI: De, 9.7.2016.

[5] Michael O'Brien, *Conscripts and Regulars: With the Seventh Battalion in Vietnam*, Allen & Unwin, St Leonards 1995, s. 124.

[6] USAHEC: Medical Personnel Oral Histories.

[7] William M. Hammond, *Public Affairs: The Military and the Media 1962–1968*, Center of Military History United States Army, Washington 1990, s. 345.

[8] „New York Times", 2.2.1968.

[9] USMCA: Chaisson papers.

[10] AI: Harrington, 4.3.2016; dalsza relacja na podstawie tego źródła.

[11] AI: Harrison, 3.3.2016; dalsza relacja na podstawie tego źródła.

[12] Al Santoli, *To Bear Any Burden: The Vietnamese War and its Aftermath*, Sphere Books, London 1986, s. 185.

[13] Nguyen Cao Ky, *Buddha's Child: My Fight to Save Vietnam*, St Martin's Press, New York 2002, s. 265.

[14] USMCA: Chaisson Letters, list z 2.2.1968.

[15] „Wall Street Journal", 6.2.1968.

[16] „Washington Post", 6.2.1968.

[17] USAHEC: Wheeler Papers, Westmoreland MAC 1614, wiadomość do Wheelera z 4.2.1968.

[18] USAHEC: Westmoreland Papers, kopia listu Abramsa z 23.2.1968.

[19] USAHEC: Oral Histories Transcript, Weyand, wywiad.

[20] Huynh Cong Than, *On the Long An Battlefield...*, s. 146.

[21] USAHEC: Westmoreland Papers, Box 3.

[22] Tamże, MAC 1901.

[23] William Westmoreland, *A Soldier Reports*, Doubleday, Garden City NY 1976, s. 338.

[24] *Rear Services Operations during the Route 9 – Khe Sanh Campaign*, Hanoi 1988, s. 281.

[25] Nguyen Duc Huy, *A Soldier's Life* (współpraca: Nguyen Thong Nhat), People's Army Publishing House, Hanoi 2011, s. 62.

[26] Tamże, s. 74.

[27] USMCA: Fulkerson, MS A/30/7/5/1.

[28] AI: Anthony, 13.11.2016.

[29] Dan Nguyen Huy Toan, Pham Quang Dinh, *The 304th Division*, People's Army Publishing House, Hanoi 1990, t. 2, s. 115.

[30] Tamże, s. 100.

[31] Tamże, s. 94.

[32] Tamże, s. 96,

[33] Tamże, s. 122.

[34] Tran Van Quang, *Hue: 25 Days and Nights*, „Military History" 1988, nr 2 (26), s. 30; a także Hai, wystąpienie podczas konferencji z roku1986, s. 24.

[35] Nguyen Huu An, *New Battlefield* (opowiedziane Nguyenowi Tu Duongowi), People's Army Publishing House, Hanoi 2002, s. 88.

[36] Lewis Sorley (red.), *The Abrams Tapes 1968–1972*, Texas Tech University Press, Lubbock 2004, s. 516, 2.1.1971.

[37] Mark Bowden, *Hue 1968: A Turning Point of the American War in Vietnam*, Grove Atlantic, New York 2017, s. 143.

[38] Tamże, s. 353.

[39] AI: Harrington, 4.3.2016; dalsza relacja według tego źródła.

[40] Gavin Young, *A Wavering Grace*, Viking, London 1997, s. 39.

[41] Don Oberdorfer, *Tet! The Turning Point in the Vietnam War*, Johns Hopkins University Press, Baltimore–London 2001, s. 229.

[42] Ian McNeill, *The Team: Australian Advisers in Vietnam*, Hippocrene Books, New York 1984, s. 152.

[43] W.M. Hammond, *Public Affairs...*, s. 387.

[44] Tamże, s. 388.

[45] Tran Quoc Tuan i in., *History of the General Staff During the Resistance War Against the Americans to Save the Nation 1954–1975*, People's Army Publishing House, Hanoi 2010, t. 4 (1969–1972), s. 18.

[46] Huynh Cong Than, *On the Long An Battlefield...*, s. 157.

[47] MP: wywiad z Tran Trong Trungiem.

[48] Julian Ewell w: L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes...*, s. 208, 12.6.1969.

[49] Transkrypcja z taśmy audio z nagraniem przebiegu konferencji w Hanoi w 1986 roku, s. 47.

[50] Nguyen Huu An, *New Battlefield*..., s. 91.

[51] USAHEC: Oral Histories Transcripts, Weyand.

[52] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 33.

[53] AI: Anthony, 13.11.2016.

[54] Lewis Sorley (red.), *A Better War: The Unexamined Victories and Final Tragedy of America's Last Years in Vietnam*, Harvest, New York 1999, s. 29.

[55] NBC, 3.3.1968.

[56] Frank Scotton, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014, s. 226.

[57] AI: Scotton, 18.9.2016.

[58] USAHEC: Oral Histories Transcripts, Weyand; kolejne cytaty na podstawie tego źródła.

[59] W.M. Hammond, *Public Affairs*..., s. 372.

[60] USAHEC: Vietnam War Document Collection, Box 3, Folder 15.

[61] Arthur M. Schlesinger, *Journals 1952–2000*, Penguin, New York 2007, s. 286, 3.4.1968.

[62] Tamże, s. 144, 11.11.1971.

[63] Za: Larry Berman, *Planning a Tragedy: The Americanization of the War in Vietnam*, Norton, New York 1982, s. 153.

[64] Michael Charlton, Anthony Moncrieff (red.), *Many Reasons Why: The American Involvement in Vietnam*, Scolar, London 1978, s. 121.

[65] Tran Bach Dang, *Tet 68: A Strategic Exercise*, „Military History" 1988, nr 2 (26), s. 58.

20. Raz po raz to samo

[1] Huynh Cong Than, *On the Long An Battlefield: A Memoir* (opowiedziane Nguyenowi Huu Nguyenowi), People's Army Publishing House, Hanoi 1994, s. 136.

[2] Tamże, s. 137.

[3] Tamże, s. 139.

[4] Tamże, s. 141–142.

[5] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 328.

[6] William Haponski, *An Idea, and Bullets*, Combatant Books, The Villages FL 2016, s. 330.

[7] Lewis Sorley (red.), *The Abrams Tapes 1968–1972*, Texas Tech University Press, Lubbock 2004, s. 15 i 17, 6.7.1968.

[8] AI: Anthony, 13.11.1916.

[9] AI: Stevens, 9.11.1916.

[10] Ta relacja opiera się na wywiadach przeprowadzonych przez autora z uczestnikami ówczesnych wydarzeń: gen. Billem Weise'em, gen. Jamesem Livingstonem i płk. Jimem Williamsem, a także na opublikowanej po raz pierwszy w 1994 roku książce Keitha Nolana *The Magnificent Bastards*, przedstawiającym bitwę filmie dokumentalnym z 2014 roku powstałym z inicjatywy US Marine Corps, zapisach USMC dotyczących 1. Batalionu Amtrak PR/F/4/2 oraz historiach z Wietnamu wyszczególnionych poniżej.

[11] Keith William Nolan, *Sappers in the Wire: The Life and Death of Firebase Mary Ann*, Texas A&M University Press, College Station 2007, s. 11.

[12] AI: Williams, 16.9.2016.

[13] AI: Weise, 5.3.2016.

[14] AI: Williams, 16.9.2016.

[15] K.W. Nolan, *Magnificent Bastards*..., s. 12 i nast.

[16] Tamże.

[17] Tamże, s. 16.

[18] Tamże, s. 21.

[19] *Battles of Vietnamese Artillery during the War of Liberation*, t. 2, Hanoi 1990, s. 8 i nast.

[20] K.W. Nolan, *Magnificent Bastards*..., s. 42.

[21] Tamże, s. 59.

[22] James E. Livingston, współpraca: Colin D. Heaton i Anne-Marie Lewis, *Noble Warrior*, MBI Pub. Co. – Zenith Press, Minneapolis 2010, s. 47.

[23] AI: Williams, 16.9.2016.

[24] K.W. Nolan, *Magnificent Bastards*..., s. 87.

[25] Tamże, s. 80.

[26] Tamże, s. 82.

[27] Tamże, s. 84.

[28] *History of the 320th Lowland Division*, Hanoi 1984, s. 75 i nast.

[29] K.W. Nolan, *Magnificent Bastards*..., s. 77.

[30] Tamże, s. 133.

[31] Tamże, s. 92.

[32] Tamże, s. 104.

[33] *History of the 320th Division*..., s. 76.

[34] AI: Livingston, 3.3.2016.

[35] K.W. Nolan, *Magnificent Bastards*..., s. 146.

[36] Tamże, s. 136.

[37] Tamże, s. 169.

[38] AI: Livingston, 3.3.2016.

[39] K.W. Nolan, *Magnificent Bastards*..., s. 195.

[40] *Battles of the Vietnamese Artillery*..., t. 2, s. 16.

[41] AI: Livingston, 3.3.2016.

[42] *History of the 320th Division*..., s. 81.

[43] Tamże, s. 84.

[44] K.W. Nolan, *Magnificent Bastards*..., s. 305.

[45] AI: Weise, 5.3.2016.

[46] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 238, 2.8.1969.

[47] USMCA: 1st Amtrak Battalion, PR/F/4/2.

[48] AI: Weise, 5.3.2016.

[49] Anatoly Dobrynin, *In Confidence: Moscow's Ambassador to America's Six Cold War Presidents*, Times Books, New York 1995, s. 170.

[50] Tamże, s. 143.

[51] Tamże, s. 175.

[52] AI: Koltes, 11.10.2016.

[53] USMCA: Michael Minehan Letters, A/5/L/3/5.

[54] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 8, 29.6.1968.

[55] Tamże, s. 29, 17.8.1968.

[56] Tamże, s. 40.

[57] *Foreign Relations of the United States, 1964–1968*, t. VII, United States Government Printing Office, Washington 2003, s. 189.

[58] Ira Hunt, *The 9th Infantry Division in Vietnam*, University Press of Kentucky, Lexington KY 2010, s. 106.

[59] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes…*, s. 27, 27.9.1969.

[60] W. Haponski, *An Idea, and Bullets…*, s. 328.

[61] AI: Hall, 12.11.2016.

[62] Richard Nixon, *No More Vietnams*, Arbor House, New York 1985, s. 96.

21. Dziedzictwo Nixona

[1] Frank Scotton, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014, s. 235.

[2] Dang Thuy Tram, *Last Night I Dreamed of Peace*, Harmony, New York 2007, s. 91, 14.2.1969.

[3] Henry Kissinger, *Ending the Vietnam War: A HistoryofAmerica's Involvement in and Extrication from theVietnam War*, Simon & Schuster, New York–London 2003, s. 8.

[4] Greg Daddis, *Withdrawal: Reassessing America's Final Years in Vietnam*, Oxford University Press, Oxford 2017, s. 41.

[5] Tamże, s. 33.

[6] W kwietniu 1969 roku.

[7] Lewis Sorley (red.), *The Abrams Tapes 1968–1972*, Texas Tech University Press, Lubbock 2004, s. 213.

[8] AI: Hickman, 5.2.2016.

[9] Jacqueline E. Whitt, *Bringing God to Men: American Military Chaplains and the Vietnam War*, University of North Carolina Press, Chapel Hill 2014, s. 98.

[10] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes…*, s. 77, 11.11.1968.

[11] G. Daddis, *Withdrawal…*, s. 19.

[12] AI: Thorne, 3.3.2016.

[13] Dang Thuy Tram, *Last Night I Dreamed of Peace…*, s. 125, 11.6.1969.

[14] Bao Ninh, *The Sorrow of War*, Vintage Books, London 1998, s. 4.

[15] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes…*, s. 79.

[16] Tamże, s. 154.

[17] Tamże, s. 139, 5.3.1969.

[18] Peter Braestrup, *Big Story: How the American Press and Television Reported and Interpreted the Crisis of Tet 1968*, Anchor Press, Garden City NY 1978, s. 515.

[19] Tamże, s. 517.

[20] USAHEC: Company Commanders' Oral Histories, Box 5, Folder 7.

[21] Lewis Sorley (red.), *A Better War: The Unexamined Victories and Final Tragedy of America's Last Years in Vietnam*, Harvest, New York 1999, s. 294.

[22] USAHEC: Company Commanders' Oral Histories, Box 18; następne cytaty z tego samego źródła.

[23] Wallace Terry, *Bloods: Black Veterans of the Vietnam War*, Presidio Press, New York 2006, s. 48.

[24] USAHEC: Company Commanders' Oral Histories, Box 18, Folder 9.

[25] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes…*, s. 379, 21.2.70.

[26] Gary D. Solis, *marines and Military Law in Vietnam: Trial by Fire*, History and Museums Division, Headquarters, US Marine Corps,

Washington 1989, s. 129–131.

[27] Tamże, s. 193.

[28] Tamże, s. 110.

[29] Tamże, s. 110–112.

[30] USAHEC: Medical Personnel Oral Histories.

[31] AI: Thorne, 3.3.2016.

[32] G.D. Solis, *marines and Military Law in Vietnam*..., s. 171.

[33] Frederic L. Borch, *Judge Advocates in Vietnam: Army Lawyers in Southeast Asia 1959–1975*, Combat Studies Institute – U.S. Army Command and General Staff College Press, Fort Leavenworth KS 2003, https://bit.ly/3929KU8, s. 112.

[34] USMCA: Oral Histories, Tape 4749, 1970.

[35] G.D. Solis, *marines and Military Law in Vietnam*..., s. 130.

[36] AI: Hunt, 13.11.2016.

[37] AI: Boomer, 2.3.2016.

[38] AI: Freemantle, 6.2.2017.

[39] G.D. Solis, *marines and Military Law in Vietnam*..., s. 136–138.

[40] W. Terry, *Bloods*..., s. 39.

[41] USAHEC: Medical Personnel Oral Histories, Mary Ellen Smith.

[42] AI: Hall, 12.11.2016.

[43] AI: Anthony, 13.11.2016.

[44] USMHA, Sidney Berry Papers, Box 38, 3.10.1965.

[45] AI: Rogers, 6.3.2016.

[46] W. Terry, *Bloods*..., s. 256.

[47] AI: Smith, 6.9.2016.

[48] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 245, 5.8.1969.

[49] Tamże, s. 339, 15.1.1970.

[50] AI: Harrison, 11.3.2016.

[51] AI: Freemantle, 6.2.2017.

[52] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 427.

[53] Tamże, s. 363.

[54] AI: Franklin, 16.4.2017.

[55] Niniejsza relacja czerpie w dużej mierze z nader kompetentnej pracy Petera Edwardsa *Australia and the Vietnam War*, NewSouth, Canberra 2014.

[56] AI: Smith, 6.9.2016.

[57] Tamże.

[58] USAHEC: Company Commanders' Oral Histories, Box 6, Folder 2.

[59] Michael O'Brien, *Conscripts and Regulars: With the Seventh Battalion in Vietnam*, Allen & Unwin, St Leonards 1995, s. 166–167.

[60] AI: Freemantle, 6.2.2017.

[61] P. Edwards, *Australia and the Vietnam War*..., s. 327.

[62] M. O'Brien, *Conscripts and Regulars*..., s. 54.

[63] Tamże, s. 242.

[64] P. Edwards, *Australia and the Vietnam War*..., s. 261.

[65] AI: Franklin, 16.2.2016; kolejne cytaty z tego samego źródła.

[66] AI: Smith, 6.9.2016.

[67] Australian War Memorial, PR87/157.

[68] AI: Smith, 6.9.2016.

[69] AI: Freemantle, 6.2.2017.

[70] AI: Smith, 6.9.2016.

[71] AI: Freemantle, 6.2.2017.

[72] M. O'Brien, *Conscripts and Regulars*..., s. 252.

[73] Tamże, s. 202.

[74] AI: Freemantle, 6.2.2017; dalsza relacja i cytaty według tego źródła.

[75] P. Edwards, *Australia and the Vietnam War*..., s. 332.

[76] AI: Smith, 6.9.2016.

[77] Tamże.

[78] M. O'Brien, *Conscripts and Regulars*..., s. 116.

[79] AI: Smith 6.9.2016.

[80] P. Edwards, *Australia and the Vietnam War*..., s. 410.

[81] Norman Wyndham, *Through Vietnamese Eyes*, prywatne memorandum, rękopis, 1968 (w posiadaniu Lorda Egremont), s. 17.

[82] Brian Walrath, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi.

[83] AI: Stephens, 17.5.2016.

[84] M. O'Brien, *Conscripts and Regulars*..., s. 39.

[85] AI: Sheehan, 5.3.2016.

[86] AI: Hickman, 6.2.2016; dalsza relacja i cytaty według tego źródła.

[87] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 140, 10.3.1969.

[88] Tamże, s. 142.

[89] Arthur M. Schlesinger, *Journals 1952–2000*, Penguin, New York 2007, 14.12.1969.

[90] H.R. Haldeman, *The Haldeman Diaries: Inside the Nixon White House*, Berkley Books, New York 1994, s. 557, 18.12.1972.

[91] Henry Kissinger, *The White House Years*, Little, Brown & Co, Boston 1979, s. 436.

[92] Richard Nixon, *Memoirs*, Grossett & Dunlop, New York 1978, rozmowa z 20.10.1969, s. 399.

[93] Ilya V. Gaiduk, *The Soviet Union and the Vietnam War*, Ivan R. Dee, Chicago 1996, s. 220.

[94] Jeremi Suri, *Henry Kissinger and the American Century*, Belknap Press of Harvard University Press, Cambridge MA 2007, s. 213.

[95] „Los Angeles Times", 12.6.1969.

[96] *Foreign Relations of the United States, 1964–1968*, t. VI, United States Government Printing Office, Washington 2002, s. 400.

[97] Ken Hughes, *Fatal Politics: The Nixon Tapes, the Vietnam War and the Casualties of Reelection*, University of Virginia Press, Charlottesville 2015, s. 180.

[98] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 364, 9.2.1870.

[99] AI: Thorne, 6.2.2016.

22. Przegrywanie na raty

[1] Lewis Sorley (red.), *The Abrams Tapes 1968–1972*, Texas Tech University Press, Lubbock 2004, s. 151, 5.3.69.

[2] A.J. Langguth, *Our Vietnam: The War 1954–1975*, Simon & Schuster, New York 2000, s. 565.

[3] Abrams do Moorera, cytat za: Lewis Sorley (red.), *A Better War: The Unexamined Victories and Final Tragedy of America's Last Years in Vietnam*, Harvest, New York 1999, s. 206.

[4] Richard West, *War and Peace in Vietnam*, Sinclair-Stevenson, London 1995, s. 5.

[5] Dang Tran Bach, *Life and Memories*, Tre Publishing House, Ho Chi Minh City 2006, s. 197–202.

[6] Jon Swain, *River of Time*, Heinemann, London 1995, s. 41.

[7] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes...*, s. 414, 10.5.1970, oraz, s. 415, 6.5.1970.

[8] Doug Ramsey, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi, IV 34.

[9] Tamże, V 38.

[10] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes...*, s. 417, 19.5.1970.

[11] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*, Vintage Books, London 1986, s. 180.

[12] Tamże, s. 183.

[13] Tamże, s. 213.

[14] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes...*, s. 506, 7.11.1970.

[15] Dang Thuy Tram, *Last Night I Dreamed of Peace*, Harmony, New York 2007, s. 210, 5.5.1970, oraz s. 212, 19.5.1970.

[16] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes...*, s. 425, 23.5.1970.

[17] Paddy Hayes, *Queen of Spies: Daphne Park, Britain's Cold War Spy Master*, Duckworth, London 2015, s. 232.

[18] Sir Michael Howard do autora, 9.5.2017.

[19] P. Hayes, *Queen of Spies*..., s. 222.

[20] Tamże, s. 224.

[21] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*..., s. 187.

[22] Tamże, s. 190.

[23] Tamże, s. 225.

[24] AI: Dinh, 9.7.2016.

[25] Tamże.

[26] AI: Snepp, 10.9.2016.

[27] AI: Finlayson, 20.1.2017.

[28] AI: Scotton, 18.9.2016.

[29] AI: Freemantle, 6.2.2017.

[30] Bob Kerrey, *When I Was a Young Man: A Memoir*, Harcourt, New York 2002, s. 150.

[31] Tamże, s. 185.

[32] Tamże, s. 255.

[33] Gregory Vistica, „New York Times", 25.4.2001.

[34] Tamże.

[35] AI: Kerrey, 15.11.16.

[36] Tamże.

[37] Tamże.

[38] Andrew Finlayson, *Rice Paddy Recon*, McFarland, Jefferson NC 2014, s. 265.

[39] USAHEC: Oral Histories Transcripts, Weyand.

[40] L. Sorley (red.), *A Better War*..., s. 21.

[41] AI: Stephens, 14.6.2016.

[42] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 412, 6.5.1970.

[43] L. Sorley (red.), *A Better War*..., s. 186.

[44] Arthur M. Schlesinger, *Journals 1952–2000*, Penguin, New York 2007, s. 325, 22.5.1970.

[45] MAC 14841, cytat za: L. Sorley (red.), *A Better War*..., s. 232.

[46] Tamże, s. 233.

[47] Tamże, s. 241.

[48] Nghi Huynh Noi Huynh Van, Sinh Nguyen Hung, *The Route 9: Southern Laos Counteroffensive Campaign 1971*, Military History Institute of Vietnam, Hanoi 1987, s. 5.

[49] Tamże, s. 37–38; Nguyen Huu An, *New Battlefield* (opowiedziane Nguyenowi Tu Duongowi), People's Army Publishing House, Hanoi 2002, s. 105–106; Dan Nguyen Huy Toan, Pham Quang Dinh, *The 304th Division*, People's Army Publishing House, Hanoi 1990, t. 2, s. 156–158.

[50] L. Sorley (red.), *A Better War*..., s. 250.

[51] Tamże, s. 251.

[52] Bruce Palmer, *The Twenty-Five-Year War: America's Military Role in Vietnam*, Simon & Schuster [A Touchstone Book], New York 1984, s. 115.

[53] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 549, 27.2.1971.

[54] Tamże, s. 558, 9.3.1971.

[55] Nguyen Huu An, *New Battlefield*..., s. 110.

[56] Tran Van Thom, tamże, s. 131.

[57] Tamże, s. 135.

[58] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes...*, s. 578, 27.3.1971.

[59] Tamże, s. 592, 15.4.1971.

[60] Tamże, s. 624, 20.5.1971.

[61] Tamże, s. 608, 26.4.1971.

[62] AI: Pribbenow, 9.11.2016.

[63] AI: Destatte, 12.9.2016.

[64] AI: Snepp, 10.9.2016.

[65] Wywiad z Haigiem, 29.11.1988, cytat za: L. Sorley (red.), *A Better War...*, s. 263.

[66] Alexander Haig, Charles McCarry, *Inner Circles: How America Changed the World*, Grand Central Publishing, New York 1994, s. 276.

[67] White House Tapes, cytat za: Ken Hughes, *Fatal Politics: The Nixon Tapes, the Vietnam War and the Casualties of Reelection*, University of Virginia Press, Charlottesville 2015, s. 8.

[68] Tamże, s. 9.

[69] Vann do Pottsa, maj 1971, cytat za: L. Sorley (red.), *A Better War...*, s. 273.

[70] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes...*, s. 519, 2.1.1971.

[71] Tamże, s. 383, 28.2.1970.

[72] Tamże, s. 641, 20.6.1971.

23. Niezamierzone straty

[1] Keith William Nolan, *Sappers in the Wire: The Life and Death of Firebase Mary Ann*, Texas A&M University Press, College Station 2007, s. 16.

Relacja dotycząca wydarzeń w Mary Ann z perspektywy Amerykanów oparta jest w dużej mierze na wywiadach przeprowadzanych do wymienionej książki.

[2] Tamże, s. 16–17.

[3] Brian Walrath, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi.

[4] K.W. Nolan, *Sappers in the Wire*..., s. 25.

[5] Tamże, s. 39.

[6] Lewis Sorley (red.), *The Abrams Tapes 1968–1972*, Texas Tech University Press, Lubbock 2004, s. 774, 29.1.1972.

[7] Relacja, przedstawiająca komunistyczną wersję nocnego ataku na bazę, zaczerpnięta została z: *History of MR5 Sapper Troops*, s. 258 i nast.; Minh Nguyen Quoc i in., *History of the Sapper Forces*, t. 1, People's Army Publishing House, Hanoi 1987, s. 261; Nhien Nguyen Van, Huu Nguyen Thanh, *History of Chemical Troops 1958–2008*, People's Army Publishing House, Hanoi 2008, s. 286; Phuong Bui Vinh (red.), *Military Encyclopedia of Vietnam*, People's Army Publishing House, Hanoi 2004 s. 1113.

[8] K.W. Nolan, *Sappers in the Wire*..., s. 145.

[9] Tamże, s. 147.

[10] Tamże, s. 162.

[11] USAHEC: Abrams Papers, ARV2479 do McCaffery'ego, 23.7.1971.

[12] B. Walrath, niepublikowany rękopis...

[13] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 628, 22.5.1971.

[14] Tamże, s. 613, 5.5.1971.

[15] Relacja w kolejnych akapitach opiera się w dużej mierze na powstałym w National War College studium Marka Clodfeltera *Violating*

Reality: The Lavelle Affair, Nixon and Parsing the Truth, National Defense University Press, Washington DC 2016, https://bit.ly/35fgpsL.

[16] Tamże, s. 16.

[17] Spotkanie Nixona z NSC, 2.2.1972.

[18] M. Clodfelter, *Violating Reality*..., s. 40.

[19] Senate AFC Hearings, 13.9.1972, s. 79.

[20] Rozmowa według White House Tapes, 29.5.1971, cytat za: Ken Hughes, *Fatal Politics: The Nixon Tapes, the Vietnam War and the Casualties of Reelection*, University of Virginia Press, Charlottesville 2015, s. 29.

[21] AI: Sheehan, 5.3.2016.

[22] Polgar, cytat za: Kim Willenson, *The Bad War: An Oral History of the Vietnam War*, New American Library, New York 1987, s. 102.

[23] AI: Franklin, 16.2.2016.

24. Największa bitwa

[1] Lewis Sorley (red.), *The Abrams Tapes 1968–1972*, Texas Tech University Press, Lubbock 2004, s. 724, 22.12.1971.

[2] Tamże, s. 734, 31.12.1971.

[3] Tamże, s. 753.

[4] Tamże, s. 758.

[5] Tamże, s. 775.

[6] Tamże, s. 778, 10.2.1972.

[7] Ken Hughes, *Fatal Politics: The Nixon Tapes, the Vietnam War and the Casualties of Reelection*, University of Virginia Press, Charlottesville 2015, s. 175.

[8] USAHEC: Oral Histories Transcript, Weyand, wywiad.

[9] White House Tapes, rozmowa 532-011, 30.6.1971, cytat za: K. Hughes, *Fatal Politics*..., s. 29.

[10] Mark Clodfelter, *Fifty Shades of Friction: Combat Climate, B-52 Crews and the Vietnam War*, National Defense University Press, Washington DC 2016, https://bit.ly/2LrUQoZ, s. 33.

[11] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 395.

[12] Frank Scotton, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014, s. 288.

[13] Gavin Young, *A Wavering Grace*, Viking, London 1997, s. 53.

[14] AI: Boomer, 2.3.2016; następne cytaty według tego źródła.

[15] AI: Turley, 2.3.2016.

[16] Vien w: Lewis Sorley (red.), *The Vietnam War: An Assessment by South Vietnam's Generals*, Texas Tech University Press, Lubbock 2010, s. 306.

[17] USAHEC: Oral Histories Transcripts, Weyand,

[18] Gerald H. Turley, *The Easter Offensive: The Last American Advisors in Vietnam 1972*, US Naval Institute Press, Annapolis MD 1985, s. 139.

[19] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 805, 2.4.1972.

[20] AI: Turley, 4.2.2016.

[21] G.H. Turley, *The Easter Offensive*..., s. 202.

[22] Tamże, s. 146.

[23] Richard Botkin, *Ride the Thunder: A Vietnam War Story of Honor and Triumph*, WND Books, Los Angeles 2009, s. 235.

[24] G.H. Turley, *The Easter Offensive*..., s. 177.

[25] Andrew Wiest, *Vietnam's Forgotten Army: Heroism and Betrayal in the ARVN*, New York University Press, New York–London 2008, s. 259.

[26] Tamże, s. 241.

[27] Tamże, s. 241.

[28] G.H. Turley, *The Easter Offensive*..., s. 165.

[29] AI: Elliott, 23.9.2016.

[30] Phuong Hai Doan, *The Sea on the Horizon*, Dong Van Publishing, San Jose CA 2000, s. 73.

[31] Tamże, s. 78.

[32] Tamże, s. 82.

[33] Tamże, s. 84.

[34] Tamże, s. 85.

[35] John Duffy do autora, 1.11.2016.

[36] Phuong Quang, *New Unit and Historic Battles*, „Cavalry" 2006, nr 5 (June), s. 101.

[37] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 813, 7.4.1972.

[38] Ly Tong Ba, *Memoir of 25 Years of War: Thoughts of a General Who Commanded Troops on the Battlefield*, nakładem własnym, San Marcos 1999, s. 176.

[39] AI: Hung, 8.10.2016.

[40] Tamże.

[41] AI: Ninh, 7.10.2016.

[42] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 639, 12.6.1971.

[43] Phi Long cytowany w: Nguyen Duc Huy, *A Soldier's Life* (współpraca: Nguyen Thong Nhat), People's Army Publishing House, Hanoi 2011,

s. 431.

[44] Phuong Quang, *New Unit and Historic Battles*..., s. 103.

[45] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 841, 12.5.1972.

[46] Dong Van Khuyen w: L. Sorley (red.), *The Vietnam War*..., s. 57.

[47] Tamże, s. 70.

[48] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*..., s. 401.

[49] Tamże, s. 402.

[50] G. Young, *A Wavering Grace*..., s. 53.

[51] Tamże, s. 407.

[52] Ly Tong Ba, *Memoir of 25 Years of War*..., s. 170.

[53] Tran Quoc Tuan i in., *History of the General Staff During the Resistance War Against the Americans to Save the Nation 1954–1975*, People's Army Publishing House, Hanoi 2010, t. 4 (1969–1972), s. 383

[54] Ly Tong Ba, *Memoir of 25 Years of War*..., s. 177.

[55] Ta relacja oparta jest głównie ma tekście: Nguyen Quoc Khue, *3rd Ranger Group and the Battle of An Loc/Binh Long*, „Ranger Magazine" 2003, nr 7, s. 77 i nast.

[56] Tamże, s. 87.

[57] Tamże, s. 88.

[58] Tamże, s. 96.

[59] Armor Command (*Bo Tu Lenh Thiet Giap*), *Some Battles Fought by Our Armored Troops*, t. 4, General Staff Printing, Hanoi 1983, s. 42.

[60] USAHEC: Advisers' Oral Histories, Box 2, Folder 6; kolejne cytaty z tego samego źródła.

[61] Nguyen Quoc Khue, *3rd Ranger Group*..., s. 102.

[62] Armor Command, *Some Battles Fought by Our Armored Troops*..., s. 52.

[63] AI: Tran, 9.7.2016.

[64] USAHEC: Advisers' Oral Histories, Box 2, Folder 6; następne cytaty z tego samego źródła.

[65] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 847, 9.5.1972.

[66] AI: De, 9.7.2016.

[67] Tran Quoc Tuan i in., *History of the General Staff*..., t. 4, s. 397.

[68] Wiktor Michajłowicz Suchodriew, *Jazyk moj – drug moj: Ot Chruszczewa do Gorbaczewa*..., Tonczu, Moskwa 2008, s. 112.

[69] Tamże, s. 114.

[70] Nguyen Duc Huy, *A Soldier's Life*..., s. 429.

[71] *History of the Combat Operations Department 1945–2000*, People's Army Publishing House, Hanoi 2005, online: http://www.quansuvn.net.

[72] Nguyen Huu An, *New Battlefield* (opowiedziane Nguyenowi Tu Duongowi), People's Army Publishing House, Hanoi 2002, s. 171.

[73] Tamże, s. 173.

[74] Tamże, s. 179.

[75] Tamże, s. 180.

[76] AI: Hung, 11.10.2016; dalsze cytaty i relacja według tego źródła.

[77] AI: Ninh, 7.10.2016.

[78] AI: Ly, 15.9.2016.

[79] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*, Vintage Books, London 1986, s. 211.

[80] Tamże, s. 205.

[81] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*..., s. 389.

[82] David W.P. Elliott, *The Vietnamese War: Revolution and Social Change in the Mekong Delta 1930–1975*, M.E. Sharpe, Armonk NY 2003, t. 2, s. 1314.

[83] Tamże, s. 1315.

[84] L. Sorley (red.), *The Abrams Tapes*..., s. 826, 22.4.1972.

[85] Bruce Palmer, *The Twenty-Five-Year War: America's Military Role in Vietnam*, Simon & Schuster [A Touchstone Book], New York 1984, s. 122.

[86] AI: Pribbenow, 9.11.2016.

[87] USAHEC: Advisers' Oral Histories, Box 18, Folder 9.

25. Wielkie, brzydkie, grube ptaki

[1] Ken Hughes, *Fatal Politics: The Nixon Tapes, the Vietnam War and the Casualties of Reelection*, University of Virginia Press, Charlottesville 2015, s. 85. Niniejsza relacja opiera się w dużej mierze na fragmentach taśm Białego Domu (White House Tapes), spisanych i zestawionych ze sobą przez Kena Hughesa na potrzeby przywołanej książki.

[2] Tamże, s. 87.

[3] Tamże, s. 91.

[4] Tamże, s. 94.

[5] Tamże, s. 97.

[6] Seymour Hersh, *The Price of Power: Kissinger in the White House*, Summit Books, New York 1985, s. 584.

[7] K. Hughes, *Fatal Politics*..., s. 104.

[8] Tamże, s. 105.

[9] Tamże.

[10] AI: Nguu, 20.9.2016.

[11] K. Hughes, *Fatal Politics*..., s. 113.

[12] Thomas Ahern, *CIA and the Generals: Covert Support to the Military Government in South Vietnam*, Center for the Study of Intelligence, CIA, Washington DC [1999], https://bit.ly/30j7QF5.

[13] K. Hughes, *Fatal Politics*..., s. 116.

[14] Tamże, s. 120.

[15] Tamże, s. 123, 23.10.1972.

[16] Tamże, s. 126.

[17] Tamże, s. 149.

[18] Znaczna część poniższej relacji pochodzi z opracowania Marka Clodfeltera *Fifty Shades of Friction: Combat Climate, B-52 Crews, and the Vietnam War*, National Defense University Press, Washington DC 2016, https://bit.ly/2LrUQ0Z.

[19] *History of 307th Strategic Wing*, cytat za: Mark Clodfelter, *The Limits of Air Power*, Free Press, New York 1989, s. 186.

[20] John B. Nichols, Barrett Tillman, *On Yankee Station*, Bantam, New York 1988, s. 42.

[21] Tamże, s. 43.

[22] James R. McCarthy, George B. Allison, *Linebacker II: A View From the Rock*, Air University, Maxwell Air Force Base AL 1976, s. 158.

[23] M. Clodfelter, *Fifty Shades of Friction*..., s. 25.

[24] Tamże, s. 18.

[25] Tamże, s. 20.

[26] J.R. McCarthy, G.B. Allison, *Linebacker II*..., s. 61.

[27] Tamże, s. 62–63.

[28] M. Clodfelter, *Fifty Shades of Friction*..., s. 17.

[29] J.R. McCarthy, G.B. Allison, *Linebacker II*..., s. 152.

[30] AI: Miroszinczenko, 14.3.2016.

[31] Nguyen Dinh Kien, *A Soldier and the Skies over Hanoi,* People's Army Publishing House, Hanoi 2013, s. 184.

[32] Tamże, s. 212.

[33] Tamże, s. 234.

[34] Tamże, s. 246.

[35] AI: Binh, 5.10.2016.

[36] AI: Phuong, 6.10.2016.

[37] Relacja Blaufussa złożona 3.9.1977 McCarthy'emu – J.R. McCarthy, G.B. Allison, *Linebacker II*..., s. 140.

[38] Tamże, s. 152.

[39] Relacja ustna złożona płk. Allisonowi z USAF 24.10.1977.

[40] M. Clodfelter, *Fifty Shades of Friction*..., s. 8.

[41] Nguyen Dinh Kien, *Nguoi linh voi bau troi Ha Noi*..., s. 243.

[42] M. Clodfelter, *Fifty Shades of Friction*..., s. 19.

[43] Relacja Conlee'ego złożona McCarthy'emu 12.7.1977.

[44] M. Clodfelter, *Fifty Shades of Friction*..., s. 19.

[45] Tamże, s. 29.

[46] Tamże, s. 26.

[47] Tamże, s. 27.

[48] Tamże, s. 30.

[49] „Washington Post", 28.12.1972.

[50] „New York Times", 26.12.1972.

[51] Papers of Gen. John P. McConnell, cytat za: M. Clodfelter, *Fifty Shades of Friction*..., s. 145.

26. Pocałunek przed śmiercią

[1] AI: Ramsey, 22.9.2016.

[2] Doug Ramsey, niepublikowany rękopis na temat doświadczeń z Wietnamu przekazany autorowi, IV C56.

[3] Tamże, IV C18.

[4] AI: Ramsey, 22.9.2016.

[5] D. Ramsey, niepublikowany rękopis..., I A43.

[6] Tamże, IV C65.

[7] Tamże, IV D7.

[8] Tamże, IV D5.

[9] Tamże, s. 31.

[10] AI: Ramsey, 22.9.2016.

[11] D. Ramsey, niepublikowany rękopis..., IV F11.

[12] White House Tapes, rozmowa 366-006, cytat za: Ken Hughes, *Fatal Politics: The Nixon Tapes, the Vietnam War and the Casualties of Reelection*, University of Virginia Press, Charlottesville 2015.

[13] Henry Kissinger, *The Complete Memoirs: White House Years. Years of Upheaval. Years of Renewal*, E-Book Boxed Set, Simon & Schuster, New York 2013.

[14] 14.3.1973, K. Hughes *Fatal Politics*..., s. 160.

[15] Frank Snepp, *Decent Interval*, Random House, New York 1977, s. 43–49, oraz Thomas Ahern, *CIA and the Generals: Covert Support to the Military Government in South Vietnam*, Center for the Study of Intelligence, CIA, Washington DC [1999], https://bit.ly/30j7QF5, s. 105–106.

[16] Wallace Terry, *Bloods: Black Veterans of the Vietnam War*, Presidio Press, New York 2006, s. 280.

[17] AI: McDaniel, 14.11.2016.

[18] D. Ramsey, niepublikowany rękopis..., VII A31.

[19] AI: Ramsey, 16.9.2016.

[20] K. Hughes, *Fatal Politics*..., s. 162.

[21] Tamże, s. 167.

[22] Tamże, s. 187.

[23] Arthur M. Schlesinger, *Journals 1952–2000*, Penguin, New York 2007, 27.1.1975.

[24] AI: Phong, 22.1.2017.

[25] AI: Khiem, 13.9.2016.

[26] AI: Ngo Dang Tri, 5.10.2016.

[27] Nguyen Huu An, *New Battlefield* (opowiedziane Nguyenowi Tu Duongowi), People's Army Publishing House, Hanoi 2002, s. 184.

[28] AI: Ninh, 7.10.2016.

[29] Gavin Young, *A Wavering Grace*, Viking, London 1997, s. 63.

[30] AI: Mai Elliott, 23.9.2016.

[31] AI: Pribbenow, 9.11.2016.

[32] Al Santoli, *To Bear Any Burden: The Vietnamese War and its Aftermath*, Sphere Books, London 1986, s. 205.

[33] AI: Tri, 16.9.2016.

[34] Lewis Sorley (red.), *The Abrams Tapes 1968–1972*, Texas Tech University Press, Lubbock 2004, s. 345, 17.1.1970.

[35] Nguyen Cao Ky, *Buddha's Child: My Fight to Save Vietnam*, St Martin's Press, New York 2002, s. 332.

[36] Dao Truong w: *Vietnam: A Television History*, PBS 1983, prog. 2.

[37] Vann podczas wystąpienia w Kentucky w styczniu 1972 roku, w: Vann Papers, cytat za: Lewis Sorley (red.), *A Better War: The Unexamined Victories and Final Tragedy of America's Last Years in Vietnam*, Harvest, New York 1999, s. 348.

[38] Nguyen Duy Hinh w: Lewis Sorley (red.), *The Vietnam War: An Assessment by South Vietnam's Generals*, Texas Tech University Press, Lubbock 2010, s. 742, 734.

[39] AI: Trach Gam, 15.9.2016.

[40] Jon Swain, *River of Time*, Heinemann, London 1995, s. 80.

[41] G. Young, *A Wavering Grace*..., s. 55.

[42] AI: Elliott, 23.9.16, oraz Jacques Leslie, *The Mark: A War Correspondent's Memoir of Vietnam and Cambodia*, Four WallsEight Windows, New York 1995, s. 194 i nast.

[43] AI: Meinheit, 21.1.2017.

[44] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 425.

[45] Tamże, s. 394.

[46] O roli Adamsa w wykazywaniu błędów i przekłamań MACV w odniesieniu do liczebności sił komunistycznych zob. jego pośmiertnie opublikowaną książkę *War of Numbers: An Intelligence Memoir*, Steerforth Press, South Royalton VT 1994.

[47] AI: Nguu, 20.9.2016.

[48] AI: Meinheit, 21.1.2017.

[49] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*, Vintage Books, London 1986, s. 229.

[50] Tran Quynh, *Memories of Le Duan*, https://bit.ly/3hSAlqv.

[51] AI: Si, 21.5.2016.

[52] AI: Hien, 5.10.2016.

[53] AI: Pribbenow, 9.11.2016.

[54] AI: Ramsey, 22.9.2016.

[55] AI: Nghiem Khiem, 13.9.2016.

[56] Frank Scotton, *Uphill Battle: Reflections on Viet Nam Counterinsurgency*, Texas Tech University Press, Lubbock 2014, s. 419.

[57] AI: Destatte, 12.9.2016.

27. Ostatni akt

[1] Nguyen Huu An, *New Battlefield* (opowiedziane Nguyenowi Tu Duongowi), People's Army Publishing House, Hanoi 2002, s. 195.

[2] Niniejsza relacja opiera się w dużej mierze na: Merle L. Pribbenow, *North Vietnam's Final Offensive: Strategic Endgame Nonpareil*, „Parameters" 29 (1999), nr 4, s. 58–71, oraz George J. Veith, *Black April: The Fall of South Vietnam 1973–75*, Encounter Books, New York 2012, *passim*.

[3] AI: Ninh, 7.10.2016.

[4] Ta relacja pochodzi z wietnamskiego Dowództwa Sił Pancernych: Armor Command (Bo Tu Lenh Thiet Giap), *Some Battles Fought by Our Armored Troops*, t. 4, General Staff Printing, Hanoi 1983.

[5] Vien w: Lewis Sorley (red.), *The Vietnam War: An Assessment by South Vietnam's Generals*, Texas Tech University Press, Lubbock 2010, s. 804.

[6] AI: Snepp, 10.9.2016.

[7] G.J. Veith, *Black April...*, s. 178.

[8] Christopher Robbins, *Air America: The Explosive True Story of the CIA's Secret Airlines*, Cassell Military, London 2012, s. 266.

[9] Vien w: L. Sorley (red.), *The Vietnam War...*, s. 809.

[10] Tamże, s. 307.

[11] G.J. Veith, *Black April...*, s. 231.

[12] AI: Phong, 22.1.2017.

[13] AI: Snepp, 10.9.2016.

[14] Nguyen Huu An, *New Battlefield...*, s. 208.

[15] Tamże, s. 214.

[16] G.J. Veith, *Black April...*, s. 329.

[17] Ch. Robbins, *Air America...*, s. 266–267.

[18] Nguyen Huu An, *New Battlefield...*, s. 233.

[19] „Congressional Quarterly", 15.2.1975.

[20] *U.S. Policy in the Vietnam War, cz. II: 1969–1975*, red. John Prados, The National Security Archive, Washington DC 1992, #1552.

[21] AI: Snepp, 10.9.2016.

[22] AI: Tho, 11.10.2016.

[23] AI: Livingston, 3.3.2016.

[24] G.J. Veith, *Black April...*, s. 347.

[25] George J. Veith, Merle L. Pribbenow, *„Fighting is an Art": The Army of the Republic of Vietnam's Defense of Xuan Loc 9–21 April 1975*, „Journal of Military History" 68 (2004), nr 1, s. 163–213.

[26] AI: Scotton, 11.9.2016.

[27] AI: Nguyen Van Uc, 11.9.2016.

[28] AI: Kieu Chinh, 14.9.2016.

[29] AI: Khiem, 13.9.2016.

[30] Gavin Young, *A Wavering Grace*, Viking, London 1997, s. 69.

[31] AI: Parks, 13.3.2016.

[32] Bruce Palmer, *The Twenty-Five-Year War: America's Military Role in Vietnam*, Simon & Schuster [A Touchstone Book], New York 1984, s. 150.

[33] AI: Breen, 7.3.2016.

[34] Richard West, *War and Peace in Vietnam*, Sinclair-Stevenson, London 1995, s. 179.

[35] Jackie Bong-Wright, *Autumn Cloud: From Vietnamese War Widow to American Activist*, Capital Books, Sterling VA 2001, s. 200.

[36] Tamże, s. 201.

[37] Hoi B. Tran, *A Vietnamese Fighter Pilot in an American War*, XLibris, Bloomington 2011, s. 411.

[38] AI: Tom oraz Danh Quach, 21.9.2016.

[39] AI: Scotton, 11.9.2016.

[40] AI: Snepp, 10.9.2016.

[41] AI: Nguyen Van Uc, 13.9.2016.

[42] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*, Vintage Books, London 1986, s. 137.

[43] Frank Snepp, *Decent Interval*, Random House, New York 1977, s. 344.

[44] Informacja udostępniona prywatnie autorowi 16.9.2016.

[45] AI: Khiem, 13.9.2016.

[46] Nguyen Huu An, *New Battlefield*..., s. 253.

[47] Ta relacja pochodzi z wietnamskiego Dowództwa Sił Pancernych: Armor Command (Bo Tu Lenh Thiet Giap), *Some Battles Fought by Our Armored Troops*, t. 4, General Staff Printing, Hanoi 1983.

[48] Nguyen Cao Ky, *Buddha's Child: My Fight to Save Vietnam*, St Martin's Press, New York 2002, s. 344.

[49] AI: Tran, 21.9.2016.

[50] Frank Snepp, *Irreparable Harm*, Random House, New York 1999, s. 29.

[51] Al Santoli, *To Bear Any Burden: The Vietnamese War and its Aftermath*, Sphere Books, London 1986, s. 237.

[52] Armor Command (Bo Tu Lenh Thiet Giap), *Some Battles Fought by Our Armored Troops*, s. 22.

[53] Al: Dinh, 9.7.2016.

[54] AI: Si, 21.5.2016; następne cytaty z tego samego źródła.

[55] AI: Nguyen Tri, 16.9.2016.

[56] A. Santoli, *To Bear Any Burden*..., s. 17.

[57] AI: Nguu, 20.9.2016.

[58] AI: Thuy, 13.9.2016.

[59] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars*, Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 456.

[60] Tamże, s. 458.

[61] AI: Nguyen Chieu, 7.10.2016.

[62] Ho De w: „People's Army Newspaper", 29.4.2006.

28. Pokłosie

[1] AI: Phat, 11.9.2016.

[2] Bao Ninh, *The Sorrow of War,* Vintage Books, London 1998, s. 72–73.

[3] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir,* Vintage Books, London 1986, s. 206.

[4] Tamże, s. 288.

[5] Frank Snepp, *Irreparable Harm,* Random House, New York 1999, s. 23.

[6] AI: Kieu Chinh, 14.9.2016.

[7] AI: Thanh, 14.7.2016.

[8] AI: Nguu, 20.9.2016.

[9] „Encounter" 52 (1979), nr 5, s. 25.

[10] AI: Tran, 9.7.2016.

[11] Jackie Bong-Wright, *Autumn Cloud: From Vietnamese War Widow to American Activist,* Capital Books, Sterling VA 2001, s. 45.

[12] AI: Thanh, 21.5.2016.

[13] Komitet Bezpieczeństwa Państwowego ZSRS, dokument nr 3240-A z 31.12.1975.

[14] Christopher Goscha, *The Penguin History of Modern Vietnam,* Allen Lane, London 2016, s. 371.

[15] Nguyen Cong Luan, *Nationalist in the Vietnam Wars,* Indiana University Press, Bloomington 2012, s. 512; kolejne cytaty według tego źródła.

[16] AI: Si, 16.7.2016.

[17] AI: Ly Van Quy, 15.9.2016.

[18] AI: Minh-Ha, 6.7.2016.

[19] AI: Ly Van Quy, 15.9.2016.

[20] Tamże.

[21] Al Santoli, *To Bear Any Burden: The Vietnamese War and its Aftermath*, Sphere Books, London 1986, s. 333.

[22] Truong Nhu Tang, *A Vietcong Memoir*..., s. 279.

[23] AI: Nguu, 20.9.2016.

[24] AI: Phuong, 22.1.2017.

[25] AI: Ramsey, 22.9.2016.

[26] AI: Ninh, 7.10.2016.

[27] AI: Scotton, 18.9.2016.

[28] David W.P. Elliott, *Changing Worlds: Vietnam's Transition from Cold War to Globalization*, Oxford University Press, Oxford 2012, s. 241; na tej pracy opiera się w dużej mierze dalsza relacja.

[29] AI: Phat, 11.9.2016.

[30] AI: Tri, 16.9.2016.

[31] Nguyen Van Minh, M.-G. Pham Van (red.), *History of the Resistance War Against the Americans to Save the Nation 1954–75*, Military History Institute of Vietnam – National Political Publishing House, Hanoi 2008, t. 8, s. 463.

[32] Tamże.

[33] MP: wywiad z Tran Trong Trungiem.

[34] Michael Lind, *Vietnam: The Necessary War*, Free Press, New York 1999, s. 282 i 284.

[35] AI: Scotton, 11.9.2016.

[36] *Pentagon Papers Gravel Edition*, Beacon Press, Boston 1971, t. 4, s. 294–295.

[37] AI: Elliott, 23.9.2016.

[38] James Gavin, *Crisis Now*, Random House, New York 1968, s. 62.

[39] AI: Phat, 11.9.2016.

[40] W rozmowie z autorem w roku 2006.

[41] AI: Sheehan, 5.3.2016.

[42] Michael Herr, *Dispatches*, Picador, London 1979, s. 31.

[43] AI: Boomer, 2.3.2016.

[44] Michael Charlton, Anthony Moncrieff (red.), *Many Reasons Why: The American Involvement in Vietnam*, Scolar, London 1978, s. 179.

[45] Mark Clodfelter, *Fifty Shades of Friction: Combat Climate, B-52 Crews, and the Vietnam War*, National Defense University Press, Washington DC 2016, https://bit.ly/2LrUQ0Z, s. 34.

[46] AI: Scotton, 18.9.2016; kolejne cytaty z tego samego źródła.

[47] AI: Ramsey, 22.9.2016.

[48] AI: Khiem, 13.9.2016.

[49] AI: Hung, 8.10.2016.

[50] USAHEC: Company Commanders' Oral Histories, Box 18.

[51] AI: Spencer, 8.3.2016.

[52] Deborah Shapley, *Promise and Power: The Life and Times of Robert McNamara*, Little, Brown & Co, Boston 1993, s. 415.

[53] AI: Gray, 10.9.2016.

[54] AI: Destatte, 12.9.2016.

[55] Archie Brown, *The Rise and Fall of Communism*, Bodley Head, London 2009, s. 609.

[56] AI: Elliott, 23.9.2016.

[57] Bao Ninh, *The Sorrow of War...*, s. 217.

[58] AI: Ninh, 7.10.2016.

[59] Nguyen Duc Huy, *A Soldier's Life* (współpraca: Nguyen Thong Nhat), People's Army Publishing House, Hanoi 2011, s. xi.

[60] Tamże, s. xii.

[61] AI: Boomer, 2.3.2016.

[1*] Opisane przez autora wraz z innymi doświadczeniami wojennymi w wydanych w roku 2000 pamiętnikach *Going to the Wars* (*Byłem na wojnach*).

[2*] Przypisy znajdują się na s. 980–1026.

[3*] Często stosowana przez amerykańskich żołnierzy skrócona wersja nazwy Wietnam (przyp. tłum.).

[4*] Czasu lokalnego Zatoki Tonkińskiej (przyp. tłum.).

[5*] Kompleks szkoleniowy Korpusu Marines w Karolinie Południowej (przyp. tłum.).

[6*] Aluzja do klęski amerykańskiej kawalerii w potyczce z Indianami w 1876 roku (przyp. tłum.).

[7*] Amerykańskie odznaczenie wojskowe przyznawane rannym żołnierzom (przyp. tłum.).

[8*] We wrześniu 1962 roku na Uniwersytecie Missisipi w amerykańskim Oksfordzie wybuchły zamieszki wywołane problemami, jakie spowodowało zapisanie się na tę uczelnię pierwszego czarnego studenta Jamesa Mereditha. Wydarzeniom tym utwór *Oxford Town* poświęcił Bob Dylan (przyp. tłum.).

[9*] Prawa ręka Goldfingera w filmie pod tym tytułem z serii przygód Jamesa Bonda (przyp. tłum.).

[10*] Chodzi o wypadek w nocy z 18 na 19 lipca 1969 roku. Młodszy brat prezydenta JFK prowadził wówczas auto, które wjechało do rowu przeciwpowodziowego w pobliżu wyspy Chappaquiddick. Polityk wydostał się z pojazdu, zostawiając w środku dwudziestoośmioletnią Mary Jo Kopechne. Kennedy nie udzielił jej pomocy i oddalił się z miejsca zdarzenia, a władze powiadomił o wypadku dopiero rano. Kobieta zginęła na miejscu, senator zaś stanął przed sądem, który wymierzył mu karę dwóch miesięcy pozbawienia wolności

w zawieszeniu. Po blisko pięćdziesięciu latach wyszło na jaw, że Kopechne była w ciąży z senatorem, który jako człowiek żonaty obawiał się skandalu – stąd podejrzenia, że śmierć kobiety mogła nie być przypadkowa (przyp. tłum.).

[11*] Czyli ważące około 230 kilogramów (przyp. tłum.).

[12*] Robert Garwood postanowił zostać na Północy aż do roku 1979, kiedy to powrócił do Stanów Zjednoczonych i stanął przed sądem wojskowym.